BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

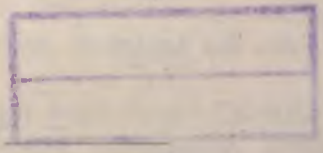
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 204.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.



Tom czwarty.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.
—
1891.

4620. 1891. 4
II.
30.000/-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Октября 1891 года.

x-14305
4620/ II 4.
/1891

W drukarni E. Lubowskiego i S-ki, Mazowiecka № 8.

X-14305
4620/II 4.
1891

IRENA.[1]

Jest coś niezmiernie orzeźwiającego w biegu wagonu lub powozu, niosących nas ku upragnionemu celowi. Zmiana widoków, ruch otoczenia i powietrza magnetyzują wyobraźnię. Człowiek, pragnący zadowolnić zachciankę, ma takie uczucie, jakby dążył ku niezawodnemu szczęściu. Przydrożne przedmioty uciekają, jak gdyby ustępowały z drogi i chowały się w cień, zostawiając miejsce nadbiegającéj pomyślności. Mania podróżnicza może nie ma innéj przyczyny, jak szukanie takiego złudzenia.

Irenę kołysało ono przez część drogi. Dopiero zbliżając się do Krakowa, doznała tego niepokoju oczekiwania, trwogi i pragnienia, które się składają na stan wewnętrzny, tak nieznośny, że człowiek popełnia często szaleństwo, by od niego uciec. Irenie dusznym się wydawał przedział wagonu, ciasną się zdawała odzież, ciężkim kapelusz, okrywający jéj głowę. Chodziła od okna do okna, pragnąc, by to już był koniec podróży, a jednocześnie bojąc się naprzód głosu konduktora, wygłaszającego automatycznie i krzykliwie: Kraków! Kraków!

Zatrzęsła się od stóp do głów, gdy oczekiwany wykrzyknik: „Kraków“ ozwał się i pociąg, zwolniwszy biegu, zatrzymał się nakoniec. Była oszołomiona i niezdolna do spokojnego ocenienia swych czynności, czuła tylko, depcąc kamienną posadzkę dworca, że szła

[1]) Dokończenie. Zob. Zeszyt 9 Tomu III z r. b.

ku przeznaczeniu swemu, że ciągnęło ją ku niemu coś silniejszego od jéj woli, jakby jakieś zawieszone nad jéj głową fatum, któremu oprzéć się nie miała ani ochoty, ani siły.

I w Krakowie stały na jéj rozkazy apartamenta jednéj z jéj krewnych, bawiącéj na wsi; wszakże jakieś pragnienie utajenia swych czynów i kroków skłoniło ją do zamieszkania w hotelu. Zażądała dwóch skromnych pokoi, podając szwajcarowi hotelowemu nazwisko swéj panny służącéj, przy czém jakiś wstyd ją ogarnął. Zwykle imię i nazwisko swoje wymawiała z pewną dumą. Było to przecie nazwisko, znane w świecie arystokratycznym i powtarzane wogóle często. Nosiła je najpiękniejsza z kobiet, okrywająca w téj chwili twarz gęstym woalem, z za którego nie wyglądał nawet blask jéj czarnych oczu. Dotknęło ją jakby uczucie własnego upadku, gdy głosem wyraźnym i nieco silniejszym, niż tego wymagała potrzeba, wymówiła imię i nazwisko swéj służącéj. Nie było to kłamstwo żadne, a jednak to obejście prawdy zabolało jéj dumę. Swoje niezadowolenie z siebie spędziła na Emilii, podnoszącéj wzrok zdziwiony ku niéj.

— Zabierz wszystkie rzeczy do swego pokoju i nie przeszkadzaj mi — rzekła tonem prawie opryskliwym. — Przygotujesz mi czarną suknię i przyniesiesz tekę z papierem. Nie przeszkadzaj mi... Każ sobie podać jedzenie, jeżeli jesteś głodna, i niech ja już o tobie nie myślę.

Była rozgniewana i chętnie była-by komuś ironią i żółcią bryznęła w samą twarz, by uczucie niepokoju, które nią trzęsło, stępić w jakimś wybuchu. Służąca nie mogła być celem jéj sarkazmu — dla Cezara trzeba-by było ofiary, godnéj Cezara. Upadła na twarz, zakrywając ją dłońmi, na hotelowe łóżko, rumieniec gniewu, upokorzenia i wstydu chowając przed światłem dziennem.

Była upokorzona do głębi duszy. Ona, sama w tym hotelowym pokoiku, z nazwiskiem umyślnie zatajoném, z przygotowanym gęstym woalem, szukająca wśród tłumu mieszkańców miasta, do którego przybyła, spojrzenia dzieciaka, któremu sama zawróciła głowę. Bo to ona go zabrała! Gdyby nie była go szukała w cieniach parku, na zakrętach leśnych ścieżek, byłby wyjechał spokojny... może przejęty artystyczném uwielbieniem dla jéj wdzięków, ale z nieobudzoném męskiém sercem w chłopięcéj piersi. Był-by może nie zaznał nigdy goryczy odepchniętych ramion, które wyciągał do ukochanéj, ani upokorzenia téj myśli, że pycha była w jéj piersi silniejszą, niż wzbudzone przez niego uczucie. Biedne dziecię! Napoiła je żółcią, nauczyła je, co gorzka nienawiść, będąca tylko zwyrodniałą miłością, co to ból przekleństw, rzucanych kobiecie, którą się uwielbiało!

Litość chwilowa dla Jana zmieniła się w niéj zaraz w ironię. Czemu ona nad nim ubolewała? Z pewnością nie umrze on z téj miłości!... jest taki młody... tyle jeszcze życia, tyle kobiet przed nim!..

Myśl o innych kobietach, które Jan spotka i wyróżni, była zawsze dla niéj męczarnią. Ona dała-by mu całą swoją duszę, całe życie, wszystko, co jedna istota drugiéj dać może, a on odwrócił-by się może od niéj dlatego, że jakaś inna twarz zabłysła-by mu wdziękiem młodości.

Dla dumnego serca Ireny zazdrość miała ostrze podwójne. Ona, któréj zazdroszczono tyle w życiu, leżała teraz na tém łożu tortur, na którém zazdrość rozciąga swoje ofiary. Do tego więc doszła, że bała się powabu innych kobiet, ona, która je dotąd wszystkie zaćmiewała?

Zmrok zapadał. Zarzuciła na siebie długi płaszcz, zakrywający całą jéj postać, włożyła kapelusz, przysłoniła twarz gęstym woalem. W pamięci jéj wyraźnemi głoskami wypisany stał adres Jana, i w téj chwili ta tylko jedna rzeczywistość — nazwa ulicy i numer domu, kierowała jéj wolą. Nie wiedziała, co pocznie, nie wiedziała prawie, dlaczego musiała tą nazwą ulicy i numerem domu się kierować, wiedziała tylko, że tam iść trzeba jéj było koniecznie. Ciążyła na niéj jakby jakaś cudza wola nieprzeparta.

Pierwszy raz w życiu u nóg jéj w prochu leżały wszelkie względy próżności i światowego blichtru. Nie pamiętała, że za nią leżało życie tryumfów i świetności; była tylko kobietą kochającą, która idzie za swym szałem i ten szał tylko za prawo swe uznaje!

Wyszedłszy z hotelu, zapytała o kierunek, w którym jéj się udać było trzeba. Znała Kraków, lecz ulica, przy któréj mieszkał Jan, była oddalona; nigdy nawet jéj nazwiska przedtém nie słyszała. Szła spiesznie, czując, że ruch był jéj koniecznie potrzebny do zmniejszenia wewnętrznego niepokoju. Nie była-by w téj chwili mogła znieść spokojnego siedzenia w dorożce. Kroki jéj były coraz prędsze, w końcu biegła prawie. Domy stawały się mniéj okazałemi, przegrodzonemi ogrodami; od upragnionéj ulicy, na któréj wreszcie się znalazła, wiało przedmieściem. Drżała coraz mocniéj i reszta chłodnéj przytomności ją odbiegła. Czuła wyraźnie, że działa pod wpływem jakiejś zewnętrznéj siły, która ją popychała pomimo jéj woli. Źrenice jéj rozszerzało uczucie, znane jéj dotąd tylko częściowo: jakaś trzeźwa bezprzytomność, na którą składał się strach i determinacya szalonéj odwagi, żądza czynu i poczucie popełnianego szaleństwa.

Znalazła się wreszcie u żelaznych sztachet ogrodu, wśród którego stał prawdopodobnie dom, do którego dążyła. Brama była

zamknięta. Weszła fórtką i zatrzymała się chwilę, bo tchu jéj brakło. W téj chwili usłyszała śpiew Jana: ustęp z duetu, którego pod kierunkiem Peronellego uczył się z Amelią:

No, no, non albeggia ancor;
La gentil melodia
Che pur dianzi, o mio ben,
I tuoi sensi feria,
E del dolce rosignuol
Che sospira d'amor.

Ledwie się na nogach utrzymać mogła; chwiejąc się, szła w kierunku dochodzącego ją śpiewu, który nagle zamilkł. Zagłuszył go wesoły śmiech i słowa, nieznanym jéj głosem wyrzeczone:

— Jasia znowu napadają ciągoty... od czasu do czasu miewa paroksyzm... księżycowy Katzenjammer! Wtedy pozuje na Romea. Już-byś sobie tę Julię sprowadził, albo co! Powiedz nam przynajmniéj, gdzie ona dni w tęsknocie pędzi? Daleko, czy blisko?

Mówiący widocznie się zbliżał. Irena wśród bardzo jasnéj księżycowéj nocy rozróżniła cztery męskie postacie, pomiędzy któremi poznała Jana po wzroście i ruchach.

— Był-by mądry, kto-by tego milczka wybadał! — rzekł inny głos. — Jak sprowadzi Julię, to ją w lisią jamę schowa!

Irenie serce zamierało w piersi. Jak ostrze sztyletu ugodził w nie śmiech Jana:

— Julię wystawiam na licytacyę — ozwał się tym głosem, za którym tęskniła, jak wygnaniec za ojczyzną — kto da więcéj! Licytacya zaczyna się od skromnéj fundy... od porcyi bifsztyku i butelki *pilsneru!*

W téj chwili czteréj młodzieńcy musieli przejść koło Ireny, która mimowolnym ruchem usunęła się na brzeg ścieżki. Nogi jéj omdlały zupełnie, zdawało jéj się, że upadnie. Po téj chwilowéj niemocy przytomność wróciła jéj nagle. Śmiech Jana napełnił jéj duszę niewytłómaczoną obrazą. Żart, który rzucił na pastwę ciekawości kolegów, wydał się jéj wymierzoną prosto w jéj twarz zniewagą. Wyprostowała się, i choć duma jéj cierpiała strasznie na myśl, że Jan domyślić się może, kogo spotyka, zakradającego się w nocy pod swoje okno, choć woalka wydawała się jéj niedostateczną zasłoną, jednak stała dumnie pod pręgierzem, policzkowana przez niewysłosłowiony wstyd i upokorzenie. Ta młodzież, żartująca z miłości, i ona, do tego stopnia upadła, że biegła tu po jedno spojrzenie, jedno słowo, usłyszane z ust ukochanych!..

Jan zatrzymał się a raczéj stanął przed nią, jak wryty. Towarzysze jego téż chwilę przystanęli, potém wszyscy zmierzać poczęli

ku fórtce. Przestąpiwszy ją, szli ulicą wzdłuż żelaznych sztachet i żywego płotu, zbliżając się znowu w stronę Ireny.

— To wysoka panna!.. i jaką ma figurę prześliczną! — ozwał się jeden z nich — ale musi być brzydka, jak grzech śmiertelny! Żeby była ładna, toby takiego woalu nie kładła!

— Jaś ją musi znać... stanął, jak wyżeł do kuropatwy...

— Zdawało mi się — odparł Jan — znam jedną taką wysoką...

Przejeżdżający powóz zagłuszył dźwięk głosów. Irena nie słyszała nic więcéj. Stała wśród obcego ogrodu, przykuta do ziemi, przygnieciona wstydem, okradziona nagle z marzenia, które jéj biedne, stęsknione serce, potęgą bólu w nadzieję przekuło. Wydało jéj się, że nie zostało jéj nic, że była sama jedna wśród ogromu świata, że straciła wszystko, co ją do życia wiązać mogło. Ta bezmyślna, wesoła nuta żartobliwéj rozmowy, usłyszana przed chwilą, to była młodość, która się o nią otarła, która ją musnęła lekkiém skrzydłem, a ona przy tém muśnięciu poczuła się starą, poczuła się obcą już téj swobodzie pewnéj jutra, oddaloną od tego poranku, w którym jutrzenka wydaje się zawsze początkiem pogodnego dnia. Trzy miesiące temu była-by się uśmiechnęła z pogardą, dostrzegłszy tylko trywialność i uliczny ton rozmowy studenckiéj; dziś poczuła się nie wykwintną, salonową damą, lecz kobietą dojrzałą, która już i czuć, i cierpiéć, i kochać, i walczyć inaczéj musiała, niż ta młodość, umiejąca zmódz wszystko samą żywotnością soków. Zdawało jéj się, że to nie ona sama usunęła się na brzeg ścieżki, by zostawić miejsce przechodzącym młodzieńcom, lecz że oni ją zepchnęli, jak spycha młodsza generacya starszą, jak butna, rozpierająca się młodość potrąca tych, co, już dłuższą przebywszy drogę, mają mniéj siły i zaufania w siebie.

Poczęła nagle iść prędko ku fórtce, którą się do ogrodu dostała, jakby uciekać chciała przed bólem, który ją tu spotkał, przed wstydem, który niby rozpaloném żelazem ją palił. Poco ona tu przyszła? Jaki szał ją tu przyprowadził?

Gdy się znalazła w hotelu, musiała się kazać rozebrać służącéj, choć obecność osoby obcéj była jéj nieznośną w téj chwili. Chciała się wszakże dostać do łóżka. Czuła fizyczną potrzebę przytulenia głowy do poduszki, okrycia się kołdrą. Trzęsła się od zimna, choć noc nie była chłodna. Od kilku godzin nic w ustach nie miała, czując wstręt do wszelkiego posiłku. Emilia, widząc jéj stan, podała jéj filiżankę herbaty. Irena, wypiwszy gorący napój, kazała zgasić świece co prędzéj. Pragnęła zostać w ciemności. Spoczynku jéj było trzeba, ciszy i ciemności. Ale spoczynek nie chciał zstąpić na nią, bo go jéj serce zaznać nie mogło; cisza i ciemność zapełniły się dla niéj obra-

zami, podnoszącemi z samego dna jéj duszy wszystkie gorycze tych wspomnień, które na nowo otwierają rany i odnawiają bóle. Irena przebyła jedną z tych nocy, których pamięć zostaje na zawsze.

Widok Jana, jego głos, zbliżenie się jego, rzuciło ją na pastwę bezmiernéj tęsknoty, ale bolało ją szczególniéj jakieś uczucie przedziału między nimi; nie tego przedziału, który dotąd wznosiła jéj pycha i próżność: leżało między nimi coś wiecznego, coś głębiéj sięgającego, niż ustawy ludzkie; coś wielkiego, jak prawo Boże, jak prawo natury, czego przekroczenie odbija się na życiu przekleństwem... Nie określała sobie tego w ten sposób, tylko stało to przed nią, jak widmo, któremu nazwy dać nie umiała, lecz które czuła w głębi duszy.

Wśród bólu i niespokojnych myśli, szarpiących jéj uczuciami, przebiegało jéj czasem przez głowę wspomnienie jakiegoś drobnego wydarzenia, które ból wiązał i odnosił do uczuć, przeżywanych przez nią w téj chwili. Przyszła jéj tak na myśl podsłuchana temu lat dziesięć rozmowa. Nazajutrz po strasznéj burzy, która wiele szkód w lesie i ogrodzie w Mirsku zrobiła, Irena wyszła do ogrodu zobaczyć spustoszenie. Ogrodnik z ogrodniczkami obcinał nadłamane gałęzie, oczyszczał park. Stał on właśnie przy młodéj lipie, rozdartéj na połowę: „zrobić sznur ze słomy i dać mi tu gliny“ — wołał na ogrodniczków. „To tylko wyciąć — rzekł starszy ogrodniczek — nic z niéj nie będzie!“ „Co ty tam wiesz! Młoda, to zaleje! Żeby była stara, toby uschła, ale ta, zobaczysz, zwiążę ją, gliną zasmaruję i tak samo będzie żyć, jak żyła. Młoda, ma siłę, jeszcze tego roku zaleje!“

— Zaleje — mówiła sobie z goryczą Irena — młodość nawet taką ciężką ranę zaleje!

Czuła tę prawdę, myśląc o wesołym śmiechu Jana, słyszanym kilka godzin temu. Wystawiał Julię na licytacyę i oddawał ją za porcyę bifsztyku!

Chwilowa jéj obraza przeszła. Czuła teraz, że to był żart, pod którym może leżała chęć utajenia miłości i tęsknoty. Ale ta miłość... Irena przeczuwała jasnowidzeniem kobiecém i nerwowém, że w młodzieńcu, żądnym artystycznéj sławy, wyzierającym ku przyszłości wszystkiemi porywami młodości, i miłość, i tęsknota były raczéj kołysanką wyobraźni, usypiającą do marzeń, były żaglem, popychającym na niebieskie przestworza ideału, niż w samą istotę duszy przemieniającą się namiętnością, niż pojącém się krwią serdeczną uczuciem.

W swéj własnéj piersi czuła inną miłość, inną tęsknotę, niemającą lekkich skrzydeł młodzieńczego lotu, lecz siłę dojrzałości i smutek tego środka życia, po którym, zamiast iść w górę, zstępujemy na dół.

„Nel mezzo del cammin di nostra vita...“

Czekała brzasku niecierpliwie. Zwykle po nocnéj męce zasypiała wtedy na godzin parę. Świt jednak tego poranku, zaglądającego w hotelowe okno, nie przyniósł jéj snu. Nie zmrużyła oczu ani na chwilę. Wreszcie zerwała się z łóżka, do którego czuła rodzaj fizycznéj nienawiści za straszną noc, którą w niém przebyła. Ubrała się, nie zawoławszy służącéj. Potrzebowała w chłodzie poranku orzeźwić rozpaloną twarz. Stała w lustrze chwilę, z niewymowną goryczą przyglądając się wywołanéj bezsennością żółtości skroni i siności powiek. Ostrość wyrazu, którą już w Warszawie zauważyła, bardziéj jeszcze na jéj twarzy się zaznaczyła.

— Jak ja chudnę! — rzekła półgłosem z ogarniającą ją nagle, jak płomień, trwogą utraty piękności, świeżości, wdzięku.

— Chudnę, jak stara panna—myślała daléj—niezadługo wyżółknę i zwiędnę! Podobno obawa śmierci zabić może... Obawa starości może o zestarzenie się przyprawić!

Drżała od grozy na myśl, że bezsenność, zupełny brak apetytu i ten straszny niepokój wewnętrzny muszą podtoczyć młodość u samych jéj podstaw i z téj pięknéj kobiety, którą widywała w lustrze codziennie, uczynić ruinę.

Była zaledwie siódma rano, gdy się znalazła na ulicy. Pierwszy raz w życiu widziała miasto o tak wczesnéj godzinie. Stróże, zamiatający ulice, kucharki z koszykami, wózki z mlekiem, rozwożony lód, chłopki idące na targ... wszystko to uderzyło jéj rozgorączkowaną wyobraźnię w ten sposób ostry i raniący, w jaki materyalna i praktyczna strona życia dotyka tajemnych głębi podniesionego do najwyższych szczytów uczucia. Życie wydało jéj się płaskiém, nędznem, trywialném, glupiém. . Istne mrowisko istot, myślących tylko o tém, czém jutro naładują żołądek!..

Jakaś staruszka przygarbiona, czarno ubrana, z książką do nabożeństwa, przesunęła się obok powoli idącéj Ireny. Piękna, wyprostowana panna prawie bezwiednie poszła za zdeformowanym kształtem kobiecym, który sam jeden wśród tych ludzi, myślących tylko o głodnym żołądku, szedł za pociągiem duchowéj potrzeby.

Weszła za staruszką do kościoła. W ławkach siedziało zaledwie kilka, rozrzuconych po całym kościele, osób; przed jednym z ołtarzy leżała krzyżem nędznie ubrana kobieta; ksiądz z jednym posługaczem odprawiał cichą mszę. Kroki powłóczącéj nogami staruszki rozlegały się echem po wysokich łukach kościoła, zmieszane z mruczeniem księdza, półgłosem mówiącego ewangelię. Od murów i posadzki kamiennéj kościoła wiało chłodem, spokojem, ciszą i owém skupieniem, właściwém miejscom, w których czuje się obecność mistycznéj idei.

Staruszka rzuciła się na kolana, wzniosła oczy ku niebu z wyrazem głębokiéj wiary, prośby, ufności; trzęsące się ręce rozkrzyżowała, jakby niemi ująć chciała jakiś kształt dotykalny, i zawołała starym, złamanym głosem:

— Boże wielkiego miłosierdzia!

— Jakie miłosierdzie może mieć Bóg dla takiéj istoty? — myślała Irena, patrząc na staruszkę z uczuciem gorzkiéj krytyki, które ją prześladowało od samego świtu. — Od praw natury niéma ucieczki nawet do miłosierdzia Bożego. Żadna modlitwa, żadne wołanie, żadne jęki, żadna ofiara, sprawić nie mogą, bym ja wróciła do moich lat ośmnastu, bym kochała marzycielskiém, mdłém uczuciem nieświadomèj dziewczyny, dla któréj miłość jest pozowaniem na kobietę, jak niedawno przywdziana długa suknia!.. Niéma miłosierdzia Bożego nad tém, co niepowrotne!

Usiadła w ławce i, schyliwszy głowę, rozpalone czoło oparła na pulpicie. Zmęczenie całonocne i wielkie podniecone natężenie myśli wyczerpało jéj siły. Uspokojenie zstąpiło na nią w formie znękania zupełnego. Szept modlących się, mruczenie księdza, jakieś echa, chodzące po wysokich łukach, jak gdyby zapomniano tu przed wiekiem jęki modlitewne — charakterystyczne odgłosy wysokich kościołów, uwydatniać się zdające ich ciszę, wzięły duszę Ireny pod swe skrzydła, utuliły ją, uśpiły jéj ból.

— Ludzie mówią: „kościół matka nasza“ — zamajaczyło w umyśle Ireny, który w téj chwili miał jakąś dziecinną półświadomość i, obezwładniony, na myśl całkowitą zdobyć się nie mógł.

Nie wiedziała, że na twardéj ławce wspierała czoło. Było jéj wygodnie, przestała cierpieć.

Sporo ludzi przewinęło się w kościele i parę godzin czasu upłynęło, nim nareszcie Irenie powróciło uczucie świadomości. Obejrzała się wkoło siebie z przestrachem i zawstydzeniem. Patrzało na nią kilka zdziwionych osób. Wstała, automatycznie przyklękła na środku kościoła i niepewnym krokiem wyszła.

Gorączka nocna, podnosząca jéj siły, ustąpiła teraz zupełnie. Irena była bardzo osłabiona i zmęczona. Czuła, że trzeba jéj powziąć jakieś postanowienie, jechać do Wiednia, wracać do Warszawy, lub pozostać w Krakowie, ale każde natężenie umysłu sprawiało jéj ból; musiała koniecznie wypocząć...

Zastała w swoim pokoju Emilię, widocznie niespokojną. Jedném ze swoich dawnych dumnych spojrzeń zatrzymała na jéj ustach jakieś przygotowane zapytanie. Usiadła w fotelu, usiłując zapanować nad niecierpliwością, którą w niéj rodzić począł widok służącéj.

Emilia kręciła się po pokoju, przygotowując przybory na toalecie i umywalni, z tą tradycyjną niedyskrecyą panien służących, nigdy nieumiejących rozpoznać, kiedy są natrętnemi. Trawiła ją ochota przemówienia do Ireny, która ze swéj strony uparła się nie okazać jéj swego niezadowolenia. Chciała dać sobie saméj dowód siły woli.

Emilia znalazła nareszcie temat do przemówienia:

— Wzięłam tu z komody... z tych drobnych, co tu leżą, czterdzieści centów dla posłańca.

Irena nie odpowiedziała.

— Myślałam, że może jaśnie pani zechce dziś daléj jechać i odesłałam ten pakiet.

Słowa służącéj powoli przedostały się do uwagi Ireny. Dopiero po długiéj chwili zapytała ze zmarszczoną brwią:

— Jaki pakiet?

— Tak mię tam prosiły te szwaczki z czwartego piętra, żeby to odesłać rano, przed dziewiątą, nim ten pan wyjdzie...

Nie dokończyła. Irena stała przed nią z twarzą w płomieniach.

— Odesłałaś tę bieliznę?

— Tak... jaśnie pani...

— Kiedy odesłałaś?

— Dziś, przed godziną.

— Przez kogo? Zkąd był posłaniec?

— To... hotelowy...

— Biegaj prędko!.. może jeszcze nie poszedł... może nie odniósł... niech tu do mnie przyjdzie! A sama daj mi już pokój... nie przychodź tu... uczeszę się bez twojéj pomocy!

W kilka chwil potém posłaniec stanął w progu.

— Ja jestem numer 19-sty... chodziłem z posyłką...

— Oddałeś ją już?

— Właśnie ztamtąd wracam... mam tu pokwitowanie... Ten pan spał jeszcze... ledwiem się go dobudził...

— Spał?

Irena zadała to pytanie jakimś tonem dziwnym, nie swoim, jakby z piersi innéj osoby wychodzącym.

— Jak kamień, proszę pani... Jeszcze się z niego inni śmieli... bo tam ich dwóch z nim stoi... Tak sobie tam żartowali, że ten pan... pono mu Jaś... dwanaście godzin na dobę sypia... Kpili sobie, zwyczajnie jak młodzi... Ten pan zapytał mię od kogo ta posyłka, ale ja nie wiedziałem, takem tylko powiedział, z jakiego, niby, hotelu...

— Dobrze, możesz odejść — rzekła Irena, kładąc mu w rękę wziętą spiesznie z komody monetę.

Jak wiatr jesienny porywa zeschły liść, tak duszę Ireny porwała wczorajsza, niewytłómaczona, dumna obraza. On spał, mógł spać dwanaście godzin na dobę, gdy ona!.. Była w jego życiu krótkim snem paru wakacyjnych miesięcy! I już wszystko w jego sercu było zapomniane! Może gonił już za jakąś gryzetką, która go na ulicy zaczepiała zalotnym wzrokiem; może to samo spojrzenie, które w Mirsku miał tylko dla Ireny, dostawało się teraz pierwszéj lepszéj modelce? Duma jéj, ugięta bólem, odskoczyła teraz, jak uwolniona od naciśnięcia sprężyna. Stała w całéj swéj sile, panując nad innemi uczuciami. Irenę ogarnęła nagła, nieprzeparta chęć ucieczki. Zadzwoniła i kazała podać rachunek hotelowy. Postanowiła wrócić do Warszawy. Potém, niezdolna do spokojnego oczekiwania, chodziła po pokoju, gryząc się wstydem i bólem na myśl o swéj wyprawie po jeden wybuch śmiechu Jana i po szczegół o jego żadném przykrém wspomnieniem niezamąconych nocach.

Zapukano do drzwi. Spodziewała się, że przychodzi służący z rachunkiem, a znalazła się wobec Jana.

Spostrzegłszy ją, młodzieniec stanął, jak przykuty do ziemi. Usta mu zbladły, zdołał wszakże wyjąkać:

— Nie wiedziałem... nie spodziewałem się... myślałem, że ktoś z Warszawy... chciałem podziękować...

Była jeszcze upojona dumą, rzekła więc zimno:

— Mojéj pannie służącéj należy się podziękowanie... może pan je złożyć pod numerem 16-tym...

Na widok ukłonu, którym ją żegnał przed odejściem, serce ścisnęło jéj się nagle.

— Widzę jakiś list w ręku pana — rzekła, siląc się na oziębłość — pewno do rodziców... proszę go tu zostawić... dziś wyjeżdżam do Warszawy i oddam go... Poznałam matkę i siostry pana...

Jan spłonął rumieńcem. Nie mógł się oprzéć uczuciu wstydu na myśl o brudném rodzicielskiém mieszkaniu, w porównaniu z apartamentami w Mirsku. Otrząsnął się jednak zaraz i, z odcieniem ironii w głosie, zapytał:

— Jak mogło przyjść do znajomości między panią a biednemi szwaczkami?

Serce Ireny zalała gorycz i ból. On pytał, co ją do sióstr jego zbliżyło! Ani się domyślał, ani przypuszczał, że ona miała raz ochotę ucałować spracowaną rękę jego matki!

— Poznałam je... mieszkałam w tym samym domu...

Usiadła, wskazując krzesło Janowi.

— Nie będę zabierał czasu pani — rzekł młodzieniec, stojąc ciągle — nie byłbym przyszedł, gdybym był wiedział... zresztą to prosta pomyłka... Podziękowania moje zaniosę pod wskazany mi łaskawie przez panią numer...

— Panie Janie!

Była w mimowolnym tym wykrzykniku taka skarga, taka nieprzytomność boleści, że Jan oniemiał. Pod wznoszącym się ku niemu wzrokiem Ireny twarz jego zmieniła się nagle. Był w niéj znowu ten wyraz wierności, zupełnego oddania się, miękkości i błagania, którego zapomnieć nie mogła. Prześliczne oczy chłopca zwilżyły dwie błąkające się łzy.

— Życzę pani szczęścia! — zawołał — i jemu życzę, by go pani uszczęśliwić mogła!

Chwycił kapelusz i wybiegł śpiesznie, pomimo, że z ust Ireny wyrwał się krzyk: „zostań!“, który ją zabolał aż do głębi duszy.

Miała takie uczucie, jakby znikła z przed jéj oczu wszelka radość, wszelkie szczęście, wszelkie światło życia. Pozostała taka pustka, taka ciemnia!.. Nic wkoło i tylko taki ucisk serca, jakby je przywalił kamień grobowy.

Przesunęła ręką po oczach, jak człowiek zbudzony z roskosznego snu. Rzeczywistość przedstawiła jéj się w osobie szwajcara hotelowego, przynoszącego rachunek. Oświadczył on, że trzeba się było spieszyć, by trafić na pociąg. Irena zrozumiała tylko potrzebę pośpiechu. Dogadzał on w téj chwili jéj myślom w popłochu, jéj wewnętrznemu niepokojowi. Nie wiedziała wcale, dlaczego się śpieszy, gdzie ma jechać, tylko potrzebowała gdzieś biedz, zmienić miejsce pobytu, szukać w zewnętrznym ruchu złagodzenia dla wewnętrznego wzburzenia.

— Prędko, Emilio! — wołała niecierpliwie. — Możemy się spóźnić!.. cóż będzie, jeżeli się spóźnimy?

Sama, nawpół przytomna, zbierała swe rzeczy, kładła kapelusz drżącemi rękami, rozglądała się po kątach, czy czego nie zostawiła, podniosła, jak drogocenne skarby, parę szpilek, leżących na ziemi, i guziczek od rękawiczki, który wręczyła Emilii z takiém przeświadczeniem o ważności swego odkrycia, jak gdyby guzik był co najmniéj listem żelaznym.

Gdy po drugim dzwonku znalazła się cała zdyszana w wagonie, doznała uczucia ulgi i zadowolenia. Wydało jéj się, że jakąś przeszkodę zwyciężyła, że coś zdobyła, że zyskała jakąś zasługę. Dopiero ruch pociągu ją wytrzeźwił. Poco i gdzie jechała? Dlaczego się tak spieszyła? Od czego uciekała? Opanowało ją wielkie przygnębienie wobec téj nicości, która ją znowu otoczyła. Czuła, że oczy jéj postra-

dały jakąś światłość, serce jakąś pociechę, że to wszystko pozostało za nią i że ona uciekała, jakby nagle opanowana szałem. Dostrzegła jednak coś jasnego w duszy. Jan ją kochał! Może to była miłość dziecinna, słaba, marzycielska, nie odbierająca snu i spokoju, nie wkorzeniona w sam rdzeń istoty, nie pożerająca mózgu, nie wyparająca nerwów, nie ogarniająca wszystkiego, na co patrzał, powietrza, którém oddychał, nie będąca jedyną nadzieją, wyłączną, samotną, nieodstępną myślą... może ją kochał, jak poeta w godzinach natchnienia, jak muzyk w chwilach spływającéj do jego ucha tęsknéj pieśni, jak samotny wśród obcego miasta dzieciak, przez minutę przed zaśnięciem wybiegający myślą ku rodzinnym stronom, jak malarz, noszący w duszy wspomnienie, od którego oczekuje pomysłu do wielkiego dzieła. Ona wiedziała, że to wszystko nie warte téj wielkiéj, do szpiku kości przejmującéj, namiętności, na którą ani poetą, ani malarzem, ani muzykiem być nie trzeba, tylko trzeba być człowiekiem, dojrzałym, do środka życia, do jego pełni doszłym człowiekiem... nie chłopcem, lecz mężczyzną, nie dziewczynką, lecz kobietą. Wiedziała to, czuła, posiadała wszystkie intuicye kochającéj kobiety, całe doświadczenie istoty, wzbudzającéj miłość, uwielbienie, zachwyt, wszędzie, gdzie na swéj drodze spotkała mężczyznę. Uśmiechnęła się boleśnie na myśl, że przez tyle lat igrała z ogniem, rzucała go sercom innych ludzi, aż oto sama stała w płomieniach i czuła, że nie było ratunku, że ogarnęły ją całą i nic jéj od nich wybawić nie zdoła. Zamknęła oczy, bo wiedziała, że pod powiekami znajdzie obraz żywy tego spojrzenia, tego błagalnego wyrazu wierności i zupełnego oddania się na łaskę i niełaskę, które jéj rzucił Jan przez jedno mgnienie oka, póki sobie nie przypomniał, że była narzeczoną.

Narzeczoną? Śmieszną i bez żadnéj podstawy wydała jéj się w téj chwili myśl, że ona żoną Eugeniusza zostać chciała. To był jakiś fałsz, jakieś kłamstwo, które nawet nie było bolesne, bo było śmieszne! Jakie śmieszne, wobec tego przeświadczenia, że Jan ją kochał. Tak, dziecko to ją kochało i mogła z jego życiem uczynić, co zechce. Jak tego już wypróbowała w Mirsku, jedno jéj słowo było dla Jana rozkazem. Wystarczyło-by powiedzieć mu, że z Eugeniuszem zerwała... znalazł-by się u jéj kolan i znowu wróciła-by dla nich taka chwila, jak w Mirsku, w salonie lipowym... Cała ta epoka męki była-by zapomniana, wyrzucona z jéj życia... była-by senną zmorą, bez związku z przeszłością i przyszłością, nawiązanemi nagle jednym pocałunkiem...

Była bardzo zmęczona bezsennością i cierpieniem dni ostatnich, marzenie jéj więc nosiło w téj chwili cechę jakiegoś słodkiego osłabienia, jakiegoś nawpół przytomnego omdlewania, którego doświad-

czała nieraz w Mirsku, gdy czuła wymowne spojrzenie Jana na sobie. I teraz widziała jego oczy, w których niewinność dziecka łączyła się z błagalną prośbą mężczyzny, i było jéj tak dobrze z głową wspartą o poduszki wagonu, jak może nigdy dotąd w życiu. Usnęła.

Dopiero zatrzymanie się pociągu na stacyi obudziło ją. Stanęła w oknie i, trochę jeszcze rozespana, uśmiechnęła się do dziewczynki z koszem owoców w ręku, podnoszącéj niebieskie oczy ku oknom wagonów. Rzuciła dziecku jakąś monetę. Potrzebowała sprawić radość jakiejś istocie ludzkiéj i widzieć uśmiech szczęścia.

— To mię Cesia tego nauczyła! — pomyślała i nagle tkliwą myślą objęła szczupłą, jasną postać siostry, która w téj chwili czémś anielskiém jéj się wydała. Chciała-by ją była uściskać. Nadzieja szczęścia, która w marzeniu do duszy jéj zstąpiła, obudziła w niéj znowu, jak w początkach nieświadoméj jeszcze siebie miłości dla Jana, potrzebę uszczęśliwiania, obdarowywania, kochania wszystkich. Krajobraz, słoneczna jesienna pogoda, ludzkie twarze, wszystko wydało jéj się piękném, wesołém i godném interesu. Życie było taką dobrą rzeczą!

Droga ta z Krakowa do Warszawy, wśród któréj odsypiała trudy i męki swoje, a w chwilach budzenia się na stacyach marzyła jak szesnastoletnia narzeczona, była czémś niezmiernie przyjemném, co przeszło jak sen.

Już na stacyi Warszawa sen się rozwiał. Ruch, natłok, pośpiech publiczności, bieganie posługaczów, wołania konduktorów hotelowych karet i omnibusów, zrobiły na niéj wrażenie przygnębiające. Przechodziła wśród tłumu, dotknięta myślą, że taki zamęt to był obraz życia. Potrącały się i mieszały rozmaite sprawy, a wszędzie tylko interes osobisty był prawem. Walka o grosz, walka o szczęście, walka o spokój!..

Spokój! Czy jest walka, która go zdobyć może?

Wzięła powóz, zostawiając Emilię z rzeczami na dworcu.

Józefa zdziwiła się mocno, widząc wracającą Irenę, lecz zdziwienia swego nie okazała. Od jakiegoś czasu posądzała Irenę o melancholię, czy jakąś inną psychozę, i nie chciała żadnemi uwagami jéj rozdrażniać. Wieczorem ozwała się:

— Zdaje mi się, że nasza praca ma się ku końcowi. Bielizna popakowana już w kufry, srebro obstalowane, suknie dziś mają być odesłane. Chciała-bym już bardzo wrócić do Mirska. Cesia mi pisze, że panuje tam dyfteryt... jestem niespokojna...

— Niéma tam dzieci w domu — rzekła Irena — a to choroba przeważnie dziecinna. Jak to dobrze, że Wacio wyjechał... Amelka miała widocznie przeczucie...

— Ale twoja matka tam sama jedna z Cesią. Wszystko ją martwi, wszystko dotyka...

— Ah, tyle osób wkoło! Dwie nauczycielki, Plewaczek...

— To są obcy ludzie, a ona tak potrzebuje wsparcia serdecznego, wypowiedzenia swych trosk, wyspowiadania obaw przed osobą przyjazną...

— Więc ma Cesię.

— O, Cesia!.. Ja wiem, że to promień słońca!.. ale matka się boi zasmucać téj młodości... chowa łzy przed nią... uśmiecha się do niéj, choć się niepokoi w duszy.

— Kiedy bo właściwie mama nie ma powodu do zmartwienia.

— Ma usposobienie smutne... wszędzie widzi coś groźnego... Strata dzieci zostawiła jéj w sercu wieczną trwogę...

— Niech pani wraca do Mirska... ja tu zostanę jeszcze. Teraz Warszawa pusta... znajomi wszyscy na wsi... domu tu nie prowadzę... mogę zostać sama... już w moim wieku...

Głos jéj zadrżał nieco przy ostatnich słowach. Jéj wiek, to było teraz widmo, stojące między nią a szczęściem. Z dumnéj, pysznéj i ambitnéj pani zostały jéj tylko chwilowe porywy, jakby odruchy bezwiedne uczuć, podkopanych i obumierających. Jeszcze czasem na myśl, coby powiedziała ciotka Drahomirska, coby powiedziała księżna Swirska, coby powiedział świat, chwytały ją za gardło jakieś niewidzialne szpony; zbuntowana, choć już tylko jedném skrzydłem bijąca, duma, z przyzwyczajenia podnosiła głowę, miłość wszakże już ją była zmogła i stała jedna tylko, samotna i wielka, w duszy Ireny, podeptawszy wszystko, czém dusza ta dotąd żyła. Wszystko, co do niéj wniosło wychowanie, otoczenie, przyzwyczajenia, świat, tradycya, wszystko leżało powalone na zawsze. Ale była między nią a Janem ręka Boża — jéj wiek!

Teraz, gdy już minęło straszne zmęczenie, gdy już ruch wagonu nie kołysał jéj do marzeń, czuła i widziała wszystko przytomnie, z jasnością i dokładnością ludzi odważnych i śmiałych wobec niebezpieczeństwa.

Ten chłopiec, oddający jéj swoje życie, swoją przyszłość, swoje szczęście, całego siebie w jedném spojrzeniu, był niedoświadczoném dzieckiem, w którém wraz z lekkim puszkiem, zarysowującym przyszłe wąsy, zrodziło się uczucie, jak się rodzi jutrzenka przyszłego skwarnego południa. Czy ona, którą już to południe objęło wszystkiemi swemi promieniami, miała prawo do łona swego przytulić ten kwiat, rozchylający zaledwie listki? Dawała ona miłość bez miary, ale taka miłość w jéj sercu, wykarmioném dumą, musiała miéć swoje wymagania, swoje despotyzmy, swoje piekło nieufności i zazdrości.

Czy więc mogła, czy miała prawo? Wiedziała, że potrzebowała tylko zawołać, by przyszedł, że byłby w jéj ręku powolnym, jak dziecię... Ale co-by ona zrobiła z jego życiem? Czy potrafiła-by mu usłać drogę wdziękiem, zaufaniem, nadziejami i weselem młodości? A za lat dziesięć, za lat piętnaście?..

Ale piętnaście lat szczęścia, to dosyć dla jednego życia, a ona, kochając, potrafiła-by wybranego uczynić szczęśliwym bez miary! Potrafiła-by pozostać dla niego młodą... szczęście daje i młodość, i nadzieję, i wesele! Wreszcie godzina prawdziwéj szczęśliwości więcéj warta, niż całe lata obojętnego wegetowania!

Przebyła znowu noc bezsenną. Nie kładła się nawet; czuła się taką wyspaną, taką silną! Miała na twarzy gorące rumieńce i zdawało jéj się, że ani sen, ani wypoczynek, potrzebne jéj nie są.

Zapaliła kandelabry na konsoli wielkiego lustra i spojrzała na odbitą swą postać. Była piękną, pełną siły i wdzięku, kochała i miała prawo do szczęścia!

A więc po to szczęście wyciągnie ramiona! Zawoła, a on przyjdzie!.. upadnie do jéj nóg pełen wdzięczności! Ona jego życie otoczy miłością, dostatkiem... otworzy dla niego wszystkie bramy sławy... potrafi być dla niego nietylko kochanką, nietylko żoną, ale kapłanką sztuki... natchnieniem... wcieleniem ideału!

Chce być szczęśliwą! Będzie nią! I choćby to szczęście miało trwać krótko, choćby je potém okupić miała cierpieniem, napije się z kielicha podzielonéj miłości, bo jest tylko to jedno szczęście na ziemi! Reszta: zadowolenie próżności, starożytne pałace, historyczne nazwiska, podziw świata, to marny proch, to nędza wobec tego światła, téj wielkości, téj potęgi! Napije się!.. spragnionych, spieczonych ust nie oderwie od czary, która dla niéj stoi pełna po brzegi... bo taką przygotowała ręka Boża dla każdego i tylko marne względy świata i ustaw ludzkich mogą zostawiać czary niespełnione.

Siadła przy biurku i napisała:

„Nie zerwałam jeszcze z panem Eugeniuszem, bo nie wiem, gdzie się znajduje w téj chwili, ale zerwała już z nim moja wola, moje przekonanie; serce nigdy bliskiém go nie było. Zostając jego narzeczoną, chciałam zadać kłam uczuciom, wydającym mi się szaleństwem, teraz jednak widzę, że jest tylko jedno szaleństwo na świecie — postępowanie wbrew sercu; jedno prawo — postępowanie za natchnieniem serca. Zatrzymam się w Warszawie tylko do chwili przyjazdu pana Eugeniusza, bo winnam mu całą nagą prawdę. Potém przyjadę do Krakowa dać panu dowód, że nie wszystkie kobiety oślepia złoto, próżność i bańka honorów.“ *Irena Solska.*

Po napisaniu tego listu zstąpiła na nią jakaś spokojna szczęśliwość. Rozebrała się, położyła się do łóżka i zasnęła. Obudziwszy się późnym rankiem, zadzwoniła na służącą, kazała rozsunąć firanki i wzrokiem pobiegła ku zaklejonéj kopercie, leżącéj na stoliku. Uśmiechnęła się do niéj. W téj kopercie leżało jéj szczęście.

Podczas gdy służąca układała jéj włosy i podawała suknię, list z adresem Jana nie opuszczał jéj. Leżał na toalecie pod jéj okiem, jakby był rzeczą, uciec, lub ulotnić się mogącą. Wzięła go z sobą do stołowego pokoju i położyła na serwecie przy swém nakryciu. Przyjęła podaną sobie herbatę, myśląc, jak zaraz po jéj spożyciu ubierze się do wyjścia i sama, własnoręcznie, wrzuci list do skrzynki. Odpowiadała półsłówkami Józefie, zajętéj sprawą znaków na stołowéj bieliźnie:

— Dobrze... jak pani chce... bardzo dobrze.

Myślą goniła słowa, napisane do Jana, jakby już były w drodze do niego. Przebędą wszystkie stacye, dzielące Kraków od Warszawy, jedna po drugiéj, i za każdą będą bliżéj celu, bliżéj chwili, w któréj odbierze je Jan. Czy tylko listonosz zastanie go w domu? czy może kilka jeszcze godzin list przeleży na stole?.. Jan znał jéj pismo... zabije mu serce na widok adresu...

W téj chwili do pokoju wszedł stary Jędrzéj.

— Jędrzéj! — zawołała zdziwiona Irena. — Cóż tam słychać w Mirsku? Po co Jędrzéj przyjechał?

Jędrzéj popatrzał przez chwilę na Irenę, która mu się wydała mizerną i zeszczuplałą, potém rzekł niepewnym głosem, jąkając się i zacinając trochę:

— Takem przyjechał... do syna... teraz mało osób w domu, niéma co robić... poprosiłem... jaśnie pani uwolniła mię na parę dni...

— Wszyscy tam zdrowi?

— Zdrowi. Tylko panienka Cesia jakoś nam trochę od wczoraj niedomaga... nie daje się, tai przed panią...

— Cesia chora?

— Chodziło to po chałupach... pani nie broniła, i ja sam myślałem, że Matka Boska i Ś-ty Dominik oddalą wszystko złe, choć ludzie u nas teraz na te gardła chorują... Ale, jakem zobaczył, że panienka rozpalona i puder sypie na twarz, żeby pani nie widziała, że od niéj gorączka aż bucha, takem sobie pomyślał, że tam trzeba kogoś, coby miał przytomną głowę. Przyjechałem po pannę Józefę, ale kiedy pani nie w Wiedniu, to tém lepiéj. Tam może trza będzie ratunku... takem poprosił... niby do syna...

Irena zerwała się, wołając:

— Jadę w téj chwili!

Poczuła się ugodzoną w samo serce. Nie wiedziała, że kocha siostrę tak gorąco, że mała Cesia i do jéj piersi zakradła się była tak głęboko.

Józefa stała z załamanemi rękami.

— Niech pani będzie na stacyi w godzinie odejścia pociągu! — zawołała Irena — zabiorę z sobą lekarza... sama pojadę po niego!..

Z przytomnością, którą zawsze odznaczała się w chwilach niebezpieczeństwa, ubrała się śpiesznie do wyjścia, list do Jana schowała do kieszeni, kazała Jędrzejowi uprzedzić Emilię i, wsiadłszy do dorożki, kazała wieźć się do mieszkania najbardziéj w Warszawie wziętego lekarza, którego adres pamiętała. Nie znalazłszy go w domu, pojechała za nim do szpitala, w którym znajdował się w téj chwili. Wysłuchawszy, o co chodziło, zgodził się jechać. Szesnastoletnie życie warto było ratować. A może tam ratunku nie było potrzeba? Ludzie, mogący sobie pozwolić na ten zbytek, by miéć przy swoim chorym wziętego lekarza, wzywają go za lada katarem.

— Niech pan będzie pewien — zawołała Irena — że skoro to dziecko dało poznać po sobie, że jest chore, to musi być chore na prawdę!

Gdy Irena, wysiadłszy z powozu i nie zdjąwszy nawet z siebie wierzchniego ubrania, wbiegła do pokoju Cesi, dziewczę rozpalone, z błyszczącemi oczami, z jasnemi włosami w nieładzie, tworzącemi niby złotą światłość wkoło jéj głowy, leżało na białych poduszkach posłania. Irena rzuciła się ku siostrze, obejmując wątłą jéj postać i całując gorące policzki.

— Irenka! — zawołała Cesia. — O, co za szczęście!.. takem chciała cię zobaczyć!.. Jak to dobrze, że już wróciłaś!

— Dowiedziałam się żeś chora... powiedział mi Jędrzéj... jeździł do syna...

— I przyjechałaś dla mnie?

— Dla ciebie, kochanie, tylko dla ciebie!

— O, jakaś ty dobra!

Zarzuciła ręce na szyję siostry, lecz zaraz odepchnęła ją od siebie.

— Odsuń się, Irenko — rzekła — bo widzisz...

Spojrzała na siedzącą przy jéj łóżku matkę i oczami dopowiedziała Irenie, że się bała ją zarazić.

— Przywiozłam ci Borawieckiego — mówiła Irena, pieszcząc jéj rozpalone, malutkie rączki, których kształt tak zachwycał Jana, —

To taki mój kaprys, bo kiedy Jędrzéj wyjeżdżał, nie byłaś jeszcze w łóżku... ale chcę, żeby gardło mojéj siostrzyczki wziął w opiekę najpierwszy w stolicy lekarz.

— Był już doktor — rzekła pani Solska — zapisał lekarstwo i odjechał, bo ma innych chorych, ale na noc powróci. Dziękuję ci jednak, Irenko, żeś przywiozła Borawieckiego... Będę spokojniejsza, choć Moskowicz zapewnia, że choroba ma charakter zupełnie łagodny. Ale gdzież jest Borawiecki?

— Poszedł się przebrać i umyć... wyjechał wprost z jakiéjś wizyty u chorego... nie miał czasu wstąpić do domu, wyjeżdżając. Służący przywiózł mu tylko rzeczy na stacyę... Ale-by trzeba pomyśléć o jakiém jedzeniu dla niego.

Pani Solska wyszła. Siostry zostały same.

— Teraz już jestem spokojna — ozwała się Irena — ale nie uwierzysz, z jaką trwogą tu jechałam. Zrobiłam się teraz prawie tak nerwową, jak Amelka...

— Byłaś u niéj w Wiedniu?

— Nie. Dojechałam tylko do Krakowa i wróciłam. Taka ze mnie dziwaczka...

Uśmiechnęła się. Na wspomnienie Krakowa stanął jéj przed oczami Jan, w chwili, gdy mu się wyraz twarzy tak nagle zmienił pod jéj wzrokiem. W kieszeni czuła list, który niósł w sobie losy dwojga ludzi, a którego w swym niepokoju o Cesię nie wrzuciła do skrzynki.

— Wiesz? — ozwała się, ciągle z uśmiechem — w Krakowie widziałam Jana Wielewicza.

Przy tych słowach serce jéj zabiło gwałtownie, było jéj jednak słodko wymówić imię, którego dotąd wytrwale w rozmowach unikała.

Borawiecki z panią Solską wchodzili do pokoju.

— A tak, — mówił w progu lekarz — byłem w dzieciństwie sławnym marudą i nudziarzem, ale się ludziom zachciało okrzyczéć mię uczonym człowiekiem... rozległa praktyka nauczyła mię pośpiechu... Ubieram się w pięć minut... Zresztą chora czekać nie może... Więc pani mówi, że chodziła do chorych... że się prawdopodobnie zaraziła... że niéma wątpliwości, iż chorobą panującą tu jest dyfteryt...

Zbliżył się do łóżka Cesi, wypytał o początek choroby, o pierwsze symptomata, potém obejrzał staranuie gardło, powtarzając: *tak... dobrze... tak...*

Obejrzał recepty, kazał przynieść lodu, posłać do apteki z receptą własną, zapędzlował gardło, wreszcie usiadł przy łóżku Cesi, patrząc na dziewczę okiem, w którém nic wyczytać nie było można.

— Tak — mówił tonem żartobliwym i dobrotliwym zarazem — leczenie i pielęgnowanie chorych trzeba zostawić takim starym nudziarzom, jak ja. Młode panienki, wraz z motylami, powinny sobie bujać w słońcu, bawić się, śmiać się, biegać, a nie zaglądać do chat i domów, gdzie weszła choroba. Za to potém muszą leżéć w łóżku, znosić różne tortury, jak płókanie, pędzlowanie...

Cesia patrzała na lekarza błyszczącemi od gorączki oczami. z tym uśmiechem na ustach, który jéj jednał serca.

— Leżéć w łóżku to nie kara — rzekła z niejakim wysiłkiem. bo miała rozdrażnione gardło i bała się kaszlać — ale kara robić kłopot i zmartwienie innym... Dziękuję, że pan przyjechał... mama teraz będzie zupełnie spokojna... pan jéj powie, że to taka lekka choroba... jeszcze przy takich wygodach... przy takiém staraniu Ludzie biedni, to co innego... Ja pana poproszę... pan pójdzie do dzieci Tkaczykowéj... Bardzo pana proszę!..

Oczy jéj prosiły jeszcze wymowniéj, niż słowa. Po twarzy lekarza przemknął nagle cień smutku, cień wielkiéj jakiejś przykrości. Spuścił oczy przed wzrokiem Cesi.

Po chwili dopiero rzekł spokojnie do Ireny:

— Panią poproszę, to mi pani wskaże przewodnika do dzieci Tkaczykowéj. Pójdę tam zaraz.

Cesia mimowolnym ruchem wyciągnęła do lekarza rękę, którą on wziął i przez chwilę przyglądał się arcydziełu, jakiém była. Dotykał palców, układając w zamyśleniu na własnéj, dużéj dłoni, małą. drżącą od gorączkowych dreszczów, rączynę. Potém spojrzał jeszcze w uśmiechniętą łagodnie twarz Cesi.

— To ta rączka niesie pomoc chorym dzieciom wioski? — zapytał — na ich miejscu nie chciałbym patrzéć potém na niczyją pomocną dłoń. Boję się, że mię chorzy z chaty wypędzą.

Spojrzał znacząco na Irenę i wyszedł z nią do drugiego pokoju, gdzie, wziąwszy ją za rękę, prowadził daléj, jakby szukając jakiegoś ciasnego kąta, gdzieby mógł coś strasznego ukryć. Irenę przebiegł dreszcz okrutnego przeczucia. Patrzała na lekarza rozszerzonemi źrenicami, oczekując z trwogą.

— Zdaje mi się — rzekł lekarz — że pani ze wszystkich ma tu najwięcéj siły, przytomności i energii.

— Niech pan mówi prędzéj! — zawołała głucho Irena.

— To dziecię... ma się bardzo źle!

— Cesia?

— Tak, nie widzę dla niéj ratunku...

Irena wydała jęk przytłumiony, jakby została śmiertelnie w piers. ugodzona.

— Niéma ratunku? — spytała, łamiąc ręce.

Potém zawołała z rozpaczą, z trwogą, zbuntowana przeciw wyrokom Bożym i sądom lekarskim:

— To być nie może! Przecie ona jeszcze pełna sił!.. zupełnie przytomna... ratunek nie był spóźniony... sama nie czuje się źle!..

— Są choroby, w których...

— A więc ją ratuj. Masz naukę!.. sławę, doświadczenie! Bierz całe nasze mienie, a ratuj ją!

Lekarz uśmiechnął się, smutnie kiwając głową.

— Ratuj ją — mówiła Irena, któréj głos popędliwy przeszedł teraz w błaganie — to jest anioł... to nasza radość... to słońce naszego domu... największa miłość matki... Jeżeli ona...

Wyraz *umrze* zamarł na ustach Ireny. Nie miała siły go wymówić. Zakryła oczy rękami, jakby przed sobą zobaczyła straszne jakieś widmo!

— Dla niéj Bóg powinien uczynić cud! — zawołała nagle, ręce od oczu odrywając — dla niéj musi uczynić cud!

— Pragnę się mylić — rzekł lekarz, widocznie wzruszony — pragnę się mylić! Niech się pani uspokoi!.. nie trzeba choréj pokazywać rozpaczy... musi być wrażliwa... Pójdę teraz do dzieci Tkaczykowéj, żeby potém jéj nie odstępować... Niech pani tam wróci... lada co obudza czasem podejrzliwość chorego.

— Nie mogę, nie mogę teraz tam wrócić — mówiła Irena ze łkaniem w głosie. — Jakże tu ukrywać... jakże tu udawać!..

— Musiałem komuś z rodziny... może państwo zechcą wezwać drugiego lekarza... nie mogłem zataić... Zdaje mi się, że pani Solskiéj powiedzieć nie można; nie ma dość siły, by przed chorą ukryć była zdolna... Ah, lekarz musi sobie wyrobić serce ze stali!

Wyszedł. Irena padła na krzesło nawpół przytomna. Cesia, to dziecię, które dopiero w ostatnich czasach znać i kochać się nauczyła, ta młoda przyszłość, ta nadzieja, za dni parę, może za godzin kilka...

Głuchy jęk wyrwał się z jéj piersi. Zasłyszała go matka, wchodząca niespodzianie do pokoju. Twarz pani Solskiéj przybrała nagle wyraz takiéj śmiertelnéj trwogi, takiego przerażenia bezgranicznego, że Irena, ze zwykłą przytomnością umysłu, przychodzącą jéj w ciężkich chwilach, uspokoiła się i cała jéj odwaga wróciła nagle.

Matka rozglądała się po pokoju. W myśli jéj przemknęły wszystkie straszne wspomnienia. Ujrzała twarzyczki swych synów, leżących teraz we wspaniałym rodzinnym grobie Solskich, i jakieś przeczucie bez nazwy, ale pełne grozy, napełniło jéj piersi.

— Gdzie Borawiecki? — zawołała, jakby chwytając się nieprzytomnie najbliższego ratunku.

— Poszedł do dzieci Tkaczykowéj — odparła spokojnie Irena. — Ci wielcy doktorowie... w wiecznym pośpiechu... zapewne będzie chciał zaraz jechać...

Pani Solska spojrzała na córkę, jak człowiek niedowierzający, przestraszony jeszcze widmem niebezpieczeństwa, które istnieć przestało.

— Będę go prosić — mówiła daléj spokojnie Irena — by poczekał do przybycia naszego lekarza z miasteczka. Chciała-bym, by się porozumieli... by Borawiecki swoje zapatrywanie się na chorobę mu powiedział... wszak Moskowicz ma przyjechać na noc?

— Tak, ma tu noc przebyć... obiecał mi to... On naprawdę nie widzi żadnego niebezpieczeństwa... Zaklęłam go na wszystko, co ma najdroższego...

— I Borawiecki także... nie mówi o niebezpieczeństwie... Cesia będzie kontenta, że jéj wioskowi pacyenci będą mieli słynnego lekarza... Chodźmy do niéj, mamo!

Głos jéj zadrżał. W myśli dodała: „chodźmy do niéj, bo niedługo już...“

— Nie czuje się dziś gorzéj... i ja nie widzę, by było gorzéj — mówiła matka, patrząc ciągle w oczy Ireny, z wyrazem żebrzącym słów uspakajających mimowolną trwogę i złe przeczucia.

— Ale ja zawsze miewam złe przeczucia — myślała biedna kobieta — zawsze, wszędzie widzę nieszczęścia... wszystko widzę czarno... Tyle razy złe przeczucia moje nie sprawdziły się...

Cesia ku wchodzącéj, spokojnéj i uśmiechniętéj Irenie, skinęła ręką.

— Moja droga — rzekła — zapytaj, czy pamiętano o grogu dla wuja Seweryna... Jędrzeja nie było... i mnie nie było... inni zapomnieli pewno...

— Dobrze, kochanie.

— I jeszcze jedno... przepraszam, że cię nudzę... tam musi być w kuchni rosół dla staréj Szabiny...

— Dobrze, idę zaraz.

Irena wyszła. Spokojnie dążyła ku kredensowi dla wydania rozkazów. Przechodząc przez stołowy pokój, spojrzała nagle na miejsce przy stole, na którém zwykle siadała Cesia, i łkanie gwałtowne, jak potok zrywający tamę, chwyciło jéj piersi, jéj gardło, zatrzęsło całém ciałem. Ukryła się na chwilę za grubą firankę okna, potém wysiłkiem woli opanowała rozpacz i służącym przypomniała grog Zubeckiego i rosół staréj Szabiny. Wróciła do Cesi.

— Taki kurz na drodze — mówiła obcierając oczy — nie uwierzysz, cośmy się kurzu nałykali... mam go jeszcze pełno pod powiekami... powozy i fury jadące podnoszą go tumanami... Dobrze że Borawiecki poszedł piechotą na wieś... wiesz, włosy miał czarne z białem pod czapką, a od miejsca, gdzie się czapka kończy, były zupełnie popielate...

— Zdaje mi się, że tam dwoje dzieci bardzo źle się ma... Doktor mi mówił... widzisz... jak błony przejdą w krtań, zaczyna się kaszel chrapliwy, piejący, i wtedy jest niedobrze. Józio i Kasia u Tkaczykowéj zaczynali kaszlać...

— Ee... nasz doktorzyna! On może nie ma dla takich chorych ratunku, ale Borawiecki... Zobaczysz, i Józio, i Kasia niezadługo rydze do dworu przyniosą... Jadąc, zdaje mi się, że już widziałam czerwonego rydza... Takie doskonałe te rydze, a jednocześnie tak niemile uderzają... taka to już jesień, gdy się nareszcie z ziemi wydostać ośmielają.

— A, to dobrze, że już są. To ulubiona potrawa cioci Józi... i wuj Seweryn bardzo je lubi... pamiętaj Irenko...

— Dobrze, dobrze, poślę do lasu... może choć dla wuja kilka ich przyniosą.

— Tak-bym chciała namówić mamę, by się trochę położyła... Mateczko, teraz, kiedy jest Irenka, to już jest przy mnie bezpieczeństwo... idź, mateczko, może zaśniesz... Téj nocy już taka będę zdrowa, że wszyscy spać się położą...

W téj chwili Cesia zakaszlała nagle ostro, sucho, wciągając powietrze z wysiłkiem. Było w tym kaszlu coś ze szczekania psa, coś z piania koguta.

Spojrzała na Irenę pytająco, z przestrachem. Potém, patrząc na matkę, z uśmiechem rzekła:

— To zupełnie inny kaszel mój, a tych dzieci... to zupełnie co innego...

Pani Solska zaniepokoiła się, blada jéj twarz zapałała nagle rumieńcem, potém zbladła mocniéj jeszcze. Irena, któréj serce, za każdém zakaszlaniem Cesi, przenikało jakby ostrze sztyletu, pozostała spokojna.

— Pójdę się trochę położyć — rzekła matka, chcąca z trwogą swą uciec, by jéj nie pokazać Cesi.

— Mama się niepokoi — ozwało się dziewczę — widzę, że się niepokoi... Coby tu zrobić? Żebym ja mogła nie kaszlać!.. ale nie mogłam się powstrzymać...

Mówiła pokornie, jak dziecię, zasługujące na naganę.

— Kiedy w kaszlu nic niéma złego — zapewniała Irena — przecie lekarze umyślnie dają często choremu środki, by wzbudzić kaszel... wiesz, nawet mi został termin lekarski w pamięci... to się nazywa lekarstwo wykrztuśne... Pewno coś masz w miksturze...

Cesia uspokoiła się.

— Prawda — rzekła — może tam doktor przymieszał czego do téj szkaradnéj chiny. Cóż to za gorycz okropna!

— Ale zato jakie cukierki będą potém dobre!.. To tak, jak zdrowie po chorobie... Wiesz, kochanie... czasem, gdym myślała o tobie, przychodzili mi na pamięć twoi ubodzy i chorzy... a nawet twoje gołębie... Ten biały, z czubkiem, zawsze taki gderliwy mąż?.. Zawsze tak swoją gołąbkę w rygorze trzyma i reprymendy jéj daje?

— Zawsze. Często biedaczce dostanie się dobre uderzenie dziobem... a ona taka pokorna, taka cicha, taka ustępująca... Będziesz pamiętała o moich wychowańcach, pókim chora?

— Będę, kochanie.

— Mam teraz dwie pary młodych, ślicznych...

Pani Solska, wychodząc z pokoju Cesi, spotkała brata, któremu rzeczywiście zapomniano podać grogu i który, pomimo, że się obawiał zarazy, szedł do pokoju choréj, by zrobić siostrze jaką dotkliwą przykrość. Złość przemagała w nim nawet strach przed chorobą. Namiętność dokuczania była silniejszą, niż namiętny egoizm.

— Takie teraz miny wyrabiasz — ozwał się — jakbyś była ukrzyżowana, a przecie sama tego chciałaś... Cesi pozwalałaś chodzić do chorych... podobało ci się to pozowanie na matkę świętéj... teraz będziesz uszczęśliwiona, jeśli ci umrze!..

— Sewerynie!

— Będziesz pozowała na matkę takiéj świętéj, co już niebieskiéj korony doczekała...

— Miéj-że choć teraz litość nade mną!

— Bo ona ci umrze!..

Pani Solska wydała krzyk trwogi, który był jednocześnie jękiem boleści, i głowę ująwszy w dłonie, uciekła od okrutnego brata.

Zubecki, uśmiechając się złośliwie i błyskając krwawą powieką, poszedł za nią, jakby się chciał napawać jéj przerażeniem. W jednym z dalszych pokoi zastał ją w objęciach Józefy. Stara panna z siłą najgłębszego przekonania szeptała jéj słowa pociechy i zapewniała o prędkiém wyzdrowieniu Cesi. Zapatrywała się zawsze optymistycznie na życie i nie podzielała obaw przyjaciółki, choć chodziło

o najdroższe dla nich obu dziecię. Zubecki nie miał też żadnych podstaw do twierdzenia, że Cesia umrze, był owszem upewniony przez Moskowicza, że choroba była bardzo lekka i wcale nie niebezpieczna, chciał tylko dotknąć siostrę do głębi duszy i radował się złośliwie, że mu się to tak dobrze udało.

Tymczasem atak kaszlu powtórzył się u Cesi.

— Irenko! — zawołała chrapliwie Cesia po jego uspokojeniu się, oglądając się, czy matki obok niéj nie było. — Irenko!..

— Co, dziecię?

— Tobie jednéj powiem... obie będziemy udawały przed mamą... widzisz, taki kaszel... Irenko, ja się boję!

Drobne jéj ciało przebiegł dreszcz trwogi, usta jéj zbielały na chwilę.

— Boję się! — powtórzyła.

Irena nie miała odwagi zapytać, czego się bała.

— Tyle miałam jeszcze do roboty... wszyscy dla mnie byli tacy dobrzy... byłam tak szczęśliwa! Irenko, Irenko!

Chciała ręce zarzucić na szyję siostry, jak dziecię, uciekające przed niebezpieczeństwem, opuściła je jednak śpiesznie.

— Nie zbliżaj się, nie dotykaj mię!.. to taka zaraźliwa choroba!.. Gdzież jest Borawiecki?.. może jest jaki ratunek!..

Patrzała na siostrę z wyrazem nieopisanéj trwogi, drżąc ciągle, jakby w febrze.

— Borawiecki wróci zaraz — rzekła Irena, klękając przy łóżku Cesi i twarz swą do jéj twarzy przysuwając.

— Nie rób tego — mówiła niespokojnie Cesia — to taka straszna choroba!..

W téj chwili weszła do pokoju pani Solska. Cesia uśmiechnęła się do niéj.

— Nasz doktor się ucieszy — mówiła z udaną swobodą. — Borawiecki, to jego profesor... wspomina go zawsze... będzie kontent, zastając go tu... będzie pewno przy Borawieckim bardzo pokorny i straci swą pełną godności minę...

Usłyszano niemiecką rozmowę, prowadzoną w przyległym pokoju. Borawiecki, który miał Plewaczka za przewodnika, powrócił był z nim ze wsi. Poczciwy Czech, nie domyślając się niebezpieczeństwa, grożącego Cesi, użalał się nad odjazdem Amelii. Brak mu było jéj despotyzmu, jéj kaprysów, jéj wymagań; żal mu było męczących nocy, które spędzał na akompaniowaniu jéj do śpiewu. „O, póki pani hrabina tu była, wcale inaczéj było w Mirsku!“ Uciążliwa służba Plewaczka, jako akompaniatora kapryśnéj kobiety, była wszakże widocznie dla niego jakimś bodźcem moralnym, bo od wyjazdu „pani

hrabiny" coraz częściéj zaglądał do kufla, zaniedbał zupełnie fortepian, praca nad odzyskaniem biegłości i swobody poszła w kąt; nie wstawał już rano i o dziesiątéj przychodził na śniadanie z zapuchłemi od snu oczami. Zrobił się ciężkim i uśmiech, rozlany na jego twarzy, był jeszcze dobroduszniejszy, jeszcze bezmyślniejszy.

Borawiecki, wychowaniec uniwersytetu niemieckiego, lubił mówić po niemiecku, tym razem wszakże półgębkiem tylko odpowiadał Plewaczkowi. Myśl jego pracowała namiętnie. Chciał z niéj wydobyć jaki genialny pomysł, który-by uratował Cesię. Powziął do dziewczęcia gorącą sympatyę, choć miał ostudzone serce ciągłym widokiem cierpienia ludzkiego. Nazywał siebie nawet żartobliwie awangardą śmierci, bo bywał często wzywany do ludzi, skazanych przez naukę a żądających od jego wiedzy i jego geniuszu cudu, którego ani wiedza, ani geniusz sprowadzić nie może. Był oswojony z widokiem łez, z widokiem młodości, padającéj jak ścięty kwiat, z wydawaniem wyroku strasznego a nieodwołalnego; tu jednak zawiodła go zimna krew, zawiodła go rzemieślnicza obojętność, zawiodła go nawet naukowa wyżyna, z któréj śmierć wydawała mu się zwyczajnym, najprostszym fizyologicznym procesem. Uśmiech i spojrzenie Cesi, jéj słodki głos, jéj rączka o skończenie pięknych liniach, błogosławieństwo Tkaczykowéj i innych wiejskich kobiet dla niéj, przypomniały Borawieckiemu dobitnie i jasno, że w wielkim uczonym, jakim był, tkwił czujący żywo człowiek. Idąc ku pokojowi Cesi, czuł, że tam na łóżku, wśród białości poduszek i bielizny, znajdowała się istota, o któréj nic nie wiedział wczoraj jeszcze, a którą teraz namiętnie pragnął wydrzeć śmierci, nie dlatego, że był sławnym lekarzem, dla którego choroba była jakąś bezcielesną i bezosobową rzeczą, którą śledził, tropił i zniszczyć pragnął, z tą żądzą uczonego, dla którego stosowanie wiedzy i walka jéj bronią jest namiętnością; on pragnął ratować Cesię, jak ojciec pragnie ratować córkę. Wdzięk dziewczęcia opanował go i zabrał. Czuł się w jego mocy, jak gdyby dziewczyna była mu bliską. Bezsilność, którą czuł w sobie wobec strasznéj choroby, bolała go, gniewała i doprowadzała do nieznośnego niepokoju. Pocierał ręką czoło, jak człowiek pragnący zebrać rozbite, pod naciskiem zgryzoty, myśli. Dopiero przy łóżku Cesi odzyskał zupełną przytomność i pewność siebie.

Panią Solską wyprawiono do oddalonego pokoju. Obiecała Cesi, że będzie usiłowała zasnąć. Irena przyrzekła jéj, że choréj nie odstąpi ani na chwilę, że będzie ją pielęgnowała, jak matka.

Czuła w istocie w piersi rozrost macierzyńskich uczuć dla dziewczęcia. Ten wątły, jasny kształt, z rozsypanym na poduszce włosem, był jéj czémś drogiém, o co gotowa była stanąć do walki,

oddając krew własną. Nie wiedziała do téj chwili, że tak bardzo kochała siostrę, że i ona, która dotąd nie chciała stworzyć sobie rodziny, nosiła w sercu miłość macierzyńską. Chwilami porywała ją ochota wziąć Cesię w objęcia, jak dziecię, przytulić ją do piersi tak silnie, by nikt, nawet sama śmierć, wydrzéć jéj skarbu nie śmiała. Udając spokój, nawet uśmiechając się do Cesi, wrzała wewnętrznie nieopisaną trwogą i rozpaczą. Nie mogła uwierzyć, by to dziecię, na które patrzała od urodzenia się jego, mogło jéj być zabraném na wieki, by to śliczne, dziewicze ciało...

Straszne widma grobowe porywały wyobraźnię Ireny. Jakto? Cesia, ten promień słońca, ta jasność rodziny i domu, miała między cztery ściany trumny... Była-by chciała rzucić się na ziemię i jęczéć, i wypłakać łzy dławiące, a musiała spokojnie mówić i uśmiechać się. Chwilami znowu przebiegało jéj umysł przygnębiające uczucie znikomości rzeczy ludzkich. Wobec śmierci, czém była osobista pogoń za szczęściem. Dla téj chwili, jaką jest życie, czy warto było tyle wysiłków, tyle pragnień? Nie była to myśl wyraźnie sformułowana, ale jakby przeczucie strasznego, uciskającego coraz bardziéj wyobraźnię pesymizmu.

Obok niego, obok rozpaczy, miotającéj jéj sercem za każdym cięższym symptomatem, za każdą skargą Cesi, Irena czuła w głębi duszy obecność miłości dla Jana i list, ciągle jeszcze w swéj kieszeni ukryty. Nie myślała o Wielewiczu wyraźnie, wspomnienie nie było dotykalne, było jednak, jak coś dotykalnego, co się odczuwa tylko; jak słońce, ukryte za obłokiem, a jednak oświecające świat, jak ognisko, którego ciepło nas dochodzi, choć na nie nie zwracamy uwagi. Ona czuła na dnie swego serca coś potężnego, zwalczonego tylko na chwilę przez ból i trwogę. Bywały wszakże minuty, w których ogarniała ją jakaś straszna przytomność umysłu. Przepaść, istniejąca między nią a Janem, stworzona przez różnicę wieku, występowała w jéj myśli wyraźniéj i dosadniéj wobec dziecka, które ona kochała, jak matka.

Borawiecki i przybyły na noc Moskowicz nie odstępowali choréj. Sławny lekarz, który zawsze utrzymywał, że nie może chorym dawać nic ze swych nocy, bo jego śpiące ciało przynosiło posiłek umysłowi, trzeźwość poglądom i pewność badającéj ręce, sam teraz trzymał pęcherz z lodem na gardle Cesi i nikomu w tém zastąpić się nie dawał; sam pędzlował gardło, sam je szprycował. Zastosował jakiś środek, po który posłał do apteki posłańca na wierzchowéj klaczy Ireny, czystéj krwi angielce, która lat temu parę wygrała wyścig. Posłaniec miał sobie nakazany pośpiech. Klacz mogła paść przy ganku, wróciwszy, ale lekarstwo musiało za pół godziny być w ręku

Borawieckiego. Stosował je teraz z trwogą, z drżeniem wewnętrznem, które wszakże nie czyniło niepewną jego ręki.

Pani Solska usnąć nie mogła; była teraz przy Cesi, która się miała coraz gorzéj. Przychodziły paroksyzmy duszności; chora chwytała ręce obecnych, darła na sobie bieliznę, uśmiechając się zaraz potém do matki i zapewniając, że to była tylko niecierpliwość i zdenerwowanie, nad któremi panować nie mogła. Zdawało się, że była w spisku z Borawieckim i Ireną i że wszystko troje pragną jedynie oszukać biedną matkę. Pani Solska była jakby skamieniała. Oczy jéj były suche, policzki palające, nie rozumiała, co do niéj mówiono.

Cały dom teraz wiedział o grożącém Cesi niebezpieczeństwie i był niém zaniepokojony. Stary Jędrzéj leżał rozkrzyżowany przed św. Dominikiem; Plewaczek na palcach chodził po przyległym pokoju, co chwila zbliżając się do drzwi Cesi; Zubecki w szlafroku i pantoflach często zjawiał się, pytając Plewaczka, co się działo i oskarżając zgryźliwie wszystkich. Utrzymywał, że Amelia i Irena uciekły przed zarazą, zostawiając na jéj pastwę młodszą siostrę, że nawet Józefa opuściła Mirsk, drżąc o swe staropanieńskie życie, „matka umyślnie popchnęła Cesię w objęcia choroby... i teraz nie było nikogo, kto-by pomyślał o tém, czego potrzeba. Nawet o poobiednim grogu nie pamiętano, gdy Cesia była chora! A jakby ona umarła, to chyba uciekać z téj dziury, która się Mirskiem nazywa, albo się wziąć do kufli piwa, spełnianych jeden po drugim, jak to czynią pewni ludzie, i dojść do zidyocenia, jak już do niego doszli niektórzy.“ Plewaczek nie podnosił zaczepki, Zubecki nie mógł więc z nim wszcząć kłótni. Złość była takim żywiołem podejrzliwego starca, że się w niéj uwydatniały wszystkie jego uczucia, nawet niepokój o Cesię.

Panna Józefa jedna ze wszystkich miała nadzieję. Niewiadomo dlaczego, ale ją miała. Coś jéj szeptało, że Cesia będzie zdrowa.

Obie nauczycielki były do najwyższego stopnia zaniepokojone i stroskane. Panna Forgett utrzymywała do znudzenia, że Dickson, gdyby tu był, z pewnością uleczył-by Cesię, i że gdyby go sprowadzono z Londynu... Panna Szołgińska opowiadała wszystkie wypadki chorób, jakim asystowała. Uważała ona zawsze, że dziewczynki z wyjątkowém sercem, rozwinięte uczuciowo, kochane przez wszystkich, umierały, nie doszedłszy do dojrzałości.

Panna służąca ze Szczupelską naradzały się nad sprowadzeniem księdza. „Dobre to było, ta panienka Cesia, ale nawet święci pańscy siedm razy na dzień grzeszyli.“

W sypialni dziewczęcia odbywała się straszna walka młodości ze śmiercią. Pani Solska coraz więcéj kamieniała, jakby jakiś paraliż ogarniał powoli jéj władze umysłowe i moralne. Irena, klę-

cząc w nogach łóżka, nie udawała już spokoju. Rozpacz malowała się na jéj obliczu. Zaostrzone ostatniemi czasy jéj rysy przybrały wyraz tragiczny. Pierś jéj szalała bólem. Wśród ataków strasznéj duszności, Cesia piejącym głosem wołała czasem „Irenko!“, do niéj, nie do matki, zwracając się po ratunek. Irena cierpiała téż tak, jakby jéj śmierć zabierała dziecię jedyne, rodzone.

— Irenko, ja umieram! — wołała chrapliwie Cesia, jakby wzywając siostrę, aby tę straszną rzecz — śmierć — od niéj odwróciła.

Nikt wśród otaczających, nawet sam Borawiecki, nie śmiał zaprzeczyć Cesi i kłamliwém zapewnieniem dodać jéj odwagi.

— Irenko — mówiła po przejściu ataku — powiesz Amelce... Waciowi...

Potém nagle, czując, że atak zbliża się znowu:

— Irenko, Irenko, ty mię ratuj!

Porwane nerwy Ireny nie były zdolne wytrzymać dłużéj. Czuła, że płacz, łkanie, jęki, zamknięte w piersiach, przez gardło przedostać się muszą. Wybiegła z pokoju. Dążyła do jakiego oddalonego miejsca, gdzie jéj łzy mogły popłynąć bez świadków. Jak cień, przez jéj umysł przemknęło wspomnienie staruszki, modlącéj się w kościele w Krakowie. Nie pojmowała wtedy, o co taka istota mogła błagać nieba, i w téj chwili dopiero zrozumiała, że w wielkiém wołaniu do Boga można było zupełnie zapomnieć o własném istnieniu, o własném szczęściu i żebrać o litość nie dla siebie. Znalazłszy się we własnym pokoju, runęła na kolana, wołając, jak owa staruszka:

— „Boże wielkiego miłosierdzia!“

Wśród jęków i łkania głowę jéj i serce przebiegła zabobonna myśl. Rozsądna, zimna Irena, w wielkiéj boleści stała się nagle słabą, przesądną kobietą, czującą, jak zrozpaczona matka chłopka. Wydało jéj się, że wielka ofiara będzie w stanie okupić życie Cesi. Złoży u stóp stwórcy swe szczęście, a może w zamian dziecię jéj uratowaném zostanie.

— Boże wielkiego miłosierdzia! — powtarzała słowami staruszki, któréj postać uderzyła ją w Krakowie — Boże, weź moje szczęście!.. nie wyciągnę ku niemu ręki... wyrzeknę się go na zawsze... nie zawołam, by przyszło do mnie... nie poślę listu!.. Nie pójdę ani za miłością, ani za dumą moją... Zostanę przy matce... starą panną, samotną w uczuciach... bez własnego ogniska... może śmieszną dla ludzi... może uciążliwą dla siebie saméj... upokorzoną!.. Ale, Boże, niech Cesia żyje, niech Cesia wydartą nam nie będzie! On, ten, którego moje serce nigdy nie zapomni, wyleczy się, zbuduje sobie nowe szczęście; jego więc nie poświęcam... poświęcam tylko siebie! Boże, weź moją ofiarę, a dziecię niech żyje!

Wznosiła oczy ku niebu, piersi przyciskała dłońmi i w wielkim porywie uczucia przysięgała wyrzec się wszystkiego, co jest osobistą pomyślnością na ziemi, w zamian za życie siostry.

Wstała z klęczek, śpiesznie zbliżyła się do płonącego na kominku ognia, który rozpalono z powodu zimnéj, jesiennéj nocy, i wyjąwszy z kieszeni list do Jana, rzuciła go w ognisko. Przez chwilę patrzała, jak go ogień powoli obejmował, potém, czując się nieco silniejszą do zniesienia widoku męki dziecka, szła ku pokojowi Cesi. U jéj drzwi spostrzegła Eugeniusza. Przyjechał on był do Warszawy i, nie zastawszy Ireny, podążył jéj śladem.

— Panie Eugeniuszu — rzekła gorączkowo Irena — muszę z panem pomówić chwilę. Chodźmy do salonu, tam nikt naszéj rozmowy nie podsłucha.

A gdy się znaleźli w salonie:

— Ja żoną pana zostać nie mogę... usiłowałam się przymusić...

— Widziałem, że się pani przymusza tylko...

— Kocham innego!

— I dziś dopiero mówi mi to pani?

— Ah, dziś mogę powiedzieć wszystko!.. moje najdroższe dziecię umiera i ja nie mam już ani dumy, ani pychy, ani żadnéj próżności w sercu... mam boleść!.. Mogę powiedzieć wszystko, bo mię nic nie dotyka, prócz tego... i wszystko inne wydaje mi się taką drobnostką, taką nędzą!.. Jest tylko moja miłość i ta śmierć... Jeżeli jedna drugiéj okupić nie zdoła...

Irena mówiła gorączkowo, bezładnie. Eugeniusz, który od pewnego czasu podejrzewał ją o jakieś chorobliwe rozdrażnienie nerwowe, teraz począł przypuszczać, że przybierało ono charakter zboczenia umysłowego. Patrzał rozszerzonemi przez trwogę źrenicami na ukochaną kobietę, w któréj piersi rozgrywała się jakaś tragedya. W wyrazie jéj twarzy, w całéj jéj postawie było coś tak niezwykłego, że Eugeniusz więcéj odczuł cierpienie Ireny, niż boleść z jéj utraty. Był szczególniéj przerażony bezładnością jéj słów, których nie rozumiał dokładnie. Co miała znaczyć miłość, jako okup śmierci?

Szedł za Ireną, dążącą do choréj, z uczuciem trzeźwego człowieka, mającego obowiązek strzeżenia istoty drogiéj a nieprzytomnéj. Znikła mu ona w drzwiach pokoju Cesi, przy których stojący Zubecki łajał Plewaczka, wymyśliwszy sobie jakiś powód niezadowolenia.

Cesia usnęła była na chwilę. Borawiecki trzymał ciągle pęcherz z lodem na jéj szyi, patrząc na nią tym wzrokiem badawczym, który znali jego chorzy i jego uczniowie. Termometr, założony pod pachę choréj, trzymał Moskowicz, nie spuszczając oka z przedziałki. Pani

Solska budziła poważne obawy. Nie mogła płakać, nie mogła mówić. Jak posąg grozy, stała w nogach łóżka córki, z wlepionemi w jeden punkt oczami, których powieki wcale się nie mrużyły.

Ataki kaszlu Cesi wracały. W jednym z nich zarzuciła ręce na szyję Ireny, pałający ogniem policzek przykładając do jéj twarzy.

— Ah, jaka ja niegodziwa — wyszeptała zaraz potém — gotowam cię zarazić!

Zwróciła się do Borawieckiego:

— Niech pan każe Irence wypłukać gardło... Ah, i pan... pan gotów téż zachorować!

— Nie myśl o nas, moje dziecko — rzekł Borawiecki. — Jak wyzdrowiejesz...

Cesia skinęła ręką.

— Po co mię oszukiwać?.. Ja wiem... Czy jeszcze długo?..

— Masz się trochę lepiéj, moje dziecko — rzekł Borawiecki poważnie — gorączka spadła...

Cesia spojrzała prosto w twarz mówiącego. Wyczytała w niéj cień niekłamanéj nadziei. Uśmiechnęła się.

— To Irenka!.. ona tu pana przywiozła!..

Zwróciła ku siostrze oczy, w których nagle łzy wdzięczności zabłysły.

Irena poczuła w sobie poryw ku Bogu, który może przyjął jéj ofiarę, poryw macierzyńskiéj miłości ku Cesi.

Polepszenie w zdrowiu dziewczęcia występować poczęło coraz wyraźniéj. Obecnych opanowywała radość. Myśl wszystkich skupiała się przy Cesi z uczuciem nadziei i wesela. Zdawało się, że nie jedna dziewczyna, lecz dom cały powracał do życia. Pani Solska, skamieniała w nieszczęściu, łkała teraz, nie mogąc spokojnie znieść powracającéj nadziei. Borawiecki wpadał w dobry humor, opowiadał historyjki szkolne i figle, jakie płatał, będąc dzieckiem. Plewaczek opuścił drzwi, których dotąd nie odstępował, i siedział teraz nad kuflem z uczuciem radosnego rozmarzenia. Tylko Zubecki nie umiał zdobyć się na radość; spotkawszy Eugeniusza, męczył go, utrzymując, że cała choroba Cesi, to była tylko komedya kobieca.

Ksiądz, sprowadzony w sekrecie przez Józefę, napartą przez Szczupelską i pannę służącą, składał ręce z dziękczynieniem dla Boga. Najbielsza owieczka owczarni...

— A tak — mówił Borawiecki — biała owieczka, która trochę swéj wełny postradała w szponach najstraszniejszego ze wszystkich drapieżnych zwierząt — choroby. I o mało jéj ten wilk nie porwał na dobre.

— To wszystko Ś-ty Dominik — ozwał się od progu, ze drżeniem rozrzewnienia w głosie, stary Jędrzéj, który się cicho wsunął do pokoju. — Jakem się podniósł na kolana i spojrzałem na niego, miał twarz całą w jasności... Zaraz wiedziałem, że panienka Cesia...

— Czemuż Jędrzéj nie przyjdzie bliżéj? — rzekła Cesia osłabionym głosem, wyciągając rękę ku staremu.

— Mnie tam dosyć spojrzéć na panienkę... gdzie się tam słudze pchać...

— Jędrzéj nie sługa, ale przyjaciel!

Stary zaszlochał cicho i wyszedł z pokoju.

— O, tylko mi się nie rozrzewniać! — mówił wesoło i żartobliwie Borawiecki. — No, i cóż, że jeden lekarz, którego mają za nieomylnego, omylił się i miał za zajęcie krtani to, co było tylko silném opuchnięciem... I cóż tam, że jedna biała owieczka została ocaloną?

Wziął rękę Cesi i znowu bawił się nią, jak artystycznym przedmiotem, którym się dość nacieszyć nie można.

— No, proszę! Taka mała rączyna, a różdżką czarodziejską włada, jak wróżka!.. Pozawracało to w głowie wszystkim, nawet znieczulonym lekarzom, nawet księżom, dla których śmierć jest rzeczą codzienną... Bo i cóż innego może robić taka rączka? Zbiera sobie serca, jak kwiaty na łące... na które spojrzy, to już jéj!..

Cesia uśmiechnięta, z oczami, których błękit wybladłym był wskutek choroby, jasném spojrzeniem spotykała wzrok Borawieckiego. Brała w istocie jego serce, choć rączka, którą na swéj dużéj dłoni trzymał, nie zdawała się mieć siły do zagarnięcia czegobądź.

— Teraz, po tych wszystkich mękach i wzruszeniach, trzeba nam spać — mówił Borawiecki — i chora, i my wszyscy... Ktoś jeden zostanie tu i poda co dwie godziny lekarstwo i płókanie... Pani Solskiéj moją powagą lekarza nakazuję położyć się do łóżka.

Cesia, dla dania dobrego przykładu, udawała, że śpi, zanadto wszakże była wzruszona powrotem do życia, by sen mógł zejść na jéj powieki. Po godzinie otworzyła je. Spostrzegła siedzącą przy sobie siostrę. Irena miała podniesioną głowę; wzrokiem po nad łóżkiem Cesi szukała wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa.

Przyjął więc jéj ofiarę... wziął jéj życie... wziął z przed jéj oczu to, co przez chwilę było ich jasnością, a za to zostawił jéj to dziecię...

Duszę jéj oblekała wielka powaga i żarliwość ofiary; nie żałowała uczynionego ślubu, tylko czuła jakiś chłodny powiew od téj przyszłości, którą sama dla siebie wybrała.

W téj chwili poczuła usta Cesi na swéj ręce, wspartéj o łóżko. Schyliła się nad dziewczęciem.

— Cesiu — szepnęła — wiesz... ja już nigdy mamy nie opuszczę.., nigdy nie wyjadę z Mirska... zostanę tu, a gdy ty pójdziesz za mąż, będę się starała zastąpić cię tu, między ludem... między służącymi... Tylko mię musisz nauczyć, jak się do tych ludzi mówi... jak trzeba na nich patrzéć, by ich można było kochać... Nauczysz mię, jak się zapomina o własném szczęściu i widzi się je tylko w pomyślności drugich... Ja tego wszystkiego nie umiem i nie rozumiem, a tylko przeczuwam... Będziemy teraz ciągle z sobą, bo ty i miłość ludzi, któréj mię nauczysz, musicie mi zastąpić wszystko.

Cesia jasnemi oczyma patrzała prosto w twarz siostry. Intuicya serca mówiła dziewczęciu, że dusza Ireny przechodzi jedną z tych chwil, w których wysiłkiem woli istota ludzka odejmuje sobie na wieki wszelkie prawo do osobistego szczęścia, nie zostawiając sobie nic z tego, co jest oczekiwaniem, nadzieją, pragnieniem... co jest młodością i życiem. Smutek i litość przejęły serce Cesi. Nie śmiała przemówić do siostry, czując, że są chwile, w których słowa muszą pozostać słabemi i bezbarwnemi. Ustami przylgnąwszy do ręki Ireny, obiecywała sobie otoczyć życie siostry wszystkiém, co jedno serce drugiemu dać może.

Irena nie broniła ręki. Zdawało jéj się, że to nie Cesia, lecz ona sama przebyła jakąś ciężką chorobę i wstała z niéj nie tą, co była. Marzenia, młode aspiracye, leżały za nią daleko, choć się niemi pieściła wczoraj jeszcze. Czuła się teraz starą przez brak nadziei. Wszystko jedno, ile liczyła lat, gdy mogła posiadać tylko szczęście i nadzieje drugich, ze swojemi pożegnawszy się na zawsze!

Nagle podniosła głowę i dawny wyraz dumy i wyniosłości odbił się na jéj obliczu:

— Ja miała-bym żałować tego, com raz dała? — pomyślała z wyrzutem dla saméj siebie. — Co-by była warta ofiara, która-by zacieśniała duszę zazdrością i zawiścią, zamiast ją wspaniałomyślnie rozszerzać? Niech będą szczęśliwi inni!.. niech się raduje życiem to dziecię, które uratowałam, dając mu w porę starania Borawieckiego, lub krzyk rozpaczy, usłyszany przez Boga!.. Niech pełnią szczęścia oddycha ten, przy którym na zawsze zostanie serce moje... Wiem, że zapomni... niech zapomni prędko i niech się nawet nie dowie, że nie przez dumę, lecz przez miłość się go wyrzekłam. Niech mną pogardza, jeżeli pogarda zapomnieć mu pomoże... Znajdę odwagę na zniesienie nawet téj myśli... znajdę odwagę żywienia się okruchami szczęścia, będącego udziałem ukochanych.

Zofia Kowerska.

Pierwsza młodość Karpińskiego*).

Karpiński był długo młodym, a pod niejednym względem pozostał do późnéj starości dziecinnym. Miał lat około czterdziestu, gdy zaczął wiersze drukować, około czterdziestu pięciu, kiedy go jeszcze panny wzywały, aby je wykradał. Ukończywszy więc obraz lat dziecinnych i szkolnych, można mówić o jego pierwszéj młodości. Przebywał on ją w różnych szkołach: uczyli go we lwowskiéj akademii jezuici, potém w życiu ludzie światowi i kobiety. Trzy niewieście postacie przesuną się dzisiaj przed nami: dzieweczka, uwodzicielka i wykształcona mężatka. Obok historyi jego studyów, wypadnie nam zwrócić uwagę na dzieje jego serca.

I.

O miłości będzie nieraz mowa w ciągu biografii Karpińskiego, ale nie sądzimy, aby ona kiedykolwiek zaważyła silniéj w jego losach. Zdaje się, że głębokie uczucie nie było daném naturze jego miękkiéj, drobnéj, ostatecznie nawet samolubnéj. W miłosnych stosunkach przychodzi niemal zawsze chwila, w któréj potrzeba, obok pragnień serca,

*) Por. „Bibliotekę Warszawską“ z Maja b. r.

los swój, spokojność, praktyczne względy położyć na szali. Dlatego szukał Karpiński raczéj luźniejszych więzów przyjaźni, która rzadko tylu ofiar wymaga i da się łatwiéj zbyć czułemi słowy. Wspomina on wciąż o swych przyjacielskich stosunkach. „Dzieckiem będąc w szkołach,—pisze on w pamiętnikach,—już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem", a potém pełno ma w życiu przyjacielskich stosunków. „Tego słowa *ja twój przyjaciel*—pisze on w liście z 1808 roku—nasłuchałem się dowoli". Ludzie, co, jak on, nie zdołają silnie kochać, nie szukają miłości, bo marne tylko szczęście daje pewność, że się jest kochanym. Tacy, jak on, potrzebują podpory, a nie dają sami oparcia, szukają opieki, przychylności, pomocy. Gdyby nie odrobina zmysłowości, i miłość ich nawet była-by przyjaźnią. Kiedy już był zapomniał o studenckich swoich miłostkach, kochał się Karpiński w kobiecie o wiele starszéj, o „twarzy nie wiele przyjemnéj", ale doświadczonéj, oczytanéj i mądréj, w kobiecie, która mu i sytuacyą w świecie, i umysłową wyższością imponowała. Miłość rodzi się u niego, jak u wszystkich ludzi przyjaźń, z szacunku. Nie jest on, jak pamiętniki i poezye świadczą, zapalczywym w miłości, ani namiętnym, nie ma téż skądinąd wysokiego o kochaniu pojęcia. „Długo się można kochać,—mówi on w pamiętnikach,—ale długim głodem nie nasyceniem się". Pewien zmysłowy i charakterystyczny szczegół powraca w jego pamiętnikach, równie systematycznie, jak w jego sielankach białość nóg u pasterki [2]). Udawał skromnisia — pisze o nim nieco surowo, a jednak słusznie, p. Walery Przyborowski—a był bezecnym, lubieżnym rozpustnikiem, rozpustnikiem nie krwi, jak Morsztyn, ale wyobraźni [3]). Wystarcza jednéj stronie jego natury jakieś połowiczne szczęście, wystarczają drugiéj zwierzenia czułości, a zwłaszcza istota, czuła na głos jego zwierzeń. Kocha się, durzy, smuci, płacze, ale go nigdy uczucie nie unosi. Mowa w pamiętnikach o kilku zamierzonych małżeństwach, ale je zawsze jakiś ludzki wzgląd, przeszkoda lub namowa zniweczy. Wystarczy raz, aby go hetmanowa Branicka zatrzymała u siebie, rozkazując zamknąć jego powóz i konie.

Pierwszą miłość znamy tylko z własnych jego pamiętników, a dzieje jéj przedstawiają go nam w bardzo niekorzystném świetle [4]).

---

[1]) List do Franciszki z Koziebrodzkich Puzyniny z 30 Stycznia 1803 r., znajdujący się w archiwum Puzynów w Gwoździcu,

[2]) Por. Pamiętniki (wydanie J. K. Turowskiego), str. 1129, 1133, 1137, a także 1186.

[3]) „Niewieście ideały poetów polskich". Warszawa, 1881, str. 37.

[4]) Dla uniknięcia nieustannych cytat z Pamiętników, zwracamy raz na zawsze uwagę na str. 1126—1143 w wydaniu J. K. Turowskiego.

Może też jest w wyznaniach starca chęć ulżenia sumieniu. Bo nie bez pewnego wzruszenia woła on po latach: „w przeciągu kursu filozofii mojéj ciebie ja to, miłości, najpierwszy raz poznałem“. Stanęło wtedy naprzeciwko siebie dwoje ludzi, z których jedno kocha po prostu, odważnie i szczerze, drugie łasi się, marzy, wiersze składa, ale niczego poświęcić nie zdoła, i nie zdaje sobie sprawy, że gdy dla niego jest to igraszką, drugiemu sercu może chodzić o życie.

Bo też to miłość, którą u nas w XVIII wieku spotykamy, nie zwykła zbyt wielkiego miejsca w egzystencyi ówczesnych ludzi zajmować. W pamiętnikach czytamy o bardzo prostém i uczciwém przywiązaniu, które do małżeństwa przy zgodzie familijnych stosunków i fortun doprowadza, albo znów o licznych, prędko zawiązywanych, prędzéj jeszcze zrywanych stosunkach, niezdolnych w życiu człowieka zaważyć. Nie służy im żadna duchowa strona za wymówkę, nie towarzyszy im ów umysłowy pociąg, owa wspólność intelektualnych potrzeb, które charakteryzują tyle współczesnych romansów we Francyi, że wspomnę tylko d'Alembert'a i pannę de Lespinasse. Zajrzyjmy do pamiętników Jana Duklana Ochockiego, najżywszych, które nam wiek XVIII zostawił. Ile tam kobiet przesuwa się przed oczyma, od wielkich dam do aktorek, od młodych dziewczyn do podżyłych wdówek, i ile tam romansów, a jak niewiele miłości. Jako siedemnastoletni chłopiec, poznaje Ochocki młodą, łatwą do pocieszenia wdowę; on kocha ją z całą szczerością pierwszego uczucia, ona z całém oddaniem się kobiety, która całe życie czekała na gorące słowo miłości, a słyszała je tylko z ust zwiędłych. I jeden z jego przyjaciół przywiązuje się raz do biednéj dziewczyny tak silnie, że kiedy stracił nadzieję ożenienia się z nią, nie ma już po co żyć na świecie. Inne stosunki, o których tam mowa, zadziwiają płytkością. Najsympatyczniejszą jest może, z kobiet pamiętników, owa aktorka w Lublinie, dziwny i czysty profil w szeregu niewieścich portretów. I ona jednak wychodzi za mąż wbrew sercu. Inne damy radzą sobie lepiéj od niéj. Poważniejsze stanowiskiem i wiekiem obsypują nieustannie prezentami Duklanka, który to najprościéj w świecie opowiada. Co czas, to obyczaj.

Maryanna Broselówna nie potrzebowała, ale i nie posiadała podobnych sposobów pozyskania Karpińskiego. Była prześliczną i dobrą, a sierotą. Nadto nawpół Niemką, t. j. córką narodu, o którym napisała pani de Staël bystre słowo, że jedyną jego religią jest miłość. Ojciec był bowiem kapitanem wojsk saskich, matka Polką, Turkułówna z domu. Karpińskiego ujęła jéj piękność i wartość jéj moralna. Zdawało mu się może zrazu, że się nie kocha, ale wydoskonala „Obyczajność i skromność – pisze on—jeszcze mi od ojca mego wpa-

jane, jakże daleko mocniéj ta niewinna panna we mnie ugruntowała". Chodził z nią po nocach, jak Filon z Laurą, w późniejszéj zapewne sielance, i jak Filon stał się z czasem nadto śmiałym w prośbach i pretensyach. Gniewano się raz na niego całe dwa tygodnie, ale miłość przetrwała obrazę. Szkoda, że się dzieje ludzi nie urywają, jak strofy sielanki, zapianiem kura i wschodzącém słońcem. Bo smutném i nie bardzo poetyczém było rozłączenie, gdy się Karpiński po kilku latach miłości cofnął i nie mógł na małżeństwo odważyć. Lękał się biedy, nie miał zapewnionego stanowiska, czuł, że chyba pójdzie gdzie „na służbę" z Maryanną. Poradził jéj więc, aby wyszła za bogatszego rywala, ale poradził, jak opowiada, ze łzami. Podobnie wyswatał Ochocki swą Jagusię za majętnego kupca, bo żenić się nie pozwalała mu fortuna. Pozwolił mu natomiast honor nawiązać w takich stosunkach romans z opuszczoną kochanką.

Maryanna nie poprzestała na łzach w odpowiedzi na łzy Karpińskiego. Mniéj może rozważna, ale mężniejsza i uczciwsza, dziewczyna chciała szczęścia i serca swego bronić. Postanowiła pracować: „ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę". Był-by jéj już Karpiński uległ, ale odwiedli go od zamiaru przyjaciele, którzy szukali dla niego „zyskowniejszego" małżeństwa. Mówią, że trudno w życiu o roztropnych przyjaciół, ale tacy ludzie, jak Karpiński, znajdują ich zawsze w podobnéj okazyi.

Postanowił więc uciec, nie wiemy, czy przed własną, czy przed cudzą miłością. Nie dał się namówić jezuitom i do klasztoru nie wstąpił, a jednak na teologię pojechał do Lwowa. Przypuszczam, że nie miał odwagi zejść od razu z zamierzonéj drogi, że lękał się może zerwać z wolą czy nadzieją ojca i że postanowił tymczasem poświęcić się teologii, czekając, czy go los od niéj nie uwolni i czego mu lepszego nie zdarzy.

Nie wiemy ani kiedy wyszła Maryanna za mąż, ani czy oddała rękę owemu rywalowi, którego Karpiński jéj raił. O małżeństwie jéj dowiadujemy się tylko z listu, pisanego przez poetę po pięćdziesięciu latach do innéj kobiety, w któréj się także był kochał. Przyszła już była na niego starość i siwizna; mógł spokojnie obie te dawne miłości na jednéj karcie wspominać. „Upraszam pani, jeżeli będziesz miała sposobność, dowiedz się, czy żyje Poźniakowa, z domu Broselówna, mieszkająca w Strylczu pod Horodenką. Mam interes wiedzenia o życiu, sytuacyi i losie jéj w małżeństwie" [1]).

---

[1]) List do Franciszki Puzyniny z 23 Grudnia 1804 r., przechowany w archiwum Puzynów w Gwoździcu.

Jaką odpowiedź otrzymał na te pytania Karpiński, nie wiemy. Pośród dość licznych, zachowanych po dziś dzień, listów jego korespondentki, nie znaleźliśmy żadnego, który-by zaspokoił pod tym względem naszą ciekawość. Zapewne równocześnie pisał Karpiński w Pamiętnikach: „Jeżeli żyjesz jeszcze, najpierwsza kochanko moja, zdrowie ci i szczęście!... Więcéj stem mil oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcy ja się mojéj ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie".

Smutnym jest końcem miłości ta zupełna niewiadomość i to pytanie „czy żyje?" Marnemi wydają się wszystkie zaklęcia i wszystkie obietnice „na wieki". I smutném jest także to wspomnienie starca. Myślę mimowoli o innym, współczesnym, podeszłym w lata poecie. Pod koniec XVIII wieku pisze Goethe dedykacyę do „Fausta" i widzi, jak się do niego tłumem zbliżają „powiewne postacie", „ukochane cienie", jak, podobne jakiejś nawpół przebrzmiałéj legendzie, wstają znów przed nim z mgławic: pierwsza młodzieńcza przyjaźń, pierwsza miłość. Opuszczona przez autora „Goetza", Fryderyka Brion, żyje jeszcze podówczas.

W Karpińskim, jak w Goethem, odstęp jest w istocie daleki!— obudziła, wzmocniła miłość poetyczne zdolności. „Ona-to—mówi nasz poeta o Maryannie — jest moja pierwsza Justyna, do któréj tę najpierwszą z moich sielanek „Tęskność na wiosnę do Justyny" napisałem i którą pod tém imieniem tyle razy wspominałem". Ów pierwszy poemacik jest może najszczerszym, najsubjektywniejszym z całego zbioru sielanek, które w wiele lat potém, w 1780 r. ogłosił [1]). Jest to utwór najbardziéj liryczny, mający najmniéj rysów sielanki, pośród tych wszystkich monologów, które, jak się oddawna na to zgodzono, nie są prawie zupełnie idyllami, t. j. z grecka obrazkami, obrazkami zazwyczaj sielskiego żywota. Ledwo jedno czy dwa porównania wzięte z rolnictwa, a w całym wierszu uczucie, wyrażające się w obrazach z przyrody, ale i proste, i szczere. Jakieś tchnienie żywsze, rytm posłuszniejszy, niż zwykle. Ile razy nie potrzeba mu kompozycyi, układu całości, bywa Karpiński poetą, oddanie subjektywnego uczucia w najskromniejszéj formie udaje mu się; panowanie nad poezyą, które na starość zaleca Goethe, nie leży w naturze jego talentu. Mickiewicz twierdzi w kursach literatury, że, pod względem wytworności uczucia i doskonałości formy, można-by niektóre drobne wiersze Karpińskiego postawić obok najpiękniejszych piosenek Goethego [2]). Miał chyba na

[1]) Por. w wyd. J. K. Turowskiego, str. 279.
[2]) „Les Slaves". Paris 1866. Tom III, str. 161. Lekcya 61.

myśli ową pierwszą sielankę, utwór podwójnie znakomity, bo i bardzo sam w sobie harmonijny, i nader ciekawy ze względu na czas i otoczenie, w którém powstał. Jest to poemat, osnuty na uczuciu, nie na koncepcie, a powstaje jednakże w Stanisławowie, w jezuickiéj szkole, między rokiem 1755 a 1760, kiedy się jeszcze nikomu nie śniło ani o poprawnych wierszach Krasickiego lub Trembeckiego, ani o miękkim uroku miłosnych poezyi Kniaźnina. Treścią naszéj piosenki jest owa, tak często przez późniejszych poetów odczuwana, harmonia między nowém życiem natury na wiosnę, a nowém życiem serca, które kocha. I ażeby ton ten, tę harmonię odnaleźć, trzeba przeskoczyć cały wiek XVIII i szukać go aż u tego wielbiciela Karpińskiego, którym był Brodziński. Ton ten jest wypływem innéj, samodzielnie w młodéj piersi nurtującéj poetyki, któréj doniosłości Karpiński, jak zawsze, nie pojął. Studyował on swoją naturę, ale nie zdawał sobie sprawy z rodzaju swego niewielkiego, chociaż rzeczywistego talentu. Nie powiedział o sobie, jak Goethe: „śpiewam, jak ptaszę śpiewa“ i mówił to o nim dopiero Mickiewicz [1]).

Pomiędzy sielankami, wydanemi w 1780 r., jest sześć takich, gdzie o Justynie mowa. Oprócz „Tęsknoty“, mają się jeszcze „ze dwie“, jak mówi Karpiński, odnosić do Maryanny. Trudno je dzisiaj rozeznać. Może być, że należy do nich wiersz, zaczynający się od słów:

„Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,
Rozzielenił się las mój gałęzisty“ [2])

bo i tu wprowadził poeta, jako motyw główny, harmonię między światem zewnętrznym, a swojém kochaniem. I tu jest prosta, chwytająca za serce uwaga, jedna z tych, które tylko życie nasunąć może:

Wyszła Justyna, mówić mi zaczęła,
I zaraz radość serce me przejęła.
Rzekła: coś mi się o tobie śniło...,
I to jéj mówić do twarzy było.

Ostatni wiersz należy do szeregu tych prostych, realistycznych uwag, które największe zwykły wywoływać w poezyi wrażenie, bo całości nadają cechę prawdy. Widzimy przed sobą obrazek: ona zaczyna mówić i rumieni się, on upojony tém, że we snach ją zajmuje, nie może nie zauważyć, że jéj z tém wyznaniem, z tym rumieńcem, z tém kochaniem do twarzy.

Po-za tém spotykamy między sielankami wiersz „Do Motyla“, który p. Walery Przyborowski zdaje się zaliczać do poezyi, natchnio-

[1]) Tamże, str. 160.
[2]) Karpiński, str. 299.

nych przez Maryannę [1]). Jest to już w każdym razie utwór, pełen galanteryi i kokieteryi, wiersz w stylu XVIII wieku:

Ona ci porobi klatki,
Majem cię wkoło osłoni,
Każe zbierać różne kwiatki,
Jeść będziesz z jéj białéj dłoni.

Natomiast odzywała się jeszcze później tęsknota za pierwszą Justyną i odzywała się w szczerych, serdecznych tonach. Przytoczę tu znany wiersz z lat późniejszych, nie pomijając zwrotek, których nie posiadają zwykłe wydania, a które K. Wł. Wójcicki z rękopisu ogłosił [2]):

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory.
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się z świtaniem.
Miłość sen nam zabrała,
Miłość żyje niespaniem.

Gdy świat zorza pobieli,
Każdy jawor znaczony,
Gdzieśmy z sobą siedzieli
Karbowany imiony.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Oczy w oczy patrzyły,
Ręka rękę ściskała,
Usta nam się złączyły,
Dusza z duszą gadała.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ściskała,
Mówiąc: „sama nie zginę“.

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy téj jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jéj dłoni?

---

[1]) Karpiński, str. 283.—W. Przyborowski, loco citato, str. 39.

[2]) „Dziennik Warszawski“, 1827. Tom VII, str. 76 i 75.—Zwrotki 3-éj i 5-éj nie posiadają zwykłe wydania; por. J. K. Turowskiego, str. 384.

Dziś kiedy nas w swym gniewie
Los rodzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa zostały,
Ciebie niemasz, Justyno!

Jaki ton elegiczny prosty, a głęboki! jak się rytm znowu nadaje i ugina! Po sposobie pociągnięcia pędzlem, umiał taki krytyk, jak Fromentin, oceniać stan umysłu, ochoty i natchnienia Rubensa, kiedy daną część obrazu malował. Po giętkości rytmu, po zgodzie długości zdań z wierszami, można podobnież szczerość uczucia poznawać. Rytm jest podstawą wiersza, rytm tą ozdobą i siłą, które myśl poetyczna, przychodząc na świat, ze sobą przynosi. Im bardziéj serce drżało, tém bardziéj wiersze dzwonią.

Na zakończenie tego przeglądu utworów, pisanych dla Maryanny Broselówny, przytoczę jeszcze jeden wiersz, natchniony może przez kogo innego, może nie natchniony przez nikogo, ale ciekawy, kiedy się go z dziejami naszego poety i ubogiéj jego kochanki zestawia. Stoi on obok poprzedniego w wydaniu 1806 r., ale musiał być już dawniéj popularny, kiedy ten sam tom zawiera inne utwory, które można na jego nutę śpiewać [1]). Przytaczam go téż tutaj w inném, zapewne dawniejszém, brzmieniu, niż tekst zwykle drukowany, przytaczam według starego druku „Laury i Filona“ [2]).

Kiedy ia usiądę przy moiey Dorydzie,
Oczy w nią wlepię, zapomne o biedzie,
A ona mi powie, jak przedtym mawiała,
Day mi twe serce, iam ci swoie dała,
A kiedy mię ieszcze ściśnie, pocałuie,
Wtenczas naywięcey Doryda smakuie,
Powiadaią ludzie, ludzie nieżyczliwi,
Że się Doryda przy mnie nie wyżywi,
Czyli palić słońce, czyli będą słoty,
Dla mey Dorydy poydę do roboty.
Śpiewaiąc przy pracy piosnkę o Dorydzie
Zorzę moy zagon, zapomnę o biedzie.
A kiedy usiądę w cieniu lub na iawie
Drwię sobie z wszystkich z Dorydą się bawię.

---

[1]) Por. u J. K. Turowskiego na str. 388 wiersz „Do Temiry, na tę nutę: Kiedy ja usiędę i t. d.“, na str. 389: „Odpowiedź Filona, na tęż nutę“.

[2]) Egzemplarz tego wydania (in 8°, str. liczb. 8) znajduje się w Bibliotece Głównej w Warszawie.

Ktokolwiek był tą Dorydą, czy nie ciekawe zestawienie poezyi z prawdą, owego gotowego na wszelką pracę kochanka—z Karpińskim, którego przyjaciele odwiedli od dziewczyny, chcącéj dla niego prząść i kopać grzędę? Dziwne są czasem sprzeczności u poetów i zdaje się niemal, że, aby módz pewne szlachetne porywy śpiewać, muszą się ich oni naprzód wyprzéć w życiu.

II.

„W drugim roku teologii mojéj— pisze w pamiętnikach Karpiński—podnieśli jezuici lwowscy szkoły swoje na akademię". Stało się to 11 Grudnia 1759 r., a ponieważ się rok szkolny i wówczas zaczynał w jesieni, łatwy ztąd wniosek, że zapewne jesienią 1758 r. przybył kochanek Maryanny do Lwowa. Nie można oznaczyć, jak długo trwały uniwersyteckie jego studya. Wynika tylko z pamiętników, że kiedy po śmierci Augusta III, zaszłéj 5 Października 1763 r., wyjechał Józef Poniński na dwory zagraniczne, z urzędowém doniesieniem o tym zgonie, Karpiński bawił na Pokuciu, zapewne u pani Ponińskiéj, i że miał wtedy teologiczne studya i rok palestry za sobą. Z drugiéj strony posiadamy jednak list jego własnoręczny, datowany „ze Lwowa d. 4 8-bris 1763 r.". Jest i inna trudność, tyczącą się uniwersyteckich studyów. Oto ubolewa Karpiński, że uczył się cztery lata filozofii. Tymczasem świadczy inny ustęp, że, „skończywszy drugi rok filozofii" w Stanisławowie, pojechał „do Lwowa na słuchanie teologii" [1]). Czyżby wstępne kursa teologiczne do filozoficznych studyów zaliczał? Dodajmy, że kurs filozoficzny trwał zazwyczaj u jezuitów ani dwa, ani cztery, ale trzy lata [2]). Ciekawym jest w każdym razie ustęp Pamiętników, w którym o téj nauce wspomina. W znanym mi autografie zaczyna się on od zdania; „Cztery lata ucząc się filozofii, straciłem czas młodości mojéj najlepszy" [3]); w wydaniu zaś Moraczewskiego i następnych przedrukach dodano do wyrazu „filozofii" przymiotniki „głupiéj, a natenczas powszechnéj, perypatetycznéj". A daléj tak pisze nasz autor: „Porzucił ją z czasem świat oświeceńszy, i kiedy świeżo uczony Kant w Królewcu gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną teraźniejszą filozofię, na doświadczeniach fizycznych geometryi zasadzoną, do dawnego *Eas ra-*

[1]) Pam., str. 1130.
[2]) Ob. cytatę z „Gratysa Plebańskiego" u Łukaszewicza I, 250, przyp. 2.
[3]) W Bibliotece hr. Krasińskich w Warszawie.

tiones powrócić chciał". Oto jak się uskarżał na filozoficzne swoje studya człowiek, u którego całe jezuickie wychowanie nie wywołało jednego słowa oburzenia lub żalu. Ustęp ostatni tém nas zaciekawia, że widzimy w nim ślady dwóch wpływów, którym w późniejszych latach ulegał Karpiński i o których mówić nam obszerniéj wypadnie. Zamiłowanie i cześć dla nauk przyrodzonych, tak w XVIII wieku rozpowszechnione, przywiózł on zapewne z wiedeńskiéj wszechnicy, niechęci do Kanta mógł snadnie nabrać w pałacu Czartoryskich w Warszawie [1]).

Wyznaczając hypotetycznie czas między r. 1758 a 1762 na lwowską uniwersytecką epokę, musimy odnieść do niéj dwa wypadki, umieszczone w pamiętnikach wśród lat szkolnych [2]). Naprzód śmierć ojca, który, według aktów kościelnych w Otynii, zakończył życie 17 Maja 1761 r. Ksiądz Antoni Karpiński był w wiosce téj „komendarzem", i to jak świadczą akta od 1756 r.; rodzice mieszkali przy nim „na dewocyi". Wakacye po skończonym drugim kursie filozofii, a więc zapewne przed wyjazdem do Lwowa, spędził on u brata i rodziców. Wtedy-to spotkał go ów niezasłużony policzek. „Niedługo potém, bo może w pół roku, ten srogi ale razem najcnotliwszy ojciec" odumarł żonę i dzieci. Franciszek był wtedy oddalony o trzy mile od Otyni, więc chwilowo nie we Lwowie—i nie zdołał przybyć na czas, aby się z umierającym pożegnać. Śmierć ta była dla syna ciężkim ciosem. Kiedy na starość spisywał pamiętniki, zachodziły mu na to wspomnienie oczy łzami i łzy te pewno nie są retoryczną figurą. Boleść Karpińskiego szukała zresztą zawsze wewnętrznego wyrazu i potrzebowała objawów. Zastawszy już ojca na katafalku, wszedł on do przygotowanéj trumny, zaklinając, aby go razem ze zmarłym pochowano. Musieli przyjaciele wyprowadzić go i nie dopuścili nawet do uczestniczenia w pogrzebie.

W rok potém — jakkolwiek Pamiętniki odnoszą to zdarzenie do wcześniejszéj epoki—d. 30 Czerwca 1762 r., umarł w Otyni znajomy Karpińskiego, ów Aleksander Roszczyc, porucznik chorągwi pancernéj hetmańskiéj, którego widzieliśmy, jak po śmierci Józefa Potockiego strzały na znak żalu rzucał. Karpiński bawi znowu w Otyni na wakacyach i zachodzi do księdza Szymona Błażeja Wójcickiego, który był podówczas miejscowym proboszczem, ale ponieważ posiadał

---

[1]) Por. Dębicki: „Puławy", tom I, str. 17 zdanie ks. generała ziem podolskich o Kancie.

[2]) Dokładne daty śmierci Andrzeja Karpińskiego i Aleksandra Roszczyca wyjęte z aktów kościelnych w Otyni; wiadomości o ks. Antonim Karpińskim z ksiąg parafialnych w Chocimierzu i Otyni.

zarazem godność scholastyka stanisławowskiéj kolegiaty, osadził tam w roli swego zastępcy, czyli „komendarza“, księdza Antoniego, brata naszego poety. Ksiądz Wójcicki był, jak się zdaje, znaczącą w Stanisławowie osobistością. Akta kolegiaty wspominają go często. W roku 1747 jest on jéj podkustoszem, przy zniesieniu jéj w 1782 roku scholastykiem. W bibliotece dzisiejszéj fary znajduje się dużo dzieł, pochodzących z jego zbioru. Gorliwości i staraniom jego zawdzięczamy spisanie dziejów cudownego obrazu w Otyni [1]). Z rodziną Karpińskich wiązały go bliskie stosunki, Franciszek zowie go przyjacielem swoich rodziców. Kiedy ks. Antoni porzuca Otynię, otrzymawszy probostwo u Marcina Koziebrodzkiego w Chocimierzu, po rezygnacyi Feliksa Bujny, kanonika Kamienieckiego, instaluje go tam znowu uroczyście w d. 22 Lipca 1764 r. ks. Wójcicki, podpisany tym razem w akcie jako „Praepositus Tłumacensis“.

Obecnie w Czerwcu 1762 roku ma on celebrować na pogrzebie Roszczyca, krajczego chełmskiego, jak zanotowano w papierach kościelnych. Na obchód zjechało dużo wojskowych i szlachty, i ks. Wójcicki martwi się, że, z powodu choroby księdza, który miał mieć mowę, nie odbędzie się pogrzeb dosyć uroczyście. Według pamiętników, skończył był dopiero wtedy Franciszek Karpiński dwa lata retoryki i miewał kazania w postne niedziele na nabożeństwie szkolném, ale data śmierci Roszczyca każe przypuszczać, że był on już raczéj uczniem teologii i, jako taki, wystąpił z propozycyą zastąpienia chorego księdza. Stanisławowski scholastyk przystał chętnie, a jemu uśmiechała się chęć popisania się przed liczném zgromadzeniem swą retoryką, nad którą się długo mozolił. Znane to i osławione zdanie, że literatura prowadzi do wszystkiego, byle ją samą porzucić. W XVIII wieku u nas prowadziła do wszystkiego retoryka, ale, niestety, pozostawano przy niéj na zawsze, nie mogąc rozstać się z urokiem imponowania ciżbie, marnym marnych słów układem. Wyobrażam sobie, że uczeń jezuickich szkół, marzący wówczas o wielkości i sławie, rozpoczynał w myśli karyerę od jakiéjś szumnéj, zyskującéj mu poklask oracyi. Pierwszym tryumfem Józefa Wybickiego jest mowa, którą w ośmnastym roku życia wita w Skarszewie starostę grodowego, Fleminga. Zostaje téż w téj chwili subdelegatem [2]).

Karpiński nie mógł myśléć o stanowiskn, ale o chwale—i téj się téż dorobił. Napisał mowę i pogodną nocą, chodząc po miasteczku,

---

[1]) Por. A. Szarłowski: „Stanisławów i powiat Stanisławowski“, 1887, str. 124, 231, 232 i X. Sadek Barącz: „Pamiętniki miasta Stanisławowa“, 1858.

[2]) Pamiętniki J. Wybickiego. Poznań, 1840, tom I, str. 30—32.

uczył się jéj na pamięć. Naraz odezwała się w nim „krew żywa“ i studencka ochota do figlów. Przekupił stróżów nocnych, aby razem i głośno krzyknęli „ostrożnie z ogniem“ przed domem, gdzie stanął kwaterą wraz z rodziną i znajomymi powinowaty zmarłego, rodzący się z Roszczycówny, pułkownik przedniéj straży, Cieński [1]).

Żart nie przypadł śpiącym do smaku, wybiegli z kijami na stróżów i sam Karpiński ledwo z nimi uciekł, nie wypłaciwszy im nawet obiecanego półzłotka. Tak się przygotowując na mowę, umiał on jednak potém przemówić do serca słuchaczy. Dalibyśmy dziś wiele, aby jego oracyę miéć w całości. Z tego, co na starość opowiada, można jedynie wnioskować, że odpowiadała ona gustom czasu i była pełną retorycznych efektów i konceptu. Zdaje się, że, po należnych zmarłemu pochwałach, udzielił mu w oracyi swojéj głosu i kazał mu się w pierwszéj osobie żegnać z towarzyszami broni, z sąsiadami i rodziną. Zagroził żonie, że się jéj nieboszczyk na sądzie Bożym zapyta, jak pozostałe dzieci wychowała. Nie szczędził krasomówczych efektów, „mocnych wyrazów“, „tkliwego tonu głosu“, aż biedna wdowa poczęła tak szlochać, że się sam mówca musiał w swojéj oracyi zatrzymać. Tryumf zatém ogromny. Po pogrzebie stypa. Tam zasiada młody orator na poczesném miejscu, „co—jak po latach pisze— moją miłość własną najmocniéj najpierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychą nadęło“.

Wogóle szczęściło się temu zdolnemu studentowi, któremu łatwo się było do wymagań i upodobań otoczenia stosować. Przywykał téż do powodzeń i poklasków. „Taki jest młody—mówi u Goethego Antonio o Tassie — a zawiele już osiągnął, ażeby umiał używać spokojnie“. Szkolne i uniwersyteckie tryumfy otworzą biednemu szlachcicowi drzwi najpierwszych domów i, zanim jeszcze miał czas dać swoich talentów dowody, zjednają mu przychylne zajęcie wysoko postawionych osób, wzbudzą trochę rozgłosu około jego nazwiska, dadzą słodszy od niéj saméj przedsmak sławy. Wytworzą mu zarazem atmosferę sympatyi i podziwu, bez któréj potém, jako poprostu bez zachęty i bodźca, żyć i pracować nie zdoła. Młodzieńcom, po których się czegoś spodziewa, obiecuje świat więcéj, niż dotrzymać myśli, i odurzywszy ich nieco, zajmuje naraz względem nich wyczekujące, krytyczne stanowisko. Karpiński długo pozostał w tém dziecińśtwie, w którém pracują żaki dla odznak i pochwał nauczyciela, a nie z wewnętrznego popędu i pragnienia. Dlatego, że mu twórczość sama za-

[1]) Wiadomości o rodzinie Cieńskich zawdzięczam uprzejmości p. Ludomira Cieńskiego, właściciela bogatego archiwum w Oknie.

dowolenia nie dała, narzekał na ludzi, od których nie zawsze doznawał poparcia.

Obecnie jednak nie mógł się on żalić. Zawiązał we Lwowie liczne i ciekawe stosunki. Pomagali mu w tém jezuici, których był uczniem, a mógł zostać i towarzyszém, sprzyjała mu na pewno i okoliczność, że udał się do Lwowa z oddanym jego opiece Józefem Maurycym Cieńskim, synem owego półkownika, przed którego oknami spowodował nocą rozruch w Otyni.

Pupil jego, urodzony około r. 1750, był chrzestnym synem Wacława Rzewuskiego, od r. 1752 polnego koronnego hetmana, który mu z tego powodu nadał jeszcze w dzieciństwie w r. 1756 patent na chorążego w chorągwi pancernéj ojca, Wojciecha Cieńskiego. Później służył on rzeczywiście wojskowo. W pierwszym wydanym przez Karpińskiego tomiku wierszy (1780) znajduje się poemat p. t. „Matka syna wyprawia do obozu“, odnoszący się, jak to wiem z tradycyi rodzinnych, do młodego Cieńskiego, który jest nawet nazwany po imieniu, Maurycy [1]). Chodzi zapewne o udział w walkach podczas konfederacyi barskiej.

Poemat należy do udatniejszych utworów Karpińskiego; pozbawiony silniejszego zapału i nieco refleksyjny, dowodzi on zamiłowania do psychologicznych odcieni. Jak jaka matka z klasycznéj tragedyi, godząca miłość dziecka z miłością ojczyzny i rozważająca obie strony takiego uczucia, prosi pani Cieńska syna, aby się nie narażał niepotrzebnie, dla marnéj jedynie sławy, a jednocześnie nie chce, aby wstyd przyniósł ojcu i rodzinie.

W każdym razie, czy się to stało przez Cieńskich, czy przez jezuitów, faktem jest, że zapoznał się Karpiński z wybitnemi osobistościami we Lwowie. Było to jego pierwsze zetknięcie się z większém miastem, z większą cywilizacyą i wytwornością obyczajów, z uczonymi ludźmi, których dotąd jedynie, i to w niezbyt wielkiéj liczbie, pod jezuickim habitem widywał. Miasto, od początku wieku pozostające w takim upadku, że w 1735 r. kazał August III magistratowi i staroście zbadać przyczyny opuszczenia i pomyśléć o środkach zaradczych [2]), nie liczyło pewno wiele więcéj nad 20,000 mieszkańców, skoro w r. 1785 zapisano ich 25,000 [3]). W każdym jednak razie musiało się wydać ogromném przybyłemu ze Stanisławowa studentowi. „Nowy dla mnie w téj ruskiéj stolicy świat się otworzył; blisko przypadłe kontrakty lwowskie narobiły mi wiele znajomości“. Zaczynały

[1]) U J. K. Turowskiego na str. 326.

[2]) Por L. Dziedzicki, w Słowniku geograficznym, tom V, str. 542 i nast.

[3]) X. I. Chodyński: „Historya... miasta Lwowa“. Lwów 1829, str. 278 przyp.

się one zapewne, jak później dubieńskie, w pierwszy poniedziałek po Trzech Królach [1]). Zdolny młodzieniec doznał usilnego poparcia od jednych, uprzejmego przyjęcia od drugich. Dla historyi społecznego stanowiska pisarzy naszych w XVIII wieku ciekawy to rys, że nietylko arcybiskup lwowski, Sierakowski, zapraszał go, jako przyszłego duchownego, do siebie, ale widywali studenta-szlachetkę i hetman Wacław Rzewuski, i Ignacy Cetner, i z ks. Sapiehów księżna Jabłonowska, wojewodzina bracławska.

Zbyteczną było-by rzeczą kreślić tu portret téj, bądź co bądź, niezwykłéj kobiety. Spopularyzowali do pewnego stopnia jéj pamięć najbardziéj dziś czytywani pisarze XVIII wieku.

„Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze".

zapisuje w liście swoim Krasicki, przejeżdżając przez jeden z tych, należących do księżnéj Jabłonowskiéj, majątków. A przedtém jeszcze w liście o podróży z Warszawy do Dubiecka tak się o niéj wyraża:

„I stanęliśmy w Wysokiém,

„Gdzie wdowa a niemodna, z zgorszeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianéj istotnéj zabawy,
Podłą się pracą bawi, śmie myśléć o roli,
I wpośród kmieci swoich bardziéj mieszkać woli,
Niż błyszczéć w wielkim świecie"....

„Zgorszył mię takowy sposób myślenia i postępowania—dodaje bezzwłocznie Krasicki; — będąc zatém w jéj domu, zaraz to sobie w myśli ułożyłem, iż ją przed wielkim światém (tak albowiem teraz z francuska stołeczne miasta zowią) oskarżę.

„Dobrze to było niegdyś, gdy prababki nasze
Wiedziały, kiedy bydło szło z obór na paszę.
Inny wiek, inne prawo; za wdziękiem i modą,
Damy zwyczaj płci pięknéj przyzwoitszy wiodą.
„Mogą dumać o trzodzie, lecz co Filis pędzi,
A wsparte na wygodnéj kanapy krawędzi,
Rozmyślać o pasterzach, o rolach, zagonach,
Lecz pasterzach, oraczach—Dafnisach, Damonach [2])."

Ciekawe zetknięcie się młodzieńca, który pisuje sielanki, z kobietą, która, według Krasickiego, w sielanki się nie bawi, bo zna wieśniaków i sioło. Dodajmy tu jednak zaraz, że jeżeli bohaterowie

---

[1]) J. D. Ochocki: „Pamiętniki". Warszawa, 1882, tom I, str. 63.

[2]) Krasicki: „Różne Wiersze". W wydaniu warszawskiém 1878 r. tom I, str. 340, 341 i 352.

Karpińskiego noszą nazwy ze współczesnéj francuskiéj i niemieckiéj idylli, to różnią się od nich znacznie całym charakterem.

Porozrzucane o księżnéj Jabłonowskiéj po pisarzach przeszłowiecznych rysy zebrał Julian Bartoszewicz, i z tą głęboką znajomością XVIII stulecia, którą posiadał, z któréj i my nieustannie korzystamy, nakreślił wyraźne i ostre kontury postaci[1]). Przeszedłszy już 35 lat wieku, traci księżna w 1764 r. męża, o którym prawie wszędzie tak głucho, jak w Karpińskiego Pamiętnikach, i zaczyna się zajmować polityką, a że nienawidzi Stanisława Augusta, popiera więc konfederacyę barską, któréj generalnym marszałkiem zostaje, dzięki jéj zabiegom, Michał Pac. Pomna zawsze familijnych interesów, nie chce dopuścić do zamianowania Ogińskiego regimentarzem generalnym i wpada do Cieszyna, siedliska konfederacyi, ujmując się za Sapiehą. Za jéj-to wływem miała nawet Francya cofnąć Barszczanom swą pomoc. Księżna ma bowiem rozległe stosunki w Paryżu, a dumna wobec polskiego króla, stara się o względy i wpływy na dworze francuskim i po innych stolicach. Jeszcze za życia męża, przyjmuje tytuł damy austryackiego krzyża gwieździstego. W późniéjszym wieku, porzuciwszy politykę, zajmuje się losem podwładnych i zaprowadzeniem dobréj administracyi w dobrach swych ogromnych. Świadczą dziś o tém drukowane „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców". — Zachowuje przytém zawsze jakąś niezwykłą powagę i dumę. „Była to pani słuszna i chuda—cytuje o niéj Bartoszewicz słowa pani Nakwaskiéj—miała coś wyniosłego w postaci, a wiele dowcipu w mowie. Rozum jéj słynął po kraju szeroko"[2]). Obszerniéjszy i ciekawszy jest jeszcze jéj portret, skreślony przez Seweryna Bukara, który, będąc prawie dzieckiem, widział ją na balu w Łazienkach[3]). „Gdy weszła do sali, król zerwał się z krzesła z pośrodka pięknych i młodych dam i na środek sali na spotkanie jéj wyszedł. Księżna była wzrostu dużego, postawy majestatycznéj, ubrana w staroświecką materyę jedwabną w pasy szerokie, do któréj ozdoby, jakotéż ubiór głowy, zupełnie podobne były do tych wzorów, jakie na portretach kobiet w możnych domach widzieć się dawały. Szła z postawą wspaniałą, ale krokiem dość pewnym i sporym. Król skłonił się jéj dość nisko i pocałował ją w rękę; ona zaś tylko lekko głową kiwnęła, tak, jakby to nie król, ale p. Stanisław Poniatowski, tę cześć oddawał

---

[1]) „Studya historyczne i literackie", tom III, str. 273—356. (Ogólne wydanie dzieł tom. X.

[2]) Tamże, str. 310.

[3]) „Pamiętniki", Drezno 1871, str. 42, 43.

jéj.... ....W życiu mojém nie zdarzyło mi się, jak tylko dwa razy, widzieć tak wspaniałą i imponującą osobę. Druga była pani Szczęsna Potocka, z domu Mniszchówna....“

I czyż to nie jest ciekawém, że księżna przyjmuje u siebie Karpińskiego „z tą dobrocią, która jéj była wrodzoną“? Nie wiedzieć, czy go tam, jak do Rzewuskiego, zawiodła młoda poetycka sława, czy mu raczéj jezuicka protekcya otworzyła wrota. Z tego, co wiemy o księżnéj Jabłonowskiéj, niepodobna dziś zbadać, czy interesowała się dostatecznie umysłowemi sprawami, aby się zająć i młodym pisarzem, który dopiero rokować mógł nadzieje. W każdym razie spotykał u niéj Karpiński nauczyciela swego z tegologii, ks. Starzeńskiego, jezuitę, z którym księżna lubiła rozprawiać. Słynęła ona bowiem, jak twierdzi nasz poeta, z nauki, i czytywała nawet po łacinie. Nie zawsze umiał odpowiadać na jéj pytania ks. Starzeński, którego Karpiński uważał za pierwszą po Bogu istotę, kładąc siebie samego skromnie na drugiém miejscu.

Na podstawie téj relacyi p. Franciszka, twierdzi J. Bartoszewicz, że księżna „sądziła autorów, z najpoważniejszymi gotowa była wejść w dysputy, naturalnie przez zarozumiałość i pewność siebie, że czego nie przyznają jéj nauce, to będą winni jéj stopniowi“ [1]). Karpiński wyciągał jednak z milczenia jezuity zupełnie inną nankę. Może nie zdał sobie z tego sprawy, że kiedy niéma odpowiedzi na pytanie, to wina może być i po stronie pytającego. W każdym razie, widząc tryumf kobiety nad uczonym, spokorniał.

Prócz ks. Jabłonowskiéj, wspomina on i o stosunkach z Ignacym Cetnerem, wojewodą bełskim. Musiał on go jednak znać jeszcze oboźnym koronnym, którym został 30 Stycznia 1762 r.; województwo zaś bełskie otrzymał dopiero w roku następnym 20 Marca [2]). Towarzystwo Centnera interesuje nas zwłaszcza ze stanowiska politycznego: nie wiemy nic o ówczesnych przekonaniach Karpińskiego pod tym względem, i dlatego potrzeba zaznaczyć, że jeżeli ks. Jablonowska nienawidziła Familii a potém Stanisława Augusta, to wpływy te mógł równoważyć Cetner. Urodzony z Krasickiéj i brat cioteczny przyszłego warmińskiego biskupa, zbliżał się on także do stronnictwa reformy i pozostał w osobistych przyjaznych stosunkach z Poniatowskim. Żona jego znów, z domu Potocka, była rzeczywistą córką rodu, który w konfederacyi barskiéj widział często sposób dokuczania królowi. Ale kiedy Karpiński spotkał we Lwowie Cetnera, nie mogły się jeszcze

---

[1]) Loco citato, str. 307.

[2]) J. Bartoszewicz w Encyklopedyi Orgelbranda, tom. V, 88—90.

tak zaostrzać polityczne skłonności; Stanisław August był stolnikiem litewskim, a obożny koronny już nie żył ze swą żoną. Przebywał on w tym smutnym swoim pałacu w Krakowcu, o którym opowiadał Wincentemu Polowi Benedykt Winnicki, oddany swoim ogrodom, zajęty w gabinecie, niczém do innych polskich panów niepodobny. Przyjeżdżał często, zapewne dla interesów, do Lwowa, miał bowiem wielkie majątkowe kłopoty, wśród których, zwłaszcza w czasie konkontraktów, rad był się z Karpińskim rozerwać; zapraszał go prawie codziennie na obiad. Jeżeli był rzeczywiście takim panem na wzór zagraniczny, jakim go Pol przedstawia:

W trzewiczkach z książeczką, coś cedził, chorował,
I tylko Francuzów i kwiaty hodował;

jeżeli przy jego stole mówiono tylko o obcych stosunkach i niepolskim trybie życia,

chwalono dowcipy gdzieś cudze
I kraje, zwyczaje, i księgi, i lice,
I jakieś francuskie, sławne nierządnice;

to dziwił się temu pewno z początku Karpiński, tak jak Benedykt Winnicki. Ale być może, iż tam nabrał właśnie z czasem ciekawości do innego świata i obcéj literatury. Pol uważa to widocznie Winnickiemu za cnotę, że go odmienny i szerszy widnokrąg gorszy, i przekręconą jego francuszczyznę „Musje Żadzinier“ za osobliwą tężyznę uważa. Karpiński, przyszły tłómacz „Ogrodów“ Delille'a, nabrał może albo tam, albo pod tym wpływem, znajomości francuskiego języka, która mu otworzyła trochę widoku na Europę. Księżna Jabłonowska czytywała *more antiquo* po łacinie, Cetner wertował, jak się zdaje, głównie francuskie książki. Dzięki swojéj giętkiéj, wrażliwéj naturze, powinien był przejąć się Karpiński nowemi pierwiastkami, które w atmosferze wielkiego świata spotkał. A nie mieli i jezuici powodu do obawy, kiedy wychowanka u obożnego koronnego widzieli. Bo jeżeli rozprawiano w jego domu o rzeczach i istotach, o których

mówić nąówczas po kraju,
Jak uszy poczciwszy, nie było zwyczaju,

to Cetner był jednak człowiekiem pobożnym, i przyjmując francuski obyczaj, nie przejął się widocznie francuską niewiarą, skoro go Karpiński w chwili strapienia zastał u stóp krucyfiksu. Zdziwiony, czemu tak często do gabinetu wychodzi, wszedł raz za nim i ujrzał go, płaczącego przed krzyżem. Szukał on tam pociechy, doznając od ludzi więcéj złego, niż wdzięczności — i téj chwili właśnie uciekł od interesów, gdzie się z nim ostro obchodził dawny jego wychowaniec, syn

jego ekonoma. — Możemy sobie łatwo wyobrazić, że człowiek dobry, uczynny z natury i uprzejmy, w pożyciu domowém nieszczęśliwy, przez ludzi nieraz źle traktowany, zajął się chłopcem zdolnym, układnym, zapewne już wtedy tkliwym i skłonnym do wrażeń, do okazywania swych uczuć. O dalszych stosunkach nie mówią nic pamietniki. I kiedy po latach zostaje Karpiński nauczycielem wnuka Cetnera, Romana Sanguszki, nie wiemy, czy pamięć dobroci bełskiego wojewody wpłynęła na sympatyę przewodnika dla ucznia.

Ze względu na literacką przyszłość Karpińskiego, najważniejszą była pewno trzecia znajomość, którą zawarł w Lwowie. Wiemy tym razem kto, kiedy i dla czego przedstawił naszego poetę Wacławowi Rzewuskiemu. Nastąpiło to zaraz w pierwszym roku po przyjeździe do stolicy, w czasie kontraktów. „Piszącemu wiersze, ja także piszący i już cokolwiek z téj strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem“. Pośredniczył zapewne ks. Straszeński, zaproszono bowiem Karpińskiego razem z nim na obiad do hetmana. Nie należy tego jeszcze uważać za dowód bliższych stosunków lub osobliwszych względów. U tak wielkich dostojników stały zwykle pokoje w porze obiadowéj dla wszystkich otworem. „Panie bracie — mówił arcybiskup Władysław Łubieński — stół prymasowski jest stół dla szlachty“ [1]). Zwyczaj ugaszczania licznych znajomych i przyjaciół kwitnął zwłaszcza w epoce zjazdów. Ochocki oblicza, że podczas kontraktów dubieńskich roku 1780 i następnych wydaje Adam Poniński najmniéj trzysta dukatów dziennie na śniadania, a miewa oprócz tego przeszło sto osób na obiedzie. Na sesyach trybunału w Lublinie niéma prawie dnia bez ogromnych obiadów, na które wysadzają się marszałek, prezydent i magnaci, przybyli w obronie swoich spraw i interesów [2]).

Jakiekolwiek były stosunki Karpińskiego z hetmanem podówczas polnym koronnym, w jego pamięci pozostał Rzewuski jako pan „słodki i skromny“. Była może między nimi o poezyi mowa, skoro jezuici przedstawili swego ucznia jako wierszopisa, ale czy się hetman zainteresował Karpińskim, czy nie, należy przypuścić, że się młody pisarz zajął dziełami i estetycznemi pojęciami słynnego poety, do którego osobistych znajomych się zaliczał.

A były to właśnie lata działalności literackiéj u Rzewuskiego. Rok 1758 przynosi tragedyę „Żółkiewski“, 1759 komedyę „Natręt“. W roku 1760 wydaje hetman we Lwowie w akademickiéj drukarni

---

[1]) Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, wydane przez E. Raczyńskiego. Wrocław 1844, str. 53.

[2]) Pamiętniki, tom I, str. 51 178.

jezuitów tragedyę „Władysław pod Warną“ i komedyę „Dziwak“, a zarazem w Warszawie zbiorowe wydanie pism, w którém się mieszczą i teoretyczne utwory.—W dziełach scenicznych znać francuskie wpływy, chęć stworzenia polskiego teatru, poprawnego w budowie i formie. Służy Rzewuskiemu w tém przedsięwzięciu jedna tylko wybitna zaleta, ale, jak na owe czasy, ogromna, a jeżeli weźmiemy na uwagę korzyści, które stąd mógł odnosić Karpiński, zaleta wielkiego pedagogicznego znaczenia. Jest nią czystość języka i wiersz potoczysty, jędrny, czasem bardzo piękny. Charakterystyczném jest dla hetmana, że w obydwóch jego tragedyach scena jest w obozie, niemal wśród gwaru bitwy. Miłość i kobiety wprowadzone tylko jakby z obowiązku do ram tych nieodpowiednich. Bohaterki Rzewuskiego mówią wyraźnie, że kochają się tylko w męstwie i w cnotach, a nie w osobie rycerzy; a jeżeli zdarzy się dziewczyna, nieco mniéj obojętna na czułe słowa i miłosne zaklęcia mężczyzny, to miłość ta staje się odrazu zbrodniczą. Na życzenie rozkochanéj i nieszczęśliwéj w swojém uczuciu kobiety, zdradza wołoski wódz Żółkiewskiego i tém sprowadza katastrofę tragedyi. Otrzymuje swoją drogą wzgardę za jedyną nagrodę. Ciekawém jest także dla pisarza hetmana, który w radomskiéj konfederacyi wziął udział, ale odpokutował potém ten krok w Kałudze, że wina klęski cecorskiéj spada w jego tragedyi po części i na króla. Dzięki-to jemu, dzięki intrygom dworskim, musi Żółkiewski stawiać z nielicznym orszakiem czoło przeważnéj potędze.—W późniejszym „Władysławie“ jest jeszcze o wiele mniéj akcyi, a gładko płynące tyrady ani nie charakteryzują postaci, ani na rozwój sztuki nie wpływają. Przez cztery akty zajmują wszystkich tylko złowrogie przeczucia, a w piątym dowiadujemy się z klasycznéj opowieści, na wzór francuskich tragików, o klęsce i śmierci Warneńczyka, jego przyjaciół i żołnierstwa. Role dwóch kochających i kochanych kobiet, dwóch sióstr, jak w „Żółkiewskim“, są w budowie sztuki zupełnie bez znaczenia. Ratują całość tylko piękne tyrady i piękne modlitwy, ratuje ją wiersz trzynasto zgłoskowy, rozpadający się zazwyczaj, dzięki stałéj średniówce i dzięki antytezie pojęć, na dwie części, wiersz, pełen tych wyrażeń krótkich, silnych i efektownych, które-by na teatrze musiały wywołać oklaski. Język podtrzymuje tragedye i dopisuje wybornie w komedyach. Czystość jego i żywość nadaje dziełom tym, treścią nie samodzielnym ale odtworzonym, jakby werwę i świeżość oryginału. Bo w tragedyach jest przejęta od francuskich wzorów górność uczuć i rycerska egzaltacya, nazwana miłością, w komedyach napotykamy cały świat francuskich podobnych utworów, intrygę zaplątaną i rozplątaną przez sprytnego lokaja i przekupną służącą, zestawienie starych, rozsądnych a ciasnych, i młodych, do dziwactwa

nieraz skłonnych osób. „Natręt“ nie jest bynajmniéj naśladowaniem utworu Molière'a „Les Fâcheux“, jakby to tytuł zdawał się zapowiadać: chodzi tu raczéj o proste oszustwo, niż o towarzyskie natrętctwo. W „Dziwaku“ jest natomiast choć kilka rysów, zbliżonych do Molierowskiego „Odludka“. Bohaterem jest Warszawiak, przybyły na wieś, który czuje się w obowiązku mówić całemu światu niemiłe prawdy w oczy. Na szczęście leczy go miłość z téj choroby. Intryga jest w obydwóch komedyach bardzo błahą i wcale o nią autorowi nie chodzi. Musiał on brać zewnętrzną sukienkę za treść i dbał o to, aby w tragedyi była podniosłość w wysłowieniu i pewien polot w tyradzie; w komedyi szukał zaś komizmu w dyalogu i nie cofał się przed silniejszym wyrazem. Miał on zaś rzeczywiste poczucie stylu i języka, na którego czystość kładzie nacisk w poemacie p. t. „O nauce wierszopiskiéj“, umieszczonym na czele zbiorowego wydania. „Słów jednak obcych strój mu nie przystoi—mówi Rzewuski o poemacie:—milsze ojczyste są, niźli wyrodne“. Cała jego poetyka, tak ogólnikowa, że istotę jéj scharakteryzować trudno, opierała się zapewne na rozsądku i mierze, jak u Mikołaja, Boileau. Oto bowiem co radzi poecie:

Niech się zbyt w górę z orłami nie wzbija,
Niech się z żółwiami nie czołga po ziemi,
Niech i upadki, i ulgnienia mija,
Niech z lekka dąży drogami średniemi.
Laur dla mierności Apollo uwija....

Podobne dążenia tłómaczą się łatwo. Jak Boileau po niesfornych i pedanckich epigonach Odrodzenia, tak pisze Rzewuski po najgorszych Renesansu wybujałościach, w epoce żywego jéj panegiryzmu i baroku.

Prozaiczna rozprawa „O nauce krasomówskiéj“ ciekawą jest, zwłaszcza dla obszernego ustępu „o wyborze słów“, z którego pierwsze dwa zdania przytoczę: „Słowa doskonałe są te, które doskonale i istotnie myśl wyrażają, które ani są podłe, ani nazbyt wyszukane, które są ojczyste a nie z obcych języków zaciągnione i przysposobione. Wybór słów nabyć się może pilném czytaniem słynących czystą polszczyzną krasomówców, jako to: Skargi, Wuyka, mów dobrych sejmowych i sejmikowych“. Do rozdziału dodaje Rzewuski szereg wyrazów i zwrotów, które za czystopolskie i „poważnéj mierności“ bliskie uważa, a które z użycia wychodzą. Spotykamy tam wiele słów, mających dzisiaj zupełne obywatelstwo, obok niektórych bardzo ciekawych na epokę zwrotów: „bezbramne miasto, ciszeje wiatr, chruśnieją pola, leśnieją pola, liścieją drzewa, kawęczyć, skapieć marnie, stowarzyszyć się z kim, wieczorne posiedzenie albo Assamble....

Mógł więc znaleźć Karpiński w otoczeniu swojém lwowskiém zachętę do poetycznéj twórczości i do baczenia na język, do którego czystości w literaturze także się potém przyczynił. Obok tych zajęć i rozrywek, szły pewno spokojnym torem i nauki. Widzimy go na dysputach, gdzie się po skończeniu kursu spierają profesorowie jezuici z profesorami innych zakonów i lubią ich upokarzać publicznie, dopóki ich Bazylianin Nestorski pokory a zarazem pobłażliwości nie uczy. Karpiński oddaje się teologii, gotując do dysputy po skończeniu studyów. Ciekawą jest rzeczą, że téj-to właśnie nauce zawdzięcza jedyną miłosną awanturkę, o któréj w czasie lwowskiego pobytu wspomina. Zabiera znajomość z dziwną kobietą, żoną niejakiego lwowskiego mieszczanina, Tamburiniego, od dziada spolszczonego Włocha. Piękna, uczona w piśmie świętém, wymowna, miewa ona w domu kazania, pełne chrześciańskiego ducha, a przytém udaje, że żyje, nic nie jedząc. Karpiński bywa w jéj domu, i raz następuje scena analogiczna do téj, o którą się na niego gniewała Maryanna Broselówna. Kto nie pamięta sceny z chustką w III akcie *Tartuffe'a*, z chustką, którą świętoszek rzuca na szyję Dorynie? Otóż i tu jest z początku udawanie cnoty i dysput teologicznych, ale właśnie chustki jest brak zupełny. Strój kobiet ówczesnych ułatwiał ciągłe takie zdarzenia w życiu Karpińskiego[1]). Lwów miał, według Ochockiego, „słusznie opinię dosyć wolnych obyczajów; w istocie saméj panowała tu daleko większa, niż gdzieindziéj u nas, swoboda“, a chociaż się słowa mozyrskiego cześnikowicza odnoszą do lat porozbiorowych, trudno przypuścić, aby to rozluźnienie nastąpiło odrazu[2]). Karpińzki nie wspomina o tém wcale, okazuje nam tylko jeden przykład wielkiego zepsucia pod sukienką dewocyi i osłoną duchowieństwa. Oszustwo pani Tamburini odkryło się jednak niebawem po przybyciu do Lwowa nowo mianowanego arcybiskupa, ks. Wacława Hieronima Sierakowskiego. Ingres jego odbył się dnia 28 Września 1760 r.)

Był to znany przyjaciel Jezuitów; dzięki-to im zapewne, poznał go Karpiński, może w dzień swojéj dysputy, którą „nieźle“ odbył po ukończeniu teologicznych studyów. Arcybiskup był na niéj obecny i oddawał mu za nią pochwały, a nawet zaprosił go na obiad do siebie. Namawiał go téż do obrania duchownego stanu, kiedy się zaś nasz poeta zasłaniał brakiem powołania, radził mu czas do namysłu

---

[1]) „Pamiętniki Ochockiego“, tom II, str. 218, 219.

[2]) Tamże, tom I, str. 313. Por. także tom II, str. 206 i III, str. 25, 35.

[3]) Maurycy hr. Dzieduszycki: „Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego“, Kraków, 1868 str. 101.

i modlitwę. Minęły trzy środy, które miał spędzić na poście, i Sierakowski wezwał go znowu do siebie. Widzieliśmy, że miłość do Maryanny nie pozwalała Karpińskiemu wstąpić do jezuickiego nowicyatu, pojechał jednak na teologię do Lwowa. Tam go świat pewno nęcił i uśmiechała mu się może sława. „Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszymi przyjęcie zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojéj biegłości w filozofii i teologii“. Nie dodaje on, co prawdopodobna, że i poetyckiéj sławie. Nie chciał bowiem włożyć nawet świeckiéj sutanny, i na powtórne zapytanie arcybiskupa odpowiedział, że woli „być znośnym człowiekiemj niżeli niedobrym księdzem“. Pomimo tego, łask ks. Sierakowskiego nie utracił.

Z akademii wyszedł, jak twierdzi, „nauk wyzwolonych doktorem a św. teologii bakałarzem“, ale myli się prawdopodobnie co do daty promocyi. Według Karpińskiego, nadano mu te tytuły podczas drugiego roku teologii, z okazyi podniesienia szkół jezuickich do godności akademii. Stało się to, jak wspomniałem, d. 11 Grudnia 1759 r. Wiadomo, że przysłano umyślnie z Zamościa studenta, aby wobec nieprawności aktu protestował. Kazano go wyrzucić, „a ja — mówi praktyczny Karpiński—pewniejszéj się rzeczy chwytając, berłem mojém w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem....“ Obronili go sami Jezuici i wyprowadzili z kościoła, o co ich długo potém oskarżał Hugo Kołłątaj. Karpiński przypomina sobie tak dobrze scenę, że zapisuje dokładnie swój strój w dniu pamiętnym. „Ja, doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien w płaszczyk czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami naokoło, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonéj i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającéj, biret mi włożono“. Jakże z tém pogodzić zapiskę współczesną, ogłoszoną przez D-ra Wł. Wisłowskiego, a wymieniającą sześciu studentów, promowanych w d. 11 Grudnia 1759 r.?[1]) Niéma w niéj nazwiska Karpińskiego, a notatka dodaje, że sześciu tylko mianowano doktorów. Nie pozostaje nam, jak przychylić się do hypotezy p. Wisłockiego i przypuścić, że Karpiński mógł otrzymać tytuł doktora, ale kiedy indziéj. Wszak w dniu otwarcia akademii był dopiero uczniem drugiego kursu teologii.

---

[1]) Por. „Kłosy“ z 6 Września 1877 r. tom. XXV, str. 154.

III.

Brak dokumentów, odnoszących się do całéj młodości Karpińskiego, jest tak zupełny, że świstek papieru, zapisany jego ręką, skrypt, pozbawiony istotnéj biograficznéj wartości, byle tylko od niego pochodził, wydaje się historykowi poety aktem pełnym wagi. Nie waham się więc przytoczyć w całości wspomnianego już raz listu z r. 1763, a to tém bardziéj, że jest on najdawniejszym ze znanych mi autografów naszego pisarza. Pochodzi z bogatego zbioru pp. Cieńskich w Otnie i został wystosowany do owego pułkownika Wojciecha Cieńskiego, któregośmy po raz pierwszy spotkali w Otyni w dzień pogrzebu Roszczyca.

Wielmożny M-ci Dobrodzieiu!

Zaiechaliśmy szczęśliwie do Lwowa, a Olesińskiego z wozem y z końmy odsyłamy, któremu na drogę do Zołczowa (sic) dałem Złt. 5 Gr. 15, co się według świadectwa wszystkich od dwóch Talarów zostało. Krzywdy żadnéy w iedzeniu nie mieliśmy, świadkiem Olesiński, ani staienni. Tylko Pan z respektu swego zechce to mocno zganić Stangretowi y Forysiowi, że w Tadyni na popasie kapłona, w Bubrce kapłona y prosie na noclegu wzieli a to trakt publiczny przeieżdża się często, to nie będzie pięknie. Co Pan Dobrodz. im przypomni.

Lubacki pieniędzy żadnym sposobem dać nie chce na kwit Pani, Jowela zaś skontraktowałem za sto słotych aukcyi. Brzytew szlufowaną odsyłam.

JM. Panu Chorążemu służyć według rozkazu Pańskiego in Clementia przyrzekam tylko téż respektu Pańskiego suplikuię, ażeby respekt Państwa Dobrodziejstwa powiększył mi roczney pensyi bo za 150 złotych trudno mi się jak honor Pański każe oporządzić, przyuaimniey Panie móy złotych dwieście niech biorę, wszakże tego nadaremnie nie stracę, ale w oczach pańskich prezentować się będę. O co przy pokornem do nóg upadaniu upraszając piszę się na całe życie

WWM. Pana Dobrodz. wiernym
sługą y nayniższym Podnożkiem
F. Karpiński,

z Lwowa
d. 4. D-bris
1763.

W JMci' Pani Chorążyny Dobrodz. y W Jmci Panny Skarbnikówny Dobrodz. nogi całujemy. Funt Tabaki odsyłam y Strucelek za złoty.

Z Drezna fert, że Król Jgm. zapewne umarł, zkąd w Lwowie niemałe zamieszanie [1]).

Pod spodem dopisano inną, dziecinną, jak się zdaje ręką:

P. S. Ja także całuie nogi WWac. Pana Dobrodzieia. Jako też Wlm. Panią Choronżynę Dobrodzikie. WJm. Pannę Skarbnikuwnę y WJm. Pana Brata serdecznie za nogi sciskam.

Józef Cieński mp.

Z listu tego dowiadujemy się, że w r. 1763, t. j. kiedy, według wszelkich przypuszczeń, Karpiński ukończył czy kończył teologiczne studya, wiązały go jeszcze bliższe stosunki z rodziną Cieńskich. Przyrzeka „służyć JW. Panu Chorążemu“ t. j. owemu Józefowi Maurycemu, który nie umie jeszcze ortografieznie pisać; prosi o podwyższenie płacy. Nie wiedzieć, czy mu jéj udzielono, zdaje się wszelako, że nie pozostał dłużéj przy pupilu, skoro, jak sam w pamiętnikach powiada, opuściwszy kolegię, poszedł w prawie szukać szczęścia, a po roku wyjechał ze Lwowa.

List nasz jest nadto o tyle ciekawym, że może służyć za dowód ważnéj w charakterze Karpińskiego zalety, którą jest ciągła drobiazgowa dbałość o reputacyę uczciwego człowieka. Żąda on z jednéj strony słusznéj nagany dla służby, kradnącéj po drodze, i motywuje to bardzo praktycznie: „trakt publiczny, przejeżdża się często, to nie będzie pięknie“. Z drugiéj strony nie zdaje on wprawdzie rachunku z powierzonych dwóch talarów, ale twierdzi, że ani krzywdy w jedzeniu nikomu nie wyrządził („świadkiem Olesiński“), ani nic dla siebie nie zatrzymał, bo się 5 zł. gr. 15 „według świadectwa wszystkich, od dwóch talarów zostało“. Drobny to przykład całéj strony charakteru Karpińskiego, zalety, która właśnie w téj epoce wpłynęła na dalszą jego karyerę.

Skończywszy teologię, a nie czując w sobie powołania ani ochoty do stanu duchownego, musiał się p. Franciszek rozejrzéć za sposobem utrzymania, za kawałkiem chleba. Po ojcu pozostała zapewne niewielka spuścizna. Dwie drogi stały wówczas przed uboższymi otworem: pójść na dwór pański, albo oddać się palestrze. Wobec majątkowego stanu Karpińskiego, oznaczał dwór służbę, a on się jéj tak

[1]) Wiadomość przedwczesna. August III umarł nazajutrz 5 Października 1763 roku.

lękał, że przed taką obawą porzucił Maryę Broselównę. Do palestry usposabiały go zaś dwie okoliczności: znajomość łaciny, o któréj już wspominałem, a którą w tym ustępie Pamiętników sam Karpiński sobie przyznaje, i chęć odznaczenia się, ambicya może i oratorska skłonność, któréj raz dał był dowody. Poszedł tą ostatnią drogą, wiedziony może nadzieją, że się, jak tylu innych, dorobi znacznego majątku. Poszedł w każdym razie drogą, naówczas powszechną i odpowiadającą zapewnie szlacheckiéj jego naturze.

Samo wychowanie ówczesne wyrabiało przedewszystkiém palestrantów, bo cóż ono dawało, prócz wprawy w mówieniu publicznie, retorycznego zacięcia i znajomości łaciny? Społeczeństwo całe miało nadto popęd do prawowania się, do krasomówstwa sądowych sal, żyło prawnemi sporami i całą swą drobną potrzebę teoretycznych pojęć zaspakajało w prawnych i prawno-politycznych kwestyach. Bo zważmy tylko, że na polu oderwanéj myśli i oderwanéj od bezpośredniego skutku nauki nie wydawało już nic od wieków. Począwszy od XVI stulecia, w epokach, kiedy na Zachodzie wrzały spory na polu przyrodoznawstwa i zdobywano się na coraz nowe wynalazki, niema u nas ani jednego głośniejszego myśliciela, jednego wielkiego przyrodnika. Ile było teoretycznych naukowych skłonności, tyle zwróciło się wśród szkolarzy do retoryki i penegiryzmem owianych produkcyi, wśród żyjącego zaś pełniejszém życiem społeczeństwa—głównie ku poszczególnym prawnym kwestyom, które się, dziwném złudzeniem, wydawały doniosłemi w praktyce. Szlachta prawuje się z sobą o miedzę i z królem o władzę. Na tronie siedzi zazwyczaj król malowany, a przynajmniéj tak skrępowany prawem pisaném i zwyczajowém, tak mądrze opisany, że działać wcale nie może, a kraj ciągle myśli o tém, by jego władza nie przeszła w „absolutum dominium“. Myślał-byś, że zamachy stanu grożą co dzień, i że same despotyczne natury zasiadają na tronie. Również ile zupełnie teoretycznych pomysłów napełnia całą naszą literaturę polityczną! Jest w tém podobno wpływ epoki Odrodzenia. Wiadomo, jakie abstrakcyjne pojęcia wywołała ona na Zachodzie, jak one przeszły w krew narodów, jak się we Francyi objawiały aż w czynach i prądach wielkiéj Rewolucyi. Być może, że drobniejsza nasza teoretyczność, objawiająca się w gotowości prawowania dla punktu honoru aż do ostatniego grosza, widoczna nadto w politycznéj naszéj akcyi i literaturze, pochodzi także od Renesansu i ma ojca w takim uczonym na prawie rzymskiém polityku, jakim był Jan Zamoyski.

Pamiętniki XIII-go w. prawią bez końca o sprawach, trybunałach, prawniczych wykrętach, majątkach utraconych przez procesowanie się i—niestety—o przekupstwie sądzących. Nawet po odrzuceniu

wszystkich przesad, w które z natury rzeczy obfituje satyra, pozostaje w uwagach i nawoływaniach jednego Krasickiego straszny akt oskarżenia na całe sądownictwo przeszłego stulecia. W taki świat dostaje się nasz Karpiński. Jeżeli go możność retorycznych popisów pociąga, to musi go niebawem wątpliwa uczciwość odepchnąć. Obdarzony talentem, a — przy całéj poetycznéj prostocie, — niepozbawiony sprytu, którego dowody lubi potém składać w uszczypliwych odpowiedziach, zyskuje on tam sobie szybko uznanie i złotówki. Poznano się na jego zręczności w pisaniu pozwów, zazdrościli mu młodsi koledzy, zdobywał sobie stanowisko w palestrze. Naraz zgłasza się do niego klient, którego sprawa wydaje się Karpińskiemu zupełnie niesłuszną. Od czego jednak zdolności? Szlachcic ofiaruje kilkadziesiąt dukatów i p. Franciszek pisze pozew krętacki. Niebawem przyszły wyrzuty sumienia, słowa umierającego ojca zaczęły mu w uszach dzwonić, odzywa się obawa, że nieuczciwe postępowanie wykryje się i między ludźmi rozgłosi. Kiedy nadeszła kadencya sądowa, na któréj miano wytoczyć tę sprawę, Karpiński oddał „zwodzicielowi“ pieniądze i zagroził, że jeżeli nie pogodzi się z przeciwnikiem i zrobi z pozwu użytek, to on sam, z narażeniem własnéj przyszłości, wyda całą sprawę. Stanęła rzeczywiście umowa między stronami, ale sumienie musiało ciężko trapić Karpińskiego, musiało go głośno ostrzegać, że droga jest śliską a jego charakter jest miękki, skoro, mimo poczynającego się rozgłosu i rosnących zysków, porzuca on po roku stan, w którym zbyt łatwo było wchodzić w targ z uczciwością. Pozostaje więc znów bez zajęcia, opuszcza Lwów, a może i posadę u Cieńskich, którą mógł ostatecznie z sądową praktyką połączyć. Jedzie na Pokucie do matki i rodzeństwa. Zaczyna się wtedy żywot, o którym mamy bardzo niewiele wiadomości, zapewne żywot bezczynny i tułaczy, zakończony pobytem w Wiedniu w r. 1770 i 1771. Wierna wielbicielka poety, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, autorka najwcześniejszéj o nim biograficznéj notatki, opartéj na ustnych tradycyach raczéj, niż na dokumentach, twierdzi wprawdzie, że Karpiński „nie jadł nigdzie darmo chleba“ [1]), ale, sądząc z własnych jego pamiętników, należy przypuszczać, że przez cały przeciąg czasu, sięgający mniéj więcéj od 1764 do 1770 r., nie miał on żadnego stałego zajęcia i jeździł od komina do komina, protegowany to przez majętną szlachtę, to przez wysoko postawioną kobietę. Ocierał się o świat i ludzi, uczył w téj szkole, którą Marcin Koziebrodzki nazywał większą od lwowskiéj. Umysłowo musiał się w życiu towarzyskiém rozwijać. Na tę

[1]) „Rozrywki dla dzieci“ z 1 Grudnia 1826 r.

epokę przypadają zapewne wiersze do drugiéj Justyny; zresztą uczył się pod jéj kierunkiem po francusku, a dawne teologiczne studya zużytkowywał po dworach szlacheckich. W Pamiętnikach wydaje się on jakimś dworakiem-rezydentem, który, zamiast śmieszyć, jak inni, konceptami, ściera się wobec pana, w nieustannych dyalektycznych walkach. Zresztą prowadzi życie bez planu. Żadnéj wytkniętéj drogi praktycznéj, żadnych wyraźnych literackich zamiarów. Jak La Fontaine, jak J. J. Rousseau—aby go raz jeszcze z większymi od niego porównać—żyje bezcelowém życiem do 40-go roku, by potém niemal przypadkiem stać się popularnym pisarzem.

Rzuciwszy palestrę, pojechał do Chocimierza, gdzie, jak własnoręczna jego zapiska w księdze kościelnéj świadczy — był ks. Antoni Karpiński od dnia 22 Lipca 1764 r. proboszczem. Jeżeli się będziemy nadal trzymali przypuszczenia, że, pisząc ów list, datowany d. 4 Października 1763 r. ze Lwowa, już był Karpiński ukończył teologię, jeżeli dodamy rok na palestrę, wypadnie przyjąć, że około jesieni lub zimy 1764 r. stanął w Chocimierzu, gdzie, jak się w Pamiętnikach wyraża, brat jego już był wtedy proboszczem. Jak niegdyś wraz z mężem w Otyni, mieszkała pani Karpińska i teraz przy starszym synu „na dewocyi“. Kolatorem był ów wspomniany Marcin Koziebrodzki, a że stosunki między dworem i plebanią były pewno bliskie, poznał on niebawem p. Franciszka, polubił go i wywarł nawet potém znaczny wpływ na jego losy. O samym Koziebrodzkim wiemy, niestety, zbyt mało [1]); papiery familijne zaginęły, jak to zwykle u nas bywa, do szczętu, przepadły wśród krajowych zamieszek i rozproszenia rodziny. Z Pamiętników naszego poety wygląda jednak postać jego dzielna i poważna. Należy on do tych rzadkich ludzi, którzy się w palestrze dorobili uczciwą drogą znacznego majątku. W roku 1764 ma on zaledwo lat 45, a liczy się już do bardzo zamożnych ludzi. Zaczął z niczém, na starość posiada do stu tysięcy intraty. Opuścił ziemię Płocką, z któréj pochodził, i przeniósł się na Ruś, służył wojskowo, posłował, np. na sejm elekcyjny 1764 r. [2]). Obok jego nazwiska czytam różne urzędy i godności: pułkownika wojsk królewskich, sędziego grodzkiego halickiego, łowczego trembowelskiego. W kalendarzykach politycznych z 1777 i 1780 r. spotykam go wy-

[1]) Jedyném znaném mi źródłem wiadomości o Marcinie Koziebrodzkim jest, nie zawsze dokładna, „Złota księga szlachty polskiéj“ Żychlińskiego, tom VI, str. 186—188. Uprzejmości ks. Ziembowicza zawdzięczam wiadomość, że Koziebrodzki umarł w Chocimierzu d. 15 Lutego 1787 r., mając lat 68.

[2]) Nie wymienia go jednak Oswald Pietruski, „Elektorów poczet“, Lwów, 1845.

mienionego, jako podsędka ziemi halickiéj. Tytułuje się olchowieckim i chreptowieckim starostą. Po pierwszym rozbiorze jest radcą sądu apelacyjnego we Lwowie; w r. 1781 nadaje mu Józef II tytuł hrabiego, wciągnięty dnia 16 Września 1785 r. do metryk koronnych. W niespełna dwa lata umiera panem na Czerniatynie, Oknie, Kałuszu, Kudryńcach, Żabokrukach, Chocimierzu, Łuce, Harasymówce. Żonaty dwa razy, ze Świejkowską i z Broniewską, pozostawia liczną rodzinę i dobrze wydaje córki za mąż. Jedna, Ignacya, wychodzi za Szeptyckiego, druga, ukochana przez Karpińskiego, Franciszka, za Puzynę, trzecia, Urszula, za Przybysławskiego. Prowadzi dom otwarty, lubi towarzystwo, jest „nadewszystko w posiedzeniach zabawnym“. Nie stronią w Chocimierzu od kielicha i, sądząc z praktycznych usposobień gospodarza, mniéj dysputują o teologii, niż w okolicznych domach. Za to jest tam dostatnio, wesoło, swobodnie. Koziebrodzki, który Karpińskiego polubił „jak syna“ i dawał mu tego potém dowody, wprowadzał go teraz w koła towarzyskie, zapoznawał z sąsiedzkiemi domami i, jak się zdaje, zawiózł do pobliskiego Zahajpola, do Ponińskich.

Mieszkały w okolicy trzy córki Ludwika Kalinowskiego, kasztelanica kamienieckiego, starościca, późniéj starosty grodowego winnickiego [1]). Żonaty dwa razy, z Zofią Potocką, wdową po pisarzu litewskim Puzynie, i z Elżbietą Ponińską, kasztelanką poznańską, zostawił liczne córki, z których nas trzy chwilowo obchodzą: Maryanna, córka Potockiéj, wydana za Józefa Ponińskiego, Tekla za Antonim Bielskim, wreszcie trzecia za Mrozowickim. Poznawszy pierwszą z nich u niéj saméj, w Zahajpolu, zawarł niebawem, dzięki jéj, znajomość z tamtemi. Podziwiał wysłużonego regimentarza partyi ukraińskiéj, starego Mrozowickiego, który miał wiele przygód za sobą, wiele sił i majątku dla dobra publicznego stracił i żałował tylko, że, czując w sobie tyle ochoty do służenia ojczyźnie wojskowo, nie miał teraz żadnéj do tego okazyi. To téż, kiedy zaczęto potém rozrzucać po kraju barskie manifesta, wybrał się na wojaczkę z dwoma synami i pocztem kilkudziesięciu zbrojnych. Pilnował zresztą w domu starego zwyczaju, wspominał bitnych przodków i starał się żyć, jak oni Karpińskiemu było u niego dobrze, ciągnęły go „piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszemi, równie jak ich ojciec

---

[1]) Co do Kalinowskich, a zwłaszcza Maryanny z Kalinowskich Ponińskiéj, por. Niesieckiego (wydanie Bobrowicza), tom VI, str. 15; Zychlińskiego, tom III, str. 215; Błeszyńskiego „Senatorów poczet“, str. 20, oraz „Księgę Domową Dzieduszyckich“, str. 324, 325, oraz tablicę genealogiczną D.

i matka"; ale jeżeli nie siedział w Zahajpolu, wolał podobno pobyt u Bielskich, o których daleko więcéj w Pamiętnikach mówi. Dwór ich w Pieniakach musiał być okazały i świetny. Trzymano na nim błaznów,—to samo już pozwala nam sądzić o stopie przepychu. Prócz roju dworzan, posiadał dom w Pieniakach kapelę, zwykłą podówczas przynętę wielkopańskich dworów: pamiętniki Feliksa Łubieńskiego świadczą, jaką popularność można sobie było zjednać w XVIII stuleciu, jeżdżąc na fety ze swą orkiestrą, lub użyczając jéj znajomym. Dodajmy, że Bielski, łowczy nadworny koronny, a po pierwszym rozbiorze cesarski, dbał o polowania, że miewał często gości huk, że kręciły się zawsze skore do tańca panny w Pieniakach—było ich podobno pięć domowych, a pojmiemy łatwo, dlaczego korzystał Karpiński ze znajomości i łaskawości gospodarza. Nie było zgromadzenia, nie było uczty bez p. Franciszka. Sprytny, stosunkowo dość wykształcony, giętki, cieszył się on za młodu stałą „miłością ludzką". Przynosiło mu to tym razem i zaszczyt, że p. łowczy, a zarazem podkomorzy J. K. M., otaczał go taką opieką i dobrocią. Bo był to rzeczywiście dobry człowiek i dobry patryota, a pieniądze miał nie tylko na utrzymanie dworu. W czasie konfederacyi barskiéj, stokonna, jego kosztem uzbrojona chorągiew, poszła zwiększać szeregi Barszczan. Pani domu słynęła podówczas także z cnót i zaliczała się do grona tych poważnych staropolskich matron, których tradycya przechowała się po dziś dzień, a między któremi wspomnę tylko miecznikową koronną Humiecką i, tak znaną z dowcipu, kasztelanową kamieńską, z Potockich Kossakowską. Cały dom w Pieniakach musiał, podobnie jak dom Mrozowickich, nosić cechę nawskróś polską, konserwatywną, może nawet miał odcień téj zacofanéj, szlacheckiéj rubaszności, którą w Warszawie zwano późniéj sarmatyzmem. Wiemy np., że, jak w Chocimierzu, tak i w Pieniakach, nie lękano się kielicha, że, jak Koziebrodzkiemu, tak i Bielskiemu, zdarzało się być nietrzeźwym. Zabawy nie wydają mi się także nowomodnemi: tańczą w Pieniakach i polują, a kiedy sobie chce pan domu zrobić przyjemność, wywołuje wśród obecnych księży teologiczną dysputę z Karpińskim, cieszy się dyalektycznemi sztuczkami. Zabiera więc głos „nadworny teolog Bernardyn", czyli zapewne, mówiąc prościej, kapelan, przyjeżdżają Dominikanie z pobliskiego Podkamienia i ci mają skąd czerpać argumenta. W ogromnym ich klasztorze panuje dość ożywione umysłowe życie, czego najlepszym dowodem jest własna drukarnia [1]). Raz, kiedy tak

[1]) E. Helleniusz: „Rozmowy o polskiéj koronie". Kraków, 1873 Tom I, str. 438, 439.

wrzała walka między Karpińskim, Bernardynem, regensem teologii z Podkamienia i jego lektorem, zjechał jeszcze naraz Bazylianin, ks. Nestorski, ten sam, co we Lwowie zbijał w oczach naszego Franciszka najsubtelniejszych jezuitów. Więcéj niż rozstrzygnięcie sporu, więcéj niż znana jego skromność, zaimponowało to Karpińskiemu, że razem z braciszkiem zakonnym chodzi ks. Nestorski za pługiem. Człowieka, który o mało nie został zakonnikiem, ale zaczął natomiast pisywać sielanki, pociągało to proste, sielskie zajęcie wśród mniszego żywota. Przypomina on ustęp pierwotnéj benedyktyńskiéj reguły, nakaznjący młodym pracować przy roli. Dysputuje sam, jak istny jezuicki wychowanek, ale ma może poczucie czczości takich rozpraw, ma w każdym razie wrodzony szacunek dla prostéj, zdrowéj pracy. Nie trzeba-by przypuszczać, aby sentymentalny Karpiński był pozbawionym praktycznego kierunku w umyśle. Mógł się więc łatwo stać echem tylu głosów w XVIII wieku, zarzucających zakonom próżniactwo.

W domu, którego znajomość największy na Karpińskiego wpływ wywarła, w Zahajpolu, nie mówiono pewno tyle o teologii, jakkolwiek pani Ponińska była skora do rozprawiania, a nawet w podeszłym wieku dosyć sprzeczna. Tym razem musimy sobie wystawić świat wytworniejszy, bardziéj wykształcony, mniéj swojski. Kiedy się pani domu zainteresowała Karpińskim, zaczęła go uczyć po francusku, przestrzegać jego obejścia się z ludźmi. Znalazł on w Zahajpolu, „tak w mężu, jak i w żonie, edukacyę wyższą, wiadomość rzeczy większą“, niż gzieindziéj. Józef Poniński był, „przy wielu języków i umiejętności posiadaniu, wielki razem samochwał“. Przykłady rozwiniętego umysłowego życia, szerokiéj działalności politycznéj w kraju i za granicą, znalazł już w rodzinie [1]). Ojciec jego. Antoni, pisywał wiersze łacińskie, bywał marszałkiem na sejmie elekcyjnym 1733 i na koronacyjnym 1734 r., posłował za granicę, został w 1738 r. wojewodą poznańskim. On sam, Józef, urodzony z Zofii Worowniczówny, chorążanki owruckiéj, jest od 1737 r. starostą grodowym piotrkowskim i starostą osterskim. Dzień 17 Kwietnia 1758 r. przynósł mu tytuł generał-majora wojsk koronnych. Karyera jego jest więc bardzo świetną, a jeżeli go Julian Bartoszewicz zowie w niewydanym manuskrypcie „intrygantem, do nikczemnych spraw używanym“,

[1]) O Ponińskich Antonim i Józefie por. „Przypiski Krasickiego i Niesieckiego“ (w wydaniu Niesieckiego przez Bobrowicza, tom VII, str. 384); Żychlińskiego tom I, str. 300, tom V tablicę; „Księgę domową Dzieduszyckich“, str. 324, 325; Błeszyńskiego str. 73.

to, obok głębokiéj nauki historyka, trzeba wziąć pod uwagę i świetność karyery Ponińskiego [1]). Znający zepsucie XVIII w., Bartoszewicz nie miał zaufania do ludzi, którzy się szybko wybijali naprzód; pod każdém powodzeniem wietrzył brzydką sprawę.

Żonę jego charakteryzuje sam Karpiński, który się w niéj kochał, jako osobę o nieładnéj głowie, wzroście okazałym, i o tych fizycznych zaletach, które kobiecie nadają jakiś arystokratyczny urok: miała płeć „najbielszą“ i „rękę najpiękniejszą“. Przytém rozumna, bardzo wykształcona, uprzejma gospodyni, wierna żona. Urodzona 1727 r., utraciła matkę, mając trzy lata, i poszła wcześnie za mąż, skoro w r. 1748 jest już matką córki Józefy, wydanéj w 1786 r. za Waleryana Dzieduszyckiego [2]). Genealogia wspomina nadto o trojgu innych dzieci: drugiéj córce i dwóch synach.

Cały dom, całe życie w Zahajpolu podobało się naszemu poecie; spotykał się u Ponińskich z widnokręgiem szerszym, z wyższą umysłową kulturą. „To mnie zachęciło—pisze on—że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem“. W jakiéj roli? Czy młody ten chłopiec bez stanowiska, koligacyi, bez sławy,—bo czémże jest dla ludzi światowych reputacya nieźle odbytéj uniwersyteckiéj dysputy? — czyż mógł ten nie znany nikomu student przebywać tam po prostu w roli mile widzianego gościa? czy przyczyniał się do zabawy towarzystwa i samych państwa? czy umiał się stać użytecznym i zajął stanowisko preceptora? „Ona sama—mówi o pani Ponińskiéj Karpiński—początków języka francuskiego uczyła mnie, a jéj synów łaciny“. Niedokładne, niepoprawne to zdanie—jak tyle zdań w prozie naszego poety—ma pewno znaczyć, że dawał on młodym Ponińskim lekcye łacińskiego języka [3]). Dość na tém, że siedział on długo w Zahajpolu, a nawet, kiedy pan domu wyjechał na dłuższą podróż za granicę, on pozostawał na miejscu.

Powoli bowiem wyrodziła się z tego obcowania z mądrą kobietą miłość. „Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jéjmości i to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza do

---

[1]) Dalszy ciąg spisu dostojników, drukowanego niegdyś w „Bibliotece Warszawskiéj“, posiada hr. Zygmunt Pusłowski w Krakowie.

[2]) „Księga domowa Dzieduszyckich“, na str. 325 widoczny błąd drukarski: 1738 zamiast 1748.

[3]) Gdyby sama pani Ponińska udzielała téj nauki, byłby Karpiński powiedział „swych synów“, a nie „jéj synów“,

wszystkiego, co dobrém jest, była powodem dla mnie". „Mimo różnicy wieku, bo czternastu latami ode mnie starsza była, więcéj lat dziesięciu trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moją od rozpusty zachowała"... Zakochał się więc znowu z podziwu, z uznania cnót i zalet, i znowu uszlachetniał się we własném mniemaniu, kochając zamężną kobietę. Nielada kazuistą był ten jezuicki wychowanek! Ale pani Ponińska rozumowała — przynajmniéj w ogólnych zarysach — inaczéj; „lubiąc mnie — mówi Karpiński — jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała". Miłość jéj była macierzyńską, opiekuńczą; może przeczuła w biednym studencie przyszłego pisarza i starała się o jego wykształcenie, o ogładę form, o istotną moralność. Dawała mu takie admonicye i rady, że „uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnéj przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym". Wywarła téż niewątpliwie niemały wpływ na Karpińskiego. Pierwsza miłość, jak ta, którą czuł dla Broselówny, nie pozostawia zazwyczaj nic, prócz poetycznego wspomnienia; krótkie miłostki, jak zaczęste z panią Tamburini stosunki, giną zupełnie bez śladu. Kobieta, którą się kocha nieco późniéj i o któréj się, jak Karpiński o pani Ponińskiéj, myśli cały lat dziesiątek, zostawia niezatarte ślady. Wystawiam sobie, że z Zahajpola wyniósł nasz poeta zwyczaj noszenia wyrazu „cnota" na ustach. Było tam zapewne wszystko uczciwe i słuszne, ale nie mogę się oprzéć przekonaniu, że cnotliwość była nieco sentymentalizmem zaprawna. Natury chłodne bywają chętnie czułostkowemi, a od roku 1761 czytywano „Nową Heloizę" wszędzie, gdzie znanym był język francuski.

Pani de Warens była o tyleż lat starszą od Jana Jakóba Rousseau, co pani Ponińska od naszego poety. Miała zrazu dla niego tę samą macierzyńską miłość, to samo sympatyczne zajęcie się kobiety starszéj dla młodzika. Dbała także o jego obejście się z ludźmi, ulegała także rozkosznemu uczuciu oddania się wspólnie ze swym pupilem umysłowym lub artystycznym pracom. Ale kiedy się zbliżyła dla Rousseau epoka znajomości kobiecych i romansów, została—proszę ten ustęp w „Wyznaniach" odczytać — została sama jego kochanką. Pani Ponińska nie użyła środków tak radykalnych; „jakże ona" od niego „wiele cnót wypełnienia potrzebowała"—aż, chcąc go od zepsucia uchronić, dała mu sama pewne dowody sympatyi. Ani jego, ani jéj nie uniosło nigdy uczucie. Wszelako, jeżeli koncesye, które starościna osterska zrobiła poecie, były tak małe, że zyskał je także od pani Tamburini, były one zbyt wielkie, aby — przed laty — ten sam krok nie miał rozbudzić gniewu i żalu u Maryanny Broselówny. Jak dobrze odpowiada postępowanie pani Ponińskiéj połowicznéj, imagi-

nacyjnéj naturze Karpińskiego! Królowa jego serca zostaje téż dla nas w jakiemś dziwném półświetle: jeżeli z jednéj strony może wyciągnąć rękę do Maryanny Broselówny, to z drugiéj musi ją podać pani Tamburini. Gdyby nie praktyczno-sentymentalne filozofowanie, była-by nam pewno pani de Warens milszą.

D-r K. M. Górski.

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiém[1]).

WYNIKI.

Widzieliśmy wyżej, że kiedy w ciągu kilku lat ostatnich cena ziemi w państwie całém poszła w górę, w Królestwie—spadła, i to znacznie, bo o 29%. Obawiać się przytém należy, iż w rzeczywistości obniżka była jeszcze większa. Dowodzi to niewątpliwie, że podaż ziemi jest wiekszą, niż popyt na nią. Co więcéj i co ważniejsza, względy i fakty, przez nas przytoczone, każą przypuszczać, a nawet dają pewność zupełną, że podaż ziemi silnie wzrośnie i to w czasie najbliższym, a jednocześnie napływu nabywców znikąd dopatrzyć się niepodobna: nie przyjdą z zachodu, bo im nie wolno, na kupców ze wschodu rachować nie pozwala przeszłość. Liczba kupców miejscowych w ostatnich latach zmalała.

Pozostaje do rozpatrzenia możliwość ostatnia: czy niéma prawdopodobieństwa lub nadziei, aby ogólny wzrost dobrobytu w kraju zrównoważył nadwerężone stosunki, dał możność i ochotę ziemianom powiększania dóbr, a ludziom innych zawodów zaciągania się w szeregi stanu ziemiańskiego, chociaż w téj chwili z gruntu wielkich, a nawet średnich, zysków ciągnąć niepodobna?

---

[1]) Dokończenie. Zob. Zeszyt 8 tomu III z r. b.

I.

Wzrost ludności w Królestwie Polskiém już od lat kilkudziesięciu świadczył o postępie dobrobytu. Szczególniéj od r. 1863 fakt ten zarysował się bardzo wyraźnie. Kraj nasz liczył wtedy zaledwie 5 milionów mieszkańców—dziś ma ich przeszło *ośm* milionów i *ćwierć*. Przyczyna tego zjawiska tajemnicą bynajmniéj nie jest. Lata, następujące bezpośrednio po roku 1863, to początek rozwoju wielkich i dogodnych dróg komunikacyjnych, które wytwórczości naszéj odrazu dały wielką możność zbytu; narodził się lub rozwinął przemysł wielki, ożywił się znakomicie handel. W tym samym czasie państwo robiło wielkie nakłady na uzbrojenie wojska i fortec. Obce kapitały, znajdując dogodne pole do różnych operacyi, napływały obficie; a jednocześnie także mieszkańcy Królestwa i po za krajem mieli wiele sposobności korzystnego zużytkowania zasobów pieniężnych i pracy, umiejętności i talentu. Zarobki były łatwe i zyskowne. Wielu potrafiło nietylko opędzić potrzeby powszednie, ale także zgromadzić większe lub mniejsze oszczędności. Wzrost kapitałów ze swojéj strony ożywiał przemysł i handel, tworzył nowe zarobki.

Ale od tego czasu warunki zmieniły się bardzo.

Ważniejsze drogi w kraju naszym już są pobudowane, o przeprowadzeniu nowych arteryi handlowych w téj chwili mowy nawet niéma. Mniéj więcéj toż samo powiedzieć można o Cesarstwie: i tam budowanie dróg odbywa się na mniejszą skalę; liczba pracowników miejscowych wystarcza na potrzeby chwili. Już wskutek tego konkurencya jest trudna, a płace mniejsze. Dołącza się jeszcze walka, prowadzona nie bez powodzenia przez współzawodników naszych.

Tak samo dzieje się w przemyśle fabrycznym. Po okresie rozwoju gorączkowego nastąpiła pauza, a nawet wśród producentów i kapitalistów odzywa się pytanie: czy nie zawiele już, jak na warunki i potrzeby miejscowe, tych fabryk?

Przemysł rękodzielniczy znajduje się w stanie jeszcze mniéj pomyślnym, niż fabryczny, bo zapotrzebowanie i na jego wyroby osłabło, a pole zbytu wogóle kurczy się i maleje.

Naturalném następstwem stagnacyi w przemyśle i złych interesów rolnictwa jest upadek handlu.

II.

Rok wielkiego nieurodzaju przepełnił miarkę: rozpoczął się ruch emigracyjny do Brazylii, który w kilka tygodni zamienił się na tłumne, gorączkowe jakieś, namiętne opuszczanie ziemi rodzinnéj.

Wychodztwo—ostatnia to ucieczka przed biedą ludzi, którzy na miejscu nic do stracenia nie mają. Już znakomity ekonomista Adam Smith powiedział, że łatwiéj przenieść stary dąb, aniżeli człowieka.

Emigracya do Ameryki jest zjawiskiem, znaném u nas oddawna. Ale nie miała ona nigdy cech takiéj epidemii. Ten i ów jechał szukać szczęścia za morze. Ryzykował, chciał sprobować, czy mu się nie uda zrobić fortuny tam, gdzie już tylu zrobiło.

Dawniéj téż emigrowali ludzie wolni od obowiązków rodzinnych, lub ojcowie, którzy żony i dzieci zostawiali w kraju, nie chcąc ich narażać na losy niepewne; wśród ogółu wychodźców (do Ameryki Północnéj) ludzie wolni stanowili wtedy 89.7%. Tymczasem wśród wychodźców do Brazylii pojedyńczy emigranci nie tworzyli nawet 30% (29.3), natomiast ogromna większość (70.7%), jak gdyby paląc mosty za sobą, wyruszyła od razu z żonami i dziećmi [1]).

Takie są warunki ekonomiczne pracy i dobrobytu w kraju naszym.

Na wskazaniu ich jednak tu poprzestać nie chcemy. Nie dosyć jest zwrócić uwagę na klęskę i jéj rozmiary, nie dosyć wzywać do ratunku, trzeba wskazać jego sposoby i wytknąć drogę, prowadzącą od słów do czynu.

Opinia publiczna w akcyi ratunkowéj.

P. Ludwik Górski w cennéj swéj pracy „Znaczenie większéj własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich“ doszedł co do potrzeby parcelacyi do wyników prawie identycznych z naszymi.

„Sprzedaż dóbr na drobne działy—powiada on na str. 183—tak zwana parcelacya, jest środkiem ratunku dla niektórych właścicieli ziemskich. Ma ona niewątpliwie tę korzyść, że ludowi wiejskiemu daje

---

[1]) Oto dane szczegółowe dla pewnéj cząstki wychodźców: do Brazylii wyemigrowało 1,396 przedstawicieli rodzin i osób pojedyńczych; z tego z rodzinami wyszło 987 ($70_{,71}$%), pojedyńczo zaś 409 ($29_{,29}$%). Do Ameryki Północnéj do 1-go Stycznia 1891 r. wyemigrowało 6,602 mężczyzn, z nich z rodzinami 621 ($10_{,32}$%), bez rodzin 5,981 ($89_{,68}$%).

sposobność korzystnego umieszczania owoców swéj pracy i oszczędności. To jednak nie usuwa potrzeby i obowiązku utrzymania większéj własności; ziemia bowiem w wyłącznem posiadaniu ludzi, niemających odpowiedniego wykształcenia, jest jałowém polem, w którém gnieździ się dzikość, sobkostwo i zabobon."

Taka też była myśl nasza, gdyśmy zwracali uwagę na różnicę, zachodzącą pomiędzy parcelowaniem całych dóbr a ich części jedynie, i wykazywaliśmy korzyści, jakie niektórzy z właścicieli ziemskich, lud i wogóle gospodarstwo narodowe osiąga w drugim wypadku. Parcelacya cząstkowa pozwala doprowadzić jednostki gospodarcze do rozmiarów właściwych, pozwala zmniejszyć ciężar długów, który nieraz całkiem ubezwładnia właściciela i niweczy wszelkie jego siły oraz zabiegi. Tylko rozwój własności drobnéj i dobrobyt własności większéj mogą położyć kres zatrważającemu szałowi wychodztwa.

Ale pomiędzy wywodami naszymi i p. Ludwika Górskiego zachodzą też i znaczne różnice.

P. Górski pracę swoją pisał przed laty ośmiu — wtedy położenie jeszcze nie było tak groźne. Powtóre, opierając się przedewszystkiém na spostrzeżeniach osobistych, nie mając tak, jak my, na poparcie swych twierdzeń szeregów liczb, musiał wnioskom swoim nadawać bardziéj charakter przewidywań i domysłów.

To, co wówczas było jeszcze przyszłością, przed którą p. Górski ostrzegał tylko, dziś stało się już teraźniejszością, faktem dokonanym. Zbadać więc należy, jak złemu zaradzić można.

Zanim jednak do tego przystąpimy, ażeby uniknąć w dalszym ciągu tego rodzaju powtarzań się i wyjaśnień, które-by przerwać mogły tok wywodów, musimy jeszcze zrobić jedno omówienie.

W cytowaném wyżéj dziele p. Górski pisze: „określając obszerność większéj własności w Królestwie, zaliczyliśmy do niéj posiadłości folwarczne, poczynając od tych, które mają 300 mórg rozległości. Podział ten pod względem ekonomicznym jest usprawiedliwiony. Na folwarkach bowiem 300-morgowych można rozwinąć gospodarstwo płodozmienne z ulepszoną hodowlą inwentarza, a przytém już ono bez parobków, fornali i najmu obejść się nie może, jest zatém pierwszym szczeblem, od którego zaczyna się zawiązek obszernego społecznego wpływu gospodarza".

W innéj, późniejszéj swéj pracy „Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby małéj własności ziemskiéj w Królestwie Polskiém", p. Górski modyfikuje, co prawda, nieco twierdzenie powyższe, i powiada, że przestrzeń 300-tu mórg „jest zbyt małą, aby jéj przyznać cechę większéj własności w warunkach, w jakich gospodarstwo u nas się znajduje".

O ile chodzi o stronę sprawy czysto gospodarczo-techniczną, nie

chcemy dodawać nic do słów takiego znawcy, jakim jest wielce szanowny autor dzieł cytowanych.

Ze względów jednak społecznych zauważymy, że w tych wypadkach, w których odłużenie doszło już do rozmiarów, ciągnących za sobą upadek gospodarki, słowem przyszłą ruinę, możność wykrojenia i pozostawienia dla siebie folwarku 300-morgowego, a nawet i mniejszego nieco, była-by dobrodziejstwem zarówno dla kraju, jak i dla jednostek bezpośrednio zainteresowanych. Słowem, zgadzamy się z pierwszym twierdzeniem p. Górskiego.

Gromadzenie się na bruku miejskim zastępów proletaryatu, który nie jest przygotowany wcale do żadnéj pracy zawodowéj, stanowi klęskę wielką, potęgującą bardzo złe skutki klęski innej — wyzuwania się z ojcowizny. Pozostawienie sobie najmniejszego chociażby warsztatu do pracy, do któréj przyuczyła cała przeszłość, zachowanie jakiegokolwiek schronienia dla rodziny, uważamy dla podupadłego ziemianina za zbawczy szaniec, po-za którym lepiéj-by mu było borykać się ze złym losem: przystosować się do nowych okoliczności, wyszukać jakieś zarobki uboczne dla siebie lub rodziny. Gdy się okręt rozbije, szczęśliwy, kto nie wpadł w fale, lecz się dostał na łódź ratunkową, chociażby drobną i wątłą.

Nędza jest ciężką wszędzie i dla każdego, chociażby się w niéj urodził i wzrósł, ale stokroć cięższą w mieście niż na wsi, szczególniéj dla człowieka, pamiętającego dni dostatku.

Z danych naszych wynikało, że mająteczki tych właśnie rozmiarów (do 300 mórg) znajdują się w stanie względnie pomyślnym, to znaczy, że mogę istnieć i pewniéj niż własność inna stawić czoło niepomyślnym okolicznościom.

Sądzimy, że w pewnéj liczbie wypadków, kiedy postradanie ojcowizny stało się się nieunikniętém, ocalenie na rzecz dawnego właściciela takiéj drobnéj cząstki majątku dało-by się jeszcze przeprowadzić. Resztka owéj utraconéj fortuny niekoniecznie potrzebowała-by być czystą zupełnie, niechby tylko odłużenie nie pochłaniało wszystkich dochodów i dozwalało posiadaczowi żyć z owoców swéj pracy.

Tak się zwykle nie dzieje, po części może dla tego, że podupadli ziemianie nie dość wcześnie uciekają się do tego sposobu ratunku, powtóre, że brak im odpowiedniéj pomocy dla przeprowadzenia likwidacyi.

Do ostatka chcą ocalić całość — i tracą całość. Pragną zmienić bieg konieczności i ta ich swojém brzemieniem przytłacza. W końcu, gdy już wątpić nie podobna, że kres bliski, nie myślą jak gdyby o jutrze, wysilają się, aby zepchnąć dzień dzisiejszy, aby katastrofę odwlec; niszczą sami ojcowiznę, chociaż mogą być pewni, i są pewni, że im to trwalszéj pomocy nie przyniesie.

Gdyby wiadomém i uznaném było, że w téj stronie zagrożona własność ziemska szukać winna i nieraz rzeczywiście szuka ratunku, prawdopodobnie mielibyśmy instytucyę, która-by dawała sposoby usunięcia punktów, utrudniających osiągnięcie celu.

Wskazaliśmy już poprzednio, jakiemi środkami społeczeństwo dążyć może i powinno do złagodzenia cierpień jednostki i uzdrowotnienia stosunków[1]).

Cierpienia moralne, nieraz tylko w wyobraźni swój początek biorące i przesadzone, wywołane obawą utracenia zajmowanéj w świecie pozycyi, odgrywają w kraju naszym bezwątpienia rolę wielką. Likwidacya zrujnowanych interesów, przeprowadzona dosyć wcześnie i umiejętnie, przy pomocy instytucyi odpowiedniéj, w znacznéj części, jeżeli nie w większości wypadków, wytworzyła-by pozycyę znacznie znośniejszą, niż ta, która była poprzednio, gdy z dawnéj zamożności pozostawały pozory jedynie. Naturalnie wypadnie odzwyczaić się od niejednego nawyknienia zbytkownego, ale to przecie tak trudném być nie może. Nacisk opinii publicznéj powinien już u nas doprowadzić do tego przeświadczenia, że obniżka stopy życiowéj, tego, co Anglik nazywa „standard of life“, nie poniża nikogo. Niewątpliwie już dziś wielu ludzi dobrze myślących tak te rzeczy ocenia. Ale téż i starych przesądów pozostało niemało. Nie piszemy traktatów z etyki społecznéj, nie możemy więc wchodzić w szczegóły. Na jedną tylko okoliczność wypada zwrócić uwagę.

Nie przykład innych i nie bezwładne niejako przechowywanie tego, co zrobiono dawniéj, lecz ścisły rachunek orzekać winien, do jakiego stawu jaka grobla pasuje.

Hodowla koni ras nieodpowiednich do potrzeb miejscowych i trzymanie zbytniéj liczby „paradyerów“ jest najczęściéj anomalią przykrą, bo w skutkach wielce szkodliwą. W innych krajach właściciele dóbr, znacznie większą wartość mających, niż nasze, nie trzymają oddzielnych koni cugowych, a za punkt honoru uważają sobie posiadać inwentarz roboczy w stanie należytym. Błaha to napozór okoliczność, jednakże ma ona niepoślednie znaczenie. Jeden krok, jedno posunięcie się daléj, niż środki pozwalają, ciągnie za sobą nieoględności dalsze i... zgubę!

W swojém miejscu zwracaliśmy już uwagę na zabezpieczanie sum posagowych. Gdyby nie były one obarczane wpisami hypotecznymi, mogły-by służyć za deskę ratunku w chwili rozbicia. Przeznaczenie ich jest to, żeby nieszczęście nie wszystko naraz zabrać mogło.

---

[1]) Czerwiec, zeszyt 3 str. 562.

Takich sum jest dziś jeszcze sporo, ale uważne przejrzenie wykazów hypotecznych ujawnia dążność do ustępowania pierwszeństwa i zsuwania się na dalsze numery. Należy więc pamiętać, że kto się pozbawia w ten sposób zagwarantowanego mienia rodziny, ten w chwili groźnego już niebezpieczeństwa wyrzeka się ostatniego zwykle środka jakiéjkolwiek pomocy. Nie wyprowadzi go to z kłopotów, majątku nie zbawi, na parę miesięcy lub tygodni odciągnie chwilę stanowczą, i wszystko, co się stać ma, stanie się. A zabezpieczenia posagowe mogły-by obecnie jeszcze wielką przysługę oddać w akcyi ratunkowéj. Nieszczęściem jest, że wyjątkowi tylko ludzie są w stanie trzeźwo ocenić sytuacyę własną; rzadko kto powstrzyma się ze względu na przyszłość od zażegnania na chwilę kłopotów, jeśli je tylko zażegnać można, choćby to kosztowało zbyt wiele.

Nieprzezwyciężoną zazwyczaj przeszkodę ocalenia jakiejś cząstki dóbr dawnych stanowi także odłużenie nadmierne, które nie pozwala na wyłączenie z pod solidarnéj odpowiedzialności ani jednéj morgi gruntu. W obec jednakże pewności, że w razie subhastacyi wierzyciele wyszli-by gorzéj, niż przy układach polubownych i sprzedaży dobrowolnéj, pertraktacye nie w jednym wypadku doprowadziły-by do czegoś, szczególniéj, gdyby rozpoczęte były dosyć wcześnie, wprzód nim rzeczy doszły do ostateczności. Lecz bez zapewnienia sobie pomocy ze strony instytucyi odpowiedniéj pomyślne zaspokojenie téj potrzeby, dziś tak pilnéj i na dobie będącéj, jest prawie niemożliwe. Nie łudzimy się naturalnie wielkiemi nadziejami, bo łatanie stosunków majątkowych tam, gdzie już końców dociągnąć do siebie nie można, łatwe nigdy nie będzie, ale coś robić można i o tém pomyśleć należy.

Nieuregulowanie serwitutów téż nieraz stanąć może na drodze akcyi ratunkowéj, bardziéj zaś jeszcze brak nabywców z wolnéj ręki. Ostatnia przeszkoda była-by naturalnie nie do pokonania, gdybyśmy nie mieli, przynajmniéj do czasów ostatnich, bardzo licznych nabywców drobnych działek.

Konieczność podjęcia badań przez Towarzystwo Kredytowe.

Wątpić niepodobna, że wobec tego, do czego doszły u nas stosunki rolne, nikt nie zechce pozostawić nadal rzeczy własnemu ich biegowi, lecz każdy uzna potrzebę oddziaływania, uzna konieczność przędsięwzięcia środków zaradzenia złemu. Cała trudność polega na tém, jak się wziąć do dzieła, od czego zacząć? Odpowiedź na pytanie powyższe podawaliśmy już kilkakrotnie: „badanie przyczyn trzeźwe—powiada p. Górski—a wyprowadzenie wniosków śmiałe jest

środkiem usunięcia skutków, chociażby je wieki nagromadziły". Szanowny autor w drugiéj z wymienionych prac („Pogląd na stan i potrzeby małéj własności") wskazał nawet, jaką powinna być metoda badania, i wezwał *„dbałych o przyszłość kraju obywateli do robienia studyów poważnych, które powinny zająć miejsce lekkomyślnego, a często namiętnego sądu w tym przedmiocie"*. Daléj p. Górski przytacza sposoby, jakiemi badania tego rodzaju przeprowadzone zostały w Niemczech i we Francyi, oraz oświadcza, że „czyni to dla zachęcenia ziemian naszych do téj poważnéj, a wcale nie trudnéj pracy".

Pod tym względem nasze przekonanie różni się od zdania szanownego autora.

Oczywiście dokonanie przez ziemian szeregu badań nad stanem rolnictwa miało-by wiele stron dobrych, przyniosło-by przytém pożytek różnorodny, rzuciło-by zapewne obficie światło na niejeden szczegół. Ale nie wydaje się nam słuszną rachuba, że badania te wystarczą, że wyczerpią kwestyę, że dadzą wystarczającą odpowiedź na wszystkie pytania co do przyczyn dzisiejszego złego stanu rolnictwa i dopomogą do uzyskania najskuteczniejszych środków ratunkowych w przyszłości.

Rozmaitość punktów widzenia, poglądów i danych może być bardzo pożądaną, ale wtedy tylko, gdy chodzi o badania czysto naukowe, teoretyczne. W danym wypadku zadanie jest natury czysto praktycznéj: trzeba poznać stan obecny rolnictwa we wszystkich częściach kraju, które nieraz różnią się bardzo pod każdym względem. Trzeba mieć wreszcie odbicie rzeczywistości, aby nie stracić z uwagi żadnéj przemiany, która zachodziła i zachodzi w tych stosunkach.

Wobec takiego zadania niezbędną jest jedność myśli przewodniéj oraz jednorodność badań, nie ulegająca zmianie ani z roku na rok, ani z gminy do gminy.

Wedle naszego głębokiego przekonania, jeżeli trudności tak ważnego zadania może u nas w kraju kto sprostać, to tylko Towarzystwo Kredytowe. Ma ono po temu środki, ma i możność, a charakter jego nie tylko mu na badanie nad stanem rolnictwa pozwala, lecz nawet do tego niejako zniewala.

Kierownictwo działalnością Towarzystwa pozostaje w rękach mężów najzupełniéj odpowiednich do podjęcia i przeprowadzenia pracy. Wszyscy ludzie, *znający się na potrzebach i stosunkach rolnych*, a o dobro kraju dbali i rozumiejący je, znajdują się w Towarzystwie, lub znaleźć się mogą i powinni.

Klasa ziemiańska sama posiada dostateczny zasób sił, mogących podołać zadaniu, a przytém nie może podlegać wątpliwości, że i po za jéj obrębem stojące osoby, w razie potrzeby, rad i pomocy nie odmówią.

Towarzystwo Kredytowe składa się z ogółu prawie właścicieli ziemskich, posiada więc opisy majątków. A nadto, ogólny nadzór nad dobrami, obciążonemi pożyczką Towarzystwa, jest obowiązkiem dyrekcyi szczegółowych (§ 252 Ustawy). Gromadzenie więc danych statystycznych, systematyczne ich ugrupowanie i wyciągnięcie odpowiednich wniosków nie napotykało-by przeszkód, tak jak nie napotykało ich w 1879 roku.

Jeszcze jedna okoliczność bardzo sprzyja dokonywaniu badań przez Towarzystwo Kredytowe.

Dzięki światłéj inicyatywie obecnego Naczelnika Kraju, wytworzony został Komitet Statystyczny. Prezyduje w nim Jenerał-Gubernator, a uczestniczy i obecny prezes Towarzystwa Kredytowego, p. Ludwik Górski.

Komitet drogą urzędową zebrał cały szereg wiadomości ze źródeł pierwszych, mających bezpośredni związek z rolnictwem. Zebrane dane oczekują opracowania.

Ale komitet Statystyczny nie posiada tych środków, któremi rozporządza Towarzystwo. Przejdą lata, zanim rezultaty będą mogły być ogłoszone. Nadto praca Komitetu, gdyby nawet już ukończoną była, nosić będzie przedewszystkiém z natury rzeczy charakter naukowy, nie zaś praktyczny.

Wątpić nie można, że materyały, zebrane przez Komitet, na żądanie Towarzystwa byłyby mu zakomunikowane; a nawet, w razie potrzeby, Komitet nie odmówił-by skorzystania ze wskazówek tak kompetentnéj instytucyi i dalszych cyfr-by dostarczył. Towarzystwo Kredytowe nie jest osobą, ani nawet instytucyą prywatną; prezesa Dyrekcyi Głównéj mianuje rząd; użyteczność działalności Towarzystwa jest tak uznaną, że niewątpliwie nie spotkała-by go odmowa w sprawie pomocy, tak nietrudnéj do zrobienia, a tak ważnéj dla rozwinięcia pożytecznéj pracy.

Rozciągnięcie badań na wszystkie rodzaje własności ziemskiéj, więc i na posiadłość drobną, leży w naturze rzeczy. Zresztą związek pomiędzy większą i mniejszą własnością jest tak ścisły, że rozumnie obmyślany program badań dla jednéj z nich, z konieczności dostarczy wiadomości i dla drugiéj.

Ustawa nie oznacza, ściśle biorąc, żadnego minimum dla obszaru, na który pożyczka udzieloną być może, lecz tylko ustanawia najmniejszą pożyczkę na 500 rubli, co już samo zmusza do zasięgania wiadomości i zastanawiania się nad niemi.

Rozumiemy jednak doskonale, że zadanie to ani dla osób pojedyńczych, ani dla instytucyi łatwém bynajmniéj nie jest. Kto pier-

wszy rozpocznie pracę zbierania ścisłych danych, przyjdzie jak rataj na niewykarczowaną nowinę.

Systematyczne, poprawne i wyczerpujące zbieranie cyfr jest u nas niemal nieznane. Wypadnie przezwyciężyć wszystkie trudności nowatorstwa, trzeba będzie pokonać wszelki opór siły bezwładności, zanim maszyna da się ustawić, pocznie prawidłowo działać i przekona ludzi o dobrodziejstwach światła.

Wszędzie dokoła nas poszukiwania posunięto dosyć daleko, pozostaliśmy w tyle i to nam przynosi straty nieobliczone. Nawet tam, gdzie badania statystyczne nie zostały doprowadzone jeszcze do ostatecznéj granicy, ogrom prac dokonanych jest istotnie olbrzymi, wobec naszego wielkiego pod tym względem ubóztwa.

W tych guberniach Cesarstwa, w których istnieją ziemstwa, gromadzone są bardzo systematycznie dane: o ogólném położeniu ekonomiczném większéj i mniejszéj własności; o cenach roli i dochodach z ziemi, zarówno w majątkach wydzierżawianych, jak i nie wydzierżawianych; o stosunku ludności do obszarów uprawianych; o wszelkiego rodzaju zarobkach ludności rolnéj; o kosztach utrzymania i prowadzenia gospodarstwa; o odłużeniu i jego przyczynach; o wysokości opłaconych procentów; o rozmiarach opłat państwowych, ziemskich i gminnych; o stosunku ich do dochodu, i t. d. i t. d.

Samo wyliczenie tytułów nie może naturalnie dać pojęcia, jak dalece ważne i pożyteczne są wyniki badań podobnych. Jedynie dodokonane badania umożliwiły walkę z klęskami, trapiącemi ludność.

Dodać należy, iż koszta rozległych tych i szczegółowych prac wynosiły dla pojedyńczych gubernii, kilka razy rozleglejszych i znacznie ludniejszych niż nasze, zaledwie dziesiątki tysięcy rubli.

W guberniach, w których ziemstw niéma, istnieją stowarzyszenia rolnicze i pod pewnemi względami rolę ziemstw spełniają. W Cesarstwie rachują 92 towarzystwa rolnicze oraz 35 ich filii, czyli 127 organów czuwa, rozciąga opiekę nad potrzebami ziemiaństwa. W trzech guberniach nadbałtyckich, które pod względem kultury zbliżają się do warunków kraju naszego, działa 20 towarzystw i 15 filii. Wszędzie zresztą są komitety statystyczne. Ze swéj strony ministerya spraw wewnętrznych i dóbr państwa od lat kilkudziesięciu gromadzą i ogłaszają dla Cesarstwa wiele cennych danych.

W czasach niedawnych była mowa o założeniu wydziału statystycznego przy Towarzystwie Popierania Przemysłu i Handlu. Lecz gdyby nawet projekt ten przyszedł do skutku, i to bez wielkiéj zwłoki, potrzeby podjęcia badań przez Towarzystwo w niczém to nie zmieni. Wiemy z doświadczenia, że tylko organ urzędowy jest w stanie wskazaną przez nas pracę wykonać.

Rozwinięcie działalności praktycznej Towarzystwa kredytowego.

P. Ludwik Górski, obecny Prezes Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, również jest zdania, że ziemiańska instytucya nasza mogła-by się podjąć téj ważnéj, a nawet niezbędnéj dla pomyślności rolnictwa, pracy.

„Towarzystwo Kredytowe Ziemskie — mówi on, — posiadając w każdym powiecie delegacye taksowe, złożone z członków stowarzyszonych, mogło-by *z wielką łatwością* zebrać materyał, niezbędny do przedstawienia stanu rolnictwa u nas. Nawet taka ankieta nienaraziła-by Towarzystwa na wielkie koszta; potrzeba-by tylko ułożyć jednostajny wzór pytań, na które-to pytania miały-by nastąpić odpowiedzi, podać szematy do zapełnienia i następnie, po otrzymaniu odpowiedzi, poruczyć osobnéj delegacyi statystycznéj opracowanie i wydanie zebranych tym sposobem materyałów".

Zanim dojdziemy do bardziéj szczegółowego wyłuszczenia planu naszego, zwrócić musimy uwagę, że lepiéj może było-by nie czekać, aż nadejdą *wszystkie* odpowiedzi, lecz, w miarę napływania materyału, porządkować, sprawdzać, *oświetlać* i odpowiedni użytek robić.

Oświetlenie jest potrzebą pierwszorzędną; kolumny cyfr same—to martwe ciało, które nie przemówi do nikogo; dopiero, gdy w nie duch wstąpi, nabiera wymowy i przekonywa.

Towarzystwo Kredytowe już w r. 1882 wydało pracę statystyczną, kosztującą kilkadziesiąt tysięcy rubli, o stanie dóbr stowarzyszonych. Przeprowadzono ją jednak, o ile słyszeliśmy, wbrew zdaniu osób kompetentnych, znajdujących się w łonie władz Towarzystwa.

P. Ludwik Górski w cytowanéj pracy o drobnéj własności podał program badań, który, odpowiednio rozszerzony i do własności większéj, niezawodnie wydał-by pożądane rezultaty. Studyum p. Górskiego wyszło wprawdzie o kilka lat późniéj, ale autor osobiście zasiadał już wtedy w Komitecie Towarzystwa i mógł był udzielić doskonałych wskazówek, jak pracę podobną prowadzić należy.

Stało się tymczasem inaczéj.

Praca poświęconą była wykazaniu stosunku liczbowego dóbr, które podniosły pożyczkę z rozmaitych mnożników. Nie chcemy przesądzać, czy zachodziła rzeczywista potrzeba przeprowadzenia badań w tym kierunku, to jednak wydaje nam się pewném, że z pracy tego rodzaju dla ogółu uczestników zbyt wielka korzyść wyniknąć nie mogła i nie wyniknęła.

Bądź co bądź jednak, liczby zostały zebrane, należało z nich wyciągnąć wszelką możliwą naukę i wszelki możliwy pożytek praktyczny. Tymczasem dobra najrozmaitszéj wielkości traktowano hurtownie, podano jedynie liczby przeciętne, które nasunąć mogły zaledwie jakąś przybliżoną ideję o rzeczywistości. Najważniejsze, przez nas uprzednio wskazane kwestye [1]), mogące dać realny obraz stosunków, zrodzonych przez parcelacyę, zostały pominięte. Jedném słowem, nie pomyślano o osiągnięciu celów praktycznych.

Wiemy, że władze naszego Towarzystwa Kredytowego okazują wielką drażliwość na punkcie krytyki. Chętnie téż uniknęlibyśmy wchodzenia w szczegóły działalności, gdyby rzecz była mniejszéj wagi, i gdyby w takich wypadkach, gdy ktoś dojdzie do przekonania, opartego nie na fantazyi, lecz na faktach, stwierdzonych całymi szeregami cyfr, przysługiwało prawo milczenia. Żyjemy wszyscy w jednych i tych samych warunkach społecznych, jedni za drugich odpowiadamy, korzystamy z usług bliźnich naszych i cierpimy za ich błędy— a nikt z nas nieomylnym, niestety, nie jest. Ztąd spada na każdego z nas obowiązek, w podobnych wypadkach zazwyczaj przykry, myśléć i mówić nietylko o czynach własnych.

W danym wypadku instytucya nasza, ciesząca się tak zasłużonym szacunkiem w kraju całym, może być pewna, że przystępujemy do uwag nad jéj działalnością z uczuciem takiém samém, jak jéj przedstawiciele do kierowania sprawami, t. j. z gorącém pragnieniem przyniesienia Towarzystwu, a przez Towarzystwo społeczeństwu, jaknajwiększego pożytku.

Prócz przeświadczenia o powadze i zasługach Towarzystwa, pamiętamy jeszcze o względzie innym, którego nas dobrze nauczyło doświadczenie: łatwiéj krytykować, niż robić; a przytém krytyk, stojący na uboczu, narażony jest bardzo na pomyłkę, gdyż łatwo mu przeoczyć niektóre okoliczności. Cóż robić jednak? nawet prawdopodobieństwo omyłki od obowiązku mówienia nie zwalnia.

Najzupełniéj podzielamy zdanie p. Ludwika Górskiego, wypowiedziane na str. 171 dzieła o większéj własności: „Instytucya Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, od lat 60-ciu z niezwykłem powodzeniem i korzyścią przez większych właścicieli prowadzona, powodzenie to zawdzięcza roztropnemu przewodnictwu, sumiennemu wykonywaniu obowiązków przez urzędników“.

---

[1]) Zeszyt I Tom III Bibliotoki, Czerwiec, str. 145 — 146, 155 — 159, 161 — 164, 166; Sierpień, str. 260.

Zgadzamy się również całkowicie i z tém, że „dotychczasowemu zarządowi Towarzystwa przyznać trzeba nietylko roztropność w kierowaniu, ale także wielką czujność na potrzeby stowarzyszonych“.

Lecz i o tém pamiętać należy, że cywilizacyjny i ekonomiczny rozwój społeczeństwa rozszerza z biegiem czasu zakres obowiązków Towarzystwa. Zachodzi coraz pilniejsza potrzeba, aby ono działalnością swoją objęło całość rolnictwa krajowego. P. Ludwik Górski obowiązek ten rozumie, to też powiada:

„Towarzystwo Kredytowe Ziemskie ma obecnie przed sobą dwa duże zadania: utrzymać przedewszystkiém podstawy kredytu i zaufania, jakie posiada, i czynić zadosyć, we właściwych tego rodzaju instytucyi granicach, mnożącym się *potrzebom własności ziemskiéj większéj i mniejszéj, folwarcznéj i kolonijalnéj*. Nie wchodząc w szczegóły tak obszernego zadania, wymienię w sposobie objaśnienia dwa kierunki, w których rozszerzenie działalności Towarzystwa *prędzéj lub późniéj* będzie niewątpliwie wymagane. Parcelacya gruntów folwarcznych prowadzi za sobą konieczne ułatwienie kredytu dla małéj własności ziemskiéj, a coraz wyraźniejszy charakter przemysłowy gospodarstw folwarcznych domaga się dostarczenia kapitału obrotowego z kredytem krótkoterminowym“.

Do słów powyższych dorzucimy tylko, że *dziś* już terminu rozszerzenia działalności niepodobna oznaczać przez nieokreślone „prędzéj czy późniéj“. Nie chcemy twierdzić, że już zapóźno, ale dalsza odwłoka stała-by się prawdziwą krzywdą dla stowarzyszonych.

Każda instytucya, pragnąca sobie zapewnić przyszłość i trwałe uznanie, powinna działalność swoją stosować do wciąż rosnących i zmieniających się potrzeb społeczeństwa. Jakie zaś są te potrzeby w chwili bieżącéj, wykazywaliśmy już kilkakrotnie.

Nam się zdaje, iż dalszéj zwłoki w rozszerzeniu zakresu działalności, oraz w nadaniu jéj żywszego tempa, spowodować nie powinny żadne okoliczności. Prace władz i biur towarzystwa dziś bardzo rozległe nie są; oczekuje je wprawdzie poważne zadanie skonwertowania listów zastawnych, ale powodzenie przedsięwzięcia tego zależéć będzie przedewszystkiém od przyjaznych okoliczności finansowych, i zbyt wielkiego nawału kłopotów i pracy Władzom Towarzystwa nie przysporzy.

Przedewszystkiém, ponieważ *badanie przyczyn* jest środkiem usunięcia skutków, czynności od tego rozpocząć należy.

Poznajmy, jakiemi środkami rozporządza w téj mierze Towarzystwo Kredytowe.

Znawca instytucyi kredytowych ziemskich wogóle, a obecny Prezes Komitetu naszego Towarzystwa, p. L. Górski, powiada:

„Porównywając zarząd naszego Towarzystwa z towarzystwami niemieckiemi, wzorowo prowadzonemi, uderza różnica, malująca odmienne usposobienie i charakter narodów. W towarzystwach niemieckich wielka oszczędność kosztów łączy się z niższą opłatą, przez stowarzyszonych uiszczaną, i z powolniejszą amortyzacyą. Natomiast rygor egzekucyjny jest daleko surowszy, wszelkie ulgi i zwolnienia są rzadko i w sposób bardzo ograniczony udzielane. Kosztowność administracyi, wielość urzędników i rozdrobnienie organów zarządu cechują nasze Towarzystwo“.

Porównanie nawet z towarzystwami w Cesarstwie, których bynajmniéj za wzorowo prowadzone uważać nie można, tak samo wykazuje wielką kosztowność administracyi. Skutkiem zaś tego są znaczniejsze ciężary, ponoszone przez stowarzyszonych.

W wydatkach na administracyę znajdujemy: że pensye wybieralnych członków władz wynoszą 105,231 rubli, pensye urzędników — 263,449, co tworzy razem 369 tysięcy rs. rocznie. Nadmierne wydatki na biura tajemnicą nie są już oddawna. Na to jednak jest zwykle odpowiedź gotowa i na pozór bez apelacyi: ludzi kawałka chleba pozbawiać niepodobna! Nic słuszniejszego, bardzo téż wątpimy, czy ktokolwiekbądź z ludzi dobrze myślących mógł-by zalecać robienie oszczędności na chlebie powszednim setek ludzi, kiedy o chleb ten coraz trudniéj.

Proszę jednak zważyć, że koszta nigdy nie mogą być absolutnie za wysokie, one tylko odpowiadają, lub nie odpowiadają osiąganym za nie korzyściom. Nie tylko wydatki obecne, lecz i daleko wyższe wygórowanemi nie będą, jeżeli właściwy procent od nich otrzymają ci, którzy te koszta ponoszą. Wadą jest nie zbyt wielka liczba ludzi, lecz to, że oni nie mają dostatecznéj ilości roboty, a tymczasem jednocześnie rolnictwo roboty téj bardzo i bardzo potrzebuje.

Pamiętać jednak należy i o tém, że złe skutki nie kończą się na wielkich kosztach, opłacanych przez odłużonych krytycznie rolników. Brak roboty demoralizuje, przyzwyczaja do opieszałości, do dobijania się o synekury, a wady te aż nadto są rozplenione wśród społeczeństwa naszego, aby je wypadało tolerować gdziekolwiek i w jakichkolwiek rozmiarach.

Niechaj władze naczelne Towarzystwa zużytkują odpowiednio posiadane siły, a nikt im zarzutu rozrzutności nie postawi, przeciwnie, spotka je wdzięczność powszechna za dobrą administracyę grosza publicznego.

Większość urzędników Towarzystwa składa się z ludzi obeznanych z gospodarstwem rolnem. Niemożność pracowania na własnym warsztacie nie wyklucza bynajmniéj ani wiadomości, ani zdolności do ocenienia stosunków rolnych w kraju.

Przy siłach, obecnie posiadanych, dla dokonania w krótkim przeciągu czasu badań niezbędnych, potrzebne byłyby jeszcze tylko jakieś wydatki nieznaczne na rozchody poboczne.

Ale Towarzystwu środków ku temu nie zabraknie. Zresztą znaleźć-by można i nowe źródła całkiem pewnych wpływów.

Już same dochody z rozszerzenia operacyi przez wydawanie pożyczek drobnéj własności pokryły-by wielokrotnie dodatkowe wydatki na dokonanie prac omawianych.

Ażeby badania przynieść mogły pożytek, prowadzić je należy według pewnego, dokładnie i umiejętnie ułożonego, planu. Powinien więc być opracowany kwestyonaryusz oraz instrukcya, wskazująca sposób jego wypełniania; potém zaś, w miarę nadpływających wskazówek praktyki, trzeba pierwotne pomysły doskonalić i uzupełniać.

IV.

Badania statystyczne stanu i potrzeb rolnictwa naszego mają większą doniosłość, niż o tém ludzie niekompetentni zazwyczaj z pozorów sądzą.

Nie posiadając cyfr, nie mamy w ręku żadnego dowodu na poparcie nawet przedstawień najsłuszniejszych, które w wielu wypadkach może i znalazły-by całkowite zadosyćuczynienie.

Często nawet ścisłe dane liczbowe nie budzą zaufania, bo i te można opacznie wykładać, pomimo to jednak te dane są najlepszymi świadkami i najdobitniej przemawiają. W każdym razie, jeżeli liczby nie zawsze zyskują wiarę, to gołosłownych deklamacyi nikt nigdy nie słucha.

W Cesarstwie umieją postępować daleko praktyczniej, niż my. Zarówno Towarzystwa Wzajemne Kredytowe Ziemskie w Petersburgu i Inflantach, jak i ziemstwa, pozakładały, nie szczędząc pracy i nakładu, specyalne biura statystyczne. Mają też zawsze gotowe materyały dla poparcia potrzeb rolnictwa.

Pierwsze niepowodzenie ich wcale nie zraża. Wszelkie przedstawienia, prośby, memoryały, aczkolwiek często się do nich uciekają, zbroją cyframi. Gdy jedne liczby zostaną skrytykowane — gromadzą drugie i najczęściéj skutek w końcu osiągają. Wiedzą dobrze o tém,

że bezczynność jest w każdém położeniu najgorszą. U nas nigdy prawie, organicznie, opierając się na znajomości faktów i cyfr, nic się nie robi.

Główną przeszkodą do uwzględnienia słusznych żądań jest niejednokrotnie brak informacyi, brak zrozumienia rzeczy, wynikający z braku danych, lub z posiadania danych błędnych.

Przytoczyć można wiele przykładów, wybieramy tylko parę.

Weźmy tak zwane szachownice i serwituty.

P. Ludwik Górski bardzo wymownie w cytowanych dziełach wykazał, jak fatalnie wpływają na rozwój rolnictwa owe szachownice i serwituty,—rzecz to bardzo wyjaśniło, mogło obudzić zainteresowanie do danego przedmiotu w ludziach nawet nie fachowych — ale czy to wystarcza? Nie, bo naprzód nic nie wiadomo o rozmiarach klęski, a następnie nie wiadomo, czy się opłaci nakład reformy. Powtóre, przedstawienie czysto słowne w człowieku wytrawnym pozostawi zawsze jakąś wątpliwość. Pamiętać on będzie i pamiętać powinien, że przed oczyma ma nie fakt, lecz jego odbicie w cudzém pojęciu i w cudzém oświetleniu. Może ono być prawdziwe, lecz może być i ubarwione, to zależy od stanowiska przedstawiającego rzecz, od składu jego umysłu, od talentu pisarskiego—słowem, od mnóstwa przyczyn, których z papieru zadrukowanego przeniknąć niepodobna. A wreszcie wszyscy my o nieszczęściach słyszymy codziennie, piszą o nich dzienniki, powieściopisarze i dramaturdzy. Otrzaskaliśmy się i nie biegniemy na pomoc wskutek samego opisu tylko. To też nie posiada on dosyć siły, aby skłonić kogoś do czynu.

Zupełnie co innego, gdyby nmiejętny opis i wyjaśnienie rzeczy poparte zostało liczbami. Liczba to już fakt — mogę go sprawdzić. Nie obawiam się przesady ani własnéj, ani cudzéj, bo obrachunek ścisły jéj nie zna. Rzecz staje przede mną w całéj nagości, bez osłonek stylowych, które mogły zmienić jéj właściwe kształty.

A i wymowa liczb stokroć jest potężniejsza, niż słów. To już nie opis, w którym nikt dojść nie potrafi, gdzie się kończy rzeczywistość, a zaczyna wyobraźnia. Liczby reprezentują ludzi. Klęska pewna, realna, nieubarwiona dotyka tyle a tyle setek tysięcy lub milionów bliźnich—rzeczywistych ludzi, nie bohaterów romansowych. Tam się patrzyło na *obraz*, piękny lub straszny, tu zaś ma się przed oczyma samo życie. Bodziec do czynu jest całkiem inny — bez porównania większy.

Na zjeździe leśników w Warszawie, p. Kostromitinów, wówczas komisarz do spraw włościańskich, wykazywał na podstawie długoletniéj praktyki swojéj szkodę, jaką włościanie ponoszą wskutek nieuregulowania serwitutów. Przytaczał on przykłady, przekonywające

jak najdokładniéj, że na zniesieniu służebności, tam gdzie to dokonane zostało, skorzystali więcéj chłopi, niż dawni dziedzice. Istnienie więc serwitutów nikomu nie jest potrzebne, dla nikogo pożądane, szkodzi wszystkim, a najwięcéj kulturze krajowego rolnictwa, która, uplątana w przeszkody tego rodzaju, dźwignąć się nie może, chociaż dźwignięcia wymagają gwałtownie interesy wszelkich stanów i wszelkich gałęzi gospodarstwa społecznego. Przypuśćmy, że dowodzenie to jest słuszne, że obrachunek był prawdziwy, że badania Towarzystwa Kredytowego w setkach miejscowości doprowadzą do tegoż samego rezultatu. Wtedy każdy niespecyalista zrozumiéć będzie musiał, iż interes wspólny, zarówno właścicieli dóbr, jak i włościan, wymaga nagłego usunięcia serwitutów i szachownic.

Wykaz cyfrowy, że służebności szkodzą kulturze; że ani gospodarstwa włościańskie, ani dobra większe postępu zrobić nie mogą, bo są skrępowane więzami, które z naturą samą własności rolnéj zgodne nie są; że wreszcie korzyść z pastwisk i służebności leśnych jest dla włościan stosunkowo bardzo mała, a straty nieodpowiednio duże; wykaz taki nie wywołał-by może przymusowego i natychmiastowego zniesienia serwitutów, ale prawdopodobnie wpłynął-by na to przynajmniéj, że oświadczenie się prostéj większości w gromadzie obowiązywało-by i resztę włościan. Może nawet dały-by się uzyskać pewne ułatwienia w razie kolonizacyi.

Weźmy przykład drugi.

W ostatnich czasach zmieniono taryfy na przewóz produktów rolnych; część producentów z Królestwa (jak to wykazaliśmy w pierwszym rozdziale), przy wysyłaniu zboża do Prus opłaca 59% wysokich ceł zbożowych na pszenicy, 18%—na życie, oraz 40% na owsie i jęczmieniu.

Tymczasem, gdyby mogli wysłać zboże do Gdańska, ciężaru-by tego nie ponieśli. A więc miejscowościom, położonym mniéj dogodnie, ułatwić należy wywóz przez obniżenie taryf—zyskały-by na tém i koleje żelazne, i wytwórcy rolni.

Zrobione przeze mnie w tym przedmiocie przedstawienie w zasadzie zostało przyjęte przychylnie, żądano tylko odpowiedniego wypracowania i naturalnie ścisłego obrachunku. Ale słusznego żądania tego uskutecznić niepodobna bez danych—tych zaś nie posiada nikt. Czyż badanie spraw takich nie powinno być zadaniem Instytucyi, reprezentującéj dziś $^3/_4$ większych własności?

Pewne dane w kwestyi stosunku podatków od dochodów, opłacanych przez własność rolną w dawnych czasach i obecnie, niewątpliwie pożytek by przyniosły.

W izbach skarbowych, wskutek rozporządzenia władz wyższych, dokonywają się od lat wielu zestawienia zmian, zaszłych w rodzajach użytkowania z gruntów; otóż w dalszym kierunku téj sprawy wiele zależéć będzie od wyjaśnienia, jakie ciężary rzeczywiście własność ziemska ponosi w porównaniu z Cesarstwem.

Jeszcze w r. 1879 w wychodzącym podówczas w Warszawie „Ekonomiście“, w szeregu artykułów, zatytułowanych „Finanse Królestwa Polskiego i reforma podatkowa w Królestwie Polskiem“ [1]), wykazaliśmy potrzebę badań w tej mierze.

Podobnych prac było wiele, ale u nas te rzeczy traktowane są zawsze akademicko niejako; nie bywają przerzucane na grunt praktyczny, nie bywają wyzyskiwane w celach utylitarnych — przeczyta mało kto, nikt zaś zwykle nie zainteresuje się o tyle, żeby rzecz poruszyć na drodze właściwéj.

Towarzystwo Kredytowe obowiązane jest dwa razy na rok zdawać stowarzyszonym sprawę, i rzeczywiście dwa razy na rok wychodzą broszurki pełne cyfr; ale jakże zawarty w nich materyał jest ubogi i niekompletny w porównaniu ze sprawozdaniami innych Towarzystw tego rodzaju. Gdyby istniało biuro statystyczne, sprawozdania niewątpliwie obfitowały-by we wszelkiego rodzaju dane i fakty, dotyczące stanu majątkowego i warunków rozwoju stowarzyszonych dóbr ziemskich. W razie potrzeby zresztą, każdy stowarzyszony, potrzebujący świadectwa liczb, wiedział-by, gdzie ich szukać.

I w kwestyi jeśli nie obniżenia, to w każdym razie rozkładu na terminy kosztów przy sprzedaży dóbr lub ich części, dałyby się, gdyby przedstawiono cyfry, osiągnąć pożądane rezultaty. Ale przedewszystkiém trzeba danych porównawczych.

Pomoc naukowa dla rolnictwa.

Taki jest pierwszy punkt naszych uwag co do możliwéj działalności Towarzystwa Kredytowego: posiadać dane i o ile można robić z nich właściwy użytek bezpośrednio, albo komunikując takowy, stosownie do natury przedmiotu, stowarzyszonym. Na tém jednak się nie ograniczamy.

Wiemy, iż rolnictwo, wskutek złych rezultatów oświaty, cierpi, marnieje, stacza się na niższy stopień kultury, lub przynajmniéj postępować nie może i pod tym względem Towarzystwo Kredytowe mogło-by po części złemu zaradzić. Ono winno oddać ziemiaństwu i krajowi wielką przysługę, ułatwiając przystęp do zajęcia się interesami rolnictwa. Brak wyższego wykształcenia fachowego

[1]) N-ry 48, 49, 50, 51 i 52.

w pewnym stopniu dałby się zastąpić odpowiedniemi urządzeniami. Nie mamy stacyi doświadczalnych, zbiorów ziem i laboratoryów w różnych miejscach kraju do dokonywania analiz, jakie posiadają zachodni a nawet i wschodni sąsiedzi nasi. Są to wszystko potrzeby niezbędne, bez których rolnictwo, w dzisiejszym swoim stanie i przy dzisiejszych swych potrzebach, dźwignąć się i zajść daleko nie potrafi.

O ile wiemy, myśl zadosyćuczynienia tego rodzaju potrzebom istniała lub istnieje wśród przedstawicieli Towarzystwa. To też pobudowane zostały w główniéjszych miastach obszerne i wygodne gmachy, które doskonale pomieścić zdołają wymienione wyżéj instytucye.

Ze sprawozdania Dyrekcyi Głównéj za drugie półrocze 1889 r. dowiadujemy się, że wartość nieruchomości na pomieszczenie władz Towarzystwa wynosi 815 tysięcy rubli; ruchomości zaś 90 tysięcy, razem 905 tysięcy rubli. Kapitał ten nie mógł zostać lepiéj umieszczonym, jeżeli szczęśliwa myśl znajdzie jak najprędsze urzeczywistnienie.

Może tu tylko chodzić o siły, potrzebne do zorganizowania i prowadzenia stacyi, laboratoryów, muzeów i t. d., jak również o urządzenie tego wszystkiego bez zbytniego obciążenia budżetu stowarzyszonych. Sądzimy jednak, że to zrobić-by się dało.

Czynności, dokonywane przez Towarzystwo, są w gruncie rzeczy proste, i gdyby, zamiast pisaniny bez granic, urządzono odpowiednie szematy, uproszczono rachunkowość, usunięto rzadko gdzie już dziś praktykowane w takiéj rozciągłości kontrole wypłaty kuponów,—większe prace przypadały-by tylko na terminy przyjmowania rat i wypłacania kuponów.

Z drugiéj strony w kraju, a szczególniéj w Warszawie, tuła się wielu całkowicie uzdolnionych chemików, fizyków i techników, którzyby chętnie za umiarkowane wynagrodzenie zechcieli i potrafili dokonywać wszelkich, w danym razie potrzebnych dla stowarzyszonych, prac naukowych i posług w chwilach wolnych od szablonowych zajęć w biurze, niezbędnych do utrzymania w biegu maszyny Towarzystwa.

Znowu nie proponujemy jakichś przewrotów gwałtownych. Niéma żadnéj potrzeby wydalać starych, a przyjmować nowych urzędników. Trzeba tylko pamiętać, aby każdą opróżnioną posadę obsadzać ludźmi, którzy-by zdolni byli pracować we wskazanym kierunku. A nikt chyba nie powie, aby człowiek z wykształceniem wyższém nie miał kwalifikacyi do otrzymania miejsca w biurze i nie zasługiwał na pomoc w ciężkiéj walce o byt.

Pragnąc z góry uprzedzić zarzuty i wykazać zupełną możliwość uorganizowania pomocy naukowéj dla rolnictwa, pośpieszamy upewnić, że widujemy ludzi, znanych ze swego wysokiego wykształcenia fa-

chowego i prac w zakresie fizyki i chemii, którzy poszukują miejsca za skromne wynagrodzenie w biurach prywatnych, byle-by mieć zapewniony stały dochód.

Lecz na tém nie koniec. Zorganizowawszy wspomniane urządzenia naukowe, można-by uzyskać pozwolenie na odbywanie odczytów, doświadczeń i wyjaśnień dla stowarzyszonych, co, prócz korzyści bezpośredniéj dla rolników, miało-by niewątpliwie ten skutek, że ożywiło-by sferę ziemiańską i po-za obrębem stowarzyszonych. Przykład nie tylko w złém jest zaraźliwy. Widok pracy i jéj zdobycze zachęciły-by niejednego i usposobiły do przyswajania sobie zdobyczy innych. I życie społeczne potoczyło-by się bardziéj wartkiém tempem. Wywołalibyśmy sami wśród siebie prąd, przeciwdziałający ujemnym skutkom, wynikającym z trudności i braku odpowiedniego wykształcenia fachowego.

Środki wytworzenia popytu na ziemię.

I.

Najwyższa władza Towarzystwa Kredytowego, stawiając na swojém czele autora dzieł o większéj i mniejszéj własności ziemskiéj, który tak jasno widzi stan i potrzeby rolnictwa, głośno mówi o brakach i usterkach ziemiaństwa i samego Towarzystwa, a wymagania swoje posuwa daleko w rozlicznych kierunkach,—dowiodła niewątpliwie, że żywi szczere chęci niepoprzestawania na dotychczasowéj *rutynicznéj praktyce* wypłacania kuponów, ściągania należności i od czasu do czasu z powodu klęsk udzielania ulg stowarzyszonym. Żywimy téż nadzieję, że obecnie Towarzystwo pragnie zakrzątnąć się energiczniéj około spraw ekonomicznych stowarzyszonych właścicieli.

W przedmowie do *Pamiętnika* Towarzystwa Kredytowego, który wydano w r. 1884, znajdujemy szereg projektów, zajmujących w różnych czasach przedstawicieli Towarzystwa, z szeregu tego jednak ani jeden punkt urzeczywistniony nie był, zarówno w 1884 r., jak i w chwili obecnéj. Projektów wyliczono pięć: 1) udzielanie pożyczek na małą własność, 2) skup czynszów, 3) udzielanie pożyczek na nieruchomości miejskie, 4) wzajemne ubezpieczenie od ognia przy Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém i 5) udzielanie pożyczek na melioracye.

Lista powyższa przekonywa nas, że przedstawiciele Towarzystwa zawsze przejęci byli chęcią służenia interesom rolnictwa. Niepowodzenie nikogo nie oskarża, ale téż i zrażać nie powinno. Co się nie udało wczoraj, może się udać jutro, za rok, za dwa. Trzeba tyl-

ko o raz powziętych zamiarach nie zapominać, starać się wytworzyć i uchwycić chwilę właściwą. Trzeba także korzyść z przeszłości wyciągać.

Ile-to razy my, ludzie ułomni i omylni, sami sobie niepowodzenie przypisać musimy. Chciało się zrobić jak najlepiéj, zdaje się wszystkie względy zostały przewidziane i zważone, tymczasem rzecz cała poszła na opak. W takich wypadkach należy próbę powtarzać drugi i dziesiąty raz; doświadczenie jest coraz bogatsze, a prawdopodobieństwo pomyślnego skutku większe.

Z powyżéj przytoczonych projektów 2-gi jest już tylko wspomnieniem odległéj przeszłości, 3-ci stracił znaczenie wskutek istnienia całego szeregu Towarzystw miejskich, które również mogły-by rozszerzyć zakres swojéj działalności.

Projekt 4-ty ma także doniosłość mniejszą, bo istniejące stowarzyszenia specyalne jako tako spełniają swoje zadanie i potrzebę odpowiednio zadawalniają; wzajemne ubezpieczenie rolników było-by naturalnie bardzo pożyteczne, ale jest to potrzeba mniéj nagła niż inne. O kredycie melioracyjnym mówiliśmy wyżéj. Pozostaje punkt 1-szy, ważny, najważniejszy. Wiele sił swoich władze Towarzystwa skoncentrować powinny, aby projekt doprowadzić wreszcie do szczęśliwego końca.

A czas już wielki. Okoliczności dziś bardziéj niż kiedykolwiek tego wymagają. Stan własności ziemskiéj krytyczny, a przytém z roku na rok się pogarsza. Zaofiarowanie ziemi wielkie, a kupować jéj niéma komu. Jedyni nabywcy, drobna szlachta i włościanie, środków nie posiadają.

Osłabnięcie ruchu parcelacyjnego szkodzi i dobrom większym, i własności drobnéj, obniża ceny ziemi, i tak już dziś niskie. Niepomyślny obrót rzeczy łatwo można wytłómaczyć. Drobny rolnik składa w ziemię swoje oszczędności, ale one nie mogą być wielkie; potrzebował więc zawsze kredytu, aby módz nabyć do wspólki z sąsiadami jakiś kawałek gruntu. Kredyt dla niego tanim nigdy nie był, ale wysokie dochody z roli pozwalały go opłacać i robić oszczędności na dalsze zakupy. Dziś, kiedy ziemia licho procentuje, operacya dawniejsza miejsca mieć nie może, dochody z przykupionéj działki zaledwie opłacają odsetki i zwolna amortyzują zaciągniętą pożyczkę. Środków na nowe nabycie zabrakło. Tymczasem, z biegiem czasu, sam proces parcelacyi, zamiast zostać ułatwionym, stawał się coraz trudniejszym. Te dobra, które się do parcelacyi kwalifikowały, losowi swemu już uległy. Pozostałe, które z pożytkiem powszechnym pójść powinny tą samą drogą, wskutek wysokich długów, nieuregulowanych serwitutów i in-

nych przeszkód, nie są łatwe do nabycia dla kupców cząstkowych. Potrzeba więc, aby zostały obmyślane i przeprowadzone odpowiednie ułatwienia.

Dostarczmy drobnéj własności kredytu taniego i w sposób odpowiedni uorganizujmy pośrednictwo i pomoc, a ruch parcelacyjny, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ożywi się znowu.

Rozszerzenie warsztatu pracy w dalszym ciągu pozwoli na robienie nowych oszczędności, bo drobny rolnik, żyjąc dziś z posiadanych mórg, po przykupieniu ziemi jeszcze coś zaoszczędzić będzie w stanie.

Wobec rozdrobnienia własności, przybytek kilku lub kilkunastu zagonów charakteru gospodarki nie zmieni, właściciel sam pracą osobistą zdoła wszystko zaorać, zasiać i sprzątnąć, a więc nakład pozostanie dawny, a całe powiększanie się dochodu pozwoli na nowe zakupy [1]).

Cyfry całkowicie popierają twierdzenie powyższe.

---

[1]) Dla rolników z powołania wszelkie obliczenia w téj mierze są zbyteczne. Rzecz sama przez się jest aż nadto zrozumiałą. Lecz ponieważ piszemy i dla dalszego ogółu, nie od rzeczy będzie objaśnić myśl naszą przykładem, zaczerpniętym z własnéj praktyki.

Po uregulowaniu serwitutów leśnych w dobrach Łęczna, pozostało po zarowem, otaczającym las, pomiędzy gruntami włościańskimi wsi Dratów, 6 drobnych działek, byłych pustek, stanowiących razem dziesięć mórg i 162 pręty. Po doszczętném wycięciu lasu sterczały tylko pniaki. Ponieważ grunt był najgorszego gatunku, bo składał się z lotnego piasku, o zużytkowaniu lub sprzedaży nie można było myśléć.

W Sierpniu 1886 r. zgłosiło się do mnie dwóch włościan, zapytując o cenę. Po długich targach jeden nabył 4 morgi 286 prętów, a drugi 5 m. 176 pr., z obowiązkiem złożenia zadatku po 10 rs. za morgę i spłacenia reszty w ciągu lat 5, z dopłatą procentu w stosunku 5% rocznie i poniesieniem kosztów spisania aktu i rozseparowania podatków. Nadmienić muszę, że grunta nabywców nie sąsiadowały z kupionemi działkami i że żaden z nich nie posiadał sprzężaju. Na wiosnę r. 1887 już całe 10 mórg były wykarczowane i obsiane żytem. Nabywcy zapewniali mnie, że karczowali wyłącznie sami przy pomocy rodzin. Nie mając własnego sprzężaju dla uprawienia gruntu, wypożyczali konie od sąsiadów, wzamian za co przyjęli zobowiązanie odrobków podczas sianokosów i żniw. Za karczunek morgi gruntu w okolicach Łęczny płaci się od 30 do 35 rubli. Obniżając nawet tę sumę do 25 rubli, okazuje się, że nabywcy włożyli w ziemię od jesieni roku 1886 do wiosny następnego roku własnéj pracy za rubli 250. Wartość zaś robocizny przy uprawie gruntu, obliczając po 4 ruble na morgę, otrzymamy rubli 40, razem 290 rubli. W latach poprzednich ani sami gospodarze, ani ich rodziny do żadnych robót się nie wynajmowali. To też cały ten zapas pracy, jaki włożyli w nowonabyte grunta, nie znalazł-by pola do zastosowania, gdyby owe 10 mórg nie zostały kupione. To téż według tam panujących pojęć i używanego wyrażenia, cała praca, włożona w ziemię, była „darmochą“.

W gubernii Radomskiéj [1]) przez lat piętnaście zasubhastowano za należność Towarzystwa Kredytowego 123 dóbr większych, za długi zaś prywatne sprzedano 156, razem 279. Ponieważ dóbr, posiadających hypotekę gubernialną, w r. 1890 liczono tam 1912, więc na 1000 majątków przypada rocznie blisko 10 wywłaszczeń. Biorąc liczbę samych tylko dóbr, w Towarzystwie Kredytowém odłużonych, otrzymamy rezultat jeszcze gorszy: mianowicie w r. 1890 majątków takich było 775, sprzedano zaś w ciągu lat 21 (1870 — 1890 włącznie) 182 t. j. na 1000 rocznie przeszło 11.

W tym samym czasie zlicytowano za długi drobnych osad kolonialnych 71, a że ich w r. 1890 było 13,717, więc na 1000 rocznie otrzymujemy tylko 0.4. Czyli wśród drobnych osad kolonialnych wywłaszczenia przytrafiają się *dwadzieścia kilka* razy rzadziéj, niż wśród dóbr większych.

Cyfry te są bardzo wymowne. Pan Romanowski tłómaczy je w sposób identyczny z nami: „mały procent sprzedanych posesyi chłopskich świadczy — są jego słowa—bardzo pochlebnie o rzetelności naszego chłopka. Ale bo téż on, jeżeli zaciąga pożyczkę, to przeważnie na kupno nowéj osady, na ulepszenie gospodarstwa, na wiano dla córki i t. p. rzetelne potrzeby; o oddanie zaś długu ciągle się kłopocze; sam zorze, sam zasieje, do pługa łącznie ze swą szkapiną się zaprzęże, cugów nie trzyma, żadnych zbytków nie robi, grosz ciuła; to téż jest w możności pożyczone pieniądze zwrócić. Jeżeli zaś znaj-

---

Ale téż tylko przy takich warunkach dochód z tak lichéj ziemi mógł być wyciągnięty. Najlepszym dowodem korzyści, jaką przyniosło nabycie działek, jest to, że cały szacunek został wypłacony przed terminem.

Już w roku 1887, po zebraniu pierwszego plonu, nabywcy uiścili 91 rubli, w następnym, 1888 roku, wypłacili resztę należności, wynoszącą 149 rubli. Oprócz tego odsetki utworzyły 9 rubli 20 kop.

Dziś obadwaj nabywcy zaliczają się do gospodarzy, posiadających inwentarz, a w całém ich otoczeniu widać rozwijający się dobrobyt.

[1]) Cyfry powyższe czerpiemy z rękopisu, który nam łaskawie zakomunikował p. Romanowski. Żałujemy mocno, żeśmy rezultaty jego badań otrzymali już po wyjściu większéj części badań naszych, gdyż znaleźliśmy tam mnóstwo obliczeń, któreby wywody nasze bardziéj jeszcze poparły. Część zresztą badań p. Romanowskiego—jak-to czytelnicy wiedzą—mieliśmy sposobność zużytkować, gdyż były publikowane w „Gazecie Radomskiéj". Zarówno dawne materyały, jak i nowe cyfry, zawierają mnóstwo szczegółów ważnych i interesujących, których poznanie może wyjaśnić nie jedną okoliczność, dla rolnika pierwszorzędnego znaczenia. P. Romanowski przez lat wiele z niemałym mozołem gromadził liczby i robił zestawienia.

Między innemi obrachował on ilość tranzakcyi, zawieranych przed i po roku 1884, kiedy wprowadzono nową opłatę stemplową. Ogrom materyału, jaki tu znaleźliśmy, nie został przez nikogo poruszony. Dane p. Romanowskiego, dostatecznie obrobione i opublikowane, przydać-by się bardzo mogły Towarzystwu Kredytowemu do celów, o których wyżéj była mowa.

dzie się kilku takich, których trzeba subhastować, to wina najczęściéj spada na wierzycieli, którzy ściągają procenty, 730% na rok nieraz dochodzące, jak to z polemiki, w „Gazecie Radomskiéj“ w r. b. umieszczonéj, wiadomo. Zdarza się téż naturalnie, że i sami dłużnicy zapożyczone grosze u wioskowych szynkarzy przepijają“.

Dodać jednak trzeba, że liczba zlicytowanych osad drobnych wciąż wzrasta: w r. 1886 gospodarstw małych sprzedano 8, w roku 1889—17, w r. 1890—29.

Pomimo takiego wzrostu wywłaszczeń widzimy, że do liczb wielkich tymczasem jeszcze nie doszliśmy. Zresztą o tém, że się stosunki zmienić mogą i muszą, wiedzieliśmy z góry, o to właśnie chodzi, aby wcześnie się wziąć do środków zaradczych i rąk w żadnym razie nie opuszczać.

Wśród danych, przez p. Romanowskiego zgromadzonych, znajdujemy inne jeszcze dane, niezmiernie wymownie ilustrujące stosunki rolne.

Na 156 licytacyach przymusowych (w ciągu lat 15-tu) za długi prywatne spadło z hypotek 3,125,000 rs., tam ubezpieczonych. Czyli na jednéj sprzedaży wierzyciele tracili przeciętnie nieco więcéj, niż 20 tysięcy rubli; bywały wypadki, kiedy strata przenosiła 90 tysięcy rubli. Tylko w 9 wypadkach (5.8% ogółu) suma, postąpionan a licytacyi, wyższą była niż ciążące długi hypoteczne.

Na 182 licytacyach (w ciągu lat 21) za należność Towarzystwu spadło z hypotek 2,350,000 rubli, czyli na jednych dobrach około 13 tysięcy rubli, więc mniéj, niż przy sprzedażach za długi prywatne. Do téj liczby należało-by jeszcze dodać stratę nakładów na ulepszenia, jakie ponieśli na sprzedawanych majątkach dzierżawcy.

Ze 156 dóbr, sprzedanych za długi prywatne, żydzi nabyli 17, z 71 licytowanych osad drobnych przeszło na ich własność 23.

Natomiast tranzakcyi dobrowolnych wśród posiadłości drobnych dokonywa się dużo, a mianowicie:

w r. 1870	sprzedano	z wolnéj	ręki	drobnych osad kolonialnych	76
„ 1871	„	„	„	„	101
„ 1872	„	„	„	„	128
„ 1873	„	„	„	„	189
„ 1874	„	„	„	„	229
„ 1875	„	„	„	„	234
„ 1876	„	„	„	„	280
„ 1877	„	„	„	„	290
„ 1878	„	„	„	„	383
„ 1883	„	„	„	„	770

w r. 1884	sprzedano	z wolnej ręki	drobnych	osad kolonialnych	756
„ 1885	„	„	„	„	392
„ 1886	„	„	„	„	414
„ 1889	„	„	„	„	570
„ 1890	„	„	„	„	533

Razem sprzedano w latach wymienionych 5,345 kolonii. Pomiędzy niemi ogromną większość, bo 95%, stanowiły osady drobniutkie $^1/_2$—15 mórg.

W liczbie nabywców żydzi stanowili 8%. Cyfra ta jednak wyższą jest od rzeczywistéj, gdyż niektóre akta kupna miały tylko na celu pewniejsze zabezpieczenie pożyczki, udzielanéj nowonabywcy, przy spłacie zaś były kasowane.

W niektórych wypadkach włościanie płacili za pożyczone pieniądze na kupno gruntu 36%, ponosili koszta dwu aktów rejentalnych, a jednak w wielkiéj liczbie wypadków wychodzili na swoje.

Dotychczas Towarzystwo pożyczek drobnych udzielało bardzo nie wiele. W sprawozdaniu za drugie półrocze r. 1889 znajdujemy, iż na 8877 wszystkich wypadków długów najmniejszych (100—500 rs.) było 277, t. j. 3.1% zaledwie. Pożyczek 550—1000 rs. zaciągnięto 306, a więc tylko 3.4%. Czyli razem Towarzystwo udzieliło pożyczek niższych od 1000 rub. 583, co stanowi 6.5%. W sprawozdaniu znajdujemy wykazy, jaką część wszystkich wypożyczonych pieniędzy tworzą należności najdrobniejsze, oczywiście jednak, że są to nic nieznaczące ułamki jednego procentu. Przypuszczamy, że ułatwienie formalności pozwoliło-by Towarzystwu znacznie powiększyć ilość stowarzyszonych wśród właścicieli zagonowych.

Często bardzo posiadacz drobny nie może dostać się do Towarzystwa, bo nie ma na razie na pokrycie kosztów zaprowadzenia księgi hypotecznéj; zresztą ta w istocie łatwa operacya, dla wieśniaka, umiejącego ledwie w dobrym wypadku czytać i pisać, jest progiem, do przebycia trudnym i kosztownym. Nam się wydaje, że biura dyrekcyj szczegółowych mogły-by, nie obarczając się wcale nadzwyczajnemi kłopotami, same załatwiać formalności tego rodzaju, strącając następnie poniesiony nakład przy wypłacie pożyczki jednorazowo, lub ściągając go częściowo przy opłacaniu rat.

Zresztą o szczegóły mniejsza. Władze Towarzystwa, wziąwszy się do czynności podobnych, same osądzą najlepiéj, co i jak robić należy. Byle się tylko wzięły jak najrychléj.

II.

Kwestya udzielania przez Towarzystwo Kredytowe pożyczek najmniejszéj własności ziemskiéj ma już swoją historyę. Od lat kilkudziesięciu była ona przedmiotem przedstawień i narad, zarówno w Warszawie w Towarzystwie, jak i w Petersburgu w instancyach wyższych. Przytoczymy tu tylko niektóre najważniejsze momenty przebiegu téj sprawy.

Potrzebę rozszerzenia działalności Towarzystwa w tym kierunku poruszono w Dyrekcyi Głównéj i Dyrekcyach Szczegółowych jeszcze w r. 1850. Potém wrócono do téj kwestyi w r. 1861. Wtedy-to, wskutek uchwały ówczesnéj Rady Stanu Królestwa Polskiego, wyjednano w r. 1862 rozkaz Najwyższy, polecający, ażeby przy nowéj emisyi listów zastawnych dana była możność zaciągania pożyczek *właścicielom drobnych majątków ziemskich, nie wyłączając posiadaczów zagród włościańskich.*

Przez lat kilkanaście rzecz ta pozostawała w zawieszeniu, podlegała naradom i w życie nie weszła. Dopiero w r. 1869, kiedy Najwyżéj zatwierdzono postanowienie Komitetu do spraw Królestwa Polskiego nakazało Towarzystwu zastosować przepisy, w niém obowiązujące, do nowych urządzeń, sprawa kredytu dla posiadłości drobnych weszła znowu na porządek dzienny. Wyraźnie zażądano, ażeby Ustawa Towarzystwa opartą została na takich zasadach, które-by pozwoliły obficiéj korzystać z pożyczek właścicielom drobnych posesyi i działek włościańskich. Dopiero wówczas cała tak zreformowana Ustawa miała być przedstawiona przez Komitet Urządzający do rozpatrzenia Komitetowi do spraw Królestwa Polskiego.

Lecz Władze Towarzystwa Kredytowego wyjaśniły wówczas [1]), że stosowanie Ukazu z r. 1862 wejść w życie oraz do zmienionéj ustawy w całéj rozciągłości nie może, bo, wedle zasady dotychczasowéj, Towarzystwo pożycza tylko na hypotekę gubernialną; udzielanie zaś pożyczek na hypoteki okręgowe (przy sądach pokoju) pociągnęło-by za sobą znaczne zmiany i koszta w administracyi Towarzystwa. Działki zaś włościańskie po większéj części wcale hypotek nie posiadają.

Obok tego jednak Towarzystwo Kredytowe zwróciło uwagę, że trudności w danym wypadku mogły-by być usunięte przez taką zmianę w procedurze Towarzystwa, która-by pozwoliła zaciągać pożyczki na hypoteki okręgowe [2]).

---

[1]) Memoryał urzędowy („objaśnitelnaja zapiska"), według protokółu Komitetu do spraw Królestwa Polskiego.

[2]) Opowiadamy rzecz tę wedle wydrukowanego przedstawienia sprawy przez P. Ministra Finansów w Radzie Państwa, z powodu zatwierdzenia Ustawy z r. 1888.

Ale Towarzystwo szczegółów projektowanych zmian nie przedstawiło, władze więc otrzymały tylko ogólną myśl możliwéj reformy.

Na okoliczność tę Komitet do spraw Królestwa Polskiego zwrócił uwagę i oświadczył, że dla zdecydowania sprawy potrzeba *koniecznie*, aby Towarzystwo samo wyłożyło *szczegółowo*, jakie zmiany w procedurze przeprowadzić należy, i aby gotowy całkiem i wykończony projekt przedstawiło Komitetowi; dopiero wówczas Najwyżéj zatwierdzone postanowienie uważać będzie można za zostające w toku wykonania.

Lecz jednocześnie, biorąc na uwagę, że dopełnienie niekompletnego przedstawienia wymagało-by pewnego czasu, a Najwyższe życzenie, oznajmione przez Sekretarza Stanu do spraw Królestwa, Nabokowa, nakazywało sprawę załatwić bez żadnéj odwłoki,—Komitet decyzyi nie wstrzymał, lecz tylko uznał za konieczne zrobić odpowiednie omówienie i ponownie polecił, aby Towarzystwo natychmiast przystąpiło do ostatecznego uregulowania sprawy kredytu dla własności drobnéj, wprowadzając w życie dawny Ukaz i nowe zalecenie.

Wypadek powyższy nastręcza nam sposobność uczynienia uwagi, która stosować się może nie tylko do téj jednéj sprawy.

Zwracanie się do władzy z ogólnikowemi zapytaniami, zamiast z gotowym projektem, jest podwójnie niepraktyczne: naprzód — jak widzieliśmy—hamuje szybkość decyzyi i spowodować może odpowiedź nieprzychylną; a jednocześnie z drugiéj strony wywołuje błędne, a więc w skutkach swoich szkodliwe, mniemania.

Zapytanie ogólnikowe obudzić musi domysły i podejrzenia. I to bardzo naturalne: trudno żądać, aby administratorzy całego państwa, obarczeni tylu sprawami różnorodnemi, zdołali przewidzieć wszelkie wyniki, mogące być, szczególniéj przy specyalnych miejscowych warunkach, następstwem odpowiedzi ogólnikowéj. Wolą więc odmawiać z góry niż narażać się na jakieś późniejsze nieporozumienia i kłopoty.

Kilkanaście lat praktyki mojéj w „Komitecie Naukowym“, przy Ministeryum Finansów, najdowodniéj przekonało mnie o błędności tego rodzaju postępowania.

Systemu pytań uprzednich zamiast opracowywania referatów szczegółowych, wystrzegać się Towarzystwo powinno już choćby dlatego, że w najlepszym razie zaoszczędzi sobie trochę pracy, stracić zaś może wiele.

Często przepatrywałem projekty, gdzie, jak w danym wypadku, było kilka sposobów rozstrzygnięcia kwestyi. Jeżeli każdy wypadek był przedstawionym jako projekt gotowy i władza mogła wyrobić sobie zdanie kompetentne, mając przed sobą wszelkie możliwe ewentualności,

sprawa posuwała się szybko, bo ją traktowano na seryo, jako rzecz pilną, na któréj zalatwieniu istotnie komuś zależy.

Ale jeżeli, zamiast rozbioru *in merito*, przychodzi tylko zapytanie, na które przychylna odpowiedź wymagała-by przeprowadzenia badań i opracowania sprawy przez samą władzę, zamiast interesanta, zjawia się naturalne uczucie niechęci do zapytania otrzymanego i do sprawy całej.

Widzieliśmy, że nawet Komitet do spraw Królestwa Polskiego zrobił Towarzystwu Kredytowemu taką właśnie uwagę.

Wracamy do kwestyi kredytu dla posiadłości drobnych. Żądany szczegółowy „Projekt przepisów o udzielaniu pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na nieruchomości ziemskie, mające hypoteki okręgowe i na osady włościańskie“ został opracowany i przesłany Komitetowi Urządzającemu. Lecz jednocześnie przesłaną została także opinia ówczesnego przedstawiciela rządu w Towarzystwie, Prezesa Dyrekcyi Głównéj, jenerała Giecewicza. Opinię tę „Pamiętnik Towarzystwa“ streszcza w słowach następujących: „Towarzystwo Kredytowe i właściciele ziemscy wogóle okazali jak najlepsze usposobienie i chęci względem udzielania pożyczek na własności drobne. Lecz ja (mówi jenerał Giecewicz) z mojéj strony mniemam, że wszelki w téj mierze projekt, bez względu na przyjęte dlań zasady, byłby niezgodnym z ogólnemi pojęciami o kredycie ziemskim, opartym na systemie stopniowéj amortyzacyi, a szczególnie téż przeciwnym obecnemu położeniu rzeczy w guberniach nadwiślańskich“.

Wobec téj niespodziewanéj zupełnie opinii, niezgodnéj z wyżéj przytoczonemi zapytaniami, których przecie Władze Towarzystwa przedstawić nie mogły bez współudziału Prezesa Dyrekcyi Głównéj, znowu radykalniejsza zmiana poszła w odwłokę. Pomimo to jednak, w r. 1871, na wniosek Ministra finansów, zapadł rozkaz Najwyższy treści następującéj:

„Pozwolić na wydawanie pożyczek przez Tow. Kred. Ziemskie tym tylko posesyom włościańskim, które obejmuje Ustawa z r. 1869, t. j. posesyom, przenoszącym 90 mórg obszaru i posiadającym hypotekę gubernialną, z zastrzeżeniem, iż do obciążonych długiem Towarzystwa majątków stosować się nie mają czasowe ograniczenia pod względem nabywania ziemi, nadanéj uwłaszczeniem“.

Widzimy więc, iż chwila właściwa do rozszerzenia działalności Towarzystwa w kierunku bardzo pożądanym została przepuszczoną— późniéj już napotkano przeszkody. W ostatniéj ustawie, noszącéj datę 1888 r., znajdujemy pod tym względem tylko dosłowne niemal po-

wtórzenie dawnych, najmniéj stanowczych i sprawy nie rozstrzygających, postanowień [1]).

Pomimo to wszystko, jakkolwiek kwestya udzielania pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe własności drobnéj nie została rozstrzygnięta tak stanowczo i pomyślnie, jak się na to początkowo zanosiło, to jednak, ściśle rzeczy biorąc, Ustawa dosyć daleko—jak na kredyt hypoteczny—posunęła minimum możliwéj pożyczki.

Sądzić przy tém można, że ewentualnie nawet obniżka normy do 300 rubli dała-by się uzyskać, a wówczas najbardziéj naglące potrzeby były-by zaspokojone. Obecnie już Ustawa nie odtrąca żadnego rodzaju własności od dobrodziejstwa korzystania z pomocy instytucyi publicznéj.

A jednak drobna własność, jak to wykazaliśmy wyżéj szczegółowo, uciekać się do taniego kredytu Towarzystwa nie może, bo jest on dla niéj, dzięki potrzebie dokonania wielu formalności, zakosztowny. Tymczasem omawiane zadanie społeczne wypada koniecznie w niedługim czasie skutecznie rozwiązać.

Posiadłość drobna, ażeby sama mogła prosperować i przyczynić się do zlikwidowania przeciążonéj długami części własności większéj, potrzebuje pomocy, a tymczasem nie mamy innéj instytucyi, prócz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, która-by o zadosyćuczynieniu téj potrzebie pomyśléć mogła [2]).

---

[1]) § 91. „Pożyczki udzielane są na dobra, których własność, nie ścieśniona szczególnymi przepisami, ustaloną jest w hypotekach przy sądach okręgowych. Udzielane są również na osady, posiadane na podstawie Ukazu z dnia 19 Lutego 1864 r., jeżeli własność takich osad jest w hypotece przy Sądzie Okręgowym uregulowaną, jeżeli osady te mają ustalone granice, nie są przedzielone obcemi własnościami i obejmują przynajmniéj 90 morgów.

Na osady, których część składa się z gruntów, nadanych na podstawie Ukazu z dnia 19 Lutego 1864 r., część zaś z gruntów, pod tenże Ukaz nie podpadających, pożyczki mogą być udzielane nawet w takim razie, jeżeli rozległość osad nie dochodzi 90 morgów".

Uwaga. „Do osad, w niniejszym artykule wymienionych, nie stosują się, w razie sprzedaży przez Towarzystwo, czasowe co do nabywców ograniczenia, zamieszczone w Ukazie z dnia 19 Lutego 1864 r."

§ 94. „Pożyczka nie może być udzieloną, jeżeli wysokość jéj do pięciuset rubli nie dochodzi".

[2]) Korzystając ze sposobności, przytoczymy tu jeszcze parę liczb, wyjętych z rękopisu, którego nam łaskawie udzielił p. Romanowski.

W ciągu lat 15 (pomiędzy rokiem 1870 a 1890), sprzedano w gub. Radomskiéj za samemi aktami hypotecznemi (nie licząc sprzedaży notaryalnych ale nieujawnionych):

Prócz obowiązującéj dziś w Towarzystwie zasady udzielania pożyczek, istnieją sposoby inne. Wyżéj mówiliśmy o nich obszernie, powtarzać więc tu nie będziemy.

Przypominamy tylko, że doświadczenie krajów zagranicznych dostatecznie przekonywa o możliwości pomyślnego załatwienia sprawy.

Zresztą nie chodzi koniecznie o wybranie téj lub innéj drogi. Przedstawiciele Towarzystwa sami najlepiéj potrafią osądzić, co i jak zrobić, byle tylko zajęli się tym przedmiotem, naprzód teoretycznie, a potém praktycznie.

A że się zajmą, nie wątpimy. Pan Mscisław Godlewski w cytowanym „Pamiętniku“ powiada: „Towarzystwo Kredytowe Ziemskie czyniło ze swéj strony wszystko, co było w jego mocy, aby wszelką drobną własność, bez żadnych wyjątków, do dobrodziejstw udzielanego przez siebie kredytu dopuścić“.

Nie zmienia ani nie zmniejsza potrzeby obecnie ta okoliczność, że działać w Królestwie poczęły oddziały Banku włościańskiego. Przedewszystkiém działalność ta rozwija się dotychczas bardzo wolno i o przyszłości nic wnioskować nie pozwala. Bank nie pożycza jednostkom, lecz tylko gromadom, które oczywiście téj rzutkości nie mają, co pojedyńczy człowiek, lub jakieś grono, wspólną chęcią uprzednio połączone; Bank potrzebuje zwracać się za każdą razą o zatwierdzenie do Petersburga, co wszystko rozwój jego bardzo utrudnia. Powtóre: potrzeba kredytu dla własności drobnéj jest tak wielka, że i dla dwu instytucyi, szczególniéj różnych co do zadania i sposobów postępowania, roboty-by nie zabrakło.

III.

Pomimo jednak wielkiego prawdopodobieństwa, że przyszłość ziści nasze oczekiwania, teraźniejsze życie nasze posiada szczerbę fatalną.

---

mórg	30,409	za	2,443,351 rs.
sągów	347,123	„	329,498 „
sztuk drzewa. . . .	69,500	„	341,898 „
węgla drzewnego . .	—	„	1,800 „
Razem. . .		za	3,116,547 rs.

W znacznéj liczbie wypadków wielka, hurtowna wyprzedaż drzewa powodowaną bywa potrzebą gotówki w wytrąconém z równowagi gospodarstwie. Tworzą się przestrzenie, z których użytkować bez znacznego nakładu nie podobna, a nakładu niéma skąd wziąć. Takie przestrzenie lub ich części, odstąpione chłopom, nie mającym znowu sposobu zużytkowania swéj pracy, wspomogły-by własność większą i drobną i podniosły-by wytwórczość krajową.

U nas dotychczas jedyną ucieczką rolnika w razie potrzeby jest prywatny filantrop lub lichwiarz. Filantrop tu i owdzie się czasem znajdzie. Lichwiarz sam z wielką gorliwością wyszukuje sobie ofiary. Jeżeli gdzie, to w tym wypadku słuszne jest popularne twierdzenie: kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Im daléj, tém się stosunki bardziéj wikłają, pogarszają; pomoc, zbyt późno przychodząca, będzie mało skuteczna.

O tém, że w kraju naszym tak ważne i możliwe do eksploatacyi pole leży całkiem odłogiem, wiemy nie tylko my sami. Banki ziemskie z Cesarstwa *dobijają się* (biorąc to wyrażenie w ścisłym sensie) o prawo rozszerzenia swéj działalności na Królestwo Polskie. Jednocześnie aż cztery takie instytucye kołacą w ministeryum finansów o uzyskanie pozwolenia rozciągnięcia operacyi na Królestwo.

Dotychczas ministeryum odmawia, motywując decyzyę względem, że Towarzystwo Kredytowe potrafi samo zadość uczynić potrzebie. Nakłada to tém większe obowiązki na instytucyę naszą, a jednocześnie może dać otuchę, że Ministeryum, w razie zwrócenia się do niego w tej sprawie, zezwolenia swego nie odmówi.

Gdyby jednakże wszystkie wysiłki dalsze miały ten sam skutek, co poprzednie, t. j. gdyby zadanie dostarczenia kredytu odpowiedniego dla własności małéj okazało się dla Towarzystwa Kredytowego nie do rozwiązania; wtedy bez zwłoki przystąpić należy do załatwienia palącéj potrzeby na drodze innéj. Najprostszym i najłatwiejszym do wykonania sposobem było-by założenie dla Królestwa Polskiego Banku Ziemskiego, na zasadzie ustawy normalnéj, wydanéj dla państwa całego.

Mamy pewne powody mniemać, że uzyskanie koncesyi nie napotkało-by poważnych przeszkód.

W razie zaś niepowodzenia i na téj drodze, pozostaje już tylko życzyć sobie, ażeby pozwolenie rozciągnięcia operacyi na Królestwo udzielone zostało najodpowiedniejszemu z banków, istniejących w Cesarstwie.

Bez taniego kredytu dla własności najdrobniejszéj społeczeństwo współczesne obejść się nie może.

Banki ziemskie są to przedsiębiorstwa, oparte na akcyach, nic bronić nie będzie kapitalistom naszym mieć wpływ na sposób przeprowadzenia operacyi.

Naturalnie instytucya, nieoparta na wzajemności, lecz przeznaczona na przynoszenie dochodu akcyonaryuszom, udzielić nie jest w stanie kredytu na warunkach tak przystępnych, jak Towarzystwo Kredytowe. Ale zbyt wygórowanych odsetków Bank Ziemski pobierać nie będzie, bo nadwyżka, z któréj zysk ciągnąć mogą uczestnicy, zostanie

ograniczoną przez ustawę. Zresztą należy się uciec do banku akcyjnego w takim tylko razie, gdy już nie będzie wyboru.

Za czasów drugiego Cesarstwa we Francyi, podczas dyskusyi nad organizacyą banków i nad możliwém zniżeniem stopy procentowéj, jeden z praktyków zrobił bardzo dowcipne i trafne porównanie: „Chcecie koniecznie – powiedział – utrzymać niską stopę, a zapominacie, że w danéj chwili niepodobna oznaczyć wartości pieniędzy. Wyobraźcie sobie ojców miasta, którzy, bądź co bądź, pragną mieć chleb po cenach niższych od tych, jakie wytwarzają nieodparte warunki ekonomiczne. Nie mogąc zaś za przeznaczone pieniądze kupić ilości dostatecznéj dla zaspokojenia potrzeb wszystkich mieszkańców, wydają go mniéj, niż wypada na utrzymanie przy życiu organizmów, a jednocześnie zabraniają strawy powszedniéj kupować w mieście sąsiedniém, gdzie wprawdzie każą płacić drożéj, ale pozwalają najeść się do syta“.

Gdyby—w razie naturalnie dojścia do ostateczności—działalność Banku ziemskiego w Królestwie napotkała opozycyę ze względu na drogość kredytu, była-by ta opozycya postępkiem takim samym, o jakim mówił ów Francuz.

Chleb Towarzystwa Kredytowego jest tani, ale go nie dają. Lepiéj zapłacić drożéj i z głodu nie umrzéć.

Przypuszczając, że obie instytucye na morgę gruntu dadzą po 30 rubli, to różnica w opłacie procentu nie dosięgnie nawet 30 kopiejek rocznie.

Dla wyraźniejszego zilustrowania skutków pożyczki w Banku, weźmy przykład. Włościanin posiada obecnie pięć mórg, pragnie zaś nabyć drugie pięć z sąsiednich dóbr większych, które zmniejszają swoje obszary. Nie posiadając środków, zwraca się do Banku i zabezpiecza wziętą pożyczkę na przedtém posiadanéj i przykupionéj ziemi, co da mu możność otrzymania z Banku rs. 300. Na spłatę więc przykupionych pięciu mórg wypadnie po rs. 60. Przypuśćmy, że cena szacunkowa wynosiła-by po 80 rubli za morgę. Pozostanie więc jeszcze 20 rubli na morgę, które bez ryzyka właściciel dóbr, albo zastępujące go Towarzystwo mogło-by rozłożyć na dalsze spłaty. Uprawa tych dodatkowych 5 mórg, w przeważnéj większości wypadków, nowego posiadacza nic kosztować nie będzie. Wcześniéj do pracy wstanie, późniéj z pola zejdzie, może i mniéj wywczasuje się podczas dnia, ale ziemię uprawi i plon zbierze. W takich warunkach czysty dochód z ziemi bardzo średniéj wartości wyniesie przeciętnie z morgi przynajmniéj 16 rubli, a zatém nabywca powiększy swój dochód przynajmniéj o 80 rubli rocznie.

W Towarzystwie Kredytowém od wypożyczonych 300 rubli płaciłby 15 rs. 75 kop. w Banku kosztować go to będzie aż 18 rs. Ale Towarzystwo takich pożyczek nie wydaje, gdyby więc Banku nie było, musiał-by pozostać przy swoich pięciu morgach, co-by go pozbawiło 80 rubli rocznie. Na pięciu morgach nie będzie mógł zużytkować wszystkich sił swoich i całéj pracy; zarobki uboczne raz znaléźć można, drugi raz nie można. Tymczasem na 10 morgach da się już prowadzić gospodarstwo porządne. Czyż nie warto płacić za to 18 rubli rocznie? Czyż taka pożyczka nie była-by dobrodziejstwem?

Banki ziemskie, istniejące obecnie w Cesarstwie, mają prawo udzielać pożyczki pod zastaw fakryk i domów w miastach i miasteczkach. Jest to ważna okoliczność, bo pamiętajmy ciągle, że u nas istnieje wielka potrzeba nabywców na ziemię. Drobni mieszczanie, w ogromnéj większości z powołania rolnicy, znalazłszy pomoc w kapitale, powiększyli-by liczbę parcelantów.

Daléj, banki ziemskie mogą udzielać pożyczek krótkoterminowych.

Bank Parcelacyjny.

Dziś więcej niż kiedykolwiek zachodzi potrzeba nieodzowna utworzenia instytucyi, która by ułatwiła nabywanie lub dzierżawienie ziemi rolnikom drobnym, niemającym kapitału, lecz posiadającym duży zasób sił i zdolności do pracy produkcyjnej. Własność ziemska większa musi regulować swoje stosunki, normować rozmiary jednostek gospodarczych; własności mniejszéj brakuje kapitałów i pomocy, ażeby się rozwinąć odpowiednio do zasobu sił, jakie posiada. A zatém należy dążyć do wytworzenia instytucyi, która-by się stała pośrednikiem pomiędzy dwoma pierwiastkami, wzajemnie się potrzebującymi, wzajemnie się dopełniającymi, ale niemogącymi się porozumieć, wskutek przyczyn ekonomicznych, od nich niezależnych.

Z jednéj więc strony trzeba regulować hypoteki, spłacać wierzycieli i nawet nabywać dobra, z drugiéj ułatwiać ich wydzierżawienie lub kupno w drodze parcelacyi drobnym rolnikom.

Jeżeli wszystko zdamy na łaskę losów, to bardzo być może, że wszystko zrobi się i samo, ale niewątpliwie z mniejszym pożytkiem dla stron obu.

Proces parcelacyjny samoistny, naturalny, bezplanowy, może pokaleczyć gospodarstwa większe i porodzić jakieś nowotwory, całkiem do życia niezdolne. Zamiast wczesnego ratunku i uregulowania interesów, mnożyć się będą subhastacye, wywłaszczenia; dłużnicy pospa-

dają z hypotek, dawni właściciele znajdą się na bruku bez wszelkiéj pomocy.

Poważne i trwałe uregulowanie stosunków wymaga sprzedaży przynajmniéj miliona morgów, t. j., licząc po 60 rs. morgę, 60 milionów rubli. Przypuszczając, że Towarzystwo lub Bank dadzą nawet 30 milionów, to jeszcze pozostanie 30, których oczywiście drobni (jedyni) nabywcy nie mają. Gdyby jednak mogli zaciągnąć pożyczki na posiadane a nieodłużone grunta, suma taka z łatwością - by się znalazła.

Trzymając się przyjętéj zasady popierania wszystkiego cyframi, pośpieszamy wykazać, że Królestwo posiada zupełnie wystarczające zasoby do przeprowadzenia operacyi powyższéj: ma dostateczną ilość nabywców i dostateczny obszar do oparcia kredytu, o którym mowa.

Przedewszystkiém zapominać nie należy, iż ogółem drobna własność włościańska i nie włościańska, objęta i nieobjęta ukazem liczy. w Królestwie dziś już znacznie więcéj, niż 10 milionów morgów. Czyli dla zabezpieczenia wyżéj wymienionych 30 milionów rubli istnieje pewność absolutna.

Już w rozdziale o „Parcelacyi i parcelantach“ wykazaliśmy szczegółowo, ile i jakich rozmiarów kraj liczył w w roku 1878 osad drobnéj szlachty, i włościan[1]). Przytoczymy tu tylko liczby ogólne: 45,586 gospodarzy, należących do szlachty zagonowéj, posiadało 881 tysięcy mórg; 78 kupców — 2 tysiące mórg; 1905 mieszczan — 31 tysięcy mórg; wreszcie 20,129 włoscian posiada ziemi, nabytéj po Ukazie r. 1864, 317 tysięcy mórg. Razem więc drobna własność, nie objęta tabelami likwidacyjnemi, już w r. 1878 dać mogła 67,698 właścicieli, posiadających 1,231 tysięcy mórg. Ale od r. 1878 jeszcze przez lat 8

[1]) Drobna szlachta.

	Ilość właścicieli	Ziemi w tysiącach mórg	
		Ogółem	Z tego ornéj
Do 10 mórg	12,447	82	57
Od 10 do 30 mórg	25,740	452	282
Od 30 „ 50 „	5,240	202	123
Od 50 „ 100 „	2,159	145	82
Razem	45,586	881	544

ruch parcelacyjny w całym kraju rozwijał się z wielką siłą. Pomiędzy rokiem 80 — 85 w saméj tylko gubernii radomskiéj przeszło 60 tysięcy mórg zostało nabytych przez własność drobną, przeszło za 3½ miliona rubli. I potém zaś, po r. 1885, ruch parcelacyjny, chociaż osłabł, doszczętnie jednak nie wygasł. Licząc więc bardzo umiarkowanie, od r. 1878 do bieżącego wartość ziemi, posiadanéj przez drobnych właścicieli, wzrosła o 30 milionów rubli (pamiętać należy, że pustki i nieużytki, nabywane przez parcelantów, po latach kilku ich pracy, nabywają wartości większéj). Otrzymujemy więc nawet po-za granicami ziemi nadziałowéj wartość, całkiem wystarczającą do oparcia 30 milionów pożyczki. A na tém nie koniec.

Jeżeli przypuścimy, że pożyczka mogła-by być udzielona tylko na połowę téj ilości, i to w niewielkich rozmiarach, po 30 rs. na mor-

Mieszczanie i kupcy.

	Ilość właścicieli	Ziemi w tysiącach mórg	
		Ogółem	Z tego ornéj
Do 10 mórg	1,057	2	1.7
Od 10 do 30 mórg	566	11	7.2
Od 30 „ 50 „	199	8	6.1
Od 50 „ 100 „	161	12	8.1
Razem	1,983	33	23.1

Włościanie.

	Ilość właścicieli	Ziemi w tysiącach mórg	
		Ogółem	Z tego ornéj
Do 10 mórg	7,509	37	28
Od 10 do 30 mórg	10,449	183	125
Od 30 „ 50 „	1,590	59	42
Od 50 „ 100 „	581	38	24
Razem	20,129	317	219

gę co, szczególniéj w mająteczkach drobnych, posiadających wiele zabudowań, jest sumą niską, to już nam wypadnie 18 milionów z górą.

Towarzystwo Kredytowe, wedle brzmienia 91 paragrafu ustawy, udzielać może pożyczek na osady, posiadane na podstawie Ukazu z d. 19 Lutego 1864 r., jeżeli one obejmują przynajmniéj 90 mórg. Nie mamy danych do obliczenia posiadłości włościańskiéj, poczynając od 90 mórg; statystyka urzędowa pozwala na obrachunek od 100 mórg jedynie; takiéj ziemi jest około 26 tysięcy mórg. Przyjmując tęż samą normę, co wyżéj, przypuszczać na podstawie liczby ostatniéj można, iż Towarzystwo samo na gospodarstwa chłopskie, 90 mórg przenoszące, udzielić-by mogło znowu milion mniéj więcéj rubli.

Ale dalszy ciąg tego paragrafu dodaje, że na osady, których część składa się z ziemi kupionéj, a część z nadanéj w r. 1864, może być udzieloną pożyczka, chociażby one nie dochodziły do 90 mórg. Jedyném ograniczeniem są owe 500 rs., stanowiące minimum udzielanéj przez Towarzystwo pożyczki. Wobec rozwiniętego przez lat wiele ruchu parcelacyjnego, tylu już włościan przykupiło ziemi po Ukazie, iż dziś bardzo znaczna część ziemi nadziałowéj, nawet rozbitéj na gospodarki mniejsze niż 90 mórg, w myśl wyżej przytoczonego paragrafu, może być zastawem dla pożyczki Towarzystwa.

Już przed kilku laty p. Górski przypomniał obywatelstwu potrzebę założenia instytucyi, ułatwiającéj i regulującéj proces parcelacyjny. Dziś — powtarzamy raz jeszcze — nadeszła chwila ostatnia; zwlekać daléj znaczyło-by zrzéc się pracy nad poprawieniem niesłychanie ważnego warunku pomyślności społeczeństwa.

Potrzebę tę, zapewne, załatwić-by mógł i kto inny, ale z mniéj dobrym skutkiem, a szczególnéj z mniéj dobrym skutkiem dla własności ziemskiéj, niż sami ziemianie. Oni lepiéj niż kto inny rozumieją potrzeby rolnictwa, bliżéj i dokładniéj znają pierwiastki, tworzące proces parcelacyjny. Każdy inny, ktoby się téj pracy podjął, spotkał-by prawdopodobnie, jeśli nie zarzuty, to podejrzenia, że dąży do wyzysku, pragnie obywatelstwo z ojcowizn wyzuwać. A tymczasem praca taka odbywać się powinna przy sympatyi i poparciu ogółu.

Dobry interes i potrzebę ułatwienia ruchu parcelacyjnego i pośredniczenia w nim zrozumieli od dawna spekulanci, ale naturalnie myśleli tylko o zyskach osobistych. Tak się dziać będzie i tak się dziać musi, jeżeli nieopatrzność ogółu pozostawi tak ważne zadanie tylko w rękach jednostek, mniéj lub więcéj udatnie dokonywających operacyi.

Ostatecznie wszystkie potrzeby jakoś się zaspakajają, chodzi tylko o to—jak? Ale źle się dzieje w społeczeństwie, które, żałując

trochę fatygi, pozostawia wszystko na łasce losów i najważniejsze nawet sprawy swojego bytu oddaje w ręce spekulantów.

II.

Omawiając jakąkolwiek bądź sprawę u nas, zaczynać należy od przypomnienia göthowskiego: Wiedza—to potęga. (Wissen ist Macht). Nie znając czegoś dokładnie, nie mając przed oczyma wyraźnego obrazu potrzeby, nie znajdziemy w sobie dostatecznéj pobudki do działania i zrobić nic nie potrafimy.

Trzeba więc zacząć od poznania rzeczy.

Nie tracąc czasu, należało-by rozpocząć poważne studya pod kierunkiem Komitetu i delegatów Towarzystwa nad położeniem większéj posiadłości. Głównem zadaniem powinno-by być zbadanie kwestyi, o ile rozprzedanie ziemi jest możliwe ze względu na zasoby, a także: czy drobni posiadacze ziemi, płacąc normalne ceny, mogli-by pomimo to ciągnąć zyski?

Urzeczywistnienie téj myśli przedstawiamy sobie w sposób następujący:

Wziąwszy do ręki spis posiadłości większych, wypadało-by, na zasadzie poufnych zapytań, poznać stan i warunki dóbr tych właścicieli, którzy się na to zgodzą, a są w położeniu takiém, że prędzéj czy późniéj będą zmuszeni, albo zupełnie pozbyć się własności, albo zmniejszyć jéj obszar. O każdéj takiéj posiadłości należało-by się dowiedzieć: 1) Czy dany majątek może ulédz zmniéjszeniu przez parcelacyę? w jakim jest stanie jego gleba? jakie posiada zabudowania? o ile z folwarków i zabudowań można-by wytworzyć jednostki nowe gospodarskie? oraz, jak wysokie mniéj więcéj jest odłużenie? 2) Jakie wsi, osady i majętności graniczą z danemi dobrami? Jaka jest w każdéj z przyległych wsi, osad i majętności liczba ludności? jaki panuje tam podział własności ziemi i inwentarzy? jakie ceny w ostatnich czasach płacono za ziemię? czy mieszkańcy mają zarobki uboczne i jakie? jaka jest zamożność i wypłacalność ludności? czy i do jakiego stopnia ludność miejscowa była-by w stanie posiadanym inwentarzem i robocizną dodatkowo uprawiać nabyte ziemie? 3) jakie były w ostatnich pięciu latach urodzaje na gruntach włościańskich i na gruntach dóbr badanych?

Dla zebrania wszystkich tych wiadomości należało-by wypracować szematy ze stosownemi rubrykami na odpowiedzi. Że znaczna liczba właścicieli wypełniła-by takie szematy i porobiła obrachunki w sąsiednich drobnych posiadłościach—o tém wątpić nie podobna. Po

zebraniu wiadomości tego rodzaju z dostatecznéj liczby dóbr, możnaby, nie wymieniając nazwisk, wypracować dla przykładu kilka planów parcelacyi, i na zasadzie doświadczeń, nabytych przez ludzi, którzy zajmowali się już parcelacyą, obliczyć: *a*) ile potrzeba wyłożyć kapitału dla prowadzenia parcelacyi? *b*) jaka część jego zwróconą być może przez pożyczkę Towarzystwa Kredytowego? *c*) jaka część wrócić się może z zaliczeń nabywców? *d*) ile się da otrzymać z zaliczeń na hypotekę?

Mając takie dane w ręku dla pewnéj części posiadłości, dopiero będzie można przystąpić do wytworzenia prawdziwego planu działania pod względem finansowym.

Wadą wszystkich instytucyi, które u nas powstawały, było zawsze to, iż działały bez planu i nie zbadawszy dostatecznie, czy tworzące się dzieło ma rzeczywiście pewny grunt pod nogami i jakich wymaga zasobów, — rozpoczynano działalność na oślep. Założyciele, nie mając sami jasno wytkniętego kierunku, nie są w stanie wlać w ogół przekonania, że powierzone im kapitały zmarnowane nie zostaną.

Pokierowanie badaniami tego rodzaju leży, wedle naszego pojęcia, w zakresie działań i obowiązków Towarzystwa Kredytowego. Wątpić należy, ażeby wielu było właścicieli ziemskich, zagrożonych katastrofą, którzy-by w Towarzystwie długu nie zaciągnęli.

Nie zabraknie więc Towarzystwu możności wdać się w tę sprawę, gdyż, według brzmienia ustawy, przysługuje mu prawo opieki nad dobrami stowarzyszonych.

Ankieta, wyżéj wskazana, nie jest tak skomplikowaną, aby się nie udało wcielić jej do badań ogólnych, o których mówiliśmy poprzednio.

Ewentualnie i Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, posiadające dziś sekcyę rolną, mogło-by się zająć czémś podobném, lecz Towarzystwo Kredytowe posiada daleko więcéj środków i odpowiedniejszą organizacyę.

Co więcéj, współudział, jeżeli nie wprost materyalny, to przynajmniéj moralny, Władz Towarzystwa Kredytowego przy utworzeniu Banku Pożyczkowego i Parcelacyjnego uważamy za niezbędnie potrzebny i z drugiéj arcyważnéj przyczyny. W pierwszych czasach operacye mających powstać instytucyi nie mogą być znaczne, a zatém i dochody będą ograniczone. Otóż jeżeli Towarzystwo Kredytowe nie przyrzeknie z góry swéj pomocy i poparcia, potrzebne kapitały prawdopodobnie się nie zbiorą.

Towarzystwo Kredytowe, posiadając gmachy obszerne po-nad potrzeby, mogło-by za skromne wynagrodzenie udzielić Bankowi lokalu. A daléj, aż do chwili rozwinięcia działalności Towarzystwa, personel

jego biur, nie będąc przeciążonym pracą, mógł-by za dodatkową niewielką płacą załatwiać różne czynności Banku. Kasie Towarzystwa Kredytowego przyniosło-by to trochę dochodu, a stowarzyszonym oddało-by wielkie usługi.

Tylko w takich warunkach, sądzę, przedsiębiorstwo mogło-by być w życie wprowadzone i rozwinąć się pomyślnie.

Kredyt melioracyjny.

Inne jeszcze zadanie, wielkiéj dla kraju doniosłości, pozostaje do rozwiązania.

Kommisya, zwołana celem uorganizowania *kredytu melioracyjnego*, o którym wyżéj wspominaliśmy, przyjęła już w zasadzie projekt utworzenia takiego kredytu; na początek jednak postanowiono wprowadzić go w życie w tych tylko guberniach, które posiadają Ziemstwa.

Przytaczamy w streszczeniu ważniejsze punkty z wydanego świeżo projektu *Ustawy*:

Pożyczki wydawane będą na melioracye, mające na celu poprawę gleby, zaprowadzanie lasów, sadów, a także na zakup inwentarza martwego oraz żywego.

Zatwierdzenie pożyczki zależy od ministra dóbr państwa, po porozumieniu z ministrami spraw wewnętrznych i finansów — oddzielnie dla każdéj gubernii lub powiatu.

Rząd ma przedewszystkiém na względzie wyżéj wymienione najniezbędniejsze melioracye; ponieważ jednak niektóre miejscowości mogą potrzebować specyalnych melioracyi, jakoto: regulacyi rzek, zaprowadzenia wodnych motorów, urządzenia krochmalni, pasiek, olejarni i t. d., zatém minister dóbr państwa w porozumieniu z ministrem finansów ma prawo udzielić pożyczki na wszelkie ulepszenia i prace, nawet paragrafami Ustawy nie objęte.

Pożyczkę zaciągnąć mogą osoby pojedyńcze, właściciele ziemscy, a także towarzystwa, instytucye rolne i ziemskie, zarówno na melioracye majątków własnych, jak i w celu pośredniczenia w udzielaniu pożyczek innym właścicielom.

Pożyczkami na zakup inwentarza rozporządzają gubernialne lub powiatowe ziemstwa całkowicie, wedle własnego zrozumienia potrzeby. i uznania; pożyczek zaś na melioracye rolne udzielają władze państwowe lub zarządy ziemstw, stosując się ściśle do nakazów ustawy.

Ogólny nadzór nad operacyami kredytu rolnego, a także w niektórych razach nad prowadzeniem robót melioracyjnych, należy do

Departamentu rolnictwa i przemysłu rolnego w ministeryum dóbr Państwa.

Pożyczki melioracyjne wydawane będą przez: a) Komitety Gubernialne, b) Ziemstwa Gubernialne i powiatowe i c) przez agronomów i techników—specyalistów, pozostających przy Komitetach gubernialnych.

W skład komitetów gubernialnych wejdą: gubernator (jako przewodniczący), gubernialny marszałek szlachty, prezes ziemskiego zarządu gubernialnego, prezes izby skarbowéj, zarządzający dobrami państwowemi, dwóch miejscowych właścicieli ziemskich, wyznaczonych przez ministeryum dóbr państwa, oraz agronomowie tegoż ministeryum.

Minister finansów, w porozumieniu z ministrem dóbr państwa, ma prawo, w razie potrzeby, powołać do komitetu jeszcze zarządzającego miejscowym oddziałem banków: szlacheckiego, włościańskiego lub państwowego.

Buhalteryę i kontrolę prowadzić będą miejscowe izby skarbowe.

Agronomowie gubernialni obowiązani są zbierać informacye o majątkach, potrzebujących melioracyi; sprawdzać plany i anszlagi melioracyjne; czuwać przy pomocy specyalnych techników nad prowadzeniem robót oraz właściwém użyciem pożyczek; zawiadamiać Komitet o działalności ziemstw i przedstawiać mu wnioski swoje i opinię w razie podania ziemstw o udzielenie nowego kredytu.

Ziemstwo od wydanych pożyczek pobiera 4% rocznie. Nadto na koszta operacyi ½%. Kary za uchybienie terminu spłaty nie mogą przenosić 1% na miesiąc.

Zatwierdzone pożyczki wydawane będą albo w gotowiźnie, albo w formie kredytu otwartego na zakup inwentarzy czy maszyn. Ziemstwa będą mogły na zaprowadzenie składów maszyn otrzymywać zaliczki, umarzane w ten sam sposób, jak i zwyczajne pożyczki melioracyjne.

O wysokości rat wierzyciele otrzymują osobne zawiadomienia, a pieniądze wnoszą do kas państwowych.

Wierzyciel nie ma prawa sprzedawać inwentarza, nabytego za pieniądze, pochodzące z pożyczki, aż do czasu zupełnego jéj umorzenia. W razie wykroczenia przeciw temu punktowi, pożyczka musi być natychmiast zwróconą.

Inwentarz taki nie może być sprzedany za zaległości skarbowe i długi prywatne.

Spłacanie pożyczek odbywać się będzie w sposób, przepisany dla innych należności skarbowych. W razie uchybiania przez dłużni-

ka terminom, bez szczególnych do tego powodów, ziemstwo ma prawo zażądać zwrotu całéj pożyczki, a także przystąpić do sprzedaży przedmiotów, nabytych za pożyczone pieniądze.

Komitet gubernialny przez agronoma swego i techników pilnuje, aby pożyczka użyta była zgodnie z projektem melioracyjnym.

Wysokość pożyczki przenosić nie powinna $^9/_{10}$ kosztów melioracyi. Jeżeli roboty prowadzone są przez techników rządowych, właściciel obowiązany jest wnieść brakującą $^1/_{10}$ część do Komitetu gubernialnego.

Minister dóbr państwa ma wszakże prawo zatwierdzić pożyczkę, równającą się całości kosztów, pod warunkami jednak, że roboty prowadzone będą przez techników rządowych.

Wysokość pożyczki nie może przewyższać czystéj wartości majątku (t. j. szacunku po potrąceniu długów). Jeżeli jednak wzrost dochodów wskutek projektowanych ulepszeń da się w przybliżeniu obliczyć, to wysokość pożyczki przewyższać nie powinna czystéj wartości majątku z dodaniem skapitalizowanéj połowy oczekiwanego wzrostu dochodu (do obliczenia braną będzie stopa procentowa 4%).

Jeżeli koszta projektowanéj melioracyi przewyższają każdą z podanych tu norm, to pożyczka może być udzieloną w takim tylko razie, jeżeli właściciel przedstawi dodatkowe zabezpieczenie, lub jeżeli wierzyciele jego zgodzą się na ustępstwo pierwszeństwa w ubezpieczeniu swoich sum na rzecz pożyczki melioracyjnéj.

Termin spłaty pożyczek przenosić nie powinien lat 10-ciu — dla robót leśnych, 15-tu — dla szkółek owocowych, 28-miu — dla irrygacyi, osuszania i drenowania gruntów, 35-ciu — dla zaprowadzenia lasów.

Oprócz zwykłych rat wierzyciel opłaca: a) koszta podróży agronoma lub techników, b) plany i anszlagi melioracyjne, c) koszta dopełnienia formalności prawnych.

Spłata rat rozpocząć się może dopiero po upływie pewnéj liczby lat (pięciu najwyżéj).

W takim razie jednak procent amortyzacyjny pojedyńczéj raty zwiększa się w stosunku do skróconego terminu całkowitéj spłaty.

Ściąganie rat i niedoborów podlega tym samym przepisom, co pobór podatków, innych należności i niedoborów skarbowych.

Dodatkowe zabezpieczenie pożyczek, których wysokość przewyższa czystą wartość majątku, oparte być może na budowlach miejskich oraz na papierach procentowych.

Wierzyciel ma prawo do odbioru pożyczki dopiero po zaświadczeniu przez agronoma gubernialnego, że na przeprowadzenie zamierzonych ulepszeń sam poniósł już $^1/_{10}$ część całego kosztu.

Pożyczki wypłacane będą albo w całości po zupełném ukończeniu robót, albo też częściowo w miarę ich postępu.

Dokonane melioracye pozostaną pod nadzorem Komitetu i agronoma gubernialnego, aż do całkowitéj spłaty pożyczki.

Oprócz przyznawania pożyczek rządowych, ziemstwa mają prawo korzystać z otwartego kredytu na udzielanie od siebie pożyczek melioracyjnych do wysokości 3,000 rubli i pod warunkiem posiadania technika, obznajomionego z tym rodzajem melioracyi, na którą pożyczka ma być wypłacona.

Terminy oraz inne warunki pożyczki w ostatnim wypadku pozostają takie same, jak poprzednio; nadzór nad przeprowadzeniem ulepszeń należéć będzie do technika ziemskiego pod kontrolą agronoma gubernialnego, który o uchybieniach zawiadamia ziemstwo i Komitet gubernialny.

Projekt zorganizowania kredytu melioracyjnego na początek tylko w guberniach, posiadających ziemstwa, nie upoważnia wcale do wniosku, ażeby propozycya udzielania pożyczki gdzieindziéj, za pośrednictwem władz oraz instytucyi istniejących, miała być źle przyjętą. Owszem, mniemać należy, że stało-by się odwrotnie. Nie chcemy wdawać się w szczegółowe rozpatrywanie, jakim sposobem można było-by projekt organizacyi kredytu amelioracyjnego przystosować do urządzeń, istniejących w Królestwie Polskiém. A nie chcemy, raz dlatego, że praca nasza już i tak przybrała zbyt duże rozmiary, a powtóre, dyskusya przedwczesna mogła-by raczéj zaszkodzić, niż pomódz urzeczywistnieniu przedsięwzięcia.

ZAKOŃCZENIE.

Dobiegamy już do końca pracy niniejszéj. Pragnęliśmy w niéj, za pomocą zbadania dokładnych wskazówek cyfrowych, poznać sami i pokazać innym stan majątkowy własności ziemskiéj. To, że jest on zły — przeczuwaliśmy wszyscy; ale tego nie dosyć, trzeba było znać szczegóły, trzeba było znać przyczyny.

Dochody z ziemi i kredyt melioracyjny. Życzeniem naszém było zwrócić uwagę na istotny stan rzeczy i pobudzić w ten sposób do czynu ludzi myślących i mogących mieć wpływ, abyśmy wspólnemi

siłami wzięli się nareszcie do budowania tamy, o którą-by się rozbiły dalsze fale napływających klęsk.

W tym celu pracę naszą rozpoczęliśmy od zaznaczenia faktu, który na szali losów rolnictwa zaważył decydująco i tłómaczy niemal całkowicie większość zjawisk, w badaniu naszém napotkanych. Faktem tym jest: *obniżka znaczna cen na produkty rolne.*

Usuwając wpływ wahania się papierów przy zamianie na ruble metalowe, wykazaliśmy, że cena na zboże w portach Cesarstwa obniżyła się od r. 1876 do czasów ostatnich o kilkadziesiąt procent. W Warszawie spadek cen na pszenicę szedł równolegle do obniżki w portach, a na żyto, z powodu pobudowania sieci dróg żelaznych, był znacznie większy.

Tymczasem zyskowność przedsiębiorstwa w państwach zagranicznych nie zmniejszyła się w tak znacznym stosunku, jak u nas.

Sztuczne przeciwdziałanie naturalnemu zjawisku obniżki cen okazało się tu i owdzie skutecznem. W Niemczech cła wchodowe utrzymały dochody z roli na dawnéj wysokości, kiedy tymczasem w Anglii, gdzie takich środków nie przedsięwzięto, dochody spadły o część dziesiątą, lub, według obliczeń innych, nawet o $^4/_{10}$ poprzedniéj swéj normy. Jednocześnie zyski w innych gałęziach wytwórczości w tym kraju podskoczyły w górę i urosły w pewnych wypadkach do trzykrotnie wziętéj wielkości pierwotnéj.

Ażeby oświetlić bliżéj naturę zaznaczonego zjawiska, wypadło nam poznać wogóle zmiany, zachodzące z biegiem czasu w cenach na różne produkty wytwórczości wiejskiéj na rynku wszechświatowym. Znaleźliśmy przy porównaniu dwu okresów: 1861—70 i 1882—85 na jednych produktach zwyżkę, na innych zniżkę. Szczególniéj w górę poszły wytwory hodowli zwierząt. Tymczasem cena pszenicy spadła o 21%, żyta o 14%, jęczmienia i kartofli o 3%, co razem stanowi 2,450 milionów marek rocznie. Daléj obniżka cen na wełnie wyniosła 34%, na lnie 13%, na pakułach 11%—co znowu tworzy 1,675 milionów.

Każdy czytelnik mógł się przekonać, że upadek gospodarstw rolnych spowodowany został obniżką cen na te właśnie wytwory, tymczasem majątki w kraju naszym niemal je wyłącznie produkują.

Jednoczesnie podskoczenie cen na mięsie, mleku, serach, jajach, kukurydzy dało w dochodach zwyżkę o 5,535 milionów marek, która z procentem pokryła straty, wyżéj wskazane. W ogólném téż zestawieniu obrotów gospodarstwa wiejskiego bilans zmian, zaszłych w cenach, wykazuje nie spadek, lecz wzrost o 3,170 milionów marek.

Okazało się więc, że możliwy był i jest rozwój gospodarstwa rolnego w takim kierunku, który-by zabezpieczył właścicieli od strat i upadku. Tymczasem myśmy ciągle trzymali się przeważnie produk-

cyi ziarna, wełny, cukru, spirytusu—wytworów, które na cenie straciły najbardziéj. Myśmy z tego ruchu skorzystać nie mogli dla braku środków.

Zestawiliśmy więc *potrzeby* z *brakiem środków* u podupadłych, a w części i zrujnowanych właścicieli, oraz z niemożnością zaciągnięcia drogą zwyczajną nowéj pożyczki na zbyt już obciążone dobra, i doszliśmy do wniosku, że jedném z najważniejszych zadań chwili obecnéj jest wyminięcie tych sprzeczności przez zorganizowanie specyalnego kredytu melioracyjnego, z którego korzystać-by mogły majątki, bez względu na stan swych hypotek.

Przykładami krajów zagranicznych oraz odpowiedniemi wyjaśnieniami wykazaliśmy, iż zadanie podobne jest całkiem do rozwiązania możliwe, i zaraz téż przytoczyliśmy sposoby dokonanych gdzieindziéj rozwiązań. Żądania nasze streścić się dały w dwu punktach:

1) Niezbędny jest kredyt specyalny na melioracye w gospodarstwach rolnych; bez niego przesilenie coraz bardziéj zaogniać się będzie, wywołując różne niepożądane skutki, a nawet klęski społeczne, np. emigracyę, gdyż biedna ludność, nie znajdując zarobku przy opuszczonych dziś gospodarstwach, pozostanie bez środków do życia.

2) Za konieczny warunek uważać należy, aby sama organizacya kredytu uniemożliwiała użycie sum pożyczkowych na inne niegospodarskie potrzeby właściciela.

Zaznaczyliśmy następnie, że sprawa ta jest obecnie przedmiotem troski sfer decydujących; specyalna komisya, złożona z wyższych przedstawicieli trzech ministeryów, pod przewodnictwem ministra dóbr państwa, właśnie kwestyę kredytu melioracyjnego rozstrzyga. Wezwany przez prezesa komisyi, wyznaczonéj do zbadania przyczyn upadku cen na produkty rolne, wypracowałem memoryał o kredycie melioracyjnym, który następnie z rozporządzenia pp. ministrów dóbr państwa i finansów wydanym został w Petersburgu w postaci książki p. t. „Kredyt melioracyjny i stan rolnictwa w Rossyi i państwach zagranicznych.“

Wyraziłem przekonanie, że przypuszczać nawet niepodobna, aby, przy organizacyi kredytu melioracyjnego w całém państwie, Królestwo Polskie pominięte być mogło: ono kredyt taki już miało i utraciło; powtóre, ono więcéj niż jakakolwiek część Cesarstwa pomocy w téj chwili potrzebuje.

Zaraz téż przytoczyliśmy racye, uzasadniające twierdzenie ostatnie, a oparte na cyfrach urzędowych.

Królestwo ponosi wielkie straty wskutek konkurencyi z rolnictwem Cesarstwa, które, znajdując się w znacznie lepszych warunkach

naturalnych, wytwarzać może o wiele taniéj. Przytoczone przez nas liczby dowodzą tego aż nadto wyraźnie. Produkcya 100 pudów żyta kosztuje w Królestwie od 6—31 rs. drożéj, niż w różnych guberniach Cesarstwa; dla pszenicy takaż różnica na niekorzyść kraju naszego sięga 27 i 28 rubli. Różne sposoby porównania i obrachunków, jakie przytaczaliśmy, wszystkie nas do tegoż samego wniosku doprowadziły.

Bogate czarnoziemne obszary Cesarstwa nie potrzebują, dziś jeszcze przynajmniéj, żadnego nakładu na umierzwienie, a zatém rubryka rozchodów na nawóz odpada. W ciągu 23-letniego okresu wywieziono z Cesarstwa materyałów, które powinny były być zwrócone ziemi, za *miliard* rubli. Królestwu pod tym względem nic zarzucić nie można. Cesarstwo utrzymuje o 19% mniéj bydła, niż powinno, Królestwo — o 49% więcéj.

Wykazaliśmy daléj, że ziemia w Rossyi do lat ostatnich była tak tanią, iż spadek cen na produkty rolne wpływu na jéj wartość nie wywarł żadnego. Przeciwnie, znaleźliśmy tam w okresie 1882—87 roku zwyżkę o 43%, kiedy w Królestwie zniżka doszła do 29%.

Słowem, ziemia w Królestwie Polskiém znajduje się w warunkach kilkakrotnie mniéj szczęśliwych, a jednocześnie cyfry urzędowe, przez nas przytoczone, wykazują, że ciężary ponosi znacznie większe. W guberniach czarnoziemnych podatki stanowią 2.4% i 1.5% dochodu brutto, w gubernii Mińskiéj 1.0% i 0.7%, w Królestwie 8% i 4.7%.

Drugą niepomyślną dla rolnictwa naszego okolicznością są—jak wykazywaliśmy—cła wchodowe niemieckie.

Cła te są, jak wiemy, wysokie; obliczyliśmy, że znaczna ich część spada na producenta, a mianowicie: 59% na pszenicy, 18% na życie, 40% na owsie i jęczmieniu, kiedy cła francuskie opłacają w całości prawie odbiorcy, a w kraju, z którego głównie idzie zapotrzebowanie na produkty rolne Cesarstwa, w Wielkiéj Brytanii, zupełnie ceł nie nałożono. Rolnicy z Cesarstwa zboże swoje wywożą wprost do Anglii przez Królewiec, Petersburg, Rygę, Libawę, albo do Francyi i Włoch, przez porty morza Czarnego. Tymczasem wiele okolic Królestwa musi koniecznie wywozić produkcyę swą dla konsumentów niemieckich.

Zaraz w pierwszym artykule, który się ukazał w zeszycie majowym Biblioteki, pisaliśmy o pracach komisyi, zwołanéj celem zorganizowania kredytu melioracyjnego; zanim jednak praca nasza dobiegła do końca, część tych zamiarów stała się czynem. Wypracowany mianowicie już został projekt ustawy co do wydawania pożyczek na ulepszenia rolne. Zamieściliśmy téż powyżéj w streszczeniu główne jego zasady.

Projekt dotyka tylko gubernii, posiadających ziemstwa; stało się to jednak, o ile sądzić można, tylko ze względu na możność oparcia organizacyi kredytu o gotowe już i nadające się do tego celu instytucye.

Gdyby więc sferom decydującym zostało udowodnione, że w Królestwie Polskiém zachodzi pilna i wielka—większa niż gdziekolwiek—potrzeba kredytu melioracyjnego, gdyby powtóre wykazane było, że dyrekcye szczegółowe Towarzystwa Kredytowego mogą z zupełném zadowoleniem wszystkich odegrać tę rolę, którą w guberniach innych wyznaczono ziemstwom; wtedy bodaj czy jakakolwiek przeszkoda stanąć-by mogła na drodze do uzyskania tak pożądanéj pomocy dla rolnictwa.

Przypuściwszy zresztą, że na razie przedstawienie skutku-by nie odniosło, to i tak zachód nie byłby stracony. Przyjdzie kiedyś chwila terytoryalnego rozszerzenia działalności nowéj instytucyi, a wtedy wczesne postawienie kandydatury wiele znaczyć może. Racye, fakty i cyfry, popierające prośbę, będą mogły być sprawdzone i staną się do tego czasu faktem znanym i uznanym.

Odłużenie ziemi. Tylko co przytoczone przez nas warunki, wśród jakich rolnictwo musiało się rozwijać i walczyć z konkurentami, spowodowały konieczność wysokiego odłużenia własności ziemskiéj. Zmniejszone dochody z ziemi, a wskutek tego obniżka jéj szacunku, potęgowały rozmiar ciężarów nietylko dlatego, że coraz nowe pożyczki zaciągać trzeba było, ale że i dawne długi na majątkach o zmniejszonéj wartości coraz większego nabierały znaczenia.

A daléj, odwrotnie znowu, nadmiar długów winien był obniżyć szacunek dóbr: słabość kapitalistyczna obarczonego długami przedsiębiorcy nie pozwala mu rozwijać i doskonalić warsztatu rolnego, a nawet niejednokrotnie wywołuje wprost dewastacyę i upadek. Takie jest fatalne splątanie przyczyn i skutków złego stanu majątkowego posiadłości ziemskiéj.

Ażeby ocenić doniosłość zjawiska, wypadło nam dowieść, że przyczyny odłużenia nie tkwiły jedynie w indywidualnych własnościach ziemian naszych, lecz są przejawem wielkiego procesu, ogarniającego Europę całą. Tylko u nas, jako w kraju przeważnie rolniczym, a zatém zniżką cen mocniéj dotkniętym, klęska musiała przybrać rozmiary potężniejsze.

Wypadło zatém zapytać cyfr, jakie są szczegóły i rozmiary złego stanu rzeczy. Zebraliśmy więc dane dla 9,429 dóbr różnéj wielkości. Wnioski zaś, na podstawie tak znacznéj ilości dóbr wysnute, za słuszne dla kraju całego uważać należy.

Chcąc ocenić rolę długów, trzeba poznać nietylko ich wysokość, ale także wiedzieć, jaki jest szacunek majątku, na którym ciążą. Oznaczenie przeciętnéj wartości jednostki gruntu jest rzeczą bardzo trudną i niepewną, to też za miarę odłużenia wzięliśmy należność Towarzystwa Kredytowego. Różne względy i rachuby doprowadziły nas do wniosku, że przeciętnie pożyczki Towarzystwa stanowią mniéj więcéj 40% szacunku dóbr.

Okazało się, że całkowite odłużenie hypoteczne badanych 9,429 dóbr, licząc długi wszelkiego rodzaju i wpisy kaucyjne, daje sumę 196 milionów rubli. Należność Towarzystwa stanowi w tém 73 miliony rubli. Wziąwszy za miarę dług Towarzystwa i oznaczywszy go przez sto, całość obciążeń wyraziła się liczbą 266.

Długi prywatne wszelkiego pochodzenia okazały się o $^1/_4$ część przewyższającymi pożyczki, zaciągnięte w Towarzystwie Kredytowém.

Kaucye i ewikcye wynoszą prawie $^1/_3$ część długów Towarzystwa. Należności zaś Skarbu i Banku tylko 6%.

Nawet po odtrąceniu na rachunek niedokładności książek hypotecznych $^1/_{10}$ części długów prywatnych i $^1/_3$ kaucyi, otrzymaliśmy sumę długów, $2^1/_2$ raza przenoszącą należności Towarzystwa, czyli akuratnie równą szacunkowi.

Takby się rzecz przedstawiała, gdyby cała ziemia solidarnie i równomiernie odpowiadała za długi, na nią zaciągnięte. Ponieważ jednak tak nie jest, dla dokładnego poznania rzeczy, rozdzieliliśmy dobra na grupy pod względem obszarów [1]) i na kategorye co do odłużenia.

Za stan *pomyślny* uznaliśmy taki: 1) gdzie ciężarów niéma wcale, 2) gdzie figuruje tylko należność Towarzystwa, 3) gdzie istnieją długi inne, ale wysokość ich nie przenosi należności Towarzystwa. Z obliczeń naszych dla 50-ciu badanych przez nas powiatów Królestwa okazało się, że dóbr nieodłużonych, posiadających tylko pożyczkę Towarzystwa, lub też długi prywatne, nie przenoszące należności Towarzystwa, znajduje się 1765.8 tys. mórg, które stanowią 53.7% ogółu, a więc przeszło połowę.

W położeniu *wątpliwém*, t. j. gdy długi wyrównywają mniéj więcéj szacunkowi, znaleźliśmy 702.5 mórg, t. j. 21.4%.

W położeniu jeszcze gorszém, bo już *krytyczném*, okazało się 609.1 tys. mórg, a więc 18.5%. Z tych co najmniéj 357.7 mórg (10.9%) zawisło nad przepaścią subhasty i bankructwa, gdyż odłużenie ich przenosi 4, 5 i więcéj razy wysokość pożyczki Towarzystwa.

---

[1]) I do 60 mórg, II 60—600 mórg, III 600—1,500, IV 1,500—3,000 mórg i wreszcie V po nad 3,000 mórg.

Dokładne lecz zawiłe dosyć i długie obrachunki, których tu powtarzać nie będziemy, wykazały, że w większości wypadków gorszy stan wzrasta wraz z obszarem — majątki drobne trzymają się lepiéj od większych. Wyjątek stanowią fortuny magnackie.

Przypuszczalne ale prawdopodobne liczby, ile ziemi całego kraju naszego znajduje się w stanie pomyślnym, a ile w krytycznym, doprowadziły nas do wniosku, że w stanie pomyślnym znajduje się 5,337 tysięcy mórg, w wątpliwym 1,961 tysięcy mórg, w krytycznym 796 tysięcy mórg, w więcéj niż krytycznym 1,039 tysięcy mórg.

Zapuściwszy się głębiéj w badanie przyczyn nadmiernego odłużenia, doszliśmy do wniosku, że jest ich więcéj, niż początkowo rozważanie warunków ogólnéj sytuacyi ekonomicznéj wykryło. Niektóre z nich są czysto miejscowéj natury i wynikają częstokroć tylko z obyczajów; doszliśmy przedewszystkiém do wniosku, że w kraju naszym obszary dóbr większych nie pozostają w stosunku pożądanym do zasobów właściciela — są zaduże. A tymczasem każdy warsztat odpowiadać powinien siłom swego kierownika. Stan taki wywołały przedewszystkiém przyczyny historyczne: posiadanie ziemi do czasów niedawnych połączone było z władzą i przywilejami. Potrzeba przeszła w zwyczaj i dotychczas w téj postaci żyje.

Nie dosyć na tém. Nakazany przez kodeks cywilny równy podział schedy działa w kierunku wprost przeciwnym, — a oba prądy razem muszą doprowadzić do odłużenia. Działów w naturze zazwyczaj niéma, jeden sukcesor obejmuje cały folwark, części rodzeństwa ubezpieczone są na hypotece. Działy takie w kilku pokoleniach odłużą majątek bardzo ciężko.

W okresie, kiedy ceny ziemi idą w górę, na równym podziale wychodzi lepiéj sukcesor, obejmujący majątek. Odwrotnie, gdy wartość gruntów spada, jak to miało miejsce w okresie 1882—87, traci pozostający przy ziemi, a z nim i gospodarka krajowa, bo warsztat się bardziéj w długi pogrąża.

Dopóki synowie rolników byli wszyscy rolnikami, a córki również wychodziły za właścicieli dóbr, wzajemne zobowiązania kompensowały się wewnątrz sfery ziemiańskiéj, w obrębie hypotek; odłużenie ziemi zbytnio nie wzrastało. Dziś jest inaczéj — ludzie, a za nimi kapitały płyną ze wsi do miast.

Rozpatrując należności, zapisane w księgach hypotecznych jako *reszty szacunków*, przyszliśmy do wniosku, że są one znaczne. A więc nabywcy nie byli zasobni: zwykle, kupując dobra odłużone, gotówki trzeba niewiele; okazuje się, że i tego *niewiele* nabywcy nie posiadali. To znowu klucz, otwierający tajemnicę odłużenia: kto dziś kupił ziemię bez gotówki, jutro pożyczać musi na zasiewy, na inwentarz, na podatki.

Stopy procentowe. Badania nasze nad odłużeniem staraliśmy się posunąć tak daleko, jak tylko na to pozwalały wypisy z ksiąg hypotecznych.

Oczywiście o ciężarze odłużenia stanowi nietylko suma pożyczki, zaciągniętéj na dobra lub na jednostkę obszaru, lecz także warunki i zobowiązania, jakie jéj towarzyszą. Przedewszystkiém chodzi naturalnie o wysokość stopy procentowéj.

Z obrachunku naszego okazało się, że najczęstszym wypadkiem wśród pożyczek hypotecznych jest stopa—5%: znaleźliśmy ją prawie w 66 razach na 100. Potém spotkaliśmy stopę 6% (przeszło w 17-tu wypadkach na 100). Odsetki do 6% włącznie nazwaliśmy *niskiemi*, cała własność ziemska przy pożyczkach hypotecznych opłaca je $83^1/_2$ razy na 100 wypadków. Odsetki *średnie*—7% do 10%—zdarzają się $13^1/_2$ razy na 100. Odsetki *wysokie* (wyżéj 10%) tylko 3 razy na 100.

Dobra małe (60—600 mórg) wcale nie opłacają procentów wysokich, kiedy tymczasem własność średnia i duża na 20 wypadków zmuszoną jest raz uciekać się do odsetków, przenoszących 10%. Majątki żydowskie (biorąc ogółem, niezależnie od obszaru) więcéj niż 10% płacą raz na 16 wypadków, czyli są w położeniu gorszém niż ogół dóbr. Dobra najmniejsze stoją najlepiéj.

Procenty średnie najczęściéj płaci własność mała, która do pożyczek lichwiarskich wcale się nie ucieka. Z kredytu najtańszego korzystają najczęściéj mająteczki najdrobniejsze, potém idą żydowskie, w najgorszém położeniu znajdują się dobra średnie i duże; ostatnie od czwartéj blisko części pożyczek opłacają procenty, przenoszące 6%. To znaczy, że gdyby ogół własności hypotecznéj opłacał takie odsetki, jakie ponoszą dobra małe, ziemia zużywała-by znacznie mniejszą część swoich dochodów na opłacanie kredytu.

Ogólny więc wynik badania był taki, że im dobra są rozleglejsze, tém mniéj płacą procentów niskich, a więcéj średnich i wygórowanych. To zaś pozwoliło nam wyciągnąć wniosek o odłużeniu majątków: procenty wysokie—jak wiadomo—płacą się przy zaciąganiu pożyczki na wysokie numery hypoteczne; te więc tylko dobra zmuszone są uciekać się do kredytu drogiego i lichwiarskiego, które się odłużyły do wysokości szacunku i po za wysokość szacunku. Inną tedy drogą przyszliśmy do tegoż samego co przedtém wyniku: gorszy stan wzrasta wraz z obszarem majątku.

Wykazaliśmy, że odłużenie średniéj i większéj własności raz na 20 wypadków opłaca odsetki, przenoszące 10%. Podlegać wątpliwości nie może, iż taki wysoki procent opłacają ci tylko, którzy są do tego zmuszeni, t. j. posiadają dobra bardzo obciążone i tylko za cenę wielkich odsetków uzyskać mogą pożyczkę. Celem zilustrowania niejako

skutków podobnego stanu rzeczy weźmy przykład następujący: dajmy na to, iż dobra warte są 100,000 rubli; odłużenie sięga $^3/_4$ téj sumy, a stopa procentowa, którą opłacają, przeciętnie wraz z amortyzacyą Towarzystwa Kredytowego wynosi tylko 7%; przypuśćmy daléj, że dobra te dają 5% dochodu, co, biorąc pod uwagę lata klęsk, oraz intraty majątków zagranicznych, zbyt niską cyfrą nie jest. W takim razie dochód czysty wynosiłby . . . . . 5,000 rs,

Procent od 75,000 rubli po 7% . . . . . 5,250 rs.

Wypada więc deficyt . . . . . 250 rs.

Jeżeli na dobro rachunku zapiszemy amortyzacyę Towarzystwa od pożyczki—dajmy na to—37,500 rs., to otrzymamy dochód 500 rs. co stanowi zaledwie 2% od czystéj własności, t. j. od nieodłużonéj $^1/_4$ części jego majątku. Przy opłacaniu więc odsetków znaczniejszych deficyt jest nieunikniony.

Ponieważ żydzi w kraju naszym pod względem kredytu odgrywają rolę znaczną i odrębną, więc jeszcze zestawiliśmy przeciętne odsetki, opłacane przez dobra różnego rodzaju wierzycielom — chrześcianom i żydom. Wypadło, że stopy procentowe, pobierane przez żydów, daleko mniéj zależą od rozmiaru majątków, niż odsetki, opłacane chrześcianom. Zbyt wielkich różnic w wysokości stóp procentowych nie napotkaliśmy, przewyżka w liczbie ogólnéj na rzecz żydów wynosi $^1/_2$ procentu: chrześcianie pobierają średnio 5.7%, żydzi 6.2%. Dobra żydowskie żydom płacą 6.3%, nie-żydom 6.1%.

Dane nasze porównaliśmy z cyframi urzędowemi, zebranemi dla Galicyi, i okazało się, że wogóle kredyt hypoteczny jest tam droższy, niż w Królestwie Polskiém.

Udział żydów w odłużeniu hypoteczném. Stopa procentowa nie jest jedynym warunkiem, od którego zależy uciążliwość lub dogodność pożyczki. Należyte poznanie warunków odłużenia wymagało-by jeszcze niejakich wiadomości o samych wierzycielach prywatnych. To-by nam udzieliło wskazówek, gdzie i u kogo znajduje pomoc rolnik w razie potrzeby; czy uzyskany grosz da mu ratunek, czy téż przyniesie zgubę? Ale księgi hypoteczne na pytanie podobne odpowiedzieć nie są w stanie. Musieliśmy poprzestać na tém rozróżnieniu, które jedynie było możliwe, mianowicie podaliśmy niektóre wskazówki co do udziału żydów w odłużeniu hypoteczném.

Wprawdzie beznamiętna nauka przeczy utartym mniemaniom, jakoby pewne praktyki finansowe związane były z wyznaniem; wyróżnienie jednak żydów jest w tym razie uzasadnione z powodu roli, jaką w kraju odgrywają. Oni reprezentują u nas—na prowincyi szczególniéj—handeł, oni są przeważnie dostarczycielami tego najbardziéj

krótkoterminowego kredytu, którego potrzebę rodzi brak gotówki w chwilach dla gospodarza najważniejszych; — udział żydów w kredycie hypotecznym — to do pewnego stopnia stosunek handlu do rolnictwa.

Dane i obrachunki nasze doprowadziły nas do wniosku, że udział żydów w kredycie hypotecznym nie jest wcale znaczny.

Dla ogółu dóbr, suma, pożyczona u żydów, wynosi 16%, t. j. przeszło *pięć* razy mniéj, niż suma, pożyczona u chrześcian. Nawet majątki żydowskie 47% swych długów zaciągnęły u chrześcian, a tylko 53% od żydów. Z danych naszych okazało się prócz tego, że żydzi stosunkowo pożyczają więcéj właścicielom dóbr średnich i dużych, aniżeli drobnych.

Takie wyniki nasunęły pytanie: czy słaby udział żydów w odłużeniu jest skutkiem niewielkiéj liczby ludzi, udzielających pożyczek, czy też pochodzi ztąd, że sumy, przez nich dawane, są drobne, drobniejsze, niż kiedy wierzycielem jest chrześcianin? Dane nasze dały całkiem stanowczą odpowiedź. Liczba pożyczek, udzielanych przez żydów, wynosi 4,382, przez chrześcian—4,838. Cyfry prawie równe, kiedy tymczasem przeciętnie na jedną pożyczkę żydowską przypada 2,797 rub., na chrześciańską — 13,174 rub., a więc blisko *pięć* razy więcéj.

Szczególną uwagę zwróciliśmy na pozycye, figurujące w księgach hypotecznych pod tytułem *kaucyi i ewikcyi*, gdyż to nam dać mogło niejakie pojęcie o innego rodzaju zadośćuczynieniach potrzeb pieniężnych, mianowicie za pośrednictwem zawieranych tranzakcyi handlowych z zaliczeniami.

Okazało się, że tego rodzaju wpisów w ogólnéj sumie na rzecz żydów wypada bardzo mało—tylko 8%. Pochodzi to prawdopodobnie ztąd głównie, iż żydzi nie mają wcale ubezpieczeń kaucyjnych na dobrach małych, niesięgających 600 mórg. Natomiast na dobrach średnich i dużych większość (54%) takich zobowiązań zrobiona została na ich rzecz. Wynik ten był do przewidzenia: umowy o dostarczenie produktów rolnych i drzewa nie mogą być zawierane z właścicielami majątéczków, którzy wytwarzają wyłącznie niemal na użytek własny.

Posuwając się daléj w badaniach naszych, podaliśmy przykłady, z jakich pierwiastków składają się sumy, ubezpieczane przez żydów w postaci kaucyi i ewikcyi, to nam pozwoliło poznać, jakiego rodzaju tranzakcye bywają dokonywane.

Wreszcie wypadło nam jeszcze zbadać przyczyny, dla których stopy procentowe, płacone żydom, wyższe są (o ½%), niż odsetki, płacone chrześcianom. Odpowiedź dały cyfry z ksiąg hypotecznych: długi, zaciągnięte u chrześcian, pokrywają przeszło połowę szacunku,

potém idzie dopiero większość pożyczek żydowskich. A więc, wogóle biorąc, należności żydowskie pomieszczone są w drugiéj połowie hypotek, gdzie już zagraża utrata kapitału. W poszczególnych wypadkach spotkaliśmy naturalnie odstąpienie od téj ryczałtowéj kwalifikacyi. Na pierwszéj połowie szacunku oparta jest mniéj niż trzecia część ogółu pożyczek, u żydów zaciągniętych — o utratę tych pieniędzy wierzyciele obawiać się nie potrzebują. Nieco więcéj niż część trzecia należności żydowskich znajduje się w dolnéj połowie hypoteki, ale po za jéj granice nie wykracza — tu już niebezpieczeństwo zagraża, ale odzyskanie pożyczki jest jeszcze możliwe. Wreszcie cała trzecia część występuje po-za wysokość szacunku, t. j. przez wierzycieli odzyskaną nie będzie, i jedyną pobudką do udzielenia owych pożyczek mogła być nadzieja pobierania przez czas jakiś znacznego procentu.

Słowem, należności żydowskie są ubezpieczone nietylko gorzéj niż chrześciańskie, ale bezwzględnie źle. Wiadomo zaś, iż procent wzrasta wraz z ryzykiem, na jakie wierzyciel swój kapitał naraża.

Odłużenie w przeszłości, w Cesarstwie i za granicą. Idąc daléj w badaniach naszych, zwróciliśmy uwagę, że ocenić żadnego zjawiska słusznie niepodobna, jeżeli się nie zna dróg, któremi ono dotychczas kroczyło, i kierunku, w jakim obecnie dąży; a następnie, jeżeli się go nie porównało z innemi zjawiskami tegoż rodzaju — w danym więc razie z odłużeniem ziemi w krajach sąsiednich.

W kilku datach wieku bieżącego robione były w kraju naszym obrachunki co do stanu majątkowego dóbr wedle książek hypotecznych.

W r. 1824 długi hypoteczne stanowiły 62% wartości dóbr.
„ 1857 „ „ „ 61% „ „
„ 1879 „ „ „ 64% „ „
„ 1890 „ „ „ 69% „ „

Liczby więc wskazały nam, że od r. 1824 do 1857 stan majątkowy ogółu dóbr ziemskich poprawił się; od 1857 do 1879 znajdujemy pogorszenie się, ale nieznaczne, żadne prawie, jeżeli zważymy na radykalny przewrót stosunków ekonomicznych, jaki się w tym właśnie czasie dokonał.

Cyfrę dla roku 1890 wyprowadziliśmy z naszych danych; wskazuje ona znaczne pogorszenie się stosunków, a dodać trzeba, iż wypadła nam z rachunku najwzględniejszego, opartego na przyjęciu wysokiéj sumy 50 rs. za przeciętny szacunek morgi i po odtrąceniu zupełném kaucyi, ewikcyi oraz należności skarbowych. Obrachunki mniéj względne dały nam rezultat znacznie gorszy; wypadło

mianowicie, że długi równają się 88% lub 77% szacunku (ostatnia wypadła po odtrąceniu $^1/_{10}$ części długów prywatnych i $^1/_3$ części kaucyj i ewikcyj, celem zrównoważenia możliwych niedokładności ksiąg hypotecznych, pochodzących z niewykreślania obciążeń w czasie właściwym; z dokonanych spłat pożyczki Towarzystwa Kredytowego; z fikcyjnych obciążeń dla obejścia praw osób trzecich, wreszcie z nieuwzględnienia wpisów jednych i tych samych należności i t. p.).

Prócz tych wskazówek ogólnych przytoczyliśmy również liczby inne, mówiące o rozwoju rolnictwa w kraju z biegiem czasu. W r. 1824 wartość dóbr hypotecznych sięgała 123 milionów rs.; w r. 1857, więc przez ciąg lat 33, szacunek dóbr obrachowany został w przybliżeniu na 284 mil. rs. Cyfrę tę zakwestyonowaliśmy, ale jednak za pewne uważać można, że od 1824 do 1857 r. szacunek dóbr przynajmniéj się podwoił. W r. 1879 własność ziemska prywatna szacowaną jest na 438 milionów, wzrost więc przez 22 lata, pomimo odpadnięcia gruntów, nadanych włościanom, wynosił $^1/_2$ wartości początkowéj. A więc kultura rolna w okresie 1857 do 1879 r. wzrosła, pomimo, iż nie wszystkie okoliczności temu sprzyjały.

Ponieważ ciężar odłużenia zależy nietylko od sumy wierzytelności, lecz także od natury wierzyciela, więc zwróciliśmy uwagę, że w r. 1824 Towarzystwo Kredytowe jeszcze nie istniało, wszystkie więc należności były prywatne. W r. 1857 już pożyczka Towarzystwa wynosiła 53 mil. rs. i stanowiła 25% szacunku dóbr, nią obciążonych. W r. 1879 należność Towarzystwa urosła już do $88^1/_2$ miliona i tworzyła, jak dawniéj, 25% szacunku.

Z danych zaś naszych wynika, że w r. 1890 znaczenie stosunkowe pożyczki Towarzystwa Kredytowego zwiększyło się i dosięgło aż $35^1/_2$% wartości dóbr. A więc chociaż odłużenie wzrosło, ale miejsce uciążliwych, wysokoprocentowych, nieraz nawet lichwiarskich i natrętnych wierzycieli, zajęła w pewnéj części porządnie zorganizowana instytucya ziemiańska, któréj rata amortyzacyjna wynosi mniéj, niż sam procent pokątnego kapitalisty.

Porównanie odłużenia ziemi w Królestwie z tém, co się dzieje w Cesarstwie, trudne jest do przeprowadzenia, gdyż tam niéma hypotek. Staraliśmy się więc tylko wyciągnąć niejakie wskazówki z pożyczek, udzielanych przez banki. Doszliśmy na podstawie tego do wniosku, że stan rzeczy nie jest w Cesarstwie lepszy, niż u nas. Od r. 1864 do 1888 ziemia pochłonęła tam, licząc najoględniéj, kolosalną sumę miliarda i przeszło 100 milionów rubli samych pożyczek rządowych i bankowych, nie rachując prywatnych.

Prócz tego, na podstawie badań, przeprowadzonych przez bank państwa, podaliśmy niektóre liczby co do odłużenia dóbr w Cesar-

stwie. W rachubę przytém weszły tylko listy zastawne banków, niektóre należności prywatne, oraz kredyt, otwarty przez Bank państwa na sola-weksle—cała więc masa długów prywatnych została pominiętą. Pomimo to, okazało się, że odłużonych (cząstką długów) po-nad połowę szacunku było blisko 70% wszystkich dóbr badanych. Najpospolitszy wypadek odłużenia, jaki napotkaliśmy, było 60—70% szacunku i znaleźliśmy w tym stanie 39% ogólnéj liczby. Dóbr odłużonych do 50 — 80% szacunku znalazła się przeszło połowa (61%). Po-za 80% wartości odłużenie przekroczyło przeszło 8% ogółu dóbr. Liczby, wyrażającéj stopień odłużenia, dla ogółu dóbr badanych nie było w sprawozdaniu Banku, pomimo to uważaliśmy za niewątpliwe, że po dołączeniu długów prywatnych, wypadł-by rezultat przynajmniéj nie lepszy, jak wyżéj znaleźliśmy w Królestwie (69%).

Dla porównania stanu odłużenia ziemi w kraju naszym i w państwach zachodnich mieliśmy liczby obfite dla Prus. Okazało się, że w tém państwie, pomimo lat kryzysowych, odłużenie majątków w czasach ostatnich (1875—85) nie wzrosło, lecz zmalało: w dobrach większych o 11%, w średnich o 5% i tylko w majątkach najmniejszych powiększyło się o 4%. Zwróciliśmy uwagę, że ta stosunkowa poprawa była następstwem ceł wchodowych: najwięcéj zyskały dobra, produkujące przeważnie na sprzedaż, bo cena zboża poszła w górę, a koszta produkcyi zostały bez zmiany; własność, wytwarzająca na własne spożycie, nie zyskała nic, to téż odłużenie jéj wzrosło. Pomimo to jednak, absolutna cyfra długów hypotecznych w Prusach od roku 1886 do 1887 urosła o 133 miliony marek.

I inne wskazówki przekonać nas mogły, że dobrobyt rolnictwa w Prusach poszedł w górę. Przytoczyliśmy mianowicie wykazy urzędowe ceny dzierżawnéj na ziemie w różnych latach, poczynając od r. 1849. Do r. 1884 znaleźliśmy zwyżkę we *wszystkich* regencyach, bliżéj nas obchodzących, od r. 1884 w *większości*.

Inaczéj się działo w państwach, gdzie sztucznie nie podtrzymywano rolnictwa. Za przykład wzięliśmy Anglię. W ciągu dziesięciolecia dochody z ziemi spadły tam o 45%. W r. 1866 ciężary stanowiły 33% szacunku dóbr, w dziewiątym zaś dziesiątku lat doszły do 58%.

Tam więc, gdzie nie przeforsowano sztucznie działania przyczyn naturalnych, odłużenie ziemi wzrosło tak samo, jak u nas. To doprowadziło nas do wniosku, że pomyślność rolnictwa w Królestwie Polskiém zależy przedewszystkiém od ogólnych przyczyn i praw ekonomicznych, jednakowo objawiających się we wszystkich krajach.

Wreszcie dokładnie i umiejętnie prowadzona statystyka państw zagranicznych pozwoliła nam poznać następującą, bardzo ważną oko-

liczność, towarzyszącą odłużeniu dóbr ziemskich: większość długów, zaciągniętych na majątki, powstała z dopożyczek na kupno ziemi, t. j., nie poszła na doskonalenie gospodarstwa; nabywanie więc i niewypuszczanie z rąk własności pochłonęło główną część obciążeń. W księstwie Badeńskiém np. 78% wszystkich zobowiązań przypada na koszta wejścia w posiadanie, a tylko 22 na gospodarskie nakłady. Toż samo mniéj więcéj mówią liczby, zebrane w Prusach i w Bawaryi.

Cyfry z ostatniego kraju przekonały nas prócz tego raz jeszcze, iż przyczyny ruin majątkowych są liczne i różnorodne. Zwalać wszystko, jak to się nieraz u nas zdarza, na nieoględną gospodarkę i rozrzutność ziemian, znaczy rzecz bez należytéj podstawy przesądzać i dobrowolnie zrzekać się odnalezienia istotnych przyczyn klęski.

Kredyt i odłużenie drobnéj własności. Obraz odłużenia ziemi w Królestwie nie byłby zupełny nawet w tym zakresie, na jaki pozwalają dane, gdybyśmy całkiem pominęli własność drobną, ksiąg hypotecznych nie posiadającą.

Przedewszystkiém staraliśmy się dowieść, że Ustawa Towarzystwa Kredytowego całkiem niemal zamyka włościanom możność korzystania z tego, jedynego u nas, taniego i porządnie zorganizowanego kredytu. Wykazaliśmy przytém, iż cała organizacya kredytu w Towarzystwie nie była i nie jest przystosowaną do potrzeb własności drobnéj, to téż włościanin, w razie potrzeby, pomocy w kasie Towarzystwa nie znajdzie. Innéj zaś instytucyi—niéma.

Zwyczajni posiadacze drobnych kapitalików, którzy-by zadawalniali się procentem niskim lub średnim i krzywdy dłużników nie pragnęli, na hypotekę własności chłopskiéj pożyczać nie mogą, bo nie posiadają prawa nabywania ziemi, nadanéj Ukazem, a więc nie posiadają wszystkich środków odebrania swéj sumy. Zresztą wogóle hypoteka własności drobnéj nie jest lokacyą pożądaną, bo proces subhastacyjny kosztuje drogo; gdy więc chodzi o sumkę małą, nakład się nie opłaca. Pozostaje zatém tylko kredyt osobisty — najkosztowniejszy, otwierający pole wyzyskowi.

Okazało się więc, że kredyt włościański jest u nas dziełem przypadku i téj fatalności ekonomicznéj, wskutek któréj, wrazie braku interwencyi społecznéj, rzeczy układają się zawsze na niekorzyść strony słabszéj.

U nas dotychczas nie było słychać o jakichś utartych sposobach wyzysku, co dowodzi, że nie jest on powszechny, a wyzyskiwacze nie są jeszcze wprawni. Co więcéj, badania p. Makiejewa w gub. Radomskiéj nie wykryły w téj sferze (pomimo smutnych pojedyńczych

przykładów) stosunków zbyt opłakanych. A przytém $^1/_5$ przeszło część pożyczek, zaciągniętych tam przez włościan, poszła na kupno lub spłatę współsukcesorów, większość zaś zrobionych długów użytą została na cele produkcyjne. To wszystko jednak nie powinno usypiać czujności naszéj; taki wypadek jest bardzo szczęśliwy, ale jednocześnie jest i bardzo nadzwyczajny; co się nie stało wczoraj, stać się może jutro. *Wykreślenie kwestyi kredytu włościańskiego z liczby spraw, na porządku dziennym będących, stanowiło-by wielką lekkomyślność i grzech społeczny.*

Dla udowodnienia, iż twierdzenia, powyżéj streszczone, nie są czczém słowem, lecz oparte zostały na rzeczywistości, przytoczyliśmy straszne przykłady wyzysku i nadużyć, jakie toczą stosunki społeczne tam, gdzie nie położono tamy i gdzie kredyt dla własności drobnéj nie jest uorganizowany.

Z drugiéj strony przytoczyliśmy przykłady Belgii, Portugalii i Rumunii, dla okazania, jak kwestya ta może być w różny sposób pomyślnie rozstrzygniętą. W Belgii operacye krótkoterminowego kredytu rolnego powierzone zostały centralnéj kasie oszczędności, rozporządzającéj ogromnymi kapitałami i posiadającéj stosunki rozgałęzione po całym kraju. Za główną zaś gwarancyę pożyczki uznano *przywiléj rolny*, czyli prawo pierwszeństwa wierzyciela do ruchomości dłużnika, do zasiewów, do niezebranych z drzew owoców. W Portugalii znowu rząd polecił użyć na uorganizowanie kredytu drobnego funduszów, nagromadzonych od wieków w towarzystwach dobroczynności, a do współdziałania powołał akcyonaryuszów prywatnych. Wreszcie w Rumunii w każdém mieście powiatowém istnieje kasa kredytu rolnego z prawem mianowania agentów w granicach tego powiatu.

Złe skutki odłużenia. Wykazując nadmierne obciążenie własności ziemskiéj należnościami wszelkiego rodzaju, zwracaliśmy téż uwagę na złe skutki takiego stanu rzeczy. Właściciel nad miarę odłużonego majątku siedzi w nim, jak może, najdłużéj. Dopóki trwa *status quo*, ma jaki taki dach nad głową, ma gdzie jeszcze pracować i z téj pracy to i owo mu się okroi. Ale, ściśle rzeczy biorąc, on już właścicielem być przestał. Wierzyciele, jeśli go nie wywłaszczają, to jedni dlatego, aby więcéj na ruinie zyskać, drudzy, aby na subhastacyi nie stracić. Ze względu na interes społeczeństwa, taki stan rzeczy uznaliśmy za marnowanie części bogactwa ogólnego. O prowadzeniu gospodarstwa porządnego mowy niéma; rola jest najczęściéj rabowaną poprostu; co wyda — wierzyciele rozdrapią; jałowieje więc, inwentarz się zwyradnia i marnieje, kultura upada. Co gorzéj, majątek dogo-

rywający bywa ogniskiem, jeśli nie zepsucia moralnego, to pokus szkodliwych — służba nieopłacona, dobytek źle strzeżony.

Nietylko środki ekonomiczne i finansowe zmniejszyły-by pod tym względem rozmiary złego, — wiele - by pomódz mogło właściwe zrozumienie rzeczy, poznanie stosunków oraz poważny a silny głos opinii publicznéj. Brak odwagi spojrzenia w oczy prawdzie, brak siły powzięcia postanowienia przewleka i zaognia klęskę. Gdy jednak wśród społeczeństwa powstaną poglądy właściwe, gdy drogi rozwoju przestaną być zagadką tajemniczą, — wytworzy się nacisk opinii, która nakaże jednostkom postępować zgodnie z potrzebami ogółu. Wtedy łatwiéj będzie każdemu trzymać się drogi prostéj i nie schodzić na manowce dlatego, że na nich można zapomnieć na chwilę o kłopotach i stracić z oczu kres niepożądany a nieunikniony.

Wykazując ciężkie położenie rolnictwa i głębokie zabrnięcie w złe interesy, upewnialiśmy jednocześnie czytelników, że stan rozpaczliwym bynajmniéj nie jest, że wyjście z obecnego trudnego położenia znaléźć można, byle tylko nie stracić wiary w siebie i rąk nie opuszczać. Praca jest nam potrzebniejszą, niż inne czynniki ratunku. Jeżeli przedsiębiorczość i wytrzymałość nie osłabną—wiele jeszcze się da uratować z rozbicia. Cofać się przed dokładném poznaniem prawdy nie należy, ale, cokolwiek-byśmy ujrzeli—obowiązek nakazuje nie zniechęcać się nawet na chwilę jedną.

Zbadawszy, o ile dane pozwalały, odłużenie i jego warunki, wypadało poznać jeszcze inne czynniki bytu i rozwoju rolnictwa w kraju naszym. Chociaż podniesienie kultury rolnéj, a więc kredyt melioracyjny, zaliczyć należy do środków najlepszych, to jednak oczywiście nie jest on jakiémś powszechném lekarstwem, wszędzie téż i zawsze stosowanym być nie może. Zdarzają się, i to niestety często, nieszczęśliwe ręce, w których każde mienie zmarnieje; bywają wypadki, że potrzebny jest ratunek inny, niż kredyt, a bywają, że niéma żadnego. W takich razach ziemia znajduje innego właściciela.

Nowi nabywcy zazwyczaj przynoszą ze sobą nowe siły, nowe zasoby kapitału, przedsiębiorczości, intelligencyi. Tysiące okoliczności wpływać mogą, że ziemia, nieprocentująca w jednych rękach, przynosiła-by odpowiednie dochody w innych. A z drugiéj strony wątpliwości prawie nie podlega, iż ci sami posiadacze, którzy, czy to wskutek niezaradności, czy braku zasobów, czy wreszcie stosunków rodzinnych i wpływów ubocznych, doszli do złego stanu majątkowego, nie potrafią prawdopodobnie, znalazłszy się w okolicznościach jeszcze gorszych, zrobić drogi odwrotnéj—poprawić interesów. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto brnąć będą daléj i głębiéj. W razie sprze-

daży przynajmniéj było-by większe prawdopodobieństwo, że nowonabywca stanie wobec okoliczności przyjaźniejszych.

Wskutek tych względów doszliśmy do wniosku, że w latach kryzysowych możność zawierania tranzakcyi powinna być ułatwioną.

Warunki podaży i popytu. Dane nasze nie pozostawiły najmniejszéj wątpliwości, iż znaczna część ziemi, w bliższéj lub dalszéj przyszłości, znaléźć się będzie musiała na rynku. Wedle przypuszczalnego, ale bardzo prawdopodobnego obrachunku, w całém Królestwie w stanie krytycznym i więcéj niż krytycznym znajduje się około 2 milionów mórg — cały ten obszar dobrowolnie lub niedobrowolnie będzie *musiał* zmienić właścicieli. Obawiać się należy, iż takiż sam los spotka znaczną część posiadłości, która pozostaje w stanie *wątpliwym* i liczy również 2 miliony mórg.

Wobec tego wypadło postawić pytanie: czy się znajdą nabywcy i kto oni będą? W paru rozdziałach staraliśmy się na to pytanie dać odpowiedź wyczerpującą.

Przedewszystkiém też same liczby, które nas przekonywały o wielkiéj, grożącéj nam w niedługim czasie, podaży ziemi, musiały także zatrzéć wszelką wątpliwość, ażeby nabywcy, w liczbie odpowiadającéj potrzebie, znaléźć się mogli w sferze dotychczasowych właścicieli ziemskich. Dotąd pewna ilość nabywców napływała z zewnątrz; prawa ostatnich lat przeciwko cudzoziemcom kres temu położyły. W ręku poddanych państw innych znajduje się w chwili obecnéj mniéj więcéj milion śiedmkroć sto tysięcy mórg[1]), tworzą one *dwunastą* część (8.3%) obszaru całego kraju (9.7% wśród dóbr większych i 6.3% wśród posiadłości drobnéj). Nietylko teraz z téj strony zaofiarowanie nie przyjdzie, lecz znowu blisko dwa miliony mórg będą rzucone na rynek i fatalnie w chwili krytycznéj powiększą zaofiarowanie. Spodziewać się należy, iż pewna część cudzoziemców potrafi uzyskać poddaństwo miejscowe, będzie to jednak tylko mała część ogółu.

Prócz cudzoziemców inna kategorya dotychczasowych nabywców oczekuje na prawo, mające zamknąć im dostęp do własności ziemskiéj — żydzi mianowicie. W roku 1885 cała posiadłość ziemska żydowska przenosiła nieco pół miliona mórg, które obecnie powiększyć znowu mogą nadmierną i tak podaż ziemi.

Wśród własności większéj dobra większe żydowskie stanowiły 4%. Rolników żydów, uprawiających ziemię, którą im nadało uwłaszczenie, Królestwo liczy 4,514, czyli na jednego przypada 10 mórg.

---

[1]) Prócz tego cudzoziemcy dzierżawią jeszcze blisko 200 tysięcy mórg.

Właścicieli zaś żydów większych i mniejszych, którzy sami nabyli grunta, znajduje się 2,642, t. j. na jednego przypada 171 mórg. Ponieważ zaś średnio włościanin w r. 1878 posiadał w Królestwie przeszło 14 mórg, rolnik zaś nie-włościanin 185 mórg, więc otrzymaliśmy, że własność żydowska w obu wypadkach jest nieco mniejszą od chrześciańskiéj. Osiadanie i pracę żydów na roli, zarówno ich przyjaciele, jak i nieprzyjaciele, uważają za bardzo pożądany dla społeczeństwa zwrót rzeczy. Jednocześnie jednak kursuje wśród ogółu przeświadczenie, iż pod względem czysto gospodarczym żydzi są poprostu rabusiami majątków. Sprawdzenia pod tym względem dokonało Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, a więc instytucya, któréj bezstronność i znajomość rzeczy zarzutowi podlegać nie może. Z 336 dóbr badanych, w stanie pomyślnym znaleziono wówczas przeszło połowę, bo 56%, w stanie średnim 29.7%, a w stanie złym tylko 14.3%. Celem bardziéj wyrazistego przedstawienia rzeczy przypuściliśmy, że dobrom żydowskim wystawiono stopnie: najlepsze otrzymały — *6*, dobre—*5*, dosyć dobre (nieco zapuszczone)—*4*, średnie—*3*, złe—*2*, bardzo złe — *1* Obrachunek doprowadził nas do wniosku, że stopień przeciętny dla ogółu wypadłby 3.89 t. j. stan prawie dosyć dobry, znacznie zaś wyższy niż średni. Pod względem obszarów w stanie pomyślnym znajdowało się 132 tysiące mórg, w złym—34 tysiące. Co więcéj, przytoczone przez nas inne dane, zgromadzone przez Towarzystwo Kredytowe, zdają się nawet tłómaczyć i ten stosunkowo nieznaczny procent dóbr źle zagospodarowanych. Na 37 majątków, posiadanych w r. 1885 w gub. Kaliskiéj przez żydów, 7 zostało nabytych w okresie 1881 — 85 na licytacyi (z tych 2 już w samym 1885 r.), więc, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w stanie ostatecznego zapuszczenia, a przeciąg lat paru wystarczyć nie mógł do podzwignięcia gospodarki—czyli odpowiedzialność, przynajmniéj w większości wypadków, na żydów spaść nie mogła. Ponieważ zaś dobra, nabyte na licytacyi w czasach bliskich chwili badania, tworzą 19%, zaś w stanie złym znaleziono tylko 14%, więc nawet (jeżeli w guberniach innych istnieją stosunki te same) blisko 5% dóbr zostało doprowadzone przez żydów do porządku w czasie stosunkowo dość prędkim.

Ostatecznie okazało się, iż na rynku znajdzie się 2 miliony mórg nadmiernie odłużonéj własności ziemskiéj i przeszło 1½ miliona mórg posiadłości cudzoziemców, a także prawdopodobnie temuż samemu losowi ulegnie ½ miliona mórg majątków żydowskich. Razem więc otrzymaliśmy cyfrę 3½ do *czterech* milionów mórg, które gwałtownie będą potrzebowały i szukały nowonabywców. Tych zaś nigdzie indziéj odszukać nie potrafiliśmy, jak tylko wśród posiadaczów drobnych działek ziemi, i dlatego *parcelacyi* poświęciliśmy długi rozdział.

Parcelacya. Wśród danych naszych znaleźliśmy 1,465 (15%) dóbr, powstałych z parcelacyi. Same te cyfry przekonać mogły każdego, że mamy do czynienia ze zjawiskiem poważném. Statystyka je zauważyła już w roku 1859 i 1861 w formie sporadycznych wypadków, lecz cech stałości w kraju naszym nabrało ono dopiero po r. 1865. Wyniknęło to ze znanych przyczyn historyczno-ekonomicznych. W tym właśnie czasie własność większa potrzebowała regulować swoje interesy, główna zaś masa drobnych rolników, chłopi, zyskali możność szerszego rozpostarcia się na polu gospodarki krajowéj. Ważnym czynnikiem, umożliwiającym parcelacyę, był wzrost dobrobytu, który zawdzięczamy rozwojowi dróg komunikacyjnych i pozyskaniu na czas jakiś dla wytwórczości naszéj bogatych rynków odległych.

Niejakim wskaźnikiem postępującego dobrobytu może być potęgujący się lub słabnący wzrost ludności. Rzeczywiście, wzrost ten jest — jak wykazaliśmy — w Królestwie w ciągu ostatnich lat 25 bardzo znaczny. Ufać jednak temu bardzo nie można, gdyż inne dowody bezpośrednie i bardziéj pewne przekonywają nas, iż od lat kilku rzeczy zmieniły się znacznie na gorsze. To téż liczby wykazały znaczne osłabnięcie ruchu parcelacyjnego po r. 1885. Z ogólnéj sumy rozprzedanych obszarów przy parcelacyi dóbr całkowitych w okresie 1870—75 nabyto 24%, w 1875—80 blisko 30%, w okresie 1880—85 przeszło 30%, a w 1885—90 zaledwie 3%. Toż samo zjawisko spotykamy przy parcelowaniu części dóbr: w okresie 1870—75 sprzedano parcelantom 17% całego obszaru, od 1875—80 28%, od 1880—85 35%, zaś od 1885—90 tylko niecałe 9%.

Rozróżnianie parcelacyi dóbr całkowitych i części ich jest bardzo ważne, gdyż pod względem społecznym i gospodarczym oba wypadki odgrywają całkiem odmienną rolę. Kiedy parcelowanie dóbr całkowitych, a więc znikanie posiadłości większych, ściąga na siebie wiele słusznych zarzutów i może wywołać obniżenie kultury w kraju, parcelowanie części majątków ma tylko dobre strony: udziela pomocy własności większéj, pozwala jéj doprowadzić swoje obszary do właściwych rozmiarów, daje doskonałą lokacyę dla oszczędności rolników drobnych i pozwala im zużytkować należycie pracę własną oraz rodzin. Z cyfr, przez nas przytoczonych, wypada, że ruch parcelacyjny w czasach ostatnich nabrał kierunku pożądanego, t. j. wzrosła bardziéj parcelacya częściowa. Od r. 1865 — 70 rozprzedaży uległo zarówno dóbr, całych jak i części—10% całego rozparcelowanego obszaru; w pięcioleciu następném parcelacya dóbr całkowitych wzrosła $2^1/_2$ raza prawie i tworzy 24%, kiedy parcelacya cząstkowa tworzy 17%. Tymczasem w okresie 1875 — 80 cyfry się wyrównały (28%), a w nastę-

pnych pięcioleciach znowu parcelacya cząstkowa wzrastała szybciéj, niż rozprzedaż dóbr całkowitych.

Pomimo to, uważaliśmy za konieczne zwrócić uwagę, że ruch parcelacyjny, pozostawiony, jak dotychczas, samemu sobie, oddany wyłącznie wpływom zmiennych i nieobliczonych przyczyn naturalnych, nieujęty w plan, nieregulowany dobrze obmyślaną interwencyą rozumu ludzkiego, zamiast wielkich korzyści, przynieść może gospodarstwu narodowemu znaczne straty.

Zwracaliśmy uwagę, że dane nasze nie są dziś wyczerpującemi. Dopóki wszystko oparte jest na domysłach, na pobieżnéj znajomości paru wypadków, dopóty nic pewnego przedsięwziąć niepodobna.

Co do cen, płaconych w obu wypadkach za ziemię, to te nie wiele się od siebie różniły, po pewnych wahaniach sumy się prawie wyrównały.

Po tych ogólnych wskazówkach przystąpiliśmy z kolei do zbadania, na podstawie danych naszych, jakich rozmiarów dobra najczęściéj ulegają sprzedaży cząstkowéj. Wynik okazał się taki:

Najwięcéj dóbr parceluje się z grupy majątków od 60 do 600 mórg. Na ilość stanowią one wśród ogółu dóbr rozparcelowanych 68.3%, na obszar aż 71.9%. Potém najwięcéj przestrzeni ustępuje parcelacyi grupa od 600—1,500 mórg: na ilość daje ona 5.6%, na obszar 18.8%. Wielka posiadłość parceluje się bardzo mało. Majątki rozparcelowane z grupy od 50 do 100 włók tworzą ledwie 0.8% wszystkich dóbr rozparcelowanych, a obszar 6.8%. W grupie fortun magnackich, przenoszących 100 włók, parcelacyi już wcale nie spotykamy. Parcelują się nawet majątki najmniejsze, niesięgające 60 mórg: dane nasze wskazują 25.3% ogółu, co pod względem terytoryum daje 2.5%, t. j. półtrzecia raza więcéj, niż grunta téj grupy tworzą wśród ogółu gruntów hypotecznych (1%).

Dane nasze dowiodły, iż posiadłość najłatwiejsza dla parcelowania, która téż głównie ulega tego rodzaju procesowi rozkładowemu, typ niejako dóbr parcelujących się obecnie, liczy mniéj niż 300 mórg, czyli 10 włók. Im daléj posuniemy się w dół lub w górę od tego typu, tém wypadki parcelacyi zdarzać się będą rzadziéj: w górze np. już po 1,500 morgach staje się ona sporadyczną, może wypadkową, a po 3,000 nie spotykamy jéj już zupełnie.

Poznawszy, co parcelacya zabiera posiadłości większéj, trzeba było się dowiedzieć, co daje mniejszéj. Znaleźliśmy, iż największa ilość kolonii (prawie połowa liczby ogólnéj) nie przenosi 10 mórg, najwięcéj zaś ziemi—znowu połowę niemal—zajmują parcele od 10—20 mórg. Połączywszy obie te grupy, otrzymamy, iż ogromna większość

ziemi, nabytéj przez parcelantów, rozpada się na działki drobniutkie, niewynoszące nawet $^2/_3$ włóki.

Nie we wszystkich częściach kraju parcelacya—jak liczby wykazały—odbywa się jednostajnie i w jednakowych rozmiarach: najwięcéj dóbr, przeszło ćwierć ich ogółu, pochłonęła ona w gub. Siedleckiéj; najmniéj w gub. Warszawskiéj, bo tylko 1%; z pomiędzy majątków najdrobniejszych cząstkowéj rozprzedaży w gub. Siedleckiéj uległa blisko połowa (48%), w Kaliskiéj 18%, w dwu zaś powiatach gub. Warszawskiéj ledwie 4.3%.

Do najważniejszych zagadnień, jakie przy badaniu procesu parcelacyjnego napotkać można, należy: czy nowi drobni nabywcy uwalniają ziemię od nadmiernego odłużenia? Obrachunek był trudny, gdyż poprzedniéj naszéj jednostki—należności Towarzystwa—użyć tu nie mogliśmy. Ciąży ona zaledwie na 18% dóbr rozparcelowanych. Mogliśmy tylko porównać stan odłużenia w dobrach nierozparcelowanych i rozparcelowanych. Obrachunek doprowadził zupełnie stanowczo do wniosku, iż w dobrach, powstałych ze sprzedaży nabywcom cząstkowym, odłużenie jest *mniejsze*, zarówno we wszystkich rodzajach należności, jak i we wszystkich grupach dóbr. Kiedy ogółem morga nierozparcelowanych majątków obciążona jest sumą 44.3 rubli, morga dóbr rozparcelowanych—tylko 26.4 rubli. Szczególniéj znaczna różnica zachodzi w należnościach Towarzystwa, gdyż na jednostkę ziemi rozparcelowanéj dług ten przypada w sumie 3 razy mniejszéj.

Pomimo takiego wyniku, nie uważaliśmy za możliwe odpowiedzieć twierdząco na powyższe pytanie — czy parcelacya uwalnia ziemię od nadmiernego odłużenia?

Że majątki rozparcelowane, zaraz po nabyciu ich przez dzisiejszych właścicieli, miały hypoteki opisane mniéj, niż za właścicieli dawnych; że, powtóre, krótki czas od rozpoczęcia się ruchu parcelacyjnego nie wystarczył do zbyt głębokiego zanurzenia się w zobowiązania wszelkiego rodzaju—to leży w porządku rzeczy. Decydującą była-by odpowiedź na pytanie: czy hypoteki dóbr w rękach parcelantów oczyszczają się, czy też obciążają jeszcze bardziéj? Jeśli zaś owo obciążanie ma rzeczywiście miejsce, to czy odbywa się żywszém, czy też słabszém tempem, niż w odpowiednich majątkach nierozparcelowanych? Dopóki zaś te kwestye okryte są tajemnicą, mogliśmy tylko stwierdzić, iż sam proces parcelacyi oczyszcza nieco hypoteki dóbr; ale czy następnie wszystko powoli powraca do stanu dawnego? czy też idzie ku lepszemu?—musimy się tylko domyślać.

Moglibyśmy wprawdzie przypuszczać, że po pewnych wahaniach się odłużenie dóbr parcelowanych dojdzie do tego stanu, w jakim znaleźliśmy dobra najmniejsze; ale dane nasze nie dają pod tym

względem kategorycznego wyjaśnienia. Przekonaliśmy się mianowicie, że zachodzi pewna równoległość w odłużeniu dóbr parcelowanych i nieparcelowanych; małe dobra jednéj kategoryi są bardziéj zbliżone do małych drugiéj, średnie—do średnich, duże—do dużych. Niezmiernie oczywiście było-by rzeczą ważną zbadać, czy podobieństwo przeniesione zostało z czasów przedparcelacyjnych i dotąd zatrzéć się nie zdążyło? czy też wytworzyło się ono późniéj? czy dziś wzrasta, czy znika? Odpowiedzieć na te pytania na podstawie naszych danych nie mieliśmy sposobu. Przytém okazało się, że dziś stan majątkowy dóbr rozparcelowanych gorszy jest, niż gospodarstw najdrobniejszych, z parcelacyi niepochodzących; tam posiadłości całkiem nieodłużonych było 40%—tu (wśród majątków rozparcelowanych) tylko 26%.

Pomimo względnie pomyślnego stanu dóbr rozparcelowanych, odłużenie ich jest jeszcze bardzo znaczne. Wątpić więc niepodobna było, że nowonabywcy nie są bogaci w gotówkę i nie posiadają środków dostatecznych, wobec zaś istniejących stosunków zaciągnięcie pożyczki łatwém i taniém nie było. Tu więc doszliśmy już do wniosku, który następnie rozwinęliśmy obszerniéj, że ułatwienie parcelantom taniego kredytu długoterminowego było-by bardzo na dobie i mogło-by wywrzéć skutki zbawienne.

Niezmiernie też ważną było rzeczą poznać, jak się odbywa sam proces parcelacyjny, t. j. kupno, podział, a następnie gospodarka. Ale w téj mierze panuje zupełna nieświadomość. Dane nasze pozwoliły nam zaledwie na jakieś wskazówki i domysły. Typ najodpowiedniejszego postępowania dotychczas się nie wyrobił. Dzieje się rozmaicie. Często w księgach hypotecznych figuruje parę tylko osób w charakterze nabywców, reszta zaś spólników zabezpiecza się przy pomocy wpisów kaucyjnych. Zdarza się też, że księga hypoteczna nie zawiera żadnéj bezpośredniéj wskazówki, iż dobra już rozparcelowane zostały, tylko jakieś uboczne wpisy strzegą praw nowych właścicieli. Dzieje się to w tych wypadkach szczególniéj, kiedy dług Towarzystwa nie został uprzednio spłacony lub usunięty. Okoliczności te niepozwalają na zebranie całkiem pewnych i dokładnych liczb. Uregulowanie zupełne ruchu parcelacyjnego wymagało-by więc między innemi wprowadzenia go wszędzie na drogę najwłaściwszą, ażeby jak najmniéj potrzebował pokonywać przeszkód bezużytecznych, i ażeby, jako fakt już dokonany, mógł przynieść największy pożytek jednostkom interesowanym i ogółowi.

Radziliśmy też ułożyć i wydać *Przewodnik dla parcelantów*, w którym drobny rolnik mógł-by znaléźć wszystkie potrzebne mu wskazówki prawne, ekonomiczne i techniczne.

Pragnąc posunąć badania nasze nad procesem parcelacyjnym

daléj, na wszystkich prawie punktach napotkaliśmy przeszkodę: zupełny brak danych, zupełny brak wszelkich wiadomości i wskazówek. Wobec niemożliwości pokonania takiéj przeszkody, postanowiliśmy przynajmniéj wykazać, gdzie najważniejsze luki istnieją, ułożyć listę pytań, na które najpilniéj potrzebne są odpowiedzi.

Nie ulega wątpliwości, że serwituty muszą wpływać na rozwój ruchu parcelacyjnego: w jaki sposób? czy przeszkadzają, czy też może w pewnych wypadkach regulowanie ich wywołuje cząstkowe odstąpienie i odprzedaż gruntów?

Powtóre, trzeba było się dowiedzieć, co wywołuje parcelacyę cząstkową i jakie są jéj skutki? Czy dzięki jéj znikają, czy też tworzą się szachownice?—t. j. czy jednostki gospodarcze zaokrąglają się, czy też tracą kształty właściwe? czy parcelacya jest rozumnym, obmyślanym, dobrowolnym postępkiem, czy też chwytaniem się tonącego za ostrze brzytwy? Nic nie wiemy o skutkach parcelacyi cząstkowéj, o jéj wpływie na pomyślność lub upadek tych dóbr, które się do niéj uciekły.

Wreszcie należy zbadać, czy wytworzone przez parcelacyę jednostki gospodarcze odpowiadają wymaganiom i potrzebom ekonomii krajowéj? w ilu wypadkach nowonabyte działki przyłączone zostały do osad już istniejących i jakich rozmiarów były te ostatnie? jak również w ilu wypadkach powstały gospodarstwa nowe i niezależne i jakie zajmują obszary?

Każdy, kto zrozumiał znaczenie danéj kwestyi i ujrzał całą w niéj naszą nieświadomość, ten niewątpliwie zawołał wraz z nami: światła, światła!

Chociaż nieraz dawniéj w ciągu pracy naszéj wypadało nam zaznaczyć złe skutki braku badań i wiadomości, oraz ich nagłą potrzebę, chociaż nieustannie prawie staraliśmy się przekonać czytelnika, że nie zapytać cyfr, gdy chodzi o rzecz wielkiéj wagi dla całego rolnictwa, było-by tém samém, co nie spojrzéć na bussolę, gdy niepomyślne wiatry miotają okrętem, — to jednak nigdy brak ten nie wystąpił tak jaskrawo, jak przy omawianiu parcelacyi. Przez lat wiele była ona na ustach wszystkich, wielu w niéj dostrzegało jedyny ratunek ziemi, i oto po latach 25-ciu jéj istnienia i rozwoju okazuje się, iż błądzimy po omacku i *napewno* ostatecznie nie wiemy, czy parcelacya poprawia stosunki, czy nie, — domyślamy się tylko, mamy wielkie prawdopodobieństwo, ale niezbitych, cyfrowych dowodów nam brak.

Potrzeba badań. W dolegliwościach społeczeństwa, tak samo jak w chorobie jednostek, niéma ratunku, dopóki niéma dyagnozy.

Już na samym początku pracy naszéj mieliśmy sposobność zwrócić uwagę, że potrzebne jest porównanie zasobów z ciężarami, okoliczności pomyślnych z utrudnieniami, bądź wypadkowemi, bądź stałemi. Wszystkie warunki, od których byt i postęp rolnictwa zależy, nie powinny być oceniane pojedyńczo, lecz zestawiane razem, t. j. cena ziemi i jéj produktów, podwyżka lub obniżka szacunków, wysokość stosunkowa kosztów produkcyi z łatwością zbytu, a wreszcie z opodatkowaniem. Dopiero suma tych wszystkich warunków daje nam możność wytworzenia sądu o teraźniejszości i przypuszczalnych przewidywań co do przyszłości.

Nieustannego badania wymaga również pytanie: o ile koszta produkcyi ziarna w Królestwie wyższe są od takichże kosztów w różnych okolicach Cesarstwa? Przy innych warunkach jednakowych, od téj okoliczności zależy wprost zysk lub strata rolnika i pracy, a więc w ostatecznym rezultacie dobrobyt stanu ziemiańskiego, jego siła odporna w ciężkich czasach, a wreszcie i przyszłość.

Wyjaśnienie sytuacyi ekonomicznéj wymaga daléj rozbioru wpływów, jakie wywiera budowa dróg żelaznych w Państwie Rossyjskiém, wobec przyjętéj obecnie polityki celnéj w państwach ościennych i ustanowienia opłat przewozowych na naszych drogach.

Obok tego zaraz zwróciliśmy uwagę, że badania podobne w danéj chwili mogły-by miéć bardzo doniosłe znaczenie praktyczne, gdyż komisya, powołana przez rozkaz Najwyższy, pracuje właśnie nad sposobami przyjścia z pomocą rolnictwu. W owym czasie nie była jeszcze zdecydowana kwestya organizacyi kredytu rolnego, dane odpowiednie, właściwie zebrane, mogły były i mogą dziś jeszcze wpłynąć na pożądane dla kraju naszego decyzye.

Badając stan odłużenia, zwróciliśmy uwagę na potrzebę rozgatunkowania wierzycieli. Statystyki rozróżniają zwykle tylko pożyczki towarzystw lub banków kredytowych od długów prywatnych; jest to słuszne i potrzebne, bo wierzyciele dwu rodzajów różnią się pod względem wymagalności i sposobów dochodzenia należności, to téż i wpływ kredytu, przez nich udzielonego na rolnictwo, nie bywa jednakowy. Ale dla tych samych powodów uważaliśmy za właściwe posunąć się o krok daléj i rozklasyfikować samych nawet wierzycieli prywatnych, gdyż to-by dostarczyło wielu rysów niezmiernie ważnych do poznania charakteru odłużenia. Przytoczyliśmy nawet przykład, dowodzący, że takie dochodzenie jest możliwe, mianowicie podaliśmy charakterystykę wierzycieli drobnéj własności w Cesarstwie. Ale posunięcie tak daleko badań wymaga wyłącznie temu poświęconéj ankiety, któréj środki i powaga osoby prywatnéj nie podołają. Księgi hypoteczne są pod tym względem dla ekonomisty tém zaledwie, czém

jakiś martwy odłamek dla archeologa: dają tu i owdzie jakieś mgliste wskazówki, ale pewności żadnéj na ich podstawie zdobyć niepodobna, ani odtworzyć obrazu całości.

Omawiając sposoby zbierania danych, nacisk położyliśmy na to, że praca winna być ożywiona jedną myślą, powinna być prowadzona wedle jednego dobrze obmyślanego planu i koncentrować się w instytucyi ziemiańskiéj, najbardziéj nadającéj się do tak wielkiego i trudnego przedsięwzięcia.

Środki zaradcze. Oświetlając wedle możności stan rzeczy, stosunki i potrzeby rolnictwa, wskazaliśmy, gdzie się dało, środki zaradcze. Wykazaliśmy więc, że pierwszą deską ratunku jest podniesienie kultury, a drogą do niéj prowadzącą, nawet wśród tylu, co u nas, zawad i przepaści, kredyt melioracyjny. Dowiedliśmy, że rolnictwo swój upadek ogólny lub częściowy zawdzięcza spadkowi cen pewnych tylko produktów, wytwarzanie więc innych, których wartość wzrosła, o ile warunki miejscowe nie staną na przeszkodzie, podtrzymało-by rolnictwo bardzo.

Wyświetliwszy, jakie fatalne skutki pociąga za sobą pozostawanie zbyt długie w majątku właściciela, który nie ma już żadnéj możności ocalenia, wskazaliśmy na wszechstronną korzyść skrócenia kryzysu, do czego prowadzi: ułatwianie przeprowadzania tranzakcyj— z jednéj strony, a trzeźwy pogląd i szybsza decyzya wśród jednostek, oraz rozumne, trzeźwe, a stanowcze wymaganie opinii—z drugiéj.

Domagaliśmy się unormowania stosunku pomiędzy rozmiarami majątków i środkami posiadaczów, gdyż bez doprowadzenia do właściwych rozmiarów jednostek gospodarczych ani polepszenie finansów, ani postęp kultury nie są możliwe.

Doszedłszy do wniosku, że bez rozwoju dobrobytu własności małéj uregulowanie stosunków posiadłości większéj jest niemożliwe, staraliśmy się wykazać wyczerpująco niezbędność i możność udzielenia taniego, długoterminowego kredytu setkom tysięcy gospodarstw małych, celem ułatwienia parcelacyi. Stosunki się tak złożyły, iż jedynie rolnik zagonowy popytem swoim na rolę powstrzymać dziś może upadek cen na ziemię. Nietylko pomocy pieniężnéj, ale i światłych wskazówek potrzebuje drobny szlachcic, mieszczanin i wieśniak, mogący oszczędności swoje złożyć w ziemi. Należy dążyć do tego, aby proces parcelacyjny nie spotykał na drodze swojéj tylu, co do tychczas, przeszkód, aby przytém rozwijał się w kierunku pożądanym.

Ile się tylko razy sposobność nadarzyła, a wskazówki nasze pozwoliły, robiliśmy uwagi, co czynić należy, aby przyjść z jakąś pomocą zagrożonemu rolnictwu i stosunki w tym lub innym punkcie poprawić.

Czytelnik, który w pracy naszéj szukał gotowéj całkiem recepty, mającéj wywołać pewny i szybki skutek, — zawiódł się naturalnie. Myśmy zrobić tego nie mieli zamiaru i nie mogli, bo to się zrobić nie da. Nie szukaliśmy téż tajemniczego zaklęcia, czy talizmanu, który-by miał w jednéj chwili wlać potęgę w skołatany organizm. Zdaje nam się, iż dowiedliśmy, że niemoc i niedola rolnictwa u nas, czy za granicą, to wynik wielu przyczyn, to skutek wielu nieszczęść, klęsk, wpływów niepomyślnych. Niéma téż lekarstwa jednego, działającego szybko; możliwe jest tylko powolne oddziaływanie przeciwko wszystkim czynnikom i warunkom szkodliwym. Potrzebna jest praca wytrwała, potrzebne jest światło wiedzy, wreszcie uczucia społeczne, gotowe do poświęcenia osobistych interesów potrzebom ogółu.

Kto sądził, że ratunek spaść może nagle, niespodziewanie, wskutek jakiéjś siły ukrytéj, jakiegoś sposobu dotychczas nieznanego i niepraktykowanego,—ten nie rozumie natury bytu i rozwoju społecznego. Możemy na razie myśléć tylko o poznaniu braków i potrzeb, o wytknięciu kierunku postępowania; ratunek leży gdzieś daleko, po za szeregiem lat, po za wysiłkami pracy. Prowadzi do niego powolne ale nieustanne polepszanie stosunków, którego tylko samo społeczeństwo mozołem własnym dokonać może.

Zaprzątanie umysłów mrzonkami w kraju, i bez tego skłonnym do złudzeń, uważamy za szkodliwe. Pamiętać należy o przysłowiu: „pracuj, a Bóg ci pomoże“. A pomoc do pewnego stopnia już otrzymaliśmy. Kilkodziesięcioletnia praktyka na różnych polach ośmiela nas do wypowiedzenia zdania, że dzisiejsze pokolenie pracowników znacznie przewyższa poprzedników swoich. Odczuwać się tylko daje brak kierunku.

Bylibyśmy całkiem szczęśliwi i z zachodu swego zadowoleni, gdyby artykuły niniejsze zwróciły uwagę powszechną na pilną potrzebę zajęcia się ratunkiem zagrożonego rolnictwa; gdyby, powtóre, rozświeciły one chociaż jednym promykiem labirynt ścieżek zgmatwanych, z których kilka zaledwie prowadzi do pomyślnéj przyszłości.

Nie zapomnieliśmy téż o potrzebie reformy obyczajowéj. Tu i owdzie, gdzie się sposobność nadarzyła, potrąciliśmy o nią; nie poświęciliśmy zaś jéj osobnego rozdziału, gdyż przed nami kwestyę tę wyczerpał p. Ludwik Górski. Do słów tak wielkiego autorytetu niewiele mieliśmy dodać. Parę razy nadarzyła się nam sposobność przypomnienia o potrzebie oszczędności, pracy i wytrwałości; wykazaliśmy, że sytuacya chwili wymaga energii, nieopuszczania rąk, niezrażania się przeszkodami, a co najważniejsza, poświęcenia wymagań, upodobań i przyzwyczajeń osobistych tam, gdzie z tego dobro ogółu wykwitnąć może.

Rozglądając się wśród potrzeb i sposobów ratunku, oczy nasze zwracaliśmy nieustannie na Towarzystwo Kredytowe ziemskie, i nic dziwnego — ono jest jedyną instytucyą, którą obchodzą sprawy prawie ogółu większych posiadaczy ziemi i znacznéj części drobnych właścicieli; Towarzystwo Kredytowe dla ich potrzeb wyłącznie powstało, i obecnie jest jedyną instytucyą, która robotę jakąś zacząć może.

Nie zapominajmy, że do przyszłości idzie się krok za krokiem. Przy zaprowadzaniu reform należy się kontentować korzyściami częściowemi, niby spłatami na raty.

Ponieważ w artykule obecnym dawaliśmy wskazówki, o ile można wyraźne, co robić należy, żeby przyjść z pomocą zagrożonemu rolnictwu, nie będziemy ich powtarzali; musimy jednak położyć nacisk wyraźny na tę okoliczność, że jeżeli Towarzystwo Kredytowe nie będzie w stanie odrazu rozwinąć wskazanéj działalności wszechstronnéj, to winno przynajmniéj w czasie jak najkrótszym wskazać, jaką część akcyi uważa za możliwe rozpocząć, a jaka część pracy spaść musi na inne organy społeczeństwa.

Jan Bloch.

WRAŻENIA Z WYCIECZKI.

Żyjemy w wieku, w którym przestrzeń nie dzieli ludzi tak, jak dawniéj. To, co niegdyś było podróżą, zasługuje dziś ledwie na nazwę wycieczki. Przerzucanie się z miejsca na miejsce, ułatwione dla wszystkich, staje się niemal nałogiem powszechnym. Słuchanie opowiadań nuży nas, lubimy widzieć wszystko własnemi oczyma.

Zdarzało się nam nieraz spotkać się ze zdaniem, że z udoskonaleniem komunikacyi zaginęła umiejętność podróżowania. Kto w przeciągu dni kilku przebiega kraj cały, nie pozna go tak dokładnie, jak go poznawali ci, którzy, popasając co mil kilka, skracali sobie nudy podróży oglądaniem wszystkiego, co spotykali po drodze. Podróżny może dziś w krótkim czasie poznać więcéj stolic, niż dawnemi laty w ciągu całego życia, ale częstokroć nie wie, jak wygląda kraj, dzielący te miasta, gdyż przebył te obszary lotem ptaka, nie mogąc na żadnéj osadzie ludzkiéj dłużéj zatrzymać wzroku.

Chętnie przyznajemy, że w takiém rozumowaniu wiele się mieści słuszności. Kilkutygodniowa wycieczka w okolice między Wisłą a Karpatami, wycieczka, przeplatana częstemi i długiemi przystankami, utwierdziła nas w przekonaniu, że to, co w podróży zyskujemy na pośpiechu, opłacamy nieraz utratą wrażeń, oczekujących tego, kto, podróżując, umie się nie spieszyć.

Chciało-by się raz jeszcze odbyć tę samą wyprawę, gdy się pomyśli, że znowu na rok, a — kto wie — może na lat kilka trzeba bę-

dzie zamknąć się wśród murów miejskich. O każdéj porze ma wieś swe uroki i niéma wsi, która-by ich dla oka, umiejącego patrzéć, nie miała. Ale te, któremi się napawamy, gdy nam całe tygodnie biegną zdala od gwaru miejskiego, niczém są w porównaniu z tém, czego się doznaje, wjeżdżając po raz pierwszy po długiéj niebytności w krainę, dającą nam przedsmak gór, w kraj lasów jodłowych i urwisk skalistych, pod któremi woda sączy się po kamieniu, w kraj chat ubogich i wsi, rozrzuconych daleko po obu stronach drogi i sięgających ostatniemi chatami polan leśnych, w kraj pełen cienia, chłodu i wilgoci, pełen ciszy, widoków cudnych i nędzy ludzkiéj, źle przykrytéj łachmanem.

Droga wije się wężem, a gdy miniemy pierwszy grzbiet Beskidu i spuszczać się zaczniemy ku brzegom Raby, owiewa nas powiew inny, niosący nam tę prawdziwą woń gór, która późniéj upajać nas jeszcze będzie we wspomnieniach, woń żywicy i tartego drzewa, woń siana, schnącego na halach, i dymu jałowcowego, wypełniającego koleby pasterskie; na zakrętach dolatuje nas, to głośniéj, to ciszéj, turkot wózków góralskich, wracających na noc z targu w Krakowie, a oko, żegnając blask zachodu, muskający szczyty wzgórz, chciało-by wedrzéć się do wnętrza chat i dworów, zobaczyć, czy mieszkańcom tych stron lepiéj jest, czy gorzéj na świecie, niż ludziom, pod inną mieszkającym gwiazdą, i sprawdzić niejedno, o czém się w mieście słyszało. Góry nęcą ku sobie; podróżny skraca popasy i zazdrościć gotów już tym, którzy, nie mając kogo odwiedzać po drodze, pędzą po torze kolejowym. Ale gdy pierś nasyci się już powietrzem, którego nie skalało tchnienie miast, gdy myśl odpocznie, gdy, wracając znowu między mieszkańców dolin, witamy, jak dobrych znajomych, i łany zbożowe, i ludzi w polu, i pełne gumna, i dwory wśród lip, wówczas nadchodzi pora na uporządkowanie wrażeń, porównanie tego, co się widziało, z tém, czegośmy oczekiwali, i zdanie ze wszystkiego sprawy tym, którym przyrzekliśmy to przed wyjazdem.

Rok po roku czytamy w korespondencyach z Galicyi o nowo powstających szkołach, o kółkach i czytelniach włościańskich, przemyśle domowym, szkołach rolniczych dla włościan, o wystawach haftów włościańskich, garnków, koszyków i kłódek. Wiemy, ile reńskich przeznacza sejm lwowski na nauczycieli wędrownych, ile na pożyczki dla spółek przemysłowych, a ile na zapomogi dla stowarzyszeń, niosących oświatę do chat wiejskich. Znamy wszystkie argumenta, jakie przytaczano za oddaniem szkół wiejskich pod nadzór duchowieństwa, oraz te, które przemawiają przeciw temu. Patrząc z wózka na rzędy chat chłopskich, kryjących się w cieniu sadów, zadajemy sobie pyta-

nie: jak to, co znamy z gazet, przedstawia się w życiu, jak wyglądają wychowańcy owych szkół, o których tyle się mówi, jakie myśli budzą się w głowach, nad któremi już pracowała nowożytna pedagogia.

Józef Szujski mawiał, że chłop z pod Krakowa jest doskonałym wizerunkiem szlachcica z początku szesnastego wieku. Trzeba być wielkim znawcą przeszłości, by módz osądzić, o ile zdanie to jest słusznem; ale, jeżeli cechą dawnego szlachcica ma być wybujały indywidualizm, nieuznawanie węzłów, mogących go krępować w ruchach, uważanie własnéj zagrody za środkowy punkt kuli ziemskiéj, a reszty świata za znikomą przyczepkę, to trudno o wierniejszy konterfekt owego typu, jak ten, który oglądać możemy na własne oczy, wszedłszy pod słomianą strzechę zamożniejszego gospodarza nad górną Wisłą.

Dokoła niego zmienił się w latach niewielu świat cały, zmienił się ustrój państwa, zmieniły się pojęcia, zmieniły się typy ludzi; on na wszystkie te zmiany patrzy z lekceważącém niedowierzaniem. Zmiany w monarchii, prowincyi, powiecie, a nawet gminie, wszystko to dla niego drobnostki, dopóki ściany własnéj jego chałupy silnie stoją, dopóki rola mu rodzi i dopóki w kościele po dawnemu odprawia się nabożeństwo. W dziejach ludzkości jedną tylko zna chwilę: dzień, w którym ziemię otrzymał na własność. Nowin wielce ciekawy, słucha ich z wyrazem pobłażliwéj ironii, a muszą bardzo przypadać mu do gustu, splatać się z nicią domowéj jego tradycyi i w niczém nie naruszać jego pojęć o samodzielności, jeżeli je ma sobie przyswoić i przechować dla dzieci.

Obok tego pokolenia wyrasta drugie, chowane w szkole, a po ukończeniu nauki czytające Janka z Bielca, Promyka, a nawet Kraszewskiego i Prusa, pokolenie, mające cześć dla drukowanego słowa, pokolenie, dające się powodować rozumném słowem, ale, mimo to, będące dziś jeszcze zagadką, bo nikt nie wie, czyje słowo najłatwiéj tam trafi i za czyim głosem cały ten świat pójdzie.

Mimo silne postanowienie unikania wszystkiego, coby nas na dziedzinę polityki zaprowadzić mogło, czujemy, że trudno oprzéć się pokusie. Gorączka polityczna, opanowująca każdego, kto mieszka przez czas dłuższy w téj krainie nieustannych zebrań przedwyborczych, wyborów i zgromadzeń dla zdawania sprawy, wytwarza widocznie jakiś rodzaj laseczników, krążących w powietrzu i opadających niespodzianie nawet tych, co przelotem przemknęli się po kraju.

Trzydziestoletnie spory dały się już dostatecznie we znaki większéj części tutejszego społeczeństwa. Nieustanne zabiegi w celu for-

mowania stronnictw, które ostatecznie nie mogą w dzisiejszych warunkach znacznie różnić się między sobą, musiały zniechęcić wielu trzeźwo patrzących na rzeczy. Wieczne poszukiwanie jakichś idealnie doskonałych programów, które na pozór podzielić mają społeczeństwo na wielkie obozy polityczne, a w rzeczy saméj, o ile dotyczą najżywotniejszych i najpilniejszych spraw, muszą w jedném obracać się kole, znużyło umysły. Między tymi, którzy dochodzą wieku, dającego prawo stawania w szrankach politycznych, spotyka się co krok jednostki, zrażone do życia publicznego, zanim go zakosztować mogły; walka o teorye nie wabi już młodych sił, które zawczasu poznały jéj bezpłodność. Coraz głośniéj, choć zawsze jeszcze bardzo nieśmiało i skromnie, odzywa się nawoływanie do rozejmu. Przy pewném umiarkowaniu ze strony tych, którzy dziś mają przewagę, przy zrozumieniu obowiązków, jakie na nich ciążą, przy pewném poddaniu się konieczności wzięcia na swe barki nowych trudów, walka polityczna między konserwatystami i postępowcami w Galicyi ostygła-by niezawodnie, a koła, które dziś ster spraw krajowych dzierżą, nie doznawały-by z pewnością tak zażartych napaści, jak te, od których dziś bronić się muszą. Zakorzenione błędy i grzechy konserwatyzmu galicyjskiego będą powodem, że zawieszenie broni do skutku nie dojdzie. Z własnéj winy tych, którym na uciszeniu się namiętności politycznych najwięcéj powinno zależéć, będzie się walka toczyła daléj, a ostatecznym jéj wynikiem musi być kiedyś osłabienie kół, które dziś w kraju ton nadają. Nie umiejąc przejednać przeciwnika zawczasu i wyzywając go lekkomyślnie na rękę, podniecają one przygasający płomień wojny domowéj, która, im dłużéj potrwa, tém większe w społeczeństwie poczyni zmiany. Upór i przesądy tych żywiołów, które są podstawą konserwatywnego kierunku, więcéj się przyczyniają do ciągłego utrzymywania opozycyi w szyku wojennym, niż wszelkie nawoływania reformatorów.

Zjawisko to dostrzédz można nietylko w Galicyi. Niéma kraju, w którym-by konserwatyści nie wyrządzili swym uporem wielkiéj przysługi żywiołom, dążącym do usunięcia tego, co istnieje, i zastąpienia stanu obecnego czémś inném. Stosunki galicyjskie są tylko przykładem, potwierdzającym prawidło ogólne.

Kto zbliska patrzy na pracę u podstaw, rozpoczętą ćwierć wieku temu, a dziś tak nieznacznie dopiero posuniętą naprzód, kto widzi, jak niewiele zrobiono w porównaniu z tém, coby zrobić można, ten musi uczuć silny żal do tych, którym dano więcéj, niż innym, i od których więcéj się wymaga. Wszelkie względy, przemawiające przeciw waśniom stronniczym i społecznym ustępują miejsca słusznemu

oburzeniu, gdy się widzi niechęć i obojętność tam, skąd-by należało się spodziewać czynnéj pomocy. Kółka włościańskie, czytelnie, sklepiki wiejskie, kasy groszowe, mogły-by się tysiącami roić po kraju i objąć go nierozerwalnym splotem jednolitéj sieci, gdyby praca nad ludem zyskała pomoc tych, którzy w swych ręku dzierżą większe obszary ziemi, którzy na znacznych przestrzeniach kraju reprezentują dziś jeszcze żywioł najbardziéj oświecony i ogładzony, i którzy, po sformowaniu się dzisiejszego ustroju politycznego, umieli odrazu naczelne zająć stanowiska. Wszelkie ubarwianie istotnego położenia na nic się nie przyda. Można wynajdywać przyczyny, tłómaczące winę, ale niepodobna nie przyznać, że wina jest ciężką, a oburzenie uzasadnioném. Gdy ani ziemiaństwo galicyjskie, które nie pojęło dotychczas swego zadania, ani wytworzona przez warstwę ziemiańską hierarchia, nie spełniają obowiązków względem ludu, nic naturalniejszego, jak to, iż ci, którym dobro milionów, pracujących na roli, żywo stoi przed oczyma, wytężają wszystkie siły, by stworzyć, obok zastępu ludzi, rządzących dziś krajem i nadających pewną barwę społeczeństwu, zastęp inny, stanowiący siłę polityczną, która wykona pracę, przechodzącą możność dzisiejszych przywódzców.

Z jakich-że żywiołów ma się składać owo stronnictwo przyszłości, wolne od szlacheckich przesądów, szlacheckiéj gnuśności i szlacheckiego sobkostwa?

Nie badając nawet stosunków galicyjskich na miejscu, łatwo się domyślić, jaką odpowiédź dają przywódzcy opozycyi galicyjskiéj na to pytanie. Odpowiedź tę podyktował im przykład sąsiadów zachodnich. Na wzór tamtych krajów chcą oni przeobrazić społeczeństwo u siebie w domu.

Nie potomkowie *Raubritterów* niemieckich wytworzyli nad Renem, Neckarem i Elbą ten zasób oświaty i cywilizacyi, który ogarnął następnie wszystkie warstwy i nadał im więź żelazną; nie wynarodowiona szlachta oświeciła i podniosła chłopa czeskiego. I w jednym, i w drugim kraju, dokonał tego ów stan średni, którego brak tak ciężko innym społeczeństwom uczuwać się daje. Stwórzmyż więc — mówią — w Galicyi silne stronnictwo mieszczańsko-demokratyczne, nadajmy żywiołom rozproszonym spójnię polityczną, a uzyskamy czynnik, który dokaże tego, co podziwiamy u narodów ościennych.

Zadanie, tak proste na pozór, jest istną pracą Syzyfa. Nie chcemy roztrząsać pytania, czy mieszczaństwo galicyjskie, uzyskawszy przewagę w kraju, nie sprawiło-by swym opiekunom i rzecznikom małych rozczarowań. Największą trudność upatrujemy w czém innem. Formowanie stronnictwa mieszczańsko-demokratycznego może kiedyś

w przyszłości okazać się chybioném w zasadzie, gdyż żywioły prawdziwie demokratyczne gotowe wypowiedzieć przyjaźń prawdziwym przedstawicielom mieszczaństwa; w samym atoli zawiązku rozbijają się usiłowania reformatorskie o inną przeszkodę. Przeszkodą tą jest nadzwyczaj mała ilość materyału, z którego owo potężne stronnictwo ma być ulepioném.

Galicya nie ma silnego stronnictwa mieszczańskiego, które-by równoważyło wpływ ziemiaństwa i arystokracyi, bo nie posiada mieszczaństwa. Jeżeli stan średni słabym jest politycznie, jeżeli nie czuje się dosyć pewnym siebie, by módz zastąpić szlachtę na stanowisku, z którego ona ustępuje; to nie dlatego, iż nie jest sympatycznie widzianym w sferach, mających dziś przewagę, nie dlatego, iż jest lekceważonym w stosunkach towarzyskich, nie dlatego, iż nie posiada osobnego mieszczańskiego programu politycznego, ale dlatego, że jest nielicznym, mało rozwiniętym intellektualnie, a niesłychanie ubogim w porównaniu z mieszczaństwem innych krajów. Mieszczaństwo zamożne, oświecone i gęsto po kraju rozsiadłe, spełniło-by swe zadanie społeczne i bez pisanych regulaminów; mieszczaństwo biedne, a poza rogatkami dwóch większych miast niewidoczne prawie dla oka, jest materyałem tak kruchym, nikłym i słabym, iż nawet największy geniusz polityczny nie stworzy z niego w przeciągu lat kilku niespożytego czynnika politycznego.

We wszystkich społeczeństwach zachodnich materyalny i intellektualny rozwój mieszczaństwa poprzedzał zawsze chwilę, w której ono odgrywać zaczęło rolę polityczną. W Anglii, gdzie już w wiekach średnich odbył się proces społeczny, dokonywający się w innych krajach dopiero w ciągu ostatnich lat stu, skupiły się w rękach mieszczaństwa środki pieniężne, zanim korzystanie z praw obywatelskich stało się jego udziałem. Będąc szafarzami grosza za Plantagenetów i niosąc pomoc królom w ciężkich dla dynastyi chwilach, upominali się mieszczanie angielscy z powodzeniem o przywileje, równe przywilejom rycerstwa. Zjawisko to występuje w dziejach owéj epoki tak wyraźnie, iż historya zgodnie z prawdą wypowiedziała zdanie, że stan średni w Anglii nie wywalczył sobie równouprawnienia na barykadach, lecz kupił je za gotówkę. Gdy za Tudorów nastała doba reakcyi politycznéj, kryjącéj się pod płaszczem prześladowań religijnych, potomkowie kramarzy i rzemieślników znosili prześladowania wspólnie z potomkami zbrojnych towarzyszy Wilhelma Zdobywcy, a głowy mieszczańskie padały na rusztowaniu razem z głowami szlacheckiemi. Różnice polityczne zatarły się już poprzednio.

We Francyi zdobycze, wywalczone w zaraniu wielkiéj rewolucyi, były tylko dalszym ciągiem zdobyczy w innych dziedzinach życia.

Francya była już faktycznie społeczeństwem mieszczańskiém, zanim ten stan rzeczy uświęconym został w zasadniczych ustawach kraju. To samo widzimy u najbliższych sąsiadów Galicyi. Nie szlachta i ziemiaństwo, ale żywioł mieszczański kieruje narodem czeskim. Mylił-by się atoli, ktoby sądził, iż, z nastaniem rządów konstytucyjnych w Austryi, mieszczaństwo czeskie musiało dopiero wydzierać szlachcie kierownictwo. Osiedlone tłumnie na całéj ziemi czeskiéj, mające w każdéj gminie oświeconych i bogatych przedstawicieli, jeżeli nie w postaci wielkiego przedsiębiorcy lub fabrykanta, to w postaci zamożnego i intelligentnego młynarza, oberżysty lub kowala, opanowało ono pole bitwy, nie potrzebując prawie walczyć z przeciwnikiem, a opanowało je łatwo, bo zanim wystąpiło do boju, było silną i zamożną warstwą społeczną.

Jeżeli rozumowanie wielu polityków galicyjskich jest słuszném, jeżeli stan średni ma odegrać zbawczą dla społeczeństwa rolę w życiu politycznem, to przedewszystkiém wzmódz się on musi na siłach i rozrość liczebnie. Naprzód trzeba istnieć, potém można działać. Z pod tego ogólnego prawidła Galicya wyłamać się nie zdoła.

Rzecz prosta, iż położenie tylko wówczas w ten sposób nam się przedstawi, jeżeli, idąc śladem przyjętego w Galicyi rozumowania, będziemy upatrywali naturalną podstawę formowania stronnictw w podziale na warstwy społeczne. Stronnictwa mieszczańskiego, o jakiém wielu reformatorów marzy, Galicya dotychczas nie posiada i nie prędko posiadać je będzie mogła; ale nikt nie zaprzeczy, że to biedne, od tylu wieków zaniedbywane, dziś zaledwie z pieluszek wydobywające się mieszczaństwo, wydało w ostatnich latach spory zastęp talentów politycznych, jaśniejących bądź w kraju, bądź w stolicy monarchii. Ten drobny zawiązek, którym ono jest dzisiaj, stanowi już spory zbiornik sił; siły te nie wystarczają atoli do odegrania roli, jaką stan trzeci odegrał gdzieindziéj, a tego ubytku nie zastąpią drukowane programy.

Najlepszym dowodem słabości tych nowych żywiołów jest krytyka obecnego stanu rzeczy. Z całą słusznością można się bowiem zapytać, dlaczego, widząc obojętność szlachty dla ludu, nie wyręczyły jéj już dawno? Do opiekowania się szkółkami wiejskiemi, ochronkami, strażami ogniowemi po wsiach, do zakładania kas groszowych, dostarczania książeczek, zawiązywania stowarzyszeń wstrzemięźliwości i kółek włościańskich, nie potrzeba osobnych stronnictw politycznych. Wszystkie te obowiązki społeczne spełnić mogą mieszkańcy każdego miasta lub miasteczka względem współobywateli w sukmanach lub siermięgach, zamieszkujących okoliczne wioski. Wielkie są grzechy ziemian, ale któż przeszkadza miastom i miasteczkom przyświecać

szlachcie przykładem? Jeżeli chłop pije, jeżeli pozwala się wyzyskiwać nieuczciwemu pośrednikowi, jeżeli nie umie założyć we wsi sklepiku, zabrać się do udoskonalenia rzemiosł wioskowych i zawiązać spółki kredytowéj, a dwór nie chce czy nie potrafi przyjść mu z pomocą, któż broni kupcom, adwokatom, rzemieślnikom, lekarzom, oberżystom, woźnicom i ogrodnikom z pobliskiego miasteczka zastąpić „nieobecnych“ i zaznaczyć, nie odezwą polityczną, ale czynem, ślad swego istnienia? Wszak potomkowie przybłędów niemieckich, którym Ferdynand nadał, po bitwie na Białéj Górze, ziemie, zrabowane na szlachcie czeskiéj, nie oświecali chłopa czeskiego w duchu, w jakim dziś oświata się tam szerzy, ani nie budzili w nim uczuć, któremi dziś jest przejęty. Dokonali tego mieszkańcy miast i miasteczek, a dokonać mogli, bo byli dosyć liczni, by ogarnąć kraj cały, dosyć rozumni, by sprawą mądrze pokierować, dosyć bogaci, by poświęcać czas i pieniądze tam, gdzie ofiary są konieczne, a dosyć obywatelskiego mający ducha, by łamać trudności i przeszkody. Stan średni w Galicyi tych zalet widocznie nie posiada. Dlatego formowanie wielkiego stronnictwa przyszłości nazwaliśmy pracą Syzyfa. Nie potrzebujemy dodawać, że nas to ani zbytecznie nie przeraża, ani nie boli.

Jeżeli podział na stronnictwa, odpowiadające warstwom społecznym, nigdy nie był szczęśliwym, tém mniéj byłby dzisiaj. Uświęcanie kastowości przez ubranie jéj w nowożytne szaty srodze mogłoby się pomścić, a stwarzanie nowych przegród między dwoma światami, i tak już niestety zbyt od siebie oddalonemi, zamiast służyć sprawie postępu, stało-by się powodem zastoju. Niepodobna nam również uwierzyć, ażeby stronnictwo, wyrosłe na niwie stanu średniego, miało byt trwały. Już dzisiaj można zauważyć w Galicyi, jak konserwatywną jest pewna część demokracyi tamtejszéj, gdy idzie o jéj własne interesa materyalne. Dzienniki warszawskie powtórzyły niedawno w streszczeniu sprawozdanie roczne p. Nawratila, inspektora przemysłowego w Galicyi. Czytaliśmy tam o bezwstydném wyzyskiwaniu robotników przez przemysłowców różnych kategoryi, którzy, licho wynagradzając pracę i lekceważąc wszelkie warunki hygieny, posuwają się w swéj chciwości do tego, iż odwodzą go różnemi sposobami od ubezpieczania się od wypadków, ażeby zaoszczędzić sobie przez to marną wkładkę roczną. Rzecz jasna, iż ci, którzy tak postępują, uważają się, w przeciwstawieniu do żywiołów, rządzących krajem, za demokratów czystéj krwi. Ta naiwność, czy przewrotność, może uchodzić dopóty, dopóki władza jest w innych rękach; ale sprzeczność między tém, co się mówi, a tém, co się robi, wyszła-by od razu na jaw, gdyby dzisiejsze mieszczaństwo galicyjskie w pełnym szyku zluzowało szlachtę.

Eksperymentu tego Galicya nie ujrzy. Jest dziś nań i zawcześnie, bo mieszczaństwo galicyjskie jest za słabém, by podołało zadaniu, — i za późno, bo życie, wpływając na nieustanne mieszanie się warstw społecznych, nie pozwoli ostać się długo ani mieszczaństwu, ani ziemiaństwu, w ich wyodrębnieniu. Oba te odłamy zasilają ciągle życie publiczne świeżemi sokami. Najdzielniejsi ich reprezentanci, łącząc się i dzieląc bez względu na zajęcie, jakiemu się po-za polityką oddają, wytworzą może kiedyś ową falangę, któréj kraj oczekuje, ale nie będzie ona z pewnością ani mieszczańską, ani szlachecką; hasłem jéj będą konkretne cele ogółu, a nie pochodzenie lub zawód pojedyńczych członków.

Cóż więc może wyprowadzić polityków galicyjskich z zaczarowanego koła? W odpowiedzi na to pytanie wskażemy na dwie strony życia.

Wiele mówiono i pisano o wadach i zaletach parlamentaryzmu. Jakiekolwiek atoli ma on dobre i złe strony, nie można nie widzieć jednego: ustrój konstytucyjny zniewala tych, którzy chcą kierować społeczeństwem, do stykania się z ogółem ludności i skarbienia sobie jéj sympatyi. Środki które tu działają, nie zawsze są godziwe; ale gdy poziom oświaty wzrasta, gdy się poczucie rzeczywistego dobra szerzy, gdy się powiększa wytrawność polityczna, nie mogą przywódcy lekceważyć pojęć i przekonań ludu, muszą na nie oddziaływać, muszą je rozwijać, muszą je kształcić, gdyż w razie przeciwnym ubiegną ich inni. W ten sposób wyrabia się między stronnictwami współzawodnictwo, płynące najczęściéj z pobudek egoistycznych, ale wydające błogie skutki.

W tém położeniu znajduje się już poniekąd Galicya. Ów osławiony kieliszek wódki przestaje być jedynym czynnikiem przy wyborach. Już przed dwoma laty drukowane słowo odegrało po raz pierwszy pewną rolę w wiejskich okręgach wyborczych, a zjawisko to będzie się powtarzało coraz częściéj i coraz wyraźniéj.

Zbliżenie jednych do drugich, zniewolenie oświeceńszych do zajmowania się mniéj oświeconymi, jest niekiedy większą i ważniejszą zaletą konstytucyonalizmu, niż bezpośredni jego wpływ na ustawodawstwo. Być może, że, gdyby nie było wiedeńskiéj Rady Państwa, sprawa nowego kodeksu karnego została-by równie korzystnie dla włościan galicyjskich załatwioną, jak przy współudziale deputowanych; być może, że traktat handlowy z Niemcami nie stanie się nic a nic korzystniejszym dla Galicyi przez to, iż będzie przedstawionym izbie: ale i lud wiejski, i kraj cały zyskują ogromnie przez to, iż ci, którzy chcą mówić w Wiedniu o kodeksach i traktatach, muszą coraz to więcéj myśléć o tém, czém najłatwiéj trafić do serca i umysłu

wyborców. Powtarza się tu nieśmiertelna scena z arystofanesowych „Rycerzy“; i tu dwaj rywale schlebiają Demosowi, ale, w miarę postępu i większéj oświaty, współzawodnictwo się uzacnia. Zamiast łakoci, wtykają kandydaci Demosowi książki, broszury i dzienniki. A jeżeli z tych zadrukowanych kart wykreślimy wszystko, co tam zamieszczono jedynie dla agitacyi, to pozostanie jeszcze spora wiązanka rzeczy dobrych, pożytecznych i ze stronniczemi celami związku nie mających.

Ażeby nie dać się uprzedzić stronie przeciwnéj, zakładają kluby polityczne dziś gazetkę, jutro kółko włościańskie, po jutrze towarzystwo oświaty. Od chwili, w któréj wyborca-włościanin zaczął myśléć, rzeczy muszą iść tym torem, a ci, którzy rzekomo tylko sobie wzajemnie na złość robią, pracują nieświadomie dla dobra prowincyi. Z programów dzisiejszych zostaną kiedyś strzępki; autorowie ich, rozczarowani i zniechęceni, żałować może będą swéj pracy; a jednak żal ten niezupełnie będzie uzasadnionym, bo, jakkolwiek zamierzonego celu nie osiągną, oddadzą społeczeństwu niespożytą usługę, podobnie jak owi synowie w bajce, którzy, szukając w winnicy skarbu po rodzicach, pieniędzy wprawdzie nie znaleźli, ale z ziemi, poruszonéj głęboko, dziesięciokrotny zebrali plon.

Lata upłyną, zanim ruch ten ogarnie rozległe obszary. Dziś potrzebę tego szlachetnego współzawodnictwa czują dopiero przywódzcy stronnictw. Nie odczuto jéj jeszcze po dworach wiejskich. Ale instynkt samozachowawczy będzie musiał w końcu zastąpić inne uczucia i zdziałać to, czego nie zdziałały dotychczas inne pobudki.

Druga uwaga jest w ścisłym związku z tém, co powiedziano wyżéj. Już Stanisław Szczepanowski, za co go krytykowano, i to ze strony demokratycznéj, powiedział, że społeczeństwo galicyjskie jest społeczeństwem włościańskiém. Im bardziéj szerzy się w kraju oświata, im silniéj rozwija się samowiedza ludu, tém prawdziwszemi stają się te słowa. Pamiętajmy, że w rękach drobnych właścicieli znajdują się w Galicyi prawie dwie trzecie części ogólnego obszaru, że ogół drobnych posiadłości dźwiga na sobie tylko szóstą część tych ciężarów hypotecznych, które mieszczą się na posiadłości większéj; pamiętajmy, że chłop galicyjski przepłaca ziemię, a mimo to wydobywa z niéj zdumiewającą rentę dzierżawną; pamiętajmy, że nawet przy tém, co się dzisiaj dla ludu robi, gospodarstwa włościańskie, do niedawna niezmiernie zaniedbane i pierwotne, mogą daleko większe poczynić postępy, niż bardziéj już udoskonalone gospodarstwa większe; pamiętajmy o nieuniknionéj parcelacyi wielu dóbr: a zrozumiemy, że włościanin może rzeczywiście odegrać w życiu politycznem Galicyi

niepospolitą rolę i na zdemokratyzowanie jego wpłynąć po swojemu, samą swą siłą liczebną.

Mówiąc o przyszłości włościan galicyjskich, nie można lekceważyć niezaprzeczonego rozwoju przemysłu domowego w różnych stronach kraju. Mimo wszelkich powątpiewań ze strony teoretyków, mimo współzawodnictwa zagranicznego przemysłu fabrycznego, mimo nader drobnych nieraz zarobków, przemysł ten krzewi się szybcéj, niż przewidywano. Wszelkie przeciwności równoważy ta jedna okoliczność, iż włościanin, nie mając w zimie żadnego innego zarobku, woli poprzestać na najmarniejszym dochodzie z rękodzieła, będącego ubocznem jego zajęciem, niż próżnować i oczekiwać w bezczynności pierwszego grosza, który mu dopiero wiosenna robocizna przyniesie. Szkoły zawodowe przysparzają przemysłowi domowemu pracowników; instytucye kredytowe dodają mu siły, spółki ułatwiają zbyt wyrobów. Z téj pomocy korzysta już dzisiaj: koronkarstwo, tkactwo, powroźnictwo, koszykarstwo, bednarstwo, kołodziejstwo, rzeźbiarstwo, kowalstwo, kłódkarstwo, garncarstwo, a niektóre gałęzie, jak naprzykład tkactwo w Krośnieńskiém, przybierają imponujące rozmiary. Idąc tą drogą, może Galicya, wbrew dogmatom, wyjętym z książek, stać się krajem rolniczo-przemysłowym, nie mając ani wielkich przemysłowców, ani ognisk fabrycznych, ani gęstych kominów, ani obcych przedsiębiorców, ani kapitalistów żądnych renty. Przemysł domowy nie zastąpi oczywiście nigdy przemysłu fabrycznego, ale taki, jakim będzie, da Galicyi to, czego od lat stu dwudziestu napróżno ona pragnie: pozwoli jéj zaopatrywać się w niektóre przynajmniéj potrzeby u siebie w domu, bez wywożenia pieniędzy za granicę.

Gdyby Galicya wytworzyła była przemysł fabryczny, zyskała-by ów upragniony stan średni; skoro atoli w wyroby przemysłowe zaopatrywać ją będzie włościanin, naturalném tego następstwem będzie wzmożenie się jego stanowiska w społeczeństwie. Dziś ma w swych rękach rolę, gdy w dodatku posiędzie dziesiątki tysięcy warsztatów, gdy na roli i na warsztacie zacznie pracować umiejętnie, będzie musiał wycisnąć piętno na całém życiu ekonomicznem i politycznem, jakie się wówczas u stóp Karpat roztoczy. W innych krajach, graniczących z Galicyą, mniejsza niż w Galicyi część ziemi jest w rękach chłopskich, włościanie stanowią mniejszy procent ludności, siłę ich równoważy wpływ mieszczaństwa. W krainie podkarpackiéj równowagi téj niéma, a wobec tego społeczeństwo, które już dziś ze względu na liczebny skład jest włościańskiém, może się kiedyś stać ludowém i demokratyczném, nie przez wpływ miast, ale przez znaczenie i siłę wsi.

Czyż-by tak miało być w istocie? Czyż-by tak zwany „kraj hrabiów“ miał się stać krajem chłopskim? Brzmi to tak dziwnie, iż doprawdy samo wskazanie téj możebności wygląda już na zuchwałą przepowiednię.

Pora powrotu do Warszawy kładzie kres wycieczce. Czas żegnać tych ludzi politykujących, kłócących się i narzekających nieustannie. Narzekanie i pesymizm to dwie bratnie nuty, które przygrywają tu podróżnemu od chwili, w któréj stanął na téj ziemi. Witały nas one na wstępie i słyszymy je przy pożegnaniu.

T. S.

O powstaniu dziesięciny swobodnéj*)

Studyum z dziejów prawa kościelnego w Polsce.

O dziesięcinie swobodnéj, jako instytucyi prawnéj, polegającéj na tém, że panującym i rycerstwu polskiemu przysługiwał przywiléj

*) Kwestya dziesięciny swobodnéj, oprócz Stenzla (Uebersicht der Arbeiten und Veränderungen der schlesischen Gesellschaft für vaterländische Kultur im J. 1841 Breslau, 1842 Beil. II, str. 144 i nast., tudzież w przedmowie do wydania Urkunden zur Geschichte der Bisthums Breslau im Mittelalter, Breslau 1845, str. XVIII i nast.), zajmował się szerzéj tylko Helcel w znakomitéj swéj rozprawie: „Badania w przedmiocie historyi dziesięcin kościelnych w Polsce, szczególniéj pod względem tak zwanéj dziesięciny swobodnéj i oddawanéj w gonitwę“ (Warszawa, 1863, Odb. z III T. Bibl. Warsz. z r. 1863), nie poruszając jednak bliżéj pytania, dotyczącego powstania téj instytucyi. Ogólnie tylko wyraził domysł, że książęta i szlachta oddawna przeznaczali dziesięcinę na uposażenie domów bożych i że właśnie te dyspozycye stoją zapewne w związku z ową późniejszą prerogatywą szlachecką. Podobnie Smolka („Polska w obec wybuchu wojen husyckich“ Ateneum z roku 1879, I, str. 50 i „Mieszko Stary“ str. 89), łączy powstanie dziesięciny swobodnéj z tém, że biskupi pozwalali fundatorom składać dziesięcinę na rzecz ufundowanych przez nich kościołów, i tak samo Gromnicki „Synody prowincyonalne“, Kraków 1885, str. 98. Na innem miejscu („Organizacya Kościoła w Polsce do połowy w. XII“, str. 247), wyraziliśmy przekonanie, że zdanie to nie zupełnie tylko da się utrzymać, że na powstanie dziesięciny swobodnéj działały, obok stosunków faktycznych także i pewne zasady prawne, które wymagają szerszego zbadania i uwzględnienia. Bliższe uzasadnienie i rozwinięcie wyrażonych tam myśli stanowić będzie właśnie przedmiot pracy niniejszéj.

uiszczania dziesięciny z gruntów dworskim pługiem uprawianych, dowolnie obranemu kościołowi lub zakładowi kościelnemu, wspominają już źródła z pierwszéj połowy wieku XIII, co wskazuje, że instytucya ta należy do najdawniejszych instytucyi prawa kościelnego w Polsce. Najstarszy obszerniejszy pomnik ustawodawstwa naszego kościoła, statuta synodu prowincyonalnego sieradzkiego z r. 1233, zajmują się również bliższém oznaczeniem przywileju dziesięciny swobodnéj i określają sposób jego powstania w słowach „... ecclesia Polonie sive per toleranciam sive per concessionem militibus Polonie permiserit solvere decimas ad ecclesias, quas elegerint“, które wskazują, że ów przywiléj wytworzył się już-to drogą zwyczaju, milcząco ze strony duchowieństwa tolerowanego, już-to drogą wyraźnego uznania. Nie wyjawiają nam, niestety, słowa te powodów, które skłoniły kościół polski do tak niezwykłego na owe czasy i dość daleko idącego ustępstwa: były one jednak zapewne dość doniosłe, skoro odstąpiono od ścisłych przepisów prawa kościelnego, warujących z naciskiem nienaruszalność praw poszczególnych kościołów do poboru dziesięcin z wyznaczonego okręgu. Dlatego trudno przypuścić, aby ustępstwo tego rodzaju mogło przyjść do skutku na drodze czysto pokojowéj; a skoro w ustawodawstwie kościoła naszego jest mowa o wyraźném z jego strony uznaniu tego wyjątkowego przywileju, to raczéj należało-by wnosić, że ów stan rzeczy był wypływem starcia sprzecznych ze sobą interesów, wobec którego zasady prawa kościelnego powszechnego nie mogły być w Polsce bezwarunkowo stosowane, lecz musiały uledz pewnéj modyfikacyi. I rzeczywiście, w czasie, w którym po raz pierwszy spotykamy w źródłach dziesięcinę swobodną, toczyły się już w Polsce o dziesięciny spory o dość ostrym charakterze, a w ich toku zarysowały się różnice zasad i poglądów, które dostarczyły sporo materyału do zatargów między duchowieństwem a stanem rycerskim na długie wieki, bo aż po koniec Rzeczypospolitéj. Czy walka o dziesięcinę swobodną miała rzeczywiście miejsce i czy poprzedziła owe spory z początku wieku XIII, lub czy uznanie tego przywileju było właśnie owych walk wynikiem, źródła dziejowe nie objaśniają; chcąc więc w téj mierze wytworzyć sobie pewien sąd uzasadniony, musimy najprzód zbadać, jak się instytucya dziesięcin w Polsce przez pierwsze dwa wieki po przyjęciu chrześciaństwa rozwijała, jak daleko sięgał wówczas wpływ stosunków, wytworzonych w sąsiedztwie Polski, tudzież wpływ prawa powszechnego kościelnego na stosunki nasze, gdyż dopiero na tém tle natura tych początkowych walk z powodu dziesięcin i ich następstw należycie uwydatnić się może.

I.

Dziesięcina na Zachodzie.

Początku dziesięcin w Polsce należy przedewszystkiém szukać we wpływach Zachodu, bo kościół nasz, będący częścią zachodniego, głównie w jego ustawodawstwie i w jego instytucyach mógł widzieć urzeczywistnienie swych celów.

Ustawodawstwo powszechne kościoła zachodniego o dziesięcinach rozwinęło się na tle stosunków, wytworzonych w monarchii frankońskiéj. Dziesięcina pierwotnie była tylko dobrowolnym datkiem, jaki chrześcianie na rzecz kościoła składali, dopiero synody prowincyonalne gallickie z VI wieku zmieniły, w myśl orzeczeń pisma św., ową dobrowolną ofiarę w obowiązek prawny, powszechny, którego zaniedbanie pociągało za sobą dotkliwe kary kościelne. Lecz przeprowadzenie tych zasad napotykało wielkie trudności i kościół jedynie tylko silnemu poparciu panujących frankońskich z końca VIII-go i IX-go wieku, a zwłaszcza Karolowi W., zawdzięczać może, że żądania jego zostały w państwie frankońskiém urzeczywistnione. Oprócz dziesięcin, które, w myśl prawa boskiego, kościołowi należéć się miały, posiadał kościół frankoński prawo do poboru dziesięcin także na podstawie innych tytułów prawnych, których źródło tkwiło w stosunkach, wytworzonych jeszcze w państwie rzymskiém, a w szczególności w t. z. stosunku kolonatu i wieczystéj dzierżawy, uzasadniających obowiązek do pewnych świadczeń w płodach naturalnych. Po zajęciu prowincyi rzymskich przez Franków, ludność, na któréj te świadczenia ciążyły, uiszczała je tak, jak dawniéj na rzecz skarbu cesarskiego, obecnie na rzecz panujących frankońskich, ci zaś bardzo często przenosili prawo do poboru tych świadczeń prawno-prywatnéj natury na rzecz kościoła. Nadto, w myśl zasad prawa rzymskiego, tak panujący, jak i kościół, osadzali rozlegle swe dobra kolonistami, obowiązanymi do świadczenia dziesiątéj części płodów, a wreszcie powód do powstania dziesięcin o prawno-prywatnym charakterze dała także frankońska z czasów Karolingów instytucya prekaryów, polegająca na tém, że dobra oddawano pewnym osobom w użytkowanie na pewien przeciąg czasu za opłatą pewnego czynszu, najczęściéj dziesięciny w naturaliach. W ten sposób postępował i kościół, oddając sam, lub skłoniany nakazem panującego, „per verbum regis“, swoje dobra jako prekarya osobom świeckim, a bardzo często zdarzało się, że świeccy właśnie te dobra tytułem prekaryum otrzymywali, które

przedtém kościołowi na własność odstąpili. Charakter jednak tych dziesięcin świeckich zacierał się coraz więcéj wobec dziesięciny kościelnéj, która w myśl przepisów Karola W. stała się opłatą, ciążącą na wszystkich [1]).

Karol W. starał się energicznie obowiązek ów wszędzie w swojém państwie utwierdzić, nie wyjmując ziem świeżo nawróconych Sasów, a chcąc dać przykład, który-by innych do przestrzegania dotyczących przepisów skłonił, poddał siebie i swoje dobra również temu obowiązkowi. W myśl przepisów o dziesięcinach, jak się one w państwie frankońskiém wytworzyły, należało uiszczać dziesięcinę do tego kościoła, do którego zobowiązany należał, który był jego „ecclesia baptismalis“ [2]), jednak rychło zwyczaj ówczesny zrobił w przepisach tych znaczny wyłom. W „Capitulare“ Karola W. de villis imper. z r. 812 c. 6, zyskały dobra królewskie przywiléj, że dziesięcina z nich miała być opłacaną nie kościołowi właściwemu, lecz kościołom, kaplicom lub oratoryom, w dobrach tych istniejącym [3]). Tę samą prerogatywę, która za sobą doniosłe pociągnęła następstwa, rozszerzył Ludwik Pobożny na wszystkie wsie nowo powstałe, postanawiając: „Sancitum est de villis novis et ecclesiis in eisdem noviter constructis, ut decimae in ipsis villis ad easdem ecclesias conferantur“ [4]). Ustawa ta stała się głównym powodem, dla którego późniéj dziesięciny kościelne w znacznéj części, zwłaszcza w Niemczech, dostały się w ręce świeckie. Wiadomo bowiem, że w owych czasach aż po koniec wieku XII, w myśl ówczesnych wyobrażeń prawnych o rozciągłości prawa własności, poczytywano kościoły, na gruntach osób prywatnych wybudowane, za przedmiot własności, i że wskutek tego, właściciel gruntu mógł tak kościołem samym, jak i wszystkiém, co do niego należało, dowolnie rozrządzać. Tem samém i dochody, które do pewnego kościoła były przywiązane, należały także do właściciela kościoła, a więc i dziesięciny musiały się również znaleźć we własności prywatnéj. Wobec tego, właściciele gruntowi, zakładając nowe osady, jeżeli w nich, co się zawsze prawie zdarzało, wybudowali kościół, mogli na własny użytek obracać płynące z tych osad dziesięciny, wy-

---

[1]) O początku dziesięcin zob. Birnbaum: „Die rechtliche Natur der Zehnten“, Bonn 1831, Loening: „Geschichte des deutschen Kirchenrechts“ T, II, Strassburg, 1878, str. 676 i nast., a głównie Hochgürtel: „Beiträge zur geschichtlichen Entwickelung der kirchlichen Zehnten in frankischen Reiche“ Bonn 1879.

[2]) „Capitulare Aquisgr.“ z r. 801 c. 23. (Collect. Ansegisi II, c. 34), „Mon. Ger.“ Legum Sectio II, Capitularia I, str. 422.

[3]) Ibid, str. 83.

[4]) „Capitulare ecclesiasticum“ 818. 819. c. 12. ibid. str. 277.

znaczając na rzecz duchownego, przez się przy takim kościele ustanowionego, tyle tylko, ile za stosowne uważali. Oczywiście, że sami przytém dziesięcin żadnych z gruntów, własnym pługiem uprawianych, nie uiszczali [1]). I obowiązek opłacania dziesięcin, ciążący w myśl ustaw Karola W. na dobrach panującego, poszedł rychło po śmierci Ludwika Pobożnego w zapomnienie, a wskutek tego i ci, którzy otrzymali dobra królewskie od dziesięciny wolne, uważali się tém samém za zwolnionych od tego ciężaru, i z kościołów, do tych dóbr należących lub przez się ufundowanych, sami dziesięcinę pobierali [2]). Nadto inne jeszcze fakta przyczyniły się, że znaczna część dziesięcin dostała się w ręce świeckie. Panujący bowiem i ich wasalowie, nadając nieruchomości, zobowiązywali niejednokrotnie otrzymującego je do uiszczania dziesięciny na swoją korzyść, kościelne dziesięciny zaś przechodziły na świeckich, bądź wskutek samowolnego ich zaboru przez adwokatów czyli wójtów kościołów, bądź nawet wskutek szczególnych umów. Wówczas, gdy kościoły były przedmiotem własności prywatnéj, i dziesięcina również nie posiadała wyłącznie charakteru rzeczy kościelnéj, a więc, tak samo jak kościoły, stanowiła przedmiot obiegu [3]).

Z tym rozwojem stosunków, który duchownych pozbawiał większéj części dochodów z dziesięcin, rozpoczął kościół we Frankonii, a następnie w Niemczech, systematyczną walkę. Począwszy od wieku IX, występują synody partykularne stanowczo przeciw zaborowi dziesięcin przez właścicieli kościołów i starają się prawo o dziesięcinach nowo założonych osad ograniczyć [4]).

---

[1]) Zob. Lamprecht: „Deutsches Wirtschaftsleben im Mittelalter“ T. I. Leipzig 1886, str. 118.

[2]) Hochgürtel l. c., str. 60.

[3]) Zob. Heusler: „Institutionen des deutschen Privatrechts“ I. Leipzig 1885, str. 338 i 351.

[4]) Conc. Ticinense z r. 855 w c. 11 uchwaliło „In sacris canonibus prefixum est ut decimae iuxta episcopi dispositionem distribuantur. Quidam autem laici qui vel in propriis vel in beneficiis suas habent basilicas contempta episcopi dispositione non ad ecclesias ubi baptismum et predicationem et manus impositionem, et alia Christi sacramenta percipiunt, decimas suas dant, sed vel propriis basilicis vel aliis ecclesiis pro suo libitu tribuunt, quod omnimodis divinae legi et sacris canonibus constat esse contrarium (c. 56. C. XVI. q. 1). Conc. Triburiense z r. 895 c. 14. „Placuit huic S. Concilio, ut secundum sanctiones canonum, decimae, sicut et aliae possessiones antiquis conserventur ecclesiis, sicut in Chalcedonensi concilio statutum est, capite XVII. Si quis autem in affinitate antiquae ecclesiae novalia rura excoluerit, decima exinde debita antiquae reddatur ecclesiae. Si vero in qualibet silva, vel deserto loco, ultra milliaria quatuor aut quinque, vel eo amplius, aliquot dirutum collaboraverit et illic consentiente episcopo ecclesiam construxerit et con-

Uchwały te zamieszczono następnie w rozpowszechnionych zbiorach prawa kościelnego, jak w zbiorze Reginona, Burcharda i Iwona z Chartres, aby w ten sposób pouczać kler o przysługujących mu prawach. Z drugiéj strony biskupi, w których rękach pierwotnie skupiały się dochody całego majątku dyecyzyalnego, starają się w końcu wieku XI o to, ażeby znowu dziesięciny z nowizn, powstałych nawet w obrębie dawnych okręgów dziesięcinnych, uiszczano na rzecz stołu biskupiego [1]). Powodem, dla którego walka pierwotnie około dziesięcin z nowizn się toczyła, były głównie względy ekonomiczne. Wskutek bowiem zaludniania pustkowi i powstawania nowych osad, dochody kościoła z dziesięcin, gdyby nie przechodziły w ręce inne, mogły-by się ciągle i to znacznie powiększać, tymczasem rozwój stosunków faktycznych i prawnych narażał kościół na utratę tego nowego a obfitego źródła dochodu. W walce téj, dotąd mało skutecznéj, w wieku XI wzięła udział i stolica apostolska, lecz postawiła ją zaraz na znacznie szerszém tle, zmieniając przytém charakter jéj dotychczasowy. Stolica apostolska w obszernym swym programie reform, dążących do emancypacyi kościoła, zmierzała również do tego, aby majątek kościelny wyzwolić z pod dotychczasowéj od stosunków świeckich zawisłości; a jak ustawy papieskie uderzały na „ius spolii“ i zasadę własności prywatnéj na kościołach, tak samo musiały występować i przeciw posiadaniu dziesięcin przez świeckich. Bez względu na początek dziesięcin i ich różnorodną istotę, oświadczyła stolica apostolska, że dziesięciny są opłatą czysto duchownéj natury i że wskutek tego nie mogą się znajdować w rękach świeckich. W myśl tych zasad, ustawodawstwo powszechne kościoła, począwszy od połowy wieku XI-go, zabraniało nietylko wszelkiego oddawania osobom świeckim dziesięcin, lecz nadto żądało, aby świeccy dziesięciny przez się posiadane, bez względu na ich początek i sposób nabycia, oddali do dyspozycyi biskupom. Stanowczą i wyraźną w téj mierze powziął uchwałę sobor lateraneński II z r. 1139, postanawiając w c. 10: „Decimas ecclesiarum, quas in usu pietatis concessa esse canonica demonstrat aucto-

---

secratam perpetraverit, prospiciat presbyterum ad servitium dei idoneum et studiosum et tunc demum novam decimam novae reddat ecclesiae, salva tamen potestate episcopi“ (Mansi Concil. Coll. T. XVIII, str. 140). Wreszcie domniemany synod w Koblencyi (Conc. Confluentinum) 922 w c. 5: „Si laici capellas proprias habuerint, a ratione et auctoritate alienum habeatur, ut ipsi decimas accipiant, et inde canes aut genitarias suas pascant, sed potius presbyteri ecclesiarum eas accipiant, et inde restaurationem exhibeant“. (Burchard, Decretum III c. 239).

[1]) Lamprecht l. c. str. 119 i nast.; zob. także Lacomblet w przedmowie do 2-go tomu wydania: „Urkundenbuch für die Geschichte des Niederrheins“ Düsseldorf, 1846, str. IX i nast.

ritas, a laicis possideri apostolica auctoritate prohibemus. Sive enim ab episcopis, vel regibus, vel quibuslibet personis eas acceperint, nisi ecclesiae reddiderint sciant se sacrilegii crimen committere et periculum aeterne damnationis incurrere"; tudzież sobor lateraneński III-ci w c. 14, w słowach „Prohibemus etiam ne laici decimas cum animarum suarum periculo detinentes, in alios laicos possint aliquo modo transferre. Si quis vero receperit et ecclesie non tradiderit christiana sepultura privetur" [1]), a stolica apostolska nieustannie wpływała na panujących, aby postanowienia owe prawa kościelnego poparli swą władzą. Lecz stan prawny, dawniéj wytworzony, okazał się silniejszym, aniżeli te, chociaż tak energiczne, usiłowania. Charakterystyczną w téj mierze odpowiedź dał cesarz Fryderyk I papieżowi Urbanowi III-mu, w przemowie swéj do zgromadzonych na sejmie w Gelnhausen r. 1186 [2]). „Compertum forte habetis, quantis adversitatibus impetor a domino papa, iniustum esse, aliquam laicam personam decimas possidere quas manifeste dominus his, qui altari deserviunt, deputaverit. Scimus autem decimas et oblationes sacerdotibus et levitis primitus deputatas. Sed cum tempore christianitatis ab adversariis infestarentur ecclesiae, easdem decimas praepotentes ab ecclesiis in beneficio stabili acceperunt, ut ipsi defensores ecclesiarum fierent, quas per se obtinere non valerent. Affirmat etiam iniustum esse, quod aliquis in prediis seu hominibus ecclesiarum advocatiam sibi usurpet, ut sicut ecclesiae de libera voluntate seu donatione imperatorum vel principum fundatae sunt, ita res ecclesiarum à praelatis tantum libere dispensentur. Et quamvis haec pro praelatis esse videantur, non tamen credo, quod ita facile mutari possint, quae ex longa antiquitate usus in consuetudinem vertit imo ipsa consuetudo a progenie in progeniem transcendens quasi iusta traditione roboravit". Cesarz nie bez słusznéj przyczyny uważał fakt posiadania dziesięcin przez osoby świeckie za stojący w związku ze stosunkiem adwokacyi, co znowu łączyło się ściśle z prawem własności na kościołach; a wiedząc, jak dalece stosunki te w poczuciu prawném ówczesnych były ugruntowane, nie mógł robić kościołowi nadziei skutecznego przeprowadzenia jego dążeń. Dlatego ustawą państwową Henryka VI-go z r. 1190 [3]) ograniczono zakaz pozbywania dziesięcin,

[1]) Mansi. Concil. Collect. T. XXI, str. 528 i T. XXII, str. 226.

[2]) Arnoldus Lubec. Chronic. Slav. L. III, c. 19. Mon. Ger. SS. XXI, str. 160 i 161.

[3]) Sententia Heinrici Imper. de decimis non alienandis:... „quod scilicet non liceret alicui episcopo decimam quamcumque, cuius usus suis temporibus non contigisset provenire per infeodacionem sive vendicionem, aut per aliam quemcumque alienationis modum, ab ecclesia sua nullatenus alienare". Mon. Germ. LL. II., str. 180.

tylko do dziesięciny z nowizn, a i ze strony kościoła złagodzono owe przepisy soborów o tyle, że dziesięciny, od dawna w rękach świeckich pozostające, mogły i nadal przy nich pozostać, byle ich znowu na rzecz innych osób świeckich nie przenoszono, natomiast dziesięciny z osad nowo powstałych wyłącznie na rzecz kościoła przypaść miały [1]).

W tém stadyum rozwoju znajdowały się stosunki, dotyczące dziesięcin w Niemczech, a więc w najbliższém sąsiedztwie Polski, gdy w źródłach naszych pojawiają się po raz pierwszy ślady zatargów o dziesięciny, a wraz z niemi ślady istnienia dziesięciny swobodnéj.

II.

Zaprowadzenie dziesięcin w Polsce.

Wprowadzenie dziesięcin w ziemiach świeżo dla chrześciaństwa zdobytych napotykało z reguły zwykle dość wielkie trudności. W Niemczech, naprzód Sasi długo wprowadzeniu tego ciężaru się opierali, zanim Karolowi W. powiodło się ich ugiąć, a i późniéj znacznie, bo w drugiéj połowie wieku XI, toczyła się o to samo długa i krwawa walka w Turyngii, którą arcybiskupi mogunccy obowiązkowi opłacania dziesięcin poddać chcieli [2]). W państwach skandynawskich również bardzo powoli przepisy kościoła o dziesięcinach torowały sobie drogę. W Danii, król Kanut św. przypłacił w r. 1086 życiem usiłowanie zaprowadzenia dziesięcin [3]), a Norwegia i Szwecya dopiero w połowie wieku XII obowiązek opłacania dziesięcin przyjęły [4]). W krajach, ziemiom Polskim bliższych, jak w Czechach i Węgrzech, wprowadzono dziesięcinę z chwilą ustalenia organizacyi kościelnéj, i to za pomocą ustaw państwowych, które dostarczyły poparcia odpowiednim ustawom kościoła krajowego [5]). I co do Polski,

[1]) C. 25 X de decim. (III 30). Innoc. III r. 1199, ustęp ten zarazem wypowiada zasadę, że cesarzowi nie wolno kogo kolwiek od płacenia dziesięcin uwalniać.

[2]) Lamberti Hersfeldensis Annales pod r. 1069, 1073, 1074 i 1075, Mon. Germ. SS. V.

[3]) Saxo Grammaticus: „Gesta Danorum“ Lib. XI (ed. Holder, Strasburg 1886, str. 388 i nast.).

[4]) Zob. K. Maurer: „Ueber den Hauptzehnt einiger nordgermanischer Rechte“ München 1873 (Abhandlungen d. Philosoph. philolog. Classe d. Kön. bayer. Akademie d. Wiss. B. XIII, Abth. 2).

[5]) Co do Czech, zob. ustawę ks. Bolesława II z r. 992, którą tenże „decimas congregandi licentiam dedit“ (Cod. iur. boh. I nr. 6) i Cosmas Chron. I, c. 40 ad an.

analogicznie należało-by się domniemywać, że dziesięcina dopiero z chwilą zorganizowania prowincyi metropolitalnéj gnieźnieńskiéj, a więc około r. 1000, zaprowadzoną została; nie posiadamy jednak w źródłach żadnych danych, które-by za tém lub przeciwném zdaniem przemawiać mogły. Nie wiadomo także, o ile pierwotny stan rzeczy, istniejący przed reakcyą pogańską, która po śmierci Mieszka II zniszczyła organizacyę kościelną, i później po restauracyi nadal się utrzymał, trudno więc jakiekolwiek w tym względzie podnosić domysły. Jedyném źródłem, które, acz skąpe, przecież jednak pewne rzuca światło na stosunki pierwotne, dotyczące dziesięcin, jest przywiléj protekcyjny papieża Innocentego II z r. 1136 dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, wyliczający dochody stolicy metropolitalnéj [1]). Dokument ten, oprócz rozlicznych włości i ludności nieswobodnéj, do kościoła katedralnego gnieźnieńskiego należącéj, wymienia także cały szereg grodów książęcych, położonych w granicach dyecezyi, z których na rzecz arcybiskupstwa miały być opłacane dziesięciny pełne, „decimationes plenarie“, i to z 3 grodów „decimationes annone, mellis et ferri, tabernarum, placitorum, pellicularum mardurinarum et vulpinarium, porcorum i thelonei, a z 8 innych takież same, z wyjątkiem dziesięciny „porcorum“, lecz z dodatkiem dziesięciny „de foris“. Z ustępów tych przedewszystkiém wnosić należy, że prawo arcybiskupstwa do poboru pewnych dziesięcin polegało na nadaniu panującego, że od jego woli zależało obowiązek ów na większą lub mniejszą ilość źródeł dochodu rozszerzyć, skoro w obrębie jednéj dyecezyi różną była rozciągłość prawa do dziesięciny w różnych grodach, i wreszcie, że obowiązek opłacania dziesięciny ciążył tylko na pewnych dochodach książęcych, pochodzących z danin lub opłat, składanych do grodu książęcego. Wszystkie bowiem w dokumencie tym wymienione źródła dochodu, z których stolica metropolitalna pobierała dziesięcinę, należą do rozmaitych kategoryi danin lub dochodów książęcych, jak myto, opłaty targowe i sądowe, danina w miodzie lub w pewnych gatunkach zwierząt domowych uiszczana, dochód z kopalni żelaza, które należały do regale panującego, a wreszcie dochody z danin, opłacanych w skórach pewnych zwierząt dzikich, tudzież dochody z karczem. Jedna może tylko dziesięcina zbożowa inny mogła-by posiadać charakter, lecz ponieważ w Polsce ówczesnéj istniała również danina zbożowa, „sep“, po łacinie „annona“ zwana, przeto nie możemy i jéj jako odrę-

---

1023, nadto Jireczek: „Das Recht in Böhmen und Mähren“, Prag. 1886 I, str. 89 i II str. 185, a co do Węgier, Krajner: „Die ursprüngliche Staatsverfassung Ungarns“, Wien 1872, str. 242 i nast.

[1]) Kod. dypl. Wielkop. I, nr. 7.

bnéj kategoryi dziesięciny wyróżniać. Że zaprowadzenie dziesięciny w Polsce polegało na nadaniu książęcém, świadczą nadto i inne dokumenta [1]), tudzież analogia ze stosunkami, w sąsiedztwie Polski istniejącemi, czy to u Słowian połabskich, czy w Czechach lub Węgrzech; trudniéj natomiast udowodnić drugą część powyższéj hypotezy, t. j. że dziesięcina pierwotnie tylko z dochodów książęcych była uiszczaną. Analogii w téj mierze na zachodzie bliższéj nie spotykamy. Wprawdzie cesarz Otto I, fundując biskupstwa na ziemi słowiańskiéj, przeznaczał na ich rzecz dziesięcinę trybutu, przez podbitych Słowian cesarzowi opłacanego, lecz dziesięcina ta, jako dziesiąta część trybutu ludów podbitych, inny posiada charakter, aniżeli wymieniona w akcie dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z r. 1136, a nadto w dyecezyach owych, obok dziesięciny trybutu, istniała także dziesięcina, na mocy zarządzeń Ottona wprost na ludność nałożona [2]). W Czechach i na Węgrzech, o ile ze źródeł wnosić możemy, dziesięcina również na całéj ludności ciążyła. Jedynie tylko na Wschodzie, w ziemiach ruskich, odmienne spotykamy stosunki. Najdawniejsze źródła dziejowe Rusi, wspominając o dziesięcinie, jedną tylko znają jéj formę i to właśnie dziesięcinę z dochodów książęcych; taką dziesięcinę ustanowił Włodzimierz W. na rzecz cerkwi Bogarodzicy w Kijowie, z mienia swego i „z grodów swoich“; podobną płacił książę Jaropełk „ze

[1]) W akcie z r. 1155 (Kod. dypl. Wielkop. I nr. 3), uposaża Bolesław Kędzierzawy klasztor św. Jana Ewang. w Mogilnie podobnie dziewięciną z dochodów książęcych, a w akcie z r. 1175 dla klasztoru w Lubiążu wyraża się książę szląski Bolesław Wysoki: „Insuper *ego* et episcopus Wrezlawensis Cirrizlaus dotavimus ecclesiam Lubensem decimis omnibus de novis villis, que nunc sunt in potestate Legenicensi et de illis, que deinceps in ea in omni temporum successu constituentur“ (Schirrmacher: „Urkundenbuch der Stadt Liegnitz“ nr. 2).

[2]) W akcie fundacyjnym biskupstwa hawelberskiego z r. 946, nadaje Otto biskupstwu „decimam tributi, quod nobis solvitur de Radewer, decimam etiam tributi, que nobis debetur de inferiori marca. Preterea determinavimus prenominate sedis parochie decimas istarum provinciarum...“ (Mon. Germ. Diplomata I nr. 75, str. 156). W akcie dla biskupstwa brandenburskiego z r. 948: „Omnem itaque supradictarum dicimationem provintiarum predicte tradentes ecclesie, excepta civitatum subtus nominatarum, quam ad usum monachorum in monasterio Magadaborg... donavimus“ (ibid nr. 105, str. 189); wreszcie w akcie dla katedry miśnijskiéj z r. 971 zastała zamieszczoną między nadaniami cesarza „tributi pars decima, quod in quinque provinciis, hoc est Dalaminza, Nisane, Dieuesa, et Milzsane et Lusiza, quicquid ad nostram imperialem utilitatem pertinere videtur, ut antea quam comes earundem regionum partem sibi a nobis concessam auferat atque distribuat, decimas per totum et per integrum iam dicte S. Dei ecclesie persolvat, id est, in melle crusina, solutione argenti, mancipiis, vestimentis, porcis, frumento, et ut in quirendis rebus, quod vulgo uberchonfunga vocatur, oblivioni admonemus ut non tradatur“ (ibid. nr. 406, str. 553).

wszystkiego bydła swego i ze zboża“, a wiadomo, że prawo do poboru takiéj dziesięciny książęcéj posiadały także cerkwie soborne św. Zofii w Kijowie i w Nowogrodzie, tudzież cerkiew w Wyszgorodzie [1]). Czy na Polskę ówczesną działały w tym kierunku wpływy stosunków na Rusi, udowodnić nie można [2]), w każdym jednak razie owa analogia pośrednio przynajmniéj może hypotezę naszą poprzéć. Lecz wobec tego nasunąć się musi pytanie: czy obok dziesięciny, którą panujący w Polsce z części swych dochodów opłacał, istniała także i inna dziesięcina, wprost na ludności ciążąca? Przywiléj z r. 1136, ani też inne źródła, które-by mogły obejmować wskazówki, odnoszące się do stosunków polskich w wieku XI, o takiéj podwójnéj dziesięcinie nie wspominają wcale, więc témbardziéj był-by możliwym wniosek, że pierwotnie nasz kościół, oprócz dziesięciny, z pewnych grodów książęcych pobieranéj, żadnéj innéj nie posiadał, że więc panujący na utrzymanie duchowieństwa, tak samo jak na utrzymanie swych urzędników lub rycerstwa, część swoich dochodów wydzielał [3]). Uzupełnienie zaś

---

[1]) Kronika Nestora pod r. 6504, 6545 i 6595 (Mon. Pol. I. str. 670, 701 i 756). Zob. nadto Makarij: „Istoria russkoj Cerkwi“ T. I (St. Petersburg 1868), str. 190—195 i Gołubiński „Istoria ruskoj Cerkwi“. T. I. Moskwa 1880, str. 421 i nast.

[2]) W stosunkach, dotyczących dziesięcin między Polską a Rusią, inna jeszcze zachodzi analogia, a to mianowicie co do jednego rodzaju dziesięciny książęcéj, t. j. dziesięciny z opłat targowych. Wedle ustaw bowiem Włodzimierza W., które jakkolwiek może od niego nie pochodzą, to w każdym razie do pierwszych wieków chrześciaństwa na Rusi odnieść się dadzą, znajdujemy między dziesięcinami, przeznaczonemi dla cerkwi dziesięcinnéj Bogarodzicy w Kijowie, dochód z targów co dziesiątą niedzielę (Makarij l. c, str. 193). Ten sam rodzaj dziesięciny wymienia także przywiléj z r. 1136 dla Gniezna „decimationes... per omnes transitus de theloneo et *decimali ebdomada*“; podobnie przywiléj protekcyjny dla klasztoru w Czerwińsku z r. 1155 (Cod. dipl. Pol. I nr. 3) „decimum et nonum forum“. Tak bliskiéj analogii w tym właśnie względzie w źródłach dziejowych Zachodu nie znajdujemy, chociaż spotkać można tu i owdzie w aktach zwroty, podobne trochę do wyżéj wymienionych, np. w akcie fundacyjnym ks. czeskiego Wratysława dla klasztoru w Opatowcu z r. 1086 (Erben.: „Regesta Bohemiae“ I nr. 166), w którym między nadaniami wyliczono „per omnes civitates Moraviae nonum forum et nona septima“.

[3]) Podobny zdaje się ustęp o dziesięcinie książęcéj z grodów, jak w akcie dla arcybiskupstwa gnieznieńskiego, znajdował się także w dokumencie, który służył za podstawę dla przywileju protekcyjnego biskupstwa Wrocławskiego z r. 1155. I w tym przywileju znajdujemy wymieniony szereg grodów książęcych, przy czém jednak nie oznaczono wyraźnie, jakie wobec nich prawa biskupowi przysługiwać miały, a ze stylizacyi można-by się nawet spodziewać, że stanowiły dotacyę biskupstwa.

owéj dotacyi dla kleru, stanowiły dochody z włości, kościołowi przez księcia nadanych, tudzież z opłat uiszczanych przez ludność z powodu pełnienia na jéj rzecz pewnych funkcyi duchowych [1]).

Lecz te stosunki majątkowe kościoła rychło znacznym uległy zmianom, skoro już w pierwszéj połowie wieku XII, zamiast saméj dziesięciny książęcéj, spotykamy dziesięcinę, jako obowiązek ogólny, wprost na ludności ciążącą i przez nią opłacaną, podczas gdy dawna dziesięcina książęca tylko w niektórych kierunkach się utrzymała. Ów zmieniony stan rzeczy maluje w sposób charakterystyczny przywiléj protekcyjny z r. 1148 (Cod. dypl. Pol. II nr. 1) dla biskupstwa włocławskiego, które dopiero w czasach Bolesława Krzywoustego, i to w drugiéj jego rządów połowie, powstało. Między dochodami biskupstwa z dziesięcin w dyecezyi wymieniono tylko „decimam partem de moneta et de iudiciis totius episcopatus“, a obok tego dziesięcinę grodu Łagowskiego, tudzież z Gdańska dziesięcinę „annone“ i „omnium eorum que de novibus solvuntur“. A więc przywiléj ów wspomina także tylko o saméj dziesięcinie książęcéj, i to w znacznie szczuplejszym zakresie, aniżeli przywiléj dla Gniezna z r. 1136, nie wymienia bowiem nawet tak ważnéj kategoryi dziesięciny, jak dzie-

---

pstwa, co z prawdą było-by zupełnie niezgodne. Być może, że stosunki faktyczne domagały się wypuszczenia ustępu o dziesięcinie książęcéj z tych grodów z aktu, służącego za podstawę bulli protekcyjnéj, i dlatego bulla zastąpiła go innym, dość ogólném lecz niejasném wyrażeniem. Dopiero ponowny przywiléj protekcyjny z r. 1245, przez papieża Innocentego IV wydany, wyraził się jaśniéj, że w grodach tych przysługuje biskupowi Wrocławskiemu „ius episcopale“. (Por. Kod. d. Wp. I nr. 586 i Häusler: „Urkundensammlung z. Geschichte d. Fürstenthums Oels“, Breslau 1883, nr. 46).

[1]) Do opłat tych należały, oprócz t. z. przysiężnego, tudzież opłaty za assystencyę przy sądach bożych, również opłaty, uiszczane przy pewnych aktach religijnych, jak np. ślubach, pogrzebach i t. p. Opłaty takie pobierali niektórzy biskupi i przy chrztach dzieci, było to jednak nadużycie, surowo w początku wieku XIII karcone (zob. Kod. d. Wielkp. I nr. 102). Dawnych także czasów sięga opłata, zwana kolędą „columbatio“, którą pobierał pleban przy wizytacyi swoich parafian w czasie między Bożém Narodzeniem a Świętem Oczyszczenia P. Maryi. Przeciw pobieraniu kolędy, tudzież „iura stolae“, jako obowiązkowych opłat, występują energicznie: statuta synodalne dyecezyi krakowskiéj z r. 1320 i 1339 (Star. Prawa pol. pomn. T. IV, str. 21 i 39), ordynacya Bodzanty w sprawie dziesięcin (Bandtkie Jus Polon., str. 166), tudzież umowa między Kazimierzem W., a arcybiskupem Jarosławem z r. 1360 (Kod. d. Wielkp. nr. 1416). Obok dochodu z dóbr kościelnych stanowiły „iura stolae“ główną część utrzymania duchownego w krajach, gdzie dziesięcina jeszcze nie była zaprowadzoną. W Norwegii spotykamy fakt ciekawy, że, wskutek zaprowadzenia dziesięcin, ludność od uiszczania niektórych kategoryi opłat, np. opłaty pogrzebowéj czyli kupna grobu (legkaup), została zwolnioną (zob. Maurer: „Ueber den Hauptzehnt“, l. c. str. 230).

sięcina „annone“ z całéj dyecezyi. Sądzimy więc, że kiedy przyszedł do skutku przywiléj, obejmujący dotacyę arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, na którym się bulla protekcyjna z r. 1136 oparła, dziesięcinę ze zboża, stanowiącą najważniejsze źródło dochodów, uiszczały tylko grody książęce z dochodów panującego, w czasie zaś, kiedy założono biskupstwo włocławskie, dziesięcinę tę opłacała już sama ludność wedle przepisów kościoła, i dlatego powyższy akt z r. 1148 o niéj nie wspomina. Tylko z zajętéj ziemi pomorskiéj, należącéj do grodu Gdańska, miała być, zapewne wedle postanowienia Krzywoustego, uiszczana „decima annone“, bo tam jeszcze wówczas nie można jéj może było wprost na ludność, niedawno dopiero podbitą i nawróconą, nałożyć [1]).

Jaką drogą i w jaki sposób odbyła się ta przemiana dziesięciny książęcéj na dziesięcinę wprost przez ludność opłacaną, niewiadomo. Nie ulega wątpliwości, że musiały ją wywołać bliżéj nam nieznane zmiany stosunków społecznych i ekonomicznych; lecz czy owa przemiana dziesięcin dokonała się wskutek ustawodawstwa książęcego, czy kościelnego, czy obu razem, lub wreszcie samą siłą faktów, rozstrzygnąć trudno. Prawdopodobnie zaprowadził kościół obowiązek dziesięciny naprzód wobec ludności, we własnych dobrach osadzonéj, a następnie starał się mu poddać osadników coraz to liczniejszych włości rycerstwa; dla księcia zaś bezwarunkowo korzystniejszą była dziesięcina, że ją tak nazwiemy, bezpośrednia, bo uwalniała dochody grodów od nałożonego przy fundacyi biskupstw ciężaru. Że te wnioski, dotyczące pierwotnéj formy dziesięciny w Polsce, nie są zbyt śmiałe i nieuzasadnione, świadczyć mogą także dzieje świętopietrza u nas. Było ono bowiem pierwotnie również czynszem czy trybutem, przez panującego stolicy apostolskiéj opłacanym [2]), lecz zmieniło się z czasem w podatek, wprost na ludności ciążący.

Na jakich źródłach dochodu ciążyła dziesięcina w Polsce wieku XII-go, także niewiadomo, lecz skoro kraj był przeważnie rolniczym, należało-by się spodziewać, że przedewszystkiém przychód z ziemi obowiązkowi dziesięciny podlegał. I rzeczywiście, wniosek ten popierają źródła późniejsze, bo ani dziesięciny t. z. osobistéj, z dochodów, z han-

---

[1]) O téj opozycyi Pomorzan przeciw wprowadzeniu dziesięcin opowiada również kronika Wincentego ks. III, c. 10 (Mon. Pol. II, str. 336), lecz odnosi ją do czasów wcześniejszych. I później jednak na Pomorzu nałożenie dziesięciny na ludność szło bardzo opornie, a biskup włocławski musiał wreszcie za pewną ilość wsi, uzyskanych od ks. Sambora, zrzec się dziesięciny z ziem pomorskich, do jego dyecezyi należących (Cod. dipl. Pol. II nr. 29 i 30).

[2]) Zob. List św. Brunona do cesarza Henryka II z r. 1008 (Mon. Pol. I, str. 227), tudzież Kronikę Thietmara ks. VI c. 56 (ibid. 292).

dlu lub przemysłu uiszczanéj, nie znają, ani też o szerszym obowiązku opłacania dziesięciny ze żwierząt domowych nie wspominają. Dziesięcina, którą źródła nasze z początków wieku XIII-go wymieniają, była dziesięciną gruntową, z płodów roli uiszczaną, i to snopową czyli wytyczą, „decima manipularis“, polegającą na tém, że przy wiązaniu snopów na polu oddzielano co dziesiąty snop kościołowi, a nie oddawano jéj w ziarnie. Ten sposób opłacania dziesięcin, kościołowi polskiemu właściwy, był dość odmiennym od sposobów, przyjętych w sąsiedztwie Polski. Na Węgrzech, zdaje się od chwili wprowadzenia, istniała dziesięcina osepowa [1]), podobnie na Pomorzu [2]). Natomiast w niektórych okolicach Niemiec, jak np. w Westfalii, spotykamy dziesięcinę snopową, a Słowianie, zamieszkali w prowincyi kościelnéj magdeburskiéj, opłacali również snopową, lecz w wysokości, z góry raz na zawsze oznaczonéj [3]). W Czechach wreszcie dziesięcina pierwotna, wprowadzona za pierwszego biskupa praskiego, Detmara, była także snopową, lecz dość rychło, bo za czasów trzeciego jego następcy, Ekharda, zmarłego w r. 1023, zmieniono ją na osepową [4]). Helmold podaje, że i w Polsce w wieku XII istniała powszechnie dziesięcina osepowa i pieniężna, a książę saski, Henryk Lew, nakładając obowiązek dziesięciny na Słowian, podległych biskupstwom meklemburskim, nakazał, aby opłacali dziesięcinę w ten sposób, jak ją płacą Pomorzanie i Polacy, t. j. trzy korce żyta i 12 pieniążków od każdéj włóki [5]).

---

[1]) Tego sposobu spłacania należy się domniemywać w ustawach św. Władysława z r. 1092 c. 41 i Beli III z r. 1191 c. 10 dla ludności katedry Pięciu Kościołów wydanych, tudzież z ustawy pierwszego synodu ostrzychomskiego z czasów króla Kolomana c. 61. (Zob. Endlicher: „Rerum Hungaricarum Monumenta Arpadiana“, Sangalli 1849, str. 333, 395 i 357).

[2]) Bulla erekcyjna dla biskupstwa Pomorskiego, w r. 1140 wydana, określiła obowiązek opłacania dziesięciny w ten sposób, że należało opłacać „de unoquoque arante duas mensuras annone et quinque denarios“ (Mon. Pol. II, str. 20).

[3]) Akt arcybiskupa magdeburskiego Fryderyka z r. 1147, dotyczący właśnie dziesięcin, należących do klasztoru Gottesgnaden, wyraża się: „Haec vero praenominata villa, quia sicut aliae circum adjacentes antiquorum Slavorum more ad ecclesiam Cuino unam sexagenam, quod in teutonico sonat Schock pro decima dare solebat“ (Codex dipl. Anhaltinus ed. Heinemann, c. 1, str. 251, nr. 335).

[4]) Kronika Cosmasa pod r. 1023 (I c. 40) „Hic (Occardus) constituit, ut pro decimatione unusquisque, sive potens, sive dives, sive pauper, tantum qui de suo pheodo vel allodio araturam haberet, duos modios quinque palmarum et duorum digitorum, unum tritici et alterum avenae, episcopo solveret. Nam ante, sicut primo episcopo Dethmaro constitutum erat, pro decimatione duos messis acervos dabant. Dicimus enim acervum quinquaginta manipulos habentem“.

[5]) Helmold, Chron. Star. ks. I, c. 87. „Et praecepit dux Sclavis, qui remanserant in terra Wagirorum, Polaborum, Obotritorum, Kicinorum, ut solverent reditus episcopales, qui solvuntur apud Polonos atque Pomeranos, hoc est de aratro tres modios siliginis et duodecim nummos monete publice“. (Mon. Ger. SS. T. XXI, str. 81).

Prawdopodobnie więc w Polsce w wieku XII dziesięcina snopowa powszechną nie była, może tylko kościół we własnych posiadłościach ją wprowadzał, podczas gdy ludność, innym panom podległa, uiszczała ją, albo w ziarnie, albo w płodach, w których opłacano daninę książęcą. Dlatego też, jeszcze w pierwszéj połowie wieku XIII, w wielu miejscowościach na Szląsku, uiszczano dziesięcinę w miodzie lub w skórkach zwierzęcych [1]), a podobnie i na Mazowszu. W téj właśnie dzielnicy obowiązek opłacania dziesięciny snopowéj przypomniała i zaostrzyła ustawa ks. Konrada, wydana w r. 1232 wskutek żądań duchowieństwa [2]), podczas gdy na Szląsku wcześniéj już przemieniono tu i owdzie, na mocy zarządzenia książęcego, dziesięcinę taką na zbożową [3]).

Tak więc i w kierunku sposobu opłacania dziesięcin zaszły w Polsce w ciągu dwóch pierwszych wieków chrześciaństwa doniosłe zmiany, a te dzieje dziesięcin każą się domyślać szeregu zmian społecznych i ekonomicznych, które w ciągu dwuwiekowego życia politycznego narodu zajść musiały.

---

[1]) W ugodzie z r. 1227 w sporze o dziesięciny między biskupem wrocławskim Wawrzyńcem, a księciem Henrykiem I, określono między innemi obowiązek opłacania dziesięciny w pewnych miejscowościach w sposób następujący: „De Bytom nomine decime ab hominibus ducis mel solvetur sicut hucusque, liberi vero et iudei, ubicunque in dicta Bytomiensi castellatura araverint, decimam solvent ex integro. De Zagan et Bolezlauech nomine decime, melle etiam contenta erit ecclesia; de Wlen cuticulis asperiolinis“ (Stenzel: Urkunden z Gesch. d. Bisth. Breslau nr. 2, str. 4).

[2]) „Inde est quod ego (Konrad) considerans in ducatu meo episcopatum Mazovie grandem pati iniuriam et iacturam in decimis, quibus Buzani et alii fraudabant eundem episcopatum, solventes V speriolos de aratro pro decima manipulata contra ius ecclesie et contra consuetudinem prouincie Mazouie, et volens abolere hanc prauitatem contrariam Deo et nostris animabus, habito consilio cum meis baronibus communi, consensu in colloquio laudauimus et statuimus, ut omnes amplius plebei in ducatu meo communi modo solverent decimas manipulatas et etiam honorati viri, si alienas hereditates arent“ (Kętrzyński, 30 dokumentów katedry Płockiéj, nr. 2). Ustawę tę zatwierdził Papież Grzegorz IX bullą z r. 1232, wyrażając się, że ks. Konrad „statuit ut in tota Mazouiensi tam circa Bug quam alias soluantur manipulate decime ubi hactenus, consueverunt solvere cunas uel asperiolos pro decimis“ (Kod. dypl. Mazow. nr. 9). Owe skórki zwierzęce zastępowały zapewne pieniądze, których w Polsce niewiele było, i dlatego sądzimy, że opowiadanie Helmolda o opłacaniu w Polsce dziesięciny w pieniądzach na nieporozumieniu polega.

[3]) W dokumencie z r. 1217, w którym biskup wrocławski, Wawrzyniec, przekazał pewne dziesięciny kościołowi w Bystrzycy, zamieszczono wzmiankę, że książę dziesięcinę tę, która dotąd była opłacaną w skórkach wiewiórczych, zmienił na zbożową. (Zob. Grünhagen, Regesten z Schles. Gesch. nr. 191).

III.

Uwolnienia od obowiązku opłacania dziesięciny.

Pewne poparcie przypuszczenia, że w Polsce pierwotnie istniała tylko dziesięcina książęca, która dopiero z czasem na dziesięcinę bezpośrednio przez ludność opłacaną przemienioną została, stanowi również okoliczność, że przez pewien przeciąg czasu, zanim kościół wszystkich zdołał poddać obowiązkowi dziesięciny, pewne grupy ludności dziesięciny wcale nie uiszczały. O fakcie tym dowiadujemy się z ugody z r. 1227, dotyczącéj sporów o dziesięciny między ks. Henrykiem I a biskupem wrocławskim Wawrzyńcem, czytamy tam bowiem: „Cum enim ex abusu prave consuetudinis *et antiquate* quidam homines, vulgariter appellati Smardones, Lazaky, Strozones, Popraznici aratores, decimas non solverent, prefatus dux ad plenam solutionem decimarum pro bono pacis ipsos astrinxit potestate principatus“ [1]). O to, że ludność owa dziesięcin nie płaciła, toczyły się już dawniéj spory między księciem a biskupami, lecz je wtedy zagodzono w ten sposób, że biskupi za pewne włości, przez księcia nadane, zrzekli się prawa żądania od tych ludzi dziesięcin[2]). Gdyby bliżéj było znane stanowisko społeczne téj właśnie wolnéj od dziesięcin ludności, lub gdyby było wiadomo, czém się ludność ta trudniła, łatwiej-by było ocenić, dlaczego z dawien dawna dziesięcin nie uiszczała. Jedynie tylko co do kategoryi nazwanéj Strozones, która to nazwa oznacza ludność, zajętą stróżą zamków, można się domyślać, że dla swych obowiązków od ciężaru dziesięciny była zwolnioną, a opierając się na tym wniosku, można-by przypuszczać daléj, że ludność, która na rzecz państwa ponosiła ciężary osobiste, a wobec tego innych panującemu nie uiszczała danin, musiała być zarazem wolną i od dziesięciny, która ciążyła pierwotnie na dochodach panującego, pochodzących właśnie z danin.

Wolném również od opłacania dziesięcin było rycerstwo, początkowo dlatego, że, skupione po grodach i utrzymywane, tak jak duchowieństwo, kosztem księcia,[3]) nie miało z czego uiszczać dziesięciny,

---

[1]) Stenzel: „Urkunden z. Gesch. d. Bisth. Breslau“, Nr. 2.

[2]) ibid Nr. 1.

[3]) Wedle Al.-Bekrego Mieszko I dawał rycerstwu swemu „odzienie, i konie, i oręż, i wszystko im potrzebne. A kiedy się rodzi dziecko u kogokolwiek z nich, to on natychmiast po urodzeniu się dziecięcia naznacza mu utrzymanie, czy dziecko jest męskiego czy żeńskiego rodzaju. A gdy ono dosięgnie pełnoletności, to je żeni,

później zaś, kiedy się znalazło w posiadaniu ziemi, nie uiszczało jéj dlatego, że samo dziesięcinami zawładnęło, tudzież dla innych przyczyn prawnych, dla których grunta nowouprawne dziesięcinie nie podlegały. Co się tyczy pierwszéj kwestyi, spotykamy w Polsce wieku XII te same niemal stosunki, jakie podówczas na Zachodzie panowały, t. j, że dziesięcina w znacznéj części przeszła w ręce świeckie. I tak: pod r. 1198 w akcie uposażenia Klasztoru Miechowskiego zamieszczono ustęp „dominus Michora dedit nobis super Rabbam villam que dicitur Quelme *cum ecclesia et decimis*“ „Voyslaus frater domini Getheonis episcopi in Vroczlaviensi prouincia dedit duas villas, que decambite fuerant ab episcopo Vroczlaviensi pro villa que dicitur Groscouic et pro Sclauono *et eorum decimis*“[1]), a w r. 1206 książę szląski, Henryk, zamienia z klasztorem św. Wincentego we Wrocławiu swoją wieś Psie pole za Olawę i wyraża się przy tém w akcie dotyczącym: „Ego autem pro predicto predio recepi Olauam cum duabus ecclesiis *et decimatione*, et omnibus prouentibus, qui in circuitione prenominata continentur, preter decimas extra circuitum constitutas,“[2]) a podobnie oświadcza ten sam książę w dokumencie dla klasztoru trzebnickiego z r. 1208 „tertiam eiusdem ville partem cum decima a monachis de Lubens conferens eis per commutationem Stucechovo.... commutavi.... Rozerovo cum decima a congregatione S. Marie in Vratislav commutavi, dans eis ad Tinich partem de Milino.... dedi et aliam partem de eodem Zulizlauic cum decima“[3]). Wzmianki te świadczą wymownie nietylko o tém, że rzeczywiście w Polsce świeccy posiadali dziesięciny, lecz także, że niemi samoistnie rozrządzali, że więc dziesięcina stanowiła wówczas również przedmiot obiegu. Zachodzi jednak między temi stosunkami u nas i na Zachodzie pewna

---

jeśli jest męskiego rodzaju, i płaci za niego swadziebny podarek ojcu narzeczonéj i t. d.“ (Łebiński: „Co Al-Bekri opowiadał o Słowianach“, Roczn. Towarz. Przyj. Nauk Poznań. T. XV str. 173). Oczywiście, że stosunki takie, gdybyśmy je brali dosłownie, żadną miarą długo utrzymać-by się nie dały, a system utrzymania rycerstwa, jak utrzymania duchowieństwa, musiał się stosunkowo dość rychło zmienić; jednak z początku XII wieku znaczna część rycerstwa była osadzoną po grodach, gdzie oczywiście żyła na koszcie księcia. (Gallus, Kronika I c. 8 II c. 5). Może w związku z dawniejszém uwolnieniem od dziesięcin pozostał fakt, że rycerstwo również, jak świadczą statuty synodu piotrkowskiego IV z r. 1495(?), (Zbiór statutów Łaskiego w tytule de decimis) było wolne od opłacania świętopietrza, kolędy i dziesięciny konopnéj, nie wiadomo jednak, o ile postanowienie owo da się do stosunków dawniejszych odnieść.

[1]) Kod. dypl. małop. II Nr. 375.

[2]) Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 40.

[3]) Häusler: „Urkundensammlung z. Gesch. d. Fürst. Oels“, str. 35. Nr. 18.

różnica, a mianowicie ta, że dziesięciny, które w Polsce znajdowały się w ręku świeckich, były, o ile sądzić możemy, bez wyjątku pochodzenia kościelnego. Nie posiadamy najmniejszego śladu, aby w Polsce kiedykolwiek jaka dziesięcina świecka istniała[1]). Wprawdzie domyślano się, że pewna klasa ludności, którą źródła oznaczają nazwą „decimi“, otrzymała tę nazwę dlatego, że opłacała dziesięcinę, jako daninę świecką[2]); jednak za tego rodzaju mniemaniem nic zgoła nie przemawia, a zresztą ludność ta od końca wieku XII ciągle niknie tak, że raczéj należało-by się domyślać, że była to pewna klasa społeczna, która nie odpowiadała już stosunkom późniejszym, a nazwę swą wzięła jedynie z prastaréj organizacyi dziesiętnéj[3]). Oznaką dziesięcin, z tytułu znowu prawno-prywatnego pochodzących, była na Zachodzie podwójna dziesięcina, „decima et nona“, jedna o charakterze kościelnym, druga o prawno-prywatnym[4]); wprawdzie i w Polsce dziesięcinę i dziewięcinę spotykamy, lecz charakter téj ostatniéj jest odmienny. Dziewięcina u nas bowiem nie była wcale daniną, opłacaną z powodu otrzymania w użytkowanie pewnych dóbr, ale posiadała także znamię kościelne, gdyż była cząstką dochodów, którą panujący lub osoby prywatne wydzielały z własnéj woli, chcąc pomnożyć dotacyę instytutów kościelnych, najczęściéj takich, które dziesięciny nie pobierały, lub których dochód z dziesięciny był dość szczupły[5]). Nadto samo brzmienie powyższych wzmianek, wspominających o dziesięcinie, znajdującéj się w rękach świeckich, wskazuje, że chodziło tam o dziesięcinę kościelną a nie świecką, gdyż wyraźnie wszędzie dziesięcina ta

---

[1]) Innego zdania jest Helcel w powołanéj na wstępie rozprawie (1), str. 8 i nast., lecz ze zdaniem tém żadną miarą zgodzić się nie można, gdyż brak jakichkolwiek w tym względzie wskazówek źródłowych, któreby przemawiały za istnieniem dziesięciny świeckiéj, pochodzącéj z tytułu prawno-prywatnego, jak na Zachodzie, lub polegającéj na prawie publicznem, jak n. p. na Węgrzech, gdzie król, obok dziesięciny przez kościół pobieranéj, pobierał dziesięcinę królewską, (Zob. Endlicher: „Monum. Arpad.“ l. c. str. 432. Ustawa Króla Andrzeja II z r. 1232 c. 29).

[2]) Jest to również domysł Helcla l. c. str. 9.

[3]) Zob. Smolka: „Mieszko Stary“ str. 59, tudzież obszerny a przekonywający wywód Piekosińskiego w Kodeksie dyplomatycznym katedry krakowskiéj, T. I str. 81—83 i w rozprawie „O powstaniu społeczeństwa polskiego“. (Rozp. i sprawozd. z posiedzeń wydz. hist. filozof. Akad. Umiej. w Krakowie, t. XIV str. 235—238.

[4]) Zob. Hochgürtel: „Beiträge z. gesch. Entwickelung d. kirchl. Zehnten“ l. c. str. 49—56.

[5]) N. p. w. r. 1155 Bolesław Kędzierzawy nadał klasztorowi w Mogilnie „per totam Mazoviam nonum forum, nonum denarium, nonum porcum, nonum poledrum, nonum piscem“. (Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 3), a w r. 1175 nadał niejak. Nikor klasztorowi lubiąskiemu „de lacu nonum piscem“ (Schirrmacher: „Urkundenb d. St. Lisgnitz“ Nr. 2).

wraz z kościołami, jako przynależność pewnych dóbr, jest wymienioną. Ten związek dziesięciny i kościoła z pewną nieruchomością określa zarazem jasno *drogę*, którą dziesięciny te w ręce świeckie przeszły. W Polsce pierwotnie właściwemi kościołami parafialnemi były tylko katedry biskupie [1]), powstanie parafii, a tém samem okręgów parafialnych, przypada dopiero na drugą połowę wieku XII i wieku XIII, przeto dziesięcina pierwotnie biskupowi tylko była opłacaną, przy czém rychło i klasztory prawo do poboru dziesięcin, najczęściéj ze swych włości, za zezwoleniem biskupa zyskały [2]). Lecz skoro w ciągu wieku XII, tak panujący, jak i możni świeccy, poczęli fundować coraz to więcéj kościołów, oratoryów i kaplic w swoich dobrach, tém samém powstać musiało pytanie, jaką ma być dotacya tych nowo powstałych instytutów kościelnych. Bez oznaczenia dotacyi, biskup, wedle przepisów prawa kościelnego, nie był obowiązany kościołów konsekrować, więc kwestya ta w każdym danym wypadku winna była być z góry omówioną. Jak akta ówczesne wskazują, główną dotacyę nowopowstających kościołów stanowiły, oprócz pewnych użytków, dziesięciny z osad, które przy konsekracyi lub fundacyi przez biskupa zostały określone. Osady te i wsie, z których dziesięciny miały być płacone, należały, jak to również na wielu aktach da się wykazać, głównie lub nawet wyłącznie do fundatora kościoła, a więc jego ludność winna je była uiszczać [3]). Ów stan rzeczy był zupełnie zgodny z ustawami dawniejszemi, przez kościół przyjętemi, gdyż ustawa z czasów Ludwika Pobożnego z r. 818 (lub 819), dozwalająca uiszczać dziesięcinę z wsi nowo powstałych kościołowi, tam istniejącemu, dostała się do ważniejszych ówczesnych zbiorów prawa kościelnego [4]), a więc i w Polsce nie była obcą. O ile dziś nam wiadomo, najwięcéj wtedy u nas rozpowszechnionym zbiorem była t. z. „Collectio tripartita“,

---

[1]) Jeszcze w początku wieku XIII, katedra płocka była w swéj decyzyi właściwą „ecclesia baptismalis“, lecz stanowiska tego nadużywał biskup Getko, biorąc wynagrodzenie za chrzest dzieci. (Kod. d. Wielkop. I Nr. 102).

[2]) W najstarszym dokumencie tynieckim, w ustępie, który, o ile wnosić możemy, nie jest późniejszym dodatkiem, wyrażono „Harum villarum (t. j. włości, należących do klasztoru tynieckiego) decimas et omnium que religiosis viris collate sunt, rogatu ducis Bolezlai, Radostus episcopus eidem ecclesie contulit. (Kod. dypl. tyn. Nr. 1).

[3]) N. p. r. 1153 (Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 18) r. 1153 (Kod. dypl. Małop. II Nr. 372) r. 1198 (ibid. Nr. 375) a najwyraźniéj bulla protekcyjna Celestyna III z r. 1193 dla klasztoru na Piasku we Wrocławiu, fundowanego przez Piotra Włostowica, w któréj między nadaniami wymieniono: „decimam quoque omnium possessionum, que Petrum quondam comitem ex parte avi et patris sui iure hereditatio contingebant“. (Kod. dypl. Małop. I str. 58).

[4]) Ivo Carnot. Decretum P. XVI c. 263.—W zbiorze Reginona mieści się to postanowienie w ks. I c. 26 a nadto inne wyżéj powołanego Concil. Triburiense

powstała ku końcowi wieku XI lub w początkach XII, a w niéj również pomieniona ustawa się mieści [1]). Z osad, znajdujących się w wieku XII w rękach rycerstwa, przeważna część pracą nowych właścicieli powstała, gdyż książę z reguły tylko pustkowia, dotąd nieuprawne, nadawał, dlatego też naturalnym musiało być faktem, że pomieniona ustawa przedewszystkiém do kościołów, przez rycerstwo fundowanych, była stosowaną, a więc dziesięciny z ich dóbr do kościołów przez nich wystawionych należały. Ale nie można zapominać, że, jak na Zachodzie, tak i w Polsce, kościoły mniejsze nie posiadały uznanéj osobowości prawnéj, lecz były przedmiotem praw majątkowych, a w szczególności stanowiły własność prywatną fundatorów lub ich prawonabywców. Skoro zaś sam instytut kościelny był przedmiotem prawa własności fundatora, przeto tém samém i wszystkie przynależności tego instytutu, i dochody, do właściciela kościoła należały. Pod tym względem nie mogły stanowić wyjątku dziesięciny, dlatego prawnie należały do tego, czyj był kościół, do którego były przywiązane. Znakomity dowód, illustrujący istnienie tych zapatrywań prawnych w Polsce, stanowi pewna wzmianka, mieszcząca się w dwóch dokumentach z r. 1203 i 1208, wystawionych przez księcia Henryka Brodatego na rzecz klasztoru w Trzebnicy [2]). Czytamy tam bowiem: „Dedi (t. j. książę) etiam villam nomine Ozorovici et ipse eam circuivi, et cum *mihi* pertineret decima parochiae beatae Mariae in Legnich et (Ciprianus) episcopus, ut eam in Trebnich daret, voluisset totidem aratris, quod ibi erant commutare, Clemens plebanus illius ecclesiae me precibus evicit, ut cum Radak milite de villa sua Chimino, dans aliam sibi pro ea, facerem concambium et prafatum Chimino, ubi propter recessum hominum Clementis decima penitus perierat, hominibus replerem, laudans hoc pacto cedere decimae de Ozorovich et commutationi oblatae ab episcopo, quod postquam feci, ipse Clemens praefatae decimae penitus renunciavit“ [3]). Z zapiski téj wypływa, że, jakkolwiek dziesięcina przywiązana do ko-

---

z r. 895 c. 14, które trochę zbyt ogólną ustawę Ludwika Pobożnego ogranicza, nienaruszając jednak ustawy saméj. Regino I c. XLIV b. ed. Wasserschleben str. 45).

[1]) Z porównania trzeciéj części „Collectio trium partium“ z Dekretem Ivona z Chartres (Wasserschleben: „Beiträge zur Geschichte der vorgratianischen Kirchenrechtsquellen“, Leipzig 1839 str. 56) wynika, że owa ustawa „Sancitum est de villis novis et ecclesiis in eis novitèr constitutis ut decimas de ipis villis ad easdem ecclesias conferantur“, zamieszczona u Ivona w ks. XVI c. 263, znajduje się w téj Collectio w tytule XXIX, jako c. 188.

[2]) Häusler: „Urkundensammlung zur Geschichte des Fürstenthums Oels“ Nr. 9 i 18 str. 21 i 37.

[3]) Ustęp ten podaliśmy wedle brzmienia aktu z r. 1208, co do rzeczy saméj zupełnie zgodnego z brzmieniem aktu z r. 1203.

ścioła P. Maryi w Lignicy szła na utrzymanie plebana, tam ustanowionego, to jednak dziesięcina ta nie należała prawnie do kościoła w Lignicy, lecz do jego właściciela, t. j. w tym przypadku do księcia Henryka Brodatego. Fundator więc, względnie właściciel kościoła, był posiadaczem prawa do poboru świadczeń dziesięcinnych, on też niemi mógł dowolnie rozrządzać, a więc albo na swój użytek obracać, lub duchownemu, przy swym kościele umieszczonemu, wszystko lub część ich oddać. Duchowny zaś ten posiadał wprawdzie, wedle prawa kościelnego, także prawo do poboru dziesięcin, ale, wedle prawa świeckiego, tylko o tyle, o ile mu właściciel wydzielił. Wyobrażenie, że właściciel kościoła ma prawo do dziesięcin, do kościoła, jego przywiązanych, jeszcze w połowie wieku XIII było rozpowszechnione, jak tego dowodzi spór między klasztorem w Ludzmierzu a Komesem Zdzisławem, zakończony w r. 1238 wyrokiem polubownym[1]). Z brzemienia wyroku tego okazuje się, że spór toczył się „super ecclesia Cjrice occasione iuris patronatus siue possessionis uel quasi eiusdem iuris, *decimis* et omnibus aliis ad ipsam ecclesiam pertinentibus“. Był to czas, kiedy dawne prawo własności, za pośrednictwem działalności ustawodawstwa kościelnego, miało się zmienić w prawo patronatu, i ten akt jest przykładem starcia się pojęć sprzecznych. Comes Zdzisław rościł sobie prawo do posiadania kościoła, a wraz z tém do wszystkich innych do niego przywiązanych praw, a więc i dziesięcin; lecz roszczenia te już wówczas ze strony kościoła nie mogły być uwzględnione i zapadł wyrok, dla strony świeckiéj nieprzychylny[2]). Skutkiem jednak tych pojęć prawnych, które jeszcze w ciągu wieku XII były panujące, tak książęta, jak i właściciele świeccy, musieli posiadać to poczucie prawne, że im przysługiwało prawo rozrządzania dziesięcinami i że tém samém mogli ludności swéj obowiązkowi opłacania dziesięcin wcale nie poddawać, lub obowiązek ów rozszerzać lub ścieśniać, a nawet od niego zupełnie zwalniać. Te konsekwencye zaś uwydatniały się przedewszystkiém wtedy, gdy chodziło o osady nowozałożone, tém bardziéj, że w kierunku tym był decydującym jeszcze wzgląd drugi, niemniéj ważny. Ze stosunków późniejszych, a mianowicie

---

[1]) Kod. dypl. Małop. I Nr. 23.

[2]) Wyrok brzmiał: „ut dictus comes Sdislaaus claves et ornamenta ipsius ecclesie sine mora in manibus ipsius abbatis restituat, nec de cetero per se, uel successores suos prefatos abbatem et conuentum super iure patronatus, possessione uel quasi ipsius et ordinatione ipsius eclesie, decimis, uel rebus aliis ad ipsam eclesiam pertinentibus molestare seu inquietare presumat. Volumus autem et ordinamus propter bonum pacis et concordie, ut prefati abbas et suus conventus eundem S. et successores suos, heredes ipsius monasterii debeant reputare, et tamquam heredibus honorem exhibere“.

sporów o dziesięciny z nowizn, wnosić należy, że w przekonaniu ówczesném poszczególne nadania dziesięcin na rzecz kościoła tłómaczono ściśle w ten sposób, że prawo kościoła do poboru dziesięcin odnosić się miało jedynie do tych włości, które w czasie nadania istniały i temu obowiązkowi zostały poddane, lub na które w danéj chwili obowiązek ten przeniesiono. Stąd wypływało następstwo dalsze, że, aby prawo do dziesięcin z gruntów dotąd nie uprawnych mogło być uzasadnioném, potrzeba było zawsze nowego szczegółowego nadania. A więc obowiązek opłacania dziesięciny nie był po stronie świeckiéj poczytywany za powszechny, na mocy ustaw kościelnych na wszystkich ciążący, lecz jako wypływ poszczególnych, ściśle określonych przywilejów. I panujący podobnie ową kwestyę prawną oceniali, a dowodem tego jest przywiléj fundacyjny dla klasztoru lubiąskiego z r. 1175, w którym książę wyraźnie dziesięcinę nadaje z nowizn [1]). Ale cały szereg włości rycerskich, powstałych na gruntach, przez księcia rycerstwu nadanych, a przez czeladź dworską dopiero po raz pierwszy uprawie poddanych, w myśl zasad powyższych dziesięcinie nie podlegał, bo z gruntów tych jeszcze nigdy dziesięcina płaconą nie była. Pojęcia te były wprawdzie zupełnie sprzeczne z pojęciami i dążeniami kościoła, lecz, bądź co bądź, istniały, i kościół musiał za prawdziwą poczytywać zdobycz fakt, jeżeli właściciel włości wybudował kościół i wtedy poddał ludność swą lub czeladź obowiązkowi opłacania dziesięciny. Dziesięcina ta bowiem, przynajmniéj w części, dostawała się kościołowi, chociaż w zasadzie pan włości był jéj właścicielem. Ale następstwa owych wyobrażeń prawnych stać się musiały dla kościoła z czasem o wiele dotkliwszemi, zwłaszcza odkąd się w Polsce rozwinęła kolonizacya niemiecka. Właściciele ziemscy, chcąc kolonistom przedstawić lepsze warunki osiedlenia, uwalniali ich, zgodnie z panującém prawem, albo w zupełności od dziesięcin, albo tylko z każdego szóstego łanu, albo opuszczali im jedną szóstą część, przy czém i grunta, sołtysom oddane, również w znacznéj części od dziesięciu miały być wolne. I w tym względzie stosunki w Polsce oryginalnemi nie były, bo przywileje lokacyjne o podobnych postanowieniach, przynajmniéj o ile to dotyczyło uwalniania sołtysów, istniały już wcześniéj w sąsiedztwie Polski, a jako wzór takiego przy-

---

[1]) Insuper *ego* et episcopus Wrezlawiensis Cirrizlaus dotavimus ecclesiam Lubensem decimis omnibus *de novis villis*, que nunc sunt in postestate Legenicensi et de illis, que deinceps in ea in omni temporum successu constituentur" (Schirrmacher l. c. Nr. 2). Współdziałanie biskupa jest tu wspomniano dlatego, że biskup, jako zwierzchnik kościelny, był władzą właściwą do zezwolenia na pomienioną fundacyę.

wileju moglibyśmy przytoczyć przywiléj, wystawiony w r. 1154 [1]) przez biskupa miśnijskiego, Gerunga, dla osadników wsi Coryn, z Flandryi przybyłych. Stosunki, dotyczące dziesięcin w Polsce, pierwotnie odmienne od stosunków Zachodu, kształtowały się coraz to więcéj na modłę zachodnich.

IV.

Spory o dziesięcinę i powstanie dziesięciny swobodnéj.

Że ów stan prawny i faktyczny, jaki właśnie skreśliliśmy, był wprost dla interesów kościoła szkodliwym, dowodzić nie potrzeba. Z rozwojem ekonomicznym kraju powiększał się coraz to więcéj dochód jednostek, gdy tymczasem dochód z dziesięcin, wskutek licznych wolności od uiszczania dziesięcin, tudzież wskutek tego, że dziesięcina znajdowała się w rękach świeckich lub od ich dyspozycyi zależała, równomiernie wcale nie wzrastał. Jeżeli dodamy do tego, że liczne klasztory w Polsce, na mocy przywilejów stolicy apostolskiéj, także w znacznéj mierze od obowiązku dziesięcinnego były wolne, to zrozumiemy łatwo, że episkopat polski musiał skwapliwie przyłączyć się do akcyi, rozwiniętéj przez stolicę apostolską a zmierzającéj do rewindykacyi dziesięcin z rąk świeckich i do upowszechnienia tego obowiązku. Oparty o stolicę apostolską, kościół nasz wystąpił téż energicznie przeciw wszelkiemu uszczuplaniu swych praw, i w toku walki, która stała się nieuniknioną, po raz pierwszy zmierzyły się ostrzéj sprzeczne interesa i zasady. Chwila, w któréj kościół polski walkę rozpoczął, była dość korzystną, bo Polska nie stanowiła już silnéj jednolitéj monarchii, a kościół tymczasem zajął stanowisko dominujące. W końcu wieku XII, za wpływem działalności ustawodawczéj papieży, upadła zasada własności prywatnéj na kościołach, a wraz z nią i dalsze jéj konsekwencye. Prawa z niéj płynące zostały znacznie zmodyfikowane i zmienione w duchowne prawo patronatu, a wobec tego nie mogła się ostać zasada wolnego rozrządzania fundatorów majątkiem kościołów,

---

[1]) „Duos autem (mansos) eorundem incolarum magistro, quem scultetum appellant, absque decima permisi“ (Codex diplomaticus Saxoniae regiae Cz. II t. I Nr. 50). Pierwowzór przywilejów lokacyjnych późniejszych stanowi przywiléj arcybiskupa bremeńsko-hamburskiego, Fryderyka, na rzecz osadników holenderskich wydany w r. 1106. (Zob. „Bremisches Urkundenbuch“, herausgeg. v. D. R. Ehmck t. I Nr. 27 str. 28).

które dotąd w ich własności się znajdowały, a więc i dziesięcinami. Zostało to wyraźnie uznane w ustawach soboru lateraneńskiego II-go i III-go, wyżéj na wstępie przytoczonych, w myśl których wszystkie dziesięciny, znajdujące się w rękach świeckich, winne być kościołowi zwrócone, „gdyż prawo do poboru dziesięcin, polegające na prawie boskiém, tylko kościołowi przysługuje“, a z drugiéj strony wszyscy wierni winni dziesięciny uiszczać, bo obowiązek ten jest powszechnym. I pierwszy spór o dziesięciny w Polsce, o którym posiadamy wiadomość, toczył się na tle tych, sformułowanych w ustawach kościoła, zasad, powstał zaś naprzód na Szląsku, gdyż tam stosunki ekonomiczne najwięcéj były rozwinięte, i trwał dość długo, bo od r. 1207 po rok 1227. Oryginalną jednak i dla stosunków polskich bardzo charakterystyczną jest okoliczność, że w toku tego sporu nie tyle chodziło o zwrócenie dziesięcin, znajdujących się w rękach świeckich, kościołowi, ile o poddanie wszystkich obowiązkowi uiszczania dziesięciny. Można-by wprawdzie sądzić, że nie znamy wszystkich stadyów tego sporu, nam się jednak zdaje, że dla kościoła polskiego głównie tylko ta druga kwestya przedstawiała większą praktyczną doniosłość. Kiedy jeszcze istniała zasada własności prywatnéj na kościołach, bronił się kościół przeciw obracaniu majątku i dochodów swoich na użytek właściciela tém, że zakazywał pod grozą kar kościelnych, aby to, co raz kościołowi zostało dane, nie było znowu na inne obracane cele[1]). Jeżeli, pomimo tych zakazów, świeccy dochodami lub dziesięcinami kościelnemi nieraz rozporządzali, stanowiło to w każdym razie wobec ustaw kościelnych nadużycie, lecz nadużycie owo na Zachodzie niebyło zbyt krzyczącém wobec tego, że w ręku świeckich znajdowało się także wiele dziesięcin o początku świeckim. W Polsce, gdzie dziesięcin świeckich wcale nie było, zakazy owe posiadały tém donioślejsze znaczenie, a więc tém skuteczniejszemi być musiały. Zasada własności prywatnéj na kościołach, w myśl któréj właściciel kościoła był zarazem właścicielem dziesięcin, nie prowadziła do zaboru dziesięcin, przy uroczystéj konsekracyi kościoła temuż przez samego fundatora lub przez ojca lub dziada późniejszego właściciela wyznaczonych, lecz inne sprowadzała następstwa, t. j., że właściciel sam

[1]) Liczne przykłady tego rodzaju zakazów z czasu od r. 922 aż pod koniec wieku XII, wydanych przez synody partykularne lub sobory powszechne, podaje Hinschius, „Kirchenrecht“ t. 2 str. 628 uwaga 3. I w Polsce bronił się kościół przeciw powyższym konsekwencyom w ten sposób, że przy alienacyach włości kościelnych zatrzymywał sobie dziesięciny, jak n. p. w akcie z r. 1166, gdzie biskup krakowski, zamieniając pewne wsie z księżną Maryą, odstąpił je bez karczmy i dziesięciny (Kod. dypl. Katedr. Krak. I Nr. 1).

dziesięcin nie płacił, i że tylko z tych włości dziesięcina była opłacaną, które przy fundacyi biskupstwa lub kościoła były temu obowiązkowi wyraźnie poddane. Dlatego też w Polsce kościół nie potrzebował energiczniéj domagać się zwrotu dziesięcin, znajdujących się w rękach świeckich, bo wypadków takich stosunkowo mało być musiało[1]), ale ważniejszą była sprawa wszelkich uwolnień od opłacania dziesięcin, tak pod względem terytoryalnym, jeżeli chodziło o osady nowo powstałe, jak i pod względem pewnych klas osób, które dotąd dziesięciny nie płaciły. Pierwszym aktem, dotyczącym tego sporu, był list papieża Innocentego III, (gdyż kościół polski zaraz oparł się o stolicę apostolską), do książąt polskich pod datą 4 Styczynia r. 1207 wystosowany, w którym papież zabronił kogokolwiek od obowiązku dziesięciny uwalniać[2]). Z listu tego wnosić możemy, że bliższym powodem sporu były lokacye wsi na prawie niemieckiém, przy których różne ulgi co do dziesięcin kolonistom robiono. Około téj kwestyi także obraca się treść kilku następnych aktów[3]), jak wreszcie i te-

---

[1]) Że się jednak wypadki takie zdarzały, świadczyć mogą spory cokolwiek późniejsze o sprzedaż dziesięcin. Właściciele ziemscy bowiem, chcąc łatwiéj zyskać dziesięciny ze swych wsi dla siebie, starali się przeszkadzać właścicielowi dziesięcin w ich sprzedaży. W téj tendencyi zatrzymania dziesięciny z wsi własnych w ręku właściciela wsi, można-by upatrywać dążenie właścicieli ziemskich, aby się przynajmniéj za pomocą pewnych mniéjszych ofiar, t. j. tańszego odkupu, przy konsekwencyi dawniejszego prawa utrzymać. Tego rodzaju postępowanie surowo potępił statut synodu prowincyonalnego wrocławskiego z r. 1248, odbytego pod przewodnictwem legata papieskiego, Jakóba, archidyakona leodyjskiego, a brzmienie tego postanowienia mogło-by jeszcze więcéj nasze rozumowanie uprawdopodobnić. Postanowiono tam: „Illud quod precipue intollerabile reputamus, quod quidam milites, vel alii clerici vel laici *volentes villarum suarum* et aliarum decimas obtinere, diversis modis impediunt ne aliquis a viris ecclesiasticis eas emat: ut decimas ipsas, invitis ipsis ad quos pertinent occupare valeant violenter, et quandoque promittunt se redditurос pro illis minus in duplo vel triplo quam valeant, et tamen vix aut nunquam volunt eciam ea solvere, que promittunt, et sic pereunt ecclesiarum decime ac iura ecclesiastica minuuntur. Et interdum contingit, quod cum aliquis miles sic decimam aliquam renuerit multis annis, heredes eius decimas illas dicunt ad se iure hereditario pertinere. Que auctoritate qua fungimur tollerari de cetero prohibemus....“ (Kod. dypl. Wielkop. Nr I 274 str. 233).

[2]) „Cum autem aliena largiri nequaquam esse liberalitas videatur, de nobilitate vestra, non possumus non mirari, quod sicut accepimus, cum interdum vel obsequentium vobis remunerare labores vel aliquorum devotionem vobis intenditis procurare, ipsos de facto, cum de iure minime valeatis, a solutione decimarum absolvitis“. (Kod. dypl. Wielkop. I. Nr. 43).

[3]) Do sprawy téj odnoszą się zwłaszcza trzy zaginione listy papieża Innocentego III z r. 1215, których rubryki jednak, objaśniające ich treść, się dochowały, a mianowicie: „Innocentius III capitulo Wratislauiensi scribit, quod rescissio facta per episc. Wratislav. auctoritate apostolica super decimis de quibusdam de certis in

go, który spór ów na razie zamknął. Akt ten, kilkakrotnie wyżéj już wspomniana ugoda, za pośrednictwem sędziów przez stolicę apostolską delegowanych zawarta w r. 1227 w sporze o dziesięciny między biskupem wrocławskim Wawrzyńcem a księciem Henrykiem Brodatym, posiada jednak znaczenie ogólniejsze, gdyż rzuca jasne światło nietylko na samą naturę tego sporu, lecz także i na szereg pytań, w toku jego poruszonych. Oryginalnym jest fakt, że dość podobny spór toczył się równocześnie w Czechach [1]) i że biskup wrocławski, Wawrzyniec, który w Polsce głównie całą sprawę prowadził, był świadkiem narad ugodowych, tam się toczących pod powagą legata Grzegorza de Crescentio [2]). Ten sam legat był i do Polski wysłany [3]), więc łatwo przypuścić, że i tu podobnie wedle tych samych zasad i w tym samym kierunku działał, i może odpowiednie przepisy na synodzie

---

diocesi Wratisl. approbatur. Eodem modo episcopo Caminensi (Cinamensi) et quibusdam aliis, quod compellant Teutonicos ad solvendas decimas de dictis terris seu desertis. — Super eodem duci Zlesie quod permittat dictas decimas persolvi. (Theiner: „Monumenta Slavorum meridionalium“, Romae 1863 I str. 65). Za zupełnie słuszny uważamy domysł Gromnickiego, („Synody prowincyonalne“ str 90), że c. 53 IV soboru lateraneńskiego, mocą którego zabroniono oddawać ziemię osadnikom, niechcącym płacić dziesięcin tak, jak należy, został przez sobór uchwalony z powodu stosunków, w Polsce istniejących. Odnosi się on bowiem właśnie do ziem, gdzie się kolonizacye odbywały, i zapewne episkopat polski, pod kierunkiem Henryka Kietlicza zostający, chcąc zyskać większe poparcie dla swych żądań, przedłożył papieżowi wnioski do uchwał, które-by utwierdzały żądania kościoła polskiego. Pomimo tego jednak, jak również pomimo powyższych postanowień Innocentego III, sprawa nie została załatwioną. W r. 1217 papież Honoryusz III zatwierdza znowu, na prośbę biskupa wrocławskiego i arcybiskupa gnieźnieńskiego, wyrok polubowny, wydany przez Konrada, byłego biskupa halberstadzkiego, w sporze między księciem szląskim a biskupem wrocławskim, „super decimis prestandis a quibusdam Teutonicis, qui de novo ad illius terre inducti fuerant incolatum“ (Theiner, „V. Monumenta Poloniae“ I Nr. 5), lecz i ten wyrok nie zagodził sporu, czego dowodem jest apelacya księcia do stolicy apostolskiéj i ugoda z r. 1227, tudzież zarządzenie papieża z 27 Kwietnia r 1227 (Grünhagen, „Regesta“ Nr. 307), aby biskup wrocławski, pomimo apelacyi księcia i możnych świeckich, bronił spraw kościoła.

[1]) Wedle listu papieża Honoryusza III z 22 Czerwca 1217 r., (Erben: „Regesta Bohemiae et Moraviae“, I Nr. 578) powodem sporu było także niepłacenie dziesięcin. Biskup praski, a na jego skargę papież, zarzucał królowi, że „decimas de tuo domanio non exsolvis. Unde tam magnates, quam humiles regni tui, tuum sequentes exemplum eas retinere pro parte maxima non formidant“. (Do sporu tego odnoszą się jeszcze akta Erben: Regesta Nr. 581, 595, 605, 612, 618, 619 639—641, 646 i 649).

[2]) Jest zapisany jako świadek aktu z 2 Lipca r. 1221 (Erben: „Regesta“ Nr. 646).

[3]) Wedle listu papieża Honoryusza III z 31 Grudnia 1220 r., wystosowanego do arcybiskupa gnieźnieńskiego. (Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 111).

wydał. W sporze polskim chodziło o dwie rzeczy: o dziesięcinę z nowizn i o to, że różne grupy ludności dziesięcin wcale nie płaciły. Być może, że skoro sprawa co do opłacania dziesięcin przez osadników niemieckich została w ważniejszych punktach załatwioną [1]), wtedy biskup wrocławski, korzystając z poparcia legata, posunął się daléj i szersze zakreślił żądania, wysnuwając konsekwencye z raz uznanych zasad. Henryk Brodaty odwołał się wtedy do stolicy apostolskiéj, i w piśmie apelacyjném [2]) użalał się na niesłuszne żądania biskupa, że ludność, zajętą uprawą pustkowi, obciąża niesłusznymi ciężarami „nomine decimarum“ tak, że ludność ta porzuca swe osady i przenosi się gdzieindziéj, tudzież, że żąda opłacenia dziesięcin od ludności, która od nich dotąd była wolną. Wskutek téj apelacyi, Papież zamianował sędziów, aby w drodze delegacyi stolicy apostolskiéj sprawę rozsądzili. Sędziowie w wykonaniu polecenia przyprowadzili do skutku ugodę, w któréj wszystkie punkta sporne szczegółowo zostały omówione. Oznaczono naprzód, jaką dziesięcinę obowiązani są opłacać koloniści niemieccy, a jaką osadnicy wsi na prawie polskiém [3]) osadzonych, jaka dziesięcina należy się ze wsi nowo-lokowanych [4]); lecz nadto, co ważniejsza, ludność, dotąd od dziesięcin wolną, obowiązkowi temu stanowczo poddano. Owi Smardones, Lazaki, Strozones i Popraznicy aratores, którzy dotąd „ex abusu prave consuetudinis et anti-

---

O tém, że prawdopodobnie pod jego przewodnictwem w Polsce odbył się synod prowincyonalny w czasie jego pobytu we Wrocławiu w r. 1221 (jak Długosz podaje) zob. Gromnicki· „Synody“ str. 34.

[1]) Do owego załatwienia przyczynić się głównie musiała wspomniana ustawa soboru lateraneńskiego IV c. 53, w któréj zasada opłacania dziesięcin przez osadników na prawie niemieckiém została stwierdzoną, dlatego późniéj mogło się już tylko rozchodzić o wysokość téj dziesięciny, tudzież o to, czy miała być snopową, lub osepową, albo zmienioną w opłatę pieniężną.

[2]) Stenzel: „Urkunden z. Gesch. des Bisth. Breslau“ Nr. 1. (pismo papieża Honoryusza III z 2 Marca r. 1226).

[3]) „Considerata autem benignitate prefati ducis et filii eius episcopus cum assensu capituli sui non alias decimas de castellaturis, videlicet Crosten, Bytom, Zagan, Bolezlauich, Wlen se de cetero promisit petiturum, quam hucusque homines illarum castellaturarum solvere consueverunt; de Crosten tres mensuras de manso et hoc in Teutonicis, Poloni vero solvant sicut hactenus solverunt.“ (Stenzel ibid. Nr. 2).

[4]) „A terminis vero Crostensibus usque ad terminos Othomuchouienses, ubicunque silva locata fuerit, ferto de manso solvetur, et hoc contenta erit ecclesia excepto sexto manso vel ampliori, qui cesserit locatori. Adjunctum est etiam, ut si aliqui mansi de dictis mansis locatoris, venditione, donatione vel aliqua alia alienatione a locatore recesserint ad quemcunque dominorum fundi devenerint, si eos censuales sibi facere voluerit, solvant ecclesie fertonem, sicut ceteri“. (ibid.)

quate decimas non solverent", mieli być odtąd do tego obowiązku zmuszeni „potestate principatus". Ale w związku z ustępem, dotyczącym téj właśnie ludności, zamieszczono jeszcze inny, odnoszący się wprost do naszego pytania. Brzmi on w całości „Preterea et milites suos, qui villas solutione decimali dignas ab ipso a tempore concilii Lateransnsis optinuerant vel adhuc optinere poterunt, decimas ecclesiis solvere coegit (rozumie się książę) quibus iure debebantur, *jure tamen militali*, qui de talibus *pro voluntate sua* in dampnum aliarum ecclesiarum quibus volebant conferebant". Połączenie tych dwóch ustępów świadczy, że i w drugim chodziło o ukrócenie pewnéj wolności, wychodzącéj na niekorzyść kościoła, jednak jest on tak niejasno sformułowany, że trudno z jego brzmienia wprost ocenić, czego zabrania, a jakie właściwie prawa rycerstwu przyznaje. Ponieważ tekst téj ugody dochował się w oryginale, przeto nie można mówić o jakiémś zepsuciu tekstu, lecz owszem, gdy mamy do czynienia z dokumentem prawnym, należy przypuścić, że każde słowo aktu było dokładnie obmyślane, a więc cała stylizacya była umyślną. Pewném jest tylko, że odtąd rycerstwo miało opłacać dziesięciny, lecz jedynie „iure militali", ale trudno ocenić, czy obowiązek ten dotyczył tylko wsi rycerskich, czy ich samych, a nadto niewiadomo, czy przyznany przywiléj, że rycerzowi, posiadającemu włości, wolno przekazać dziesięciny kościołowi któremu zechce, miał się odnosić do włości, uzyskanych od księcia przed soborem lateraneńskim czy ponim. W każdym razie stylizacya ta musiała odpowiadać stosunkom rzeczywistym, wówczas istniejącym, a biorąc wzgląd na nie, ustęp ów tłómaczymy w ten sposób, że:

1) Poddano w nim rycerstwo, które dotąd dziesięciny nie płaciło, owemu obowiązkowi, na mocy nakazu władzy książęcéj, (dux coegit), niewyrażono zaś, czy tu o rycerstwo samo chodziło, czy o włości rycerskie, dlatego, że największa część wsi, znajdujących się w ręku rycerstwa, nie była osadzoną kolonistami, lub ludnością obowiązaną do pewnych danin lub posług, jak we wsiach książęcych, lecz czeladzią dworską. Obowiązek dziesięcinny kolonistów lub ludności książęcéj był już unormowany, podczas gdy włości, za pomocą czeladzi dworskiéj uprawiane, uchodziły za uprawne dworskim pługiem, a więc dotąd owemu obowiązkowi nie podlegały, bo je uprawiał właściwie rycerz, dotąd od tego obowiązku wolny. Postanowienie to posiada inne jeszcze znaczenie, gdyż w zupełności już obala zasadę, że z nowizn dziesięcina się nie należy, tudzież, że tylko te włości mają ponosić ciężar dziesięciny, które temu obowiązkowi wyraźnie zostały poddane. Rycerstwo bowiem rzadko kiedy otrzymywało od księcia wsie osadzone, więc włości rycerskie powszechnie niemal obejmowały grunta nowo uprawne. Nadto postanowienie owo, przez dodanie bliższego określe-

nia do wsi rycerskich „villas solutione decimali dignas“ mogło być także zastosowane i do włości, gdzie nie czeladź, lecz ludność niewolna innéj kategoryi była osadzoną, z których jednak wsi dziesięcina, jakkolwiek przeznaczona przy fundacyi dla jakiegoś kościoła, nie szła na jego użytek, lecz na użytek właściciela ziemi i fundatora kościoła. W ten sposób ubocznie mogło to postanowienie posłużyć do rewindykacyi dziesięcin, które się w rękach świeckich znajdowały, tém bardziéj, że obowiązek opłacania dziesięciny równocześnie na wszystkich, a więc na ludność każdéj kategoryi, został nałożony.

2) Nie wszystkie jednak włości rycerskie poddano obowiązkowi dziesięciny, lecz tylko te, które zostały uzyskane po soborze lateraneńskim. I w tym względzie brak wyraźnych wskazówek, czy ten sobór, który miał stanowić pewną granicę stosunków dziesięcinnych w Polsce, był III-cim (r. 1179) czy IV-tym (r. 1215) soborem lateraneńskim z kolei. Z poszczególnych uchwał tych soborów sądząc, oświadczyli-byśmy się raczéj za III-cim soborem z r. 1179. Wprawdzie IV sobór lateraneński nakazał kolonistom opłacać należycie dziesięcinę, ograniczył przywileje zakonów co do wolności od dziesięcin, tudzież zabronił im przyjmować dziesięcin z rąk świeckich bez zezwolenia biskupa, jak wogóle zawierać wszelkich układów o dziesięciny na niekorzyść kościołów, którym się prawnie należały [1]); lecz natomiast właśnie sobór lateraneński III postanowił, że świeckim niewolno dziesięcin zatrzymywać [2]). Za naszém przypuszczeniem przemawia i ten wzgląd, że gdyby obowiązek opłacania dziesięcin miał się tylko odnosić do włości, nabytych przez rycerstwo po roku 1215, a więc w przeciągu niespełna lat 12 do ugody z r. 1227, to kościół znowu zbyt wiele nie byłby skorzystał. Inaczéj, gdyby granica ta rozpoczynała się z r. 1179, wtedy poddano-by obowiązkowi dziesięcinnemu wszystkie włości rycerskie, z wyjątkiem tych, których właściciele mogli-by się powołać na czterdziestoletnie przedawnienie [3]). W zamian zaś za poddanie rycerstwa obowiązkowi opłacania dziesięciny przyznał mu kościół, odstępując od ścisłych przepisów prawa kościelnego, nawet poniekąd od postanowień IV-go soboru lateraneńskiego, przywilej dziesięciny swobodnéj. Ugoda z r. 1227 wyraża się

---

[1]) c. 53—56 i c. 61. (Mansi: Conciliorum Coll., t. XXII, str. 1042, 1043 i 1047).

[2]) c. 14 (ibid. str. 226).

[3]) W myśl ustawy Aleksandra III i Innocentego III, odnoszących się właśnie do dziesięcin c. 6 X de praescr. 6 (II. 26) i c. 25 X de dec. (III. 30). Że rycerstwo Polskie, które dziesięcin nie chciało płacić, powoływało się na przedawnienie, świadczy statut legata Jakóba z r. 1248 „contra milites qui impediunt vendicionem decimarum.“

jednak cokolwiek niechętnie o tym przywileju „iure tamen militali, qui de talibus *pro voluntate sua in dampnum aliarum ecclesiarum*, quibus volebant conferebant“, co-by mogło wskazywać, że postanowienie to jest nowością na polu prawa kościelnego w Polsce, lecz czas przeszły, w tym ustępie użyty, każe się domyślać, że nowość ta oparła się o pewne stosunki, dość może nawet rozpowszechnione. Genezę też postanowienia owego tłómaczymy sobie w ten sposób, że gdy kościół w ciągu wieku XII coraz to częściéj podnosił, że obowiązek uiszczania dziesięciny jest obowiązkiem, nałożonym przez Boga na wszystkich bez wyjątku, przeto i w Polsce zdarzać się musiały coraz częstsze wypadki, że rycerstwo, które dziesięcin nie płaciło, tu i owdzie poddawało się temu obowiązkowi. Była to jednak niejako dziesięcina ślubowana, (Votivzehnt) akt dobréj woli, rodzaj dobrodziejstwa, kościołowi świadczonego. Dlatego dziesięcina była uiszczaną klasztorowi lub kościołowi, dla którego płacący miał szczególne nabożeństwo, możliwą była również zmiana kościoła, któremu płacono[1]), przy czém oczywiście nie było mowy o przestrzeganiu przepisów o okręgach dziesięcinnych i przynależności do nich. Nawiązując zaś do tych, coraz częściéj pojawiających się faktów uiszczania dziesięciny obranemu kościołowi przez rycerstwo, ujęła je ugoda z r. 1227, jakkolwiek z wyrazem pewnéj ofiary, w regułę, i za ustępstwo dowolnego wybrania kościoła, któremu dziesięcina miała być opłacaną, związała cały stan obowiązkiem uiszczania dziesięciny. Tym wnioskom nie sprzeciwiają się wcale wzmianki o dziesięcinie swobodnéj, które w źródłach przed ugodą z r. 1227 spotykamy. W akcie z r. 1145, interpolowanym przy końcu wieku XII[2]) dla klasztoru w Trzemesznie, „comes Saulus contulit decimam cellarii sui in Konski“, a więc jako dar szczególny, w rzędzie innych nadań wymieniony; w r. 1211 ks. Henryk Brodaty nadał znowu klasztorowi lubiąskiemu[3]) „decimam in Legnicz de toto campo Zlafno....liberam in perpetuum“, coby również wskazywało, że do płacenia téj dziesięciny nie był obowiązany, a tak samo należy rozumiéć ustęp z aktu biskupa wrocławskiego Wawrzyńca, wydanego na rzecz kościoła w Rybniku z r. 1223[4]), w którym wyrażono: „Et ne in liberis decimis, quas sepedicte ecclesie S. Salvatoris in Ribnich quidam milites *de voluntate propria* contulerunt ipsa ecclesia quoquo

---

[1]) Przykładu takiéj zmiany kościoła dostarcza akt z r. 1217, na rzecz kościoła w Bystrzycy na Szląsku wystawiony. (Grünhagen, „Regesten“ Nr. 191).

[2]) Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 11.

[3]) Büsching: „Die Urkunden des Klosters Leubus“, Breslau 1821 str. 44 Nr. 14 (Grünhagen: „Regesten“ Nr. 145).

[4]) Cod. diplom. Siles. I Nr. 1.

modo possit defraudari, ipsas eidem ecclesie .... dignum duximus confirmari".

Ugoda z roku 1227 obejmowała wprawdzie postanowienia partykularne, odnoszące się tylko do jednéj dzielnicy Polski ówczesnéj, t. j. Szląska, lecz ponieważ regulowała w sposób szczegółowy i odpowiadający widokom kościoła polskiego obowiązek dziesięcinny, przeto nie pozostała bez wpływu na stosunki w innych dzielnicach, ale owszem, stała się podstawą do uregulowania stosunków dziesięcinnych w całéj Polsce. W lat sześć po zawarciu téj ugody, odbył się w r. 1233 synod prowincyonalny w Sieradzu, najstarszy, którego uchwały się dochowały, a więc tém samém dla ocenienia naszéj kwestyi najważniejszy. Rzeczywiście znachodzimy w jego statutach także postanowienia, dotyczące dziesięcin, a łatwo się przekonać, że myśli, które kierowały ugodą z r. 1227, tutaj w zupełności zostały przyjęte, i co tam dla jednéj tylko dyecezyi postanowiono, to tutaj uogólniono. Synod uchwalił z jednéj strony, że obowiązek opłacania dziesięciny jest powszechnym, że mu podlegają wszyscy „cuiuscunque sint conditionis", i że wszyscy winni opłacać dziesięcinę „ex integro", chociaż-by byli „aratores militum"; z drugiéj zaś strony uznał przywiléj dziesięciny swobodnéj, przysługujący rycerstwu, jak sądzimy po raz pierwszy, jako iustytucyę prawną powszechną w Polsce, i wyraził się zgodnie z dziejami jego powstania, że przyszedł do skutku „sive per tolleranciam sive per concessionem" ze strony kościoła polskiego[1]). Odtąd późniejsze synody zajmują się już tylko unormowaniem sposobu uiszczania dziesięciny przez rycerstwo, i odtąd równocześnie zmienia się znaczenie wyrazów, „decima libera", nie oznaczających więcéj dziesięciny dobrowolnéj, lecz obowiązkową, którą jednak wolno było uiszczać obranemu kościołowi.

Przywiléj ten przysługiwał rycerstwu polskiemu, jako stanowi, coby świadczyć mogło również, że stan ów dawniéj pod względem dziesięcin jeszcze więcéj uprzywilejowane zajmował stanowisko; inne natomiast klasy ludności, a w szczególności t. z. włodycy, klasa pośrednia między rycerstwem a resztą ludności, do korzystania z tego przywileju nie posiadały prawa[2]). To upośledzenie włodyków w tym kierunku wyjaśnić trudno; być może, że stanowisko społeczne téj ludności było dawniéj znacznie odmienne od stanowiska rycerzy, być może, że, nie posiadając własności większych, nie mieli sposobności zre-

---

[1]) Kod. dypl. Wielkop, I Nr. 150 str. 131.

[2]) Piekosiński: „O powstaniu społeczństwa polskiego". (Rozprawy i sprawozd. z posiedz. Wydz. histor. filozof. Akad. Umiej. t. XIV str. 221 i nast.

alizować wobec kościoła praw tych, które nabyło rycerstwo, jako właściciele kościołów, a może wreszcie, stan ten mógł mniejszy przeciwstawić opór żądaniom duchowieństwa; w każdym jednak razie, w chwili, kiedy rycerstwo zyskało przywilej dziesięciny swobodnéj, inne klasy ludności, a wraz z niemi i włodycy, ogólnemu obowiązkowi opłacania dziesięciny zostali poddani. Owa klasyczna ugoda z r. 1227 obejmowała również jedno postanowienie, które i do nich odnosić się mogło, a mianowicie: „*Liberi* vero et Iudei ubicunque in dicta castellatura Bytomiensi araverint, *decimam solvent ex integro*“. Sądzimy, że pod owo pojęcie liberi i włodyków podciągnąć można. Inny natomiast uzyskali przywiléj, tym razem już wspólny rycerstwu, a polegający na wolności od dowozu dziesięciny jéj właścicielowi[1]). Przywiléj ten określa szczegółowo dokument biskupa krakowskiego, Pawła, z 30 Listopada r. 1273, dotyczący zamiany gruntów we wsi Łososkowice na grunta we wsi Skrzyszowice, między pewnym rycerzem a kanonikiem płockim, w słowach: „Ita sane quod sepedictus miles, qui de agris suis in Lossoskouiz iure militari decimam solvebat, de agris etiam conmutatis in Cryseuiz quos bobus suis exarabit, ipse decimam tali modo dabit, quod collectis annonis suis decimatorem non expectabit, nec decimator in agro decimam euis accipiet vel signabit, sed ipse miles libere annonas suas ni horreum suum deducet, et decimam ibidem fideliter componet et sequestrabit, et dominus decime illius ville Cryseuiz vel alter nomine ipsius veniens, integraliter decimam illam accipiet absque ulla molestatione militis memorati“ [2]) a najdawniejszy ślad jego spotykamy już w r. 1257 [3]). Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powstał on niemal równocze-

---

[1]) Dowodzą tego akta sporu między scholastykiem krakowskim a dziedzicami wsi Miroszowa. (Kod. dyplom. Kat. krak. I Nr. 241 r. 1366 i II Nr. 263 r. 1367, którzy rościli sobie prawo do przywileju dziesięciny swobodnéj, lecz byli, jak się okazuje z zapiski sądowéj krakowskiéj z r 1417 (Helcel, Starodawne Prawa pol. pomn. II Nr. 1498), włodykami. Dla tego też słusznie akt z r. 1367, obejmujący wyrok w téj sprawie, odmawia im prawa korzystania z tego przywileju, lecz pomimo tego rozporządza, że pan dziesięciny, t. j. scholastyk krakowski, winien „easdem decimas.... proprio cum curru conducere“.

[2]) Kod. dypl. Katedr. krak. I Nr. 75.

[3]) Ulanowski, Dokumenty kujawskie i mazowieckie. (Scriptores Rer. polonic t. XII. Archiwum komissyi histor. tom IV Kraków 1888) str. 191 Nr. 17. W dokumencie tym przyznał Wolimir, biskup włocławski, niejakiemu Ozanowi, który się wzbraniał płacić dziesięciny z wsi Kwilino, i jego spadkobiercom prawo „quod decima sue arature in supradicta villa fideliter collecta, ipsam in proprium horreum deponi facient, quam dicto canonico et suis successioribus dabunt integraliter requisiti.“

śnie z przywilejem dziesięciny swobodnéj, i stoi z nim w ścisłym związku. Rycerstwo, poddane obowiązkowi opłacania dziesięciny, niechętnie zapewne poddawać się chciało dalszemu stosowaniu przepisów, dotyczących jéj poboru, a zwłaszcza temu, który postanowił, że ze zwożeniem zbiorów należy czekać tak długo, dokąd właściciel dziesięciny jéj nie wyznaczy, tudzież, że należy mu tę dziesięcinę do wskazanego miejsca odstawić. Duchowni nie jednokrotnie nadużywali swego stanowiska i niezbyt z wyznaczeniem dziesięcinnych snopów się spieszyli, wskutek czego nieraz plony leżące na roli marniały. Nadużycia te ze strony duchownych potępił surowo legat Jakób, w statutach synodu z r. 1248[1]), lecz równocześnie statuta te uskarżają się, że rycerstwo, nie czekając właściciela dziesięciny, zwozi zbiory do swoich stodół, i dopiero tam dziesięcinę oddaje[2]). Silnym jednak musiał być opór rycerstwa, skoro to, co w r. 1248 przedstawiało się jako wykroczenie przeciw przepisom kościoła, wkrótce potém przyoblekło formę uznanéj prerogatywy. Zdaje się być niemal pewném, że w téj mierze ustawodawstwo państwa, za pomocą uchwał wiecowych, wypowiedziało swoje zdanie.

Jakkolwiek w r. 1233 na synodzie sieradzkim dziesięcina swobodna została uznaną za instytucyę prawną i weszła w miejsce dawnéj wolności od opłacania dziesięcin, to jednak przez cały ciąg wieku XIII częste zdarzały się wypadki, w których dawne wyobrażenia i zasady się odzywały; w dokumentach wieku XIII możemy spotkać wzmianki o wsiach, od opłacania dziesięcin wolnych[3]), o oporze po-

---

[1]) W ustępie „Ut illi quibus debentur decime, recipiant eas infra octo dies post messes“ (Kod. dypl. Wielkop. I str. 233).

[2]) W ustępie „Ut milites colonis decimas non remittant“ (ibid.) w słowach, stojących w związku z temi uwalnianiami „Faciunt etiam milites antedicti aliud quod valde aggravat dictum factum: nam etiam illud quod deberent solvere ultra dictum sextum mansum et sextam partem omnium decimarum, *in campo nolunt persolvere secundum quod fieri consuevit, sed in horreo suo*;“ Tkwiła-by w tém postępowaniu rycerstwa tendencya owładnięcia w części przynajmniéj dziesięcinami, uiszczanemi przez kolonistów. Że przeprowadzenie zasad kościoła musiało na znaczny natrafić opór, świadczy sam legat Jakób w słowach, zamieszczonych przy końcu powyższego ustępu, a wzywających kler do energicznego postępowania „ne quod per multos sudores, et si fas et dicere, sanguines est a vestris predecessoribus aquisitum conservare per incuriam negligatis“.

[3]) W r. 1233 nadaje ks. Władysław Odonicz klasztorowi kolbackiemu wsie Trebecz i Dobropol „ab omni decimarium vel cuiuslibet servitii exactione liberas“ (Kod. dypl. Wielkop. I Nr. 145).

szczególnych jednostek przeciw temu obowiązkowi [1]), a panujący albo wyraźnie powołują się na dawne stosunki [2]), albo w przywilejach lokacyjnych [3]) uwalniają od opłacania dziesięcin. Tymczasem kościół polski szedł ciągle daléj, a budując na tém, co już zyskał, rozpoczął niemal od połowy wieku XIII działalność, dążącą do ograniczenia przyznanego rycerstwu z konieczności przywileju dziesięciny swobodnéj, i doprowadził w końcu XV wieku do jego zupełnego zniesienia [4]).

Lecz jeszcze w połowie wieku XIV pojawia się zajmujący przykład powstania dziesięciny swobodnéj, analogiczny z dziejami rozwoju téj instytucyi. W jednym dokumencie bowiem z roku 1343 [5]) arcybiskup Jarosław, widząc, że sołtys pewnéj wsi, wedle zwyczaju w Polsce przyjętego, ze swych łanów własnych dziesięciny nie płacił, poddał go owemu obowiązkowi, postanawiając „decimam persolvat et det libere sive iure militari“. A więc i w tym spóźnionym wypadku przywiléj dziesięciny swobodnéj wstąpił w miejsce dawnéj wolności od płacenia dziesięcin.

Porównywując wreszcie ów rozwój stosunków dziesięcinnych w Polsce ze stosunkami Zachodu, a w szczególności w Niemczech, przyjść musimy do przekonania, że, odpowiednio do różnych stosunków społecznych i ekonomicznych, i początkowe dzieje dziesięcin u nas także były odmienne. Dopiero w wieku XII zaczęły stosunki te układać się w Polsce podobnie, jak na Zachodzie, zwłaszcza o ile to dotyczyło pojęć o własności prywatnéj na kościołach i ich następstw; ponieważ jednak, pomimo tego, stosunki nie były analogiczne, przeto i akcya kościoła, w końcu wieku XII rozpoczęta, do innych doprowadziła wyników. W Niemczech nie zdołał kościół ani wywindykować wszystkich dziesięcin z rąk świeckich, ani poddać wszystkich

---

[1]) Ulanowski: „Dokumenty kujawskie i mazowieckie“ l. c. str. 191 Nr. 17.

[2]) W sporze z biskupem wrocławskim, Tomaszem II, wniósł w r. 1271 książę głogowski, Konrad, apelacyę, w któréj uskarża się na biskupa, że ten domaga się niesłusznie dziesięcin „cum non extet memoria, quod de eisdem terris prediales decime vestris predecesoribus ullo unquam tempore sint solute aut in contradicto iudicio sint obtente“ (Stenzel: „Urkunden“ l. c. str. 49 Nr. 45).

[3]) Statuta synodu z r. 1248, nadto Kod. dypl Wielkop. I Nr. 296, 412, 416, 419, i t. d. gdzie poręczano kolonistom wolność od ciężarów i dziesięcin przez pewien przeciąg czasu.

[4]) Dalsze losy dziesięciny swobodnéj, przynajmniéj w ogólnych zarysach, skreślił Helcel w cytowanéj na wstępie rozprawie o dziesięcinach.

[5]) Kod. Dypl. Wielkop. II. 1230.

temu obowiązkowi [1]), w Polsce natomiast, odebranie dziesięcin nie przedstawiało wielkich trudności i łatwo zostało przeprowadzone, zapewne dlatego, że nie istniała, oprócz dziesięciny kościelnéj, żadna inna o początku świeckim, a nadto powiodło się kościołowi poddać obowiązkowi opłacania dziesięciny i tę ludność, która jéj dotąd nieopłacała, z tą tylko na jéj rzecz ofiarą, że rycerstwu przyznano przywiléj dziesięciny swobodnéj.

Prof. D-r. Władysław Abraham.

[1]) Zajmującą również dla ocenienia stosunków między kościołem a państwem, co do dziesięcin w sąsiedztwie Polski, w Węgrzech, jest ustawa z r. 1439 art. 28 która postanowiła: „Nobiles tam jobagiones habentes, quam non habentes decimas solvere non teneantur, antiqua eorum libertate requirente“ (Zob. Katona: „Historia critica Regum Hungariae Stirpis mixtae“ T. V Ordine XII Budae 1790 str. 992).

Z POEMATU

„KRÓLEWSKA PIEŚŃ."

Długo a długo, spokojem objęta,
Drzemała Polan rozległa ziemica...
Na uroczyskach kapłanów pieśń święta
Brzmiała i Jesse miał promienne lica;
A ziemia, dłońmi ludzkiemi nietknięta,
Z rozwianym włosem lasów, jak dziewica,
Na srebrném łożu rzek, jezior i morza,
Spała snem cichym, jak kochanka boża.

Olbrzymie bory, świadki dni stworzenia,
Dziewiczéj ziemi kryły pierś zazdrośnie,
Tylko rzek węże, z przedwiecznego cienia,
Zimą spokojne, swarliwe ku wiośnie,
W szacie z bławatów tkanéj i promienia,
Biegły ku słońcu i dzwoniły głośniéj,
Aż czarnych lasów zrzuciwszy obrożę,
Grzmotem spienionych fal witały — Morze!

Tu świat się kończył. O synach téj ziemi
Zachodnich ludów nie wiedziała rzesza;
Dobrze im było z bogami swojemi,
Z tą ciszą borów, któréj nic nie miesza.
Tu jeleń stopy przebiegał lekkiemi
Długi pas kraju; spokojnie się wiesza
Koza na skałach, bo człowiek i zwierzę
Wieczystéj zgody zawarli przymierze.

Czasem siekierą ręka uzbrojona
Ukarze wilków wiarołomne plemię;
Czasem niedźwiedzia paszczęka czerwona
Plunie krwią ciepłą, bo toporów brzemię
Za gwałt doznany wyroku dokona
I dziką bestyę powali o ziemię:
Innych tu bojów, innych walk nie wiedli
Ludzie, w tych borach odwiecznych osiedli.

Stopą człowieka nietknięte ostępy
Zwiedzał zwierz tylko. Tur i żubr wspaniały
Miały swe gniazda; krogulce i sępy,
Kołując górą, straż borów trzymały;
Tu wilk czatował na zmarłych ciał strzępy,
Niedźwiedzie państwa wydzielone miały,
Na drzew konarach tańcowały rysie,
Świeciły oczy sów i kity lisie.

Tu bagna moczar, jak choroby sińce,
Na szmaragdowém puszcz usiadły łonie,
W nich spasłe brzuchy kąpały odyńce,
Smrodliwe w płuca zaciągając wonie.
Tu mrówek długie wiły się gościńce,
Pełzały gady; — w onéj boru stronie
Jeleń nie staje, ni wstrzymuje kroków
Sarna, kochanka słońca i potoków.

Zielony sztandar lasów wiał dokoła,
Przerznięty gęsto wstęgą rzek szeroką,

A kędy drzew się rozchodziły czoła,
Błyskało jezior wielkie, jasne oko.
U brzegów zrzadka rozsiadły się sioła —
Po dwie, trzy chaty z strzechą nie wysoką;
Snują się dymy tam i baśń się plecie,
Na kołach wiszą niewody i siecie.

Gdy noc miesięczna, cicha i pogodna,
Rzuci gwieździsty płaszcz na okolice,
Gwiazdami błyszczą niebo i toń wodna
I wschodzą razem dwa duże księżyce.
Wtém łódź się zrywa, pluska otchłań chłodna,
Po falach idą ciche błyskawice,
Łódź się kołysze po sennéj głębinie,
Jak ptak się nurza w kryształach — i płynie.

Cisza!.. Czasami przerwie sen tych borów
Ryk zgłodniałego wśród ostępu tura,
Krzyk orła krótki, głuchy stuk toporów;
Czasami dymów wznosząca się chmura
Zasyczy ogniem — i pełen kolorów
Las staje senny — głąb puszczy ponura
Zaszumi wówczas po-nad rzek wybrzeżem
Modlitwą jodeł i dębów pacierzem.

Szkliste wód tonie i pachnące zioła
Biorą współudział w tym borów pacierzu —
I dzwoni cicha pieśń nocy dokoła,
Przejrzysta, szklana... Na leśném wybrzeżu
Stoją drewniane chaty, chyląc czoła
Ku wodom; ziemia w mgły srebrnéj pancerzu
Przytula światło księżyca do łona,
Jak oblubieńca młoda narzeczona.

Dobrze im było!.. Stary druh człowieka,
Bocian, wił gniazdo, a jaskółek roje
Z za mórz spieszyły, gdzie tkliwa opieka
Czekała na nie. Słowiańskie dziewoje

Witały pieśnią wędrowców zdaleka:
— „Nad mém okienkiem przeléć, ptaszę moje!“
Wołała każda — dzwonił śmiech radosny,
Ptaszki im niosły pocałunek wiosny.

I wiodły z niemi rozhowor te dzieci
Szczęścia, pytając: z za mórz jakich płyną?
Czy takie jasne słońce, jak tu, świeci
Nad każdą inną téj ziemi krainą?
Prędko-ż Dziewanna w wieńcu róż przyleci?..
I nie zwlekały jaskółki z nowiną,
Lecz na odpowiedź widząc czekające,
Wiły pośpiesznie małych gniazd tysiące.

Ta praca ptasząt — to odpowiedź cicha,
Przybycia śpiesznéj wiosny zwiastowanie.
Goplana fala już szumi i wzdycha,
Weselsze słychać ptactwa świergotanie...
Ziemia się mai, źdźbło za źdźbłem wypycha,
Leniwe słońce jutro wcześniéj wstanie,
Rzuci promienia więcéj — ciepła — blasku...
Deszcz spadnie: wróbel kąpie pióra w piasku.

W zieloném morzu już bocian się pławi,
Czerwoną nogą stawia krok poważny;
Przez niebo płynie, jęcząc, klucz żórawi,
Prowadzi stado swoje wódz uważny,
Napróżno czasu drogiego nie trawi,
Przebiegły zawsze i zawsze odważny,
Ciągnący trójkąt oblata wokoło,
Szykuje, równa i wraca na czoło.

Wiosna, wiosenka!.. Na to hasło dane,
Świat się ubierał w róż wieńce i zieleń —
I serca ludzi, jéj ciepłem owiane,
Pełne radości były, rozweseleń.
W borach się budził zwierz — oczy zaspane
Otwierał... Pierwszy z puszcz wychodził jeleń,

I na grzbiet kładąc swych rogów konary,
Rzucał się w chłodny nurt jezior. — Żubr stary

Potrząsał głową, wietrzył i, do góry
Podnosząc siwy łeb, grzmiał na las cały —
Myślałbyś, że padł grom z dalekiéj chmury...
To król się budził... echa go witały
Odgłosem grzmotu. A przez niebo sznury
Ptactwa ciągnęły i hejnałem brzmiały,
I wszystko drżało pieśnią niepowszedną,
Że cały świat się zdawał arfą jedną.

I jeden Jesse na niebie królował,
I jeden tylko był władca w téj ziemi,
Rodem najstarszy, który rząd sprawował;
I jeden tylko był Dąb, co swojemi
Ramiony sięgał gwiazd i czoło chował
W błękitach, i wiał liśćmi zielonemi
Nad zbiorowiskiem ludu, jako świadek
Przysiąg i narad jego, wróżb i gadek.

Mówili wieszcze, że ten dąb prastary
W pierwszych dniach świata sam Stwórca posadził
I dłonią własną wydłużył konary,
I własną piersią jego pierś wygładził;
Że tu najlepiéj udają się czary,
Że lud ma radzić tu, by zgodnie radził...
I stał ten olbrzym podniebny, a kołem
Kłaniała mu się puszcza, lud bił czołem.

I taka cisza i spokój od wieka
Gościły w Polan prastaréj ziemicy.
Jeden ból tylko szarpał pierś człowieka,
Gdy przechodzili przez próg żałobnicy
Po ciało zmarłe; gdy martwa powieka
Drogiéj istoty światłem swéj źrenicy
Nie spojrzy nadal; — wtedy skargi biły
Od sierocego progu — do mogiły.

Żałobne pieśni brzmiały, gdy niesiono
Na Górę Śmierci ukochane zwłoki;
Pękał szarpany włos, ból targał łono,
Płakały płaczki, zanim płoszcz szeroki
Płomienną ognia nie strzelił koroną
I dym ze stosu nie wionął w obłoki.
Płacz milknął wonczas, bo to była droga
Przez dym ten, ogień i tę pieśń — do Boga!

Czasem się rozgrzmiał Perun i odmęta
Wichrów potrącił i pognał od morza
Biczem piorunów, że fala wód wzdęta
Strwożonych jezior i rzek wyszła z łoża...
Ale od czego kapłanów pieśń święta
I łódź lipowa, i wieszczków moc boża,
I czarodziejów zaklęcia?.. Strach marny!
Na wodę — łódź jest, od burz — stos ofiarny.

Prędko łzy przeschną i burza przegoni,
Prędko do koryt swoich rzeki wrócą —
I znów wrzeciono drży w niewieściéj dłoni,
O czary pieśni dziewczęta się kłócą;
A gdy gęśl cicho w noc cichą zadzwoni,
Lekkie, jak duchy, w powietrze się rzucą,
I kędy jezior fale zwierciadlane,
Przy dźwiękach gęśli skaczą, w mgłę rozwiane.

W wieczór majowy, czy skwarny dzień letni,
Wolnego ludu pieśń swobodna brzmiała,
Arfianym śpiewom wtórował dźwięk fletni;
A gdy znużona gędźba ustawała,
Pieśń swą zaczynał Dąb tysiącoletni,
Drżał liśćmi, chwiał się i, połową ciała
Bijąc powietrze, chmurą mgieł okryty,
Szelestem hymnów smętnych wiał w błękity.

Śpiewał Dąb święty... słuchali młodzieńce
Pieśń tę rodzinnych lasów prarodzica;

Na twarzach dziewcząt tańczyły rumieńce,
Na czołach starców siadała tęsknica
Za tą młodością dawną, której wieńce
Na skronie inne włożyli — i lica
Łagodny smutek tęsknoty owiewał,
Bo lat minionych wspomnieniem dąb śpiewał.

Po czarach wiosny i promiennem lecie,
Po zakończonych trudach miodobrania,
Gdy nad głowami zimowe zamiecie
Wichrem zagrają, a świat się osłania
Szeroko szatą śnieżystą, — lud-dziecię
Słuchał cudowne bab opowiadania —
W świetlicy płonął i syczał stos duży,
Bo dzień daleko a powieść się dłuży.

I plotła baba o cudownym młynie,
Który, przez duchy zaklęte stawiony,
Miał tajemnicze zwierciadło w kotlinie...
W tę otchłań wodną wieszczbiarz zapatrzony
Zgadywał dolę ludzką — prędzéj zginie
Świat, nim się wróżbiarz pomyli natchniony —
I plotła baba o tym zuchu, który
Dęby z korzeniem rwał i walił góry.

I rosła bajka, bo wróżbiarka stara
Miała powieści ilość nieskończoną.
W zgrzybiałych dłoniach snuła się nić szara,
Równa a długa — burczało wrzeciono,
Stos płonął... Ona, jak tajemna mara
Lat czarodziejskich, pod dymu osłoną,
Widząc wpatrzone w siebie oczy, tchnienia
W piersiach zaparte, zlęknione spojrzenia,

Wstrzymane bicia serc, — na klocu z drewna,
W barwistéj płachcie, od ognia czerwona,
Jak gdyby państwa sennego królewna,
W koronie blasków i z berłem wrzeciona,

Władczyni świata snów i duchów krewna —
Milkła w pół bajki, by, prośbą naglona,
Z wahaniem pewném (bajarka prawdziwa!)
Snuć baśń swą daléj, niby nić przędziwa.

I nieraz jeden pies szczeknął stróżliwy,
I nieraz jeden zapiał kur na dworze,
Nim baba zmilkła... Gasł ogień leniwy —
Bajarka spała. W milczącéj komorze
W szept uderzano; zasłyszane dziwy
Sen odganiały natrętny, — nie zmoże
Oczu on prędko, przed któremi stawał
Świat baśni i snom przystępu nie dawał.

Tak, pośród bajań zimowych wieczorów,
Wśród trudów lata i wiosny zachwytu,
Przy dźwiękach pieśni i szelestach borów,
Pod strażą lasów, i gwiazd, i błękitu,
W krainie pełnéj światła i kolorów,
Spływał czas długi... Z niebieskiego szczytu
Patrzyło słońce, niby oko boże,
Śpiewały wiatry i hen — grało morze.

Obcy tu przybysz nie stanął ni razu...
Ale ot — nagle, jeden się zabłąkał.
Z mowy Polanów nie znał ni wyrazu,
Jakimś językiem bełkotliwym brząkał;
Bogów ich nie czcił, do swego obrazu,
Co miał na szyi, kłaniał się i jąkał
Modlitwy inne, niż oni — inaczéj
Czcił swego Boga — a no! cóż to znaczy?

Zjawił się jeden, wnet drugi nieznany
Zawitał z dużą swą torbą podróżną...
Gościnnie w chacie słowiańskiéj witany,
Znajdował nocleg i misę niepróżną,
Złotego miodu spijał dzban gliniany,
Łamał chleb czarny, miał usługę różną,

Jak w domu własnym: przyjęcie łaskawe,
Ciepło ogniska, stół wspólny i ławę.

Więc za gościnę wdzięczny, pełną gratów
Otwierał sakwę, darząc dziewcząt hojnie:
Jednéj podwójny rzucał sznur granatów,
Który skroń zdobi, pierś ubiera strojnie;
Innéj naszyjnik z bursztynów, téj z kwiatów
Robionych wieńce, — i żegnał spokojnie
Strzechę gościnną, unosząc nawzajem
Dary z skór turzych lub rysich. — Szedł krajem

Głuchym, zapadłym, od czasu do czasu
Wstrzymując kroki, patrząc na bieg słońca
I cięciem miecza znacząc drzewa lasu;
A głucha puszcza słała się bez końca,
Do olbrzymiego podobna szałasu,
Szelestem liści, jak arfa, grająca;
Z przeciągłym jękiem przebiegał wiatr górny,
Zapachy biły, jak z ofiarnéj urny.

Zkąd ci wędrowcy nieznani, co częściéj
Zaczęli zwiedzać gościnną ziemicę?
Z kraju własnego gnałoż ich nieszczęście?
Czy dziewic hożych otwarte źrenice
Wabiły czarem?.. W puszczach coraz gęściéj
Znaków na drzewach — wszystkie okolice
Nosiły piętna tych znamion tajemne,
Niezrozumiałe, jak zagadka, ciemne.

I nikt nie pytał ich, co oznaczała
Ta liczba znaków, jaką wciąż kreślono?
Ślad to ich drogi... W świetlicy gęśl brzmiała,
Wartko po izbie biegało wrzeciono,
Wróżbiarka starą baśń opowiadała,
Dziewczęta z jakąś trwogą utajoną
Czekały na tych, co z obcéj krainy
Umarłe kwiaty nieśli i bursztyny.

Długo tak było — ten spokój, to święto...
Aż raz daleko, daleko za Wisłą,
Coś zaszumiało, coś z siłą przeklętą
Wstrząsło puszcz głębią. Na niebie zawisło
Znamię czerwone, jakby rozciągnięto
Płaszcz purpurowy... Sto krwawych zabłysło
Mieczów — stu wyszło z puszcz czarnych olbrzymów
W zbrojach żelaznych. — Wśród ognia i dymów

Lasów płonących, wśród okrzyków trwogi,
Przez ludzkich siedzib zgliszcza i zwaliska,
Przy wrzasku rzniętych ciał, krwawéj pożogi
Łunie, tratując ziemię, która, śliska
Od krwi, jęczała, — jak zniszczenia bogi,
Po których przejściu śmierć i popieliska,
Szli ci, co niegdyś, z dalekiéj krainy
Umarłe kwiaty nieśli i bursztyny.

I kędy przeszli, z traw i ziół odarta
Patrzyła ziemia piersią obnażoną;
Na niebie krwawa łuna rozpotarta
Milczącą groźbą wiała. Lasy płoną!
Kraina cała, jak rana otwarta,
Broczyła strasznie posoką czerwoną;
Przezrocza jezior miały dno plamiste,
Duszącą trupów woń i piętna krwiste.

Nieznanym krzykiem mordu, który echem
Długiém przeciągnął przez lasów obszary,
Zwierz przerażony umykał z pośpiechem,
Krył się w wąwozy gór, zapadał w jary,
Wił się i skomlił... Zatrutym oddechem
Puszcza ziewała; czerwone opary
Słały się długą wstęgą rozciągnięte...
Słońce wschodziło większe, krwią odęte.

Daremnie w dłoni w bój niewprawnéj młodzi
Niekształtny, ciężki topór, jak grom błyska;

Długi niemiecki miecz zuchwaléj godzi,
W pierś obnażoną bezpieczniéj się wciska,
Pije krew ciepłą i serce znachodzi!
Daremno w pancerz młot bije — nie pryska
Zbroja żelazna tak, jak pierś człowiecza,
Nie złamie topór niemieckiego miecza!

Nie prędko serca żałobę zrzuciły
I cichéj gęśli ozwała się struna.
Zaledwie trawą zarosły mogiły,
Po-nad lasami znów błyskała łuna
Krwawa, pioruny ciężkich mieczów biły,
Na progu chaty kładł się trup i truna —
I długo próg ten zostawał sierocy
W okowach wspomnień czarnych, w strachu mocy.

Na uroczyskach, gdzie lud téj krainy
Niósł pieśni bogom, była cisza głucha;
U progów świątyń drżały krwi rubiny,
Na dnie ofiarnéj urny — trawa sucha,
U stóp ołtarzy — zastygły trup siny,
Z okropném piętnem rwącego się ducha,
Który przemocy oprzéć się nie zdołał,
Ale do wieków przyszłych „zemsty!“ wołał.

Kazimierz Gliński.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Stosunki dyplomatyczne Rossyi i Francyi w epoce Napoleona I. *Pod redakcyą prof. Aleksandra Traczewskiego T. I, 1800 — 1802.* (Petersburg 1890, Wydawnictwa Cesarskiego Ross. Towarzystwa Historycznego, T. LXX.

Albert Vandal: Napoléon et Aleksandre I L'alliance russe sous le premier empire I. De Tilsit à Erfurt. (Paris, 1891, Plon).

Corespondance diplomatique du comte Pozzo di Borgo et du comte de Nesselrode. 1814—1818, I Paris 1890.

Od pewnego czasu zbudziło się we Francyi i Rossyi żywe zajęcie śród historyków i publiczności dla dziejów francusko rossyjkich w epoce nowożytnéj. Dla łatwo zrozumiałych powodów, studyowaną bywa ze szczególném zamiłowaniem niedługa chwila trwania sojuszu obu państw za pierwszego cesarstwa. Z licznych prac najnowszych, dotyczących téj epoki, wyjmujemy dwie wydatniejsze, wymienione w nagłówku. Są to zresztą prace różnéj miary, aczkolwiek tendencyi pokrewnéj. Prof. Traczewskij, historyk z powołania, obok prac obszernych, drukowanych po rossyjsku, dał się téż poznać jako częsty spółpracownik *Revue historique* paryskiéj. Dzieło, wychodzące pod jego redakcyą, stosownie do dotychczasowego planu cennych wydawnict Towarzystwa historycznego petersburskiego, jest przedewszystkiém kompletnym zbiorem dokumentów źródłowych do danéj epoki, — poczęści wprawdzie znanych już skądinąd, — czerpanych z archiwów petersburskich i moskiewskich oraz paryskiego archiwum spr. zagr.

Nadmiar materyału stał się powodem, że pierwszy tom, który mamy przed sobą, obiął jedynie okres dwuletni, najmniéj w wypadki obfity; całość winna zająć co najmniéj pięć tomów. W uczonem słowie wstępnem kreśli wydawca obraz szczegółowy ogólno europejskiéj akcyi politycznéj w tym okresie, usiłując z nią powiązać w jedną całość logiczną ogłoszone daléj teksty; zarys ten grzeszy zbytniém wdaniem się w szczegóły, a wskutek tego — zawiłością. Uzupełniają wydawnictwo cenne „uwagi“, umieszczone na końcu, a gdzie również znajduje się sporo materyału, niewydanego dotychczas.

Układy dyplomatyczne między pierwszym konsulem a ces. Pawłem, od których rozpoczyna się wydawnictwo prof. T., nader są interesujące pod względem osobistym, lecz nie posiadają głębszéj doniosłości historycznéj. Nową jest tutaj korespondencya Talleyrand'a z wicekonsulem Paninem, jego negocyacye w Paryżu z nadskakującym Sprengtportenem, tym nieocenionym typem dyplomaty o rysach falstaffowskich, i mrukliwym Kołyczewem; zupełniejszy obraz tych układów, poprzedzających zawarcie pokoju lunewilskiego, znajdzie czytelnik w przygotowanéj obecnie do druku książce p. Pallaina „Ministeryum Talleyrand'a za Konsulatu“. Ze zmianą panowania, znacznie ożywiają się stosunki między Paryżem a Petersburgiem. Dla pierwszego konsula, który z wielkim trudem zaskarbił był sobie zaufanie Pawła I, był to cios dotkliwy. Cesarz Aleksander I uchodził za przyjaciela Anglików, najbliższe jego otoczenienie składało się z młodych „anglomanów“. Niepokój z tego przebija się w ciekawych depeszach posłów francuskich w Petersburgu, Duroc'a (Maj 1801), Caulaincourt'a (Listopad 1801), Hédouville'a (Kwiecień 1802). „Zwłaszcza Strogonowowie i Czartoryski,—powiada w przedmowie prof. T.,—domagali się aby kres postawiono widokom ambitnym Francyi“. Nie należy stąd wnioskować, jakoby uczony wydawca dał się porwać tendencyjnemu z tego powodu oburzeniu; przeciwnie, nigdzie nie napotykamy u niego owych niedwuznacznych insynuacyi, które, jako szczególny wyraz francuzofilstwa, pojawiają się w nowéj książce, traktującéj o tych samych sprawach, nie historyka wprawdzie, lecz publicysty, p. Tatiszczewa. („*Alexandre I et Napoléon.*“ Paris 1891). Zresztą sami Francuzi, najbliżéj zainteresowani, potrafili zachować bezstronność, i ambasador konsula, generał Hédouville, z całym szacunkiem kreśli portret politycznego swego przeciwnika na dworze petersburskim[1]). Istotnie,

[1]) Hédouville do Talleyrand'a, 7 frim. an X (28 Listop. 1802): „le prince Czartorijski, que Vous me recommandez de cultiver, ne travaille pas directement avec les ministres étrangers et ne les reçoit point chez lui d'après un usage particu-

przeszkody, jakie tu napotykali posłowie francuscy, nie powstały z „intryg“ żadnych, lecz wyniknęły z samego dziejowego przebiegu stosunków politycznych obu rządów od dwóch przeszło stuleci, oraz z zupełnéj różnolitości pod względem społecznym i towarzyskim. I tutaj należy podnieść objektywność naukową prof. T., który w swém słowie wstępném, krótko kreśląc zarysy stosunków rossyjsko-francuskich za Katarzyny, nie ze wszystkiém wpada w ów ton „anachronistyczny“, że wyrazimy się najoględniéj, jaki ze zdumieniem napotykamy nawet w uczoném a urzędowém wydawnictwie p. Rambaud (*„Recueil des instructions, Russie“*, T. I, Paris 1890).

W rzeczy saméj okazuje się, że układy paryskie, prowadzone przez samego Bonapartego i Talleyrand'a, szły jak z kamienia, głównie z winy posła Morkowa (Październik 1801), o którym wiemy skądinąd, że był osobistym nieprzyjacielem ks. Adama. Zaznaczamy przy téj sposobności zajmujące, a bynajmniéj nie pochlebne, materyały do „biografii Morkowa“, tego dyplomaty, przypominającego się jeszcze z ostatniego dziesiątka XVIII w., wykazane przez prof. T. (str. 713—715), oraz ciekawą denuncyacyę ambasadorską (540). Teksty do układów paryskich 1801 r. z rozlicznych względów są interesujące. Szczególne uczucie budzi już obraz „markiza“ Lucchesiniego, wycierającego kąty w przedpokojach pierwszego konsula i jego ministra; biedny „markiz“, który jak dzieciaków prowadził ongi warszawskich „Arystydesów“ i innych mężów stanu, jakże opłakaną rolę odgrywa wobec nasępionego generała Bonapartego, lub uśmiechniętego pogardliwie Talleyrand'a[1]). Sam układ z d. 8 Paźdz. 1801 r. we wszystkich swych szczegółach zyskuje jasne oświetlenie; nie bez zasady upatrywać w nim chciano (np. *Ranke* w *Hardenbergu* II, 60 i nast.) pierwsze wyraźne przez konsula wyrzeczenie się legionów, a zarazem pierwszy wyraźny krok do tronu; jak wiadomo, z mocy art. III układu, z obu stron skwitowano się nawzajem z emigrantów.

Przechodząc teraz do książki p. Vandala, otwierającéj się z 1807 rokiem, wypada nam opuścić okres pięcioletni, nader doniosły dla roz-

---

lier en Russie, que les personnes attachées au ministère des aff. étrang. et les ministres des autres parties du gouvernement nepeuvent correspondre avec le corps diplomatique, qui ne peut voir directement que le chancelier (Woroncowa)... Souvent le prince Czartorijski est présent à nos conférences particulières avec le chancelier... mais il parle peu ou point. On le rencontre très souvent en société; on le dit studieux et fort instruit. Je suis forcé par inclination à rechercher son amitié et je le ferai autant que leurs usages me le permettront. Ces usages sont si sauvages.“ Traczewskij, 564, 565.

[1]) Lucchesini „est peu considéré, ainsi que sa femme“, „il est maltraité aux audiences du premier consul, qui lui tourne le dos“. Bonaparte nazywał go pu-

woju stosunków francusko-rossyjskich; lukę tę wypełnią następne tomy wydawnictwa prof. T.—P. Vandal, spółpracownik stały *Revue des deux mondes*, jest literatem raczéj, niż historykiem; czytelnikowi polskiemu znany jest, między innemi, z zajmującego studyum o przybyciu do Polski Maryi Gonzagi, małżonki Władysława IV. Już sam tytuł książki, traktującéj o stosunku dwóch władców, a nie dwóch państw, jak u prof. T., wykazuje różnicę metody obu autorów. Zresztą praca p. Vandala również oparta jest na studyach archiwalnych, przyczém korzystał też autor z archiwów prywatnych, np. hr. Pozzo di Borgo. P. V. otwarcie i z naciskiem stwierdza tendencyę polityczną, która kierowała jego pracą [2]). Znajdujemy tu nadzwyczaj ciekawe raporty poufne, dyalogowane niekiedy, Savarego, wysłanego do Petersburga latem 1807, i Caulaincourt'a (od Grudnia t. r.). Pomimo całéj serdeczności w Tylży, położenie Savarego w Petersburgu nader było przykre; literalnie nigdzie go przyjmować nie chciano. Co prawda, ani charakter dwuznaczny, powiedzielibyśmy policyjny, księcia Rovigo nie budził sympatyi, ani, tém mniéj, głośny jego udział w egzekucyi ks. d'Enghien [3]). Lecz nawet po jego odwołaniu, elegancki i świetny, a z dobréj szlachty, de Caulaincourt, ciężkie miał przeprawy w Petersburgu. Powiedzmy przy téj okazyi, że pogląd p. V. na Caulaincourt'a, jako wiernego sługę, przywiązanego ślepo do osoby Napoleona „sercem szlachetném, prawém, rycerskiém", uważamy za błędny. Z pamiętników Metternicha i Talleyrand'a można się przekonać, że Caulaincourt był przedewszystkiém kreaturą Talleyrand'a, że niezawsze w interesie Napoleona działał, że mianowicie w jego zamiarach matrymonialnych był mu przeszkodą. Napoleon przenikliwy sam to czuł raczéj, niż wiedział, kiedy, dowiedziawszy się o radach techniczno-militarnych, jakie dawał Caulaincourt w Petersburgu, ostro go karci w piśmie odręcznem: „pamiętaj, że jesteś najprzód Francuzem" (Maj 1808, u *Vandala* 331).

W Paryżu tymczasem ponawiają się sceny z 1801 r., z tą jeno różnicą, że w miejsce Morkowa jest źródłem kłopotów Napoleona

---

blicznie „l'intrigant italien." Ob. depesze Morkowa z 24 Maja, 23 Czerwca 1801 Ib. 153, 187.

[2]) „les deux peuples .... deux pôles de l'Europe... associés par le parallélisme des intérêts et la rencontre des sympathies" i t. d. *Vandal* passim.

[3]) Sam dla innych surowym jest sędzią. O ks. Adamie powiada: „il a une conduite inexplicable, a l'air de ne se mêler de rien, et l'opinion le place partout. On ne sait ce qu'il veut; il voit peu de monde... Je l'ai trouvé fort au dessous de sa reputation" *Vandal*, 125, raport Savarego z 23 Wrześ. 1807. (raport ten był już ogłoszony przez p. V. w *Revu d'ist. dipl.* w zeszycie III za 1890 r.)

upór i niechęć posła hr. Tołstoja, który, zakochany w dodatku w pięknéj pani Récamier, odwiedzając ją co wieczór i rojalistów u siebie przyjmując w gmachu ambasady—podarowanym mu przez Napoleona a odebranym Murat'owi, — podwójnie jest niemiły cesarzowi. Żadne grzeczności ze strony Napoleona nie są w stanie złagodzić antagonizmu zakorzenionego. Dochodzi do tego, że marszałek Ney, do szabli skory a obcy subtelnościom dyplomatycznym, posyła wyzwanie posłowi, nazbyt już wyniosłemu względem swych gospodarzy. Głębsze tkwiły tu pobudki: w przyjaźni obu rządów—powiada p. V.—„jeden był punkt czuły a bolesny: była to sprawa Księstwa". Nawet sławne pismo Napoleona z 2 Lutego 1808 r., zawierające nowe „objawienie" polityczne. olbrzymie plany indyjskie, podziału Turcyi, wypraw egipskiéj i perskiéj, zmiany karty politycznéj trzech części świata, nie potrafiły zasłonić owego drobnego „punktu". Znowu zresztą zdaje nam się, że p. V. zbyt seryo traktuje znaczenie tych wielkich projektów napoleońskich; zdaniem naszém, bawiono się tu raczéj *z obu stron* w „finezyę"; jedna strona pragnęła oślepić, druga udawała ślepą. Rozprawiano téż szeroko o uczynieniu Konstantynopola „miastem wolném" (305); lecz kiedy przyszło z kolei mówić o Szląsku, o który upominał się Napoleon, słyszéć o tém nie chciał Rumiancow, rozumiejąc dobrze, że chodzi tu o połączenie Saksonii z Księstwem. „Jeżeli zażądamy *Berlina*, mniéj to ich zaniepokoi", pisał z tego powodu Caulaincourt, (raport z 17 Lut. 1808 r., 218).

Jak wiadomo, skończyło się na razie na niczém, t. j. na świetnym zjeździe erfurckim. P. V. daje barwny obraz tego spotkania, gdzie, w otoczeniu „parteru królów", Napoleon, u szczytu potęgi, odzywa się w rozmowie: „kiedy byłem porucznikiem artyleryi". Szkoda tylko, że p. V. nazbyt się porwać daje świetności obrazu. W „pamiętnikach" Talleyrand'a zaglądamy za kulisy erfurckie, odczuwamy w powietrzu burzę, któréj opis winien stanowić treść drugiéj części dzieła p. V. Téj części nie ujrzymy zapewne tak rychło.

Rokowania dyplomatyczne 1814 i 1815 r., tak doniosłe w swych skutkach a tak w krzyżujących się intencyach powikłane, posiadają obfitą literaturę pamiętnikarską i historyczną, do któréj książka niniéjsza stanowi nowy przyczynek źródłowy. Pozzo di Borgo, w charakterze posła ruskiego, opiekował się Ludwikiem XVIII w Paryżu i, podczas Stu dni, w Gandawie; hr. Nesselrode, minister spr. zagr., zasiadał w Wiedniu, z Metternichem i Castlereaghem, za stołem anatomicznym kongresu; obadwaj, zaprzyjaźnieni osobiście, nie

mieli dla siebie tajemnic. Jeśli w korespondencyi Talleyrand'a z Ludwikiem XVIII (ogłoszonéj przed kilku laty przez p. Pallaina) uwydatniło się zbliżenie Rossyi do Prus na kongresie i jéj antogonizm względem Austryi w sprawie sasko-polskiéj, niniejsza korespondencya Pozza ujawnia przeciwnie czynniki, zniechęcające Rossyę dla Prus a pociągające ku Francyi; i bodaj, czy nie ten właśnie szczegół był w obecnéj chwili pobudką dla wydawcy francuskiego. Nowy ten zwrót dokonał się dosyć niespodzianie. Jeszcze pod datą 27 Września 1814 r., wzywając Pozza do Wiednia, pisze Nesselrode, w liście poufnym: „jeśli Austrya nie ustąpi dobrowolnie, nie wiem, do czego dojdzie. Mamy za sobą Prusy i 500 tys. ludzi...., świat nie zginie przecie, jeśli zatrzymamy dla siebie w Księstwie o dwa śmietniska więcéj“ (83). Jednak powrót z Elby i ponowne nad Francuzami zwycięstwa wywołały ze strony Prus takie ekscesy w czynach i pożądaniach, że musiała nastąpić ze strony Rossyi reakcya. W depeszy z 9 Lipca 1815 r. (203 i nast.), donosi Pozzo o dzikiém zachowaniu się w Paryżu wojsk pruskich, którym nareszcie sam twardy ks. Wellington zmuszony jest stawiać opór, kiedy zabierają się do wysadzenia w powietrze mostu Jena. Projekt pruski podziału Francyi wychodzi na jaw. „Jeśli Francya przyjmie ten układ, (ofiarowany przez generałów pruskich) jest ona wykreślona z karty Europy..., stawia on z rozmysłem warunki niewykonalne, aby stworzyć pretekst do nowych gwałtów; jest to arcydzieło zniszczenia: widzę w niém nie wściekłość, lecz wyrachowanie, dążące do swych celów ze skutkiem nieomylnym“, (depesza Pozza z 27 Lip. 1815 r., 208 i nast.). Tuż podany tekst dosłowny sławnego listu Ludwika XVIII do ces. Aleksandra z 23 Września 1815 r. Wysoce pouczające byłoby zestawienie tego listu z pismem Stanisława Augusta do Ludwika XV z 16 Paźdz. 1772 r. W tak krótkim czasie jakże odmieniły się losy: wnuk monarchy, którego opieki szukano, sam teraz ręce składa do prośby. Czynił to wprawdzie z całkiem inną godnością: Burbon mógł grozić tém, o czém ani pomyślał Poniatowski — abdykacyą. To odwołanie się do rycerskich uczuć i szlachetności ces. Aleksandra, poparł Pozzo pomyślnie konsyderacyami politycznemi. „Dążąc do rozczłonkowania Francyi,— pisze w raporcie,—stanęły Prusy na czele nowéj rewolucyi; jeśli nie zostaną poskromione, Europa narażoną będzie na niepokój i wojny bez końca. Potryotyzm niemiecki żywi oczywiste plany zaborcze..., łącząc żargon religijny z całą zajadłością sekciarstwa. Armia pruska, przejęta tym duchem, wpływy gabinetu ściągnęła do kwatery głównéj; kanclerz pruski zmuszony jest codzień powoływać się na względy przynależne armii, jako na argument, usprawiedliwiający środki najbezecniejsze i pretensye najbardziéj przesadne. Czas zastanowić się

nad skutkami téj nowego rodzaju rewolucyi, która w samym środku Europy się rozwielmożnia, któréj podżegacze działają z nami ręka w rękę i korzystają ze wszystkich przywilejów..., wytwarzając nowy entuzyazm zbrojny, posługując się piórem Makiawela i szablą Mahometa". Istotnie, po przeczytaniu tych słów, uprzytomniać sobie dopiero potrzeba, że odnoszą się nie do doby dzisiejszéj, lecz pisane były na początku stulecia.

Szymon Askenazy.

M. Czerneda (Mieczysław Bierzyński).—*Szkice.* Warszawa, 1891 r.

Zebrać spuściznę literacką po zmarłym zbyt wcześnie młodym pisarzu, który zdążył jednak zaświadczyć już o swém uzdolnieniu, ale głośnego imienia nie pozyskał, jest to w każdym razie dobry uczynek ze strony firmy wydawniczéj. Zgasły Mieczysław Bierzyński, który, jako z zawodu prawnik, utwory belletrystyczne podpisywał pseudonimem „Czernedy", rozpoczął zawód pisarski od poważnych monografii w zakresie dziejów krajowych, wczasy snadź tylko poświęcając belletrystyce, bo pod kilku jego w tym rodzaju utworami czytamy podpis: Graefenberg. Z częścią tych jego utworów spotykaliśmy się już w „Tygodniku Illustrowanym"; reszta zdaje się pierwszy raz światło ujrzała w niniejszym zbiorze.

Zatytułowano go „Szkice". I rzeczywiście są to tylko szkice, nieraz posunięte aż do drobiazgów, które tematów szukają sobie przeważnie w sferach społeczeństwa poziomych, upośledzonych. To nas do zbioru nie zraża, przeciwnie: są to sfery najmniéj nam znane, albo źle znane, często przedstawiane w ramach fantazyi, nie rzeczywistości, i dlatego témbardziéj poznania godne. Jeżeli belletrystyka nasza rzuciła na te sfery cośkolwiek więcéj prawdziwego światła, to dopiero w ostatnich czasach: romantycy zwykli byli oświetlać je sztucznie. Bierzyński, jako dziecko ostatniego okresu, wychował się w atmosferze umysłowéj realistycznéj, zdołał jednak opędzić się przepełniającym ją mikrobom naturalizmu: nigdzie przynajmniéj u niego wpływów tych nie widzimy.

Nie potrząsa on przytém chorągiewką tak zwanych haseł, ani ujawnia predylekcyi do pewnych grup społecznych z ujmą dla innych,

a większe zajęcie się ludem prostym znamionuje u niego raczéj skłonność artystyczną, niż socyalną: pociąga go bieda, niedołęztwo, ciemnota. Ależ i ci biedni, niedołężni i ciemni, to także są ludzie, to są jego bliźni i jego ziomkowie: oddaje więc im, co powinien — miłość; kreśląc szczegóły niedoli, oddaje ich pod opiekę ogółu, nie kazaniem, lecz najprostszém przedstawieniem. Nie zajmuje się specyalnie ludem wiejskim, kreśli niedolę maluczkich zarówno wszędzie, gdzie ją zajrzy, przed czy za rogatkami miasta, a do postrzegania jéj zawód prawnika bardzo mu dopomaga. Patrzéć jednak a zobaczyć wielka to różnica; zobaczyć a odczuć i odczucie to przesłać innym, wprowadzić ich w sferę wzruszeń własnych — to już dar osobisty, czyli, co w sztuce nazywamy talentem. Iskra ta tliła w piersiach zgasłego, bo niejednokrotnie działanie jéj daje się czuć czytającemu.

Daremnie tu jednak szukalibyśmy sztuki w pełni jéj rozwinięcia, takiéj, która całością i wykończeniem szczegółów odrazu uderza, jak skończony obraz malarza na wystawie, który przez połączenie rzeczywistości z fantazyą odrazu zwraca oczy wszystkich: jest to raczéj album pierwszych rzutów kredkowych, główna treść obrazów, zaledwie dająca wyobrażenie o duchowych siłach kompozytora, ujęta w formę przemawiającą więcéj do znawców, niż do ogółu, dla którego ona zawsze będzie zbyt prostą.

Cóż to bowiem za epos, jeżeli chłopiec wiejski, „W zamkniętéj chacie“ sam jeden cały dzień siedząc o głodzie, wylewa na się garnek wrzącéj wody i w męczarniach skutkiem tego umiera? Toć to zdarzenie, jakich mnóstwo zamieszcza „kronika wypadków“ każdego Kuryera. Ależ niejeden fakt, ogłoszony przez reportera, kryje częstokroć na dnie jakiś materyał nawet dla głębokiego dramatu: wszystko zależy od sposobu wyzyskania, a więc od formy. Dlaczego tu chłopiec kilkoletni, może przyszły filar społeczny, zginął? Uboga matka, wdowa, potrzebując udać się o milę na jarmark, nie mogła zostawić dziecka przy bonie, dla bardzo prostéj przyczyny; nie mogła odesłać go do ochronki, dla przyczyny już wcale nie prostéj: ażeby więc ustrzedz syna od wypadku, pozostawiając swobodnym, zamyka go na klucz w chałupie. I znowu, zamiast spieszyć czemprędzéj z powrotem, daje się namówić kumom na jeden kieliszek i drugi. Czas uchodzi, chłopiec zgłodniały chce sobie sam ugotować kartofli, drobnemi rączynami roznieca ogień, i kiedy już zdaje się osiągać cel, pasuje się z rozpalonym garnkiem i wywraca go na siebie. „Wrząca woda z garnka lunęła, ogień zasyczał, a z piersi dziecka wydobył się krzyk straszny, nieludzki: Matulu!.. Matulu!..“ Ej, to taka fraszka, drobiazg, jeden wypadek, jedno dziecko. Nie, to wcale nie fraszka, wcale nie pojedyńczy wypadek, i zdaje nam się że pojedynczego wypadku

myślący autor nie tykał-by zgoła. To jeden z tysiąca wypadków tak powszechnego na wsiach naszych w różnych kierunkach niedozoru, który tę biedną ludność dziesiątkuje. Trzeba być na wsi i widzieć tę dziatwę, puszczoną samopas fizycznie i moralnie, przyjrzeć się skutkom takiego opuszczenia, ażeby zrozumieć, że opis autora jest uogólnieniem stanu, który gwałtownie domaga się zmiany w kraju, gdzie ludność więcéj troszczy się o całość swego bydła, niż własnych dzieci. W większem mieście mają one, częściowo przynajmniéj, jakieś przytułki; na wsi zastajesz je najczęściéj nad kałużą, kiedy ojciec i matka pracują na polu lub piją na odpuście. Nietylko uogólnienie spostrzeżenia nadaje wartość temu drobiazgowi, ale i forma, która, w żywéj barwie przedstawiając rzecz, obudza w czytelniku żal serca za tém maleństwem, tak marnie schodzącém ze świata, dzięki ogólnéj ciemnocie i zaniedbaniu. W równéj mierze ubolewa autor nad dolą innego chłopczyny, („Za psa“), którego ojciec katuje za to, że mu się nie udał pierwszy debiut w pasaniu gęsi, bo mu, pomimo bohaterskich wysiłków, niesforny pies rozpędził stado, a nawet sztuk kilka udusił... Ta głupia tyrania, demoralizująca dziecko w samym rozkwicie, z tegoż samego, co i niedozór, pochodzi źródła, a ten tryb starszych całe pokolenie utrzymuje dziedzicznie w stanie zwierzęcości.

Nic téż dziwnego, że w takiém społeczeństwie kwitną znachorki i czarownice, jak „Augustowa“, które całą wieś terroryzują; albo takie wyrzutki społeczne, doradcy pokątni, jak „Wartałek“, który i sprzymierzony z nim żyd szynkarz całéj wsi zyskują zaufanie i pracowitych ludzi doprowadzają do żebractwa.

Z równą spostrzegawczością rzuca autor okiem i na niedole miejskie, zaglądając w ich najciemniejsze zakątki. Tu człowiek, wypadkami ogólnemi poderwany, były sądownik, ojciec rodziny, zepchnięty z jedynéj drogi, na któréj znajdować mógł zapewnienie bytu materyalnego, po wielu daremnych zabiegach o pozyskanie odpowiedniego swym uzdolnieniom zajęcia, najmuje się do sądów, jako „Kancelista“ za płacę, niezupełnie chroniącą od głodowéj śmierci, zabija się pracą przepisywacza, zapadłszy w chorobę, bezpożyteczny, otrzymuje dymisyę i osieroca rodzinę. Tam, entuzyasta zdun, człowiek lepszego towarzystwa, nie mogąc po dobréj woli otrzymać na wzór od właściciela artystycznéj formy kafla, któréj dla chluby swéj pracowni gwałtownie pożąda, wykrada ją w nocy, z zamiarem zwrotu po odciśnięciu. Schwytany na gorącym uczynku, i dla zadośćuczynienia literze prawa osądzony jako „Złodziéj“, rozpija się i onieoprzytomnia po wyjściu z więzienia. Owdzie młoda dziewczyna—matka, wypędzona przez surowego ojca, pozostaje na łasce śmieciarki. Po jéj zaginieniu, pozbawiona wszelkiéj pomocy, odtrącona nawet przez sąsiadów żebra-

ków, w ostatniéj rozpaczy wybiega, ukradkiem składa zbiedzone dziecię do karety ludzi zamożnych, i w kilka dni z boleści i wycieńczenia umiera w szpitalu, jako „Wyrodna“ córka i matka. A co przez ten czas robi wspólnik, raczéj główny sprawca takiéj niedoli rodzinnéj? Zapewne rozgrywa partyę bilardu w zadymionéj knajpie, i dlatego nie dostrzega go ani prawo, ani opinia, ścigająca jedynie „wyrodną“. Nędznik, który kilka naraz ofiar rzucił na pastwę hańby, nędzy i śmierci, po kilku jeszcze podobnych sukcesach, ożeni się z panną posażną i będzie śmiało ludziom spoglądać w oczy. Oto, co czytelnik domawia sobie po przeczytaniu szkicu.

Wszystkie wypadki, tu przytoczone, przyznać należy, w treści swéj są nam dawno i doskonale znane, powtarzane na różne tony; oryginalność może tu więc polegać tylko na formie. Ale zgoła nowym pomysłem jest wprowadzenie figury, prawie wcale nieznanéj i przez prawników jedynie widywanéj, która tu ukazuje się pod tytułem „Świadek“, osobistość nieodzowna przy podpisywaniu aktów notaryalnych. Autor otwiera przed nami kancelaryę notaryusza, gdzie pomiędzy innemi osobistościami i przynależnościami znajduje się i ów typowy „świadek“. Trzeba być bardzo wykolejonym lub bardzo upośledzonym, ażeby wysiadywać cały dzień i być na zawołanie dla dania podpisu, za który otrzymuje się cała złotówka, środek utrzymania życia. Mamy téż przed sobą manekina, który nie wie, nie rozumie niczego, co się koło niego dzieje, niczém się nie wzrusza, drwinkować z siebie pozwala; obojętny na wszystko, z Kuryera czyta tylko wykazy nabożeństw i ogłoszenia, dopóki nie wezwą go do podpisania aktu, którego treści nie pojmuje, nie słucha. Nie jest to jednak żaden idyota: to człowiek uczciwy i dobrego serca, który tylko snadź od siebie i od życia nigdy wiele nie żądał, czego obecnie w skrytości serca żałuje, o ile wnosić można ze słów, przy zachęcie jakiegoś dziecka do nauki, zwróconych ku sobie: —„Gdybym ja się był uczył, to nie byłbym na starość „świadkiem“.

Najbardziéj rozwiniętém jest tu opowiadanie o starym robotniku fabryki żelaznéj, p. t. „Niepłakany“. Odwzorował tu autor nietylko zacność, ale, co najrzewniejsza, wrodzoną, nadzwyczajną delikatność uczuć w sercu prostém, uczuć najtkliwszych pełném. Stary Słotwiński, miękki i uczuciowy, wylany dla bliźnich, wytrwały zarówno w pracy, jak w cierpieniu, optymista w niedoli, wcielony postulat chrystyanizmu, marnieje, skutkiem poświęcenia się przy pożarze fabryki, któréj był pracownikiem. Pozbawion jedynego kapitału, zdrowia, i nie chcąc być ciężarem ubogiéj rodzinie, któréj dotąd był dobroczyńcą, idzie w świat, gdzie oczy poniosą, szukać zapewne głodnéj śmierci przy drodze. Śliczny ten obrazek, przy zestawieniu z „Kancelistą“,

stanowi jednę z najświeższych illustracyi stanu społecznego u nas. Jeżeli znowu chodzi o plastykę, która przy temacie, godnym pożałowania, zachowuje jakąś barwę *grotesque*, posuniętą prawie aż do humoru, możemy pójść z autorem „Za śladem“ dwóch chłopów, którzy po tropie kopyt końskich ścigają koniokradów i odnajdują ich daleko, w nieznanéj okolicy, w tłumie jarmarcznym.

Po-za klasą ludową dwa razy tylko występuje autor. Charakter humoreski, połączonéj z elegią, wdzięcznéj opisem szczegółów, ma obrazek małomiejski „Zemsta rywala“, którego koncept polega na tém, że pomiędzy dwa oddane sobie serca wciska się pozew zazdrosnego komornika, i przez zajęcie rzeczy konkurenta odbiera mu możność stawienia się w dniu oznaczonym do formalnych oświadczyn, skutkiem czego rozrywa zamierzony związek. Druga, już całkowicie elegijna treść „O zmroku“, wielce zużyta w romansach, ztąd przez samego autora „kartką na wieczny temat“ nazwana, przedstawia nicość zapewnień i przysiąg pierwszéj miłości. *On* wyjeżdża, z obawą czy mu *ona* dochowa uczucia, sam tymczasem zapomina; *ona* wiernie wyczekuje lat dziesięć, już nawet bez nadziei. Przybywa nareszcie, zgoła niespodziewany, stuka do jéj drzwi, spotykają się „o zmroku“. Ona z drżącém sercem już go ma przywitać, przeczuła go, poznała: gdy wtém— i tu, nowy szczegół starego tematu,—on, nie przyglądając się zbytecznie, pyta o mieszkanie sąsiada; omylił się o piętro; zawraca, i koniec. Nie poznał jéj nawet! Jedyny téż to, obok mało udatnego szkicu „Błazny“, w całym zbiorze romansowy urywek: wszystko inne tchnie tendencyjnością społeczną.

Wczytanie się w tén zbiorek przedstawia nasamprzód myślącego i kochającego społeczność człowieka, który, jako belletrysta, poszukuje dopiero drogi i nasamprzód materyał spostrzegawczy spożytkowywa objektywnie, jakby nie odważając się jeszcze zapuścić w niebezpieczne sfery subjektywnéj fantazyi. Ale ta jego objektywność, z nierozwiniętemi umyślnie skrzydłami, stoi twardo na gruncie i nie obawia się porównania z rzeczywistością; z drugiéj zaś strony nie ma téż ona charakteru martwéj kopii, lecz wyobraża zetknięcie się przedmiotów na prądzie wrażeń z indywidualnością poetyczną, która znamię swe na utworze wyciska. Bierzyński złożył tu dowód siły plastycznéj, godnéj uznania, tam nawet, gdzie rysuje dla samego rysunku, bez żadnéj dalszéj myśli, jak naprzykład w szkicu: „Czy wróci!“ Nie wyczerpiem z niego nic więcéj nad to, że młody mąż żegna się z żoną, wychodząc, jak to na wsi mówią, *na-flis*. Nawet trwożna pytająca forma tytułowa: czy wróci? jest tu przesadzoną, bo flisactwo, to nie wojna ani podróż podbiegunowa, lub środkowo-afrykańska, i leży w powszechnym obyczaju ludności nadrzecznéj. Niéma tu zatém nic więcéj

prócz zwyczajnego pożegnania przy odjeździe w dalszą drogę, a jednak całość obrzucona jest jakiémś miłém światełkiem, jakiémś uczuciem rzewném, które w odbiciu tych samych szczegółów wyrodziłoby ładny obrazek malarski, gdyby jakim cudem słowa mogły się przekształcić w rysy: obrazek gotuwiuteńki. Zamierzając szkicować tylko, autor streszcza się do ostateczności i nie roni słów bez koniecznéj potrzeby, nie rozszerza się, ani od przedmiotu zbacza; wierny zasadzie szkicu, na téj właśnie treściwości siłę jego opiera, od niéj żąda efektu. Prawda, że często téż nie domawia, że zakończenia, u innych nowelistów zwykle odznaczające się jakimś wydatniejszym bukietem wrażeniowych kwiatków, u niego najczęściéj rozchodzą się we mgłę; ale niedomówienia jego uzupełnia sobie czytelnik sam, przynajmniéj pod względem myśli, jeśli już bez wzruszeń nerwowéj czułości. Jeśli nie artystycznością pomysłów, to jędrnością rysów, zbliża się on z lepiéj nam znanych do faktury Ostoi i, jak ona, przejawia zdolność odtwarzania rasowych cech plemienia, którém się zajmuje. Szkoda przerwanego życia i przerwanéj pracy.

K. Kaszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozdrażnione nerwy ludów europejskich były kilkakrotnie w ciągu ostatnich tygodni wystawione na próbę. Począwszy od zaniepokojenia, wywołanego wieścią o ugodzie, otwierającéj Dardanelle dla czarnomorskiéj floty ochotniczéj, aż do wrzaskliwéj demonstracyi na ulicach Rzymu, spowodowanéj lekkomyślnością kilku młodych Francuzów, nie brakło w tak krótkim czasie sposobności do badania silnego naprężenia w atmosferze politycznéj. Wszystkie społeczeństwa oswoiły się już z myślą, że jeszcze pokolenie dzisiejsze doczeka się wielkiego wstrząśnienia, które będzie epilogiem epoki zbrojnego pokoju. Przekonanie, iż tak się stanie, opanowało wszechwładnie umysły; to téż, gdy nagle z którejkolwiek strony nadchodzi wiadomość o zachmurzeniu się widnokręgu, Europę przejmuje dreszcz niepokoju, a mieszkańcy jéj zapytują w duchu: czy nie nadeszła owa chwila straszna, która atoli położyć ma kres długoletnim kosztownym oczekiwaniom, a zarazem zakończyć niepewność, w dwójnasób nieznośną, bo przerywaną zbyt często alarmami, nie mającemi rzeczywistéj podstawy. Jeżeli jednak zbieg okoliczności dał znowu badaczom spraw publicznych możność przekonania się o téj nieustannéj trosce, niepokojącéj ludy, to równocześnie pozwolił on stwierdzić ponownie fakt, że chęć utrzymania pokoju jest jeszcze w chwili obecnéj czynnikiem przemagającym, i że z ogólnego położenia wytworzyć się będzie musiał dopiero nowy jakiś ferment, jeżeli,

mimo owéj chęci, silnie się manifestującéj, katastrofa ma naprawdę wybuchnąć. Wśród krzyżujących się prądów, wśród sprzeczności interesów, nie brak żywiołów, mogących się na ów ferment złożyć. Próżném było-by przewidywanie, w jak krótkim czasie proces taki mógłby się odbyć. W chwili obecnéj poprzestać trzeba na zaznaczeniu, że czynniki w rodzaju tych, które ostatniemi czasy niepokoiły prasę i giełdy, nie wystarczają do zepchnięcia gabinetów z torów polityki pokojowéj.

Sprawa przejazdu przez cieśniny zakończyła się okólnikiem Wysokiéj Porty, który okazał się dostatecznym do uspokojenia rządów, posiadających widocznie więcéj zimnéj krwi, niż ogół polityków w krajach zachodnich. Ponieważ okólnik żadnych właściwie nowych nie przysporzył wyjaśnień, widoczném jest, że sama umowa między dwoma zainteresowanemi bezpośrednio państwami, wbrew dowodzeniom angielskich i niemieckich dziennikarzy, nie wydała się gabinetom faktem takiéj doniosłości, iżby dla niéj godziło się wywoływać złowrogie widmo sprawy wschodniéj. Usposobienie gabinetów więcéj tu niewątpliwie zaważyło na szali, niż treść okólnika, która, stwierdzając to, o czém wiedziano, nie zawiera oczekiwanych wyjaśnień. Rząd otomański twierdzi w nim zgodnie z prawdą, że sułtan skorzystał tylko z prawa, przyznanego mu przez Europę. Zapatrywanie się to podzielano i na zachodzie; tym, którzy w sprawie cieśnin widzieli niepokojący objaw, nie szło o prawną jéj stronę, lecz o to, czy krok ten, jakkolwiek prawny, nie jest objawem, wymagającym odpowiedzi, ujętéj w konkretne i wyraźne formy. W téj mierze nie można było z okólnika żadnych wyczytać rękojmi; jeżeli więc, mimo to, uznano go za wystarczający, wynika ztąd, iż dyplomacya dosyć chłodno na tę sprawę patrzyła, nie szukając bynajmniéj sposobności do występowania z drażliwemi pytaniami i unikając jéj nawet wówczas, gdy się sama nadarza.

Po głuchym i przeciągłym grzmocie, który rozległ się daleko, gdy Turcya, nie radząc się Anglii, powzięła postanowienie, tłómaczone i objaśniane następnie przez wszystkich dziennikarzy, zagrzmiało raz jeszcze nad wodami mórz wschodnich, gdy łódź z marynarzami angielskimi przybiła do maleńkiéj i nieznanéj wysepki Sigri. Rozgorączkowana wyobraźnia roztaczała już tu i owdzie widok floty angielskiéj, zajmującéj część terytoryum tureckiego. Tym razem szybko zniknął wszelki powód do niepokoju, gdyż wyprawa ta okazała się prostym manewrem, urządzonym dla ćwiczenia osady, w sposób niezupełnie zgodny z przyjętemi zwyczajami.

Głosném i długotrwałém echem brzmiały natomiast okrzyki, wznoszone przez kilka dni z kolei przed Wielką Operą w Paryżu.

Dziś, gdy przedstawienia Lohengrina odbywają się spokojnie, ku zupełnemu zadowoleniu miłośników muzyki wagnerowskiéj, wszystko, co się przez kilka dni działo na ulicach Paryża, zmalało od razu do rozmiarów żakowskiego wybryku. Inaczéj rzecz się przedstawiała w pierwszéj chwili, gdy, dla postawienia na swojém, trzeba było użyć całéj siły policyjnéj, która setki osób musiała aresztować, i gdy dzienniki kłamliwém i tendencyjném rozumowaniem podniecały bez ustanku wrodzoną krewkość ludności stołecznéj, przekonanéj, że, tłukąc okna i miotając kamienie, walczy w obronie świętéj sprawy. Historya przewrotów politycznych w Paryżu nie pozwala lekceważyć rozruchów ulicznych w tém mieście. Niedopuszczeniem do przedstawienia nienawistnego utworu byłby tłum, gromadzący się co wieczór, dowiódł swéj przewagi nad rządem. Doprowadzeniem do rozlewu krwi w zamieszce ulicznéj, czego nieraz, mimo wszelkiéj ostrożności, uniknąć się nie da, mógłby spowodować przesilenie wewnętrzne. Przeniosłszy pole swych popisów przed pałac ambasady niemieckiéj, z łatwością wprowadził-by Francyę w położenie, za które nikt-by dziś nie chciał być odpowiedzialnym. Takt i stałość w postępowaniu władz zapobiegły takim następstwom.

Można spierać się o to, czy dyrekcya opery nie była-by uczyniła lepiéj, nie umieszczając wcale Lohengrina na repertuarze. Po opozycyi, jaką przedstawienie téj sztuki w jednym z teatrów prywatnych wywołało u publiczności przed kilku laty, warto się było zastanowić przed tym krokiem. Nie ulega natomiast wątpliwości, że skoro przedstawienie zostało zapowiedziane, odbyć się było powinno. Rząd francuski zrozumiał to i dobrze zasłużył się tém krajowi. Odśpiewanie opery Wagnera nie było dla Paryżan niespodzianką. Od wiosny wiedziano na bulwarach, że za kulisami Wielkiéj Opery przysposabiają wszystko do przedstawienia, które ma zaćmić świetności Bayreuthu. Dyrekcya nie okrywała tych przygotowań tajemnicą; ciekawi mogli już naprzód wiedzieć, jakie pióra miéć będzie łabędź i z ilu dworzan składać się będzie dwór Henryka I-go. I podczas gdy w kołach przyjaciół muzyki głośno o tém mówiono, z ust ludzi, mających prawo przemawiać imieniem społeczeństwa, nie odezwał się ani jeden głos protestu. Ci, którzy płodami swego pióra zaszczyt przynoszą piśmiennictwu francuskiemu, ci, którzy rozumem, pracą i zapobiegliwością dźwignęli kraj ze strasznego upadku, ci, którzy, zbadawszy jego przeszłość, odsłaniają ją przed swoimi i obcymi dla nauki i przestrogi, ci wszyscy nie czuli się obrażonymi w swych uczuciach i milczeli. Czuwanie nad czystością uczuć przypadło w udziale młodzieniaszkom, przemienionym w ciągu jednéj nocy w redaktorów pism, które po upływie trzech dni przestały wychodzić,

chłopcom od pasztetników i kilku ambitnym przywódcom tłumu. Takim żywiołom nie można było sumienia narodowego wypuścić w arendę. Odniósłszy zwycięztwo w jednym wypadku, nie poprzestaliby pogromcy Wagnera na tém, lecz probowali-by sił swoich częściéj. Po wyroku na Wagnera, nastąpił-by jutro wyrok na Goethego lub Mozarta, a pojutrze na Mascagniego lub Vergę. Zola i Daudet, Taine i Pasteur, jako ludzie, nieposiadający monopolu niepokalanych uczuć, dowiadywali-by się z brukowych płodów prasy dziennikarskiéj, w guście tych, które obiegały Paryż pod napisem: „Prusacy w operze“, jakie hasło wydaném zostało dnia poprzedniego i jaką książkę wolno Francuzowi brać do ręki. Gdy stan taki naprawdę w społeczeństwie zapanuje, nie jest w mocy tych, którzy stoją na czele narodu, naprawić złe siłą. Tém baczniéj należy tępić je w zawiązku i postępować tak, jak gabinet francuski postąpił.

Jak gdyby w powietrzu unosił się zarazek, usposabiający do wywoływania kłopotliwych dla państwa sytuacyi przez zbytnie dawanie swobody wezbranym namiętnościom, zaszedł w Rzymie, podczas pobytu pielgrzymów francuskich, wypadek, oddziaływający na stosunki francusko-włoskie nader niepomyślnie w chwili, gdy Francuzi wieleby gotowi byli poświęcić dla odzyskania utraconych sympatyi. Kilku młodzieńców, uczestniczących w pielgrzymce, obrało sobie grobowiec Wiktora Emanuela za miejsce do manifestowania swych uczuć dla Stolicy Apostolskiéj. Sposób, w jaki to uczynili, miał być, według jednych, dosyć niewinny, podczas gdy inni opisują rzecz w sposób, rzucający niepochlebne światło na pielgrzymów. Prawdy, któréj ślad zaginął wśród tendencyjnych opisów, nikt już zapewne nie dojdzie. Znaczenia politycznego nie miałby ten cały wypadek, gdyby nie wywołane w stolicy Włoch wrażenie, które zamanifestowało się natychmiast publicznemi demonstracyami przeciw Francuzom i Francyi. Lekkomyślność młodzieńcza oddała tym razem wielką przysługę zwolennikom trójprzymierza, którzy musieli walczyć z silną opozycyą w narodzie włoskim, a teraz w rozbudzonéj niechęci do Francuzów znajdą poparcie swéj polityki.

Duch niepokoju nie próżnował i w Berlinie. Przez dni kilka wrzało w dziennikach z nad Sprei, a powodem tego był udział dwóch wielkich domów bankowych w subskrypcyi na pożyczkę russką, która zfinansowaną ma być we Francyi. To, co prasa niemiecka wypowiedziała przy téj sposobności w przeciągu dni kilku, świadczy najlepiéj, jak mało jest tam wiary w trwałość dzisiejszych stosunków międzynarodowych, pomimo, że rząd niemiecki i jego sprzymierzeńcy zaznaczają przy każdéj sposobności, iż utrzymywanie tego, co dziś w Europie widzimy, odpowiada ich najszczerszym zamiarom. Dziennikarze

berlińscy mówili o postępku owych bankierów tak, jak gdyby Niemcy potrzebowały całego zapasu pieniędzy, znajdującego się w stolicy, na bezwłoczne uruchomienie wojsk, i jak gdyby pieniądze, wysyłane przez podpisujących, szły wprost do obozu nieprzyjacielskiego. Tym razem pokazało się w sposób niedwuznaczny, jak dalece Berlin przygotowany jest na możebność niezwykłych wypadków.

Zestawiając obok tego bilansu niepokojących i drażniących zajść bilans wszystkiego, co mogło uspokajać i doprowadzać znowu do równowagi, trzeba-by wspomnieć przedewszystkiém o zjeździe w Schwarzenau, ogłoszonym, podobnie jak wszystkie spotkania monarchy niemieckiego z monarchą austryackim, za nowy zadatek pokoju. Od poprzednich zjazdów różnił on się tém, że żadnych prawie nie dostarczył wskazówek do jakichkolwiek domysłów o treści narad politycznych, które się równocześnie między dwoma ministrami spraw zagranicznych odbywały. Po przeszłorocznym zjeździe na Szląsku dowiedziano się, że przedmiotem rozmów był projekt traktatu handlowego. O czém mówiono tym razem, niewiadomo. Pod względem wojskowym zjednały tegoroczne manewry w pobliżu Schwarzenau liczne i ostentacyjne pochwały oficerom austryackim. Powtórzyli je następnie fachowi korespondenci pism niemieckich, dodając przytém, ku zmartwieniu wszystkich opodatkowanych obywateli austryackich, że, jeżeli wojsko austryackie ma się pozbyć i tych błędów, które jeszcze dzisiaj są widoczne, trzeba na jego udoskonalenie wydać niemało złota.

Silniejszym, niż zjazd dwóch cesarzy, objawem pokojowych zamiarów Wilhelma II-go było postanowienie, powzięte wkrótce po powrocie z Austryi. Przymus paszportowy, zaprowadzony przez księcia Bismarcka na granicy francuskiéj, został do tego stopnia złagodzony, iż mieszkańcy Alzacyi i Lotaryngii uważają to za obalenie zapor paszportowych, oddzielających ich od Francyi. Prasa paryska powitała te ulgi, jako czyn, zasługujący na uznanie i nie kłamiąc uczuć, których nie żywi, umiała znaléźć stosowny akcent i przemówić inaczéj, niż przemawiała zazwyczaj, gdy jéj wypadało mówić o cesarzu. Po-za Niemcami i Francyą oceniono rozporządzenie rządu niemieckiego, jako dowód, że bezpośredniego powodu do wojny niéma w téj chwili, że cesarz Wilhelm szukać go nie chce, i że, dopóki rząd republikański w Paryżu sam nie wystąpi z jakimś wyzywającym czynem, demonstracye uliczne nie wpłyną na zmianę tych chłodno-dyplomatycznych stosunków, które dziś między Francyą i Niemcami istnieją.

Jak po awanturach przed operą paryską zaprowadzenie ulg paszportowych, tak po zaburzeniach w Rzymie uspakajająco podziałało na umysły odsłonienie pomnika Garibaldego w Nizzy. Uderzyć

przytém musiało każdego, że przy tym akcie daleko więcéj serdeczności było ze strony francuskiéj, niż z włoskiéj. Państwu, należącemu do trójprzymierza, trudno dziś oddawać cześć Garibaldemu za to, iż na własną rękę bił się za Francyę z wojskiem niemieckiém; trudniéj jeszcze wykonać to w mieście, które przed laty trzydziestu było włoskiém i do którego w głębi duszy naród włoski po dzień dzisiejszy rości sobie prawo. Ze strony Francuzów zrobiono natomiast, co tylko było można, by przekonać Włochów, że w Paryżu dotychczas nie mogą pogodzić się jeszcze z myślą, iż dawni przyjaciele są dziś w obozie nieprzyjacielskim.

Obok tych wypadków, rozgrywających się na niwie stosunków międzynarodowych, jedyném ważniejszém zdarzeniem z dziedziny polityki wewnętrznéj państw europejskich była w ostatnich tygodniach podróż Franciszka Józefa do Pragi. W Wiedniu podróż ta budziła wielkie nadzieje, spełniła je tylko w połowie. Dowiodła, że walka narodowa w Czechach nie osłabiła bynajmniéj idei dynastycznéj, która jest tam może silniejszą, niż dawniéj; ale zaciętość, z jaką walka ta się toczy, nie zmniejszyła się wskutek podróży cesarskiéj wcale. Młodoczesi są dziś panami położenia w obozie narodowym, a dzienniki ich przemawiają równie śmiało i wyzywająco, jak dawniéj.

Ubiegły miesiąc smutne i niełatwe do zatarcia ślady pozostawił w całéj Europie. Klęski elementarne, nieurodzaj, wylewy, wybuchy, stały się niemal zjawiskiem codziennem, a niemoc ludzka rzadko tak wyraźnie się zarysowuje, jak na tém jednolitém podścielisku niepowodzeń powszechnych. Hiszpánia pod wodą, wszystkie rzeki większe wezbrały, niszcząc pola, wsie i miasta, zabierając tysiące ofiar. W jednéj tylko miejscowości zginęło 2000 ludzi. Woda szalejąca strasznym jest żywiołem, ale postępy na drodze techniki dosięgły dziś takich już rozmiarów, że jeśli nie całkowicie, to w znacznéj części dają możność okiełznania téj niszczycielki mienia i życia ludzkiego. To, co się stało za Pirenejami, dowodzi, że nie myślano tam wcale o środkach ostrożności. Może nie jeden z poszkodowanych a ocalonych, któremu w pamięci utkwiły dzieje narodu własnego, pożałował w głębi duszy upadku panowania kultury i cywilizacyi saraceńskiéj. Ujarzmieni w ciągu lat długich, uwalniając się z niewoli najezdników oświeconych (względnie do epoki), pod wpływem wezbranych uczuć fanatycznych, zniszczyli ducha cywilizacyi, robiąc sobie krzywdę z większą gwałtownością, niż dziś woda na tych samych obszarach. Może-by klęska dzisiejsza nie urosła tak dalece, gdyby mściwość nie wkroczyła w dziedzinę rozwoju moralno-materyalnego. „Nauczyciele mą-

drości są prawdziwymi świecznikami i prawodawcami świata tego, który-by bez ich pomocy popadł znowu w ciemnotę i barbarzyństwo“;— powiedział niegdyś wielki kalif Al-Mamun. Hiszpanie zapomnieli o téj mądréj maksymie przedstawiciela swych cywilizatorów. Zapominają o niéj inni także dość często... Świat dziś nie robi, jak niegdyś, nagłych przeskoków ze światła do ciemnoty, ale, rozszerzając coraz bardziéj pierwsze, nie może się pozbyć zabytków barbarzyństwa, które w pochodzie cywilizacyjnym ciężą jak kula u nogi i zmuszają do utykania, sprowadzającego nieraz upadek. Tą kulą jest militaryzm, barbarzyński jako przedstawiciel siły brutalnéj, ale nie ustępujący rozwojowi ogólnemu. Udoskonalenia jego idą w parze z rozszerzeniem zakresów wiedzy, z doskonaleniem jéj zdobyczy. Pracując nad ujarzmieniem i wyzyskaniem sił przyrody, nad środkami oszczędzenia czasu i zmniejszenia pracy mięśniów, nad spotęgowaniem produkcyi materyalnéj i umysłowéj, ludzie jednocześnie suszą sobie głowy nad wynajdowaniem coraz silniejszych i gwałtowniejszych środków morderczych. Żadna dziedzina wynalazków i badań naukowych nie może się poszczycić takiém bogactwem zdobyczy, jak ta ostatnia. Dynamit, melinit, proch bezdymny, przeróżne systemy karabinów i armat—wszystko to w ciągu kilkunastu lat ostatnich stwarza nieustanny przewrot w uzbrojeniach państw europejskich. Jeden pomysł pociąga setki milionów nowych wydatków. Wojny dziś są coraz rzadsze, ale zato pogotowie wojenne bardziéj rujnuje i wyczerpuje społeczeństwa, niż dawniéj miecze, dzidy, oszczepy i strzały. Oddawna humaniści pracują nad wynalezieniem sposobów, jak zmniejszyć okropności wojenne, a liczba zwolenników wiecznego pokoju międzynarodowego ciągle wzrasta. Wszelkie jednak usiłowania, czynione przez tę garstkę ludzi, podobne są do wałów ochronnych i tam, usypywanych podczas powodzi. Silny prąd militaryzmu, współzawodnictwo w zbrojeniu się, rozbija wszelkie ich wysiłki. Myśli, raz zasiane, nie przestają atoli nurtować i wsiąkać w dążenia prawodawstw wojennych. Dzięki temu, w roku 1856, na kongresie paryskim, państwa europejskie wyrzekły się korsarstwa w wojnie morskiéj, w roku zaś 1864 roztoczono i wzmocniono opiekę sanitarną (konwencya genewska). W roku 1873 na konferencyi prawników w Gandawie zawiązano stowarzyszenie pod nazwą Instytutu Prawa Międzynarodowego, którego zadaniem jest ułożenie i ujednostajnienie prawodawstwa o wojnie. Członkowie towarzystwa pracują usilnie nad tém, iżby z zapasów bojowych wykluczono środki niegodziwe, jak używanie pocisków, napełnionych materyałem wybuchowym, zdrada, prześladowanie i t. d. Pomimo, iż rozesłano wybitnym mężom stanu wzór podręcznika do praw wojny, nie rozczulił on ich bardzo i nie wyrugował bezwzględnéj zasady Moltkego: „Trzeba

niszczyć wszelkie źródła zasobów rządu nieprzyjacielskiego, zabierać jego skarb, koleje żelazne, żywność, nawet dobrą sławę". Niezrażeni jednak członkowie stowarzyszenia odbyli w ubiegłym miesiącu narady w Hamburgu, na których roztrząsali ważne zagadnienia z zakresu prawa międzynarodowego.

W ostatnich czasach daje się wogóle spostrzegać charakterystyczna dążność łagodzenia niedomagań społecznych środkami prawodawczemi. Nie nowa ta metoda rozszerza się coraz bardziéj i usiłuje usunąć głęboko i silnie tkwiące choroby. Po środkach administracyjnych, wymierzonych od dawna przeciwko lichwie, prawodawstwa zaczynają leczyć alkoholizm, pozostający w związku z poprzednią. W r. 1877 w Austryi ogłoszono prawo przeciwko pijaństwu. Spostrzeżono bowiem, że szynkarze starają się wyzyskiwać nie tylko nałóg, lecz słabe nawet sklonności do trunków. Tym sposobem wytworzył się procederu szynkarsko-lichwiarski, który najbardziéj zniszczył lud galicyjski. Zwykle dawano pić na kredyt, następnie w terminie zapłaty wierzyciel nie żądał pieniędzy, lecz tylko podpisania wekslu. Taką drogą powstawały długi z 10 złr. do 1000 w ciągu trzech lat i kończyły się zupełną ruiną dłużnika. Usiłując temu zapobiedz, prawodawstwo austryackie wydało dość surowe przepisy, według których dług za wybrane trunki w oberżach albo szynkach nie daje prawa do wystąpienia sądowego, jeżeli dłużnik nie uiścił dawniejszéj należności, powstałéj z tego samego źródła. Zastawy i poręczenia, stosujące się do takiego długu, uznano za nieważne. Za wszelkie symulacye naznaczono areszt i dość wysokie kary pieniężne. Właściwie walka z pijaństwem toczy się przeszło od pół wieku, rozpoczęta przez towarzystwa wstrzemięźliwości w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Działalność ich atoli, chociaż usilna, nikła wobec szerzącego się nałogu, a prawodawstwa przez długi czas traktowały tę klęskę obojętnie, może dlatego, że i ten środek uważano za słaby, zresztą stawały tu poniekąd na przeszkodzie olbrzymie dochody, ciągnione przez skarby z handlu trunkami. Czy jednak w tym razie nie przerachowano się? Oto kilka wielce ciekawych szczegółów statystycznych, ogłoszonych przez ministra spraw wewnętrznych w Anglii. W ciągu roku ubiegłego, na mocy wyroków sądowych, zamknięto do więzienia 190,000 przestępców; z téj liczby 69,000 było recydywistów, z których około 10% po kilka, a nawet kilkanaście razy karano. Znaczną część przestępstw przypisują wpływowi alkoholu. Z tego samego źródła dowiadujemy się, iż w roku ubiegłym w Anglii było 2,200 samobójstw, 280 ludzi umarło z głodu i chłodu, a *trzy tysiące* z pijaństwa. Podobno żaden naród nie daje tak wielkiego procentu pijaków, jak synowie Albionu.

A przecież oprócz licznych kółek wstrzemięźliwości, istnieje tam także prawo dość surowe przeciwko pijaństwu. Chcąc wzmocnić przeciwdziałanie administracyjne, parlament ogłosił nowe przepisy tymczasowe, które mają siłę tylko do roku 1892. Każdy „habitual drunkard“ (pijak nałogowy), może być zamknięty na pół roku lub nawet na cały rok, na *prośbę osobistą* chorego, lub na żądanie kogokolwiek z członków rodziny. Dla takich ludzi istnieje nie więzienie, lecz osobny zakład, gdzie zamknięci poddawani są kuracyi „anty-alkoholowéj“. Po „wyzdrowieniu“ wypuszczają ich na wolność. Prawo powyższe skazuje na zamknięcie do więzienia każdego pijaka nałogowego, który umknął z zakładu leczniczego. Paragraf o zamykaniu w „zakładzie zdrowotnym“ na żądanie rodziny bywa bardzo często nadużywany, szczególnie przez żony alkoholistów, dzięki łatwości zdobywania świadectw i chętnemu przyjmowaniu do przytułku. Takie same nadużycia zdarzają się bardzo często w Anglii co do zamykania w szpitalach dla obłąkanych ludzi zupełnie zdrowych, uznanych za chorych. Tutaj najczęściéj działają pobudki materyalne. Jakeśmy widzieli, dane statystyczne wcale nie świadczą o pomyślnym wpływie środków administracyjnych dla ukrócenia pijaństwa; szerzy się ono, jak przed tém, i przyczynia się do wzrostu śmiertelności, tudzież przestępstw. Dowodzi to, iż zło leży bardzo głęboko, że wyplenić go nie potrafią żadne półśrodki, pochłaniające olbrzymie sumy. Rozglądając się w szczegółach, dotyczących licznych państw, widzimy, że alkoholizm wszędzie grasuje i coraz bardziéj się rozwija. We Francyi, według raportu p. Claude z r. 1887, nałóg ten, szczególnie w niektórych departamentach, dochodzi do przerażających rozmiarów. Jeśli twórcy wiadomości statystycznych nie przesadzają, spożycie alkoholu dosięga tam wartości *dwóch miliardów* franków. W Niemczech klęska ta przybrała jeszcze większe rozmiary. Sprawozdanie Towarzystwa *für Social Politik* głosi, iż rozwojowi pijaństwa dopomaga wielce obecne prawodawstwo, popierające wszelkie gorzelnie i ułatwiające zakładanie szynków. Obliczenia statystyczne więzień i zakładów leczniczych wykazują ogromny procent alkoholistów — zbrodniarzy i chorych umysłowo, wzrastający z rokiem każdym. W Prusach liczba osób, umieszczonych w szpitalach z powodu chronicznego opilstwa i *delirium tremens*, w r. 1877 wynosiła 2,925, zaś w r. 1885 dosięgła już 8,163. Według szczegółów z r. 1876, z ogólnéj liczby popełnionych morderstw przypadało na pijaków 63% i pokaleczeń 74%. Pod wpływem tak fatalnych danych, rząd niemiecki w ubiegłym miesiącu podał projekt prawa przeciwko opilstwu. Według niego, osoby, wywołujące skutkiem pijaństwa zgorszenie publiczne, ulegają wysokiéj karze pieniężnéj lub zamknięciu do więzienia. Nałogowych pija-

ków wbrew ich woli można umieszczać w zakładach leczniczych, a nawet w razie konieczności — ubezwłasnowolnić. Druga część prawa utrudnia otwieranie szynków. Można je tam tylko zakładać, gdzie się okaże „istotna tego potrzeba“. Szynkarze nie mają prawa sprzedawać trunków osobom, które w ostatnich trzech latach były karane za pijaństwo, tudzież nieletnim do lat 16-tu. Wreszcie, na wzór prawa austryackiego, wzbroniona jest sprzedaż wódki na kredyt. Szkic tego prawa wywołał ogromne niezadowolenie w Niemczech. Przypuszczają, iż w razie urzeczywistnienia, będzie ono powodem rozmaitych nadużyć, które mogą pociągnąć za sobą gorsze skutki, niż istniejące obecnie. Nawet obradujący w Kolonii zjazd prawników wystąpił stanowczo przeciwko projektowi, motywując swoją opozycyę tém, że przepisy nie uwzględniają zasady równości wszystkich obywateli wobec prawa: karząc surowo pijaństwo, szerzące się w niższych warstwach, tolerują opojów ze sfer wyższych. Prawdopodobnie, wobec ogólnego oporu i niezadowolenia, projekt ulegnie zupełnemu przekształceniu.

W Rossyi, o ile pamiętamy, były rozmaite projekta środków przeciwdziałających, które jednak nie przyszły do skutku. Dokładnych danych o alkoholizmie w Królestwie Polskiém nie mamy. Tkwią jednak nam w pamięci częste skargi korespondentów na szerzące się pijaństwo śród włościan i robotników. Co do ludności robotniczéj miejskiéj, każdy chyba naocznie mógł się przekonać o téj strasznéj klęsce, wychodząc wieczorem na miasto w Sobotę i w dni świąteczne; skrzętnie zaś notowane przez pisma brukowe wiadomości o bójkach i morderstwach, popełnianych pod wpływem pijaństwa, tworzą stałe rubryki. Niedawno korespondent „Tygodnia Piotrkowskiego“ z Sosnowca skarżył się na klęskę, wzrastającą śród ludności robotniczéj z dniem każdym, przypisując wzrost jéj nadmiernéj ilości szynków, które się usadowiły tuż pod ścianami fabryk i hut, po kilka przy jednéj. „Boleść i rozpacz nieomal przejmuje człowieka, gdy patrzy na owych ludzi, tracących cały zarobek dwutygodniowy przy pijatyce. Żony lub niby-żony, oczekujące na chleb powszedni, widzą swych „panów“, wychodzących z szynków nie tylko bez pieniędzy, ale i bez wierzchniéj często odzieży“... Dla pozbycia się téj choroby słyszymy powszechne zalecanie prawa. Może ono, umiejętnie stosowane, hamować tylko skutki, nie potrafi zaś usunąć przyczyn, bardzo złożonych.

Środki takie o wiele prędzéj mogą dać pomyślne rezultaty pod innemi względami, np. w regulowaniu stosunków pomiędzy pracodaw-

cami i pracownikami. Królestwo w bieżącym miesiącu doczekało się takich przepisów względem fabrykantów i robotników, które dotąd były obowiązujące tylko w niektórych okręgach Cesarstwa. Niedawno Towarzystwo wzajemnéj pomocy subjektów handlowych i przemysłowych w Warszawie rozesłało do właścicieli sklepów i wszelkich przedsiębierstw odezwę z prośbą o wprowadzenie święcenia niedzieli i z wyłuszczeniem pobudek, które zmusiły interesowanych do tych zabiegów. „Przyzwyczajeni uważać zarobek za podstawę bytu, a pracę za najzaszczytniejszy przywiléj człowieka, idącego o własnéj sile przez życie,— głosi odezwa — wierzymy mocno, iż chęć zarobku nie będzie nigdy wystarczającym bodźcem i dostateczną do pracy zachętą, jeżeli nie idzie w parze z zamiłowaniem do obranego zajęcia i uczuciem zadowolenia, budzącém się przy spełnianiu pożytecznéj dla ogółu czynności. Aby to zamiłowanie było trwałém, aby zadowolenie nie ustępowało miejsca zniechęceniu, potrzebną jest wśród pracy chwila wytchnienia. Siły, pokrzepione wypoczynkiem, wynagrodzą uszczerbek, krótką przerwą sprawiony, a pracownik, z większą ochotą powracający do zajęć, bez trudu wyprzedzi tego, kto, nie mogąc ani na chwilę oderwać się od obowiązków, czuje, jak siły mu słabną, a chęć do pracy maleje“. W dziale pracy sklepowéj kobiety stanowią dziś ogromny procent, wzrastający bezustannie. Zdarza się już bardzo często, iż mąż i żona pracują oddzielnie na wspólne utrzymanie, opuszczając dom na dzień cały. „Czy rodzice — zapytują pracownicy handlowi— przez całe lata po za domem zajęci, mogą spełniać obowiązki względem dziatwy, będącéj w wieku, w którym opieka rodzicielska jest niezbędną i w którym żadna szkoła nie zastąpi ogniska rodzinnego“. Rezultatem téj odezwy było kilkadziesiąt deklaracyi kupców, którzy się przychylili do słusznéj prośby pracowników. Czy wszyscy pójdą w ich ślady? Niewątpliwie znajdzie się spora garść takich, którzy zanic w świecie nie rozstaną się z żądzą zysków kilkurublowych z targu niedzielnego, chociażby kosztem zdrowia swych pracowników. Dla nich właśnie przydał-by się odpowiedni nacisk prawny. Zresztą, jeżeli liczba deklaracyi pracodawców dojdzie do znacznéj większości, mniejszość może ulegnie naciskowi opinii publicznéj. W Anglii świętowanie niedzieli ściśle jest przestrzegane, i właśnie, dzięki temu ogólnemu zwyczajowi, pracownicy mają raz na tydzień wytchnienie, a kupcy i przedsiębiorcy nie tracą na współzawodnictwie. U nas bardzo wielu pracodawców ze sfery handlowo-przemysłowéj krępuje się pod tym względem, oglądając się na zabiegi konkurencyjne sąsiadów. Wypowiadano nawet obawy, że, w razie ogólnego odpoczynku chrześcian w niedziele, kupcy starozakonni odciągną znaczną część spożywców, robiących zakupy w święta. Powszechnie atoli wiadomo, iż wyrobiły

się u nas dwa rodzaje kupujących: 1) w sklepach chrześciańskich, i 2) w żydowskich, a więc współzawodnictwo jest tutaj oparte na zupełnie innych podstawach. Nie uznanie niedzieli przez starozakonnych nie powinno zatém krępować kupców chrześciańskich w jéj świętowaniu. Sprawa, poruszona przez subiektów, zajęła żywo szersze koła i odbiła się głośnem echem w pismach prowincyonalnych, które zachęcają miejscowych pracodawców do wprowadzenia wypoczynku. Między innemi „Gazeta Lubelska“ przypomina, iż niektórzy kupcy tamtejsi od paru lat za inicyatywą jednego z młodszych przemysłowców zgodzili się na zamykanie w niedziele sklepów i w powziętém postanowieniu trwają, co zapewnili deklaracyą, ogłoszoną publicznie. Dziś nadarza się sposobność do wykonania tego postanowienia.

Pamiętamy, przed dwoma laty farmaceuci podnosili głos w sprawie zamykania aptek w nocy. Żądanie to ich przebrzmiało bez skutku, właściciele kilku aptek dotąd nie przerywają czynności w swych zakładach przez noc całą. Pomijamy względy konkurencyjne, które nie wyrządzą innym przedsiębiorcom szkody, gdyż do każdéj apteki wolno w nocy zakołatać w razie nagłym; ale tu chodzi o to, że pracownicy trawią na dyżurach noce, nie mając po parę miesięcy wypoczynku wcale. Znamy taki przykład, iż farmaceuta w ciągu dwóch lat oddawał się bez przerwy pracy nocnéj za bardzo skromne wynagrodzenie i w końcu zrujnował zdrowie zupełnie. Ciężka dola farmaceutów stała się już przysłowiową. Niedawno „Kuryer Warsz.“ podał kilka nowych szczegółów ich zabiegów o pracę. W Warszawie właściele aptek i pracownicy tego fachu są podobno na łasce dwóch stręczycieli, którzy obie strony wyzyskują ogromnie. Kandydat, nie mogąc przez kilka miesięcy dostać posady, udaje się do takiego „protektora“, który mu wyszukuje zajęcie, ale dopiero po podpisaniu zobowiązania, że będzie mu wypłacał 25% ze swojéj pensyi, wynoszącéj 20 rubli miesięcznie. „Doszło dziś do tego — jak utrzymuje „Kuryer“ — że ani jeden z podaptekarzy lub prowizorów nie znajdzie, z wyjątkiem chyba jakiegoś szczęśliwego trafu, posady bez udziału stręczyciela“. Wedle zapewnień osób, świadomych rzeczy, stręczyciele ci zarabiają po 5 — 6 tysięcy rubli rocznie. Chociażby w tém była przesada, liczne skargi pracowników farmaceutycznych stwierdzają fakt ogólny wyzysku, skutkiem braku odpowiedniego biura stręczeń pracy. Warto, iżby istniejące w Warszawie Towarzystwo farceutyczne zwróciło na to uwagę i zajęło się losem pracowników aptekarskich. „Wiadomości farmaceutyczne“ mogły-by również przyjąć na siebie obowiązek pośredniczenia.

W ostatnich czasach właściciele ziemscy coraz częściéj zwracają uwagę na położenie oficyalistów wiejskich i coraz bardziéj starają się wnikać w przyczyny ich smutnego losu, wydając sądy bezstronne. Przed paru tygodniami rolnicy, pp.: Henryk Chrzanowski i Kazimierz Stamirowski, w porozumieniu z innymi sąsiadami, obmyślili i wydrukowali w „Słowie“ projekt ubezpieczenia powyższych pracowników. Ma to być najtańszy i najłatwiejszy sposób, oparty na zasadzie następującéj: oficyalista, liczący lat 30, pragnąc po 65 roku życia pobierać rentę dożywotnią, a po śmierci zapewnić rodzinie kapitał np. rs. 1000, powinien opłacać rocznie po rs. 27 kop. 90. Jeżeli umrze przed 65 rokiem, rodzina otrzyma rs. 1000, jeżeli dożyje oznaczonéj liczby lat, otrzyma zamiast kapitału rentę dożywotnią rs. 120. Oficyalista 35-letni, ubezpieczony do 65 roku życia na takiż kapitał i rentę, opłacać będzie rocznie rs. 32 kop. 50; 40-letni—rs. 39 k. 50 i t. d. Stosunek ten zmniejsza się lub powiększa w miarę ubezpieczenia niższego lub wyższego renty, tudzież kapitału pośmiertnego. Ubezpieczony po latach pięciu ma prawo do dywidendy, i jeżeli jéj nie odbiera, a przeznacza na powiększenie renty, to w wypadku pierwszym (35 lat służby) renta wynosić będzie od rs. 200 do 240, w drugim (30 lat służby)—rs. 150 do 170, w trzecim (25 lat)—rs. 140 do 160 i t. d. Po śmierci, bez względu na to, kiedy nastąpi, rodzina ubezpieczonego otrzyma kapitał rs. 1000. Jeżeli ubezpieczony płacił przez trzy lata premie i zaniechał nadal, otrzyma polisę bezpłatną na kwotę w przybliżeniu taką, jaką przez trzy lata zapłacił; sumę tę rodzina po jego śmierci odbierze. Jeżeli-by sam chciał odebrać spłacone raty — odbierze tylko $^1/_3$ sumy należnéj. Opłacanie tych premii przez oficyalistę, to najdrażliwsza strona projektu, jak sami przyznają inicyatorowie. „Wynagrodzenie za pracę naszych oficyalistów rolnych—powiadają oni—jest tak niskie i niewystarczające nawet na pierwsze nieodzowne ich potrzeby, że opłacanie premii przez nich samych prawie jest niemożliwem. Dlatego współudział chlebodawcy w opłacaniu premii asekuracyjnych w stosunku wysłużonych lat da możność oficyaliście uiszczania się z rat ubezpieczonych“. Po latach trzech prawodawca powinien się przyczynić do opłacania premii w stosunku 20%, po sześciu 40%, po 9-ciu 60%, po 12-tu 80% i po 15-tu 100%. W razie, gdy oficyalista zmienia służbę, procent, płacony przez pracodawcę, ulega cofnięciu o jedno stadyum. „Nie zawsze oficyalista rolny odpowiada pokładanemu w nim zaufaniu—mówią inicyatorowie właściciele ziemscy w „Słowie“; — ale czy on tylko temu winien? Czy obowiązek chlebodawcy ograniczać się powinien tylko do zaspokojenia, niekiedy bardzo skromnego, pierwszych jego potrzeb? Czy ciężko pracując od świtu do nocy, ze szkodą najczęściéj swego

zdrowia, nie zarabia więcéj, niż ma przeznaczone? Czy w lepszych ekonomicznie czasach pomyślano kiedy o tym pracowniku pługa i jego rodzinie? Z pradziada ekonom mógłże sam kształcić się, mając ledwie na kawałek chleba, a czasu ledwie parę godzin dla wypoczynku? Zaprawdę na te pytania przecząco zawsze wypada odpowiedzieć. Stan oficyalistów wogóle smutny, po większéj części z winy samych ziemian-rolników, którzy, niestety, tak przy dobrym, jak i złym stanie rolnictwa, o nim zapomnieli". Zmianą miejsca obowiązku, a więc traceniem udziału właściciela ziemskiego w płaceniu premii, projektodawcy nie radzą zbyt karać oficyalisty, „bo ileż-to razy spędzamy na niego niepowodzenia, z naszéj winy wynikłe; on wykonawcą tylko naszych dyspozycyi, on kółkiem tylko w téj maszynie, która nie zawsze poruszaną bywa siłą pary". Projektodawcy utrzymują, iż zbiorowe ubezpieczenie oficyalistów w danem Towarzystwie pozyska od niego pewne ustępstwa na korzyść ubezpieczonych. Najodpowiedniejszą do tego instytucyą, zdaniem naszém, był-by powstający obecnie przy Warsz. Towarzystwie ubezpieczeń od ognia oddział pod nazwą „Przezorność". Chodzi tylko przedewszystkiém o zaszczepienie w życiu projektu, który nie wiadomo, czy ogólne uznanie pozyska i czy i nie przedstawi punktów, trudnych do urzeczywistnienia.

Jednocześnie z powyższym projektem błąka sie po pismach myśl zabezpieczenia przyszłości nauczycieli prywatnych, których położenie aż nadto znane jest wszystkim, abyśmy mieli je opisywać. W sprawie tych pracowników przemawiał w *Przeglądzie Pedagogicznym* pan Kazimierz Król, obecnie zaś *Gazeta Warszawska* projekt jego poparła. Charakterystyczném jest to, iż dotąd najmiéj starano się o wywalczenie jakichkolwiek środków, zabezpieczających starość téj kategoryi dracowników. W r. 1879 Jan Papłoński i Roman Wierzchlejski (zmarli), tudzież prof. W. Miklaszewski, opracowali projekt ustawy kasy przezorności i pomocy nauczycieli i nauczycielek prywatnych; projektodawcy byli przeciwni emeryturze i żądali dania możności członkom kasy kapitalizowania swych oszczędności, tudzież pomagania im przez udzielanie pożyczek procentowych, wsparć bezpowrotnych; wreszcie zabezpieczenia przytułku stałego lub czasowego. Projekt pogrzebano, prawdopodobnie dla tego, że przedstawiał wiele trudności do urzeczywistnienia. Podobne kasy istnieją przy uniwersytecie warszawskim, Instytucie głuchoniemych, oraz innych zakładach naukowych rządowych. Wnoszenie składek ułatwiają tam znacznie pensye stałe. Utworzenie na takich samych podstawach kasy dla nauczycieli prywatnych napotkało-by wiele przeszkód. Nie upoważnia to jednakże do zaniechania wszelkich usiłowań na drodze przynajmniéj jakiego takiego zabezpie-

czenia przyszłości pedagogów prywatnych, wyczerpanych pracą i wiekiem. Sama pomoc w kapitalizowaniu oszczędności przez oddzielne jednostki, albo doraźny kredyt w potrzebie, nie da pożądanych rezultatów. Stałego zabezpieczenia bytu na starość, jak słusznie twierdzi p. Król, nie dadzą żadne kasy zaliczkowo-wkładowe, które istnieją tam, gdzie uczestnicy mają zapewnioną emeryturę. „Powstanie i istnienie choćby takiego pożytecznego zakładu, jakim jest „Schronienie dla nauczycielek", powinno-by dodawać bodźca do starań w téj mierze. Znalazły się przed laty i niezbędne podstawy finansowe, i dobra wola, i praca, znalazły-by się może i teraz. A tym czasem — myślmy sami o sobie! Starajmy się korzystać z tego, co leży w naszéj mocy: odkładajmy na czarną godzinę *zbywające* dochody w kasach oszczędności, ubezpieczajmy się, wbrew zdaniom tych, którzy taką formę wzajemnéj pomocy uważają za niezupełnie moralną". Taka jest zachęta p. Króla, takie zalecanie oszczędności, która w Niemczech wogóle dosięgła ogromnych rozmiarów i stała się ideałem mas całych.—Odmawiać sobie wszystkich najniezbędniejszych potrzeb w życiu, chociażby kosztem zdrowia własnego,—jest dziś cnotą wielkiéj miary. Szkoda tylko, że nauczyciele „zbywających" dochodów nie mają.

Ze względu na trudność zdobycia pracy, już nie mówię odpowiedniéj do wykształcenia i uzdolnienia poszukujących, ale takiéj, któraby dała możność chociaż lichego istnienia, coraz częściéj słyszymy narzekania na nadmiar ludzi wykształconych. Słyszeliśmy nawet głosy, wołające z przerażeniem, że „nadprodukcya intelligencyi" przybiera u nas „zatrważające rozmiary". To samo daje się słyszéć i za granicą, gdzie na pozór pewniejsze są podstawy do takich twierdzeń. W Niemczech, po znanéj mowie cesarza Wilhelma o szkole klasycznéj, poruszono niedawno kwestyę, czy nie należało-bo pomyśléć o zmniejszeniu liczby studentów w uniwersytetach, które dają za wielu kandydatów wykształconych, nie mogących znaléźć stosownéj dla siebie pracy. Ale oto wystąpił ekonomista niemiecki, Conrad, z wręcz przeciwném zdaniem, na mocy faktów, obalającém powszechne mniemanie o nadmiarze wykształconych. Wedle wyników jego badań, ogłoszonych w pismie *Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik*, Niemcy wcale nie obfitują w taką masę ludzi z wyższém wykształceniem, jak się o tém utarło powszechne przekonanie. Z danych porównawczych, zebranych przez tego autora, widzimy, że na 100 tysięcy mieszkańców jest studentów uniwersytetu, nie licząc słuchaczów teologii: w Belgii 82.3, w Norwegii 76.6, w Szwecyi 57.3, w Austro-Węgrzech 55.9, w Szwajcaryi 50.4 mężczyzn i 5.2 kobiet, we Włoszech 51.3, w Niemczech 48.1, w Danii 47.1, w Holandyi 45.4, we Francyi 42.6,

w Rosyi 9.9. A więc Niemcy zajmują siódme miejsce pod względem liczby kształcącéj się młodzieży w uniwersytetach. Tymczasem Belgia, Norwegia i Szwecya, kraje, zajmujące pierwsze miejsce, wcale się nie uskarżają na nadprodukcyę intelligencyi, pomimo, iż liczba uczącéj się młodzieży wzrasta tam o wiele szybcéj, niż np. w Niemczech lub Francyi. P. Conrad zwraca uwagę na znane dziś powszechnie zjawisko, iż praca umysłowa gorzéj jest wynagradzaną, niż fizyczna, i całkiem słusznie upatruje przyczynę tego nie w nadprodukcyi ludzi wykształconych, lecz w zmniejszonym popycie na pracę umysłową, skutkiem wogóle wzrostu poziomu umysłowego narodów. My tém bardziéj nie możemy się uskarżać na wrzekomy nadmiar intelligencyi. Przy obecnym stanie rzeczy, prędzéj można zarzucić nieproporcyonalność w obieraniu zawodów, a przedewszystkiém chęć pośpiesznego robienia karyery. Widzimy charakterystyczne zjawisko: nadmiar ludzi wykształconych, poszukujących pracy, i jednocześnie uskarżających się na brak zdolnych pracowników. Mamy np. mnóstwo prawników, osiadłych w miastach większych, i brak ich wielki na prowincyi, gdzie się na dobre rozwija pokątne doradztwo. To samo z lekarzami: skupiają się oni w ogniskach wielkomiejskich, na prowincyi zaś kwitnie felczerstwo i znachorstwo. Wiele-by się tutaj dało jeszcze powiedzieć o niewłaściwém zużytkowywaniu sił, o braku odpowiedniéj organizacyi pewnych działów pracy, skutkiem tego nie wyzyskanych należycie. To poniekąd nam tłómaczy, dlaczego ludzie z wykształceniem wyższém biorą się nieraz do łopaty. Na Zachodzie rzadziéj się to zdarza, dzięki szerszemu polu do pracy; ale i tam już nie tylko ludzie „wolnych profesyi“, lecz i fachowcy nie mogą często znaleźć zajęcia. Leroy-Beaulieu dziwił się, dlaczego nadliczbowi chemicy i inżynierowie wahają się zostać kopaczami lub górnikami. Trafnie odpowiada na to Lafargue, że wychować wielkim kosztem pracowników umysłowych i brać ich do prostych robót fizycznych, jest to postępostępowanie na wzór tego człowieka, który używał-by swego zegarka, do wbijania gwoździ w ścianę. Obliczenia porównawcze Conrada, któreśmy wyżéj podali, dotyczą tylko stosunku młodzieży uniwesyteckiéj do ogółu ludności. Jeżeli tak będziemy rozumieli nadprodukcyę, to nie istnieje ona wcale. Natomiast względnie do pola pracy, wszędzie daje się spostrzegać nadmiar ludzi wykształconych. Doznają oni takiego losu i przechodzą te same koleje, co prości ciemni najemnicy. Dr. Dujardin-Baumetz, członek Akademii Medycznéj, dowodzi, iż Paryż ma tylko sto miejsc rocznie na każde *pięć tysięcy* nauczycielek, które dostają dyplomy. W r. 1887 w całéj Francyi otrzymało nauczycielskie patenty 27,000 panien. Dlatego-to Rzeczpospolita zaopatruje świat cały we „Francuski“, a najwięcéj ich nam się dostaje.

Zagranica daje nam dotąd spory procent fachowców, dobrze płatnych, ale nie tak już świetnie, jak przed laty. W każdym razie, dziś jeszcze stanowiska, przez nich zajmowane, są przedmiotem marzeń naszych pracowników. Z rokiem każdym atoli, wzorem zachodnim, rozwijają się u nas coraz bardziéj wszelkie gałęzie produkcyi, a jest nadzieja, że bardzo wiele jéj działów, leżących dotąd zupełnie odłogiem, za lat kilka lub kilkanaście zaroi się życiem. Przy tém szybkość udoskonaleń technicznych posuwa się na przód błyskawicznie i wymaga coraz liczniejszych kadrów pracowników zawodowych. Niedawno jeszcze elektryczność, mająca niewielkie zastosowanie, dziś już stwarza nietylko odrębne gałęzie pracy, ale nawet rodzi potrzebę szkół specyalnych, o których gdyby kto powiedział przed laty trzydziestu, patrzano-by na niego, jak na człowieka niespełna rozumu. Taka szkoła w celu wytworzenia pracowników w dziedzinie elektryczności powstaje obecnie w Petersburgu. Jest to Instytut elektrotechniczny, przekształcony ze szkoły pocztowo-telegraficznéj. Ma on na celu specyalne wykształcenie, niezbędne dla objęcia posad technicznych i administracyjnych w zarządzie poczt i telegrafów, tudzież przygotowanie nauczycieli dla szkół pocztowo-telegraficznych, i wogóle specyalistów w różnych gałęziach elektro-techniki. Zakład utrzymywany jest kosztem skarbu. Nauka trwa cztery lata i dzieli się na cztery kursa jednoroczne. Program nauk obejmuje: wyższą matematykę, geometryę wykreślną, mechanikę teoretyczną i obrazową, chemię, fizykę, elektrotechnikę, teoryę i praktykę wymiarów elektrycznych, telegrafię, telegrafo-budownictwo, ogólne początki sztuki budowniczéj z zastosowaniem do potrzeb poczt i telegrafów, topografię, administracyę pocztowo-telegraficzną, rysunki, oraz języki: francuski, niemiecki i angielski. Próch tego kurs uzupełniający: zajęcia praktyczne, dotyczące telegrafii, budownictwa telegraficznego, elektro-techniki, wymiarów elektrycznych, chemii, fizyki i rzemiosł. Zajęcia odbywają się nietylko w Instytucie, lecz także na liniach telegraficznych i w miejscowych zarządach pocztowo-telegraficznych latem. Liczba studentów nie może przewyższać 120-tu. Do zakładu przyjmowani są, po złożeniu odpowiedniego egzaminu, ruscy poddani chrześcianie, którzy przesłużyli najmniéj rok w zarządach poczt i telegrafów i posiadają patent lub świadectwo dojrzałości z gimnazyum, świadectwo z ukończenia kursu szkoły realnéj z klasą dodatkową, wreszcie patent z innych zakładów naukowych, których kurs uznany będzie za odpowiedni. Liczbę kandydatów na pierwszy kurs oznacza corok minister spraw wewnętrznych, stosownie do potrzeb służby i do ogolnéj liczby studentów na wszystkich kursach. Osoby postronne będą przyjmowane w braku kandydatów-urzędników zarządów pocztowo-telegraficznych. Ci, któ-

rzy ukończyli wydział fizyczno-matematyczny uniwersytetu, przyjmowani są na trzeci kurs, po sprawdzeniu egzaminu z przedmiotow specyalnych. Urzędnicy pocztowo-telegraficzni, podczas studyów w instytucie, liczą się jako pozostający w delegacyi i pobierają pensyę, jaką otrzymywali na służbie. Dla osób postronnych, odznaczających się pilnością i sprawowaniem, wyznaczono 30 stypendyów po rs. 300 każde rocznie. Studenci téj ostatniéj kategoryi, wydelegowani do zajęć praktycznych po-za obręb stolicy, otrzymują na koszt podróży, na równi z uczącymi się urzędnikami, na parę koni i dyety po rs. 1 na dobę. Kończący Instytut otrzymują stopień technika 1-go i 2-go rzędu, stosownie do swoich zdolności, i umieszczani są na posadach pocztowo-telegraficznych, z zatwierdzeniem w randze: technicy I-go rzędu XII-éj klasy i 2-go XIV-éj. Czas przebyty w Instytucie liczy się jako rzeczywista służba, każdy kurs za rok. Technicy 1-go rzędu, pełniący służbę gorliwie, mają, najwcześniéj po upływie roku służby i złożeniu ustanowionego egzaminu, otrzymać stopień inżyniera telegraficznego, jeżeli wykażą dostateczną znajomość w swéj specyalności, naukowo i praktycznie. Korzystający ze stypendyów winni po ukończeniu kursów przesłużyć w Zarządzie spraw wewnętrznych po półtora roku za każdy rok stypendyalny. Podaliśmy program tego zakładu, przypuszczając, iż nie będzie on obojętny dla naszych czytelników. Wprawdzie ograniczona liczba słuchaczy nie otworzy szerokiego pola wielkiéj liczbie kandydatów; ale ci, którzy raz się dostaną do zakładu, mają odrazu zapewnione stanowisko w przyszłości. Jeżeli liczbę słuchaczy rozdzielimy równomiernie na każdy kurs, otrzymamy po 30-tu, a więc taka liczba w najlepszym razie powinna corok kończyć zakład; średnio jednakże można liczyć 20—25. Ze względu na tak małą liczbę i na rozszerzającą się ciągle dziedzinę pracy w zakresie elektro-technicznym, można na pewno wnosić, iż wartość pracy tych fachowców nie prędko się zniży pod wpływem nadmiaru kandydatów. Wogóle w ostatnich czasach duch *fachowości* zapanował powszechnie, czego najlepszym dowodem są powstające coraz częściéj zakłady naukowe specyalne. U nas (w Królestwie) ruch ten bardzo opieszale się rozwija, pomimo, że upłynęło już dwa lata od czasu wydania prawa o nowych szkołach. Powstała szkoła górnicza w Dąbrowie, Ogrodnicza w Częstochowie, parę technicznych i rzemieślnicza w Warszawie, (jeszcze przed ogłoszeniem przepisów), wreszcie istniejąca w Łodzi wyższa szkoła rzemieślnicza będzie w krótce gruntownie zreforwowana. Oto i wszystko! Wiadomo, iż nowe prawo dało możność miastom i osobom prywatnym zakładania szkół specyalnych. Wywołało to zrazu wielkie zainteresowanie. We wszystkich większych miastach w Królestwie naradzano się nad potrzebą

zakładania takich szkół, lecz po pewnym czasie wsystko ucichło, zapał ostygł, a młodzież, jak dawniéj, ciśnie się tłumnie do gimnazyów, szkół realnych, których ścian rozszerzyć nie można.

W ostatnich czasach spostrzegamy charakterystyczny zwrot w przygotowywaniu się kobiet do praktyki życiowéj. Coraz mniéj dążenia do wytworzenia żywych mebli salonowych, coraz mniéj zapału do rozbijania fortepianów i obrażania uszu obowiązkową nauką śpiewu dla „zaokrąglenia“ edukacyi. Dziewczęta biorą się do nauki rzemiosł, czego dowodem jest przepełnienie naszych nielicznych szkół specyalnych. Potrzeba życiowa wyrabia ten kierunek praktyczny. Ten sam czynnik ożywia kandydatki do studyów uniwersyteckich. Kołacą one w Krakowie o dopuszczenie ich do audytoryów, i zdaje się, że sprawa ta jest już na pomyślnéj drodze. Na ostatniem posiedzeniu ogólném zjazdu przyrodników i lekarzy, wniesiono projekt petycyi do *almae matris* krakowskiéj, o dopuszczenie kobiet do wykładów wydziału filozoficznego, to jest humanistycznych i przyrodniczych. Projekt przyjęto przychylnie, niewiadomo tylko, jak się będą zapatrywać na to profesorowie rzeczonego wydziału. Podobno większa ich część sprzyja projektowi. Chodzi więc teraz o to, iżby interesowane czyniły daléj energiczniejsze zabiegi. W Październiku miało się zgromadzić w Krakowie kilkadziesiąt kandydatek, w celu podania zbiorowéj prośby. To będzie prawdopodobnie najskuteczniejsze. Korespondent *Prawdy* donosi, iż się dowiadywał, jakie jest zapatrywanie się austryackiego ministra oświaty na uczęszczanie kobiet do wszechnic. Otóż okazuje się, iż istnieje okólnik ministra Gautscha z r. 1889, w którym powiedziano, że *w zasadzie* ministeryum nie ma nic przeciwko temu, ale nie dozwala egzaminowania kobiet i udzielania im stopni naukowych, tudzież wymaga, aby stosowny wydział uniwersytetu i jego profesorowie zgodzili się na przyjęcie słuchaczek. „Na pytanie moje—pisze korespondent,—czy w uniwersytecie krakowskim która kolwiek z pozwolenia tego już korzystała, odpowiedziano mi, że w ciągu lat trzech były dwie, które uczęszczały na medycynę. Tak więc istnieje i pozwolenie władzy, i precedens; na przyszłość przeto, nic nie stoi na zawadzie do urzeczywistnienia gorących pragnień wielu kobiet, które dotychczas zmuszone były szukać wyższéj nauki w Paryżu, Szwajcaryi i gdzie indziéj. Skorzystały z tego panny czeskie i uzyskały wstęp do uniwersytetu czeskiego w Pradze“.

Niewdzięczny i ciężki zawód—akuszerya, po szwaczkach największą liczbę obejmujący przedstawicielek, przyznać trzeba, iż oddaje

wielkie usługi społeczeństwu. Pomimo czynionych im często zarzutów, iż bywają szorstkie i gburowate, akuszerki spełniają swe obowiązki w większości bardzo sumiennie. Szczególnie pracujące przy warszawskich przytułkach położniczych czasem stają się przedmiotem niprzychylnych uwag. Niedawno *Kuryer Codzienny* obsypał je zarzutami, nie oszczędzając w ogóle tych instytucyi filantropijnych, które tak wielkiém są dobrodziejstwem dla tych licznych ofiar nędzy, zapomnienia i podejścia. Autor zarzutów zanadto pochopnie chwycił się pierwszéj lepszéj pogłoski, nie sprawdziwszy jéj nawet, i na téj podstawie napisał artykuł, krzywdzący zakłady, które, po dziewięcioletniéj sumiennéj działalności, zasłużyły już na ogólne uznanie. W dzień i w nocy stoją one otworem dla wszystkich, potrzebujących tego schronienia czasowego, bez różnicy wyznań, pochodzenia i stanu, a nawet bez żadnych legitymacyi. To téż od początku istnienia zawsze są pełne. Ktoś, doskonale poinformowany o całéj organizacyi i gospodarce tych zakładów, wystąpił w *Prawdzie* z obroną ich przeciwko napaści *Kur. Codz.* „Zapobiegać niebezpieczeństwom nędzy i opuszczenia, matkę i dziecko otoczyć umiejętném staraniem, chronić od przesądnych i niechlujnych praktyk, które dawniéj tak często przypłacano życiem, pod hasłem współczucia, sprawiedliwości i szlachetnego humanizmu, jak największe oddawać usługi, oto ich zadanie—powiada obrońca.— Kto śledzi ich rozwój, ten nie zaprzeczy im prawa do szacunku i zaufania ogółu, nie odmówi zasług pracy, którą zdobyły sobie stanowisko instytucyi poważnéj, uczciwéj i zobowiązań dotrzymującéj". Ważną jéj zasługą jest inicyatywa w sprawie ukrócenia nadużyć, często bardzo popełnianych przy stręczeniu mamek. Przy jednym z przytułków urządzono centralny kantor stręczeń, do którego wszystkie pozostałe nadsyłają pielęgnowane u siebie kandydatki. Osoby, przyjmujące mamkę, płacą 5 rs. na koszt utrzymania zakładu, i za tę drobną kwotę mogą być pewne rzetelności stręczenia. Dzięki temu, w znacznéj części zamknięto spekulantom sposobność wyzysku; kobiety zaś, poszukujące miejsca, mogą z dziećmi korzystać z troskliwéj opieki i przysługi bezinteresownéj. Naturalnie, tylko mamki, uznane przez lekarzy przytułków za zdolne do należytego odkarmiania niemowląt i zupełnie zdrowe, mogą znaléźć pomieszczenie za pośrednictwem przytułków. Tém bardziéj instytucye te potrzebują poparcia i przychylnych głosów w prasie, szczególnie najprzystępniejszéj, a więc brukowéj, gdyż w ostatnich czasach spekulanci, którym korzystna gratka się urwała, usiłują w niecny sposób, za pośrednictwem intrygi, podkopać zaufanie osób interesowanych. W takiéj właśnie chwili *Kuryer Codzienny* uderzył na trwogę, powstając na wrzekome bezprawia i nadużycia.

Wiadomo, jak jest niebezpieczną działalność wszelkiego rodzaju spekulantów i wyzyskiwaczy, w zetknięciu się z ludem miejskim i wiejskim, i jak łatwo umieją oni posiąść jego ufność i wpływ silny szerzyć. Mieliśmy już nieraz sposobność o tém się przekonać w rozmaitych wypadkach, przy emigracyi, znachorstwie, pokątném doradztwie, współzawodnictwie lekarzy z felczerami. Czy jednak w tym ostatnim razie nie są winni sami wyznawcy Eskulapa? Ludzie, pełni energii i szczytnych marzeń podczas studyów, skoro się zetkną z rzeczywistością, życiem jałowém na partykularzu, stają się sami cząstką tego życia. Najczęściéj po-za praktyką i wintem nic ich więcéj nie obchodzi. Nie mamy tu na myśli żadnego „posłannictwa“, tylko zwyczajne pełnienie obowiązków człowieka wykształconego, które, po-za stosunkami towarzyskiemi, powinny obejmować chociaż drobne usługi na rzecz nauki. Niedawno w *Gazecie Lekarskiéj* Dr. Br. Sawicki wypowiedział kilka trafnych uwag, skierowanych do kolegów na prowincyi: „Nie jednokrotnie zdarza się słyszéć, zwłaszcza od wielu kolegów, utyskiwania na brak laboratoryów na prowincyi, dobrze urządzonych szpitali i t. p. środków, które pozwalały-by im pracować naukowo i wynikami téj pracy dzielić się ze społeczeństwem. Nie mniéj przeto te działy wiedzy, w których bez laboratoryów dużo mamy do zrobienia, dotąd leżą odłogiem. Antropologia, etnografia, medycyna ludowa, stanowią nader wdzięczny przedmiot do badania, a jednak nikt się niemi zająć nie chce. Gdy Virchow zażądał danych co do barwy włosów i oczu ludu naszego, nic nie mogliśmy mu odpowiedzieć, O wymiarach ciała naszego pojęcia nie mamy, pomimo, że coroczne pobory do wojska mogły dużo materyału dostarczyć, byle się tém kto zająć zechciał“. Dotychczas w Warszawie dr. Jaszczinskij, a w Radomiu dr. Suligowski robili pomiary uczniów gimnazyalnych i ciekawe wyniki ogłosili drukiem. Chociaż skrzętne i sumienne, za ubogie jednakże są jeszcze te prace w stosunku do potrzeby nagromadzenia takich danych ze wszystkich warstw społecznych, znajdujących się w otoczeniu różnych warunków. Wogóle spostrzegamy znamienny rys w naszych sferach intelligentnych: ludzie z wyższém wykształceniem specyalném więcéj dają owoców swéj pracy w Galicyi, niż w Królestwie. Statystyka lekarska jest tam dość ściśle prowadzona od dawna, tutaj zaledwie pierwsze nieśmiałe kroki stawia, i to głównie tam, gdzie środki badań same się pod rękę nasuwają. O prowincyi niéma i mowy. Jeśli się okazują rezultaty jakich badań, to są pojedyńcze, oderwane, które mogły-by mieć wielkie znaczenie, gdyby tworzyły całość, gdyby stanowiły cząstkę poszukiwań, prowadzonych w jednym zakresie przez wielu pracowników. Dotąd widzimy tylko od czasu do czasu luźne sprawozdania szpitalne, no, i pracę

d-ra Klarnera, dotyczącą jednéj gminy tylko. Po-za tém nic. W dziale medycyny ludowéj, szczególnie hygieny, jedynie tylko dr. Tchórznicki, zebrał garść ciekawych faktów. Mniéj-by to raziło, gdyby nie było zachęty i jakichś usiłowań. Z większych prac „Biblioteka *Wisły*“ ogłosiła d-ra Marcyana Udzieli „*Medycynę i przesądy lecznicze u ludu polskiego*“. Rzecz ta zwróciła uwagę nie tylko zajmujących się ludoznawstwem, lecz i świata lekarskiego. Zdawało-by się, że powinna ona dodać bodźca tym, którzy się znajdują w przyjaźnych warunkach do poszukiwań tego rodzaju. Zarówno to, jak wszelkiego rodzaju odezwy. przyjęli obojętnie ci, na których można było „rachować najwięcéj. „Napróżno *Zdrowie* rozsyła swe kwestyonarzusze — powiada p. Sawicki — napróżno zapytuje, jak się ludzie u nas kąpią, jakich ziół używają na lekarstwa, w jakich warunkach sanitarnych mieszkają. Nic to nie pomaga. Nie wielka liczba profanów coś o tém napisała; z lekarzy zaś nikt, ale to literalnie nikt, jak mnie zapewniał redaktor *Zdrowia*, nie odpowiedział“.

Między wielu innemi ciekawe były-by dane, w jakich warunkach dziatwa i młodzież nasza się rozwija i przysposabia do życia samodzielnego. Z dorywczych, ale często notowanych, wiadomości, także „*profanów*“, wiemy, że w klasie ubogiéj, średnio zamożnéj, a nawet w bogatéj, warunki te wiele pozostawiają do życzenia. Lekceważenie najpierwszych zasad hygieny jest na porządku dziennym, skutkiem braku jéj rozpowszechnienia, a zatém i zamiłowania do niéj. Samo jednakże *zamiłowanie* wystarczyć nie mogło-by w zupełności. W dzisiejszym stanie rzeczy, *hygiena*, nawet przy najzupełniejszém uznaniu jéj znaczenia, dla większości nie może być dostępną, gdyż zanadto jest kosztowną i najczęściéj nie może iść w parze z rodzajem pracy, w któréj przebierać niepodobna. Przy usilném jednak staraniu jednostek i ogółu, pomimo nieprzyjaznych warunków i słabych środków, wiele jeszcze można zrobić na rzecz obrony młodego pokolenia przed charłactwem i zagładą. To téż z prawdziwą radością i uznaniem witamy projekt założenia w Zakopanem instytucyi dla dzieci, zagrożonych suchotami. Za granicą wiele już w tym zakresie zrobiono z pożytkiem dla zdrowia publicznego. W Niemczech i Szwajcaryi, na brzegach morskich i w dolinach górskich, istnieje mnóztwo szkół niższych i średnich. Dzieci, oprócz wzmacnania sił i zwalczania gruźlicy, tudzież innych chorób, czerpią tam naukę, aż do okresu, kiedy organizm nabierze tyle odporności, że śmiało może się oddać najcięższéj pracy. Jest wiele miejscowości, odpowiednich dla takich zakładów: brzegi morza Baltyckiego i Czarnego, Krym, okolice tatrzańskie. Najbardziéj odpowiada celowi pod każdym względem

Zakopane. Otóż dr. Mikołaj Reichman usilnie popiera sprawę otworzenia tam dwóch zakładów: niższego i średniego. Utrzymanie dziecka w Zakopanem, według obliczeń inicyatora, nie będzie zbyt drogie. W niższym zakładzie koszta nie powinny wynosić więcéj jak 200 rs. rocznie, w średnim—najwyżéj 300. W pierwszym dziecko powinno przebywać 2 — 4 lata, w drugim od 8-miu do 10-ciu, tak, iż całkowity pobyt powinien trwać 10 — 14 lat. Większość czasu dziecko powinno spędzać na świeżém powietrzu. Praca przez znaczną część roku powinna się odbywać w obszernych pokojach, ciągle przewietrzanych. Do zakładu wstępować będą mogły dzieci od lat sześciu.

Oprócz tępienia zarazków chorób fizycznych, również naglące jest przeciwdziałanie rozwojowi chorób moralnych. W tym celu powstaje w pobliżu Studzieńca oddział poprawno-wychowawczy dla dziewcząt. Ustawa, opracowana przez komitet Towarzystwa osad rolnych, już jest zatwierdzona przez ministeryum, dzięki czemu rozpoczęto niezwłocznie roboty przygotowawcze, przy udziale pensyonarzy studzienieckich. Nowy zakład pomieści 50 wychowanic. Przyjmowane będą moralnie zepsute dziewczęta od 8 do 14 roku życia, zakwalifikowane przez sądy ogólne za przestępstwa, włóczęgi nieletnie, albo zaniedbane przez rodziców i opiekunów, podlegające odesłaniu do zakładów dobroczynnych, wreszcie sieroty, wałęsające się bez opieki i żebrzące. Czas pobytu w zakładzie poprawczym oznaczono najmniéj na lat trzy, najdłużéj do ukończenia 18-tu lat wieku. Wychowanki pobierać będą nauki elementarne i zajmować się robotami kobiecemi w miejscowych pracowniach i warsztatach. Tak więc możemy się poszczycić, że pod tym względem wyprzedzamy urządzenia na Zachodzie; bo gdy u nas oddawna istnieją osady rolne, oddające niemałe usługi społeczeństwu, we Francyi zaledwie teraz zwrócono uwagę na zgubne skutki więzień poprawczych dla dzieci. Pierwszym krokiem pożądanéj reformy było wprowadzenie niedawno prawa Berengera. Zmniejsza ono karę małotnim winowajcom, wchodzącym po raz pierwszy na drogę występku, zwiększa zaś w razie recydywy. Obecnie weszła pod obrady sprawa zamiany domów poprawczych na osady rolne. Przekonano się bowiem, że domy takie nietylko pożądanego skutku nie przynoszą, lecz jeszcze bardziéj demoralizują skazańców. Dzieci 7, 8-letnie i kilkunastoletnie wyrostki, zamknięte w celach, pozbawione ruchu i powietrza, po odbyciu kary wychodzą na zbrodniarzy.

W ubiegłym miesiącu śmierć wydarła nam kilku pożytecznych i zasłużonych pracowników na niwie literackiéj i naukowéj. Ignacy

Świętochowski, długoletni pracownik administracyi krajowéj, b. radca rządu gubernialnego warszawskiego, kurator szpitala na Pradze, zakończył życie w Warszawie. Oprócz pomniejszych artykułów, napisał przed kilkunastu laty podręcznik dla młodzieży, ongi dość popularny. Nadto, starannie przełożył obszerne dzieło Adolfa Coste'a p. t. „Środki zaradcze przeciw nędzy“ (Warszawa r. 1887), tudzież książkę Fawcett'a „O pracy i zarobkach“, którą wydał własnym nakładem i dochód czysty ze sprzedaży przeznaczył na szpital praski.

Zmarł również Aleksander Szumowski, b. nauczyciel szkół publicznych. Po-za uciążliwą pracą pedagogiczną zmarły poświęcał chwile wolne literaturze, w dziedzinie historyi, archeologii i pedagogiki. Między innemi prace jego drukowały: *Biblioteka Warszawska*, *Przegląd Pedagogiczny* i nieistniejący dziś *Przegląd Archeologiczny*. Nadto, w VI tomie *Pamiętnika Fizyograficznego* zamieścił rozprawę p. t. „Groty o inkrustowanych napisach i ich znaczenie w sprawie znaków runicznych.“ Rzecz ta wyszła następnie w odbitce z rysunkami i tablicą w tekście.

W Krakowie rozstał się z tym światem Izydor Kopernicki, pracownik zasłużony na polu antropologii, archeologii i ludoznawstwa, profesor Akademii Jagiellońskiéj. Był to niemal jedyny u nas człowiek wielkiéj nauki w tym zakresie i badacz sumienny. Strata jest tém większa, że te gałęzie wiedzy, które uprawiał, zaledwie niedawno u nas zaczęły się rozwijać i dotąd mają bardzo szczupłą garstkę pracowników. Kopernicki urodził się w gub. Kijowskiéj r. 1825, gimnazyum kończył w Winnicy, a następnie kształcił się w uniwersytecie kijowskim na koszcie rządu. W r. 1849, po otrzymaniu stopnia lekarza, został młodszym ordynatorem w szpitalu wojskowym łuckim, późniéj pełnił obowiązki lekarza wojskowego do r. 1857. Podczas wojny wschodniéj 1853—1856 był przy armii czynnéj, najpierw nad Dunajem, potém w Krymie, w załodze sewastopolskiéj. Po opuszczeniu służby wojskowéj został prosektorem anatomii w uniwersytecie kijowskim. Na tém stanowisku przez lat sześć wykładał anatomię praktyczną, przygotowywanie preparatów anatomicznych, chirurgię operacyjną, tudzież skrócony kurs anatomii dla studentów sekcyi przyrodniczéj. W gabinecie uniwersyteckim zostawił kolekcyę z 36 czaszek ludności miejscowéj. Z Kijowa przeniósł się do Jass, gdzie stworzył muzeum anatomiczne. W końcu zaś osiadł w Krakowie, gdzie w r. 1878 został docentem, a potém profesorem uniwersytetu, nadto członkiem komisyi archeologicznéj i fizyograficznéj, członkiem i sekretarzem komisyi antropologicznéj, członkiem komisyi balneologicznéj, członkiem korespondentem Akademii, a od Listopada r. 1887 członkiem jéj czynnym. Pierwsze prace antropologiczne ogłosił w *Uni-*

wiersitietskich Izwiestjach w Kijowie (r. 1861 i 1862), potém pisał po polsku, niemiecku, francusku i angielsku. W dziedzinie antropologii poczynił wiele nowych spostrzeżeń, szczególnie zajmowały go badania kraniologiczne, pisał o Ajnosach, Cyganach, Bulgarach, Kałmukach, Murzynach, pracował wspólnie z uczonym Davis'em. Prócz tego badał różne wykopaliska. Kolberg przed śmiercią polecił Kopernickiemu losy swych zbiorów, które obecnie znowu pozostały bez opieki.

W Monachium zakończył życie profesor dr Henryk Grätz, znany historyk żydów. Urodził się r. 1819 w W. Ks. Poznańskiém. Po ukończeniu gimnazyum we Frankfurcie n. M., odbył studya uniwersyteckie we Wrocławiu i otrzymał stopień doktora filozofii. Przez pewien czas probował pracować na polu publicystyczném, późniéj poświęcił się pracy profesorskiéj, najpierw był dyrektorem szkoły średniéj dla żydów w Landsburgu, potém profesorem seminaryum rabinicznego we Wrocławiu, a następnie tamże profesorem uniwersytetu. Od r. 1859 wydawał miesięcznik p. t. „Monatschrift für die Geschichte und Wissenschaft des Judenthums.“ Z prac jego powszechnie jest cenioną obszerna „Historya Żydów.“

Kuryer Warszawski, chcąc się przyczynić do zasilenia oryginalnemi utworami sceny warszawskiéj, ogłosił konkurs na napisanie utworu dramatycznego, z terminem do dnia 15 Czerwca r. 1892. Sztuki muszą być koniecznie oryginalne, współczesne, obyczajowe, dramata, lub komedye poważne i lekkie. Wykluczone są: sztuki historyczne i klasyczne, utwory w części lub całości drukowane, przerabiane z rzeczy własnych, cudzych lub zagranicznych, utwory o zapożyczonych motywach, lub wreszcie warunkom sceny warszawskiéj nieodpowiadające. Nagrody będą dwie: pierwsza rs. 1,000, druga 500. Nadto sztuki lepsze będą odznaczone. W razie braku odpowiednich utworów, żadna nagroda nie będzie przyznana, lub tylko jedna. W tym wypadku fundusz pozostały będzie przeznaczony na konkurs następny. Komitet sędziów składa się z pp.: Władysława Bogusławskiego, Piotra Chmielowskiego, Kazimierza Kaszewskiego, Józefa Keniga, Józefa Kotarbińskiego, Stanisława Krzemińskiego, Bolesława Ładnowskiego, Jana Tatarkiewicza i Bronisława Zawadzkiego. Do grona sędziów nie powołano pisarzy dramatycznych, w celu skorzystania z ich twórczości autorskiéj na rzecz konkursu.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Cezary Jellenta.* „Studya i szkice filozoficzne.“ Warszawa, Gebethner i Wolff. 1891.

Tom niniejszy zawiera następujące rozprawki: „Epidemia rozpaczy.“ „Pessymizm i etyka.“ „Historyozofia w najnowszém oświetleniu.“ „Czy społeczeństwo jest organizmem?“ „Etyka nierogacizny.“ „Etyka Wundta.“ „Sekta estetyczna.“ „Zarys syntezy.“

— *Adam Breza.* „Literatura polska“, skreślił... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891. Część I.

W części téj autor daje pobieżny przegląd literatury polskiéj do chwili wystąpienia Mickiewicza, t. j. do r. 1822, starając się przedstawić dzieje umysłowego rozwoju polskiego społeczeństwa i wybitniejsze w niém prądy równolegle z prądami życia umysłowego główniejszych narodów Europy.

— *Bagiński Adolf dr.* „Życie kobiety.“ Listy o hygienie kobiecego organizmu. Z najnowszego wydania niemieckiego przełożyli Ad. W. i Ed. G. Wydanie 2-gie. Warszawa, 1891.

— *Berger Paweł.* „Doniosłość chorób w małżeństwie z uwzględnieniem dziedziczności“, tłómaczył dr. J. St. Warszawa, 1891.

— *Brewer i Moigno.* „Wiedza.“ Wytłómaczenie zjawisk codziennych. Wydanie dopełnione przez Henryka de Parville i ozdobione licznemi rysunkami. T. II. Magnetyzm. Elektryczność. Chemia. Warszawa, 1891.

— *Zalajkiewicz Szczęsny.* „Powinszowania dla dzieci i młodzieży.“ Złoczów, 1891.

— *Porawska Bronisława* (autorka „Reginki“). „Druga matka“, powieść dla dorastającéj młodzieży. Warszawa, 1890.

— *Hipolit Bogumił Tarczyński.* „Książka z 14-ma obrazkami dla dzieci wszystkich wyznań i stanów“ z drzeworytami ołówka Maurycego Sztencla, Bronisława Popławskiego i innych artystów. Warszawa, 1891.

— *Antoniewicz Bolesław Woysym.* „Podręcznik do nauki buchalteryi.“ Cz. II. Księgi pomocnicze. Kraków, 1891.

— *Anonim:* „Co w wieku 50-ym o wieku XIX mówić będą?“ Spolszczył Adam Nowicki. Warszawa, 1892.

Jestto szereg odczytów, poświęconych zastanowieniu się nad kilkoma wybitniejszemi kwestyami lub przedmiotami naszego wieku Autor za temat do odczytów wziął: narodowość, wychowanie, formy rządu, kobiety, miłość, socyologię i politykę, piśmiennictwo, sztukę i naukę, a zakończył odczyty swoje rzutem oka na przyszłość.

— *J. Michelet.* „Miłość“, przekład z francuskiego. Warszawa. Nakład „Bibl. romansów i powieści.“ 1891.

— *E. Callier.* „Ostroróg.“ Monografia w głównych zarysach. Poznań, 1891.

— *Cycero.* „Cztery mowy przeciw Katylinie“, przełożone przez Rykaczewskiego. Złoczów, 1891.

— *Grus Roman.* „Brzoza, jéj opisanie, uprawa i znaczenie w gospodarstwie leśném.“ Poznań, 1891.

— *Gryff Szymon.* „Uprawa pszenicy na gruntach gliniastych wilgotnych.“ Warszawa, 1891.

— *Wodziński Konrad.* „O układzie koni pod wierzch i do zaprzęgu.“ Wydanie drugie z illustracyami. Warszawa.

— *Zubrzycki J. S.* architekt, b. asystent politechniki lwowskiéj. „Bazyliki średniowieczne w układzie rzutów poziomych.“ Rozprawa architektoniczna. Z 36-ma figurami na XI tablicach. Kraków, 1891.

— *Włodzimierz Zagórski i Antoni Zaleski.* „Pan Radca“, powieść, napisali... Warszawa, 1891.

— *Drzewiecki Józef dr.* „Homeopatya, jéj podstawy i prawa, ze stanowiska naukowego traktowane.“ Warszawa, 1891.

— *Forel August dr.* „Hypnotyzm, jego znaczenie i zastosowanie.“ Przełożył i uwagami opatrzył Ad. Wizel. Warszawa, 1891.

— *Goldflam S.* „O niezwykłéj postaci peryodycznego rodzinnego porażenia, powstałego prawdopodobnie na tle samozatrucia.“ Odbitka z „Kroniki Lekarskiéj.“ Warszawa, 1891.

— *Harajewicz Władysław dr.* „Gimnastyczne leczenie chorób niewieścich według metody Thure-Brandta.“ Kraków, 1891.

— *Kijewski F.* „Promienica u człowieka (actinomycosis hominis).“ Odczyty kliniczne. Serya III, Zeszyt VI i VII. Warszawa, 1891.

— *Wolberg Lud. dr.* „Psychologia dziecka.“ Wykład popularny o uczuciach i umyśle dziecka w zastosowaniu do wychowania. Warszawa, 1891.

— *Sander Fryd. dr.* „Zarys nauki o publicznéj ochronie zdrowia.“ Z 2-go wydania przełożył Stan. Markiewicz. Warszawa, 1891.

— *Ad. Mahrburg.* „Psychologia współczesna i stanowisko jéj w systemie wiedzy.“ Kraków. Gebethner i S-ka. 1891.

— *Dr Juliusz Leo.* „Podatek od spadków w teoryi i praktyce skarbowéj państw europejskich.“ Kraków. Nakładem autora. 1891.

— *Bellamy Edward.* Sposób d-ra Heidenhoffa. Odbitka z „Głosu.“ Warszawa, 1891.

— *Sędziak Jan dr.* „O zboczeniach przegrody nosa.“ Kraków, 1891.

— *E. Leja.* „Historya polska dla dzieci“, opowiedziana w 35 lekcyach przez... Wydanie nowe. Warszawa. Nakład S. Lewentala. 1891.

— *Bronisława Leśniewska.* „Czterysta powinszowań na uroczystości urodzin, imienin i nowego roku“, zebrała i ułożyła dla pożytku młodzieży... Warszawa. Nakład T. Paprockiego i Ski. 1891.

— *Chociszewski Józef.* „Polak uczący się po niemiecku.“ Praktyczny przewodnik, który podaje wskazówki, rozmowy i nauki, aby w krótkim czasie można czytać, rozumieć i mówić po niemiecku. Poznań, 1891.

— *Józef Rogosz.* „Kalejdoskop“, powieść współczesna w 2 tomach. Warszawa, 1892. Nakładem Teodora Paprockiego.

— *Nagoda.* Nowelle i obrazki: „Jak wszystkie“, „Na małą skalę“, „W pogoni“, „Pierwszy śnieg“, „Julka“, „Jedwabna chustka“, „Cudza żona“, „Romans panny Henryki“, „Za czarne oczy“, „Cała stawka“ i „Raz w życiu“. Warszawa, 1891. Nakładem Teodora Paprockiego.

— *Skarbek.* „Chore dusze.“ Warszawa, 1891.

— *Benedix J. E.* „Broń niewieścia“, komedya w jednym akcie, z niemieckiego przełożona. Kraków, 1891.

— *E. Orzeszkowa.* „Romanowa“, przeróbka z powieści..., z obrazkami. Warszawa, 1891.

— *Henryk Gliński.* „Honor.“ Sztuka, temat, teza, etyka i krytyka. Kilka uwag z powodu sztuki H. Sudermana i głosów naszych krytyków, a głównie Bolesława Prusa, napisał... Skład główny w Petersburgu, księgarnia Br. Rymowicza, i Warszawa u Gebethnera i Wolffa. 1891.

— (*Nad.*) W sierpniowym zeszycie (str. 426) „Biblioteki Warszawskiéj“ prof. Antoni Mierzyński podał wiadomość o niemieckim przekładzie dziełka Klonowicza „actio“, ze względu, że o tym przekładzie „dotąd w literaturach nie wspomniano.“ Autor notatki widział tę broszurę w bibliotece miejskiéj w Gdańsku.

Rzeczywiście należy ona do bibliograficznych rzadkości, ale znowu nie pierwszorzędnych. Była mi znaną i została przeze mnie opisaną w „Bibliographia polonica XV ac XVI saeculi“, w tomie II (pod № 1753), który wyszedł z pod prasy w Warszawie w końcu Kwietnia bieżącego roku; tam też podałem wiadomość, że broszura znajduje się w bogatéj w osobliwości bibliotece hr. Konstantego Przeździeckiego.

Teodor Wierzbowski.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.

JÓZEF SZYMANOWSKI.

PRZYCZYNEK DO REFORMY PRAWA I PROCESU KARNEGO W POLSCE, W KOŃCU XVIII WIEKU.

I.

W historyi prawa karnego narodów nowożytnych, żadne czasy nie wydały więcéj doniosłych i zbawiennych reform, jak druga połowa XVIII wieku. W trojakim kierunku mianowicie wzbogaciły one to prawo świetnemi zdobyczami i zdrowszym natchnęły je duchem. Mamy tu na myśli jego postępy pod względem kodyfikacyjnym, tudzież jego wejście na nowe tory, tak co do pytania, jakie czyny można sprawiedliwie uważać za przestępstwa, jak co do téj drugiéj, niemniéj ważnéj kwestyi, jakie znamiona posiadać powinna kara sprawiedliwa.

W pierwszym kierunku wiek XVIII pozostawił po sobie w Europie cały szereg kodeksów karnych pomnikowego znaczenia. W drodze przykładu wystarczy wymienić w Bawaryi kodeks maksymiliański z r. 1751; w Austryi konstytucyę kryminalną Maryi Teresy z r. 1768 i kodeks józefiński z r. 1787; w Toskanii kodeks z r. 1786; we Francyi kodeks z lat 1791 i 1795; w Prusach Landrecht z r. 1794.

Nie chcemy bynajmniéj twierdzić, aby te ustawodawstwa miały być doskonałe nawet ze stanowiska ówczesnych wymagań nauki pra-

wa. Przeciwnie, niektóre z nich musiały razić w wysokim stopniu pojęcia i uczucia mężów, którzy stali wtedy na czele ruchu umysłowego w Europie i domagali się energicznie oczyszczenia prawa karnego z wszelkich urządzeń, nacechowanych barbarzyństwem i niegodnych ani serca, ani rozumu ludzkiego.

Wszakże konieczność takiéj reformy już na początku XVIII wieku należała do haseł, bronionych przez najznakomitszych nauczycieli prawa; a jednak ileż-to jeszcze okrucieństwa i nienawiści dla przestępcy zachowało się w najbardziéj humanitarnych ustawach z końca owego stulecia! Bez przesady można powiedzieć, że taki Thomasius, który blisko na sto lat przed wydaniem kodeksu karnego austryackiego z r. 1787 tak stanowczo potępiał kary zniesławiające, byłby niewątpliwie po jego przeczytaniu cisnął go na ziemię z najżywszém oburzeniem. Kodeks ten bowiem znosił wprawdzie karę śmierci w drodze postępowania zwyczajnego, ale wprowadzał natomiast niezmiernie surowe, prawie nieludzkie, formy kary więziennéj, a oprócz tego zachowywał piętnowanie i wystawienie pod pręgierzem. To zaś nie przeszkodziło mu uchodzić za postępowy w historyi prawa karnego, gdyż pod wielu innemi względami znalazły w nim odgłos szlachetne nawoływania, zawarte w wiekopomném dziele Beccaryi: „O przestępstwach i karach“ (1764).

Widzimy ztąd, że nie wyłącznie ze stanowiska programu, bronionego w XVIII wieku przez apostołów humanitaryzmu w prawie karném, oceniać należy doniosłość historyczną kodeksów, o których tu mowa. Znaczenie ich pomnikowe tkwi także w wysokim stopniu nie w saméj ich treści, lecz w ich powadze formalnéj. One pierwsze mianowicie uświęciły wyraźnie zasadę, według któréj ustawa powinna być jedyną regułą dla sędziego w przedmiocie pytań, jakie czyny uważać trzeba za przestępstwa i jak należy karać osoby, winne ich popełnienia. Przez to zaś położyły one tamę samowoli sądów i usunęły źródło najobfitszych i najbardziéj krzyczących nadużyć w praktyce kryminalnéj. Nie ulega bowiem wątpliwości, że mniéj krzywdy może wyrządzić społeczeństwu najwadliwszy kodeks karny, niż brak ścisłych, władzę karzącą sędziego jasno określających, ustaw. Tę prawdę zrozumiano powszechnie w XVIII wieku i w tém właśnie, że ówczesne kodeksy karne nadały jéj moc obowiązującą, spoczywa ich wielka doniosłość dziejowa.

W drugim i trzeciw ze wskazanych na wstępie kierunków prawo karne uczyniło także pod koniec XVIII wieku cały szereg świetnych zdobyczy. Wywołał je, jak wiadomo, potężny głos filozofów i publicystów ówczesnych, a streścić je można w dwóch następujących punktach: 1) oczyszczanie natury przestępstw ze wszystkich ob-

cych jéj pierwiastków; 2) oczyszczanie natury kary ze wszystkich znamion, stawiających ją w niezgodzie z rzeczywistemi wymaganiami sprawiedliwości.

Pod pierwszym względem zdobywa sobie w kodeksach karnych rozbieranéj tu epoki coraz więcéj uznania myśl, jako pojęcie przestępstw ograniczyć trzeba do pojęcia działań bezprawnych. Nie miało to bynajmniéj znaczyć, iżby wszystkie działania, prawu przeciwne, musiały lub nawet mogły stanowić przestępstwa; chciano przez to wyrazić tylko przekonanie, że po-za sferą działań powyższego rodzaju państwu nie wolno jest żadnych innych czynów pociągać do kary. Oparto wskutek tego na zdrowszych zasadach stosunek przestępstw do działań, sprzeciwiających się religii lub moralności, i wśród tych ostatnich przyznano charakter karygodności tym tylko, które jednocześnie naruszały podstawy porządku prawnego.

Z tego stanowiska przestano pod koniec XVIII wieku zapatrywać się na herezyę, apostazyę, bluźnierstwo i wszelakie czyny świętokradcze, jako na przestępstwa, wyrządzające obrazę majestatowi Boga (*crimina laesae majestatis divinae*) i narażające społeczeństwo na straszne gromy jego gniewu. Natomiast zapanował inny pogląd na naturę tych czynów. Uznano mianowicie za właściwe pociągnąć je do kary tylko ze względu na ich stosunek do interesów prawnych społeczeństwa, czyli, inaczéj mówiąc, tylko o tyle, o ile można było w nich widzieć bądź zamach na pewne urządzenia kościelne, niezbędne według państwa dla zabezpieczenia porządku prawnego, bądź obrazę uczuć religijnych obywateli, a więc wyrządzenie krzywdy osobom prywatnym. Wśród ustawodawstw niemieckich pierwszy wyraz dał temu poglądowi kodeks karny austryacki z r. 1787.

Taka sama przemiana pojęć nastąpiła co do poglądu na naturę przestępstw, sprzeciwiających się moralności. Państwu zaprzeczono prawa stania na straży cnotliwego życia obywateli i pociągania ich do kary za niespełnianie obowiązków, które z natury swojéj tylko od ich dobréj woli zależnemi być mogą. Z drugiéj jednak strony zrozumiano, że utrzymanie w karbach wymagań moralności niektórych stosunków życia towarzyskiego leży w interesie porządku prawnego, i tylko ze względu na tę okoliczność dozwolono państwu podnosić do rzędu przestępstw te lub inne wykroczenia przeciwko dobrym obyczajom.

Być może, że w końcu XVIII wieku niektórzy prawnicy zadaleko posunęli swoją niechęć do uznawania za przestępstwa czynów, sprzeciwiających się moralności. Wymownym tego dowodem jest np. Hommel, który, występując przeciwko karygodności cudzołóztwa, śmie utrzymywać, że dzieci, powoływane do życia przez wolną miłość, czę-

sto są o wiele zdrowszemi od „niedołężnych i głupich latorośli małżeństwa“ [1]). Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na nadmierną surowość, z jaką ustawy z XVI, XVII i XVIII wieku ścigały niekiedy drobne nawet przestępstwa przeciwko moralności; to przyznamy niewątpliwie, że wielce dobroczynnym był w końcu XVIII wieku prąd, skierowany ku ujęciu w ciaśniejsze granice tak pojęcia, jak karygodności tych przestępstw.

Przypomnijmy nareszcie w kilku słowach znakomite postępy, które uczyniło prawo karne w drugiéj połowie XVIII wieku co do oczyszczania natury kary ze wszystkich znamion, stawiających ją w niezgodzie z rzeczywistemi wymaganiami sprawiedliwości. Znamion tych było zaiste dużo w karach, w których lubowały się ustawy narodów europejskich, aż do końca XVIII wieku. Natchnione duchem odstraszenia i zasadą analogii i proporcyonalności odnośnie do przestępstw, kary te odznaczały się z jednéj strony niesłychaną różnorodnością postaci, z drugiéj zaś — grozą, dochodzącą do okrucieństwa i czyniącą z nich raczéj narzędzia tortury, niż miecze sprawiedliwości. Inaczéj téż być nie mogło w epoce, w któréj uważano-by za rzecz niesłuszną karanie w jednakowy sposób tak różnych zbrodni, jak np. morderstwo, ojcobójstwo, rabunek, trucicielstwo i kacerstwo, a jednak sądzono, że każda z nich zasługuje na karę śmierci. Wobec tego nie było innéj rady, jak ustanowić kilka rodzajów kary śmierci i tracić morderców zwyczajnych przez łamanie kołem, ojcobójców przez ćwiertowanie, rabusiów przez ścinanie, trucicieli i kacerzy przez spalenie na stosie. Tą drogą poszły téż wszystkie kodeksy karne rozbieranéj tu epoki, a na ich czele konstytucya kryminalna cesarza Karola V-go (*Carolina*) z roku 1532, ów najznakomitszy pomnik ustawodawczy zasady analogii i proporcyonalności między karą a przestępstwem.

Pod panowaniem wymienionéj wyżéj zasady, ustawodawcom nie mogło nawet chodzić o to, aby kara miała dotykać wyłącznie osobę przestępcy. Starali się oni tylko wynaléźć dla każdéj zbrodni karę, różniącą się swoją surowością od téj, która-by spotkała sprawcę wszelkiego lżejszego lub cięższego od niéj przestępstwa, nie troszcząc się bynajmniéj o ukaranie go w sposób, który-by względem niego samego okazał się sprawiedliwym środkiem represyjnym.

Zresztą, jak już powiedzieliśmy, duch odstraszenia był drugą cechą istotną téj epoki, a w duchu tym państwo musiało uważać za rzecz korzystną odpowiedzialność za niektóre cięższe zbrodnie zwalać

[1]) Por. Hommel: „Philosophische Gedanken über das Krim. Recht“. 1784, str. 121.

nietylko na samych winowajców, ale także na ich potomstwo. Przebijała się oprócz tego w tym poglądzie prawniczym myśl przechodzenia na dzieci tak dobrych, jak złych skłonności rodziców, myśl, któréj nowsza nauka chciała-by na nowo zapewnić uznanie w prawie karném [1]), nie bacząc na to, że w niéj tkwiło źródło owych strasznych krzywd, które niegdyś tak boleśnie tyle niewinnych dotykały rodzin i dzisiaj tyle oburzenia w uczuciach naszych wywołują.

Oburzeniu temu potrafili już dać wymowny wyraz Montesquieu, Voltaire, Beccaria, Filangieri i wielu innych publicystów, którzy w drugiéj połowie XVIII wieku wypowiedzieli otwartą walkę dawnemu barbarzyństwu w prawie karném. Głos ich w przedmiocie téj kwestyi trafił do przekonania współczesnych im ustawodawców. To téż ci ostatni zrywają coraz szczerzéj z zasadą pociągania dzieci do odpowiedzialności za winy ich rodziców, stanowiąc wyraźnie, że kara powinna dotykać tylko osobę przestępcy [2]).

Nowemu temu kierunkowi zawdzięczać należy w XVIII wieku, jeżeli nie zupełne wyrugowanie ze systemu środków karnych konfiskacyi całego majątku [3]), to przynajmniéj nadanie jéj coraz szczuplejszego zastosowania, z uwagi na tę okoliczność, że ta kara ciężarem swoim przygniata dotkliwiéj niewinną rodzinę przestępcy, niż jego samego. W bieżącém stuleciu myśl, która przewodniczyła temu kierunkowi, odezwała się znowu w silnéj opozycyi przeciwko tak zwanéj śmierci cywilnéj, która-to kara, w najwyższym stopniu niesprawiedliwa dla najbliższych krewnych dotkniętego nią przestępcy, uświęcona powagą prawodawcy francuskiego z r. 1810, dostała się także do kodeksu karnego Królestwa Polskiego z r. 1818 [4]).

Poznaliśmy już główne zasady, w których duchu mężowie nauki domagali się w XVIII wieku reformy prawa karnego, i widzieliśmy, jak świetne owoce wydała ich działalność na polu praktyki kryminalnéj, wywoławszy w zachodniéj i środkowéj Europie kilka prawdziwie postępowych kodeksów karnych. Zapytajmy się teraz, czy ruch ten nie objął jeszcze szerszéj przestrzeni, a mianowicie, czy nie znalazł

---

[1]) Por, Garofalo: „Criminologia“ 1885, str. 83. Patrz także moją rozprawę p. t. „Szkoła pozytywna prawa karnego we Włoszech“, Lwów, 1889, str. 34.

[2]) Por. kodeks bawarski z r. 1751, § 39. Die Strafe soll nur den Thäter allein, nicht aber Dritte und Unschuldige, welche an dem Verbrechen keinem Theil haben, mitbetreffen“.

[3]) We Francyi zniósł ją kodeks z r. 1790, lecz wprawadził na nowo kod. z r. 1810. Ostatecznie uchylono ją w tym kraju w r. 1814.

[4]) We Francyi zachowała się ona do r. 1853 (ustawa z 31 Maja); w Królestwie Polskiém zniósł ją kod. z r. 1847. Por. mój „Wykład prawa karnego“ t. II. N. 671 (Kraków, 1887).

także w Polsce umysłów, chętnych do tego, aby stanąć na jego czele, bronić zasad, które mu przewodniczyły, i torować im drogę do uznania ze strony sfer ustawodawczych? Wyborną sposobność do wyjaśnienia téj tak wielce zajmującéj kwestyi podaje nam, świeżo ogłoszona przez d-ra Ostrożyńskiego w XXV tomie Rozpraw i Sprawozdań wydziału filozoficzno historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie, praca p. t. „Ostatni projekt reformy prawa i procesu karnego w Polsce“.

II.

Projekt ten wiąże się ściśle z ustawą rządową 1791 r. W jéj artykule VIII znalazła wyraz zapowiedź spisania dla Polski nowego kodeksu praw cywilnych i kryminalnych, zapowiedź, którą sejm z roku 1791 postanowił wkrótce wprowadzić w wykonanie. W tym celu uchwalił już 28 Czerwca téż osobną, kwestyi téj wyłącznie poświęconą, ustawę.

Oto jest jéj tekst dosłowny:

„Dopełniając woli prawa pod tytułem „Ustawa Rządu“, nakazującego spisać nowy *Codex praw cywilnych i kryminalnych*, Deputacyę do tego dzieła wyznaczamy, do któréj wybrane na Sessyi obydwóch prowincyi koronnych, razem złączonych, osoby tak z Seymujących, jakotéż i innych Obywatelów Prowincyi koronnych, mając za prawidło tak Statut Łaskiego, jakotéż i Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego, *Codicem civilem* wraz z procesem cywilnym et *Codicem criminalem cum poocessu criminali* ułożą. A gdyby w tych Statutach brakowało jakich cywilnych lub kryminalnych ustaw, Deputacya, czerpając prawidła z innych praw, tak krajowych, jak obcych, i z sprawiedliwości naturalnéj, nowemi prawami tenże niedostatek dopełni. I najprzód do roztrząśnięcia Sessyom Prowincyonalnym Koronnym, a potym do decyzyi Stanów przyniesie; na który czas decyzyi UU. Marszałkowie Seymowy i Konfederacyi Oboyga Narodów wszystkich Posłów listami swemi wcześnie do przybycia obwieszczą. Gdyby zaś przed terminem, na zakończenie Sejmu teraźniejszego prawem oznaczonym, uskutecznione to dzieło być nie mogło, wtedy takowe dzieło do decyzyi następującego Seymu zostawione być ma. Aby zaś dzieło tak pożądane niezawodnie do potrzeb i życzenia narodu stosować się mogło, obowiązujemy Deputacyę, ażeby Prospekt na konkurs wydała dla wszystkich Obywatelów, którzy-by chcieli w téj materyi pisać i tak ważną Narodowi uczynić przysługę; a którego-by opis za najdogodniejszy i najstosowniejszy do potrzeb obywatelskich osądzi-

ła, temu My nagrody dwadzieścia tysięcy złotych polskich przyznamy. Takowy zaś zbiór praw cywilnych i kryminalnych, gdy w prawo zamieniony zostanie, będzie się nazywał „*Codex Stanislawa Augusta*“.

Deputacya, którą przytoczona wyżéj ustawa chciała mieć wyznaczoną dla zajęcia się ułożeniem nowego kodeksu, ukonstytuowała się niebawem. Skład jéj bowiem wybrano d. 29 Czerwca 1791 na sesyi prowincyi koronnych małopolskiéj i wielkopolskiéj. Na jéj prezydentów powołano Jacka Małachowskiego, kanclerza wielko-koronnego, i księdza Hugona Kołłątaja, podkanclerzego koronnego; na jéj członków zaś—12 delegatów, z każdéj prowincyi po sześciu. Delegatami prowincyi małopolskiéj byli: Bierzyński, podkomorzy i poseł kijowski, Dłuski, starosta sądowy łukowski i poseł lubelski, Trojanowski, sędzia i poseł ziemi bielskiéj, Morawski, pisarz latyczewski, Michał Sobański, podstoli winnicki, i ksiądz Januszewicz, profesor prawa krajowego w akademii krakowskiéj. Z prowincyi zaś wielkopolskiéj weszli do deputacyi kodyfikacyjnéj: Mieczyński, chorąży sochaczewski, Józef Szymanowski, szambelan Stanisława Augusta, Puchała, podstarosta i poseł czerski, Poniński, starosta kopanicki, ksiądz Reptowski, kanonik poznański, scholastyk warszawski, i Wybicki, szambelan Stanisława Augusta.

Działalność swoją rozpoczęła deputacya kodyfikacyjna od zredagowania i obwieszczenia odpowiedniéj odezwy do narodu. Odezwa ta, któréj autorem był Franciszek Dmochowski, jest niezmiernie ważnym dokumentem dla historyi w mowie tu będącego zbioru praw.

Nie od rzeczy będzie przypatrzéć się bliżéj jéj treści.

Na samym wstępie uwiadamia ona „całą obywatelską powszechność“ o ustawie sejmowéj z 28 Czerwca 1791, zaznaczając wybitnie wysoką wartość, którą musi przedstawiać podjęte przez nią dzieło. „W żadném albowiem państwie,—czytamy w odezwie,—nie było tyle razy żądane od światłych i cnotliwych ludzi dokładne praw spisanie, poprawa i wydoskonalenie, jak w narodzie naszym, lecz nawzajem w żadnym narodzie nie były bardziéj zawiedzione nadzieje tych, którym władza prawodawcza tak ważnéj pracy powierzała. Od tego czasu, kiedy Polska zaczęła mieć pisane prawa, aż do dni naszych widzimy, jak naród zawsze życzył sobie porządnego praw zbioru i jak wielkie, w tym celu podjęte prace, albo niedostateczne, albo niedogodne były. Nieobojętną jest rzeczą dla światłéj publiczności rzucić okiem na tak wielkie i tak często powtarzane gorliwych mężów prace i silnie zastanowić się, dla jakich przyczyn tak zbawienne przedsięwzięcia w tak potrzebném dla narodu dziele zamierzonego skutku otrzymać nie mogły“.

Ztąd bierze odezwa asumpt do skreślenia pobieżnéj historyi wszystkich dotychczasowych prac, skierowanych ku obdarzeniu Polski porządną kodyfikacyą przepisów prawnych. Znajdujemy tu wymienione zbiory Jana Łaskiego, Jakóba Przyłuskiego, Herburta, Sarnickiego, Januszowskiego, Lwa Sapiehy „Statut dla W. Ks. Litewskiego“, Swoszowskiego, podkomorzego lwowskiego, „Projekt o postępku prawnym“ (procedura), w r. 1613 stanom do aprobaty podany, wreszcie najnowszy z nich wszystkich „Zbiór praw sądowych“ Andrzeja Zamoyskiego.

„Cóż jest,—zapytuje się odezwa,—co te wszystkie zbiory do ugruntowania sprawiedliwości, do zabezpieczenia spokojności i troskliwości obywatelów niedostatecznemi czyniło? Czemu nie mogła się z nich uformować dokładna praw cywilnych księga?“

Przyczynę tego znajduje odezwa w téj okoliczności, że „dotąd prawa nasze nie podług pewnego układu, ale z potrzeby, z okoliczności, a częstokroć z interesu prywatnych pisane były ... Nie pomyślał naród,—mówi daléj odezwa,—o doskonałym opisie politycznego rządu swojego, napróżno więc musiały być podejmowane prace około zrobienia układu doskonaléj księgi praw cywilnych. Wszystko się działo z przypadku, dlatego téż wszystko było w nieładzie. Tu polityczne prawa z cywilnemi pomieszane i za jedno brane, tu na wiarę rzymskich i gotyckich ustaw największe błędy, bezrozumne zwyczaje, wiekiem tylko i naśladowaniem stwierdzone, za prawa przyjęte; tu nieznany język, obojętne wyrazy; tu za napisaniem nowych ustaw, dawniejsze, wcale przeciwne, niezłagodzone; tu zaradzono szczególnéj okoliczności, a nie założono powszechnéj zasady, która-by tysiąc podobnych załatwić mogła: do tego ustawiczne poprawy, odmiany, objaśnienia, przydatki, tłómaczenia. Żadne tam zbiory światła dać nie mogły, gdzie prawa nie w jednym duchu, nie w jednym celu, lecz tylko czasowym zaradzając potrzebom, stanowiono. Można powiedzieć, że ta sama mnogość zbiorów okazuje praw niedostateczność.

Od podobnych błędów pragnie i ma nadzieję uchronić się deputacya kodyfikacyjna, gdyż w myśl instrukcyi, zawartéj w ustawie sejmowéj z 28 Czerwca, przed przystąpieniem do ułożenia zamierzonego zbioru, przedewszystkiém naszkicuje: „Prospekt, czyli wzór, podług którego-by dzieło, od władzy prawodawczéj żądane, a całéj społeczności narodowéj potrzebne, jak najrychléj ukończone być mogło“, założy: „pierwsze fundamenta i zasady, na których cała prawa budowa wspierać się powinna“; ustanowi: „pewne początkowe prawidła, które całém dziełem w porządku, w podziałach i stosunkach jego kierować mają“; a uczyniwszy to, zaweźwie wszystkich „do tak zbawiennéj

pracy gorliwych i światłych obywatelów", aby przyszli deputacyi w pomoc „do wystawienia i dokonania budowy téj świątyni prawa", co pozwoli deputacyi przy poruczonéj jej robocie „korzystać z pism całéj powszechności narodowéj, a tym samym nabyć prawo do ufności narodu".

Pewne ogólne wskazówki co do źródeł, systemu i stylu zamierzonego kodeksu, podaje sama odezwa. Streścić je można w trzech następujących głównych punktach:

1) Zbiór praw powinien o ile można zachować cechę starożytności, tak co do stylu, jak treści. „Do niczego bowiem,—powiada odezwa,—więcéj nie przywiązują się ludzie, jak do swojéj starożytności. Ustawy, chociaż nie najdoskonalsze, tym samym, że są dawne, szanownemi się stają". Aby temu wymaganiu stało się zadosyć, poleca odezwa, zgodnie z ustawą z 28 Czerwca 1791, przyjąć „Statut Łaskiego" i „Statut Litewski" za główną podstawę nowéj kondyfikacyi. Dopiero odnośnie do przypadków, które te statuty ominęły lub niesprawiedliwie unormowały, odezwa pozwala czerpać nowe przepisy, bądź z innych zbiorów praw, tak krajowych, jak obcych, bądź nareszcie z prawa natury.

Zbiór ten powinien znaléźć się w zgodzie ze sprawiedliwością przyrodzoną, ze stosunkami, powołanemi do życia przez umowę towarzyską, i z ustawą rządową kraju, czyli, inaczéj mówiąc: powinien zabezpieczać każdemu człowiekowi prawa, które płyną dla niego ze stanu natury, z kontraktu społecznego i z ustroju politycznego. Odpowiednio do tego, lubo, jak powiedzieliśmy wyżéj, „Statut Łaskiego" i „Statut Litewski", służyć mają według odezwy za główne źródła projektowanéj kodyfikacyi; to, jednak przy układaniu téj ostatniéj należy „zawsze miéć na oku sprawiedliwość przyrodzoną, związki społeczności i ustawę rządową", to znaczy: o tyle tylko czerpać przepisy z owych statutów, o ile-by wytrzymywały one krytykę ze stanowiska trzech w mowie tu będących zasad.

3) Zbiór praw powinien przestrzegać głównych rysów systemu, przyjętego w prospekcie, i stosować się do ducha, wyrażonego w obszerniejszych uwagach, które deputacya do każdego rozdziału prospektu dołączy. Samego prospektu nie zawiera odezwa, lecz mówi o nim tylko, że ma obejmować trzy księgi i dzielić się na rozdziały, artykuły, paragrafy i numera.

Ostatni ustęp odezwy zaprasza gorąco obywateli do współpracownictwa w dziele zamierzonéj kodyfikacyi, obiecując im za nie wdzięczność najpóźniejszych pokoleń, „bo nie masz dobrodziejstwa, którego-by skutki trwalsze były, jak nadanie ludziom praw zbawiennych i pożytecznych".

Czy na powyższéj odezwie zakończyła się działalność deputacyi kodyfikacyjnéj? Czy, zapowiedziawszy wydanie szczegółowego prospektu zamierzonego zbioru praw i przedłożenie obszerniejszych uwag, które, dołączone do każdego jego rozdziału, tłómaczyć miały obywatelom, w jakim duchu należało go redagować, deputacya nie poczuła się do obowiązku spełnienia téj obietnicy?

Czy może téż odstąpiła ona, już po wydaniu odezwy, od planu, narzuconego jéj przez ustawę z 28 Czerwca 1791 r., i, nie czekając owoców ogłoszonego konkursu, odrazu zabrała się sama do ułożenia nowéj kodyfikacyi?

Postarajmy się odpowiedzieć na to pytanie na podstawie niezmiernie cennych dokumentów, zawartych w rękopisie, który znajduje się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie i nosi tytuł: „Projekta do księgi praw cywiluych i karzących, przez członków deputacyi do napisania kodeksu Stanisława Augusta, króla polskiego, dla prowincyi koronnych, stosownie do prawa sejmowego z 28 Czerwca 1791 podane“ [1]).

Prócz tekstu ustawy z 28 Czerwca 1791 r. i znanéj nam już odezwy deputacyi, w rękopisie tym mieści się także długi szereg referatów, przedstawiających bądź tylko pobieżnie naszkicowane myśli w przedmiocie planu lub ducha zamierzonéj kodyfikacyi, bądź téż bardziéj systematyczne opracowanie niektórych pojedyńczych jéj działów. W ich rzędzie zaś wyróżnia się niewątpliwie, tak co do treści, jak i formy zewnętrznéj, pismo p. t.: „Prospekt do prawa i procesu kryminalnego Józefa Szymanowskiego, na sesyi deputacyi 25-éj, dnia 14-go Marca 1792 odczytany.

Prospekt ten jest właśnie przedmiotem cytowanéj już przez nas rozprawy d-ra Ostrożyńskiego, który, odkrywszy go w rękopisie lwowskim, wydał jego całkowity tekst, porównał go ze „Zbiorem praw sądowych Zamoyskiego“ i z ówczesnym stanem prawa karnego w innych państwach Europy, i na téj podstawie oparł jego rozbiór krytyczny.

Sposób, w jaki postaramy się roztrzygnąć postawione wyżéj pytania co do dalszéj działalności deputacyi kodyfikacyjnéj, pozwoli nam zarazem ocenić rzeczywisty charakter prospektu Szymanowskiego i osądzić stanowisko, które względem niego zajął doktor Ostrożyński.

---

[1]) Ossolineum, N. Inw. 1779.

III.

Jeżeli przypatrzymy się uważnie materyałom, zawartym w cytowanym wyżéj rękopise lwowskim, to niezawodnie dojdziemy do przekonania, że deputacya kodyfikacyjna ani nie zaniechała dalszéj pracy nad powierzoném jéj dziełem, ani téż nie odstąpiła w przedmiocie téj kwestyi od wskazanego jéj przez ustawę z 28 Czerwca 1791 r. trybu postępowania.

Czego bowiem innego dowodzą owe 38 różnych pism, podciągniętych w rękopisie pod ogólny tytuł: „Projekta do księgi praw cywilnych i karzących?“ Czegóż, dodajmy, innego dowodzi owa na rękopisie znajdująca się notatka, z któréj dowiadujemy się, że te wszystkie projekta musiały być przedmiotem obrad deputacyi, skoro ułożone zostały w porządku, zaczerpniętym z protokółu jéj posiedzeń, spisanego w r. 1792 przez jéj sekretarza, Józefa Januszewicza.

W rzędzie 38 wspomnianych wyżéj pism nie wszystkie posiadają charakter prac przygotowawczych do nowego prawa. Wśród nich bowiem mieszczą się także takie dokumenta, jak ustawa z 28 Czerwca 1791 r. (Nr 1), odezwa deputacyi (Nr 3), rezolucya komisyi edukacyjnéj z dnia 4 Września 1791 r., zwalniająca Stroynowskiego i Januszewicza od obowiązków profesorskich na czas trwania deputacyi (Nr 30), kilka listów i odezw, wysłanych do deputacyi lub przez nią wystosowanych, a nie przedstawiających dla nas głębszego interesu (Nr 31—36), wreszcie cztery przedłożenia, dotyczące sejmów i sejmików (Nr 24), rozgraniczenia powszechnego Wielkiego Księstwa Litewskiego (Nr 27), stanu teraźniejszego Rzeczypospolitéj (Nr 37) i żądań trybunału koronnego prowincyi małopolskiéj, do Najjaśniejszego Króla przez jego delegatów podanych (Nr. 38).

Tylko pozostałe dokumenta, umieszczone w rękopisie lwowskim, zawierają rzeczywiście pomysły do zamierzonéj kodyfikacyi.

Podzielić je można na trzy następujące kategorye:

1) Pisma, przedstawiające system całéj kodyfikacyi. Pierwszorzędną doniosłość w dziale tym posiadają Józefa Wybickiego: „Zasady do prospektu Codicis Stanisława Augusta (Nr 4), księdza Hieronima Stroynowskiego: „Myśl pierwsza o podziale ogólnym Codicis Stanisława Augusta (Nr 5), a nadewszystko obszerny referat Morawskiego, p. t.: „Myśli do prospektu Codicis Stanisława Augusta“ (Nr 6).

2) Pisma, mające za przedmiot opracowanie systematyczne niektórych większych działów zamierzonego kodeksu. Pierwsze miejsce należy się tutaj niewątpliwie prospektom Józefa Szymanowskiego:

„O prawie i procesie kryminalnym“ (Nr 10 i 11). Prócz nich jednak zasługują tu jeszcze na uwagę następujące referaty: „O opiekach wszelkiego rodzaju“ przez Bezimiennego (Nr 7); „O prawach i obowiązkach osób duchownych“, przez księdza Waleryana Bogdanowicza (Nr 8) i „Myśli o porządku sukcesyi“, przez Stroynowskiego (Nr 9).

3) Pisma poświęcone tylko niektórym szczególnym kwestyom prawnym, mającym znaleźć unormowanie w nowéj kodyfikacyi. Tych jest najwięcéj, a odnoszą się one wyłącznie do ustroju sądownictwa i do opłat sądowych (Nr 12—15, 17—23.

Jakiż charakter formalny przyznać trzeba wszystkim podanym wyżéj pismom? Sądzimy, że były to niezawodnie referaty bądź pojedyńczych członków komisyi kodyfikacyjnéj, bądź osób nie należących do niéj, wszakże zajmujących się żywo powierzoném jéj dziełem i pragnących według możności przyczynić się do jego skutecznego poparcia. Żadnego z tych dokumentów nie możemy uważać za gotowy już projekt, czy to całego kodeksu Stanisława Augusta, czy téż téj, lub innéj jego księgi. Nad niemi miała dopiero deputacya przeprowadzić odpowiednie narady, aby, na podstawie tych ostatnich i po uwzględnieniu wielu innych jeszcze głosów, które-by ze strony obywateli były jeszcze doszły do jego wiadomości w przedmiocie zamierzonéj kodyfikacyi, przystąpić do ułożenia ostatecznego jéj projektu. Nie tu zaiste było-by miejsce zastanawiać się nad okolicznościami, które powstrzymały dalszy rozwój tak pomyślnie rozpoczętego dzieła; wystarczy odczytać którykolwiek z większych referatów, zawartych w rękopisie lwowskim, aby się przekonać, iż ich autorowie dalecy byli od myśli uważania ich za gotowe projekta ustawodawcze. Od czegóż to naprzykład rozpoczyna Józef Wybicki swoje pismo, p. t.: „Zasady do prospektu Codicis Stanisława Augusta“ (Nr 4)? Na jego czele wypisuje on następujące słowa: „Gdyby się podobało deputacyi, dzieło Codicis mogło-by się dzielić na 4 części część każda dzieliła-by się na swoje rozdziały; rozdziały zawierały-by w sobie paragrafy“. Po takim wstępie przedstawia Wybicki obraz całego kodeksu, wyjaśniając cechę, cel i system każdéj jego części, tudzież głównych jego rozdziałów.

Tym samym charakterem czysto przygotowawczym odznacza się następny referat Morawskiego, p. t.: „Myśli do prospektu Stanisława Augusta“ (Nr 6). Ani ton jego, ani opracowanie, nie upoważniają nas do przypisywania mu wyższéj doniosłości. Projektem ustawy przyjęto powszechnie nazywać taki jéj tekst, który wymaga tylko zatwierdzenia ze strony władzy prawodawczéj, aby otrzymać moc obowiązującą. Temu warunkowi, możemy to śmiało powiedzieć, nie czyni

zadosyć żaden z dokumentów, umieszczonych w rękopisisie lwowskim, nie wyłączając nawet prospektów Józefa Szymanowskiego „O prawie i procesie kryminalnym“.

Zwróćmy się teraz specyalnie do tych prospektów i do ocenienia stanowiska, które względem nich zajął dr Ostrożyński.

IV.

Powiedzmy najpród kilka słów o osobie i działalności Józefa Szymanowskiego. Dosyć dokładną wiadomość o jego życiu i pracach znajdujemy w mowie pochwalnéj Stanisława Kostki Potockiego, wygłoszonéj na jego cześć w roku 1801 w ówczesném Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie [1]).

Urodzony w r. 1748 z Macieja, starosty wyszogrodzkiego, i Anny z Łuszczewskich, Józef Szymanowski otrzymał nader staranne i rozumne wychowanie, z początku w domu, „pod oczyma światłych i cnotliwych rodziców“, a następnie pod kierunkiem Stanisława Konarskiego, słynnego założyciela konwiktu pijarów w Warszawie. Ten ostatni, powiada Potocki, kształcił w swoim uczniu rozum i duszę z tém upodobaniem, „z którém starowny ogrodnik hoduje wybraną roślinę, przyszłą ogrodu swego chlubę“.

Po świetném ukończeniu nauki szkolnéj, Szymanowski, „nie nadęty poklaskami, które mu ona zjednała“, zrozumiał, że młodzieniec, jeżeli pragnie wiedzę swoją i talenta obrócić na pożytek i chwałę dla kraju, to nie powinien uważać szkoły za jedyne pole pracy nad kształceniem swego umysłu i serca. Bez porównania szersze do tego szranki otwiera mu dalsze życie, i jak tam znajdował nauczycieli, którzy go uczyli, tak tutaj szukać powinien przewodników, którzy, rozumniejsi od niego wiekiem i doświadczeniem, służyli-by mu za wzór rozsądku i cnoty.

Przewodnika tekiego znalazł on w osobie księcia Adma Czartoryskiego, który, oceniając tyle obiecujące na przyszłość zdolności i przymioty Szymanowskiego, „zaliczył go wkrótce do najpoufalszych swoich przyjaciół“.

W jego-to domu Szymanowski przez kilka lat prawie bez przerwy stałym był gościem, z nim-to czytywał najznakomitszych autorów

---

[1]) Patrz „Pisma Józefa Szymatowskiego“, Warsz 1803, str. 1 — 18 (tom XXIV „Wyboru pisarzów polskich“ Mostowskiego, a t. I zbioru specyalnego p. t. „Pisma rozmaite współczesnych“).

i rozprawiał o ich dziełach, z nim także niejedną daleką odbył podróż, zwiedzając kolejno kraje północne, Niemcy, Francyę, Anglię, a wszędzie się kształcąc, i to nietylko w nauce, lecz i w poczuciu piękna.

To ostatnie nawet stało się główną sprężyną twórczości literackiéj Szymanowskiego. Dzieła jego bowiem składają się przeważnie z utworów belletrystycznych, wierszem lub prozą pisanych.

W rzędzie pierwszych szczególną wartością odznacza się obszerniejszy poemat p. t. „Świątynia Wenery w Knidos“, osnuty na romansie, który Montesquieu znalazł w jakimś starym rękopisie greckim i przetłómaczył prozą na język francuski. Prócz tego pozostawił po sobie Szymanowski cały szereg różnych wierszy ulotnych, które wszystkie dowodzą, że ich autor prawdziwym był poetą, władał po mistrzowsku mową polską, duszę miał otwartą dla wszystkiego, co szlachetne, a serce — pełne zapału dla prawdy i piękna.

Wśród dzieł Szymanowskiego, prozą pisanych, a do belletrystyki należących, wymienimy „Listy o guście czyli smaku“, przekład powieści Woltera p. t. „Zadyg“ i wreszcie pośmiertny utwór, noszący tytuł: „Wyprawa na wojaż“.

Nie naszém oczywiście może być tutaj zadaniem wchodzić w bliższy rozbiór przytoczonych wyżéj pism Szymanowskiego. Żadne z nich nie należy do prawoznawstwa i nie znajduje się w związku bezpośrednim z tematem naszéj pracy. Tylko o tyle odnoszą się one do niego, o ile malują nam główny ton twórczości Szymanowskiego, ton, którego uwzględnienie przedstawi nam w jaśniejszém świetle rzeczywistą warstość poglądów prawniczych Szymanowskiego, wyrażonych w dwóch jego pismach o prawie i procesie kryminnalnym.

Już wkrótce po napisaniu w trzydziestym roku życia „Świątyni Wenery“, Szymanowski uczuł pierwsze ciosy choroby, która przeszło przez dwadzieścia lat była dla niego źródłem nieustannych cierpień, aż w końcu do grobu go wtrąciła. Ona to zniewoliła go kilkakrotnie do szukania ratunku dla starganego zdrowia w cieplejszym klimacie, a z okoliczności téj skorzystał Szymanowski dla dokładnego zwiedzenia Włoch, zbadania cywilizacyi, literatury, sztuk pięknych, obyczajów i ustaw téj ojczyzny tylu nieśmiertelnych mistrzów słowa, dłóta i pędzla, téj ziemi, tylu laurami okrytéj, tylu błyskawicami najczystszego natchnienia opromienionéj.

A jeżeli zawsze kraj ten dla umysłów zamiłowanych w rzeczach wzniosłych musiał wiele przedstawiać uroku, to cóż dopiero wtedy, gdy Szymanowski w nim przebywał. Były to bowiem czasy, o których słusznie można powiedzieć, że wyrażają jedną z najwspanialszych kart w kronice cywilizacyi narodu włoskiego. Epoka to była

walki we Włoszech, już nie o jakieś hasła abstrakcyjne na polu nauki lub sztuk pięknych, ale o wcielenie w tę tak bardzo pozytywną instytucyę życia, bo w stosunki, znajdujące się pod panowaniem prawa karnego, więcéj ducha miłosierdzia, więcéj poczucia rozumnie pojętéj sprawiedliwości.

W téj walce, która, jak wiadomo, w drugiéj połowie XVIII wieku w całéj toczyła się Europie, Włochy zajęły niewątpliwie najwybitniejsze stanowisko. Wśród jéj szermierzy bowiem Beccaria i Filangieri najświetniejszym jaśnieją blaskiem, a wpływ pierwszego okazał się tak potężnym, że jego nazwisko i tytuł jego pomnikowego dzieła „O przestępstwach i karach“ streszczają do pewnego stopnia wszystkie hasła téj walki, wszystkie jéj koleje i zwycięztwa.

Wyobraźmy sobie teraz Szymanowskiego, idealistę najczystszéj wody, zakochanego w pięknie i tém wszystkiém, co podnosi i doskonali ducha, czułego na każdy ton, natchniony miłością ludzkości i troską o jéj dobro; wyobraźmy sobie, powiadam, Szymanowskiego we Włoszech, w chwili, gdy ten ton drgał tam w powietrzu najsilniéj, napełniał atmosferę każdego większego miasta, każdego uniwersytetu, każdego znaczniejszego domu, wyciskał swoje piętno na literaturze, sztukach pięknych i całym toku myślenia wykształconéj publiczności,— i zapytajmy się, azali Szymanowski mógł zamknąć swą duszę na wpływy téj atmosfery uszlachetniającéj, mógł nie zapalić się do tego, tak świetnie bronionego we Włoszech, humanitaryzmu w prawie karném i nie zapragnąć także stać się jego apostołem u siebie! Zaiste, ponętną musiało być dla niego rzeczą iść w ślady Beccaryi i Filangierego, których dzieła, wówczas tak rozchwytywane w całéj Europie, nietylko obcemi nie mogły być Szymanowskiemu, ale niezawodnie głęboko wbić się musiały w jego umysł i swoje znamię na jego poglądach prawniczych trwale wycisnąć.

Nie mamy na to żadnych wyraźnych dowodów, ale, pomimo to, śmiemy przypuszczać, że Szymanowski, lubo już przedtém piastował w kraju urząd sądowy, dopiero we Włoszech zaczął na seryo zajmować się nauką prawa, i to pod wpływem dzieł Beccaryi i Filangierego, uniesiony prądem ich nowych haseł i przekonany ich argumentami o konieczności zreformowania systemu karania przestępstw i oparcia go na zdrowych podstawach. Śmiemy przypuszczać, że Szymanowski, dotąd przeważnie poeta i literat, dopiero na ziemi włoskiéj uczuł się prawoznawcą i postanowił, wróciwszy do rodzinnego kraju, już specyalnie w tym charakterze ofiarować mu swoje usługi.

Téj-to okoliczności należy w wysokim stopniu przypisać wstąpienie Szymanowskiego w r. 1791 do deputacyi kodyfikacyjnéj, do

któréj zresztą otwierało mu także wrota jego poprzednie długoletnie urzędowanie, tak w komisyi skarbowéj koronnéj, jak w magistraturze [1]). Owocem jego działalności w deputacyi stały się trzy referaty, z których dwa zawierają niejednokrotnie już cytowane przez nas prospekta prawa i procesu karnego, a trzeci nosi tytuł: „Uwagi do projektu trybunałów w trzech prowincyach“ i odczytany został na sesyi deputacyi d. 3 Styczna 1792.

Odłożywszy na stronę ten ostatni referat, jako nie znajdujący się w żadnym związku z tematem niniejszéj pracy, przystąpmy teraz do bliższego poznania dwóch pierwszych, specyalnie nas tutaj obchodzących, prospektów Szymanowskiego.

V.

Z dwóch prospektów ustawodawczych Szymanowskiego, tylko ten, który się odnosi do prawa karnego materyalnego, nie był dotąd drukowany i wskutek tego pozostał ukryty, nietylko dla szerszego świata naukowego, ale nawet dla ciaśniéjszego koła uczonych kryminalistów. Zasługa wydobycia go z zapomnienia przez ogłoszenie drukiem przypada panu Ostrożyńskiemu, który znalazł go w znanym nam już dobrze rękopisie lwowskim. Co się tyczy zaś pracy Szymanowskiego, poświęconéj procesowi karnemu, to już znajdujemy ją wydrukowaną w zbiorze pism tego autora, stanowiącym XXIV tom wydawanego przez Tadeusza Mostowskiego w Warszawie „Wyboru pisarzów polskich“ (str. 242—255).

Dr. Ostrożyński, zaznaczając w swojéj rozprawie powyższą okoliczność, dziwi się, że wydawca pism Szymanowskiego, umieściwszy w ich zbiorze jego prospekt procesu karnego, nic nawet nie wspomina „o jego nierównie lepszéj pracy z dziedziny prawa karnego“ (stron. 13, przypisek 1). Zdziwienie to rzeczywiście było-by na swojém miejscu, gdyby ta ostatnio wymieniona praca Szymanowskiego miała posiadać to znaczenie, które chciał-by jéj przypisać p. Ostrożyński. Musi zaś ono opuścić nas wtedy, gdy na podstawie bliższego rozbioru téj pracy przekonamy się, że sam nawet Szymanowski nie mógł jéj uważać za utwór oryginalny, a napisał ją tylko w tym celu, aby owe zasady postępowe, które zaczerpnął z dzieł Beccaryi

[1]) W chwili, gdy Szymanowski wstępował do deputacyi kodyfikacyjnéj, mało już było nadziei utrzymania go długo przy życiu. Pomimo to jednak, urzędował daléj i w r. 1794 objął nawet uciążliwe obowiązki dyrektora wydziału sprawiedliwości. Umarł 15 Lutego 1801.

i Filangierego i poczytywał za słuszne podać do wiadomości deputacyi kodyfikacyjnéj i utorować im drogę do uznania z jéj strony.

Ale przed uzasadnieniem tego naszego przekonania zajmiemy się jeszcze innym punktem, w którym sąd nasz o prospekcie prawa karnego Szymanowskiego znajdzie się także w niezgodzie z opinią p. Ostrożyńskiego. Podczas mianowicie, gdy ten ostatni uważa go za całkiem już gotowy projekt ustawodawczy i stawia co do powagi na równi ze „Zbiorem praw sądowych" Zamoyskiego, to my stanowczo odmawiamy mu tego charakteru i utrzymujemy, że był to tylko referat w przedmiocie najważniejszych kwestyi prawa karnego, mający, podobnie jak wszystkie inne materyały, zawarte w wiadomym rękopisie lwowskim, służyć deputacyi za podstawę do ułożenia projektu kodeksu Stanisława Augusta.

Pragniemy najprzód załatwić się ostatecznie z tym punktem dlatego, że tę samą tezę już wyżéj postawiliśmy i wyjaśniliśmy odnośnie do całéj osnowy rękopisu lwowskiego, i że wskutek tego pilno nam teraz, o ile już specyalnie tyczy się ona prospektów Szymanowskiego, przytoczyć na jéj poparcie odpowiednie argumenta. Są one następujące:

1) Prospekta Szymanowskiego nie wyczerpują bynajmniéj wszystkich pytań, należących do zakresu prawa i procesu karnego. Uwzględniają tylko najważniejsze z nich i podają w ich przedmiocie szereg prawideł i uwag. Ze systemu prawa karnego Szymanowski rozbiera podział przestępstw na lżejsze i cięższe, z których pierwsze nazywa *winami*, a drugie — *zbrodniami*, podział win i kar dla nich oznaczonych, podział zbrodni i kar im odpowiadających, wreszcie podaje trzy kategorye prawideł, a mianowicie: jednę odnośnie do przestępstw, a trzecią znów, tyczącą się kar w szczególności.

Niemniéj pobieżnie obchodzi się Szymanowski z procesem karnym. Na samym wstępie wyjaśnia cel tego procesu, wysnuwa z niego trzy prawidła ogólne, a potém w siedmiu osobnych artykułach traktuje: o skardze czyli delacyi, o zapewnieniu się, czy przestępstwo jest popełnione, o pozwach, o imaniu czyli przytrzymaniu obwinionego przez sąd, o stawaniu w sądach, o wyroku sądowym i sposobie sądzenia, nakoniec o niestawaniu w sądzie.

Każdy przyznać musi, że prawnik, tak wykształcony, jak Szymanowski, nie mógł chyba zbudowanych w powyższy sposób prospektów prawa i procesu karnego uważać za gotowe projekta ustawodawcze.

2) Sam ton prospektów Szymanowskiego przemawia za naszą tezą. Mamy tu głównie na myśli prospekt prawa karnego. Naprózno szukaliśmy w nim choćby jednego przepisu, ujętego w formę na-

kazu. *Lex imperat non disputet*; tymczasem pismo to zawiera same rozumowania, prawidła, wypowiedziane po nauczycielsku i przypominające raczéj traktat teoretyczny, niż artykuły ustaw.

Już niewątpliwie mniéj szkolny charakter posiada prospekt procesu karnego. Ton jego bowiem brzmi przeważnie rozkazująco. Pomimo to jednak, niektóre jego części (np. wstęp i artykuł II) zbyt widocznie świadczą, że Szymanowski i w tym prospekcie chciał tylko zwrócić uwagę deputacyi na sposób, w jaki-by należało unormować pewne szczególne doniosłe stosunki proceduralne, nie troszcząc się o przedstawienie jéj projektu ordynacyi całego postępowania karnego.

3) Już sam fakt, że w rękopisie lwowskim mieści się także inny prospekt prawa i procesu karnego, ułożony przez Morawskiego i zawarty w jego referacie p. t. „Myśli do prospektu Codicis Stanisława Augusta", już sam ten fakt, powiadam, powinien był ostrzédz p. Ostrożyńskiego, że było-by rzeczą niewłaściwą upatrywać w pismach Szymanowskiego coś więcéj nad pracę czysto informacyjną, mającą na celu udzielenie deputacyi przez jednego z wybitniejszych jéj członków pewnych wskazówek w przedmiocie unormowania kwestyi, które jego zdaniem zasługiwały na szczególne uwzględnienie, a opierały się dotąd w ustawodawstwie na najfałszywszych podstawach. Szkoda, że dr. Ostrożyński pominął milczeniem prospekt Morawskiego i nie rozebrał jego stosunku do odnośnych pism Szymanowskiego.

Stosunek ten, według nas, z innego jeszcze powodu posiada wysokie znaczenie w przedmiocie obchodzącéj nas tu kwestyi. Uderza w nim mianowicie tak okoliczność, że podczas, gdy Szymanowski w swoim prespekcie prawa karnego traktuje tylko o pytaniach, należących do systemu t. zw. jego części ogólnéj, to Morawski znów przedstawia nam rys jego części szczególnéj. Nie sądzimy, abyśmy wobec tego nie mieli tytułu do przypuszczania, iż obaj ci członkowie deputacyi kodyfikacyjnéj znajdowali się między sobą w porozumieniu, wskutek którego każdy z nich przyjął na siebie referat w przedmiocie innéj części prawa karnego.

W tém mniemaniu utwierdza nas także stanowisko, które w swoim referacie zajął Morawski odnośnie do procesu karnego. Wskazuje on tylko miejsce tego procesu w całkowitym systemie projektowanego kodeksu i oświadcza, że w tak krótkim czasie myśli swoich nie odważa się przekładać w przedmiocie tak ważnéj i tak szczególnego zastanowienia się wymagającéj kwestyi, jak pytanie: *jaki proces kryminalny uznać należy za użyteczniejszy i bezpieczniejszy: czyli skrócony, czyli porządny, podług wszelkich praw i formalności czyniony.* Znów śmiemy wnioskować, że pytanie powyższe obrał Moraw-

ski za specyalny temat swojego referatu, podczas, gdy Szymanowski przyjął na siebie opracowanie innych działów procesu karnego.

4) Sam Szymanowski używa często w swoim prospekcie prawa karnego zwrotów, dowodzących, że daleką była od niego myśl ułożenia właściwego projektu ustawy karnéj. Nieustannie bowiem w prospekcie swoim zwaca się do *piszącego prawa*, udziela mu przestróg, wskazuje prawidła, które powinny pracy jego przewodniczyć, a także oświadcza wyraźnie, że nie może *w prospekcie do drobniejszego każdéj części przystępować rozdziału, gdyż natenczas, zamiast dania piszącemu ogólnego rysu dzieła, dzieło samo w składających je szczegółach pisać-by musiał* (Wstęp).

Opierając się na podanych wyżéj argumentach, utrzymujemy stanowczo, że dr. Ostrożyński zrozumiał błędnie rzeczywisty charakter prospektów Szymanowskiego. Nie były to gotowe projekta ustaw, lecz tylko referaty, zawierające opinię Szymanowskiego w przedmiocie niektórych ważniejszych kwestyi z zakresu prawa i procesu karnego, opinię, która, jako pochodząca od jednego z wybitniejszych członków deputacyi kodyfikacyjnéj, musiała dla téj ostatniéj wysoką przedstawiać wartość i zdolna była wywrzéć stanowczy wpływ na jéj uchwały.

Przystąpmy nareszcie do ocenienia saméj osnowy prospektów Szymanowskiego. Szczególnie wysoką wartość przypisuje p. Ostrożyński pracy Szymanowskiego, dotyczącéj prawa karnego. Że jest ona rzeczywiście owianą rozumnym humanitaryzmem, który, daleki od idei nienawiści i pogardy względem przestępcy, widzi w nim człowieka, którego wprawdzie trzeba karać w interesie obrony porządku prawnego, lecz bez zemsty, bez okrucieństwa, bez dzikości; karać, jak przystało społeczeństwu, wykształconemu na zasadach chrześciaństwa, a oprócz tego pojmującemu, że, nawet z punktu widzenia polityki kryminalnéj, kary barbarzyńskie, jako w najwyższym stopniu szkodliwe, odrzucić stanowczo należy; że ten rozumny humanitaryzm cechuje od początku do końca prospekt prawa karnego Szymanowskiego, na to najzupełniéj zgodzić się musimy. Nie wypływa ztąd jednak, abyśmy z tego powodu mieli wynosić nad miarę stanowisko naukowe Szymanowskiego i uważać go do pewnego stopnia za polskiego Beccaryę lub Filangierego.

Niestety, bowiem prospekt prawa karnego naszego autora, wzniosły pod względem ducha, pozbawiony jest przymiotów wszelkiéj, choćby najskromniejszéj, oryginalności. Prawie wszystkie te jego ustępy, które p. Ostrożyński podkreśla, jako mające świadczyć o szczególnéj wartości poglądów Szymanowskiego, zaczerpnięte są niemal dosłownie

bądź z „Nauki o ustawodawstwie“ Filangierego, bądź z traktatu „O przestępstwach i karach“ Beccaryi.

Niech nam wolno będzie poprzeć powyższe twierdzenie następującemi cytatami:

1) Lekka kara, ścigająca lekką winę, ostrzega przestępcę prawa o jego baczności i surowości, oraz wstrzymuje go pożytecznie dla niego i dla społeczności, żeby się nie śmiał posunąć aż do zbrodni (str. 16, por. Filangieri, księga III, część II, rozdz. IX, str. 29 [1]).

2) Kary pieniężne stosowanemi najwięcéj być powinny do tego rodzaju win, do których celniejszym powodem była chciwość. Wielkość téj kary powinna być nietylko w miarę wielkości winy, ale i w miarę możności tego, który obraża prawo. Inaczéj nie była-by równie dotykającą uboższego z bogatym, i kiedy pierwszemu mogłaby odjąć sposób do życia, drugiemu nie dawała-by się nawet uczuć. W cięższych winach publicznych można-by ją posunąć do opłacania dwoistego lub potrójnego podatku, czas trwającéj kary stosując do wielkości winy. W winach, gdzieby kara pieniężna nie była w proporcyi majątku obrażającego prawo, należy ją raczéj łączyć z karą osobistą, niżeli uciążyć winnego aż do wzięcia mu sposobu do życia, wyżywienia dzieci lub utrzymania majątku lub profesyi jego (str. 17, por. Filangieri, jak wyżéj, rodz. VIII. str. 25—28).

Tu Szymanowski o tyle tylko różni się od Filangierego, że pod czas, gdy ten ostatni żąda, aby ustawodawca naznaczał kary pieniężne nie w pewnych określonych kwotach, lecz w postaci ułamków, odnoszących się do całego majątku przestępcy, to Szymanowski poleca inny sposób urzecywistnienia téj myśli, a mianowicie radzi przyjąć za podstawę wymiaru kary pieniężnéj wysokość opłacanego podatku.

3) Zbrodnie przeciwko religii tyle tylko podpadać mają karom kryminalnym, ile obrażają porządek, spokojność i bezpieczeństwo społeczności (str. 10, por. Filangieri, jak wyżéj, rozd. XX, str. 93).

4) Konfiskaty majątku nie chcemy mieć w liczbie kar kryminalnych umieszczonéj, gdyż ta, nie samego tylko dotykając przestępcę, ale dosięgając i niewinne jego potomstwo, zgodzić się nie może z prawidłami sprawiedliwości (str. 19, por. Beccaria, § XVII).

5) We wszystkich karach więzienia, piszący prawo powinien mieć baczne oko, żeby z nich największe dobro spłynąć mogło dla

---

[1]) Tak tutaj, jak w następnych cytatach, pierwsza stronica, podana w nawiasie, odnosi się do tekstu Szymanowskiego, drukowanego w rozprawie dra Ostrożyńskiego, a druga — do wydania francuskiego „Nauki o ustawodawstwie“ Filangierego (Paryż, 1840).

społeczności. Tém dobrem nazywamy poprawę winowajcy i oddanie go nazad lepszym społeczności (str. 20, por. Filangieri, jak wyżéj, rozdz. IX).

6) Kara pozbawienia obywatelstwa stosowaną być może do rodzaju zbrodni, który wynika ze złego użycia tychże samych prerogatyw obywatelskich. Ten, który sprzedaje swoje *votum*, urzędnik przekupny albo granicę urzędu swego nad prawo rozciągający, niech będą straceniem tego prawa ukarani. Takowy gatunek kary może być jeszcze stężonym przyłączoną karą pieniężną, kiedy do niéj powodem jest chciwość, tak, jak ambicya ukarana jest straceniem do niéj prawa, jeżeli do zbrodni była powodem (str. 21, por. Filangieri, jak wyżéj, rozdz. X, str. 34—37).

Poprzestańmy na ustępach, przytoczonych wyżéj, gdyż, postępując daléj tą drogą, musielibyśmy chyba przepisać tutaj cały prospekt prawa karnego Szymanowskiego. Cokolwiek posiada w nim znaczenie wybitniejsze, wszystko to odnaleźć można, jeżeli nie u Beccaryi, to u Filangierego. Sfera wpływu każdego z tych dwóch autorów na Szymanowskiego uwydatnia się w ten sposób, że, podczas gdy na poglądach Filangierego opiera się przeważnie część prospektu, traktująca o systemie przestępstw i kar, to znów owe trzy kategorye prawideł, które podaje Szymanowski na zakończenie swego prospektu, zaczerpnięte są głównie z dzieła Beccaryi.

Nieco samodzielniejszy charakter posiada niewątpliwie pismo Szymanowskiego „O procesie kryminalnym“.

Wprawdzie i na niém wycisnął swoje piętno Filangieri, na którego poglądach opierają się zwłaszcza trzy najbardziéj postępowe jego artykuły, a mianowicie art. I: „O skardze czyli delacyi“; art. IV: „O imaniu czyli przytrzymaniu obwinionego przez sąd“, i art. VII: „O niestawaniu w sądzie“. Pomimo to jednak, w prospekcie tym Szymanowski nietylko potrafił ująć stosunki proceduralne, o których traktuje, w pewne jasne, przez niego samego sformułowane, przepisy prawne, ale oprócz tego jeszcze co do niektórych kwestyi wyzwolił się widocznie od wpływu Filangierego i całkiem inne zajął względem nich stanowisko.

Mamy tu głównie na myśli artykuł VI prospektu, traktujący o wyroku sądowym i sposobie sądzenia. Nie można powiedzieć, aby to odstępstwo od zasad, wyznawanych przez genialnego publicystę włoskiego, miało dodatnie wydać owoce. Wskutek tego bowiem Szymanowski oświadczył się za formą pozytywną teoryi dowodowéj ustawowéj, podczas, gdy Filangieri domaga się tylko, aby ustawodawca podał pewne okoliczności, w których braku sędzia, lubo przekonany moralnie, że oskarżony popełnił zarzucane mu przestępstwo, nie mógł-

by prawnie poczytać go za winnego. Filangieri bowiem słusznie utrzymuje, że ustawodawca, narzucając sędziemu pozytywne reguły dowodowe, w niejednym przypadku narazić go może na niebezpieczeństwo wydania wyroku, skazującego wbrew swojemu przekonaniu wewnętrznemu. Ze względu na to żąda on, aby istotną podstawą wyroku skazującego było przekonanie moralne sędziego o słuszności oskarżenia. To przekonanie jednak nie powinno być, według Filangierego, jedynym tytułem powyższego wyroku. Inaczéj bowiem zachodziła-by znów obawa, aby los oskarżonego nie zależał zupełnie od dowolności sędziego. Pragnąc temu zapobiedz, Filangieri oświadcza się za stawianiem przez ustawodawcę tak zwanych biernych reguł dowodowych t. j. prawideł, wskazujących okoliczności, w których braku przekonanie sędziego nie może wystarczać dla uznania oskarżonego winnym zarzucanego mu przestępstwa [1]).

Za powyższą teoryą Filangierego nie poszedł Szymanowski. Okazał się on pod tym względem najzupełniejszym konserwatystą. Polecana bowiem przezeń pozytywna teorya dowodowa należała podówczas w Europie do najgłębiéj i najszerzéj zakorzenionych instytucyi proceduralnych, a dzięki powadze prawa niemieckiego powszechnego, które w najwyższym stopniu ją wykształciło, posiada także w nauce cały szereg zwolenników.

Czas już zakończyć nasz rozbiór prospektów Szymanowskiego. Czacki, wspominając o nich, powiada słusznie, że były one obrazem czystéj duszy i niepospolitego światła ich autora [2]). Téj cecby nikt nie zdoła im odmówić. Nie trzeba jednak z tego powodu oceniać zbyt wysoko wartości tych prospektów, i to zarówno pod względem praktycznym, jak z punktu widzenia nauki.

Z uwagi na każdą z dwóch powyższych okoliczności, p. Ostrożyński przekroczył w swoim sądzie należytą miarę. Zamiast widzieć w tych prospektach tylko zwyczajne referaty pojedyńczego członka deputacyi kodyfikacyjnéj, uznał je za gotowe projekta ustawodawcze i umieścił na stopie zupełnéj równorzędności ze „Zbiorem praw sądowych“ Zamojskiego. Zamiast porównać je starannie z dziełami ówczesnych przywódców humanitaryzmu w prawie karném, dr. Ostrożyński zestawił je z ówczesnemi kodeksami karnemi i wskutek tego wpadł w drugi, niemniéj rażący błąd, uważania ich za utwory oryginalne Szymanowskiego, podczas gdy w rzeczywistości miały one tylko na celu podać do wiadomości deputacyi kodyfikacyjnéj niektóre po-

[1]) Por. Filangieri, jak wyżéj, ks. III, cz. I, rozdz. XIV, str. 349.

[2]) Dzieła Tadeusza Czackiego, wyd. Raczyńskiego, Poznań, 1843, I, str. 59 i 60.

glądy prawne Szymanowskiego, niezależnie od tego, czy te ostatnie były-by samodzielnemi, czyli też znajdowały-by swoje źródło w dziełach innych autorów.

Mamy nadzieję, że na poparcie tego naszego zdania dosyć wymowne przytoczyliśmy argumenta.

A teraz dołóżmy jeszcze kilka słów uznania dla dra Ostrożyńskiego za odkrycie i ogłoszenie drukiem prospektu prawa karnego Szymanowskiego [1]). Oddał on przez to wielką usługę badaczom historyi prawa karnego w Polsce. 'Prospekt ten bowiem rzuca w każdym razie bardzo wiele światła na stanowisko Polski wobec prądu humanitarnego, który w drugiéj połowie XVIII wieku wywołał w całéj Europie tyle zbawiennych reform na polu prawa karnego, a tak znakomitych przywódców znalazł we Włoszech w osobie Beccaryi i Filangierego.'

Stanowisko to, już na podstawie książki Sebastyana Czochrona, wydanéj w Krakowie w r. 1788 p. t. „Dyssertacya o prawodawstwie kryminalném“ można było uznać za pełne chwały [2]). Nowego poparcia udziela temu sądowi prospekt prawa karnego Szymanowskiego. To też dr Ostrożyński dobrze się przysłużył nauce, ogłaszając w swojéj rozprawie jego tekst dosłowny.

---

[1]) Wspominam tylko o tym prospekcie, gdyż pismo Szymanowskiego o procesie kryminalnym było już drukowane w wydaniu Mostowskiego dzieł tego autora.

[2]) Por. co do Czochrona mój „Wykład prawa karnego“, t. I, str. (Kraków, 1885).

Dr Edmund Krzymuski.

BABUNIA.

I.

Na wzgórku, który wspiął się nieco nad szeroką równinę, dworek biały stoi. Zdaleka dworka tego nie widać, bo śród drzew jest ukryty; zbliska dopiero po przez liście bieleją ściany jego, zbliska dopiero widać ganek z dwoma filarami drewnianemi, zbliska wreszcie widać ślady starości, zgrzybiałości, ślady wieków, jakie tu przeżywały jedne pokolenia po drugich. Węgły dworka wychodzą z prostości, filary zjada próchno, ściany zdają się zstępować w ziemię pod cisnącym je dachem.

W dworku tym staroświeckim, w kilku pokoikach, co rok świeżo wapnem wybielanych, z sufitami przez belki duże (a zawsze nieparzyste) podpartemi, mieszka od lat wielu pani Święcicka, staruszka, która przeżyła „swoich“, któréj już nikt nie nazwie ani żoną, ani siostrą, nie nazwie nawet matką, ani ciotką; tylko jedna jedyna z rodziny pozostała dziewczynka nazywa ją nieobojętném imieniem babuni.

Babunia w tych pokoikach bielonych dożywa swojego wieku, rześka i spokojna; po-za pokoiki bielone rzadko się ukaże, nawet do saloniku, który z tyłu dworka przymurowano niedawno, aby gości gdzie było należycie przyjąć — zachodzi z potrzeby jeno.

Ma babunia majątteczek, promieniem dokoła starego dworka zakreślony, w którym jest wszystkiego złego i dobrego potrosze: jest

tu i pas łąki, pachnącéj przez całe trzy pory roku, wdłuż rzeczułki biegnący od wioski jednego sąsiada do wioski drugiego sąsiada. Jest tu i jezioro, które ta rzeczułka wypełniać musi swoją wodą, a nad którém siedzi młyn stary, za który młynarz corocznie babuni intratną dzierżawę płaci i na każde święta Wielkiéj-Nocy wieprzka dworskiego otrębami wypasa. Jest i las, w którym chłopi mają prawo zbierać chróst, a z którego wybierają wszelką żyjącą zwierzynę. Jest kawał gleby, czarnéj niby smoła, która rodzi plenną pszenicę. Jest i płat duży piasków nieużytych, po których owce chodzą, mozolnie wyszukując skąpego pożywienia.

Rządzi tém wszystkiém, dużo krzyku czyniąc, pan Misiurkiewicz. Postać to wąsata, chłop tęgi, duży, okazały, człowiek za dawnemi czasami wzdychający, wymyślający na chamów od rana do nocy i gospodarujący nawpół dawnym, nawpół nowym sposobem, nie mogąc przyswoić sobie w zupełności wszystkich tajemnic płodozmianu.

Babunia przywykła do pana Misiurkiewicza i o rozstaniu się nawet myśli żadnéj nie dopuszcza, choć sąsiedzi nieraz zwracają jéj uwagę, że można-by podnieść dochód z majątku przy innym sposobie gospodarki.

Pan Misiurkiewicz znowu naprzód ma dla babuni święty obowiązek wdzięczności, bo poratowała go, gdy był bez miejsca i w długach, i rodziną obarczony; potém — ma się u babuni, jak u Pana Boga za piecem. Pracuje za stół i pensyę, bo samotne prowadzi życie, odkąd Pan Bóg powołał panią Misiurkiewiczową do chwały swojéj, a synowie na swój chleb, córki zaś na chleb mężów poszli.

Pensyę ma niezłą, a stół — proszę siadać...

Pan Misiurkiewicz przytém, choć sam o tém nie wie, jest do babuni bardzo przywiązany. Babunia zaś o tém wie i miło jéj z dobrym człowiekiem pogawędzić codzień przy obiedzie o powszednich sprawach, a po kolacyi zagrać partyjkę maryasza.

Do gospodarki babunia się nie wtrąca zupełnie, ufając swojemu rządcy bez miary. Pan Misiurkiewicz sieje co chce i jak chce; zbiera kiedy mu się spodoba; sprzedaje komu chce i po ile chce.

Przynosi tylko babuni pieniądze z krótkiém objaśnieniem: „za żyto“ albo „za jęczmień“; babunia schowa pieniądze pod klucz do komody i pogawędzi potém sobie poufale i po przyjacielsku o zbiorach i cenach.

Czasem się tylko do czynności pana Misiurkiewicza wtrąci...

Bywało, że parobcy dworscy, albo i sam pan Misiurkiewicz zajmie chłopską gadzinę w szkodzie. Pastuszek, bojąc się kary, jaka go w domu czeka za to, przychodzi do pana Misiurkiewicza prosić, aby gadzinę puścił.

— Powiedz ojcu, niech przyniesie rubla za szkodę; jak nie, to oddam do sądu i zapłaci pięć.

I jeszcze chłopaka zwymyśla i kijem mu pogrozi.

Przyjdzie ojciec albo matka:

— Rubla! jak nie, to do sądu — mówi nieubłaganie pan Misiurkiewicz.

Rubla! Toć to kupa pieniędzy, i za co? za tę trochę trawki pańskiéj, co bydlę sobie pojadło? Potém — skąd wziąć pieniędzy tyle? a choćby i były, toć to napróżno je wyrzucić,..

Idzie gospodarz albo gospodyni do dziedziczki. Żale przed nią wywiedzie, na życie się poskarży, do nóg pokłoni... Dziedziczka ma miękkie serce... Pogada trochę, lecz byle przyobiecać, że tego już drugi raz nie będzie, daruje wszystko i gadzinę wypuścić każe...

Kazała! Ba! tylko pan Misiurkiewicz nie wypuszcza.

Idzie biedny chłop znowu do dziedziczki. Dziedziczka na pana Misiurkiewicza, a pan Misiurkiewicz ani myśli saméj dziedziczce ustąpić.

— Mój panie Misiurkiewicz — mówi babunia — toć-że puść krowę...

Pan Misiurkiewicz zaczyna kląć chamskie plemię, wywlekać wszystkie szkody bez końca, jakie tylko dobru dworskiemu od początku świata uczyniono, i wprost babuni oświadcza:

— Rubla przyniesie, to wypuszczę.

Babunia probuje się złościć na pana Misiurkiewicza, potém go i prosi: „wypuśćże! wypuśćże!“ - nic nie pomaga.

Aż dopiero widząc, że rady niéma na zawziętość tego człowieka, daje pokryjomu rubla chłopu:

— Idź — mówi — zanieś panu Misiurkiewiczowi.

Dopiero gdy pan Misiurkiewicz składa tego rubla babuni, pełen zadowolenia z siebie, wraca spokój i zgoda.

I żyje tak w ciszy babunia swoje lata w starości, zamknięta, nie wychodząc prawie za wrota ogrodu, dworek okalającego.

Tylko w niedziele i święta fornal Walek przebiera się w liberyę, parę siwków cugowych do bryczki zaprzęga i babunia wraz z panem Misiurkiewiczem do kościoła na sumę jedzie.

Innych rozrywek zna mało.

Czasem ot sąsiad przyjedzie, stary znajomy i zawsze życzliwy przyjaciel. Wtedy do saloniku babunia go prowadzi, ugaszcza czém może i wypuszcza dopiero po sutéj gawędzie.

Najczęstszym gościem jest ksiądz proboszcz, ubogi pleban biednéj parafii, któremu babcia własnoręcznie wyhaftowała ornat strojny, a teraz pracuje już od kilku miesięcy nad obrusem na wielki ołtarz.

Największa przecież dla babci rozrywka — to święta Bożego Narodzenia i Wielkiéj-Nocy, a także dwa letnie środkowe miesiące; bo wtedy dworek cały ożywia się, napełnia gwarem, ruchem, śpiewem, życiem i młodością — bo przyjeżdża ukochana i jedyna babuni wnuczka, „panienka“ dla służby, „panna Zofia“ dla gości.

Jak tylko list z poczty przyjdzie, tak koło tego czasu, gdy wakacye na pensyi się zaczęły, już zmianę czuć w starym dworku. Babunia jest i ruchliwsza, i weselsza, i zdrowsza.

— Panie Misiurkiewicz, a nie zapomnij pan aby, po jutrze, na ranny pociąg.

Cud-by się stał prawdziwy, gdyby pan Misiurkiewicz zapomniał po stokrotném w ciągu dwóch dni przypomnieniu.

Pan Misiurkiewicz, choć babunia tego nie wymaga, sam po panienkę jedzie na stacyę kolei i przez drogę opowie jéj wszystko, wszyściutko, co się stało w domu za cały czas nieobecności.

Zochnę to bardzo zajmuje, wypytuje jeszcze o szczególiki różne i, wpadłszy do domu, uściskawszy babunię, żywo gawędę zaczyna trzepać:

— Magda za mąż wyszła! co?! za fornala z Osikowa! prawda! babunia dała jéj krowę na wiano! Młodszy syn panu Kropowskiemu umarł! prawda? na szkarlatynę! co? starszego ocalił ten młody doktor, co się do miasteczka przed kwartałem sprowadził, nie prawda? zrobił mu operacyę! co? panna Karolina zaręczyła się w Krakowie, prawda? wyjdzie za jakiegoś pułkownika od huzarów, podobno za Niemca...

— A nie za Niemca — wtrąca babcia, nie mogąca w tym potoku słów dla swojego słowa miejsca znaléźć — tylko za Czecha

— Za Czecha; będzie pani pułkownikowa. Ślub ma być w przyszłym już miesiącu! nie prawda? podobno ani ojciec, ani matka niebardzo są za tém! co?! ale panna Karolina jest zakochana, prawda?

I tak daléj, i tak daléj... opowiada Zochna babuni, choć to właściwie babunia powinna-by opowiadać Zochnie.

Babunia słucha, przygląda się wnusi i tylko od czasu do czasu poskarży się:

— Już ci też ten Misiurkiewicz wszystko musiał wypaplać.

Zazwyczaj codzień wieczorem pan Misiurkiewicz szedł do kuchni na pogawędkę z kucharzem co do jutrzejszego obiadu; babunia o to ani dbała.

Od tego dnia babunia zawsze wydaje wieczorem rozkaz:

— Zawołajcie mi tu kucharza.

I odbywa z nim konferencye, i komponuje obiad z takich potraw, które panienka lubi, a już legumin nigdy nie brak.

Gdy radość i zamęt powitania minie, babunia ogląda Zochnę starannie, wypytuje o zdrowie, o postępy, przegląda cenzurę i potém stwierdza:

— Ależ ty urosłaś, dziewczyno!

Zochna tyle razy słyszała to „ależ ty urosłaś, dziewczyno“, ile razy do babuni wróciła na wakacye.

Aż razu pewnego oto Zochna przyjechała na Wielkanoc z szóstéj już klasy, z główką pełną trosk o egzamin ostateczny i w sukience, za pozwoleniem przełożonéj sprawionéj, a okrywającéj kostki. Przytém jedna z bardzo rozsądnych koleżanek nauczyła ją czesać włosy trochę inaczéj, niż zwykle, na oko bardzo nieznacznie niby, ale jednak z pewną korzystną zmianą do twarzy.

Babunia, gdy zobaczyła teraz swoją Zochnę, aż osłupiała prawie z podziwu:

— Ależ ty, dziewczyno, jesteś już dorosła! — zawołała.

A Zochna na to:

— A babcia co myślała?

Babunia pokiwała głową:

— Toć prawda — pomyślała sobie — za siedm tygodni minie jéj lat szesnaście.

Zochna tych wakacyi wielkanocnych mniéj się trzpiotała, niż zazwyczaj. Ostateczne egzamina miała na głowie... Ach! te egzamina ostateczne... Zochna, zamiast latać po ogrodzie, zamiast bujać się na huśtawce, zamiast czółnem pływać po stawie, spaceruje powoli po alei z algebrą w ręku.

Ale to już ostateczne, tak, ostateczne egzamina. Po nich nie będzie żadnych, tylko Zochna wróci do babuni i nic już nie będą jéj obchodziły ani wypracowania wakacyjne, ani początek roku szkolnego.

Wyjechała Zochna wieczorem w przewodną niedzielę, przez pana Misiurkiewicza odprowadzona, wyjechała na pensyę zdawać egzamina ostateczne, a w dworku pozostała babunia z nowym kłopotem na siwéj głowie.

Zochnie szesnaście lat minie niezadługo, serduszko jéj wkrótce uderzy, — bo takie jest prawo Boskie — i za mąż panienkę trzeba wydać będzie.

Babunia wiedziała o tém bardzo dobrze, iż jedna jest na świecie wola Boska, która rządzi zarówno każdym ruchem skrzydeł małéj biedronki, jak i całkowitym losem każdego człowieka.

Przecież niepokoju w duszy doznawała na myśl, czy ta wola przychylną będzie dla jéj wnuczki jedynéj, dla jéj ukochania, dla téj krwi jéj serca.

Zamyślona się zrobiła staruszka i z księdzem proboszczem często teraz na temat woli Boskiéj prowadziła rozmowy.

Śmierć i żona od Boga przeznaczona — mówi przysłowie, — że i mąż także, to się, oczywiście, rozumie samo przez się Swatanie grzechem więc jest i tém oto tłómaczą się te tak częste rozwody i separacye, te gorszące historye, po świecie w formie prawdziwych plotek chodzące.

Ksiądz proboszcz był tego samego zdania.

— Pomagać ludziom w nieszczęściu — mówił do babuni — to obowiązek chrześciański; ale tam, gdzie nieszczęścia niéma, to tylko życzyć ludziom dobrze należy i resztę zdać na Boską Opatrzność.

Przypadły te rozumne słowa księdza plebana do serca babuni.

Tak, życzyć Zochnie będzie jaknajlepiéj, bo to nie grzech.

Życzenie babuni wyprzedziło już, mimo jéj chęci, tę chwilę, w któréj ksiądz natchnął ją otuchą. Miała babunia niegdyś przyjaciółkę serdeczną, z którą wzrastała razem, z którą myśli i marzenia dzieliła. Przyjaźni téj nie rozchwiało życie, nie ochłodziły lata; przyjaciółki widywały się, pisywały do siebie, rad sobie udzielały. Oddalenie i okoliczności życia przerwały stosunki, ale nie stłumiły życzliwości, jaką babunia miała zawsze dla towarzyszki swoich lat dziecinnych. Umarła ona już dawno, babunia przecież pamięta o niéj, corocznie za jéj duszę na mszę daje i troszczy się o jéj syna, jedyne dziecko, które zostawiła.

Synowi temu babunia dopomagała, gdy za granicą studya inżynierskie odbywał. Pan Karol tego babuni nie zapomniał i nie poprzestał na zwróceniu pożyczki, skoro tylko do jakowegoś stanowiska doszedł; ale regularnie na każde imieniny babuni długi list przysyłał, szczegółowo o sobie donosił, babunię dobrodziejką swoją nazywał i życzył jéj lat długich i błogosławieństwa Bożego. Babunia mu znowu na każdą wigilię Bożego Narodzenia posyłała opłatek i życzenia.

I oto właśnie akurat w tydzień po wyjeździe Zochny na pensyę po raz już ostatni, odbiera babcia list, w którym pan Karol pisze, że mu się sprzykrzył długi pobyt za granicą, śród obcych, i że do kraju wraca.

Wtedy-to zaraz serce babuni uderzyło po raz pierwszy życzeniem, cichém zupełnie i zupełnie niewyraźném.

Nie pisał nic pan Karol, czy za powrotem do kraju babunię odwiedzi i na wieś do niéj przyjedzie, ale babunia myślała sobie:

-- Toć-że chyba odwiedzi mnie.

I ani spodziewała się, iż nastąpi to tak prędko.

Miesiąc nie upłynął od owego listu, gdy przed dworek jakiś nieznajomy zajechał, poprosił o widzenie się z babunią i przedstawił się jako pan Karol.

Babunia ani go sobie wyobrażała takim. Pamięta, jak za granicę wyjeżdżał, szczuplutki, gołowąsy chłopczyk, a tu widzi mężczyznę dojrzałego, statecznego, poważnego... Prawda, że to lat już blisko dwadzieścia minęło od czasu owego, prawda, że ówczesny młodzieniec dziś jest mężem prawie czterdziestoletnim...

Zabawił pan Karol przez dwa dni u babuni.

Wracał z malutkim kapitalikiem, oszczędzonym za granicą. Co zrobi — nie wie jeszcze. O posadę trudno mu będzie z zagranicznym patentem, kapitalik ma zamały, aby jakieś przedsiębiorstwo rozpocząć. Przytém — miasta nie lubi, a zawód inżynierski, do którego nigdy zbytniego nie czuł nabożeństwa, dosyć mu się już sprzykrzył. Z przyjemnością, gdyby miał na to, kupił-by sobie wieś i gospodarował do końca życia.

— A to się, panie Karolu, ożeń z jaką panną wiejską — doradziła mu babunia.

Nie ma jednak pan Karol do żeniaczki ochoty ani zamiłowania. Dosyć się nażył za granicą, a teraz to, powiedziawszy prawdę, jest już i zastary, aby pomyśléć o inném życiu. Z wdową-by się nie ożenił, ani ze starą panną, a młoda-by go pewnie nie chciała.

Babunia protestowała:

— Co też mówisz, panie Karolu! człowiek taki gładki, taki przystojny.

Pan Karol kiwnął głową:

— Wolne żarty, proszę pani... Zresztą lat trzydzieści siedm...

— To nie wiek żaden, panie Karolu. Dla mężczyzny sama pora do ożenku; to tylko dla kobiety, im wcześniéj, tém lepiéj, bo więdnie prędko w panieństwie; ale mężczyzna nabiera wszystkiego, co mu do życia potrzeba, a nie traci nic.

Wyjechał pan Karol po dwóch dniach, mile bardzo spędzonych, a babunia o niczém nie myśli, jeno o nim... Miły, gładki, przystojny, rozumny, dobry. Ujął babcię dawniéj swoją wdzięcznością i pamięcią o niéj, ale więcéj ujął teraz swojemi męskiemi przymiotami i tym spokojem, jaki wiał od jego myśli.

W początkach Lipca powróciła do domu Zochna, z patentem i listem pochwalnym — na stałe.

Pan Misiurkiewicz przywiózł ją, jak zwykle, i jak zwykle, poinformowana o wszystkiém, wnusia recytować zaczęła po powitaniu nowiny przed babunią. A to to, a to owo... i tak daléj.

A babunia słucha, słucha uważnie i gdy wysłuchała do końca, powiada:

— A to widzisz najważniejszéj rzeczy nie wiesz...

— Jakiéj, babuniu? — pyta wnusia, trochę zdziwiona.

— A to widzisz Karol wrócił do kraju i był tu u mnie przez całe dwa dni.

Zochna przyjęła to do wiadomości.

Babunia często wraca do rozmowy o panu Karolu.

Zosia wie o nim wszystko, bo babcia Zosi wszystko opowiada, teraz zwłaszcza, kiedy jest wnusia pannicą dorosłą. O Karolu przecież słyszy tak często i tyle pochwał, że aż robi uwagę:

— Ale też babuni podobał się!

— Żebyś go zobaczyła tylko! — powiada babunia.

I znowu o panu Karolu opowiada. Aż Zochna mówi razu pewnego:

— No, no, ciekawam go doprawdy.

Ale oto zdarzyło się, że gdy babunia wychwala go a wychwala po raz tysiąckrotny, nazywa go statecznym i dojrzałym, Zochna pyta:

— A ileż on lat ma, ten pan Karol?

— Jeszcze mu brak do czterdziestki — odpowiada babcia.

Zochna robi minkę i zdziwioną, i zawiedzioną zarazem.

— Co? czterdziestka?..

— Nie ma jeszcze, toć mówię...

— A dużo mu brak? — pyta Zochna tonem komiczno-żałośnym.

— Ze trzy lata.

— Ależ, babuniu, to on jest starym...

Babunia się żachnęła.

— Co? starym? starym! trzydzieści siedm lat — to starość. Panie Misiurkiewicz! słyszałeś pan! Czego cię tam na téj pensyi uczono, dziewczyno, kiedy ludzi w kwiecie wieku nazywasz starymi. I jeszcze list pochwalny dostała... A cóż o mnie powiesz, dziewczyno, co mam lat siedmdziesiąt i cztery?..

— No, babunia, jest dwa razy starsza od niego...

— Mądre słowo, niéma co mówić...

I taka babunia ożywiona, a oburzona... Jak to można, doprawdy, no, no!.. Zresztą, co to sądzić o czém takiéj młodéj kurce, co świata nie widziała, chyba przez okna pensyi...

W czas jakiś potém, czas paromiesięczny, gdy już układać się zaczął tryb życia zwykły a nudny trochę, babcia zasłabła nieco i na wiek swój uskarżać się zaczęła, a nawet o śmierci coś bąkać.

Przeraziła się Zochna i na babcię:

— Cóż to babunia będzie mówiła o takich rzeczach... Albo to babunia stara już, albo co...

— Siedmdziesiąt i cztery... stęknęła babunia.

— No, to babunia młoda przecież jeszcze.

A babunia przypomina sobie ową rozmowę, która ją tak kiedyś żywo poruszyła i jeszcze się żacha o nią:

— A co? ja młoda, młoda, a pan Karol to stary. Oj dziewczyno, dziewczyno, czego cię oni na téj pensyi uczyli!..

Lato przeszło mile. Zochna bawiła się na wsi, jak-by to były wakacye, i w rozrywkach jéj i upodobaniach żadna nie zaszła zmiana, jakby skończenie pensyi z listem pochwalnym nie istniało wcale na świecie.

Ale przyszedł Wrzesień a za nim przeciągać zaczął Październik. Zochnie życie na wsi przykrzyć się zaczynało.

Siądzie czasami przy oknie, patrzy na pole i leciutko pomrukuje do siebie.

— Co ci to, Zośka? — pyta babunia.

— Nudzi mi się.

Babunia zaprenumerowała dwa nowe pisma i sprowadza ciągle książki z Warszawy dla Zochny. Sąsiadów prosi, aby odwiedzali ją częściéj. Nic nie pomaga. Zochna się nudzi.

Przyjechał nawet z dalszéj okolicy pan Szaniawski z synem, a w jakiś czas potém przyjechał syn bez pana Szaniawskiego. Młody, dorodny chłopiec, po ogrodzie z Zosią spaceruje i komplementa jéj prawi przy okazyi nadarzonéj. Babcia zatrzymuje go na obiad, rada, że wnusia ma towarzystwo i rozrywkę.

Po obiedzie młody pan Szaniawski zostaje jeszcze, Zochna gra na fortepianie, on się zachwyca.

Kiedy wyjechał, Zosia siada sobie ze smutną minką przy oknie i popatruje na pola.

— Cóżeś smutna, Zośka? — pyta babunia.

— Ach! jak ja się nudzę, babuniu...

Wieczorem babunia pyta o młodego Szaniawskiego.

— Yyyy! głupi! — odpowiedziała Zochna.

Babunia aż się martwi i myśli, jakby oto wnusi dostarczyć rozrywek.

Młody pan Szaniawski przyjechał jeszcze raz. Babunia przyjęła grzecznie, ale nie zachęcająco. Zosia powiada, że głupi, a wyrok ten babuni wcale, ale to wcale, nie zrobił przykrości.

Przyszedł Listopad i mrozem ściął jezioro w ogrodzie. Zochna się ucieszyła:

— Będzie ślizgawka.

Babunia rada, że rozrywka się dla wnuczki znalazła. Kazała śnieg z jeziora codziennie zmiatać, łyżwy sprowadziła nowe, najlepszéj konstrukcyi, sama chodzi przypatrywać się ewolucyom, jakie z wielką zręcznością Zosia wypisuje na tafli lodowéj. Przestrzega tylko wnusię:

— Byle ostrożnie! Byleś sobie czego złego nie uczyniła.

Zdarzyło się, że w końcu jakoś Listopada złożył wizytę babuni stary sąsiad i stary przyjaciel, człowiek powszechnie szanowany i agronom światły i uczony. Naopowiadał babuni mnóztwo gospodarczych szczegółów o rezultatach reformy, jaką u siebie za przykładem wielu obywateli zaprowadził. Najnowszy to wynalazek w agronomii a czysto polski: odprowadzanie wody w kierunku najmniejszego spadku.

Słuchała babunia uważnie, ale obojętnie, przez czas długi, ale wreszcie i ją porwała gorączka reformacyjna, gdy sąsiad opowiedział, jak niewielkie są koszta przemiany: należy tylko sprowadzić inżyniera, aby zniwelował grunt i kierunek najmniejszego spadku wytknął, a to nic kosztuje sum zbyt dużych.

Gdy sąsiad odjechał, babunia zaraz oświadczyła panu Misiurkiewiczowi:

— Będziemy reformowali gospodarstwo.

A gdy pan Misiurkiewicz zadziwionemi spojrzał oczami, objaśniła go:

— Wszystką ziemię przeorzemy, panie Misiurkiewicz, i puścimy wodę w kierunku najmniejszego spadku.

Myślał pan Misiurkiewicz, że to sobie ot żart albo i fantazya, która tak prędko odejdzie, jak prędko przyszła.

Tymczasem — to ani żart, ani fantazya.

Babunia naprawdę myśli o puszczeniu wody w kierunku najmniejszego spadku.

— Sprowadzę inżyniera, grunt zniweluje i przeorzemy zagony.

Więc pan Misiurkiewicz, widząc, że to rzecz zupełnie seryo, zaczyna stawiać opór:

— Na co? po co?

Babunia występuje z argumentami:

— Pojedź-no, panie Misiurkiewicz, do tego sąsiada i popatrz, jakie ma plony.

Przy każdym obiedzie nieuniknienie powstaje sprzeczka. Ale babunia nic sobie z tego nie robi. Ożywiona jest, odmłodzona, pochłonięta cała puszczeniem wody po swoich gruntach w kierunku najmniejszego spadku.

— Napisałam dziś do Karola — oświadczyła babunia, wkrótce po wizycie owego światłego sąsiada — toć on inżynier, a że znajomy, to sumienniej zrobi niwelacyę.

Ani zważa na opozycyę coraz trwożniejszą pana Misiurkiewicza, który się w końcu zawziął i już nic nie odpowiada, oprócz pełnego grozy a tajemnicy:

— Zobaczymy, zobaczymy!

Babunia zaś już widzi swe podwyższone zyski ze zreformorwanego gospodarstwa, oblicza je nawet, uznaje, że te przyszłe dochody są konieczne i niezbędne — i oczekuje pana Karola.

Karol przyjechał na pierwsze wezwanie. Nie przyszło mu to z trudem żadnym; nie rozpatrzył się jeszcze po kraju dostatecznie, ani nie wynalazł zajęcia, jakiego sobie życzył, jakie-by odpowiadało jego zdolnościom z jednéj, a wymaganiom z drugiéj strony.

Ściemniło się właśnie, gdy zajechał przed ganek końmi, wynajętemi na stacyi, a więc dla mieszkańców dworku niespodziewanie. Zochna była na jeziorze; babunia zajęta rozmową z kucharzem, ledwie zdążyła zamienić czepek na głowie na czysty.

Kazała prosić Karola do swojego pokoiku.

— Nie w salonie cię przyjmuję, panie Karolu — rzekła, witając go — boś mi nie gość oficyalny, ale serdeczny, swój, jakby krewny.

I podziękowawszy mu za uprzejmość, z jaką podążył na jéj list, wymówkami go obsypała za to, że nie dał znać naprzód.

— Konie-by ci się wysłało, panie Karolu, i miałbyś wygodniejszą drogę, i oszczędziłbyś sobie wydatku. A i koniki przeleciały-by się, co-by im na zdrowie poszło, bo zimę całą próżnują.

Kolacya wcześnie we dworku bywała, babunia kazała kucharzowi dziś przyśpieszyć ją jeszcze.

— Przystąpimy do interesu, ale nie pierwéj, aż się posilisz, panie Karolu.

Wypytywała go tymczasem o powodzenie i o Warszawę.

W trakcie rozmowy szybko mrok padał i on też Zochnę spędził z jeziora i zmusił do odpasania łyżew. Ostatni już tylko zakręt... i ten ostatni był tak nieszczęśliwy, że Zochna zawadziła o zmarzły krzak bucikiem, bucik rozdarła i przewróciła się.

O przewrócenie mniejsza... Jedno więcéj do tylu nie liczy się. Nieraz Zośka, cała ubabrana w śniegu, niby biały niedźwiedź, wraca do dworu.

Ale z bucikiem — przypadek.

Idzie Zochna do domu i z trzeciego pokoju już krzyczy, nie przypuszczając, aby mogli być w dworku goście, skoro w saloniku jest ciemno i pusto:

— Babuniu! przypadek się stał!

Wesołym to krzyczy głosem, więc babunia nie zrywa się z miejsca, ale spokojna siedzi sobie i tylko pyta:

— No, co tam, co tam?

— A to bucik sobie rozdarłam na ślizgawce.

I wchodzi śmiało do pokoiku babuni, i gotuje się wysunąć na przód nóżkę z bucikiem, który nieszczęście przed chwilą spotkało: gdy nagle spostrzega obcego jakiegoś mężczyznę — staje więc jak wryta, głos jéj w piersi zamiera, a na policzki występuje szkarłatny rumieniec.

Babunia tymczasem zapoznaje ich ze sobą:

— Wnuczka moja, Zosia; wspominałam ci o niéj, panie Karolu. Razem prowadzimy samotne życie, odkąd wróciła z pensyi. Zochno, pan Karol był tak grzeczny, że odpowiedział natychmiast przyjazdem swoim na mój list.

Rumieniec nie ustępuje z twarzy dziewczyny. Ale w czasie słów babuni odzyskuje Zochna przytomność. Kłania się lekko panu Karolowi i mówi:

— Przepraszam... po tym wypadku... muszę się przebrać...

I wychodzi z pokoju.

Wkrótce też i ze stołowego pokoju dochodzą odgłosy nakrywania do kolacyi i babunia prosi gościa do stołu.

Zjawia się i Zochna.

Nie należy ona wcale do tych, co-by sobie z podobnych wypadków dużo robiły. Wchodzi śmiało, z uśmiechem na ustach, gotowa śmiać się sama ze swojego nieszczęśliwego bucika i swojego zakłopotania.

To też na zapytanie babuni opowiada cały wypadek z najdrobniejszemi szczegółami i z takim humorem, że całéj trójce nie schodzą uśmiechy z twarzy.

Gdy Zochna napomknęła o przewróceniu się, babunia trochę się zaniepokoiła:

— Jakto? przewróciłaś się?

— Moja babuniu, co-by to była za przyjemność ze ślizgawki, gdybym się tak nie przewróciła z dziesięć razy na dzień.

Uspakaja przecież babunię, że ani trochę się nie potłukła.

Kolacya przechodzi śród powszechnéj wesołości.

— Lubisz Chopin'a, panie Karolu — pyta babunia, gdy wstano już od stołu — to poproś o niego Zośkę, niech ci zagra.

Zochna trochę na babunię się dąsa o to:

— Ach! babunia to zawsze...

Ale pan Karol zaraz pośpiesza z prośbą.

— Dobrze, dobrze — mówi Zośka — już zagram; wiem zresztą, że babunia-by się nie uspokoiła, gdybym się nie zaprodukowała przed gośćmi z moim talentem; ale, jeżeli pan naprawdę lubi Chopin'a, to niech pan go żałuje.

— No, no, gadaj... — powiada babunia, zręcznie podając w wątpliwość wartość téj krytyki o sobie saméj Zośki.

Zochna otwiera fortepian, ustawia świece, nuty...

— Co panu zagrać? — pyta.

Karol zostawia jéj wolny wybór.

— Co pani lubi najwięcéj.

Po muzyce nastąpiły grzeczności, po grzecznościach muzyka, potém znowu grzeczności.

Pan Karol o muzyce mówił spokojnie, jak o wszystkiém; ale widać było, że się trochę znał na tém, co istotę jéj stanowi — na poezyi. Pochwalił téż grę Zochny w sposób taki zręczny, taki nie banalny, że aż pokraśniała nieco z zadowolenia i, aby tę radość ukryć jakoś, rzekła:

— Zagram jeszcze panu coś... na zakończenie.

Babunia zawsze więcéj od Zośki cieszyła się z jéj powodzenia i teraz, zdaje się, że pan Karol jeszcze głębiéj, jeżeli to było można wogóle, wkradł się w jéj łaski, pochwaliwszy talent ukochanéj wnusi.

Po muzyce gawęda się rozwinęła i ciężar jéj spadł na pana Karola, który musiał ciekawéj Zochnie opowiadać o różnych osobliwościach zagranicy.

— Babuniu, pojedźmy za granicę! — zawołała w trakcie opowiadania Zochna.

Babunia zagranicy nie była ciekawą. Za stara już na to. Kto wie, kiedy jéj śmierć przeznaczona; to pewna, że niezadługo, a mogłaby, broń Chryste Panie, zaskoczyć ją na obcéj jeszcze ziemi. Ale Zochna ma czas... Wyjdzie za mąż i mąż zawiezie ją za granicę, nawet zaraz po ślubie.

Zochna na tę perspektywę robi smutną minkę.

— A jak zostanę starą panną... to i nie zobaczę zagranicy.

Pan Karol z wielką w twarzy powagą zapewnił ją, że jest to obawa, bynajmniéj nie pozbawiona gruntownych podstaw.

— Pan także ze mnie żartuje — zrobiła mu wymówkę Zochna.

Tak rozmowa ciągnęła się bez przerw, jakie nuda robi ciągle, gdy towarzystwo się nie dobierze.

Aż uderzyła oto i północ.

— Dwunasta! dwunasta! — zawołała babunia z przerażeniem. — Od dziesięciu lat nie kładłam się tak późno. A to czas zleciał! I to dzięki tobie, panie Karolu... I nawet o interesach nie porozmawialiśmy wcale. Do jutra zatém.

Nazajutrz przed obiadem odbyła babunia bardzo poważną z panem inżynierem konferencyę, w któréj wyłożyła swoje projekta reformy gospodarstwa i zapytała o radę.

Karol obeznany był trochę z metodą przeprowadzania wody po najmniejszym spadku. Chwalił go, gdyż słyszał, że teorya, sama przez się bardzo trafna, tu i owdzie stwierdzoną została przez dobre rezultaty praktyki.

Skoro tak, więc babunia zdecydowana jest na reformę i prosi, czyby pan Karol nie zrobił planu niwelacyjnego gruntu.

Karol nie wymawia się od tego. Zdaje się, że do lata nie zajdzie żadna zbyt ważna w jego położeniu zmiana, będzie więc miał czas zrobić na wiosnę niwelacyę. Teraz w zimie pora na to niezbyt odpowiednia. Przyjedzie zatém w Marcu, Kwietniu. Ma nadzieję, że w dni dziesięć pracę ukończy; na jesieni zaś, przy podkładaniu na jarzyny, można będzie już według nowego kierunku orać zagony.

Sprawa stanęła na tém.

Pan Karol dał się zatrzymać na ten dzień jeszcze, choć pilno mu było do Warszawy, gdzie akurat właśnie wykończał plan mostu na jakiś konkurs zagraniczny.

Tego wieczora Zochna znowu skazaną była na muzykę, poczém swobodną gawędę przerwała po raz drugi północ.

— Ożywiłeś nas tu w téj pustce, panie Karolu — mówiła, żegnając go z serdecznością babunia. — Przyjeżdżaj-że znowu jaknajprędzéj, dobroczyńco.

Zochna również z żalem żegnała pana Karola, z którym czas podziewał się niewiadomo gdzie i kiedy.

Tylko pan Misiurkiewicz, widząc, że babunia naprawdę zabrała się do zaprowadzenia modnych nowatorstw w gospodarstwie, żegnał go w duszy życzeniem nie zobaczenia więcéj.

Grudzień, choć krótkiemi dniami, mijał przecież długo w białym dworku. Z Nowym Rokiem rozpoczął się karnawał na świecie, rozpoczął się karnawał i w okolicy.

Wie świat sąsiedni, że w dworku białym jest panna, młoda i urodziwa, a jakże-by taka nie była zabawy chętna. Ślą więc do babuni zaproszenia. Panie ofiarują się wziąć Zochnę pod szczególną opiekę, na równi z córkami, wiedząc, że babuni zatrudno z domu wyjechać.

— Cóż? Zośka? — pyta babunia, otrzymawszy list — pojedziesz?

Zochna ani tak, ani nie.

— Albo ja wiem, babuniu?.. — odpowiada.

Żeby kto słówkiem Zośce szepnął, jaka to tam zabawa czeka, wspomniał o walcu i mazurze; toby nie usiedziała spokojnie chwili. Ale babunia sama pyta tak sobie, niby od niechcenia — no, nie dziw, staruszka zapomniała już, jak to było w młodości. Więc Zochna od-

powiada nijako. Babuni to wystarcza. Myśli sobie: „nie ma ochoty“ i poprzestaje na tém.

Drugi list przychodzi.

— Może pojedziesz, Zośka?

Zośka znowu:

— Czy ja wiem?..

I na tém koniec.

A tymczasem nudzi się dziewczyna po dniach całych, na ślizgawkę nie wychodzi, bo jéj zbrzydła, i z rozpaczy — grywa z babunią w maryasza.

Wspomina czasem:

— Ach, żeby to już pan Karol przyjechał! Tak mile te dwa dni minęły, kiedy on tu był...

Osładza sobie w końcu nudy drażnieniem się z panem Misiurkiewiczem. Mówi mu, że stare czasy nie były nic warte, że chłopi są bardzo poczciwi i bardzo dobrzy, i że sprowadzanie wód w kierunku najmniejszego spadku jest wielkim wynalazkiem stulecia.

Wieczorami, po kolacyi — weszło to już niemal w zwyczaj — wysuwa się zielony stolik, siada za nim babunia, pan Misiurkiewicz i Zochna. Idzie szulerka w kiksa — z dziadkiem oczywiście.

Szulerka to prawdziwa — na pieniądze.

Po dwa grosze lewa.

Zochnie babunia musi dać naprzód pieniędzy tyle, aby jéj starczyło w razie nieszczęścia. Gdy wygra — nie oddaje ani wygranéj, ani pożyczki. Znalazła sobie jakąś nieszczęśliwą kobiecinę, wdowę-komornicę z trojgiem dzieci, i chodzi do niéj co drugi, trzeci dzień, i utrzymuje ją całkowicie.

Choć więc Zochna jednego dnia ogra i babunię, i pana Misiurkiewicza, nazajutrz znowu prosi o pieniądze na karty.

Babunia myśli, że Zochna składa na coś sobie, i daje.

Tymczasem dziewczynę gra zajmuje coraz bardziéj. Ledwie skończą kolacyę, ona zaraz:

— Kto daje karty?

Przy grze oczy jej się aż błyszczą, kłóci się o lewy, nie posiada się zaś z radości, gdy złapie babunię albo pana Misiurkiewicza na „lepszéj“ i z zielonego stołu zgarnie białą rączką całą stawkę dla siebie.

Babunia aż się dziwi.

— A to się szulerka zrobiła!

Pan Misiurkiewicz przecież w razach, gdy mu powodzenie niedopisuje, staje się smutnym i wpada w zły humor. Zaczyna się to już przy końcu drugiéj dziesiątki...

Babunia spostrzega, o co idzie, i stara się umyślnie nie wygrywać, ale Zochna, zagrana, ani dba o to.

Babunia nie jest niekontenta z tego, że Zośka nie rwie się do karnawału i nie pożąda zabaw, ale przecież czasami na powierzchni jéj sumienia wątpliwość jaka zawita na chwilę i wtedy bada Zośkę:

— Toć ty lubisz tańczyć?

— Ach! babuniu! taniec! taniec!

— We wtorek bal u Krawędzkich...

— Bal?..

— Masz może ochotę...

— Hm...

— Cóż, pojedziesz?..

— A no...

Przychodzi przecież Zośce na myśl:

— A babunia sama zostanie?

Zdaje jéj się już, że ona babuni jest konieczna.

— Co ty o mnie... dziewczyno... — odpowiada babunia — ja tu sobie... z panem Misiurkiewiczem w maryasza...

Zośce się przypomina kiks. Wczoraj przegrała tak wiele, że tylko cztery grosze jéj zostało... O! musi się odegrać. O tém myśli tylko w téj chwili...

— Do wtorku daleko, babuniu — powiada.

— Ale-by trzeba naprzód pomyśléć...

I kończy się na niczém. Zośka na bal nie jedzie, a babunia kontenta, że się z wnusią nie rozstanie ani na jeden wieczór, ulecza się z wyrzutów.

Widocznie — myśli sobie — nie ma dziewczyna do balów wielkiéj ochoty.

Tak i karnawał minął, i post nadszedł, ten post, który nietylko umartwienia niósł w sobie, ale także i wiosnę miał za pasem.

A wiosna na wsi — to cuda nad cudami, o jakich Zośka pojęcia nie miała, choć raz na pensyi dostała piątkę rzymską z plusem za wypracowanie francuskie o czterech porach roku. Gdy była dzieckiem, mało to ją obchodziło; od dziesiątego do siedmnastego roku w murach pensyi zamknięta, tyle o wiośnie wiedziała, ile powiedzieć jéj mogły kasztany Saskiego ogrodu, pod któremi w parach odbywała przechadzki popołudniowe.

Teraz — jakby świat się przed nią otworzył dopiero, a drzewa, trawy i ptaki przemówiły.

Chodziła na pola patrzéć, jak śnieg znikał, i słuchać, jak wody szumiały. Stara, bezkrwista, znękana zieleń, światła i ciepła łaknąca, chciwie piła promienie wiosennego słońca, przez odświeżone powietrze

dochodzące do ziemi, i w oczach Zochny prawie młodniała — barwiła się ciemną, świeżą zielenią.

Raz Zochna znalazła na pagórku, śród zieleni, kwiatuszek biały — pierwszy. Zaniosła go uszczęśliwiona babuni.

Babunia wiosnę odczuwała także. Gadatliwszą się zrobiła, dawne czasy przychodziły do niéj we wspomnieniach tłumami, o dziadku wspominała codziennie. Smutna była — ale tym cichym, pogodnym niemal smutkiem uczciwéj starości... Ciężyło jéj, że nie mogła pójść na grób dziadka i pomodlić się... Na cmentarzu miejscowym grobu tego nie było; dziadek umarł daleko... o! daleko bardzo...

Zochna wspomina i o panu Karolu:

— Miał przyjechać na wiosnę...

Babunia kiwa głową.

— To téż tylko go patrzéć.

To znowu innym razem:

— Wiosna na dobre, a pana Karola nie widać.

— Czeka trochę jeszcze, aż podeschnie — mówi babunia — spadnie tu na nas lada dzień.

Pan Misiurkiewicz raportuje babuni, że oziminy przetrwały mrozy doskonale i urodzaj zapowiada się piękny. Przy téj okazyi probuje babcię odwieść od tych niebezpiecznych reform — napróżno przecież. Babunia, ta łagodna, dobra, ustępująca babunia, tak się zrobiła na tym punkcie upartą, że ani z nią rady.

Wkrótce otrzymała babunia list, w którym Karol zapowiada za tydzień swój przyjazd i prosi, aby przygotowano ze dwieście ostruganych kołków do niwelacyi.

Babunia wydała rozporządzenie panu Misiurkiewiczowi, który przyjął je, pomrukując i wynajdując dwadzieścia przeszkód pierwszorzędnéj wagi do uskutecznienia polecenia.

Zochna ucieszyła się z przyjazdu pana Karola:

— Ach! to bardzo dobrze, — zawołała — będzie weseléj.

Babunia była rada w duszy niezmiernie, że Karol odrazu zrobił na Zochnie dobre wrażenie, rada była na nowo, ilekroć Zochna w ciągu długiéj zimy wspomniała o nim.

Nie badała przecież ani wypytywała o nic Zochny, ani nawet sama już nie napomykała o panu Karolu, nie kusząc się o odgadywanie, a témbardziéj o mącenie wyroków boskich, lecz tylko życząc kochanéj wnusi i lubionemu przyjacielowi z całéj duszy jak najlepiéj...

Nareszcie przyjechał pan Karol. Przyjechał o poranku samym, po rosie jeszcze, wprost z nocnego pociągu, którym przywiózł różne instrumenta dziwaczne inżynierskie, pełne śrubek i miarek.

Zochna jeszcze spała na dobre, — dopiero się na drugi bok przewróciła. Pan Misiurkiewicz w polu był.

Babunia sama go przyjęła, śniadaniem uczęstowała.

Karol z energią o robocie myślał.

— Są kołki? — zapytał prawie na wstępie.

— Muszą być — odpowiedziała babunia — poleciłam je zrobić.

— Dziś obejrzę teren, a jutro zacznę robotę na dobre.

Zebrał trochę materyału w Warszawie do nowéj pracy; zapewnił babunię, że myśl miała wyborną, że ziemia rodzić będzie lepiéj, niż dotąd. Chciał jéj szerzéj różne szczegóły opowiadać i pewne swoje planiki przedstawić, ale babunia zamknęła o tém rozmowę.

— Mój panie Karolu — rzekła — rób jak ci się żywnie spodoba. Mam do ciebie zaufanie i daję ci *carte blanche* na wszystko. Co zrobisz, będzie dobre, i przeciw temu z pewnością rekursu nie założę.

Pan Karol skłonił głowę, a babunia rzekła:

— Ot, teraz sobie lepiéj swobodnie o luźniejszych sprawach pomówimy. Jakże ci się powodzi w Warszawie?

Skarżył się trochę na „przeludnienie inżynierów“ w naszym kraju, skutkiem czego trudno o zajęcie; a jeżeli i zdarzy się nawet, to wynagrodzenie przez konkurencyę jest tak zniżone, iż nie odpowiada trudom, położonym na uzyskanie stopnia i doświadczenia inżyniera.

Przykry to był dla niego widocznie przedmiot rozmowy, gdyż rychło skręcił i o babunię wypytywał.

Babunia bardzo jest szczęśliwa, że ma wnusię przy sobie. Jak dziewczyna ta na stałe z pensyi wróciła, to jakby z nieba zeszło słonko, aby opromienić ostatnie dni życia babuni.

Bo i co to za dziewczyna! jakie tam szczere, czyste złoto najwyższéj próby w téj duszyczce młodéj!

Chwali i chwali ją babunia i odchwalić się nie może.

— Poznasz ją teraz sam trochę bliżéj — mówi — panie Karolu, to przekonasz się, jakam ja szczęśliwa. Ot naprzykład... patrzymy z panem Misiurkiewiczem, jak nagle w dziewczynie, ni ztąd ni zowąd, wyrosła chęć do gry w karty. Grywaliśmy w maryasza, dla niéj trzeba było zrobić kiksa... i grała całemi wieczorami, jak najlepszy szuler... Teraz dopiero niedawno się wykryło, że za pieniądze wygrane utrzymywała całutką rodzinę biednéj komornicy przez zimę, dopóki ta nie znalazła z wiosną zarobku.

Pan Karol po śniadaniu wyszedł w pole, zbadać trochę grunt na oko.

Tymczasem Zochna wstała i, dowiedziawszy się, że Karol przyjechał, ucieszyła się:

— O! będzie wesoło przynajmniéj.

Babunia daje radę swojéj wnusi:

— A toć-że ubierz się dziś staranniéj, skoro gościa mamy.

Zochnie ta rada przypadła do gustu.

— Włożę jasną sukienkę — rzekła.

Z panem Karolem, który niezadługo wrócił z przechadzki, powitali się, jak dobrzy znajomi.

II.

Babunia taka wesoła od dni kilku. Krząta się żywo po pokoikach — ona, co tak nie lubiła opuszczać swojego dużego fotela, — nawet sama na podwórze wychodzi i do obór zagląda, nawet po ogrodzie robi spacery, zachodząc aż na sam brzeg jeziorka.

Miła zawsze i dobra zawsze dla ludzi, teraz jeszcze milszą jest i jeszcze lepszą. Przystaje — gawędzi.

Wszyscy to spostrzegli. — Babunia sama spostrzegła.

— Jakoś zdrową się czuję — mówi z zadowoleniem.

I nie traci tego zadowolenia, pomimo, iż nie wszystko idzie, jak sobie życzy, ba! nawet dzieje się wbrew jéj woli i rozkazom.

Ten pan Misiurkiewicz! Kłopot z nim i mitręga.

Miał Karol zacząć pracę jaknajprędzéj. A tu tymczasem mija dzień, mija drugi, mija trzeci — i nic. Zacząć nie można. Dlaczego? Bo się panu Misiurkiewiczowi ta niwelacya nie podoba i nie raczył dostarczyć kołków, niezbędnych do pracy.

Karol do babuni, babunia na pana Misiurkiewicza z góry.

Ale pan Misiurkiewicz potrafi się wytłómaczyć i wyłgać. Powodów i wykrętów mu nie zbraknie. Przekabaci nawet samą babunię, bo ta przed Karolem go nawet tłómaczy.

— Daruj, panie Karolu, — mówi — nie mieliśmy odpadków na te kołki, trzeba rąbać trochę młodzież w lesie; tém lepiéj to i dla lasu, bo się go przerzedzi i pozostałe rosnąć będą okazaléj, ale czasu przez to dla ciebie zmarnowanie.

Przeprasza pana Karola.

Nareszcie kołki, po tylu kłopotach i trudach, są oto dostarczone i złożone kupą na podwórzu.

— No, nareszcie — mówi pan Karol i prosi na jutro rano o dwóch ludzi do pomocy.

Babunia naturalnie wydaje rozporządzenie swemu rządcy.

— Panie Misiurkiewicz, na jutro dwóch ludzi do pomocy.

Pan Misiurkiewicz odpowiada:

— Dobrze.

Ale nazajutrz — ludzi niéma.

Znowu irytowanie się i pociąganie pana Misiurkiewicza do odpowiedzialności. Ten wzrusza obojętnie ramionami:

— A cóż ja winien, że nie przyszli. Kazałem, posłałem...

Powołuje się na świadka.

Babunia zapowiada stanowczym tonem, aby na jutro ludzie byli.

Jakoż i stawili się; stawili się rzeczywiście — dwaj.

Ale pan Karol, rozgniewany na dobre, porzucił ich w polu i przyszedł do dworku, do babci:

— Nie, to szykana! — woła — wyraźna szykana. Jeden jest głuchy jak pień, a drugi ma lat dziewięćdziesiąt i nogami ledwo włóczy. Co ja z nimi mogę zrobić?

Znowu interpelacya, znowu zwłoka.

Babunia jeszcze raz bierze w obronę pana Misiurkiewicza.

— Widzisz, panie Karolu, on to z dobrego serca... Biedacy są ci dwaj, a do ciężkiéj pracy w gospodarstwie niezdatni. Myślał więc sobie: niech trochę biedactwo przy lekkiéj onéj niwelacyi zarobi.

Zapewniła pana Karola, że na pojutrze — bo jutro niedziela — napewno mieć będzie dwóch młodych i zwinnych chłopców, i jeden z nich, — jak chciał — potrafi czytać litery i numera.

Ostatecznie nikt tam do serca tak bardzo nie brał téj mitręgi i każde z panem Misiurkiewiczem przejście kończyło się wesoło. Tak i teraz pan Karol zawołał z humorem:

— Pojutrze więc. Doskonale. Przepróżnowłem zatém już z dniem jutrzejszym — calutki tydzień.

Zochna czuła dobrze tę stratę; rzekła z powagą, żałując:

— Tydzień! doprawdy, tyle czasu... szkoda wielka.

Miała jednak choć o tyle czyste sumienie, że, dzięki jéj staraniom, gość przepróżnowanego czasu nie przenudził przynajmniéj.

Zochna myśli o tém sumiennie.

Coraz to nowy projekt powstanie w jéj główce. Już to spacer do lasu, już to przejażdżka czółnem po jeziorze, już to wycieczka bryczką o milkę, dwie...

Babunia cieszy się, że wnusia, w jéj zastępstwie, dobrze pełni rolę gospodyni. Chwali ją i wypytuje, skoro zostaną same:

— A gdzieżeście dziś byli?

Zośka opowiada.

— Nie znudził-że się aby pan Karol?

Zośka nie może powiedzieć takiéj rzeczy na pewno:

— Ale zdaje mi się, że nie.

Że Zochny ta rola gosposi nie nudzi, to widać odrazu po jéj twarzy. Jest zajęta widocznie, żywa, rozpromieniona.

Powiada raz do babuni wieczorem:

— Jednak jaki ten pan Karol zajmujący...

I dodaje spostrzeżenie:

— Można z nim rozmawiać, rozmawiać godzinami i nigdy się rozmowa nie urwie.

Innym razem robi Zochna przed babunią uwagę:

— Wie babunia co? ten pan Karol to musi być dobry człowiek.

Babunia potakuje na to wszystko i tylko wyraża lekkie zadziwienie:

— Zkąd to ty się, dziewczyno, w tak młodym wieku, tak dobrze umiesz na ludziach poznać?

Zochna podnosi z dumą główkę do góry:

— Oho! babunia myśli może, że ja jestem ograniczona...

Troszczy się babcia i o pana Karola, i przyłapawszy go jakoś sam na sam, tak do niego mówi:

— Doprawdy, panie Karolu, powiedz mi szczerze, czy to nie jest dla ciebie zbyt wielkie poświęcenie siedzieć tu na wsi? czy nie stracisz przez to zbyt wiele?

Karol protestuje. Nie, nie, bynajmniéj, nie pilno mu wcale; nie ma do roboty nic ważniejszego, a tu na wsi naoddycha się przynajmniéj świeżém, zdrowém powietrzem.

Babunię cieszy to, co mówi.

— Tylko, że to świeże, zdrowe powietrze, opłacać musisz nudami potężnemi.

— Ależ ja się nie nudzę wcale!

Twierdzi, że mu tu czas schodzi bardzo mile.

— Doprawdy, że przy pannie Zofii — mówi — wprost nudzić się nie można.

Twarz jego się ożywia:

— Tyle w niéj młodości, tyle wiosny. Chwilami zapominam się przy niéj i zdaje mi się, że mam lat dopiero dwadzieścia.

Babunia kiwa poważnie głową.

— Nie znasz jéj, panie Karolu. Gdybyś wiedział, ile tam poczciwego, zdrowego rozumku jest w téj młodéj główce!

— O! inteligencya wybitna, niewątpliwie...

Rozwiódł się trochę szerzéj o tém. Teraz dopiero, po powrocie z za granicy, poznał on nasze kobiety; przyznaje im inteligencyę niewątpliwą, lecz nie spotkał téj inteligencyi dotychczas, połączonéj z taką prostotą i z takim wdziękiem, jak u panny Zofii.

Babuni serce z uciechy rośnie, ale poznać tego po sobie nie daje, dorzuca tylko jeszcze o Zochnie:

— A serduszko jéj, mój panie Karolu!.. Gdybyś ją tak znał, jak ja...

Widzi zresztą babunia naocznie, że jéj gościowi dosyć mile czas w gościnie schodzi.

Rano — śniadanie. Nigdy tak wesoło nie zaczynał się dzień. Babunia zazwyczaj czeka sobie w stołowym pokoju, czeka cierpliwie z robótką w ręku. Przychodzi pan Karol, wita ją, skarży się na Misiurkiewicza, że oto i dziś rozpocząć robót nie mógł.

— Ach, ten Misiurkiewicz! — mówi babunia.

Wnoszą wszystkie przybory do śniadania, maszynkę z kawą, z któréj para rozchodzi się, aromaty unosząc po powietrzu, garnuszki malutkie, bieluchne, ze śmietanką, kożuszkami okrytą, świeże pieczywo, świeże masło i żółty miód w miseczce.

Zochny niéma jeszcze. Ubiera się.

Babunia się niecierpliwi trochę; gdy wnusia wchodzi, gdera na nią nieco.

Z Zochną do pokoju wchodzi korowód jakichś duchów figlarnych, które wszędzie rozniecają wesołość, we wszystkich oczach zapalają błyski humoru, z umysłów wydobywają żarty i dowcipy, z piersi śmiechy, a ze starością babuniną i z powagą pana Karola robią sobie nie więcéj ceremonii, jak z żalem za zeszłorocznym śniegiem.

Babunia zachwycona patrzy, jak to Zośka przy stole gosposię domu udaje, jak bacznie zwraca uwagę na to, aby gość sytym był, z jaką zręcznością i wdziękiem zaprasza do jedzenia, jak zwinnie białemi rączkami gospodaruje po stole i wywiera polski despotyzm względem gościa. Kiedy się ona tego nauczyła?..

Pod koniec śniadania Zochna sprowadza zręcznie rozmowę na robotę pana Karola. Dowiaduje się o nowéj przeszkodzie, którą wymyśliła zła wola rządcy.

— Ach, ten Misiurkiewicz! — mówi.

I odrazu powstaje w jéj główce jaki projekt rozrywki.

Pan Karol zgadza się na nią oczywiście...

Patrzy na to babunia i dziwnie się jéj trochę przedstawia to wszystko, na co patrzy. Pan Karol jest mężczyzna poważny, stateczność lat i dojrzałość umysłu nadały to piętno powagi całéj jego postaci, jego twarzy, słowom i spojrzeniom. A Zochna — to dzieciaczek taki sobie, — dzieciaczek, bardzo dobrze i starannie wychowany, — ale pełen chęci do żartu, figlów, uciechy, choćby dziecinnéj. I Zośka sobie z téj surowéj powagi nic nie robi, ale ją swojém dziecińśtwem

opanowywa i na śmiechu ciągnie, gdzie chce, jakby na sznurku. Powaga patrzy na nią niby zdumiona, niby pobłażliwa, ale idzie, i jeszcze sznurek, aby nie spadł, na sobie poprawia.

A babunia ma ochotę krzyknąć:

— „A toć-że nie ciągnij tak mocno, bo się sznurek zerwie.“

Tymczasem nie zrywa się, nie zrywa się, choć Zośka nietylko ciągnie tę powagę surową, ale ją i szarpie na prawo i lewo. I nie obawia się nic, pewna siebie, jak pewnym jest dobry jeździec każdego konia. A powaga surowa chodzi, jakby po wyciągniętéj linie, na równowagi się oglądając, — to na zdumienie niewyraźne, to na pobłażliwość niewyraźną. I nic — tylko idzie, po téj niby wyciągniętéj linie... niewyraźnie, ale to zupełnie niewyraźnie przeczuwając, że lina ta rozciągnięta jest... do dyabła... nad przepaścią...

W ciągu dnia babunia wie jeno tyle, gdzie poszła albo pojechała Zochna z panem Karolem.

Wieczorem dopiero ich oboje odzyskuje. Znowu śmiechy i wesele w stołowym pokoju; czasem to przeplecie muzyka, czasem nawet Zochna, bez ceremonii i bez umiejętności, sprobuje śpiewu, i aż dopiero późna godzina rodzi opamiętanie i rozprasza hałaśników na spoczynek.

Raz przed śniadaniem — w oczekiwaniu na wiecznie spóźniającą się Zochnę — powiada pan Karol, że mu wieś i świeże powietrze, dobre mleko i żywność nierestauracyjna służą widocznie; mniéj się czuje zdenerwowanym, silniejszym i jest pewien, że utył trochę.

Robi w końcu uwagę, że tu tak odmłodniał, iż nie czuje na sobie ciężaru lat.

— Ciężaru lat? — mówi babcia z zadziwieniem — o jakich latach mówisz, panie Karolu?

— O moich, oczywiście.

— One ci ciężą? Czyż przechodziłeś jakie straszne losu koleje?..

Pan Karol rozmowę w końcu sprowadza do téj konkluzyi, że jest, po prostu mówiąc, starym.

Babunia mu odpowiada, żeby nie obrażał Pana Boga.

Ledwie doszedł on lat, w których mężczyzna żenić się powinien.

— O! ho! ho! — mówi protestacyjnym tonem pan Karol.

— Ależ tak, tak. To tylko dla kobiety dobrze, gdy młodą sroczką, życia ani świata nieświadomą, za mąż wychodzi. Mężczyzna dojrzałym być zaś powinien.

Babunia tak żywo rozprawia, tak energicznie gestykuluje, że pan Karol powiada:

— Nabieram przekonania, że nie jest ze mnie ostateczny i na nic niezdatny już niedołęga. Kto wie?.. może się jeszcze ożenię.

Babunia tedy, zadowolona, iż pan Karol na jéj zdanie tak zważa, nuż mu malować kolorowo stan małżeński, jego słodycze i jego społeczne znaczenie i użytek.

— Niéma co — mówi pan Karol wesoło — trzeba będzie uderzyć gdzie do jakiéj statecznéj wdowy...

— Do wdowy? Dlaczego nie do panny? — Babunia znowu rozprawia — i tak czas na wesołéj a ożywionéj gawędzie schodzi.

Nazajutrz pan Karol zjawia się wcześniéj na śniadanie — ot, jakby umyślnie, aby z babunią pogadać.

Opowiada o tém, jak mu mile czas tu biegnie, o wczorajszéj przechadzce dalekiéj z panną Zochną i o poważnéj jakiejś rozmowie, którą prowadzili.

Pan Karol jest zdania, że rzadki umysł mieszka w téj młodéj osobie.

A babunia swoje zawsze:

— Gdybyś poznał jéj charakter i serce!

Pan Karol powiada, jak to często człowiek doznaje rozczarowania, zbliżywszy się do kobiety, pięknéj jak anioł z postaci, i przekonawszy się, jaka to niełądna w niéj przebywa dusza. To téż co to za rozkosz patrzéć na osobę, w któréj ciało i dusza harmonizują w połączonéj piękności.

Babunia rada, robi uwagę:

— Juści, że dziewczyninie Pan Bóg nie poskąpił urody.

Pan Karol robi chłodną minę spokojnego a bezstronnego znawcy i powiada, bez żadnego a żadnego uniesienia w głosie:

— Panna Zofia jest piękna, jak prawdziwe arcydzieło.

Zochna, gdy czas znajdzie swobodny do pomówienia sam na sam z babunią, chętnie o panu Karolu mówi.

Opowiada — bywa tak często — o tém, jak czas przepędzali, o tém, co ona mu powiedziała, i co on jéj na to odpowiedział, i co ona mu znów na to, i kończy:

— Co on téż o mnie wtedy pomyślał!

I potém, po chwilce, mówi swobodnie i od niechcenia niby:

— Ja jednak ciekawa jestem, co on o mnie myśli?

Czeka Zochna od Babuni odpowiedzi. Ale odpowiedzi niéma. Babunia nie jest taka, żeby zaraz powtarzała to, co kto do niéj mówi. Przytém babunia — powiedziała to sobie i postanowiła uroczyście — ręki przykładać nie chce do przeznaczenia Boskiego, a takie powtarzanie umyślne pochwał, jakie Karol o Zochnie mówił, było-by już niewątpliwém wtrącaniem się do wyroków Opatrzności...

Zochna nie ustępuje przecież odrazu.

— Nie wie babunia? — pyta po chwili.

— O czém?

— Co on o mnie myśli?

— Zkąd-że ci, dziewczyno...

— Przecież on mówi z babunią czasami...

— No, to i cóż?

— O czém więc mówi?..

— O wszystkiém. Albo to mało rzeczy jest na świecie, i jakie to ciekawości różne się dzieją...

Zochnę wstyd bierze, że tak dopytywała się niedelikatnie, i wycofać się chce z niezręcznéj sytuacyi.

— Bo, widzi babunia, — mówi — ja przecież nie przez ciekawość o to zapytuję, ale tylko dlatego, iż zdanie takiego człowieka, jak pan Karol, to ma wagę i znaczenie...

Babunia kiwa głową.

— Prawda, babuniu, — dopytuje Zochna — że zdanie takiego człowieka, jak pan Karol, ma wagę?

— Juści.

— Ja, prawdę powiedziawszy, nie znałam jeszcze człowieka tak rozumnego, jak pan Karol, i takiego sympatycznego. Miałyśmy na pensyi profesora literatury — bardzo, bardzo był sympatyczny; prawie cała klasa się w nim kochała. Ale ja nie; szanowałam go i lubiłam, ale kochać... Za stary był i za brzydki. Przytém łysy taki...

Zatrzymała się.

— Hm! — rzekła po chwili — pan Karol trochę łysieje także, ale, wie babunia, że mu bardzo z tém do twarzy. Prawda?

Babunia odpowiada, iż jéj zdaniem pan Karol jest bardzo przystojnym mężczyzną.

Zochna kiwa głową i z miną poważną, trochę przychwalającą a trochę niby zadziwioną, mówi:

— Babunia ma dobry gust, doprawdy.

Pan Karol pewnego razu zrobił podobną próbę dowiedzenia się czegoś o sobie od babuni, nie domyślając się wcale, że babunia postanowiła sobie „życzyć mu“ jaknajlepiéj i z całego serca, ale wtrącać się w jego los ani odrobiny.

Zaczyna więc trochę zdaleka i powoli, okrążając, zbliża się do jądra rzeczy.

Mówi o nudach, które pewnie panna Zochna cierpi na wsi, a których pewnie jego towarzystwo nie jest zdolne rozproszyć.

Babuni nie zdaje się, żeby Zochna się nudziła.

—. Nie skarży się panna Zofia?

— O! nie! nie...

— Ja już obawiałem się, że burę kiedy dostanę, iż nadużywam gościnności i wyzyskuję dobre serce panny Zofii, które ją namawia, aby dotrzymywała gościowi...

— Co też ty mówisz, panie Karolu!..

— Bo, szczerze powiedziawszy, w gruncie rzeczy, trudno wymagać, aby moje towarzystwo bawiło pannę Zofię...

— Ależ mój panie Karolu...

— I nie dziwił-bym się wcale, gdyby tak pewnego razu panna Zochna, przysiadłszy się na stołeczku przy nóżkach babuni, powiedziała: ach! jak mnie towarzystwo tego człowieka znudziło i zmęczyło...

— Jak też to można, panie Karolu...

Takiemi oto odpowiedziami babunia osłania się, jak tarczą, i pociski ciekawości nietylko zwycięsko a zręcznie odpiera, ale jeszcze odrzuca je na przeciwnika, który, w obawie, czy nie popełnił — za tę gościnność i dobroć — jakiéj niegrzecznéj niewłaściwości, cofa się sam, pełen skruchy i chęci naprawienia niby błędów.

I oto tak wymykał się tydzień za tygodniem ku uciesze serca pana Misiurkiewicza, który winszował sobie, że tak dobrze wziął się do inżyniera, i nawet już, uzuchwalony powodzeniem, obmyślał środki, jakby tu inżyniera „wykurzyć“, zanim ten ćwierć swojéj głupiéj roboty wykona.

Ale oto nagle radość pana Misiurkiewicza wzięła, jak to mówią, w łeb.

Stało się coś we dworze, zmiana jakaś...

To widoczne...

Pewnego razu raniutko wychodzi pan Karol na podwórze, pyta o ludzi, a gdy mu pan Misiurkiewicz daje odpowiedź wymijającą, odzywa się do niego nie z prośbą, ale z rozkazem tak chłodnym i tak stanowczym, że pana Misiurkiewicza mrowie po łydkach przechodzi.

Pan Karol wreszcie, nie zważając na niego, woła lokaja dworskiego i mówi do niego tonem rozkazującym:

— Leć natychmiast na wieś i sprowadź mi dwóch ludzi; żeby jeden z nich znał się na numerach. Powiedz, że dostaną dobrą zapłatę. Na dziewiątą mają być tu.

Lokaj pojechał, pan Karol wrócił do dworku, a pan Misiurkiewicz, przelękniony i przygnębiony, wyszedł na pola, dumając ze spuszczoną głową.

Przy śniadaniu pan Karol jest taki jakiś dziwny... Poważny, ale nie powagą rozumnego człowieka, ale raczéj mumii egipskiéj, — i stanowczy taki, niewiadomo w czém i po co.

Zochna jest zadziwiona widocznie jego zachowaniem się, bo żarty jéj milkną na ustach, a wesołość wydobyć się nie może na twarz...

Coś jest...

Babunia nawet to widzi i czeka na wyjaśnienia.

Pan Karol rozmawia mało, a jeżeli się odezwie, to o niwelacyi, którą powinien był przeprowadzić już dawno i do któréj trzeba się nareszcie wziąć energicznie. Bąknął coś także o potrzebie powrotu do Warszawy.

Przy końcu śniadania lokaj zameldował, że ludzie są już.

— Doskonale! — powiada pan Karol.

Przeprasza, iż wstaje od stołu, ale pilno mu do roboty, i wychodzi.

Babunia i Zochna pozostają same, w milczeniu.

Wreszcie Zochna przerywa je pierwsza:

— Czy babunia zauważyła, jaki dziś nienaturalny jest pan Karol?

— Juści, że zauważyłam...

— Co to znaczy?.. doprawdy...

— Czy się nie stało co między wami?

Zochna milczy.

— Doprawdy — mówi po długiéj chwili — nie rozumiem... Czyżby... nie... nic nie rozumiem... Uważa babunia...

Opowiada babci jedno zdarzenie wczorajsze, które *może* ma z dziwném zachowaniem się pana Karola jaki związek...

— Było to wieczorem już prawie... wyszliśmy przejść się po ogrodzie... idziemy dróżką przez sad... pan Karol staje i powiada: „Oto już i mamy czereśnie. Widzi pani?“ Ja nie mogłam dojrzéć; on ma lepszy wzrok i wskazuje mi: „Ot, tam niech pani patrzy, i jakie czerwone; muszą być już dojrzałe.“ Patrzę — i widzę trochę kulek czerwonych — wysoko, na czubku prawie drzewa. „Lubi pani czereśnie? — pyta. „Bardzo“ — odpowiadam. „To ja pani urwę“ — powiada. „Niech pan urwie“ — ja na to. „Ale — mówię po chwili — jakże pan je dostanie?“ „A wejdę na drzewo.“ „Ależ to trudno“ — mówię. Wtenczas on powiada do mnie: „To téż za trudną pracę dostanę od pani nagrodę.“ „Dobrze — powiadam — dostanie pan połowę zerwanych czereśni.“ On się roześmiał i mówi, że to mało. „Więc czegóż pan chce?“ — pytam. On mówi, że jako nagrody żąda, abym pozwoliła mu się pocałować w rączkę. Ja — nie wiedziałam co mu odpowiedzieć, bo, moja babuniu, co ja mu mogłam na to odpowiedzieć?.. On tymczasem nie czekał na odpowiedź, tylko, robiąc taką minę, jakby już ją dostał, wdrapał się na drzewo. Gdy oparł nogę na gałęzi — nagle

ta zaczyna trzeszczéć. Więc ja mówię: „panie Karolu, niech pan zejdzie.“ On nic, pnie się wyżéj, gałąź trzeszczy mocniéj. „Nie chcę czereśni“ — wołam. „Ale ja chcę nagrody“ — mówi. Trzeszczenie coraz głośniejsze. Mój Boże, myślę sobie, jak gałąź się odłamie i on spadnie! Zbieram się na energię i wołam rozkazującym głosem: „Niech pan natychmiast zejdzie! słyszy pan!“ On zaśmiał się tylko i powiada: „A nie cofnie pani nagrody?..“ Gałąź trzeszczy... mój Boże... spaść może lada chwila, a to tak wysoko... „Nie“ — powiadam ze strachu. Wtedy on spuścił się lekko z drzewa...

Zochna zatrzymała się w opowiadaniu.

— I cóż? — spytała babunia — żądał nagrody?

— A żądał — powiada Zośka.

I po chwili mówi daléj:

— Moja babuniu, co ja miałam robić... Idę do domu i zagaduję, myślę, że on zapomni o tém. Ale on zaczyna mnie naprzód prosić, a potém... widzę, że zaczyna się obrażać... Moja babuniu, ja nie mogłam przecież dopuścić, aby się obraził, więc — stanęłam, podałam mu rękę i powiadam: „Niech-że już pan pocałuje.“ Więc on pocałował... Przyszliśmy do domu. Prosił mnie abym grała dużo... Pamięta przecież babunia, że wczoraj grałam dużo... Prosił o Beethovena, grałam Beethovena; prosił o Schumanna, grałam Schumanna. Przecież wszystko robiłam, co on chciał... o co więc pójść mu mogło...

Babunia głową pokręciła.

— A babunia rozumie?

Staruszka wzruszyła ramionami.

— Co mam rozumiéć?..

Zochna na seryo bierze to dziwaczne pana Karola postępowanie i rozmyśla nad niém głęboko i niespokojnie.

A babunia sobie, jak zwykle, spokojna, robótkę robi, bacząc pilnie na druty, aby oczek nie pogubić, i piosenkę jakąś sobie nuci, ba! i to wesołą piosenkę!

Przychodzi pan Karol na obiad, zmęczony, spracowany... Opowiada o powetowaniu czasu, który przeszedł z powodu tego pana Misiurkiewicza na próżnowaniu...

Po obiedzie zaraz wyrusza w pole, na robotę...

Wieczorem, zmęczony, nie może siedziéć tak długo w saloniku, jak dni ubiegłych. Przeprasza więc i wychodzi do siebie.

Nazajutrz wraz ze słońcem wstaje, aby pracy się oddać...

Na śniadanie nie przychodzi wcale, ukazuje się dopiero na obiad.

Zochna ma minkę lekko nadąsaną. Gdy babunia pana Karola zapytuje o niwelacyę, wnuczka robi uszczypliwą uwagę, że pan Karol

teraz mniéj musi się nudzić, niż dni ubiegłych, w których, nie mogąc pracować, skazany był na jéj ustawiczne a niezabawne towarzystwo.

Po obiedzie zaraz pan Karol idzie do pracy.

Zochna do babuni się przysiada.

— Babuniu-u...

— Co?

— Mnie się zdaje, że pan Karol na mnie jest o coś obrażony...

— E! zkąd-by...

— No, ja babuni mówię. On się na mnie o coś gniewa. Ale o co? o co? Babuniu! żeby tak babunia pomówiła z nim zręcznie — jak to babunia potrafi...

— Daj-że mi pokój, dziewczyno...

— Moja złota babuniu!..

— Ależ jakże ja z nim mam mówić? o czém? Ani-bym wiedziała od czego zacząć, ani co... Zresztą, co w tém złego, iż człowiek, pracą zajęty, nie może do północy paplać z tobą... Ja tam nie widzę, powiedziawszy prawdę, aby on się zmienić miał...

— A mówiła babunia sama...

— Na razie tak-by mogło się zdawać. Spracowany, więc i zmęczony — oto i wszystko...

Dostała Zośka tę od babuni odprawę, zasmuciła się, wzięła sobie z półki Mickiewicza i poszła do ogrodu szukać samotności. Otworzyła książkę, przebiegła parę wierszy oczami, ale czytać nie mogła.

Podparła więc rączką jasną główkę i smutny wzrok puściła na błądzenie po zieleni trawników i błękicie nieba.

Wieczorem skarżyła się na ból głowy i nie wyszła ze swojego pokoiku, dokąd babunia posłała jéj herbaty z cytryną.

Nazajutrz — niedziela to była — wstała Zochna bez bólu głowy i w usposobieniu lepszém, niż wczoraj, bo postanowienie sobie zrobiła:

„On tak, to i ja tak.“

Ubiera się szybko i postanawia sobie być wesołą i nic z niczego nie robić.

Przy śniadaniu Zochna straciła wczorajszą nadąsaną minkę zupełnie. Jest grzeczna, bardzo grzeczna, mówi dużo i nalewa panu Karolowi kawę z uśmiechem na ustach.

Po śniadaniu wsiadają wszyscy na bryczkę i jadą do kościoła.

Dzień piękny. Bryczka biegnie, trochę trzęsąc się i kurz na drodze podnosząc. Mija łany zbóż i traw, pijących blaski świąteczne, sama jedna wynosząc się po-nad nizinę zieleni szerokiéj i płaskiéj, jak oko świat Boży ogarnie, i sama jedna ruchliwa i głośna śród świata, zatopionego w ciszy słonecznéj i pokoju złotym.

Na bryczce téj, przed oczami samemi pana Karola, różowa sukienka Zochny zasłania mu ten cichy i słoneczny świat. Słomkowy kapelusik, makami ubrany, cieniem okrywa twarzyczkę białą i ściągłą, świeżutką jak poranek i piękniutką jak kwiatek; w cieniu tym miga dwoje oczu barwą tylko co rozkwitłych bławatków.

Pod wioską, która czernieje w dali szeregiem chat niskich i czubkami topoli rosłych, otaczających niby koroną wieżycę kościoła z krzyżem, droga wypada nieco pod górę. Konie zwolniły biegu, bryczka posuwa się powoli, ciężko.

Pan Karol zeskakuje z niéj.

— Lżéj będzie — mówi.

Idzie kilkanaście kroków i po drodze nachyla się, ilekroć kwiat jaki zobaczy piękny. Zebrał tak garść pełną polnego kwiecia, bławatków, ostróżek, kąkolów, maków.

— Pani lubi kwiaty—rzekł do Zochny, podając jéj bukiet.

Zochna podziękowała słowem i uśmiechem, i ruchem głowy.

Pan Karol widocznie przeprosić chciał za swoje fantastyczne zachowanie się dni ostatnich, widocznie żałował tego... Widać to było w jego grzeczności, pełnéj chęci przejednania Zochny, w jego rozmowie, któréj tak usilnie starał się nadać ton dawny, serdeczny, przyjacielski, swobodny...

Ale te wszystkie starania, zamiast ułagodzić Zochnę, utwierdzały ją w zaciętości.

Nie zostawała nigdy dłużną panu Karolowi w odpowiedziach, odzywała się do niego zawsze tonem przepełnionym uprzejmością, zawsze z uśmiechem na ustach, dziękowała mu skwapliwie za każdą usługę, czy to podał jéj rękę przy wysiadaniu z bryczki, czy podniósł upadłą parasolkę.

Kwiatów nie wzięła ze sobą do kościoła. Zostawiła je na bryczce, a po powrocie do dworku starannie je umieściła w wazoniku ze świeżą wodą i postawiła w saloniku.

Przy obiedzie pan Karol był swobodny i rozmowny, jak dawniéj.

Wspomniał i o téj pracy swojéj, która, zdawało się, wczoraj zapełniała mu wszystko tak, że nic po-za nią nie widział, — ale wspomniał o niéj, jako o rzeczy, która przyjemną jest o tyle, o ile jéj niéma.

— Święto — mówił — człowiek odpocznie i spędzi kilka chwil miłych, „jeżeli pani pozwoli“, — mówi, zwracając się do Zochny.

Zochna robi konwencyonalną minkę i odpowiada, zawsze z uśmiechem:

— Dziękuję za komplement.

Pan Karol w końcu czuje się trochę zmieszanym tą jéj grzecznością; wolał-by, aby się dąsała.

Po obiedzie prosi Zochny, aby była łaskawą coś zagrać.

— Owszem, owszem — odpowiada pośpiesznie.

Siada do fortepianu, przerzuca nuty, zaczyna wreszcie koncert Rubinsteina. Trudny... myli się... przeprasza... krytykuje własną grę; śmieje się ze swoich pretensyi muzycznych...

Prosi potém pan Karol o spacer. Zochna, ze skwapliwością dbałéj o przyjemność gościa gosposi, zarzuca na główkę żółty kapelusz z makami i wychodzi z panem Karolem.

Ale jakoś, widoczne to jest, pomimo jéj dobrych chęci, że nie jest usposobioną do dłuższego spaceru. Wracają téż wkrótce do saloniku.

Tak i mija niedziela.

Nazajutrz przed obiadem pan Karol zajęty pracą, ale po obiedzie robi sobie rekreacyę.

Zbliża się do Zochny, pragnie przepędzić trochę czasu w jéj towarzystwie, pragnie zatrzéć swoje niby-winy, pragnie przeprosić ją i przebłagać swojém serdeczném postępowaniem.

Zaciętość przecież, nie łatwa do ubłagania, a nawet błaganiami się podsycająca, mieszka w téj pięknéj dziewczynie...

We wtorek pan Karol wcale już nie idzie na tę, pilną tak, swoją robotę niwelacyjną. Wstaje późniéj nieco i szuka sposobności do pomówienia sam na sam z babunią.

— Od paru dni — mówi babuni w stosownéj chwili — jakoś panna Zofia trochę jest dziwną.

— Dziwną? — pyta babunia.

— Względem mnie... tak mi się zdaje przynajmniéj. Obawiam się, czy nie jest na mnie o co obrażona...

— Ale gdzież-by! — protestuje babunia.

— Hm! Ja sam tak myślę... jednakże... dawniéj była naturalniejsza jakaś... możem ja niewinnie zupełnie i dotknął ją czém...

Sprowadza w końcu rozmowę na to, że prosi babuni, aby trochę zbadała Zochnę, czy ona ma o co do niego pretensyę.

Ale babunia nie podejmuje się téj misyi i zręcznie od niéj się uchyla...

— Kto-by tam z nią do ładu doszedł — mówi — młode to, dziś tak, jutro tak. Nie zważaj na nic, panie Karolu...

I kończy zapewnieniem, że Zochna jest tak dobrą i poczciwą istotką, jakiéj-by na świecie próżno szukać podobnéj.

Nad wieczorem dnia tego na biały dworek babuni zrobili niespodziewany napad goście z sąsiedztwa. Dwie bryczki napełnione

młodzieżą, a między nią panna Klara, koleżanka z pensyi Zochny, bawiąca u krewnych w okolicy.

Poznają się koleżanki. Krzyki:

— Zośka! Zośka!

— Klara! Klara!

Buzi.

Panna Klara, osóbka żywa, wesoła, energii pełna i pomysłów, dowiedziawszy się o Zośce, podała właśnie projekt tego najścia.

Buzi.

Klara zostanie tu niewątpliwie choć na dzień jeden. Tyle się ma do powiedzenia, gdy się spotka kogoś, z kim się żyło tak blisko, tak serdecznie — nie prawdaż?

Buzi.

Niestety! to niepodobna. Klara przyrzekła ciotce solennie, że wróci, ale ma nadzieję, że jutro, pojutrze, Zośka odwiedzi Klarę, aby nagadać się do syta.

Buzi.

Pierwszy to raz ma Zochna tyle do podjęcia gości. Porzucić więc musi przyjaciółkę, aby wszystkimi się zająć.

— Panie Karolu!

Zapytuje go o radę. Jak i czém przyjąć gości? Po naradzie postanowiono dać rodzaj podwieczorku w altanie ogrodowéj. Babunia pochwaliła tę myśl.

Zaroiło się w ogrodzie, cichym zazwyczaj, jak w ulu na wiosnę.

Zochna kręci się wokoło. Pan Karol pomaga jéj, niby gospodarz domu, panny bawi, z panną Klarą żartuje.

Noc nadchodzi na ogród, biała, jasna, pełna światła księżycowego.

Towarzystwo ani myśli się wynieść. Panowie odkryli jezioro, a na niém łódkę.

— Podróż po wodzie przy świetle księżyca. To będzie urocze.

Panna Klara pierwsza prowadzi nad wodę.

— Umie pan wiosłować? — pyta pana Karola.

— Umiem.

— To doskonale. Będziemy bezpieczniejsze.

Pan Wieluński, który w stronę panny Klary częste posyłał spojrzenia, robi smutną minę i pozostaje na brzegu.

O północy dopiero wesołe i ubawione towarzystwo siada na bryczki i z krzykiem i hałasem gościnny opuszcza dworek.

Zochna i pan Karol, stojąc w ganku, żegnają odjeżdżających i za wizytę dziękują.

Bryczki potoczyły się, oddalają się, a wraz z niemi głuchnie i cichnie gwar ten, nocną ciszę mącący.

Uciekły wreszcie tak daleko, że już nie słychać nic, ani skrzypnięcia kół, ani wybuchu śmiechu. Spokój nocny, poważny i smutny, wrócił pomiędzy te drzewa wysokie i ważył się w księżycowém świetle, przyświecającém tylko ludziom, od których sen odegnała zabawa ochocza, albo wielki smutek.

— Jak przyjemnie! — mówi Zochna.

Pan Karol jakiś smutnawy.

— Cicho tak — odpowiada.

— Ubawiliśmy się — mówi Zochna. — Jakże pan znajduje Klarcię? — widziałam, że pan dużo z nią rozmawiał. Inteligentna, prawda?

— Dosyć.

— I dowcipna, o! bardzo dowcipna. Prawda?

— Dowcipna, owszem.

— I ładna? co?

— Bardzo ładna.

— Podoba się panu... chce pan... będę swatać.

— Panno Zofio!

— Seryo mówię. Za kilka dni pojadę zobaczyć się z nią, wybadam ją zręcznie...

— Ależ — proszę pani!.. ona jest ledwie w pani wieku!

— O miesiąc starsza, więc cóż?

— No... a ja... ja mam lata.

— Więc cóż?

— Wątpię, aby panna Klara miała upodobanie do starców.

— Do starców?.. jak pan to dziwnie powiedział...

— Bo poruszyła pani we mnie strunę, trochę boleśnie dźwięczącą. Im więcéj lat człowiekowi przybywa, im dalszym jest od młodości, z im większéj na nią patrzy odległości, tém mu jéj większy żal. Tembardziéj mnie, który zmarnowałem ją, tak, zmarnowałem. Co to za szczęście oddać swoje życie, pracę, zdolności, na to, aby zapewnić dobry los jednéj z takich istot i żyć przy jéj boku, jéj przywiązaniem... Takie sobie słońce zdjąć z nieba i zawiesić je w swojém mieszkanku małém na własny użytek. Ach, panno Zofio, żeby pani wiedziała, jak to boleśnie pomyśléć, że człowiek wyszedł już po-za to koło, w którém szczęście samo się napraszało, i że teraz nic mu już na dalsze lata życia nie zostaje, tylko żal i żal!

Zochna, która wesoło była usposobiona, poważnieje.

— Dziwny pan jest doprawdy — odpowiada — czyż to lata mają cokolwiek... do tego... Z pewnością, patrząc na pana, nikt nie zwraca na nie uwagi, chyba pan jeden.

— Zdaje się pani.

— Poszłabym o zakład, że Klara, myśląc teraz o panu, może jest zdania, że pan jest zgrabny lub niezgrabny, brzydki lub ładny, miły lub nudny, ale pewnie nie myśli: jaki on jest stary.

— Pomyślała-by to sobie, gdyby mnie zobaczyła po raz drugi, trzeci...

— Ja widzę pana przecież po raz setny — zaprzecza Zochna — a gdyby mi się trafił jaki człowiek w wieku pana, no i gdyby mi się podobał... tobym wyszła za niego bez wahania się...

Głos babuni, udającéj się na spoczynek o tak niezwykle dziś późnéj porze, odwołał z ganku rozmawiającą parę i przerwał tę poważną rozmowę.

Wrócili do dworku bez śladu już nieporozumienia dni ostatnich, które wizyta niespodziewanych gości utopiła w niepamięci.

Pan Karol był serdecznym, jak dawniéj, Zochna swobodna, jak zwykle.

Na dobranoc, podając rączkę Karolowi, rzekła figlarnie:

— O Klarci pomówimy jeszcze jutro... poważnie.

Wyłagodziły się więc i wyrównały stosunki między Zochną i panem Karolem. Zochna wstaje nazajutrz w humorze różowiutkim i na dzień dobry ściska babunię za szyję, ale to ściska tak serdecznie i mocno, że babunia aż broni się przed temi czułościami:

— A toć-że mnie udusisz, dziewczyno!

Dowiaduje się Zochna, że pan Karol raniutko się zerwał i na robotę poszedł. Na śniadanie go niéma. Przychodzi potém wiadomość od niego, iż jest daleko, na krańcu włości, i że na obiad nie przyjdzie. Przybywa do dworku dopiero nad wieczorem, o samym zachodzie słońca, tłómaczy się, że jest niemożliwy w towarzystwie dzisiaj, i prosi, aby mu kolacyę przysłano do jego pokoju. Potém się już wcale nie pokazuje.

Nazajutrz, na obiedzie, na który pan Karol przychodzi, bo ma robotę blisko dworku, Zochna spostrzega w nim te same fanaberye, co dawniéj. Prawie, że na nią nie patrzy i cieszy się, iż robota dobiega końca, i że niezadługo będzie mógł wyjechać.

Nie... tego już ona nie rozumie.

— Im ja jestem lepsza dla niego — kombinuje — tém on...

Smutna jest Zochna.

Rączki założyła na krzyż na piersiach, przestała myśléć o roli gospodyni domu przy obiedzie i na zapytania babuni, chcącéj jéj téj lub owéj potrawy włożyć na talerz, odzywa się stale:

— Nie, babuniu, nie, dziękuję... nie mam apetytu.

Po obiedzie siedzi nieruchoma w pokoiku babuni, wpatrując się w róg pokoju.

Babunia aż zwraca uwagę na tę jéj smutną minkę.

— Cóż ty, dziewczyno, tak jakoś straciłaś humor?

— Nie — odpowiada Zochna.

I potém, aby nie dać powodu do jakich opacznych jéj humoru tłómaczeń, powiada:

— Nudzi mi się, babuniu.

Babunia przypomina jéj zaproszenie Klarci.

— Możebyś pojechała do niéj?

— E! nie! nie mam chęci.

I zapada w długie milczenie.

Aż potém naraz powiada do babuni:

— Ten pan Karol... to zupełnie... zupełnie niedobry człowiek.

Babunia podnosi oczy na Zochnę i pyta:

— Noo?

Ale Zochna wstaje i powiada:

— E! nie warto o tém nawet mówić.

I wychodzi z pokoiku.

Po jakiejś chwili przecież wraca:

— Babuniu, ja się nudzę. Ja pojadę do Klarci.

— A pojedź.

— Ale teraz, zaraz, natychmiast.

Idzie na podwórze, aby zarządzić wyjazd.

Nabiera niby lepszego trochę humoru.

— Dziś nie wrócę — mówi do babuni — zanocuję tam, a jak będ się dobrze bawić, to i jutro nie wrócę.

Całuje babunię w obie ręce.

— Niech babunia nie tęskni — powiada.

I wyjeżdża.

Pan Karol wieczorem, nie spostrzegając Zochny przy kolacyi, pyta, czy nie chora.

— Pojechała do téj swojéj koleżanki z pensyi — mówi babunia — na parę dni.

Pan Karol na to powiada, iż żałuje, że pewnie nie będzie mógł widzieć się i pożegnać z Zochną, gdyż dziś, a najdaléj jutro, niwelacyę ukończy. Pozostanie jeszcze do zrobienia plan, ale ten wykończy w Warszawie; tu nawet, z powodu różnych braków, nie mógł-by robić rysunków.

Babunia spogląda na niego z zadziwieniem lekkiém i z lekkim niepokojem:

— Więc seryo opuszczasz nas tak prędko, panie Karolu?

Pan Karol mówi, że było mu niewymownie dobrze, ale że pozostał trzy razy dłużéj, niż zamierzył i niż był powinien. Zresztą, różne kombinacye co do jego stanowiska na przyszłość zmuszają do siedzenia w Warszawie i do śledzenia pomyślnych okoliczności.

Nazajutrz rano zapowiedział ostatecznie, iż przed południem pracę kończy i wieczorem prosi o bryczkę na nocny pociąg.

Babunia smutna jest, jak z nóg ścięta.

Więc nic z jéj pragnień, z jéj życzeń, z jéj marzeń... A zdawało jéj się, zdawało... Widocznie stare oczy już źle widzą, stary rozum źle już widziane tłómaczy. Co było, co ją cieszyło i radowało i nadziejami karmiło, to tylko się zdawało, to tylko się zdawało!

Nie należy babunia do tych osób chytrych, co to plany jakoweś snują — o! broń Boże — ona wie, iż wszystko jest w ręku wszechmocnéj Opatrzności; ale życzenia babunia piastowała w duszy, a życzenia to były czyste i szczere, i poczciwe takie, że nie lękają się, aby je te nawet oczy ludzkie obaczyły, których życzenia te dotyczą

To téż babunia prosto a poczciwie powiada panu Karolowi:

— Miałam względem ciebie, mój panie Karolu, różne życzenia i różne projekta, i oto wyjeżdżasz sobie i nic z tego wszystkiego.

— Względem mnie? — pyta pan Karol.

— Względem ciebie i względem Zochny. Śmiać się ze mnie staréj będziesz, ale widzisz, w moim wieku, kiedy o sobie myśléć już niéma co, to myśli się z musu o innych. Myślałam, że ci się Zochna podoba.

— Co do tego...

— Że ci się spodoba tak, że aż zapragniesz jéj na całe życie. Nie dziw, w moich oczach, co ją jedną mam na świecie, to złoto, skarb, słońce.

— Niewątpliwie, panna Zofia...

— Z początku nawet cieszyłam się z tego, bom widziała, że ty, panie Karolu, w serduszko jéj powolutku się wkradasz...

— Ja?

— Tak, tak... stało się to może bez twojéj woli, alem po dziewczynie spostrzegła, że ją zajmujesz.

I tu babunia, rozgadawszy się na dobre, nic już nie ukrywa, ale opowiada wszystko, wszyściutko: jak Zochna mówiła, że panu Karolowi do twarzy z rzadkiemi włosami, jak martwiła się, gdy trwało między nimi jakieś nieporozumienie, jaka smutna wreszcie była ostatnio przed swoim wyjazdem...

Pan Karol głowę podparł ręką, czoło przeciera.

— Ja, jako człowiek bez stanowiska...

Babunia i to sobie obmyśliła. Ma wioszczynę tę, prawie że bez długów... cóż z nią zrobi, jeżeli nie odda jéj swoim wnukom, to jest Zochnie i jéj mężowi, bo oboje za wnuków uważać będzie. Misiurkiewicz człowiek dobry, ale rządca kiepski; w ręku energicznego człowieka wioska-by dochody dawała podwójne — powiadają to sąsiedzi. Oto tak babunia myślała, oto tak babunia w ostatnich może dniach swojego życia ostatnie marzyła marzenie.

Nie wstydzi się przed panem Karolem je odkryć, jak przed przyjacielem.

Pan Karol przeciera ręką czoło.

— Ja jestem zastary — mówi jakby do siebie.

— Tak — powtarza po chwili tonem bardziéj stanowczym — ja jestem zastary.

I do drogi nie przestaje się szykować — i gdy bryczka staje przed dworkiem, on z pożegnaniem, stanowczości pełen, staje przed babunią.

Całuje jéj ręce, wzruszeniu oprzéć się nie mogąc, walcząc ze łzami.

Babunia płacze wprost.

— Niech ci Pan Bóg błogosławi w życiu — mówi.

... I pojechał pan Karol.

... A Zochna bawi u Klarci dzień jeden, wysila się, aby bawić dzień drugi. Chce jéj się wrócić do domu, Boże! jak jéj chce się wrócić do domu. Nie! — jeszcze zabawi jeden dzień! O nie! to nawet zamało dwa — nawet trzy dni.

Pokaże, iż ma silną wolę.

Postanawia sobie być tu jeszcze trzy dni.

Wreszcie, zmęczona i zmordowana, wraca...

— Musiałaś się dobrze bawić — mówi babcia.

— O tak! tak! — woła Zochna.

— Pan Karol wyjechał do Warszawy — mówi babcia — jeszcze onegdaj...

Zochna nie rozumie.

— Po co? — pyta.

— Skończył pracę... kazał cię pożegnać.

Idzie Zochna szybko do swego pokoju i tu... zakrywa twarzyczkę białemi dłońmi.

... Mijają dni smutne dla babuni, i dni smutne dla wnuczki, i minęło tych dni smutnych dla babuni i smutnych dla Zochny kilkanaście, aż na dwa całe, długie, długie tygodnie się złożyły.

Przez te dwa długie, długie tygodnie, nie mówi prawie wcale babcia z wnuczką, nie mówi wnuczka z babcią, każda w innym kąciku siedząc, i rozmyślaniom, znać iż nie wesołym, się oddając.

Aż oto po dwóch długich, długich tygodniach, przychodzi do babuni list...

List od pana Karola, list wprost z oświadczynami...

Pisze pan Karol, że walczył ze sobą długo a silnie, obawy będąc pełen, czy może on Zochnie dać szczęście, i że obawę tę złamało pragnienie szczęścia z jego strony, i że, zwalczyć się nie mogąc, składa swoje pragnienia i swój los do rąk babuni, aby ona, skoro to za stosowne uzna, złożyła je u stópek Zochny.

— Patrz Zośka! — woła babunia grenadyerskim głosem.

Bierze Zochna list do rąk, kilka wierszy wzrokiem przerzuca i — nagle staje cała w ogniu, który oblewa jéj szyjkę białą i jéj twarzyczkę śliczniutką, aż po oczy, po czoło.

. . . . . .

W pokoiku babuni pali się lampka błękitna przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa Pana.

Przed obrazem, w świetle przytłumionem téj lampki, babunia na starych kolanach klęczy, ręce pomarszczone złożyła.

Modli się babunia gorąco, — gorąco dziękuje Najwyższemu, że Jego wola tak dziwnie zgodziła się z jéj życzeniami, że na resztkę dni jéj żywota błogosławieństwo swoje Najświętsze spuścił.

Wincenty Kosiakiewicz.

Błędne koło dzisiejszéj filozofii.

Zadaniem filozofii jest synteza wiedzy ludzkiéj. Zadanie to atoli nie pierwéj może być wypełnioném, aż wszystkie obszary wiedzy zostaną dokładnie zbadane. Syntezę musi przeto poprzedzać analiza, która rozpatruje oddzielnie szczególne zjawiska świata, mniéj troszcząc się o ich wzajemny związek, o ich podobieństwa, jak raczéj o to, by dokładnie uwydatnić zachodzące między niemi różnice. Dualistyczny pogląd na świat jest jednym z objawów owéj dążności umysłu ludzkiego. Powstał on wtedy, kiedy umysł ludzki, dzięki nagromadzonemu doświadczeniu, stracił swą pierwotną jedność, i rozróżniwszy w sobie samym dwie siły odmiennéj natury, rozróżnienie to przeniósł nazewnątrz po-za siebie. I nie pierwéj mógł ustąpić miejsca nowemu poglądowi, aż owo rozróżnienie zostało przeprowadzone z jaknajwiększą ścisłością, aż rozgraniczenie dwóch pierwiastków zostało oparte na pewnéj zasadzie, dającéj się sprawdzić na wszystkich zjawiskach świata, dostępnego naszemu poznaniu. Do tego stopnia rozwoju doszedł dualizm w dokrynie Kartezyusza, który przeciwieństwo między duchem a materyą doprowadził do takiéj ostateczności, że pogodzenie ich z sobą okazało się niemożliwém. Od téj chwili rozpoczyna się nowy zwrot myślenia, mający na celu wykrycie naturalnego związku między dwoma wręcz przeciwnemi sobie pierwiastkami bytu. Zwrotem tym jest Monizm.

Głównymi apostołami monizmu są Spinoza i Leibnitz. Nie byli oni bez poprzedników. Od najdawniejszych czasów objawiała się w dziejach myślenia ludzkiego dążność do ujęcia w jedności wszystkich zjawisk świata. Umysł bowiem ludzki nie może pozostawać długo na analitycznem rozróżnianiu rzeczy. Dąży on zawsze do jedności, jakkolwiek ta dążność wobec ogromu zjawisk, budzących ciekawość człowieka, może na chwilę być stłumiona. W każdym razie Spinoza, a za nim Leibnitz, są pierwszymi, którzy usiłowali monistyczny pogląd na świat oprzeć na podstawach czysto naukowych. Obu im chodziło o wykrycie związku między duchem a materyą, o wytłómaczenie, w jaki sposób dwa te pierwiastki, tak sobie przeciwne, łączą się w jednym bycie i zgodnie z sobą działają w jednym celu. Przyjąwszy w założeniu dyametralne przeciwieństwo między światem zewnętrznym a wewnętrznym, zmuszeni byli szukać dla nich łącznika nie w nich samych, lecz przez nicość. Jakoż pierwszy, odrzuciwszy substancyalność ducha i materyi, uznał je za objawy jednéj substancyi, stanowiącéj byt powszechny i będącéj ostateczną przyczyną wszystkich zjawisk materyalnych i duchowych; drugi, przyjąwszy, że każda monada, będąc bytem samodzielnym, stanowi świat w sobie zamknięty, oparł wzajemny ich stosunek na przedustawnéj harmonii. W ten sposób stali się oni założycielami dwóch kierunków monizmu, które do dziś dnia panują w filozofii, pomimo, że ulegają częściowym zmianom, odpowiednio do postępu wiedzy i indywidualnych poglądów ich wyznawców.

Za głównego przedstawiciela monizmu Spinozowskiego należy uważać Spencera, który materyę i ducha uznaje za współrzędne objawy jednego bytu, niepoznawalnego w swéj istocie; przedstawicielami zaś monizmu Lejbnicowskiego są przeważnie filozofowie niemieccy, którzy, uznając ducha i materyę za dwa przeciwne sobie pierwiastki, połączone z sobą stosunkiem współbytności, jedność ich upatrują w paralelizmie.

Przyznając wielkie zasługi współczesnemu monizmowi w sprawie zjednoczenia wiedzy ludzkiéj, wytworzenia syntetycznego poglądu na świat, musimy jednakże wyznać, że dalekim on jest jeszcze od spełnienia zadania, którego się podjął. Nie rozwiązuje on ostatecznie zagadnienia, a przynajmniéj rozwiązanie, jakie nam podaje, jest sztuczne i nie odpowiada wymaganiom rozumu ludzkiego. Zawiera ono w sobie przypuszczenia, na niczém nie oparte i trudniejsze do wytłómaczenia, niżeli samo zagadnienie, które mają tłómaczyć. Co gorsza, że są one nieraz wręcz przeciwne powszechnemu doświadczeniu. Takiém jest mianowicie pojmowanie ducha i materyi, jako współrzędnych sobie zjawisk, pojmowanie niezgodne z faktem, który wyka-

zuje, że sfera zjawisk materyalnych jest o wiele rozleglejsza, niżeli sfera zjawisk duchowych. Pojmowanie to nareszcie sprzeciwia się samym warunkom poznania. Inną drogą dochodzimy do poznania zjawisk materyalnych, a inną — zjawisk duchowych. Jakoż Spencer, który się odznacza głębokiém poczuciem rzeczywistości, wolał dopuścić się logicznéj niekonsekwencyi, niżeli zgrzeszyć przeciwko doświadczeniu, i uznawszy ducha i materyę za współrzędne objawy rzeczy niepoznawalnéj, dopatruje się zjawisk duchowych tylko w istotach żyjących. Téj przezorności nie mają filozofowie niemieccy, którzy, trzymając się ściśle zasady współrzędności ducha i materyi, widzą je wszędzie sprzęgnięte z sobą, od atomu aż do człowieka, i nie cofają się przed żadną konsekwencyą, chociażby ta prosta droga wiodła do mistycyzmu, a nawet do spirytyzmu.

Zresztą, nie jest to znosić przeciwieństwo rzeczy, gdy się szuka ich zgodności nie w nich, ale po-za niemi. Syntezą tego nazwać niepodobna. Spencerowski byt niepoznawalny, nie dość, że jest swego rodzaju *deus ex machina*, który nie może być uważany za właściwego rozjemcę między duchem a materyą, lecz, co większa, jest przypuszczeniem, dającém się usprawiedliwić ze stanowiska obserwacyi zewnętrznéj, ale wręcz przeciwném warunkom obserwacyi wewnętrznéj. Mniej jeszcze zadowalającemi pod tym względem są: współbytność dwóch pierwiastków wzajemnie się wykluczających i paralelizm — przypuszczenia, które zgoła nic nie tłómaczą, gdyż same wymagają tłómaczenia, które ostatecznie, bez odwołania się do cudu, nie dają się wyrozumiéć. Współbytność sama przez się, jeżeli nie możemy jéj sprowadzić do przyczynowości, pozostaje dla nas zagadką. Paralelizm zaś w zastosowaniu do faktu, który ma wyjaśniać, jest prostą nazwą, niczém więcéj. Oznacza on rzecz, ale jéj nie tłómaczy.

Jest jeszcze trzeci kierunek monizmu, który można-by nazwać metafizycznym, pomimo, że swe wywody spekulacyjne stara się zawsze podeprzéć faktami, dostarczanemi przez doświadczenie. Polega on na tém, że przeciwieństwo między światem zewnętrznym a wewnętrznym stara się usunąć w ten sposób, iż obie kategorye zjawisk — duchowych i fizycznych — sprowadza do jednéj z nich wyłącznie. Tą drogą powstają materyalizm i animizm — doktryny, które nie tyle grzeszą brakiem logicznéj konsekwencyi, ile tém, że są zarówno przeciwne warunkom poznania. Zresztą, czy można uważać za pogodzenie dwóch stron sobie przeciwnych, gdy jedną z nich poświęca się na rzecz drugiéj? Różnicy, jaka zachodzi między duchem a materyą, żadném rozumowaniem sofistyczném zatrzéć nie popobna, gdyż jest ona faktem doświadczalnym. Chodzi tylko o to, ażeby wykazać, że, mimo wszystkich tych różnic, mają one grunt wspólny, że ich przeciwieństwo

jest pozornem, pochodzącem głównie ztąd, że innéj natury jest postrzeganie zewnętrzne, które daje nam poznać świat zjawisk materyalnych, a innéj postrzeganie wewnętrze, za pomocą którego poznajemy świat duchowy.

Już sama różnorodność kierunków, na jakie rozpada się monizm, świadczy o organicznéj jego słabości. Nie dowodzi to jednakże, ażeby dążność jego w zasadzie miała być błędną i fałszywą. Dowodzi to, co najwięcéj, że albo z fałszywych wychodzi założeń, albo w samém badaniu popełnia błędy, które niweczą wszystkie jego usiłowania, skierowując myślenie na bezdroża.

Główna przyczyna dotychczasowéj bezowocności usiłowań monizmu leży w tém, że, objąwszy po dualizmie panowanie w filozofii, odziedziczył po nim nie same tylko zagadnienia, dopominające się rozwiązania, ale wraz z niemi i pewne poglądy, formułki, które, będąc wyrazem zapatrywań się swego czasu, bynajmniéj nie odpowiadają stanowisku współczesnéj wiedzy. Mając za sobą wiekową tradycyę, przyjęte one zostały na wiarę i służą za wytyczne punkta, podług których monizm kieruje się w swych poszukiwaniach. Należą do nich: a) zapatrywania się na *fakta psychiczne*, jako na *zjawiska* w tém samém znaczeniu, co i zjawiska fizyczne, i uważanie ich za współrzędne z temi ostatniemi; b) opieranie różnicy między zjawiskami fizycznemi a duchowemi na tém, że pierwsze są *rozciągłe* i dają się sprowadzić do ruchu mechanicznego, drugie *nierozciągłe* i z owym ruchem nie mają nic wspólnego.

Co się tyczy pierwszego punktu, to przedewszystkiém zwrócić potrzeba uwagę na to, że wyraz *zjawisko*, tak w mowie potocznéj, jak i naukowéj, oznacza to, co się objawia naszemu umysłowi, jako coś obcego mu i istniejącego zewnątrz niego, jak coś, co daje znać o sobie i jest od nas niezależném. Otóż w tém znaczeniu wyraz ten może być użytym tylko w odniesieniu do danych zewnętrznéj obserwacyi, posługującéj się zmysłami.

O świecie zewnętrznym wiemy tylko to, co nam podają zmysły nasze i co z ich danych możemy wywnioskować. Temi danemi są nasze czucia, które my odnosimy nazewnątrz, jako własności przedmiotów. Czynimy to dlatego, że czucia są stanami biernemi naszéj świadomości i uważamy je za skutek czegoś zewnętrznego, co na nasze zmysły działa. Lecz sam przedmiot, jak się nam przedstawia w naszych postrzeżeniach, nie jest niczém więcéj, jak skupieniem własności, w którego podstawie leży wyobrażenie bytu. To wyobrażenie bytu, stanowiące substrat każdego przedmiotu, ma swój początek również w naszém czuciu podmiotowém, które my drogą wnioskowania analogicznego przenosimy nazewnątrz. Czuciem tém jest poczucie

wewnętrzne naszego istnienia. Czucie to tak silnie kojarzy się z czuciami dotykowo-mięśniowemi, że gdzie tylko napotykamy na opór, ciśnienie, tam się domyślamy jednocześnie przedmiotowego bytu. Przedmiot więc jest wytworem naszéj wyobraźni, jest naszém wyobrażeniem, któremu w rzeczywistości może zgoła nic nie odpowiadać. Jeżeli zaś i jest coś, co istnieje niezależnie od naszych czuć i spostrzeżeń i co jest ich ostateczną przyczyną, to o tém bezpośrednio nic nie wiemy i naszą wiarę w rzeczywistość świata przedmiotowego opieramy na samém tylko rozumowaniu. Punktem wyjścia dla tego rozumowania jest codzienne doświadczenie, które nas uczy, że w tych samych warunkach zawsze tych samych doznajemy uczuć i spostrzeżeń, niezależnie od naszéj woli.

Że świat zewnętrzny nie jest przedmiotem bezpośredniego poznania, jedynie pewnego, nie podlegającego najmniejszéj wątpliwości, dowodzi tego fakt, że są filozofowie, którzy odrzucają wiarę w świat przedmiotowy, jako hipotezę zgoła bezużyteczną, którzy, zacierając wszelką różnicę między przedmiotem a podmiotem, cały zakres doświadczenia zewnętrznego, wszystkie nasze czucia i spostrzeżenia zmysłowe, wyprowadzają z warunków saméjże świadomości, stanowiącéj jedyną rzeczywistość.

W każdym razie, czy będziemy uważali nasze czucia i spostrzeżenia zmysłowe za równoważniki rzeczy, zewnątrz nas istniejące, czy za proste zmiany naszéj świadomości, pozbawione wszelkiego znaczenia przedmiotowego, są one dla nas znakami czegoś, co nas zmusza do takiego lub innego postępowania. Praktycznie rzeczy biorąc, na jedno wychodzi, czy spostrzeżenie spadającéj skały będę uważał za fakt przedmiotowy, czy podmiotowy; w każdym bowiem razie muszę jaknajprędzéj uciekać, gdyż inaczéj skała, spadłszy na mnie, zgniecie mnie i pozbawi życia. Są one więc dla mnie zjawiskami, o tyle ważnemi, że niezależnie ode mnie jedne z nich są mi użyteczne, drugie szkodliwe, i tamte muszę sobie zapewnić, od tych zaś zabezpieczać się. Główne ich znaczenie leży nie w nich, ale po-za niemi, w tém, co oznaczają, czego każą spodziewać się, oczekiwać, i co niechybnie musi nastąpić, bez względu, czy tak lub inaczéj będę się na nie zapatrywał.

Innéj natury są fakta duchowe, rozważane w samych sobie. Nasze czucia, wyobrażenia, pojęcia, wzruszenia, pragnienia i t. d. znane nam są bezpośrednio. Nie są one czémś obcém naszéj świadomości, czémś, coby zewnątrz niéj istniało i odbijało się w niéj, jak w źwierciedle, wywoływało w niéj zmiany, jak czynniki zewnętrzne w narządach zmysłowych. Są one samąż świadomością, zmieniającą się stosownie do zmnian warunków, od jakich ona zależy. W każdym

razie, mówiąc o zmianach świadomości, posługujemy się przenośnią. Świadomość nie jest jakąś całością, w sobie zamkniętą, ciągłą i nieprzerwaną, nie jest jakimś samoistnym pierwiastkiem. W ten sposób pojmowana, jest ona czystą abstrakcyą. Jak niéma sprawiedliwości, mądrości, tylko są czyny sprawiedliwe, ludzie mądrzy, tak również niéma świadomości, tylko są pewne fakta życiowe świadome. Świadomość jest nieodłączną własnością faktów, zwanych duchowemi. To też, jeżeli można do czego porównać świadomość, to chyba do światła elektrycznego, powstającego z oddzielnych iskier o różném natężeniu.

Każdy fakt psychiczny, wyobrażenie, wzruszenie, pragnienie i t. d., będąc wypadkiem danych warunków, jest całością w sobie zamkniętą, czémś na podobieństwo monady Lejbnicowskiéj, mogącéj z innemi łączyć się tylko za pomocą kojarzenia. Dla obserwacyi wewnętrznéj jest on prawdą ostateczną, bezwzględnie pewną, mającą znaczenie w sobie i dla siebie. Nie jest on dla niéj prostym znakiem czegoś, coby przezeń znać o sobie dawało, objawem jakiegoś bytu, niezależnego od warunków życiowych, słowem, nie jest on zjawiskiem jakiéjś rzeczywistości, którą-by świadomość nasza odbijała w sobie, ale jest sam rzeczywistością siebie świadomą, jedyną rzeczywistością, którą znamy bezpośrednio i która zatém stanowi naszą wiedzę bezwzględną.

Mówiąc o faktach psychicznych, jako o zjawiskach, należało-by wprzód odpowiedzieć na pytanie: czego one są zjawiskiem? Mogły-by one być zjawiskami albo duszy indywidualnéj, o jakiéj nas uczy spirytualizm, albo ducha powszechnego, rozlanego w przyrodzie, jak to utrzymuje panteista, albo nareszcie Spencerowskiéj rzeczy niepoznawalnéj, objawiającéj się, jako materya i duch. Żadne atoli z tych przypuszczeń nie potrafi ostać się wobec zarzutów, jakie każde z nich budzi w umyśle, który nie umie się zadowalać czysto słownemi wyjaśnieniami.

Pomijając bowiem wszystkie inne zarzuty, powszechnie znane, jakim podlegają spirytualizm i panteizm, najważniejszym, z naszego stanowiska przynajmniéj, jest ten, że tak dusza indywidualna, jako też duch powszechny, bezwiedne same w sobie i tylko w pojedyńczych zjawiskach przychodzące do świadomości siebie, w gruncie rzeczy niczém się nie różnią od materyi, która jest również bezwiedną, od warunków fizyologicznych, od których zjawiska duchowe zależą. Zakładanie zaś różnicy między duchem a materyą na tém, że ta jest rozciągła, a tamten nierozciągły, nie dość, że grzeszy przeciw głównym regułom logiki, ale jest zgoła nieużyteczne, gdyż nie dostarcza pewnego i nieomylnego sprawdzianu do rozgraniczenia tego, co jest

duchowém, od tego, co jest materyalném; a w końcu każe przyjąć jedno z dwojga: albo że świadomość jest stanem mniéj doskonałym, niż bezwiedność, jak to właśnie utrzymywał Schopenhauer, albo téż, że zjawisko jest czémś wyższém od swéj istoty. Wprawdzie spirytualiści utrzymują, że dusza nasza ma świadomość siebie i jako dowód tego przytaczają zeznanie naszego *ja*. Zeznanie to atoli nie tylko nie przemawia na ich korzyść, ale, przeciwnie, dowodzi wręcz czego innego. Nie jest ono wyrazem samoistności duszy, jéj świadomości w sobie saméj; ale jedności organicznéj, tak pod względem duchowym, jak i cielesnym, ludzkiéj natury. Zeznanie to wyrabia się w każdym z nas powoli, drogą doświadczenia, i składają się na nie liczne pierwiastki, między któremi najważniejszą rolę odgrywają czucia wewnętrzne. Nadto punktem oparcia dla niego jest zawsze jakiś fakt pojedyńczy — wyobrażenie, uczucie, pragnienie, panujące w danéj chwili nad innemi.

Co się tyczy Spencerowskiéj *rzeczy niepoznawalnéj*, to ta ze stanowiska obserwacyi zewnętrznéj najzupełniéj daje się usprawiedliwić, ale nie ze stanowiska obserwacyi wewnętrznéj. Po-za zmysłowemi zjawiskami musimy przypuścić jakąś rzeczywistość, którą owe zjawiska przedstawiają. Zmuszają nas do tego nie tylko warunki życia praktycznego, ale i względy czysto teoretyczne. Inaczéj bowiem nie mielibyśmy innego wyjścia dla siebie, jak tylko przyjęcie owego skrajnego idealizmu, który cały świat przedmiotowy przemienia w pewien rodzaj halucynacyi, w jakąś fantasmagoryę własnéj naszéj wyobraźni, albo téż czyni z niego nieustający cud twórczéj potęgi, łudzącéj nasze zmysły pozorami rzeczywistości. Téj konieczności w zakresie obserwacyi wewnętrznéj nie doznajemy. Dla niéj każdy fakt psychiczny jest ostatecznem daném, po-za które wyjść nie może, jedynym punktem oparcia, którego opuścić nie może. Odnosimy wprawdzie swe czucia, wyobrażenia i sądy nazewnątrz, do świata przedmiotowego, którego są one znakami; szukamy zewnątrz siebie przyczyn naszych przyjemności i przykrości, powodów naszych wzruszeń i pragnień: ale jednocześnie wszystkie te czucia, wyobrażenia, wzruszenia i pragnienia uważamy za treść naszéj istoty, za wewnętrzne nasze stany, będące dla nas jedyną rzeczywistością, jaką znamy najbliżéj i najdokładniéj, rzeczywistością, która stanowi dla nas jedyny punkt wyjścia w naszych rozumowaniach i ostateczny cel w naszych usiłowaniach. Stany te naszéj świadomości, jakkolwiek powstają pod wpływem zewnętrnych okoliczności, nie są przecież prostém tylko odbiciem się w niéj obcych jéj rzeczy, ale są oddziaływaniem jéj na owe wpływy, wyrażającém przedewszystkiém własną jéj naturę. Upatrywać po-za faktami psychicznemi czegoś więcéj nad to, co w nich samych się za-

wiera, dopytywać się o jakąś istotę, której one mają być zjawiskami, znaczy tyleż, co szukać cienia własnego, gdy się ma słońce po-nad głową.

W jednym tylko wypadku może być mowa o zjawiskach psychicznych, wtedy mianowicie, gdy fakta duchowe są przedmiotem obserwacyi zewnętrznéj, gdy je badamy nie w sobie samych, ale w innych ludziach, zarówno jak i w zwierzętach. Wtedy bowiem badamy je pośrednio, poznajemy je z ich objawów, jakiemi są: gra fizyognomii, postawa ciała, ruchy członków i działanie, które są zjawiskami w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, znakami, pozwalającemi nam drogą analogicznego wnioskowania odkrywać kryjącą się pod niemi rzeczywistość myśli, uczucia i dążenia.

W związku z tém zapatrywaniem się na dane psychiczne, jako na zjawiska współrzędne zjawiskom fizycznym, pozostaje główna zasada współczesnéj teoryi poznania, głosząca, że wiedza ludzka wogóle jest względna. Jeżeli przez względność poznania należy rozumieć jego warunkowość, zasada ta jest w swéj całości słuszna. Głównym warunkiem naszego poznania jest jego zgodność z doświadczeniem, którego dane są dla niego punktem wyjścia i ostatecznym jego sprawdzianem. To tylko, co leży w granicach naszego doświadczenia, dostępném jest naszemu poznaniu; wszelkie zaś pokuszenie się o przekroczenie tych granic pozbawia myślenie stałego gruntu i czyni je igraszką fantazyi i najdzikszych przywidzeń, jak tego licznych dowodów dostarcza spekulacya niemiecka z pierwszéj połowy w. bieżącego. Względność atoli poznania w inném pojmowana bywa znaczeniu. Rozumie się przez nią najprzód prawdobieństwo, t. j. że poznanie nasze dochodzi do prawd możliwych, ale nie koniecznych; a następnie, że nie daje nam ono poznać rzeczy, jakiemi one są w sobie i dla siebie, ale jakiemi są dla nas, jakiemi się nam przedstawiają w swym do nas stosunku. Co do pierwszego punktu, to, jak to wykazał Lewes, każda prawda w ściśle określonych warunkach jest konieczną. Różnica przeto między prawdą konieczną a możliwą, czyli przypadkową, jest natury czysto formalnéj — i w każdym zakresie badania to, co dziś wydaje się nam tylko możliwém, przy dokładniejszém poznaniu warunków może się okazać koniecznem, prawdą bezwzględną. Co się tyczy punktu drugiego, to o ile on jest słusznym w odniesieniu do obserwacyi zewnętrznéj, o tyleż jest fałszywym w zastosowaniu do obserwacyi wewnętrznéj. Obserwacya zewnętrzna istotnie ma do czynienia tylko ze zjawiskami zmysłowemi, które nie dają nam poznać, jakiemi są rzeczy w sobie, ale tylko jakiemi się okazują względem nas, jakiemi są dla nas ze względu na swe na nas działanie. Poznajemy przez nią nie rzeczy zewnętrze, ale tylko ich stosunek do nas, i z te-

go ich stosunku dopiero wnosimy, jaka ma być ich natura. Do rzeczy saméj w sobie przedrzéć się nie możemy i pozostanie ona dla nas na zawsze kartą zakrytą. Inne są zgoła warunki obserwacyi wewnętrznéj. Przedmiotem jéj nie są zjawiska, któremi-by się objawiała nam jakaś tajemnicza istota, zwana duchem, ale czynności i sprawy duchowe, które są dla nas jedyną rzeczywistością, znaną nam bezpośrednio, a nawet, można powiedzieć, jedyną, jaką znamy z całą pewnością. Znamy ją zaś nie z jéj stosunku do nas, gdyż nie jest ona czémś zewnętrznem względem nas; ale taką, jaką jest w sobie, gdyż my nią jesteśmy w swéj świadomości, w zeznaniu swego *ja*. W obserwacyi wewnętrznéj podmiot poznający jest zarazem przedmiotem poznawanym. W rzeczywistości są one nierozdzielne — i tylko analiza logiczna je rozdziela, przeciwstawiając je sobie.

Jak widzimy, różnice między danemi obserwacyi zewnętrznéj, stanowiącemi to, co nazywamy materyą, a danemi obserwacyi wewnętrznéj., składającemi się na pojęcie o duchu, są nader ważne, ażeby można było bezkarnie zapoznawać je. Z tém wszystkiém różnice te nie upoważniają nas jeszcze do tego, ażebyśmy mogli przeciwstawiać ducha i materyę, jako pojęcia wręcz sobie przeciwne i wzajemnie zaprzeczające się, jak to dotąd się czyni pod wpływem niewygasłych jeszcze doszczętnie tradycyi dualizmu spirytualistycznego, który, pomimo zmienionych form, łatwo daje się odnaleźć w różnego rodzaju pomysłach, przybranych w pozory nowożytnego monizmu. Przedewszystkiém trzeba pamiętać, że wykazane powyżéj różnice między danemi obserwacyi zewnętrznéj a wewnętrznéj nie są bynajmniéj przeciwieństwami. Ani zjawiska nie są przeciwieństwem istoty, ani też względność poznania—bezwzględności. Zjawisko jest wyrazem istoty, nie zaś jéj zaprzeczeniem; co się zaś tyczy względności i bezwzględności poznania, to one nie tylko że się nie wykluczają wzajemnie, ale, przeciwnie, uzupełniają się i godzą.

Między zjawiskami zmysłowemi a światem przedmiotowym, stanowiącym domniemalną ich przyczynę, zachodzi taki sam stosunek, jak między mową a naszemi myślami i uczuciami, bo duszy bliźnich przeniknąć nie możemy, ażeby ująć bezpośrednio jéj zmiany; mimo to, dzięki mowie, poznajemy obce myśli, uczucia i zamiary z taką dokładnością, jakgdyby one były naszemi własnemi. Podobnież ma się rzecz ze światem przedmiotowym. Sam przez się jest on dla nas niedostępny. Jaka jest jego istota, o tém ani wiemy, ani wiedzieć możemy, gdyż nie mamy możności wejść z nim w bezpośrednie zetknięcie się. Z tém wszystkiém nie jest on zupełnie nam nieznanym. Wiemy o nim tyle, ile nam wiedzieć potrzeba i coraz więcéj dowiadujemy się, w miarę, jak się rozszerza zakres naszego doświadczenia. Wie-

dzę swą o nim zawdzięczamy wyłącznie zjawiskom zmysłowym, któremi on do nas przemawia, dając nam poznać zmiany, jakie w jego łonie zachodzą, porządek, jaki w nim panuje.

Co się tyczy poznania względnego i bezwzględnego, to pomimo całéj różnicy, jaka między niemi zachodzi, nie tylko nie są one sobie przeciwne, ale i owszem uzupełniają się wzajemnie i wspomagają. Inaczéj nawet być nie może. Obserwacya zewnętrzna, któréj dane mają wartość względną, jest działaniem tego samego umysłu, który dokonywa obserwacyi wewnętrznéj. Różnica między niemi polega wyłącznie na różnicy w kierunkach działania naszego umysłu i wynikających ztąd jego warunkach. Jakoż, jeżeli punktem wyjścia dla czynności umysłowéj jest obserwacya wewnętrzna, jeżeli tylko na jéj podstawie może się dokonywać obserwacya zewnętrzna; to z drugiéj strony, bez obserwacyi zewnętrznéj, dane psychiczne, pozostawione bez kontroli, jakiéj im udzielają spostrzeżenia zewnętrzne, albo-by się stały zarodem fantastycznych poglądów i ekscentrycznych usiłowań, albo téż w swém ograniczeniu doprowadziły-by do ciasnych poglądów i oschłych praktyk, uniemożliwiających wszelki postęp. Tylko obserwacya zewnętrzna dostarcza potrzebnego dla wiedzy materyału, ale tylko przy świetle obserwacyi wewnętrznéj może nasz umysł korzystać z owego materyału dla swych celów.

Skoro tedy różnice, istniejące między obserwacyą zewnętrzną i wewnętrzną, między zjawiskami i rzeczywistością, nie stanowią przeciwieństwa między niemi, to na jakiéjże podstawie można upatrywać przeciwieństwa między materyą a duchem, kiedy te są nie czém inném, jak zbiorowemi nazwami danych obserwacyi zewnętrznéj i wewnętrznéj? Czém usprawiedliwić to przeciwstawienie materyi i ducha, kiedy oba te pojęcia do różnych należą rodzajów, jedno, oznaczające zjawisko, drugie—rzeczywistość?

Jedyną podstawą i usprawiedliwieniem przeciwstawienia materyi i ducha jest ich tradycyjne określenie, o którém była wzmianka na początku. Podług tego określenia, materya jest *rozciągła*, duch zaś *nierozciągły*. Rzecz prosta, że, pojmując w ten sposób materyę i ducha, musimy je uważać za pojęcia wręcz sobie przeciwne i wykluczające się wzajemnie, albowiem rozciągłość jest zaprzeczeniem nierozciągłości i odwrotnie.

Określenie to, ściśle odpowiadające stanowisku, jakie zajmował Kartezyusz, dzięki jego powadze, a więcéj jeszcze powszechnéj nieuwadze filozofów, przechowało się do dziś dnia bez najmniejszéj zmiany, jako dogmat nietykalny, pomimo, że od tego czasu filozofia tyle już razy zmieniła kierunek, przerzucając się na stanowisko dyametralnie

przeciwne temu, jakie Kartezyusz zajmował. Jak wiadomo, Kartezyusz był wyznawcą dualizmu w najskrajniejszéj jego formie. Przyjmował on dwie niezależne od siebie substancye, objawiające się, jako zjawiska materyalne i duchowe. Potrzeba mu było ściśle rozgraniczyć te dwie substancye, z których jedna jest bezwładna i podlega prawom mechanicznym, druga wolna i działa na podstawie pobudek moralnych. Ponieważ wszystkie zjawiska materyalne przedstawiają się nam w przestrzeni, czyli są rozciągłe, zjawiska zaś duchowe objawiają się tylko w czasie i z rozciągłością nie mają nic wspólnego, uznawał on rozciągłość za istotną różnicę między materyą a duchem. Na obronę jego należy jeszcze dodać, że za jego czasów i długo jeszcze po nim dzielono własności ciał na pierwotne i wtórne. Pierwsze, do których zaliczono opór i rozciągłość, uznawano za takie, które tkwią w samym przedmiocie, stanowią istotę substancyi materyalnéj, drugie zaś,—jako jéj przypadłości, mające swą przyczynę w czuciach zmysłowych, które my przenosimy nazewnątrz.

Przyjąwszy materyę tak pojętą za podstawę porównania, musimy uznać, że duch, tak w swych objawach, jak i w istocie, jest nierozciągły, jest zaprzeczeniem rzciągłości. Jakoż definicya Kartezyuszowska nie pozostawia pod tym względem nic do życzenia. Daje ona wierny wyraz dualistycznéj zasady. Można-by jéj tylko to jedno zarzucić, że właściwie nie daje żadnego pojęcia o duchu, powiada o nim tylko tyle, że nie jest materyą.

Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy poddamy ją ścisłéj ocenie ze stanowiska współczesnéj wiedzy.

Dualizm substancyjny należy dziś do hypotez, o których historya wydała już swój wyrok. Utrzymuje się on jeszcze w życiu praktycznem, dzięki tradycyi, która go podtrzymuje wszelkiemi środkami, jakiemi dotąd rozporządza. Żaden atoli z poważniejszych uczonych nie podejmie się już dzisiaj jego obrony. Wraz z nim upadł także i podział własności ciał na pierwotne i wtórne, na konieczne i przypadkowe. Wszystkie bowiem bez wyjątku są jednéj natury i mają znaczenie czysto podmiotowe. W ten sposób materya, która miała oznaczać jakiś substrat świata fizycznego, posiadający dwie istotne własności: opór i rozciągłość, zaliczona została do wytworów umysłu naszego, jako wyobrażenie, powstałe na tle czuć zmysłowych i przedstawiające symbolicznie rzeczywistość zewnętrzną. Nie oznacza ona jakiegoś tajemniczego substratu, który-by można nazwać materyą, ale ogół zjawisk fizycznych, jak my je zmysłami spostrzegamy. Nie jest ona tedy niczém więcéj, jak imieniem zbiorowém, którém posługujemy się w zastępstwie zjawisk zmysłowych. Czém jest rzeczywistość przedmiotowa, któréj wyrazem są zjawiska zmysłowe, tego

nie wiemy, i jakkolwiek na tych zjawiskach musimy się opierać w swych wnioskach, dotyczących stosunków rzeczy, o ich istocie nie możemy nic zgoła powiedzieć. To jest tylko pewném, że rzeczy, które nam przedstawiają się w przestrzeni, jako rozciągłe, takiemi wcale nie są. Gdyż jak rozciągłość, tak i przestrzeń, są naszemi wyobrażeniami, którym nie wiadomo, co w rzeczywistości odpowiada.

Porównywając materyę, jak ją wyobrażamy, z duchem, mamy wszelkie prawo powiedzieć, że materya jest rozciągła, duch zaś nierozciągły; ale nie mamy prawa na téj zasadzie przeciwstawiać ich sobie, są one bowiem pojęciami, do różnych rodzajów należącemi. Duch oznacza dane obserwacyi wewnętrznéj, znane nam bezpośrednio, a więc będące rzeczywistością; materya oznacza dane obserwacyi zewnętrznéj, znane pośrednio, a więc zjawiska. Między zjawiskiem a rzeczywistością przeciwieństwa być nie może. Właściwe przeciwieństwo może być tylko między duchem a rzeczywistością przedmiotową, którą materya oznacza.

Stawiąc więc ducha naprzeciwko materyi i opierając ich różnicę na rozciągłości, dopuszczamy się jednego z dwojga: albo anachronizmu, nie dającego się niczém wytłómaczyć, albo nielogiczności, pochodzącéj ztąd, że nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia wyrazów, których używamy. W każdym razie definicya Kartezyuszowska, oceniona z tego stanowiska, grzeszy przeciwko logice i pod tym względem, że w porównywaniu opiera się nie na tém, co jest pewne i konieczne, ale na tém, co jest prawdopodobne. Bezpośrednio znamy tylko ducha i w jego własnościach należy szukać cechy, która-by odróżniała go od materyi.

Określenie Kartezyuszowskie materyi i ducha może mieć w najlepszym razie znaczenie formułki, wyrażającéj, wprawdzie więcéj pretensyonalnie, niżeli dokładnie, znaną powszechnie prawdę doświadczalną, że materya jest przedmiotem obserwacyi zewnętrznéj, duch zaś jest przedmiotem obserwacyi wewnętrznéj. Co bowiem właściwie powiada twierdzenie: materya jest rozciągła, duch nierozciągły? Oto, że materya podlega spostrzeżeniom wzrokowo-dotykowym, duch zaś im nie podlega. Jakoż z równém prawem można było-by powiedzieć: materya wydaje głos, duch go nie wydaje; materya ma smak i zapach, duch ich nie ma. Wszystkie bowiem te określenia znaczą to tylko, że materya podlega spostrzeżeniom słuchowym, smakowym i węchowym, duch zaś im nie podlega. Są one więc równoznaczne określeniu Kartezyuszowskiemu, które tę chyba ma nad niemi wyższość, że rzecz ściśléj przedstawia, gdyż wzrokowe spostrzeżenia odgrywają wyjątkową rolę w poznaniu świata zewnętrznego, zastępując do pewnego stopnia spostrzeżenia wszystkich innych zmysłów.

Trzymając się dosłownie określenia: materya jest rozciągła, duch nierozciągły, dochodzimy z konieczności do wniosku, że materya a duch są to różne rzeczy. Jakoż tak jest istotnie. Materya jest zjawiskiem, kiedy tymczasem duch jest rzeczywistością. Totéż wszelkie kuszenie się o sprowadzenie danych duchowych do praw, jakiemi się rządzą zjawiska materyalne, są tak samo płonne, jak i usiłowanie, mające na celu uduchowienie przyrody. Różnicy między tém, co jest materyalne, a tém, co duchowe, żadnym wysiłkiem umysłu zatrzéć niepodobna, gdyż leży ona w warunkach naszego poznania. Ani obserwacyi zewnętrznéj, któréj spostrzeżenia są uwarunkowane przestrzenią, niepodobna sprowadzić do warunków obserwacyi wewnętrznéj; ani téj ostatniéj, któréj postrzeżenia dokonywają się tylko w czasie, nie można podciągnąć pod prawa tamtéj. Zarówno więc materyalizm, jak tak zwany animizm wszelkiego rodzaju, potrzeba uważać za próby niewczesne, skazane z góry na niepowodzenie.

To téż nie o to nam właściwie chodzić powinno, ażeby, jeżeli nie zatrzéć, to przynajmniéj sprowadzić do minimum naturalną różnicę między materyą a duchem; ale o to, żeby wykazać, że, pomimo całéj różnicy między materyą a duchem, duch może być w istocie swéj tém samém, co owa rzeczywistość, któréj materya wyobrażalna jest przedstawicielką, która daje wiedzieć o sobie za pomocą zjawisk zmysłowych. Jakąż drogą dojść do tego, kiedy zgoła nie wiemy i wiedzieć nie możemy, czém jest owa rzeczywistość? kiedy nie mamy żadnego sposobu porównania z nią ducha i sprawdzenia swych domysłów? Tak się zdaje na pozór, bliżéj jednak rozpatrzywszy się w zagadnieniu, przekonywamy się, że mamy pewien sposób rozwiązania go w pożądanym kierunku. Dostarczają go nam warunki poznania zewnętrznego i wewnętrznego. Różnica tych warunków wykazuje nam, jakie są właściwości ducha i owéj rzeczywistości, która się nam przedstawia, jako materya.

Wiadomo, że dane duchowe znamy bezpośrednio, to znaczy, że dusza zna siebie samą, czyli jest świadoma. Jakoż świadomość stanowi charakterystyczną własność ducha. Gdzie nie masz świadomości, tam nie masz ducha. Przeciwnie, rzeczywistość przedmiotową poznajemy pośrednio i to o tyle tylko, o ile ta za pośrednictwem zmysłów zewnętrznych i wewnętrznych sprowadza w naszéj duszy zmiany, zwane czuciami zewnętrznemi i wewnętrznemi. To znaczy, że rzeczywistość przedmiotowa sama siebie nie zna, że do poznania siebie potrzebuje ducha, czyli, że sama przez się jest nieświadoma. Własność ta rzeczywistości przedmiotowéj jest tak pewna, jak i własność ducha, którą znamy bezpośrednio. Tym porządkiem dochodzimy do następującego określenia: *duch jest świadomy, rzeczywistość przedmiotowa*

nieświadoma. Ponieważ tę własność rzeczywistości przedmiotowéj podziela w zupełności materya, przeto, usunąwszy z naszego o niéj wyobrażenia wszystkie inne własności, jako czysto podmiotowe, a zatrzymawszy tylko tę jedną, która ma znaczenie przedmiotowe, możemy ją podstawić zamiast rzeczywistości przedmiotowéj, jako termin powszechnie użyty, pamiętając zawsze, że rozumiemy przez nią tylko jedną znaną nam własność nieznanéj pod innemi względami rzeczywistości przedmiotowéj.

Zachodzi teraz pytanie: jaki stosunek istnieje między duchem świadomym a materyą nieświadomą?

Czém jest świadomość i nieświadomość, wiemy o tém dokładnie z własnego doświadczenia. Otóż, porównywając świadomość wyraźną, jaką mamy, gdy zeznajemy dokładnie jakiś stan duszy, zdajemy sobie sprawę ze swych myśli, uczuć i zamiarów, z nieświadomością, w jakiéj zostajemy podczas omdlenia, snu lub hipnozy, kiedy nie wiemy wcale, co się z nami dzieje, gotowi jesteśmy upatrywać między niemi podobneż przeciwieństwo, jakie istnieje między rozciągłością i nierozciągłością, a tém bardziéj, że sama forma językowa zdaje się je potwierdzać. Doświadczenie jednakże czego innego nas uczy. Pilna nad sobą samymi obserwacya daje nam poznać, że między świadomością wyraźną a nieświadomością tyle jest pośrednich stopni, iż nie masz między niemi niezgłębionéj przepaści, że przejście od świadomości do nieświadomości jest tak nieznaczne, iż nieraz trudno określić, gdzie się jedna kończy a druga zaczyna. Takim naprzykład jest stan, poprzedzający sen; w podobnym-że znajdujemy się, gdy pod wpływem jakiegoś uczucia, poddawszy się wspomnieniom lub marzeniom, tracimy zeznanie tego, co się wkoło nas dzieje. Jak bardzo słabą bywa świadomość, dowodzą tego czucia wewnętrzne, mające swe źródło w sprawach żywotnych. W stanie normalnym zaledwie że je zeznajemy i to za zwróceniem na nie uwagi. Do téj saméj kategoryi należy zaliczyć wszystkie tak zwane przeczucia, przewidywania, które, lubo większe mają natężenie, są tak niewyraźne co do swéj treści, że niepodobna zdać sobie z nich sprawy, i dopiero post factum, gdy je skojarzymy z jakiémś wydarzeniem, nabierają w naszéj świadomości określonego znaczenia. A cóż dopiero mówić o owych czynnościach, które wykonywamy bezwiednie i tylko ich skutki uświadomiamy?!.. Gdzie się w nich zaczyna świadomość?

Do takich samych wyników doprowadza i obserwacya zewnętrzna. Śledząc rozwój świadomości, jak ona się objawia w szeregu stworzeń żyjących od pierwotnika aż do człowieka, rozpoczynamy swe badania od faktów, z któremi często nie wiadomo co począć: czy je

zaliczyć do objawów świadomości — do ruchów dowolnych, czy do odruchów, będących sprawą czysto organiczną, bezwiedną.

Jeżeli przy tém zważymy, że świadomość jest faktem życiowym, że z życiem się zaczyna i z niém się kończy, i jaknajsilniéj zależy od warunków organicznych; to przypuszczenie, że duch a rzeczywistość przedmiotowa, pojmowana przez nas, jako materya, są co do swéj istoty jedném i tém samém i tylko różnią się stopniem swego rozwoju, nabiera wielkiego prawdopodobieństwa. Chociaż bowiem nie wiemy, jaka jest istota owéj rzeczywistości, i wiedzieć tego nigdy nie będziemy, nie możemy przecież jéj uważać, za przykładem dawniejszych filozofów, jako jakąś substancyę w sobie nieruchomą, gdyż takiemu pojmowaniu rzeczy przeczą dzieje przyrody, pouczając nas, jak powoli i stopniowo powstają w niéj drogą nieustannego przetwarzania się coraz to wyższe postacie bytu. Niezawodnie, że tak te postacie bytu, jak i sama sprawa przeobrażania się, należą do świata zjawisk zmysłowych, z których o naturze rzeczy wnioskować nie można; z tém wszystkiém praktyka życiowa przekonywa nas naocznie, a doświadczenia naukowe przekonanie to stwierdzają, że porządek zjawisk, prawa niemi rządzące, są również porządkiem rzeczywistości przedmiotowéj. Inaczéj życie było-by niepodobném, gdyż doświadczenia przeszłości na nic-by się nie przydały, wszystkie przewidywania były-by niemożliwe.

Prawdopodobieństwo, że duch a rzeczywistość zewnętrzna są jedném i tém samém pod względem swéj istoty, nabiera tém większéj siły, gdy się rozpatrzymy w stosunku, jaki zachodzi między ciałem a duszą. Sprawy cielesne przedstawiają ciągłość nieprzerwaną. Wiążą się one w jeden łańcuch przyczyn i skutków, ulegając we wszystkich swych przemianach prawu zachowania energii. Sprawy duchowe téj ciągłości nie przedstawiają. Każdy fakt duchowy: czucie, wyobrażenie, wzruszenie, pragnienie—pojawia się w odosobnieniu, albo zużywa swą energię na wywołanie ruchu, albo, ustępując chwilowo miejsca drugiemu, zachowuje ją do dalszego użytku. Wiąże się on z innemi za pomącą kojarzenia, które jest prawem organiczném, ale im swéj energii nie udziela, tylko ją sprzęga z energią im właściwą. Słowem, przyczynowego stosunku, opartego na prawie zachowania energii, niéma miedzy faktami psychicznemi. Skoro tedy fakta psychiczne powstają jedne z drugich, nie łączą się z sobą w jedną całość przyczynową, rządzoną prawem zachowania energii, to pytam się, gdzie jest ich początek i gdzie źródło ich energii? Jedno z dwojga: albo drogą emanacyi pochodzą z nieba i tam czerpią swą siłę, albo początek swój zawdzięczają pewnemu skojarzeniu sił przyrody, pewnemu przeobrażeniu przedmiotowéj rzeczywistości, i stanowią kulminacyjny

punkt jéj rozwoju. Pierwsze przypuszczenie, jako *nienaukowe*, samo przez się upada; pozostaje więc tylko drugie, jako jedynie możliwe. Przemawia za niém zależność faktów duchowych od spraw cielesnych, wykazująca, że ich powstawanie, stopień natężenia i rozwój uwarunkowane są jaknajściśléj budową układu nerwowego i jego czynnościami. Zależność ta wyraża znana powszechnie formuła: każdemu faktowi psychicznemu odpowiada pewne zjawisko fizyczne, ale nie każdemu faktowi fizycznemu odpowiada fakt psychiczny.

Trudność w przyjęciu tego przypuszczenia nastręczają nam warunki naszego pojmowania. Wszelkie zjawisko fizyczne sprowadzamy do ruchu materyalnego i pojmujemy je, jako pewne jego formy; kiedy tymczasem faktu psychicznego do ruchu sprowadzić nie możemy. Otóż między ruchem przestrzennym a faktem psychicznym, który z przestrzenią, z rozciągłością, nie ma nic wspólnego, zachodzi tak olbrzymia różnica, że nie możemy sobie wyobrazić téj przemiany energii czysto fizycznéj na energię innego rodzaju, jaką jest fakt duchowy. Nie trzeba atoli zapominać, że ruch fizyczny jest tylko symboliczném przedstawieniem energii rzeczywistéj, któréj istoty nie znamy, że jest on naszém wyobrażeniem, z którego o naturze rzeczy wnioskować nie możemy, że rzeczywistość przedmiotowa, nieposiadająca świadomości, może być przez nas pojmowana tylko w warunkach zmysłowego postrzegania, kiedy fakta duchowe pojmowane są w warunkach postrzegania wewnętrznego. Cała więc różnica między tém, co jest fizyczne, a tém, co jest duchowe, może pochodzi stąd wyłącznie, że innemi drogami dochodzimy do ich poznania, że na tę samą rzeczywistość z dwóch dyametralnie przeciwnych stanowisk zapatrujemy się. Analogiczny fakt mamy w zakresie spostrzeżeń zmysłowych. Między spostrzeżeniami np. wzrokowemi a słuchowemi leży tak wielka różnica, że o jakiéjkolwiek wspólności ich z sobą mowy być nie może, a przecież przyczyna ich zewnętrzna jest ta sama, a mianowicie ruch—mniejsza, że w pierwszym razie ruch eteru, w drugim—powietrza—nie zmienia to bowiem natury zewnętrznego czynnika.

Utożsamienie ducha z przyrodą zewnętrzną nie znaczy zacierania różnicy, między niemi istniejącéj. Pomimo jedności natury, duch zawsze pozostaje świadomym, kiedy przyroda zewnętrzna jest nieświadoma. Stosunek między duchem, stanowiącym ostatnią fazę rozwoju przyrody, a samą przyrodą, może być upodobnionym do stosunku między kwiatem a rośliną. Na pierwszy rzut oka, co może być wspólnego między stulistną różą a jéj liśćmi i całym wogóle krzewem? A przecież wiadomo, że kwiat, zarówno jak i cała roślina, są przeobrażonemi w różnym stopniu liśćmi.

Władysław Kozłowski.

Przypisek Redakcyi. Charakterystycznym rysem najnowszéj filozofii jest dążność do syntetycznego na świat poglądu, wolnego od wykazanych przez krytykę błędów, zarówno bezwzględnego idealizmu, jak i materyalizmu. Pracę powyższą zamieściliśmy chętnie w naszém piśmie, jako jeden z objawów téj dążności. Pomimo to, mamy sobie za obowiązek dołączyć następujące uwagi. Najprzód co do zdania, że fakta psychiczne, czyli duch, są „ostatnią fazą rozwoju przyrody“ bezwiednéj, oraz co do przypuszczenia, wznawiającego materyalizm, uznany przez samego autora w zasadzie za teoryę błędną, że „duch a rzeczywistość przedmiotowa, pojmowana przez nas jako materya, są co do swéj istoty, jedném i tém samém, i tylko różnią się stopniem swego rozwoju“. Zdania te są u autora, według nas, wynikiem skoku w rozumowaniu, opuszczającego w pewnych miejscach te krytyczne podstawy, które służą za punkt wyjścia całéj zresztą pracy.

Wskazując własności ducha i „rzeczywistości przedmiotowéj“, autor zaznacza fakt, że tę rzeczywistość poznajemy tylko pośrednio, za pomocą naszych czuć zewnętrznych i wewnętrznych, i z tego faktu wyprowadza wprost wniosek: „*duch iest świadomy, rzeczywistość przedmiotowa nieświadoma.*“ Czyż jednak w istocie z faktu, że rzeczywistości przedmiotowéj wprost przeniknąć nie możemy, że o niéj wiemy tylko przy pomocy czuć zmysłowych, wynika, że ona „sama siebie nie zna“, że sama przez się jest nieświadoma? Bynajmniéj: między owemi danemi zmysłowemi a tym wnioskiem niéma koniecznéj łączności. Gdyby wniosek ten był słusznym, natenczas każda jednostka świadoma musiała-by wyłącznie *sobie* przyznawać świadomość, a o wszystkich innych dowodzić, że „samych siebie nie znają“, że „same przez się są nieświadome“. Bo przecież i własności wewnętrzne innych istot żyjących dochodzą do naszéj wiedzy także jedynie przy pomocy czuć zmysłowych i podpadają dla danéj jednostkowéj świadomości pod pojęcie „rzeczywistości przedmiotowéj“,— a zatém, według autora, bezwiednéj w sobie. Jeżeli zaś i innym istotom żyjącym przypisujemy świadomość, czynimy to wyłącznie na podstawie całego szeregu takich danych zmysłowych, które, razem wzięte, doprowadzają nas do przekonania, że są one skutkiem działania pewnych faktów psychicznych, objawiających *dla nas* swoją treść w téj formie zmysłowéj. A zatém, przed wypowiedzeniem twierdzenia, że „rzeczywistość przedmiotowa“ jest „sama przez się nieświadoma“, autor powinien był zapytać: czy suma czuć zmysłowych, odbieranych przez nas od „rzeczywistości przedmiotowéj“, nie wykazuje czasem działania takich czynników, które zmuszają nas do uznania w niéj świadomości ducha? Pojedyńczy proces fizyczny, wzięty w oderwaniu od reszty, nie jest tu wystarczającym, podobnie jak odruch mechaniczny małego palca nie daje nam jeszcze pojęcia o duchu obcéj osoby, o istnieniu i treści jéj świadomości. Ale zachodzi kwestya, godna w każdym razie zastanowienia: czy wszystkie czucia umysłowe, odbierane przez nas od „rzeczywistości przedmiotowéj“, razem wzięte, w połączeniu swojém, nie wykazują takiéj prawidłowości matematycznéj, rozumnéj, takiego ładu, porządku, a nawet takiéj celowości, że w téj łączności swojéj zmuszają nas do uznania „rzeczywistości przedmiotowéj“ za ustrój, ożywiony duchem, o tyle potężniejszym od ducha ludzkiego, o ile ta „rzeczywistość przedmiotowa“ rozmiarami i potęgą swoją przewyższa ów ustrój maluczki, ów mikrokosm, nazwany człowiekiem, a uznany przez każdego z nas za objaw zmysłowy żyjącego w nim i podobnego do nas ducha, również tylko na podstawie wniosków, wyprowadzonych z wewnętrznéj łączności pewnego szeregu szczegółowych zjawisk zmysłowych. Nie narzucamy autorowi naszych w tym względzie wniosków; ale w imię ścisłości logicznéj zaznaczyć musimy, iż, bez wszechstronnego rozbioru powyższéj kwestyi, nie można twierdzić, że „rzeczywistość przedmiotowa“ jest sama w sobie bezwiedna, że niéma w niéj ducha. Kto, jak Spencer, téj

kwestyi nie rozbiera, ten konsekwentnie powiedzieć tylko może, że nie wie wcale, jaką jest „rzeczywistość przedmiotowa“ w sobie: czy posiada świadomość lub jej nie ma. „Byt niepoznawalny“ jest tutaj jedyném wyjściem. Tymczasem autor nasz, bez rozbioru téj kwestyi, przypisuje „rzeczywistości przedmiotowéj“ bezwiedność, nieświadomość, i mija się wskutek tego z własnym poglądem na niemożność poznania istoty bytu. To bowiem orzeczenie, chociaż ujemne, dotyczy wprost istoty bytu, i w swych konsekwencyach doprowadza, mimo woli, do materyalistycznéj metafizyki.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Do niezliczonych pamiętników z epoki pierwszego cesarstwa przybyły w tych czasach wydane świeżo, pod firmą Plon, pamiętnik generała Marbot, zmarłego przed trzydziestu laty. Dwa pierwsze tomy ciągną się od kampanii włoskiéj, w któréj siedmnastoletni młodzian rozpoczął zawód wojskowy, do końca wojny portugalskiéj w r. 1811. Trzeci tom, dotąd niewydany, obejmie kampanię 1812 roku i szereg następnych klęsk, aż do upadku cesarstwa pod Waterloo.

Pamiętniki te wybornie określa sam autor w krótkiéj przedmowie do żony i do synów; nie chce on bynajmniéj wdawać się w fakta historyczne, komentowane już w wielu dziełach, podejmie głównie te, w których brał czynny udział.

„Obok wypadków wielkiego znaczenia,—mówi on,—nie zaniedbam drobiazgowych zdarzeń, wesołych, śmiesznych, dziwacznych, jakie mnie osobiście spotykały“. Te-to właśnie drobnostki, opisane przez człowieka wielkiéj powagi, w szczególny sposób ożywiają opowieść i nadają oryginalny charakter pracy, tak odrębnéj od dzisiejszych utworów, zaprawnych chorobliwym pesymizmem.

Marbot do późnéj starości wesołém okiem poglądał na życie: „Wszyscy prawie,—mówi on,—skarżą się na swe losy. Opatrzność dała mi lepszy udział, a jakkolwiek życie moje nie było wolne od cierpień,

miara szczęścia przewyższała je nieskończenie. Miałem poczucie, że pod szczęśliwą urodziłem się gwiazdą. Tak w wojnach, jak i w politycznych przygodach, wypłynąłem zawsze z odmętu, wśród burz, które tylu pochłaniały współczesnych. Żyję dziś, otoczony tkliwą i ukochaną rodziną, składam dzięki Opatrzności za dary, jakiemi mnie szczodrze obsypała".

Marceli Marbot urodził się w r. 1782, miał lat siedm, kiedy wybuchła wielka rewolucya. Ojciec jego od młodych lat przyjął zawód wojskowy; w armii republikańskiéj dosłużył się stopnia generała. Podczas gdy walczył w Pirenejach, żona z dziećmi pozostała na wsi w bliskości Bordeaux. Podejrzana z powodu, że brat jéj emigrował, usunęła się z dziećmi do krewnych, osiadłych w Bretanii, małego tylko Marcelka zostawiła na pensyi panny Mongalvi, gdzie sama pobierała niegdyś nauki. Tymczasem wojna domowa ogarnęła Wandeję; niepodobna było matce wyruszyć z miejsca; chłopczyk pozostał wśród panienek i do jedenastego roku życia odbierał wcale nie rycerskie wychowanie. Później ojciec oddał go do szkoły, lecz i tam nie zatrzymał go długo; w roku 1799, przeniesiony do armii włoskiéj, zabrał z sobą siedmnastoletniego syna i pomieścił go w pułku huzarów, który walczył na granicach Liguryi.

Z woli ojca brygadyer Pertley, wiarus doświadczony, wziął chłopca pod opiekę; uczył go wojskowego rygoru. Był to typ ówczesnego huzara. Marbot w żywych odmalował go barwach.

„Częstokroć podchmielony, ubrany zawsze po formie, nosił szako na bakier, pałasz włóczył po ziemi. Twarz miał czerwoną, wielką szramą przeciętą na dwoje; wąsy, długie na pół stopy, przywoskowane, zakładał po-za ucho. Z pod szako od skroni wybiegały dwa grube sploty włosów i spadały na piersi. Mówił prędko, jakąś gwarą alzacko-francuską". Przy tak zawadyackim przewodniku, dziwnie z razu przedstawiał się młodziuchny Marbot. Szczupły, delikatny, wyglądał jak panienka, tak go też przezwali koledzy.

Z litością patrzył Pertley na tę papinkowatą postać, umyślił ją przemienić na swój sposób; żwawo też zabrał się do rzeczy.

„Mój mentor,—mówi Marbot,—zaprowadził mnie do perukarza; kupił mi harcab i dwa warkocze, które przyczepił mi do włosów u skroni. Dodatki te ciężyły mi z razu, ale przywykłem do nich. Gorsza sprawa była z wąsami. Twarz miałem gładką, jak dziewczyna, zarostu na niéj ani śladu, Pertley nie mógł ścierpieć golowąsa w szeregu; bierze więc puszkę z szuwaksem, zanurza w nię wielki palec i nad wargą wierzchnią kreśli mi ogromne wąsiska, zachodzące prawie pod same oczy. Jakżem się cieszył, że wyglądam na starego huzara!"

Nie poszła w las nauka brygadyera; młodzian nabrał animuszu, czego dowodem pojedynek z kanonierem, który poważył się szydzić z huzarów.

Nastąpiło pierwsze starcie z Austryakami. Dowodził brygadą Macard; był to rębacz zawołany, z początku wojny prosty trębacz, dosłużył się stopnia generała. Młodzian, zapatrzony w tę dziwaczną i olbrzymią postać, mało zważał na kule, sypiące się z pogwizdem.

„Ilekroć,—mówi Marbot,—nasz generał gotował się do ataku, wołał na swych żołnierzy: czekajcie, wiarusy, przebiorę się za zwierzę. I zrzucał mundur, nawet koszulę, zostawał tylko w spodniach z łosiéj skóry, w kapeluszu z pękiem piór i w długich butach, dochodzących niemal do pasa; piersi miał, jak niedźwiedź, kudłate. W tak niezwykłéj postaci, generał, z pałaszem w ręku, rzucał się na jazdę nieprzyjacielską, a klął na czém świat stoi. Rzadko kiedy przychodziło do starcia, nieprzyjaciel bowiem, na widok olbrzymiego kudłacza, rzucającego się nań ze straszliwym porykiem, uciekał co siły, w mniemaniu, że ma raczéj do czynienia z dzikim zwierzem, aniżeli z człowiekiem".

Dzielnie sprawiał się młody huzar; rok nie upłynął, a otrzymał szlify oficerskie. Ledwie że rozpoczął swój zawód, kiedy bolesny cios rozdarł mu serce i okrył go żałobą. Na ręku jego skonał ojciec w oblężonéj Genui. Młodzian przeszedł do sztabu Bernadotte'a, był w bitwie pod Marengo. W rok potém, jako adjutant generała Augereau, przekroczył z nim Pireneje, dotarł aż do Lizbony; późniéj wziął udział w słynnéj bitwie austerlickiéj, a następnie pod Jeną. Niepodobna nam powtarzać niezliczonych przygód, jakie go raz po raz spotykały. Zatrzymajmy się chwilę pod Eylau, gdzie dwudziestopięcioletni młodzieniec o mało że nie padł ofiarą.

„Miałem ja,—mówi Marbot,—prześliczną klaczkę, Lizetkę. Lekka jak łani, doskonale ujeżdżona, — dziecko mogło nią powodować. — Ale ta klaczka, obok zalet swoich, miała okropną wadę: na widok siodła, gryzła jak buldog, rzucała się szalenie, przez kilka miesięcy często w niemały wprowadzała mnie kłopot. Czterech ludzi mogło ją ledwie okulbaczyć; trzeba było pętać jéj nogi, zawiązywać oczy, ale gdy ją dosiadłeś, pokonana, szła po twéj woli. Odkąd ją nabyłem, pokaleczyła mnóztwo osób i mnie się téż dostało. Już chciałem jéj się pozbyć, kiedy nowy mój sługa wpadł na wyborny pomysł. Zdjął z ognia pieczeń baranią, a gdy Lizetka wyszczerzyła nań zęby, podsunął jéj gorące mięso. Oparzona, rżała przeraźliwie, szarpała się, jak wściekła. Odtąd jednak złagodniała, przynajmniéj dla swoich; co zaś do obcych, biada temu, kto śmiał stanąć jéj w oczy!

„Otóż więc marszałek Augereau stał w Belville pod Berlinem. Słudzy sztabowi spostrzegli, że, kiedy szli na obiad, znikały ze stajni

worki owsa. Umieszczono więc u drzwi odwiązaną od żłobu Lizetkę. Złodziéj wsuwa się chyłkiem, unosi już worek, kiedy moja klaczka chwyta go za kark, wywłóczy za próg stajni i tratuje nogami. Na krzyk złodzieja przybiegamy co tchu: Lizetka trzyma go jeszcze w zębach. Ledwie żeśmy zdołali ją pokonać".

Téj-to zażartéj klaczy Marbot winien był życie pod Eylau. Wysłany do pułku, odciętego na wzgórzu, wystawionego na straszliwy ogień, z rozkazem, aby przedarł się przez szeregi nieprzyjacielskie i połączył się z kawaleryą, wyprawioną mu w pomoc, Marbot pomknął śmiało pod gradem kul; Lizetka lotem ptaka unosi go po stosach trupów, przez niedotlone ogniska biwakowe. Dotarł szczęśliwie na miejsce, ale powrót trudniejszy!

„Pędzę, ile tchu,—mówi on,—aż tu kula działowa świszcze mi nad uchem, przebija wskroś kapelusz, przytwierdzony rzemykiem pod brodą. Osłupiałem, niby rażony piorunem, ale nie spadłem z konia. Krew bucha mi nosem i ustami, widzę gdzie jestem, słyszę strzały, nie utraciłem zmysłów, poruszyć się tylko nie mogę. Lizetka stoi téż nieruchoma, jakby jéj nogi wrosły w ziemię.

„Wtém przypada grenadyer, mierzy we mnie bagnetem, przebija mi nawskroś lewe ramię. Gorąca krew toczy się z rany; to mnie do reszty wytrzeźwiło. Grenadyer z nowym zapędem chce powtórzyć pocisk, ale bagnet obsuwa się, przeszywa udo klaczy. Szał ogarnia Lizetkę, rzuca się na żołnierza, odgryza mu nos i szczękę, odziera skórę z twarzy. Okropnyż to widok! ale nie dosyć na tém. Klacz, jak wściekła, z rozwartą chrapą wpada między walczących, gryzie, depce, tratuje, wreszcie szalonym pędem pomyka w stronę wzgórza, gdzie tylko co byłem. Tu nowe niebezpieczeństwa: śnieg począł padać, grube płaty przyćmiły przestrzeń; batalion naszéj piechoty, w mniemaniu, że zbliża się nieprzyjaciel, sypie rotowym ogniem, kule poszarpały mi płaszcz i siodło, uszedłem jednak cały. Lizetka pomyka wciąż na przód, zostawia za sobą krwawe ślady, wreszcie, wyczerpana z sił, upada na ziemię, pociąga mnie za sobą.

„Leżę na ziemi wpośród stosu trupów i konających, nie mogę się poruszyć. Z razu czuję jakby mnie kołysano, w końcu przytomność całkiem mnie opuściła, nie słyszałem nawet, jak Murat pędził do szarży na czele dziewięćdziesięciu szwadronów. Omdlenie to trwało, jak myślę, do czterech godzin; gdym przyszedł do zmysłów, znalazłem się w okropném położeniu. Odarty całkiem z odzieży i bielizny, miałem tylko na głowie kapelusz przytwierdzony rzemykiem i but na jednéj nodze. Żołnierz od pociągu, pewny, że widzi trupa, zdarł ze mnie wszystko; gdy usiłował ściągnąć but z drugiéj, opuchłéj nogi, przycisnął mi piersi kolanem, co mnie przyprowadziło do zmysłów

Podniosłem głowę od ziemi, chciałem mówić, ale krew zawaliła mi gardło i usta. Skutkiem kontuzyi, miałem twarz, plecy i piersi czarne, jak węgiel, krew płynęła mi z rany; pomieszana ze śniegiem, oblepiła mi włosy i kapelusz. Wyglądałem, jak widmo; przestraszony żołnierz uciekł co tchu, zabrawszy moje rzeczy.

„Gdym odzyskał przytomność, zwróciłem myśl do Boga i do matki mojéj. Słońce nad zachodem wyjrzało z po-za chmury; pożegnałem je, pewny, że go nie ujrzę więcéj. Czułem, jak członki sztywnieją mi od zimna, wyglądałem co chwila śmierci. Ocalony cudownie wpośród bitwy, nie śmiałem oczekiwać nowego cudu, a przecież on nastąpił. Marszałek Augereau miał kamerdynera, Piotra: był to chłopiec roztropny, pełen poświęcenia, lecz nie przebierał w słowach. Otóż, niedawno właśnie, stawił się hardo panu swemu. Oddalony ze służby, nuż do mnie w prośby o przebłaganie marszałka. Wyjednałem mu łaskę; odtąd przywiązał się do mnie całém sercem. Ów kamerdyner, przechodząc koło furgonów, spostrzegł na jednym moje siwe baranki, a dobrze je znał, gdyż sam je kupił dla mnie w Warszawie. Była to najświeższa moda, wprowadzona przez wytwornych adjutantów Bessier'a; w sztabie naszym wszyscy nosili czarne. Przeglądając inne rzeczy, Piotr poznał zegarek z cyfrą ojca mego. Pewny, że mnie ubito, rozżalony, chciał mnie zobaczyć przynajmniéj po śmierci. Żołnierz doprowadził go do mnie.

Jakaż była radość jego, gdy mnie zobaczył żywym. Przeniesiono mnie do stodoły, przywołano chirurga. Ten opatrzył mi ranę, zapewnił, że nie grozi niebezpieczeństwo. Kiedy mnie z ziemi podniesiono, spostrzegłem, że moja Lizetka powstała na nogi i skubie słomę. Rana jéj wkrótce się zagoiła".

Augereau, także ranny, zajął się troskliwie poł-żywym adjutantem swoim. Przewieziono ich obu na zamek do Landsberga. Po dwóch dniach spoczynku, Marbot odzyskał mowę i władzę w członkach. Marszałek zabrał go z sobą do Warszawy; podróż sankami przeciągnęła się cały tydzień.

„Wracałem pomału do sił,—mówi Marbot,—prawą nogę tylko miałem zlodowaciałą. Pomieszczono mię w domu, przeznaczonym dla marszałka. Rana w ramieniu goiła się widocznie, skóra na twarzy przybrała zwykły kolor; chirurg dziwił się, że mi wstać z łóżka niepodobna. Obejrzał wreszcie nogę, na którą się skarżyłem, i odskoczył przerażony. I cóż spostrzegł? noga była zgangrenowana. Od szkolnych czasów, miałem ja na niéj bliznę, ztąd drażliwsza na zimno, przemarzła, gdym leżał omdlały. Doktor zbladł, przywołał co żywo czterech żołnierzy, a podczas gdy mnie trzymali, zanurzył skalpel w martwe ciało, wygrzebywał je, niby część zgniłą z jabłka. Znosiłem to

cierpliwie, ale gdy żelazo doszło do kości i do zdrowych muskułów. gdy doktor począł zalewać dziurę ciepłém winem, ból doprowadzał mnie do wściekłości. Powtarzał to przez tydzień i ocalił mi nogę".

Mimo takich zasług i dowodów odwagi, Marbot, acz przedstawiony przez marszałka Augereau do krzyża legii honorowéj, wcale go nie otrzymał. Nie widział on w tém krzywdy i nie myślał dopominać się o nagrodę. Nie minęła go jednak. W rok potém, podczas wojny hiszpańskiéj, sam cesarz przypiął mu krzyż do piersi. Pokazało się, że przeznaczony mu order po bitwie pod Eylau brat starszy otrzymał przez omyłkę.

Pomijamy mnóstwo ciekawych przygód w Hiszpanii, niepodobna nam przecież opuścić bohaterskiego czynu w mieście Mölk, podczas kampanii austryackiéj, w r. 1809, gdy Marbot służył w sztabie marszałka Lannes. Do tego jedynego czynu przywiązywał on wagę; w innych, jak mówi, spełniał tylko rozkazy wodza, tu zaś poświęcił się z własnéj woli dla kraju i cesarza. Ustęp ten skreślony tak żywo, w sposób tak dramatyczny, iż nie możemy go pominąć.

„Pod miasteczkiem Mölk, — mówi Marbot — na ogromnéj skale, wznosi się starożytny klasztor Benedyktynów, uważamy za najpiękniejszy i najbogatszy w świecie chrześciajańskim.

Z komnat tutejszych oko ogarnia oba brzegi Dunaju. W klasztorze tym zamieszkał cesarz Napoleon i kilku marszałków, a między nimi marszałek Lannes. Sztab nasz znalazł kwaterę u miejscowego plebana. Przez parę dni padał deszcz ulewny, ztąd Dunaj rozlał szeroko wody swoje. Zapadła noc, siadłem z towarzyszami do wieczerzy, kiedy oficer służbowy powołał mnie do Lannes'a; pośpieszyłem natychmiast. Wprowadzono mnie do pysznéj galeryi z balkonem, wychodzącym na Dunaj. Cesarz siedział u stołu, przy nim opat i kilku marszałków. Spostrzegłszy mnie, cesarz opuszcza stół, przystępuje do balkonu; Lannes idzie za nim, słyszę jak szepcą do siebie.

— Zamiar zuchwały!—rzecze Cesarz, — mamże narażać dzielnego oficera na śmierć pewnie niechybną.

— Pójdzie,—odpowie Lannes,—pójdzie, nie wątpię o tém; wreszcie możemy go zapytać.

Tu marszałek bierze mnie za rękę, otwiera okno balkonu. Dunaj wybiegł z łożyska, roztacza się szeroko. Wściekły wicher szamoce falą, deszcz leje, istny potop. Noc taka czarna, nic nie dojrzéć i tylko po-za rzeką migoce długi rząd ognisk biwakowych.

Marszałek Lannes wyciągnął rękę:

— Widzisz tam,—rzecze,—obóz austryacki. Otóż cesarz pragnie usilnie wiedzieć, czy korpus generała Hillera jest tam, czy też pozostał po téj stronie rzeki. Dla zapewnienia się o tém potrzeba, aby

człowiek serca miał odwagę przeprawić się przez Dunaj i ująć którego z żołnierzy nieprzyjacielskich. Zaręczyłem za ciebie cesarzowi.

Napoleon wtedy rzekł do mnie: Zważ dobrze: ja nie wydaję rozkazu, wyraziłem tylko życzenie. Wiem, że to sprawa niebezpieczna. Możesz mi wręcz odmówić, nie utracisz przez to moich względów. Namyśl się w przyległym pokoju, za chwilę powiesz mi otwarcie, coś postanowił.

Wyznaję, że na propozycyę Lannes'a zimny pot wystąpił mi z żył, ale w tejże chwili, dziwném podniecony uczuciem, wyrzekłem sam do siebie: Jakto? cesarz ma tu armię, złożoną ze stu pięćdziesięciu tysięcy wiernych, ma przy boku wyborową gwardyę i całą chmarę adjutantów; a przecież, gdy idzie o sprawę tak ważną, mnie wybrał między tylu innymi! Dzielny Lannes we mnie położył ufność!

— Pójdę, Najjaśniejszy Panie,—zawołałem bez wahania,—pójdę, a gdybym zginął, polecam matkę opiece WCes. Mości.

Napoleon wziął mnie za ucho na znak zadowolenia, marszałek podał mi rękę.

— Miałem słuszność, gdym zapewniał, że pójdzie. Oto mi dzielny żołnierz!

Wyprawa postanowiona, trzeba żwawo zabrać się do rzeczy. Cesarz powołał kaprala i pięciu grenadyerów staréj gwardyi, mówiących po niemiecku. Przyrzekł każdemu za powrotem krzyż i po tysiąc franków. Spytał, czy gotowi pójść ze mną. Wszyscy odpowiedzieli okrzykiem: Vive l'Empereur! Gorsza była sprawa z pięciu przewoźnikami. Gdy im oznajmiono, że mają przeprawić nas łodzią na drugi brzeg Dunaju, upadli na kolana, poczęli płakać. Sternik oświadczył, że lepiéj rozstrzelać ich od razu, niźli narażać na śmierć pewną; nie dosyć bowiem, że powódź wzbiera, ale, co gorsza, potoki, pędząc z góry, zabrały mnóztwo sosen, tylko co ściętych w lesie,—łódź nie ominie ich nocą, rozstrzaska się niechybnie.

Napróżno Cesarz przyrzekał każdemu sześć tysięcy franków i rozkazał dla przynęty błysnąć im w oczy złotem.

— My biedni ludzie,—mówili przewoźnicy,—to złoto zapewniłoby chleb naszym żonom i dzieciom; jeśli odmawiamy, dowód w tém, że przeprawa niepodobna.

Ależ na wojnie trudno przebierać w środkach. Cesarz trwał niezłomnie przy swojém, rozkazał grenadyerom poprowadzić gwałtem biedaków. Zeszliśmy do miasta.

Widzi sternik, że niéma rady; wybiera najmocniejszy przewóz, opatruje go w siekiery, piły, liny, słowem we wszelkie przybory. Mieliśmy już wyruszyć, aż tu przewoźnicy błagają mnie ze łzami, abym

pozwolił im pod strażą wstąpić na chwilę do domów, pożegnać żony i dzieci, których już nie zobaczą; musiałem odmówić,—ta rzewna scena odebrała-by im resztę hartu.

— Skoro tak,—rzecze sternik,—prosimy tylko o pięć minut. Pozwól nam pan polecić duszę Bogu i sam uczyń tak, jak my, bo idziem na śmierć pewną.

Padli wszyscy twarzą na ziemię. Ja też i moi grenadyerzy poszliśmy za ich przykładem. Po modlitwie dałem każdemu czarkę starego wina. Sternik stanął u rudla, odbiliśmy od brzegu.

Łódź trzeszczy, szamotana wichrem, to ją fala podrzuci w górę, to zanurzy głęboko. W tém uderzył w nią ogromny pień sosnowy; zadrżeliśmy wszyscy; szczęściem, wcale jéj nie uszkodził. Wiosłujemy co siły starczą, przepłynęliśmy już dwie części rzeki, aż oto wśród ciemności spostrzegam na wodzie ogromną masę czarną, słyszę głuchy szelest, coś bije mnie po twarzy. Łódź zatrzymuje się nagle.

— Co to jest?—pytam niespokojny.

To wysepka, zarosla wierzbiną i topolami; woda pokryla ją całkiem, wierzchołki drzew sterczą tylko do góry. Daléj-że do siekier, po omacku przetrzebiliśmy drogę wśród gałęzi. Prąd słabszy po téj stronie; dotarliśmy wreszcie lewego brzegu. Szczęściem brzeg ocieniony wierzbami. Widzimy ogniska biwakowe, lecz drzewa całkiem nas zasłaniają. Austryacy, oddzieleni od naszéj armii całą szerokością Dunaju, zasypiają spokojnie. W obozie głucho, zasłania go baterya dział, obróconych ku rzece. Straż przechadza się zwolna po za drzewami. Dotąd wszystko poszło nam pomyślnie, ależ potrzeba zdobyć jeńca, a tu o pięćdziesiąt kroków tysiące nieprzyjaciół, lada okrzyk zbudzi ich ze snu. Bądź co bądź, trzeba działać. Rozkazuję więc przewoźnikom, aby pokładli się w głębi łodzi, zostawiam z nimi dwóch grenadyerów,—kto się poruszy, kulą w łeb; trzeci grenadyer trzyma straż na pomoście; ja sam, z pałaszem do góry, wybiegam ze statku, brnę po kolana w wodzie, zabieram z sobą kaprala i dwóch wiarusów. Umyśliłem dopaść z nienacka żołnierza, stojącego na czatach, zakneblować mu usta i uprowadzić go gwałtem. W tém słyszę jakiś dźwięk metaliczny i piosnkę, nuconą półgłosem; patrzę, człowiek jakiś zbliża się do rzeki, trzyma w ręku blaszane wiadro. Gdy się nachylił dla zaczerpnięcia wody, wybiegam z gęstwiny, kapral i grenadyerzy chwytają go za gardło, zawiązują twarz chustką pełną piasku, przykładają ostrza do piersi, gotowi przebić go za najmniejszym oporem. Przestraszony, idzie z nami jak trusia; windujemy go na pomost, oddajemy w ręce grenadyerów, ci kładą związanego obok przewoźników. Nie był to właściwie żołnierz, lecz sługa oficerski.

„Wolał-bym prawdziweg oszeregowca, gdyż-by mógł udzielić pewniejszych wiadomości, ale dobre i to, co nam wpadło pod rękę. Aż tu spostrzegam dwóch żołnierzy: niosą na drągu kocieł; nadchodzą coraz bliżéj; trudno, aby nas nie spostrzegli. Daję znak grenadyerom; ukrywamy się znowu po-za drzewa, a gdy Austryacy naczerpali wody, rzucamy się na nich z tyłu, zanurzamy im głowy w kotle, kneblujemy usta i oszołomionych prowadzimy na statek.

Dotąd wszystko szło nam wybornie. Przewoźnicy podjęli wiosła; kapral chce odwiązać linę, przyczepioną do wierzby, ale mokry węzeł tak się zacisnął, że rozwiązać go nie podobna. Chwytamy za piłę, słychać tarcie i chrzęst gałęzi; posłyszał to szyldwach, krzyczy *Werda?* Milczymy, ale piła zgrzyta o twardą linę. *Wer da?* rozległ się nowy okrzyk; pot zimny wystąpił mi na czoło. Na toż było przepłynąć rzekę, by utonąć u brzegu? Wreszcie lina przepiłowana, odpływamy!.. Niestety! cień wierzb już nas nie zabezpiecza! Szyldwach spostrzega łódź, krzyczy „do broni“. Padł wystrzał, kula nie dosięgła nikogo, lecz obóz zrywa się na to hasło. Działa, obrócone ku rzece, sypią rzęsistym ogniem. Serce mało mi nie wyskoczy z radości. Cesarz i Lannes posłyszeli huk armat. Patrzę na klasztor, światło bije przez szyby, jedno okno bardziéj błyszczy od innych,—to ogromne okno balkonu. Snać otworzono je, kiedy działa zagrzmiały. Rzekłem wtedy do siebie: „Cesarz i marszałkowie wyszli na balkon, widzą, żem dopłynął do brzegu, życzą mi powodzenia!“ Ta myśl zapala mię, dodaje mi odwagi. Nie zważam na strzały: prąd unosi nas z niesłychaną szybkością; niepodobna celować do nas, wszystkie kule toną w Dunaju.

Już oto strzały nas nie dosięgają, inne przecież grożą niebezpieczeństwa: to potrącimy o pień sosny, to fala rzuci nas na kępę, uwięzi wśród sterczących krzaków. Zbliżamy się nakoniec do wybrzeża, — prąd uniósł nas w bok—opodal klasztoru. Ognie biwakowe płoną; kto mi ręczy, że nasze. Oddział austryacki zajmuje téż i prawy brzeg Dunaju. Dzień świta, słyszę pobudkę. Nasi! znikła wątpliwość. W tém zagrzmiał huk muszkietu, kula świsnęła mi nad uchem. Wołamy na cały głos: *Vive l'Empereur!*

W chwilę potém wysiadłem na ląd, przyjął mnie u brzegu pułkownik huzarów z korpusu Lannes'a, dał mi konia i kilka wozów, zasiedli na nich grenadyerowie, jeńcy i przewoźnicy. Karawana cała ruszyła do Mölk. Podczas przeprawy przez rzekę kapral zbadał trzech Austryaków; dowiedziałem się z radością, że należą do korpusu Hillera, o którego pozycyi tak pragnął wiedzieć Napoleon.

Pomknąłem pędem strzały. W miasteczku tłumy zastępują mi drogę; słyszę przeraźliwy płacz kobiet—były to żony porwanych gwałtem

przewoźników. Wołam pokaleczoną niemczyzną: „Żyją! żyją! zaraz ich zobaczycie!“ Radosny okrzyk rozlega się szeroko. Słońce już weszło, gdym stanął u bram klasztoru, oznajmiono mię Cesarzowi. Marszałek Lannes przybiega co tchu, sciska mnie serdecznie, prowadzi do Napoleona.

— „Otóż i on,—woła na głos Lannes,—wiedziałem, że powróci; przyprowadza nam trzech jeńców z korpusu generała Hillera!

Napoleon przyjął mnie z radością; choć byłem cały zabłocony, położył mi rękę na ramieniu, a potém uszczypnął za ucho, co było znakiem najwyższego zadowolenia. Bada mnie, pyta o szczegóły niebezpiecznéj przeprawy. Gdym wszystko opowiedział, Cesarz rzekł do mnie wobec sztabu: „bardzo rad jestem z ciebie, szefie szwadronu Marbot“!

Nie posiadałem się ze szczęścia. W téj chwili szambelan oznajmił, że śniadanie na stole. Chciałem usunąć się na bok, ale Cesarz ukazał mi salę jadalną. „Chodź ze mną“—rzekł; — poszliśmy razem. Był to wielki zaszczyt, nie dostąpił go nigdy oficer mego stopnia. Dowiedziałem się przy śniadaniu, że Cesarz z marszałkami czuwał noc całą, a posłyszawszy huk dział, wybiegli wszyscy na balkon. Uśmiał się Napoleon, gdym opowiadał, w jaki sposób ująłem trzech jeńców.

Oznajmiono przybycie wozów,—ledwie że się przecisnęły przez tłumy. Zrozumiał Cesarz radość powszechną, rozkazał otworzyć bramę i wpuścić lud na klasztorny dziedziniec. W chwilę potém wprowadzono do galeryi grenadyerów, jeńców i przewoźników. Cesarz przez tłómacza wybadał naprzód żołnierzy austryackich. Dowiedziawszy się, że nie tylko Hiller, ale i arcyksiążę Karol z całą armią stoi na lewym brzegu rzeki, wydał rozkaz do śpiesznego pochodu przeciw pułkom, zajmującym prawe wybrzerze. Przywołał potém dzielnego kaprala i pięciu grenadyerów gwardyi, przypiął każdemu krzyż legii honorowéj, nadał im tytuł: *Chevaliers de l'Empire*, z roczną donacyą 1200 franków.

Wiarusy płakali z radości. Przyszła kolej na przewoźników. Cesarz oznajmił im, że, ze względu na niebezpieczeństwo, dwakroć większe niż sądził, podwaja im nagrodę. Każdy otrzymał 12,000, fr. złotem. Uszczęśliwieni, całowali ręce Cesarza i obecnych, wołali z uniesieniem: „tożeśmy dziś bogaci!

Widząc ich radość, Cesarz zapytał z uśmiechem sternika, czy zechce powtórzyć wyprawę następnéj nocy.

— „Za nic w świecie!—zawołał sternik,—Bóg nas uchronił od niechybnéj śmierci, ale cud taki nie zawsze się powtarza. Choć-by

mi opat darował cały klasztor i wszystkie wsie swoje, nie powtórzyłbym już téj próby".

Przewoźnicy i żołnierze odeszli, błogosławiąc szczodrobliwość Cesarza. Wprowadzono jeńców; kiedy Napoleon spostrzegł, że ujęty sługa oficerski płacze rzewnemi łzami, zapewnił go, że nie będzie miał krzywdy. Na to biedak odpowiada ze łkaniem:

„Mam na sobie trzos z całym majątkiem kapitana; co mój pan pomyśli o mnie? powie, żem złodziéj i dezerter!"

Rozrzewniony tém, Cesarz, kazał mu powiedzieć, że jest wolny, że za parę dni, gdy armia nasza stanie pod Wiedniem, przednia straż przepuści go swobodnie; będzie mógł wtedy wrócić do kapitana swego.

Poczém Cesarz wręczył tysiąc franków wiernemu słudze. „Uczciwość,—rzekł,— godna poszanowania, gdziekolwiek ją spotkamy". Dwaj żołnierze austryaccy otrzymali téż po kilka sztuk złota. Przyrzeczono im również wolny powrót do swoich, gdy armia stanie pod Wiedniem".

Dwa pierwsze tomy pamiętników dały nam poznać słoneczne dni epopei Napoleońskiéj. Tom trzeci, który ukaże się niebawem, obejmie szereg klęsk, aż do chwili ostatecznego upadku. Z tych smutnych epizodów jeden, pod tytułem Berezyna, ogłosiły już niektóre przeglądy tutejsze.

Pamiętniki generała Marbot'a nie uszły losu, jaki spotyka wszystkie tego rodzaju publikacye, wydawane w kilkadziesiąt lat po śmierci autora, zwłaszcza jeśli nie przeszły w ręce synów, szanujących pamięć ojcowską. Dalsi spadkobiercy pozwalają sobie skracać ustępy, zdaniem ich niezgodne z obecnym nastrojem umysłów, a co gorsza, dodawać własne dopełnienia, stosownie do prądów, powiewających w danym czasie. Tego rodzaju braki i dodatki spostrzegliśmy w dziele Marbot'a, którego zasłużone imię w tych właśnie czasach zgasło w linii męskiéj.

Zrozumiał tego rodzaju niebezpieczeństwo żyjący dotąd marszałek Mac-Mahon. Wydał téż własne pamiętniki, ale w trzech tylko egzemplarzach, odkładając szeroką ich publikacyę do lat późniéjszych, kiedy czas uspokoi umysły, a główni koryfeusze dramatu dziejowego spoczną na wieki w grobie.

Profesor Sorbony, Lavisse, oddany specyalnie badaniom nad początkiem i organizacyą potęgi pruskiéj, przysposabia do druku nowy tom historyi Fryderyka II-go; pierwszy tom, wydany dotąd pod tytułem *La jeunesse de Frédéric*, pokazuje nam młodego księcia w bez-

ustannych zatargach z ojcem. Z téj walki dwóch sprzecznych charakterów, z ich wzajemnego starcia, miało się zrodzić silne państwo pruskie.

Odkąd Fryderyk wyrósł z lat dziecinnych, do chwili, kiedy, ożeniony wbrew woli własnéj, zaczął żyć samodzielnie, stosunki syna z ojcem są z jednéj strony pasmem ciągłych buntów, z drugiéj pasmem najsroższych prześladowań. Czują obaj, o ile do siebie niepodobni; nienawidzą się, gardzą sobą nawzajem. Syn pragnie śmierci ojca, ojciec przyrzeka hojną nagrodę posłańcowi, który oznajmi mu śmierć syna. Żaden z nich nie odgadł, że pracują obaj, każdy na swój sposób, nad organizacyą siły, która, pozbawiona charakteru narodowego, oparta na militaryźmie, podbić miała wrogie sobie Niemcy, upokorzyć cesarstwo rzymsko-germańskie, a nakoniec zagrozić Europie kontynentalnéj. Taki tryumf Prus tłómaczy się tylko upadkiem zasad moralnych w ówczesném społeczeństwie europejskiém.

Z tego-to powodu Lavisse w historyi Fryderyka II-go szeroko rozpisuje się o jego ojcu, Fryderyku Wilhelmie. Osobistość to dziwaczna i wstrętna, niemniéj przecież ciekawa. Gorąca krew kipiała w jego żyłach, od dziecinnych lat okazywał umysł niespokojny i burzliwy. Wrodzone usposobienie rozwinęło się z latami, życie jego było téż nieprzerwaném pasmem, tak fizycznych, jak i umysłowych, udręczeń. Z twarzy owalnéj, ponuréj i zimnéj, o wysokiém czole, wybiegało oko wielkie, ruchome, jakby wszystko chciało ogarnąć, przerażające, gdy je wlepił w jaki przedmiot, lub usiłował przeniknąć niém nawskroś tajniki czyjéj duszy. Usta miał skore do mówienia, lecz nigdy nie wybiegło z nich słowo uprzejme. Wyrażał się zawsze badawczo, pogardliwie, jakby w każdym widział wierutnego łotra i kłamcę.

Nigdy nie wypuszczał z ust fajki; pałac jego cały przesiąkł tytuniem. Zagorzały myśliwiec, lubił jeść aż do zbytku, mimo to wprowadził na dwór swój najściślejszą oszczędność. Sprzeczny téż obraz przedstawiał dwór berliński z popędem do zbytku, ogólnym w owe czasy!

Historya zapisała szalone biesiady, jakie elektor saski, król polski, August II-gi, wyprawiał w Dreźnie, a następnie w Warszawie. Lavisse przypomina jedną z tych biesiad, wyprawioną przez Augusta na cześć Fryderyka Wilhelma. „Trzydzieści tysięcy ludzi jadło i piło przy stołach, ustawionych podwójnym rzędem na wielkim placu. W końcu każdego stołu na słupie umieszczono trofea, uwieńczone w górze rogatą głową wołu, poniżéj skóra tworzyła draperyę, pokrywając pieczone ćwierci bydlęcia. Między temi rzędami stołów przejeżdżali konno dwaj monarchowie, z orszakiem książąt, przy okrzy-

kach ucztującéj gawiedzi; poczém królowie zajęli miejsca u osobnego stołu pod namiotem. W końcu uczty służba zwinęła namiot; ukazał się wtedy na stole olbrzymi kołacz, długi na czternaście łokci, szeroki na sześć, przygotowany z pięciuset jaj, trzech beczek mleka i beczki masła. Na dany znak, przystąpił sługa dworski z nożem, długim jak pałasz, porozkrawał na części olbrzymie ciasto.

Na tém skończył się festyn. Wówczas-to pułkownicy i oficerowie każdego pułku, poprzedzeni kapelą wojskową, defilowali wobec monarchów, każda grupa zatrzymywała się u stołu, na cześć jéj królowie podnosili toast. Oficerowie nawzajem spełniali do dna kielichy na cześć królów, poczém wyrzucali szkło w powietrze. Ogień z sześćdziesięciu armat towarzyszył tym królewskim uciechom.

Fryderyk Wilhelm założył w Berlinie towarzystwo naukowe, ale w dziwny sposób obchodził się z uczonymi: miał on przy boku słynnego w te czasy poligrafa, nazwiskiem Gundbling, korzystał z jego biegłości w prawoznawstwie, przypuszczał go do stołu swego, częstował fajką, a na znak szczególnych względów, dawał mu wolny wstęp do piwnicy, wiedząc, że uczony doktor nie wyleje wina za kołnierz. Biedny Gundbling stał się celem pośmiewiska na dworze, odgrywał rolę błazna. Król mianował go mistrzem ceremonii, wielkim szambelanem, a co więcéj, prezesem towarzystwa naukowego. Godność tę otrzymał po Leibnitzu!

Następnie prezydentem był uczony astronom Graben. Król sam zredagował jego dyplom: wysławia wszechstronną naukę Grabena, jako archeologa, znawcę monet starożytnych i nowoczesnych, jako biegłego fizyka, botanika, mechanika, hydraulika, pneumatyka i statystę; przyznaje mu sarkastycznie znajomość kabalistyki, sztukę wywoływania złych duchów i t. p. Graben wydawał kalendarz: na żądanie króla obowiązany był zapowiadać jak najmniéj dni słotnych, a jak najwięcéj pogodnych.

Z pomiędzy sztuk pięknych król szczególniéj lubił muzykę: czarowały go poważne utwory Haendla, osnute na tematach biblijnych i bohaterskich. Wpadał jednak czasami w przeciwną ostateczność. Razu jednego kapelmajster dworski ucieszył go niewymownie wykonaniem sekstetu, naśladującego kwiczenie trzody chlewnéj.

Nie cierpiał król komedyi; zdaniem jego była to zabawa próżna, czcza i niebezpieczna dla obyczajów; przekładał prostą farsę średniowieczną. Kazał przebierać małpy i niedźwiedzie za ludzi; bawiły go téż sztuki kuglarzy; upodobał sobie jednego z nich, Eckenberga, herkulesa jarmarcznego, który unosił w ręku armatę; nadał mu dyplom królewski.

Gwałtowny, samowładny, podejrzliwy, Fryderyk Wilhelm wpadał w gniew za lada powodem, rzucał się na dworzan, na lekarzy, na własnego nawet syna, okładał ich razami. Niekiedy wpadał w chorobliwy smutek, całe dnie siedział milczący, na-pół martwy; łzy tryskały mu z oczu. Nieraz wśród nocy napadała go dziwna trwoga, wybiegał z łóżka, miotał się jak szalony, poczém następowało osłupienie. Kochał żonę, dopóki ulegała jego fantazyom, w przeciwnym razie ostry był dla niéj i gwałtowny. „Śmierć żony — mawiał — to niby strata spróchniałego zęba: boli, gdy ci go wyrywają, po chwili czujesz ulgę“.

Lavisse pokazuje przecież i odwrotną stronę medalu. Fryderyk Wilhelm przygotowywał państwo pruskie następcom, pracował dla przyszłości. „Jestem — mawiał on — naczelnym wodzem i ministrem finansów króla pruskiego“; całe życie zbiegło mu na téj pracy. Dla tego przyszłego króla, wymarzonego w ideale, zgarniał skarby wszelkiego rodzaju, zgromadzał wojska, urządzał biurokracyę, dwa organa przyszłéj potęgi pruskiéj. Zaprowadził wzorowy ład, tak w biurach, jak w koszarach; sam jednak nie spożytkował owoców pracy swojéj. Nie był on stworzony do czynu. Drżał na myśl o roztrwonieniu złota, o utracie swoich grenadyerów; syn miał dopiero spożytkować owe skarby, tak mozolnie nagromadzone. Tego-to syna pragnął Fryderyk Wilhelm wyrobić na swą modłę. Daremne usiłowanie!... tu rozpoczyna się dramat.

Odmienny był całkiem charakter Fryderyka, inne wpływy oddziałały na młody jego umysł. Po babce, Zofii-Karolinie, odziedziczył on popęd do badań filozoficznych; matka, Zofia-Dorota, przekazała mu upodobanie w naukach i sztukach pięknych. Rysy miał kształtne i delikatne, umysł bystry, nadzwyczaj pojętny. Ojciec sam nakreślił system pedagogiczny, narzucił go mistrzom młodego księcia. „Łacina tu całkiem wyłączona, historya starożytna wykładana w najogólniejszych zarysach, za to historya nowożytna, a w szczególności odnosząca się do domu Hohenzollernów, ma być traktowana z drobiazgową ścisłością, sprawy polityczne oceniane według złych lub dobrych następstw, jakie przyniosły, militaryzm powinien iść przedewszystkiém. W nauce języków, niemieckiego i francuskiego, wypada zwrócić szczególną uwagę na wyrobienie pięknego stylu. Oprócz tego: ekonomia polityczna, prawo międzynarodowe, matematyka. Co do religii i moralności, należy zaszczepić bojaźń Bożą, jedyny hamulec panujących, wzbudzić wstręt do ateizmu, aryanizmu i katolicyzmu, a szczególniéj do predestynacyi, zarówno niebezpiecznéj dla państw i dla poddanych, gdyż usuwa odpowiedzialność i osłabia charakter“.

Systemat ten modyfikowali niektórzy nauczyciele. Dwie były kategorye tych mistrzów: wojskowi i cywilni; podczas gdy oficerowie pruscy stawiali przed oczy księcia czyny bohaterów, wskazywali obowiązki naczelnego wodza armii, emigranci francuscy wykładali mu historyę i filozofię. Z pomiędzy tych największy wpływ wywarł encyklopedysta Crose, człowiek uczony i wolnomyślny.

Fryderyk miał serce zimne, pozbawione uczuć delikatnych. Atmosfera dworska, w któréj żył, zatarła w nim wszelkie szlachetne popędy; na tym dworze nie było skandalów francuskich, ale był to stek intryg, kabał i spisków. Obcy dyplomaci uplątali księcia w siéć matactw, podżegali go przeciw ojcu. Spostrzega to król, w oczach jego syn—to jakiś straszliwy potwór; postanawia ujarzmić go i opanować. Zamyka go, szpieguje, pozbawia książek i wszelkich przyjemności, okłada nawet chłostą. Charakter młodziana psuje się coraz bardziéj. W piętnastym roku podpisuje się: *Fryderyk-filozof*. Bóg i religia—to dlań proste frazesa. Spiskuje z zagranicznymi ministrami. Zamierza wreszcie schronić się do Anglii pod opiekę Jerzego II-go, spokrewnionego z matką. Zamiar, tajemnie uknuty z oficerem Katte, nie uszedł ojcowskiego oka. Fryderyk przypłacił go więzieniem w Kistrzynie; głowa Kattego spadła pod mieczem, w obecności młodego księcia.

Nie tracił czasu Fryderyk za kratą więzienia: układa plany na przyszłość, rozmyśla, jak nowemi zdobyczami rozszerzyć granice kraju i postawić Prusy w rzędzie pierwszorzędnych państw. Znudzony wreszcie, przystaje na związek z księżniczką Brunszwicką i otrzymuje wolność.

Upokorzony, mści się, rzucając sarkazmy na miłość i małżeństwo. „Gdyby przynajmniéj—mówi Lavisse—te szyderstwa połyskały dowcipem francuskim lub włoskim, lecz objawia się w nich straszliwy cynizm, zaprawny trucizną Woltera i jadem Mefistofelesa, ów cynizm, który, odziedziczony przez Heinego, zaraził nasz wiek chorobą pesymizmu“.

Autor kończy pierwszy tom na małżeństwie. Ojciec cierpi u dworu upokorzonego syna, ale pod tym pokornym Fryderykiem kryje się ów Fryderyk, jakim wystąpi w historyi, gotów stawić czoło niebezpieczeństwom, świadomy sztuki panowania, pełen dumy i nieprzepartéj woli. Pragnie władzy, ojciec przygotował mu drogę. Obaj, rozłączeni za życia, spotykają się we wspólném dziele: w potędze państwa pruskiego. W tomie następnym historyk ukaże Fryderyka, sposobiącego się do tronu wśród ciszy i samotności. „Przeczuliśmy już — mówi on— w tym młodzianie epikurejczyka i stoika,—takim on pozostanie, będąc królem. Główne te cechy charakteru, połączone z za-

letami panującego, z wadami i występkami, z cynizmem, z pogardą wszelkich praw, z humanitarną czułostkowością, pochodzącą z głowy nie z serca, z niezłomną energią, utworzą osobistość, zwaną w dziejach Fryderykiem Wielkim.

Kilka tygodni temu, umarł w Paryżu znakomity pisarz, August Vitu; przeżył lat sześćdziesiąt ośm; od pół wieku nie wypuścił na chwilę pióra, a kiedy mu śmierć wytrąciła je z ręki, głos powszechny uznał, że na tém piórze nie było śladu najdrobniejszéj skazy. Mało który z dzisiejszych pisarzy francuskich zasłużył sobie na tak chlubne świadectwo.

W młodości August Vitu pisał udatne powieści; kilka sztuk jego przedstawiono na deskach teatralnych; późniéj wystąpił jako głęboki erudyt, jako publicysta i krytyk literacki. Tygodniowe jego sprawozdania z ruchu dramatycznego odznaczają się jasnym poglądem i siłą przekonania, od któréj nie odstąpił dla żadnych względów. Najświetniejsza forma utworu nie olśniła go wcale,—widział w niéj pusty podźwięk, błyszczące mamidło, jeśli pod nią ukrywała się myśl chorobliwa lub gorszący sofizmat.

Brak takiego krytyka, jakim był Vitu, dotkliwie już daje się czuć w dziennikarstwie paryskiém. Poważny jego pogląd był zarówno hamulcem dla pisarzy, jak drogoskazem dla opinii publicznéj. Dwudziestoletnie sprawozdania z ruchu dramatycznego, wydane niedawno w obszernym tomie, pod tytułem: *Tysiąc i jedna nocy w teatrze*, pozostaną jako wzór sumiennéj i bezstronnéj krytyki.

Znakomity publicysta, podnosił zarówno w dziennikach polityczne i finansowe sprawy. Artykuły jego, ogłaszane w dzienniku *Constitutionnel*, zwróciły uwagę Napoleona. Odtąd powoływał go cesarz do gabinetu swego, dawał mu do wypracowania własne pomysły, pokładał w nim zupełną ufność. Nie zawiódł go Vitu, dał tego piękny dowód. Wkrótce po ukończonéj wojnie, Thiers pragnął spożytkować jego zdolności: przez zaufanego pośrednika ofiarował mu korzystne miejsce w gabinecie swoim. Vitu taką odpowiedź posłał prezydentowi:

„Nie powiem p. Thiers'owi, że nie chciał-bym przeniewierzyć się stronie pokonanéj, któréj służyłem w czasach pomyślności; on-by mnie nie zrozumiał. Ale proszę powiedzieć mu ode mnie, że stary, że może wkrótce umrzeć, a więc moje odstępstwo nic by mi nie przyniosło. Pan Thiers wybornie to zrozumie!“

W śród literackich prac Augusta Vitu najważniejsze miejsce należy jego erudycyjnym badaniom. Z benedyktyńską cierpliwością przetrząsał on odwieczne archiwa, umiał wydobywać z nich żywotne rysy, których nie dostrzegli dawniejsi badacze. Dzieło jego p. t. *La maison mortuaire de Molière* zjednało mu nagrodę akademicką. Nie poprzestając na tém, śledził on wielkiego komedyopisarza w każdéj chwili, na każdém miejscu. Pod tytułem *La maison de Poquelin* opisał dom, w którym Molière urodził się i spędził młode lata. Rozpoczął téż pomnikowe wydawnictwo dzieł jego z obszernym komentarzem; pierwszy tom wyszedł z druku przed kilku tygodniami.

Pomijamy wiele prac erudycyjnych Augusta Vitu. Ze szczególném zamiłowaniem badał on utwory Franciszka Villon, poety piętnastego wieku, pełne samodzielnéj werwy galskiéj. Wkoło téj postaci zamierzał ugrupować wszystkich współczesnych pisarzy i skreślić obraz literatury owego stulecia, którego przedświt czysto narodowy zgasł pod sztucznym blaskiem grecko-rzymskiego odrodzenia. Do téj wielkiéj pracy gromadził Vitu materyały od lat dwudziestu pięciu, wydał z niéj osobne ustępy, jak życiorys Villona i dzieło filologiczne p. t. *Jargon du XV-me siècle*, uwieńczone także przez akademię francuską.

Jeśli literatura XV wieku czeka jeszcze innego erudyta, który spożytkuje zebrane do niéj dokumenta, za to August Vitu zbudował sobie inny, wspaniały pomnik, wielkiém dziełem pod tytułem *Paryż*, wydaném przed dwoma laty. Urodzony w Meudon, u bram nadsekwańskiego grodu, nigdy go nie opuszczał, badał najściśléj jego przeszłość, zrósł się z obecném jego życiem.

Bardzo a bardzo wiele pisano już o Paryżu, poświęcone mu dzieła zapełniają całą bibliotekę, zgromadzoną przez magistrat tutejszy. A przecież August Vitu umiał na pracy swojéj wycisnąć samoistną pieczęć. Rozmiłowany w erudycyi, wykrzesał z niéj iskrę żywotną.

W pysznéj publikacyi *in quarto majori*, obejmującéj przeszło pięćset stronic, illustrowanéj czterystu pięćdziesięciu rysunkami, autor opisuje Paryż, jakim był w różnych dobach istnienia swego, jakim jest w chwili obecnéj. Widzimy na mapie oznaczone te wszystkie ewolucye. Z galskiego *oppidum*, opasanego dwoma ramionami Sekwany, ukrytego w cieniu odwiecznych lasów, nic dziś nie pozostało. Lasy i bagna nie zasłoniły grodu przed chciwym wzrokiem Juliusza Cezara. Zaledwie wódz kohort, Labienus, na pięćdziesiąt lat przed erą naszą, zdobył i puścił z ogniem nadsekwańskie oppidum, gród ten przybrał nową postać i nową nazwę Lutecya od okolicznych trzęsawisk. Następnie Cezarowie upodobali sobie to warowne gniazdo, oto-

czyli wyspę mocnym murem, zbudowali na niéj pałac i ołtarz Jowisza. Z tych czasów pozostały dotąd po-za lewém ramieniem rzeki, napół rozwalone Termy, a wkoło tych rumowisk nagromadzono ołtarze i posągi bogów, tablice i liczne pomniki epoki gallorzymskiéj, wydobyte późniéj z głębi ziemi.

Z epoki Franków i pierwszéj zorzy chrześciaństwa ocalała tylko baszta Klodoweusza i kilka kościołów, a właściwiéj mówiąc, ich podwaliny; miasto bowiem, z Lutecyi przezwane Paryżem, od galskiego pokolenia *Parisi*, poszło w gruzy pod taranami i głownią pożarną Normandów.

Paryż, odbudowany pod Kapetami, występuje dopiero jako stolica królewska. Przybytki Boże wybiegają pod obłoki; nad wszystkiemi panuje pyszna katedra *Notre Dame*, zbudowana w miejscu, gdzie piorunujący Jowisz odbierał niegdyś hołdy. Filip August rozprzestrzenia zakres miasta, wyprowadza je za obręb ciasnéj wyspy, zakłada uniwersytet.

Czasy krucyat uprzytomnia tu cudna kaplica Ś-go Ludwika (*Sainte Chapelle*), istny klejnot architektury łukowatéj, pomieszanéj ze stylem maurytańskim.

Walezyusze daléj odsuwają granice grodu swego, okopują go fosą, na téj fosie miały z czasem powstać błyszczące, pełne gwaru życia bulwary. Ci królowie, rozmiłowani w stylu odrodzenia, budują pyszne gmachy, między niemi Louvres, rozszerzony późniéj do ogromnych rozmiarów. Po Henryku III został wspaniały zegar z francuskim i polskim herbem, połyskujący dotąd na pałacu sprawiedliwości.

Piękną postać Henryka IV uwydatnia konny posąg na moście. Wielka rewolucya, która burzyła tak zawzięcie ślady dawnéj monarchii, uszanowała pomnik tego króla, nie za bohaterskie czyny i pokonanie bezrządu, nie za genialny pomysł sfederowania państw europejskich, ale za wyrzeczone słowa: „Wtedy będę szczęśliwy, kiedy każdy wieśniak w królestwie mojém co niedziela i święto znajdzie w garnku ugotowaną kurę!“

Odtąd Paryż rozrasta się coraz szerzéj, coraz nowym przyświeca blaskiem. Marya Medyceuszka, wdowa po Henryku, wznosi okazały pałac Luksemburski, otacza go wielkim ogrodem. Kardynał Richelieu buduje pyszny *Palais Royal* w upominku dla króla, zakłada i uposaża akademię francuską; kardynał Mazarini obdarza tę instytucyę wielkim pałacem i drogocennym księgozbiorem. Królowie, mimo nowéj rezydencyi w Wersalu, zostawiają niezatartą pamięć w stolicy. Tryumfy Ludwika XIV uwieńczone tu dłótem mistrzów na bramach św. Dyonizego i św. Marcina.

Z epoki Napoleońskiéj pozostała kolumna na placu Vendôme, ulana z dział, zdobytych pod Marengo, Wagram i Austerlic, pozostał łuk tryumfalny, a na nim wyryte imiona bohaterów wielkiéj epopei, pozostał wreszcie przepyszny grobowiec pod kopułą kościoła Inwalidów.

Z czasów Ludwika Filipa pozostało dzieło, dokonane za podnietą Thiers'a, owe okopy i bastyony, otaczające Paryż na przestrzeni czterdziestu kilometrów, tak bezużyteczne w zastosowaniu, jak to pokazały klęski ostatniéj wojny!

Po Napoleonie III respublika usiłowała zatrzeć wszelkie ślady: pozmieniano nazwy bulwarów, uczczone imieniem cesarza i cesarzowéj; pałac Tuileryjski, zrównany z ziemią, należy do przeszłości. *Ubi Troja fuit*, porasta trawa, krzewią się bujne kłąby. A przecież Napoleon III zbudował tu sam sobie wspaniały i wiecznotrwały pomnik! Tym pomnikiem—Paryż, rozszerzony do olbrzymich rozmiarów; tym pomnikiem przybytki, poświęcone czci Bożéj, niezliczone szpitale i ochrony; tym pomnikiem te szerokie aleje, wysadzane milionem drzew, te kwieciste skwery, te kanały i wodociągi, te rozszerzone gaje — Winceński i Buloński, słowem: owe herkulesowe prace, które, za wydane trzy miliardy, obdarzyły stęchły i ciemny Paryż słońcem i powietrzem, pierwszemi warunkami zdrowia i dobrobytu!

August Vitu pokazuje metropolię paryską, jako żywą kronikę dwudziesto-wiekowych dziejów Francyi. Po przeczytaniu tego dzieła, inném okiem spoglądamy na miasto. Pod jego zewnętrznym blaskiem i przepychem widzimy nieprzerwany łańcuch tradycyi, na których wspiera się społeczeństwo; tradycyi — które są, jak wyrzekł nieśmiertelny wieszcz: „arką przymierza, co stoi na straży między dawnemi a przyszłemi czasy, tą arką, żadnym nie złamaną ciosem, dopóki własny lud jéj nie znieważy!“ Ów łańcuch tradycyi wyrwał z pomroku na światło August Vitu, ożywił go miłością; miejmy nadzieję, że go uchroni przed zniewagą bezmyślnych i zbłąkanych.

Ozdobny wolumin wyszedł z druku pod słynną firmą Quantin. Artystyczna illustracya, wykonana pod kierunkiem naszego ziomka, p. Konstantego Chmieleńskiego, odpowiada wartości dzieła.

Mówiliśmy już dawniéj o ślicznych illustrowanych albumikach, w których tenże p. Chmieleński, pod pseudonymem Constant de Tours, opisał bretońskie a w części i normandzkie brzegi oceanu. Do téj seryi przybyły dwa nowe tomiki, ozdobione również setkami rysun-

ków. W jednym autor oprowadza nas po wybrzeżach kanału *La Manche*, cieśniny *Pas de Calais* i morza Północnego, przebiega cały szereg stacyi morskich: Etretat, Yport, Fecamp, St Valery, Dieppe, Treport, Boulogne, Calais, Dunkierkę, aż do belgijskiéj Ostendy. Przelotnie autor rzuca okiem na błyszczące kasyna i przechadzki, różniące się tylko widokiem morza od paryskich salonów i bulwarów: dłużéj zatrzymuje się wśród ludności rybackiéj, odmiennéj gwarą i postawą w Normandyi, Pikardyi i Flandryi, ale połączonéj węzłem głębokiéj pobożności, czego dowodzą niezliczone krzyże, rozsiane po wybrzeżach, pielgrzymki i wota, składane u ołtarzy. Snać ocean ogromem i porykiem fal przemawia o Bogu do serc prostych, porywa je, unosi w nieskończoność.

W każdym z nadbrzeżnych portów uwydatnia autor jakiś rys charakterystyczny. W Dunkierce pokazuje na placu pomnik słynnego marynarza XVII wieku, Jana Bart'a, którego pamięć opiewa co godzina zegar kurantowy z trzydziestu dzwonów, na wieży, panującéj nad miastem.

Koło Dieppe, w osadzie rybackiéj Pollet, odwiedził autor nadmorskiego strażnika, Gelée; ciekawa to osobistość: Richepin uczcił go pieśnią, słusznie mieni go bohaterem; Gelée bowiem otrzymał sześćdziesiąt medali za ocalenie życia rozbitkom. Rybacy, mówi poeta, krzątają się za połowem ryb, on krząta się za połowem rybaków!

Drugi albumik p. t. *Dwadzieścia dni w Szwajcaryi*, wydał p. Chmieleński w kollaboracyi z Pawłem Nac, biegłym rysownikiem, członkiem klubu alpinistów. Książka wyszła w samą porę: w tym roku Szwajcarzy obchodzili szóste stulecie samodzielnego bytu swego; uroczystość ta ściągnęła wielką moc turystów do kolebki Wilhelma Tella.

Autor prowadzi nas nasamprzód do Bazylei i wodospadu Szafuzy, ztąd na górę św. Gotarda. W drugiéj części opływa malownicze jezioro Czterech Kantonów; ze szczytów Righi i Piłata ogarnia wzrokiem całe pasmo Alp i kilkanaście błyszczących w słońcu jezior; przebiega Zürich, Interlaken, dolinę Schwitz, pełną tradycyjnych pamiątek. Trzecią część poświęca Szwajcaryi francuskiéj. Brzegami Lemanu pośpiesza do Genewy, ztamtąd na dolinę Chamouny do podnóża Mont-Blanc, nakoniec przez Fryburg, Bern i Neufchatel powraca do Francyi. Cała podróż obliczona na dni dwadzieścia.

W stu sześćdziesięciu rysunkach wiernie oddane najpiękniejsze grzbiety gór, widoki miast, jeziora, gleczery, wąwozy i wodospady, wreszcie typy ludowe z różnych okolic, w malowniczych kostiumach.

Albumy pana Chmieleńskiego odróżniają się tém od zwykłych przewodników, że kreślone z całą swobodą: autor powtarza w nich odebrane wrażenia i to właśnie nadaje im samodzielną i pełną życia barwę.

Zawiązała się w Paryżu liga przeciw gorszącym książkom i pismom; ogłoszono już statuta. Poważni ludzie przyklasnęli téj myśli: najsilniéj głos podnosi Juliusz Simon, pokazuje on zgubny wpływ tych publikacyi, zasypujących dzisiaj Paryż. Powtarzamy tu jego słowa:

„Publikacye to potrzykroć zbrodnicze, tłómaczą bowiem zbrodnię, oswajają z nią sumienia, hańbią zawód pisarski.

„Nie często się zdarza, aby kto śmiał jawnie głosić apologię zbrodni, ale apologia mniéj niebezpieczna, niżeli prosty opis. Apologia przestrasza i odtrąca, opis tymczasem oswaja, naucza, przyzwyczaja do złego. Ogół zaczyna wierzyć, że świat takim jest a nie innym, że moraliści to poprostu marzyciele i śledziennicy.

„Dzięki Bogu,—dodaje Simon,—zajmujemy się jeszcze wychowaniem dziatwy; słyszymy dokoła: „nauka ważną jest rzeczą!“ — ależ wychowanie stokroć ma większą wagę. Władze nie oszczędzają kosztów i starań, rodzice szukają dla dzieci nauczycieli godnych zaufania, bronią surowo stosunków ze źle wychowanymi towarzyszami. Tymczasem przychodzi książka, broszura, dziennik. Dziatwa czyta, uczy się mnóztwa rzeczy: naprzód uczy się szydzić z rodziców i przewodników swoich. Spotyka tam wielkich zbrodniarzy szczęśliwych, otoczonych czcią powszechną. Biedne dziecko żyje w tym świecie obłędnym; doradcą jego i przewodnikiem staje się truciciel publiczny, który piękne opowiada mu historye i piękne rozwija zasady!

Naprożno ojciec i matka, nauczyciele i domownicy usiłują przygotować go na człowieka: chłopiec nie wyrosł jeszcze, a zepsuty już do szpiku kości.

Zkąd on bierze tę książkę, ten dziennik? Gawiedź uliczna po drodze do szkoły roznosi bezecne piśmidła, wsuwa je w rękę dziecku.“

Z boleścią patrzy Simon na tych włóczęgów, okrążających wciąż zakłady fabryczne. Robotnik kupuje za sous szkaradną broszurę, pożera ją, zanosi na poddasze, a z nią zanosi zbrodnię i rozprzężenie obyczajów.

Simon ostrym biczem chłoszcze tych psychologów, co zapuszczają skalpel w głąb serc ludzkich, pokazują w nich zarody złego, które, bądź co bądź, muszą rozwinąć się i dojrzéć. Owi-to kusiciele

ukazując złe w ponętnéj formie, obwijając je w błyszczące frazesa, zatruwają społeczeństwo, rozprzęgają węzły domowe, popychają do szału, tworzą zbrodniarzy i samobójców."

Taki upadek literatury zwrócił uwagę obcych: trwoga ogarnęła Szwajcaryę. W tych właśnie dniach odbył się w Bernie kongres przeciw gorszącym pismom. Członkowie przedstawili przerażający obraz następstw, jakie musi wywołać ten kierunek; obmyślenie zaradczych środków zostawili do przyszłego kongresu, który powtórzy się niebawem. W protokóle z narad czytamy taki ustęp: „Prąd zatruty przychodzi szczególniéj od Francyi w formie fejletonu popularnych dzienników. Do francuskiego potoku wpływają strumienie z Włoch, Anglii, Austryi i Niemiec." Raport pominął Skandynawię, a oto wpadły nam w rękę sprawozdania z dwóch świeżo przedstawionych dramatów: szwedzkiego autora Strindberga p. t. *Panna Julia*, i norweskiego poety, Henryka Ybsena, p. t. *Edda Gabler*, w których materyalizm do ostatecznych posunięty krańców. Dotąd żaden najswawolniejszy teatr paryski nie śmiał na scenie przedstawić nic podobnego.

Smutny kierunek literatury francuskiéj nie uszedł téż przed okiem Amerykanów. W ostatnim numerze „Fortnightly Review" czytamy surowe uwagi nowojorskiego krytyka, Edwarda Delille; powtarzamy tu jego słowa:

„Pyszny strój, a pod nim wychudłe ciało, chorobliwe członki i dusza do gruntu zepsuta, oto wrażenie, jakie sprawia nam w przeważnéj swéj części literatura francuska; nie dość że zatraciła pojęcie zdrowych zasad, ale nie umie nawet odczuć siły gwałtownych uniesień. Literatura to otrętwiała, zimna, szerząca złe na chłodno, grzesząca z wysileniem; jedyną jéj pobudką — chciwość zysku. Nie stosuję tego do całéj współczesnéj literatury we Francyi, ale nikt nie zaprzeczy, że to ubóztwo ducha, ta brzydota, jaka razi w wielkiéj części utworów dzisiejszych, sprzecznie odbija obok najwytworniejszéj formy zewnętrznéj, stanowiącéj rys jéj charakterystyczny."

Pociski te, rzucone z drugiéj półkuli świata, ubodły do głębi miłość własną literatów francuskich. Dotkliwiéj jeszcze ubodły ich skargi wydawców. Przeraźliwy okrzyk: *krach* w powieści, rozległ się po dziennikach. Było się czém przestraszyć. Jak za biblijnych czasów Józefa, po latach obfitości, przyszły lata głodu; wydawcy, zachęceni ogromném powodzeniem, rzucili się gwałtem na powieść, wydają co im wpadnie pod rękę; w drukarniach statystyka pokazuje trzy miliony pracowników; w ciągu roku wychodzi niezliczona moc powieści, a oto publiczność przestała je kupować!

Jakie bądź do tego powody, przyznać musimy, że jeśli nie brak Francyi głębokich erudytów, geografów, archeologów, jeśli na polu nauk ścisłych żaden naród dotąd ich nie wyprzedził; za to literatura zwana piękną w każdym dziale swoim przechodzi smutną chwilę przesilenia. W teatrze i powieści wyczerpano już wszelkie pobudki realistyczne, nadużyto efektów, zbadano do gruntu patologię serca, nerwów i wyobraźni. W poezyi, z jednéj strony słyszymy skargi pesymistyczne, z drugiéj strony jakieś nowe podźwięki, tak mętne, tak poplątane, że zrozumieć ich niepodobna!

Przyczynę téj bezsilności przypisują ogólnie duszącéj atmosferze wielkich miast, które rozrastają się, jak olbrzymie polipy, wyciągając soki żywotne z kraju. Odczuły to wyższe umysły, a nie mogąc powstrzymać téj aglomeracyi, usiłują przynajmniéj oddziaływać przeciwko szkodliwym jéj następstwom. Uderzyła uwagę naszą mowa jednego z młodych pedagogów, profesora Male, przy rozdaniu nagród szkolnych w liceum. Radzi on uczniom, tym szczególniéj, którzy ukończyli kursa i zdobyli stopnie naukowe, a sposobią się do wyższych nauk, jak mają spożytkować czas wakacyi, przebiegając pierw kraj w rozmaitych kierunkach. „Czyńcie to, dodaje, z namysłem i metodą: nie dość wędrować po przestrzeni, trzeba sięgnąć myślą w ubiegłe czasy. Wsie i miasteczka, to istoty, drgające własném życiem; trzeba zbadać to życie, jakiém jest, jakiém było.

„Zkąd pochodzi, pytam was, że ta uboga Bretania, tak silnie porywa nam duszę? Azaliż pociągają nas jałowe jéj stepy, jéj skaliste parowy, jéj wrzosy i paprocie? Urok ten sprawia tajemnicza jéj historya, sprawiają pełne wdzięku legendy o rycerzach, wypiastowanych przez wodnice, o lasach Bracellundy, gdzie żyje uwięziony czarodziéj Merlin. Patrząc z téj strony, widzimy w Bretanii żywy symbol celtyckich plemion.

„Czemu Grecya i Włochy tak działają na wyobraźnię naszą? nie samą pięknością krajobrazów swoich, tém raczéj, że ścieżki wydeptane tam stopami poetów i bohaterów! Historya, poezya, legenda, podnoszą piękność przyrody. Pauzylip tém cudniejszy, że marzył tam Wergili, Wokluza smętny urok zawdzięcza natchnionemu Petrarce.

„W wędrówkach waszych, ciągnie mówca, nie patrzcie na samą ziemię i na pomniki na niéj zbudowane, posłuchajcie głosu żywych ludzi: oni lepiéj, niż ziemia, niż marmur, przechowali szczątki odwiecznego dziedzictwa. Niech was nie uwodzi myśl, że, po ukończeniu kursów szkolnych, nie można nauczyć się niczego od prostych wieśniaków. Wiedzą oni wiele rzeczy, zupełnie nam nieznanych. Są to badacze w głębokiém znaczeniu słowa: patrzą na świat po prostu, z dziecięcą naiwnością i nie patrzą napróżno. Znają wybornie wła-

sności roślin, obyczaje zwierząt, wpływy księżyca, słowem, to wszystko, o czém wiedział Wergili, prosty wieśniak z Gallii cysalpińskiéj.

„Co nazywamy gwarą ludową, to po prostu nasza starodawna francuzczyzna. Ta francuzczyzna nie potrąciła o akademię, nie starła się z encyklopedystami, nie ogładziła w salonach, ale krążyła wiecznie około stodół, kryła się w cieniu winnic; to téż niéma w niéj ani jednego abstrakcyjnego wyrazu. Ponieważ nie wychodziła po-za obręb wioski, nie umie nazwać po uczonemu ziół ani zwierząt domowych; daje im sama nazwy dosadne, pełne wdzięku, niekiedy żartobliwe. W téj gwarze stare plemiona nasze pomieściły złoty wątek swych uczuć i kwiaty najpiękniejszéj poezyi. Niechże was to nie dziwi, gdy widzicie tylu uczonych, ludzi dobréj woli, jak zbierają odwieczne słowa, zapełniając niemi naukowe przeglądy. Ta gwara ludowa, to droga spuścizna po praojcach naszych, jasny obraz ich życia; to po prostu ich dzieło, które ze czcią ogłasza dziś potomność!“

Młody pedagog w mowie swojéj pokazał wyraźnie, gdzie płynie ten zdrój żywéj wody, co oczyści literaturę z zatrutéj pleśni i odrodzi w duchu Francyę. Zrozumieli to etnografowie różnych narodowości, widzimy téż, jak żarliwie oddają się folklorystycznym badaniom. W tych dniach właśnie odbywa się w Londynie kongres *folklorystów*. Sprawozdania z posiedzeń nie doszły nas jeszcze. Nie zaniedbamy podnieść tych ważnych pytań w przyszłéj kronice naszéj.

Wrażenia z podróży J. Słowackiego na wschód.

(NA PODSTAWIE NIEOGŁOSZONEGO PAMIĘTNIKA POETY).

I.

Otranto, dnia 29 Sierpnia 1836 r. (Poniedziałek).

„Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę—przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem, i stoję już nad brzegiem morza Adryatyckiego, tak, że podniosłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę, bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek kureyrski, przypływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz zapewne, moja droga, (widocznie miał zamiar Słowacki pisać ten Dziennik podróży dla matki)— co mię do takiéj nakłoniło podróży? ja sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy, pełny niebezpieczeństw, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje".

Temi słowami rozpoczyna się własnoręczny Dziennik podróży Słowackiego do Ziemi Świętéj. W rękopisie tym, formatu zwykłéj ósemki, o złoconych niegdyś brzegach, spisywał poeta wrażenia swe z podróży, wiersze i myśli, jakie mu się wtedy nasuwały. Na pożółkłych dziś od starości kartkach tego dziennika zdejmował poeta widoki zwiedzanych miejscowości; rzucał szkice osób i rzeczy, pamięci go-

dnych; robił studya i notatki, jakie się okazywały w podróży potrzebne, słowem: zaciągał do téj książki niemal wszystko, co się odnosiło do owéj najdojrzalszéj doby jego życia, która wyrzuciła na brzegi poezyi najpiękniejsze perły liryczne („Smutno mi Boże“ i „Grób Agamemnona“), a w któréj narodził się najpiękniejszy jego utwór „Ojciec żadżumionych“. Prof. Małecki, do którego rąk dostał się ten rękopis dopiero po napisaniu monografii, mógł sprostować zaledwie kilka nieznacznych błędów na końcu swego dzieła, wydawcy pism pośmiertnych Słowackiego przedrukowali ztąd poemat p. t. „Podróż do ziemi Świętéj“ i parę drobniejszych wierszy; całość rękopisu była dotychczas nieznaną i tylko uprzejmości pani Klementyny Witosławskiéj zawdzięczają czytelnicy bliższe zapoznanie się z dziennikiem podróży wchodniéj Słowackiego.

Pobyt w Neapolu, skąd wyruszył poeta w daleką podróż, należał do najpiękniejszych chwil w jego życiu. Znaleźli się tu razem: „młodzi zapaleńcy“, poznani jeszcze w Rzymie: Aleksander Hołyński, który namawiał do téj podróży i dopomógł do jéj wykonania, Zenon Brzozowski, z którym odbył tę podróż, daléj wuj, Teofil Januszewski, właściciel dóbr Ubienia pode Lwowem, z żoną swą Hersylią, słynną z piękności, opisaną w „Godzinie myśli“ Słowackiego. Oto jak sam poeta w liście do matki opisuje swe ówczesne życie: „Neapol [1]) 20 Czerwca 1836 r. Najdroższa moja! Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojém, przy ulicy St. Lucyi w Neapolu [2]), patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol, ciągnący się w półkręgu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem świateł. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i róży wazon; w tém krześle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytuniu; czasem podnoszę głowę i widzę—co?... Teofilów z Gajowstwem [3]), siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach; pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem, niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tém, że każdy z nas idzie w swoją drogę, to jest: Filowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się, jak dwoje gołąbków, Gajowstwo idą skupować lawy

[1]) Via S-ta Lucia da mare Nr. 28 (nie Nr. 3).

[2]) Podaję tu listy J. Słowackiego z autografów, z których tylko odpisy, i to nie wszystkie, znane były Małeckiemu, ogłoszone późniéj błędnie z licznemi opuszczeniami, także z kopii tylko, w znaném wydaniu Gubrynowicza i Schmidta.

[3]) Dawni znajomi z Wilna, podróżujący po Włoszech równocześnie z Januszewskimi.

i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, — niech go (jak powiada Mickiewicz) słuchacz w duszy swéj dośpiewa".—Jeszcze w gospodzie Aleksandryjskiéj, wypoczywając pod koniec Października 1836 roku po niewczasach podróży, albo prawdopodobniéj na błękitnych falach Nilu, wracał do owych chwil, razem z Januszewskimi spędzonych w Neapolu.

W Dzienniku swym, w którym, po przytoczonym na czele wyjątku, zaniechał opisywać podróż prozą, a zaczął ją odtwarzać „w rymowym balecie", a la „Don Juan", tak się odzywa w wierszu „Do Teofila J" (anuszewskiego) o tych czasach. Przepisuję tu z dziennika początek pieśni VIII „Podróży do ziemi Świętéj z Neapolu", nieogłoszony w pismach pośmiertnych Słowackiego, ani nie wspomniany w znakomitéj monografii Małeckiego, który dwukrotnie podaje mylny tytuł tego poematu:

Spocząłem wreszcie... Przeklinam podróże!
Cztery dni konno... po chwastach i skałach,
Aż się Neapol włoski w miniaturze
Znalazł na morza Egiejskiego wałach...

Miasto greckie: „Napoli di Romania", gdzie Słowacki wiersze te pisał, przywodzi mu na pamięć włoski Neapol i Teofilów, przerywa więc swój poemat i zaczyna następujący wiersz do Teofila J. w *dziesięciu redakcyach* pisany i przerabiany, z których, jako najbardziéj wykończony, zasługuje na ogłoszenie:

Znów się wyzłocił miesiąc na błękitach,
Podobny owéj Dyany koronie,
Co się paliła na Wulkanu szczytach
Dla nas, siedzących cicho na balkonie
Gdzieś w Neapolu, gdzieś na Świętéj Łucyi..
Pamiętasz? — takie uczucie nie wróci,
Ani zbieg takich wspomnień w jednéj chwili
Z takim księżycem...
By na tym samym nawet usiąść ganku..
Lecz wracam jeszcze do tego księżyca,
Który nam wschodził z Wezuwiusza szczytów,
Do téj kolumny, co się kładła gnąca
Na lazurowym obrusie błękitów,
Do tego Golfu (pamiętasz)...
Dziwnie pomyśléć, że ktoś w Neapolu
Po nas wziął widok księżyca i ganek
I dzisiaj—pomyśl—czy to sen znikomy,
Czy myśmy razem siedzieli na ganku,

Patrząc na księżyc i na sine domy
Lucyi wybrzeża [1]), i na ciche morze,
Które się kładło przy złocistym wianku
Białych sklepików ...

Do Neapolu i mieszkania nad Golfem na świętej Lucyi zawracał poeta myślą i w ówczesnych listach do matki, i w „Podróży do ziemi Świętéj z Neapolu“, żegnający jasnowłosą, błękitnooką Wenerę, urodzoną z piany i wychodzącą z morza zapłonioną, temi samemi, zawsze olśniewającemi, obrazami. Ale wspomnienia Neapolu były krótkie i przemijające. Poeta opuszczał chętnie hałaśliwe miasto. Myśl jego, która przez trzyletni w pensyonacie szwajcarskim pobyt przywykła trochę do wewnętrznego spokoju, gniewała się, że ją tu zmęczył zgiełk wielkomiastowy. Stosunek z Teofilami, kapryśnie zerwany, zaczynał się wprawdzie na nowo kleić, ale niebawem powrócili wujowstwo do kraju, a nauki poety, aby wujaszek, zamiast mentorować, pławił marzenia choć-by na falach błękitnego dymu, jakoś poszły w las.

Niezadowolony, pełen nieokreślonych pragnień romantyk, pędził przez całe życie z miejsca na miejsce, jak dziki gołąb, któremu nie dają zatrzymać się, kiedy na jakiéj gałęzi usiędzie. Poznawszy pierwsze stolice Europy (Paryż, Londyn i Rzym), zwiedziwszy romantyczne okolice alpejskie i klasyczne krajobrazy włoskie, zapragnął jeszcze czarów ziemi wschodniéj. Projekt oddawna zrobiony, odrzucony jedynie z obawy przed tak wielkiém—jak na owe czasy—przedsięwzięciem, przyszedł, dzięki pomocy i namowom Hołyńskiego i Brzozowskiego, do skutku. Kiedy praktyczniejsi Teofilowie odradzali mu tę śmiałą i daleką podróż, i kiedy sam poeta wahał się, czy ją miał przedsięwziąć, otworzona losem biblia zdecydowała go następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają Was“. Przesąd, sięgający korzeniami swemi w zamierzchłe czasy pogaństwa, prowadził go w tę daleką drogę. Zabobonne wróżby—przypominam tylko przepowiednie słynnéj wróżki Lenormand,—wpływały nieraz na losy Byrona, Mickiewicza, wogóle na całą romantyczną dziatwę Apollina. Zresztą spodziewał się nasz poeta po téj podróży, że ona doda mu siły woli, któréj potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonéj z tak znacznemi trudami; po za tém wabiła go przedewszystkiém nowość: „Obaczę nowe kraje, nowych ludzi - pisał uradowany—a potém z sercem pełném pamiątek i obrazów wrócę do cichéj samotności“. Wreszcie d. 24 Sierpnia 1836 r. puścił się w drogę z Neapolu. Naprzód lądem przez Apulię, Lecce do Otranto, zkąd, jak to stoi w zapisce

[1]) Przekreślo: Patrząc, jak księżyc w krateru zalomy—Wpadał...

poety, umieszczonéj na czele Dziennika — miał okrętem przez morze Adryatyckie dostać się na wyspę Korfu. Listy Januszewskiego, po raz pierwszy tu ogłoszone, zapoznają nas bliżéj z finansową stroną téj podróży. „Julek, przeprowadzony od wszystkich będących tu naszych,— pisze Teofil — pojechał przez Otranto do Grecyi; odradzaliśmy mu, lecz wreszcie musieliśmy uledz, gdyż się związał układami, a towarzysze posądzali go o lękliwość; pojechał z chęcią i marzeniami młodości, za kilka miesięcy powróci do Florencyi; przykro nam było rozstawać się z nim, bo poznał nareszcie, że związków rodzinnych inne zastąpić nie mogą, (dla towarzyszów podróży i Zygmunta Krasińskiego, zaniedbał był Słowacki wujowstwa, jak tego dowodzą listy do matki) bo był dla nas dobrym.

„Ma dość pieniędzy na całą podróż, jeden bowiem z towarzyszy podróży zmusił go prawie do wzięcia tysiąca rubli, z warunkiem, że mu je odda za 4 lata, więc z téj strony nawet bądź, kochana Sally, spokojną. Zdrów on, nawet dość silny, podróż z daleka wydaje się być straszną, wreszcie rozstaliśmy się bez żadnych złych przeczuć, nawet dość weseli“. Do listu męża dopisuje Hersylia, przyrodnia siostra poety: „Rozstanie z Julkiem przykre dla nas, bo dobry chłopak, bo przy końcu tak dobrze był z nami, że gdyby to dłużéj potrwało, może-by i on bardziéj polubił związki rodzinne, może-by je nawet przeniósł nad obojętne znajomości, bo sam mówi, że dotąd nieznalazł jeszcze przyjaźni takiéj, co-by mu życie uprzyjemniała. Karmił się samemi pochlebstwami i grzecznościami, nie zupełnie szczeremi, to głaskało serce jego, nie zostawując uczucia w sercu, jakie-by przyjaźń wzniecić mogła (alluzya do kilku słów krytyki, wypowiedzianéj przez wuja po wysłuchaniu odczytanych mu przez Słowackiego utworów dramatycznych, przechwalonych przez innych z grzeczności, co do żywego obraziło poetę, a nawet poróżniło go z wujowstwem). Poczciwy, chciał dla każdego z nas zostawić pamiątkę naszego rozstania, i gdyby nie powaga wujaszka Teofila, co go wstrzymał, stracił-by grosze, bo tu wszystko niesłychanie drogie. Mam od niego szpilkę koralową do włosów, i tak mi ją poetycznie ofiarował!“

(Neapol, dnia 30 Augusta 1836 r.).

Kiedy listy te były jeszcze w drodze, poeta nasz odbywał już podróż morzem z Otranto do Korfu. Statek parowy, którego nie opuszczał przez dwie doby (od 3 do 4 Września 1836), leciał jak strzała, tryskając z pod stóp swych srebrzystą pianą, a dym niebieski puszczając czołem. Opis téj morskiéj podróży, nie wpisany w dzienniku, zaginął prawdopodobnie na zawsze, pozostało tylko parę ołówkowych szkiców (okrętu, którym płynął i t. p.) niezapełniających téj

luki. Natomiast wrażenia z podróży po Grecyi, opisane w zaginionym liście do matki z Aten po 20 Września 1836 r., odtwarza nasz „Dziennik podróży wschodniéj“ wierszem i rysunkiem. Grecya, pełna przecudnych ruin, zostawiła głębokie na nim wrażenie; wszystko, co tu widział i odczuwał, spadało na dno duszy, jak na wielkie zwierciadło bez skazy, w którém odbijało się piękniéj, poetyczniéj. W „Dzienniku“, (jak odtąd rękopis Słowackiego dla krótkości i odróżnienia od pamiętników nazywać będę) — pozostały ślady tych zachwytów ziemią wolności ...

Z Korfu, jednego z najpiękniéj położonych miast nadmorskich, zdjął wcale udatny widoczek, jak data pod nim wskazuje, d. 7 Września 1837 r.; nie przepomiał też twierdzy Santy-Maury (zwanej w starożytności Leukadyą), którą przyrównywał do ślubnéj dziewicy z kwiatem na głowie, z tysiącem iskier w oczach, a z bukietem latarni portowéj u boku. I Zante (dawne Zakyntos) „w szczerych szafirów oprawna lazury, dokoła niebem i morzem oblana“, pieściła oko i fantazyę poety. Jutrzenka, „róż pełna i brylantów rosy“, wylatywała do niego z błękitnéj fali morza Śródziemnego, z po-nad gór Lepantu, a za nią wychodziło „pozdrowić pielgrzyma polskiego“ słońce klasyczne, wiszące, jak zegar wieczysty, nad błękitnemi górami Patrasu.

Zdarzały się też, jak zwyczajnie w podróży, sceny tragikomicznéj natury, jak ów „Nocleg w Vostizy“, w cichéj oberży greckiéj, „w téj klatce bez sufitu“, mającéj „kształt kurnika“, gdzie go razem z towarzyszem podróży sprał deszcz do nitki. Do głębi wzruszających uczuć doznawał na wspomnienie Termopilów, Salaminy (przypominam wiersz p. n. „Wschód słońca nad Salaminą“), a zwłaszcza „Grobu Agamemnona“.

Dnia 27 Września 1836 r. wyruszył poeta z Aten do Tyry, wyspy na morzu Egiejskim, ztąd 12 Października popłynęli okrętem do Egiptu. Podróż morska trwała przez cały tydzień. Wreszcie długo wyczekiwana „wyszła ziemia na morza błękicie, jak z złocistego piasku dzierzgany obrazek“. W przezroczu niebios widne były stada wędrownych ptaków, sprzężone w jeden łańcuch; tak się ukazały poecie brzegi afrykańskie, smutne, „obumarłemi południka śniegi zasypane“. Pierwsze wrażenia, odniesione w północnym Egipcie, zaznaczył poeta w „Dzienniku podróży“, z lekka, niby wytycznemi punktami:

„Syra—kamienie—wicher, podróż morska—brzegi znikają, mgła, stado bocianów—pod Alexandryą zachód słońca—Hymn (p. n. „O zachodzie słońca na morzu—Smutno mi Boże“)—Alexandrya—plac przy księżycu — Egipcyanki z czarami na głowach — żebracy w czarnym belwedery — na oslach kobiety — wielbłądy z wodą, podobne do stru-

siów, lejących rosę skrzydłami—Bientz (?) – Szwajcarzy—zmiana duszy w suchotniku — osiołki — podróż do Katakumb — trumna — obelisk— ogród palmowy—list do matki—muzyka arabska—Nil—obrazy—palmy — kolumny, zachód słońca, chata z okienkami błękitu — Noce — łódki baszy—żagle obeliskowe—wioski – targ na Nilu—Sais—ptaki Kair—sadzawki orłów—podróż do piramid—mrówki—sarkofagi—trzy drzewa—beduiny—Faulhorn—St. Piotr—piramidy—szczyt—napis polski—Sfinx—Kair—studnia Józefa—targ niowolników— ładna Abisynka—Meczety—targ (w liście do matki—„Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.“). Niektóre z tych zapisków szkicowane są ołówkiem, „słowa bowiem—jak pisał— były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy“; niektóre, przepuszczone przez idealny pryzmat czasu i fantazyi poety, weszły w skład listów do matki; inne znów, podane tu w surowym materyale, okrasiły poezye Słowackiego czarującym blaskiem. Oto jak np. wyglądają w téj ostatniéj formie owe zapisane w Dzienniku: „egipcyanki z czarami na głowach:

Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcjanka,
Podobna Karjatydzie, w ścianę wmurowanéj;
Jej koszula, posłuszna piersi z bronzu lanéj,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.

Lakoniczne „stado bocianów“, na sposób stenograficzny zaciągnięte do „Dziennika“ dla przyjścia w pomoc pamięci, wyrosło na „zebrzące stado postaci bocianów, czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze“, które goni za poetą „i prośbą grzechoczącą klaszcze“. Daléj „wielbłądy z wodą, podobne do strusiów, lejących rosę skrzydłami“ (z Dziennika podróży) stoją „przy bramie, jak herby, (?) okiem przerastając kratę, wodą, w skórzanych workach zamkniętą, skrzydlate“ i „stają ci się przed progiem domowym zagrodą, odstraszając sączącą się przez skóry wodą“. Końcowe zapiski z „Dziennika“ uległy operacyi poetyckiéj we współczesnych listach poety. „Dnia 28 Października (1836) — są słowa listu do matki, które tu drukują się cursive, w miejscach z powyższemi zapiskami zgodnych—dnia 28 Października przybyłem łódką do Kairu. Na drugi dzień odbyłem *podróż do piramid*. Oba (J. Słowacki i Z. Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tych stworzeniach maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mię zadziwiły ogromnie. *Beduini* w białych płaszczach zbiegli się ze wszą, aby nam służyć za przewodników i, biorąc za ręce, wciągali

przez ciemne, granitem wykładane, korytarze, aż do małych pokoików, wewnątrz piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa *trumna*. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się wdzierać po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch arabów. Byłem *na szczycie najwyższéj piramidy*; cudowny widok! *Szczyt Faulhorna*, *kopuła św. Piotra*, Wezuwiusz, Piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc Piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła". Do tego ostatniego obrazu romantyka należy żywcem zastosować słowa, które o kilka lat rychléj rzucił był mimochodem o podróżach: „Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniéj piękném, jak było w imaginacyi. I potém zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, — drugi piękniejszy, dawniéj utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sennego przypomnienia — i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów"... Otóż w szeregu wyobrażeń poety należą zapiski jego w „Dzienniku" do pierwszéj kategoryi; obrazy oryentalne, tworzone w epoce „Mnicha" i „Araba", zaliczają się do drugiéj; odnośne zaś wiersze—do trzeciéj. Wymieniam je w takim porządku, jak są w Dzienniku: „Do Teofila J.", „Piramidy. Dnia 2 Listopada" (1836), taki napis w „Dzienniku" ma wiersz, drukowany w Pismach pośmiertnych Słowackiego (Lwów, 1885 I 40) pod niewłaściwym napisem „*Odwiedziny Piramid*", daléj „Na szczycie Piramid", „List do Alexandra H (ołyńskiego)", „Pieśń na Nilu" i wiersz, zatytułowany w Pismach pośmiertnych (I. 47) „Rozmowa z Piramidami", w Dzienniku bez napisu. Wszystkie z licznemi odmianami.

Dnia 6 Listopada 1836 r., wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy byli na rozkazy młodych turystów, puścił się poeta z Brzozowskim, Nilem, ku pierwszéj katarakcie, szukając spotkania z dwoma Hołyńskimi. Podróż była prześliczna, wrażenia jéj notował poeta w „Dzienniku" następującemi słowami, zdejmując równocześnie widoki okolic: „Na Nilu — dnia 6 Listopada z Kairu — Szarfa Nilu — palmy — księżyc późno wschodzący — wieczór — z jednéj strony czerwień zachodu, z drugiéj dwa sępy na białéj skale — polowanie na piasku nad brzegiem rzeki — południe — skwar pustyni — żórawie i bociany krzyczącém stadem siadają opodal — myśl ewangelii Wahabitów — piszę imię swoje na piasku i drugie inne — zabicie dwóch gołębi pod wioską palmową pijących wodę — Siut — łódź pełna modlących się arabów — Dendera — spotkanie Hołyńskich — Theby — prze-

wodniczka". „Noty" te w *Dzienniku* uzupełnia korespondencya Słowackiego, gdzie czytamy o „ogromnych skałach i sępach wielkości człowieka, siedzących o zachodzie słońca na górach"; o „mnóstwie żórawi, lecących po błękicie, i innych ptakach wodnych; o tém, jak miło było polować na piaskach", jak „spotkali Hołyńskich w Denderze", gdzie oglądali wspaniałe ruiny kościoła". Oboje, korespondencya i zapiski w „Dzienniku", illustrują widoki, zdjęte namiejscu, których mamy kilkanaście. Z tych zwraca uwagę szkic ołówkowy, przedstawiający t. z. posągi Memnona, które z ruin Teb, przechodzących ogromem wszystko, co widział, najbardziéj mu się podobały. Są to olbrzymy granitowe, (w naturze wysokości trzypiętrowego domu), siedzące cicho na ogromném polu, twarzami obrócone na wschód słońca. O nich wspomina z podziwem Słowacki w listach do matki, przytaczając na nodze Memnona starożytny napis: „słyszę Memnona", który go dziwnie zasmucił. O „przewodniczce" dowiadujemy się bliż szczegółów:

Za zwiedzającymi „Thebów ruiny" na osiołku biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała jedno tylko słowo, niby to włoskie: Mangeria (w Listach J. Słowackiego, Lwów, 1883, I, 255, wydrukowane mylnie „Mangoria") i z litosną minką o takie mangerie upominała się. W czasie podróży Nilowéj, odezwały się po raz ostatni wspomnienia téj eterycznéj miłości, która w sercu poety zieleniła się jeszcze, jak oaza, rzucona na rozłogi spiekłego stepu. Na mogile, w któréj zamknął jéj wspomnienia, powstał wiersz do Maryi Wodzińskiéj, który tu po raz pierwszy ogłaszamy:

Z NILU.

Do*

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie... z dalekiéj krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie... i długo nas ludzie

Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconéj...
Nie wiem, czyś ją znalazła beze mnie... czy jeszcze
Smutną pod płaczącemi wierzbami zastaje
Biały księżyc [1])... O moja miła, siostro duszy,
Jak ci zimno być musi... we wrześniowych nocach
Oświeconéj czerwonym światełkiem kominu,
W którym wilgotne płaczą gałęzie... W Szwajcarów
Ziemi łuk dawny Tella, jaśniejszy niż słońce,
Przez sześć miesięcy roku... Jam się bardzo zręcznie
Zimie sypiącéj za mną śniegami wywinął,
Słońce błyszczy mi złote — mógłbym tobie posłać,
Zamiast zwiędłéj rozmowy, pod myślącem słońcem
Róże dziś rozwinięte i świeże, myślące...
Lecz na co tobie róże — ty, co kwiaty wdowie
Rwiesz na łąkach i niemi ubierasz słomiany— kapelusz [2])...

Vch

Oddalenie miejsca i czasu zatarło te uczucia, którym zawdzięczamy najpiękniejsze kwiaty poezyi romantycznéj, a mylne doniesienia, rozsiewane o jéj zamęściu z Chopin'em, owym „aniołem z siedmiu pedałów z ząbkami z klawiszów“, którego wybrać miała rzekomo z powodu jego podobieństwa z Juliuszem—położyły kres całemu stosunkowi.

Stąpającemu po ruinach poecie nasuwały się nieraz smutne myśli, którym i w dzienniczku dawał wyraz przelotny. Oto jedna z takich refleksyi, nastrojonych na ton wiersza „Smutno mi Boże“, tu po raz pierwszy ogłoszona:

„Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika
Walka jest wieczną? czyliż dni człowieka,
Nie są na ziemi jak dni najemnika?..
A jako sługa odpoczynku czeka,
A robotnik czeka swéj zapłaty,
Tak mnie miesiące, co przynoszą straty,
Dałeś, o Boże, i stroskane noce;
A gdy położę się, myślę o wstaniu,
I myślę tylko o prędkiém świtaniu,
I do świtania się nędzny kłopocę [3]),
A skórę moją robactwo już natacza,
I proch jest na niéj—i w kawały pada....

---

[1]) Przekreślono: (Czy jeszcze) Ten brylancik na ślubny twój pierścionek zgodny
W głębi fali spoczywa.

[2]) Ostatnie wiersze przekreślone, a wiersz na słowie „kapelusz“ urwany.

[3]) I pytam kiedy słońce zamigoce,
I niespokojny jestem o świtaniu. (Przekreślono).

Po trzydziestodniowéj podróży na Nilu, odpocząwszy przez kilka dni w Kairze, wsiadł poeta z towarzyszami na wielbłądy i, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami puścili się przez pustynię z Kairu do Gazy. Czas był najpiękniejszy.

„Droga przez pustynię—zapisuje w Dzienniku poeta—wielbłądy karmiące się idą wolno, podróżny zamienia się w pasterza[1]).

Dzień 15 Decembra (1836), nocujemy w grobowcu Szeika—budynek biały z kopułą—drzewo wielkie i puhacz śpiewający w nocy—okienko do grobu nad nami—wielbłądy przed grobem pod drzewem[2])—dalsza droga — obozowanie[3]), sarny po pustyni biegają[4]). Modlę się wieczorem, sam odszedłszy na wzgórze i, wracając, widzę obóz w dolinie.—D. 18 (Decembra) kilka lasów palmowych – nocleg w namiocie, rozbitym pod palmą – życie stepowe – krzaki palące się[5]).

Mojżesz.—D. 22 (Decembre). Przybywamy do El-Arisch—kwarantanna pod namiotami na piasku[6]), dobrze nam.—Wigilia B. Narodzenia. Kolęda[7]), noc okropna, burze i pioruny nie do opisania—rzeczka wylewa nad rankiem,—potop doliny—uciekamy z rzeczami na górę — smutny dzień B. N.[8]). Doktor opowiada, jak w kwarantannie siedzący starzec przez 3 miesiące 9 osób utracił na zawsze i został

---

[1]) Dla uzupełnienia, podaję odnośne miejsca z listów Słowackiego do matki: „Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas, jak pasącą się trzodę".

[2]) „Pierwszą noc spędziliśmy w grobowcu świętego tureckiege, była to mała, biała kapliczka z kopułką — święty nieboszczyk leżał po jednéj stronie, my po drugiéj — cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy z ś. p. komunikacyę,—wielbłądy leżały wieńcem koło ogniska przed grobowcem—nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którém całą noc śpiewa puszczyk."

[3]) „Potém co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot".

[4]) Małe różne wydarzenia takiéj popróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają ją dziwnie—czy to kilka gazeli skaczących"...

[5]) „Zachody słońca pyszne—krzaki cierniowe, palące się lekkim płomykiem, ak koronki brabanckie".

[6]) „Przyjemna podróż w pustyni, ażeśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotem dni 12 kwarantanny".

[7]) „Rozłokowaliśmy się nareszcie na tym piasku—i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia; wieczorem, towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, któréj wysłuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojéj budzie".

[8]) „Wieczór nadszedł.... w tém niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, t. j 13 godzin — nie możecie sobie wyobrazić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących

sam z bratem. Scena Danta[1]). Dragoman d. 28 wieczorem opowiada mi o Mahomecie, o rozmowie jego z sarną i wielbłądem, chodzimy nad morze po muszle. D. 29 Decembra.—Soliman opowiada mi o powstaniu górnego Egiptu.—Szech-Achmet bronił przeciw Turkowi kobiety gwałconéj,—cała wioska Szecha blisko Dendery powstała—potém cały, od Essonau aż do Siut, kraj. Szech dawał amulety, broniące od śmierci, zastawiał stoły, jak Chrystus, niewyczerpane w jadle, — przeciwko Achmetowi Baszy bił się, i widząc niegodziwość i podłość ludu, rzucił sprawę.—Około tego czasu wybuchnienie cytadeli w Kairze.—Wigilia Nowego Roku.—Poema Hara Filedziut o wyspie Philae—wieź kwiatów.—Nowy Rok—rozmarzony jestem—pliszka—Wiersz do Brzozowskiego (nieznany). 1 Stycznia, ostatni dzień kwarantanny—jutro wyjeżdżamy—ziemia zieleni się—rodzaj hyacyntów—nocleg—chan—derwisz—spotkanie Francuzów — 4 Stycznia przejazd do Gazy—Khan—stancyjka turecka". Z zapisków tych poety najważniejszym jest dla nas opis przygody w El-Arisch, i owo opowiadanie lekarza, jako zawiązek „Ojca Zadżumionych". Od téj lakonicznéj, ale pierwotnéj i bez pośredniéj, do prawdy najbardziéj zbliżonéj, formy, dadzą się palcem wskazać ślady miejsc, któremi kroczyła fantazya poety od „Dziennika" przez „Korespondencyę" „Do przedmowy" na wstępie do „Ojca zadżumionych", aż w tym pochodzie ewolucyjnym skrystalizowała się we wspaniały posąg rozpaczy—w „Ojcu zadżumionych.

Analiza téj końcowéj przemiany wychodziła-by już po-za ramy niniejszego artykułu. Słowacki zapisywał nietylko wrażenia z podróży, rzucał on także w „Dzienniku" pierwsze kontury do swoich poezyi. Wymieniam dwa takie zarysy poematów, dotychczas nawet

---

w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, któréj każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalana, zawsze gasła—deszcz przedarł się przez płótno namiotu – a kałuże, podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszcz lekki tylko pozostał — wyszedłem, aby zobaczyć, co się dzieje z moim towarzyszem, i winszowaliśmy sobie wzajemnie — wtém patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białemi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty—zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok téj nowéj inundacyi nowym był dla mnie; wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie; tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutnie suszącym się na górze.

[1]) Dalsze przygody podróży podaje jedynie niniejsza zapiska w „Dzienniku"; w korespondencyi bowiem, ani w poezyach Słowackiego, nie masz o nich żadnéj wzmianki.

z imienia nieznanych, z których pierwszy p. t. „Rhamezes“ powstał pod wrażeniem zwiedzanego przez poetę grobowca Ramzesa, drugi odnosi się do doby współczesnéj.

Plan Rhamezesa.

Część I. Rhamezes po tryumfie postawił grób.—Homer—Siostra i żona Rhamezesa. — Aleja sfinksów przy kościele Typhona.— Samobójstwo, miecz pod Kamieniem. — Żal siostry — każe miłości historyę wyryć na obelisku i serca nabalsamowanego nie wyjmować, — potém węża przykłada do piersi,— i złożona w jednym alabastrowym sarkofagu. — Charon.— Hymn dziewic. — Sąd przed statuami Memnona. (Monolog przy zachodzie słońca — figura żórawi —apostrofa do Memnona). Homer, odchodząc do Grecyi, śpiewa—Chór.

Część II. Oślarz Hanut. — Chata gołębiami otoczona. — Zgon staréj Arabki.—Hanut widzi rozbicie sarkofagu. — Góra nad Memnonem. — Monolog młodego Araba.—Żórawie—przepływa Nil—idzie do Karnaku — Aleja sfinksów zarosła palmami— Rozwaliny Typhona—Pustelnik Tebaidy—Widzenie Hanuta całych Thebów, przerwane śpiewem... Miecz Rhamezesa— Dziewczyna wiejska donosi, że ma gołębia, dziesiątak i osła, zabrane dla syna Baszy—Hanut przeklina—Rada z pustelnikiem —idzie do Komir, dowiaduje się, że Baszy syn zginął w płomieniach właśnie o godzinie przekleństwa—Młoda Daphne uratowana od Beduinów — Dwa tysiące lat życia darowane dyablu—Hymn duchów.....

Część III. Oazir Sivach—życie kochanków—omdlenie miłości—Scena z dyablem—Ostatnie tysiąc lat darowane—miłość dla młodéj Arabki, która piersią tłucze zwierciadło czarownika— Daphne daje kochankom życie nowe (?).—(Części IV brak) i Zakończenie: ogromna biesada duchów w kościele Ipsabala.—Śmierć Araba.

Plan drugiego poematu.

Pieśń I. (Zgon poety—cisza—ksiądz—ostatnia godzina—jezioro—zachód słońca.

II. Obudzenie się)—Dante—(Kraj nowy, wicher płacze)[1]).
III. Dzieci—Tonio.
IV. Spalenie się człowieka na koniu—próchno.
V. Forteca (obłąkany, trują go).
VI. Chata—jabłoń gwiazd.
VII. Uczta jeńców pijanych.
VIII. Noc—życie poety.
IX. Wilki—ciało jeńca.
X. Jama—historya.
XI. Dalszy ciąg—zgon kobiety—
XII. Druga śmierć—ostatnie światło—
XIII. Mewy—słońce na wschodzie—Boże Narodzenie.
XIV. Cień matki—przeczucie—koło ogniste—
XV. Cmentarz—gil-palą kości—
XVI. Uczta duchów—zorza północna—Anieli Piasta—
XVII. Omdlenie śmierci—Dante i Anioł—
XVIII. (Orzeł świętych—Dante tłómaczy)
XIX. Dante znika—Anioł w podziemne prowadzi kraje—
XX. Sen jeńców—zgon księdza—
XXI. Rąbanie skał rozżarzonych—spalenie nogi—
XXII. Odpoczynek nad solném jeziorem.
XXIII. Przez rózgi—starzec łańcuchami bity.
XXIV. Wielki kolos
XXV. Świecznik biblijny—
XXVI. Gwiazda sumienia—
XXVIII. Drzewo pod deszczem ognistym.

Z tego ostatniego utworu zachowały się tylko urywki, kilkadziesiąt tercyn, które, o ile się odczytać dały, ukazują się tu pierwszy raz z druku.

Pieśń III.

Gdym podniósł myślą w dół nagiętą głowę,
Wielce zdziwiłem się ciemnością nocy,
Nie pomnąc, jako zeszły mgły różowe.

---

[1]) Wyrazy i zdania w nawiasie przekreślił poeta w autografie i zaznaczył na boku podobno odmienny *układ* pieśni. Obok „Dantego“ w pieśni II, dopisano 1, 2, Obok pieśni XIX liczbę 3 i 4, a obok pieśni V liczbę 5.

I gwiazd ujrzałem wiele wielkiéj mocy,
I między niemi lutnię, z gwiazd uwitą,
Na któréj bije godzina północy.

Poznałem ziemskie niebo!—ale czy to
Ziemia, czy morze, czy było co trzecie,
Nie mogłem wiedzieć, mgłę widząc obfitą.
. . . . . .

Lecąc z lotnemi przeciw mnie gwiazdami,
Znaleźliśmy się pod ogromną górą,
O któréj czoło grad bił wielki krami.

Lecz widać było, że za gradu chmurą
Świeciło dzienne światło—bo kryształy
Rzadsze iskrzyły się jasną purpurą.

Rzekł mi ów wielki: „Masz ty serce—cały
Oddać się mojéj władzy i opiece?
Ja ci powiadam, że duch jestem biały“.

Rzekłem: „Jest fala na wypadków rzece,
Jeśli się rzuci człowiek z nią, popłynie
Aż na wierzch ludzi—w szczęśliwych fortecę;

Lecz jeśli raz się z tą falą ominie,
To całe jego życie płynie smętne
Nędzą i bólem... W młodości godzinie

Ja się minąłem.—I dziś serce mętne
Nie dba, gdzie idzie, z kim i komu wierzy,
Już zmordowane tém, co mu pamiętne;

Ale przepaście wszystkie chętnie mierzy,
Probując szczęścia, co, zawrotem głowy
Sprawione, myślą i krwią je rozszerzy.

A więc mię prowadź na wierzch piorunowy
Posępnéj góry“. Mówiąc, z wielkim trudem
Szedłem, po śladach czyniąc ślad nie nowy.

I tam, gdzie miasta, grzesznym pełne ludem,
W ciemném powietrzu zabiły-by grady,
Dante prowadził mnie żywego cudem.

Wszedłszy nad obłok na szczyt lodowaty,
Gdzie chyba kociół jakiéj grzesznéj jędzy
Warzył kość zmarłych i jaszczurek gnaty,

Na spóźnionego Dant zawołał: Prędzéj,
Abyś obaczył dwie dnia pory w jednéj:
Światła krainę światłą i kraj nędzy.
. . . . . .

„Dziennik z podróży“ służył też Słowackiemu do studyów etnograficznych zwiedzanych przez niego krajów. I tak n. p. z dzieła de Morie: „Histoire critique de la créance et des coutumes des nations du Levant“ porobił sobie wypisy sekt religijnych Lewantu.

1) „Nestoryanie czyli Chaldejczycy, albo Assyryjscy chrześcianie.

2) Syryanie, inaczéj Jacobici, od Jakóba Baradeusza, czyli Zauzale, jednego z uczniów Eutychesa i Dyoskura w szóstym wieku—potępieni przez Konsylium Chalcedońskie—głównie mieszkają nad rzeką Tigris.

3) Kopty.

4) Armeńczycy, potępieni przez Konsylium Chalcedońskie—utrzymują za Eutychesem jedną naturę w Chrystusie—wino bez wody.

5) Greki.

6) Łacinnicy.

7) Etyopy“.

Z jaką sumiennością studyował poeta strój arabski, którego w części sam w podróży używał, tego dowodzi następujące miejsce w „Dzienniku“ „*Ubiór kobiecy.* – Spodnie szerokie (szentian), długa tunika (yelek) otwarta na piersiach—jupka nakształt żupana (saltach), pantofle (merkub). Stołeczki, na których chodzą w Alepie, wykładane macicą (kalkaf). Głowa w tarbuszu obwiązana (tarrah) woalem. Włosy splecione i opatrzone kulkami złota (sufa), paznogcie kamoą (Lausonia inermis). Powieki koholem, płaszcz, gdy wychodzą, w Syryi zwie się Seblech, a zasłona muślinowa: barczo.“

„*Ubiór mężczyzny:* (kamys) koszula, (libas) spodnie, (khezam) pas, za którym kałamarz albo pistolety, (hanżar) nóż, (khatim) pierścień z napisem (jego sługa), Dżiube żupan, takia mycka, tarbusz, Emameth turban, Abbayeh płaszcz zimowy w pasy“.

Na innéj karcie zostały ślady nauki języka arabskiego, którym się posługiwać trzeba było z konieczności na Wschodzie. Oto kilka takich wyjątków z „Dykcyonarza arabskiego“: Minszami = mój, minszanah = twój, i t. p. zaimki, sabach el bel hajer ja choloden = dobry dzień; Ma sik el bel hajer = dobranoc, Szach-hada = co to? Dżanent kois = dziewczyna piękna, Pus = pocałunek, Athem = noc, kamar = gwiazdy i t. p. około 60 słów arabskich. Na końcu następują liczby: 1 = oa, 2 = etetnin, 3 = talatu, 4 = arba, 5 = charusi, 6 = saba, 7 = setta, 8 = tomani, 9 = teszera, 10 = aszaz i t. p. aż do 1000 - elf.

Na innem miejscu notuje: „El ethe = ciemno, moghrib = zachód słońca, gruszki = inżam, pomarańcze = narindże, liemun = cytryny“ i t. p. W korespondencyi z matką wspomina, że rozmawia z dziewczętami syryjskiemi po arabsku, chociaż jego „cały arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń.“

Zwiedziwszy w przeciągu niespełna pół roku Grecyę, Egipt i Syryę, podążył poeta do Ziemi Świętéj, ostatniego kresu swéj na wschód wędrówki. Zwiedził wszystkie ważniejsze miejsca, wspomniane w Piśmie Świętém. U bram Jeruzalem stanął dnia 13 Stycznia 1837 r. W tym czasie zapisał sobie w dzienniku „Bramy w Jerozolimie“:

1) „Brama Jafy, 2) Damaszku na północ (Bab es Szam) 3) Ś. Stefana do Oliwetu, 4) Złota brama, zamurowana, do meczetu Omara, 5) Syońska na zachód, 6) Sterhibuska dla pieszych“. Następują potém notatki miejsc zwiedzonych; „Droga do Nazaretu, Bir-Napluza, czyli Sychem dawne, góra Garizim, skąd Jozue klął Samarytance, Sabasta dawna Samarin, tysiąc kolumn. Dzenin, na wejściu do Izdralznu“. (?) Z klasztoru libańskiego Bet-chesz-ban (nazwisko to podane mylnie w listach Słowackiego, 1885 I. 252 i 264 i w monografii Małeckiego 1881 II 73 i 88, oznacza w języku syryjskim: Spoczynek umarłych) obserwował niebo gwieździste, a jedną taką konstelacyę gwiazd naszkicował w Dzienniku z napisem: „Niebo widziane w Bet-chesz-ban, dnia 29 Marca 1837 r. o godzinie 8 (wieczorem)“. Bawiąc w klasztorze spisywał legendy z ust zakonników: „Mnich opowiadał mi legendę o pewnéj Maryi Hiszpance, która zakochała się w dyable, dla niego naprzód wyrzekła się Chrystusa, lecz kiedy ją prosił kochanek, aby odmieniła imię swoje chrzestne, nie chciała na to zezwolić, nareszcie, po długich naleganiach dyabła, zezwoliła na odjęcię ostatniéj litery i została Mari, potém na drugie prośby, jeszcze mu jedną literę oddała, aż nakoniec zostało jéj tylko M i nazywała się Ema. Ta dziewczyna, znajdując się na tragedyi świętéj Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia, i dyabeł ją rzucił w powietrze“. Następuje potém „legenda o rybach na Libanie skamieniałych, które Chrystus sam u rybaków chcąc dostać, gdy mu odpowiedzieli, że to są kamienie, istotnie w kamienie przemienił;“ wreszcie „legenda o Maryi, która, mając się za mężczyznę, żyła w grocie pomiędzy pustelnikami Libanu, i raz przez kobietę nierządną oskarżona, że była ojcem syna téj kobiety, za karę musiała tego syna, jak swojego, wychowywać i żywić z jałmużny; dopiero śmierć odkryła, że grzechu popełnić nie mogła, o który ją oskarżano, i uznana za świętą“.

W klasztorze odpocząwszy po niewygodach podróży i natłoku różnorodnych wrażeń, którym ledwie zmysł wzroku wydołał, wrócił poeta do portowego miasta Bajrutu, skąd odpłynął okrętem do Europy. Dnia 17 Czerwca 1837 był już na miejscu. Wracał ze świata poezyi do prozy życia. Rzeczywistość wydawała mu się powszednią, wypłowiałą — duszną. — „Prawda to, co powiadają ludzie wschodni,—pisał

w swoim powrocie w jesieni 1837 r.,—że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to, jeżeli może, nazad tam znów powraca, pomimo niewygód ciągłéj podróży — tak tam dziwne i lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje—poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło...“

D-r Henryk Biegeleisen

Emerytura dla robotników.

Ustawa niemiecka z 22 Czerwca r. 1890. Projekt francuski.

„Wyraziliśmy już przekonanie swoje, że uleczenia niedomagań społecznych nie należy szukać wyłącznie w represyi przeciwko wybrykom socyalno-demokratycznym, lecz zarazem w pozytywnéj działalności dla dobra robotników. Uważamy sobie za obowiązek monarszy przypomnieć parlamentowi to zadanie, a bylibyśmy radzi, gdybyśmy zdołali ojczyźnie naszéj zapewnić nowe i trwałe gwarancye pokoju wewnętrznego, a tym, co potrzebują pomocy, trwalsze i w szerszych rozmiarach zastosowane poparcie.

„W téj intencyi przedewszystkiém zostanie przerobiony — w myśl wyrażonych podczas dyskusyi życzeń — przedstawiony parlamentowi w czasie ubiegłéj sesyi projekt ubezpieczenia robotników od wypadków. Uzupełni go zaś ustawa, mająca na celu jednolitą organizacyę kas chorych dla robotników w przemyśle. Atoli także ci, którzy skutkiem podeszłego wieku lub kalectwa utracili możność zarobkowania, mają wobec całości społeczeństwa uzasadnione prawo do opieki państwowéj w szerszych rozmiarach, niżeli dotychczas.

„Nie łatwo jest znaléźć właściwe dla téj opieki środki i drogi, ale jest to jedném z najszczytniejszych zadań każdego społeczeństwa, które opiera się na moralnych podstawach życia chrześciańskiego.

Ściślejsze połączenie się z realnemi siłami życia narodowego i zespolenie tych ostatnich w formie stowarzyszeń korporacyjnych, pod opieką i przy pomocy państwa, umożebnią także spełnienie tych zadań, które przechodzą siły samego państwa. W każdym razie i na téj drodze cel tylko za pomocą poważnych środków będzie mógł być osiągnięty."

Powyższemi słowy zagaił cesarz Wilhelm I 17 Listopada r. 1881 sesyę parlamentu niemieckiego, określając program reform społecznych, zamierzonych przez rząd jego. Rychło przystąpiono do urzeczywistnienia tego programu. W r. 1883 zaprowadzono obowiązkowe ubezpieczenie robotników na wypadek choroby, z wyłączeniem robotników, zajętych w rolnictwie; w r. 1884 weszła w życie ustawa o zabezpieczeniu robotników od wypadków, a nareszcie od 1 Stycznia r. b. obowiązuje, uchwalona w Maju r. 1889, opatrzona sankcyą cesarską z 22 Czerwca tegoż roku, ustawa, zabezpieczająca los robotników, którzy skutkiem okaleczenia lub podeszłego wieku stali się niezdatnymi do pracy. (*Gesetz betreffend die Invaliditäts und Alterversicherung*).

Wszystkie trzy rodzaje ubezpieczenia, uzupełniając się, stanowią niejako organiczną całość. Pierwsze ma na celu zapewnienie losu robotnika, gdy go dotknie choroba. Drugie zabezpiecza mu egzystencyę, gdy, przy wykonaniu pracy zawodowéj, spotka go wypadek, sprowadzający niezdolność do dalszego zarobkowania na siebie i rodzinę, a jeżeli wypadek pociąga za sobą śmierć robotnika, ustawa rodzinie jego zapewnia wsparcie. Nareszcie ostatni rodzaj ubezpieczenia, na mocy ustawy z 22 Czerwca r. 1889, o któréj tu zamierzamy mówić, ma przedewszystkiém zapewnić robotnikowi względnie spokojną starość, daléj i wtedy go nie pozostawić bez opieki, gdy stanie się niezdatnym do pracy, z przyczyn, nie objętych ustawą o zabezpieczeniu od wypadków, mianowicie skutkiem wycieńczenia sił i t. p.

Pierwsze dwie ustawy uchwalono jeszcze za życia i rządów cesarza Wilhelma I, trzecia, aczkolwiek w mowie tronowéj z 17 Listopada 1881 r. przewidziana i podczas panowania jego przygotowana, jest już owocem rządów młodego cesarza Wilhelma II.

„Jako drogą spuściznę po spoczywającym w Bogu dziadku moim — mówił cesarz Wilhelm II przy zagajaniu parlamentu, d. 22 Listopada r. 1888 — przejąłem zadanie prowadzenia daléj, rozpoczętego przez niego, ustawodawstwa socyalno-politycznego. Nie łudzę się tém, iżby środki prawodawcze mogły usunąć ze świata biedę tegoczesną i nędzę ludzką; mniemam jednakże, iż zadaniem władzy państwowéj jest pracowanie nad złagodzeniem niedomagań ekonomicznych i stwier-

dzenie, w drodze urządzeń organicznych, iż spełnianie dzieł miłości bliźniego, powstałéj na gruncie chrześciańskim, jest obowiązkiem społeczeństwa, jako całości państwowéj. Wielkie są trudności, na jakie natrafić musi obowiązkowe ubezpieczenie wszystkich robotników przeciwko skutkom podeszłego wieku i niezdolności do pracy, ale, przy pomocy Boskiéj, pokonać je można. Rząd przedstawi wam, panowie, projekt ustawy, owoc wyczerpującéj pracy, który zaproponuje możliwą ku osiągnięciu celu drogę."

Z orędzi obu cesarzów widzimy, iż w niemieckich kołach rządowych zdawano sobie dokładnie sprawę z kolosalnych trudności, na jakie koniecznie natrafić musiało dzieło zabezpieczenia milionów robotników przeciwko różnym losu kolejom i niedomaganiom ekonomicznym. Już cesarz Wilhelm I przewiduje, że zadanie to będzie można tylko spełnić przy współdziałaniu różnych czynników, a więc robotników samych, pracodawców i państwa; że daléj, na skarb państwa poważne z tego tytułu spadną ciężary; a Wilhelm II motywuje potrzebę przejęcia podobnych ciężarów tém, iż społeczeństwo, jako całość, zorganizowana w państwie, ma obowiązek manifestowania w ten sposób miłości chrześciańskiéj i wprowadzenia jéj do organicznych urządzeń swoich.

Z temi przekonaniami i tém poczuciem przystąpiono do spełnienia zadania. Rząd niemiecki pragnął, aby przygotowania były wszechstronne i wyczerpujące. Ułożono tedy przedewszystkiém ogólne zasady i ogłoszono je w d. 17 Listopada r. 1887, otwierając tém samém nad niemi dyskusyę publiczną. Na podstawie tych zasad ogólnych opracowano projekt ustawy, który, pozyskawszy w Kwietniu r. 1888 aprobatę cesarza Fryderyka III, dostał się do niemieckiéj Rady związkowéj, gdzie osobna się nim zajęła komisya. W formie, uchwalonéj przez komisyę, ogłoszono cały projekt na nowo w Lipcu r. 1888. W jesieni tegoż roku radziła nad nim Rada związkowa, a dopiero w końcu roku projekt ustawy wraz z wyczerpującemi motywami odesłano do parlamentu Parlament oczywiście téż go przekazał osobnéj komisyi, która zajmowała się nim na 43 długich posiedzeniach, radząc pod przewodnictwem ówczesnego prezesa centrum katolickiego, bar. Frankensteina. W komisyi przyjęto projekt 22 głosami przeciwko 5. W pełnéj izbie referował o nim bar. Manteuffel.

Łatwo wyobrazić sobie, że w prasie pojawiło się ocen i krytyk projektu bez liku. Pruska rada ekonomiczna zajmowała się nim zarówno, jak i niemiecki wiec handlowy i centralny związek przemysłowców niemieckich. Z wielu stron podniesiono bardzo poważną przeciwko niemu opozycyę, która ulękła się mianowicie ogromnych ciężarów, jakie reforma ta sprowadzić musi na skarb państwa, ciężarów,

których wysokości wcale z góry nie można było dokładnie obliczyć, bo brakło wszelkich ku temu danych. Ostatecznie jednakże, po wyczerpującéj w parlamencie dyskusyi, cały projekt, przy głosowaniu imiennem, przyjęty został niewielką większością 20 głosów. Posłowie socyalno-demokratyczni głosowali przeciwko reformie, nie dlatego, iżby ją uważali za złą, lecz dlatego, że, według ich zdania, robotnikom dawała zamało. Minister Böttticher porównał ich stanowisko w téj sprawie z zachowaniem się głodnego, który nie przyjmuje na zaspokojenie głodu chleba z masłem, ponieważ sądzi, że mu się należał do tego kawałek mięsa.

Przedstawiwszy powyżéj najważniejsze momenta z historyi ważnéj reformy społecznéj, jaką jest zastosowane świeżo w Niemczech ubezpieczenie, zaznaczyć musimy, iż pierwotny projekt, dzięki wyczerpującéj i wszechstronnéj ocenie krytycznéj, w okresie przygotowawczym niejednéj doznał zmiany. Pozostały następujące zasadnicze podstawy całego systemu ubezpieczenia:

1. Ubezpieczenie losu robotnika na starość i na wypadek niezdolności do pracy obejmuje robotników wszystkich kategoryi, oddających pracę swoją w najem za pewną płacę, i jest dla nich przymusem. Rada związkowa ma prawo rozciągnąć asekuracyę także na ludność, zajmującą się przemysłem w domu. Gdy ubezpieczony przestaje należéć do stanu robotniczego, może się pomimo to zabezpieczyć na rentę przez dalsze regularne opłacanie składki.

2. Ustanawiają się dwa rodzaje rent, mianowicie: a) renta dla robotników, którzy stają się niezdolnymi do pracy, bez względu na ich wiek; — im dłużéj trwa ubezpieczenie, tém wyższą staje się tu renta; b) renta dla starców, którą robotnik pobiera z chwilą skończenia 70-go roku życia, bez względu na to, czy jest jeszcze zdolnym do pracy i zarabia, czy téż nie. Los wdów i sierot po robotnikach ustawą niniejszą nie został zabezpieczony, ale uzupełnienie jéj w tym kierunku jeszcze jest w projekcie. Dla pozyskania prawa do renty dla inwalidów trzeba przynajmniéj przez 5 lat opłacać składkę, przy rencie dla starców przynajmniéj przez 30 lat. W czasie choroby lub służby wojskowéj robotnik składki nie opłaca, w czasie służby wojskowéj płaci ją za niego skarb państwa.

3. Składki na rzecz ubezpieczenia opłacają: pracodawca, robotnik i skarb państwa. Dla ściągania składek od pracodawców i robotników przyjęto system marek.

4. Celem przeprowadzenia systemu ubezpieczenia, zakładają się osobne istytucye asekuracyjne, w których biorą udział zarówno pracodawcy, jak i robotnicy. O udzielaniu rent decyduje zarząd, od téj decyzyi atoli wolno odwołać się do sądu rozjemczego, a w razie, gdy

decyzya uchybia jakowemu przepisowi prawnemu, wolno żądać rewizyi jéj w urzędzie asekuracyjnym Rzeszy (*Reichsversicherungsamt*).

5. Wypłatę rent uskuteczniają urzędy pocztowe.

Co do kwestyi zasadniczych, które wywołały spory i uległy zmianie, wypada zaznaczyć, iż pierwotny projekt rządowy chciał jedynie ubezpieczyć robotników. Parlament wprowadził zmianę, iż pozwolił przyjmować, jako asekurujących się dobrowolnie, wszystkich, którzy bądź to przemysłem domowym się zajmują, bądź też prowadzą w domu jakieś rzemiosło lub proceder. Mając na uwadze, iż los tych ludzi, pod względem materyalnym, bardzo często jest gorszy od losu zwykłych robotników, pracujących u ludzi obcych za najem, zmianie téj tylko przyklasnąć można.

Zupełne zmiany zaprowadzono w kwestyi *wysokości i obliczania rent*. Pierwotną intencyą, wyrażoną w publikowanych najpierw zasadach ogólnych, było wprowadzenie równéj renty dla wszystkich inwalidów, która tylko wzrastała-by, im dłużéj robotnik opłacał-by składki. Późniejszy projekt ustawy, wniesionéj do parlamentu, ustanawiał pięć kategoryi rent, zastosowanych do różnych miejscowości, według warunków życia w poszczególnych miejscowościach. Parlament zmienił to, zaprowadzając podział na cztery klasy, zastosowane do wysokości pobieranéj przez robotników płacy.

Przyznać trzeba, iż ostateczny, przez parlament obrany system, jest najodpowiedniejszy. Ponieważ składka musi być zastosowana do wysokości renty, która ma być pobieraną, więc w razie równéj renty i równych składek, z jednéj strony, dla robotników, pobierających niską płacę, opłata składki była-by nadmiernym ciężarem; z drugiéj strony, dla jednego robotnika może renta dochodziła-by do wysokości 80% jego zarobku, dla drugiego, który więcéj zarabiał, nie wynosiła-by więcéj nad 30—40%, co nie odpowiadało-by celowi zabezpieczenia mu starości. Najsprawiedliwszy znów system: pobierania składki asekuracyjnéj ściśle w stosunku do pobieranéj przez robotnika płacy i ustanowienia równie ściśle, dla każdego z osobna, renty w stosunku do składki, pociągnął-by za sobą tak kolosalne trudności przy obliczaniu, mianowicie w pierwszych latach istnienia asekuracyi, że zastosowanie go uznano za niemożliwe, a wszystkich robotników podzielono na 4 kategorye, o których pomówimy jeszcze późniéj, gdy przejdziemy do szczegółów ustawy.

Do najważniejszych zmian, poczynionych przez parlament w projekcie ustawy, należy zmiana w systemie *obliczenia składki*. Projekt rządowy miał na oku wprowadzenie stałych składek. Norma tych składek była obliczona według zasad, zastosowanych w towarzystwach asekuracyjnych. Skutkiem tego jednakże trzeba było też za-

strzédz, że w razie nieopłacania składek przez pewną część ubezpieczonych, np. podczas choroby, renta nie dosięgnie spodziewanéj wysokości. Otóż w parlamencie przeważyło przekonanie, że podobne ewentualne zniżenie renty wywołało-by wielkie niezadowolenie, a trudno było-by wytłómaczyć robotnikowi, dlaczego nie pobiera tak wysokiéj renty, jaką mu ustawa przyrzekła. Parlament zarzucił tedy t. zw. system premiowy, polegający na opłacaniu stałéj, niezmiennéj premii, a przyjął zasadę, iż składki mają być ustanawiane peryodycznie, i to w téj wysokości, aby wypłacanie wszelkich rent było zapewnione. Na początek ustanowiono je na lat dziesięć, t. j. na czas od 1 Stycznia r. 1891 do 31 Grudnia r. 1900; późniéj co pięć lat norma składek ma być zmienianą. Nie ulega kwestyi, iż w miarę zwiększania się zobowiązań do opłacania rent będzie téż wzrastała wysokość składek; na początek jednakże nie będzie to znaczne, na pierwsze dziesięć lat bowiem, ze względów ostrożności, składki stosunkowo wysoko zostały unormowane. System obliczania składek, przyjęty tutaj (nazwany po niemiecku *Kapitaldeckungsverfahren*), jest nowy. W ustanowionych poprzednio rodzajach asekuracyi przyjęto albo system stałéj premii, albo system corocznego rozkładania powstałych istotnie ciężarów na zabezpieczonych (*Umlageverfahren*). Zaznaczyliśmy już, dlaczego nie przyjęto stałych składek; zasady corocznego rozkładania ciężarów nie można było téż przyjąć, bo ciężary te, z początku niskie, będą z czasem olbrzymio wzrastały, więc i składka musiała-by w tym stopniu wzrastać. Lepiéj tedy było unormować od razu składkę cokolwiek wyżéj, a nagromadzone rezerwy uchronią od potrzeby podnoszenia opłaty bardzo znacznie.

Wspomnieliśmy już o tém, iż ustawa przyjęła zasadę, że *skarb państwa dopłaca* do każdéj renty pewną kwotę. Według pierwotnego projektu, dopłata miała wynosić $^1/_3$ renty,—uchwałą parlamentu, przyjętą przez rząd, dopłata unormowaną została na 50 marek.

Co do *organizacyi* całego systemu asekuracyjnego, różne téż były zdania i projekta. Ogrom asekuracyi, która obejmuje przeszło 11 milionów ubezpieczonych, nie pozwala na scentralizowanie wszystkiego w jednéj instytucyi. Przy zaprowadzeniu ubezpieczenia od wypadków, organizacyę w ten sposób przeprowadzono, iż utworzono grupy asekurowanych według zawodu. Rząd proponował, aby obecne, najnowsze ubezpieczenie, opierało się o istniejącą już tamtą organizacyę. Parlament jednakże innego był zdania. Podział ubezpieczonych według zawodów niewątpliwie ma pewne uzasadnienie przy asekuracyi od wypadków. Niebezpieczeństwo co do wypadków bowiem w różnych zawodach bywa rozmaite. Przy ogólném ubezpieczeniu inwalidów i starców jednakże podobny system byłby nieuzasadniony,

przyjęto tedy po prostu podział terytoryalny, jako najodpowiedniejszy w tym razie, tworząc z krajów i prowincyi poszczególne okręgi.

Nareszcie projekt rządowy proponował zaprowadzenie książeczek, obliczonych na kilka lat, w których miało być zapisywane pokwitowanie z opłaconéj składki. Parlament przyjął natomiast karty roczne, na które nalepia się marki osobne, sprzedawane we wszystkich urzędach pocztowych na różne kwoty.

Ograniczamy się do wyliczenia powyższych głównych zasad asekuracyjnych i szczegółów organizacyi, co do których różne były poglądy i zdania, a przechodzimy obecnie do przedstawienia treści saméj ustawy z 22 Czerwca r. 1889.

Ustawa podzielona jest na sześć rozdziałów o 162 paragrafach. Tytuły i treść poszczególnych rozdziałów są następujące: I. O rozmiarach i przedmiocie asekuracyi. II. Organizacya. III. Sądy rozjemcze. IV. Procedura. V. Nadzór. VI. Przepisy różne, kary, postanowienia przejściowe.

Podstawą zasadniczą jest przymus asekurowania się dla wszystkich, którzy, jako robotnicy, pomocnicy, czeladź lub służba, pracują za pewną płacę. Daléj przymusem asekuracyjnym są objęci: subjekci handlowi i uczniowie, których płaca roczna nie przechodzi 2000 marek (z wyjątkiem prowizorów aptecznych), nareszcie osoby, należące do załogi niemieckich okrętów morskich i statków żeglugi wewnętrznéj. Rada związkowa ustawę niniejszą może także rozciągnąć na drobnych przemysłowców samodzielnych, którzy we własnych warsztatach pracują na rachunek innych, bez względu na liczbę robotników, jaką zajmują. Daléj i na wszystkich przedsiębiorców, którzy nie zajmują stale jednego robotnika. Obowiązkowi temu natomiast, na mocy téj ustawy, nie podlegają: wszyscy urzędnicy państwowi, daléj wojskowi, urzędnicy komunalni, mający prawo do emerytury, a Rada związkowa może nareszcie wykluczyć pracowników innych instytucyi, którzy, czy to w instytucyach tych, czy téż w osobnych kasach, mają zapewnioną emeryturę w rozmiarach, określonych niniejszą ustawą. Obowiązek opłacania składki rozpoczyna się po skończonym 16-tym roku życia, oczywiście tylko dla tych, którzy istotnie płacę pobierają, a dotyczy zarówno mężczyzn, jak kobiet.

Według dokonanych obliczeń, liczba pracowników, ubezpieczonych w Niemczech na mocy téj ustawy, przechodzi 11 milionów głów.

Celem zabezpieczenia jest pozyskanie rocznéj renty na wypadek zupełnéj niezdolności do pracy (renty dla inwalidów), a emerytury na starość. Rentę dla inwalidów otrzymuje każdy, kto przynajmniéj przez pięć lat opłacał składkę (licząc rok po 47 tygodni) czyli przez 235 tygodni, i stał się zupełnie niezdolnym do pracy, lub tylko *bardzo*

mało zarabiać może. W Niemczech istnieje już ubezpieczenie od wypadków, zapewniające także rentę roczną każdemu robotnikowi, który *skutkiem wypadku*, jaki mu się zdarzył *przy robocie*, utracił możność zarobkowania. Koszta téj asekuracyi od wypadków ponosi, jak wiadomo, wyłącznie przedsiębiorca. Otóż obecna ustawa nie potrzebuje już troszczyć się o tę kategoryę inwalidów, a dotyczy tylko pracowników, którzy z innych przyczyn stali się niezdolnymi do pracy. W pierwszych pięciu latach od zaprowadzenia ustawy wystarcza opłacanie składki przez rok jeden dla pozyskania prawa do renty dla inwalidów.

Emeryturę na starość pobiera każdy, objęty niniejszą ustawą, pracownik, od chwili, gdy skończył 70-ty rok życia.

Renta dla inwalidów wzrasta stopniowo, w miarę długości trwania ubezpieczenia; emerytura dla starców pozostaje zawsze jedna.

Zaznaczyliśmy już powyżéj, iż ubezpieczonych podzielono, według wysokości ich zarobku, na cztery kategorye czyli klasy. Do I-éj zaliczeni są pracownicy, zarabiający do 350 marek rocznie; do II-éj od 350—550 mar.; do III-éj od 550—850 mar.; do IV-éj ci, co zarabiają więcéj niż 850 do 2000 mar. rocznie. Otóż opłaty roczne na asekuracyę unormowane zostały na pierwszych dziesięć lat, t. j. od 1891 do 1901 r., tygodniowo w I-éj klasie na 14 fenigów, w II-éj na 20 fen., w III-éj na 24 fen., w IV-éj na 30 fen. Składki te opłaca w połowie robotnik, w połowie pracodawca. Na każdego z nich tedy wypadnie rocznie (licząc za 47 tygodni) w klasie I-éj po 3 mar. 29 fen., w II-éj po 4 mar. 70 fen., w III-éj po 5 mar. 64 fen., w IV-éj po 7 mar. 5 fen.

Renta dla inwalidów, jak już wiadomo, wzrasta w miarę trwania zabezpieczenia.

Tak tedy dla pracowników:

	klassy I-éj,	II-éj,	III-éj,	IV-éj,
	zarabiających rocznie			
	do 350 m.	350–550 m.	550—850 m.	850—2000 m.
przy rocznéj składce pracodawcy i robotnika, wynoszącéj razem:	6 m. 58 f.	9 m. 40 f.	11 m. 28 f.	14 m. 10 f.
renta inwalidów wynosi	r o c z n i e			
najmniéj . . .	**114** m. **70** f.	**124** m.	**131** m. **15** f.	**140** m. **50** f.
najwyżéj . . .	**157** m.	**251** m.	**321** m. **50** f.	**415** m. **50** f.

Emerytura stała wynosi rocznie według klas:

106 m. **40** f. **134** m. **60** f. **162** m. **80** f. **191** mar.

stosownie do tego, w jakiéj klasie robotnik opłacał składkę.

Aby pozyskać emeryturę dla starców, musi robotnik przynajmniéj przez 30 lat (po 47 tygodni) opłacać składkę powyższą. Dla pierwszych 30-tu lat istnienia ustawy oczywiście ustanowione zostały przepisy tymczasowe, uprawniające każdego starca do pobierania emerytury, jeżeli udowodni, że w charakterze określonego ustawą pracownika był czynny. W czasie trwania służby wojskowéj składkę opłaca skarb państwa. Czas choroby robotnika, oczywiście należycie poświadczonéj, jeżeli choroba nie trwa nieprzerwanie dłużéj jak rok, zalicza się robotnikowi tak, jak gdyby opłacał składkę. Nie zalicza się zaś, jeżeli robotnik umyślnie chorobę wywołał lub sprowadził ją sobie przy popełnianiu karygodnych czynów, jako to: podczas bójek, przy spełnianiu zbrodni, skutkiem pijaństwa, lub przez życie rozwiązłe.

Jeżeli ubezpieczona robotnica wyjdzie za mąż, tracąc przez to charakter robotnicy w myśl ustawy, ma prawo do zwrotu połowy składek. Takie samo prawo mają żona i nieletnie dzieci robotnika, który przez czas dłuższy, niżeli pięć lat, opłacał składkę, a nie doszedł do pobierania ani renty, ani emerytury.

Oto są główne zasady i szczegóły z ustawy niemieckiéj o ubezpieczeniu rent i emerytury robotnikom. Charakter całéj reformy społecznéj, którą ustawa ta zaprowadziła, ujawnia się najlepiéj w składkach na cele ubezpieczenia. Robotnik spłaci tylko pewną część téj sumy, która jest potrzebna dla zapewnienia mu renty na wypadek niezdolności do pracy i emerytury na starość. W równéj mierze z nim uczestniczy w składce pracodawca, a nareszcie poważny udział w zapewnieniu losu robotnika bierze całe społeczeństwo, reprezentowane przez skarb państwa. I tu wprawdzie jakaś część ciężaru spada znów na robotnika, z którego skarb państwa także ma dochody; ale jest to stosunkowo nieznaczna kwota, większą jest kontrybucya reszty społeczeństwa. Nie jest to zatém prosta instytucya przezorności dla robotników, lecz opieki społeczeństwa całego nad losem klas najmniéj zamożnych.

Przeciwnicy ustawy twierdzili, a po części twierdzą i dotąd, że na skarb państwa nałożono tutaj ciężary, którym on nie podoła. Że ciężary będą znaczne, to kwestyi nie ulega; czy im podoła, to przyszłość dopiero okaże. Nie można twierdzić, iżby przyjęty w ustawie rodzaj asekuracyi wprowadzał na zupełnie nowe tory; zabezpieczenie emerytury, zarówno jak i zabezpieczenie renty na wypadek niezdolności do pracy, zastosowane są w wielu towarzystwach asekuracyjnych, a obliczenia opierają się na danych, zaczerpniętych z długoletniego doświadczenia. I tutaj tedy ocenienie przy-

szłych ciężarów skarbu państwa niemieckiego nie jest zupełnie dowolne, lecz na rachunkach prawdopodobieństwa oparte.

Podnoszono także zarzut, iż wymiar renty, zarówno jak i emerytury, jest tego rodzaju, że otrzymane kwoty mogą wprawdzie ochronić robotnika od śmierci głodowéj, ale nie od głodu. Istotnie płace nie są zbyt wysokie i spokojnéj a wygodnéj starości robotnikowi nie zapewniają; ale inicyatorowie całéj reformy zaznaczali z góry, że renta dla inwalidów, niezdolnych do pracy, ma być tylko częściowém wynagrodzeniem za utraconą możność zarobkowania, emerytura dla starców zaś tylko pewną dopłatą, dającą im możność ograniczenia się do pracy mniéj uciążliwéj. Tam, gdzie robotnik na starość może znaléźć oparcie w rodzinie, emerytura jego przyczyni się do tego, iż przestanie być ciężarem, którego dotychczas niejednokrotnie chciano się pozbyć, nie lękając się nawet popełniania w tym celu zbrodni. Na utrzymanie przy rodzinie, któréj lekką pracą, czy to w formie nadzoru i t. p., może jeszcze być pomocnym, emerytura, nawet w tym skromnym wymiarze, wystarcza.

Nie ulega kwestyi, że w tym względzie, może według poglądów zwolenników państwa socyalistycznego, reforma jest połowiczną. Ale ci, co ją stworzyli, stoją jeszcze i pozostaną na zasadzie gospodarstwa indywidualnego i nie wykluczają tego, że w pewnéj, drobnéj oczywiście w stosunku do środków, mierze, i robotnik sam może myśléć o swojéj starości.

W Lipcu r. b. ogłosił rząd francuski projekt emerytury dla robotników, przedstawiając go równocześnie izbom. Ponieważ projekt cały obejmuje tylko 18 paragrafów i braknie mu szczegółów co do organizacyi ubezpieczenia emerytury, sądzimy, iż obecnéj publikacyi to samo należy przypisać znaczenie, jakie miało ogłoszenie w Listopadzie r. 1887 w Niemczech ogólnych zarysów (*Grundzüge*) projektowanéj wówczas, a wprowadzonéj od 1 Stycznia r. b. w życie, ustawy o emeryturach. W każdym razie ogólne te zarysy objaśniają o intencyach rządu francuskiego i wskazują drogę, jaką iść zamierza; gdy zaś ministrowie francuscy w ostatnich czasach, w kilku przemówieniach, wskazali na dokonanie różnych reform w interesie klas pracujących, jako na główne i najpilniejsze zadanie czynników prawodawczych, można się spodziewać, iż kwestya emerytur dla robotników francuskich wejdzie niebawem na porządek dzienny we Francyi. Warto tedy projektowi francuskiemu poświęcić uwagę, tém bardziéj, że nastręcza się tu sposobność porównania go z obowiązującém już w Niemczech prawem.

Otóż rząd francuski projektuje utworzenie „*Caisse de retraites ouvrières*“, która ma być połączoną z istniejącą na zasadzie ustawy

z 20 Lipca r. 1886: *Caisse nationale des retraites pour la vieillesse* i przeznaczoną jest dla pracujących za pewną płacę, a zarabiających mniéj niż 3,000 fr. rocznie. (Projekt francuski zalicza do tych pracowników: *ouvriers, employés, metayers et domestiques).* Granica zarobku tedy jest wyższa, niż w Niemczech, ale w gruncie rzeczy tylko o tyle, o ile zarobki są wogóle we Francyi większe, a życie droższe.

Z góry zaznaczyć musimy, że pomiędzy prawem niemieckiém z 22 Czerwca r. 1889, a projektem francuskim, ta ważna zachodzi różnica, iż, gdy pierwsze ma na celu zabezpieczenie robotnikowi emerytury na starość, a w razie wcześniejszéj stałéj niezdolności do pracy—renty rocznéj; projekt francuski ma tylko na celu emeryturę. Niemiecka renta jest wyższą od emerytury, bo t. zw. emerytura tam właściwie ma robotnikowi tylko zapewnić pewien dochód, dający mu możność zaniechania pracy ciężkiéj; gdy natomiast renta ma mu zabezpieczyć prawie zupełne utrzymanie.

Według projektu francuskiego, emerytura ma robotnikowi stosunkowo wcześnie zapewnić byt, wynosi bowiem 300 lub 600 franków rocznie, a wypłaca się, począwszy od 56-go roku życia. Robotnik, nabywający prawa do emerytury, musi jednakże złożyć dowód, iż jego dochód roczny, włącznie z emeryturą, nie wynosi więcéj, jak 600 franków. Widać z tego, iż projekt francuski całkowite, aczkolwiek skromne, utrzymanie ma na widoku.

Przy tak wysokiéj emeryturze, oczywiście, opłata musi być we Francyi wyższą. Gdy w Niemczech wynosi ona dla robotnika 14—30 fenigów tygodniowo, projekt francuski ustanawia ją na 5 lub 10 centymów dziennie, stosownie do tego, czy robotnik pragnie zapewnić sobie 300 czy też 600 fr. emerytury. Robotnik francuski opłaca jednakże składkę tylko od 25 do 55-go roku życia, czyli przez 30 lat, licząc rok po 290 dni składkowych, tak, iż rocznie wypada 14 fr. 50 cent., lub 29 franków. Takąż sumę powinien, według projektu francuskiego, dopłacać pracodawca, skarb państwa zaś $^2/_3$ tego, co robotnik i pracodawca razem. Jakkolwiek tedy system opłat jest ten sam, co w Niemczech, bo kontrybuentami są: robotnik, pracodawca i państwo, to zdaje się, iż ciężar, który z tego tytułu we Francyi spadnie na skarb państwa, będzie stosunkowo znacznie większy, niżeli w Niemczech, gdzie udział państwa został ustanowiony na 50 marek dopłaty rocznéj do każdéj renty rocznéj i emerytury. System niemiecki, oprócz tego, że ściśle określa dopłatę państwa, ma jeszcze jedną wyższość nad projektem francuskim, o któréj później będzie mowa.

Ponieważ według projektu francuskiego składka oddana jest *à fond perdu*, t. j. przepada zupełnie, jeżeli robotnik nie dojdzie do wieku, uprawniającego go do pobierania emerytury, więc projekt fran-

cuski przewiduje inną jeszcze, oprócz emerytury, asekuracyę. Wolno robotnikowi zabezpieczyć rodzinie swojéj 500—1000 fr. na wypadek śmierci. Musi jednakże za to płacić składkę osobną, w któréj państwo bierze udział do wysokości $^1/_3$, lub w danym razie, o którym późniéj będzie mowa, do połowy.

Najważniejszym punktem, w którym projekt francuski różni się od prawa niemieckiego, jest ten, iż w Niemczech ubezpieczenie w myśl prawa jest obowiązkowém, projekt francuski zaś wyklucza wszelki przymus. Prawda, że przyjęto formę, która może przynajmniéj zapewni większy udział robotników w ubezpieczeniu się; gdy bowiem art. 1 przepisuje ustanowienie powszechnéj kasy emerytalnéj dla robotników, art. 3-ci zaś daje definicyę tego, kogo do robotników w myśl art. 1-go zaliczyć należy, wymaga art. 3, żeby ten, kto nie chce być ubezpieczonym, wyraźną na to wobec mera złożył deklaracyę. Każdy tedy *ipso jure* jest ubezpieczony, kto nie wyklucza się z tego przez złożenie osobnéj deklaracyi.

Projekt francuski nie zdobył się na przymus ubezpieczenia, przyjęty w Niemczech, a zdaje się, że wogóle przedstawienie całéj ustawy kosztowało rząd rzeczypospolitéj cokolwiek przezwyciężenia. Bądź co bądź bowiem, projekt zawsze musiał zawierać niejedno, co pojęciom liberalnym francuskim jest wstrętne. „Nie bez obawy—pisał ministeryalny „Temps“ w chwili, gdy projekt przedstawiono w izbach francuskich—patrzeliśmy na powstawanie projektu, który jeszcze bardziéj ogranicza pole inicyatywy prywatnéj, dokonywa niesłychanéj decentralizacyi kapitałów, a nareszcie wzmacnia w stosunku iście zatrważającym zakres działania, atrybucye i odpowiedzialność państwa.“ „Kasa emerytalna — powiada daléj tenże dziennik, — która była-by przymusową, koncentrując kapitały w ręku państwa, nietylko prowadziła-by do zaniechania wszelkiéj przezorności jednostek, lecz ugruntowała-by potęgę „martwéj ręki“, tworząc jedno z najfatalniejszych narzędzi komunizmu. Podobny utwór byłby policzkiem dla rzeczypospolitéj i cywilizacyi. Dlatego projekt rządu opiera się na wolności.“ „Robotnik nie ulega żadnemu przymusowi...“ „było to warunkiem nieodzownym całego projektu.“

W każdym razie, gdy wyrzeczono się przymusu, uważamy za myśl dobrą, iż prawo nie żąda deklaracyi na przystąpienie do asekuracyi, lecz raczéj oświadczenia interesanta, złożonego wobec mera, iż z pod prawa chce być wykluczonym. Motywa bowiem, przedstawione przez rząd francuski do projektu, stwierdzają, iż, pomimo wszelkich udogodnień, jakie nastręczały robotnikom utworzone już za cesarstwa kasy emerytalne, udział w nich, pozostawiony zupełnie prywatnéj inicyatywie robotników, był stosunkowo bardzo mały.

W przeciągu 40-tu lat zapisało się do tych kas tylko 800,000 osób, chociaż Francya posiada 9,600,000 osób, zaliczonych, w myśl obecnego projektu, do klasy pracującéj.

Doświadczenie to, w gruncie rzeczy, przemawia za przymusem niemieckim, jest bowiem obawa, że, pomimo ciężaru, jaki, zarówno przy ubezpieczeniu robotnika w myśl projektu francuskiego, jako i według ustawy niemieckiéj, na korzyść robotnika przejmuje pracodawca i ogół społeczeństwa, reprezentowany przez skarb państwa, większa część robotników była-by tak nieopatrzną, iż usunęła-by się od ubezpieczenia losu swego. Zresztą okaże to przyszłość, w razie przyjęcia projektu francuskiego, opartego na swobodzie. Faktem jest, że w Niemczech robotnicy byli w początku bardzo niezadowoleni z tego, iż im na kasę emerytalną odtrącano drobną zresztą bardzo kwotę z płacy.

Że opinia publiczna, reprezentowana przez prasę, ulękła się niejednego skutku założenia wielkiéj państwowéj instytucyi asekuracyjnéj, temu się tak bardzo nie dziwimy, ze względu na centralizacyę administracyjną w tym kraju. Ustawa niemiecka téż nie przyjęła z tego względu myśli jednéj wielkiéj instytucyi państwowéj, lecz raczéj podział według systemu terytoryalnego. Największe państwo niemieckie, Prusy, podzielone jest administracyjnie na prowincye, które mają swój samorząd komunalny, a z każdéj takiéj prowincyi zrobiono jedno centrum asekuracyjne, tak, iż w całych Niemczech, na mocy ustawy z 22 Czerwca 1889 r., istnieje, jeżeli się nie mylimy, przeszło 30 towarzystw, czyli raczéj okręgów asekuracyjnych. Francya nie posiada organizacyi administracyjnéj, o którą mogła-by się w ten sposób oprzéć organizacya ubezpieczenia. Z obawy przed zbyteczną centralizacyą tedy, projekt francuski przewiduje organizacyę zawodowych (*professionel*) kas emerytalnych, kas syndykalnych i t. p., a zakładanie kas takich wyraźnie faworyzuje. I tak np., jak powyżéj o tém wspomnieliśmy, płaci skarb państwa $^1/_3$ składki za tych, którzy pragną zabezpieczyć sobie w ogólnéj *Caisse de retraites ouvrières* kapitał pośmiertny w sumie 500 lub 1000 fr.; jeżeli jednakże asekuracya ta będzie miała miejsce w jednéj z kas specyalnych, skarb państwa dopłaci $^1/_2$ składki. Czy nie było-by lepiéj, idąc za przykładem niemieckim, pomimo trudności administracyjnych, jakie we Francyi temu stoją na przeszkodzie, utworzyć pewną większą liczbę terytoryalnych kas emerytalnych?

Reforma niemiecka zdołała zmniejszyć niebezpieczeństwo skoncentrowania zbyt wielkich kapitałów w jednych ręku, ustanawiając zasadę, iż państwo nie płaci składki, lecz dopłaca przy wypłacie renty. Pierwotny projekt niemiecki miał także na myśli dopłatę ze

strony państwa do składek, jak to przepisuje art. 6 projektu francuskiego, ale parlament to zmienił, a jest to, naszém zdaniem, wyższość prawa niemieckiego nad projektem francuskim. Zresztą, aczkolwiek prawo niemieckie ma podwójny rodzaj ubezpieczenia, niebezpieczeństwo nagromadzenia się wielkich kapitałów jest tam mniejsze, bo zakres ciaśniejszy. Ubezpieczenie niemieckie ma tylko na celu pomoc, francuskie zupełne utrzymanie robotnika na starość; przy projekcie francuskim tedy zyskuje na uzasadnieniu zarzut tych, którzy występują przeciwko podobnemu systemowi ubezpieczenia, ponieważ ono nakłada rzekomo zanadto wielkie ciężary na pracodawcę, a mianowicie na całe społeczeństwo, na wyłączną korzyść klas pracujących.

We Francyi stronnictwo liberalne, opierające wszystko na indywidualizmie, a przeciwne wszelkiemu kolektywizmowi, w jakiejkolwiek-by on się objawił postaci, jest jeszcze bardzo silne, a ztąd też przeciwko projektowi ubezpieczenia emerytalnego bardzo głośna się podniosła opozycya. Na czele téj opozycyi wystąpił znany ekonomista, Paweł Leroy-Beaulieu, twierdząc, iż projekt francuski pociągnie za sobą ciężary dla skarbu państwa, których tenże wcale nie będzie w stanie ponieść. Leroy Beaulieu bardzo słusznie wykazuje poważną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy tém, co zrobili Niemcy, a co zamierzają zrobić Francuzi.

Zaznaczyć tu musimy, że, według obliczenia, umieszczonego w motywach do projektu francuskiego, liczba robotników różnych kategoryi, do których ustawa emerytalna odnosiła-by się, wynosi we Francyi 9,601,469. Z tych 40% ma mniéj niż 25 lat, tak, iż pozostało-by 5,760,000 zobowiązanych do ubezpieczenia się. Rząd twierdzi, iż z téj liczby rzeczywiście nie ubezpieczyło-by się więcéj, jak 3,000,000 robotników, a w takim razie udział państwa w składce na ubezpieczenie nie przekraczał-by nigdy 100 mil. franków rocznie.

Otóż Leroy-Beaulieu nie bezzasadnie twierdzi, że wszystkie te rachunki są fikcyjne. Przpomina on, że we Francyi aż zanadto często w podobnych obrachunkach zachodziły pomyłki, że np. założone za cesarstwa, a wspomniane już powyżéj: „Caisses de retraite contre la vieillesse“, do tego stopnia pomyliły się w kalkulacyach, iż przy reorganizacyi ich w r. 1882 skarb państwa musiał im dać 32 mil. franków, aby mogły uczynić zadosyć swoim zobowiązaniom. Nie inaczéj było z wielu innemi instytucyami przezorności. Przy obecnym projekcie rząd oblicza oprocentowanie kapitałów na 4%, kiedy tymczasem stopa procentowa walorów amerykańskich, angielskich, francuskich, a nawet niemieckich, jest daleko niższą. To też Leroy-Beaulieu dochodzi do wniosku, że dopłata skarbu państwa może wynieść 400—500 mil., może nawet 700 mil. franków. Jakie cyfry tu wchodzą

w rachubę, uprzytomnia obliczenie jednego z członków komisyi parlamentarnéj dla spraw robotniczych, który twierdzi, że ze składek i procentów od nich w kasach emerytalnych, na mocy projektu rządowego utworzonych, znajdzie się: po 10 latach—486,510,000 fr., po 20 latach—2,346,534,000 fr., po 30 latach—5,771,546,000 fr., po 40 latach—9,272,959,000 fr., po 50 latach 10,806,032,000 fr., po 60 latach—11,176,196,000 fr., a od tego czasu już bardzo nieznacznie tylko kapitały te mają wzrastać. Co do wypłat, według tego samego źródła, te rozpoczęły-by się po 30 latach i wyniosły-by: w końcu pierwszego roku dla 81,647 emerytów robotników 36,741,000 fr., w 40-m roku dla 800,216 emerytów 360,097,200 fr., w 50-m roku dla 1,282,347 emerytów 577,056,000 fr., w 60-m roku dla 1,474,311 emerytów 663,440,000 fr. rocznie. W 70-m roku istnienia liczba emerytów wzrosła-by do 1,500,300, nie powiększając się już, a roczna renta dla nich wynosiła-by 675,135,000 fr.

Zakończymy na tém swoje uwagi, które miały na celu przedstawienie czytelnikom, co się czyni obecnie w interesie robotników, specyalnie zaś dla zapewnienia im spokojnéj starości. Nie wdając się w zbytnie szczegóły wykonania, przedstawiliśmy w ogólnych zarysach, co zrobiono w Niemczech, a co zamierza się zrobić we Francyi. Niemieckie prawo trzyma się bardziéj w granicach możności od francuskiego projektu. Nie wątpimy o tém, iż republikańskiemu rządowi francuskiemu nie łatwo przyszło wystąpić z powyższym projektem. Rząd w motywach do niego powiada, że tak, jak na całym świecie, i we Francyi uznawaną jest powszechnie potrzeba reform społecznych. „W demokratyczném społeczeństwie francuskiém wzmaga się interes dla klas roboczych, a oddalając się coraz bardziéj od utopii rewolucyjnych, społeczeństwo nakłada na rząd coraz natarczywiéj obowiązek utrzymania spokoju publicznego i obrony wolności pracy.“

Motywa powiadają daléj, że reforma zaprojektowana ma wyrobić w robotnikach zmysł oszczędności, ale zarazem zapewnić im za to spokojną starość. Pracodawcy chętnie poniosą te ofiary, które im zapewnią spokój w przedsiębiorstwach. Wielu czyniło już dotąd to, czego nowa reforma od nich żąda; inni nie czynili, nie mając odpowiedniéj organizacyi. „Współdziałanie pracodawcy i robotnika w téj kwestyi zwiększy poczucie solidarności ich interesów, a udział państwa będzie stanowił spójnię pożądaną.“

Największą trudność pewno sprawiło francuskim inicyatorom umotywowanie udziału państwa w tém dziele, bo ta idea wśród liberalnych Francuzów nie bardzo jest popularna. Motywa powiadają w tym względzie: „Jest zasadą, przyjętą w nauce ekonomii polity-

cznéj, że interwencya państwa uprawnioną jest wszędzie tam, gdzie inicyatywa prywatna jest bezsilną. Tu chyba nawlaściwiéj zasadę tę zastosować można. Państwo przychodzi w pomoc robotnikowi, który, mimo oszczędności, skazany na liczenie na samego siebie, nie zdołałby zapewnić sobie kawałka chleba na starość.“ Motywa wywodzą daléj, że „maximum emerytury ogranicza się do tego, co robotnikowi do życia jest koniecznie potrzebném, bo po-za te granice państwo iść nie może, w tych zaś warunkach nawet najzaciętszy teoretyk, zwolennik zasady *laisser faire*, nie może zaprzeczyć uprawnienia pomocy państwa.“

Zasady wogóle niewątpliwie są słuszne, czy atoli projekt francuski nie przekroczył koniecznych i możliwych granic? P. Leroy-Beaulieu, jak widzieliśmy, innego jest zdania od inicyatorów projektu, a niezadługo dowiemy się zapewne, komu większość reprezentantów narodu francuskiego przyzna słuszność.

A. Donimirski.

Malarstwo na międzynarodowéj wystawie sztuki w Berlinie.

I.

Berlin d. 10 Września.

W zapiskach, których szereg dziś rozpoczynam, ośmielę się tém mniéj sądzić artystów i uczyć publiczność, że sam przyjechałem tu, aby na wielkiéj wystawie dowiedzieć się czegoś i nauczyć. Przywiodła mię tu chęć poznania, w jakim kierunku rozwijała się w ostatnich latach sztuka europejska, a zwłaszcza może chęć przekonania się własnemi oczyma, jakie miejsce należy się naszym malarzom w dziejach tego rozwoju. Mówię malarzom, bo na zagłębianie się w dzieła dzisiejszéj rzeźby, na zwalczenie setnych kwestyi, które ta sztuka budzić dzisiaj musi, braknie mi wprost czasu. Nie zdołam zająć wobec niéj żadnego spokojnego stanowiska. Będę więc tylko zapisywał jak najszczerzéj i jak najprościéj wrażenia, które z obrazów poszczególnych narodowości odniosę.

Wychodzę tu z zasady, że wobec sztuki dzisiejszéj, zrozumienie nie wymaga historycznego przygotowania, wolno zająć indywidualne stanowisko każdemu, kto tylko zwykł patrzéć się na naturę. Wszakże sztuka ta odzywa się przedewszystkiém do nas współczesnych i my to jesteśmy tą publicznością, w pierwszym rzędzie powołaną do korzystania z niéj, pojmowania lub odrzucania jéj kierunków. Tylko, powtarzam, aby być sprawiedliwymi, musimy się nauczyć patrzéć na

naturę. Mamy wszyscy oczy ku widzeniu, ale nie wszyscy ją widzimy. Jesteśmy tak oderwani od niéj, tak zwróceni do wewnątrz, przesiąknięci literaturą, dzięki natężonemu umysłowemu życiu tak jednostronni, że patrzymy raczéj myślą, niż oczyma. Zdarzyło się znajomemu mi malarzowi, że jury pewnéj wystawy nie chciało przyjąć jego zimowego krajobrazu w oświetleniu pełnego księżyca, a to dlatego, że śnieg na obrazie był niebieski; mówi się tymczasem codziennie „biały jak śnieg“. A jednak wystarczy nie tonąć w myślach, kiedy się chodzi po świecie, aby zauważyć, że o wschodzie księżyca miewają pola śnieżne delikatną barwę różową, że późną nocą bywa śnieg zielonawym, że kiedy słońce wschodzi lub zachodzi i wielką krągłą głowę w białych rozłogach, jak w cichem morzu, odwzorza, malują się śniegi raz purpurą, raz ultramaryną. Miał racyę Teofil Gautier, kiedy mawiał z dumą, że należy do rzadkich ludzi, dla których zewnętrzny świat istnieje.

Uwagami, które mi wystawa nastręczy, chcę się dlatego podzielić, że ufam w znaczenie głosu zupełnie szczerego, a sprawy artystyczne, kwestye, co mamy malować, jak się zachować wobec natury, jakie zająć stanowisko wobec artystycznych tradycyi, interesują dziś niezmiernie żywo arystów i publiczność. Ta ostatnia zwróciła się zwłaszcza ku nim od wyjścia książki p. Witkiewicza. Dawno nie było u nas krytycznego dzieła, które-by do tego stopnia poruszyło czytające masy: zawdzięcza to ono przedewszystkiém zupełnéj swojéj szczerości. Nie zamykam bynajmniéj oczu na jego jednostronność, ani na jego braki. Autor nie posiada, niestety, szerokiéj miłości dla sztuki przeszłych wieków, która dla tych ludzi—i dla mnie samego—jest niewyczerpaną krynicą roskoszy. Fakt, że tysiące ludzi podziwia dawnych mistrzów, nie z uprzedzenia, nie ze szkolnéj tradycyi, ale całą szczerą duszą, jest równie prawdziwym, jak fakt, że krytyka przenosi zbyt często swoje, z minionéj sztuki wysnute pojęcia, na nowożytne, zupełnie odmienne dzieła. Nadto uwłacza chwilami ton książki samemu jéj autorowi, szkodzi jego sprawie i powadze. Mimo tych usterków, imponuje „sztuka i krytyka“ siłą przekonania, zapałem, ogromnym polemicznym talentem, a wśród dusznéj atmosfery wzajemnych uwielbień, łatwych artystycznych kanonizacyi, podziałała ona tak gwałtownie, jak burza, i tak orzeźwiająco, jak burza. Postawiła ona jasno ciekawe i ważne pytanie: czy wszystko, co się widzi i czuje, można malować tak, jak się widzi i czuje? czy może trzeba iść za dawnym przykładem, nie tyle u natury, co u mistrzów szukać nauki? starać się o to, aby coś z czaru dawnych, najsłuszniéj podziwianych malarzy pochwycić i przenieść na własne płótno? Jeżeli oni widzieli naturę przez pryzmat swego temperamentu, czy patrzeć na nią przez ich

pryzmat, czy też, jak oni, przez swój własny? Albo w ostatecznym, skróconym wyrazie: akademia, czy życie? podziw dla sztuki, czy miłość natury?

Kwestye te musiały wywołać dyskusye, spory i wrzawy. P Witkiewicz został ciężko ukaranym za gwałtowność swoich wyrażeń, hasła jego przeszły do najlichszych dzienniczków, weszły w skład gazeciarskich komunałów, autor doczekał się kompromitujących go epigonów. Publiczność zaczęła wrzeć, artyści przyjęli książkę z zapałem, ale nie była ona dla nich taką, jak dla ogółu, rewelacyą. Dowód tego znajduję tu nawet, na berlińskiéj wystawie. Obraz Jacka Malczewskiego świadczy, że na parę lat przed ukazaniem się książki stawiał sobie te same pytania artysta niecodziennéj miary. Wobec znanéj jego skłonności do wyrażania plastycznie tego, co mu duszę przenika, wynalazł on alegoryczny obraz i po swojemu rozstrzygnął w nim pytanie. Oto piaszczystą, polską drogą, wzdłuż rzadkiego brzozowego lasku, idą z prawéj ku lewéj stronie obrazu trzy alegoryczne postacie. Naprzód kobieta, o łagodném, jakby wewnętrzną walką rozświetloném obliczu, strojna w dalmatykę, trzymająca palmę w dłoni: to malarstwo religijne. Przy niéj silna, czerwona, za czerwona nawet, dziewczyna, ubrana dziwacznie i niedostatecznie w strzępki starych barwnych makat, w żółte buty od kontuszowego stroju. Idzie buńczucznie, z szyszakiem na ręku. To malarstwo historyczne, wyposażone, jak to u nas bywa, w bardziéj świetne, niż chronologicznie wierne, szaty. Nareszcie postać trzecia, malarstwo klasyczne, lubujące się w starożytnych tematach, ciałach, raczéj rozebranych, niż nagich. Jest to kobieta młoda, bez sukni, nawpół obrócona tyłem do widza, z wieńcem w ręku. Po drugiéj stronie obrazu i w przeciwnym kierunku kroczy uciążliwie po tym samym piasku nędzarz, odarty, stary i smutny. Ale w dzionek jesienny, pod niebem ołowianém, bardziéj mu tu swojsko, niż trzem sztucznym postaciom. Środek obrazu zajmuje chłopiec, jak świadczą przybory, czeladnik pokojowego malarza, ale, jak z całego obrazu sądzić trzeba, przyszły artysta. Drugi Herkules na rozstajnéj drodze, będzie on miał do wyboru: zwrócić się ku ustalonym, oficyalnie uznanym kierunkom, albo patrzéć na to, co ma bezpośrednio przed oczyma, co widziéć codzień musi, chyba, że oczy odwróci lub zamknie. Może sięgnąć po łatwiéjszą sławę, wybierając temata, które same przez się pociągną publiczność; albo może się narazić na zarzuty obcych i stokroć boleśniejsze zarzuty bliskich, że dany od Boga talent marnuje na oddawanie zwykłego życia, tego, co krytyka nazywa „smutną, wstrętną prozą“, a w czém on w dziwném zaślepieniu upatruje także poezyę. Nie może wtedy liczyć na poparcie tych, dla których sztuka jest wyłącznie środkiem, ani na poklask ogółu, ani na to, że

dzieła jego przyjmą w Paryżu do salonu, który od roku przyszłego chcą otwierać wielki Magus dni dzisiejszych, Péladan, i jego zwolennicy, różni buddyści, ezoterycy i mistycy bez chrześciaństwa. Ale u Malczewskiego nie waha się chłopiec: zwrócił się nie ku pięknéj, cichéj postaci w dalmatyce, nie ku wiejskiéj dziewce, przybranéj w stare strzępki, nie ku modelce, pozującéj do „aktu“, ale ku owemu nędzarzowi w łachmanach, utrudzonemu na drodze. Zdaje się, że minął już owe trzy postacie, które go nie zadowolniły. Naiwnemi, dziecinnie otwartemi oczyma, wpatruje się w biedaka. Sądzi pewno, jak rzecznik Goethego, że na świecie jest „serdecznie źle“, i nie ma może odwagi malować ludziom błogich jakich postaci. A może téż— i to prawdopodobniejsze—tak współczuje z ludzką nędzą, że woli jéj poświęcić to wszystko, co posiada: talent.

Nie jest-że to ciekawy obraz i nie ważneż to pytanie? Owszem, tém ważniejsze, że stawia je nie pierwszy lepszy malarz, ale artysta, czuły jak lutnia i pełen żywości, że stawia je u nas, z dala od ogólnych artystycznych prądów Europy. Zbiera mię więc ochota zbadać, jak téż odpowiadają artyści innych krajów na to niesłyszane, ze szczeréj duszy wystrzelone, pytanie. Odpowiedź Europy nie może być oczywiście ani zatwierdzeniem, ani potępieniem istniejących u nas kierunków. Działalność artystyczna musi być wolną, aby istnieć mogła, a niczego się tak lękać nie powinna, jak zastosowania do niéj demokratycznéj zasady liczenia, nie zaś ważenia głosów. Ale porównanie naszéj działalności z obcą budzi jednak konieczne zajęcie. Co prawda, nie zgromadziła podobno berlińska wystawa tylu skarbów, ile współczesny, doroczny monachijski „salon“; niéma tu przedewszystkiém prawie wcale Francuzów, brak zatém właściwie skali, którą dzisiejszą produkcyę artystyczną mierzyć należy; ale jest tu, bądź co bądź, parę tysięcy obrazów, a wśród nich nie tylko dużo dobrych płócien, ale i dużo prac amerykańskich, powstałych w Paryżu i nawskroś francuskich w technice i pojęciu. Mówiłem to już na wstępie: nie myślę o tym ogromie wyrokować, chcę go poznać. Zapiski moje mogą mieć coś nakształt wartości opinii, którą sobie w danéj sprawie wyrabia sędzia przysięgły, nie będący prawnikiem z zawodu, ale gotowy kwestyę uczciwie rozpoznać i zdanie swoje szczerze wypowiedzieć.

12 Września.

Zaczynam od miasta, które podjęło i wykonało plan międzynarodowéj wystawy. W sztuce berlińskiéj nie wiele się od lat kilku zmieniło. Stolica nowego cesarstwa jest zawsze tém samém centrum,

korzystném dla rozwoju muzyki, która jest istotną potrzebą, a w gruncie rzeczy obojętnym dla sztuk plastycznych. Aby się o tém przekonać, wystarczy przejść nowemi ulicami, spojrzeć na świeżo powstałe gmachy, dowody fenomenalnego braku poczucia linii i gustu; wystarczy posłuchać, co mówią ludzie na wystawie, a potém, wieczorem przyjrzeć się zaciekawieniu, skupieniu, zachwytowi publiczności na popularnym koncercie lub w operze. A są to jednak ci sami ludzie. W dzień dowodzili, że nie posiadają żadnych danych, aby to, co najgorsze, od najwytworniejszego rozróżnić. Wieczorem oceniają drobne muzyczne odcienie, zdolni są do zapału, czują szlachetnie i prosto. Nie bardzo się też odmieniła owa szkoła sztuk pięknych, która się dziwnym zbiegiem okoliczności mieści w jednym gmachu z akademią nauk, koszarami dla szwadronu kawaleryi i stacyą straży ogniowéj, a po-za tém wszystkiém posiada na swych murach pamiątkową tablicę, że pod tym, tyle stron życia ogarniającym, dachem, urodził się Karol Gutzkow, wolnomyślny poeta. Panuje tam zawsze — pomimo wstąpienia kilku nowych sił — odwieczna cześć dla pilnie wypracowanych „aktów“, fałdzistych szat, słodkich twarzy i lizanych obrazów. Paweł Thumann, były nauczyciel téj szkoły, jest zawsze wielkim malarzem dla Berlina: nie rażą ogółu drewniane jego figury, sentymentalne oblicza, czułe, zbyt wielkie oczy, suknie nowe, mistrzowsko ułożone na manekinie. Jego illustracye do „Księgi pieśni“ Heinego leżą jeszcze zawsze na stole u bogatych mieszczan i dowodzą, że delikatnego poety nikt widocznie w tych sferach nie rozumie. Ogółem jednak ustępują draperye i „klasycznie“ chłodne figury przed obserwacyą życia. Ani wśród olejnych obrazów, ani w oddziale rysunków i akwarel, nie wpadło mi w oko żadne dzieło epigonów Overbecka i Wilhelma Kaulbacha. Przed pięciu laty, podczas jubileuszowéj wystawy, pełno jeszcze było takich bladych kopii „szkoły nazareńskiéj“. Ostatni, dziś już nieżyjący, reprezentant, otrzymał był wtedy nawet najwyższą oznakę, któréj odmówiono w ostatniéj instancyi Matejce. Niéma też na wystawie żadnéj pracy Geselschapa, któremu powierzono najważniejsze freski w zamienionym na „świątynię pruskiéj sławy“ arsenale i który pozostaje wierny jednostronnie linearnemu, akademickoheroicznemu kierunkowi. W sztuce religijnéj trwa dotąd wpływ minionéj szkoły: jeżeli trochę odmieniono technikę, urozmaicono paletę, nie przestano żyć z pomysłów, pojęć i typów, które nagromadzili poprzednicy. Niéma tu ani jednego dzieła, w którém-by tętniło jakieś nowe poczucie, w którém-by drgała jakaś nowa siła. Obok obrazu Ukrzyżowanego, w którym tradycya nie pozwoliła profesorowi berlińskiéj szkoły sztuk pięknych sił swoich własnych rozwinąć, spotykam tylko dzieła konceptu. Na jednem z nich, nazwaném „Golgota“, idzie

Chrystus w skalistéj okolicy. O kilka kroków przed nim jest w skale szczelina, przez którą w dalszym pochodzie iść musi, cień zaś Jego pada w ten sposób, że tworzy z nią krzyż czarny. Taki Prell ucieka się wprost do reminiscencyi dawnych mistrzów, wybierając jednak bardziéj oryginalne i mniéj znane dzieła. Malował on już różne rzeczy; przed kilku laty wystawił duży, zimny, historyczny obraz, na którym „wielki elektor“ przyjmował deputacyę wygnanych z Francyi hugonotów. Obecnie widzimy jego portret cesarza Wilhelma II, twardy w kolorycie i rysunku, oraz „*Odpoczynek podczas ucieczki do Egiptu*“. Maryi i Dzieciątku przygrywa na skrzypcach wielki, skrzydlaty, tyłem do nas odwrócony, anioł. W pomyśle, w traktowaniu krajobrazu, w chęci wydobycia „nastroju“ cichego wieczora, przypomina się rzadki oryginalnością i urokiem obraz Carla Saraceniego w galeryi Doria w Rzymie. I tam gra anioł, a św. Józef trzyma mu nawet nuty. Dziecię usypia na kolanach Madonny, u któréj stóp leży włoska podróżna flaszka, umiejętnie opleciona sznurem. I w głębi ten sam różany mrok zachodu, za takim samym lasem. Nie często spotyka się dzieło, silniéj i indywidualniéj poczute. Jest niém n. p. akwarella Dettmanna, ubocznie tylko z religijném malarstwem związana. Jezioro, jakby jedno z tych, które Hawela pod Berlinem tworzy. Księżyc biały wznosi się nad wodami i z szarym zmrokiem zdaje się padać wielki smutek i wielki żal kojący. Wśród jesiennego, ginącego w pół-ciemności pola, klęczy młody robotnik, odziany w ubiór dzisiejszy. To syn marnotrawny, który w oddali dom rodzicielski zobaczył.

Historycznego malarstwa, a tém bardziéj historyozoficznego, jak je Kaulbach uprawiał, nie szukajmy dziś wcale w Berlinie; zamarło ono razem z nim i z epigonami „Nazareńczyków“. Jeden Geselschap maluje w tym stylu w arsenale, i nie brak wtedy jego pracom pewnéj podniosłości i grozy. Anton von Werner, dyrektor szkoły sztuk pięknych, wystawia pierwszy rzut do fresku w téjże świątyni sławy, a poza tém daje szkic z dziejów panowania Wilhelma II, portret Moltkego i scenę z wojny 1870 roku. Jest to malarz nowego cesarstwa, główny reprezentant sztywnego militaryzmu w sztuce. Staranne jego mundury, lustra pilnie studyowane, postacie jak z drzewa, zna każdy, kto, przejeżdżając przez Wiedeń, Berlin i niemieckie miasta, zaglądał na stałe wystawy sztuk pięknych. Musiał tam ujrzéć jego „Kongres berliński“, „Ogłoszenie cesarstwa niemieckiego w zwierciadlanéj galeryi w Wersalu“, „Moltkego podczas bitwy“, lub inne duże, do najnowszéj historyi odnoszące się, obrazy. Obecnie przedstawił Werner następcę tronu pruskiego, późniejszego cesarza Fryderyka, przy zwłokach generała Douay. Mała, dość biedna izba; na sienniku, leżącym na podłodze, spoczywa ciało wodza, z głową podpartą wywróconém

krzesłem. Fryderyk III stanął w pośrodku izby i przypatruje się zmarłemu, oparty na szabli; za nim kilku generałów, przez okna widać tumult wojska przed ruszeniem w drogę. Mimo sztywności figur, mimo twardego kolorytu, ratuje do pewnego stopnia obraz jedna postać obecnego téj scenie Francuza. Oparty z tyłu rękami o stół, widziany w ginącym profilu, patrzy on z uczuciem niemego żalu i uszanowania zarazem na pruskiego księcia, który z taką powagą zmarłym cześć oddaje, a jest jednakże dla niego reprezentantem nieszczęścia, zalewającego ojczyznę. Inny, bardzo niegdyś ceniony malarz, Juljusz Schreder, członek i senator berlińskiéj akademii sztuk pięknych, wystawia tylko portret. Dawniéj lubował się w historycznych obrazach z epoki Karola I, króla angielskiego, i we wszystkiém, co mogło tonem, typem lub techniką przypomnieć Van Dycka, jego nadwornego malarza: przesadzał chętnie aż do czerwonych powiek jego postaci. Dziś daje słaby portret siwego mężczyzny, o zbyt małych, zbyt arystokratycznych, źle narysowanych rękach, obraz, trzymany w sztucznym, asfaltowym tonie. Podobną nienaturalną barwą wojuje Gussow, który przed kilku laty uchodził za wielkiego nowatora, mistrza wszelkich rafinowanych elegancyi, wirtuoza techniki. Damą na białém tle rywalizował w r. 1886—według sądów lokalnéj admiracyi—ze słynną „Miss Grant“ Huberta Herkomera. Obecnie w ohydnych wróżkach przy nowonarodzoném dziecięciu, w szeregu portretów, popadł w zupełną manierę ceglasto-bronzowych tonów i ratuje się tylko czasami jakim nieźle wystudyowanym drobiazgiem. Są jednak i zupełnie dobre portrety, n. p. burmistrz berliński Vogla, starszy mężczyzna Scheurenberga. Zwłaszcza ten ostatni, zwrócony ku widzowi całą twarzą, patrzy się wybornie inteligentnemi oczyma.

Usiłowania „młodych“ skupiły się oczywiście na polu krajobrazu i scen z codziennego życia. Jest tu niewątpliwie najwięcéj dobrych robót. Widać szczere usiłowania wprowadzenia *plein-air'u*, szerszéj, odpowiedniéjszéj tematom techniki, wywołania w krajobrazie indywidualnego „nastroju“. Bo, jak wiadomo, można dwojako malować peizaż. Można pochwycić rodzaj zieloności, siność gór, czerwoność wschodzącego miesiąca i na tém wiernem wystudyowaniu poprzestać. Można zaś do obserwacyi i staranności dodać niejako coś z samego siebie, z uczucia, które się w artyście obudzało, kiedy malował, coś z uroku owego wieczoru, z wpływu jego na duszę, z poczucia oswobodzenia i wewnętrznéj ciszy, które ogarnia na widok księżyca, kiedy powstaje wielki, krągły, czerwony. Można do tego doprowadzić, że się, jak u Chełmońskiego, zdaje słyszéć rechotanie żab w bagnie, ozłoconém zorzą zachodu, gładkiém jak wielka płyta metalu.

Jak się to robi, nie wiem, jak nie wiem, w jaki sposób wywołuje Słowacki w tercynach, zatytułowanych „Rzym“, ogromną pustkę i melancholię Kampanii. Kilka słów wystarcza mu, jak kilka kresek Rembrandtowi, kiedy na jednéj ze swych akwafort zaznacza ledwo drzewo, most nad kanałem, łódź idącą powoli. Oko tymczasem ginie w gładkiéj holenderskiéj płaszczyźnie i widz odczuwa senność, która nad nią zwisła. Sądzę, że wielkie, pełne miłości zapatrzenie się w naturę, że szczerość artystycznego poczucia może jedynie podobne wrażenie wywołać. To pewna, że bez takiego „nastroju“ jest obraz tylko widokiem a nie peizażem, i że bez niego niéma wielkiego malarza natury. Aby się o tém przekonać, wystarczy przejść z tutejszéj wystawy do muzeum, zatrzymać się chwilę przed nowonabytym Ruysdaelem, gdzie taka jest cisza na wodzie pod czarnym cieniem buków, i wniknąć w atmosferę spokoju na obrazie Claude Lorrain'a, w dziwną grozę chmur u Mikołaja Poussin'a „Nastrój“ i „impresyonizm“ nie są właściwie niczém nowém w sztuce, i kto się ich domaga, nie myśli robić w niéj przewrotu. Tylko ponieważ natura gra dziś większą rolę w naszém życiu, niż w egzystencyi minionych, bardziéj skupionych w człowieku pokoleń, upominają się „młodzi“, aby jéj i w sztuce przyznano więcéj miejsca [1]).

Niemieccy artyści, jak niemiecka publiczność, zajmują się dużo przyrodą. Cóż, kiedy chciało-by się nieraz na tych malarzy zawołać:. „nie dosyć znać, widzieć, obserwować, trzeba kochać!“ Posłało-by się chętnie sporą część tych peizażystów do Chełmońskiego na naukę. Wogóle szukają oni wszędzie tematów i dużo podróżują. Jedni malują same fjordy, inni ciągle piramidy i sfinksa. Są tacy, co przedstawiają zawsze Alpy i wystudyowali wszystkie odbłyski zachodu, wszystkie mgławice i szklistości lodowców; ale, właściwie rzecz biorąc, nie wyszli po-za martwą, teatralną dekoracyę. Douzette trzyma się swych dawnych ulubionych tematów: znowu ten miesiąc srebrny na ciemno-siném niebie, chmurkami lekko przymglony, znowu ten sam blask złotawy na cichéj wodzie i krytych miedzią dachach. Tu i owdzie próba oddania Brandenburskiéj Marchii. Na obrazie Vorganga zaszło już słońce i lekki mrok zstępuje, lasek brzozowy pali się czerwono od refleksów zachodu. Frenzel maluje także wieczór; las w oddali jest mglisty, droga wydaje się prawie fioletową. Vogel,

[1]) I w literaturze można wywołać „nastrój“, wprowadzając jak najwięcéj natury; przykładów jest dosyć u Heinego i u Słowackiego. „Dekadentyzm“ przesadza tylko zdrowy skąd inąd kierunek. Por. co na tém miejscu pisał w téj sprawie p. Józef Weyssenhoff. (*Biblioteka Warszawska* z Kwietnia r. b.)

o którego dobrym portrecie wspominałem, przedstawia ogródek, ogromne kwiaty, dyszące w ranném słońcu, niby jakieś małe Paradou Zoli, gdzie bujna roślinność, a niezwyciężona przyroda ogarnia ludzką siedzibę i pracę. Schnars-Alquist, który mieszka w Berlinie, ale nie jest podobno ani Berlińczykiem, ani Niemcem, maluje morze bez brzegu i bez żagla, wielkie niebieskie bezdroże morskie, gdzie fala się swobodnie wznosi i opada. Ponad nią tylko niebo i blada czerwień ostatnich promieni słońca, które już poszło daléj, oświecać inne błękitne przestwory wód. Zaprawdę charakterystyczne to dzieło z tém morzem, co się uginać zdaje, a bez ludzi, bez okrętu, bez żadnego nowelistycznego motywu. Rzekłbyś, że człowiek, który tak długo i wyłącznie w sztuce panował, mąci w poczuciu dzisiejszych artystów harmonię bezwiednéj przyrody... Rzecz ciekawa, Berlińczycy nie tylko jeżdżą po piaskach pustyni i takich ciemno-błękitnych morzach, ale, kiedy czasem zapragną traktować naturę śmieléj, bardziéj kolorystycznie i „wrażeniowo“, uciekają zazwyczaj do Holandyi i malują wtedy takie dobre rzeczy, jak roztopiony we mgle *Amsterdamski targ na kwiaty* Herrmanna, albo *Ogród lejdejskiego szpitala* Maxa Liebermanna: czerwony mur, mgliste powietrze, chorzy w białych czapkach i czepeczkach. Zdaje się, że ciągła mgła Sprei miejscowym malarzom nie wystarcza.

Liebermann przebywa wogóle chętnie w Niderlandach, jak Claus Meyer, jak wielu znakomitszych niemieckich artystów. Swojsko mu w domach, gdzie przez wielkie okna, z drobnych szyb złożone, pada surowe, białe światło dni pochmurnych. Wprowadza nas często do wnętrza mieszkań, jak np. tym razem do holenderskiéj przędzalni lnu, w któréj pomrok szary obleka figury i barwy przesłania. Skarbina, najśmielszy obok Liebermanna, reprezentant nowego kierunku w Berlinie, szuka także efektów oświetlenia. Na „Alte Wiese“ w Karlsbadzie rzuca barwne plamy tualet i „oka“ jasnego słońca, padające na ziemię przez liście; w świetlanéj jego atmosferze zanika nawet czasem perspektywa. W drugim obrazie, p. t. „Przykre słowa“ daje wyborne dwie postacie, w spokojnéj, ale widocznie bardzo ostréj i stanowczéj rozmowie; za tło do tego dramatu służy wytworny salonik, tonący w czerwonym półmroku od przyćmionéj *abat-jour'em* lampy. Wielki stary Menzel chciał znowu oddać wrażenie dworskiego balu, ów opar złotawy, który powstaje wśród tysiąca jarzących się świec. Nie wiele spotykamy literackich, nowelistycznych zamiarów. Knaus, który dawniéj tak umiał opowiedzieć historyjkę, czasem ze wzruszeniem, częściéj z wytwornym uśmiechem, Knaus topi dziś swoje efekta w rudawym, lśniącym sosie. Jako dowód, że stare niemieckie temata powracają jeszcze i że je nowy pesymizm pragnie na swój sposób

odświeżyć, niech służą rysunki jednego z tutejszych sztycharzy. Tworzą one cykl: *Taniec śmierci*. Śmierć kopie z grabarzami mogiłę dla samych grabarzy, prowadzi przez most ślepego, stoi jako strażnik kolejowy z chorągiewką, jako clown w cyrku z papierową obręczą: ślepiec wpadnie w przepaść, pociąg się wykolei, zabije się skacząca przez obręcz amazonka. Rafinowane a nie najlepiéj wykonane pomysły! Wolę obraz Maxa Utha: *Biedni ludzie*, choćby tylko dlatego, że malarz wierszem pomysłu nie objaśnia. Nie potrzeba też żadnych tłómaczeń. Ubogi pogrzeb idzie pod wieczór taką smutną pustką, jaką się widuje na pograniczu berlińskiego przedmieścia i pól jałowych. W głębi kominy fabryczne, bliżéj niezabudowane place. Pochód kroczy środkiem piaszczystéj równiny, pociętéj w bruzdy, gdzie sterczą rzadkie fioletowe głowy kapusty, jedyna niemal barwna rzecz w obrazie. Jest w ogromnym smutku jakaś analogia do tego napoły litosnego pesymizmu, który naraz, nie wiadomo skąd, zaczął się odzywać wśród berlińskiego piśmiennictwa, skłonnego dotychczas do sentymentalizmu i malowania blado-niebieskich oczu.

13 Września.

Mieszka w Monachium malarz, który lat temu kilka wywołał niepospolite wrażenie szeregiem religijnych obrazów. Coraz bledsze kopie z dawnych mistrzów nie mogą nam już wystarczać; potrzeba jakiegoś Chrystusa, który-by był indywidualnie pojęty i przemówił do wszystkich. Munkacsy robił pyszne, arcy-dramatyczne obrazy, ale nie zadowolnił nas, przedstawiając według Renana marzyciela, który w stanowczéj chwili poczyna wątpić o sobie. Fritz von Uhde pojął Chrystusa inaczéj i nie historycznie, ale ze stanowiska naszych czasów i potrzeb. Jego Zbawiciel jest to Bóg, który żyje do dziś dnia wśród wiernych i chodzi po ziemi, ukazując się ludziom, zwłaszcza biednym, jak u Lwa Tołstoja. Na pierwszym, wystawionym w 1884 r. w Berlinie obrazie, zaszedł Chrystus do biednéj wiejskiéj szkoły, do któréj wpada przez białe firanki dzień mglisty i biały — bo i Uhde lubi to oświetlenie, jak Liebermann, jak Claus Meyer — i usiadł w izbie o ceglanéj podłodze, na prostym stołku drewnianym. „Pozwólcie do mnie przyjść maluczkim!“ Dziewczęta w szarych spodniczkach, chłopcy w wyszarzanych spodniach, wiszących na szelkach czerwonych, ubogie, zawstydzone dzieci, zbliżają się nieśmiało do cichego i bardzo łagodnego Podróżnika, ubranego w zapylony płaszcz sinawy. Nie jest to bynajmniéj czysto artystyczny pomysł; nie chodzi tu o to, aby Chrystusa otoczyć ludźmi w nowoczesnych strojach, na wzór takiego

Veronese, kiedy w weneckie szaty ubierał godowników Kany galilejskiéj. Nie, tu idzie o myśl, o wyrażenie, że Chrystus jest zawsze pośród nas. W krajach protestanckich, gdzie dla poczucia ogółu staje się Zbawiciel coraz dalszą historyczną osobą, która żyła i działała przed kilkunastu wiekami, a jest coraz bardziéj wzniosłą ideą poświęcenia i miłosierdzia, znalazł Uhde jeszcze przychylniejszą publiczność, niż np. we Francyi. Ten, oderwany od geograficznych i chronologicznych pojęć, Chrystus, występuje i w innych jego obrazach. W chwili, gdy rodzina ubogiego robotnika odmawia znaną w Niemczech modlitwę przed jedzeniem, zaczynającą się od słów: „Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem“, otworzyły się drzwi i oto na wezwanie wchodzi ten sam Podróżny. Dzieci patrzą łakomie, stojąc za krzesłami, matka stawia właśnie zupę na stole, a ojciec, ujrzawszy wchodzącego, zaprasza go pokornym, prostym ruchem ręki, aby usiadł.

Nie potrzebuję dodawać, jakie wrażenie wywołały takie obrazy, równie indywidualnie i śmiało malowane, jak pojęte. Niéma dziś żadnego z nich na wystawie, ale, mówiąc o monachijskiéj sztuce, nie mogłem o nich przemilczéć: obraz jéj działalności był-by zanadto niekompletnym. Wszystko inne, co tu widzę na polu religijnego malarstwa, nie zbliża się nawet do Uhdego, wszystko obraca się w komunałach. Oto jakaś Madonna, blada i słodka, oblana światłem sinawém, jakaś *Pietà*, daléj *Złożenie do grobu* — próby odświeżenia dawnych ideałów sztuczném oświetleniem, wprowadzeniem krajobrazu i „nastroju“. *Ukrzyżowanie* Trübnera jest efektem szat jaskrawych na tle czarnego nieba, które tak trwoży żołnierskie konie, że wyrywają się z rąk i stają dęba. Trzymając w zimnych, sinych tonach postać swojego *Lucyfera*, mógł Stuck wywołać fantastyczne wrażenie płomiennych jego oczu, malowanych ciepłą żółtą barwą. Uhde zaś dał tylko znakomity portret. Pozostał w nim wierny ulubionemu kredowemu światłu, przenikającemu przez białą zasłonę w oknie, i posadził na jéj tle kobietę, którą to światło z tyłu na brzegach czerwieni i krwawo przez ucho jéj prześwieca. Sukuia, dobre, żywe ręce, namalowane szybko i pobieżnie; ale młoda, pełna twarz o jasnych oczach, wpółotwartych, wilgotnych wargach i loczkach na czole, jest pełną wyrazu. Budzi się uczucie, że się nie pierwszą lepszą ma przed sobą.

Wiszą tuż obok portrety Lenbacha: dwie, ogromnie brudne w tonie, ale pełne energii, głowy cesarza Wilhelma II (olejno i gwaszą), portret staréj kobiety w gronostajach, obliczony tylko na silny wyraz, zresztą naznaczony, jak z łaski, i poprawiany na olejnéj farbie ołówkiem. Prace Fritza Augusta Kaulbacha są zapewne robione z chęcią przypomnienia dawnych portrecistów. Doskonałą jest natomiast młoda kobieta Leopolda von Kalckreuth. W pokoju, widocznie zacie-

mnionym storami, siedzi ona u biurka, na którém okulary i książka. Nie ładne to wprawdzie, ale jakieś dobre, szczere, pełne zaparcia stworzenie.

Historycznych obrazów nie widzę zbyt dużo w monachijskim oddziale. *Pogrzeb Alaryka*, którego ciało niesie wśród tłumu rumak do pieczary, jest tylko efektem światła. Dobry obraz Ottona Friedricha zowie się *Canossa*: górnym gankiem gmachu idzie pośpiesznie gniewny starzec, na dole stoi w śniegu gniewny, ledwo hamujący swoją wściekłość, mężczyzna. Karol Marr, którego wielkie płótno *Biczownicy* znane jest w Warszawie, przedstawia scenę z 1806 r. w Niemczech. Francuscy huzarzy, zakwaterowani w domu, grają w karty w ciemnym pokoju, gdzie matka musi koić płacz dzieci i gdzie przy oknach stoją wyczekujący mieszkańcy. Znać jakieś ogólne znużenie w domowych i u przybyłych, jakąś ciężką nudę i niecierpliwość przed marszem, przed walką i niepewnemi wypadkami jutra.

Krajobrazy nie stanowią także wybitnéj grupy w monachijskiéj wystawie. Tu tłuką się ciężkie mgławice po górach, tam morze, robione przez Bartelsa gwaszą, rzeczywiście przewala się na brzegu i pieni pod groźnemi, obwisłemi chmurami. Tu stoi na pierwszym planie w ogródku panienka z listem w ręku — obraz nosi tytuł *Od niego* — a w głębi za nią wznoszą się znowu czerwone dachy i sady holenderskiéj wioski. Krajobrazowe tło stanowi wartość obrazu, który-by właściwie do obyczajowego malarstwa wypadało zaliczyć — jeżeli już trzeba koniecznie, dla przejrzystości, grupować. Pod tym względem jest tu w Monachium ogromna pstrocizna kierunków. Spotykam dwie prace Defreggera, rudawe i w sztucznie ciepłym kolorycie trzymane; spotykam dużo robót jego naśladowców, pomiędzy któremi niéma nic, coby się równać mogło z owemi dawnemi jego scenami tyrolskich walk z Napoleonem, albo z jego komedyjkami z dni dzisiejszych. Nowelistyczna skłonność wiodła zawsze Defreggera do pewnéj drobiazgowéj techniki, do studyowania wyłącznie wyrazów i czasem do pobieżnego traktowania malowniczéj strony tematu: dzisiaj wzięły już wady górę. Nie brak oczywiście i mnichów Grütznera; siedzą zawsze przy kartach lub butelce, muzykują i są zawsze pergaminowi. Kuehl dostał medal za *Szycie żagli*, wesołą scenę w jasnym pokoju, gdzie jednak perspektywa wydaje mi się wątpliwą; Hoecker—za młodą *Zakonnicę*, siedzącą o zachodzie w ciętym szpalerze ogrodu: ogromnie tam zielono, bo światło się przez gąszcz gałęzi przekrada i tylko blaski zachodu są fioletowe. Piglhein, bardzo popularny w Niemczech, dzięki swym pastelom, daje tym razem duże olejne płótno, przemawiające silnie do starego niemieckiego sentymentalizmu. Gdzieś na Wschodzie, pustynią, gdzie kwitną same czerwone

maki, idzie z dzbanem, zapewne po wodę, młoda ślepa kobieta i po omacku szuka kijem drogi. Cała ta barwność świata, tém większa, że ją blaski wieczoru oświecają, nie istnieje dla niéj. Dobry jest jéj ruch, ręce ma dobrze namalowane; ale ten widoczny zamiar wzruszenia wpływa właśnie oziębiająco na widzów. Walter Firle okazał się natomiast znowu szczerym i prostym artystą. Przed pięciu laty zwrócił on był odrazu ogólną uwagę dwiema udatnemi pracami. Była to naprzód ranna *Modlitwa w holenderskim zakładzie sierot:* nie brakło już wtedy białych firanek i białego światła, ale różnorodność, indywidualizm śpiewających dziewcząt, wyróżniały ten obraz najkorzystniéj. Jeszcze więcéj było prawdy w *Szkole niedzielnéj*, gdzie nauczyciel czyta Pismo Święte zgromadzonym dziecom. I tu, i tam trochę Holandyi, trochę Uhdego, trochę Clausa Meyera; i tu, i tam dużo własnéj obserwacyi, psychologicznych odcieni i wyrazu. Dziś znowu oświetlenie z tyłu, z za śnieżnych zasłon w oknach, przez które jednak widać nieco ulicy. W izbie leży dziewczyna, złożona do trumny, świece palą się w głowach, pełno dokoła ludzi oniemiałych, nie wiedzących, co począć z zapłakaną matką, jak jéj współczucie okazać. Zwykłe zakłopotanie obcych wobec wybuchu elementarnéj boleści. Kobieta, ubrana czarno, nie widzi tego, nie słyszy, tylko zanosi się od płaczu, siedząc na stołku i ukrywając twarz w chustkę. Tą psychologią, tą siłą rozpaczy wybija się jeszcze raz Firle z orszaku naśladowców.

Jednym tchem przelecę inne niemieckie miasta. W Düsseldorfie, w znanéj szkole peizażu, pytają się wszyscy, kto maluje światło słoneczne. Rozpyla się więc ono w dzień nieco mglisty i zalewa krajobraz złocistym oparem, pada przez otwory zielonych gałęzi, przedziera się w górach przez mgławicę poranku. Czasem pada na stado jeleni—i Kröner malował wtedy obraz. Wiadomo znów, że u Oswalda Achenbacha świeci ono tylko na włoskie miasta i tyrreńskie morze. Tym razem pada na piramidę Cestyusza, czerwieniąc szczyt grobowca, wierzchołki pinety i chmurki na niebie, ogromnie błękitném. Minęła już jednak dawna przejrzystość atmosfery, poezya włoskiego wieczoru, zanikła delikatność błękitnych mroków. Nie jest to już owe „bleu d'Achenbach", o którém, jako o powszechnie znanéj barwie, pisywali bracia Goncourt. Stanowi to wogóle charakterystyczną cechę obecnéj wystawy, że na niéj wielkie stare firmy bankrutują. Zawód czeka nas przed Defreggerem, Knausem, Alma Tademą, obydwoma Achenbachami. Drugi obraz Oswalda jest jednak lepszy: wieś z okolicy Rzymu tonie nocą w zimnéj księżycowéj jasności; światła są srebrne, cienie zaś mają ten chłodny, czarniawy ton, który nadaje atrament,

pędzelkiem lekko rozprowadzony po papierze. Bure morze brata jego, Andrzeja, przypomina wprawdzie jeszcze dawne prace malarza, ale już rzeczywistéj fali nie przypomni. I na obrazie młodego artysty, Bochmana (wielki złoty medal), nie ma morze życia. Düker oddał wybornie dalsze plany, widnokrąg morski ze złotą smugą światła; ale najbliższa, upadająca na brzeg fala, wydaje mi się trochę twardą i nie dość ruchomą. Są to stare dzieje: nieraz się trafia dobra dalsza przestrzeń morza, ale kto zrobi tę falę ostatnią, która się raz przewala na brzegu, raz liże piasek srebrną smugą piany? Krajobraz z flamandzkiéj nadmorskiéj płaszczyzny wystawia Kampf z Düsseldorfu: w głębi wieś o białych domkach, zielonych okiennicach, dachach czerwonych; za wsią szereg podkrzesanych topoli zlewa się koronami w jedną masę zielonawo-szarą, droga, o zachodzie prawie fioletowa, wiedzie ku nam od stogów i domów.

W oddziale Weimarskim, obok drzew i jeziora, które wywołują wspomnienie Böcklin'a, widzę zboża i trawy w słońcu, jakby jaki obraz Chełmońskiego, nie doprowadzony do ostatecznego nastroju. Prawnuk Szyllera, baron Gleichen-Russwurm, poszedł do impresyonistów; bielą na łące płótno i wszystko się zieleni silnie a odmiennie: łąka, postacie, długie smugi tkaniny. Na jednym z obrazów, malowanym w Szlezwig-Holsztynie, świeci ta dobra, prawdziwa świeża zieleń, którą publiczność widzi często w naturze, ale kiedy ją na płótnie spotka, zowie ją regularnie „szpinakiem". Po trawie naszego, obrazka padają cienie wieczoru błękitniejącemi pasami. W Szlezwigu umieją wogóle patrzéć na barwy, zarówno na ich grę w słońcu jak na efekt w półmrocznym pokoju W Weimarze lubują się we wnętrzach mieszkań i myślą o technice starych Holendrów, malując holenderskie sceny. Kallmorgen, malarz z Karlsruhe, przedstawia, jak zawsze, niderlandzkie wybrzeża: morze bije spokojnie o ląd, gdzie wzdłuż ceglanego chodnika s ojąniskie domki. Dziewczyny stoją w mroku, modląc się. Dzieci się gonią w dzień słoneczny. Spokój i cisza sennych brzegów Holandyi.

Sława malarstwa w Karlsruhe stoi dziś jednak cała na jednym człowieku: Claus Meyer pozostał tym sumiennym, dodaję śmiało: wielkim artystą, wobec którego technika nie przychodzi wcale na myśl. Stajemy przed jego dziełami, jak przed wycinkami z natury. Setki malarzy patrzyło po nim jego oczyma na przyrodę,—rzecz prosta, że on ją najlepiéj widział. Ileż-to holenderskich scen wyliczyłem dotychczas: bez Clausa Meyera nie było-by ich tu pewno ani trzeciéj części. Jego Holendrzy grają w kości od wielu lat po wszelkich wystawach, palą fajkę lub radzą; oświeca ich zazwyczaj białe górne światło, w którém barwne szaty tworzą wielkie płaskie plamy. Trze-

ba widzieć w drezdeńskiéj galeryi jego trzy stare kobiety, w białych holenderskich zawojach, aby zrozumieć, zkąd się wzięło całe mnóztwo współczesnych obrazów. Dziś wystawia znowu takich jegomościów, oświeconych z góry, czytających w szynku jakiś ważny papier. W iżbie panuje, że tak powiem, biały mrok, na ścianie wydyma się stary tynk w drobne nierówności. Drugi obraz przedstawia szpiega, którego pilnują błękitnie ubrani niemieccy kawalerzyści. Siedzi on pod ścianą sklepionéj izby, z zaplecionemi na kolanach rękami; od latarki pada niepewne światło na jego twarz i rzuca ogromny, fantastyczny jego cień na ścianę. Z oczyma wytrzeszczonemi, bez melodramatycznéj przesady, ale w okrutnéj prozie rzeczywistéj rozpaczy, siedzi ten człowiek osłupiały, nie pojmujący jeszcze, jak go schwytano, nie chcący jeszcze pojąć, co się z nim jutro stanie.

Portret jest naprawdę tylko jeden wśród tych wystaw drugorzędnych siedzib niemieckiéj sztuki. Mężczyzna niski, w średnim wieku, brodaty, niedbale ubrany, w starych czarnych rękawiczkach. Stanowi on dziwne zjawisko wśród bogaczów, którzy się zwykle każą portretować. Niezwykłe dzieło i ciekawy model. Bo jest to pierwszy lepszy biedny przechodzień — a i on ma oczywiście swoją wewnętrzną historyę. Malował C. Kissling w Dreźnie.

Z Karlsruhe pochodzi duże płótno, apoteoza cesarza Wilhelma I-go, który czwórką pięknych białych rumaków jedzie do nieśmiertelności. Otaczają go wodzowie, alegoryczne postacie kobiet w stylu Makarta, mężczyzn w stylu Pilotego. Nie brak i germańskiego wojownika. Osiągnięto tu więc wszystko, nawet wielki złoty medal.

Anemiczne religijne malarstwo mniejszych stolic, a zwłaszcza Drezna, obraca się w zaklętém kole wspomnień i zachcianek powołania takiego Murilla do powtórnego życia. Jest tu tylko jedna ciekawa, choć mocno zmanierowana i sztuczna, indywidualność. Edward von Gebhard, malarz z Düsseldorfu, przedstawia w zwykły swój sposób Chrystusa u Maryi i Marty. Stroje są mniéj więcéj z epoki Dürera; izba, do któréj zaszedł Pan Jezus, nosi na sobie cechy początku XVI w. w Niemczech; na ogromnym kominie widnieje herb i napis staro-niemiecki. W postaciach starał się malarz o zachowanie twardego, germańskiego typu, a nawet o pewną sztywność, bo naśladowcy biorą zazwyczaj przypadkowe cechy za istotną treść jakiéjś sztuki. Edward v. Gebhardt idzie już dawno tą drogą. Berlińska galerya posiada dwa jego obrazy, jeszcze charakterystyczniejsze. Wniebowstąpienie Chrystusa: — w promieniu rembrandtowskiego światła unosi się ekstatyk, na którego patrzą z dołu uczniowie, w niedostrojonych, krzykliwych barwą szatach. Wieczerza Pańska: — w staroniemieckiéj jadalnéj sali siedzi Chrystus wśród ubranych w Dürero-

wskie szaty marynarzy Północnego morza. Jeżeli Tycyan przebierał gondolierów za świętych, dlaczegóż nie mają rybacy z Hamburga dostać się do grona apostołów? Judasz ma postać rudego, otyłego żyda. Żadnéj dramatycznéj akcyi, tylko szereg mało ożywionych głów charakterystycznych. Na Chrystusa nie wystarczyło artyście mocy: jest on nieznaczący, łagodny i blady. Tacy malarze mają tę negatywną zasługę, że przyśpieszyli rozwój sztuki, zmuszając talent do osobistego pojęcia scen religijnych. Kto się napatrzył Gebhardta, zrozumie i pokocha Uhdego.

14 Września.

Stosunkowo słaba wystawa austryacka przedstawia taką różnorodność narodowości i kierunków, że mogę i węgierskie prace z nią połączyć, bez obawy, że się jednolitość jéj obrazu rozerwie. Uczynię to tém śmieléj, że w dzisiejszych moich rannych zapiskach z austryckiego oddziału nie znajduję wcale żadnéj wzmianki o całych kierunkach współczesnego malarstwa: zapisałem sobie np. tylko jeden religijny obraz — i to w sali węgierskiéj. Są to *Niewiasty u Grobu Chrystusa*, gdzie sobie Fesztyi pomógł efektem słońca, zachodzącego za kaktusami i kolumnami cyprysów, ażeby tém podnieść wrażenie całéj sceny. Co najwyżéj w jednéj figurze, która klęczy w jakiéjś staroniemieckiéj sztywności, umiał on i bez pomocy oświetlenia wywołać szczere, skupione uczucie.

W zakresie tego malarstwa, co się obraca w akademickich nagościach i grupach, nie spotkałem ciekawszych robót, ani w austryackiéj, ani w węgierskiéj sali. Munkacsy wystawia plafon, przeznaczony podobno do nowego wiedeńskiego muzeum, scenę, która ma widocznie charakteryzować weneckie malarstwo; ale ciepły ton ciała pozujących modelek nie ratuje zwykłego chłodu podobnych kompozycyi. *Bachantka* Benczura dowodzi, że wielki węgierski portrecista nie posiada dość przejęcia i siły, aby w indywidualny sposób pojąć i przedstawić postać mitologiczną, dla nas już obcą i szkolną. Czech Brozik podupadł: scena wyrzucania cesarskich urzędników przez okno Hradczynu w dniu 23 Maja 1618 r., teatralna w układzie i asfaltowa w tonie, nie posiada ani prostoty, zawsze u niego chłodnéj, ani technicznéj poprawności dawnych prac artysty. *Uroczystość domu Rubensa* wydała mi się tém smutniejszą i bledszą, że przed kilku dniami jeszcze dziwowałem się w Antwerpii pracom wielkiego Flamanda: nie godzi się doprawdy malować objętną dłonią portretów wszystkich tych mistrzów, którzy siebie samych i towarzyszy swoich uwieczniali

na płótnie z taką werwą, zapałem, bogactwem kolorytu i siłą w rysunku. Szkoda, że talent jeszcze żywotny marnuje się na takie obrazy, któremi nic nowego nie mówi, w których nie ma widocznie potrzeby objawienia się na zewnątrz: dwie małe sceny z wiejskiego życia dowodzą bowiem wymownie, że Brozik umie jeszcze czuć i oddawać naturę. Kto nie widział *Zatoki śmierci*, strasznéj sceny wśród lodowców północnego bieguna, którą Payer posyłał z miasta do miasta po całéj Europie? Obecny jego obraz, *Śmierć Franklina*, umacnia uważnego widza w przekonaniu, że nie tyle artystyczna wartość dzieła, ile okropność tematu zdobyła rozgłos wiedeńskiemu malarzowi.

W licznych portretach niniejszéj wystawy widoczny jest jeden rys ciekawy: chęć otoczenia osoby tém wszystkiém, co ona w życiu ma wokoło siebie, chęć niewyrywania jéj z tła i charakteru. Chęć to niewątpliwie słuszna, ale zarazem i dowód braku skupienia i odtwórczéj siły. Munkacsy pomaga sobie także tym nowym sposobem i maluje portret kobiety na tle całego „wnętrza“ dużego salonu. Ale taki aparat nie zastąpi charakterystyki; karnacya jest asfaltowa, z porcelanowemi odbłyskami, wyraz – nieznaczący, suknia się wydaje blaszaną. Natomiast wywołał Temple silne wrażenie portretem akwaforcisty Ungera: przed nim płyta miedziana, butelka z trawiącym metal kwasem, silne światło pada od specyalnie urządzonego okna pracowni. Przypatrujemy się żywemu portretowi tém ciekawiéj, że Wilhelm Unger ma wszelkie prawo do naszéj wdzięczności: zdobył on ją sobie całym szeregiem wybornych akwafort, według obrazów galeryi w Cassel, Wiedniu, Brunświku, Berlinie. Wystarczy przyjrzéć się jego portretowi Rembrandta, który w pobliżu wisi, aby ocenić, do jakich subtelności dochodzi czasem wiedeński artysta.

Benczur daje portret kobiecy, bez tak wielkiego tła: głowa ładnéj blondynki ucieka wprawdzie trochę w głąb, — nakształt głów malowanych z fotografii, — ale jest dużo gustu w ustawieniu postaci i układzie wybornie malowanéj białéj sukni. Angely tylko jednym ciepłym portretem, przedstawiającym wdowę po cesarzu Fryderyku III, przypomina dobre swoje dawne prace, z których jedna, może najlepsza, feldmarszałek Manteuffel, zdobi berlińską *National Gallerie*. Portrety dzisiejszego cesarza i cesarzowéj są to roboty bez siły ni charakteru, lizane i gładkie. I Horowitz, który tak długo pośród nas przebywał, że zwykliśmy go za swojego uważać, nie ucieka się także do malowania całego wnętrza, ażeby scharakteryzować postać, a prace jego rzucają się widzom w oczy. Dawniéj, u nas, mogliśmy mu nieraz zarzucać, że, robiąc wyborne portrety mężczyzn i dam w podeszłym wieku, nie dosyć się opiera chęci „upiększenia“, „wyidealizowania“ modelu, skoro nim jest młoda kobieta. Zatracał więc zbyt

często charakter, upiększając niby rysy; nie miał dość szczerości, dość poczucia indywidualnych cech osobistego wdzięku. Obecne prace pozbyły się zupełnie takiéj ogólnikowéj słodyczy. Oprócz wybornego portretu otyłego, niemłodego mężczyzny, w tabaczkowym surducie, o oczach sprytnych, miłych, łagodnych a pełnych wyrazu, spotykamy tu dwa kobiece portrety, a model jednego z nich jest mi znany. Dama w białéj sukni, o dziwnie pięknych, arystokratycznych, bardzo żywych rękach, malowana szeroko i śmiało, jest nie tylko dobrym obrazem, ale myślę, że i doskonałą charakterystyką, a nawet — jak tego chce stare estetyczne adagium - poematem o danéj twarzy. Za szkłem, który drugi portret przysłania, jest rzeczywiście cały poemat dla pewnych rozmarzonych widzów: nie dla tych, co czytują Ohnet'a, ale jednakże głównie dla tych, co lubią złote bajki z arystokratycznego świata, dzieła Feuillet'a, z pierwszéj jego epoki. Kogo pociągają i trwożą wykwintne jego bohaterki, urocze bez wiedzy, wyniosłe bez dumy, ten niech się przyjrzy temu portretowi jakiéjś niemieckiéj wielkiéj pani: bardzo piękna brunetka, o ślicznych ramionach, ubrana w czarną suknię, z czarną koronką na głowie i pękiem żółtych róż w dłoni. A dodać muszę, że cały *snobizm*, który z moich słów przegląda, leży wyłącznie we mnie, nie zaś w delikatnym a śmiało malowanym portrecie.

I wśród malarzy scen obyczajowych nie wyróżnia się tym razem Munkacsy: scena w węgierskiéj chacie zadziwia brakiem charakterystyki i tym samym asfaltowym tonem, co na portrecie. Z ogromnym humorem przedstawił inny Węgier, Bihari, sprawę przed sądem o potrzaskane cyganowi skrzypce: wyborne są wyrazy twarzy oskarżycieli, narzekających i natrętnych włóczęgów, sędziego, któremu się na śmiech zbiera, oskarżonego, który się przed urzędem powstrzymuje, ale ma widocznie silne przedsięwzięcie oddania cyganom w dwójnasób tego kłopotu, który mu sprawiają, włócząc go po sądach. Znany akwarelista, Passini, wystawia, jak zwykle, sceny z włoskiego życia i mały dobry portret. Chcąc ujrzéć, ile można życia pomieścić na obrazku. nie większym od formatu *Biblioteki*, trzeba się przyjrzéć dziełu Franciszka Simma. Rzecz dzieje się pod sam koniec XVIII wieku: w saloniku, o jedwabnych, blado-błękitnych, srebrem przetykanych obiciach, śpiewają przy klawikordzie duet: młoda, ładna kobieta i jeszcze młodszy, jeszcze ładniejszy chłopiec. Dwie starsze panie, mężczyzna w bronzowym fraku i dziecko, stanowią grono słuchaczy. Chłopiec stoi za akompaniującą sobie kobietą i jest jakby zaniepokojony pięknością śpiewaczki, gdy ona, upojona muzyką, rozśpiewana, oddaje się zupełnie melodyi, która ich oboje kojarzy. A mały

obrazek nie jest w wykonaniu ani suchym, ani zbyt słodkim i nowelistycznym. Ma złoty medal: brawo!

Ribarz wystawia, jak zwykle, holenderski krajobraz: czerwoną wieś nad kanałem, o powierzchni gładkiéj jak szyba. Od steru dużéj łodzi jedna biała smuga na wodzie, jedna na szybie skaza. Węgier Spanyi ma znów wodę tak martwą, jak lód, ale na przeciwległéj ścianie wisi ładny jego stok wzgórza z pasterką owiec, otuloną z całym krajobrazem w szarość, padającą od chmur, kłębiących się w górze. Ogółem jeden tylko pierwszorzędny peizaż, dzieło znanego Emila Jakóba Schindlera. Proszę sobie wystawić wielki, wśród wysokich skał ukryty, cmentarz, gdzie wszystko przybrało smutne barwy. Cyprysy zielenią się matowo, zrudziały wieńce na grobowcach, skała jest szara, a kamienie porastają mchami. Wysoko, ponad skałami, idą wielkim pędem chmury, ale wicher, co je gna, nie zachodzi do cichéj kotliny, do dziwnego amfiteatru, który natura i ludzie uczynili dla śmierci. Obraz nazywa się *Faz*.

Dr K. M. Górski.

NA NOWÉJ SCENIE.

Jak wam się podoba, komedya Shakespeara. — *Królowa Saby*, opera Goldmarcka. — *Rycerskość wieśniacza*, opera Mascagniego.

Po długiéj, blisko półtora roku trwającéj przerwie, teatr Wielki, przebudowany z gruntu, oddany został przed kilku tygodniami do użytku publiczności.

Czasu tego nie zmarnowano; nowa sala zaprezentowała się sympatycznie, ładnie i — na co dziś najwięcéj zwraca się uwagę — wygodnie. Wentylacya jest ostatnim wyrazem udoskonalonéj w tym kierunku techniki; urządzenia sceniczne, wzorowane na pierwszorzędnych teatrach, umożliwiają najbardziéj skomplikowaną wystawę; oświetlenie elektryczne daje poważną rękojmię zabezpieczenia sceny i widowni od pożaru; wygląd zewnętrzny sali, przyozdobionéj w tonie jasnym, bez nadmiaru złoceń, może wytrzymać porównanie z niejednym stołecznym na Zachodzie teatrem; słowem: dom jest — że zastąpię tém nowożytném wyrażeniem zużytą dziś definicyę świątyni, — idzie o to tylko, jaka w nim sztuka zamieszka. Nowe i piękne teatra wyrastają w naszych czasach wszędzie, jak grzyby po deszczu; nie idzie za tém, żeby każdy mógł być instytucyą artystyczną, którą trudniéj niekiedy stworzyć, aniżeli dźwignąć gmach wspaniały.

Zdarza się téż, że nawet istniejąca już instytucya nie łatwo da się utrzymać, a w takiém położeniu znajdował się od lat kilku nasz teatr, zachwiany w ostatnich czasach w finansowych podsta-

wach z rozmaitych przyczyn, wśród których niemałą odgrywało rolę znaczne obniżenie w nim poziomu artystycznego, wywołane ubytkiem przedniejszych talentów.

Robak lągł się już w bujnym kwiecie wtedy, gdy teatr, dzięki geniuszowi Żółkowskiego, talentom Królikowskiego, Modrzejewskiéj, Bakałowiczowéj, Popielówny, stał u zenitu świetności. Organizacya sceny, oparta naówczas wyłącznie na systemacie gwiazd, tak wspaniale dawała wyniki, że nawet miłośnicy teatru, szczerze interesujący się jego losami, odsuwali od siebie z pewną niechęcią pytanie: „co będzie, gdy tych gwiazd zabraknie?“ — a pytać się wypadło coraz częściéj, w miarę jak wiek, śmierć lub zrządzenia losu rozpraszały tę olśniewającą konstellacyę. Bakałowiczowa, Królikowski, Żółkowski zamilkli na zawsze; Popielówna na domowym ołtarzu rozpaliła ognisko: Modrzejewska szuka aż za oceanem szerszych dla swego talentu widnokręgów, tylko od czasu do czasu przypominając scenie warszawskiéj dobę jéj rozkwitu; a tymczasem ta scena, na któréj nie wyrobiła się, jak gdzieindziéj, truppa jednolita, złożona z uzdolnień średnich, wyższym ożywionych duchem, błąkała się po omacku to w tym, to w innym kierunku, stosownie do natury, do artystycznego przygotowania, albo osobistych upodobań tego lub owego reżysera. Probowano wszystkiego: i literackich, i aktorskich ideałów — bez skutku; ociągano się tylko z zastosowaniem jedynego środka ratunku: zasady meiningeńskiéj, t. j. wypracowywania *całości* dzieł tak, aby, nawet bez wielkich talentów, uwydatnił się w grze ton i styl utworu i aby zbiorowemi siłami wywrzéć na widzu wrażenie, jakie mu dawały wyjątkowe aktorskie indywidualności. Konieczność dokonała tego, co dawno przedtém mogło być artystyczném ocaleniem teatru; traf zaś zrządził, że owo przesilenie wypadło w chwili, kiedy właśnie podjętą została przebudowa teatru Wielkiego. I, jak gdyby materyalne przekształcanie gmachu miało jakieś pokrewieństwo z reorganizacyą artystyczną, stało się, że w obu przeobrażeniach uznano za najdogodniejsze sięgnąć do poprzednich urządzeń; pod względem architektonicznym powrócono do planów Corazzego; reorganizując scenę, postanowiono działać *unitis viribus*, co dawniéj stanowiło podstawę każdego teatru, — systemat bowiem gwiazd był nowoczesnym nabytkiem, — a z drugiéj strony, *całość* nie jest wyłącznym wynalazkiem Meiningeńczyków, którzy celowali specyalnie w odtwarzaniu tła stylowego i w dostrajaniu do tego tła szczegółów obrazu.

Metamorfoza architektoniczna poszła, jak już wspomniałem, bardzo dobrze, tak dobrze, że jedna z najważniejszych w teatrze zalet, akustyka, *przypadkiem* (słyszałem takie wyrażenie) jest doskonałą, — jak gdyby o przypadku mogła być mowa tam, gdzie Corazzi był

budowniczym! Co przyniesie reforma artystyczna, tego dziś jeszcze przesądzać niepodobna. Zaznaczyć tylko można, że kierunek artystyczny dramatu i komedyi jest kombinacyą uzdolnień, mających się nawzajem dopełniać. Znajduje się w téj kombinacyi i ukształcony aktor literat, w towarzystwie artysty, który, jakkolwiek do piszących nie należy, odznaczał się zawsze aspiracyami do wielkiego repertuaru; jest i dotychczasowy reżyser, przeznaczony do technicznego inscenizowania utworów, przez swoich kolegów wybranych. Jak sobie ten tryumwirat radzić będzie i czy kolegialność nie podetnie nieco skrzydeł indywidyualnéj, najpotrzebniejszéj w teatrze, inicyatywie, — nie widzę powodu przesądzać. W téj chwili stwierdzić tylko wypada, że, przystępując przedewszystkiém do podniesienia repertuaru, reżyserska trójca trudność odrazu za rogi ujęła, rozpocząwszy działalność swoją od Shakespeare'a, i to od jakiego Shakespeare'a! Śmiałość to była wielka zainaugurować przedstawienia dramatyczne komedyą, która w samym tytule, *Jak wam się podoba*, zdawała się rzucać publiczności rękawicę. Pokazało się jednak, że odwaga zawsze na coś się przyda i że w takich razach ryzykować nietylko można, ale trzeba.

Jak wam się podoba — powiada poeta, nie mogąc utrwalić mglistéj treści téj sielanki, w któréj fantazya jego zdaje się wypoczywać po tragedyi łez i krwi i, zadzierzgnąwszy tyle węzłów namiętności, zbrodni, haftuje w powietrzu fikcye, subtelniejsze od pajęczych siatek, tworzy światy, gdzie samowładna królowa, wyobraźnia, igra z czasem i miejscem, krzyżuje religie i rasy, prowadzi przez szeregi wieków maskaradę anachronizmów i geografię zastępuje fantastycznym labiryntem. „Jak wam się podoba“ mówił Shakespeare przed trzema wiekami do ludzi, mających instynkta rzeźników i zachwyty Medyceuszów; dla takich ludzi pisał dramata, w których bohaterowie wyłupiają sobie oczy, a najemne zbiry mordują niemowlęta w objęciach matek; ale dla takich też snuł marzenia, przenosząc ich w czarodziejskie krainy, zaludnione istotami, oderwanemi od wszelkich warunków ludzkiego bytu, ulatującemi na tęczowych skrzydłach poezyi nad nędzą i niedolą ziemskiego padołu; dla takich widzów, on, poeta elementarnych, nieujętych w karby żywiołów, kipiących bądź w piersi człowieka, bądź w łonie natury, przyoblekł w powiewne, napowietrzne postacie siły, czary i piękności przyrody; wyzwolił je od wszelkich praw logicznych, poddał pod działanie kapryśnéj fantazyi; powołał do życia roje duchów, zrodzonych z matki Grecyi, z ojca Renesansu; wznosił w tajemniczych cieniach germańskiego lasu lekkie attyckie kolumnady i kazał średniowiecznym gnomom i elfom przemykać się pod klasycznym portykiem. I ci ludzie, brnący po pas w zmysłowéj rzeczywistości, natłoczeni w budzie londyńskiego *Globu*, nad cuchną-

cym rowem, podążali za Shakespearem w nadzmysłowe szlaki; szukali z nim wypoczynku, wytchnienia po burzach i orgiach cywilizacyi, kipiącéj lawą rozhukanych temperamentów; roztkliwiali się miłosnemi troskami bezcielesnych kochanków; przytakiwali wesołym figlom leśnego chochlika; paśli oczy widokiem istot, które na nocne pląsy wymknęły się ze swoich mieszkań, z drzewnych dziupli, z kwiatowych dzwonków, z żołędziowych kielichów!

Tak było lat temu trzysta. A teraz zwróćmy się do nas, dzieci doskonałéj, wykształconéj wiekami kultury.

Oto na wielkim placu wielkiego miasta, oblany światłem, które zdaje się być łupem Prometeusza, otoczony wszystkiém, co przypomina na każdym kroku zdobycze nauki, najgenialniejsze podboje myśli, stoi przybytek, gdzie wszystkie sztuki obrały sobie ulubione siedlisko... teatr. Budowniczy, rzeźbiarz, malarz wysilili się, żeby zewnętrznym kształtem i wewnętrznem urządzeniem rozwiązać trudne zadanie, połączyć świątynię z salonem. Nic tam nie brak, coby nastroić powinno artystycznie. Bogactwo, smak i wygoda z demokratyczną szczodrobliwością wydzieliły każdemu miarkę wytworności i komfortu, która go odosabnia, jeżeli chce być sam, a łączy z wykwintném towarzystwem, jeżeli go potrzebuje. Do tego przybytku wprowadza dzisiejszego widza poezya w balowym stroju, dekoltowana, z turniurą—i artyzm we fraku, w białym krawacie; sadzają go na miękkim fotelu i mówią:

— Patrz i marz!

Podnosi się zasłona i marzenie poety przyobleka kształty, którym wszystkie uroki plastyki, poparte czarem muzyki, dodają fantastycznego lotu. Rzeczywistość znikła we mgłach, przesłaniających tę krainę rojeń. Dzieje się coś, czego niepodobna, czego nie wolno podciągnąć pod miarę stosunków ludzkich; kochają się, zazdroszczą, gonią z sobą cienie, przypominając kołysanie się nad kwiatami barwnych motylów; między drzewami snuje się korowód mglistych widziadeł; nikną prawa przestrzeni i czasu i senna mara zdaje się w życiu pozaświatowém przedrzeźniać rzeczywistość.

Dla spektatora zrobiono wszystko, żeby mu oszczędzić najlżejszéj pracy imaginacyi; widzi okiem ciała, co przed trzema wiekami trzeba było wyobrażać sobie wzrokiem duszy, a zapytany o wrażenie, odpowiada:

— Bardzo ładna wystawa.

Z całego Shakespeare'a dostrzegł tylko dekoracye, kostiumy i maszynerye. Możnaż się temu bardzo dziwić? On, który zaklęte w przyrodzie siły wydobył na jaw z odwiecznych tajni i uwięził pod swemi

rozkazami, dyktując im prawa; on, który odkrył w życiu ludzkiém żelazne zazębienie przyczyn i skutków, miałby interesować się czynami urojonych istot, wyswobodzonych sennym kaprysem poety z ciężkich kajdan logiki?

On wszystkie władze geniuszu wytężył ku ujarzmieniu tych sił, ku wyśledzeniu téj nieubłaganéj konieczności, nie dla igraszki poezyi, ale dla udogodnienia sobie życia. On wynajdzie jeszcze czwarty wymiar, zneutralizuje prawa ciężkości i stworzy niegorsze od poety czary; ale je wyzyska na roskosze użycia, na usłanie sobie egzystencyi, niby łoża sybaryty. Tylko mu na niém marzyć nie każcie, bo się będzie męczył, jak na łożu Prokrusta. Fantazyę zużył na to, żeby sobie jaknajmiększy przygotować wypoczynek, i jest mu tak dobrze, że się zdobywa co najwyżéj... na chrapanie bez snów, bez marzeń.

To téż nie dla niego „Jak wam się podoba.“

Ale są przecie tacy, którzy na łonie natury umieją szukać balsamu i ukojenia na rany, ciężką ręką losu w walkach życia zadane. Kto szedł wczesnym rankiem przez bór, wpatrzony, wsłuchany w drgania, w odgłosy tajemniczego życia, budzącego się o świtaniu; kto widział roztapianie się w różowych blaskach jutrzenki białych oparów, otulających wysmukłe sosny; komu potém do stóp się kładły długie cienie drzew, z pośród których, jakby z okien między filarami gotyckiego tumu, przedzierały się złote blaski wschodzącego słońca, przefiltrowane przez zieleń młodéj dębiny,—ten zagłębi się bez wahania z Shakespearem w gęstwiny ardeńskiego lasu, którego nikt nie odszuka na żadnéj mapie geograficznéj, bo istnieje tylko w idealnéj strefie, gdzie znajdują się Ateny „Snu letniéj nocy“, gdzie leży wyspa, na którą „Burza“ rzuciła swoich rozbitków.

Tam, jak mówi Paweł de Saint-Victor, niby w raju ziemskim Breughela, drzewa i zwierzęta żyją w dziwnéj wspólności. Palma wschodnia rośnie obok germańskiéj wierzby, lew zaczaja się pod cieniem sosny, wąż indyjski pełza po wrzosach, na których tylko co odpoczywał daniel. To świątynia natury; roślinności wszystkich klimatów składają się na wzbogacenie jéj; zwierzęta wszystkich stref gromadzą się w niéj, jak w arce pokoju. Tam Shakespeare chroni się przed zgiełkiem i marnością, a wtedy gaj napełnia się czarodziejskiemi widziadłami, splątanemi jakąś majaczącą akcyą; las drży, szepce, i każdą jéj scenę obwiesza festonami bluszczu i laurów; słowom użycza łagodnych brzmień echa i snującym się nikłym bohaterom nadaje pozór zjawisk fantastycznych; postacie wdzięczne lub dziwaczne przemykają się wśród jasności i cieniów, a stąpanie ich zaledwie słychać — zdaje się, że je mech zagłusza.

Czy widzicie poetę, który, przybrawszy na się postać melancholika Jakóba, jak „Hamlet na wakacyach“, delektuje się, istny smakosz pesymizmu, łagodną goryczką swoich mizantropijnych myśli. „Świat cały jest teatrem“ — mówi ten aktor, wycofany za kulisy ze sceny życia; ale te jego refleksye przemykają, niby lekkie obłoczki, po jasnym widnokręgu optymizmu, który przed nami roztacza drugi samotnik, książę wygnany ze swym dworem przez brata przywłaszczyciela. Ten pustelnik filozoficznie przyjmuje przeciwności losu, a w banicyi swojéj widzi powrót do złotego wieku. „Łaskawe są, mówi strącony monarcha, zrządzenia niedoli. Jak zjadliwa i wstrętna ropucha, nosi ona w głowie klejnot cenny. To życie zdała od publicznéj ciżby odnajduje głosy w drzewach, księgi w szemrzących strumykach, naukę w głazach, dobro we wszystkich rzeczach.“

Gdy tak certuje się dwóch odludków, spokój leśnéj oazy zakłóca wtargnięcie uroczéj pary wędrowców. Rozalina, córka wygnańca, opuściła dwór, przebrana za pazia; Celia, córka uzurpatora, towarzyszy przyjaciółce; opiekuje się zaś błędnemi księżniczkami błazen książęcy, a uśmiechnięta ta gromadka przybywa zdrowo i cało do lasu ardeńskiego, gdzie się z nią spotyka Orlando, młodszy syn tyrana, który chroni się tu przed nienawiścią brata, gotowego nawet popełnić zbrodnię, byle się tylko pozbyć szlachetnego młodzieńca. Zwiedziony przebraniem Rozaliny, Orlando nie poznaje w niéj władczyni swego serca, która mu niedawno zawiesiła na szyi łańcuch za pokonanie siłacza, nasłanego przez księcia na zgubę bratanka. Dziewczę wyzyskuje tę pomyłkę w pojedynku na *concetti*, który porównać można tylko z szermierką na słowa Beatryczy i Benedykta w „Wiele hałasu o nic“, a wśród tych zapasów miłość roznieca się i rośnie z siłą, przypominającą u Shakespeare'a potęgę żywiołów. Goreje szczególniéj w sercach dziewcząt i kobiet, które w twórczości poety z nad Avonu stanowią nieledwie oddzielną kategoryę istot. Giętkie jak łabędzie, wrażliwe jak mimozy, zdają się mieć przezroczyste ciała; gotowe rozkochać się na śmierć, łatwo umierają z miłości, ale żyją nią jeszcze snadniéj, wdychając jak odżywcze tchnienie natury. Miłosna wikłanina między wygnańcami plącze się, jak konary i ścieżki puszczy ardeńskiéj. Rozkoszne omdlenie opanowywa dramat, przeradzający się w idyllę; krajobraz nabiera duszy zamieszkujących go filozofów i kochanków i wzajemnie swojej im użycza. Kora drzew pokrywa się imionami zakochanych; na krzakach dojrzewają zamiast jagód sonety. Jelenie wołające po kniei, oddalone dźwięki ligawki, echa rogów myśliwskich, towarzyszą namiętnym rozmowom par rozmiłowanych: wszystkie serca kojarzą się w jedném gorącém unisono; łaskawa natura rozwiązuje dramat nawróceniem występnych, Kain

pada w objęcia Abla; uzurpator zwraca tron prawdziwemu władcy i nad czterema odrazu parami klasyczny Hymen wznosi swoją pochodnię.

Jak tu w grze rozsnuć taką subtelną tkankę, żeby w niéj nie było widać ani jaskrawych nici, ani połyskliwego szychu? Realnie tego traktować niepodobna, bo, przy pierwszém zetknięciu z rzeczywistością, oblicze poezyi wyda się jak wykrzywiona karnawałowa maska; nie może się téż ta fantazya zupełnie we mgle rozpłynąć, bo na nią w pewnym stopniu rzuca życiowe oświetlenie zarówno optymizm wygnańca, jak pesymizm dobrowolnego pustelnika, jak wreszcie zdrowy rozsądek trefnisia—trzy rysy fizyognomii Shakespeare'a. Trzeba więc, żeby wszystkiemu ktoś nadał ton, a to poeta powierzył głównéj bohaterce, reżyserya zaś nie ma nic lepszego do zrobienia, jak naśladować twórcę idylli. Więc gdy wszędzie gra Rozaliny jest takim kamertonem, u nas szczęśliwie się stało, że pani Ludowa talentem swoim dostroiła do siebie całe otoczenie. Artystka postąpiła w ostatnich czasach znakomicie; rola Rozaliny jest najwymowniejszym tego postępu świadectwem, bo wymaga nietylko wydoskonalonéj techniki aktorskiéj, ale prawie literackiego ukształcenia i artystycznego smaku. Kto nie wie, co są włoskie z czasów renesansu *concetti*, kto się nie przypatrywał sztuce plastycznéj epoki Odrodzenia, kto nie odczuwa finezyi tego stylu, kojarzącego w sobie zuchwalstwo z wytwornością,—ten Rozaliny grać nie może. Pani Ludowa grała ją tak, że się przy niéj stylowym zrobił i p. Prażmowski, jako Orlando, że wszyscy, z małemi wyjątkami, dążyli do wytworzenia meiningeńskiéj całości. Dążenie samo, gdyby nawet nie zawsze w zupełności cel osiągało, już jest zasługą, którą godzi się zaznaczyć, w nadziei, że aspiracye zbliżać się będą coraz więcéj do postawionego ideału.

Opera nie dała się prześcignąć dramatowi, wyprzedziła go nawet w swojém mniemaniu, o ile pod względem formuły artystycznéj sięgnęła w przyszłość, gdy tamten do przeszłości się zwrócił. *Królowa Saby* i *Rycerskość wieśniacza* należą do jednego kierunku, obwieszczonego przed laty przez Wagnera, jako *Zukunftmusik;* na téj przyszłości jednak teraźniejszość wyciska już swoje piętno, inaczéj bowiem wagnerowskie ideały pojmuje Goldmarck, inaczéj Mascagni: młodość autora aktu, znanego dziś w całéj Europie pod nazwą *Cavalleria rusticana*, ważną tu odgrywa rolę—niemniéj téż decydującym musi być temperament rasy. Dwudziestokilkoletni Włoch jest synem swego wieku i zdaje się przyszłość muzyki widzieć w traktowaniu motywów z rzeczywistego życia, w przedstawianiu namiętności realnych; Goldmarck, twórca *Królowéj Saby*, napisanéj przed szesnastu laty, bierze te rzeczy po niemiecku, ze stanowiska swego mistrza,

który poezyę widział tylko we mgłach przeddziejowych lub mytologicznych. Jeden ani drugi nie doszli do przedmiotowéj plastyki w rysunku swoich postaci: Goldmarck bowiem wyszedł zadaleko po-za siebie i szuka uczuć ludzkich aż w biblijnych odległościach; Mascagni znów, w siebie jeszcze zanadto zapatrzony, wojuje dotąd osobistym tylko liryzmem. Obaj mają jeden wspólny środek do wyrażania stanów duszy—orkiestrę; tylko dziecię południa, zapuszczając się w symfoniczne głębie, zatrzymuje się na psychologii, syn północy dociera aż do metafizyki; Niemiec spekuluje — Włoch śpiewa; a kiedy melodya w niemieckiéj partycyi całkowicie oddana jest instrumentom, we włoskiéj służy przedewszystkiém sercu człowieka do wypowiadania, co się w niém dzieje, i głosem ludzkim świadczy, że tak bohaterowie, jak ich twórca, pochodzą z krainy *del bel canto*. W zastosowaniu wagnerowskiéj formuły do przedstawienia ludzi i sytuacyi znaczne też między obydwoma kompozytorami zachodzą różnice. Wprawdzie i Goldmarck, i Mascagni, zredukowali manię *leitmotywów* do minimum; ale, używając *recitatiwów*, pierwszy trzyma się wagnerowskiéj tradycyi, skazującéj kompozytora na gramatyczną nieledwie zależność muzyki od tekstu, drugi emancypuje się z téj niewoli i oddaje tylko treść uczucia, nastrój sytuacyi w *recitandzie*, które przemawia akcentami namiętnego liryzmu lub wstrząsającéj dramatyczności. Wytwarza się ztąd pewna nerwowa deklamacya z patosem, trochę przesadnym w stosunku do atmosfery dramatu i do działających w nim czynników, ale często porywającym energią temperamentu i potęgą ekspresyi. Przesada zresztą nie jest tu żadną afektacyą na zimno; wynika raczéj z nadmiaru namiętności i z niezwykłego skupienia dramatycznych pierwiastków. Istotnie, zważywszy, że w ramy jednego aktu wciśnięty jest u Mascagniego dramat z motywami, do których rozwinięcia Goldmarck potrzebuje sześciu aktów, podziwiać trzeba powściągliwość, z jaką młody kompozytor pamiętał, żeby nie być wielomównym. Naturalnie, że mówiąc mało i zwięźle, wynagradzał to sobie, niekiedy zanadto, natężeniem, siłą dykcyi, nie zawsze odpowiadającéj naturze uczuć i sytuacyi; ale pytanie, co lepsze: czy taka treściwość, ustawicznie bliska wybuchu, czy też spokój, rozlewający się gadatliwie szeroką falą, w któréj toną i kontury sytuacyi, i plastyka ich bohaterów?

W gruncie rzeczy obu kompozytorom idzie o to samo—dano im do upoetyzowania tonami stare jak świat temata: miłość i zazdrość. Librecistą Goldmarcka był Mosenthal, poeta-retor ze szkoły Halma, autor *Debory*, mający więc pewną słabość do hebrajskich motywów; *Debora* jednak jest dramatem nowożytnym—a tu wagneryzm, muzyka przyszłości, pod tym tylko warunkiem chce się stać przyszłością muzyki, że się odzywać będzie z oddalenia wieków, z perspektywy prze-

szłości. Daléj-że więc do Pisma Świętego, do ksiąg Salomonowych— i Ekklezyasta został bohaterem opery. Nie spodziewajcie się jednak od niego „Pieśni nad pieśniami“; jest właśnie w fazie pisania przysłowiów; że zaś tych pod muzykę podłożyć nie można, a arya na temat *vanitas vanitatum* smutnie-by wyglądała, więc trzeba było sprowadzić do Jerozolimy królowę Saby, rozkochać w niéj ulubieńca salomonowego, Assada, który ma pojąć za żonę córkę wielkiego kapłana Sulamitę, i sprowadzić wszystko do elementarnéj sytuacyi między dwiema kobietami, dobijającemi się o jednego mężczyznę, czemu król-filozof przypatruje się spokojnie, powtarzając: „marność marności i wszystko marność.“ Mógłby z tego być dramat, gdyby wszystkie działające w nim osoby wiedziały, czego chcą. Tak nie jest. Salomon właściwie nic nie chce—słucha tylko cierpliwie, jak na mędrca przystało, wszystkich i wszystkiego. Królowa Saby ma wyprzedzające wieki instynkta Kleopatry: przybyła podziwiać mądrość Salomona, a spędza czas na przyciąganiu i odpychaniu Assada, na tuleniu go w uściskach i wypieraniu się potém publicznie swéj słabości. Niefortunny kochanek przerzucany jest jak piłka z objęć do ołtarza i na nic zdecydować się nie może. Jedyną po ludzku czującą i cierpiącą istotą jest Sulamita, któréj znów postać traci wydatność plastyki wobec wspomnień o Sulamicie, bohaterce „Pieśni nad pieśniami.“ Tam, gdzie wszystko pływa w takiéj mglistéj oddali, muszą i uczucia wypowiadać się niewyraźnie, bez przemawiających do duszy akcentów. Ani miłość, ani zazdrość nie przekonywają słuchacza, który, pamiętając porywającą symfonię Goldmarcka „Wesele wiejskie“, doznaje pewnego rozczarowania. Zawód to bardzo naturalny. Goldmarck jest przedewszystkiém symfonistą: orkiestra jest dla niego celem, gdy dla Mascagniego stanowi tylko środek; dlatego Goldmarck stworzył symfonię, Mascagni dramat miłości. W tym dramacie młody kompozytor woli orkiestrze powierzyć tylko burzę zazdrości, a smutek, tkliwość, łzy, wydobyć z głosu ludzkiego. Ale tam znów, gdzie wypada manipulować wielkiemi masami, lub wywoływać efekta kolorytu, wytrawny muzyk, Goldmarck, pokazuje, co umie, do jakich wyżyn spotęgować potrafi zbiorową ekspresyę, jakie ma barwy na swéj instrumentacyjnéj palecie. Momenta religijne w *Królowéj Saby* nastrojone są majestatycznie i imponująco; charakterystyka świata wschodniego elektryzuje oryginalnością rytmów i mieniącą się świetnością kolorów: wszystkie takie sceny tchną prawdziwym, poetycznie ujętym, egzotyzmem.

Na charakterystykę nie wysila się zgoła Mascagni: bohaterowie jego są Włochami, bo tak chce libretto, podług włoskiego dramatu przykrojone; w téj chwili jednak zdaje mi się, że kompozytorowi to wszystko jedno i że tym samym językiem przemawiali-by u niego lu-

dzie z pod każdego innego nieba. Szczeble społeczne, na których porusza się akcya, zdają mu się być równie obojętnemi. Mascagni nie zaznaczył atmostery żadnym ludowym motywem; jego bohaterowie odzywają się językiem namiętności kompozytora i kostium tylko mają chłopski; jest jednak taka *vis dramatica* w tych gorączkowych spotkaniach porzuconéj kochanki ze swoim uwodzicielem, z jego żoną i z mężem rywalki, że dopiero późniéj przychodzi zdumienie: co jest w tych frazesach, nerwowych aż do gwałtowności, rzadko oryginalnych, najczęściéj naśladowanych, że tak do głębi duszy sięgają?

Jest talent, może nie tak bliski geniuszu, jak o tém wszędzie głosi reklama, ale wysuwający już lwie pazury, — a w każdym razie rwący się do lotu na wszystkie strony. Jeszcze nie przebrzmiał rozgłos *Rycerskości wieśniaczéj*, a już słyszymy o dwóch naraz nowych operach: *Przyjaciel Fryc* i *Bracia Rantzau*. Od posępnego dramatu Jana Vergi twórczość młodego muzyka przerzuca się do pogodnéj, uśmiechniętéj sielanki Erckman-Chatriana Czy się do niéj zdoła nagiąć? przyszłość pokaże; tymczasem ten jeden akt poczynającego kompozytora ściąga do teatru nierównie więcéj publiczności, aniżeli całowieczorowa opera Goldmarcka, taka jest siła szczerości w sztuce!

Oba dzieła, wystawione wspaniale i z wielką starannością, świetnie zainaugurowały sezon operowy; i w jedném, i drugiém bohaterami byli artyści włoscy, którzy, nie wywarłszy pierwotnie żadnego wrażenia, dopiero w operze Mascagniego znaleźli się w swoim żywiole W lepszéj sytuacyi byli: pani Dowiakowska i p. Chodakowski, wytrawny artyzm zapewnia im bowiem zawsze jednostajne sympatye publiczności.

W. Bogusławski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

D-r. Witold Rubczyński. *Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemany autor Vitellion. Przyczynek do historyi pojęć średniowiecznych.* Kraków. Nakład Akademii Umiejętności 1891. Str. 33 in 4-o.

Po znanéj pracy o Vitellionie, znakomitym ojcu nowoczesnéj optyki, Wituskiego (Poznań, 1870) i Szokalskiego (w *Ateneum* z r. 1877), oraz notatce Żebrowskiego, zamieszczonéj w Rozprawach wydziału filologicznego Akademii krakowskiéj z r. 1878, a mającéj na celu obronę jego narodowości polskiéj przeciwko toruńskiemu profesorowi M. Curtzemu, — nie zajmowano się u nas przez dziesiątek lat tą chlubą umysłowości polskiéj XIII-go wieku.

Chociaż wyraz *Vitellio*, albo raczéj *Vitello*, nie oznacza, jak dawniéj sądzono, nazwy rodowéj Ciołków, lecz jest poprostu imieniem własném, to jednak mąż uczony, znany pod tém imieniem, sam w swém dziele o *Perspektywie* nazywał się *filius Turingorum et Polonorum*,— mówił o Polsce, jako o swojéj ojczyźnie,—*in terra nostra scilicet Poloniae*,—a najdawniejsze rękopisy mianują go *Vitello de Polonia*. Nie ulega tedy kwestyi, że choć rodzina jego po ojcu lub matce pochodziła z Turyngii, był synem ziemi polskiéj i miał się za Polaka. Ztąd też wynikają niewątpliwie pewne szczególne obowiązki dla uczonych polskich co do zbadania, wedle możności, bliższych szczegółów, dotyczących życia i prac głośnego ziomka.

Po wspomnianéj przerwie, St. Windakiewicz w pouczającém studyum: „Bolonia i Polska“, zamieszczoném w *Przeglądzie polskim* z r. 1888, zwrócił uwagę na poglądy filozoficzne Vitelliona, zawarte w przedmowie do jego *Perspektywy*, oraz na ślady zajęcia się jego różnemi pismami nowoplatońskiemi. Obecnie D-r W. Rubczyński, skorzystawszy z tych wskazówek, w zaznaczonéj powyżéj pracy rozszerza i zagłębia pod niejednym względem nasz widnokrąg co do znaczenia Vitelliona w dziejach filozofii średniowiecznéj.

Bogata bibilioteka Laurencyańska we Florencyi, wśród przeszło siedmiu tysięcy rękopisów, między któremi są takie kruki białe, jak Wergiliusz z V-go wieku, lub Tacyt z X-go, zawiera także traktat p. t. *De intelligentia*, zaliczony w katalogu biblioteki do wieku XIII-go. Traktat ten oddawna miano za pracę Alanusa, teologa XII-go wieku, który w znaném dobrze dziele *De arte seu articulis catholicae fidei* (wydanem w 120 tomie Migne'a *Patrologii*), ze stanowiska filozoficznego broni nauki chrześciańskiéj przeciwko mahometanom, żydom i heretykom, i nadto napisał kilka innych dzieł, doszłych do nas.

Otóż, traktat ten *de intelligentia* jest przedmiotem wszechstronnego rozbioru D-ra Rubczyńskiego i punktem wyjścia dla szeregu ciekawych przypuszczeń odnośnie do autorstwa Vitelliona i jego poglądów filozoficznych.

W uczonéj swéj rozprawie D-r Rubczyński charakteryzuje przedewszystkiém treść traktatu ze stanowiska głównych prądów myśli, czynnych w filozofii XII-go i XIII-go wieku.

W teoryi poznania, mówi autor, istnieją kwestye, które się nigdy nie przestarzeją. Do takich należy zasadnicza kwestya filozofii krytycznéj: czy stosunek podmiotu do otaczającéj go rzeczywistości jest czynny, czy bierny; a jeżeli podmiot poznający wespół z przedmiotem poznawanym składają się na urobienie pojęć naszych, to rodzi się pytanie: jaki zachodzi stosunek między podmiotowemi i przedmiotowemi czynnikami naszéj wiedzy?

Tych pytań nie sformułowała dopiero po raz pierwszy filozofia nowożytna; one były przytomne umysłowi ludzkiemu już wskutek poglądów skeptycznych, rozwiniętych w szkole akademickiéj Platona. Praca zaś nad rozjaśnieniem tych pytań przycichła na kilkanaście wieków nie dlatego, że o nich ludzkość zapomniała, lecz dlatego, że się zaspokoiła odpowiedziami, danemi na nie bądź przez nowoplatonizm, bądź przez chrześcijański arystotelizm.

Według nowoplatonizmu, prawdziwy przedmiot poznania jest natury duchowéj, t. j. taką samą ideą, czyli czystą formą, jak duch poznający; a że duch poznający z istoty swéj jest czynnym, przeto po-

znanie doskonałe i prawda czysta dostępne są tylko dla umysłu bożego, w którym jedynie myśl, będąc czynną, jest zarazem i twórczą, a więc bezpośrednio przenika przedmiotową rzeczywistość. W innych zaś umysłach napotykamy przeciwstawność między czynnością poznawczą i jéj przedmiotem, a z tego wynika niemożność bezwzględnego poznania prawdy. Tylko przez skupienie w sobie pierwotnéj duchowéj światłości, duch skończony wznosi się stopniowo na wyższe szczeble istotnego poznania rzeczy.

Powyższe poglądy doprowadzają nowoplatonizm do uznania różnych stopni istot poznających i różnych sposobów poznania. Najwyższym szczeblem jest czucie zmysłowe; następnie energia skupiająca przechodzi do aktów myśli i stopniowo jednoczy się coraz silniéj z duchem bożym, przy pomocy ekstazy mistycznéj, odgrywającéj, jak wiadomo, tak ważną rolę w filozofii Plotyna.

Na tle powyższych nauk nowoplatonizmu rozpatruje Dr R. bliżéj treść traktatu *de intelligentia*, składającego się z trzech części. Pierwsza wykazuje konieczność uznania pierwszéj przyczyny wszechrzeczy i dodaje do jéj pojęcia pewne bliższe określenia. Druga część stara się wykazać, że skutki i własności światła widzialnego odpowiadają owym określeniom, i wyprowadza z tego wniosek, że światło fizyczne i jego działalność jest najwyższym obrazem natury Boga i téj potęgi jego, która wydaje wszelkie poznanie i wiedzę duchową. Część trzecia, wreszcie, mówi o różnych stopniach poznania ludzkiego i duchów czystych i z tego stanowiska zaznacza skalę istot doskonałych i mniéj doskonałych, w miarę tego, jak siła czynna boskiéj światłości słabnie, aż w końcu odbicia jéj stają się czysto zewnętrznemi, n. p. na źwierciadłach u ciał nieorganicznych.

Przy szczegółowym rozbiorze téj treści traktatu, oraz w osobnym dodatku (str. 27—33), Dr R. wykazuje dowodnie, że w mowie będący traktat nie może być dziełem Alanusa. Przypisywano mu autorstwo tylko na podstawie zupełnie przypadkowych cech zewnętrznych, a mianowicie wskutek podobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy początkiem dzieła Alanusa *De arte fidei* i pierwszą tezą traktatu *de intelligentia*. Obie prace rozpoczynają od przyznania pierwszéj przyczyny, jako początku wszelkiego wogóle związku przyczynowego między rzeczami. Ale cała zresztą treść traktatu tak zasadniczo różni się od poglądów Alanusa, opartą jest na tak odrębnych tradycyach naukowych i zaznacza tak odmietnne tendencye filozoficzne, że go żadną miarą uznać nie można za autora.

I tak Alanus, jak i inni starsi scholastycy XII-go wieku, znał Arystotelesa jako autora traktatów logicznych „Organonu“ i nie miał jeszcze najmniejszego pojęcia o kardynalnych podstawach jego meta-

fizyki, a różnicy między energią i potencyą, która w naszym traktacie odgrywa rolę zasadniczą. Następnie, dzieła, pochodzące niewątpliwie od Alanusa, w poglądach na teoryę poznania oraz na Boga i jego stosunek do świata i człowieka, nie zdradzają najmniejszego wpływu ze strony nowoplatonizmu, podczas gdy filozofia traktatu ma wyraźnie charakter nowoplatoński. Alanus był suchym, prozaicznym dyalektykiem i moralistą, zamkniętym w dość szczupłém kółku pojęć dogmatycznych i tendencyi praktycznych. Formalna logika i gramatyka stanowią główne podstawy jego rozumowań. Autor zaś traktatu odznacza się szczerém poetyczném pojęciem duchowego porządku wszechświata i nadto posiłkuje się często analogiami przyrodniczemi, obcemi zupełnie Alanusowi. Tak n. p. Alanus dowodzi, że zwierzę nie ma duszy, gdy tymczasem autor traktatu klasyfikuje dusze zwierzęce, ludzkie i umysły czyste w jednéj skali coraz doskonalszego życia wewnętrznego i form je kształcących. Scholastycy XII-go wieku, a z nimi i Alanus, nie zdobyli się jeszcze na rozgraniczenie teologii i filozofii, lecz do swych rozumowań metafizycznych wciągają i dogmata religijne. W XIII-tym zaś wieku umysły samodzielniejsze starają się już o wydzielenie z filozofii takich rzeczy, które wpadają wyłącznie w zakres wiary, objawienia i nie mogą być dostępnemi dla naturalnego rozumu; a ta właśnie nowa tendencya charakteryzuje nasz traktat.

Jedném słowem, na podstawie zaznaczonych argumentów, uzupełnianych jeszcze przez cały szereg szczegółowych danych, D-r. Rubczyński wyprowadza wniosek, że Alanus i autor traktatu *de intelligentia* są przedstawicielami dwóch różnych zupełnie epok rozwoju scholastyki. Pierwszy należy do staréj szkoły XI-go wieku; drugi, zostaje pod wpływem nowych idej, rozwijających się wskutek znajomości metafizyki Arystotelesa i nowoplatonizmu.

Jeżeli Alanus nie może być autorem w mowie będącego traktatu, to zachodzi pytanie, kto nim jest? I tę kwestyę rozbiera Dr R. z równą gruntowością i czyni wielce prawdopodobném przypuszczenie, że autorem jest właśnie *Vitellion* i że wskutek tego praca ta daje nam bliższe pojęcie o poglądach filozoficznych znakomitego przyrodnika.

Nie będziemy tutaj szczegółowo śledzili dowodów autora; zaznaczamy tylko najważniejsze i, według nas, najbardziéj przekonywające. Prawda, że i te nie są jeszcze ostatecznemi, nie usuwają wszelkich wątpliwości, bo opierają się wyłącznie na cechach wewnętrznych traktatu, na porównaniu jego poglądów filozoficznych z poglądami, zawartemi w *Perspektywie* Vitelliona. Brak jednak zupełnie świadectw, niezależnych od takiego rozbioru treści traktatu, a potwier-

dzających wyprowadzone w tym względzie wnioski. Ale i autor niniejszéj rozprawy, z uznania godną wstrzemięźliwością, nie przesadza znaczenia swych dowodów, lecz obstaje jedynie przy prawdopodobieństwie swego zasadniczego przypuszczenia. A na to, sądzimy, najściślejsza krytyka zgodzić się musi.

Najgłówniejszym argumentem, uprawniającym do przypisania Vitellionowi owego traktatu *de intelligentia*, jest, według D-ra Rubczyńskiego, ta okoliczność, że autor traktatu jest widocznie przyrodnikiem, a mianowicie optykiem, nie zaś filozofem scholastycznym z zawodu. O tém świadczy wymownie przeprowadzenie w drobnych umiejętnych szczegółach owéj nowoplatońskiéj analogii między światłem ducha i światłem fizycznem. Szczegóły te ujawniają specyalistę, panującego w zupełności nad współczesną nauką o świetle, i nadto wykazującego w niektórych miejscach bardzo bliskie pokrewieństwo z poglądami, wyłożonemi w dziele Vitelliona. Następnie okazuje się, że autor traktatu widocznie nie był należycie zaprawiony na terminach metafizycznych i odstępuje w kilku miejscach od powszechnego naówczas ich użycia, właśnie w kierunku przyrodniczym. Tak n. p., porównywając Boga ze światłem, podciąga go pod kategoryę substancyi, jako podkładu objawów, gdy tymczasem ani nowoplatonicy, ani arystotelicy współcześni nie odważali się uczynić tego, aby nie pomieszać Boga ze światem i jego własnościami. Pojęcie bowiem substancyi łączyli oni bezpośrednio z pojęciem o jéj przypadłościach, podczas gdy autor traktatu odróżnia substancyę, jako byt pierwotny, od jéj objawów i przypadłości. Takich rysów charakterystycznych jest więcéj, a wogóle uderza w traktacie częsty zwrot do konkretnych faktów, nie będący bynajmniéj w użyciu u filozofów scholastycznych z zawodu. Zresztą na samym wstępie traktatu autor zaznacza, że zamiarem jego jest „zebrać w krótkości trudniejsze z pomiędzy *zagadnień przyrodniczych*, aby je łatwiéj wdrożyć w pamięć i późniejszym *badaczom tych nauk* się przysłużyć“. Poniekąd więc autor sam świadczy, że jest przyrodnikiem i że swój przedmiot zamierza rozpatrzyć ze stanowiska nauk przyrodzonych.

Jedynym bezpośrednim łącznikiem, odnalezionym przez D-ra Rubczyńskiego, pomiędzy naszym traktatem a Vitellionem, jest wzmianka tego ostatniego w *Perspektywie* o pracy *de ordine entium*, którą napisać zamierzał. Według D-ra R. tytuł traktatu *de inteligentia* (o duchu czystym) nie odpowiada jego treści. Przedmiot, traktowany tutaj, jest szerszy od tytułu. Poglądy bowiem, dotyczące sposobu poznawania u duchów czystych, stanowią tylko część traktatu; dla całości zaś o wiele odpowiedniejszym wydaje się tytuł: „o porządku istnień“, *de*

ordine entium. Na téj zasadzie przypuszcza D-r R., że wzmianka Vitelliona o owéj pracy dotyczy właśnie rozpatrywanego traktatu.

Tutaj jednak przedstawia się samemu autorowi rozprawy nowa trudność. *Perspektywa*, a szczególniej przedmowa do niéj, według zdania D-ra R., robi wrażenie późniejszego i szerszego omówienia treści traktatu *de intelligentia.* Dla usunięcia téj trudności, D-r R. chciałby rozumiéć słowa Vitelliona o dziele, które *zamierzał* napisać, w ten sposób, że miał na oku przyszłe *ukończenie* i *zaokrąglenie* tego dzieła, ale, że czyniąc ową wzmiankę, już napisał był fragment z programu całości, a tym właśnie fragmentem miał-by być nasz traktat. Taka konjektura wydaje się z pierwszego wejrzenia dość naciąganą; wyznać atoli należy, że i pod tym względem nie brakło autorowi argumentów, zaczerpniętych z treści i układu traktatu, a usprawiedliwiających w pewnym stopniu i to ryzykowne przypuszczenie. Z tém wszystkiém, kwestya autorstwa Vitelliona nie jest dotąd ostatecznie roztrzygniętą. Spodziewać się tylko możemy, że dalsze dociekania w tym kierunku natrafią prędzéj czy późniéj na ślad dowodów, stwierdzających przypuszczenia D-ra R. w sposób bardziéj bezpośredni i niewątpliwy.

Kończąc, ze szczerém uznaniem zaznaczyć musimy, że rozprawa D-ra Rubczyńskiego świadczy jak najkorzystniéj o jego studyach nad filozofią w. XII-go i XIII-go i, niezależnie od swych wyników co do Vitelliona, stanowi w każdym razie nader cenny „przyczynek do historyi pojęć średniowiecznych".

H. Struve.

Correspondence of princess Lieven and earl Grey. Edit and transl. by Guy Le Strange. With portraits. 3 vls. 1890 (London, Bentley and son).

Jeśli istotnie „mają książki swoje przeznaczenia", jak miéć chce sentencya, będzie zapewne przeznaczeniem zbytkownie wydanéj książki niniejszéj spoczynek niezakłócony na półkach bibliotek lordowskich. Brak w niéj bowiem owéj nuty sensacyjnéj, któréj przedewszystkiém poszukuje czytająca publiczność w wydawnictwach autobiograficznych. Mieści się przecie w téj korespondencyi „kobiety stanu" z inwalidem politycznym treść obfita i nowa, – aczkolwiek nie wpadająca w oczy,—zajmująca, zarówno pod względem dziejowym, jak i politycznym, a nawet, jeśli kto ciekaw, psychologicznym.

Pani de Lieven, urodzona Benkendorf, była młodą jeszcze kobietą, kiedy zimą 1812 r. ukazała się po raz pierwszy na widnokręgu świa-

towym Londynu. Dużo od niéj starszy małżonek posłował od 1810 r. przy dworze berlińskim; po wybuchu wojny francusko-rosyjskiéj, kiedy ruchliwego Pozza di Borgo odwołano z ambasady londyńskiéj, aby go zużytkować w samém ognisku gorączkowéj akcyi dyplomatycznéj, na jego miejsce przeniesiono z Berlina księcia Lievena. Książę nie miał opinii ani zręcznego dyplomaty, ani nawet rozumnego człowieka; odrazu też w ambasadzie wszystkiém jęła rządzić pani [1]). Nieładna,— o ile sądzić mogę z portretu, jak również z kompetentnego zdania Chateaubriand'a,— o rysach twarzy pospolitych, lecz nader rozumnym wyrazie oczu, brak właściwego wykształcenia ukrywając pod wielką swobodą towarzyską, z *nonchalance* wielkopańską łącząc pewien umyślnie akcentowany radykalizm legitymistyczny, do którego zapewne najmniéj miała prawa, lecz z którym niekiedy bywa bardzo do twarzy kobietom, umiała pani Lieven w najlepszém towarzystwie angielskiém zająć wybitne stanowisko, a nawet zainteresować owém szczególném *haut-goût* z dalekiego Wschodu, jakie dzisiaj jeszcze w niektórych sferach na Zachodzie tak przypada do smaku. Niemka nadbałtycka z pochodzenia, godziła, sławnym wzorem, wybryki sentymentów z interesem praktycznym. Tyle tylko dla charakterystyki ogólnéj; stosunki poufałe księżny z lordem Willoughby, ks. Sutherland (wówczas lordem Gower), ks. Palmella i wielu innymi, wreszcie z biednym Canningiem, jakkolwiek ciekawe, wypada w tém miejscu pozostawić na uboczu, témbardziéj, że w omawianych tomach niéma już po nich śladu. Pozostaje niemniéj zajmujący a doniosły w swych skutkach stosunek platoniczny kobiety czterdziestoletniéj z sześćdziesięcioletnim mężem stanu, dobrze jeszcze zakonserwowanym, jeśli znów z portretu sądzić wolno, przywódcą wielkiego stronnictwa, kierującym losami swego kraju, a który całkiem daje się ujarzmić przez wolny od skrupułów spryt niewieści.

Jak okazuje się z przedmowy p. Le Strange'a, ogłoszenie korespondencyi nie obyło się bez przeszkód. Dostarczył mu jéj ks. Sutherland, którego ojcu powierzyła oryginały pani Lieven w 1848 r., kiedy przed wypadkami lutowemi uciekać musiała z Paryża. Zastrzegła sobie wówczas, aby nie ogłoszono listów przed 1880 r.[2]). Z dru-

[1]) „M-me de Lieven, after she had been ambassadress, or rather ambassador in London“ powiada o niéj hr. Malmesbury, *Memoirs of an Ex-minister*, 59 (London 1885).

[2]) „Il ne convient ni à moi ni à la mémoire de lord Grey,—pisała wówczas— qu'aujourdhui lorsque les faits sont récents, on sache, jusqu'à quel point d'intimité et de confiance le chef de l'opposition pendant dix ans, le chef du gouvernement pendant quatre, s'est trouvé avec une ambassadrice étrangère“.

giéj strony hr. Grey, wnuk ministra, nie chciał dopuścić ogłoszenia korespondencyi dziada, która mu niewiele przynosi zaszczytu, i cofnął swoje *veto* wówczas dopiero, kiedy przekonał go wydawca, że na lądzie stałym znajduje się dosłowna kopia całéj korespondencyi, sporządzona z polecenia przewidującéj księżny [1]).

Chwila, z którą otwiera się korespondencya (1824), z różnych względów była nader interesująca. Dokonane na kongresie wiedeńskim, staraniem Talleyrand'a a przy pomocy torysowskiéj, zbliżenie między Anglią a Francyą, zwrócone pośrednio przeciw Prusom i Rossyi, trwało jeszcze w zasadzie, jakkolwiek donkiszoterya legitymistyczna, *à la Chateaubriand*, jaka zapanowała w Paryżu, znacznie wpłynęła na ochłodzenie tego stosunku, zwłaszcza od czasu wyprawy hiszpańskiéj, nader źle widzianéj w Londynie. Książę Lieven, z dworu Fryderyka Wilhelma III przeniesiony do Anglii, miał sobie za główne zadanie przywrócenie przedkongresowych stosunków koalicyjnych. Podwójnie tedy było znaczącém wyprawienie w jego ślady (1822) Chateaubriand'a, również odwołanego z poselstwa w Berlinie, z przeznaczeniem do ambasady londyńskiéj. Antagonizm między dwoma ambasadorami uwydatnił się w drastyczny bardzo sposób i tłómaczy poniekąd portret niepochlebny pani Lieven, jaki znajdujemy w „Pamiętnikach“ zgryźliwego poety [2]). Pani Lieven, z właściwym sobie sprytem, zrozumiała odrazu, że sympatye dla Prus i Rossyi, a niechęć dla Burbonów, znaléźć się dawały jedynie w obozie wigowskim, tutaj téż szukała i znajdowała wielbicieli i pomocników. Trudno dzisiaj dać pojęcie o sympatyach, jakie w owych czasach, w trzecim dziesiątku lat b. w., potrafiła księżna zbudzić w sercach wigowskich dla polityki wschodniéj. Lady Aberdeen, małżonka ówczesnego ministra spraw zagr., w Listopadzie 1828 r. zapraszając na wieczór do siebie lorda Johna Russella, znakomitego przywódcę wigowskiego, młodego jeszcze wów-

---

[1]) Szczegół ten dziwne światło rzuca na dyskrecyę pani Lieven. Grey tyle jeszcze miał świadomości, że pisał jéj w 1834 r.: „You see, how freely I write to you, but it is only upon condition, that my letters are never seen by anybody but yourself... I have no desire that they should be preserved as materials for history. On the contrary, I must insist on your taking care that they *never* fall in to other hands“. T. III 38.

[2]) „On lui supposait de l'esprit parce qu'on supposait que son mari n'en avait pas... M-me de L., au visage aigu et mésavenant, est une femme commune, fatigante, aride, qui n'a qu'un seul genre de conversation, la politique vulgaire; du reste elle ne sait rien... Elle revêt sa nullité d'un air supérieur d'ennui, comme si elle avait le droit d'être ennuyée ... Elle entretient des correspondances privées et elle a paru très forte en mariages manqués (aluzya do projektowanego małżeństwa ks. Berry z W. Księżną). *Mémoires d'outre-tombe* VIII vol. Chap. 37.

czas, pisała mu nie bez złośliwości: „jeśli pan przyjdzie, będzie pan miał sposobność powinszować pani de Lieven wzięcia Warny, z czego zapewne niemniéj od niéj się pan cieszy, — choć nie wiem dlaczego“[5]).

Korespondencya z Greyem miała w początku charakter osobisty raczéj, niż polityczny, i okazuje téż w pierwszéj części liczne, zaznaczone kropkami, luki, zostawione przez dyskretnego wydawcę. Od 1830 r. znacznie się ożywia. W pierwszéj chwili po wypadkach lipcowych w Paryżu, zdawało się pani Lieven, że nadeszła okazya do wielkich przedsięwzięć. Nowe przymierze święte przeciw Francyi buntowniczéj, nowa wyprawa krzyżowa w imię zasady legitymizmu zdawały się zapowiadać. W tym samym czasie Grey stanął na czele gabinetu wigowskiego, który podjął się przeprowadzenia doniosłéj sprawy reformy parlamentarnéj. Oczywiście w takich okolicznościach częściéj musiała księżna pisywać do premiera, niż dawniéj do członka parlamentu. Grey, mimo nawału zajęć, skrupulatnie utrzymuje z nią korespondencyę. Nadzwyczajny to widok: premier wigowski, który silne swe stanowisko w najważniejszych sprawach polityki wewnętrznéj zawdzięczał przedewszystkiém wypadkom francuskim i nieodpartemu ich oddziaływaniu na opinię publiczną w Anglii, jednocześnie w swojéj polityce zagranicznéj, całkiem ulegając obcym wpływom kobiety, staje się, wbrew logice i zasadom własnego stronnictwa, zaciętym Francyi nieprzyjacielem. Jeszcze pod datą 18 Stycznia 1831 r. pisze do księżny: „gdybyście wy, Prusy i Austrya, nie mieli *rąk związanych*, moglibyśmy rychło z tą sprawą (francuską) się załatwić“. Jednak przerachowała się pani Lieven, jeśli zanadto na swego Greya liczyła; nie wzięła w rachubę opinii publicznéj w Anglii, odmiennie zupełnie usposobionéj w r. 1830, niż w 1793 r. Talleyrand, wysłany przez Ludwika Filipa w tym samym czasie do Londynu, a który pamiętał jeszcze, jak go przed czterdziestu laty z taką samą misyą wyprawiał do Londynu Danton, lepiéj tę różnicę uchwycił. Cicha jego przez trzy lata z panią Lieven walka, któréj ślady napotykamy w częstych na niego skargach księżny do Greya, skończyła się zupełném zwycięztwem wytrawnego dyplomaty nad intrygami kobiecemi. Niestety, praktyczny Talleyrand miał jedynie Francyę swoją na widoku, o resztę świata niewiele się troszczył. W pozostałéj swéj akcyi miała téż pani Lieven „ręce rozwiązane“. Tutaj inny jest widok dla uważnego czytelnika korespondencyi, a niemniéj ciekawy. Z pokorą zdaje księżnie sprawę minister angielski z odmowy, danéj Walewskiemu (Wolickiemu) (27 Stycznia 1831); gdy jednak przy téj

[5]) Spencer Walpole *Life of lord John Russell* (1889) I. 152.

sposobności ośmiela się, w formie najdyskretniejszéj, odezwać się z radą pokojową, gorąca księżna dobrze głowę mu zmywa. „Proszę Cię, kochany lordzie,—pisze,—nie powtarzaj nikomu, coś mi pisał ostatnio, gdyż cały świat nie jest tak łaskawego usposobienia, jak ja“. Gorzéj jeszcze dostaje mu się w Marcu t. r., z powodu słów, które mu się jakoby wyrwały publicznie, pod wrażeniem wiadomości politycznych, „wszystko tam skończone, *niestety*“,—a on ciągle z pokorą wzorową zaklina się, że tych słów grzesznych nie wyrzekł. W tym samym czasie księżna, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że znajduje się w Anglii—zrozumiałe zapomnienie ze strony korespondentki Greya,—domaga się od niego, aby zakazał drukowania pewnych artykułów politycznych w „Kuryerze“ londyńskim. Znakomity wig podziela to oburzenie, lecz tłómaczy jéj żałośnie: „nie mamy żadnéj władzy nad tém pismem; kiedy istnieje silny prąd społeczny w pewnym kierunku, jak w danym razie, kontrola staje się niepodobieństwem. Możemy kupić pismo mało czytane, lecz niewielki ztąd zysk, zaś dochody pism bardziéj wziętych tak są znaczne, że niéma sposobu ich kusić“. Sam Grey zresztą doświadczył na sobie skutków swobody słowa drukowanego: w Kwietniu t. r. ogłosił *Morning Chronicle* list jego, wystosowany ongi, w 1814 r., do Naczelnika, pełen sympatyi serdecznych; z widocznem zakłopotaniem piorunuje Grey na taką niedyskrecyę w piśmie do księżny. Za nadejściem ciężkiego lata t. r., w nieustannych kłopotach jest biedny lord: w Sierpniu „zmuszony“ przyjąć u siebie Niemcewicza; późniéj, zimą, do tego dochodzi, że zaprasza do siebie na obiad ks. Adama. Tutaj już straciła cierpliwość pani Lieven; pod datą 2 Stycznia 1832 posyła lordowi tak pieprzną epistołę, jakiéj chyba żaden premier angielski nie otrzymał od nikogo. Było to jednak zadużo nawet jak na Greya: zbudził się w nim nareszcie, nie minister wprawdzie, lecz przynajmniéj *gentleman*[1]). Odtąd w stosunkach wzajemnych nastąpiło ochłodzenie pewne. Dla obojga nastały zresztą ciężkie czasy. Grey, jak wiadomo, 1834 r., z powodu upadku bilu o dziesięcinach irlandzkich, ustąpić musiał Melbourne'owi; jednocześnie pani Lieven wypadło opuścić Londyn. Ostatnia ta sprawa nie jest wyjaśnioną w korespondencyi; tłómaczą ją dopiero

---

[1]) „It neither became a foreign Minister to offer, nor me to receive such a communication... I believe it is the first time that a foreign Minister has ever assumed a right of questioning a member of the Government as to the persons he may invite to dinner; and the justice of such a pretension, you may be assured, I never will acknowledge“ II 312, 313, 316, 319. Irytowało głównie panią Lieven, że tego samego gościa przyjmował u siebie owacyjnie stary Talleyrand w gmachu ambasady francuskiéj.—Por. inne, bliżéj tu obchodzące, ustępy w t. II, 132, 141, 149, 182 i nast., 269.

„Pamiętniki“ Greville'a, to niewyczerpane źródło wiadomości zakulisowych do dziejów panowania Wilhelma IV i Wiktoryi. Okazuje się, że winowajcą niespodzianego odwołania Lievena z ambasady londyńskiéj był nie kto inny, jak lord Palmerston, cios podwójnie dotkliwy dla księżny, która, w ścisłych będąc stosunkach przyjacielskich z lady Cowper, późniejszą małżonką Palmerstona, zarzuciła też sieci na samego lorda [1]).

Wyparowana z Londynu, osiadła pani Lieven na stałe w Paryżu, skąd jeszcze do 1841 r. nie przerywała z Greyem korespondencyi, zupełnie już przecie platonicznéj, gdy oboje pozbawieni byli swych stanowisk wpływowych. Zresztą księżna, i na bruku paryskim, bez względu na wiek dojrzały, nie wyrzekła się bynajmniéj czułych z wybitnymi mężami stanu stosunków, zamieniła jeno szlachetnego lorda na doktrynera plebejuszowskiego. W antresoli hotelu Talleyrand'a, z którym za pośrednictwem pani de Dino zawarła była zgodę w Paryżu, przyjmowała towarzystwo liczne, lecz dosyć mieszane, gdzie górował powagą i pretensyonalnością Guizot. Maniery wielkopańskie pięćdziesięcioletniéj gospodyni ujarzmiły uczonego historyka. „Kiedy po upadku gabinetu Thier'sa, Guizot objął ministeryum spr. zewn., (pisze Greville, niedyskretny księżny wielbiciel), pani de Lieven więcéj zbliżyła się do niego, i istotnie, przez cały czas trwania jego rządów, stosunek między nimi nosił piętno najściślejszéj zażyłości. Oczywiście było dla niéj rzeczą niezmiernéj wagi, posiąść nieograniczone zaufanie francuskiego ministra spr. zewn., który ją trzymał *au courant* wszystkiego, co się działo w świecie politycznym... Każdą chwilę wolną od zajęć w ministeryum i izbach poświęcał Guizot pani de Lieven; przychodził do niéj zwykle trzy razy dziennie“ [2]). Stosunek ten trwał do saméj jéj śmierci w 1857 r.

---

[1]) *The Greville Memoirs* edit. by Henry Reeve (1888), T. II, 359, 3[illegible]5 i nast Wbrew życzeniu Nesselrodego odwołano Heytesburego i posłano na jego miejsce Canninga, którego Nesselrode przyjąć nie chciał; odbiło się to oczywiście na ambasadorze. O stosunku pani Lieven do ministra angielskiego spr. zewn. powiada Greville, wielki jéj wielbiciel: „her greatest friend in England was lady Cowper.... and through her she was also the friend of Palmerston..., till his jealous and suspicious mind was influenced by his absurd notion of the intention to attack us in India, a crotchet which led us into the folly and disaster of the Afgan war“ Ib. tom. VIII, 78, 79.

[2]) *Greville Memoirs* VIII. 80 i nast. Greville sam był pod koniec jéj korespondentem z Anglii, po śmierci Greya (1845). 1848 r. po wybuchu lutowym uciekła była razem z Guizotem z Paryża. Chateaubriand, nieprzyjaciel jéj z czasów londyńskich, nie mógł jéj wybaczyć, że ośmielała się spółzawodniczyć z salonem jego przyjaciółki, pani Récamier. „Le ridicule a attendu à Paris M-me de L. Un do-

Pani de Lieven należy do liczby owych aktorów drugorzędnych, którzy, pomijani zazwyczaj przez historyę, mają sobie w obsadzie politycznéj wyznaczoną rolę podrzędną, niewidoczną, nieświetną, lecz doniosłą dla biegu saméj akcyi [1]).

Szymon Askenazy.

„Za Oceanem“. — Powieść współczesna, przez **Esteję**. — Warszawa (bez daty wydania).

Lubo rzecz dzieje się „za oceanem“, interesują nas wszelako bezpośrednio osoby, należące do akcyi, jako główni bohaterowie. Są to dwaj bracia: Tadeusz i Henryk Sawiczowie, synowie sędziwego obywatela ziemskiego, który, wysłużywszy się krajowi na różnych polach i z różném w ręku narzędziem, majątkowo podupadł i nie był w stanie synom zapewnić niepodległości ekonomicznéj. Oni-to szukać mają fortuny za oceanem i wybierają się na zdobycz złotego runa. Właściwie jest to projekt starszego brata, Tadeusza, który, z powołania rolnik, obdarzony niepospolitą energią, umysłem pozytywnym i działającym według planu, myśli za siebie i za brata. Henryk bowiem, utalentowany rzeźbiarz, to sybaryta życiowy, pieszczoszek, któremu wydaje się, że nimfy i gieniusze powinny różami usypywać mu drogę i wszelkie z niéj usuwać przeszkody. W téj pretensyi, co prawda, utrzymuje go najwięcéj brat, gorąco doniego przywiązany i poświęcony, który wciąż oskubuje siebie, by dogodzić jego najmniejszym kaprysom, niewyczerpanym, jak w fantazyi zepsutéj kobiety. Henryk ofiarę jego przyjmuje łaskawie, ani na sekundę nie wątpiąc, by mu się ona z prawa nie należała, nie przypuszczając, by Tadeusz mógł pożądać czegoś, po co on rękę wyciągnąć raczy. Egoista, z pewnym podkładem rycerskim, — Endymion ciałem, świetny talentem, zajmuje serca wszystkich, brata zostawując za sobą w charakterze giermka lub intendenta, o czém wszakże tamten wie i co uprzejmie znosi z wielkiéj dla rodzonego miłości. Po co mu osobiście Ameryka? On nie-

---

etrinaire grave est tombé aux pied d'Omphale; Amour, tu perds Troie“ *Mém. d'outre tombe* l. c.

[1]) *Malmesbury Memoirs* 387 sq. pisze z powodu jéj zgonu pod datą 29 Stycznia 1857: „When I came out in the London world in 1826, she was the ambassadress and one of the most fashionable ladies in society. She was very clever and agreable, but the greatest intrigante possible, having all her life been employed by her government as a spy... She was a great plague to our secretaries for foreign affairs“.

wielki swój fundusz, żelazną wolę i wytrwałą pracę mógł tak dobrze spożytkować w kraju, jak gdzieindziéj. Ale Tadeusz wiedział, że ten kraj dla talentu i zbytkownictwa jego gagatka jest zaszczupły i zaubogi: chciał dać przyszłości brata silną podstawę materyalną, niezależność.

Było to rzeczą zapewne bolesną dla takiego serca, jak Tadeusz, a dla takiego rozumu mniéj wytłómaczoną, gwoli pożytku, czy fantazyi brata porzucać w kraju starego ojca samotnego, bez opieki, w skromnéj zagrodzie szlacheckiéj. Starość podlega licznym wypadkom i za jéj jutro nigdy ręczyć nie można, o czém jednak, myślący o wszystkiém Tadeusz, gdy chodzi o brata, nie pomyślał wcale; a przecież wyprawa po złote runo miała trwać nie dzień, ani miesiąc, ani rok. Ale czyż wszystko w życiu jest konsekwentném? Czemużbyśmy tego wymagać mieli od charakterów powieściowych? I mniéj dziwić się będziemy skwapliwości Tadeusza w wydzieraniu się za ocean, gdy się dowiemy, że pocichu oddał serce pięknéj Lorci Wojnowskiéj, sąsiadce z Boczanka, a głośno nie śmie tego objawić i odezwać się o rękę, jako za ubogi na zbytek małżeństwa: Ameryka tedy ma wszystkiemu zaradzić. Trzeba się jednak z sąsiadami pożegnać. Nie domyśla się biedny Tadeusz, że to pożegnanie będzie zarazem pożegnaniem jego niemych nadziei. Brat jego, Henryk, dzieckiem jeszcze znający Lorcię, nie widział jéj kilka lat, studyując za granicą. Zobaczywszy ją teraz pierwszy raz na tym pożegnalnym wieczorze, w całéj pełni wiosennego uroku, w powabie form estetycznych, zapłonął, równie jak ona, i występuje w roli otwartego konkurenta. A lubo trochę podejrzewa, że się podkopuje pod zamiary brata, uspokaja sumienie przekonaniem, że Lorcia i bez niego nie pokochała-by Tadeusza, który ze stłumioném westchnieniem poddał się pod wóz tryumfatora. Ha! nie ma on wreszcie prawa do żadnéj rekryminacyi: wszak myśli swych i zamiarów względem Lorci, najmniejszém nie zdradził słówkiem. Biada dyskrecyi!

Tylko ta miłość, raptownie powzięta na wieczorze tańcującym, a późniéj pod słońcem łąk i w cieniu ogrodu dojrzewająca, nie daje nam rękojmi trwałości. Lorcia aż dotąd jest panienką w rodzaju Zosi Mickiewicza, zamiłowaną w pracy gospodarskiéj, w życiu realném i cichém otoczeniu wiejskiém, co właściwie pociąga ku niéj Tadeusza, i dlaczego była-by w sam raz towarzyszką dla niego. Artysta Henryk gani w niéj tę prozaiczną skłonność, z któréj ona przyrzeka mu się poprawić, otwiera przed nią niedościgłą krainę ideału, zarażając ją swemi entuzyazmy; Lorcia daje się unosić, choć natura widocznie ciągnie ją ku ziemi. Ale od czegóż miłość? Pod jéj tchnieniem wyrosną skrzydła téj biednéj istocie, która sama dziwi się temu, jakim sposo-

bem ten młodzieniec, tak piękny, tak bogaty umysłem i natchnieniem, mógł zwrócić serce ku niéj, „wiejskiéj gąsce“, i zobaczyć w niéj model dla swojéj „Psychy“. którą w popiersiu artystyczném wykonał.

Próbą wartości tego ślubu serc ma być kilkoletnie rozłączenie, dość wreszcie heroicznie przyjmowane, po którém oblubieniec przybędzie z głową zdobną w wawrzyny, z ręką pełną złota, po rękę oblubienicy.

Celem podróży jest Kanada, kraina śniegów i dziewiczych lasów, stek ludności wszelakich ras, nad któremi góruje szczep anglosaksoński. Społeczność, lubo inaczéj rządzona, ale w stosunkach wewnętrznych używająca swobody nieograniczonéj pod opieką korony angielskiéj, hołduje we wszystkiém obyczajom sąsiednich Stanów Zjednoczonych, a między innemi toleruje młodych panien emancypacyę, która mężczyzn przemienia w ich ofiary, lub niewolników. „Strzeżcie się kobiet, — uprzedza listownie przyjaciel Tadeusza, miejscowy *gentleman-farmer*, Archibald Aston.— Nietylko, że przechwalanie się tryumfami na tém polu źle było-by u nas widziane (bo *bałamuctwie, to przywiléj tylko niewieści* w Ameryce), ale“... i t. d. Nie przeszkadza to tym pannom dochowywać warunków cnoty i godności kobiecéj, — przeciwnie! to tylko zamiłowanie w tyranizowaniu płci, która ma się za silniejszą i wyższą. Najlepiéj tu przedstawiają się one same na podwieczorku u jednéj z tych światowych dziewic, najumiarkowańszéj (str. 76). „Żadna z nas,—odzywa się jedna,—przed trzydziestym rokiem nie powinna się wiązać ostatecznie... Ten sam gentleman na śniadanie, na obiad, rano, wieczór, dziś, jutro. Zawsze ta sama para wąsów, ten sam nos, te same oczy, głos ten sam. *Shocking!* Mogła-bym się nakoniec kochać w kimś, a przecież, gdyby rok cały kazano mi na niego patrzéć, znienawidziła-bym go w końcu. Niech żyje rozmaitość!“... Chór przyjmuje to oklaskami i coś przebąkuje przeciwko miłości. Na to:—„Miłość, to życie!—woła inna —Ja żyję tylko wtedy, kiedy się kocham, a kocham przynajmniéj raz na tydzień“. — „Jakaś ty szczęśliwa, że się tak co tydzień kochać możesz“... — „Ależ to tak łatwo!“— Oto próbka usposobień dziewic kanadyjskich, pomiędzy któremi żerować musi Henryk Sawicz, którym podobać się musi, bo one trzęsą rodzinami, od nich zależy powodzenie artysty, czyli, jak pisze poczciwy Aston do Tadeusza: — „*Strike* (cofnięcie się) z ich strony, to zguba wasza. Im wolno was w pole wywodzić, ale wam, broń Boże!“

W takiém-to otoczeniu znaléźć się ma niebawem narzeczony Lorci. Kiedy Tadeusz, po przybyciu do Kanady, idąc za wskazówką i radami osiadłego Archibalda Astona, kupuje grunt i z nadzwyczajnym trudem zakłada gospodarstwo rolne,— Henryk w mieście Mont-

real urządza wspaniałą pracownię rzeźbiarską i staje się ulubieńcem wszystkich wpływowych *ladies*, a przez nie głośnym, modnym, poszukiwanym. Sprawia on nam wrażenie Telemaka na wyspie Kalipsy: same nimfy mu nadskakują, obsługują, prowokują, urządzają koło jego osoby *flirt* na najwyższą skalę. Powszechna opinia ich głosi o nim, że to człowiek rzadki: piękny, szykowny, dystyngowany, *fashionable*, *stylish*; artysta, sportsman,—słowem: doskonałość, unikat. A im więcéj tych doskonałości, tém goręcéj każda pragnęła-by go ujarzmić. „Kiedy on ma podobno narzeczoną za oceanem", — zarzuca jedna. — „Cóż z tego? — replikuje druga, — można mieć jednę narzeczoną za oceanem, a drugą tutaj, i potém wybrać". Tymczasem gromadzi mu się robota, pieniądze napływają, tylko że w nieoględności artysty łatwiejsze jeszcze znajdują ujście. Przy takim trybie ekonomicznym, Lorcia nieprędko chyba doczeka się go, jako milionera.

Ale zkądinąd Henryk, ostrzeżony i pod egidą zaręczynowego pierścionka Lorci, stawia wytrwały opór tym najazdom na spokój swego serca. Ze swobodnym umysłem opisuje nawet jéj swoje tryumfy, siedząc naprzeciw jéj popiersia „Psychy", które z sobą zabrał. Tytuł narzeczonego, którym się głośno zastawia, służy mu za talizman, osłabiający skuteczność pokus... jednakże nie ze wszystkiém.

Na téj halli kanadyjskiego flirtu znajduje się jedna osóbka, wielce niebezpieczna: to córka tamecznego Krezusa, właściciela dwunastu parowców, zwana lady Dolly, wyjątkowo piękna i wyjątkowo przewrotna. O niéj-to sam Henryk w jednym z pierwszych listów pisał do narzeczonéj: „Lady Dolly jest uosobieniem kaprysu. To słodka, rozmarzona, tkliwa, zdaje się całe nieść serce na dłoni; to znów zimna, nieprzystępna, zda się nie znać dziś tego, kogo wczoraj psuła zbytkiem dobroci... Tak zmiennego, kapryśnego stworzenia nie spotkałem jeszcze: co w téj cudownie modelowanéj głowie się mieści, tego pewnie ani ona, ani nikt nigdy nie zbada". Pewny siebie co do zaprzysiężonych uczuć, a niepowściągliwy i zachwycony artysta, Henryk w kreśleniu fizycznych doskonałości swego nowego pierwowzoru śmie nawet dodać, pisząc do narzeczonéj:—„Płci podobnéj u nas w Europie się nie widuje: nawet moja Psyche nie wytrzymała-by porównania". Henryk w tym liście nie wypowiedział wszystkich właściwości Dolly, mianowicie, że, przy nieugaszoném pragnieniu wrażeń nadzwyczajnych, kosztem bodaj-by własnego honoru i życia (o majątku nie wspominając) osiąganych, rozkoszą i jakoby celem jéj istnienia było okazywanie siły, sprowadzające uśmiech na widok zadanych cierpień, obojętność na czynione wyrzuty, bezczelność w odpychaniu od siebie winy, lub też w przyznawaniu się do niéj. Wszystkie te właściwości charakteru, które każdą inną kobietę trzymały-by zdala

od towarzystwa uczciwych ludzi, u lady Dolly zakrywała piękność, podniesiona przepychem i królewską wytwornością. Mężczyźni zwłaszcza tę tylko widzieli i bez namysłu biegli w szeroką atmosferę czaru. Ale od takiéj kobiety trzeba być o sto mil, lub całkowicie się jéj poddać: jeden krok, posunięty naprzód, nadawał rozpęd, który tylko zatrzymywał się w przepaści. Niepodobna przypuścić, aby nawet ów pozytywny i oględny Archibald Aston dwukrotnie znalazł się w jéj szponach: tylko dziwna energia charakteru i wreszcie okoliczności, kojąco działające na jego serce, zdołały go ocalić. Obecnie ubiega się o nią brzydki i rudy yankes, mister James Rowland, arcymilioner, z którego ona drwi sobie, jak z poliszynela, ale on wytrwale snuje zabiegi i czeka chwili.

Nieodczepna od Henryka, pod dogodnym pozorem sztuki mająca go codzień na zawołanie, Dolly wraża się coraz bardziéj w jego wyobraźnię, zapanowywa nad zmysłami, i nareszcie budzi w nim uczucie, którego, według danych tu objawów, nie umiemy inaczéj nazwać, tylko żądzą posiadania. Artystką jest Dolly w graniu na takiém uczuciu i umie snadź wydobyć z niego tony, jakie zechce. Nic jéj nie kosztuje afiszować się z Henrykiem (to wreszcie w Ameryce dosyć przyjęte bez ujmy dla panny); ale ona musi okazać wszystkim swój tryumf. Podżegany codziennie, wyzyskiwany wszelkiemi kunsztami kokieteryi przez istotę nie oglądającą się na jutro, dla któréj kanonem jest użycie tylko chwili obecnéj, Henryk powoli zatraca samego siebie, ruguje z siebie wszelkie inne względy, interesa, uczucia, zamienia się w namiętność wyłączną i jedyną. Lorcia? Oh! już jéj, „Psyche“ pochłonęła przepaść; wierny pies, przez nią mu ofiarowany, staje się własnością nowéj pani, która znieść nie może nawet wpomnienia przeszłości w umyśle Henryka i chce, aby on do niéj należał całkowicie. Nietylko pragnie go ujarzmić moralnie, ale chciała-by zdaje się i materyalnie zależnym uczynić od siebie: wyciąga go na szalone wydatki towarzyskie, na kosztowne wycieczki i sporty, które ogołacają artystę i zapędzają w długi. Po krótkich wyjaśnieniach, Henryk zrzuca resztę skrupułów, i wręcz oświadcza bratu, że żyć bez Dolly nie może, a nie mając sam odwagi oświadczyć się o jéj rękę, prosi, ażeby go wyręczył. Jakkolwiek potworną prośba ta mogła wydać się Tadeuszowi, widząc, że niéma innego wyjścia, spełnia ją, wiecznie powolny i poświęcony brat. Po tém, co słyszał od Henryka, zaufany w powodzenie misyi, z osłupieniem wysłuchuje odmowy i wszystkich służących jéj za komentarz sofizmatów, w scenie, w któréj się sama Dolly szczegółowo odmalowuje, jako straszydło moralne. W tych właśnie dniach ojciec Dolly uległ bankructwu. Nad wszystkiém cią-

ży pieczęć komornika. „Ten pałac już nie należy do mnie: James Rowland go kupił; on także i mnie chce nabyć!“...

Jakoż nabył rzeczywiście, bo panna bez zbytku nieograniczonego żyć już nie mogła, co też głównym było powodem odrzucenia ręki Henryka, który, obezwładniony, wyczerpany, skalany moralnie, zabrał się z bratem na puszczę, by odchorować swój zawód, raczéj swą lekkomyślność, i z choroby do złamanego życia, do czczéj wegetacyi powrócić.

Gdyby Henryk nie był odpowiedzialnym za przeszłość i na sumieniu jego nie ciężyły losy niczyje, to byłby już koniec historyi, dość zwykłéj w życiu i w romansach. Ale tu sprawa Lorci niezmiernie rzecz komplikuje: na tym punkcie nie można pozostawić Henryka; byłby to niedokończony rozdział psychologii, założenie bez rozwiązania. Henryk ma dwie drogi przed sobą: albo wyrzéc się nazawsze Lorci, któréj stał się niegodnym; albo, po takiéj lekcyi, żądać od czasu równowagi serca. Ale czas niespodzianie umknął i nastręczył inną alternatywę. — „Byłby, — opowiada autorka, — Henryk więcéj czasu potrzebował pewnie, aby się zabrać do czynnego życia i oswoić z ciosem, który mu się początkowo śmiertelnym wydawał, gdyby nie wiadomości, nadeszłe z kraju.“ List Lorci oznajmiał o ciężkiéj chorobie ojca, który, czując koniec bliski, pragnął widzieć się z którymkolwiek z synów. Henryk miał wszelkie powody pozostać i zastąpić brata w gospodarstwie; ale on-to właśnie naparł się wyjazdu, wbrew myśli Tadeusza, któremu serce rwało się do kraju: ale jak zwykle, ustąpił; Henryk wyjechał za Atlantyk kosztem, rozumie się, brata, skąd niebawem, po śmierci ojca, powrócił, na ten raz już z żoną.

Jak się tam przedstawił Lorci, jak się na to małżeństwo tak prędko zdecydował, autorka nie powiada. Faktem jest, że Lorcia, po dwóch latach pobytu w Montreal, gdzie mąż jéj znowu do prac rzeźbiarskich powrócił, w „pamiętniku“ swym już wyśpiewuje grobowy tren swéj miłości. Powoli tylko, i to dzięki gadatliwości jednéj z miejscowych przyjaciółek, dowiaduje się przeszłych spraw Henryka, odkrywa coraz to większe jego dla siebie zobojętnienie, coraz widoczniejsze ślady ciężaru, za jaki on ją sobie uważa, a co większa, spostrzega w zgorzeliźnie jego serca niewygasłą dla Dolly, dziś mistress Rowland, namiętność, która go w zaślepieniu na bardzo niebezpieczną grę naraża. Lorcia z rezygnacyą przyjmuje swą dolę, przekonana, że wszelka protestacya była-by daremną; odtrącona i wyziębła, niepoprawnego męża uratować nie może. Wbrew nowemu położeniu rzeczy, zakreślonemu przez podwójne małżeństwo, Henryk, jak za dobrych czasów kawalerskich, przysiada się do Dolly i ściga ją aż w domu swemi zaloty. Ale tu już nie rywala, lecz na drodze spotyka męża, który kładzie temu stanowcze *veto*, i ostatecznie, skut-

kiem pojedynku amerykańskiego, opętany artysta od własnéj kuli ginie, a ta, którą tak długo unieszczęśliwiał, powierza dalsze swe losy Tadeuszowi.

Zakończenie to nie było dla nas niespodzianką. Autorka od pierwszych rozdziałów tak postawiła ludzi i okoliczności, iż na chwilę nie można było wątpić, że — niewiadomo po jakich perypetyach — małżeństwo, tak z góry niedobrane, jak Henryka z Lorcią, to jest konika polnego z mrówką, w jakibądź sposób rozerwie się, a Tadeusz osiągnie cel tajemnych pragnień; nie myśleliśmy tylko, że autorka, nieostrożna w rozdawaniu kart, strunę tak mocno przeciągnie.

Z treści, którąśmy tylko w głównych zarysach i przy możliwych skróceniach przytoczyli (utwór zawiera 330 stronic ścisłego druku), łatwo dostrzega czytelnik, że przedmiot jest stary i, ze względu na swą naturę czysto psychiczną, mocno wyzyskiwany. Ta okoliczność wszakże nie tamuje mu wejścia pod pióro historyka serc ludzkich. Dopóki istnieć będą na świecie złudzenia, zawody, omyłki i pokusy,— a tych chyba nie zabraknie nigdy,—starcia tego rodzaju nie przestaną budzić wrażeń i zajęcia; im przedmiot jest powszechniejszy w życiu a od niego nieodłączny, tém trwalszy. Sztuka jednak, czerpiąc z życia takie okoliczności, ażeby nie być prostą reprodukcyą ech, rozbrzmiewających po polach literackich, musi sobie znaléźć nowe motywa, nowe czynniki, stwarzające nowe kombinacye, czego témbardziéj żądać możemy od takiéj powieści, jak „Za oceanem“, która odrazu nasuwa nam niebezpieczne porównanie z „Dalilą“ Feuilleta. Czy przytoczona treść daje nam wyobrażenie jakiegoś oryginalnego motywu? czy gdziekolwiek uderza nas jakąś sytuacyą? Przeciwnie: wszystko tam, pod względem kombinacyi psychicznych, pospolite i szare, aż... nie chcielibyśmy użyć tego wyrazu, — aż do banalności.

Przypisujemy to absolutnemu brakowi indywidualności w bohaterach, zwłaszcza w Henryku. Autorka chciała w nim odsłonić słabe strony charakteru męzkiego; chciała, ażeby był samolubnym, zmiennym, próżnym, na którego nic liczyć nie można. Zgoda; ale niechże w tym człowieku płynie krew ludzka, niechże coś myśli, niech się sam przez się ze swego charakteru spowiada i odbija od tła. Tymczasem Henryk dobitnie zaznacza się jedynie jako zimny egoista względem brata, jako dumny żebrak; ale istotny grunt téj natury, która wiedzie go do lekkomyślności, wiarołomstwa, zdrady i brutalstwa uczuć, zgoła jest ukryty. Jego pierwotne na temat miłości i ideału deklamacye z Lorcią brzmią fałszywie, lubo autorka chce mieć je wypowiedziane, na ten raz przynajmniéj, w dobréj wierze, inaczéj bowiem cały dalszy proces nie miał-by racyi bytu, lb nie tak obrócić się musiał. Przejście od uczuć, jakiekolwiek żywił dla

Lorci, do namiętności dla Dolly, pozostaje za nieprzeniknioną zasłoną; a przecież niéma chyba takiego idyoty, który-by nie pragnął zdać sobie sprawy z podobnego położenia, szukać choćby wykrętów dla usprawiedliwienia siebie przed sumieniem własném; i na tych-to właśnie wewnętrznych bodźcach, przerzucających człowieka ze zdania w zdanie, z uczucia w uczucie, polega koloryt charakteru. Tu nic takiego nie spotykamy: Henryk przechodzi od jednego uczucia do drugiego, jak przy obiedzie od jednéj potrawy do drugiéj; nie widać tam ani walki, ani skrupułu, ani żadnego z wrażeń, towarzyszących zwykle stanowczemu czynowi. Cóż więc on u licha przyniósł z sobą z przed oceanu? Chcielibyśmy widzieć tę tranzlokacyę jego ideałów; cóż nas takie indywiduum głucho-nieme, a pozujące na istotę rzeźką i mające reputacyę rozlicznych dystynkcyi, interesować może? Co większa, po katastrofie z panną Dolly, ów bankrut moralny i materyalny jedzie bezpośrednio do kraju, i jak gdyby nic nie zaszło, żeni się z Lorcią. No, ukrycie sprężyn tego nowego zjawiska, to już nie do darowania w powieściopisarzu. Jest to już reporterka, nie zaś artystyczne traktowanie przedmiotu; nawet i myślący reporter jeszczeby się zastanowił: czy ten człowiek jest tak podłym, że, bez wzdrygnienia, dziewicy zacnéj na dolę życia ofiaruje żuzle zgorzałego serca; czy tak głupim, że doniosły fakt zespolenia się z drugą istotą uważa za ladajaką tranzakcyę. Henryk, niewiadomo po co i dlaczego, z myślą wciąż jeszcze zajętą świeżą namiętnością, oszukuje Lorcię, nic jéj o przeszłości i obecnym stanie serca nie wspominając; kłamać zapewne musi klasycznie, ażeby się jéj w blaskach pierwszego ideału przedstawić, i koniec końców nawiązuje sobie nowy tylko ciężar: dowodem, co zaszło po ślubie. I taka-to determinacya duszy bohatera tonie między dwoma idącemi po sobie rozdziałami. Bohater może być wielki lub mały, dobry lub zły, mądry lub głupi, ale trzeba, żebyśmy go widzieli, poznali, zrozumieli: Henryk nie dlatego nas nie zadawalnia, że wygląda na kreaturę marną, ale że, jako figura obrazu, jest zamazany i niezrozumiały.

Wyraźniejszą, lecz zamierzeniu autorki mało odpowiadającą, fizyonomię, ma brat jego, Tadeusz. Niby-to silny, rezolutny i przedsiębiorczy, w akcyi (prócz założenia fermy) przymiotów tych zgoła nie objawia i w niczém na kierunek jéj nie wpływa. Ślepo przywiązany do brata, postępuje z nim, nie jak przyjaciel, nie jak ojciec, nie jak „kochająca matka“, ale jak mamunia, która, ażeby nie zmartwić gagatka, pozwala mu na wszystkie swawole i opłaca je z własnéj kieszeni. Przywiązanie to jest ckliwą słabością, która w ostatniéj chwili przechodzi w coś gorszego. Jakto? Ten Tadeusz, ta wcielona prawość, zgadza się być delegatem Henryka w misyi tak

niegodnéj, jak swatostwo względem Dolly! Czy on nie pomyślał, jakby téż wyglądał w téj chwili w oczach Lorci, gdyby ta naraz przed obliczem jego stanęła? To już nie brat, ale wspólnik złoczyńcy, — wspólnik, z okolicznościami łagodzącemi, ale zawsze wspólnik. Jeżeli taki jest sposób interpretowania honoru i prawości, to trzeba-by zaprowadzić pewne zmiany w kodeksie etyki. Krok swój Tadeusz motywuje takiemi refleksyami: — „Jeżeli Henryk kocha ją do szaleństwa, niéma żadnéj gwarancyi dla Lorci. Kto wie? Taki artysta inaczéj pojmuje szczęście i czego innego mu potrzeba, niż zwykłemu śmiertelnikowi. Jego zwykłą miarą mierzyć nie można. Może ta amerykańska lalka potrafi go uszczęśliwić?.. Henryk potrzebuje milionów: Dolly ma miliony. To niezbędny warunek do jego szczęścia.“ — A zatém Tadeusz decyduje się jednostronnie na bazarze miłosnym sprzedać, gwoli brata, zaprzysiężoną przezeń wierność za miliony lalki amerykańskiéj. — Daléj: — „Te myśli, — mówi autorka, — które mu się przesuwały przez głowę, przeplatane były innemi, nad któremi nie zatrzymywał się dłużéj. Może tak było sądzono? Może Lorcia jemu, Tadeuszowi, była przeznaczona?“ — Motywa iście godne operetki, gdzie się uczucia biorą na żart; i wyobrażam sobie, jaką-by wyborną skomponować można aryjkę dla pośrednika, który przy jednym ogniu zamierza upiec i bratnią pieczeń, i swoją. Ale gdy rzecz idzie na seryo, to nad tranzakcyą miłosno-finansową, do któréj nadto wchodzi czynnik dogodności osobistéj, a przeciwko osobie trzeciéj i bez jéj wiedzy wymierzoną, nie możemy tak łatwo przejść do porządku dziennego, jak to czyni autorka. Zapytujemy o zdanie wszystkie osoby, mogące się znaléźć w położeniu Lorci.

Mniéj spodziewanym jest obrót, jaki bierze ta delegacya Tadeusza. Konferencya jego z Kanadyjką, jest, przyznać należy, bardzo zajmująca. Streszcza ona wszystkie niemal rysy charakteru Dolly, która w dobrowolnéj spowiedzi przedstawia się jako istota bezduszna, bezbożna, kłamliwa, w najwyższym stopniu samolubna, okrutna, żądna uciech światowych za wszelką cenę i dla nich sprzedająca się na dożywocie, a gotująca się srodze dręczyć nabywcę, którego nienawidzi. — Po takiéj autokrytyce pojął dopiero Tadeusz, „jak dalece lady Dolly jest niebezpieczną. Pierwszy raz rozmawiał z nią dłużéj, a już rozbudziła niepokój w jego duszy; nerwy w nim drgały. Doznawał wrażenia, jakiego ćma doznawać musi, gdy się do ognia przybliży, jakiego doznaje człowiek, nieprzywykły do absyntu, gdy kieliszek do dna wysączy. Teraz pojął, czemu Dolly jest niebezpieczną; uwierzył, że w niéj zły duch mieszka... Dziwna kobieta! Zła, zepsuta do gruntu. Kochać jéj nie można, serca oddać jéj nie można, ale można dla niéj zmysły stracić, można oszaléć.“

Jak widzimy, i Tadeusz był ku temu na dobréj drodze. Jego rewelacya tłómaczy nam Archibalda, Rowlanda i nareszcie Henryka. Wszyscy ją znali i wszyscy za nią szaleli, — ponieważ miała dyabła w sobie, i ten-to lokator tak wszystkich ku niéj znęcał. W naszém narzeczu literackiém wyraża się to, że Dolly miała naturę demoniczną. Ale myli się Tadeusz; od czasów Fausta, demon w literaturze przybiera pewne przymioty moralne, rozumie się, do każdego wypadku odpowiednio zastosowane, przenikające i zniewalające dusze, które sobie postanowił zgubić. W przedstawieniu na scenie powieściowéj, Dolly tych przymiotów nie okazuje wcale; przeciwnie, objawia tylko to, co może obudzić ku niéj niechęć, nawet wstręt. To nie żaden demon, to samica, któréj dobór naturalny ma szerokie granice, która drażni, nęka, dziobie, wabi i wymyka się nieustannie, ale samcy gonią wciąż za nią, nęceni świetnością kształtów i opierzenia. Dolly w przedstawieniu jest tylko fizycznie piękną i ekscentryczną; czar, jaki rozlewa na mężczyzn, nie pochodzi ani z wytwornych paradoksów inteligencyi, ani z dowcipu, ani z gry uczuć, lecz jedynie tylko ze płci, kondensującéj w jéj osobie wszystkie swe czynniki attrakcyjne. To nie żaden demon, powtarzamy, — to pijana i płytka aktorzyca eleganckiego świata, znająca wartość swéj budowy, która pragnie żyć i użyć i dekoltuje się na efekt; a że za taką *grande coquette* mogą szaleć mężczyźni, zarówno lekkomyślni, jak poważni,—boć jedni i drudzy zawsze to samce,—zupełnie się z autorką zgadzamy. Jéj téż Dolly, aczkolwiek nie zostawia za sobą wrażeń wielkiéj kreacyi artystycznéj, dotrzymuje wszakże warunków prawdy i dobrego rysunku.

A Lorcia? — Biada nieobecnym! Snadź nie było zamiarem autorki wprowadzić jéj w grę, bo widzimy ją tylko w prologu i w epilogu. Mniéj znamy ją z osoby, niż z „Pamiętnika“, gdzie we dwa lata po ślubie utyskuje na zawód w uczuciu i zaznacza swą rezygnacyę; a w dziesięć lat potém, jako szczęśliwa małżonka Tadeusza, pociesza się ukojeniem pod jego ręką rany, po któréj jednak blizna pozostała. O charakterze, jako kreacyi, niéma tu co i wspominać; ale Lorcia wygłasza pewną teoryę, któréj podobno poświęconą była cała osnowa powieści. — „Zrobiłam się więc, — pisze, — także prozaiczną, żyjącą z dnia na dzień, tuzinkową kobietą. Widocznie wpływ powietrza miejscowego przeistoczył mnie. Zrobiłam się typem „z za oceanu.“ Pozbyłam się niepotrzebnego balastu w drodze życia, entuzyazmu, poezyi, marzycielstwa. I lżéj mi tak, niezawodnie. Przejęłam dewizę: *go a head!* nie oglądam się po-za siebie, dążę naprzód. Naprzód! naprzód! z energią, z dobrą wolą, — ale nie na skrzydłach, tylko na własnych nogach, prozaicznie, po ziemi. Skrzydła dawno mi się opaliły, gdym się ku słońcu rwała z mojemi ideałami.“

Jak rozumieć tę konkluzyę pamiętnika Lorci i zarazem całéj książki: czy wprost, czy ironicznie? Dowcipna forma tego ustępu podwójnie sens tłómaczyć pozwala. Bądź co bądź jednak, przy pozornem zadowoleniu, my widzimy w tém raczéj przysłoniony pesymizm i ciężkie przeciw mężczyznom oskarżenie. Lorcia nie może się przecież tém chwalić, ani tego sobie winszować, że została kobietą „prozaiczną, żyjącą z dnia na dzień, tuzinkową“, czyli równą pierwszéj lepszéj gąsce, bo to przeczyło-by uduchowianiu się ludzkości, do którego dąży niepowstrzymanie cywilizacya. Nie może się też chwalić tém, że się stała „typem z za oceanu“, bo te typy kobiece przedstawione są tu jako wzory ogłupienia i szarlataneryi. Raczéj przypuścić trzeba ukryty żal, że się tak stało. A któż temu winien, że się pozbyła „entuzyazmu i poezyi“, że jéj „opaliły się skrzydła?“ Oto dwaj mężowie. Pierwszy, lekkomyślny artysta, jako człowiek, zabił w niéj ideał; drugi, pozytywny i umiarkowany myśliciel, nie zdołał go wskrzesić, nauczył ją tylko iść naprzód, na własnych nogach, ale dokąd i po co? Zatém niéma mężczyzny, który-by naturą swą dopomógł kobiecie zachować tę złotą równowagę pomiędzy realnemi warunkami życia i naturalnym polotem ducha; ale każdy albo zdradzi, albo, w najlepszym razie, poziom ideału kobiecego obniży. Takim zdaje się być rzeczywisty sens téj konkluzyi, o który z autorką spierać się nie będziemy; życzylibyśmy jednak, aby nie wszystkie kobiety były z nią jednego zdania, i pozwoliły choćby na wyjątki, które, jeśli nie w tym, to w przyszłym wieku, zdarzyć się mogą.

Powieść swą zaopatrzyła autorka w szczegóły opisowe, dotyczące krainy „za oceanem.“ Przy wysunięciu na plan główny akcyi powieściowéj, szczegóły te wydają się być dodatkami, przeznaczonemi do urozmaicenia treści; tymczasem, przyjrzawszy się zbliska, spostrzegamy w nich perły, stanowiące główną ozdobę podstawy, któréj wartość jest wątpliwa. Takich pereł znajdujemy sporo, a szereg ich rozpoczyna, niby przegrywka, znakomity list Archibalda Astona, w którym Amerykanin ten, uniwersytecki kolega Tadeusza, nadzwyczaj trafnemi rysami kreśli charakter naszego społeczeństwa, porównywając nas między innemi do dzieci, którym rózgi, napędzające rozum do głowy, przyszły zapóźno, bo już w wieku dojrzałym, i przez to są tak bezskuteczne. Krajobrazy, jak góra lodowa, płynąca po powierzchni oceanu, w postaci gotyckiego zamku z wieżami i krużgankami, ustrojona przez słońce w barwy, na których określenie język ludzki nie ma dostatecznéj liczby wyrazów; puszcza kanadyjska w swéj ciszy i grozie; miejsce kąpielowe Tadousac nad rzeką św. Wawrzyńca, wśród urwisk i różnych fantazyi natury: wszystko to opisane z życiem, krasą i siłą wrażeń bezpośrednich. Sceny z ży-

cia kanadyjskiego, sporty, wyścigi, sabaty kobiece, chwytane zda się na gorąco, zapoznają z obyczajami drugiéj półkuli. Są to obrazki luźne; jednakże, gdyby je nieco pogłębić, rozszerzyć ramy i urozmaicić, a jakąś nicią jedności powiązać, stanowiły-by same przez się obraz wypełniony wartością i śmiało bez bajki powieściowéj obejść-by się mogły. Otwarcie powiem, żeśmy tych obrazów więcéj poszukiwali, niż toku powieściowego, więcéj ku nim zainteresowała nas autorka, niż ku ludziom, których wybrała za cel swego dramatu. Figurki drugoplanowe, wchodzące w skład téj opisowości, nie wywołujące wielkich wymagań artystycznych, korzystniéj się tam przedstawiają jako sylwetki; a jeżeli co iść może w porównanie z tą wyborną opisowością, to chyba dyalog, który wszędzie odznacza się niezwykłą potoczystością, dystynkcyą stylową i w wielu razach dowcipem.

Kazimierz Kaszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wojna podjazdowa, którą książę Bismarck toczy z cesarzem Wilhelmem, ożywiła się znowu podczas ubiegłego miesiąca. Areną téj walki są jeszcze zawsze łamy dzienników, ale w porównaniu z pierwszemi atakami, które książę Bismarck przeciw nowemu porządkowi rzeczy wymierzył, odznacza się ostatnia jego wycieczka niezwykłą w takich razach szczerością. W artykułach, pisanych z rozkazu księcia, nie starano się już nawet ukryć prawdziwego powodu zaczepki. Najwyraźniéj i bez ogródek powiedziano tam, że cesarz i gen. Caprivi powinni być przez parlament zawezwani do zdania sprawy z wypadków, które towarzyszyły dymisyi ks. Bismarcka: cesarz, jako odpowiedzialny moralnie za pozbawienie Niemiec wielkiego męża stanu; Caprivi, jako odpowiedzialny prawnie za to, iż, przyjmując jego posadę, uniemożebnił mu powrót.

Pobudką, która ma skłonić parlament do takiego kroku, jest, według księcia Bismarcka, powszechne przeświadczenie o fatalnéj zmianie w położeniu państwa niemieckiego nazewnątrz. Odwiedziny w Kronsztadzie są widomą oznaką téj zmiany. Niemcy, poświęcając się dla Austryi i zawierając z nią na własną szkodę nowy traktat handlowy, przyśpieszyły zarazem, według rozumowania popleczników Żelaznego kanclerza, zbliżenie Francyi do Rossyi. Ks. Bismarck był-by nigdy do tego nie dopuścił i ztąd wypływa właśnie powód do powszechnego żalu po jego utracie.

Uderzającém jest w tych wszystkich waśniach i rozterkach zaślepienie u człowieka, który przez długie lata zdumiewał wszystkich trzeźwością i przytomnością umysłu. Mimo wszelkich zapewnień, naród niemiecki nie chce wierzyć, iżby się księciu Bismarckowi było udało przeszkodzić bytności floty francuskiéj w Kronsztadzie. Z czasów jego urzędowania pamiętna jest jeszcze słynna walka z papierami russkiemi na giełdzie berlińskiéj, pamiętnemi wycieczki przeciw Rossyi w dziennikach niemieckich, pamiętnemi uzbrojenia na wschodnich krańcach Prus i zachęcanie Austryi do takichże uzbrojeń, pamiętną przedewszystkiém polityka Niemiec na kongresie berlińskim. Wobec tych znanych faktów nikt nie chce księciu wierzyć na słowo, że, gdyby był na stanowisku kanclerza pozostał, wszystko to byłoby poszło w zapomnienie i że Niemcy były-by dziś nietylko najbliższym, ale i najlepszym sąsiadem Rossyi.

Polemika, tocząca się w dziennikach niemieckich, ma zresztą o tyle tylko rzeczywiste polityczne znaczenie, o ile jest ostatecznem uświęceniem stanowczego rozłamu między księciem Bismarckiem a cesarzem. Po tém, co sobie teraz powiedziano, o pojednaniu trudno pomyśléć. Ks. Bismarck i jego dawny wielbiciel pozostaną obcymi sobie. Praktyczny zmysł narodu niemieckiego powstrzyma szersze koła, największą nawet wdzięcznością dla byłego kanclerza przejęte, od jednoczenia się z nim w sporze z monarchą. Ks. Bismarck może jeszcze nieraz głos zabierać, może przemawiać nawet w parlamencie; mimo to, należy jego zawód polityczny uważać za skończony.

Wiec, który w połowie Października zebrał się w Erfurcie, zakończył się pozornie zwycięstwem Liebknechta, Bebla i całego grona ich przyjaciół. W rzeczywistości zwycięztwo to świetném nie było, a przyszłość okaże dopiero, czy stanowisko naczelników stronnictwa wzmocniło się skutkiem wiecu, czy też osłabło. Z dwóch stron zaatakowano silnie dzisiejszych kierowników. Z jednéj strony stanęli w szyku bojowym młodzi agitatorowie berlińscy, spoglądający z pogardliwém lekceważeniem na doświadczonych bojowników i widzący w nich przeżyte typy niepoprawnych idealistów, którzy łudzą się jeszcze myślą, że zdołają wywalczyć w parlamencie jakieś rzeczywiste korzyści. Po drugiéj stronie grupują się znowu żywioły umiarkowane, nie lubiące środków energicznych i potępiające obecny sposób walki z narodem i społeczeństwem, jako zbyt namiętny i zanadto podniecający umysły. Najwybitniejszym przedstawicielem tego umiarkowanego kierunku jest p. Vollmar. W ciągu lata przemawiał on dwa razy do swych wyborców w Monachium, a każda z jego mów uważaną była w głównym sztabie stronnictwa za rodzaj apostazyi. Vollmar chce tego samego, czego chcą dzisiejsi przywódcy, nie zgadza

się atoli z ich taktyką. Twierdzi on, że z ustąpieniem księcia Bismarcka zmienić się był powinien i sposób agitowania między ludem. Nieprzejednane stanowisko, które niegdyś z konieczności trzeba było zająć, nie jest dzisiaj odpowiedniém. Jeżeli walka z innemi klasami społecznemi trwać musi bez przerwy, nie wynika ztąd, iżby tak samo walczyć należało z państwem i cesarzem. Zdaniem Vollmara, powinno stronnictwo dać rządowi dowody, że w polityce zagranicznéj solidaryzuje się z innemi odłamkami społeczeństwa i że nie wyrzeka się ideałów narodowych, a takie lojalne wyznanie większe mu zapewni korzyści, niż uporczywe trzymanie się dawnego systemu.

Wiec erfurcki miał być sądem na Vollmara; Liebknecht i Bebel nie omylili się, licząc na to, iż ogromna większość będzie po ich stronie. Omylili się atoli, przypuszczając, iż obwiniony przelęknie się tej większości i pokornie prosić będzie o przebaczenie. Vollmar nie wyparł się swych przekonań, a stanowczość jego tak podziałała na zgromadzonych, iż wniosek, mieszczący w sobie srogą dla niego naganę, został w ostatniéj chwili cofniętym. Kierownicy stronnictwa musieli poprzestać na niewiele znaczącém zapewnieniu, że ostatecznym przedmiotem jego dążeń jest ten sam cel, do którego dąży cały obóz. Zwycięztwo, odniesione w tym wypadku przez reprezentantów dawnego kierunku, względną tylko ma wartość. Zwolennicy umiarkowania pozostaną w łonie stronnictwa i nie przestaną szerzyć tam swych przekonań.

Wyrozumiałość, jaką się kierowano względem Vollmara, jest zupełnie zrozumiałą wobec tego, iż daleko większe niebezpieczeństwo groziło przywódcom ze strony gorętszych żywiołów. Jeżeli Vollmar wydał się naczelnemu sztabowi partyi zanadto umiarkowanym, to znowu członkowie głównego sztabu uchodzą w oczach niektórych kół berlińskich za ludzi dziwnie pojednawczych i uległych. Cała działalność parlamentarna jest w owych kołach niepopularną i uważa się za bezowocne tracenie czasu na układach, nie dających dotykalnego rezultatu, a bałamucących umysły. Obronić się od tych zarzutów trudniéj było, niż rozprawiać się z umiarkowanymi. Po dłuższych rozprawach zgoda okazała się niemożebną. Nieprzejednani, reprezentowani na wiecu przez Auerbacha, Wernera, Wildenbergera, Bäthgego i Schultzego, wystąpili ze składu partyi. Rezultatem wiecu jest zatém rozdwojenie. Równocześnie stwierdzono fakt, że i w tym obozie, który po wystąpieniu skrajnéj lewicy tworzy dziś główny zastęp stronnictwa, mogą wyniknąć w przyszłości starcia między tymi, którzy chcą nieustannéj walki, a tymi, których walka nużyć już zaczyna.

Hrabia Taaffe, umiejący oryginalnemi dowcipami rozweselać izbę wiedeńską, wzbudził niedawno jéj wesołość, zakończywszy swą mowę zdaniem, doskonale malującém położenie polityczne w Wiedniu. Szło o uchwalenie funduszów tajnych. Prezes gabinetu, pamiętając, że izba deputowanych raz mu już tych funduszów odmówiła, bronił i teraz zasady, wypowiedzianéj już kilkakrotnie w latach poprzednich, a streszczającéj się w zdaniu, że przyznanie rządowi kwoty żądanéj nie jest jeszcze wyrazem zaufania, tak samo jak odmówienie jéj nie jest wyrazem nieufności. „Jeżeli mnie Panowie — mówi hr. Taaffe — nie możecie obdarzyć równocześnie i pieniędzmi, i zaufaniem, to zechciejcież uchwalić przynajmniéj fundusz tajny; przyjmę go, choćby bez waszego zaufania“. Izba pożądaną sumę uchwaliła. Czy minister może to uważać za dowód szczeréj ufności? Z wielu powodów wątpić-by o tém można. Wszystkie stronnictwa czują, że stworzenie gabinetu było-by dziś w Austryi rzeczą niezmiernie trudną; większość woli zatém dostarczać dzisiejszym ministrom środków, potrzebnych do rządzenia państwem, niż stanąć wobec sytuacyi, niebardzo ponętnéj nawet dla tych, którym-by krzesła ministeryalne ofiarowano. Zupełnego i szczerego jednoczenia się z rządem nie można dziś wszakże dostrzédz w żadnym klubie. Każdy ma pewne powody do niedowierzania rządowi.

Niepodobna posądzać o zbytnią dla rządu sympatyę niemieckiéj lewicy, która przez lat tyle zacięte staczała boje. Rządy hr. Taaffego i pana Dunajewskiego silnie podkopały wpływ żywiołu niemieckiego w Austryi. Pamięć bolesnych razów, odniesionych w téj walce, zbyt jest świeżą, by mogła nie oddziaływać na usposobienie obecne. Konserwatyści niemieccy, zawiedzeni w swych oczekiwaniach, bo nie otrzymali upragnionéj reformy szkolnéj w duchu klerykalnym, żywią w sercach żal do całego gabinetu. Koło polskie przekonało się właśnie temi dniami w sprawie decentralizacyi zarządów kolejowych, jak wielkiego wysiłku wymaga zdobycie dla kraju najskromniejszych ustępstw. A jednak te właśnie żywioły składają większość, która rządowi powierza tajne fundusze.

Cóż dopiero mówić o usposobieniu w obozie młodoczeskim! Jak gdyby dla pokazania światu, że bytność cesarza austryackiego w Pradze nic a nic nie wpłynęła na ich polityczne przekonania, są oni dziś większymi przeciwnikami gabinetu, niż dawniéj. Jeden z umiarkowańszych między nimi, mówiąc niedawno do swych wyborców o przyszłéj taktyce politycznéj, wspomniał także o systemie polityki biernéj. Mówca nie miał już atoli na myśli owego systemu, którego Czesi trzymali się przez czas długi, nie wysyłając swych posłów do Rady Państwa i poprzestając na tym niemym proteście. Teraz błyska już

myśl o polityce biernéj w takiém znaczeniu, w jakiém ją pojmowali Węgrzy po r. 1849-ym. Było-by to powstrzymaniem się od płacenia podatków, od pełnienia wszelkich innych powinności względem państwa. Do wykonania takiego projektu bardzo dziś jeszcze daleko. Co było wykonalném w kraju, dźwigającym na sobie cały ciężar świeżego pogromu, niemożebném było-by prawie w prowincyi, która, mimo wszelkich narzekań, co rok cieszy się jakąś nową zdobyczą na polu życia narodowego. Pogróżki tego rodzaju są więc, co najwięcéj, znamieniem usposobienia niektórych wybitnych osób, ale znamieniem bardzo ważném i charakterystyczném.

Na wiadomość o samobójstwie gen. Boulangera wszystkie pisma republikańskie w Paryżu pośpieszyły z zapewnieniem, że każdy dzień uszczupla liczbę przeciwników rzeczypospolitéj. Wybryk kilku młodych Francuzów, należących do pielgrzymki francuskiéj do Rzymu, stał się powodem, że rząd respublikański znalazł naraz nowych nieprzyjaciół tam, gdzie niedawno zyskiwać zaczął sprzymierzyńców. Rozjątrzenie, jakie zapanowało w Rzymie, gdy gruchnęła pogłoska o znieważeniu grobu Wiktora Emanuela przez pielgrzymów, spowodowało rząd francuski do użycia energicznych środków w celu przejednania społeczeństwa włoskiego. Za najskuteczniejszy sposób uznano w Paryżu przeszkodzenie dalszym pielgrzymkom. Minister wyznań zawezwał wówczas biskupów, by zaniechali ich na przyszłość. List ministra spowodował arcybiskupa z Aix do odpisania w sposób cierpki i porywczy, a następstwem téj odpowiedzi będzie proces, wytoczony biskupowi o obrazę rządu.

Widok biskupa, stającego przed sądem, poruszy oczywiście umysły i powiększy liczbę przeciwników rządu, który, otrzymawszy niezbyt grzeczną odpowiedź z Aix, znalazł się bezsprzecznie w położeniu niełatwém. Że się atoli w niém znalazł, wynika to z własnéj jego winy, gdyż wezwanie, wystosowane do biskupów, było i niepolityczném i—co ważniejsza—niepotrzebném. Niepolityczném, bo w kraju, gdzie swoboda w wypowiadaniu wszelkich przekonań tak daleko sięga, jak we Francyi, zakaz pielgrzymowania do Rzymu jest anachronizmem, nie dającym się utrzymać długo; a niepotrzebném, bo wobec rozjątrzenia umysłów w Rzymie, żaden biskup francuski nie był-by w tych czasach urządził większéj pielgrzymki.

Śmierć Parnella nie wpłynęła na pojednanie poważnionych stronnictw irlandzkich. Przyjaciele i przeciwnicy zmarłego patrzą dziś wrogo na siebie i nie mogą zapomnieć wzajemnych uraz. Ta sama fatalność, która rzuciła cień na ostatnie lata Parnella, zawisła i nad jego grobowcem. Lud irlandzki, dotknięty w swych religijno-etycznych uczuciach, wypowiedział mu posłuszeństwo i szedł za głosem

jego współzawodników; ten sam lud, przerażony widokiem trumny, chce przebłagać pamięć zmarłego, miotając obelgi na tych, których poprzednio usłuchał. Iskra nienawiści, rzucona niebacznie przed kilku laty, tleje dotychczas, a skoro nie zagasła z chwilą skonu Parnella, może jeszcze nie zagaśnie i przez czas dłuższy.

Najważniejszą kwestyą chwili bieżącéj jest nieurodzaj, a tém większéj wagi ona nabiera, że w rozprawach żywych, bądź prywatnych, bądź publicznych, nie jest przedmiotem mody, lecz widmem, budzącém popłoch śród ogółu. Nasi dziennikarze, szczególniéj w niektórych pismach poczytniejszych, chcąc wyzyskać i wyczerpać wszechstronnie sprawę tak ważną, bezwiednie podniecają ten popłoch. Czytając wszystko, co się pisze o chybionych urodzajach, drożyźnie, napotykając co chwila ponure wnioski i groźne przepowiednie, doznajemy takiego wrażenia, jak gdyby za gardło ściskała nas śmierć głodowa, przed którą niéma już ratunku. Czy położenie istotnie jest tak groźném, jak nam je przedstawiono? Czy już niéma żadnego punktu wyjścia dla wszystkich, jak dla niektórych zrozpaczonych korespondentów? W rzeczy saméj cieszyć się niéma powodu, ale i do rozpaczy jeszcze daleko. W Królestwie Polskiém urodzaj żyta nie był świetny, lecz mógłby wystarczyć na potrzeby spożywców miejscowych, gdyby nie pokusa w cenach wysokich i zachęta spekulantów, którzy zdołali szczególnie drobnych wytwórców obrać z ostatniego ziarna, zanim ci się obejrzeli, że im nietylko na wyżywienie, ale na zasiew nie wystarczy, i że trzeba odkupić, co się sprzedało. Faktów takich jednakże uogólniać nie można, chociaż one dotknęły bardzo wielu mniejszych rolników, a najbardziéj nieświadomych rzeczy włościan. Wogóle cały nadmiar żyta ze zbiorów w Królestwie wyszedł za granicę w takiéj ilości, że na potrzeby miejscowe podobno musiano sprowadzać z prowincyi Południowo-Zachodnich. Było to nie na rękę guberniom środkowym, dotkniętym istotną klęską głodową. Gdyby nawiedziła ona kraj przed laty trzydziestu, mogła-by siać pomór, na równi z jaką straszną epidemią; ale ponieważ stało się to dzisiaj, kiedy komunikacya doszła do znacznego udoskonalenia, a operacye handlowo-spekulacyjne dosięgły olbrzymich rozmiarów, klęska ta zmalała zupełnie i stała się niedogodnością chwilową, która ustąpi, skoro tylko niezbędny produkt pożywienia rozpłynie się równomiernie po wszystkich obszarach świata, gdzie tylko kultura ślady swe zaznaczyła. Dotychczas jednakże gorączka handlowa jeszcze się nie uspokoiła. Dowóz zboża na rynek królewiecki z Rossyi wynosił we Wrześniu 20,000 tonn, t. j. dziesięć razy więcéj, niż w tym samym czasie w roku zeszłym. Dotąd jeszcze rynki zachodnio-europejskie odczu-

wają brak żyta, szczególnie zaś Niemcy. Świetne zrobią na tém interesa Stany Zjednoczone i Kanada, które wysyłają do Europy znaczne transporta żyta i sprzedają po cenach pszenicy. W Rossyi również cena żyta (na rynkach wewnętrznych) zrównoważyła się z cenami pszenicy, gatunki zaś pszenicy oziméj mają nawet mniejszą wartość. Przerachowali się jednakże spekulanci w swoim pośpiechu. Od chwili zamknięcia granic dla żyta, zwrócili oni uwagę na wewnętrzne gubernie Cesarstwa, dokąd wysłano taką obfitość zboża, iż elewatory nie mogą jéj pomieścić. Z tego powodu zarządy tutejszych kolei na żądanie wstrzymały czasowo transporta ziarna i zawiadomiły o tém dostawców miejscowych. Tak więc, dzięki spekulacyi, widmo głodu wygnano w ciągu kilku tygodni ze środkowych gubernii państwa, a przynajmniéj złagodzono.

Obecnie dzwonią na trwogę u nas, a ciągle wzrastanie cen chleba wcale nie nasuwa wesołych myśli spożywcom. Dzięki nieskończonemu łańcuchowi pośrednictwa i spekulacyi, ziarno, zanim dojdzie do ust spożywcy, musi przejść przez mnóstwo rąk, a z każdych wychodzi coraz droższe; taki stan rzeczy trwa od wieków, a najdotkliwszym jest w chwili obecnéj. Wysoka cena jest dziś trudną do zwalczenia i prawdopodobnie długo jeszcze się utrzyma. Gdy chleb pytlowy staje się już zbytkiem dla ludności ubogiéj, musi ona szukać produktu tańszego. *Gazeta Warszawska* bardzo słusznie przemawia za rozpowszechnieniem razowego, który ma tę zaletę, że nietylko jest tani, ale i zdrowy. „Zarządy miast — powiada pismo powyższe — nie mogą lekceważyć kwestyi wyżywienia ludności. W staraniach swoich o udostępnienie cen chleba nie powinny zapominać o tém, że wyrzucenie $^1/_3$ wagi zboża w odpadkach przy pieczywie pytlowém podnosi co najmniéj w tymże stosunku cenę najpierwszego artykułu żywności; baczyć więc należy, ażeby pieczywo miało wagę i jakość przepisaną, ale żeby było możliwie najtańszém, a najtańszém będzie wtedy, gdy z korca żyta otrzyma się najwięcéj pieczywa. Największą ilość daje właśnie pieczywo z mąki razowéj. Gdy przytém własności odżywcze i zdrowotne chleba razowego są wyższe, niż pytlowego, — o ten chleb przedewszystkiém troszczyć się należy. Wszystkie piekarnie winny obowiązkowo dostarczać na targi chleba żądanego, w ilościach, odpowiadających zapotrzebowaniu. Obowiązkowo znajdować się winien w restauracyach. W razie zmowy piekarzy, należało-by utworzyć *piekarnie miejskie*.“

Drożyzna chleba staje się dotkliwszą wobec nieurodzaju kartofli. Niedawno p. T. Łuniewski sypnął garść cyfr, które wywołały niepokój

w prasie i śród spożywców. Według obliczeń p. Ł., średni zbiór tegoroczny kartofli w całém Królestwie Polskiém wyniesie około 33% średniego sprzętu. Jeśli więc w latach zwyczajnego urodzaju Królestwo zbiera około 200 milionów pudów kartofli, zbiór tegoroczny wyniesie 70 milionów pudów. Ze zbioru tego wyjdzie, zdaniem p. Ł., 20 mil. na siew, 8 mil. na wyrób gorzałki, pozostanie zaś na pożywienie najwyżéj 42 mil. pudów. Ponieważ w latach normalnych Królestwo spożywa 147 milionów pudów, zatém w roku bieżącym zabraknie przeszło 100 milionów pudów. Nie można tym obliczeniom przypisywać wielkiéj ścisłości, zrobił je bowiem autor wtedy, gdy kartofle były jeszcze w ziemi. Słusznie zbyt pesymistycznego poglądu p. Ł. nie podzieliło wielu członków sekcyi przemysłu rolnego. W każdym razie faktem jest, że niedobór kartofli istnieje, a z pojedyńczych szczegółów dowiadujemy się, że w niektórych miejscowościach podobno wytwórcy zaniechali zupełnie kopania kartofli, gdyż koszt wydobycia z ziemi przewyższał-by wartość produktu. Chcąc atoli ocenić dostatecznie stan rzeczy i przedsięwziąć jakie środki zaradcze, należy przedewszystkiém zebrać sumę danych statystycznych, w których oświetleniu mógłby się przedstawić istotny stan urodzaju kartofli w całym kraju. W tym celu przy udziale pp.: Donimirskiego, Jeziorańskiego, A. Zaleskiego i A. Zakrzewskiego, postanowiono przeprowadzić ankietę, któréj zadaniem będzie: określić ilość ogólnych zbiorów, stosunek pomiędzy produktem otrzymanym przez własność większą i mniejszą, zdrowotność i możność konserwacyi otrzymanego plonu. Pomimo niedoboru, handlarze skupują kartofle na wywóz za granicę, szczególnie do Niemiec, gdzie również nieurodzaj jest wielki. Według wykazów urzędowych, zbiór tegoroczny w Prusach przedstawiał się pomyślnie; miał wynieść 188,302,000 centnarów podwójnych, czyli niespełna o 17 milionów centn. podw. więcéj, niż w roku zeszłym. Z późniejszych atoli sprawozdań, po ukończeniu kopania kartofli, widać, że powyższe obliczenie jest zanadto optymistyczne, ułożone prawdopodobnie dla uspokojenia umysłów, mianowicie w klasach mniéj zamożnych.

Właściciele ziemscy, pomimo szczuplych urodzajów, rok bieżący mogą zaliczyć do względnie pomyślnych dla siebie. W Poznańskiém, według sprawozdań korespondentów, ilościowy niedobór pokrywają ceny produktów rolnych, na które popyt w ostatnich czasach znacznie się ożywił. W latach ubiegłych rolnik napraszał się kupcom ze swym towarem; obecnie handlarze kołacą do wytwórców, dając korzystne warunki. W Królestwie również rolnicy narzekać bardzo nie mogą, a nawet większą niż kiedykolwiek zwracają uwagę na położenie wy-

robników i służby folwarcznéj. Tu i owdzie podwyższono zarobki i poczyniono inne ulgi. Rolnik w *Kuryerze Codziennym* doradza użycie takich środków pomocy, które jednocześnie przyniosły-by korzyść ziemianom. Wobec wysokich cen zboża, materyalny rezultat tegoroczny z gospodarstwa, zdaniem jego, wogóle nie powinien być gorszy, niż w latach poprzednich, wiele zaś lepiéj zagospodarowanych majątków może nawet dać dochód wyższy. „Otóż spodziewać się należy, że wobec wyjątkowych warunków tego ze wszech miar anormalnego roku, wobec nędzy, grożącéj najbiedniejszéj, z pracy rąk żyjącéj, ludności wiejskiéj, wszyscy ziemianie odczują ciążące na nich obowiązki, a ograniczywszy osobiste wydatki do najkonieczniejszych, zdobyte tą drogą oszczędności całkowicie przeznaczyć zechcą na ulepszenia w majątkach, dające bezpośrednio zarobek biednéj ludności wyrobniczéj.“ Niéma prawie posiadłości ziemskiéj, w któréj nie dałoby się wprowadzić jakiego ulepszenia: szlamowanie stawów, sadzawek, osuszanie błot, kopanie rowów, wydobywanie torfu, karczowanie wyciętych i porządkowanie zapuszczonych lasów, zadrzewianie i t. d. Co się odkłada z roku na rok, „Rolnik“ doradza czynić obecnie w miarę możności, ale nie za pożyczane pieniądze. „Będzie to podwójnie dobry uczynek: dostarczenie pracy niezbędnie potrzebującym zarobku i dołożenie cegiełki do rozwoju i podniesienia gospodarstwa rolnego.“

Wogóle spostrzegamy większą niż kiedykolwiek skłonność do ustępstw i pomocy pracodawców dla pracowników w chwili obecnéj. Oto garść faktów: Towarzystwo akcyjne K. Scheiblera w Łodzi postanowiło zakupywać chleb i sprzedawać swoim robotnikom po $3^1/_2$ kop. za funt. Na przewidziane z tego powodu straty Towarzystwo wyznaczyło specyalny fundusz, wynoszący około rs. 50,000. Idąc za tym przykładem, firma J. K. Poznańskiego sprowadziła z własnych majątków sto wagonów kartofli, które rozprzedała robotnikom po cenach znacznie niższych, niż targowe. Jeden z zakładów przemysłowych w okolicach Sosnowic, zatrudniający 500 ludzi, z chwilą, gdy cena chleba dosięgła 5 kop. za funt, wypieka chleb (jak donosi *Kuryer Warszawski*) i sprzedaje pracownikom o 1 kop. niżéj na funcie. Nadto, zarząd fabryki postanowił sprowadzać kartofle, kaszę i mąkę z tych miejscowości, gdzie je można taniéj nabyć, z celem sprzedawania robotnikom, z doliczeniem tylko kosztów transportu. Podobne fakta powtórzyły się także w innych zakładach. Na posiedzeniu prywatném piwowarów warszawskich pracownicy wyjednali następujące ustępstwa: podniesienie wszystkim bez wyjątku wykwalifikowanym piwowarom płacy dotychczasowéj o rs. 2 tygodniowo; zmniejszenie

liczby godzin w browarach o 2 dziennie; zwolnienie każdego z pracujących od zajęć na jeden dzień w tygodniu, i wreszcie majstrowie postanowili kilkomiesięczną przerwę doroczną, w której pracownicy pozbawieni są zajęcia, wynagrodzić inną robotą w browarach, z płacą zniżoną o $^1/_3$ w stosunku do zwykłéj. Uchwałę tę wprowadzono już w życie. Zarządy kolejowe również przychylnie są usposobione względem ulg dla swych pracowników, tylko że nie można ich łatwo i szybko przeprowadzić. Dzienniki podały pogłoskę, iż koleje w Królestwie Polskiém mają zwiększyć pensye urzędników z powodu drożyzny. Wieści te, naturalnie, są przesadzone i wyrażają tylko życzenie ogółu. Zarządy kolei Wiedeńskiéj, Terespolskiéj i Nadwiślańskiéj naradzały się nad tą sprawą, poruszono przytém projekt ułatwienia urzędnikom nabywania produktów przy pomocy stowarzyszeń spożywczych, napomykano o dodaniu pewnego procentu do pensyi etatowych, według podziału urzędników na żonatych i kawalerów. Nic jednakże stanowczego dotąd nie powzięto. Kolei Nadwiślańskiéj i Terespolskiéj stoi na przeszkodzie to, iż są gwarantowane przez rząd, bez którego zezwolenia nie można zwiększać etatu osobowego. Bez wszelkich formalności może być tylko zwiększona płaca robotników. Pierwszy krok zrobiła już droga Nadwiślańska; podniosła płacę dzienną robotników o 10%. Z podwyżki téj korzysta 600 ludzi. Koléj Wiedeńska wyznaczyła sumę gratyfikacyjną 125,000 rs. Z tego powodu *Kuryer Codzienny* zapytuje, czyby nie można było, „z powodu nadzwyczajnych okoliczności“, wypłacić gratyfikacyę, zamiast w końcu roku, teraz na jesień, jak to było dawniéj. W takim razie urzędnicy nie potrzebowali-by się uciekać do pomocy lichwiarskiéj.

Coraz rzadziéj szukają takiéj pomocy robotnicy w Poznańskiém od chwili wprowadzenia w życie ustawy o ubezpieczeniu. Zrazu tę nowość przyjęto z pewném niedowierzaniem, szczególnie w sferach rolniczych; obecnie zaś, po roku praktyki, polepszenie stosunków pomiędzy pracownikiem i pracodawcą zarysowywa się coraz wyraźniéj. Wpływowi tego prawa przypisują zmniejszenie się wychodztwa wiejskiéj ludności robotniczéj do zachodnich prowincyi niemieckich. Ale za to emigracya zamorska przybrała w roku bieżącym większe niż zwykle rozmiary. Na 80,610 osób, które do końca Sierpnia r. b. wyemigrowały z całych Niemiec, 14,732 pochodzi z W. Ks. Poznańskiego, a 10,956 z Prus Zachodnich, a więc na te prowincye przypada prawie trzecia część emigrantów. Względnie do ludności jest to stosunek olbrzymi. Najwięcéj osób emigruje z północnych i wschodnich powiatów W. Ks. Poznańskiego, t. j. z miejscowości, w których komisya kolonizacyjna najsilniejszą działalność rozwinęła. Korespon-

dent *Gazety Warszawskiéj* tłómaczy ten objaw w sposób następujący: „Koloniści, przybywający na swoje osady z rodzinami, nie potrzebują obcych robotników. Każdy więc wypadek rozparcelowania majątku ziemskiego pozbawia zarobku setki miejscowych robotników rolnych, którzy szukają szczęścia za morzem. Tak więc instytucya kolonizacyjna przyczynia się do wychodztwa, pomimo, iż ma na celu inne zadanie.

Przybywa nam coraz więcéj świadków nędzy brazylijskiéj, a przybywa w sam czas, gdy drożyzna może wielu, nieświadomych rzeczy, zachęcić do ucieczki za ocean. Kto wie, czy wkrótce ucieczka ztamtąd nie zrównoważy się ilościowo. Ks. Chełmicki i Glinka utorowali drogę powrotną, ale, jak się okazuje, łatwiéj było zajechać tam, niż wrócić. Opiszmy słowami Maryi Konopnickiéj (z Zürichu) tę męczeńską pielgrzymkę: „Od kilku tygodni wracają tędy (przez Szwajcaryę) garście nędzarzy z Brazylii. Trzeba widzieć, żeby uwierzyć, jak są wynędzniali, wycieńczeni i obdarci. Kto miał trochę grosza, wracał przez Hamburg i Niemcy. Tych-to widziano na Aleksandrowskiéj komorze i opisywano w „Kuryerach.“ Ale byli biedacy, którzy się z funduszów na podróż wylegitymować nie mogli; ci doplynęli do Marsylii, a ztamtąd pieszo szli do Genewy, kobiety i mężczyźni; dzieci wszystkie wymarły w drodze. Jakie obrazy widziałam, jakie dramata, jakich się nasłuchałam opowiadań, — to opisać się nie da! Przybywają wpół nadzy, głodni, bosi, chorzy, tak, że się tutejsza ludność zbiega oglądać. We Francyi straszną mieli drogę. Nikt ich pod dach przyjąć nie chciał, 21 dni szli o głodzie, po polach kradnąc jarzyny, a nocując w błocie, rowach, bo były deszcze. Tu dla nich zbieramy trochę pomocy, ale co to znaczy! Pierwsze już partye wyczerpały tutejszą kasę stowarzyszenia młodzieży. Ci, co teraz idą, chyba już daléj głodni i obdarci pójdą. Zawiązał się komitet pomocy, ale zkąd brać tę pomoc, kiedy tu garść Polaków tak mała? Myślałam tu o odczycie, ale ta biedna studenterya tutejsza, choćby przyszła, co da? Jak się salę najmie, to nic nie zostanie. Zresztą oni i bez przynęty wszelkiéj dadzą, byle tylko mieli. Ale tu trzeba prędko dać, bo rzecz jest nagła, krzycząca o ratunek... Idą kobiety, które lada chwila w drodze matkami zostać mogą, jeśli się ich przejazdu nie przyśpieszy. Widziałam jedną 80-letnią starowinę, która „za wnukami ciągła“ — do Argentyny. A wnuki—czworo ich było—jednego tygodnia wymarły... Teraz wraca do pustéj chaty z rodzicami tych dzieci, na pół oślepła z płaczu. Jakie to gorzkie zadrwienie ze wszystkich uczuć ludzkich!..“

Środkiem, mogącym w znacznéj mierze powstrzymać włościan od wychodztwa, jest utrwalenie własności ziemskiéj. O nowém rozporządzeniu w tym względzie pisaliśmy przed paru miesiącami, zwracając uwagę na jego połowiczność, t. j. uwzględnienie tylko gruntów uwłaszczonych. Obecnie, jak się spodziewać należało, sfery prawodawcze rozwijają szerzéj ogłoszone przepisy; nadal ochrona prawna obejmie nietylko grunta, pochodzące z uwłaszczenia, ale nadto działy leśne, pozostające w używalności włościan b. państwowych na mocy prawa z 13 (25) Czerwca r. 1873, wreszcie grunta, nabyte przy pomocy kredytu banku włościańskiego, po spłaceniu całkowitéj pożyczki. Własność taka nie może w żadnym razie przechodzić z rąk gromad wiejskich lub osób pojedyńczych do nie-włościan. Na grunta włościańskie nie mogą spadać pretensye osób postronnych, ani stanu włościańskiego; grunta takie nie mogą być sprzedawane, ani z wyroków sądowych, ani inną drogą, dla zadośćuczynienia wierzytelnościom tego rodzaju. Nie mogą one być wreszcie przedmiotem jakichkolwiek operacyi, ani służyć za hypotekę dla zobowiązań, zaciągniętych czy to względem skarbu, czy instytucyi publicznych lub osób prywatnych.

Z reform prawodawczych zasługuje na uwagę jeszcze uzupełnienie przepisów, dotyczących adwokatury, mianowicie uregulowanie wynagrodzenia. Nowa taksa ma służyć sądom za bezpośrednią podstawę do obliczania wynagrodzenia, tudzież do regulowania stosunków pieniężnych pomiędzy klientem i obrońcą, o ile ci nie zrobili osobnéj umowy. Cała zmiana przepisów polega przedewszystkiém na szczegółowszéj klasyfikacyi wynagrodzenia w stosunku procentowym do powództwa. Obrońca będzie miał prawo brać osobne honoraryum w razie ponownego rozpatrywania sprawy w izbie sądowéj, po uchyleniu poprzedniego wyroku apelacyjnego przez senat. Określono ściśléj skalę wynagrodzenia za prowadzenie sprawy w drodze wykonawczéj, t. j. połowa tego honoraryum, które za proces główny przypadało. W razie śmierci adwokata przed ukończeniem procesu, prawo do pobrania honoraryum przechodzi na jego spadkobierców, w stosunku do zaawansowania sprawy i poniesionego trudu. Wreszcie wprowadzono cztery nowe punkta o wynagrodzeniu: 1) niezależnie od honoraryum, dodatkowe wynagrodzenie za udział adwokatów przy sprawdzaniu dowodów po-za obrębem siedliska sądu i za udział w czynnościach egzekucyjnych; 2) zasada zmniejszenia zwykłéj stopy wynagrodzenia w razie dobrowolnego przyznania lub zrzeczenia się pretensyi przez strony; 3) rozciągnięcie przepisów o wynagrodzeniu obrończém na powództwa cywilne w sprawach karnych i — 4) pierwszeństwo wynagrodzenia adwokatów przed innemi należnościami,

tudzież upoważnienie obrońców, do zatrzymania swego honoraryum z sum, osiągniętych przez klienta. Nowość ta ma doniosłe znaczenie, zarówno dla adwokatów, jak i klientów.

Od pewnego czasu *Gazeta Sądowa*, nie poprzestając na suchych informacyach i referatach, stara się zagrzewać prawników naszych do poważniejszéj pracy na polu naukowém i do udziału w badaniach międzynarodowych. „Czém tłómaczyć taką wstrzemięźliwość, to nieusprawiedliwione wyosobnienie się nasze z ogólnego ruchu? — zapytuje pismo powyższe. — Jest to smutny, nie nowy, na nieszczęście, objaw. Przed wprowadzeniem ostatniéj reformy sądowéj (r. 1876), podczas gdy istniały dwa departamenta Rządzącego Senatu i sąd apelacyjny, gdy poprzednie postępowanie sądowe, zwłaszcza w sprawach cywilnych, otwierało szerokie pole obrońcom do krasomówczych popisów i samodzielniejszéj działalności, stan prawniczy posiadał wybitne osobistości we wszystkich niemal kierunkach, tak w łonie magistratury, jak i na linii obrończéj.“ Mieliśmy głębokich i gruntownych znawców naszego prawa hypotecznego, znanych przedstawicieli notaryatu. Z bardzo małym atoli wyjątkiem prace ich weszły w skład międzynarodowego dorobku na polu naukowém Mamy i dziś również bardzo zdolnych i rozumnych prawników, którzy trzymają się zdala od wszelkich spraw teoretycznych, pomimo, iż te mają na celu udoskonalenie środków sprawiedliwości, tudzież usunięcie takich, które przy pozornėm zażegnywaniu wszelkich zboczeń i zwyrodnień, częstokroć przyczyniają się właściwie do ich rozwoju. Prawnicy zachodnio-europejscy, odczuwając żywo potrzebę udoskonaleń w téj dziedzinie, utworzyli „międzynarodowe stowarzyszenie prawa karnego.“ Na pierwszém już zebraniu ogólném w Brukselli (r. 1889), v. Liszt, profesor prawa karnego w Marburgu, zaproponował utworzenie w rozmaitych krajach komitetów miejscowych, w celu naukowego badania prawodawstw i oddziaływania na wprowadzenie do nich zasadniczych poglądów stowarzyszenia. Komitety takie już powstały we Włoszech, Szwajcaryi, Austryi, Węgrzech i Niemczech. W Petersburgu także robił starania o to profesor prawa karnego i współredaktor nowego Kodeksu kryminalnego, p. Fojnicki; dotąd wszelako nie doprowadził do skutku swoich zamiarów. Grupy powyższe przedewszystkiém roztrząsają zagadnienia, w jakim stosunku są sprawy, poruszane przez ogólne zebrania, do prawodawstwa miejscowego. Jest to wyborny środek wykazania wszelkich braków nie gołosłownie, lecz na podstawie sumy faktów. Taką drogą tylko prawodawstwa mogą się udoskonalić i uniknąć ciężkich pomyłek. Najle-

pszym dowodem ogólnego zainteresowania się prawników nową instytucyą jest ciągle wrzastająca liczba członków. W chwili zawiązania Towarzystwo liczyło 200 uczestników; na pierwszém zebraniu było ich już 225, w roku przeszłym 330, w początku bieżącego—542, obecnie zaś 609. W téj pokaźnéj liczbie jest zaledwie sześciu polskich prawników (trzech od nas i tyluż z Austryi): dwóch tylko uczestniczyło w ogólném zebraniu w Brukselli, a *jeden* przygotował referat. Najważniejszym przedmiotem, który w chwili obecnéj żywo zajmuje ogół prawników na Zachodzie, jest sprawa recydywy. Myśliciele i prawnicy francuscy oddawna zwrócili uwagę na to wielkie niedomaganie i podali szereg środków doraźnych, które miały je zmniejszyć. Pod wpływem tych dążeń powstały specyalne instytucye, (które przydały-by się i u nas); mają one na celu opiekę nad ukaranymi, czuwanie nad ich poziomem moralnym i zapobieganie powtarzaniu się przestępstw. Wszystko to jednak, co dotąd zrobiono, jest bardzo małą odrobiną wobec wzrastających przestępstw. W szeregu proponowanych środków zaradczych w ostatnich czasach uznano za najwłaściwsze w obecnych warunkach: starać się o możliwe zmniejszenie liczby dzieci źle wychowanych, opuszczonych i zaniedbanych. Ostatnim wynikiem dążeń tego rodzaju jest myśl prawników paryskich — zaopiekowania się nieletnimi, pociąganymi do odpowiedzialności sądowéj. W tym celu utworzono komitet pod przewodnictwem p. Adolfa Guillot'a, który przedsięwziął szerokie studya przygotowawcze. Owoc téj pracy ma być rozpatrywany na międzynarodowym kongresie więziennym w Paryżu r. 1895. Do udziału w tym kongresie zachęca *Gazeta Sądowa* naszych prawników, tembardziéj, że będą tam roztrząsane nietylko sprawy reform z dziedziny prawa kryminalnego, ale ogólniejsze, jak np. władza rodzicielska, praca więźniów i t. d. A więc obok kryminalistów mogą wziąć udział także cywiliści.

Kongresy są dziś najniezbędniejszą formą porozumiewania się ludzi uczonych. To téż nie pamiętamy, aby ich kiedykolwiek była tak wielka liczba, jak w ostatnich czasach. Dość tylko przejrzéć kronikę działalności naukowéj za parę ubiegłych miesięcy: Zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, kongres geograficzny w Bernie, kongres hygieniczny i demograficzny w Londynie; — pomijamy zjazdy mniejsze. Charakterystycznym objawem jest stosunkowo największa liczba zjazdów i narad w sprawie zdrowia publicznego. Niéma dziś największego wstecznika i abnegata, który-by nie przyznał, przynajmniéj w teoryi, że hygiena jest najniezbędniejszym warunkiem szczęścia i rozwoju społeczeństw. Anglia pod względem urządzeń hygieni-

cznych należy do państw przodujących. Powstało tam mnóztwo instytucyi zdrowotnych, które pochłonęły olbrzymie sumy, a dziś oddają nieocenione usługi społeczeństwu, wobec których rozmiary kapitałów wyłożonych są drobnostką. Pięciomilionowa stolica posiada 69 szpitali publicznych, wzorowo urządzonych i mieszczących dwadzieścia kilka tysięcy łóżek; ambulatorya przyjmują chorych *półtora miliona* rocznie; towarzystw lekarskich jest 19; szpital pływający dla chorób zakaźnych należy do osobliwości, a kanały i wodociągi są to instytucye, imponujące rozmiarami i wzorowém urządzeniem. Najstosowniejsze zatém miejsce obrano dla ostatniego kongresu hygienicznego. Zainteresowanie było wielkie, skoro wzięło udział około trzech tysięcy osób ze wszystkich krajów, w téj liczbie najznakomitsi przedstawiciele medycyny i hygieny. Ważny dział stanowiła demografia (część hygieny, zajmującéj się instytucyami państwowemi). Jak ta gałąź jest obszerna i jak wielkie ma znaczenie, dość wymienić zasadnicze kategorye pracy około zdrowia publicznego: urządzenie gmachów szkolnych, kanalizacya domów i miast, zakładanie parków i skwerów, drenowanie, kontrola produktów spożywczych, kwarantanny dla ludzi i zwierząt, szpitale i wogóle zakłady lecznicze, szczepienie ospy i innych chorób zaraźliwych, budowanie domów sanitarnych, dostarczanie świeżéj i czystéj wody źródlanéj, wreszcie przepisy i dozór nad cmentarzami i ciałopaleniem. Wszystkie te działy szczegółowo były traktowane na kongresie londyńskim. Brakowało tylko tam przedstawienia w sposób poglądowy naszych warunków zdrowotnych. Jakże-by się Anglicy przerazili, gdyby je ujrzeli w całéj okazałości: nasze podwórka i mieszkania, hotele, zajazdy, nasze urządzenia i pomieszczenia wielu szkółek, studnie warszawskie, prawie wszystkie z ostrzegającemi napisami: „woda niezdatna do picia!“ Od lat dziesięciu miasto nasze prowadzi wielkie dzieło — kanalizacyę ulic. Zrobiono już bardzo wiele, szkoda tylko, że kanały wykończone dotychczas prawie żadnego pożytku nie przynoszą mieszkańcom, gdyż kanalizowanie domów idzie nadzwyczaj opieszale. Jeszcze przed dwoma laty na obradach komitetu kanalizacyjnego III seryi, lekarze-kamienicznicy poruszyli sprawę przymusowego kanalizowania wszystkich posesyi. Pomimo, iż część członków gorąco obstawała za tym wnioskiem, większa część, nie uwzględniając interesów dobra publicznego, wystąpiła z opozycyą. Sprawa przycichła, lecz oto obecnie znowu ją podniesiono. Inicyatywa znów od lekarzy wyszła i znalazła poparcie w prasie. Pomimo, iż cała Warszawa jest przecięta trzema wielkiemi kanałami, a wiele ulic od lat trzech posiada już zupełnie wykończone kanały mniejsze, dotąd zaledwie 360 domów jest skanalizowanych; jest to mała cząstka w stosunku do ogólnéj liczby. Opieszali kamie-

nicznicy starają się usprawiedliwić brakiem środków. Niewątpliwie jest garstka takich właścicieli, którym brak pieniędzy stoi na przeszkodzie. Większość atoli, przy dobrych chęciach, mogła-by już dawno wykonać roboty niezbędne. Istnieje w naszém mieście mnóstwo biur, zajmujących się kanalizowaniem domów. Dzięki współzawodnictwu, skore są one do wszelkich ustępstw dla właścicieli, zgadzają się na odbiór należności za roboty z pożyczek, zaciągniętych na ten cel w Towarzystwie Kredytowém m. Warszawy; zresztą zadowalniają się malemi ratami. Nadto, wiadomo, iż podwyższone komorne po skanalizowaniu domów w zupełności pokryje wydatki, czyli—lokatorowie opłacą koszta kanalizacyi. Takie jest przekonanie i nastrój znacznéj części opinii publicznéj. Żądanie przymusu wzmogło się jeszcze bardziéj po rewizyi komisyi sanitarnéj. Znalazła ona przy ulicy Krochmalnéj domy, gdzie się skupiło cztery razy więcéj mieszkańców, niż w warunkach normalnych mieszkać może. W większych izbach znaleziono przeszło *po sto* osób. Można sobie wyobrazić, jak tam opłakane są warunki zdrowotne. Z tego powodu, na wniosek komisyi, władza wystąpiła do zarządu kanalizacyi z żądaniem jaknajprędszego wybudowania kanału na rzeczonéj ulicy. Jakież on atoli da rezultaty, jeżeli domy, przy nim położone, nie będą skanalizowane? Takie słuszne pytanie ktoś zadaje w prasie. Inne ulice na krańcach miasta również wymagają szybkiego połączenia domów. Na Nowiniarskiéj jeszcze przed 6-ciu laty zbudowano kanał, z którym dotąd *ani jednego* domu nie połączono. Na prośbę właścicieli garbarni i innych zakładów przemysłowych wybudowano kanał miejski na ulicy Wolność; dotąd jednakże ani domów, ani fabryk nie połączono. Na ulicy Okopowéj przeszło od lat ośmiu istnieje główny kanał, a pomimo to nieczystości spływają do fosy i przyczyniają się do wzrostu chorób w téj dzielnicy. Wobec takiego stanu rzeczy, żądanie przymusu kanalizacyjnego jest zupełnie właściwe. Ktoś powiada, że lepiéj zlicytować na rzecz kanalizacyi gromadkę zrujnowanych właścicieli domów, niż narażać pół miliona ludności na choroby. Kamienicznicy również wystąpili za pośrednictwem prasy w obronie swych interesów. Taki krok jest całkiem naturalny; gdy się konfiskuje lub niszczy zepsute produkta przekupniom, radzi-by oni je ocalić i sprzedać, bez względu na zdrowie spożywców. Śmieszne są tylko argumenta, używane przez stronę zaatakowaną. „Aby ludzi gwałtem do czegoś zmuszać — powiada jeden z właścicieli domów w *Kuryerze Warszawskim*, — trzeba przedewszystkiém przekonać świat, że to coś jest niewątpliwą doskonałością, że zatém uparci, którzy odrzucają tę doskonałość, sami nie wiedzą, co czynią. Tego przeświadczenia o doskonałości naszéj kanalicyi nabrać nie można.“ Ztąd łatwy wniosek: kanalizacya nie jest

doskonalą, nie należy więc z nią solidaryzować i łączyć domów. Wygodna zasada! Ponieważ Warszawa nie posiada pól irrygacyjnych, więc kamienicznik jest w strachu, iżby nieczystość, wypuszczana do *Wisły* z 5,000 domów, nie zatruła mieszkańców, czyli—uważa za dobrodziejstwo opieszałość właścicieli. Tylko *specyaliści lekarze* są innego zdania. Reszta argumentacyi, podawanych na obronę, jest tak słaba, że nie warto ich powtarzać. Jedno tylko poniekąd można przyznać, że przy zaprowadzeniu systemu przymusowego niepodobna we wszystkich wypadkach stosować zasady bezwzględności. Należało-by poczynić jakieś specyalne ulgi kredytowe. Bądź co bądź, należy się spodziewać, że tak żywo poruszona sprawa skończy się z rezultatem pożądanym dla ogółu.

Prowincya pod względem udogodnień zdrowotnych czasem prześciga Warszawę. Przed kilku miesiącami przedsięwzięto środki poprawienia warunków sanitarnych Grodziska; obecnie zaś postanowiono zawiązać specyalne komitety, które mają uzdrowotnić Otwock, Wawer, Nowo-Mińsk i Mrozy. Powoli hygiena coraz bardziéj zaczyna przesiąkać u nas do szkół i zyskiwać prawo obywatelstwa, jako jeden z pierwszorzędnych warunków wychowania publicznego. Niedawno p. Korycińska otworzyła zakład gimnastyczny dla kobiet i dzieci przy szkole rzemieślniczéj. W celu uprzystępnienia lekcyi dla pracownic z magazynów, zakład pobiera wyjątkowo niską opłatę, po 1 rs. miesięcznie. Nadto, osobną dla nich godzinę naznaczono od 8-éj do 9-éj wieczorem. Chwalebna to nowość u nas, ażeby jednak choć częściowo była skuteczną, potrzebne jest wdrażanie pojęć o konieczności gimnastyki. To wszelako nie należy do zadań łatwych, a więc ustępstwo dla pracownic magazynu może być chybione; mało bowiem znajdzie się takich, które, po całodziennéj pracy igłą, zechcą fatygować swe członki gimnastyką. W stosowaniu tego niezbędnego środka dla wzmocnienia sił fizycznych potrzebna jest również staranna metoda pedagogiczna, jak w kształceniu umysłowém. Nie znużyć ucznia i tym sposobem przykuć go do nauki, a jednocześnie podnieść jego energię i zdolność umysłową, stało się dziś hasłem wzorowego wychowania. Posłuchajmy, co mówi prof. dr v. Ziemssen o wychowaniu fizycznem: „Gimnastyka, pomimo że winna być prowadzona systematycznie, musi jednak zachować charakter zabawy, by chłopcy znaleźli w niéj źródło niewinnéj przyjemności. O wiele jednak skuteczniéj niż szkoła może rodzina i gmina starać się o rozpowszechnienie ćwiczeń fizycznych... ponieważ wiele rodziców zupełnie obojętnie patrzy, jak chłopcy zaraz po powrocie ze szkoły zasiadają do roboty, albo do czytania, zamiast iść na świeże powietrze, a obowiązkiem gminy

było-by powołanie do życia takich urządzeń, które-by same posiadały siłę przyciągającą dla młodzieży. Świetne działanie takich instytucyi nie daje długo czekać na siebie; ze wzrostem siły i zręczności rośnie wiara w energię, odwaga i chęć do walki. Tak ustępuje zmęczenie ciała, wynikające z jednostronnego zajęcia, słabość charakteru, brak odwagi."

W nakreślonym obecnie programie szkół średnich przebija dążność do pielęgnowania sił fizycznych i nie nadużywania ich, szczególnie przy egzaminach. Niedawno wyższa władza naukowa udzieliła odpowiednich wskazówek po temu wszystkim kierownikom zakładów naukowych. Przepisy egzaminacyjne, wydane w roku bieżącym, zalecają radom pedagogicznym, iżby uwzględniały wszelkie warunki przy ocenie postępów młodzieży szkolnéj i przy decyzyach o przenoszeniu ucznia do klasy wyższéj bez egzaminu. Znajomość każdego ucznia w szczególności wysunięto na pierwszy plan obowiązków nauczycielskich, a radom pedagogicznym nadano większe znaczenie. „Nauka szkolna — mówi okolnik p. kuratora petersburskiego okręgu naukowego — przebywanie w szkole, mają wielką doniosłość, o ile są połączone z ciągłością pracy, rozwojem umysłu i uczeniem się nowych rzeczy, bez zapominania tych przedmiotów, których studya są już ukończone. Wszelki pośpiech w przygotowywaniu się do egzaminu nie utrwala wiadomości w pamięci." Wobec tego należy przekonywać uczniów i ich rodziców o szkodliwości podniecenia nerwowego, którego doznaje młodzież w przeddzień egzaminów po niedbałéj pracy całorocznéj. Rady pedagogiczne powinny uwzględniać tych uczniów, którzy pracowali dobrze przez rok cały i których postępy nie ulegają wątpliwości. „Formalistyczne egzamina terminowe nie przechodzą bez smutnych następstw dla nauki. Nauczyciele częstokroć ulegają dążeniom nie tyle nauczenia, ile przygotowania uczniów do egzaminu." Tymczasem strona powierzchowna może zmienić grunt rzeczy. Zdolny pedagog ma zawsze możność ocenić dokładnie stopień rozwoju swych uczniów, i to nie na podstawie odpowiedzi oderwanych, ale podług tego, o ile uczniowie przyswoili sobie przedmiot wykładany i rozwinęli zdolność myślenia. Koniecznem więc jest, aby, nie wyczekując końca wykładu, wracać często do rozdziałów, które się przeszło. Dzieci łatwo przyswajają sobie wiadomości, ale również łatwo ich zapominają, czego najlepszym jest dowodem znaczna liczba złych stopni w pierwszym kwartale roku szkolnego. Dlatego właśnie należy w początkach roku dłużéj się zatrzymywać na podstawach nauki, bez których cały gmach, mozolnie budowany, łatwo runie. W następnych kwartałach również należy często wracać do przedmiotów wy-

uczonych, skoro tylko braki dadzą się spostrzédz. Gdyby nie można było uzupełnić tych braków w klasie, należy wskazać uczniowi i rodzicom jego, jaka część przedmiotu powinna być z większą starannością wyuczona. Tym sposobem pedagog, nietylko w końcu, lecz i w ciągu roku, będzie miał dokładną świadomość o uzdolnieniu ucznia, a gorączkowe wytężanie sił młodzieży przed egzaminami będzie zupełnie zbyteczne. Wskazówki te, udzielone przez wyższą władzę pedagogiczną, jeżeli będą ściśle przestrzegane we wszystkich zakładach naukowych, mogą nietylko zapobiedz przedwczesnemu starganiu sił młodzieńczych i osłabieniu zdolności umysłowych, ale prócz tego nadać zupełnie inny charakter egzaminom, z których dzisiaj tylko *szczęśliwi* gracze wychodzą bez szwanku; prawdziwie zaś zdolni i częstokroć gruntownie znający kurs nauk otrzymują porażkę, z powodu nieśmiałości, lub zmieszania chwilowego, które na razie odbiera przytomność umysłu. Powszechnie znany jest fakt, iż śmiałość i pewność siebie, pomimo niezbyt gruntownéj znajomości przedmiotu, dają szanse łatwego przejścia w egzaminie.

Stare przysłowie: „Śmiałemu fortuna sprzyja“, nieraz już stwierdziło głębokość prawdy, w niém ukrytéj. Innego widocznie zdania są nasi wydawcy, którzy w ostatnich latach doszli do nadzwyczajnéj ostrożności i wszelkiemi siłami bronią się przed publikacyą dzieł poważnych. Jeżeli w powodzi wydawnictw błahych, nowelek, powiastek, „historyi prawdziwych“ i nieprawdziwych znajdziemy czasem jaką rzecz wartościową pod względem naukowym, doznajemy takiego zdziwienia, jak rybak, który pośród drobiazgu znajdzie w swéj sieci szczupaka, tam, gdzie się tego nie spodziewał. A przecież nauka na schyłku niniejszego stulecia posuwa się wartkim i szerokim strumieniem. Zdobycze jéj nigdy nie dosięgły tak wielkich rozmiarów, jak w ostatnich latach. Z równą szybkością zagranica informuje ogół o jéj odkryciach i postępach w wydawnictwach popularnych, zawsze chciwie rozchwytywanych. My tę potrzebę mniéj odczuwamy, bo zresztą bodźców do tego brak nam zupełnie, a co najważniejsza—brak najpotężniejszego czynnika, mistrzowsko gdzieindziéj wyzyskanego: reklamy. O tém jednak, że wytrwałość może przełamać najgorsze warunki, wymownie nas przekonał *Wszechświat*, który przed paru laty, będąc bliski upadku, nie zwinął działania, ale przeciwnie, podwoił wysiłki, i dziś w *pięćsetnym* numerze oznajmia publicznie, że zdobył sobie już trwałe podstawy, w poparciu nie przez jednostki, lecz przez szerokie koła czytelników. Objaw ten podwójnie jest pocieszającym: 1-mo—pożyteczne pismo popularno-naukowe ma zapo-

wnione istnienie, i 2-do—świadczy to o wzroście u nas zamiłowania do tego rodzaju wydawnictw.

Naszéj prasie prowincyonalnéj nie można odmówić energii i wytrwania. Rozwija się ona ciągle, pomimo braku środków materyalnych i odpowiednich sił w szeregach współpracowników. Zajmując skromne na pozór stanowisko, wyświadcza ona wiele usług w zakresie swego wpływu. Z jéj inicyatywy powstały instytucye filantropijne, jak np. w Radomiu, dzięki staraniom miejscowego organu, założono czytelnię bezpłatną dla rzemieślników, tanią kuchnię i t. d. Gdzie jest prawdziwa nędza lub inne jakie niedomaganie, skromne te pisemka śpieszą z radą i pomocą, często bardzo skuteczną, dzięki umiejętnemu wyzyskaniu uczuć ludzkich w danéj chwili. Słowem, robią wszystko, co tylko jest w ich mocy. Pomimo to, otrzymują od czasu do czasu ostre cięgi i napomnienia od niektórych organów prasy warszawskiéj, często bardzo krzywdzące i bezwzględne. Istotnie pisma prowincyonalne mają jeszcze wiele braków, zarówno pod względem literackim, jak i technicznym; ale nie wynikają one z niedbalstwa lub niedołęztwa. Karcący, prawem starszeństwa i powagi, zapominają o tém, że prasa prowincyonalna jest zupełnie w innych warunkach, niż warszawska, że z tém, co ostatnia lekceważy, pierwsza musi częstokroć bardzo się liczyć. Najpospoliciéj zarzucają, że pisemka te nie mają wyczerpujących korespondencyi oryginalnych; ale czyliż nie wiedzą, że dla zdobycia szerokiego koła korespondentów i wogóle współpracowników, którzy-by dostarczali najświeższych i najdokładniejszych informacyi, — potrzebna jest bardzo ważna przynęta—honoraryum, na które wydawcy prowincyonalni zdobyć się nie mogą i muszą wynagradzać trudy swych współpracowników albo bezpłatnym egzemplarzem pisma, albo—dobrém słowem. Zresztą pod względem oryginalnych informacyi nie widzimy tak wielkiego ubóztwa. W ostatnich szczególnie czasach spotykamy coraz więcéj korespondencyi oryginalnych, treściwych i ciekawych, któremi się posługują nawet pisma warszawskie, pomimo, że mają korespondentów płatnych.

Jeśli się nie mylimy, z inicyatywy także organu prowincyonalnego otwarto w Radomiu wystawę starożytności w ubiegłym miesiącu. Godną ona jest uwagi już z tego względu, że przedstawia obraz dobrych chęci, mijających się, co prawda, ze środkami. Zebrano na prędce, co tylko kto miał „starożytnego“, i urządzono wystawę, odwiedzaną jednakże dość licznie. Największą wartość przedstawia i najbardziéj jest interesujący bogaty dział numizmatyczny p. Teofila

Rewolińskiego. Kiedyś błąkał się po pismach projekt ruchomych wystaw artystycznych na prowincyi. Może-by to było dobre, już nie mówimy jako czynnik, rozbudzający smak estetyczny w prowincyonalistach, co dotychczas spoczywa tylko na... wędrownych aktorach; ale kto wie, czy pod względem materyalnym nie zyskali-by na tém sami artyści-malarze i rzeźbiarze, których prace cierpią na coraz większy brak pokupu. Nieraz nam przychodziło na myśl pytanie: co się robi z temi obrazami, które, nie znalazłszy nabywców na wystawie, znikają ztamtąd? Niedawno kronikarz *Tygodnika Illustrowanego* rozwiązał tę zagadkę; jeżeli ona zawiera tyle prawdy, co humoru, to położenie znacznéj liczby naszych malarzy, nie należących do gwiazd pierwszéj wielkości, godném jest pożałowania. Pewnego razu kronikarz był świadkiem „podmalowywania“ obrazu historycznego w pracowni jednego ze znajomych. Gdy się robota nie udawała, artysta starł malowidło świeże, z pod którego zdumionemu świadkowi przedstawił się piękny krajobraz, a z pod tego znowu ukazała się jakaś główka i t. d. Artysta swoje dzieła niespieniężone zamienia na płótno dla nowego malowidła, usiłując stworzyć coś lepszego, coby przypadło do smaku jakiego mecenasa sztuki. Tak się przedstawia obecnie *posłannictwo* sztuki w związku z potrzebą zaspokojenia pierwszych potrzeb życiowych jéj wyznawców. Czy jednakże sami oni w znacznéj mierze nie są winni temu? Malarze nasi uważają za punkt honoru podpisywać jaknajwyższe ceny na swoich malowidłach, chociażby najmierniejszych, zapominając, że to odstręcza nawet bardzo zamożnych miłośników sztuki. Gdyby „taksa“, obecnie praktykowana, była przynajmniéj o dwie trzecie niższą, artyści niewątpliwie stworzyli-by większy niż dotąd pokup dla swych obrazów, nie potrzebując ich zbywać pokryjomu za bezcen antykwaryuszom. Podobno spółka malarzy tutejszych zamierza sprzedawać swe dzieła za pośrednictwem sali licytacyjnéj. Może na tém nieźle wyjdą i na przyszłość bardziéj się będą liczyli z rzeczywistością... Wszelkie jednak możliwe zastosowanie sposobów kupieckich do sztuki nie podźwignie ogółu malarzy. I w téj, jak we wszelkich innych profesyach „wyzwolonych“ i niewyzwolonych, jest zaledwie mała garstka wybranych w stosunku do powołanych. I tu rzemieślniczość i tandeta rozwinęły się na dobre. Takich ani wzbogaci, ani ozdobi laurami nawet sala licytacyjna.

Czesi stracili wybitnego przedstawiciela literatury swojéj — Jana Nerudę. Jego pełne werwy i życia feljetony w „Narodnich Listach“ były rozchwytywane i czytane przez cały naród. Obok publicystyki, uprawiał on niwę poezyi i nowelistyki; do pierwszéj wniósł pierwiastek większéj jędrności i siły, prozę oczyścił z naleciałości obcych,

wygładził ją i upiększył. Dowodem ogólnego uznania tego pisarza był uroczyście obchodzony jubileusz w r. 1884 trzydziestoletniéj pracy jego na niwie literackiéj, na który przybyli goście od nas i z Chorwacyi. Neruda probował sił także i w piśmiennictwie dramatycznem; pomimo jednakże zalet i oryginalności, wkrótce zaniechał pracy na tém polu, zniechęcony ostrą i bezwzględną krytyką.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— „Bibliografii Polskiéj“ Estreichera Tom XII (Zeszyty 1, 2 i 3) rozpoczynające w układzie abecadłowym opis bibliograficzny porządku druków z XV do XVIII stulecia, wyszedł z druku w Krakowie nakładem Akademii Umiejętności. Materyał, zawarty w 26 arkuszach druku, dochodzi od litery A zaledwie do Ba. Jest to trzecia część na wielką skalę podjętego wydawnictwa; a szło w niéj — jak sam autor w przedmowie zaznacza — nie o zwykłe spisywanie dostępnych mu druków, zastosowane w siedmiu tomach części pierwszéj, lecz o opis druków, z których zaledwie małą cząstkę mógł autor oglądać, a resztę wypadało opisywać na wiarę katalogów i źródeł sprzecznych, niepewnych, zniszczonych, co wymagało niemałego nakładu krytycznego badania.

— *Aleks. Kraushaar.* „Drobiazgi historyczne.“ T. II. Petersburg Księgarnia polska Br. Rymowicza. 1892.

Treść niniejszego tomu zawiera następujące szkice: „Marek Roverdil.“ „Obrazek Warszawy.“ „Wspomnienia trybunalskie.“ „Przygody Francuza Payen.“ „Notatki Anglika Morisona.“ „Maska żelazna.“ „Ramzes Baltazzani.“

— *Dr Aleksander Semkowicz.* „Walka o monarchię“, ustęp z dziejów Piastowskich (1288—1294). Lwów, 1891.

— *Lipiński Lucyan.* „Powszechna księga prawa prywatnego (kodeks cywilny) dla wszystkich dziedzicznych krajów monarchii austryackiéj.“ T. II. Część 2-ga. Lwów, 1891.

— *Stanisław Cieszkowski.* „Senatorowie ks. Warszawskiego i królestwa kongresowego“, przez... Warszawa, 1891.

— *Bogusławski Edward.* „Szkice Lito-Windyjskie. Teorya nazwisk na *ava.*“ Kraków, 1891.

— *Feliks Jeziorański.* „Ustawy hypoteczne i przepisy o zatwierdzaniu aktów notaryalnych, obowiązujące w Królestwie Polskiém.“ Część II. Ustawa sejmowa z r. 1818. Warszawa, 1892. Nakładem Kasy imienia Mianowskiego.

— *Henryk Struve.* „Sztuka i piękno“ studya estetyczne. (Sztuka i piękno. Objawy piękna. O twórczości. Piękno przyrody. Prawda i ideał. Sztuka dla sztuki. Indywidualizm w sztuce. Szpetne. Rysunek i barwa. Malowanie rzeźb. Wychowanie estetyczne. Kobieta. Teatr. Sztuka, religia i filozofia. Estetyka jako nauka. O krytyce.

— *Dr J. Sznabel.* „Zależność działania leków od ich budowy chemicznéj. Nowsze środki lekarskie.“ Zebrał i opracował... Warszawa. Druk Maryi Ziemkiewiczowéj. 1891. Odbitka z „Medycyny.“

— *Marya Weryho.* „Gimnastyka dla dzieci od 4-ch do 9-ciu lat“, przez... Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891.

Autorka, mając na uwadze dzieci, zmuszone niejako do spędzania czasu w pokoju, a jednak potrzebujące ruchu, wyłożyła elementarne zasady gimnastyki, połączonéj z rozmaitemi grami, o ile one mogą się zastosować do pokoju. Opisy gier, zabaw i ćwiczeń gimnastycznych, jakoteż ryciny, ułatwiające przystosowanie się do wskazówek autorki, czynią tę książeczkę nader pożyteczną dla każdéj rodziny.

— *Milewski Józef dr.* „Stosunek wartości złota do srebra.“ Odbitka z tomu XVI-go Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego. Kraków, 1891.

— *Szcześniak Władysław ks.* „Zapoznana prawda“ Kilka uwag dla ludzi dobréj woli, skreślił... 1891.

— „Encyklopedya handlowa“, wydana staraniem i nakładem Redakcyi „Gazety Handlowéj“ przy współudziale Redakcyi „Gazety Losowań.“ Warszawa, 1891.

Całość, wynosząca 67 arkuszy druku, składa się z dwóch części: pierwsza obejmuje historyę handlu, statystykę, zarys gospodarstwa skarbowego i narodowego, instytucye finansowe, komunikacye, geografię handlową i inne; druga zawiera rachunkowość handlową, buchalteryę, korespondencyę. W opracowaniu wzięły udział najlepsze siły umysłowe: Tadeusz Korzon, S. Dickstein, Witold Załęski, Kirszrot-Prawnicki i wielu innych.

— „Śpiewnik dla dzieci.“ Słowa Maryi Konopnickiéj, muzyka Zygmunta Noskowskiego. (Op. 34). Wydawnictwo Spółki nakładowéj. Warszawa, 1891.

— *Adam Krechowiecki.* „Szary wilk.“ Powieść historyczna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1891.

Autor przedstawia w téj powieści epokę Kazimierza W., malując dzieje Wincza z Szamotuł, Marka Borkowica, córki Wincza Marty, obrazami pełnemi grozy i dramatyczności.

— *Alfred Konar.* „Przed ślubem.“ Warszawa. Nakład S. Lewentala. 1891.

Jest to zbiorek, zawierający następujące nowele: „Przed ślubem.“ „Książka pana Andrzeja.“ „Nudna niedziela.“ „Na urlopie.“ „W wagonie.“ „Pani Leonowa.“ „Bal u mojéj teściowéj “ „Aurelka.“ „W cukierni.“ „U wód.“ „Podróż poślubna.“ Większa część tematów do nowel poczerpnięta z życia warszawskiego, które autor zna, malować lubi i posiada zawsze najwłaściwsze farby na swojéj palecie.

— Tegoż autora „Bankruci“ powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

— *Niedźwiedzki Zygmunt.* Nowelle. „Słońce.“ „Zaćmienia.“ „Posąg.“ „Życie.“ „Pies.“ „Nieszczęścia.“ „Muza.“ „Kłopot.“ „Wybór.“ „Matka.“ „Klucze.“ „Opiekunowie.“ „Kucyk.“ „Pulares.“ „Ojciec.“ „Pierwszy Maja.“ „Nowa era.“ Kraków, 1892.

— *Hulewicz Kazimierz.* „Obłęd zwątpienia“, poemat, przetłómaczył z francuskiego Czesław Skrzyżewski.

— *Jerzy Eliot.* „Wybór powieści.“ Oddział pierwszy. „Adam Bede“ przekład Waleryi Marenné. Wydanie „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj.“ Warszawa. 1891. Nakład i druk S. Lewentala.

Do powieści niniejszéj p. W. Marenné dała wstęp krytyczny, a raczéj rzut oka na szczegóły biograficzne autorki (Marya Anna

Ewans), jakotéż charakterystykę pobieżną głównych cech znamiennych artystycznych pisarza.

— „Wisła.“ T. V. Lipiec, Sierpień, Wrzesień. Warszawa. Skład główny w księgarni Arcta. 1891.

Tom niniejszy zawiera następujące artykuły: „Wieś Komarowicze w powiecie Mozyrskim“ (dokończenie) przez E. Jeleńską; „Kronika geograficzna“ przez Wacł. Nałkowskiego; „Gry i zabawy ludowe w Rościszewie“ przez R. Krzywicką; „Cepy“ przez M. Wawrzenieckiego; „Dwa zamawiania starożytne“ przez Rafała Lubicza; „Boginki-Mamuny“ przez M. Sumcowa; „Rozwój etnologii nowoczesnéj“ (d. c.) przez Tomasza Achelisa; „Z podań i wierzeń ludowych“ przez Stanisława Polaczka; „O lalkach“ przez Janinę Bogdanowiczównę. W dziale poszukiwań znajdujemy: „Lecznictwo ludowe“, „Przyczynki“ Pawła Plichty, Z. Wasilewskiego, Wiśniewskiego; „Kula“ R. Lubicza: „Chata“, przysłowia. „Zwierzęta i rośliny w pojęciach ludowych“ L. Czarkowskiego; „Nazwy topograficzne“ M. Wawrzenieckiego i in. „Piłkalnie.“ „Niecenie ognia.“ „Pisanki.“ „Żydzi na prowincyi.“ „Liście makowe.“ „Sobótka.“ Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące, gdzie się mieszczą krótkie sprawozdania z literatury etnograficznéj cudzoziemskiéj i własnéj, i in.

— Sierpniowy zeszyt lwowskiego „Przewodnika naukowego i literackiego“ zawiera: „Szkice geograficzne z Karpat“ Antoniego Rehmana: „Żywot i pisma ks. Stanisława Grochowskiego“ przez Adama Bełcikowskiego; „O obsadzeniu stolic biskupich w Polsce“ przez D-ra Zygmunta Lisiewicza; „Studya estetyczne—Rzeźbiarstwo“ przez D-ra Teofila Ziembę; „Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana“ 1830—1864: „Co znaczy Sicco“ studyum archeologiczno-literackie przez A. Maszyńskiego; „Przejażdżki po Wołyniu“ przez X.; „O organizacyi kościoła w Polsce do połowy XII w.“ przez D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego.

— *Ernest Legouvé.* „Szesnastoletnia uczennica, książka dla dorosłych panien“ przez... członka akademii francuskiéj. Przełożyła T. Prażmowska. Warszawa. Nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1892.

„Sprawa kształcenia kobiet—powiada autor—jest sprawą wygraną (we Francyi). Żądaliśmy dla dziewcząt nauki poważnéj—mamy ją; żądaliśmy wykładów publicznych—mamy je; żądaliśmy liceów—są już; upominaliśmy się o kobiety profesorki—i te mamy. Zwycięztwo więc nasze zdaje się być zupełném.“ To jednak autorowi téj

książki nie wystarcza. On pragnie, ażeby wychowanie dopomogło młodéj dziewczynie do zostania kobietą dobrą, przyjemną i szczęśliwą. Otóż w tym celu uważa za rzecz potrzebną kształcenie wewnętrznéj istoty kobiety, ujęcie w karby jéj wyobraźni, ukazanie celu — obowiązku względem najbliższego otoczenia. Z takich pobudek powstała książka niniejsza, na czytanie zasługująca bardzo; doświadczenie pisarza, bogactwo uwag, jasność i łatwość opowiadania czynią ją dostępną, łatwą i przyjemną.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.

Rozwój uniwersytetów angielskich w XIX wieku.

I.

Uniwersytety w Anglii do ostatnich prawie czasów zachowały swe średniowieczne urządzenia i średniowieczny charakter. W gruncie rzeczy były one przeważnie pewnym rodzajem seminaryów dla przygotowania duchowieństwa anglikańskiego, z których, w mniejszym już stopniu, korzystali także synowie rodzin szlacheckich. Z tego powodu uniwersytety te nosiły na sobie charakter, wogóle mówiąc, klerykalny i arystokratyczny. Dopiero w XIX wieku zaszła pod tym względem głęboka zmiana. Nie ulega wątpliwości, że w tymże czasie całe społeczeństwo angielskie uległo radykalnéj reformie; stało się demokratyczném, wolnomyślném. Reforma ta wszakże społeczeństwa nie mogła pozostać bez wpływu na uniwersytety, które także odpowiednio do tego musiały się przekształcić. Prawa z 1854 i 1868 r., tudzież regulamin z 1882 r., zadosyć uczyniły téj potrzebie. Reforma, przeprowadzona przez to prawodawstwo, była jednak tak ważną, tak do gruntu przerobiła wszystkie stosunki uniwersyteckie, że wpływ jéj nie mógł ograniczyć się tylko do życia wewnętrznego tych instytucyi. Reforma ta nietylko podniosła poziom uniwersyteckiego nauczania i uczenia się, nietylko rozszerzyła horyzont naukowy profesorów i studentów; wlała ona nowe życie, nowe siły w stare uniwersytety, natchnęła je nowym duchem, pobudziła do nowéj zupełnie działal-

ności, w nieznanych przedtém kierunkach. Zreformowane uniwersytety zrozumiały, że zadanie ich nie może się ograniczyć na dostarczeniu nauki, pewnéj, ograniczonéj tylko ilości studentów, że działalność ich winna być daleko szersza, że winny one oddziaływać na cały naród i wziąć na siebie kierunek jego rozwoju umysłowego. Z pojęcia tego powstało t. zw. *University extension*, rozszerzenie się uniwersytetów, które, zdaje się, wywrze wpływ na rozwój nietylko angielskich, ale i kontynentalnych uniwersytetów, stanie się bardziéj ogólném.

Myśl, że uniwersytety nie mogą poprzestać na poprzedniéj swojéj działalności, ograniczonéj tylko ich murami, że działalność ich winna, że się tak wyrażę, wylać na zewnątrz, zaczęła kiełkować prawie z początkiem uniwersyteckiéj reformy w 1850 r. Już wtedy w komisyi, mianowanéj do zreformowania uniwersytetu Oxfordzkiego, dały się słyszéć głosy, dowodzące, że uniwersytety winny rozciągnąć swą działalność na cały naród, nie tylko na pewne jego klasy, i że powinny stać się wspólném źródłem wyższego wykształcenia dla całego narodu. [1]) Myśl ta musiała nabrać nowéj siły, kiedy reforma została już przeprowadzona, a zbawienne jéj skutki zaczęły się objawiać na samych uniwersytetach. I wtedy jednak uniwersytety nie były pewne kierunku, w którym miały zwrócić swoją działalność.

Pierwszą próbę rozszerzenia swéj działalności uniwersytety zrobiły przez zaprowadzenie egzaminów dla średnich zakładów naukowych w 1858 r. Potrzeba takich egzaminów dawała się czuć z tego powodu, że w Anglii średnie zakłady naukowe, t. zw. *grammar schools*, utrzymywane przez osoby prywatne, nie ulegały żadnemu nadzorowi ze strony państwa, jak to ma miejsce na stałym lądzie Europy. Wskutek tego nie było środka do przekonania się, czy zakłady te były dobremi, czy zapewniały swoim uczniom odpowiednią korzyść naukową. Z drugiéj strony kwestya egzaminów w tych zakładach naukowych była rzeczą nadzwyczaj ważną dla samych uniwersytetów, one bowiem głównie dostarczały im studentów. Im lepiéj więc uczniowie ich byli przygotowani, tém z większą korzyścią mogli studyować w uniwersytecie, tém większy pożytek ten ostatni zakład mógł przynieść krajowi i społeczeństwu. Dlatego uniwersytet Oxfordzki i Kembrydzki utworzyły wspólną komisyę, *Oxford and Cambridge Schools Examination Board*, złożoną z profesorów uniwersytetów, i za pomocą swoich delegatów egzamina takie odbywającą

---

[1]) H. J. Mackinder and Michael. E. Sadler. „University Extension. Has it a future?“ Oxford, 1890, str. 48. Roberts. Eighteen Years of University Extension. London. 1891.

w szkołach, które dobrowolnie rygorowi temu się poddały. Później zaprowadzone zostały egzamina i dla innych osób, np. dla kształcących się na nauczycieli domowych lub nauczycielek i t. p. [1])

Nie ulega wątpliwości, że egzamina te okazały się nader pożytecznemi, nie ograniczając bowiem oddzielnych szkół w ułożeniu rozkładu nauk, jaki uważały za najodpowiedniejszy, przez ustanowienie jednakowego planu egzaminacyjnego, jednostajnych wymagań, wywarły zbawienny wpływ na podniesienie w nich nauk, w celu zadosyćuczynienia tym warunkom. Szkoły, których wychowańcy okazali się gorzéj przygotowanymi, miały zwróconą uwagę na wadliwe strony swego urządzenia, a wskutek tego były pobudzone do ich usunięcia. Wogóle, od chwili zaprowadzenia tych egzaminów, rezultaty nauczania okazały się daleko lepszemi w szkołach, które się im poddały.

Było to jednak pierwszą tylko próbą rozszerzenia działalności uniwersytetów, na któréj instytucye te nie mogły się zatrzymać. Działalność ta musiała przybrać daleko szersze rozmiary. Widocznem było, że uniwersytety nie mogły poprzestać na pewnych ulepszeniach za pomocą egzaminów, lecz że musiały z natury rzeczy wystąpić z silniejszą inicyatywą w sprawie samego nauczania. Zmuszał je do tego ten ożywiony ruch umysłowy w Anglii, jaki spostrzedz można było na kilka lat przed 1870 r., kiedy zewsząd podniosło się ogólne żądanie oświaty, wiedzy, kiedy wyższe wykształcenie kobiet zrobiło już znaczne postępy i kiedy zawrzała namiętna walka o prawo z 1870 r. o wykształceniu elementarném. Jak tylko uniwersytety poczuły swój obowiązek pod tym względem, odkryła się przed niemi nowa, nieznana przedtém zupełnie droga, nowy kierunek i pole działalności naukowéj. Działalność ta, znana w Anglii pod nazwą *University Extension*, rozszerzenia uniwersytetów, w krótkim czasie przybrała ogromne rozmiary, bo odpowiedziała prawdziwemu powołaniu uniwersytetu, jako karmiciela i kierownika oświaty w narodzie. Działalność ta jest nadzwyczajnéj doniosłości, gdyż, zdaniem naszém, powołana jest do odegrania znakomitéj roli nietylko w rozwoju uniwersytetów angielskich, ale w rozwoju instytucyi tych wogóle, do wywarcia niezmiernego wpływu nietylko na wyższe, uniwersyteckie wykształcenie, ale i na kulturę narodów wogóle. Dla tego szczegółowe zbadanie jéj i ocenienie przedstawia szczególny interes dla każdego, kto się interesuje wyższém wykształceniem narodu wogóle.

---

[1]) Mc. Murry. „Die organisation des höheren Schulwesens in den Vereinigten Staaten Amerikas und in England.“ 1888, str. 79.

II.

Pierwszy krok, jaki uniwersytety zrobiły na drodze *University Extension*, zawdzięczać należy energii oxfordskiego profesora, James'a Stuarta. Stało się to w ten sposób, że w 1867 r. pewne stowarzyszenie dam i nauczycielek na północy Anglii zażądało od niego odczytu z dziedziny pedagogiki. Na żądanie to profesor odpowiedział, że jednego odczytu mieć nie może, jeżeli jednak dogadzało-by to towarzystwu, w takim razie mógłby mieć ośm odczytów na obrany przez siebie temat, np. z astronomii. [1]) Odpowiedź ta wypływała z przekonania, że za pomocą jednego odczytu nie można dojść do żadnych poważnych rezultatów, że, jeżeli nauczanie ma przynieść jakąś korzyść, powinno być systematyczne, a wskutek tego musi być zamknięte w pewnym kursie, składającym się z kilku, co najmniéj, odczytów. Niepodobna zaprzeczyć słuszności tego przekonania. Jak bowiem profesor, wykładający, nie może dać dokładnego wybrażenia o pewnéj nauce w ciągu jednéj godziny, tak z drugiéj strony słuchacze nie mogą wynieść wielkiego pożytku z jednéj lekcyi, choćby z talentem i znajomością rzeczy wypowiedzianéj. Rzeczywiście i przedtém były urządzane publiczne odczyty, nietylko w Anglii, ale i w innych krajach, a jednak jak mało korzyści przyniosły. Można powiedzieć, że główny ich cel był chybiony. Służyły one za przyjemne niekiedy przepędzenie czasu, zaspokoiły do pewnego stopnia ciekawość, ale nie zdołały ani obudzić w słuchaczach zainteresowania się poważnemi kwestyami, ani podtrzymać w nich przez dłuższy czas tego interesu. Profesor Stuart wiedział, że dotychczasowy systemat, jakiego się trzymały *Mechanics Institutes* i różne stowarzyszenia literackie, polegający na tém, że każdy lektor miał jeden odczyt o przedmiocie, bez żadnego związku z innemi, do niczego nie prowadził i że powinien był być zmienionym.

Profesor Stuart miał swoje odczyty w jesieni 1867 r. w Leeds, Manchester, Liverpool i Scheffield. Na odczytach tych bywały tylko kobiety, które tym sposobem dały pierwszy popęd do rozszerzenia uniwersyteckiego nauczania. Te pierwsze kursa profesora Stuarta były ważne nietylko z tego względu, że były początkiem rozszerze-

[1]) Mackinder and Sadler. l. c. str. 61. „Inaugural Adress delivered by Professor Stuart at the second Summer Meeting of University Extension students," Oxford July 30, 1889, w „Report of the Second Summer Meeting held in Oxford," August 1889.

nia działalności uniwersytetów, ale i z tego, że już wtedy okazały się pewne cechy charakterystyczne tego nauczania, które dotąd się utrzymały i które stanowią jego zaletę. Pierwszą był tak zwany *syllabus*, konspekt; drugą *weekly exercises*, tygodniowe wypracowania.

Sylabus, zaprowadzony przez prof. Stuarta, zawierał w sobie krótki konspekt z przyszłego odczytu, wskazujący główne, iż się tak wyrażę, tezy profesora, które następnie były przez niego szczegółowo rozbierane w czasie odczytu. Sylabus taki był nadzwyczaj dogodnym dla słuchaczy, bo ukazywał im zawczasu główne linie wytyczne, po których miała iść myśl profesora, a zarazem uwalniał ich od robienia notatek, przez co pozwalał skupić całą uwagę na ustnym wykładzie. Według Stuarta, sylabus taki winien być ułożony starannie, gdyż, jak doświadczenie przekonało, najlepszymi lektorami byli ci, którzy go ze starannością ułożyli.

Co się tyczy tygodniowych wypracowań, prof. Stuart sądził, że było-by korzystnie przekonać się po każdym odczycie, czy słuchacze odnieśli z niego pożytek. Dlatego po każdym odczycie zadawał kilka kwestyi z przedmiotu, o którym mówił, słuchacze zaś nadsyłali mu, nawet pocztą, krótkie wypracowania. Po poprawieniu ich, profesor zwracał je w czasie następnego odczytu. Z początku myślał, że otrzyma niewiele takich wypracowań, że słuchaczom, nieprzyzwyczajonym do tego rodzaju pracy, nie będzie się chciało ich robić. Pierwsza jednak próba przekonała go o mylności tego zdania: zamiast kilku lub kilkunastu, otrzymał ich 300. Od tego czasu tygodniowe wypracowania stanowią niezbędną składową część *University Extension* nauczania. Są zaś niezmiernie korzystnemi, nietylko ze stanowiska słuchaczy, którzy w ten sposób przyuczają się do samodzielnego myślenia i wyrażania swoich myśli na piśmie, ale i ze stanowiska lektorów, wskazując im słabe strony ich wykładów, niedokładności lub niejasności, których się dopuścili.

Po pierwszych odczytach profesora Stuarta nastąpiło wiele innych, do których byli zapraszani inni lektorowie. Sam profesor Stuart wkrótce potém urządził szereg odczytów na żądanie robotników kolejowych w Crewe, powodzenie zaś ich przekonało go, że wyższego wykształcenia pragną nietylko klasy wyższe, wykształcone, ale i robotnicy, pracujący fizycznie, że i między tymi ludźmi, uważanymi dotychczas za nieokrzesanych, było wielu, zdolnych do przyjęcia wyższéj kultury. Do tegoż samego wniosku przyszedł z odczytów, urządzonych dla członków znanego Stowarzyszenia spożywczego w Rochdale, *Equitable Pioneers' Society*.

W Rochdale profesor Stuart pierwszy raz wpadł na myśl urządzenia tak zwanéj klasy, *class*, która odtąd także stała się charakte-

rystyczną składową częścią tego nauczania. Klasa polegała na tém, że lektor po właściwym odczycie pozostawał jeszcze na następną godzinę, w czasie któréj ze słuchaczami, którzy sobie tego życzyli i dlatego pozostali, miał bliższe wyjaśnienia. Słuchacze zadawali mu zapytania, żądali wskazówek do bardziéj szczegółowego zbadania poruszonych przez niego kwestyi i t. p. Klasa opierała się na tém słusznem spostrzeżeniu, że lektorowie mają do czynienia z dwojakiego rodzaju słuchaczami. Najprzód z takimi słuchaczami popularnych odczytów, którzy poprzestają na tych wiadomościach, o których się dowiedzieli z odczytu; a następnie z takimi, którzy chcą głębiéj zbadać pewien przedmiot i dlatego chcą wypełnić własną pracą naukową przerwę między jednym i drugim odczytem. Od tego czasu przed lub po odczycie zawsze odbywa się t. zw. klasa, to jest praktyczne zajęcia ze słuchaczami.

Wszystkie kursa jednak, czy urządzone przez prof. Stuarta, czy przez innych lektorów, nie miały jeszcze wtedy zapewnionéj stałéj egzystencyi, pojawiały się peryodycznie, nie były stałém urządzeniem. Trudno nawet było znaléźć należycie uzdolnionych lektorów, dlatego, że odczyty te nie przedstawiały im możności otrzymania stałego zajęcia. Koniecznem więc było całą tę sprawę bardziéj usystematyzować, jeżeli nauczanie to miało się rozwinąć i przynieść odpowiedni pożytek. Dlatego prof. Stuart proponował utworzenie jakiegoś stałego centralnego komitetu, który układał-by się z lektorami za stałe wynagrodzenie, a następnie podnajmował ich, że się tak wyrażę, miejscowym komitetom, zajmującym się urządzaniem odczytów. Projekt ten wszakże nie przyszedł do skutku, raz z powodu, że przedsiębiorstwo takie stało-by się czysto przemysłowém, drugi raz dlatego, że komitet, zarządzający niém, nie miał-by dostatecznéj powagi i uroku, potrzebnych do przeprowadzenia tak ważnéj sprawy.

Z tego właśnie powodu powstało pytanie, czy uniwersytety nie powinny wziąć na siebie obowiązku dostarczania lektorów, kierunku w nauczaniu, tak, jak poprzednio wzięły na siebie obowiązek dostarczania egzaminatorów w *local examinations*. Zdawało się nawet, że uniwersytetom było-by łatwiéj, niż wszelkiéj innéj instytucyi, zająć się tém, gdyż miały one już odpowiednich ludzi, cały aparat naukowy i potrzebny urok.

Z tego powodu prof. Stuart wystosował w 1871 r. list do uniwersytetu kembrydzkiego [1]), w którym domagał się, aby uniwersytet ten zajął się tak ważną sprawą. W liście tym mówił, że potrzeba

[1]) „A letter on Uniwersity Extension, adressed to the Resident Members of the University of Cambridge, by James Stuart.“ Cambridge. 1871.

wyższego wykształcenia została dowiedziona w całym kraju, i że uniwersytety winny się starać o zaspokojenie jéj, jeżeli chcą utrzymać to poszanowanie, które sobie zdobyły, i wywierać pożyteczny wpływ na oświatę narodową. Uniwersytety, mówił on, są instytucyą narodową, winny więc starać się o poparcie systematu wykształcenia, obiecującego tyle pożytku dla całego narodu. Uniwersytety, dozwalając uczęszczać na swoje wykłady studentom przychodnim, *non collegiate*, zrobiły wielki krok naprzód na drodze uprzystępnienia wyższego wykształcenia dla wszystkich klas narodu. Pomimo to, nie wszystkie klasy mogą z tego korzystać, gdyż nie wszyscy mogą poświęcić, z braku czasu i środków, kilka lat życia ciągłym naukowym zajęciom. I pomiędzy takimi wszakże wielu pragnie systematycznego wyższego wykształcenia. Prof. Stuart wykazywał daléj, że żywe zainteresowanie się całego narodu kwestyą wykształcenia doprowadziło do tak ważnego prawa z 1870 r. o wykształceniu elementarném. Temu rozbudzonemu życiu umysłowemu należy przypisać i pragnienie wyższego wykształcenia. Jeżeli prawo z 1870 r. zasieje ziarna wykształcenia w narodzie, przyszłe pokolenie wyrośnie z nowemi ideałami życia i nowemi potrzebami wiedzy. Te nowe potrzeby winny być zaspokojone, jeżeli wykształcenie nie ma się stać niebezpieczném. Wykształcenie nie może się kończyć ze szkołą elementarną, nie można go téż osiągnąć za pomocą oderwanych, luźnych, bez związku jeden z drugim, odczytów. Dlatego prof. Stuart domagał się, aby uniwersytety wzięły na siebie całą tę sprawę i pokierowały nią dla dobra ogólnego całego narodu.

List ten prof. Stuarta wywołał całą masę broszur i memoryałów. W celu rozpatrzenia ich uniwersytet kembrydzki mianował w 1872 r. syndykat, który prócz tego przeprowadził systematyczne śledztwo co do potrzeby urządzenia przez uniwersytet systematycznych kursów w miastach prowincyonalnych. W następnym roku syndykat ten złożył raport, w którym oświadczał się na korzyść przyjęcia, przynajmniéj tytułem próby, na jeden rok, przez uniwersytet kierownictwa ruchem, mającym na celu dostarczenie wyższego wykształcenia wszystkim klasom narodu. Zastrzegł tylko, żeby środki pieniężne były dostarczone przez instytucye, osoby lub miasta, chcące urządzić takie odczyty. Wnioski syndykatu były przyjęte przez władze uniwersyteckie. Tym sposobem rozszerzenie uniwersytetu, *University Extension*, stało się faktem, urzędownie przyznanym przez uniwersytet kembrydzki.

Wkrótce potém i pozostałe dwa uniwersytety, mianowicie londyński i oxfordzki, przyłączyły się do ruchu, mającego na celu rozszerzenie nauczania uniwersyteckiego. Stało się to w ten sposób, że

w 1876 r. utworzyło się w Londynie, pod prezydencyą Goschena, towarzystwo, mające na celu rozszerzenie oświaty narodowéj, trzy zaś wyżéj wymienione uniwersytety zgodziły się na utworzenie w Londynie, za pomocą swoich przedstawicieli, centralnego komitetu, *Joint Board*, który miał współdziałać z zarządem tego towarzystwa we wszystkich kwestyach, odnoszących się do rozszerzenia uniwersyteckiego wykształcenia. Wreszcie uniwersytet oxfordzki zajął się bezpośrednio tą sprawą w 1877 r. W tym roku utworzona była przy tym uniwersytecie delegacya, mająca uzupełnić systemat egzaminowania przez uniwersytet, za pomocą odczytów, przez niego urządzanych. Od tego czasu jednak uniwersytet ten stanął, można powiedzieć, na czele ruchu, mającego na celu dostarczyć wyższego wykształcenia wszystkim klasom narodu.

W tym czasie jednak nastąpił pewien zastój w dotychczasowym żywym rozwoju uniwersyteckiego nauczania, *University Extension*. Główną przyczyną tego były trudności pieniężne. Większe miasta nie obawiały się deficytu, licząc zawsze z pewnością na sprzedaż biletów wejścia i dlatego urządzały pełne kursa, składające się z 10—12 odczytów. W mniejszych miastach kółka inteligentniejsze cofały się przed tém przedsięwzięciem, z obawy deficytu. To samo zdarzało się i w większych miastach, ale w uboższych dzielnicach. Dla przezwyciężenia téj trudności jednak, nie można było zmniejszyć wynagrodzenia lektorów, gdyż wskutek tego można-by zniżyć wartość wewnętrzną odczytów. Dlatego uniwersytet oxfordzki zaczął stosować systemat tak zwanych krótkich kursów, po sześć tylko odczytów. Tym sposobem można było zmniejszyć koszta urządzenia kursów o połowę i uczynić je dostępnemi nawet dla takich miejscowości, które poprzednio, z obawy znacznych kosztów i możliwego deficytu, myśléć o nich nie mogły. Systemat krótkich kursów, przyjęty przez uniwersytet oxfordzki w 1885 r., stanowi dotychczas charakterystyczną cechę działalności tego uniwersytetu, tak, jak dłuższe kursa pozostały właściwością uniwersytetu kembrydzkiego.

W następnym rozwoju *University Extension* powstało jeszcze kilka innych charakterystycznych jego cech, które jeszcze bardziéj rozszerzyły jego działalność i podniosły wartość.

Pierwszém było zaprowadzenie w 1885 r. przenośnych bibliotek, *travelling libraries*. Potrzeba ich dała się czuć z tego powodu, że wielu słuchaczy tych kursów chciało czytać dzieła, odnoszące się do nich, ale nie mogli tego uczynić dla braku odpowiednich książek. Chcąc zaspokoić tę potrzebę, uniwersytet oxfordzki wprowadził zwyczaj, że lektor, udając się na miejsce odczytów, zabierał z sobą pe-

wną ilość książek, odnoszących się do jego przedmiotu, z których słuchacze w przeciągu pewnego czasu mogli korzystać.

Niemniéj ważnemi były letnie zebrania, *Summer meetings*. Początek ich był zrobiony także w 1885 r. w ten sposób, że kilku odznaczającym się słuchaczom takich kursów dostarczono, tytułem nagrody, środków na przebywanie przez jakiś czas, letnią porą, w Cambridge. Tym sposobem chciano skorzystać z tych profesorów uniwersytetu, którzy pozostawali na miejscu przez wakacye, a w zwyklym czasie nie mogli wziąć udziału w *University Extension*, z powodu swoich bezpośrednich obowiązków w uniwersytecie. Drugą pożyteczną stroną tego urządzenia było to, że słuchacze mogli korzystać przez jakiś czas z muzeów, bibliotek i innych zbiorów i pomocy naukowych uniwersytetu. Wreszcie urządzenie to wprowadzało do *University Extension* warunek, którego mu dotychczas brakowało, mianowicie stałą rezydencyę. Myśl o letnich zebraniach była szczególniéj popierana przez uniwersytet oxfordzki, w którym już przedtém były urządzane podobne zebrania nauczycieli szkół elementarnych, które okazały się bardzo pożytecznemi. Wskutek tego pierwsze takie zebranie słuchaczy *University Extension* odbyło się w Sierpniu 1888 r. w Oxfordzie. Potém było zebranie w témże mieście 1889 r., w Sierpniu zaś 1890 r. zebrania takie odbyły się już nietylko w Oxfordzie, ale i w Cambridge.

Zwrócono także uwagę i na tę okoliczność, że umysłowe podniecenie w miejscowościach, w których były urządzone kursa, zwykle słabło w przerwach między niemi, mianowicie latem. Dla podtrzymania tego umysłowego życia były utworzone, za inicyatywą Moultona, kilka lat temu, stowarzyszenia słuchaczy takich kursów, *Students Associations*, najprzód w miastach, zostających w związku z uniwersytetem kembrydzkim, a późniéj i w innych. Z początku myśl utworzenia takich stowarzyszeń spotykała pewne trudności w urzeczywistnieniu, w końcu wszakże przyjęła się i okazała pożyteczną. W 1889/90 r. utworzyło się takich stowarzyszeń 36 w miastach, zależących od uniwersytetu oxfordzkiego. Obecnie istnienie takiego stowarzyszenia uważa się za pewną oznakę, że kursa przynoszą należyty pożytek. Celem ich jest utrzymanie związku między uczącymi się, wyrobienie w nich pewnego *ésprit de corps*, przygotowanie do kursów następnéj zimy, rozprawy nad niemi wtedy, kiedy się odbywają, studyowanie kwestyi, wynikłych w czasie odczytów, urządzanie naukowych i historycznych wycieczek w czasie lata.

Do tego samego dążą tak zwane *Home reading circles*, kółka do czytania razem książek po domach. Zasadniczą myślą utworzenia takich kółek było połączenie słuchaczy kursów, urządzanych przez

uniwersytety, w celu wspólnego czytania dzieł naukowych pewnéj treści, pod kierunkiem bardziéj obznajomionego z przedmiotem człowieka, w czasie, kiedy nie było kursów. Członkowie takich kółek, po przeczytaniu książki, zwykli nadsyłać swemu kierownikowi, *leader of the circle*, małe piśmienne wypracowania. Zdaje się, że i to urządzenie może się przyczynić do rozbudzenia życia umysłowego i zajęcia w narodzie. Pod tym względem można tytułem przykładu powołać się na towarzystwo *National Home Reading Union*, które, niezależnie zupełnie od uniwersytetów, dążyło do tegoż celu. Towarzystwo to, jakkolwiek z początku szło mu bardzo opornie, w ostatnich czasach liczyło wszakże przeszło 7,000 członków. [1])

W taki sposób rozwijał się powoli ruch, nazwany w Anglii *University Extension*, rozszerzeniem uniwersytetów. Z początku nie można było nawet przewidywać, że ruch ten dojdzie do tego stanu, w jakim się obecnie znajduje; obecny zaś stan jest taki, że, sądząc po nim, można przewidywać dalszy, bezgraniczny, że się tak wyrazimy, rozwój. Jak potężny dąb wyrasta z niepokaźnéj żołędzi a potém pokrywa swoim cieniem ogromne przestrzenie, tak i rozszerzenie nauczania uniwersyteckiego miało nader słabe i nieznaczne początki. Rozszerzenie korzyści wykształcenia uniwersyteckiego do tych klas ludności, które dawniéj były z niego wyłączone, doprowadziło z kolei rzeczy do rozszerzenia ich i do wszystkich klas narodu. Urządzanie powolne całego aparatu organów dla miejscowych egzaminów doprowadziło w naturalnym biegu rzeczy do urządzenia przez uniwersytet miejscowych odczytów. Jedna reforma lub ulepszenie prowadziły koniecznie do innych. Inaczéj zresztą być nie mogło, gdyż im więcéj naród odczuwał potrzebę wykształcenia, cenił je i starał się o nie, tém więcéj uniwersytety, jako przedstawiciele najwyższego wykształcenia i nauki w kraju, musiały się starać o zaspokojenie téj potrzeby, pod grozą utraty przewodniczenia umysłowego krajowi na drodze oświaty, wykształcenia. Była to pochyłość, na któréj uniwersytety utrzymać się nie mogły.

Przypatrzmy się obecnie bardziéj szczegółowo temu *University Extension*.

III.

University Extension, jak można było widzieć z powyższego, musiało doprowadzić nietylko do utworzenia pewnych organów lub

[1]) Mackinder and Sadler, l. c. str. 27.

urządzeń, funkcyonujących na miejscu odczytów, ale także pewnych organów centralnych przy uniwersytetach, które-by kierowały czynnościami pierwszych, układały się z lektorami, wysyłały ich, a także starały się o urządzenie odpowiednich egzaminów.

Zobaczmy najprzód, jak całe to urządzenie wygląda na miejscu.

Najprzód zwrócić należy uwagę na tworzenie się miejscowych kółek, t. zw. *centres*. Kółka te zwykle tworzą się w ten sposób, że jeżeli w pewnéj miejscowości ludzie dobréj woli, pragnący poprzéć wykształcenie narodu, uważają za potrzebne urządzić takie kursa przy pomocy uniwersytetu, wtedy zbierają się u jednego z pośród siebie w celu omówienia prywatnie całéj sprawy. Następnie na ich żądanie Mayor zwołuje publiczne zgromadzenie, *meeting*. Zgromadzenie to, w razie przyjęcia projektu, podanego przez pierwotnych inicyatorów, wybiera komitet zarządzający, *local committee*, i sekretarza, któremu oznacza stałe wynagrodzenie, a także uchwala inne rozporządzenia, w miarę potrzeby. Komitet, zwykle drogą podpisów, subskrypcyi, zbiera listę osób, biorących na siebie odpowiedzialność za koszta. Innym razem kursa takie urządzają nie osoby prywatne, ale jakaś instytucya lub towarzystwo, już istniejące, jak np.: Mechanic's Institutes, towarzystwa naukowe lub literackie, szkoły techniczne, miejscowe, kolejowe, szkoła dla przygotowania nauczycieli elementarnych, biblioteka publiczna lub inna t. p. Niekiedy nawet jakiś zamożny człowiek, w celu poparcia oświaty narodowéj, urządza takie kursa, biorąc na siebie odpowiedzialność za niedobór w kosztach. W każdym razie najważniejszemi organami w miejscowym zarządzie są: miejscowy komitet i sekretarz jego, utrzymujący bezpośrednie stosunki z uniwersytetem. Praktyczny zmysł Anglików doprowadził do tego, że osoby prywatne, chcące poprzéć takie kursa, mają dostarczane sobie praktyczne wskazówki, jak należy postąpić w każdym szczególe, w każdym pojedyńczym wypadku. Takie wskazówki zostały ogłoszone nietylko przez osoby prywatne [1]), ale i przez uniwersytety. [2]) Według tych wskazówek, w komitecie miejscowym winni znajdować się przedstawiciele wszystkich klas ludności miasta i jego okręgu. Dlatego winni wziąć w nim udział członkowie rady miejskiéj, duchowieństwa, kierujący zakładami naukowemi, zarządzający towarzystwami lub spółkami robotniczemi i inni. Wielką wagę przywiązują téż do tego, ażeby kobiety uczestniczyły także w komitetach, które,

---

[1]) Do takich należy: Moultona. „The University Extension Movement.“ London

[2]) Tak np. uniwersytet oxfordzki wydał: „Instructions and suggestions for the use of the Local Committees and of others engaged in the organisation of University Extension Teaching.“ Oxford. 1890.

jak doświadczenie okazało, mogą oddać wielkie usługi jako sekretarze, a także stanowią znaczną część słuchaczy. W saméj rzeczy, jeżeli zajrzéć do programu tych kursów, wydanego przez uniwersytet oxfordzki na rok 1890/91, można się przekonać, że na 187 komitetów lokalnych, zależnych od tego uniwersytetu, w 72 sekretarzami były kobiety, z których 15 zamężnych, a 57 panien. [1]) W każdym razie wszyscy się zgadzają, iż w założeniu komitetu starannie należy unikać nadania mu jakiegoś szczególnego, politycznego lub religijnego, kolorytu. Zaletą bowiem i jedną z przyczyn rozwoju tego urządzenia jest właśnie zupełna jego niezależność od wszelkich wyznaniowych lub politycznych celów. [2])

Komitet stanowi, jaki kurs lub jakie kursa mają być czytane. Sekretarz znosi się piśmiennie z jednym z uniwersytetów co do przysłania na oznaczony termin lektora, i jeżeli lektor ten w owym czasie jest wolny, naznacza stanowczy termin odczytów i robi o tém potrzebne ogłoszenia. Kursa takie trwają zwykle od końca Września do Kwietnia, podzielone zaś są na dwie połowy świętami Bożego Narodzenia. Każdy z tych semestrów, *term*, liczy zwykle 13 tygodni, z których 12 przeznaczone są na odczyty, ostatni zaś na egzamina, jeżeli one w pewném miejscu są zaprowadzone. Kursa mogą być rozmaite, głównie zaś można je podzielić na trzy grupy, mianowicie: z literatury i historyi, z nauk przyrodniczych i matematyki (*science*) i z sztuk pięknych. Odczytów bywa od 6—12 w ciągu semestru.

Co do tego ostatniego, zauważyliśmy już wyżéj, że uniwersytet oxfordzki trzyma się zasady krótkich kursów, — jeden odczyt co dwa tygodnie; przeciwnie uniwersytet kembrydzki i londyński urządzają kursa, składające się zwykle z 12-tu odczytów, — jeden co tydzień. I pierwszy jednak uniwersytet urządza dłuższe kursa, a ostatnie krótsze. Pierwszy uniwersytet wydawał świadectwa, o których niżéj mowa, na podstawie egzaminu z kursów, mających przynajmniéj sześć odczytów, a ostatnie tylko z kursów o 11 albo 12 odczytach. Z tego powodu zawiązał się spór między stronnikami krótkich i długich kursów.

Stronnicy ostatnich twierdzili, że praktyka uniwersytetu oxfordzkiego jest niebezpieczna, gdyż może zmniejszyć wartość świadectwa, wydawanego poprzednio na podstawie wysłuchania kursu, składającego się z 12 odczytów. Twierdzili także, że wiele komitetów będzie

---

[1]) „University of Oxford. University Extension Lectures.“ November 1890.

[2]) „One of the strong points of the movement is its freedom from political or sectarian colour.“ Moulton: „The University Extension Movement.“ London, str. 15 i 28.

dawało, w celu zmniejszenia kosztów, tylko kursa z sześciu odczytów, wskutek zaś tego nauczanie wogóle straci na wartości. Z drugiéj strony stronnicy systematu, przyjętego przez uniwersytet oxfordzki, utrzymywali, że wiele mniejszych miast było odstraszonych od urządzenia odczytów wogóle, przez obawę znaczniejszych kosztów, połączonych z dłuższemi kursami. Tak samo wiele związków i stowarzyszeń robotniczych odstępowało od tego zamiaru, jako przechodzącego ich siły i środki. Dlatego zmniejszenie kosztów we wszystkich podobnych wypadkach było rzeczą największéj wagi. Stronnicy krótkich kursów powoływali się i na to, że z powodu znaczniejszych kosztów, połączonych z 12-godzinnemi kursami, w wielu miejscach odczyty wogóle były zawieszone, w innych zaś inicyatorowie byli narażeni na straty, a wskutek tego i zniechęceni do całego przedsięwzięcia. Utrzymywali także, że nadzwyczaj ważném było robić próby z krótszemi kursami w takich miejscowościach, w których dłuższe się nie udały, ażeby pobudzić te miejscowości do nowych ofiar, nowych usiłowań. Tém bardziéj należało to uczynić, gdyż można się było na pewno spodziewać, że takie miejscowości nie poprzestaną na krótszym kursie, jak tylko będą mogły urządzić pełny kurs, z większą ilością godzin.

Utrzymywano téż, iż jeżeli urządzane są krótsze kursa, w takim razie nie należy słuchaczy ich dopuścić do egzaminów. Na to stronnicy oxfordzkiego systematu przytaczali, że celem *University Extension* jest dostarczenie pewnego systematycznego wykształcenia dorosłym. Jeżeli jednak słuchacze nie będą mieli przed sobą w końcu pewnego egzaminu, w takim razie może to pociągnąć za sobą zgubne następstwa, mianowicie: nieregularne uczęszczanie na odczyty, brak owéj systematyczności, niedbalstwo w przygotowaniu tygodniowych piśmiennych wypracowań. Wskutek tego wartość pracy ich zniżyłaby się pod względem jakościowym, a odczyty nie osiągnęły-by jednego z głównych swoich celów. Stronnicy tego systematu wogóle twierdzili, że mniéj powinno iść o mniejszą lub większą liczbę godzin, niż o rozbudzenie umysłowego zainteresowania się i życia. [1])

Obecnie spór co do tego należy uważać za skończony. Okazało się, że oxfordzki systemat przyłożył się znakomicie do powiększenia ilości miast, w których odbywały się odczyty, nie wyrządzając przez to bynajmniéj niebezpiecznéj konkurencyi uniwersytetom kembrydzkiemu i londyńskiemu, których działalność pomimo to wzrastała

[1]) The essential thing is that intellectual interest should be aroused, not that a particular number of Lectures should be given. „Instructions and suggestions" l. c. str. 10.

i rozwijała się. Okazało się też, że miejscowości, zostające w związku z uniwersytetem oxfordzkim, o ile można starały się o przedłużenie kursów i dawanie 12 odczytów. W każdym razie w oxfordzkich regulaminach na 1890 r. była zaprowadzona zmiana, która zadowolniła wszystkie stronnictwa. Zmiana ta polegała na tém, że i z oxfordzkich kursów formalne świadectwo ma być udzielane tylko z 12-tu odczytów, słuchacze zaś krótszych kursów będą mogli otrzymać tylko drukowane zaświadczenie od egzaminatora o rezultacie egzaminu. [1])

W ostatnich czasach do dwóch semestrów, w czasie których odbywały się odczyty, zaczęto dodawać jeszcze trzeci, od Kwietnia do początków Lipca. Pierwotnie urządzano odczyty tylko zimową porą, w przypuszczeniu, że w długie zimowe wieczory najłatwiéj zebrać słuchaczy, że publiczność wiosną i latem nie będzie uczęszczała na wykłady. Przekonano się jednak o mylności tego przypuszczenia. *London Report* z 1889 r. wykazuje już, że uniwersytet ten urządził 13 letnich kursów w 1890 r. Uniwersytet oxfordzki urządził 4 także kursa, a zamówionych było również 4 na rok 1891. Tym sposobem ustanowiony został pewien związek między semestrami, między któremi w przerwie entuzyazm zwykle słabnął i słuchacze tracili przyzwyczajenie do zajmowania się pracą naukową.

Odczyty odbywają się po południu albo wieczorem. Stosownie do tego można zauważyć pewną różnicę nawet w słuchaczach. Do odczytów stosowana jest zawsze ta sama metoda, którą mogliśmy już poznać w głównych zarysach z powyższego przedstawienia. Podstawą ich jest drukowany *syllabus*, w który słuchacze zaopatrują się przed odczytem. W niektórych miejscowościach sylabus rozdaje darmo miejscowy komitet, zajmujący się urządzaniem odczytów, w innych przedaje go słuchaczom za bardzo umiarkowaną opłatą. [2]) Następnie odbywa się odczyt ustny, wyjaśniany o ile można i o ile tego zachodzi potrzeba, za pomocą rysunków, doświadczeń, okazów, odnoszących się do nauk przyrodniczych lub sztuki i t. p. Po każdym odczycie pewna część publiczności opuszcza salę, pozostają zaś tak zwani *students*, to jest ci słuchacze, którzy zamierzają następnie zdawać egzamin i z którymi lektor ma t. zw. *klasę*. Często zajęcia w klasie odnoszą się nie do przedmiotów, traktowanych w czasie ostatniego odczytu, ale w czasie poprzedzającego, aby dać możność słuchaczom przetrawienia tego, co słyszeli, i przygotowania

---

[1]) Mackinder and Sadler. l. c. str. 43.

[2]) Uniwersytet oxfordzki przysyła komitetom darmo 60 sylabusów, za resztę zaś pobiera opłatę w stosunku 17 szylingów 6 pensów za 100 sztuk. „Instructions and suggestions", l. c. str. 16.

zapytań. Zdarza się też, że zajęcia w klasie wynikły z powodu tematów, podanych na wypracowania. Niektórzy sądzą, że zajęcia w klasie są najbardziéj interesującą częścią tego nauczania. Ważnemi także są tygodniowe lub dwutygodniowe wypracowania, *weekly exercises*, które są uważane za jeden z kamieni węgielnych całego systematu. Zwykle wypracowania te słuchacze przesyłają lektorowi pocztą, lektor zaś zwraca je na następnym odczycie z swojemi poprawkami lub uwagami. Tym sposobem lektor poznaje osobiście większą część swego audytoryum, a przynajmniéj tę jego część, która bierze bardziéj czynny udział w odczytach. Jakkolwiek wypracowania te nie są obowiązkowe, ale dobrowolne, gdyż całe *Extension* nauczanie nie opiera się na przymusie, ale na dobrowolném zainteresowaniu się słuchaczy nauką; słuchacze są do składania ich zachęceni dlatego, że głównym celem tego nauczania nie jest wyćwiczenie ich pamięci, ale wprawienie ich do samodzielnego myślenia i zajęcia naukowego.

Po ukończeniu całego kursu odczytów, odbywają się egzamina, sposobem szczegółowo przez każdy uniwersytet przepisanym. Egzamina te, według przepisów uniwersytetu oxfordzkiego, do którego zbliżają się i inne, urządzane są w dniu oznaczonym, wskutek porozumienia między komitetem miejscowym i władzą uniwersytecką. Zwykle następuje to nie prędzéj, jak w tydzień, i nie późniéj jak w cztery tygodnie po ostatnim odczycie. Nie wszyscy jednak słuchacze dopuszczeni są do niego, ale tylko tacy, którzy byli obecnymi przynajmniéj na $^2/_3$ odczytów i klas, tudzież złożyli przynajmniéj $^2/_3$ piśmiennych wypracowań. Dlatego każdy, zamierzający składać egzamin, winien postarać się, aby nazwisko jego było zanotowane przez sekretarza miejscowego komitetu po każdym odczycie i klasie. Na podstawie tego, lektor układa listę kandydatów do egzaminu i przesyła ją bezpośrednio po ostatnim odczycie do delegacyi uniwersytetu. Po oznaczeniu dnia egzaminu, delegacya przesyła w zapieczętowanéj kopercie miejscowemu komitetowi temata do odpowiedzi. Egzamin w dniu oznaczonym odbywa się piśmiennie, a na przygotowanie odpowiedzi kandydaci mają trzy godziny czasu. Egzaminuje osoba, przysłana przez uniwersytet, a w żadnym wypadku lektor, który miał odczyty. Lektor ten nie ma nawet wstępu do miejsca, w którém słuchacze przygotowują piśmienne odpowiedzi. Następnie egzaminator, po rozpatrzeniu piśmiennych odpowiedzi, składa raport delegacyi o tém, którzy słuchacze zdali egzamin zadawalniająco, którzy z odznaczeniem, a którzy szczególniéj się wyróżnili. Tak samo lektor winien złożyć raport o piśmiennych wypracowaniach. Na podstawie tego, delegacya uniwersytetu wydaje dwojakiego rodzaju

świadectwa, *certificate*. Jedno tym, którzy złożyli egzamin z odznaczeniem, *with distinction*, drugie tym, którzy tylko zadowolnili egzaminatora, *satisfied the Examiner*. Ci, którzy złożyli egzamin ze szczególném odznaczeniem, otrzymują od uniwersytetu nagrodę, zwykle w książce. Spis takich książek bywa nadsyłany do lokalnego komitetu i nagrodzony może z niego wybrać taką, jaką sobie sam życzy. Świadectwa i nagrody rozdawane są na publiczném zebraniu, zwykle na początku następnych kursów. Zbytecznem było-by dodawać, że do egzaminów takich kobiety dopuszczane są na równych prawach z mężczyznami.

IV.

Przejdźmy obecnie do rozpatrzenia, kto i w jaki sposób kursami temi zarządza?

Obecnie istnieją w Anglii cztery centralne zarządy, zajmujące się kierownictwem *University Extension*. Każdy prawie uniwersytet utworzył organ, któremu powierzył wszystkie czynności, odnoszące się do tego. Uniwersytet oxfordzki ustanowił *Delegacy of local Examinations*, delegacyę do urządzania miejscowych egzaminów, w której utworzony został oddzielny komitet do zarządzania sprawami uniwersyteckiego nauczania. *Committee for the Establishement of Lectures and Teaching in large Towns*. Członków téj delegacyi, a wskutek tego i komitetu, mianuje *House of Convocation*, naczelny organ, zarządzający uniwersytetem. Tak samo w Cambridge senat uniwersytecki mianuje oddzielny organ, t. zw. syndykat. Uniwersytet Wiktorya w Durham ma także *Committee for local lectures*, komitet miejscowych odczytów, mianowany przez *General Board of Studies*, zarządzający uniwersytetem. [1]) Jeden tylko uniwersytet londyński nie ma swojego własnego organu, z powodu, że w Londynie utworzyło się oddzielne towarzystwo, *Society for the Extension of University Teaching*, mające na celu rozpowszechnienie wykształcenia uniwersyteckiego. Towarzystwem tém zarządza rada, która w kwestyach wykształcenia ma dodaną do pomocy komisyę, *Joint Board*, składającą się z delegowanych uniwersytetu nietylko londyńskiego, ale i oxfordzkiego, i kembrydzkiego. Tym sposobem uniwersytety te wywierają wpływ na działalność tego towarzystwa. Ma się rozumieć, że każdy z tych organów ma stałego sekretarza, któremu powierzone jest szczegółowe zawia-

[1]) Uniwersytet Wiktorya otrzymał prawa uniwersyteckiéj korporacyi na mocy prawa z 20 Kwietnia 1880, Mc-Murry, l. c. str. 88.

dywanie uniwersyteckiém nauczaniem, utrzymywanie korespondencyi z miejscowemi komitetami i t. p. Sekretarze ci, z powodu nawału zajęć, mają nawet dodaną odpowiednią pomoc kancelaryjną.

Centralne zarządy nie mają wcale ściśle odgraniczonych okręgów, w których obrębie miały-by prawo wyłącznego działania. Wszystkie współzawodniczą z sobą na całéj przestrzeni Anglii. Wyjątek od tego stanowi londyński okrąg pocztowy, w którym, według przyjętego zwyczaju, działa wyłącznie londyńskie towarzystwo *for the Extension of University Teaching*. Pochodzi to ztąd, iż w towarzystwie tém do zarządu nauczaniem uniwersyteckiém należą i przedstawiciele uniwersytetu oxfordzkiego, i kembrydzkiego, wskutek czego, jeżeli-by chciały z niém współzawodniczyć, działały-by przeciwko sobie samym. Zresztą nigdzie niéma granic dla działalności jednego lub drugiego uniwersytetu. Urządzenie kursów w danéj miejscowości przez jeden lub drugi uniwersytet zależy od tego, czy miejscowy komitet uważa za stosowne zażądać lektorów od jednego lub drugiego. Wszystko pozostawione jest uznaniu osób zainteresowanych. Zdarza się nawet często, że ta sama miejscowość w jednym roku zawiązuje stosunki z jednym uniwersytetem, a na następny rok z drugim. Wyjątek od tego stanowią miejscowości, które, według zwyczaju, praktykowanego w uniwersytecie kembrydzkim, zawarły z nim umowę na trzy lub cztery lata. W każdym razie sądzą Anglicy, że takie wolne współubieganie się uniwersytetów nietylko nie było szkodliwe, ale nawet pożyteczne: przyczyniało się bowiem do obudzenia życia, ruchu, przykładało się do współubiegania się lektorów, którzy zmuszeni byli do pewnéj rywalizacyi. [1])

Głównem zadaniem tych zarządów jest dostarczenie miejscowym komitetom na zażądanie odpowiednich lektorów i egzaminatorów. Dla zadosyćuczynienia pierwszemu zadaniu, każdy zarząd rozporządza pewną ilością lektorów. Niektórzy z nich wyłącznie oddają się temu powołaniu, inni zaś mają prócz tego jeszcze drugie zajęcie. Niektórzy umieszczeni są na liście lektorów jednego i drugiego uniwersytetu. Na londyńskiéj liście pomieszczeni są, z powodu związku londyńskiego towarzystwa z uniwersytetem oxfordzkim i kembrydzkim, lektorzy obydwóch tych uniwersytetów. Zwykle lektorami nie są ludzie z wielką naukową sławą, których samo nazwisko przyciągało-by tłumy publiczności na popularne odczyty; uniwersytety bowiem nie chcą konkurować z popularnemi odczytami. Biorą one po większéj części na lektorów ludzi młodszych, byle tylko byli zdolni zapoznać swoich słuchaczów z ostatniemi rezultatami uniwersyteckiéj

[1]) Mackinder and Sadler, l. c. str. 12.

nauki. Pod tym względem powołują się na to, że jednym z celów nauczania uniwersyteckiego *University Extension* jest obudzenie w słuchaczach interesu, że się tak wyrazimy, ciągłości, przez kilkanaście lekcyi z rzędu; uważają więc, że lektor, nawet z mniéj znaném imieniem, dokona wielkiego dzieła, jeżeli to zainteresowanie się publiczności potrafi utrzymać w ciągu trzech miesięcy. Lektorzy zwykle dzielą się na *staff-lecturers*, zasłużonych, to jest takich, którzy działalnością swoją na tém polu już się odznaczyli, na *lecturers*, zwykłych, i na *junior lecturers*, młodszych lektorów, którzy dopiero rozpoczynają swoją karyerę. [1])

Zwykle wybór lektorów i odczytów odbywa się w ten sposób, że w Marcu zarządy centralne rozsyłają do istniejących już komitetów listę lektorów, którymi rozporządzają, z oznaczeniem kursów, jakie mogą czytać. Sekretarz komitetu, po naradzie z nim i wskutek jego postanowienia co do tego, jakie kursa mają być w następnéj jesieni i na wiosnę czytane i przez jakich lektorów, oznacza na powyższéj liście porządkową liczbą tych lektorów, których komitet żąda. Listy winny być zwrócone w Kwietniu sekretarzowi zarządu centralnego. Po otrzymaniu jéj, sekretarz wzywa lektorów, ażeby się zgłosili do niego w celu porozumienia się co do wyboru miejscowości, w których mogą mieć odczyty. Najprzód senior lektorów ma prawo wybierać z pomiędzy tych miejscowości, na których liście był oznaczony numerem pierwszym, stosownie do tego, o ile będzie miał czas i o ile koleje żelazne pozwolą na dogodne skombinowanie kursów. Następnie drugi lektor wybiera stosownie do powyższych okoliczności z pomiędzy tych miejscowości, w których był umieszczony na pierwszém miejscu i z pomiędzy tych, w których stał na drugiém miejscu po seniorze. Tak samo wybierają się następujący lektorzy. W ten sposób przygotowuje się podstawa do wykładu na rok przyszły. W rozkładzie tym mogą nastąpić zmiany, bądź że miejscowe komitety na projektowany rozkład się nie zgodziły, bądź że powstały nowe kółka, które późniéj nadesłały swe żądania. W każdym razie w Lipcu rozkład odczytów na przyszłą zimę winien być ostatecznie zatwierdzony.

Mylił-by się bardzo, ktoby sądził, że uniwersytety, podjąwszy się dostarczania miejscowym komitetom lektorów, wzięły na siebie lekkie zadanie. Dostanie dobrych lektorów nie jest wcale łatwą rzeczą. Główną może trudnością jest ciężka, nawet fizyczna praca, ja-

[1]) W oxfordzkim uniwersytecie było na rok 1890/91 pierwszych lektorów 5, drugich 33, a ostatnich 3. Porównać „University of Oxford. University Extension Lectures.“ November 1890, str. 14.

kiéj powołanie to wymaga. Rzeczywiście lektor, cieszący się powodzeniem, miewa zwykle tygodniowo od 3—4 odczytów po południu i do 5 razy wieczorem. Każdy odczyt i klasa wymaga przynajmniéj dwóch godzin natężonéj uwagi i wysiłku myśli. Oprócz tego, taki lektor ma do poprawy zwykle około 200 piśmiennych wypracowań. Taka natężona praca ciągnie się zwykle przez 12 tygodni w jesieni i 12 na wiosnę. Do tego dodać należy jeszcze fizyczne zmęczenie wskutek tego, że lektor musi na odczyty jeździć koleją z miasta do miasta, że nieraz robi około 10,000 mil (angielskich) w czasie jednego peryodu odczytów. Za taką zaś pracę może otrzymać wynagrodzenia najwyżéj od 500 do 600 funt. st. Dlatego większa część młodych ludzi, poświęcających się temu zajęciu, uważa je tylko za chwilowe. Po kilku latach pracy, właśnie wtedy, kiedy nabrali doświadczenia, porzucają je, jeżeli znajdą inne, spokojniejsze i lepiéj wynagradzane, zajęcie. Dlatego za konieczny warunek poprawy tych stosunków uważają z jednéj strony ulżenie im, z drugiéj—podniesienie wynagrodzenia, tak, ażeby uniwersytety mogły z ich pracy korzystać przynajmniéj przez 10—15 lat. [1])

W każdym razie i teraz już uniwersytety przedsiębiorą pewne środki w celu przygotowania lektorów i przekonania się, że kandydat posiada odpowiednie uzdolnienie. Według zwyczaju, przyjętego w uniwersytecie oxfordzkim, kandydat, chcący oddać się temu zajęciu, winien zgłosić się do delegacyi, udowodnić, że posiada stopień naukowy uniwersytecki, i że publiczne jego odczyty miały powodzenie, jeżeli już probował swoich sił na tém polu. Delegacya zwraca się do tutora, pod którego opieką pozostawał w kolegium, o bliższe co do niego informacye. Następnie obowiązany jest napisać *syllabus* tego kursu, jaki zamierza czytać, do którego uważa się za uzdolnionego. Sylabus ten winien być oddany pod ocenę jednego z doświadczonych lektorów. Jeżeli sylabus był uznany za zadawalniający, kandydat obowiązany jest miéć prywatne odczyty, na podstawie jego opracowane. Zwykle takie odczyty w Oxfordzie odbywają się w dyecezyalném seminaryum do przygotowania nauczycieli elementarnych, *Diocesan Training College for Elementary Teachers.* [2]) Na odczytach tych powinien być obecny sekretarz delegacyi, a także jeden lub więcéj jéj członków. Członkowie ci wykazują wady i ujemne strony odczytów, lub ulepszenia, jakie powinny być w nich zaprowadzone. Jeżeli krytyka taka była niepomyślna, nieraz kandydat sam cofa się, albo

[1]) Mackinder and Sadler, l. c. str. 16.

[2]) W urządzeniu tych odczytów szczególne zasługi położyły, według sprawozdania delegacyi za rok 1890, Miss Tompson, Miss Soulsby i Miss Hales.

prosi o odroczenie stanowczéj decyzyi, dopóki nie nabędzie większéj wprawy. W razie uznania odczytów za zadawalniające, delegacya wyznacza często kandydatowi zasiłek pieniężny, ażeby udał się na odczyty starszych, doświadczeńszych lektorów i obeznał się na miejscu praktycznie ze sposobami postępowania przy zajęciach klasowych, poprawie wypracowań i t. p. Po przebyciu takiéj aplikacyi, nazwisko kandydata umieszcza się na spisie lektorów, który, jak widzieliśmy wyżéj, rozsyła się do miejscowych komitetów, sylabus zaś drukuje się. Tym sposobem kandydat bywa przygotowanym, o ile można najlepiéj, do swego zajęcia. Wskutek więc tego nie występuje zupełnie surowym przed publicznością. W każdym razie można być pewnym, że wszystkie powyżéj wymienione środki mogą zamknąć stanowczo tę drogę przed zupełnie niezdolnymi.

Co się tyczy egzaminatorów, tych mianuje każdy uniwersytet w miarę potrzeby [1]).

V.

Taką jest w najkrótszych zarysach organizacya *University Extension*. Organizacya ta wszakże w ostatnich latach coraz bardziéj się rozwijała, dając dowód żywotności tego ruchu, który się obudził niedawnemi czasy w Anglii, a miał na celu dostarczyć wykształcenia poważnego, prawie uniwersyteckiego, masom narodu.

Rozwój ten daje się spostrzéd w trojakim kierunku, stosownie do celu, jaki miano na widoku. Najprzód usiłowano podtrzymać ciągłe umysłowe życie i zajęcie w tych miejscowościach, w których kursa były czytane, a także dopomódz słuchaczom takich kursów do odniesienia z nich większego pożytku, do pogłębienia lub rozszerzenia swoich wiadomości. Następnie probowano połączyć miejscowości, w których odbywały się kursa, a które dotychczas były zupełnie jedna od drugiéj niezależne, w pewien związek, obiecujący również pewne korzyści. Wreszcie starano się także o większe zbliżenie słuchaczy takich kursów do uniwersytetu, o zacieśnienie między nimi wzajemnego związku, a przez to i wzmocnienie wpływu uniwersytetu.

Nie ulega wątpliwości, że rozwojowi w pierwszym kierunku nie można odmówić wielkiego znaczenia wobec tego, że jednym z gło-

[1]) W 1890 r. uniwersytet Oxfordzki miał 18 egzaminatorów, mianowicie 6 do historyi, 4 do literatury i sztuk pięknych, 1 do ekonomii politycznéj i 7 do nauk ścisłych i przyrodniczych. „University Extension Lectures". November, 1890, str. 8.

wnych celów *University Extension*, rozszerzania się uniwersytetów, było właśnie zachęcenie do systematycznego kształcenia ludzi, którzy z powodu różnych okoliczności nie byli w możności poświęcić kilku lat na studya uniwersyteckie, tudzież przyzwyczajenie, wdrożenie do pracy umysłowéj ludzi, do tego nieprzywykłych.

Dla dopięcia tego celu używane są rozmaite środki. Poprzednio już wspomnieliśmy o piśmiennych wypracowaniach i o przenośnych biblioteczkach, które bezwątpienia do osiągnięcia go pomagają. Praktyczny wszakże zmysł Anglików, umiejących korzystać z najmniejszéj okoliczności, doprowadził do wynalezienia i innych.

Jednym z takich środków są stowarzyszenia, utworzone ze słuchaczy takich kursów, którzy chcą daléj studyować obrany przedmiot, według książek, wskazanych przez lektora, w przerwie między kursami. Oxfordzkie Instrukcye, *Instructions und Suggestions* za 1890 r. zawierają szczegółowe wskazówki co do zasad, na jakich towarzystwa takie mogą być tworzone, tudzież postępowania, jakiego trzymać się mają. Wogóle stowarzyszenia te działają w ten sposób, że członkowie ich, pod kierunkiem pewnego przewodnika, odbywają peryodyczne, zwykle co 14 dni, zebrania, na których odczytują małe wypracowania, odnoszące się do obranego przedmiotu, a następnie nad niemi dyskutują. Do takich środków należą tak zwane *reading parties*, kółka czytelników, złożone również ze słuchaczy takich kursów pod kierunkiem bardziéj wykształconego człowieka. Zajęcia takich *reading parties* polegają na tém, że członkowie ich czytają najprzód sami, a następnie na wspólném tygodniowém zebraniu, książki, wskazane przez lektora, a odnoszące się do przedmiotu, o którym późniéj mają być odczyty. Późniéj nad odczytanemi ustępami zawiązuje się dyskusya, pod przewodnictwem kierownika. Często takie *reading parties* zawiązują się w pierwszym semestrze, ażeby przygotować słuchaczy do słuchania właściwych odczytów w drugim semestrze.

Podobném do powyższego urządzeniem są tak zwane *reading circles*.

Do tego samego celu, pogłębienia, że się tak wyrażę, naukowego zajęcia, zmierzają wypracowania, pisane na zadany temat, *essay-writing*. Dzieje się to w ten sposób, że lektor, po ukończeniu kursu, zadaje kilka tematów, odnoszących się do niego, na który słuchacze w wolnych chwilach mogą pisać wypracowania. Zajęcie to zresztą nie jest obowiązkowe, ale dobrowolne. Zachętą zaś do tego jest to, że niezamożni słuchacze, którzy napisali odznaczające się wypracowania, otrzymują zasiłek od 5 — 10 funtów sterlingów, umożliwiający im pobyt przez pewien czas na letniém zebraniu w uniwersytecie.

Najprzód w 1888 r. lord Ripon ofiarował pewien fundusz (50 funtów), z którego miały być udzielane takie zasiłki, *scholarships*, przykład zaś jego był naśladowany przez innych. Wypracowania zadawane są na temata z historyi i literatury angielskiéj, z ekonomii politycznéj i nauk przyrodniczych. Stypendya takie w uniwersytecie oxfordzkim były podzielone na trzy kategorye, mianowicie: na takie, o które mogli się współubiegać wszyscy słuchacze kursów, urządzonych przez ten uniwersytet, i takie, o które mogli się współubiegać tylko nauczyciele lub nauczycielki szkół elementarnych. Kandydaci tych kategoryi winni byli, oprócz zasługującego na uznanie wypracowania, złożyć egzamin z kursu, którego słuchali. Trzecia kategorya stypendyów była ustanowiona tylko dla robotników, słuchaczy takich kursów, którzy zdali egzamin choćby tylko zadawalniająco. Temata zadawane są w Lutym, wypracowania zaś winny być nadesłane w początkach Czerwca. Oceniają je sędziowie, mianowani przez uniwersytet [1]).

Wreszcie dla tych słuchaczy, przedewszystkiém robotników, którzy nie mogą należéć ani do stowarzyszeń słuchaczy, ani do *reading parties*, uniwersytety stosują inny środek w celu spopularyzywania wiedzy i przyuczenia do naukowego zajęcia. Środek ten polega na tém, że delegacya uniwersytetu oxfordzkiego zarządziła wydrukowanie w oddzielnych zeszytach sześciu odczytów takiéj obszerności, że każdy wystarcza na godzinę głośnego czytania. Przy odczytach zamieszczone są wskazówki literackie co do książek, wyjaśniających lepiéj dany temat. Odczyty te robotnicy czytają, albo każdy u siebie oddzielnie, albo wspólnie z innymi, np. w towarzystwach robotniczych, *trade-unions* i t. p. [2]).

Do takich środków należą i letnie kursa *summer-meetings*, o których już wspominaliśmy wyżéj.

Pierwsze letnie zebrania miały miejsce w Oxfordzie w 1888 r. Ciągnęły się przez 10 dni, a brało w nich udział 900 słuchaczy. Po-

---

[1]) Na rok 1891 było 115 funtów sterl., przeznaczonych na ten cel w uniwersytecie Oxfordzkim. W 1890 r. z kandydatów pierwszéj kategoryi trzech mężczyzn otrzymało stypendyum po 10 funt. i 3 kobiety po 5 funt. Z drugiéj kategoryi jedna kobieta 10 funt, dwie po 5 funt. i jeden mężczyzna 5 funt. Z trzeciéj kategoryi 2 mężczyzn dostało po 10 i 4 po 5 funt. Prócz tego sześć osób, między któremi było dwie kobiety, otrzymało podobno stypendya ze środków miejscowych komitetów. „University of Oxford. University Extension Lectures". November, 1890, str. 43.

[2]) Odczyty te mają znaczenie przedewszystkiém dla robotników, gdyż zajmują się kwestyami, głównie tę klasę ludności obchodzącemi. Można się przekonać o tém z samego ich tytułu: *The worker and his Welfare*. „University of Oxford, Instructions und Suggestions", l. c. str. 29.

legały na tém, że w godzinach porannych były czytane krótkie kursa, wyczerpujące pewien przedmiot w 3 — 6 odczytach, wieczory zaś były zajęte przemówieniami ludzi, odznaczających się w nauce, w kwestyach naukowych i literackich. Pierwsze to zebranie było dostępne zarówno dla słuchaczy kursów oxfordzkich, jak i kembrydzkich i londyńskich. Po udaniu się pierwszéj próby, z któréj się okazało, że słuchacze przybędą do uniwersytetu, jeżeli będą przez niego wezwani, i odniosą ztąd korzyść naukową, było urządzone drugie zebranie, także w Oxfordzie, w Sierpniu 1889 r. Przybyli słuchacze byli podzieleni wtedy na dwa oddziały. Do pierwszego byli zaliczeni tacy, którzy tylko krótszy czas mogli pozostawać w uniwersytecie, do drugiego tacy, którzy przez cały czas, przeznaczony na zebranie, to jest trzy tygodnie, mogli zajmować się pracą naukową. Stosownie do tego i odczyty były urządzone. Wogóle przybyło 1000 słuchaczy, z których 154 pozostało na dłużéj. W każdym razie okazało się, że zebrania te miały powodzenie, do tego stopnia, że w 1890 r. odbywały się nie tylko w Oxfordzie, ale i w Cambridge [1]). Takie same zebrania urządziło w 1889 i 1890 r. *National Home Reading Union*. Prócz tego w Szkocyi, w Edymburgu, starano się także o zaprowadzenie ich. W każdym razie Oxford doszedł dotychczas do największych pod tym względem rezultatów.

Nie ulega wątpliwości, że zebrania te okazały się nader pożytecznemi pod względem naukowym. Najprzód odczyty same były tak urządzone, ażeby słuchacze mogli przesłuchać pełnego kursu jednego lub dwóch przedmiotów. Następnie, chociaż słuchacze ci przez krótki tylko czas mogli przebywać w uniwersytecie i korzystać z jego naukowych środków, w każdym razie mieli dostarczoną sobie sposobność zaznajomienia się z niemi. Między słuchaczami było wielu nauczycieli elementarnych, którzy odświeżyli swe naukowe i pedagogiczne wiadomości, zaczerpnęli idee i poznali nowe metody, które później mogli stosować w praktyce. Przedstawiciele różnych kółek z całego kraju mieli możność wzajemnego porozumienia się. Wogóle można powiedzieć, że letnie zebrania przyłożyły się do wzmocnienia wpływu uniwersytetów na resztę kraju, do rozbudzenia nowego życia umysłowego tam, gdzie dotychczas było uśpione. Bezpośrednim zaś ich re-

[1]) Ilu zebrania takie miały słuchaczy w Oxfordzie w 1890 r., nie wiadomo, gdyż liczba ich nie jest wskazana w ostatnim raporcie delegacyi za ten rok. Widać tylko, że była nieco mniejsza niż w poprzednim roku, dochód bowiem ze sprzedaży biletów wynosił 831 funt., czyli o 150 funt. mniéj. Było to jednak naturalném następstwem tego, że w tym roku odbywały się już i w innych miejscach takie zebrania.

zultatem było zawsze powiększenie liczby miejscowości, które zażądały urządzenia kursów na następną zimę [1]).

Drugi cel, wzmocnienie działalności miejscowych komitetów, był dopięty przez utworzenie z nich pewnych związków stowarzyszeń. Najprzód związek taki utworzył się na południo-wschodzie i obecnie obejmuje hrabstwa Surrey, Kent, Sussex i Hampshire. Należy do niego wiele komitetów, zawisłych od uniwersytetu oxfordzkiego i kembrydzkiego. Później utworzyły się: *South-Western Federation*, związek południowo-zachodni, obejmujący hrabstwa Cornwall, Devon i Somerset; *North-Midland Association*, w hrabstwie York, i *Northern-Federation*, z czterema północnemi hrabstwami. Każdy taki związek ma pewny wspólny organ, złożony z przedstawicieli pojedyńczych komitetów, tudzież sekretarza [2]). I teraz już widać, że takie połączenie oddzielnych komitetów, chociaż niedawno istnieje, przynosi jednak pewne korzyści, a obiecuje jeszcze większe w następstwie. Wskutek tego bowiem, najprzód można usunąć, za pomocą osobistego porozumienia się sekretarzy miejscowych komitetów, uczestniczących w zarządzie stowarzyszenia, wiele trudności w urządzeniu odpowiedniéj kolei odczytów. Okoliczność ta jednak jest bardzo ważna, nie tylko pod względem pedagogicznym, ale i finansowym. Uniwersytety i teraz już czynią znaczne ustępstwa pieniężne, żądając mniejszego wynagrodzenia dla lektorów, jeżeli miejscowe komitety tak się między sobą porozumiały, że ten sam lektor będzie mógł miéć w kilku bliskich miejscowościach te same odczyty. Druga korzyść finansowa polega na tém, iż koszta komitetów miejscowych mogą uledz wskutek tego znacznemu zmniejszeniu, nie trzeba bowiem opłacać tyle za koléj pod przejazd lektorów. Te dwie okoliczności jednak mają większe znaczenie, aniżeli można-by sądzić na pierwszy rzut oka.

Według Mackindera, rozwój *University Extension* taki, jakim go widzimy obecnie, stał się możliwym dopiero wskutek pokrycia całéj Anglii siecią kolei żelaznych; nie można zaś było nawet myśléć o nim

---

[1]) Jakkolwiek w *Instructions and Suggestions* do środków takich zaliczono także i tak zwane *Toynbee Hall* w Londynie, nie sądzimy wszakże, aby to było właściwe, instytucya ta bowiem, bez względu na swoją ważność dla wykształcenia wogóle narodu, jest zupełnie niezależna od uniwersytetów i od *University Extension*. Do urządzeń podobnych należą jeszcze *Oxford-House* i tak zwany pałac ludowy w Londynie, otwarty w 1887 r. Porównaj Schulze-Gaevernitz: „Zum socialen Frieden. Eine Darstellung der social-politischen Erziehung des engl. Volkes im XIX Jahrhundert“. 1890. T. I, str. 408, a także artykuł tegoż autora w Grenzboten. 1887, pod tytułem: „Toynbee Hall“.

[2]) O organizacyi tych zarządów porównaj Moulton l. c. str. 37, 43 i 47, tudzież „Instructions and Suggestions“, l. c. str. 31.

wtedy, kiedy istniała tylko zwykła komunikacya kołowa [1]. Wreszcie należy mieć na względzie i tę korzyść, wypływającą z połączenia się oddzielnych komitetów w pewne związki, że zarządy takich związków zbierają dobrowolne składki lub darowizny, które obracają na ulżenie miejscowym komitetom wydatków, potrzebnych na urządzenie kursów w miejscowościach mniéj zamożnych, a tym sposobem przykładają się do powiększenia ich ilości. Tak np. *North-Midland-Association* trzyma się téj zasady, że koszta urządzenia pełnego kursu w ilości 27 funt. wkłada na miejscowy komitet, samo zaś dopłaca resztę, zwykle do wysokości 55 funt. Jeżeli cztery sąsiednie komitety zgodziły się mieć jednego lektora, w takim razie ponoszą koszta tylko do wysokości 25 funt., resztę zaś płaci stowarzyszenie. W *Northern-Federation* postanowiono, że bilety wejścia na pełny kurs nie mogą kosztować więcéj jak 1 szyling, jeżeli zaś suma ztąd pochodząca nie wystarczy na opędzenie kosztów, przewyżka winna być pokryta z innych zródeł: składek od osób prywatnych, stowarzyszeń i t. p.

Zastanowić się nam wreszcie wypada nad tém, w jaki sposób uniwersytety zaprowadzają ściślejszy związek ze słuchaczami oddzielnych kursów i wzmacniają swój wpływ nad nimi. Do celu tego zmierzało zapewnienie pewnych korzyści, przywilejów, tym słuchaczy, którzy poddali się ściślejszemu kierunkowi pod względem naukowym, kierunkowi, mającemu na widoku zapewnienie systematyczniejszego kształcenia się.

Kembrydzki uniwersytet zaczął w ostatnich czasach do słuchaczy *University Extension* kursów rozciągać ten przywiléj, że uwalniał ich od jednego roku pobytu w uniwersytecie z trzech obowiązkowych dla uzyskania pierwszego naukowego stopnia bakałarza filozofii, *bachelor of arts*. Przywiléj ten zapewniony został tym słuchaczom, którzy słuchali systematycznych kursów z historyi, literatury, lub nauk ścisłych i przyrodniczych, przez cztery lata. Ma się rozumieć iż uniwersytet przepisuje porządek, w jakim kursa te mają być wykładane, od komitetów zaś miejscowych zależy przyjęcie ich i zastosowanie w praktyce. Wskutek tego, komitety w niektórych miastach, jak np. w Hull, Scarborough, Newcastle on Tyne, Sunderland, Derby, Exeter i Plymouth, oświadczyły już gotowość korzystania z tego przywileju. Ponieważ jednak środek ten został zastosowany niedawno, niéma jeszcze statystycznych danych co do ilości słuchaczy, którzy z niego korzystali. Nie zdaje się wszakże, aby i późniéj znaczniejsza ilość słuchaczy mogła z niego korzystać. Przyczyna tego leży w tém,

[1] Mackinder and Sadler, l. c., str. 53.

że słuchaczami *University Extension* kursów są powiększéj części ludzie, mający już pewien zawód, powołanie, które nie pozwolalą im na przebywanie ciągłe, choćby o rok krótsze, w uniwersytecie.

Uniwersytet oxfordzki nie naśladował przykładu, danego przez pierwszy uniwersytet. Stara się on zapewnić większą ciągłość, systematyczność nauki, przez udzielanie tylko wyższego świadectwa systematycznego uczenia się, *Higher Certificate*, tym słuchaczom, którzy przez jakiś czas słuchali kursów w porządku, przez niego przepisanym. Takie świadectwo wydawane jest tym, którzy wysłuchali sześciu pełnych kursów (po 12 odczytów) z historyi i literatury i dwóch z nauk ścisłych, albo tym, którzy wysłuchali sześciu kursów z nauk ścisłych i dwóch z literatury. Świadectwo to wszakże żadnych przywilejów nie nadaje. Wartość więc tego środka jest, że się tak wyrazimy, czysto tylko moralna. Nie ulega jednak wątpliwości, że środki te, stosowane przez obadwa uniwersytety, znakomicie wpływają na zachęcenie do bardziéj systematycznego kształcenia się. Nie ulega też wątpliwości, że słuchacz, który uczynił zadosyć tym warunkom, doszedł do gruntownego poznania obranego przedmiotu. Można się o tém przekonać z tych kursów, jakie obowiązany był przejść i zdać z nich egzamin. Tak np. z ekonomii politycznéj porządek kursów mógł być następujący: W pierwszym roku, w pierwszym semestrze: Historya ekonomiczna Anglii od czasu „Domesday book“ do przewrotu, zaszłego wskutek zniesienia klasztorów; w drugim semestrze: Historya ekonomiczna od wstąpienia na tron królowéj Elżbiety do zniesienia ceł zbożowych. W drugim roku, w pierwszym semestrze: Nowsza historya ekonomii politycznéj, wartość, pieniądze, cena, kredyt, teorya renty i t. d.; w drugim semestrze: Teorya ekonomii politycznéj stosowanéj, dochód, zysk, zarobek, opodatkowanie i t. d. W trzecim roku, w pierwszym semestrze: Historya doktryn ekonomii politycznéj, teorya merkantylna, fizyokratów, Adam Smith, Ricardo; w drugim: dalszy ciąg téj historyi, wcześniejsi francuscy socyaliści, Owen, Lasalle, Karol Marx [1]).

Wszystkie te środki, o których mówiliśmy powyżéj, kursa zwykłe zimowe i letnie, letnie zebrania, stowarzyszenia słuchaczy, *Home reading circles*, związki pojedyńczych kółek, doprowadziły wogóle do wytworzenia klasy ludzi, bliżéj związanych z całym ruchem, zainteresowanych w jego rozwoju i we wszystkich jego objawach, czyli wytworzyły, jak się wyraził Mackinder, osobnego rodzaju *University*

[1]) Moulton w „The University Extension Movement“, str. 55, wskazuje tytułem przykładu, w jakim porządku kursa takie winny być ułożone z literatury, historyi i nauk przyrodniczych.

Extension publiczność, połączoną pewnego rodzaju wspólnemi interesami. Publiczność ta potrzebowała w celu zaspokojenia swoich umysłowych potrzeb pewnéj literatury, książek i pism peryodycznych. Dało to początek powstaniu rozmaitych pism peryodycznych i literatury naukowéj książkowéj.

Pierwszy początek do tego dał uniwersytet oxfordzki, który zaczął wydawać cyrkularz, zawierający w sobie wskazówki co do urządzania kursów miejscowych. Obecnie uniwersytet ten wydaje co miesiąc dziennik, pod tytułem *Oxford University Extension Gazette*, w którym pomieszczane są sprawozdania z działalności kółek miejscowych, tudzież artykuły, dotyczące *University Extension*. Ażeby dziennik ten uczynić przystępnym nawet najmniéj zamożnym klasom ludności, cena oddzielnego numeru wynosi tylko jednego pensa, a prenumerata roczna 1 szyling i 6 pensów.

Za przykładem Oxfordu poszło *South-Western-Association*, które zaczęło wydawać Kwartalnik w Exeter. Późniéj Londyńskie stowarzyszenie dla uniwersyteckiego wykształcenia zaczęło w Lutym 1890 r. wydawać miesięcznik pod nazwą *University Extension Journal*.

Co się tyczy książek naukowych dla tego rodzaju publiczności, i poprzednio już wydawane były dzieła, które, z jednéj strony przez przystępność wykładu, a z drugiéj z powodu umiarkowanéj ceny, były dla niéj przeznaczone. Obecnie zapotrzebowanie takich książek jeszcze bardziéj powiększyło się. Dlatego już dwóch wydawców w Londynie, mianowicie Methuen i Murray, rozpoczęło wydawnictwo całego szeregu podręczników, mających na celu zaspokojenie téj potrzeby.

VI.

Przypatrzmy się obecnie finansowéj stronie całego tego urządzenia.

W klasycznéj krainie samorządu, w Anglii, nie mogło być inaczéj, tylko tak, że *University Extension* utrzymywało się dotychczas kosztem osób prywatnych, samego społeczeństwa, bez żadnéj pomocy ze strony państwa. Ma się rozumiéć, że pod tym względem nie obeszło się bez trudności. Z jednéj strony widocznem było, że ruch ten nie mógł-by się utrzymać, jeżeli-by opłata za wejście na kursa była stosunkowo zawysoka Wskutek tego znaczna część osób z klas mniéj zamożnych, dla których właśnie takie kursa były przeznaczone, była-by od nich odstręczona, nie mogła-by z nich korzystać. Ruch ten, według jednozgodnego przekonania jego promotorów, miał właśnie na celu obudzić żądanie wyższego wykształcenia w tych klasach narodu,

które dotąd bez niego się obywały. Należało więc naznaczyć opłatę za bilety jak najniższą, jeżeli wszystkie usiłowania nie miały pozostać bezowocnemi. Z drugiéj strony nieraz trudno było zebrać, nawet między zamożniejszemi klasami, pomimo ich ofiarności, dostatecznych funduszów na pokrycie wydatków, w razie niedoboru. Wszystkie te jednak trudności przezwyciężyła energia i silna wola jednostek, w połączeniu z ofiarnością ogółu, tak, że ruch ten nie tylko nie ustawał, ale codziennie prawie robił postępy. Ponieważ zaś tworzenie się kółek, komitetów, a przedewszystkiém zbieranie funduszów, było pozostawione zupełnie inicyatywie osób prywatnych, przeto w różnych miejscowościach używano rozmaitych w tym celu środków. Wyrobiło się nawet kilka systematów, do których inicyatorowie zwykle stosują się, w miarę miejscowych warunków. *Instructions and Suggestions* podają bardzo praktyczne co do tego wskazówki. Pierwszy środek zebrania odpowiednich funduszów polega na tém, że komitet, urządzający kursa, zbiera od osób dobréj woli podpisy na to, iż pokryją przewyżkę kosztów urządzenia, w razie jeżeli-by sprzedaż biletów nie pokryła ich w zupełności. Środek ten jednak nie okazał się bardzo pożytecznym w praktyce, prawdopodobnie z tego powodu, że nie można było naprzód wiedzieć, czy będzie jaki niedobór i ile będzie wynosił, a okoliczność ta odstraszała niejednego od wzięcia na siebie zobowiązania.

Drugi środek polega na tém, że zbierają bezpośrednio podpisy na pewną sumę, dając w zamian za to bilet wejścia i pewne przywileje. Osoby takie mianowicie mają prawo głosu w obradach, dotyczących kwestyi wyboru przedmiotów kursów, terminu odczytów i t. p. Ponieważ środek ten okazał się praktyczniejszym, bo ludzie chętniéj dawali pieniądze na przedsięwzięcie, w którém sami mogli rozstrzygać, w wielu więc miejscowościach został z korzyścią zastosowanym. Zwykle przywileje powyższe nadawane były osobom, które podpisały się na pół gwinei.

Trzecim środkiem, używanym w tymże celu, było zbieranie zobowiązań co do wzięcia biletu, w razie przyjścia do skutku kursu. W takim razie zbierający takie zobowiązania miał zastrzeżoną pewną korzyść, jeżeli zebrał ich z góry oznaczoną ilość, (zwykle 2 funt. sterlingów), mianowicie bezpłatny bilet dla siebie. Korzyść ta stanowiła zachętę do rozprzedawania znacznéj ilości biletów.

W każdym razie środków takich może być więcéj, gdyż sam Moulton wymienia ich sześć, różniących się między sobą w pewnych mniéj ważnych szczegółach [1]).

[1]) Moulton l. c., str. 34.

Oprócz tych dochodów, czerpanych głównie z ofiarności społeczeństwa, miejscowe komitety na pokrycie wydatków urządzenia kursów miały jeszcze dochód ze sprzedaży biletów wejścia. Ceny biletów są bardzo różne, stosownie do warunków miejscowych Zwykle ranne i popołudniowe kursa są droższe, z powodu, że mniéj mają słuchaczy, chociaż należących do bardziéj doborowéj publiczności; wieczorem kursa są tańsze. Cena pierwszych wynosi od 1 sterlinga do 7 szyl. 6 pensów, cena ostatnich od 10 szylingów 6 pensów do 1 szylinga. Najzwyklejszą ceną jest 10 szyl. 6 pensów za pierwsze i 5 szylingów, albo 3 szyl. 6 pensów za ostatnie. Od tych jednak ogólnych cen komitety czynią rozmaite ustępstwa, bądź dlatego, żeby przyciągnąć jak największą ilość słuchaczy, bądź dlatego, żeby ułatwić niezamożnym klasom korzystanie z odczytów, bądź dlatego, żeby poprzeć naukową działalność słuchaczy. Tak np. tak zwane *Students tickets*, bilety tych, którzy po odczycie pozostają w klasie dla zajęć praktycznych z lektorami, zwykle kosztują o połowę mniéj. Tak samo za pół ceny oddają się t. zw. *Party Tickets*, to jest grupom, składającym się z kilku, zwykle ośmiu, osób. W innych miejscowościach bilety sprzedają się za zniżoną znacznie opłatę robotnikom, uczniom rzemieślniczym, rzemieślnikom, uczniom różnych, zwłaszcza technicznych, zakładów naukowych, nauczycielom i nauczycielkom szkół elementarnych, tym, którzy, chcąc być na odczycie, muszą ponieść koszta podróży koleją żelazną i t. p. Wogóle w działaniu komitetów widać dążenie do oznaczenia o ile można najmniejszéj opłaty za bilety. Jakoż należy przyznać, że w dążeniu tém doszły one do ostatnich prawie możliwych granic. Jeżeli bowiem cały kurs niekiedy kosztuje 1 szyl., to cena jednego odczytu wynosi zaledwie 1 pensa, to jest około 3 kopiejek. Cena bajecznie niska. Doświadczenie zaś pokazało, że jeszcze większe zniżenie ceny biletów, albo urządzenie odczytów zupełnie darmo, jest pod niektóremi względami szkodliwe. Tam bowiem, gdzie raz sprobowano odczytów bezpłatnych, nadzwyczaj trudno było urządzić późniéj odczyty płatne.

Wydatki miejscowych komitetów z zebranego w ten sposób funduszu można podzielić na trzy kategorye.

Najprzód zapłata uniwersytetowi. Do zapłaty téj należy, oprócz wynagrodzenia lektorowi za odczyt, zajęcie w klasie z słuchaczami i przejrzenie tygodniowych wypracowań, wynagrodzenie za wypożyczanie przenośnéj biblioteczki, za 60 egzemplarzy sylabusu, egzaminowanie, wydanie świadectw i nagrody. Za wszystko to uniwersytet oxfordzki naznacza ogólną cenę, mianowicie, za kurs, składający się z 12 odczytów, mianych przez tak zwanego *junior lecturer*, młodszego lektora, rozpoczynającego swą karyerę, 36 funt. 12 szyl. Takiż kurs,

miany przez lektora, nie należącego już do powyższéj kategoryi, kosztuje 42 funt. 12 szyl. Wreszcie kurs starszego lektora—54 funt. 12 szyl. Jeżeli w tém-że mieście ten sam lektor ma mieć ten sam kurs dwa razy, np. po południu i wieczorem, w takim razie uniwersytet robi pewne ustępstwa, nie wymagając ściśle dwa razy tyle. W pierwszym wypadku kursa kosztują 59 funt. 4 szyl., w drugim 71 funt. 4 szyl., a w trzeciw 83 funt. 4 szyl. W powyżéj wymienionych ogólnych sumach mieści się także wynagrodzenie egzaminatora w ilości 2 funt. Za cenę tę komitety zarządzające mają prawo przedstawić 20 kandydatów. Za każdego kandydata wyżéj nad tę ilość obowiązani są dodatkowo zapłacić po 2 szyl. Prócz tego wogóle uniwersytety robią pewne ustępstwa, jeżeli kilka sąsiednich miast porozumiało się co do czytania tego samego kursu przez jednego lektora.

Do drugiéj kategoryi wydatków należą koszta przejazdu lektora drugą klasą kolei żelaznéj, urządzenia pewnych doświadczeń, jeżeli przyrządy do nich muszą być przywiezione, tudzież koszta zakupu większéj ilości sylabusów, jeżeli komitet potrzebuje ich więcéj niż 60. chociaż ten ostatni wydatek zwraca się nieraz z korzyścią z ich rozsprzedaży. Wogóle wydatki te nie wynoszą więcéj, jak 5 funt. na każdy kurs. Z powyższego jednak widzimy, że miasta, które połączyły się w pewien związek, mogą urządzić się znacznie oszczędniéj, korzystając z ulg, zapewnionych im przez uniwersytety, i płacąc mniéj za przejazd lektorów.

Do trzeciéj kategoryi wydatków należą wydatki czysto miejscowe. Do nich zaliczają się koszta najmu pomieszczenia, jeżeli komitet nie mógł dostać go bezpłatnie, oświetlenia, ogrzania, ogłoszeń i t. p. Wogóle koszta drugiéj i trzeciéj kategoryi według *Instructions and Suggestions* wynoszą około 9 funt. na cały kurs, jeżeli pomieszczenie można było otrzymać darmo.

Wszystkie te wydatki są tak stosunkowo niewielkie, że jeżeli tylko 120 osób wzięło bilety, po średniéj cenie 10 szyl. za kurs, komitet nie tylko że pokrywa je, nie potrzebując udawać się do wspaniałomyślności osób prywatnych, ale może mieć nawet pewien zysk. Przewyżki dochodów nad wydatkami komitety używają w rozmaity sposób. Niektóre tworzą z niéj kapitał zapasowy, który-by stanowił podstawę do utrwalenia takich kursów w następstwie. Inne używają jéj na stypendya i nagrody dla słuchaczy. Niektóre komitety za nagrodę udzielały bezpłatne bilety na następny kurs, lub zasiłek na pobyt przez jakiś czas w ciągu letnich zebrań w uniwersytecie. Były komitety, które przewyżkę swoich dochodów obracały na utworzenie stałych biblioteczek dla słuchaczy. Inne dawały dodatki do wyna-

grodzenia dla starszych lektorów, którzy odznaczyli się w tym zawodzie, w celu zachęcenia ich do poświęcenia się przez dłuższy, niż zwykle, przeciąg czasu, na usługi *University Extension*. Inne wreszcie utrzymywały stałego pomocnika sekretarza, w celu ulżenia mu w zajęciach kancelaryjnych.

Tak się przedstawia finansowa strona urządzenia kursów przez oddzielne miejscowe komitety. Wskutek tego jednak, że każdy komitet prowadzi swoje rachunki oddzielnie, niemożliwém jest oznaczyć dokładnie kosztów całego tego urządzenia wogóle. Mackinder, biorąc na uwagę to, co wydawały uniwersytety, i oceniając koszta lokalne w przybliżeniu po 10 funt. na jeden kurs, dochodzi do wniosku, że w 1889/90 roku wydano w przybliżeniu na *University Extension* w miastach, zależnych od uniwersytetu oxfordzkiego, 7,000 funt., od uniwersytetu kembrydzkiego 7,500 funt., od Towarzystwa Londyńskiego 4,350 funt. i od uniwersytetu Wiktorya 250 funt., czyli ogółem 19,100 funt. Biorąc znów na uwagę ogólną ilość słuchaczy tych kursów, wnioskował, że każdy słuchacz kosztował średnio mniéj niż 10 szyllingów, każdy zaś odczyt, biorąc średnio po 10 odczytów w kursie, około 1 szyl. Na podstawie tego doszedł do wniosku, że całe to urządzenie było jednym z najtańszych środków wykształcenia, jakie w Anglii istniały [1]). Widzieliśmy jednak wyżéj, że wszystkie komitety robią ustępstwa mniéj zamożnym słuchaczom, wskutek czego wykształcenie ich znacznie mniéj kosztuje.

Dla uzupełnienia zarysu finansowéj strony tego urządzenia, należy nam powiedzieć jeszcze kilka słów o kosztach letnich zebrań, *Summer meetings*, urządzonych najprzód w Oxfordzie. Według sprawozdania za rok 1889, wydano na to zebranie 1,103 funt. 7 szyl. $6^1/_2$ pensów [2]). Dochody wynosiły takąż sumę. Głównemi pozycyami dochodów był wpływ ze sprzedaży biletów. Reszta dochodów pochodziła ze sprzedaży sylabusów, ofiar osób prywatnych na stypendya i innych. Letnie zebrania w 1890 r. kosztowały nieco mniéj i mniéj téż miały dochodu, mianowicie tylko 1058 funt. 7 szyl. $3^1/_2$ pensa [3]). Pochodziło to jednak ztąd, że w tym roku i uniwersytet kembrydzki poraz pierwszy urządził takie zebranie, które odciągnęło pewną ilość słuchaczy od zebrania w Oxfordzie.

---

[1]) Mackinder and Sadler l. c., str. 24.

[2]) „Delegacy of Local Examinations. Report of the Commitee appointed to carry into operation State". Tit. VIII. Sect. 1 § 5, for the year ending. August 29, 1889.

[3]) Takiż sam Raport za rok kończący się 31 Sierpnia 1890.

Dotychczas *University Extension* opierało się wyłącznie na energii i ofiarności osób prywatnych. W ostatnich jednak czasach dały się słyszeć głosy, że i państwo winno coś zrobić na korzyść rozprzestrzenienia wyższego wykształcenia w narodzie, wyznaczając na ten cel pewien zasiłek ze swoich funduszów. Tak np. konferencya sekretarzy miejscowych komitetów, odbyta w Oxfordzie w czasie letniego zebrania 1889 r., jednomyślnie domagała się tego. Na poparcie tego powoływano się, że jeżeli państwo może na elementarne wykształcenie dawać corocznie trzy miliony funtów sterlingów, jeżeli daléj Departament *of Science and Art* dostaje do swego rozporządzenia pół miliona, seminarya nauczycieli elementarnych 100,000, uniwersytet londyński 15,000 i miejscowe kolegia w Anglii i Walii takąż sumę; to państwo nie powinno i nie może zostawić bez pomocy i bez zasiłku urządzenia tak ważnego, jak *University Extension*, którego celem jest rozpowszechnienie wyższego wykształcenia w najodleglejszych zakątkach kraju, w miasteczkach i wioskach, które z braku funduszów nie mogą nawet myśléć o założeniu średniego zakładu naukowego, kolegium. Konferencya ta sądziła, że 5000 funt. zasiłku państwowego corocznie wystarczyło-by na pierwszy początek do postawienia całego tego urządzenia na pewniejszéj podstawie i zapewnienia narodowi niezmiernych korzyści. Były téż zdania, że dla rozdzielenia tego zasiłku potrzebna była-by jakaś centralna komisya. Na jednym z następnych swych posiedzeń, konferencya ta utworzyła nawet komitet, złożony z dziewięciu sekretarzy komitetów, zależnych od uniwersytetu oxfordzkiego, i siedmiu, zależnych od uniwersytetu kembrydzkiego, t. zw. *National Committee for obtaining a Grant in aid of University Extension*, który miał się starać o wpłynięcie na opinię publiczną, na członków parlamentu i inne znakomitsze osoby w celu uzyskania tego zasiłku.

Tak samo profesor Stuart w przedmowie do pracy Moultona [1]) domagał się takiego zasiłku w kwocie przynajmniéj 2,500 funt. rocznie, sądząc, że taka suma wystarczyła-by dla rozszerzenia tego urządzenia na całą Anglię.

Mackinder i Sadler wykazywali obszernie przyczyny, dla których zasiłek taki uważali za konieczny. Według nich, jakkolwiek średnio koszta urządzenia kursów były nieznaczne, jednak i one czasem były niedostępne dla niższych klas ludności. W mniejszych nawet mia-

[1]) Cytowanéj powyżéj: „The University Extension Movement“, str. IV.

stach były nieraz znaczniejsze, bo nie było takiéj ilości słuchaczy, która-by mogła opłacić kursa. Ztąd zniechęcenie osób, gwarantujących zapłatę należności uniwersytetom. Komitety, nie będąc pewne wyjścia na swoje pod względem finansowym, nieraz były zmuszone wybierać odczyty z przedmiotów, bardziéj pociągających publiczność, zamiast takich, z których słuchacze mogli-by odnieść większy pożytek. Finansowe trudności stanowiły największą przeszkodę do zaprowadzenia pewnéj ciągłości kursów, do urządzenia ich podług planu, obliczonego na trzy lata, jakkolwiek uniwersytety tylko słuchaczom, studyującym przez taki przeciąg czasu, dawały pewne przywileje. W tém także leżała główna przeszkoda do dostania dobrych lektorów. I ci bowiem, którzy się odznaczyli, nie wiedząc, czy będą na następny rok zajęci, zwracali się do innych zawodów, obiecujących większą trwałość i pewność. Mackinder jednak i Sadler, uważając, że niewielki zasiłek państwowy mógł-by znakomicie wpłynąć na rozwój całego *University Extension*, sądzili, że zasiłkiem tym winny rozrządzać nowo utworzone w 1888 r. rady hrabstw, *County Councils*. Pod tym względem powoływali się na precedens, mianowicie na to, że tak zwany *Welsh Intermediate Education art* z 1889 r. dozwolił takim-że radom hrabstw w Walii obracać pewną sumę na wykształcenie, nie będące ani elementarném, ani technicznem.

Na podstawie tego wszystkiego, możemy przyjść do wniosku, że przy tym ruchu, jaki ogarnął całe społeczeństwo angielskie w dążeniu do zdobycia wyższego wykształcenia, kwestya zasiłku państwowego na wykształcenie tego rodzaju, jakiém się zajmujemy, jest tylko kwestyą czasu, która prawdopodobnie w najbliższéj przyszłości pomyślnie rozwiązaną zostanie.

VII.

Przechodząc do statystycznych danych, winniśmy przyznać, iż *University Extension*, w ostatnich zwłaszcza pięciu latach, rozwijało się nadzwyczaj szybko. Według sprawozdania Delegacyi uniwersytetu oxfordzkiego za rok kończący się 31 Sierpnia 1890 r., rozwój ten można przedstawić w następującéj tabliczce, z któréj widać postęp jego coroczny w ostatniém pięcioleciu:

	W roku				
	1885/6	1886/7	1887/8	1888/9	1889/90
Ilość kursów	27	67	82	109	148
Ilość miast, w których były kursa	22	50	52	82	109
Ilość słuchaczy, uczęszczających na te kursa. . . .	nieoznaczona.	9909	13,036	14,351	17,904
Średnia długość kursów była tygodni	—	—	$8^1/_2$	$9^5/_7$	$10^2/_3$

Nie ulega wątpliwości, że rozwój ten wcale się nie zatrzymał, gdyż już na jesień 1890 r. zażądano od uniwersytetu oxfordzkiego przeszło 90 kursów, gdy w poprzednim roku zażądań takich było tylko 79.

Co do innych uniwersytetów, nie mamy również dokładnych wiadomości. I tam jednak widać ten sam postęp. Tak uniwersytet kembrydzki urządził w 1885/6 r. 82 kursa a londyński 63; w 1889/90 r. pierwszy urządził 125, ostatni 107. Ten sam wzrost widzimy w ilości słuchaczy. W 1885/6 r. kursa urządzone przez uniwersytet kembrydzki, miały 8,557 słuchaczy, a przez londyński 5,195; w roku zaś 1889/90 pierwsze miały 11,301, a ostatnie 10,982. Wogóle na kursa, urządzone przez te trzy uniwersytety w 1885/6 r., uczęszczało 16,752 słuchaczy, a w 1889/90 r. 40,187. Uniwersytet Wiktorya, nie dawał sprawozdań rocznych, ale trzyletnie, z tych zaś widać, że w ostatniém trzechleciu uniwersytet ten urządził tylko 27 kursów, czyli średnio rocznie po 9. W tymże przeciągu czasu na kursa te uczęszczało 2,730 słuchaczy, czyli w przecięciu 910 rocznie. Widzimy ztąd, że w 1889/90 roku było ogółem 387 kursów, na które uczęszczało 41,097 słuchaczy. Do tego trzeba jeszcze dodać kursa, urządzone w czasie letnich zebrań przez uniwersytet oxfordzki, a w 1890 r. i przez uniwersytet kembrydzki, tudzież słuchaczy, którzy na nie uczęszczali. Pewnych jednak danych co do tego niéma, wiadomo tylko, że z oxfordzkich letnich kursów korzystało przeszło 1000 słuchaczów.

Niéma także pewnych danych co do ilości słuchaczy, którzy poddali się egzaminowi. Wiadomo tylko, że z kembrydzkich kursów

stanęło do egzaminu w ostatnim roku 1734 słuchaczy, chociaż nie wiadomo, ilu go pomyślnie zdało. Uniwersytety znów oxfordzki i londyński ogłaszają tylko wiadomości co do ilości wydanych świadectw, z tych zaś widać, że świadectw letnich w 1889/90 r. pierwszy wydał 953, a ostatni 1361. Na podstawie tego należy wnosić, że około 4300 słuchaczy, czyli przeszło 10%, poddało się egzaminowi [1]). Rezultat ten wszakże należy uważać za zadowalniający, zwłaszcza jeżeli wspomnimy, że słuchaczami takich kursów byli po większéj części ludzie dorośli, mający inne zajęcia, dla których nawet świadectwo z takiego egzaminu, oprócz moralnéj wartości, nie miało żadnego praktycznego znaczenia. Egzamin ten wogóle był tylko bodźcem do systematycznéj pracy.

W tymże czasie, to jest w 1889/90 r., uniwersytety oxfordzki i kembrydzki używały każdy po 24 lektorów, a londyński 30 [2]). Średnio więc każdy lektor miał po sześć kursów, chociaż, ma się rozumieć, różnice pod tym względem były znaczne.

Zwracając uwagę na kursa, jakie były czytane, spostrzegamy, że najwięcéj było odczytów z przedmiotów historycznych, potém z literatury i sztuk pięknych, następnie z nauk ścisłych i przyrodniczych, a wreszcie z ekonomii politycznéj. Przekonać się o tém można ze sprawozdania delegacyi uniwersytetu oxfordzkiego, według którego pierwszych w 1889/90 r. było 85, drugich 28, trzecich 25, a ostatnich 10, Z innych uniwersytetów brak nam co do tego wiadomości. Ztąd jednak można robić pewne wnioski o usposobieniu publiczności angielskiéj wogóle, która przeważnie pragnie nabyć gruntownych wiadomości, nie tylko z nauk, mogących przynieść bezpośrednią korzyść, ale i z takich, które mogą dostarczyć wogóle wyższego, ogólno-ludzkiego wykształcenia.

Nie można dokładnie oznaczyć ilości miast, które korzystały z takich kursów. Na podstawie tylko mapek, sporządzonych przez Mackindera i Sadlera, i zamieszczonych w końcu ich książki, widać, że Uniwersytet Oxfordzki miał w 96 miastach zależne od siebie komitety, a kembrydzki w 66. Londyńskie towarzystwo miało 44 komitety wewnątrz okręgu pocztowego londyńskiego, i 10 zewnątrz niego.

Tak przedstawiają się nam statystyczne dane co do ruchu, zwanego *University Extension*. Z danych tych widzieliśmy, że w roku 1889/90 przeszło 42,000 słuchaczy uczęszczało na kursa, urządzone

[1]) Mackinder and Sadler. l c., str. 19.

[2]) Uniwersytet oxfordzki, jak widzieliśmy wyżéj, miał lektorów więcéj, mianowicie 41.

przez uniwersytety. Zobaczmy jeszcze, do jakich klas społecznych należeli ci słuchacze, zkąd będziemy mogli ocenić, jakie klasy najwięcéj odnosiły z nich korzyści.

Trudno jest co do tego mieć stanowcze wiadomości; w każdym razie z tych danych, jakie posiadamy, można mieć przybliżone pojęcie o znaczeniu, jakie *University Extension* ma dla różnych klas społecznych.

Nie ulega wątpliwości, że wielki udział w całym tym ruchu biorą kobiety. Poprzednio już wspomnieliśmy, że ruch ten powstał z ich nicyatywy, pierwsze bowiem kursa prof. Stuart miał dla kobiet, na ich żądanie. I teraz wszakże, pomimo to, że ruch ten się rozwinął i objął wszystkie prawie klasy społeczne, współudział kobiet jest nader ważny, tak w tworzeniu miejscowych komitetów, jak i w urządzaniu kursów. Wiele z nich z zapałem poświęca się temu, pełniąc, jak zauważyliśmy wyżéj, ciężkie nieraz obowiązki sekretarzy komitetów. W niektórych miejscach utworzyły się komitety, złożone wyącznie z kobiet, w celu poparcia tego ruchu; w innych znów miejscach odczyty były urządzane wyłącznie dla stowarzyszeń, z nich tylko składających się. W ogóle można powiedzieć, iż na odczytach popołudniowych, na których z powodu zajęć nie mogą bywać inne klasy społeczne, około 90% słuchaczy stanowią kobiety, mające wolny czas, lub starsze uczennice zakładów naukowych. Taki wielki udział kobiet w dążeniu do nabycia wyższego wykształcenia dowodzi, jak się wyraziła jedna z powag angielskich, że kobiety współczesnego nam pokolenia okazują daleko żywsze zainteresowanie się rozwojem umysłowym, aniżeli mężczyźni[1]). A zdanie to można zastosować nie tylko do Anglii. Niektórzy, widząc tak wielki udział kobiet w *University Extension*, obawiali się, aby przez to cały kierunek tego ruchu w dalszym rozwoju nie został spaczony. Sądzili bowiem, że wskutek tego mogą odsunąć się od niego inne niższe klasy społeczne, których wykształcenie ruch ten przeważnie miał na widoku. Obawa ta wszakże okazała się płonną. W każdym zaś razie nie może służyć za przyczynę do odsunięcia kobiet od tego ruchu. Wszystkie klasy powinny postępować naprzód współcześnie, jeżeli społeczeństwo ma się zdrowo rozwijać, i kobiety więc winny mieć prawo do postępu umysłowego, do zdobycia jakichś szerszych, poważniejszych poglądów na świat i życie, do których dojść można tylko za pomocą wyższego wykształcenia. Wiadomo też, że w Anglii, jak i w innych krajach Eu-

[1]) That the women of the present generation are more deeply interested in intellectual matters than the men. Moulton, l. c. str. 17.

ropy, do czasu powstania kursów uniwersyteckich dla ogółu narodu, główną strawą umysłową, nawet czytających kobiet, były powieści i romanse. Od tego dopiero czasu nastąpił zwrot ku lepszemu. Wiele kobiet zaczęło się żywić nietylko utworami belletrystyki, ale i innym, posilniejszym i zdrowszym pokarmem. Dlatego więc nie ulega wątpliwości, że *University Extension* wywrze zbawienny wpływ na moralne i umysłowe usposobienie téj połowy społeczeństwa.

Wprawdzie kursa, urządzane przez uniwersytety, miały na widoku przedewszystkiém ludzi dorosłych, którzy z rozmaitych powodów nie mogli kształcić się w nich systematycznie. Pomimo to, korzystała z nich i młodzież, nie tylko taka, która już ukończyła szkoły, ale i taka, co jeszcze pozostawała na ławie szkolnéj. Można powiedzieć nawet, że młodzież tego rodzaju stanowiła drugą ważniejszą kategoryę słuchaczy *University Extension* kursów. Korzystały z nich w większéj ilości starsze uczennice żeńskich zakładów naukowych, i nie jedna wykazała zupełnie zadawalniające rezultaty, tak z tygodniowych wypracowań, jak i na egzaminach. Uczęszczanie na kursa takich uczennic okazało się szczególniéj pożyteczném tam, gdzie nauka szkolna była tak skombinowana z kursami, że jedno drugiemu pomagało. Wogóle jednak kursa te były pożyteczne dla młodzieży obojéj płci, pobudzając ją do umysłowéj pracy. Pod tym względem należy zwrócić uwagę na ogólnie przyznany fakt, że młodzież szkolna zwykle stygnie w zapale do nauki po przebyciu egzaminów i opuszczeniu szkoły. Nadzwyczaj więc ważném jest podtrzymanie w niéj tego zainteresowania się rozwojem umysłowym, tego zapału do nauki i późniéj. Najlepszym zaś do tego środkiem jest zachęcenie jéj do uczęszczania na takie kursa w czasie ostatniego roku pobytu w szkole. Doświadczenie okazało nader pomyślne rezultaty wszędzie, gdzie środek ten był zastosowany.

Kursa wieczorne zwykle gromadzą innego rodzaju publiczność. Składają się na nią kupcy, handlarze z swemi rodzinami, subjekci sklepowi i inne osoby, zajęte dniem w handlu i przemyśle, a także w znacznéj części robotnicy. Wprawdzie niektórzy twierdzą, że gdyby przeszkody finansowe były usunięte, ilość ich znacznie-by się powiększyła. I teraz nawet publiczność niektórych kursów składa się wyłącznie z robotników. Tak np. w 1889/90 r. Hudson Shaw miał odczyty z historyi w Hebdon Bridge dla 450 robotników, w Oldham dla 600, w Todmorden dla 500, w Ancoats, Manchester dla 260 i w Sowerby Bridge dla 500. W niektórych z wyżéj wymienionych miejscowości kursa były urządzone przez stowarzyszenia robotników, które mają prawo pewną część swoich funduszów obracać na cele wykształcenia [1]).

[1]) Mackinder and Sadler l. c. str. 38

Nie ulega wątpliwości, że najliczniejszy udział tych klas społecznych należy uważać za nader pożądany, zasadniczą bowiem myślą *University Extension* było i jest rozpowszechnienie oświaty, wyższego wykształcenia, między temi klasami ludności, które, zajęte w dzień pracą chlebodajną, zarobkami, na kształcenie się mogą poświęcać tylko wieczory. *University Extension*, jak się wyraził Mackinder, winno być uniwersytetem dla milionów ciężko pracujących [1]). Dlatego klasom tym robione są ustępstwa, w miarę możności, na cenach biletów, byle tylko zachęcić je do najliczniejszego i najpilniejszego uczęszczania. Nie ulega też wątpliwości, że klasy robotnicze oceniają w zupełności wartość tego wykształcenia i garną się do niego z godnym podziwienia zapałem. Na dowód tego można-by przytoczyć wiele przykładów. Tak np. egzaminatorzy lub zarządzający kursami opowiadają, że wielu robotników chodziło o sześć, a nawet o dziesięć mil (angielskich) na odczyty. Opowiadają o dwóch słuchaczach *Extension* kursów, którzy chodzili na odczyty chemii o 4—5 mil, wieczorem po ukończeniu dziennéj pracy. Ponieważ zaś w ich wiosce było wielu takich, którzy chcieli studyować ten przedmiot, lecz nie mogli bywać na odczytach, sami więc, przy pomocy sylabusu i własnych notatek, powtarzali następnego dnia wieczorem odczyt, który słyszeli dnia poprzedniego. Kupili nawet niektóre chemiczne przyrządy i odczynniki i powtarzali w takiém zaimprowizowaném audytoryum doświadczenia, robione na odczycie. Z jaką zaś pilnością słuchacze ich uczyli się, dowodzi ta okoliczność, że lektor, którego odczyty były w ten sposób powtarzane, przez ciekawość był na ostatnim, i z odpowiedzi, dawanych na jego pytania, doszedł do przekonania, że słuchacze ci potrafili-by nawet zdać egzamin przed egzaminatorem uniwersyteckim, gdyby tylko mieli do tego prawo [2]). Przykładów zaś podobnych można-by przytoczyć nierównie więcéj.

Wreszcie jedną bardzo ważną klasą ludności, dostarczającą słuchaczy dla takich kursów, są nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych. Jak wielki udział bierze w nich ta klasa, można się przekonać z tego, że na jednym odczycie ze 400 słuchaczy 105 do niéj należało.

Chociaż wszakże na jednych odczytach przeważa jedna klasa ludności, na innych druga, nie zdarzy się przecież nigdy, aby całe audytoryum składało się tylko ze słuchaczy, należących do jednéj

---

[1]) Extension is to be the university of the toiling millions. Mackinder and Sadler l. c. str 35.

[2]) Moulton l. c. str. 19.

z nich. Dla tego uważają za zaletę kursów *Univ. Extension*, że łączą słuchaczy rozmaitych klas ludności. Wszystkie klasy ludności mogą z nich korzystać, i rzeczywiście korzystają. Tak np. na egzaminach w pewnéj miejscowości z ekonomii politycznéj i literatury egzaminowało się 31 mężczyzn i 27 kobiet. Z mężczyzn 4 było studentów, 5 rzemieślników, 4 kupców, 9 subjektów sklepowych, 6 wielkich przemysłowców, 1 nauczyciel, 2 niewiadomo jakiego stanu. Z kobiet 7 było córek przemysłowców, 2 córki duchownych, 12 kupców, 6 modystek i szwaczek[1]). W innem miejscu świadectwa z egzaminu otrzymali: młody prawnik, nauczycielka szkoły ludowéj, zwrotniczy na drodze żelaznéj i robotnik z kopalni ołowiu[2]). Z tego powodu sami Anglicy utrzymują, że najważniejszym rysem charakterystycznym *University Extension* jest brak wszelkiego politycznego lub religijnego kolorytu, jest to, że kursa te są neutralnym gruntem, na którym spotykają się ludzie wszystkich klas, bez różnicy wyznania lub przekonań politycznych, dla osiągnięcia jednego wspólnego celu — wyższego wykształcenia.

VIII.

Zobaczmy obecnie, jaka jest wartość naukowa i pedagogiczna tego ruchu, który rozwinął się ostatniemi czasy w uniwersytetach angielskich, a który, o ile można sądzić ze wszystkich danych, przybiera coraz szersze rozmiary.

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, widać było, że celem *University Extension* jest rozszerzenie uniwersyteckiego wykształcenia na wszystkie klasy narodu, przedewszystkiém zaś na te, które dotąd obywały się bez wszelkiego wyższego wykształcenia, a nawet nie czuły jego potrzeby. Cel ten Anglicy wyrażają w obrazowéj formie, mówiąc, że zadaniem *University Extension* jest przynieść uniwersytet do narodu, kiedy naród nie może przyjść do uniwersytetu[3]). Pod wyrażeniem zaś *naród* rozumieją, oczywiście, te jego klasy, które z rozmaitych powodów miały zamknięte przed sobą podwoje uniwersytetu, a które i teraz jeszcze stanowią ogromną większość.

Czy cel taki nie jest złudzeniem, niepodobném do urzeczywistnienia, o którego osiągnienie zbytecznem było-by nawet starać się, tracąc napróżno siły i koszta, które na co innego mogły-by być użyte?

[1]) Moulton l. c. str. 15.

[2]) Moulton l. c str. 15.

[3]) To bring the University to the people, when the people cannot come to the University. Mackinder and Sadler l. c. str. 3.

Zastanawiając się nad tą kwestyą, jeden z promotorów tego ruchu, a zarazem i jeden z najlepszych jego znawców, Moulton, przychodzi do wniosku, że jeżeli czyniono jakie zarzuty *University Extension*, jeżeli wątpiono o możliwości dostarczenia wszystkim klasom społeczeństwa wyższego, uniwersyteckiego wykształcenia, zarzuty te i wątpliwości polegały po większéj części na braku dokładnego pojęcia o uniwersyteckiém wykształceniu wogóle i o stosunku jego do *University Extension*, na tém, że społeczeństwo wogóle nie miało o tych dwóch rzeczach jasnego wyobrażenia.

Na poparcie tego Moulton przytaczał, że społeczeństwo pod wykształceniem uniwersyteckiém zwykle pojmuje abstrakcyjne studyowanie przedmiotów, do których zrozumienia potrzeba kilkoletniego przynajmniéj przygotowania, i dlatego sądzi, że wykształcenie to jest niedostępne dla słuchaczy *University Extension*, nie posiadających wogóle takiego wykształcenia. Pojęcie to wszakże jest mylne, gdyż przedmiotem uniwersyteckich studyów mogą być różne nauki, nie wymagające tak długiego i systematycznego przygotowania i nie tak abstrakcyjne. Prócz tego społeczeństwo wogóle wyobraża sobie, że uniwersyteckie studya nie mogą istnieć bez kompletnego kursu nauk, wymagającego od studentów wyłącznego poświęcenia kilku lat życia i wstrzymującego ich od wszelkich innych zajęć. Nie zwracano jednak uwagi na to, że takie studya mogą być dostępne tylko dla najbardziéj uprzywilejowanych klas społeczeństwa, że i inne klasy ludności, nie znajdujące się w tak korzystném położeniu, mogą dążyć także do takiego wykształcenia, jeżeli zaś nie mogą go osiągnąć w całości, wielką wagę może mieć dla nich nabycie go przynajmniéj w pewnéj części. Mylnie też sądzono, że uniwersyteckie wykształcenie stanowi przywiléj klas zamożnych i jest niedostępném dla klas, własną pracą zarabiających na utrzymanie. Prawda, że dotychczas korzystały z niego tylko wyższe, zamożniejsze klasy narodu, gdyż wykształcenie to było do ich potrzeb wyłącznie zastosowane. Nie wypływa ztąd jednak, ażeby w następstwie uniwersyteckie wykształcenie nie mogło się zastosować i do potrzeb szerszych, mniéj zamożnych klas społecznych, całego narodu.

Z drugiéj strony należy zwrócić uwagę na to, że, jakkolwiek zadaniem uniwersyteckiego wykształcenia musi być z natury rzeczy głębsze, bardziéj wszechstronne poznanie i zbadanie przedmiotu, pewnéj nauki, nie stanowi to jednak jego jedynego i najważniejszego celu. Za najważniejszy cel tego wykształcenia należy uważać nie nabycie pewnéj sumy wiadomości, ale sposób, metodę, za pomocą których wiadomości te nabyte zostały. W wykształceniu tém winno

iść przedewszystkiém o takie wyćwiczenie myśli uczącego się, aby mógł daléj sam się już posuwać, o przyuczenie go do takiéj pracy, o rozbudzenie w nim samodzielności umysłowéj.

Zapatrując się z tego stanowiska na *University Extension*, niewątpliwie zgodzimy się z Moultonem, że odpowiada ono tym warunkom, tym celom, że nie jest mrzonką, ale, że dostarcza rzeczywiście wykształcenia uniwersyteckiego.

Dla przekonania się o tém zwrócimy jeszcze raz uwagę na to, w jaki sposób uczą się słuchacze *University Extension* kursów. Najprzód, jak widzieliśmy, odbywa się odczyt, dostarczający w pewnych odstępach czasu świeżego, nowego pokarmu umysłowego. Po każdym odczycie następują zajęcia w klasie, pobudzające do samodzielnego myślenia, wszechstronnego zbadania i poznania kwestyi spornych. Do tego dodać należy czytanie dzieł naukowych, odnoszących się do studyowanego przedmiotu, bądź wspólnie z innymi, bądź oddzielnie, a także odrabianie tygodniowych wypracowań, z których-by sam uczący się mógł dojść do przekonania, czy przetrawił dostatecznie dostarczony mu materyał naukowy i czy przyswoił go sobie należycie. Takie zajęcia winny się ciągnąć przez trzy lata, jeżeli słuchacz pragnie zdawać egzamin i otrzymać z niego świadectwo. Do egzaminu jednak przypuszczeni są tylko ci, którzy byli obecnymi na pewnéj ilości odczytów i odrobili pewną ilość oznaczonych tygodniowych wypracowań, stanowiących rękojmę, że nie uczęszczali na kursa tylko dla formy.

Jeżeli zastanowimy się nad tym sposobem uczenia się, będziemy zmuszeni przyznać, że wogóle dorównywa on systematowi uniwersyteckiego nauczania, a nawet przewyższa go, przynajmniéj pod pewnemi względami[1]). W saméj rzeczy, nie ulega wątpliwości, że słuchacz *University Extension* kursów, niepozbawiony zupełnie zdolności, po takiéj trzyletniéj pracy, daleko gruntowniéj zna obrany przez siebie przedmiot, aniżeli przeciętny student, nie mówię już warszawskiego, ale i niemieckiego uniwersytetu, przygotowujący się do zdania egzaminu, na podstawie albo wysłuchania rocznego kursu profesora, albo przeczytania kilku podręczników, albo, co gorzéj, przy pomocy korepetytora, jak się zdarza często w Niemczech. Jasną téż jest przewaga metody uczenia *Extension* kursów pod tym względem, że metoda ta opiera się na powolnéj, ale ciągłéj pracy, dopomagającéj do wybornego przetrawienia materyału naukowego. Nie tylko bowiem żołądek, ale i umysł człowieka nie zdoła przetrawić na swój pożytek pokarmu, zapośpiesznie, albo w zbyt wielkiéj ilości odrazu podawa-

[1]) Moulton l. c. str. 7.

nego. Ta ostatnia okoliczność jest nawet jedną ze słabych stron wykształcenia wogóle uniwersyteckiego, któréj jednak *University Extension* potrafiło uniknąć. Dlatego, pomimo, że wykłady te krócéj trwają, najwyżéj 72 godziny—w ciągu sześciu półroczy,—słuchacze własną pracą brak ten uzupełniają i dochodzą nieraz do lepszych rezultatów. Do tego należy dodać i to, że słuchacze uniwersytetu przychodzą, że się tak wyrazimy, do gotowego, słuchając bowiem kursu pewnego przedmiotu, mają go wyłożony w całéj obszerności, ze wszystkiemi rezultatami, do jakich doszła nauka. Słuchanie jednak takiego kursu nie podnieca ich do własnéj działalności w celu zdobycia wiedzy. Przeciwnie słuchacze *Extension* kursów co chwila spotykają bodziec, zmuszający ich do samodzielnego myślenia i pracowania nad nauką. Śmiało więc można powiedzieć, że systemat ten w daleko wyższym stopniu zdoła rozbudzić samodzielność umysłową w słuchaczach *Extension* kursów, aniżeli pobyt, nawet dłuższy, w uniwersytecie, w studentach tych ostatnich zakładów naukowych. Ztąd widzimy, iż *University Extension* dosięga obydwóch celów wykształcenia uniwersyteckiego, najprzód bowiem dostarcza gruntownéj znajomości pewnego przedmiotu, a następnie pobudza swoich słuchaczy do takiéj samodzielności umysłowéj, do jakiéj, wogóle mówiąc, nie dochodzą studenci uniwersytetu. Można nawet powiedzieć, że zalety systematu uczenia w *University Extension* zawierają nadzwyczaj cenne wskazówki co do nauczania czysto uniwersyteckiego, pokazują bowiem, jakiemi nauka ta winna odznaczać się zaletami, ażeby przyniosła odpowiedni pożytek.

Niższość nauki w *University Extension* w porównaniu z nauczaczaniem uniwersyteckiém polegała na tém, że słuchacze pierwszego studyowali tylko jeden przedmiot, gdy studenci uniwersytetu, kończąc swe studya, mają pojęcie o pewnéj gałęzi wiedzy, obejmującéj kilka pokrewnych przedmiotów.

Że jednak słuchacze *Extension* kursów w tym ciaśniejszym zakresie dosięgają obydwóch celów wykształcenia uniwersyteckiego, o tém świadczą jednozgodnie zdania ludzi, obeznanych z tą kwestyą gruntownie. Tak np. egzaminatorzy uniwersytetu oxfordzkiego, oceniając w 1890 r. wypracowania, od których zależało otrzymanie stypendyum, wyrażali się o nich w następny sposób: „W bieżącym roku ilość wypracowań znacznie się powiększyła, wszystkie zaś utrzymały się na tym wysokim stopniu dobroci, do jakiego doszły w ostatnim roku. Historyczne i inne wypracowania robotników zasługiwały na szczególną uwagę. Z nauk ścisłych dobre wypracowania wyprzedziły o wiele wszystko, cośmy widzieli w ubiegłym roku. Najlepsze wypracowania były nadzwyczaj dobre i dowodziły ciężkiéj i sumiennéj pracy autorów. Większość wypracowań przewyższała zwykłą miarę,

potrzebną do otrzymania stypendyum. Najlepsze wypracowania z literatury wykazywały godne uwagi oczytanie i bogactwo myśli; egzaminatorzy żałowali tylko, że nie było więcéj wypracowań z literatury angielskiéj“ [1]). Inny egzaminator w raporcie swoim wyrażał się: „Niepodobieństwem jest opisać dokładnie wrażenia, jakie wyniosłem, widząc śmiałość inteligencyi górników, ich poważne przysłuchiwanie się, ich szczerość i pośpiech w odpowiedziach“. Tenże sam egzaminator przytaczał, że jeden z górników zebrał nader cenną kolekcyę okazów geologicznych i mikroskopicznych, a inny doszedł do gruntownéj znajomości literatury angielskiéj.

Nie mniéj zasługują na uwagę zeznania samych robotników o wpływie, jaki wywarło na ich rozwój umysłowy *University Extension*. Tak np. jeden stolarz na publicznem zebraniu w hr. York powiedział: „Sześć lat upłynęło od czasu, jak poraz pierwszy byłem w tém miejscu na odczycie *University Extension*, i od tego czasu nie opuściłem ani jednego, z wyjątkiem tych tylko, na których nie mogłem być z powodu choroby. Nie zdołam wypowiedzieć, ile jestem winien tym odczytom. Zrobiły one kompletny przewrót w mojém życiu. Jestem obecnie zdolny miéć jakiś szerszy pogląd na wszystkie kwestye. Jednocześnie z tém i życie moje stało się szersze i szczęśliwsze“. Inny górnik wyrażał się: „Gorzko opłakuję ostatnich lat 34 mojego życia, w ciągu których byłem od dziewiątego roku żywcem pogrzebiony w kopalniach, gdzie uczono mnie patrzéć z nieufnością na naukę, jak na nieprzyjaciółkę religii. Nie zastanawiałem się nad tém, ile utraciłem przyjemności w myśleniu i rozpamiętywaniu. Ale teraz uwolniłem się od tych więzów i idę naprzód daléj. Myśli te podziela wielu naszych robotników“. Inny znów tkacz mówił: „Przepędziwszy siedm lat w warsztatach fabryki bawełnianéj i nabywszy przez usilną pracę, w godzinach wolnych od roboty, trochę wyższego wykształcenia, czuję przyjemność i potęgę, jaką wykształcenie to daje w ręce moim bliźnim: zrozumienie rzeczy, dotychczas ukrytych przed ich oczami, zupełnie inne zapatrywanie się na świat otaczający ich, i siłę, jaką zdobywa ich energja do pracy“ [2]). Znawcy tych stosunków utrzymują, że wpływ tych kursów odbił się nie tylko na stanie umysłowym niższych klas ludności: i język, i obejście ludności podmiejskiéj, albo miast przemysłowych, zmieniły się na lepsze pod wpływem *University Extension* [3]).

---

[1]) „University of Oxford. University Extension Lectures“ November 1890 str. 44.
[2]) Moulton l. c. str. 20.
[3]) Mackinder and Sadler. l. c. str. 36.

University Extension wywarło jednak potężny wpływ nie tylko na słuchaczów swoich kursów, dostarczając im głębszéj znajomości pewnego przedmiotu, budząc w nich upodobanie i zamiłowanie do pracy umysłowéj, pokazując im inne, wyższe ideały, do których w wykształceniu swém winni dążyć. Ruch ten wzruszył głęboko, zelektryzował całe społeczeństwo; wskutek niego coraz więcéj we wszystkich jego klasach zaczęło rozpowszechniać się przekonanie, że kształcenie się nie powinno i nie może kończyć się na szkole w młodości, lecz, że powinno towarzyszyć człowiekowi i późniéj, kiedy doszedł do wieku dojrzałego. Przekonanie to coraz więcéj zyskuje zwolenników, nie tylko między rzemieślnikami, robotnikami, których wykształcenie w młodocianym wieku było zaniedbane, ale i między tymi, którzy otrzymali systematyczne wykształcenie i należą do wykształconych klas narodu. Główną zasługę w tém rozbudzeniu ducha, myśli narodowéj, całego społeczeństwa, przypisać należy uniwersytetom, które, odczuwszy ducha czasu, jego potrzeby, starały się potrzeby te zaspokoić. Uniwersytety angielskie nie zasklepiły się w ciasném pojęciu wykształcenia uniwersyteckiego, odziedziczoném po średnich wiekach, na którego podstawie winny były poprzestać na dostarczeniu go tylko pewnéj ograniczonéj ilości młodzieży wyborowéj. Uznały one, że obowiązkiem ich jest zanieść światło tego wykształcenia, nauki, których są przedstawicielami, do najodleglejszych zakątków kraju, do najskromniejszych jego chat, pogrążonych dotychczas w pomroce nieświadomości. W tym celu wyrobiły nawet cały systemat *University Extension*, który coraz bardziéj rozwija się i rozszerza na cały naród, tak, że trudno nawet powiedzieć, kiedy i gdzie ruch ten się zatrzyma. Jedném słowem, uniwersytety dążą do rozszerzenia swéj działalności na cały naród.

To dążenie do rozszerzenia działalności uniwersytetów na cały naród, do zapewnienia dobrodziejstw wyższego wykształcenia wszystkim klasom społecznym, jest tak ważném, tak wiele znaczącém, tak brzemiennem w następstwa, że nie wahamy się uważać go za objaw tego kierunku, jaki uniwersytety w dalszym swym rozwoju przybiorą w przyszłości, nie tylko w Anglii, ale i w innych krajach. A w mniemaniu tém nie jesteśmy odosobnieni, przekonanie to bowiem dzielą i inni, którzy mieli sposobność zaznajomienia się z tym ruchem i ocenienia go Jest to wspaniale przedsięwzięcie, *grossartige Unternehmung*, wyraża się Schultze-Gaevernitz o *University Extension*, rozbierając w ogóle prądy społeczne w Anglii i działalność wyższych klas w celu dostarczenia niższym wyższego wykształcenia[1]). Anglicy

[1]) Schulze-Gaevernitz. „Zum socialen Frieden. Eine Darstellung der socialpolitischen Erziehung des englischen Volkes im XIX Jahrhundert“. 1890. Vol I 459.

i Szkoci, powiada Compayré [1]), mogą być dumni ze swego dzieła, które nazwali uniwersytetem przyszłości, *l'Université de l'avenir*, i które zwróciło na zupełnie nowe tory wykształcenie narodowe angielskie. Zresztą na dowód tego można-by przytoczyć nie oderwane tylko zdania jednostek, ale i fakta bardziéj ogólnego znaczenia. W saméj rzeczy, ruch, który się przejawił w tak świetny sposób w Anglii, nie zatrzymuje się już na jéj granicach, ale rozszerza sią coraz bardziéj i na inne kraje Europy. W ostatnich pięciu latach kursa takie, podług angielskiego wzoru, były już urządzene w Szkocyi, Irlandyi, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj i w Australii. Prócz tego urzędowe zapytania co do sposobu urządzenia ich nadeszły z Francyi i Indyi Wschodnich [2]). W Danii, Norwegii i Szwecyi także powstały instytucye, pod pewnemi względami podobne do *Extension* kursów angielskich [3]). Na podstawie więc tego wszystkiego, można sądzić, że ruch, który rozwinął się w Anglii, ogarnie prędzéj czy późniéj i inne uniwersytety, które w ten sposób staną się prawdziwemi ogniskami oświaty, wykształcenia, nie jednéj tylko klasy społecznéj, jak to było dotychczas, ale całego narodu.

IX.

Czy jednak niższym klasom społeczeństwa potrzebne jest takie wyższe, uniwersyteckie wykształcenie? spyta nie jeden. Czy klasy te, których głównem zajęciem pozostanie i nadal praca fizyczna, rzeczywiście go potrzebują? Czy niebyło-by lepiéj ograniczyć się do dostarczenia tym klasom tylko wykształcenia elementarnego, nie kusząc się nawet o rozszerzenie ich umysłowego horyzontu za pomocą wyższego wykształcenia?

Odpowiedź na to pytanie wymaga nieco głębszego zastanowienia się; odpowiadając zaś na nie, sprobujemy ocenić socyalne znaczenie *University Extension*, jego przyczyny i następstwa.

Nie możemy tutaj wdawać się w zbyt szerokie wywody, które-by nas zadaleko zaprowadziły. Dla wyjaśnienia przyczyn tego ruchu, jaki rozwinął się ostatniemi czasy w Anglii, w celu dostarczenia niższym klasom ludności wyższego wykształcenia, dość będzie przypomnieć tylko niektóre fakta, wogóle znane czytelnikom. Między niemi na

---

[1]) Compayré. „Etudes sur l'Enseignement et sur l'Education". Paris. str. 32.

[2]) Mackinder and Sadler. l. c. str. 22.

[3]) Zofja Kowalewska. „Tri dnia w krestjanskom uniwersitetie w Szwecji". „Siewiernyj Wiestnik". 1890. Listopad. str. 183.

szczególniejszy wzgląd zasługuje fakt rozdziału społeczeństwa angielskiego, datujący się jeszcze z średnich wieków, na dwie główne klasy: wyższą, zamożną, wykształconą, korzystającą z praw politycznych, składającą się z większych właścicieli ziemskich i bogatego mieszczaństwa, i niższą, złożoną przeważnie z rzemieślników, robotników rolnych lub fabrycznych, nieoświeconą, pozbawioną praw politycznych, i z dnia na dzień pracującą na utrzymanie życia. Między klasami temi były punkta, na których interesa ich i przekonania schodziły się i godziły; były inne, dające powod do antagonizmu i przeciwieństwa. Przeciwieństwo to doszło do zenitu w pierwszéj połowie XIX wieku, wskutek kolosalnego rozwoju przemysłu, który z swéj strony był rezultatem wielkich wynalazków technicznych, że nie wspomnimy o innych okolicznościach. Rozwój ten wykopał, że się tak wyrażę, przepaść ekonomiczną i moralną między klasami, z których żadna nie pojmowała i nie rozumiała drugiéj. Antagonizm między klasami dochodził niekiedy do takiego zaostrzenia, iż zdawało się, że nie obejdzie się bez jakiegoś gwałtownego przewrotu, który pociągnął-by najzgubniejsze dla całego społeczeństwa następstwa. Pokój społeczny wisiał nieraz na włosku. Na dowód tego można-by przytoczyć ruch Chartystów, który tak głęboko w ciągu paru dziesiątków lat wstrząsał Anglię.

Tymczasem w położeniu klas niższych zaszły nader ważne zmiany. Wskutek reformy parlamentarnéj z 1832 r. i następnych, klasy te zyskały prawa polityczne, a przez to i wpływ na rozstrzyganie najważniejszych nieraz interesów kraju. Jako sędziowie przysięgli, członkowie tych klas decydują w kwestyach, od których zależy majątek, cześć i życie obywateli. Jako członkowie rozmaitych zarządów samorządu, miejskich, gminnych, parafialnych, a jak w ostatnich czasach, *County concils*, hrabstw, decydują często w nader skomplikowanych i ważnych kwestyach administracyi miejscowéj, wymagających nieraz skomplikowanych wiadomości. Jako wyborcy i wybieralni do parlamentu, zyskali prawo do rozstrzygania najważniejszych kwestyi politycznych. Jako członkowie rozmaitych stowarzyszeń, rzemieślniczych, robotniczych i innych, zyskali możność wpływania pomyślnie lub zgubnie na dobrobyt klas produkujących, a przez to i całego społeczeństwa. Jedném słowem, wskutek stopniowych reform, klasy te podniosły się społecznie, nabrały o wiele większego niż przedtém, znaczenia i wagi, zrównały się w prawach z klasami wyższemi, doszły do samodzielności pod względem politycznym. Z drugiéj strony, z powiększeniem ich praw, powiększyły się także i obowiązki, którym aby mogły zadość uczynić, winny być odpowiednio uzdolnione.

Wtedy jednak, kiedy stosunki powyższe powoli się rozwijały, wykształcenie tych klas nie szło z tém w parze, pozostawiając wiele do życzenia. Wprawdzie społeczeństwo samo wiele robiło dla oświaty ludowéj, nie mogło jednak zapewnić wszystkim potrzebnego wykształcenia. Państwo dopiero od 1839 r. zaczęło się mieszać do tego, starania jego jednak z początku nie miały wielkiego znaczenia. Dopiero prawo z 1870 r. o wykształceniu elementarném posunęło naprzód znakomicie sprawę wykształcenia niższych klas społecznych, rozszerzenia między niemi oświaty.

Nie ulega wątpliwości, że wskutek tego rozpowszechniła się nauka czytania, a zarazem powiększyła się ogromnie ilość czytających. W ten sposób jednak wykształcenie narodu wpadło na fałszywe tory, mogło zaś być zupełnie spaczone, gdyby daléj w tym kierunku postępowało. Masa bowiem czytających, któréj brakło poważniejszego wykształcenia, rwała się z chciwością do pism peryodycznych, dzienników, pochłaniała romanse, powieści, nowelle i inne tym podobne utwory belletrystyczne. Nie ulega wątpliwości, że wyłączna przewaga tego rodzaju literatury była zgubna. Najprzód bowiem nie czyniła tych klas zdolniejszemi do ponoszenia włożonych na nie obowiązków i korzystania z nadanych praw, a następnie groziła wielkiém innego rodzaju niebezpieczeństwem. Wiadomo, że dzienniki, bez względu na to, że posiadają wiele dodatnich stron, że oddają społeczeństwu nieocenione usługi, nie są wolne także od pewnych stron ujemnych i niedogodności. Muszą one, wskutek warunków swego istnienia, polować, że się tak wyrażę, na chwilowy efekt. Informują, ale nie dostarczają poważnego pokarmu umysłowego. Wciągając w swój zakres opis nieraz skandalicznych wypadków, przestępstw kryminalnych, działają nawet do pewnego stopnia szkodliwie na imaginacyę mas. Są one mieczem obosiecznym, mogącym zrobić wiele dobrego i niemniéj wiele złego. To samo można powiedzieć o utworach belletrystyki. Wogóle mówiąc, utwory te, oprócz chwilowego zajęcia, podniecenia fantazyi, wyobraźni, nie pozostawiają żadnego trwalszego po sobie śladu, prócz czczości umysłowéj i próżni moralnéj. Działają one, że się tak wyrażę, tylko na nerwy człowieka, z krzywdą wszystkich innych umysłowych i moralnych zdolności. Taka literatura, taka wyłączna przewaga jednego jéj rodzaju przeciwna jest wszelkiemu normalnemu, zdrowemu rozwojowi, nie tylko pojedyńczego człowieka, ale i całego narodu. Grozi ona kompletném zdenerwowaniem myśli narodowéj [1]).

[1]) An intellectual diet too exclusively of newspapers and novels threatens to emasculate the national mind. Mackinder and Sadler l. c. str. 3.

Tymczasem, jak fizyczny organizm człowieka, żeby się znajdował w normalnych warunkach rozwoju, zachował zdrowie ciała i ustrzegł się ciężkich zaburzeń patologicznych, winien być należycie odżywiany, a w tym celu winien używać rozmaitego, rodzaju pokarmów, azotowych, białkowych, tłuszczowych lub innych, w pewnym stosunku, który nauka zbadała i z największą ścisłością oznaczyła; tak samo i człowiek w moralnym, umysłowym swoim rozwoju, potrzebuje odpowiednich pokarmów. Widocznem jest, iż przewaga tylko jednego gatunku pokarmu może być zgubną nietylko dla fizycznego, ale i dla umysłowego organizmu człowieka. Rozwój tylko fantazyi, imaginacyi, za pomocą romansów i powieści, któremi się karmi i które skłaniają do marzycielstwa, pozbawia człowieka możności trzeźwego zapatrywania się na rzeczy, ocenienia warunków bytu, w jakich się znajduje, poznania celów, do których może dążyć, na jakie pozwalają mu jego środki. Ma się rozumieć, że następstwa te bezporównania w wyższym stosunku okażą się niebezpiecznemi, jeżeli nie pojedyńczy człowiek, ale cały naród odżywia w podobnie wadliwy sposób swój zasób umysłowy nieodpowiednim pokarmem. Wtedy i czyny tego narodu muszą być takiemi. Wtedy naród ten wpadnie bez wątpienia na takie bezdroża, na których spotka się tylko z gorzką rzeczywistością, z ciągłemi zawodami, z bezustanną sprzecznością między tém, czego chce, a tém, co może, z upadkiem i ruiną.

Prócz tego należy jeszcze zwrócić uwagę, ciągnąc daléj powyższe porównanie, że fizyczny organizm człowieka potrzebuje nie tylko pewnéj oznaczonéj ilości pokarmu. Dla jego zdrowia nie dosyć, ażeby pokarm ten był rozmaity, należycie ustosunkowany i przetrawiony. Organizm ten potrzebuje, ażeby soki odżywcze były doprowadzone w odpowiedniéj ilości do każdego oddzielnego organu, i odżywiając go, dopomagały do utrzymania całości. Nagromadzenie tych zasobów w jednym tylko organie, czy żołądku, czy sercu, mogło-by stać się dla organizmu również zabójczém, jak niedostateczna ilość pokarmu, wątpliwa jego wartość lub nieodpowiedni stosunek. Tak samo i w życiu umysłowém społeczeństwa, zgubném było-by, gdyby zasób umysłowy jego, wykształcenie, skoncentrowało się tylko w jednéj klasie społecznéj, wtedy, gdy inne były-by go zupełnie pozbawione. Wtedy klasy te doszły-by do tego, że nie mogły-by się wzajemnie rozumieć, że, mając nieraz sprzeczne cele, interesa, zadania, nie mogły-by dojść do żadnego względem nich porozumienia, że groziła-by obawa, aby nieporozumienia między niemi nie były rozstrzygane za pomocą grubéj siły fizycznéj, wobec czego normalny rozwój społeczeństwa stał-by się niemożliwym. Dla tego normalnego rozwoju potrzeba, aby w każdéj gruppie społecznéj, w każdém kółku towarzyskiém, naturalnie

tworzącém się w społeczeństwie, była pewna ilość jednostek, mających szerszy, poważniejszy pogląd na rzeczy, zdolnych nie tylko do zrozumienia interesów społecznych, ale do wyjaśnienia ich innym, porozumienia się z nimi i pociągnięcia za sobą. Zadaniem tych jednostek w organiźmie społecznym winno być dostarczenie pokarmu umysłowego najodleglejszym i najdrobniejszym organom społeczeństwa, odżywianie ich należyte, bez czego, jak widzieliśmywyżéj, nie może być normalnego rozwoju, społeczeństwu zaś może grozić niebezpieczeństwo zbłądzenia na bezdroża.

Na takiém bezdrożu stanęła Anglia w połowie XIX wieku. Niższe jéj klasy powołane zostały w najwyższym zakresie do życia społecznego, ekonomicznego, politycznego, ale tym nowym zadaniom nie odpowiadało ich uzdolnienie umysłowe. Nie miały one nawet możności nabyć tego wyższego, lepszego uzdolnienia. Pod tym względem błąkały się samopas, karmiąc się nieodpowiednim, a często i niezdrowym pokarmem, czerpanym z tanich a lichych dzienników i z jeszcze gorszych romansów. Na szczęście społeczeństwa, w usposobieniu i wyobrażeniach wyższych klas zaszła wtedy głęboka i nader ważna przemiana. W klasach tych, głównie pod niedającym się jeszcze dotąd należycie ocenić wpływem Carlyle'a, Ruskina, Arnolda Toynbee i innych, zaczęło się wyrabiać przekonanie, że pozostawienie niższych klas społecznych na los szczęścia, wypadku, jest niemożliwe, że wyższe klasy winny właśnie wziąć na siebie kierownictwo pod względem umysłowym, że one winny się starać o dostarczenie im takiego wykształcenia, bez którego porozumienie się między klasami stało-by się niemożliwém. Rezultatem tych zmienionych przekonań było *University Extension*, którego rozwój i urządzenie powyżéj opisaliśmy, a którego zadanie polega właśnie na dostarczeniu zdrowego, posilnego pokarmu umysłowego tym klasom, którym go poprzednio brakowało, na przywróceniu równowagi w rozwoju i odżywianiu się moralném i umysłowém narodu, zniszczonéj przez wyłączne panowanie dziennikarstwa i belletrystyki. Wskutek tego, chociaż i obecnie miliony czytają utwory literackie, często nader wątpliwéj wartości, obok tego jednak tysiące przynajmniéj zajmują się takiemi, które tylko zbawienny wpływ wywrzéć mogą. W ten sposób *University Extension* zaspokoiło jedną z najważniejszych i najpilniejszych potrzeb społeczeństwa. Ustanowiło też ono pewien łącznik, pewną spójnię moralną i umysłową między niższemi i wyższemi klasami społeczeństwa, wskutek czego klasy te i na innych polach działalności społecznéj, na polu ekonomicznem i politycznem, daleko łatwiéj, niż w jakimkolwiek innym kraju, mogą dojść do porozumienia. Jedném słowem, *University Extension* było mostem, rzuconym przez przepaść, dzielącą dotychczas klasy wyższe

od niższych, wykształcone od niewykształconych, bogate od niezamożnych.

Nie ulega też wątpliwości, iż *University Extension* najudatniéj rozwiązuje jedno z najważniejszych zadań społecznych—dostarczenia wyższéj kultury niższym klasom narodu, wskutek czego klasy te były-by podniesione i zbliżone do wyższych, wskutek czego jedne i drugie mogły-by dążyć jednocześnie i zgodnie naprzód drogą postępu, powolnych ulepszeń socyalnych i ekonomicznych, bez żadnych gwałtownych wstrząśnień i przewrotów.

Dla przekonania się o tém, rzućmy okiem na inny kraj, w którym także myślano o dostarczeniu wyższego wykształcenia niższym klasom społecznym; zastanówmy się nad środkami, jakie w tym celu tam proponowano, tudzież nad następstwami, do jakich środki te mogły-by z konieczności rzeczy doprowadzić.

W ostatnich czasach we Francyi, pod wpływem idei radykalnych, wystawiono systemat tak zwanego *instruction integrale*, za pomocą którego zamierzono ze wszystkich klas społecznych wyciągnąć wszystkie zdolności, nieco wyższe nad zwykły poziom, i umieścić je na szczeblach społecznych, niższych lub wyższych, w miarę wartości. Trzéj deputowani radykalni, Charonnet, Legludic i Anatol de la Forge, złożyli nawet odnośny wniosek w parlamencie, który potrafił zjednać poparcie wielu deputowanych. Wniosek ten miał na celu zebrać wszystkie zasoby umysłowe kraju, *de trier tous les capitaux intellectuels du pays* dla zużytkowania ich w odpowiedni sposób. Według niego, nauczyciele wszystkich, nawet najmniejszych szkółek ludowych, byli-by obowiązani przedstawiać do corocznego konkursu wszystkie, jak się wyrażono, zdolności, uśpione lub jeszcze nie rozbudzone. Laureaci stawali-by się dziećmi ojczyzny, *enfants de la France*, i w tym charakterze byli-by pomieszczani bezpłatnie dla dalszego wykształcenia się w kolegiach lub liceach. Ponieważ jednak rzeczą śmieszną jest dać jakiemuś biedakowi bezpłatne wykształcenie, nie zapewniając mu jednocześnie nadziei, że przez nie zdobędzie sobie środki utrzymania, że wykształcenie to rzeczywiście przyniesie mu jakąś korzyść w życiu; przeto państwo opiekowało-by się swymi wychowańcami na wszystkich szczeblach wykształcenia średniego i wyższego, do samego końca ich naukowéj karyery, dopóki-by nie otrzymali dyplomu lekarza, inżyniera, adwokata, architekta lub innego t. p. Plan ten wszakże, według nader trafnych uwag Leroy-Beaulieu[1]), nie wytrzymuje żadnéj krytyki. Na pierwszy już rzut oka widać, że jest fantastyczny,

[1]) Leroy-Beaulieu. „L'Etat moderne et ses fonctions", 1890 str. 273 i nast.

bliższe zaś zastanowienie się nad nim wykazuje najzgubniejsze skutki, jakie spłynęły-by na kraj, gdyby był urzeczywistniony.

Fantastyczność tego planu widać naprzód ztąd, że, z wyjątkiem nader rzadkich wypadków, niemożliwém jest między dziećmi lub uczniami w wieku szkolnym, obdarzonymi średnią miarą zdolności, wyróżnić wybitniejsze talenta, zasługujące na poparcie ze strony państwa. Zdolności takie zwykle wykazują się później, w wieku dojrzalszym; państwo więc nieraz marnowało-by napróżno swe środki pieniężne na poparcie mierności. Następnie, trzeba pamiętać o tém, że wyższa inteligencya wtedy tylko doprowadza w życiu do poważnych rezultatów, kiedy idzie w parze z charakterem moralnym, kiedy odpowiada jéj wartość moralna człowieka. To ostatnie jednak kryteryum usuwa się się zupełnie z pod kontroli egzaminów; państwo więc nie ma środka do przekonania się, czy pewna jednostka rzeczywiście zasługuje na jego opiekę. Wreszcie nie ulega wątpliwości, że przy wyborze kandydatów grały-by także znaczną rolę różne względy koteryjne lub polityczne, które obróciły-by w niwecz wszelkie przepisy, mające na celu zapewnienie bezstronności wyborów.

Gdyby jednak, nad wszelkie spodziewanie, plan ten się udał, jakie wynikły-by ztąd następstwa?

Najprzód, nie ulega wątpliwości, było-by to klęską dla ogromnéj większości tych nawet, którzy byli-by tém mniemaném dobrodziéjstwem obdarzeni. Coby się stało z temi setkami tysięcy zdolności, wydobytych z ukrycia? Większość ich była-by sztucznie odwrócona od zajęć, właściwych ich stanowi, w którym się zrodzili, od pracy ręcznéj, rzemiosł, przemysłu, rolnictwa, handlu, za pomocą których mogli-by zdobyć srodki utrzymania i stać się pożytecznemi członkami społeczeństwa, do tak zwanych zawodów liberalnych, pracy umysłowéj, w których wskutek tego jeszcze więcéj dało-by się czuć przepełnienie. Większość tych mniemanych talentów nie miała-by chleba powszedniego i była-by zmuszona wyżebrać go u państwa, pod postacią choćby najgorzéj płatnego urzędziku. Wszyscy ci ludzie byli-by wykolejeni w całém znaczeniu tego wyrazu.

Dla społeczeństwa także wyniknęły-by najgorsze następstwa, wskutek zwrócenia masy młodzieży od pracy ręcznéj i zawodów produkcyjnych do zajęć liberalnych. Nie ulega wątpliwości, iż, jakkolwiek było-by w wyjątkowych wypadkach korzystném, aby wybitne zdolności opuściły pracę ręczną, to w każdym razie korzystném jest, aby w klasach pracujących fizycznie pozostała wielka ilość ludzi z umysłem bardziéj rozwiniętym. Tacy ludzie budzą do życia, ożywiają masy, otaczające ich, kierują niemi. Dostarczają oni swoim kółkom tego pokarmu umysłowego, o którym mówiliśmy wyżéj, i tym sposo-

bem dopomagają do normalnego, zdrowego rozwoju umysłowego społeczeństwa. Jeżeli-by usunąć tych ludzi z naturalnéj sfery ich działalności, masa, otaczająca ich, stała-by się jeszcze bardziéj bezwładną i bezradną. Robotnik inteligentny, posiadający pewien stopień wykształcenia, żyjąc razem z swoimi mniéj rozwiniętymi towarzyszami, może wywrzéć na nich zbawienny wpływ, może krzewić między nimi pojęcia i wyobrażenia klas wyższych, może być łącznikiem między klasami niższemi i wyższemi, wykształconemi, a w danym razie i współdziałać do zaprowadzenia między niemi porozumienia, zgody i harmonii społecznéj. Jeżeli-by taki robotnik został adwokatem, lekarzem i t. p., społeczeństwo, wogóle mówiąc, nie wiele na tém zyszcze. Przeciwnie to kółko, w którém-by żył, straci ogromnie; stanie się z natury rzeczy jeszcze bardziéj ospałém i opornėm dla kultury, niż obecnie. Społeczeństwo téż utraci w nim łącznik, jaki-by istniał między niższemi a wyższemi klasami.

Wreszcie urzeczywistnienie takiego projektu sprowadziło-by najgorsze następstwa właśnie dla tych klas, których dobro rzekomo miał na celu. Wskutek tego klasy niższe, rolnicze lub robotnicze, utraciły-by wszystkich swoich członków, obdarzonych otwartszym umysłem, bystrzejszą inteligencyą. Odtąd składały-by się tylko z żywiołów grubych, nieudolnych. Pozbawione żywiołów lepszych, jakie obecnie jeszcze posiadają, popadły-by w zupełną odrętwiałość umysłową. Jeżeliby stan taki ciągnął się przez dłuższy czas, przez kilka pokoleń, w takim razie doprowadził-by do jeszcze zgubniejszych następstw: Wskutek bowiem dziedziczności, prawdopodobnie odbił-by się na całém moralném i umysłowém uzdolnieniu klas niższych. W końcu mogło-by dojść do tego, że społeczeństwo rozdzieliło-by się na dwie klasy: jedną wyższą, zdolniejszą, drugą niższą, upośledzoną nawet pod względem umysłowego uzdolnienia. Wtedy wyższa klasa patrzała-by z góry, z lekceważeniem, a nawet z pogardą, na niższą, nie dlatego tylko, że klasa ta zajmowała-by niższe społeczne stanowisko, ale i dlatego, że była-by mniéj zdolną. Wtedy między temi dwiema klasami rozwarła-by się przepaść, o któréj przebyciu nawet myśléć było-by niepodobna, wskutek niezdolności klasy niższéj do wszelkiego umysłowego rozwoju, postępu.

Wszystkich tych niebezpieczeństw i zgubnych następstw u nika *University Extension*, które pozostawia jednostki wykształcone w naturalnéj sferze ich bytu, nie odwracając ich od zwykłych zajęć, pracy fizycznéj, któréj oddaje się ogromna większość, może być $^{9}/_{10}$ społeczeństwa. Systemat ten rozszerza tylko ich wyobrażenia, uzdolnia lepiej, nie tylko fachowo, ale i wogóle do pojmowania zadań i obowiązków społecznych, bez czego obejść się nie mogą. Pod tym

zaś względem systemat ten odpowiada jednéj z najpilniejszych potrzeb nowoczesnego społeczeństwa. Jeżeli bowiem niższe klasy powołane zostały do szerszéj działalności społecznéj, jeżeli w ręce ich oddane zostało roztrzygnięcie wielu pierwszéj wagi zadań i kwestyi społecznych, winny być one do tego należycie uzdolnione. Widocznem jest jednak, iż nauka czytania i pisania jest do osiągnięcia tego celu niedostateczną, że klasy te winny posiadać do pewnego stopnia i wyższe wykształcenie, które, rozwijając ich umysłowy horyzont, nie przeszkadzało-by im oddawać się zwykłym zajęciom. Wykształcenia takiego dostarcza im właśnie *University Extension*. Wykształcenie to nie może mieć następstwem, jak projekt radykalistów francuskich, upośledzenia klas niższych, ale podniesienie i uszlachetnienie jednostek, a przez to i całego narodu. Anglia, wyrobiwszy ten systemat, może być pewną, że za lat kilkanaście, kilkadziesiąt, kiedy systemat ten jeszcze bardziéj się rozwinie, będzie miała ludność, składającą się nie tylko ze statystycznych, że się tak wyrażę, jednostek, podawanych do spisu ludności, ale z jednostek, z których każda będzie warta *człowieka*. I w tém też leży jedna z rękojmi jéj rozwoju i postępu. Przykład jednak Anglii przekonać nas może, że równolegle z postępem społecznym i politycznym powinien się odbywać i rozwój umysłowy i moralny narodu, że niedosyć jest nadać pewnym klasom pewne prawa, lub nałożyć na nie pewne obowiązki, lecz, że trzeba jednocześnie z tém zapewnić tym klasom odpowiednie wykształcenie, za pomocą którego były-by zdolniejsze do wykonywania nowych praw i pełnienia nowych obowiązków.

Antoni Okolski.

Malarstwo na międzynarodowéj wystawie sztuki w Berlinie. *)

II.

Przeszedłem do oddziałów holenderskiego i belgijskiego malarstwa, aby nareszcie zobaczyć, jak też krajowi artyści pojmują niderlandzką naturę. I dziwna rzecz: nie spotykam prawie wcale owego białego oświetlenia, które tam monachijscy i berlińscy malarze nieustannie obserwują. Czy to dlatego, że mieszkańcy zanadto do niego przywykli, czy też panuje pod tym względem pośród Niemców moda? Co do mnie, byłbym gotów skłonić się do ostatniego przypuszczenia. Kiedy Niemiec zerwie ze słodkim idealizmem swego kraju, zapuszcza się nieraz na wskazanéj drodze i już nic po za nią nie widzi. I tak jest dziś *plein-air'u* więcéj w Niemczech niż w saméj Francyi. W Paryżu budzą się wciąż nowe indywidualności, a więc i nowe kierunki.

Same peizaże i sceny obyczajowe wiszą w holenderskich salach. Przebija się wogóle skłonność do wyłącznego studyowania barwnéj plamy, są więc i obrazy jakby zeszyte z płatków różnokolorowéj materyi. Wszelako dużo prac ładnych i szczerych: wesołe ranne światło pada na stado krów pławiących się w stawie; białością pierza świecą kaczki wśród świeżéj młodéj zieleni. Apol przedstawia brzeg zamarzłego Renu ze śniegiem brudnym, szarym, i w głębi światła wioski, która się w dzień zimowy wydaje oczywiście bliską, a płaską jak dekoracya. Jest to zjawisko zwykłe i dobrze obserwowane. De Boek

*) Zob. zeszyt 11 (Październik) z r. b.

maluje gładką, zieloną równinę o zmroku, i wlewa jakiś silny, prawdziwy nastrój w krajobraz, oświecony pierwszemi gwiazdami i okrągłym miesiącem.

Po-za krajobrazami spotykam *Sen Narzeczonéj* Martensa, słodki i nędzny obraz, znany po całéj Europie z reprodukcyi. Głowa uśpionéj dziewczyny wystaje z mglistych obłoków; Amorek całuje ją w usta. W oryginale jest to dzieło jeszcze nudniejszém, niż na fotografii. Inne prace Martensa, sceny włoskie, malowane w Rzymie, mają tę samą niemiłą barwność, spokrewnioną raz z bladym pastelem, raz z „landszaftami“, malowanemi na porcelanie. Uciekłem więc od jego robót, szukając słynnego malarza „biednych ludzi“, Israela. Znalazłem dwie jego prace, ginące w oryginalném półświetle. Z jednéj z nich nie umiem sobie zdać sprawy: nie wiem, w jakiéj porze dnia zasiadł ten chłop z rodziną do stołu; nie wiem, w jakim to zmroku giną te niewyraźne kształty. Poznaję tylko, że razem z niewytłómaczoném półświatłem zalewa izbę ta zieloność, którą dobrze znam wiosną na białych ścianach i lśniących piecach kaflowych. Widywałem ją i u nas w pierwszych dniach Maja, kiedy młode liście drzew bliskich zdają się zaglądać do wnętrza wiejskich domów. Drugi obraz Israela zaimponował mi natomiast wyrazem osłupienia i jakiéjś głuchéj boleści u biedaka, któremu w ciemnéj izbie umiera żona. Podobna praca Huberta Vosa działa jednak jeszcze silniéj. Jest to dziwny malarz ten mieszkający w Londynie Holender. Są tu dwa jego wyraziste portrety, dobre „wnętrze“ i piękny obraz nazwany *Biedni ludzie*. W nędznéj izbie o zielonych szybach, podobnéj do kajuty okrętu, umiera mężczyzna wśród bliskich: kręcą się dzieci po izbie i w kącie siedzi starzec. Okropna, rzeczywista bieda i wielki, niemy smutek, bez żadnéj banalnéj „poezyi“. Tenże sam Vos wystawia dziwaczny obraz *Home Rulers*. Są to trzy głowy męskie, trzy doskonałe portrety, którym służy za tło fantastyczny peizaż. W dyoramach, w operze ogląda się nieraz widok, który zachodzi zwolna mgłą, rozpływa się w niéj, przekształca, aż się nareszcie zupełnie inny obraz z niéj wyłoni. Otóż coś podobnego postanowił zrobić Hubert Vos, z tą oczywiście różnicą, że obrazy są tu zestawione obok siebie i zmiana odbywa się w przestrzeni, a nie w czasie. Widzimy więc w głębi ogromny okręt z masztami, potém trochę mgławicy i wieś irlandzka wystaje. Wieś przechodzi jakoś w jezioro, a zarazem majaczeje posążek Matki Boskiéj. Cały szereg przelotnych wrażeń z katolickiéj Irlandyi, szereg goniących się myśli, które malarz chciał utrwalić na płótnie.

Obraz ten przypomina, że właśnie w Belgii i Holandyi kwitnie dziś najbardziéj „symboliczna“ poezya. Jeżeliśmy wszyscy słyszeli o Maeterlincku, którego język jest wykształconemu naszemu ogółowi

dostępnym, to nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, że i w Holandyi jest analogiczna szkoła literacka. Mowa tam, jak mi opowiadano, tylko o „szklanych ciszach“ i „łzach melodyjnych“. Naodwrót nie jedna Holandya wysłała taki „symboliczny“ czy „dekadentystyczny“ obraz na wystawę; istnieje i drugi—w belgijskim oddziale. Malarz nazywa się Fernand Khnopff i ma tu dwie prace: jedna jest dobrym portrecikiem dwunastoletniego chłopca, którego czarna suknia zlewa się nieco z tłem zielonego przepierzenia pracowni, drugiéj opisać ani wytłómaczyć nie zdołam. Przedstawia ona kobietę, zwróconą ku nam prawie zupełnie *en face*, ubraną w zwykłą czarną suknię, z mieczem w dłoni. Widać ją tylko po kostki, nogi zakrywa bowiem jakaś niewyjaśniona listwa, na któréj, pod katakumbowym znakiem „Pro Christo“, świeci duży szmaragd. W powietrzu bańki mydlane: w jednéj z nich odbija się duch skrzydlaty, uwieńczony podobno cierniową koroną, druga obejmuje szklaną swą kulą kielich wyrastającéj skądściś lilii. Nie brak więc mistycznego kwiatu, średniowiecznego miecza, nieokreślonych religijnych reminiscencyi—zupełnie jak w symbolizmie literackim. Tytuł obrazu: *Samotność*.

Są szczęściem i zrozumiałe obrazy w Belgii. Reasumując świeże moje wspomnienia z tamecznéj sztuki, dochodzę do przeświadczenia, że na wystawie mogła-by była wystąpić o wiele świetniéj. Tutaj nie można sądzić o rozwoju belgijskiego malarstwa, ale jedynie o różnorodności artystycznych kierunków tego kraju, gdzie pod każdym względem żyją obok siebie najskrajniejsze, najbardziéj sobie przeciwne pojęcia i zasady. Echo politycznych i społecznych walk, panujących w Belgii, odbija się i w sztuce: nędza robotników fabrycznych i górników znajduje silny i wymowny wyraz w rzeźbach i malowidłach Konstantego Meunier'a. Na polu malarstwa jak na polu politycznego życia, zdarzają się sprzeczne kierunki Śmiałe prace impresyonistów wiszą obok obrazów takiego Olbrechta de Vriendt, który świadomie, z rozmysłem, naśladuje i stara się odświeżyć flamandzkich malarzy z XV w. i początków następnego, a ma zapewne głównie Quentin'a Metsysa na myśli. Widzę nadto Madonny na złotych tłach, czytające ze sztuczną naiwnością brewiarz, albo stojące w średniowiecznych twardych fałdach na tle wież Gandawy. Inny de Vriendt, Julian, powtarza tradycyonalne postacie na dużych religijnych płótnach. Jakaś blada Dyana, kąpiąca się w żółtém świetle, reprezentuje sama jedna mitologiczno-akademicki kierunek. Wogóle zwycięża jednak krajobraz i ściśle z nim związane obyczajowe malarstwo.

Niemasz nawet wielu portretów w ojczyźnie tylu wielkich portrecistów od Van Eycków do Van Dycka; są tu natomiast bardzo

znakomite prace. Pomijam *głowę kobiecą* Alfreda Stevensa i wyborny, zwłaszcza w ruchu, portret malarza Hermansa, malowany przez Richira, ale nie mogę się nie zatrzymać przed niepospolitemi dziełami Emila Wautersa. Napatrzyłem się ja w Belgii wielu jego prac, zwłaszcza historycznych, ale nigdy nie doznałem tak silnego wrażenia, jak tutaj. Prawda, że jadąc z ojczyzny Rubensa, jestem może skłonny do podziwu dla wszystkiego, co mi wielkiego Flamanda przypomni; ale męski portret, który tu oglądam, zbliża się do niego raczéj siłą i łatwością, niż jakiemiś drobnemi, podpatrzonemi rysami. Siedzi przed nami flegmatyczny i przemyślny blondyn, o cerze bardzo białéj i bardzo czerwonéj zarazem, jakiś zwykły Belg, który dobrze jadł, pił jeszcze lepiéj, myślał o praktycznych sprawach i używał z rozkoszą dobrobytu. Kiedy się do nas obraca, bawiąc się binoklem, wiemy, że zada jakieś proste, praktyczne, kupieckie pytanie. Obok inny portret spokojnego, inteligentnego Flamanda, z niezbędną czerwoną wstążeczką orderu Leopolda. Kobieta w czarnéj sukni na pastelu patrzy się tak żywemi oczyma, jakich się prawie nie spotyka w dzisiejszém malarstwie. W portretach Wautersa znać może trochę reminiscencyi Rubensa, ale jeszcze silniéj czuje się podobieństwo natur, tę prostotę i energię, które po wsze czasy cechowały malarzy krajowych. Oto człowiek, w którym żyje tęgość dawnych Flamandów.

Przodkowie ci artystyczni przypominają się wogóle najczęściéj podobieństwem tematów: po obfitości kwiatów, owoców, martwéj zwierzyny poznaje się potomków Seghersa, Adryana van Utrecht, Snydersa. Nie brak téż scen z tłustego pastwiska Flandryi, wybornych stad bydła rogatego, a woły Alfreda Ver Wee zajmują tu, jak zwykle, niepoślednie miejsce. Odznacza je przedewszystkiém tło, krajobraz, który tu wogóle panuje i bez którego niéma prawie scen obyczajowych. Jeden tylko znakomity obraz Struysa, *Strapione pocieszać*, odbywa się nie na Bożym świecie, ale w izbie, gdzie ksiądz staruszek siedzi naprzeciwko płaczącéj kobiety. Na słowa pociechy jeszcze tu zawcześnie, odświeżają tylko boleść, i kobieta ze łkaniem podniosła fartuch do oczu. Carpentier wystawia doskonałą zwózkę buraków, van Leemputten *Palmową Niedzielę* we wsi flamandzkiéj, pod czerwonym starym kościołem: zdaje mi się, że jeszcze jestem tam, w Belgii, i patrzę na te spokojne twarze, niebieskie bluzy i czarne malownicze płaszcze kobiet. Coosemans, bardzo utalentowany peizażysta, zawodzi moje oczekiwanie: brak jakoś poezyi i nastroju wielkiemu obrazowi, gdzie stoją drzewa w jesiennych barwach. Za to jaki ranek, jakie słońce u Courtensa: jaka świeżość *zelandzkiéj wiosny* Teodora Verstraete! Nie brak oczywiście ani morza, ani nadmorskich wybrzeży. Stevens, którego karnacye wydają mi się często

sztucznemi i którego nie mogę cenić tak wysoko, jak to ogólnie czynią, wystawia, obok niemiłéj *Ofelii* i lepszego już wnętrza z portretami, oryginalny morski krajobraz. Niebo ponure, fioletowo-czarne, a fala, poplamiona ławicami piany, jest pod tém niebem zupełnie ciemno-zieloną. Kto, znając morze, powie, że to jest prawdziwém, to zaś niemożebném? Zwłaszcza, kiedy obraz wydaje się prawdopodobnym i odczutym, a szczerą jakąś grozą przejmuje? Emil Claus jest dotąd mniéj słynnym od Stevensa, ale widzowi berlińskiéj wystawy zostaną w pamięci i jego imię, i dwa jego obrazy. Jesienném popołudniem, przejrzystém i spokojném, stoi łódź rybaka na dawném łożysku rzeki; w powietrzu ów delikatny blask pięknych dni wrześniowych, blask srebrny, przerywany oparami; w naturze całéj nastrój trochę smutny, ale łagodny i błogi. Wielka cichość nad nieruchomą wodą. — Tu znowu rzeka zamarzła. Wieczór zimowy, zorze zachodu purpurowe i złote, niebo czerwonawe a mętne. Lód na kanale różowy, śnieg niebieski; na takiém tle sylwety chłopców czarne. Tak skupionego, tak ściśle określonego wrażenia nie wywołał-by chyba piórem sam Loti, sam Sienkiewicz. Pisarze mogą tylko wzbudzić nieokreślone uczucie, a nie wszyscy malarze zdają się wiedzieć, jak Claus, co to za rozkosz chwytać i oddawać poszczególne chwile, z których każda przynosi swoją właściwą piękność, przepadającą niepowrotnie z nią razem.

15 Września.

Spuścizna wielkich malarzy, owych „mistrzów z przeszłości“, których z taką miłością studyował znakomity francuski malarz współczesny, Eugeniusz Fromentin, nie gra, jak widzieliśmy, zbyt wielkiéj roli w dzisiejszych Niderlandach. Spotkaliśmy się raz jakby z reminiscencyą Rubensa, raz z ochotą wskrzeszenia Quentin'a Metsysa; nie znaleźliśmy żadnych śladów obyczajowego malarstwa XVIII wieku, nic, coby przypominało Teniersa albo van Ostade'a i Tor Borcha. Nawet krajobraz rozwija się dziś żywiéj w Belgii, niż w Holandyi, więc nie w téj części ziemi niderlandzkiéj, gdzie działał Ruysdael lub Van der Welde: peizaż dzisiejszy nie ma zresztą nic wspólnego z nimi. Tradycya przerwała się prawie zupełnie.

O wiele silniéj występuje to samo zjawisko we Włoszech. Każdy, kto w Rzymie lub Florencyi znalazł dość czasu, aby się sztuką współczesną zajmować, wie z góry, że we włoskich salach wystawy nie spotka się z żadną reminiscencyą Quattrocentistów. Podróżny wywozi nawet często to przekonanie, że admiracya dla zabytków sztuki nie jest bardzo czynną we Włoszech, że inny kraj otoczył-by je sta-

ranniejszą opieką. Rzymianie decydują się łatwo na zburzenie ciekawego gmachu w celu przebicia prostéj i szerokiéj ulicy. Zdaje się czasem, że zapatrzyli się na Berlin i radzi-by swój Rzym pociąć na regularne kwadraty. Tradycya nie przygniata więc we Włoszech artystycznéj produkcyi. Sztuce brak tam nie swobody, ale kierunku; zerwała z przeszłością ale rady sobie jakoś dać nie umie. Gdy sięga po francuskie wzory, wpada łatwo w przesadę lub rutynę. W każdym Włochu siedzi gotowy wirtuoz. Nie mówię już o słodkich pracach takiego Francesco Vinea, którego najświeższe dzieła kwalifikują się na wachlarz; ale nawet ów Paolo Michetti, odznaczony wielkim złotym medalem, psuje nieraz elegancyą techniki, słodyczą, jakby Łukasz Górnicki powiedział: „przysadą“, dobre swoje obrazy, że wspomnę tylko *Boże Ciało w Abruzzach* z procesyą nagich chłopczyków, zakupione przez niemieckiego cesarza. Małe ludowe sceny z Abruzzów są natomiast wytworne, wykończone, a nie przemalowane ani suche, pełne prawdy, powietrza, życia. Favretto szkicuje tylko *Targ* i *Spacer*, ale nadaje postaciom znakomitą charakterystykę i ogromnie wiele ruchu. Portretów niéma prawie wcale; religijne obrazy naśladują nie dawnych Włochów, ale Overbecka; historyczne płótna walczą o byt dobrém wykonaniem akcesoryów. Dużo natomiast krajobrazów, robionych olejno, akwarelą i pastelem, dużo dobrych prac, co się po części i tém tłómaczy, że powydobywano bardzo wiele obrazów z publicznych i królewskich galeryi i przewieziono na popis do Berlina. Krajobrazom nie brak nastroju i poczucia: Sartorio oddaje w szeregu pastelów pustkę i ciszę Kampanii, Ettore Tito przedstawia brzeg jeziora Garda, Brancaccio chwyta umiejętnie chwilowe oświetlenia i barwne zjawiska, wypisując nawet na dole obrazu „Via Toledo, impressione di pioggia“ [1]). Umiał tu rzeczywiście wydobyć większe natężenie barwnych plam po deszczu. Na inném płótnie oddał efekt słonecznego dnia, w którym domy nad zatoką są tylko białemi plamami na tle niebios jasnych, a na mleczno-błękitną wodę rzucają łodzie cień zielony. Wszystko to dobre i zajmujące prace; włoskim malarzom wyrósł jednak ponad głowę Giovanni Segantini.

Mieszka w Medyolanie i bierze chętnie góry za tło swoich scen wiejskich, góry o stokach zielonawych, o szczytach śnieżnych, grające różnorodnemi barwami w zimnych oświetleniach poranka. I fantastyczna jego *Nirwana* odbywa się w śnieżnych górach. Lubi on wogóle zestawiać chłodne tony ze sobą i otrzymuje w ten sposób niespodziewane efekta słonecznych oświetleń. Zadziwia zrazu sposobem

[1]) Ulica Toletańska (w Neapolu), wrażenie dżdżystego dnia.

malowania: farby są nakładane w ten sposób, że z bliska wydaje się obraz haftem włóczkowym; wystarczy jednak odejść kilka kroków, aby się przekonać, że to nie malowanie, ale życie. Dziewczyna siedzi w słońcu, pasąc owce, wieś w głębi zdaje się płaską w ranném oświetleniu. Do wioski w górach zdąża po śniegu staruszka z drzewem na saneczkach; wszystko szarawe: niebo i wieś, i śnieg, ubity, przyklęśnięty odwilżą. Bardzo wczesną wiosną zaczyna się orka w Engadynie. Poranek jasny, przezroczysty, jak to u nas bywa czasem w Marcu, kiedy się zdaje, że ktoś przemył zimowe szyby, dzielące nas od świata, i wszystkie barwy zaczynają grać na nowo. Co ich tu jest i jakie ciekawe! Na spocone konie padają fioletowe refleksy, na zielonych stokach śnieżnych gór jest błękit, są i rudawe tony — ale cały obraz dyszy świeżością, chłodem ranka i wiosną.

Może dlatego nie trzymają się Włosi naturalnéj artystycznéj tradycyi, że widok wpływu, jaki Quattrocentiści wywarli na Anglię, zniechęcił ich do tego. W pierwszéj połowie naszego stulecia zwrócono się w kilku krajach do malarzy włoskich przed Rafaelem, ufając, że da się znowu powołać do życia naiwność ich i młodzieńczość. W Niemczech poszli tą drogą „Nazareńczycy“ z Corneliusem i Overbeckiem na czele, w Anglii cały zastęp prerafaelitów, których mówcą i hersztem wobec publiczności był słynny krytyk sztuki, John Ruskin. Portret jego, pędzla Huberta Herkomera, wisi tu na wystawie: nie można się oderwać od téj wykwintnéj, mądremi oczyma spoglądającéj głowy. Ślady prerafaelityzmu są do dziś dnia widoczne w malarstwie angielskiém, a jeżeli się nie wszyscy zaciągają do naśladowców Botticellego, to wielu artystom W. Brytanii śni się przynajmniéj o ciepłym tonie Giorgione'a. Patrząc na prześliczne Angielki, przechadzające się po wystawie, przyszło mi na myśl, że wobec kobiet o tak szlachetnych, tak regularnych rysach, musiało powstać w malarzach przekonie, że tradycya dawnéj sztuki jest nieprzerwana, że może ożyć odrazu, że chodzą dotychczas po świecie modele idealnych obrazów. Tylko trochę weneckiego złota na te ciała białe! Ale ciepły koloryt pozostał sztuczną, narzuconą barwą, ześliznął się po powierzchni obrazów, a chłód, który dla nas tak często wieje od tych pięknych, złotowłosych kobiet, zamieszkał na płótnach. Kiedy Leighton maluje *Sybillę*, myśli wciąż o prorokiniach, które Michał Anioł posadził na suficie Sykstyny, wydłuża jéj nogi i ramiona, nadaje pozę poufałą a pełną śmiałości, zapożycza nawet koloryt od fresku. W *Idylli* przypomina sobie znów jakiegoś Wenecyanina; ale kobiety, z których jedną ubrał biało, drugą w płomieniste kolory, są, bądź co bądź, tylko angielskiemi damami, które pozują na damy Renesansu,

jak postacie w powieści Vernon Lee (Miss Paget) *Miss Brown*, ciekawéj książce o późnych prerafaelitach Anglii. Nie pomógł obrócony tyłem, nagi mężczyzna, grający na flecie, nie pomógł krajobraz, o smugach srebrnych naprzemian i złotych. Richmond umie pysznie obserwować naturę – dowodem portret anglikańskiego biskupu z Durham,— ale nie może się pozbyć zachcianek naśladowania Włochów. Portret Darwina w czerwonéj todze zdradza chęć zbliżenia się do takiego Tintoretta; tonącéj w złotych tonach kobiecie brak w traktowaniu energii, a *Venus* i *Anchizes* świadczą znowu o reminiscencyach Botticellego, najbardziéj naśladowanego w Anglii Quattrocentisty. I Hubert Herkomer, Tyrolczyk, pracujący w Anglii, nie zdoła się z tych wpływów otrząsnąć. *Nasza Wieś* nie jest chyba wsią angielską: oświetlenie zbyt ciepłe, karnacye zbyt weneckie. Portrety, między któremi jest i ojciec malarza, stary tyrolski stolarz, tracą przez to czasami na właściwym charakterze. Portret Bechsteina robi dlatego wrażenie, że światło pada wyłącznie na młodą głowę o siwych włosach, cała zaś postać pozostaje w cieniu, głowa zdaje się zatém silnie wystawać z ramy. Portret młodéj kobiety w czarnej sukni i na czarném tle, widocznie do pary z Miss Grant, białéj na tle białém, jest za to prześliczny, chociaż i on grzeszy może zbytkiém żółtych tonów. Bądź co bądź, należy on do najpiękniejszych obrazów wystawy i patrzy się tak mądrze, żywo i chłodno, jak słynna siostra w bieli. Napis na ramie, podobno cytata z Danta Rosetti, mówi, że „weszła w nastrój boski, w ciszę zapomnienia o saméj sobie“, ale ma ona zarazem i ten wyraz wyniosłéj obojętności, który charakteryzuje kobiece portrety Herkomera.

Mnóstwo innych wybornych portretów. Nikt nie posiada może w tym stopniu, co Anglicy, daru wiernego, przenikliwego oddania ludzkiéj twarzy. Przywodzi to nieustannie na myśl i subtelne psychologiczne powieści Anglików, i wielkie mistrzowstwo Holbeina, którego tyle portretów powstało i pozostało w Anglii. Proszę tylko spojrzéć na *kardynała Manninga*, malowanego przez Oulessa, na portrety Shannona. Jeden z nich przedstawia starego, silnego mężczyznę ze szpicrutą w ręku, w stroju myśliwskim, zielonym fraku i wysokich butach. Twarz typowo-angielska o dużym nosie i siwych jedwabistych włosach. Wobec potężnéj charakterystyki ginie tu znowu wszelka myśl o technice. Na drugim portrecie młoda kobieta o ładnych ramionach, ubrana w czarną suknię, stoi na tle szarém. Nie jest ona zupełną pięknością, ale, dzięki malarzowi, znamy ją, jak gdybyśmy z nią długo przestawali, i wiemy, że jest uroczą i miłą. Millais, autor tylu znakomitych portretów, jak np. ów stary królewski gwardzista, ubrany w strój czerwony, nie podtrzymuje dawnéj re-

putacyi. Obraz jego zowie się „ostatnia róża“ i jest równie banalny w pojęciu, jak w tytule. Kobieta w wielkim kapeluszu à la Rembrandt, czerwonéj mantyli, płowéj sukni, obrywa listki róży ręką, w któréj niéma kości. Całość w kolorycie twarda i brudna zarazem.

Burne Jones nie przysłał ani jednego dzieła na wystawę; Alma Tadema wydaje wojnę perspektywie; Johna Gilberta reprezentuje tylko akwarela, potężne w barwie *Koncylium*. Niéma prawie krajobrazów ani scen historycznego malarstwa. Z pomiędzy scen obyczajowych wymienię tylko *Zakochanych* Marka Stone i *Licytacyą*, którą wystawia Stanhope Forbes. Chociaż jest trochę lizany i suchy, wspominam o pierwszym z tych obrazów głównie dlatego, że go reprodukcye rozsławiły po świecie. W doskonałém oświetleniu, pod gęsto uliścioném drzewem siedzi, szyjąc, dziewczyna; naprzeciw niéj zadumany młodzieniec. Coś się tu dzieje, coś ważnego się stanie. Czekają oboje: ona, aby się jéj oświadczył, on, aby przyszła na niego ostateczna odwaga powiedzieć „kocham“ téj pięknéj złotowłoséj dziewczynie. *Licytacya* jest zupełnie innéj, zupełnie pierwszorzędnéj wartości. Odbywa się ona w izbie niezbyt jasnéj, ale za oknem widać szereg głów, zaglądających do wnętrza; a różnica w traktowaniu twarzy na wolném powietrzu i w zamkniętéj sali wystarczyła-by na wyróżnienie tego obrazu wśród wielu prac wystawy. Jak się te dwie grupy różnią od siebie, tak się znów między sobą odznaczają indywidua. Charakterystyka jest niezwykłą, a niemasz jednak w obrazie żadnego, ani jednego, melodramatycznego szczegółu.

Słyszałem, że obraz ten nie jest odosobnioném zjawiskiem, że się i w Anglii budzi ruch realistyczny. Mówiono mi o gromadzie młodych malarzy, którzy żyją osobno, w pobliżu Londynu, i miejscem pobytu, jak ideałami, są oddaleni od ogółu kolegów. I prerafaelici tworzyli niegdyś drobne, zwarte kółko, którego członkowie nazywali się braćmi; a jednak nadali na długie lata kierunek ojczystemu malarstwu. Czy nowa falanga osiągnie taki wpływ, czy będzie mniéj jednostronną? Widz, który wie, że się duchami nie rządzi, czeka spokojnie dalszych objawów nowego kierunku. Wszelako, patrząc na takie dzieła, jak to, które daje Stanhope Forbes, musi ten kierunek powitać życzeniami rozwoju.

16 Września.

Zasada prawdy w sztuce, którą sobie za hasło wzięła kolonia młodych angielskich artystów, panuje wyłącznie u giermańskich ludów północnéj Europy. Nie mówię tu o sztuce szwedzkiéj, bo podobnie jak

russka, szwajcarska lub turecka, ma ona w Berlinie tak mało przedstawicieli, że żadnego o niéj sądu wydawać nie można. Mam raczéj na myśli Danią i Norwegią, dwa kraje pokrewne językiem, pojęciami i literacką działalnością. Śmiały duch Ibsena i Björnsona objawia się po części i w malarstwie. Nie odstrasza tęgich tych ludzi wzgląd na filozoficznych i stokroć zajadlejszych estetycznych przeciwników.

Dania wydaje się o tyle mniéj radykalną, że wystawia mało krajobrazów a dużo scen obyczajowych i portretów. Pomiędzy ostatniemi wymienię pracę Berty Wegman, kobietę, patrzącą się wybornie żywemi czarnemi oczyma, oraz dwa dzieła Achena. Jedno przedstawia malarza, drugie — starą, otyłą kobietę, o twarzy dość pospolitéj, ale traktowanéj z taką miłością, obdarzoną wyrazem tak niezmiernéj dobroci, iż nie potrzeba zaglądać do katalogu, aby wiedzieć, że artysta malował tutaj własną matkę. Stara to prawda, zdobyta dawno przez historyą sztuki, że niéma to, jak portrety drogich malarzowi osób; w zbiorze rysunków galeryi berlińskiéj jest jeden przykład, który za setki starczy: kredkowy portret matki Dürera, wychudłéj, biednéj, pozowaniem trochę zmęczonéj, staruszki.—Duńska wystawa obejmuje nawet jeden obraz o treści wziętéj ze Starego Testamentu, *Adama i Ewę* Paulsena. W Ewie niéma ani jednego rysu owéj potężnéj matki rodzaju ludzkiego, którą malował w Sykstynie Michał Anioł a Rafael na suficie Stanz. Na osłupiałego przed nią Adama patrzy się tu ona piękna, naga, młoda, zaufana w swoją tragiczną potęgę, a z oczu jéj znać, że pierwsza zaraz kobieta musi zgubić pierwszego mężczyznę.

Krajobraz zrósł się w Danii z malarstwem obyczajowém. Jedno morze Lochera, sine pod fioletowemi górami, nie przedstawia żadnych rysów obyczajowych. Ancher rzuca silne żółte światło zachodu na niebieską falę i niebieskie kabaty majtków. Malarz ten chwyta mistrzowsko typy północnych marynarzy. Na drugim jego obrazie patrzą się spokojnie dwaj żeglarze, szaremi, niby obojętnemi, oczyma, obserwując to niezbadane morze, od którego jutrzejszy połów, wyprawa, jutrzejszy los i życie nawet zależy. Jaka też to rozkosz, kiedy kto wróci z za morza i znowu w kółku przyjaciół zasiądzie. Po za kilku starymi Holendrami, którzy umieli oddawać poezyą cichego wnętrza, nikt tego tak nie pojmuje, jak Duńczycy. Obraz Johansena przypomina mi pierwszy akt *Wroga ludu* Ibsena, gdzie kapitan okrętu zasiada do pączu w domu doktora Stockmanna. Jest widocznie w tém kole ktoś, który wrócił z daleka i opowiada, a w charakterystyce tych osób tkwi podobieństwo do psychologicznego mistrzowstwa Ibsena. Jeden z obecnych zamyślił się w błękitnym dymie cygara i patrzy w dal szklanemi oczyma. Opowieść działa silnie na zadumaną dziewczynę, którą druga kobieta obserwuje, nie zważając na samą treść

rozmowy. Na stole pali się lampa, sama pod osłoną blada, ale rozlewająca ciepłe światło dokoła. Lampa jest symbolem rodzinnego dzisiejszego życia, jakiejś swojskości i pogodnego bytu. Mniéj mi się już podoba obraz Kroyera, *Muzyka w pracowni*. Zanadto tam chyba sino od świec, palących się wśród dymu cygar, wszelako portrety artystów w Kopenhadze są pełne życia i wyrazu.

W norweskim dziale same krajobrazy, nieliczne ale znakomite. Malarze tego kraju nie lękają się, jak to czasem u nas bywa, wystawiać obrazy pustki i nędzy. Skramstad maluje widok zimowy, bez żadnych ozdób, upiększeń, bez chęci „uszlachetniania“ natury. Jest to po prostu kawał świata, otwarcie przeniesiony na płótno: smutno tam o zmroku na śniegu bez blasków, ponura pustka w opuszczonym i niewdzięcznym kraju, oświeconym bladą tarczą zamgławionego księżyca. Na *Porcie w wyspach Lofoden* Gunnara Berga szarzeją skały, pokryte śniegiem, szarzeją ponad niemi ciężkie, obwisłe obłoki; zastój w zatoce, gdzie na ciemnéj wodzie pływają kawały lodu, kry olbrzymie, a obciążone okręty o rudych żaglach stoją nieruchomie u brzegu. Grimelund wystawia *Letnią noc w Norwegii*, jakby z fantastycznym okrętem-upiorem, i jasny słoneczny ranek, gdzie zielone cienie okrętów padają na morze błękitne i gładkie jak jezioro. Skały Normanna sterczą nad fiordem, fioletowe w głębi, a fala jest znów spokojna porankiem, przejrzysta, napojona słońcem. Inny obraz artysty przedstawia *Letnią noc na Lofodach*, różową, jak nasze zachody słońca, niebiosa o zapalonych czerwienią chmurach, stada mew przysiadające na fali. Mógłbym jeszcze przedłużyć ten suchy katalog dzieł, pełnych dla widza uroku, nastroju, przejmujących poczuciem zimna. Jak dzisiejszych turystów, znużonych Szwajcaryą, tą dziedziną Baedeckera, tak pociągają oglądających obrazy te widoki północne, smutne, nędzne, ale charakterystyczne i nowe.

Mówiłem już, że jedynie amerykańscy malarze mogą nam dać wyobrażenie o francuskiéj sztuce. Dodać muszę, że, niestety, tylko o niéj. Nie spotykam między ich dobremi dziełami ani jednego, które-by tematem i techniką nie było francuskiém, a w notatkach moich dzisiejszych nie zapisałem malarza, który-by nie mieszkał w Paryżu albo pod Paryżem. Jeżeli się przypadkiem zdarzy dzieło rodzinne, nie robione we Francyi, to odwracamy zaraz od niego oczy. Nie możemy więc nigdzie wejść w życie, w naturę kraju, jak to bywało w Danii i Norwegii.

Od dzisiejszych Francuzów nabrali Amerykanie technicznéj wprawy i przyjęli ich tematy, *plein-air'y* lub sceny z życia biednych ludzi,

oraz ich ton ulubiony, fioletowy albo też błękitny. Dziwna to rzecz, jaką rolę gra w sztuce moda, jak mało ludzi patrzy własnemi oczyma. Każda niemal szkoła, każda stolica artystycznego ruchu, każda epoka posiada zazwyczaj pewną barwę, którą we wszystkiém widzi, wszystko nią maluje, uważa ją za ogólną receptę na wszystko. Po tonach rudawych przyszła dziś kolej na fioletowe i zimniejsze błękitne. Jest ich w naturze z pewnością więcéj, niż ich widziała poprzednia generacya; cóż my na to poradzimy, że fala morska, padając jasnym dniem na piasek, ma fioletowe odbłyski, że nagie gałązki brzóz przybierają wiosną fioletową barwę? Nie jest to wszelako powód, aby wszystko tym kolorem malować, jak to zaczynają robić i u nas, i w Ameryce. Melville Dumond wystawia wnętrzne szkoły, gdzie światło pogodnego ranka jest sinawe, jak światło lampy elektrycznéj. Ławki szkolne, zielone i białe suknie uczennic, kornet zakonnicy—wszystko jest błękitne. Tylko lilie żółcieją, i tam, gdzie wprost pada promyk słońca, tam rzuca żółte plamy. Walter Gay widzi wszędzie kredowo-białe światło, podobnie jak Mac-Ewen, który nas wprowadza do holenderskiego domu w dzień zaduszny: stary ojciec zasnął, córka czyta biblię, umarła matka zasiada, jak przed laty, na zwykłym fotelu. Sprague Pearce traktuje dobry swój kobiecy portret w nowomodny sposób i oświetla go oryginalnie z tyłu. Drugi raz przedstawia *Wdowę* w matowych kolorach, jakby widzianą przez potrójną gazę. Najznakomitszą z jego prac jest *Pasterka*, powstała pod wpływem Juliusza Bretona, duży obraz, gdzie horyzont wypada bardzo wysoko, tak, że postać dziewczyny, opartéj rękoma na kiju, ma za tło pole z kopicami zbóż i pastwisko, po którém owce chodzą; nad widnokręgiem unosi się nieco chmur szarych, które nadają ton całemu obrazowi. *Wdowa* Grenet'a idzie wieczorem w jakimś paryskim ogrodzie, w chwili, kiedy się wielkie domy profilują szaro i sinawo, a drzewa alei spływają się w jedną masę zielonawo-matową; młoda, czarno ubrana kobieta idzie sama, a tu już zasiadają pod drzewem zakochane pary. Obraz Vaila, *Na Tamizie*, przedstawia dwie dziewczyny i chłopca, jadących łodzią po mętnéj, żółtawéj wodzie. W głębi sterczy las masztów, rysuje się duży okręt, a w rudém powietrzu unoszą się sadze wielkiego fabrycznego miasta.

Prawdziwych francuzkich obrazów, malowanych przez Francuzów, jest zaledwie kilka, a między niemi odznaczone honorowym dyplomem *Kobiety u grobu Chrystusa* i *Madonna*, dzieła słynnego Bouguereau, słodkie, zimne i blade. Napróżno chce malarz ożywić postacie, odważa się na pewne skrzywienia twarzy u płaczących niewiast; porcelanowym tym figurom nic nie pomoże i nic ich nie pozbawi ad-

miracyi „filistrów“. Z nielicznego szeregu francuskich artystów wspomnę jeszcze Gastona La Touche. Wystawia on doskonałe wnętrze ubogiego domu w dzień uroczysty i pogodny, rzucający żywe odbłyski do mieszkania.

Jak o całém wielkiém francuskiém malarstwie, tak i o obfitéj działalności jednego znakomitego artysty nie pozwala sądzić wystawa berlińska. Kilka słabych prac nadesłał Arnold Böcklin. Szwajcar ten jest dziś może najwyższym reprezentantem giermańskiego pierwiastku w sztuce, mistrzem téj sztuki nastroju, którą po części uprawiali Dürer i Holbein, a w tak wysokim stopniu szereg Holendrów z Rembrandtem na czele. Kto go nie zna z galeryi hrabiego Schacka w Monachium, z większych i mniejszych niemieckich muzeów, jak drezdeńskie, berlińskie, wrocławskie, ten nie może mieć pojęcia o wielkim malarzu panteiście. Z iście południową znowu siłą i swobodą personifikuje ten człowiek przyrodzone potęgi i stwarza sam jeden trytony, nereidy i nimfy, jak to przed kilkudziesięciu wiekami czynili niezliczeni helleńscy rzeźbiarze. Obecne jego dzieła są kaprysami genialnego człowieka. *Zuzanna w kąpieli* to tylko owoc jakiegoś antysemitycznego zapędu, bo zaraza ta, która się chyba wyższéj duszy chwycić nie może, opanowywa jednak czasem wysokie talenta. Ani *Święto Bachusa* z ciemną zielenią drzew i stalowo-ciemnemi niebiosami, ani ożywiona barwą liści jesiennych i purpurą jeźdźców *Droga do świątyni* nie zbliżają się nawet do takiéj *Świątyni Heraklesa* we Wrocławiu. *Cisza morska* jest słabém odbiciem *Morskiéj idylli* u Schacka, bladém powtórzeniem tego pysznego obrazu, gdzie się wieczorem ogromna smutna cisza rozprzestrzenia nad przypływem morza, gdzie nereida bawi się bajecznym morskim wężem, a stary, brodaty i włochaty tryton zwołuje braci, trąbiąc w krętą muszlę.

Łatwo się nam było oswoić z faktem, że cały szereg słynnych malarzy schodzi już dzisiaj do konwenansu i maniery. Zbyt trudno pogodzić się z myślą, że Böcklin przestaje po dawnemu tworzyć. Dlatego nie zatrzymujemy się nad słabemi dziełami, po których może jeszcze nastąpią znakomite. Idźmy daléj, powtarzając sobie słowa, któremi się Noc Michała-Anioła odzywa do widzów: *parla basso*!

17 Września.

Mówiąc o malarstwie belgijskiém, wspomnialem, że nie objawia się ono w całéj sile na obecnéj wystawie. Dlaczegóż, znając naszą artystyczną produkcyą lepiéj od belgijskiéj, nie miałbym o niéj tego

samego powtórzyć? Trzeba przyznać naszym malarzom, że zdobyli tu sobie odrazu pierwszorzędną pozycyą i że zdaniem ogółu najlepszemi oddziałami są: nasz, hiszpański i drobny, ale wyborny, norweski. Krytyka niemiecka podnosiła znakomite zalety naszych malarzy i znajdowała w nich wielką oryginalność, wspólną jakąś cechę, objawiającą się u wszystkich, bez względu na to, czy studyowali w kraju lub za granicą, czy przebywają w Monachium lub w Warszawie.

Kto jednak nie spuszcza z uwagi ani wystawy Towarzystwa Zachęty, ani salonów Krywulta, kto stale śledzi rozwój naszéj sztuki, ten się nie może oprzéć przekonaniu, że można było jeszcze świetniéj wystąpić w Berlinie. Opanował mię nieraz żal, że niejedno imię nie zdoła tu sobie wyrobić zasłużonego rozgłosu. Scena z XVIII wieku, odbywająca się *w altanie*, i doskonały widoczek z warszawskiego Starego-Miasta, nie mogą dać pojęcia o talencie Aleksandra Gierymskiego; szukamy napróżno jego *Żydów modlących się nad Wisłą*. Malarz Witkiewicz, którego krytyk Witkiewicz rad szkaluje, wystawia dwa drobne obrazki, z których jeden jest pięknym tatrzańskim widokiem, ale trzeba-by tu mieć jego *Trójkę*, pędzącą po śniegu, albo *Rannego przed chatą*. Żal mi szczególnie Pruszkowskiego, reprezentowanego jedynie dobrym kredkowym portretem p. Bałuckiego i ładną, lecz nieco zmanierowaną, *Sielanką*; w artyście tym widziałem zawsze niepospolitego malarza i poetę ludu. Nie mogę zapomnieć ani *Zielnéj niedzieli*, ani jego smoków, dyabłów na suchéj wierzbie, całego świata rodzimych podań, w którym z takiém prawem, z taką swobodą gospodaruje. Nie spotykam na wystawie żadnego obrazu, który-by mię przeniósł w to swojskie, zaczarowane koło. Inny, mniéj prosty, charakter mają bowiem Nimfy i Satyry, które się Piotrowskiemu podobało posadzić w jesiennym polskim lesie, pod drzewem, gdzie wisi obrazek Matki Boskiéj, w ślicznie odczutym, dalekim krajobrazie. I Malczewski nie przysłał tych prac, w które najwięcéj duszy wkłada. Prócz wspomnianego już malarczyka, wisi tu drugi, duży jego obraz, przedstawiający jakby tego samego chłopca, bez alegorycznych figur i bez starego nędzarza. Siedzi on zadumany na ławce, a wkoło niego wielki, nieco przymglony, październikowy krajobraz, o lśniącéj trawie, nasyconéj wilgocią, o żółtych liściach, które wiatr strząsa na ziemię. Odezwał się tu ten pierwszorzędny pejzażysta, który w duszy Malczewskiego drzemie, odezwał się i ten największy obok Chełmońskiego poeta, którym się malarstwo nasze szczyci. Koloryt jest, jak zawsze, trochę twardy, ale postać chłopca wychodzi do tego stopnia z ram, że niewiele obecnych tu obrazów rywalizować z nią może.

Religijnych dzieł jest i u nas nie wiele, ale nie brak im oryginalności. Powiewny, trochę nawet w kabłąk zgięty, anioł na *Zwiastowaniu* Piątkowskiego, stanął przed Madonną pośród zielonéj łąki. Wyróżniając i charakteryzując Chrystusa bez pomocy świetlanych aureol, pozyskał Piechowski tyle pochlebnych ocen *Ukrzyżowania*, że nie bez wahań zapisuję tu moje osobiste zastrzeżenie: oto gwałtowność kompozycyi wydaje mi się trochę sztuczną, karnacye są twarde, a koloryt jakiś porcelanowy i lśniący. Akademicki kierunek nie ma przedstawiciela: nie należą tu ani wspomniane nagie *Nimfy i Satyry* Piotrowskiego, ani delikatna dziewczyna Szyndlera, stojąca w łaźni, tyłem obrócona do widza.

Matejko i Siemiradzki wystąpili „hors concours.“ Ten ostatni rzuca znowu jasne „oka“ słońca i roztacza znowu rzymskie orgie, ale to już nie ta sama świeżość krajobrazu, nie ta sama zmysłowa poezya starożytnego świata, nie ta sama, co niegdyś, prawda i natura. Gdzie jest „Taniec wśród mieczów“, gdzie ta pełnia życia, gdzie ten blask słońca, gdzie krajobraz, tak poetycznie odczuty? Matejkę reprezentuje *Kazanie Skargi*, zrudziałe, źle zawieszone, a zawsze wyróżniające się, pod pewnym względem jedyne wśród prac historycznych wystawy. Nie codzień spotyka się płótno, gdzie-by tak silne i różnorodne duchowe procesa były pochwycone i oddane z taką subtelnością i potęgą zarazem. Z mniejszych prac artysty znajdujemy *Borkowica*, *Władysława Białego* i ów historyczny żart: *Czytanie wyroku śmierci* na Jana Matejkę, piękny i dziwny obraz, który na myśl przywodzi, że i słynny dziś, uwielbiany artysta, był kiedyś rewolucyonistą w sztuce, kacerzem, nie uznawanym przez „znawców.“ Silny to doprawdy krzyk zachęty dla młodych, którzy sobie dziś muszą wywalczać stanowisko. Z innych historycznych obrazów wspomnę dzieła Wywiórskiego, *Klientów* Bakałowicza i wybornie na nich oddane alabastry, oraz dwie kozackie sceny Józefa Brandta. Są to, jak zawsze, dwa ciekawe, wystudyowane obrazy, robione, jak sądzę, przy pomocy momentalnéj fotografii i może mniéj odczute od dzieł dawniejszych.

Matejko wystawia i portret: Stanisław Tarnowski stoi w czerwonéj rektorskiéj todze, z berłem w ręce. Przypuśćmy, że ktoś po wielu latach będzie chciał wiedzieć, jak wyglądał wytworny prelegent, krytyk nieraz gwałtowny, ale taki zawsze pełen estetycznego poczucia. Stojąc przed portretem Matejki, nie będzie on mógł pogodzić z malowanym Tarnowskim tego drugiego, którego obraz na podstawie pism sobie utworzy. Nie uwierzy może portretowi i będzie miał racyą. Jeżeli zaś po stu latach zechce kto pytać portretu Pochwalskiego, jakim był w życiu, jak wyglądał, jak patrzał i uśmie-

chał się Henryk Sienkiewicz, to znajdzie na płótnie przyczynek do charakterystyki człowieka i pisarza. Portret ten nie posiada oczywiście Matejkowskiéj siły, a w oświetleniu berlińskiém wydaje się nawet jakoś trochę płaski i blady; ale niepodobna nie uznać, ile smętnéj poezyi jest w oczach autora „Hani“ i „Jamioła“, jak się z drugiéj strony objawia pewna szlachecka fantazya u człowieka, który, stworzywszy Zagłobę, kładzie tak rękę, jakby się chciał wziąć pod boki. Jeszcze lepszemi są inne prace Pochwalskiego: ów pan, elegancko ubrany i otyły, tak występujący naprzód, że ludzie wahają się, czy przejść obok obrazu; albo ów staruszek, patrzący się mądremi, przenikliwemi oczyma.

W pannie Bilińskiéj uznano dawno wielkiego „malarza“: jest coś męskiego, energicznego w jéj pracach. Nawet tam, gdzie wychodzi na jaw pewna twardość kolorytu, zanika ona w oczach widza wobec siły charakterystyki, życia, artystycznéj szczerości. Dama w zieloném futrze, malowana w Paryżu i po parysku, a zwłaszcza, reprodukowany akwafortą przez Łopieńskiego, portret własny, należą do najlepszych prac na całéj wystawie. Panna Boznańska, utalentowana malarka, któréj jeszcze daleko do sławy i wprawy Bilińskiéj, jest tu niefortunnie reprezentowaną. Widzi ona tylko plamy, tak dalece, że kobieta na jéj portrecie nie ma już kształtów, ciała, i jest tylko pretekstem do malowania sukni. Główka pastelowa świadczy natomiast o ogromnym talencie autorki. Portretów wogóle nie brak; pomijam rudą pracę Marcelego Krajewskiego i surową robotę Styki, aby zapisać śliczne, delikatnie wykończone, a jednak nie „lizane“, dawne dzieło Henryka Rodakowskiego.

Nic w tém dziwnego, że tyle u nas scen obyczajowych; bo gdzież znajdzie się jeszcze tyle typów, tyle charakteru wśród ludu, tyle malowniczości, jak pośród naszéj biedy? Dodajmy, że malarze wyprzedzają dziś nasz ruch umysłowy, wiedzą instynktownie, gdzie jest życie i czują talentem, skąd wiatr wieje. Jak przed laty odczuł Matejko historyczne prądy i potrzeby społeczeństwa, tak się dziś malarstwo zwróciło do ludu i zajmuje się nim więcéj, niż literatura, a zwłaszcza prawdziwiéj. Jedni, jak Stachiewicz, pojmują go wprawdzie jeszcze idyllicznie, w stylu Lenartowicza; ale i jego cykl *Dziad i baba* stoi i obserwacyą a nie tylko wdziękiem. Drudzy, jak Pruszkowski, Piotrowski, Malczewski, nie zrażają się łachmanami i realizmu się nie boją. Wodzinowski zapowiada się pod tym względem jako bystry obserwator i wprawny malarz. Grocholski i Hirszenberg malują żydów: pierwszy z nich oddaje dziwne, fantastyczne zjawisko—nie mogę inaczéj nazwać tych mglistych kształtów modlącéj się gromady o brzasku w wagonie; — drugi przedstawia szereg

charakterystycznych talmudystów. Żelechowski i Tetmajer obracają się w kole wiejskich scen i postaci, które widocznie dobrze znają i dobrze odczuwają. Szkoda, że obadwaj nie doszli jeszcze do zupełnego owładnięcia techniką, że nie wyszli z brudnych tonów, nie ustatkowali palety. Wszelako wybija się Tetmajer jedną pracą ponad niepewne, nieprzekształcone roboty: *Kolędnicy* świadczą nietylko o znajomości ludu, ale i o wielkiém uzdolnieniu do krajobrazu. Lewa strona kompozycyi pozwala wejrzéć w oddalony sad, dniem przejrzystym i mroźnym, dniem, kiedy śnieg pod butami skrzypi.

Wszędzie zwycięża krajobraz i to jest najlepszym dowodem, że oryginalność i rzeczywista samodzielność nie przeszkadza naszym malarzom iść równym krokiem z Europą. Malczewski nie upersonifikował na swojém płótnie krajobrazu, zadowolnił się tém, że sam dał za tło swojéj scenie pejzaż, dziwnie odczuty a prosty. Krajobraz ogarnia naszą sztukę. Mogę się tém osobiście cieszyć, ale nie rad-bym tutaj sądzić, chcę tylko ten fakt stwierdzić. Proszę spojrzéć na prace Wojciecha Gersona: jak czysto, samodzielnie i szczerze objawia się tu jego talent. Owidzki i Miłosz Kotarbiński wystawiają dwa niepospolite letnie krajobrazy, pełne ciepła, oparów, spokoju. Kochanowski jest zawsze taki sam, w szarym kolorycie i w wyborze tematów; ale cóż to szkodzi, jeżeli każdy obraz z osobna daje tak silne wrażenie spokojnéj wsi w Krakowskiém? *Noc letnia* Ryszkiewicza pełna jest prawdy i uroku; jeżeli to dzieło nie powstało pod wpływem Chełmońskiego, którego nocne widoki bardzo wyraźnie przypomina, to jest dowodem ogromnego talentu. Rapackiego nikt nie posądzi o naśladowanie, znalazł on nowy temat i wyzyskał cały smutek przedmiejskiego pustkowia. Jak daleko odbiegliśmy i w krajobrazie od uświęconych tradycyą sielskich lub romantycznych widoków! Nic, prócz nagiéj płaszczyzny, parkanów, czerwonych dachów z blachy i fabryk; trochę wody, błękitniejącéj wczesną wiosną — a taka ogromna rozpacz po-nad tym słonecznym krajobrazem! Do najśmielszych impresyonistów wystawy należy Wyczółkowski, którego *Łapanie raków* przestaje być zbiorowiskiem plam, skoro od niego odstąpimy o kilkanaście kroków. Wstaje wtedy nad rzeczką, nad jéj sitowiem, ogromnie świeży, złoty, wczesny ranek. Sądzę mimo to, że drugi obraz téj saméj treści i tegoż malarza, widziany na krajowych wystawach, byłby tu był zrobił jeszcze większe wrażenie. Szczególne miejsce wśród pejzażystów należy się Falatowi. Akwarellą malowani *Oszczepnicy* na śniegu niebieskim, pyszne *Łowy na łosia* zimą, wystarczyły-by na wyróżnienie malarza. *Powrot cesarza Wilhelma z polowania* w Nieświeżu odbija prawdą i życiem od prac Wernera, Kellera, Angeliego i Lenbacha, wiszących w téj saméj sali honorowéj.

Popołudniowe słońce rzuca delikatny różany ton na zbity śnieg styczniowy i ozłaca silnie czerwone konary sosen, rudziejące zarośla. Śnieg leży wysoko i sanie ryją w nim głębokie, błękitnawe bruzdy. Cesarz, ks. Radziwiłł i jego goście jadą powoli jeden za drugim w jednokonnych saneczkach, a naganiacze, stojąc po drodze, kłaniają im się nisko. W powietrzu drga blask dni bardzo mroźnych. Nie jest to obraz, ale kawał natury, ujęty w złote ramy.

Największą chlubą naszéj wystawy, obok tak cenionego w Niemczech Matejki, był, nieznany tam dotąd z dzieł ani nazwiska, Chełmoński. Istne dla obcych objawienie. Bo i malarz urósł, spotężniał od czasów Paryża,—wszakże sam Paryż nagrodził pracę, malowaną po powrocie do kraju. Chełmoński odmłodniał u nas, jak mitologiczny olbrzym, skoro się tylko dotknął matki-ziemi. Nikt tak nie czuje jéj poezyi, jak on, nikt nie stworzy takiego własnego odrębnego świata z najcodzienniejszych jéj motywów, nikt go nie napełni takiém życiem i nastrojem. Dziwny dreszcz samotności przebiega wobec *Jesiennego wieczoru*, gdzie tak smutno i ciemno, że psy dobijają się do dworku. Gną się pod wiatrem nagie, rosochate grusze sadu i topole przydrożne, sterczące jak suche miotły. Dalekie światełko odbija się w szarém błocie gościńca, a z komina sypią się iskry, czarny dym tłucze się po ciemném, mętném niebie. W takie wieczory, gdy zawodzi wichura, dzieci słyszą w jéj głosie płacz wygnanéj przez macochę królewny. Na *Krajobrazie zimowym* rumieni się troszeczkę śnieg zlodowaciały, a zadymka ogarnia skurczone stado kuropatw. Przechodzą pory roku i Chełmoński znowu je chwyta; należą do niego wszystkie nasze pola, bory, łąki, sioła i przydróżki, wszystkie oświetlenia, wszystkie uczucia, które nasza przyroda obudzić może. Oto stanęły na łące wody wiosenne i gdzie wietrzyk zmarszczy ich powierzchnię, tam ciemnieje ich błękit; jaskier wyrósł na moczarach i na tle wody i zieleni jaśnieje i pała. W niebiosach czystych przewracają się nad bagniskiem czajki. Latem kwitną w dzień parny białe lilie wodne, okolone rojami much i mieniących się „panien.“ Księżycową letnią nocą frunie tuż nad ziemią kozodój, rzucając wielki cień od skrzydeł długich: w głębi pod lasem wstają opary białe, chciał-bym powiedzieć chłodne... Noc tak miesięczna, że w przezroczystém niebie gwiazdy pobielały. I takich obrazów Chełmońskiego jest dużo, a nawet tutaj na wystawie jest ich więcéj. Cała nasza natura znalazła swego malarza i głębokiego poetę. [1])

[1]) Por. *Gazetę Polską* z 23 Maja 1890 r.

18 Września.

Zachowałem sobie umyślnie Hiszpanią na koniec, bo wyciągam z jéj obrazów jedną wprawdzie tylko, ale silną artystyczną naukę. Co mię do nich pociąga, to zupełny brak uprzedzeń, szkolnych walk, teoryi. Nie widzę ani prac, które mają wywalczyć stanowisko i uznanie dla impresyonistycznéj „plamy“, ani takich, gdzie sztywnieją uparte kontury. Hiszpanie malują, aby dobrze malować, a nie po to, aby zaznaczać swoje artystyczne stanowisko; to téż w całéj pełni, z werwą i siłą, rozwija się przed nami i życie ich dzisiejsze, i świetna przeszłość. Obcy ten świat występuje z taką szczerością i prostotą, że, chodząc dłuższy czas po salach wystawy, można uledz złudzeniu, jakoby nic dla nas nie było tajném, od Pirenei aż do Gibraltaru.

Krajobrazów jest niewiele i nastrój, nastrój ów giermański, który jedynie w niemieckim języku posiada utartą, powszechnie zrozumiałą nazwę, nie gra w nich wielkiéj roli. Owa „Stimmung“ przynosi zawsze jakąś zadumę z sobą, a hiszpańscy peizażyści wojują raczéj świetnością barw słonecznego kraju. Nie do twarzy im nawet, kiedy blademi tonami zechcą oddać wrażenie cicho usypiającego słońca. Wśród morskich krajobrazów przedstawia wprawdzie jeden wieczór w przystani, gładką falę o barwie stalowéj i nieco mgły w powietrzu, ale i tam świecą się silnie kolory okrętów; drugi zaś, nazwany „Moja pracownia w Barcelonie“, wyobraża ranek słoneczny, morze zupełnie błękitne, szereg białych domów na brzegu i łódź czerwoną, w któréj maluje artysta. Osobliwszy, tragiczny nastrój wywołuje jednak Degrain swojém *Wspomnieniem z Granady*. Na placyku pusto, jakby wymiótł, stoi jeszcze woda na ciemnéj płaszczyźnie; dopiero co przeszła ulewa, na sinawém niebie wiszą jeszcze dżdżowe chmury i mętna rzeka się pieni. Wśród samotności i pustki pali się przed figurą samotna latarka.

W obyczajowych scenach leży punkt ciężkości hiszpańskiego malarstwa. Wyda się to śmiałém, jeżeli, mówiąc o południowych artystach, wymienię imię Teniersa, a jednak czemuż nie wyznać, że on-to przychodzi najczęściéj na myśl przed drobnemi, malowanemi z taką wprawą i sumiennością, a nie przemalowanemi obrazkami? Jest podobieństwo w technice, jest nieraz w karczemnym i zdrowym humorze, jest w całém pojęciu świata, na który i Teniers, i Hiszpanie patrzą się prosto, bez uprzedzeń i tendencyi. Gdzie znajdzie się tyle niekłamanéj wesołości, tyle werwy, tyle zanoszenia się od śmiechu,

jak na *Wesołéj historyjce*, którą wystawia Luis Graner y Arrufe? Kiedy się ta sumienność i szczerość dotknie poważniejszego motywu, wydaje taki doskonały obrazek, jak *Ostatnia rata* Joségo Jimenez Aranda. Rzecz dzieje się w XVIII w.: u notaryusza w siwéj peruce wypłacają ostatek mienia jakiemuś skurczonemu biedakowi. Za tło służą niezliczone, ustawione na półkach, papiery i akta. Nade drzwiami wisi—Matka Boska Częstochowska.

José Gallegos jest tak sławny, że wychwalać go ani określać nie trzeba. Nie zmienił się i lubi dotąd wspaniałe wnętrza hiszpańskich katedr, bogactwo ich architektury, przejrzystość malowanych szyb, barwność strojów ludowych, błękitny dym kadzielnic, czerwone komeżki chłopców służących do mszy i dziecinne ich główki. Najciekawsze z dzieł słynniejszego jeszcze Benlliure przedstawia także wnętrze zakrystyi, ozdobione freskami jakiegoś ucznia Giotta, ożywione szeregiem chłopców, zgromadzonych na lekcyę katechizmu: puste i poważne myśli przechodzą po wykwintnie malowanych twarzyczkach. Dzięki talentowi charakteryzowania, właściwego malarzom, przebiegamy cały zakres życia hiszpańskiego. Zeschła staruszka wyciąga ręce, chcąc je ogrzać u „brasero“; znużona, wycieńczona pracą, głucho zadumana dziewczynka stoi u tkackiego warsztatu; krewni zgromadzili się w ciemnym pokoju i siedzą, czekając pogrzebu, a przez zasłonę drzwi przeświecają świece wkoło trumny. Obok doskonałego portretu przysłał Rusinol cały szereg prac obyczajowych: na jednéj z nich, zatytułowanéj po francusku „Un Bohême“, siedzi młody mężczyzna po widocznie nieprzespanéj nocy, przed sceną ogródkowego teatru, gdzie chłodnym rankiem ustało życie i zaległa cisza. Drugi obraz przedstawia człowieka, zatopionego w książce, w doskonale oświetlonym pokoju. Jeszcze lepsze wnętrze przysłał z Barcelony Ramon Casas: kobieta szyje w dzień letni, duże żaluzye bronią ją od słońca, w półmroku mieszkania tworzy czerwona suknia dużą plamę. Portret kobiecy Casasa ma za tło podwórze domu: jest to portret w *plein-airze*. Jeden tylko wśród tych wszystkich obyczajowych obrazów przypomina wyraźnie obce, francuskie wpływy: wielka, mistrzowsko malowana szpitalna scena Jimeneza. Profesor zwiedza klinikę z uczniami i przyłożył ucho do pleców młodéj, osłabionéj pacyentki, przechylającéj się z niemocą na jego rękę. Między słuchaczami jest kilku bardzo eleganckich i znudzonych wykładem, kilku, notujących skwapliwie uwagi. Brzydka studentka, z krótko ostrzyżonemi włosami, słucha i patrzy pilnie. W głębi duża, wysoka sala, o białych ścianach, białych pościelach i firankach.

Brak wspomnień dawnego malarstwa można i tu zapisać. Co najwyżéj uderzy jakiś ciepły refleks Velasqueza, albo reminiscencya

wielkich dziecinnych oczu Murilla, u dzieci, które hrabina de Banuelos maluje nie bez maniery na tłach z czerwonéj materyi. Przebija się natomiast, jak u dawnych malarzy, ów rys okrucieństwa, zamiłowania do krwi, który spostrzegamy na starych scenach męczeńskich. I teraz wloką po ziemi krwawe ciała gladyatorów, a król portugalski, Pedro I, każe — na złym, asfaltowym obrazie — całować w rękę zczerniałego, nawpół zasłonionego welonem, trupa swéj małżonki. Gwałtowność cechuje liczne i dobre historyczne obrazy, gwałtowność dominikanina rozrywa piękną kompozycyę *Wypędzenia Żydów* Emila Sala. Villegas daje tylko szeroko malowane studya do obrazu z historyi weneckiéj, potężne charakterystyką postacie w szytych złotem strojach, żywo odczute, wystudyowane osobiście, a bliskie jednak figur Gentilego Bellini lub Carpaccia.

Podobnego wrażenia, jak to, które na obcych musiał wywierać Chełmoński, doznałem wobec *Krzesła Filipa II*, które Luis Alvares wystawia. Jak tam opanowywał „nastrój“ pejzaż, tak dostaje się on tu do historycznego malarstwa, wlewając w nie nowe życie. Oto nareszcie postacie dziejowe, jak się przedstawiają dzisiejszéj naszéj fantazyi, nie robione *a posteriori*, nie otulone ani w sławę i powagę wieków, ani w bogate fałdy teatralnych płaszczów, któremi się ich godność podnosi i „monumentalny charakter“ nadaje. Boć ostatecznie nie wiedzieli ci ludzie, że Piloty będzie ich malował; żyli mniéj więcéj jak my, ulegali wpływom chwili i zewnętrznego świata, a dla syna Karola V, w którego państwie nie zachodziło słońce, bywały jednak takie, jak i dla nas, smutne złotawe zorze wieczoru. Filip II siedzi na ławie, wykutéj w skale, gmachy Eskuryalu sterczą w oddali; zmęczonemu starcowi, który tu przyszedł odpocząć, przynoszą jakieś pismo do podpisu ze wszystkiemi czołobitnościami hiszpańskiego ceremoniału. Poniżéj skały lektyka i czteréj czerwono ubrani, niosący ją zwykle słudzy, stoją na uboczu, ale nie rozmawiają z sobą. Leży przy nich duży pies króla i zdaje się także dumać. Wieczór się już robi, w szarości smutnego dnia przeblyskują jasne smugi zachodu. Straszna, tragiczna groza ogarnia tę skałę i tego starca o bolesném obliczu.

Więc cóż? Więc historyczne malarstwo może budzić najsilniejsze uczucia i wśród nas, którzy żądamy ludzi otoczonych naturą, natury otoczonéj nieokreślonym czarem, wśród nas, którym śmiałe postacie i świetne barwy już nie wystarczają? Więc i Matejko może przedstawiać nietylko renesansowy przepych hołdu, ale i najwyższą tragedyę na twarzach kilkunastu ludzi, słuchających kazania? Więc omylił się zapewne chłopiec Malczewskiego?

Gdyby wspomniany na wstępie tych notatek obraz nie był dziełem, wywołaném przez położenie rzeczy u nas, przez estetyczne uprzedzenia, gdyby nie występował w obronie do niedawna pogardzanych a żywotnych kierunków, gdyby nie miał chwilowego znaczenia, ale stawiał zasady, byłby nie osobiście szczerém dziełem sztuki, ale fałszywym i jednostronnym manifestem, nie obrazem, ale artykułem. Wyszedł on na szczęście z indywidualnych potrzeb i posiada po-za swoją treścią głębokie artystyczne zalety. I lada dzień może się ktoś zjawić, co tak odmłodzi malarstwo religijne, żyjące dzisiaj cudzemi nie doczutemi pomysłami, jak odświeżył Alvares sztukę historyczną. Stare to dzieje, że dróg przepisywać talentom nie można i nawet niebezpiecznie, bo zjawia się naraz zdolność i rozrzuca karciany systemat, tak stare dzieje, że nie warto było zapisywać tylu stron wrażeniami z wystawy, aby dojść do banalnego spostrzeżenia. Ale z drugiéj strony prawda to tak odwieczna, że każde niemal pokolenie zapomina o niéj na chwilę i chce kodyfikować swoje krótkie doświadczenia i upodobania. Dlatego nie żal mi, że opisałem tu tyle obrazów, bo mam teraz niejakie prawo powtórzyć tę znaną i wiecznie nową uwagę.

Dr K. M. Górski.

Bakota, jako stolica Ponizia w XIII stuleciu.

Niedawno dokonane poszukiwania archeologiczne zwróciły uwagę ogółu na Bakotę, ubogą wioseczkę, rzuconą nad Dniestrem, w dzisiejszym powiecie Uszyckim. Powołana do życia po przeszło pięciowiekowéj drzemce, jakże się wstydliwie prezentuje, w porównaniu z tém, jak wyglądała, kiedy się tu ześrodkowywało życie całego ówczesnego Podola... Więc opowiedzmy pobieżnie przynajmniéj jéj dzieje, nim zdamy sprawę z tego, co się dzisiaj odnaleźć udało w owém grobowisku zamierzchłéj przeszłości... A właśnie od tego zamierzchłego okresu zacząć wypada.

Mimowoli zabiega nam drogę pytanie: jak wyglądało Ponizie, a przynajmniéj dolna część jego, między Dniestrem a Bohem zawarta, w okresie, poprzedzającym historyczną jutrzenkę? Nie omylimy się, utrzymując, że stanowiło ono puszczę nieprzebytą, że dopływy starego Tyrasu—Zbrucz, Żwańczyk, Smotrycz, Uszyca, i wszystkie drobniejsze, do nich wpadające rzeczki, wśród leśnych przebiegały jarów; a gdyby nas kto posądził o zbytek fantazyi, to mu odpowiemy, że jeszcze w połowie XVI w. ogromne ostępy, rozrosłe na płaszczyznach od rzeki do rzeki rozsiadłego Barskiego starostwa, stanowiły obronną tamę, przed którą się cofały, żądne rabunku, tatarskie czambuły...

O przemyśle leśnym nie miano wtedy wyobrażenia; burty potasowe i kominy fabryk cukrowych, które kraj w step zamieniły, są już lat późniejszych nabytkiem. Puszcze więc te dostępne były o ty-

le dla człowieka pierwotnego, o ile mógł znaleźć drogę do ich wnętrza i znośne a bezpieczne warunki egzystencyi.

A drogę tę przedewszystkiém i wyłącznie stanowiły rzeki; miały one znaczenie dzisiejszych kolei żelaznych; kierując się tą nicią Aryadny, wędrowiec pewności nabywał, że nie zbłądzi i nie zginie pośród puszcz nieprzebytych. Naturalnie, że Dniestr płowy przedstawiał najwięcéj odpowiednich warunków; szeroką taśmą dążył on ku morzu Czarnemu, w licznych pośród wyniosłych skał zakrętach, skały zaś z miękkiego piaskowca nastręczały się na mieszkania wygodne; ztąd początek jaskiniowego budownictwa, bardzo licznego w granicach dawnego Ponizia; resztki jego dochowały się do dzisiaj — w Ladawie, Nagórzanach, Studenicy, Suboczy i innych miejscach. Brzeg, na którym usiadła późniejsza Bakota, najbardziéj może nadawał się do podobnéj kolonizacyi. Rzeka tu formuje rodzaj łukowatego zagięcia, a zagięcie owo wypełnia olbrzymia skała pionowa, 300 łokci nad wodą wzniesiona, więc najbezpieczniejsza dla mieszkańca placówka; w podatnéj masie kamiennéj łatwo przyszło do wyżłobienia dogodnéj kryjówki, do któréj dostęp możebny tylko czółnem; u podnóża poważne fale przepięknéj rzeki, pełnéj ryb rozmaitych, a widok dokoła przedziwny: jak zajrzéć, na prawo i lewo, wody ogromna powierzchnia, naprzeciwko łagodnie podniesiony brzeg, okryty bujną zielenią, a tuż po bokach wzgórza zadrzewione, z konarami ciekawie się w głębiach fali rozglądającemi... Doprawdy, pierwotny mieszkaniec téj jaskini niechybnie musiał być poetą,—tylko osobnik, z wysoko rozwiniętém poczuciem piękna estetycznego, mógł tu szukać schronienia. A i kultura zachodnia, rzymska, nie musiała mu być obcą zupełnie; toż legiony zwycięskie dawnych panów Italii dosięgały brzegów Tyrasu w swoich pochodach; jeden z licznych wałów Trajana, sięgających końca pierwszego i początku drugiego wieku po Chrystusie (98—117), o lekkich mil kilka przebiega obok Bakoty, przecinając bessarabskie płaszczyzny od Prutu do Dniestru; a ileż nasypisk, noszących tę nazwę, leży w niedalekiéj okolicy podolskiéj, jak Boryszkowce, Kulczyjowce, Krzemienna; monety z wizerunkiem cesarza Antoniusza Piusa (138—161), zwane przez lud „główkami Adamowemi“, często odnajdować się dają w granicach dawniejszego Ponizia. Toż, późniéj wprawdzie, taki mieszkaniec jaskiniowy musiał nieraz z swojéj kryjówki przypatrywać się galerom genueńskim, płynącym po falach dniestrowych, w górę, do najwięcéj wysuniętéj na północ placówki — do dzisiejszego Chocimia... Niezwykli owi koloniści, obok handlu, i cywilizacyjne mieli posłannictwo.

Może w początkach, na widok nieproszonych i niespodziewanych odwiedzin, dziki Scyta wynosił się w głąb kraju, zawsze trzymając się

brzegów rzeczek, wpadających do starego Tyrasu; ztąd w tych miejscowościach pełno śladów stacyi krzemiennych, a w grobach znajdujemy skielety w siedzącéj postawie, niekiedy z młotkiem kamiennym w lewéj dłoni (Huta Kosikowiecka w Uszyckim powiecie), obok zaś noże krzemienne, dłóta, paleolitycznéj sięgające epoki. I na bakockiéj górze, w jednym z kurhanów, odgrzebał prof. Antonowicz kościotrup siedzący i zalicza go do bałwochwalczego okresu, bezpośrednio poprzedzającego wprowadzenie chrześciaństwa na Rusi [1]). Jaskiniowy mieszkaniec miał pewne wyobrażenie o religii, składał ofiary bóstwu (megality), żywił się mięsem, rybą, używał narzędzi kamiennych... stanowił on potém spory kontyngens gladyatorów, ginących na arenach staréj Romy, ku uciesze rozbawionych i żądnych krwawych widowisk jéj mieszkańców...

W VIII stuleciu już latopisiec nie zadawalnia się mianem ogólném Scytyi, nadawaném obszarom, przez Słowian zajętym, ale sadowi na nich oddzielne plemiona, nazwami wyróżniające się od sąsiadów; ztąd wzdłuż podniestrza, ku Dunajowi, według niego, gęsto osiedli Lutycze (Ulicze) i Tywercy zakolonizowali wzmiankowane rzeki do samego morza, posiadali tu liczne grody [2]).

Otóż jesteśmy u kresu bajecznéj epoki, a jednak pochodnia dziejowa mało rozświeca dalsze koleje losów Ponizia i wyłaniającéj się z niego, jako jego stolica i rezydencya władz administracyjnych, Bakoty. Wyrasta ona jakby nagle; o Uszycy, jéj sąsiadce i od niéj zależnéj, dowiadujemy się już w XII w., a o Bakocie dopiero w XIII, w przededniu Batowego pogromu. Jak powstała, jak urosła do znaczenia wcale niepodrzędnego? Przypuszczać-by można, że z wprowadzeniem chrześciaństwa, które tu się dostało z południa. W XI albo XII w., liczni jego krzewiciele, „czerńce“, osiadają w mieszkaniach jaskiniowego człowieka, tworzą „skity“, to jest zgromadzenia, z kilku mnichów złożone. I w owéj bakockiéj jaskini spotykamy ich w tym czasie, ztąd miejsce to do obecnéj chwili lud monasterzyskiem nazywa; około zaimprowizowanego klasztoru, kolonizacya, znajdująca sprzyjające warunki, poszła wartko, ztąd powstało miasto, jakiém je spotykamy w zaraniu XIII stulecia.

Nim atoli do jego pobieżnie opowiedzianych dziejów przystąpimy, rozejrzyjmy się wprzódy, jak ówczesne wyglądało Ponizie. Wschodnia jego połać ciążyła ku dzielnicom kijowskim i wołyńskim; górna, północna, zawsze pustką świeciła; środkową objęli w posiadanie fantastyczni książęta Bołchowscy... fantastyczni powtarzamy,

---

[1]) „Kijowskaja Starina“ 1884. Październik, s. 249 i dalsze.

[2]) Nestor—Kijów 1860, s. 21. „Letopiś Ławrentiewskaja“, 17.

choć egzystencyi ich w tym czasu okresie zaprzeczyć nie można, bo przecie jednocześnie z ks. czernihowskim dobywają Bakoty; pogrom Batego ich omija,—w zamian za swobodę, płacą mu dań zbożową; posiadają miasta: Hubin, Kudyn, Bożski, ze stolicą Diakowem, którą zastępy Daniela halickiego zdobywają, jako zadośćuczynienie za owe nieprzyjazne pod Bakotą popisy [1]). Ale początku tego księztwa, granic jego, doszukać się dziejopisarze nie mogą; dość, że na średniém rozsiadło się pobożu. Jakiéj dzielnicy jego władcy byli latoroślą—i to pozostanie tajemnicą, dość, że byli, że niechybnie utonęli w pogromie tatarskim, że ślad ich pobytu — to lennictwa w późniejszych starostwach Lityńskiém i Chmielnickiém, z którego korzystali do niedawna bujnie rozrodzeni potomkowie dworzan owych książąt, jak siéć pojęcza prześlizgujących się po kartach księgi dziejowéj... Przepraszam za to chwilowe odstąpienie od przedmiotu; gadulstwo mi to wszakże przebaczy czytelnik, kiedy tu dodam, żem lat długich kilkanaście stracił bezowocnie na rozjaśnieniu téj kwestyi, dotyczącéj książąt Bołchowskich.

Bądź co bądź, wypełniali oni w owym czasie, to jest w zaraniu XIII w., przestrzeń między wschodnią a zachodnią połacią dzisiejszego Podola. To zaś ostatnie—właściwie Ponizie, bo ciągnące się wąskim rąbkiem wzdłuż pobrzeża dniestrowego, ciążyło ku księstwu Halickiemu, związane z niém było;—czy drogą podboju, czy dobrowolnie, przyznało nad sobą władzę wielkorządców halickich, na to także dowodów nie przekazała nam historya. Połączenie to wszakże nie było ścisłe, może z racyi zbytniego oddalenia od władz rządzących; prowincyę bowiem rzeczoną od właściwego księstwa Halickiego dzieliła puszcza kilkunastomilowa, bezpańska, a znajdująca się między ujściem Zbrucza do Dniestru a Bakotą. Granice ówczesnego Ponizia niepewne poczynały się od tylko co wzmiankowanego miasta; z osad znanych kwitnęły tu: Uszyca, Kalus i prawdopodobnie Sokolec. Hegemonią nad tym kawałkiem ziemi zagarnęła Bakota,—dlaczego? i tu tylko na zasadzie prawdopodobieństwa rozstrzygnąć można zagadkę. Może dlatego, że najbliżéj leżała granic księstwa Halickiego, a może dlatego, że najliczniejsze posiadała zaludnienie, że w najodpowiedniejszych znajdowała się warunkach. Oto, jak wyglądała ona w zaraniu XIII w. Obwarowania właściwe, to jest zamek obwiedziony murem, wznosił się na bakockiéj skale, na owéj dzisiejszéj Białéj górze: imponował niechybnie okolicy, bo wypełniał wyżyny, z których wzrok strażnika dostrzedz mógł nieprzyjaciela z wielkiego oddalenia. U stóp zamku toczyła się wspaniała rzeka szeroką wstęgą; tworzyła

[1]) Ipatiewski latopisiec 525.

tu ona łuk, półkolem wrzynała się w brzegi płaskie, a że głębia tu była znaczna, więc tém samém przystań wygodna i zaciszna dla licznych statków, prujących fale dniestrowe. W podwalinach skały mieszkali zakonnicy, posiadali tu niechybnie świątynię, która — za pośrednictwem kamiennych schodów, wijących się ślimakowato — łączyła się z górnym zamkiem; miano tu na względzie, obok udogodnienia komunikacyjnego, i strategiczne korzyści: w taki bowiem sposób, zamek, oblężony dokoła, nie zrywał stosunku ze światem zewnętrznym. Miasto właściwe rozściełało się na pochyłéj płaszczyźnie, biegnącéj od brzegu, na skraju horyzontu zamkniętéj wzgórzami, na których wznosiła się rezydencya książęca — teremy — kędy obecnie tuli się uboga wioseczka, Teremcami zwana. Właściwie książęta bywali tu tylko chwilowymi gośćmi; w zastępstwie ich rządzili bojarowie haliccy, podniesieni do godności namiestników. A butny to był lud owi możnowładcy, w ciągłéj poswarce z władzą, nieustannie dążyli do zdobycia niezależności, ztąd intrygi, zabiegi u sąsiadów, a nawet u podwładnych, dla zjednania sobie silniejszego stronnictwa, — wszystko to się odzwierciedliło w niedługich dziejach Bakoty. Namiestnik naturalnie posiadał siłę zbrojną: toż kanclerz Cyryl („pieczatnik"), wielkorządca bakocki, wyruszając przeciw książętom Bołchowskim, miał pod swoją wodzą 3000 pieszych i 300 konnych rycerzy. Gmin, tak zwana czerń („smerdowie"), stanowiła główny rdzeń ludności miejskiéj; brała ona zwykle czynny udział w obronie zagrożonego miasta; handel przeważnie ześrodkowywał się w ręku izraelitów... Może za śmiałe to przypuszczenie, ale opieramy je na pamiątkach miejscowych, a do takich należy cmentarzysko żydowskie, na brzegu besarabskim rzucone, zasnute całe lasem gęstym, od Bakoty o wiorst kilka odległe.

Otóż jeszcze Marczyński, tak skąpy w szczegóły historyczne wszelkiego rodzaju, układając swoją statystykę na początku niniejszego wieku, powiada, że napisy grobowe „tego okopiska" sięgają lat trzystu, więc początku 1500 r. [1]; nowe zaś badania, przedsięwzięte w ostatnich czasach, udowodniły napisy na płytach mogilnych od początku XIII st., więc okresu rozkwitu Bakoty. O handlu ówczesnym nic powiedzieć nie możemy, przypuszczamy tylko, że połów pereł rzecznych przynosił mieszkańcom niemałe korzyści. Przypuszczenie to ma pewne podstawy, najprzód dlatego, że połowem tym zajmowano się i późniéj, prawie do początku XVII w., przeważnie w Bakocie i Studenicy, do czego używano jeńców tatarskich i tureckich; a powtóre dlatego, że w miejscowościach wyżéj wzmiankowanych i w nie-

[1]) Statystyka I. 268.

których dopływach dniestrowych (Żwańczyk, pod Oryninem, na Podolu), znajdują się do dzisiaj w wielkiéj obfitości tak zwane, skojki perłorodne (Unio margaritifera), dostarczające pereł rzecznych.

Tak się nam przedstawia stolica Ponizia w chwili, kiedy zastępy Batego z Wołynia pociągnęły ku Haliczowi. Daniel Romanowicz, książę panujący, cofnął się przed nawałą do Węgier, a potém w Polsce szukał schronienia. Zaszło to mianowicie 1240 r. Ponizie ominęli zdobywcy; skorzystał z tego bojar halicki, Dobrosław Sudicz, objął w posiadanie ziemię bezpańską i zaczął w niéj rozporządzać samowładnie; rozdawał działy czernihowskim możnowładcom, rozdawał je i ludziom wcale do tego nie mającym prawa. Ks. Daniel, po przejściu nawały tatarskiéj, wrócił na zgliszcza dawnéj stolicy i, dowiedziawszy się o samowoli Sudicza, z własnego ramienia na wielkorządcę bakockiego promował Jakóba Markowicza. Nie wiele on wskórał, należało więc pchnąć kogoś energiczniejszego; wówczas-to staje w Bakocie, znany już dobrze w dziejach, Cyryl, kanclerz książęcy.., A w sam czas przybywa, bo nad Bakotą zawisły chmury: Sudicz wprawdzie umknął, ale pod murami miasta stanął ks. Rościsław Czernihowski, wspierany przez ks. Bołchowskich; rozpoczęła się walka, w któréj Cyryl, postępujący „mądrze i silnie“, został zwycięzcą. Wówczas-to, jako zadośćuczynienie, odbyła się wyprawa Cyryla nad Boh, o któréj wzmiankowaliśmy wyżéj. Wówczas-to, dodamy tutaj, po jéj ukończeniu, ks. Daniel halicki udał się do Bakoty i Kalusa, z zamiarem ustalenia swéj władzy w tém swojém dziedzictwie [1]). Ale Cyryl niedługo rządził; zapragnął spokoju, przywdział szaty zakonne, i już w 1243 r. występuje jako metropolita kijowski. Jego posadę obejmuje Milej; przy nim-to Tatarzy zjawili się pod murami Bakoty, między 1250 a 1255 r. Na czele niewielkiego oddziału stał Kuremsa, zachęcał do poddania twierdzy, proponował dogodne warunki: zburzcie, powiadał dowódca tatarski, zamek i okalające go obwarowania, wojska wam trzymać nie wolno, składajcie regularnie daninę, a za to mieć będziecie opiekę naszą i zupełną swobodę, co do kultu wyznaniowego, handlu, rolnictwa i t. d.—Do ugody łatwo przyszło; Milej z namiestnika został atamanem. Wkrótce wprawdzie przyszedł znowu ks. Daniel do posiadania Bakoty, ale nie na długo, bo ją odebrał Burandaj w 1260 r.; miejsce tego ostatniego, jako wielkorządcy podolscy, zajęli około 1285 r. Telabuga i Nogaj... i tak to trwało przeszło lat sto. Bakota straciła cechy stolicy Ponizia, nawet nazwa ostatnia zacierać się zaczęła,—Tatarzy swoją nową posiadłość Podolem już mianowali.

[1]) Ipatiewski latopisiec 526.

Ale o tych wiekowych rządach tatarskich coś powiedzieć się godzi, mają one bowiem ścisły związek z dziejami zakątka, które tu opowiadamy. Ponizie stanowiło „ułus“ podolski, główny dochód zwycięzców—danina, zbieranie jéj ciążyło na atamanach, reprezentantach gminy, atamani zaś składali ją odwiedzającym prowincyę baskakom. Najwyższa władza spoczywała w ręku „ordyńskich temników“, była ona dziedziczną w rodzie, ztąd latopiscy nazywają miejscowych tatarskich panów „otczycami i dziedzicami ziemi podolskiéj“. Odznaczali się oni tolerancyę, łagodnością, nie krępowali mieszkańców, zostawiając im zupełną swobodę. Z czasem sporo pośród starszyzny znajdowało się chrześcian [1]), co więcéj, języka używali miejscowego; Stryjkowski, podczas swojéj podróży po Turcyi, w drugiéj połowie XVI w., spotykał potomków owych podolskich Tatarów, dobrze rozumiejących mowę słowiańską: nazywali się oni zawsze Podolanami i tęsknili do kraju, który opuścić zmuszeni byli ich poprzednicy [2]). Główną rezydencyą temników ordyńskich, stanowiły stepy nad Bohem, gdzie się obecnie miasteczko Sawrań (w bałckim powiecie) znajduje. Najpóźniéj ztąd ustąpiły ordy koczownicze; długo jeszcze, bo do początku XV w., mieszkały tutaj, opierając się naciskowi książąt litewskich; ślady pobytu barbarzyńców do niedawna jeszcze odnajdowano; Marczyński powiada, że przy Kazawczynie, wiosce, wchodzącéj w skład klucza sawrańskiego, (a zwiedzał on tę miejscowość w 1818 r.), „znajdują się rozmaite napisy tatarskie na skałach granitowych, białego, śniadego i niebieskiego koloru. Są i groby tatarskie, oznaczone 1377 r., przy tychże skałach“ [3]). Z czasem atoli, (bo trochę się wstecz, ku drugiéj połowie XIII w., cofnąć znomu musimy), zabór tatarski rozszerzył granice swoje ku wschodowi i północy, wyparł ks. Bołochowskich, przekroczył puszcze, między Dniestrem a Bohem rozpostarte, i u podnóża Miodoborów, w okolicy dziesiejszego Kamieńca, rozpiął swoje wędrowne namioty... Na łąkach, bujną okrytych trawą, dla licznych stadnin to było odpowiednie miejsce. Niechybnie tych czasów sięgają nazwy horodyszcz, na których potém ludne osiadły wioski, jak Kodłubajowce — od Kotłubeja, syna hańskiego, Koczubijów — od Choczubeja, Tatarzyska, zawieszone tuż nad Smotryczem, przypominające swém mianem także początkowych założycieli. Jednocześnie — w końcu XIII, albo na początku XIV st.—wyrasta jakby z pod ziemi kolonia wychodców armeńskich, także nieopodal od Miodoborów; są to dziś egzy-

[1]) Antonowicz—Monografie I. 124.
[2]) Kronika II. 7.
[3]) Statystyka III. 236.

stujące wsie Ormiany Wielkie i Małe. Mieszkańcy osady, obok hodowli owiec, trudnili się ogrodnictwem, ztąd część pól, do nich należących, Sadkami nazwana została.

Tak się rzeczy miały do pamiętnego nad Sinemi Wodami zwycięztwa w 1362 r.; według kronikarza, poledz tu mieli wszyscy trzéj tatarscy kniaziowie podolscy: Choczubej, Kotłubej i Dmitrej [1]). Tryumfujący Olgierd darował zdobytą dzielnicę krewniakom, synom Koryjata; nie odrazu atoli przyszli oni do posiadania darowizny, wprzód należało ją uwolnić od dawnych władców, a na to brakło sił i obszary były zawielkie. Daty przybycia litewskich książąt na Podole nie znamy wcale; musiało ono nastąpić około 1370 r., bo już w lat kilka, jak nas uczą dwa przywileje (dla Smotrycza i Kamieńca), jedyny piśmienny zabytek z téj epoki, dostrzegamy pewne uspołecznienie, to zaś niemałego przeciągu czasu wymagało. Kroniki malują ówczesny stan ziemi podolskiéj i drogę, którą wkraczali do niéj nowi zwycięzcy. Co do pierwszego, utrzymują, że Koryjatowicze nie zastali tu ani jednego grodu drewnianego, ani jednego grodu kamiennego. Robimy zastrzeżenie: latopisiec pod nazwą grodu rozumiał zamek, obwarowanie; na tych istotnie zbywało podolskiéj ziemi, z racyi wymagań tatarskich, właściwe zaś miasta i wsie egzystowały, bo nad kim by atamani atamanowali? zkąd-by baskakowie ściągali podatek? Toż Koryjatowicze z pierwszymi związali się umową, i dopiero, pewni ich współudziału, drugim wypowiedzieli posłuszeństwo. Co do kierunku, w jakim nowi władcy wkraczali, ograniczymy się tylko górną połacią Podola: najprzód nad Smotryczem „najechali oni twierdzę“; potém w miejscu, kędy osiedli „w górze“ czerńce, zbudowali gród (zamek) Bakotę; nakoniec oparli się tam, gdzie leży teraz miasto Kamieniec, urządzili na półwyśpie łowy, a wysiekłszy las, wznieśli tu zamek. Smotrycz więc jest jakby protoplastą kolonizacyi litewskiéj, przez Litwinów bowiem założony został; Bakota, jak wiemy, egzystowała dawniéj; ludność — przynajmniéj część dawnych mieszkańców — prawdopodobnie nie opuszczała stolicy Ponizia, potrafiła się pogodzić z nowym rzeczy porządkiem; klasztor przetrwał wiekową niewolę tatarską, a kiedy się z téj niewoli wyzwolono, mieszkańcy — może przeczuwając niesnaski i zaborcze aspiracye dawnych władców—żądali obwarowania i na te Koryjatowicze chętnie dali pozwolenie; czerńcy także żądali wzniesienia klasztoru, na co również nastąpiła zgoda nowych panów litewskich.

Kamieniec dopiero się wylęgał podówczas, nie miał więc pretensyi do przodowania całéj prowincyi. Powiedzieliśmy: wylęgał się —

[1]) Daniłowicz 49,

bo i to było nowe, szersze Koryjtowiczowe osadnictwo, powstałe może wskutek emulacyi między braćmi, albo jako następstwo umiłowania przepięknéj miejscowości, albo w końcu, jako następstwo przekonania, że tu się łatwiéj napastnikom obronić. Pisarze, żądni doszukiwania się zamierzchléj przeszłości dla lada zakątka, i Kamieńcowi podolskiemu dosztukowali historyę, dodali mu parę wieków najniesłuszniéj w świecie, a wynikło to z racyi prostéj omyłki, to jest: dzieje Kamieńca litewskiego (Camieniec Ruthenicale), do dziś egzystującéj ubogiéj mieściny w gubernii Grodzieńskiéj, zepchnięto na barki podolskiego, chcąc go chyba od zarzutów parweniuszowstwa uwolnić. Więc, powtarzamy, nie miał on archierejów w XII w., Baty ścian jego nie rozbijał „porokiem“ w XIII w., bo nie egzystował jeszcze wówczas. Jerzy Koryjatowicz, wędrując z biegiem rzeki Smotrycza, z tylko co założonego na wspólkę z bratem miasta Smotrycza, niechybnie zdumiony był położeniem miejsca. Czy tu złodzieje przechowywali się za wędrówek cesarza Trajana po Dacyi, tego nie wiemy, więc i do sensacyjnéj nazwy „Klepydawa“, nadanéj téj miejscowości, nie przywiązujemy znaczenia; wierzymy jednak w to, co za latopiscami powtarza Stryjkowski: że książę podolski zastał tu las gęsto rosnący na półwyspie skalistym;—co najwięcéj, mógł już zastać i kościołek ormiański, rodzaj „skitu“.... przynajmniéj tak wnosić można z kształtu do dziś egzystującéj budowy w Kamieńcu, noszącéj nazwę cerkwi ś. Mikołaja. Wciągu kilku wieków pracowano energicznie nad pozbawieniem jéj charakteru architektonicznego, przypominającego budowy XII w.; nic nie pomogło: mimo kołpaczka, czy to spiczastego, czy okrągłego, czy drewnianego, czy blaszanego, staruszka nie odmłodniała, została zawsze staruszką. Mury niezwykłéj grubości ze ściętym frontem, z półkolistym ogonem, po bokach podpory kamienne (skarpy), obok których usiadły maleńkie, gęsto zakratowane okienka; dodać do tego jeszcze należy opasujące ją ściany, także conajmniéj dwułokciowéj grubości, wysokie, ze śladami strzelnic. Taki budynek w lesie miał racyę bytu; w środku miasta, jak obecnie, jest anachronizmem. Przypuszczenie nasze nabierze prawdopodobieństwa, kiedy dodamy, że wychodcy armeńscy mieszkali we wzmiankowanéj wsi Ormianach, oddalonych ztąd o milę; że ztamtąd ściągnęli ich niechybnie książęta litewscy (z owych „Sadek“); że nieledwie jednocześnie wkroczyli z Tatarami na Podole; że następcy ich, prosząc królów o potwierdzenie dawnych przywilejów, w petycyach wzmiankowali wytrwale, jako pierwsze nadania otrzymali od Koryjatowicza, księcia podolskiego, który ich tutaj już zastał osiadłych od dawna. Na tém urywamy rzecz o Kamieńcu; chcieliśmy tylko wypowiedzieć tu nasze *credo*, owoc długich poszukiwań; bo dawniéj, na wiarę dziejopisów, i my powtarzaliśmy za panią

matką pacierz, wierząc w zamierzchłą starożytność Kamieńca[1]) Bądź co bądź, pod szczęśliwą snać urodzony gwiazdą, szybko rozwijać się zaczął i odrazu zaawansował na stolicę prowincyi, niemającéj nazwy ustalonéj—nie było to bowiem już Ponizie, ale też nie była to jeszcze ziemia podolska. Drewniany zamek wyrósł jak na drożdżach; kto tu panował, panował tém samém w całéj okolicy i w miastach pobliższych: Bakocie, Smotryczu, Uszycy, Sokolcu, Skale i t. d.

Życie z podniestrza — z jarów — przeniosło się prawie nagle na płaszczyzny. Kamieniec posiadał sporo warunków po temu: łatwiéj w nim było—jak to już wzmiankowaliśmy—oprzéć się aspiracyom niedawnych władców Podola, na jego południowéj krawędzi gospodarujących, a obawa Tatarów istotnie wielką być musiała, kiedy w ciągu lat kilkadziesięciu—po zwycięztwie nad Sinemi wodami—i Koryjatowicz, i Witold, i Świdrygajło, w nadaniach prywatnym osobom, czy kongregacyom religijnym, wstawiają następujące kondycye, formułowane jednakowo, prawie dosłownie: „jeśli kiedy wszyscy ziemianie mają dawać daninę Tatarom, to srebro mają ci ludzie (udobrodziejstwowani przywilejem) także dawać“. Bakota, zepchnięta na drugi plan, darowana w 1388 r. przez Konstantego i Teodora Koryjatowiczów, wiernemu słudze, Niemirze. Litwin obojętnie traktował darowiznę, nie wiemy nawet z pewnością czy ufortyfikował miasto, czy popierał budowę monasteru, na górze Białéj, tuż obok dawnego zamku zaprojektowaną, i przez Jerzego, księcia podolskiego, potwierdzoną. Wrychle też potém, bo w lat pięć niespełna, ustąpić ztąd musiał przed zwycięskiemi legionami ks. Witołda, w taki sposób karzącego jednego z Koryjatowych synów za nieposłuszeństwo. W 1393 r., drogą zastawu przechodzi Bakota do Jagiełły, a ten ją ustępuje za pewną sumę pieniężną (20,000 kóp groszy) Spytkowi z Melsztyna; po zgonie ostatniego, znowu włada nią książę litewski. Na początku XV w., przy podziale Podola na okręgi, jeden z nich nazwano Bakockim; granic jego oznaczyć ściśle nie możemy, z nielicznych jednak danych przypuścić można, że biegł wzdłuż Dniestru, że ku północo-zachodowi sięgał do Studenicy (1432) i Demkowego dworzyszcza (1431), a ku południo-wschodowi do Ladawy, w dzisiejszym Mohylowskim powiecie, jak nas uczy przywiléj, nadany w 1410 r. przez Jagiełłę Seńkowi Wołosowemu[2]). Dalsze zatargi między Litwinami a Polakami o władanie ziemią podolską przyczyniły się do ostatecznego upadku dawnéj stolicy Ponizia. Po długiém bezowocném borykaniu się, które wstrzy-

[1]) Zameczki podolskie I. 53.
[2]) Archiwum p. Władysława Górskiego.

mało prąd kolonizacyi i przyczyniło się do ruiny, nastąpiło w 1431 r. zawieszenie broni między wojującemi stronami, na rok tylko; na mocy jego, Polska wchodziła w posiadanie zachodniéj połowy prowincyi, z miastami: Kamieńcem, Smotryczem, Skałą, Czerwonogrodem i świeżo zakolonizowanemi: Olczydajowem i Jałtuszkowem (Holczedajów i Ołtuszków); wschodnia jéj połać, z Bracławiem, Sokolcem, Kaczybejem, Zwinigorodem i Daszowem, została w ręku Litwinów. Okręg Bakocki, rozciągający się między temi dwiema połowicami, stanowił jakby pas neutralny;[1] strony obowiązały się solennie nie wznosić zburzonych obwarowań Bakoty; ziemianie okręgu mieli sobie zupełnie zostawioną swobodę łączenia się z tą z wojujących partyi, ku któréj ciążyły przed zawarciem przymierza, włościanie zaś, nazwani w akcie kmetonami (cmethones), wolni są od wszelkich ciężarów podczas trwania zawieszenia [1]).

Wiemy z dziejów, że wrychle nowy porządek nastąpił, nowy podział administracyjny prowincyi; dawna stolica Ponizia została nędzną wioseczką, narażoną na ciągłe napady sąsiadów z za Dniestru; weszła w skład dóbr królewskich, oddawana w dzierżawę kilku naraz indygenom, nie mogła zaznać dobrobytu.... Oto w kilku rysach dzieje tego niewesołego okresu, od 1530 do 1542. Bakota, wcielona do Kamienieckiego powiatu (districtus), podaje do poboru zrazu 3, potém 4 łany, na których gospodarują Wolski, Korpaczewski i Piasecki [2]); w 1565 przybywa do nich Jaczymirski [3]), w 1569 Domankowski [4]), w 1577 wieś zniszczona przez Wołochów [5]). W XVII st. następują pewne zmiany: na jednéj połowie siedzą spadkobiercy Piaseckiego, Adryan Jaczymirski i Stanisław Potocki, na drugiéj aż pięć córek Stanisława Góreckiego, z których trzy, trzech Wolanowskich małżonki, w dożywociu piątém [6]); spotykamy ich tutaj jeszcze w 1628 r. [7]). Zdaje się, że w 1633 r. Bakota, wraz z sąsiednią Studenicą, uległa zniszczeniu przez Abazy-baszę i do zaboru tureckiego leżała w gruzach. W XVIII w. osadzona na nowo, w skład Uszyckiego starostwa wchodziła. Dopiero 1775 r. utworzono z niéj oddzielną królewszczyznę; w 1789 trzy czwarte wioski dzierżawił Stanisław Sadowski, a od niego trzymali posesyą Bazylianie kamienieccy, płacąc rocznie 1907

---

[1]) Suppl. ad hist. Rus.-mon. 304
[2]) Źródła dziejowe XIX. 162.
[3]) l. c. 184, 187.
[4]) l. c. 219
[5]) l. c. 246.
[6]) l. c. V, 66.
[7]) l. c. s. 192.

zł.[1]). W 1795 królewszczyznę otrzymał od cesarzowéj Katarzyny podpułkownik Andrzéj Stawicki[2]) i odprzedał ją wrychle Weleżyńskiemu, majorowi w. p. (liczyła wówczas 96 poddanych). Dziś część jéj jest prywatną własnością p. Konrada Szymanowskiego, część rządowa rozparcelowana między kmieci została. Pozycya stepowa, brak lasu, ziemia wymęczona, a bieda tém większa, że ludność w ostatnich czasach zaczęła się bujnie rozrastać, bo kiedy w 1860 r. liczyła tylko 320 mieszkańców płci obojéj, dziś (1891) jest ich 763. Niezwykłe to powiększenie ma złą stronę, ziemia bowiem nadziałowa (426 dziesięcin) nie jest zdolna wykarmić więcéj niż zdwojonéj kmiecéj rzeszy; ztąd żądza grosza, i ta była powodem, że Bakotę, po pięciowiekowém o niéj milczeniu, znowu przypomniano sobie. Trzeba zdarzenia, żeby w 1884 r. prof. Antonowicz zjechał tu, dla zbadania jaskiń nadbrzeżnych[3]); przyszło więc do kopania u podwalin Białéj góry. Ludek boży brał w tém udział, a choć nie znaleziono nic godnego uwagi, zapamiętał to jednak sobie: skoro kopali, myślał nie jeden, to musi miejsce owo zawierać w sobie jakieś kosztowne zabytki; reszty dokonała tradycya o dawnéj wielkości Bakoty, o jéj panach, posiadających niezliczone skarby, które, ustępując ztąd, wypierani przez nieprzyjaciela, ukryć w ziemi musieli.... W miarę zwiększającego się niedostatku, fantazya rozbujała kreśliła rozkoszniejsze obrazy; jeden, drugi, cichaczem zaczął grzebać w ścianach Białéj góry; pierwsze próby miały być szczęśliwe, znajdowano bowiem naczynia srebrne, złote monety, urny gliniane.... Naturalnie, pomimo tajemnicy, zachowywanéj przez znalazców, ogół się o tém dowiedział, zapał się udzielał całéj osadzie, wyległa wszystka i jęła się niewdzięcznéj pracy. Właściciel miejscowości zrazu lekceważył te zabiegi, ale potém, przekonawszy się, że improwizowani archeologowie krzywdę wyrządzają nauce, musiał użyć pośrednictwa władzy dla poskromienia rabowniczych zapędów. W połowie 1889 r. roboty zawieszono. Wówczas zwiedził miejscowość rzeczoną p. Siciński i w treściwém sprawozdaniu opowiedział, w jakim znalazł stanie ten pamiątkowy zabytek[4]). Góra Biała wyrasta na 76 sążni nad powierzchnią wody dniestrowéj i panuje nad okolicą; górna jéj warstwa, wysokości 20 sążni, przedstawia skałę pionową, dolna — 55 sążni — stromą pochyłość,

---

[1]) Baliński Star. Polska II. 955.

[2]) Mater. do istor. Podol. gub. 66.

[3]) „O skalnych pieszczerach na bieregu Dniestra Podolskoj gubernii". Odbitka z roczn. VI. arch. zjazdu odbytego w Odessie.

[4]) Bakota—Kamieniec—1889. Odbitka z miejscowych Eparchialnych Wiadomości str. 5—14.

która ku dołowi w brzeg się przekształca, mocno w rzekę wrzynający się w postaci półwyspu. Półwysep rzeczony, dwóch dziesięcin (3.5, morgi) obszaru, wzniesiony o tyle, że go woda, nawet w czasie wylewów, nie pokrywa; jest to właściwie miejscowość, przez lud zwana Monasterzyskiem, niedostępna z lądu, bo przytulona od wschodu do urwistéj skały, a z innych stron oblana falami Dniestru. Tutaj téż towarzyszka podróży prof. Antonowicza znalazła megality, ślady budowy cyklopejskiéj (bez cementu), słowem mieszkania człowieka okresu kamiennego [1]). Otóż nad Monasterzyskiem, w wysokości 27 sążni nad powierzchnią wody dniestrowéj, gdzie szary granit przechodzi w warstwę miękkiego wapienia i w pokłady kredowe, kmiecie bakoccy robili poszukiwania; dostać się tam można po niedostępnéj prawie ścieżynie, biegnącéj w kątowych załamach (zygzakowato); na wysokości wzmiankowanéj ścieżyna przybiera kierunek równoległy z powierzchnią wody,—znajduje się tu źródełko, spadające po skale. Nad niém, ku północy, na 6 sążni wyżéj, sterczą ślady ściany murowanéj, długiéj 8, grubéj zaś 2 przeszło łokcie; ściana ta widocznie wznosiła się na niewielkiéj płaszczyźnie, wykutéj w skale, zbiegała ku owéj —wspomnianéj już przez nas — znajdującéj się na dole. Minąwszy ją, ścieżyna dąży daléj w górę, zawsze ku północy, i na wysokości 4 sążni, więc 33 nad powierzchnią wody,—nowa platforma, w kształcie równoległoboku, mająca 5.5 sążni w kwadracie. Na téjże wysokości — trochę opodal—jest i druga platforma, nad którą zwiesza się olbrzymia skała, gotowa lada chwila runąć na dno przepaści. Z placówek wyżéj wyszczególnionych prowadzą w głąb góry liczne kurytarze, wyższe albo niższe, a do nich tulą się, wykute w skale, cele, kapliczki i doły, przeznaczone do składania zmarłych; dotąd znaleziono tu sporo kości ludzkich, kawałów spróchniałego drzewa, zardzewiałego żelaza, kilka kul kamiennych (przypominających fosforytowe), kościaną świstawkę, resztki skóry, stanowiącéj obówie, niewielki miedziany obrazek, według russkich archeologów nie sięgający po-za wiek XVII, więc późniéj tu zaniesiony. Na ścianach w miękkim piaskowcu wizerunki świętych, z zatartemi słowiańskiemi napisami. Późniejsze badania (Lipiec 1891), poczęte z ramienia komisyi archeologicznéj, doprowadziły do wniosku, że zabytek ten przedstawia dwupiętrowe katakumby, że na dolném piętrze są ślady zasypanéj zawaloném sklepieniem świątyni, z półkolistém wgłębieniem na ołtarz, z kamiennym dla tegoż stołem, z resztkami kolumn, podpierających owo sklepienie, strojnych w starożytne freski, ale bardzo kruche, rozsypujące się za lada dotknięciem i t. d.

[1]) Kiewsk. Star. 1884 i 1885.

Związku jednak monasteru z ową galeryą górną, z wierzchołka skały spuszczającą się ślimakowato ku dołowi, dotąd jeszcze nie znaleziono. — Przesądzać o przeznaczeniu miejscowości z tego, co dotąd zbadano, nie podobna. Przypuszczać się godzi, że pierwiastkowy monaster zamieniony został na cerkiew parafialną i na cmentarzysko, dość oryginalne, ale praktykowane na południu; może cerkiewka przetrwała do napadu Abazy-baszy (1633), albo nawet do zaboru tureckiego (1672 r.) potém zapomniano o niéj i dopiero w lat przeszło 200 przypomniano ją sobie znowu.

Ale nie uprzedzajmy wypadków,—wnętrze góry niechybnie kryje zagadki, — czekać więc należy cierpliwie, aż ją zbadają ludzie świadomi, chociaż nie tają tego, że ogrom pracy ich czeka, że ogromnych wydatków praca ta wymagać będzie, i nie jeden rok minie, nim się uda ukończyć ją zupełnie.

D-r Antoni J.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Otwarcie muzeum starożytności i obrazów.—Dwa jubileusze: Mozarta i Koernera.—Popularna powieściopisarka.

Wiedeń w Listopadzie 1891 r.

Sezon zimowy rozpoczął się tutaj 17-go Października otwarciem galeryi obrazów i starożytności w nowym pałacu muzealnym przy Ringstrasse. Przez dwadzieścia lat (od r. 1872) Wiedeńczycy przypatrywali się wzrastaniu na rozległym pustym placu, pomiędzy Zamkiem a stajniami cesarskiemi, dwóch równiuteńkich, ogromnych gmachów, które architekt, baron Hasenauer, wystawił według planów wcześnie zmarłego sławnego Sempera. Całe wielkie łomy skał zupełnie wyczerpnięto, i trzeba było wykryć nowe, aby sprowadzić tę masę kamieni, z których wreszcie powstały dwa pałace muzealne. Każdy pokrywa obszar 10,778 metrów kwadratowych, a wynosi 168 metrów długości, 74 m. szerokości, głównym korpusem 31 m, a z kopułą 64 m. wysokości.

Przedewszystkiém uderza niezwykły pomysł zupełnéj tożsamości dwóch pałaców. Jeden z nich był przeznaczony na płody natury (muzeum przyrodnicze), drugi na utwory sztuki. Przeznaczenie odwieczne, dostarczyło więc architektowi sposobności do zaznaczenia w dwojaki sposób swéj siły twórczości. Nie był koniecznie zmuszony poprzestać na jednym zarysie. Ale jakoby z zasady, znamionującéj nagły, niemal gwałtowny rozkwit budownictwa, którego dowodem jest

cały szereg wspaniałych nowych gmachów pomiędzy kościołem Wotywnym a Operą, wystawiono tu dwa równiuteńkie na zewnątrz pałace, tak świetne, że inna stolica zadowolniła-by się jednym z nich. Oba tworzą potężny czworobok o wysuniętym środkowym ryzalicie, nad którego *attyką* sterczy ogromna kopuła, otoczona, aby złagodzić nagłe przejście od linii horyzontalnéj dachu do prostopadłéj—czterema mniéjszemi *tabernaklami*, czyli kopułami na filarach; oba podzielone na cztery piętra i parter, parter wywyższony i pierwsze piętro, o wielkich, jak bramy, łukowych oknach, drugie piętro o małych, jak parter, oknach kwadratowych; tu i tam te same filary, nisze o posągach, medaliony z płaskorzeźbami, balustrady, przyozdobione szeregiem posągów, ożywiają fasady; tu i tam nad główną kopułą unosi się wysmukły posąg bronrzowy, (przez dziwną pomyłkę, nad muzeum zbiorów przyrodniczych posąg Apolla, a nad pałacem zbiorów sztuki—Ateny, gdy oczywiście należało zmienić stanowisko olimpijskich opiekunów nauki i sztuki). Przedziela, a raczéj łączy dwa pałace zielony, o śnieżno-marmurowych fontannach, skwer, w którego środku Marya Teresa siedzi na wysokim tronie, otoczonym bronzowemi posągami swych najsławniejszych generałów na koniach.

Dopiero w wewnętrznym układzie dwóch pałaców uwydatnia się ich odwieczne przeznaczenie. Sale otwartego od 3 lat pałacu zbiorów przyrodniczych cechuje naukowa, chłodna, choć okazała, powaga; świeżo oddany na użytek publiczny pałac sztuk pięknych olśniewa przepychem. Już sień, któréj otwarte w środku sklepienie spoczywa na różnobarwnych marmurowych kolumnach, po-za któremi świecą różowe ściany, tworzy wstęp wspaniały. Ztąd w prawo i w lewo po kilkunastu stopniach wchodzimy do sal pierwszego piętra, w których umieszczono starożytności egipskie, greckie i rzymskie, następnie wyroby przemysłu artystycznego średnich wieków i epoki Odrodzenia, wreszcie niesłychanie obfite zbiory broni starożytnéj i nowéj. Naprzeciwko głównego wejścia z sieni wchodzimy do przysionka, czyli do czworograniastéj sali dla monumentalnych schodów z białego kararyjskiego i czerwonego krajowego marmuru. Arkady dokoła wschodów spoczywają na kolumnach z czarnego o białych żyłach marmuru, wyzłacanych u podstawy i u kapitelów. W trójkątach pomiędzy łukami arkad a gzemsem świeci kilkadziesiąt przepysznych malowideł alegorycznych na złotém tle, wyobrażających postęp oświaty od czasów Egipcyan do naszéj epoki. Po-nad arkadami w 12 lunetach, także na złotém tle, ś. p. Makart umieścił dwa obrazy alegoryczne: „Prawo i Prawda“, tudzież „religijne i świeckie malarstwo“, oraz 10 portretów najsławniejszych mistrzów pędzla: Duerera, Holbeina, Rafaela, Ruben-

sa i t. d., tego z żoną, owego z kochanką i t. d., a odznaczających się doskonałą indywidualnością.

Plafon wreszcie zdobi olbrzymia „Apoteoza sztuki“ madziarskiego mistrza, Michała Munkacsego (10 m. szeroka, 11 m. długa). Tło wspaniałego obrazu tworzy galerya, przez któréj otwartą kopułę wygląda błękit nieba. Tam unosi się alegoryczna postać niewieścia Sławy, otoczona skrzydlatemi gieniuszkami. W *loggii*, Leonowi X. Bramante tłómaczy plan kościoła ś-tego Piotra. Przed *loggią* w głębi sali Tizian uczniom swym pokazuje dwa prześliczne nagie modele niewieście. Po lewéj stronie, na wysokiém rusztowaniu, Paolo Veronese wykończa olbrzymi obraz; na przodzie po lewéj stronie, po schodach zstępują, zajęci żywą rozprawą, Rafael i Lionardo da Vinci, po prawéj stronie Michel Angelo, z dłótem w ręce, duma nad potężnemi zagadkami sztuki. W tyle, za niewieściemi modelami, wychyla się siwa głowa Munkacsego. Świetnym kolorytem i mistrzowską indywidualnością wymienionych bohaterów nowożytnéj sztuki, utwór sławnego malarza węgierskiego stał się jedną z najpiękniejszych ozdób pałacu, napełnionego arcydziełami pędzla. Szczęśliwie pomyślana i tak dokładnie przystająca do miejsca kompozycya, że filary galeryi obrazu wydają się jakby przedłużeniem kolumn przysionka, sprawia, że, wstępując po marmurowych schodach i spoglądając w górę, mniemamy z razu, iż przez otwarty plafon wygląda błękit nieba. Słowem, pędzel Munkacsego, Makarta i t. d. wysadził się na najwspanialsze przyozdobienie tego jedynego w swoim rodzaju przysionka, gdzie świetne barwy obrazów, w połączeniu z uroczystym blaskiem marmurów i złota, składają się na olśniewającą symfonię kolorytu.

Z przysionka po wschodach wstępujemy do ogromnéj, sięgającéj przez dwa piętra, sali, pod kopułę. Tutaj dłóto dokazało cudów. Nad grymsem ośmiokątnéj sali, tam, gdzie się zaczynają ściany kopuły, prof. Weyr w 8 znakomitych wypukło rzeźbach przedstawił charakterystyczne sceny z życia różnych mistrzów sztuki i oświaty rodu habsburskiego. I tak: 1) ces. Franciszek Józef udziela sankcyi zwiększenia i upiększenia Wiednia, Vindobona podaje mu plan zwiększonego Wiednia; cesarz wskazuje na sztuki, które się mają przyczynić do upiększenia stolicy; sędziwy Danubius siedzi związany przed bramami miasta (alegorya regulacyi Dunaju); nimfa źródlana podaje robotnikowi puhar wody (alegorya wodociągów źródlanych); w tyle widać, jako okaz rzeźby: pomnik Maryi Teresy, architektury: skrzydło pałaców muzealnych; 2) Karol VI. z księciem Eugeniuszem Sabaudzkim, za którym postępuje jeniec turecki z darami, z rzeźbiarzem Donnerem, malarzem Grauem, budowniczym Fischerem von Eslach na balkonie Belwederu, w tyle widać kościół Karolowy (imitacya kościoła

ś-go Piotra); 3) Karol V, w dowód uwielbienia dla sztuki, Tizianowi podaje pędzel, który wypadł z rąk mistrza; 4) arcyksiążę Albrecht VII, gubernator prowincyi belgijskich, który zebrał znaczną część tych obrazów, tworzących teraz galeryę cesarską; po lewéj stronie na ławie Rubens z żoną, po prawéj Van Dyck, malujący *pietę*; 5) Rudolf II w swéj pracowni na Hradczynie słucha wykładu sławnego astronoma Tycho de Brahe; pomiędzy sarkofagiem a mumiami szlifierz szkła, Lebenau, archeologowi Stradzie pokazuje puhar; po prawéj stronie rzeźbiarz Adriaen de Frier i alchemista; 6) arcyksiążę Ferdynand tyrolski z żoną Filipiną, z mieszczańskiego rodu Welserów, w pracowni rzeźbiarza Collina; 7) arcyks. Leopold Wilhelm z malarzem Teniersem młodszym, we flamandzkiéj gospodzie wiejskiéj; 8) W środku ces. Maksymilian I, jako „ostatni rycerz“, we spaniałym pancerzu turniejowym, na uzbrojonym koniu; na starożytnym wale miejskim grupa *landsknechtów*, spoglądających ze zdumieniem na nowo wynalezioną broń palną; po prawéj stronie, jako reprezentanci oświaty ówczesnéj, Treitsakerwein i Duerer. W rogu mistrz Pilgram z modelem kategry ś-go Szczepana.

Po-nad temi niezmiernie wykwintnemi grupami, wewnętrzne ściany kopuły zdobi 8 piramidalnych płaskorzeźb Benka, na których po 2 alegoryczne figury trzymają medaliony z portretami wymienionych powyżéj mecenasów. Ramy ośmiu owalnych okien kopuły dźwiga 16 zgrabnych niewieścich karyatyd (płaskorzeźby) Weyra; w trójkątach pomiędzy górnemi łukami arkad sali a gzymsami prof. Kundman umieścił 16 *fam*, czyli większych postaci niewieścich skrzydlatych, z których po dwie trzymają przy ustach trąby (sławy), po dwie w rękach złote wieńce (płaskorzeźby); w kątach dolnych łuków prof. Weyr uczepił 16 prześlicznych chłopców, reprezentujących różne rodzaje sztuki i przemysłu artystycznego (*en ronde bosse*): a nawet podwoje dwojga dębowych drzwi, któremi z téj przepysznéj, lśniącéj od różnobarwnych marmurów i pozłacanych kratek balkonowych, sali, dochodzimy do galeryi obrazów, zdobią alegoryczne płaskorzeźby, jak gdyby zazdrosne dlóto było nas chciało olśnić swą zdolnością i wykwintnością, zanim będziemy podziwiali tyle arcydzieł pędzla.

Przeniesiona z Belwederu galerya obrazów zajmuje 34 sale, z których 15 większych od strony fasad o oświetleniu bocznem, a reszta wielkich o oświetleniu zenitowém, nierównie lepiéj uwydatniającém zalety malowideł, aniżeli to było możliwém w dość posępnych komnatach Belwederu.

Jak wiadomo, co do starszych obrazów, najbogatszą jest galerya tutejsza w dzieła szkoły włoskiéj i niderlandzkiéj. Perłę stanowi N. Marya Panna z dzieciątkiem i św. Janem Rafaela, znana w dziejach

sztuki pod nazwą „Madonna w zieleni“, w monumentalnych nowych ramach złoconych, umieszczona zaraz przy wstępie w bocznéj sali I. Także niektóre arcydzieła Tiziana, zwłaszcza jego sławna „Danae“ i Pawła Werończyka „N. Panna z dziecięciem“, jedyny obraz Murilla „Jan Chrzciciel jako dziecko“ Correggia sławna „Io z Jowiszem“ i t. d. znajdują się w salach bocznych (IV, VI, VII), tutaj zatém nie wolno nam, jak w paryskim Luwrze, gdzie najkosztowniejsze obrazy ustawione są w sławnéj *salle carrée*, pominąć sal bocznych, jeżeli chcemy ujrzéć najdroższe skarby galeryi. Osobną salę o oświetleniu zenitowém (XIX) zapełniają obrazy Rubensa, w olbrzymich, złotych ramach, mianowicie: obraz ołtarzowy bractwa śtego Ildefonsa: na środkowém polu N. Marya Panna, podająca ornat śtemu Ildefonsowi; na prawém polu arcyks. Albert, na lewém żona jego, Klara Eugenia; daléj Wniebowstąpienie N. Maryi Panny; śty Lojola, leczący opętanych; N. Marya Panna i śty Jan nad ciałem Zbawiciela; portret Rubensa; znana nieprzyzwoita bachanalia przed posągiem Wenery i t. d. Ze świeżo nabytych albo wydobytych ze składów obrazów, których nie było w Belwederze, warto podziwiać „Życie N. Maryi Panny“ w 17-tu miniaturowych szkicach Duerera, 6 utworów Tiziana, 11 pejzażów Canaletta, które dotąd znajdowały się w *Burgu*, 5 portretów Velasqueza, 10 ogromnych kartonów Jana Vermagena, wyobrażających wyprawę Karola V do Tunisu, 12 wielkich obrazów wojennych Piotra Snagersa, prześliczny raj Łukasza Cranacha i t. d. Na drodze z Belwederu galerya więc znacznie się zwiększyła. W dziale „nowych mistrzów“ (sale 28—33) najwspanialéj przedstawia się wielka sala XXXI. Tutaj podziwiamy ogromne płótna Matejki (Rejtan), z drugiéj strony Karola Warzingera: „Ferdynand II i powstańcy protestanccy w Burgu“; Makarta bukiet kwiatów; Fuericha bitwę w obłokach; Schnorra von Carolsfeld „Pokusę“ i t. d. Wreszcie w kilkunastu salach drugiego piętra umieszczono 462 akwarele, które dotąd znajdowały się w różnych pałacach cesarskich, mianowicie: sławny cykl „Piękna Meluzyna“ Schwinda; szkice z podróży na około świata J. Sellenego; cykl z wędrówki ludów, sławnego mistrza tutejszego, Leandra Russa i t. d.

Co do zbiorów w 31 salach wymienionego parteru, to starożytności egipskie, greckie i rzymskie, chociaż bardzo bogate, nie wiele się różnią od innych podobnych, niezmiernie zaś obfite zbiory starożytnéj broni, pancerzy, hełmów i t. d., posiadające wielką wartość historyczną, żywiéj zająć mogą tylko ludzi fachowych. Tak samo zbiory monet. Ogólny interes obudzają sale 17—24, zawierające wyroby przemysłu artystycznego, począwszy od wieków średnich, jako to: naczynia srebrne i kryształowe puhary, skrzyneczki z kości słoniowéj o ślicznych płaskorzeźbach do relikwii lub klejnotów, krzyżyki, meda-

lioniki, pierścienie wysadzane dyamentami i t. d. (sala XVII), automaty, grające zegary, skrzynie z hebanu, globusy, narzędzia astronomiczne i t. d. (sala XVIII). Szczególnie bogatą jest wielka sala złotnictwa (XIX). Tu mianowicie znajduje się: solniczka (saliera) Celliniego, nabyta przez Franciszka I francuskiego, a darowana arcyks. Ferdynandowi tyrolskiemu przez Karola IX, z okazyi ślubu jego z Elżbietą, córką Maksymiliana II. Arcydzieło to najsławniejszego złotnika i cyzelera składa się z dwóch głównych figur: Neptuna, siedzącego na koniu morskim, naprzeciwko Cerery na słoniu; Neptun trzyma starożytne czółno (na sól), Cecera – miniaturową świątynię (na pieprz). Podstawę zdobią figurki, wyobrażające różne pory dnia; ze strony Cerery kwiaty, trawa i owoce z drogich kamieni, jako emblemata ziemi; ze strony Neptuna — fale morskie o różnych potworach. Niesłychanie delikatnéj robocie utwór ten Celliniego słusznie zawdzięcza nazwę arcydzieła złotnictwa i cyzelacyi. W zachwyt wprawia także amatorów prześliczna czworograniasta, bogato przyozdobiona, skrzynia z hebanu, na któréj wznosi się, otoczony czterema alegorycznemi figurami pór roku, zegar grający, uwieńczony posągiem Ateny śród czterech wazonów z kwiatami—wyrób augsburski z 1-éj połowy XVII stulecia; gabinecik z hebanu o srebrnych płaskorzeźbach, figurach i innych płaskorzeźbach,—wyrób augsburski z XVI wieku; prześliczna apteczka domowa Maryi Teresy: skrzymia z wytłaczanego bronzu, o bogatych ornamentach i kryształowych okienkach i t. d. W witrynie znajduje się mnóztwo kosztownych puharów, ołtarzyków, automatów, wazon z 24 tablic lapislazuli, przyozdobiony rubinami, kameami, jako też prześliczną Ledą z łabędziem, wyrzniętą z sardonyxu; daléj złota, przyozdobiona perłami i klejnotami, *bratina*, dar cesarza Michała Feodorowicza dla Władysława IV, przez którego żonę dostał się do Wiednia; kilka wspaniałych zegarów, skrzyneczki żelazne o złotych ozdobach, srebne i złote żyrandole i t. d. W witrynie II naczynia kryształowe; w witrynie III zegary, medaliony, kapsule, – pomiędzy temi drobna kapsula złota z miniaturowym portretem Katarzyny, żony Zygmunta Augusta; w witrynie IV i V naczynia z drogich kamieni; w witrynie VI klejnoty z pereł; w witrynie VII różne naczynia z kryształu. Jeszcze kilka dalszych sal zapełnionych podobnemi skarbami. W sali XX znajduje się nader bogaty zbiór majolik włoskich; w sali XXI najwykwintniejsze meble włoskie i niemieckie w stylu Odrodzenia i baroko; w XXII głównie przedmioty z kości słoniowéj i t. d.; w sali XXIII napotykamy rękopisy średnich wieków, jako też dawne, o prześlicznych malowidłach i akwarelach, druki, jako to, Horarium (*livre d'heures*), rękopis na pergaminie, o miniaturach z XIV stulecia, rękopis łacińskiego poematu, poświęcony kró-

lowi Robertowi sycylijskiemu, rękopis na pergaminie kroniki świętego Rudolfa z Ems z XIV wieku, gramatyka łacińska, rękopis na pergaminie, z którego się uczył Władysław Pogrobowiec węgierski i t. d. Ściany téj sali zdobią staroświeckie płótna, hafty, szaty i t. d., pomiędzy niemi hafty, wyobrażające ślub Jana III z Kazimierą d'Arquien.

Musimy, niestety, poprzestać na tych pobieżnych uwagach, które jednak wystarczą czytelnikowi, a zwłaszcza znawcy, aby się domyślić wartości zbiorów. W cyfrach szacują je na 1,000 do 1,200 milionów tal. Wartość idealna, *pretium affectionis*, nie da się wcale dokładnie ocenić, ponieważ prawie każdy z tych przedmiotów, nagromadzonych zwolna przez 8 wieków, pozostaje w pewnym, ścisłym związku z którymś z antenatów rodu panującego, tak, że razem składają się na poufne jego dzieje. Dla ogółu zaś powinna stać się na wszystkich polach sztuki i przemysłu artystycznego wzorem i podnietą do wyszlachetnienia i urozmaicenia smaku. Ostatecznie bowiem pono także do sztuki można zastosować, co powiedział Terencyusz o poezyi: „Nullum est dictum, quod non sit dictum prius".

* * *

Tymczasem Wiedeńczycy, w bieżącym roku, obchodzili dwa ważne jubileusze: setną rocznicę urodzin poety Teodora Koernera i setną rocznicę śmierci Mozarta. Sławny kompozytor i reformator opery umarł tutaj 5 Grudnia r. 1791. Jubileusz jednak obchodzono w trzech odstępach; najprzód od 14 do 17-go Lipca w Salzburgu, gdzie się urodził, odbyło się, przy udziale najznakomitszych śpiewaków, uroczyste przedstawienie jego głównych oper, tudzież na trzech koncertach odśpiewano niektóre inne jego kompozyce. Drugim aktem obchodu jubileuszowego było uroczyste odegranie przy nowych dekoracyach „Fletu zaczarowanego" w operze cesarskiéj 30 Września, w 100-ną rocznicę pojawienia się tego utworu w teatrze. Nareszcie w samą rocznicę śmierci, 5 Grudnia, rada miejska tutejsza, w porozumieniu z dyrekcyami teatrów, urządza trzeci akt obchodu, złożony z przedstawień galowych, koncertów i wykładów.

Najznakomitszy utwór zbyt wcześnie zgasłego mistrza, „Flet zaczarowany", otwierający nową epokę w dziejach opery, zwłaszcza niemieckiéj, powstał w ostatnim roku jego życia, i to w stosunkach ze wszech miar niezwykłych. Wyobrażamy sobie najczęściéj, że arcydzieło sztuki rodzi się nagle, w chwili natchnienia, jak Atena uzbrojona wyskoczyła z głowy Jowisza. Dokładniejsza znajomość dziejów sztuki nieraz prostuje takie górne wyobrażenia i wykazuje, że nasze

najgenialniejsze nawet utwory powstały wskutek zbiegu dosyć drobnych, nawet trywialnych, okoliczności. Przebywał wtedy w Wiedniu awanturnik, zarazem dyrektor teatru, aktor, poeta okolicznościowy, hulaka, bufon, znakomity wyzyskiwacz ludzi, Schikaneder. Od 1789 r., we spółce z kupcem Bartłomiejem Zitterbarthem, objął on dyrekcyę tak zwanego teatru „an der Wien“, który wtedy mieścił się w drewnianéj szopie, wystawionéj na przestronnym dziedzińcu wielkiéj, istniejącéj jeszcze, kamienicy Stahrembergów, znanéj tutaj pod tytułem „Freihaus“, ponieważ przodkowie sławnego komendanta Wiednia w r. 1683 otrzymali przywiléj nieopłacania podatków od swych zabudowań stołecznych.

Zagrożony konkurencyą drugiéj podobnéj szopy teatralnéj na przedmieściu Leopolda, Schikaneder na początku r. 1791 udał się do przyjaciela Mozarta z prośbą, aby mu skomponował muzykę do właśnie co napisanego libretta „czarodziejskiéj“ operety. Trzeba było zuchwałości, cechującéj Schikanedera, aby do autora „Don Żuana“ wystąpić z żądaniem skomponowania opery „czarodziejskiéj“ t. j. farsy jasełkowéj, dla przedmiejskich tłumów. Ale przedsiębiorczy dyrektor teatru znał doskonale dobroduszność Mozarta, z którym go łączyła dzawna przyjaźń, a nadto koleżeństwo w zakonie wolnomularskim, i który nie był zdolny oprzéć się zapewnieniom przyjaciela, że zginie, jeżeli go nie ocali nowym utworem sławny kompozytor. Mozart przyjął zatém znane libretto Schikanedera, osnute po części na wydanéj 1742 r. w Amsterdamie Sethosa „Histoire ou vie tirée des monuments, anecdotes de l'ancienne Egypte. Traduite d'un manuscrit grec“, zauważył tylko: „Jeżeli nas spotka nieszczęście, nie będzie to moją winą, bo dotąd nie komponowałem oper czarodziejskich“, i zabrał się do pracy w wystawionym obok „teatru“ Schikanedera pawiloniku drewnianym, który się obecnie znajduje w Salzburgu.

Różne wydarzenia przerywały i opóźniały pracę. W Maju zjawia się u Mozarta chudy, wysoki mężczyzna, w szarém ubraniu, z listem, zamawiającym u mistrza w najpochlebniejszych wyrazach „Requiem“, ale ostrzegającym, aby się nie dowiadywał o osobę zamawiającą, ponieważ byłoby-to rzeczą daremną. Dziś wiadomo, że to hrabia Walsegg w tak tajemniczy sposób zamawiał mszę żałobną, którą zamierzał, jako swój własny utwór, odegrać w rocznicę śmierci żony. Na wyobraźnię jednak mistrza tajemnicze zamówienie „Requiem“ oddziałało tém silniéj, że już dusza jego zapełniona była przeczuciami śmierci. W tym uroczystym nastroju zabrał się do skomponowania „Requiem“, pracując równocześnie nad „Fletem zaczarowanym“.

Kiedy jednak pierwszy akt był gotów, zjawia się nagle na Leopoldstadzie „Zaczarowana Cytra“ albo „Kasper Fagotysta“ z muzy-

ką popularnego kompozytora Muellera, w któréj ogromném powodzeniem cieszyły się bufonady komika Laroche'a. Trzeba było zatém czém prędzéj zmienić pierwotne libretto „Fletu zaczarowanego“, w którym główną rolę był sobie przypisał, jako Papageno, Schikaneder. Przypadek ten oddziałał korzystnie na los opery, z czarodziejskiéj farsy bowiem bez wszelkiéj głębszéj myśli zamieniła się teraz w poważną apoteozę zwycięztwa światła nad ciemnościami, cnoty nad popędami zwierzęcemi, i w ten sposób dostarczyła mistrzowi sposobności do wzniesiesienia się w najwyższe sfery muzyki. Wprawdzie i dziś są tacy, co libretto Schikanedera uważają za niegodne muzyki Mozarta; jednakże sam fakt, że Goethe zabrał się do napisania drugiéj części „Fletu zaczarowanego“, zaprzecza temu zdaniu; jakoż istotnie, uszlachetnione ową głęboką myślą wydoskonalenia człowieka przez wstrzemięźliwość, odwagę i cierpienie, libretto „Fletu zaczarowanego“ śmiało stanąć może obok najlepszych tekstów oper.

Tymczasem zaskoczyła mistrza propozycya, „Stanów czeskich“, które, z powodu zapowiedzianéj koronacyi Leopolda II-go na króla Czech, zamówiły u Mozarta operę galową, przesyłając mu libretto, napisane przez nadwornego poetę, Metastazia, zimną i nudną „Clemenza di Tito“, a zarazem 200 dukatów nagrody, tudzież 50 dukatów na podróż do Pragi. Już ciężko chory, w połowie Sierpnia, z żoną ukochaną, Konstancyą, wybrał się w podróż, komponował na stacyach pocztowych, w ciągu 18 dni skończył tę pracę, i 6-go Września dyrygował w teatrze praskim operą koronacyjną, przyjętą dosyć chłodno przez roztargnioną publiczność, chociaż znawcy podnosili niepospolite zalety i tego utworu znakomitego mistrza.

Dopiero powróciwszy do Wiednia, 28 Września skończył „Flet zaczarowany“, odegrany w wymienionéj szopie „an der Wien“ 30 Września. Mozart przy fortepianie dyrygował przedstawieniem. Arcydzieło jego z razu nie wywołało zapału. Z każdém jednak nowém przedstawieniem zajęcie publiczności wzrastało, i w kilka lat późniéj dyrektor Schikaneder z dochodów z „Fletu zaczarowanego“ mógł na drugim brzegu Wiedenki wystawić okazały gmach teatralny, istniejący dotąd. Genialny zaś kompozytor z przyrzeczonego honoraryum nie otrzymał ani centa, a nawet podstępny „przyjaciel“ Schikaneder, przed pierwszém przedstawieniem, sprzedał potajemnie partycye „Fletu“ innym teatrom, tak, że Mozart nie miał w swym udziale żadnego dochodu, a gdy umarł 5 Grudnia, nie starczyło nawet na zakupienie własnego grobu. Zwłoki mistrza spoczęły w ogólnym grobie ubogich na cmentarzu przedmiejskim St. Marx.

W tutejszym teatrze cesarskim „Flet zaczarowany“ pojawił się po raz pierwszy 24 Lutego r. 1801. Odtąd w staréj operze aż do

17 Maja r. 1869 był odegrany 285 razy, w nowéj operze od 1 Września r. 1869 aż do 30 Września r. b. 107 razy, a zatém w ogóle 392 razy. W Berlinie, gdzie „Flet“ pojawił się po raz pierwszy 12 Maja r. 1794, odegrano go przeszło 400 razy. W Paryżu od r. 1811 do do 1827 grywano nędzną przeróbkę „Fletu“ pod tytułem „Les mystères d'Isis“, wyszydzaną kalamburem „Les misères d'ici“; oryginalny „Flet“ w przekładzie p. Nuittera i Beaumont'a, zjawił się w tamtejszym „Théâtre lyrique“ dopiero 23 Lutego r. 1865.

Niewątpliwie „Flet zaczarowany“ jest najświetniejszym dramatycznym utworem Mozarta. W zdumienie wprawia nas płodność mistrza, zmarłego w 36 roku życia, którego dwie trzecie części zajęły podróże. Pozostawił on 626 dzieł, pomiędzy temi 20 mszy, 40 ofertoryów, 17 sonat na organy, 40 kantat z towarzyszeniem organów, 23 opery, przeszło 100 aryi i pieśni, 22 sonaty na fortepian, przeszło 50 innych kompozycyi na fortepian, 49 symfonii, 50 kompozycyi koncertowych i t. d. Jeżeli jednak podziwiać musimy fenomalną siłę twórczą Mozarta, to niemal jeszcze większe uwielbienie wzbudza jego niezmiernie sympatyczny charakter. Naiwny i wesoły jak dziecko, zawsze pochopny pomagać drugim, nieprzystępny uczuciu zazdrości względem faworyzowanych kolegów, do śmierci pałający młodzieńczą miłością dla swéj żony, Konstancyi, ze wszech miar zasługuje na porównanie z Rafaelem, z którym go porównał Alfred de Musset, dodając: „Ils disparurent tout à coup comme le cygne qui, dit on en Bretagne, reste au ciel, un jour qu'il a volé trop haut“. Najsławniejszy z kolegów Mozarta, o wiele starszy, Haydn, dowiedziawszy się w Londynie o śmierci młodego mistrza, zawołał: „Świat w sto lat nie otrzyma podobnego talentu“, a jeszcze wiele lat później mawiał: „Przepraszam, muszę zawsze płakać, słysząc nazwisko mego Mozarta“.

Ani dwór, ani ogół Wiedeńczyków nie poznały się na wielkości Mozarta. Solenny obchód 100-éj rocznicy śmierci mistrza dostarczył im sposobności do naprawienia win, jakich się dopuścili względem niego za życia. Smutna, ale ciągle powtarzająca się, historya tylu największych geniuszów!

* * *

Lepiéj, niż Mozartowi, udało się Teodorowi Koernerowi. Młody poeta bohater, którego najpiękniejszym poematem było jego życie, przybył do Wiednia latem r. 1811, tutaj napisał wszystkie utwory swoje, wyszlachetniał w czyszczącym ogniu gorącéj i wzajemnéj miłości, i ztąd 15-go Marca r. 1813 wyjechał na wojnę za niepodległość i na śmierć na polu bitwy (23 Września).

Przebywszy burzliwą młodość, 20-letni poeta latem r. 1811 osiada w Wiedniu. Tutaj wchodzi natychmiast w najlepsze koło towarzyskie, otrzymuje posadę „poety teatru cesarskiego“ ze znaczną na owe czasy pensyą 2,500 fl.; oddaje się z zapałem i powodzeniem twórczości dramatycznéj, i już 17 Stycznia r. 1817, na pierwszém przedstawieniu swéj komedyjki „Zielone domino“, w nadobnéj heroinie, Antoninie Adamberger, poznaje urzeczywistniony ideał wszystkich swoich zdrowych i szlachetnych uczuć miłosnych.

Jeden z miejscowych poetów tutejszych, Castelli, w swych „Pamiętnikach“ (tom 1-szy, str. 287) w tych słowach poświadcza wziętość, jaką sobie młody Saksończyk zapewnił w Wiedniu: „Mało jest młodzieńców, którzy-by zaraz na pierwsze spojrzenie, przy pierwszém słowie, tak ujarzmiali i tak sobie jednali sympatyę, jak Teodor Koerner. Był to piękny młodzieniec, o téj czerstwości ciała, która świadczy, że go nie skaził oddech rozpusty. Był rozumny i skromny, obudzający ufność i sam pełen ufności. Jak w otwartéj księdze, każdy mógł czytać w jego sercu. Dwulicowość i podstęp były mu całkiem obce. Posiadał duszę ognistą, zapalającą się dla prawa i prawdy, ale przytém taką czułość, że każdy zapoznany lub cierpiący znajdował w nim obrońcę i, jeżeli można było, opiekuna. Był poważnym z poważnymi, wesołym z wesołymi, słowem, przez wszystkich kochanym, bo wszystkich kochał. Ale więcéj, niż cały świat, kochał swą znakomitą artystkę, która, nie tylko z powodu swego talentu, lecz także z powodu nieskazitelnego życia, doznawała powszechnéj czci i miłości—Antoninę Adamberger. Była-by to para według serca Boga, ich własnego i ludzi, ale nieprzebłagany los inaczéj zrządził“.

Od r. 1807 panna Antonina Adamberger występowała w teatrze cesarskim. Wdzięki jéj znamy z portretu, który Monsorno wymalował na kości słoniowéj i który się znajduje w Drezdeńskiém muzeum Koernera. O jéj niepospolitych zdolnościach świadczą ówczesne recenzye teatralne, zawsze pełne pochwały dla niezrównanéj gry panny Adamberger. Co więcéj, młoda aktorka przebywała w najlepszych kołach towarzyskich. Dziś, kiedy heroiny teatru cesarskiego wychodzą za książąt i hrabiów, a prawie dopuszczają się mezaliansu, podając rękę prostemu baronowi, jak panna Hohenfels, uwaga powyższa może się wydać dziwną; ale na początku bieżącego stulecia aktorka, choćby teatru cesarskiego, musiała się odznaczać wyjątkowemi zaletami, aby otrzymać wstęp do wyższych kół towarzyskich.

Młody poeta poznał ją 17 Stycznia r. 1812, a już 20 Maja pisze do ojca: „Najdroższy ojcze, wierny przyjacielu! znalazłem cel, gdzie wypada zarzucić kotwicę. Ojcze, kocham. Jest to największą dumą moją, że swobodnie mogę spojrzeć w twoje ojcowskie oczy i powie-

dzieć: kocham — anioła! Zobaczysz ją, a jeżeli jéj widok nie wzruszy cię, jak mnie wzruszył, jeżeli z jéj ciemnych oczu nie owionie cię spokojny urok, jak mnie; natenczas było-by kłamstwem, co moje młode serce marzyło o zgodzie i harmonii naszych dusz Ojcze, pewność moja, że ciebie wprawi tak samo w uniesienie, jak mnie, stanowi dla ciebie rękojmię mego wyboru. Bez zarumienienia mogę wyznać: bez niéj byłbym zginął w wirze, który mnie otacza... Ojcze, kocham, a jeżeli mnie znasz dobrze, wiesz, jak kocham: niezmiernie, wiecznie. Podobna jest do matki, który-to przypadek uradował mnie dla ciebie i dla mnie“ ... i t. d. Rodzice młodego poety, którego ojciec, przyjaciel Schillera i poważny pisarz, piastował wówczas urząd radcy wyższego sądu apelacyjnego w Dreźnie, w Sierpniu roku 1812 przybyli do Wiednia, aby osobiście poznać kochankę syna. Panna Antonina oczarowała ich skromnością, rozumem i niepospolitemi wdziękami. W obecności rodziny odbyły się zaręczyny. Ślub, z powodu młodości zaręczonéj pary, odroczono na dwa lata. I po śmierci poety pomiędzy jego narzeczoną a rodzicami utrzymały się przyjazne stosunki. Ojciec Koernera oświadcza: „Że młodzieńcza siła syna mego śród niebezpieczeństw i pokus wielkiéj stolicy nie zdziczała, było przedewszystkiém dziełem miłości. Urocze stworzenie, niejako przez Niebo zesłane mu na anioła stróża, przykuło go do siebie urokiem postaci i duszy“. Na nieszczęście, liczne listy, pisane przez pannę Antoninę do rodziców Teodora, a zawierające niezawodnie dużo ważnych szczegółów, zniszczyła matka poety, która tych serdecznych wynurzeń nie chciała żadną miarą roztaczać przed publicznością. Panna Antonina w Czerwcu r. 1817 opuściła teatr cesarski i wkrótce potém wyszła za dyrektora cesarskiego gabinetu monet, Józefa, kawalera Arnetha. Syn tego małżeństwa, sławny dziejopisarz Maryi Teresy i prezes tutejszéj akademii umiejętności, tajny radca, Alfred Arneth (ur. 10 Lipca r. 1818) niedawno wydał wspomnienie o zmarłéj dopiero w roku 1867 matce, która jednak, powodowana szlachetną delikatnością osoby wyższego ducha, nie lubiła rozprawiać o swéj sławnéj, pierwszéj miłości. Że jednak miłość Koernera była wzajemną, wynika najdobitniéj z listów młodego poety do rodziców, ogłoszonych świeżo przez znanego wydawcę lipskiego, Brockhausa, pod tytułem „Teodor Koerner“ (Lipsk 1891).

Wzniosła dusza Koernera najlepiéj odbiła się w napisanéj latem r. 1812, śród cienistego ogrodu, na tutejszém przedmieściu Dueblingu, tragedyi *„Zriny“*. Słusznie téż we wszystkich teatrach niemieckich, jak w tutejszym cesarskim, w 100-ną rocznicę urodzin K. odegrano właśnie ten jego utwór. Chociaż bowiem i tu, jak w dramatach Schil-

lera, wątek zaczerpnięty z obcych dziejów, węgierskich, to jednak młody poeta wypowiada własne, prawdziwe i namiętne uczucia.

* * *

Zajmowaliśmy się dotąd samą przesłością. Niech nas uniewinni uwaga, że takie zbiory nagromadzonych przez długie wieki owoców pracy i sztuki, i takie jubileusze gienialnych mężów, dla każdego narodu stanowią kapitał, którego procent zasila coraz to nowe pokolenie, właściwie więc potężniéj oddziaływają na przyszłość, niż efemeryczne zjawisko spółczesne. Ale i o tych z obowiązku kronikarskiego pomówić trzeba.

Wypożyczalnie książek są barometrem nie wartości literackiéj, ale przeważającego w pewnéj chwili śród szerszych warstw smaku estetycznego. Na zapytanie: czyje powieści obecnie są najwięcéj czytane? — w każdéj tutejszéj wypożyczalni odpowiadają nam bez wahania: *Ossipa Schubina*. Po-za tym pseudoninem ukrywa się panna Aloizya Kirschner. Urodziła się w Pradze 27 Czerwca 1854 r., jako córka właściciela wioski Lochkara w Czechach, gdzie spędziła lata dziecinne. Od 18-go roku życia podróżowała, dłuższy czas przekywała w Brukseli, w Paryżu, w Rzymie, w r. 1882 wystąpiła z romansem „Ehre“, po którym zjawiły się, najprzód w czasopismach, potém w licznych wydaniach książkowych, aby wymienić tylko ważniéjsze: „Geschichte einer Genie“ (1884), „Erlachhof“ (1887), „Asbein“ (1888), „Borys Lensky“ (1889), „Bludiczka“ (1890), „O du mein Oesterreich“ (1891) i t. d. Dokładnéj biografii panny K. dotąd nie mamy, nie znamy przeto stosunków towarzyskich, w których dorastała, ani tych, w które weszła późniéj i przestaje obecnie. Z treści jéj powieści, opartych prawie wyłącznie na tle internacyonalnego półświatka arystokratycznego i artystycznego, w którym główną rolę odgrywa zwykle jakiś Słowianin, jako téż z okoliczności, że wymienioną powyżéj nowellę „Bludiczkę“ (błędny ognik) przypisała w Paryżu, jako swéj przyjaciółce, pannie Zdenie Braunerownéj, córce znanego deputowanego staro-czeskiego, wnosimy, że autorka pochodzi z jednéj z nierzadkich w Austryi rodzin słowiańskich zniemczonych, albo téż niemieckich zeslowiańszczonych. W domyśle tym utwierdza nas okoliczność, że, widocznie na mocy pewnego systemu, w *każdéj* jéj powieści występuje choćby epizodyczna figura Galicyanina, przystrojonego w najdosadniejsze przywary, kiedy inni Słowianie cieszą się wyraźną sympatyą autorki.

Zabierając się do odczytania utworów najpopularniejszéj powieściopisarki niemieckiéj, zaglądamy nasamprzód, dla zoryentowania się, do któréj z naszych historyi literatury, np. do „Geschichte der neu-

ern Literatur“ Adolfa Sterna (Lipsk 1883). Tam w rozdziale „die zeitgenosser Schriftsteller“ (tom VII, str. 322) czytamy: a jeżeli grono poetów pessymizmu, o których mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale, w przykry sposób świadczy o głębokim upadku duchów, odwagi życia i radości z objawów ziemskich, nie obawiamy się jednak, aby ten pogląd na życie i sztukę mógł kiedykolwiek zapanować wszechwładnie. Z natury rzeczy pessymizm może być tylko jednym z pierwiastków w różnolitém piśmiennictwie niemieckiém; usposobienie narodu i oddziaływająca potężnie przeszłość literacka, pomimo niekorzystnych stosunków tegoczesnych, nie pozwolą utwierdzić się epoce pessymizmu. Większém niebezpieczeństwem zagraża wzmaganie się znużenia pisarzy, którzy, pozbywszy się myśli idealnego i poetycznego oddziaływania literatury, i tracąc pogląd na całość życia i narodu swego, piszą dla potrzeb i smaku pewnych wymagających i szerokich warstw społecznych. Ta literatura schlebia mianowicie owym warstwom wielko-miejskim, ktore w książce szukają jedynie przyprawy swych materyalnych uciech, i nagina się do poglądów i przesądów publiczności przeciętnego wykształcenia, którego główną cechę stanowi pogarda dla wszelkiego idealizmu, świadomy lub nieświadomy wstręt do wszelkiego zapału i głębszego pojęcia życia. Ztąd naśladowanie naturalizmu francuskiego. Jeżeli „cała prawda“ życia zawsze znajduje się tylko tam, gdzie ono tonie w blocie i brudach, jeżeli nowoczesność ma się zaznaczać jedynie w błyszczących, wyuzdanych lub brutalnych zjawiskach, natenczas wszelka wyprobowana norma zasług literackich traci wartość. (To odnosi się głównie do trzech austryackich powieściopisarzy: Sacher-Masocha, Franzoza i Vacana). Znane grono pisarzy odzywa się przedewszystkiém do owéj mieszczańskiéj publiczności, która domaga się rozrywki i zabawy, i teraz, jak dawniéj, nie szuka poetycznéj prawdy, lecz złudzenia. Blichtr ten dziś wymaga pewnego pokostu realizmu, albo nawet naturalizmu, jak dawniéj wymagał przymieszki romantyzmu lub polityki, ale przez to nie zyskał nic na wewnętrznéj wartości. Na twórczość obu tych gron pisarzy największy wpływ wywiera publiczność, któréj poglądy podzielają, albo udają, że je podzielają. To też jako barometr szczegółowych potrzeb, wykształcenia i towarzyskich poglądów szerokich warstw społecznych, ten rodzaj piśmiennictwa zasługuje na uwagę. Ktoby jednak mniemał, że w tym kierunku leży przyszłość literatury niemieckiéj, odmawiał-by jéj wszelkiéj przyszłości“...

Do tego grona autor zalicza także pannę Kirschner. Ponieważ sąd swój wypowiedział w r. 1885, mógł go oprzéć tylko na trzech pierwszych z wymienionych powyżéj powieści; jednakże sąd ten krytyczny każdy nazupełniéj potwierdzi, kto, jak my, zadał sobie pracę

odczytania wszystkich romansów panny K. Mniejsza o to, że, chociaż oryginalne, sprawiają wrażenie, jak gdyby były przełożone z obcego języka. Mniejsza też o to, że nie mogą być zaliczone do rzędu pornografii à la Sacher-Masoch lub Vacano. To pewna, że niepodobna w nich odkryć ani iskierki idealizmu, ani głębokiéj znajomości duszy ludzkiéj, ani poczucia moralności. Panna K. posiada trochę wyobraźni i łatwość stylu. Takie zalety snać wystarczają, aby skupić około siebie tłumy mniéj wykształconych czytelników, ale nie wystarczają, aby zająć miejsce pierwszorzędne, albo choćby tylko wybitniejsze, w literaturze narodu o jasnéj oświacie.

Bohaterowie jéj, to podupadli moralnie lub majątkowo arystokraci tego rodzaju neutralnego, jaki istnieje jedynie w tak zwanych niemiecko-słowiańskich prowincyach Austryi; albo też obcokrajowcy, jak ów van Zuglen, z którym się najprzód spotykamy w „Geschichte eines Genie“, a potém pod nowem nazwiskiem Borysa Lenckiego w „Asbeinie“ i w ciągu dalszym: „Borys Lencky“; albo niby-to romantyczna córka generała austryackiego, oczywiście Słoweńca czy Chorwata, malarka, Nita Laskiewiczówna; albo zalotna wiejska dziewczyna czeska („Bludiczka“) i t. d. Są to wszystko maryonety bez krwi i kości, a zwłaszcza bez wszelkiéj wyższéj myśli, z któremi panna K. podróżuje po całéj Europie pomiędzy Rzymem, Paryżem a Petersburgiem, jeżeli wyjątkowo nie osiada trochę dłużéj to w Krainie lub Styryi (Erlachhof), to w Czechach. Zapewne ta ciągła zmiana widowni przyczynia się do zwabienia czytelników i naiwnych czytelniczek, chociaż z powieści panny K. nie dowiedzą się niczego ani o Rzymie, ani o Paryżu. Tak samo pozorny realizm, cechujący niby to opisy salonów i gospód półświatka arystokratycznego i artystycznego, na prawdę nie jest niczém innem, jak dekoracyą, zaczerpniętą nie z doświadczenia, na mocy własnych, bystrych spostrzeżeń—lecz znany z innych romansów.

Tym sposobem panna K. pomiędzy romansopisarzami niemieckimi zajmuje podobne stanowisko, jakie na początku bieżącego stulecia zajmował pomiędzy komedyopisarzami Kotzebue. Jest to zjawisko patalogiczne i p Stern ma świętą racyę, twierdząc, że w tym kierunku nie powinna się rozwijać literatura niemiecka, jeżeli się nie chce wyrzec przyszłości.

E. Lipnicki.

SKANDYNAWIZM W LITERATURZE.

Henryk Ibsen.

Henrik Ibsen's Werke. — Lipsk. Biblioteka Reklama. — *Moderne Geister* von Georg Brandes. Frankfurt a/M. — Rütten et Loening 1887. — *Henrik Ibsen, Ein Beitrag zur neuesten Geschichte der norwegischen Litteratur* von L. Passarge. Leipzig. B. Elischer Nachf. — *Henrik Ibsen, Ein Essay* von Otto Brahm. — Berlin 1887. Freund und Jeckel. — *Revolution in der Litteratur* von Carl Bleibtreu Leipzig. — Wilhelm Friedrich. *Henrik Ibsen und das Germanenthum in der modernen Litteratur* von Leo Berg. Berlin. Richards Eckstern Nachfolger.

I.

Kończące się stulecia miewają niekiedy dziwne między sobą podobieństwa. Przy schyłku XVIII wieku wołał Voltaire: „światło przychodzi nam z północy“; u kresu naszego stulecia Jerzy Brandes, którego ktoś nazwał Voltaire'em XIX wieku, daje światu mniéj więcéj to samo do zrozumienia, wskazując literackie gwiazdy na skandynawskim widnokręgu. Nie on wprawdzie pierwszy wymówił nazwiska Henryka Ibsena i Björstjerne Björsona; znano je przedtém dość powierzchownie na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie polityka rasowa przenika aż do literatury i rada-by wszędzie przeprowadzać anneksye w imię germańskiéj kultury; wszakże nawet stary Laube wykrzyknął kiedyś: *Norwegisch! Das klingt hoffnungsvoll für*

unser Theater; ale nie ulega wątpliwości, że powaga duńskiego Taine'a najskuteczniéj przyczyniła się do utorowania drogi téj nowéj wyprawie Normanów na literacką Europę. Ten i ów pisał, szczególniéj o Ibsenie, to i owo; nikt jednak tak, jak Brandes, nie wyrzeźbił wizerunku autora „Wroga społeczeństwa.“ Na wysokim, bardzo wysokim piedestale stoi posąg, uderzający mistrzowską plastyką, któréj niesympatyczne nawet rysy mają w sobie coś imponującego. Literacki snycerz z taką sztuką i, co więcéj znaczy, z taką miłością modelował tę postać, że ją genialna opromienia aureola. Czy wizerunek wiernie oddaje naturę, czy téż jest dziełem rozkochanego w swoim wzorze artysty? Zanim to pytanie zaczęło się błąkać po ustach i wciskać pod pióra, literatura europejska przeszła przez prawdziwy kult Ibsenowski. Jak we Francyi Flaubert'em, Goncourt'ami i Stendhalem, tak w Niemczech zaczęto zajmować się tylko Ibsenem i Björsonem; krytyka, wpatrzona w te zjawiska zorzy północnéj, w niéj już jedynie widziała jutrzenkę literatury; tłómaczono Skandynawów na gwałt, grano ich bodaj nawet przebojem; każde nowe dzieło Menechmów norweskich wybiegało w świat szeroki, poprzedzane wieszczemi zapowiedziami, komentowane entuzyastycznemi glosami, zabezpieczone odbijającym wszelkie ciosy pancerzem apologii. Z czasem obłoki apoteozy przysłoniły nieco postać autora „Bankructwa“; w blaskach jéj pozostał tylko Ibsen, sam jeden olbrzymiejący z dniem każdym do coraz większéj potęgi, dyktujący prawa nowe poetyki to z Rzymu, to z Drezna, to z Monachium. Najjaśniejsze umysły zachodnie zatonęły z rozkoszą w oparach północnych fiordów; najgorętsze serca zatęskniły za mroźną temperaturą lodowców; odwrócono się od słońca, które za jaskrawo świeciło i zbyt pospolicie grzało; odtrącono wiosnę z jéj zielenią i otulono się z rozkoszą w biały zimowy całun; poezyi wystarczały chłodne błyski meteorów podbiegunowych; psychologia, przypasawszy łyżwy, leciała na złamanie karku z góry na dół przez mgły symbolu i zadymki pessymizmu w czyhające pod śniegiem otchłanie; jakiś półmrok hyperborejski rozpostarł się nad literaturą Europy, na tle zaś jego „Brand“ wyrastał na nowego Fausta, a autor „Dzikiéj kaczki“ bratał się z Shakespearem.

Aż ozwało się niespodzianie słowo reakcyi. Rzecz dziwna i wielce zaiste charakterystyczna: powtórzył się tu fakt, znany w historyi rozwoju pokrewnego Ibsenowi talentu, Emila Zoli — pierwszy strzał, skierowany przeciw mistrzowi, wypadł z pośród jego wielbicieli, wymierzony przez Karola Bleibtreua, jednego z przywódców radykalizmu literackiego, koryfeusza szkoły „najmłodszych Niemiec.“ — „Winienem zaznaczyć,—pisze autor *Ojczyzny* i *Byrona*, w przedmowie do swéj zamaszystéj broszury *Rewolucya w literaturze*,—że Ibsen napisał

„Rosmersholm“ i „Dziką kaczkę“, w których-to utworach, mimo ich szary koloryt, panuje dzika, północna energia, sięgająca nieubłaganie do samych głębin życiowych. Temu jednak pessymizmowi, który, bezmiernie pogardzając światem i ludźmi, doprowadza nienawiść dla kłamstwa aż do przesady i wykrzywienia prawdy, — brakuje zawsze ostatniego święcenia artyzmu, układającego u Shakespeare'a najostrzejsze rysy do harmonii dzieła sztuki. To też przeciwko inscenizowanemu u nas Ibsenowskiemu zawrotowi głowy (*Ibsen-Schwindel*) stanowczo protestuję i widzę w nim jedynie zastarzałe u Niemców schlebianie cudzoziemczyźnie.“ Jaskrawe i, bądź co bądź, wiernie rzecz malujące określenie „Ibsen-Schwindel“ nie miało w sobie widocznie nic przesadzonego, skoro w ojczyźnie Ibsena, jak twierdzi jego wyznawca w „Revue d'art dramatique“, rozprawy o sztukach norweskiego poety doszły do takiego roznamiętnienia, że spokojni ludzie muszą pisać na drzwiach swoich mieszkań: „tu nie mówi się o Ibsenie.“ Przypuśćmy, że to koncept; — ale konceptem nie są chyba ochładzające ogólny szał poglądy współczesnych skandynawskich pisarzów. Odzywają się tam również „młodzi“, a między nimi spotykamy ucznia i wielbiciela autora „Branda“; próby ich zatém reagowania przeciw Ibsenowskiéj hegemonii w literaturze na uwagę zasługują. Nie tyle tu zresztą chodzi o zewnętrzną reakcyę przeciwko Ibsenowi, objawiającą się w pismach polemicznych; nierównie ważniejszym symptomatem jest utrwalające się na Północy przekonanie, że Ibsen dosięgnął już w twórczości swojéj punktu kulminacyjnego. Tą wyżyną, na któréj talent norweskiego pisarza zaczął omdlewać i stopniowo słabnie, ma być dramat „Upiory.“ Wypowiedziawszy w nim jakoby najdumniejsze słowa swoje, Ibsen, w napisanych następnie sztukach, „Wróg społeczeństwa“ i „Dzika kaczka“, załatwia tylko rachunki ze swymi krytykami; następne sztuki: „Rosmersholm“ i „Zaślubiona z morzem“ (*Die Frau vom Meer*) toną coraz głębiéj w mistycyzmie; obie, wraz z ostatnią, „Heddą Gabler“, słabe w kraju poety wywołały wrażenie.

Takie jest zdanie literackiego na Północy ogółu. Daléj posuwają się „młodzi“, odmawiając wogóle dramatom Ibsena realnego gruntu. Temperamentem różnią się oni wprawdzie od starszego pokolenia. Ibsen i Björnson byli przedstawicielami doby, w któréj Norwegczycy znajdowali się pod silnym wpływem duńskiéj cywilizacyi i duńskiéj literatury. Sami poeci patrzyli na ludzi, rozwiniętych w duńskiéj atmosferze, przez szkła na duński sposób oszlifowane. I słusznie Kopenhaga była wtedy stolicą téj literatury, i bardzo naturalnie, że nie będzie nią dla tych, którzy teraz przyszli; młodzi bowiem pisarze, występujący w Norwegii od lat pięciu, dotarli w swoich badaniach do społeczeństwa, niemającego już nic wspólnego z duńską kulturą;

zarówno ludzie przez nich przedstawiani, jak same sposoby przedstawienia tego nowego świata, różnią się nieskończenie od bohaterów, od metody Ibsena i Björnsona. Słowem, przepaść głęboka dzieli już młodą Norwegię od jéj najgłośniejszych poetów: Hans Jäger, Niels Collet Vogt, Gabriel Finne i inni walczą utworami, trzeźwo, niby bez artyzmu traktowanemi, przeciw wszystkiemu, co jest mistycyzmem i tak zwaną „poezyą zagadnień.“ W roku bieżącym reakcya przemówiła bezpośrednio w sztuce Jakóba Bulla p. t. „Bez odpowiedzialności“, która wiele narobiła wrzawy. Bohaterem jéj jest człowiek, przejęty ideałami ojczystych swoich mistrzów. Z błyskami genialności w młodzieńczych latach miał krótkotrwały talent, wieńczony przez dwudziestoletnich kolegów w studenckich knajpach. W téj-to dobie wchłonął w siebie Kristian Wankel — tak się nazywa bohater — wszystkie nowoczesne idee. Ale młodość minęła, a z nią i tryumfy studenckich czasów. Paru zaledwie wiernych ściele się jeszcze do stóp trzydziestoletniego bakałarza, ilekroć koniak rozpali mu w mózgu iskry dawnéj wymowy. Porywają go wtedy znowu idee mistrzów, których przyzywa... na swoje usprawiedliwienie. Wankel oddaje się pijackiemu nałogowi i wie o tém. Ale jego ojciec był także pijakiem — a przecież wady dziedziczy się; jest więc bohater bez odpowiedzialności owocem nałogu rodziców. Dramat wykazuje upadek człowieka, we własnych myślach nieodpowiedzialnego, i im daléj akcya sztuki postępuje, tém wyżéj podnosi jéj autor oskarżającą rękę przeciw twórcy „Upiorów“, który dał ludziom w poezyi uniewinnienie dziedziczności.

Silniejszego od Bulla przeciwnika ma Ibsen po-za granicami swéj ojczyzny, w szwedzkim pisarzu, Auguście Strindbergu. Ten znowu nie zaczepia poety wprost, lecz rzuca mu w swoich dramatach rękawicę, jako obrońcy nieuznanych praw kobiety. Dla Ibsena kobiety są podporami, Strindberg widzi w nich niszczycielki społeczeństwa i głosi swoją do kobiet nienawiść w całym szeregu utworów. „Panna Julia“ jest kobietą, oddaną najbrutalniejszym popędom; Tekla, w „Wierzycielach“, występuje w charakterze heroiny, świadomie naokoło siebie siejącéj spustoszenie. Kobietę uważa Strindberg za megerę, podkopującą świat bezwstydną i tajemniczą siłą swéj płci. Chce panować, a jeżeli nie może panować, musi niszczyć. Kobieta Strindberga, uosobienie instynktu, jest nieprzyjaciółką kultury mężczyzn, któréj nie rozumie, pracy mężczyzn, któréj się lęka, siły mężczyzn, którą pragnie obezwładnić; w objęciach jéj zamiera wola, rozum, duch. W tém wszystkiém kipi widocznie fanatyczna reakcya przeciwko całéj literaturze, zrodzonéj z „Nory“ i mnożącéj do nieskończoności zastępy coraz nieznośniejszych bohaterek równouprawnienia. Inny Szwed, Verner von Heidenstam, nie doty-

kając téj lub owéj tezy Ibsena, z goryczą odzywa się o całym nastroju jego literatury. Potomek staréj szwedzkiéj szlachty, spędził większą część życia na Południu. Słońce, ciepło Południa, południowa niefrasobliwość, lubiąca użycie krótkie a namiętne, obudziła w poecie tęsknotę do tych uczuć, jakie daje zadowolenie z życia. Heidenstam wierzy niezachwianie w możność tego zadowolenia; ale nie znajduje go w literaturze północy. Widzi tam tylko orszak zakutanych z głową karawaniarzy, którzy, zawodząc chorał pessymizmu, niosą do grobu trupa społeczeństwa. Ciemno i ciężko zwiesza się niebo wiecznie szare nad literaturą północy. „Czyż życie jest istotnie tak ponurém?“— pyta Heidenstam—a gdzież się podziało słońce? Nim został poetą był Heidenstam malarzem; nie jest-że malarz, przyjaciel słońca, zarazem jego pomocnikiem, rozkochanym w barwach, w tych dzieciach, zrodzonych z ojca słońca i z matki tęczy? Heidenstam jest w dodatku Szwedem, a Szwedzi są weseli,—ojcowie jego byli żołnierzami Wallensteina i nie żałowali sobie uciechy. Wreszcie Heidenstam jest szlachcicem: dobywa więc rycerskiego miecza i pruje nim obłoki, żeby przez szczeliny promienie słoneczne przedrzéć się mogły. Życie trwa krótko, mówi poeta, za krótko, jak na dolegliwości, w które obfituje; dlatego właśnie z każdéj chwili radości korzystać trzeba. Wyrusza więc Heidenstam w świat szukać zadowolenia z życia i nie znajduje go nigdzie, ani na Zachodzie, ani na Wschodzie; dokąd tylko ręką za tą wymykającą się radością sięgnie, wszędzie chwyta róg śmiertelnego całunu. A jednak w życiu jest słońce—tylko je poeci zgasili; dzięki im, zadowolenie życia umarło. „Jeżeli tak, konkluduje Heidenstam, zwracając się do poetów, jeżeli istotnie po to tylko tu żyjemy, żebyśmy cierpieli, to nie każcież nam obnażać naszych cierpień i wywoływać najbardziéj upokarzającego uczucia—litości. Jeżeli jesteśmy męczennikami, pozwólcież nam przynajmniéj być dumnymi, jak owi męczennicy, którzy śpiewali, idąc na rusztowanie. Nie przeszkadzajcie nam przedewszystkiém myśléć ciągle o tém, że jest jedna radość, którą zawsze, wśród wszelakich cierpień, odczuwać możemy: radość innych.“

Gdy tak brzmią w Skandynawii parafrazy przysłowia o proroku we własnym kraju, ojczyzna zdrowego sensu, Francya, nie wyrzeka się również głosu. Po jedyném w paryskim „Teatrze wolnym“ przedstawieniu „Dzikiéj kaczki“, Sarcey, ze swoim zwykłym prostym rozsądkiem, przyznaje, że nie wiele zrozumiał z Ibsenowskiego arcydzieła. „Gdybym, dodaje krytyk *Temps'a*, nie był przedtém przeczytał sztuki, nic zrozumiałbym nic.“ Hektor Pessard oświadcza wprost, że się nudził. „Ponure i dotkliwe nudy, pisze sprawozdawca *Gaulois*, unoszące się nad tym dyalogiem z głębokiemi intencyami,

niesmaczny widok plugawych dziedziczności, dziecinne zuchwalstwa tych buntowników przeciw społeczeństwu, wystruganych z norweskiéj sosny — wszystko to osłabia moją uprzejmość dla egzotycznych autorów."

A publiczność? Tę znowu charakteryzuje Szwarzkopf, opisując przedstawienie „Upiorów" w wiedeńskim *Volkstheater*: „Sykano tęgo, pisze ten korrespondent do tygodnika *Das Magasin für Litteratur*; więcéj jednak, niż to sykanie, wśród towarzystwa, dość pod względem literackich opinii mieszanego, znaczyła fizyognomia „gminy Ibsenowskiéj", złożonéj z młodych ludzi, silnie zdecydowanych dać się wstrząsnąć, zelektryzować, porwać Jéj-to usposobienie najlepiéj odtworzy wrażenie, jakie ten dramat Ibsena wywarł. Otóż kto się nie chce sam okłamywać, kto ma dość siły do stanięcia oko w oko z bolesném rozczarowaniem, ten musi przyznać, że spodziewany, upragniony efekt nie zawsze zjawiał się na zawołanie, że najczęściéj chybiał zupełnie. Zkąd-że to pochodzi? Sztuka aktora, środki scenicznéj ekspresyi, powinny-by jeszcze silniéj uwydatnić, co tak interesuje i wzrusza przy czytaniu; dlaczegoż one-to właśnie przyczyniają się do zatarcia barw, do przyćmienia blasków? Dlaczego charakterystyka osób, która nam się w książce wydawała tak mistrzowską, że w niéj nie było rysów ani zbytecznych, ani niedopowiedzianych, w teatrze uderza przesadą i ma cechy sztuczności? dlaczego zdania, których głębię i prawdę podziwialiśmy, czytając, w ustach aktora brzmią paradoksalnie, rażąco, czasem nawet komicznie? Dlaczego naturalność dyalogu, bogactwo podsłuchanych w życiu szczegółów, które nam dawniéj takie sprawiało zadowolenie, działa odrazu nużąco, jakby coś zgoła zbytecznego? Może być, że aktorzy niezupełnie jeszcze dorośli do nowych zadań; że publiczność nie jest przygotowaną do zrozumienia nowéj sztuki, że zabardzo jeszcze jesteśmy pod wpływem starych tradycyjnych konwencyonalizmów!"

I w Paryżu na aktorów starano się zwalić wątpliwość powodzenia „Upiorów." „Jeden tylko Antoine, pisze p. Reyher, rozumiał i żył raczéj, niż grał; koledzy jego tak się nie czuli w swojéj skórze, że litość brała patrzéć na nich. Po raz pierwszy wstąpili w sferę, któréj cierpkie piękności budziły w nich poszanowanie, ale i lęk jakiś zarazem. Nie byli u siebie, a nie śmieli przyznać się do tego. Jakże można nie rozumiéć, nie podziwiać „wielkiego" Ibsena?" Miał jednak tę odwagę, jeżeli nie największy, to jeden z największych aktorów w świecie—Rossi.

— Dlaczego pan nie grywasz Ibsena? — spytał ktoś włoskiego tragika.

— Nie umiem — odparł skromnie Rossi.

— Jakto? pan nie umiesz grać Ibsena?

— Nie czuję jego ludzi — była konkludująca odpowiedź artysty. Rossi, odczuwający człowieka we wszystkich dziedzinach poezyi, rozumiejący go zarówno w Eschylosie, jak w Shakespearze, jak w starym Dumasie, — Rossi nie rozumie Ibsena!

Któż więc jest ten poeta, który, gdybyśmy go oceniać chcieli na podstawie takich krytycznych przeciwieństw, wygląda, jak gdyby się przeżył, zanim go zrozumieć zdołano? czy *jeszcze* go nie pojmujemy, czy *już* nie mamy powodu wysilać się nad zgłębieniem jego dzieł? Co w nim jest, że go jedni nazywają „największym ze współczesnych w Europie pisarzy“, inni „niekompletnym geniuszem, pozbawionym zwykłego talentu?“ Czemu przypisać, że gdy Brandes, unosząc się nad grozą dramatyczną w „Upiorach“, nie waha się postawić Ibsena pod względem prostoty i jasności obok Sofoklesa—Bleibtreu, którego trudno o konserwatyzm w literaturze pomawiać, wprost oświadcza, iż „tylko niedowarzone głowy mogą przeceniać te *szpitalne buletyny* i te *dyalektyczne nad patologią rozprawy?*“ Jakim sposobem jeden i ten sam pisarz może na pewnych umysłach wywierać wrażenie „oburzonego pessymisty“, a innym wydawać się „natchnionym optymistą?“ Co to za siła twórcza, którą za swoją uznać-by pragnęli tak dobrze naturaliści, jak symboliści — a nawet mistycy? Kogo-to wreszcie autor „Nowożytnych umysłów“ definiuje jako człowieka, który, „doszedłszy do lat dojrzałych, nigdy o tém nie wątpił, że on na jednéj szali powinien co najmniéj tyle zaważyć, ile na drugiéj całe społeczeństwo?“

II.

Wyrażenie „co najmniéj“ wypada naturalnie rozumieć jako eufemizm Brandesa; właściwie duński krytyk nie wątpił, że Ibsen chce więcéj ważyć od swego społeczeństwa. Tak bywało i bywa ze wszystkimi satyrykami na całym świecie, a rys satyry, zaprawnéj gorzkim aż do zjadliwości pessymizmem, przeważa w twórczości Ibsena. Nie chodzi więc o prawo poety stanięcia w tym stosunku do swego społeczeństwa — o to prawo wyższy umysł nigdy nikogo nie prosił, brał je zawsze sam, bez pytania—ale warto rzucić choćby pobieżnie okiem na faktyczne takiego stosunku podstawy.

Naród norweski jest niewątpliwie jednym z oryginalniejszych w Europie. Silniéj od natury uposażony, niż inne germańskie szczepy, obdarzony niezwykłą energią duchową, grzeszący przytém nadmiarem fantazyi, rozwija się w dziejach nie spokojnie, konsekwentnie, ale wiel-

kiemi skokami, po których zwykle długie następuje odrętwienie. W czasach przedchrześciańskich, w okresie Eddy, niepokoi i pustoszy pół Europy; później zakłada państwa, to znów daje się we znaki najpotężniejszemu podówczas bizantyńskiemu imperyum. Nagle, prawie bez przyczyny, pada w objęcia chrześciaństwa i oddaje się pietyzmowi, występującemu jeszcze w dzisiejszém społeczeństwie obok dzikiego bohaterstwa. Zaledwie skończyła się gorączka Wikingowych wypraw, rozpoczyna się doba politycznéj niemocy pod duńskiém panowaniem. Tę epokę „czterechsetletnich nocy“, jak ją Ibsen w „Peer Gyncie“ charakteryzuje, kończy rok 1814, nadający krajowi najliberalniejszą w Europie konstytucyę; w roku 1848 dopełnia się ostateczne duchowe przeobrażenie Norwegii; duński obyczaj, duński język z literatury ustępuje przed poczuciem norweskiéj samodzielności, wobec któréj nawet węzły osobistéj ze Szwecyą unii zaczynają się dziś rozluźniać. Społeczeństwo norweskie uchodzi obecnie za jedno ze szczęśliwszych w świecie, jakkolwiek nie można o niém powiedzieć, że nie miało lub nie ma historyi; ideały zachodniéj demokracyi iszczą się w Norwegii spokojnie; wykształcenie, niepospolite w wyższych warstwach, przenika tak dalece do niższych, że lud norweski słynie jako najoświeceńszy; natura ostrém ale ożywczém tchnieniem utrzymuje ten napoły górski, napoły nadmorski narodek w zdrowiu fizycznem, regulującém szczęśliwie natężenie hartu moralnego. Nasycone solą tchnienie od Morza Północnego, zmieszane z wonią iglastego lasu, roztacza po całéj Norwegii atmosferę jakiéjś tęgości i energii, podniecającéj poniekąd samorzutność inicyatywy; nad tém zaś wszystkiém unosi się zapach smolnego drzewa, którego przeróbka stanowi bogactwo zapobiegliwych mieszkańców. Bogactwo to przedstawia się tu i owdzie tak pokaźnie, że wytworzyło nawet arystokracyę pieniężną, stanowiącą wraz z warstwą plebejuszowską zasadnicze żywioły życia społecznego po małych miasteczkach norweskich. Za typ takiego miasteczka może służyć Skien, gdzie przed sześćdziesięcioma trzema laty urodził się Ibsen. Leży ono dość już głęboko we wnętrzu kraju, nad rzeką Skiną, dźwigającą na swych falach niezliczoną ilość ciętych po lasach kloców, które mnogie tartaki pilują na deski, lub miażdżą na „masę drzewną“ — dwa główne produkta miejscowego przemysłu, rozsyłane okrętami na Południe i Zachód Europy. Nad miasteczkiem w kierunku wschodnim sterczy opoka, bujnie lasem sosnowym zarośnięta; na północy rysują się w sinawéj oddali dwie niezbyt wysokie góry. Zresztą górsko-skalisty krajobraz nie ma w sobie nic imponującego, chociaż na małéj przestrzeni zgromadzone są wszystkie pierwiastki, składające się na „wrażeniową“, impresyonistyczną poezyę natury, choć właściwe północnym krajom

zimne odblaski słońca, zabarwiającego inaczéj niż wszędzie wierzchołki świerków i jodeł, głębie mnóstwa jezior, krawędzie skał i szczyty gór—wywołują u Björnsona naprzykład nastrój, którego napróżno szukalibyśmy u Ibsena, nawet w zbiorze jego poezyi. Dla Ibsena natura służy tylko za dekoracyę, malowaną starannie o tyle, o ile otoczyć może pewną sceneryą bohaterów i odgrywający się między nimi dramat; jedynem „Stimmung“, budzącém się wobec niéj u poety, jest uczucie ciasnoty widnokręgów, tak silne, że je Ibsen przenosi do psychologii i etyki swego społeczeństwa. Nie imponuje mu to bynajmniéj, że małe miasta norweskie nic są do innych małych miast europejskich podobne; że w niektórych, choćby tam, gdzie ujrzał sam światło dzienne, wśród pięciotysięcznéj ludności znajdują się energiczni przemysłowcy, wysyłający własne na ocean statki i utrzymujący stosunki handlowe na obu półkulach, co już wytwarzać musi pewną kulturową atmosferę; że wyśmiana przezeń w jednéj z komedyi polityka „miejscowych stosunków“ sięga nierównie daléj, aniżeli interesa powiatowych na lądzie stałym zakątków; społeczność norweska, odzwierciedlona w dramatach Ibsena, dotknięta jest umysłowém krótkowidztwem, przy czém toczą ją wrzody kłamstwa, faryzeizmu i samolubstwa. Jako bohater „Związku młodzieży“ występuje egoista Steinhoff, samolub z pośród ludu, uważający stronnictwa i politykę za szczeble, po których, pozbywszy się balastu sumienia, probuje dojść do upragnionéj pozycyi i władzy; w „Podporach społeczeństwa“ egoista w skórze Bernicka, konsula małomiejskiego, niewiele dba o cześć swéj żony, o życie brata, od chwili, w któréj chodzi o jego firmę, o nazwisko Bernick; gotów jest nawet to nazwisko po cichu krwią zmazać, byleby tylko jawnie społeczeństwu czystém się wydawało, byleby on za jedną z podpór tego społeczeństwa mógł uchodzić. Pisząc „Norę“, posunął się Ibsen jeszcze daléj: pokazuje nam samoluba w mężu; słowa Helmera powtarzane ustawicznie żonie: „Ja i ty“, stanowią oś dramatu. Potém przyszły „Upiory“, — ostatni, jak się zdawało krok w tym kierunku. Tu już rodziców powołuje poeta przed swój trybunał: bo nie młodzieniec nieszczęśliwy ze schnącym szpikiem, ale zmarły przed rozpoczęciem sztuki kapitan i pozostała po nim wdowa są prawdziwymi bohaterami dramatu. On-to, jako zrujnowany pod każdym względem człowiek, ożenił się z kobietą, która bez miłości, za talary go poślubiła; oni-to oboje na zimno rzucili w świat dziecko, które odziedziczyło ich choroby, ich fizyczną i moralną nędzę. On stał się ojcem z żądzy, ona została matką na podobieństwo sprzedajnéj kobiety. Egoistami są tu rodzice: syn występuje jako ofiara ich samolubstwa. Do tego punktu Norwegia cierpliwie patrzyła, jak ją *in effigie* pod pręgierz stawiano; po ukazaniu

się „Upiorów“ padł z jéj ręki na poetę pierwszy grubszego kalibru kamień. Ile było słuszności w jéj proteście? czy miał racyę Ibsen płacić jéj za to z tak lichwiarskim procentem we „Wrogu społeczeństwa“?—badać w téj chwili nie myślę. Rola adwokata Norwegii, stającego w jéj obronie przeciw norweskiemu poecie i przypisującego sobie lepszą niż u niego znajomość skandynawskich społeczeństw, była-by po prostu śmieszną. Krytyka jednak, skoro jéj już raz psychologiczną być kazano, ma nietylko swoje obowiązki, ale i prawa, dozwalające spojrzéć w serce i w mózg człowieka i tam szukać wątku uczuć i myśli poety.

W sercu Ibsena, o ile bicia jego na jaw dla czytelników i widzów wyszły, zdaje się panować dla ojczyzny, jeżeli nie chłód, jeżeli nie obojętność, to jakiś stan odporności, niedostępnego opancerzenia, po-za którém co jest? — nikomu niewiadomo. Biografowie jednozgodnie utrzymują, że poeta kocha swój kraj i wszyscy prawie na poparcie tego twierdzenia przytaczają, bardzo zresztą ładny, na obczyźnie napisany wiersz:

Tobie, mój ludu, coś w głębokiéj czarze
Podał mi gorycz lecz i uzdrowienie,
Który mnie zbroisz na walki i straże
Gdy już wieczoru nachodzą mię cienie,
Tobie, mój ludu, coś mi przyniósł w darze
Sandały trwogi, wygnańca cierpienie,
Kosztur wędrowny—i moc na męczeństwo—
Tobie z oddali ślę błogosławieństwo!—

Wyznaję, że dla mnie ten wiersz nie równoważy aktów oskarżenia, ręką rozgniewanego prokuratora pisanych; kwestyi jednak patryotyzmu Ibsena nawet nie formułuję: jest to osobisty rachunek między poetą a jego ojczyzną, do którego nikomu wtrącać się nie wolno. Jedno tylko wolno: nie znalazłszy w sercu płomienia, od którego-by różne wątpliwości rozjaśnić się dały, iść po światło do głowy. Otóż tu sam Ibsen będzie nam pomocą. „Wśród burzliwych wszędzie czasów, pisze w przedmowie do drugiego wydania „Catiliny“, stałem u siebie na pewnéj stopie wojennéj z drobném społeczeństwem, którego małostkowe stosunki krępowały mię. Prawdę mówiąc, różne moje wystąpienia nie upoważniały do przypuszczenia, że będzie można liczyć na szczególny jakiś u mnie przyrost cnót obywatelskich — napadałem bowiem epigramatami i karykaturami różnych ludzi, którzy z mojéj strony na co innego zasługiwali“. Ton przedmowy jest lekki, jak gdyby autor sam nie chciał brać na seryo ówczesnego stanu duszy, ani zrodzonéj z tego nastroju próby młodzieńczéj twórczości. Można-by tak samo traktować te słowa, gdyby nie okoli-

czność, że owa „stopa wojenna“ nie tylko nie zmieniała się z latami, lecz wytwarzała coraz bardziéj zaostrzoną sytuacyę. Epigramaty przerodziły się w nieubłaganą satyrę, karykaturalne wykrzywienia fizyognomii bohaterów Ibsena stały się tragicznemi. Na jakim tedy gruncie stanął poeta swoją „wojenną stopą“ względem własnego społeczeństwa? Na to pytanie może nam odpowiedzieć tylko bohater kapitalnego poematu Ibsena „Brand“, uplastyczniający w sobie zasadniczy, jeżeli nie jedynie prawdziwy, rys fizyognomii poety: bezwzględność wobec wszystkiego, co w jakimkolwiek kierunku staje na przeszkodzie jednostce do jéj doskonałego rozwoju. Ten rys nadaje nietylko postaci Branda, ale obliczu autora, wyraz jakiejś namiętnéj zaciętości, sprawiający, że przy czytaniu poematu niepodobna pozbyć się z myśli portretu poety. Napróżno Ibsen sam zastrzega, że suknia duchownego, w którą ubrał bohatera, bynajmniéj nie dowodzi, ażeby zadaniem poematu było rozstrzygnięcie religijnych zagadnień; słowa jego: „mógłbym cały ten sylogizm zastosować równie dobrze do rzeźbiarza lub polityka, jak do księdza“, nie odejmują Brandowi charakteru purytańskiego absolutyzmu, nadającego i wizerunkowi Ibsena. z jego oczami zimno a przenikliwie z za okularów strzelającemi, z jego ustami o cienkich wargach uparcie zaciśniętych, z jego czołem namarszczonem, pozór sfanatyzowanego pastora. Wiemy, że Ibsen postarał się zastrzeżenia swoje stwierdzić późniéj czynami i pismami; wiemy, że księdza w nim niéma ani jednego nerwu; ale kto się uważnie zagłębi w naturę jego twórczości, ten nie zaprzeczy, że został tam jakiś zakwas protestanckiéj egzaltacyi, dziwnie skojarzonéj z protestancką również pasyą zaciekłego badania zadań życiowych.

Porównywano „Branda“ z „Faustem“, wychodząc ze wspólnego obu poematom pierwiastku spekulacyi myślowéj. Prawda, że oba dzieła ogarniają całkowite życie ludzkie z jego tysiącznemi walkami; że się w nich odbija ból i szamotanie całéj epoki: ale Fausta, bohatera zeszłego wieku, dręczy przeświadczenie o ograniczoności wszelkiéj ludzkiéj wiedzy i pali pragnienie sięgnięcia duchem do najwyższych szczytów, do najgłębszych otchłani — Brand walczy o oswobodzenie indywiduum z wszelkich więzów socyalnych; Faust jest bohaterem filozoficznym—Brand społecznym. Wola—oto wyłączny, prawie jedyny w tym bohaterze czynnik psychologiczny, jak jedyném jego cierpieniem jest przekonanie, że w czynnościach ludzkich wola podrzędną odgrywa wolę. „Umiéj chcieć“ woła Brand ustawicznie; „bądź niewolnikiem nawet rozkoszy, mówi do hołdującego uciechom artysty, ale bądź nim dobrowolnie; bądź, czém jesteś, „byle z zupełną świadomością *czém* jesteś“. On sam nie chce znać żadnych w działaniu swéj woli granic; a całą téj woli potęgę zwraca ku poświęceniu się za lu-

dzi. „Wszystko albo nic“, jest jego hasłem; kto nie z wolnéj woli, albo nie wszystko gotów jest poświęcić, ten nie daje nic; kto samolubstwu nie robi ustępstwa nawet z okruszyny woli, ten tylko może być bóztwu podobny, a bóztwem dla Branda jest absolutna miłość bliźniego i absolutna prawda. Jak drapieżnie wygląda w życiu ta miłość bliźniego, zobaczymy późniéj, przypatrując się bliżéj samemu bohaterowi; co do „absolutnéj prawdy“, pływającéj, jak na filozoficzny poemat przystoi, we mgłach spekulacyi, napróżno chcielibyśmy ująć ją tam, gdzie zmieniona na drobną monetę praktycznych postulatów, wyraźnie krążyć-by powinna — w dramatach codziennego życia.

Jakie właściwie ma Ibsen ideały?— czy polityczne? Posłuchajmy, co pisze do Brandesa po wzięciu Rzymu przez wojska włoskie... „Zabrano tedy Rzym, nam ludziom, i oddano politykom! Gdzie się teraz podziejemy? Rzym był jedyném w Europie poświęconém miejscem, używającém wolności prawdziwéj, wolnéj od tyranii wolności politycznéj“. Tego kalemburu wystarczy, choćbyśmy nie dopełnili go wyjątkiem innego, przez Brandesa cytowanego listu: „Zapewne, że dobrze jest posiadać prawo wybierania posłów i głosowania na podatki, ale kto na tém wygrywa? Obywatel nie indywiduum; nie jest zaś bynajmniéj dla jednostki koniecznością rozumową być obywatelem; przeciwnie, państwo — to klątwa jednostki. Czémże Prusy okupiły swoją państwową potęgę? rozpłynięciem się jednostki w politycznem i geograficznem pojęciu. Kelner jest najlepszym żołnierzem“. Państwo tedy nie — więc może społeczeństwo ma dla Ibsena przewodnie idee?... „Dla solidarności, pisze poeta, nie żywiłem właściwie nigdy silnego uczucia; przyjąłem ją tylko, ot, tak sobie, jak tradycyjne wierzenie. Gdyby się miało odwagę zupełnie się z nią nie liczyć, ubył-by z życia balast, najcięższéj indywidualność gniotący“. Ani państwo tedy, ani społeczność. A rodzina? „Miłość jest poezyą, małżeństwo prozą“— tak brzmi stary nieco sens moralny sztuki „Komedya miłości“, która, nie wiadomo dlaczego, taki miała rozgłos w ojczyźnie autora. Kiedy mąż „Nory“ mówi do swojéj żony: „Jesteś przedewszystkiém małżonką i matką“. „Ja sądzę, odpowiada Nora, że jestem najprzód człowiekiem“—i odchodzi od dzieci w świat szeroki, konkludując: „muszę się przekonać, kto ma słuszność: społeczeństwo, czy ja?“ Cóż w rezultacie jest u Ibsena ową absolutną prawdą, przeciwstawiającą jednostkę społeczeństwu, jeżeli wcielić się nie może ani w państwo, ani w formy społeczne, ani w stosunki rodzinne? Czy nie przeszkodzi przynajmniéj objawieniu się jéj w życiu, tak mało, zda się, krępujące uczucie, jak przyjaźń? Nie łudźmy się i pod tym względem. „Przyjaciele, mówi Ibsen, są kosztownym zbytkiem, a kto chce kapitał ufundować na potrzeby swego w życiu powołania lub po-

słannictwa, ten nie ma środków na trzymanie przy sobie przyjaciół. Kosztowność posiadania przyjaciół nie na tém polega, co się dla nich robi, ale na tém, czego się przez wzgląd na nich nie robi. Dlatego w niejednym z nas zanika wiele duchowych zarodków. Przeżyłem to sam; to też widzę po-za sobą sporą ilość lat, w ciągu których nie zdołałem zostać sam sobą". Zostać sam sobą—oto zdaje się być formuła owéj „absolutnéj prawdy", dla któréj wszystko naokoło siebie nieubłaganie poświęcić należy; oto ów „rozwój jednostki", ku któremu skupić się winny wszystkie energie woli. W jakim kierunku ta jednostka ma się rozwijać, ku czemu grawitować, skoro punktów wytycznych nigdzie szukać nie chce, skoro na niczém w życiu oprzéć się nie widzi potrzeby?—tego nikt nie wie, dość, że powinna być w stanie ciągłéj walki, a przynajmniéj zbrojności; bo „wolność, nie jako stan martwy, ale jako bój, jako dążenie" — ma jedynie wartość dla Ibsena. Wszystko, co nie jest tém dążeniem, jest ślepotą; wszystko, co się od niego uchyla, jest samolubstwem; wszystko, co z niem po-ludzku wdaje się w tranzakcye — jest obłudą, kłamstwem. Rozwój indywidualności był podobnież ideałem Goethego; tylko że Goethe,— skoro już dziś nastała moda wymawiania różnych nazwisk jednym tchem—dopełniając swego rozwoju na Olimpie greckim, przejął się jego pogodą; Ibsen, niby z wyżyn skandynawskiéj Walhalli, ciska z jakiémś okrucieństwem Thora gromy na swoich współczesnych. Jest to ów stan „pessymistycznego oburzenia", o którém wspomina Brandes. Poecie duszno w kraju, gdzie mało jest Brandów, poświęcających żonę i dziecko dla „miłości bliźniego", a dużo takich, jak towarzyszka Branda, kobiet, które walczą z sobą, zanim ostatnią pamiątkę po jedyném dziecku oddadzą, jako „niepotrzebne bożyszcze" suto przedtém obdarowanéj żebraczce; Ibsen nie może oddychać w atmosferze, gdzie rozwój jednostki zawarunkowany jest wymaganiami i potrzebami rodziny, społeczeństwa, państwa; do czynów ludzkich przykładając w codziennem życiu swój absolut, równie suchy jak mglisty, widzi wszędzie zepsucie, zgniliznę i podwaja swoją kwakierską zawziętość; stopa wojenna przechodzi w otwartą wojnę, w któréj mnóztwo trupów, a potém próżnia około walczącego, zdają się nic nie obchodzić Ibsena: jest sam sobą, idywiduum jego rozwija się, już się rozwinęło—to mu wystarcza. Krytyka powtarza wogóle z uniesieniem dumne słowa bohatera we „Wrogu społeczeństwa", doktora Stockmana: „Najsilniejszym człowiekiem na świecie jest ten, który stoi... sam jeden": zachwycając się jednak tym paradoksem, jako dewizą działalności samego poety, zapomina zwykle dodać, że wykrzyknik wyszedł z ust bohatera, który, słusznie, czy nie słusznie, uczuwszy się tak silnym, zostaje na placu boju tam właśnie, gdzie go walka odosobniła. Ibsen

nie został — lecz otrząsnął z obuwia pył skał ojczystych i wyruszył w świat.

Nie cytuję tego, jako szczegół biograficzny, życiorys bowiem poety, w którym więcéj się znajduje domyślników, aniżeli istotnie znamiennych faktów, pośrednio tylko, zdaniem mojem, wplata się do historyi twórczości Ibsena. Pisze on wprawdzie do Passarge'a: „wszystko, cokolwiek tworzyłem, jest w ścisłym związku z tém, co przeżyłem“;— słowa te jednak trzeba brać z dobrodziejstwem inwentarza. Dużo się mówi o smutnych latach dziecinnych Ibsena; w dziełach jego śladu tego nie widać. Dwa razy tylko poeta przedstawia wyraźnie stosunek dziecka do rodziców; ale matka Branda jest zjawiskiem tak nienormalném i do umotywowania charakteru bohatera tak niezbędném, że wobec niéj ani na chwilę wrażenia czegoś przeżytego doznać nie możemy; do podobnych osobliwszych wyjątków należy również matka Peera Gynta. Aplikacya więc aptekarska w miasteczku Grimstad stworzenie tam pierwszego dramatu; niepowodzenie téj sztuki; stosunek z genialnym skrzypkiem, Ole-Bulem, który smyczkiem budził w swoich ziomkach poczucie norweskiéj odrębności; dyrektorstwo teatru, ożenienie z Zuzanną Thoresen, córką pastora w Bergen, przyjaźń i twórcze współzawodnictwo z Björnsonem; wreszcie choćby skandal, wywołany „Komedyą miłości“,—są to okoliczności, niedość charakterystyczne, aby, wyrobiwszy w poecie ów *Entrüstungs-Pessimismus*, popchnęły go po-za granice ojczyzny. Pięknie wyglądał-by Brand, gdyby go zmogło kilka dewotek, plotkujących przy poobiedniéj kawie, albo powaliło *fiasco* nieudanego dramatu! Pobudka niewątpliwie ważniejsza: niezadowolenie poety z powodu postawy Norwegii w czasie duńsko-niemieckiéj wojny, wydaje mi się nie więcéj decydującą. Sam Ibsen, opisując wpływ na swoją młodość rewolucyi lutowéj, powstania węgierskiego i wojny szlezwickiéj, odzywa się dość spokojnie, nawet żartobliwie, o „piorunujących wierszach do Madziarów“, o „długim szeregu sonetów do króla Oskara“, ciesząc się w końcu że te twory zostały „w połowie zachowaną tajemnicą jego manuskryptu“. Dla poety, który potrafił stanąć tak po-za i po-nad życiem, życie, jako fakta konkretne, musiało być zawsze drugorzędnym materyałem. „Cokolwiek nowego tworzyłem, miałem zawsze na celu proces duchowego oswobodzenia“, pisze do jednego ze swoich tłómaczów i kończy wierszem: „żyć — to znaczy prowadzić wojnę z duchami w sercu i głowie; tworzyć,— to znaczy sąd nad sobą samym sprawować“. Wątpliwy jest zatém związek wyjazdu Ibsena z kraju z tém, co przed wyjazdem przeżył, i dlatego nie mogę podzielać pewnego roztkliwienia, z jakiém Brandes, charakteryzując późniejszą egzystencyę poety, opowiada, że „żył, jak wnamiocie, w śród najętych sprzętów, które odsy-

łano z powrotem w dzień jego odjazdu; że od dziewiętnastu lat nie postawił nóg pod własnym stołem i nie spał we własném łóżku". — Tak zapewne było — ale cóż stąd? Ibsen puścił się w świat, nie gnany jakiémś *fatum* życiowém, ale dla tego, że go nie wiązał żaden węzeł tam, skąd się oddalił, że wreszcie ozwał się w skandynawskiéj naturze atawizm starych Wikingów — tęsknota za słońcem południa.

Onego czasu, kiedy na Północy źródła wielkich bogactw: rybołówstwo i żegluga, nie stały jeszcze otworem, kiedy drzewo gniło po lasach bez pożytku, pędził Skandynawów po morzach na postrach Zachodu głód i coś jeszcze więcéj. Słyszano to i owo o oblanych światłem krainach, gdzie nigdy zimy nie bywa, gdzie są piękne kobiety, pieniące się wina i łatwe do zdobycia ziemie; podniecało to fantazyę Norwegów i popychało do awanturniczych wypraw. Ibsen stworzył takie wcielenie fantazyi w postaci „Peera Gynta" — i znów uderza nas pewne podobieństwo między fizyognomią bohatera i poety.

Kto jest Peer Gynt i czego chce? Jest synem norweskiego rolnika — czego zaś chce, tego sam dobrze nie wie; właściwie nie chce niczego, czyli, że pragnie wszystkiego. Życie jego — to szereg prób, w których ma wiele szczęścia, ale szczęśliwym się nie czuje, bo, wyszedłszy z norweskiéj wioski, po oceanach i lądach, na obu półkulach, u duchów górskich i między dziećmi piekła, szuka wciąż sam siebie i znaléźć się nie może; tylko, że szuka nie jak Brand, pod kierunkiem woli, po drodze rozumowéj, ale za przewodem kaprysu, po szlakach wyobraźni. Przeciwne to bieguny ten Brand i Peer, a jednak łączy ich jeden czynnik: egzaltacya, nastrajająca pierwszego na ton etycznego uniesienia, a przypinająca drugiemu skrzydła chimerycznych rojeń. Obaj mają tę wspólność, że ich te rozpędy w górę odrywają całkowicie od gruntu życiowego; obu zbliża téż do siebie tragiczność zetknięcia z realnemi stosunkami; obaj są najciekawsi, kiedy, zespoliwszy się w tworzącym poecie, wnoszą tę tragiczność do życia. Ibsen ma ideały Branda a fantazyę Peera, i w tém skojarzeniu szukać należy tajemnicy twórczości poety, któréj natura po swojemu objawiła się pod włoskiém niebem. Jeżeli gdzie, to tu występuje z całą dosadnością olbrzymia różnica między dwiema, tak często, zbyt często, porównywanemi indywidualnościami poetyckiemi, między Goethem i Ibsenem. Wielki realista wejmarski napisał w willi Borghese w biały dzień, kąpiąc się w słonecznéj jasności, scenę swego Fausta, znaną pod nazwą „Kuchni czarownicy", w któréj symbolicznie przedstawił bezmyślną grę zwierzęcych instyktów; ale bohater Goethego po to tylko zstąpił w otchłań tego naturalizmu, ażeby w niéj wypić odmładzający napój, pod którego wpływem ujrzał w zwierciedle zaczarowaném piękno w postaci greckiéj Heleny. Ibsena, rzecz

dziwna, nikt sobie nie wyobraża rozpromienionego cudną Italii pogodą, tworzącego w słońcu nawet w krainie słońca; jeden z biografów widzi go schylonego „przy rzymskiéj lampie“ nad mapą, na któréj śledzi drogi krążących między Rzymem a Norwegią parowców; inny uprzytomnia sobie poetę „w noc Bożego Narodzenia“, wplatającego myśli o rodzinnym kraju w płomienne przeguby ogniska. Ten ogień nie ma jednak władzy czarodziejskiego zwierciadła, piękno się w nim Ibsenowi nie pokazuje. Co tam widzi poeta?—zdaje mu się, że życie realne; w istocie to tylko, co mu szepcą do ucha z jednéj strony Brand, z drugiéj Peer Gynt. Jeden dzieli ludzi na odstępców indywidualizmu i męczenników „kategorycznego nakazu“ i daje im intellektualne namiętności, brzemienne samemi psychologicznemi katastrofami; drugi, rozdmuchując dla tych, uroczystych jak angielska niedziela, bohaterów, fakta codziennego życia fantazyą, „która śni o tém, co przeżyła, i przeżywa to, co śniła“, wynajduje odpowiednie do ludzi i do namiętności sytuacye metafizycznych tragedyi. Obaj każą mu ciągle szukać czegoś pod spodem; więc zwykłe społeczne stosunki nie zatrzymują poety—to tylko marna powierzchnia życia; na nurtującą pod ich powłoką grę uczuć patrzy z niedowierzaniem,—to dla niego najczęściéj igraszka błędnych ogników, unoszących się nad zdradnemi bagniskami; na samém dnie dopiero dusz ludzkich kłębią się pod jego okiem apostazye duchowe, zbrodnie przeciwko oderwanéj wolności jednostki, knowania moralnego faryzeizmu; i podczas kiedy naokoło niego kipi pod włoskiem niebem życie z południową wybujałością, kiedy za morzami Norwegia spokojnie łowi śledzie i spławia budulec, poeta jéj, zapatrzony w tę wykombinowaną przez Branda i Peera otchłań szkarady, powtarza razem z nimi, a raczéj za nimi: „jakie to straszne, jakie to przerażające!“ Wołanie to ma dla Ibsena moc upajającą; w pewnych chwilach jego twórczości zdaje się ono odzywać głosem prawdziwéj nienawiści—nienawiści zupełnie abstrakcyjnéj, jak cały zresztą stosunek poety do jego społeczeństwa, ale uskrzydlającéj te złowrogie słowa, które lecą ponad lądami i wodami, pukają do drzwi domostw norweskich filistrów, tu, niby tajni ajenci, przetrząsają sumienia, tam jak emisaryusze „rewolucyonizują ducha“, wszędzie dzwonią na dramatyczną trwogę, która tém więcéj jest gnębiącą, że jéj towarzyszą pessymistyczne zaćmienia słońca. Dziwne zaiste działanie Włoch na Ibsena: między słońcem a swoją ojczyzną stanął wyniośle i od jego samotnéj postaci padł cień na Norwegię. Czy po to jedynie poeta dążył do krainy światła?—nie wiem; to pewna, że kiedy w drobnym swoim wierszu „Spalone okręty“ mówi, iż nie tylko dym tych okrętów ciągnie ku północy, ale mu też duch-jeździec towarzyszy, to ten duch przypomina jeźdźca z ballady Bürgera; i jak ów opance-

rzony rycerz Lenorę, tak on literaturę porywa za sobą — wprost do kostnicy.

III.

Nie przeceniając znaczenia wyjazdu Ibsena z kraju, który wyglądał jak emigracya, można historyę twórczości poety w dwu streścić okresach: pierwszy sięga osiedlenia się w Rzymie, drugi rozpoczyna się z końcem pobytu w Wiecznem mieście; oba mają swoją psychologię. Młodzieniec rzucił rękawicę swemu społeczeństwu w „Catilinie“ i, jak się zwykle w takich razach dzieje, uciekł potém od pogardzanéj teraźniejszości po ideały do historyi, która odpowiedziała na jego wołanie, dostarczając mu z doby Wikingowéj bohaterów nieograniczonéj niczém indywidualnéj energii do dramatów: „Wojownicy na Helgelandzie“ (*Nordische Heerfarth*) i „Pretendenci“. Sztuka współczesna, „Komedya miłości“, jest jakby reakcyą przeciw fazie romantyzmu i spojrzeniem oko w oko rzeczywistości. Potém następują poemata dramatyczne: „Brand“ i „Peer Gynt“, w których Ibsen. zstąpiwszy do głębin własnego ducha, probuje sformułować pozytywne ideały, a nie doszedłszy do nich ani zapędami nieubłaganéj woli, ani polotami wyswobodzonéj ze wszelkich pęt fantazyi, staje w Rzymie na rozdrożu, i jak Julian Apostata, we wszechdziejowéj tragedyi „Cezar i Galilejczycy“ marzy o zespoleniu niedoścignych absolutów etyki chrześciańskiéj ze wskrzeszoną z popiołów pogaństwa „radością życia“. Od tego punktu przejściowego, przypadającego już w drugim okresie, datuje się stanowczy zwrot ku teraźniejszości, na któréj opierają się dramata społeczne; jeżeli jednak dekoracya się zmienia, idee powracają i będziemy mieli sposobność spotkać się z niemi w „Związku młodzieży“, w „Podporach społeczeństwa“, w „Norze“, w „Upiorach“, we „Wrogu społeczeństwa“, wreszcie w „Rosmersholmie“, w „Dzikiéj kaczce“, w „Zaślubionéj z morzem“ i w „Heddzie Gabler“.

Przekład „Catiliny“ nie istnieje, ze streszczeń tylko krytyków, władających językiem autora, wiemy, że w tym pierwszym manifeście rewolucyjnym poety rysuje się odrazu jego stanowisko. Przeciwko społeczeństwu rzymskiemu, którego nienawidzi za jego samolubstwo, staje bohater sam jeden, odosobniony, niby ojciec późniejszego literackiego potomstwa, a daleki krewny Faustów, Wilhelmów Meistrów, z tą tylko różnicą, że brakuje mu tego, co nas bliżéj z Faustem, z Wilhelmem Meistrem brata—dążenia do jakiegoś ideału. Czego pragnie Catilina? nikt nie wie i on sam nie wie. Skarży się, oskarża wszystkich, nawet działa, ale bez planu i bez nadziei. Nie chwiejność je-

dnak charakteru Catiliny jest główną wadą sztuki—istnieją przecież wielkie dzieła, naprzykład „Hamlet“, w których takie charaktery główną odgrywają rolę; idzie tylko o to, żeby były tragicznemi, co jedynie wtedy jest możliwém, kiedy niecofniona konieczność działania trafia na mdłą i niezdecydowaną naturę. Catilina nie ma przed sobą żadnego zadania, wyznaczonego mu przez jego pozycyę lub kierunek myśli. Wplątany w polityczną akcyę przez antagonizm dwóch kobiet (ulubiona u Ibsena sytuacya, powtarzająca się i później na gruncie dramatów społecznych), bohater mógł-by działać tragicznie, gdyby, mimo szczęścia w małżeńskiém pożyciu oddał się był w moc niewieściego demona, który-by go do zguby popchnął. Ale na to potrzeba-by przedewszystkiém imponującéj, śmiało narysowanéj postaci kobiecéj, w któréj władzę niezwyciężoną uwierzyćbyśmy mogli. Tymczasem westalka Furia, mająca do pomszczenia na Catilinie nietylko niesławę swéj siostry, ale ranę własnego serca, nie jest taką kobietą. Niezdecydowana między miłością i nienawiścią, jest dla siebie saméj większą jeszcze, niż Catilina, zagadką; właściwie przedstawia tylko wcielenie ciemnéj strony Catiliny, jak Mefistofeles jest demonicznym cieniem Fausta. Nie więcéj ma plastyki świetlana postać Aurelii, żony Catiliny. Obie kobiety ciągną każda ku sobie chwiejnego Catilinę, nie dlatego, że są ludzkiemi istotami, obdarzonemi odrębną indywidualnością i własną wolą—ale, że według danéj sytuacyi reprezentują zły lub dobry pierwiastek. O tragiczności w takich warunkach mowy być nie może i nie jest też tragicznym Catilina, wtedy nawet, gdy wyciąga rękę po pochodnię, którą ma podpalić Kapitol.

Po tym proteście niewiadomo dobrze przeciwko czemu,—a przecież takie ma miéć znaczenie „Catilina“—Ibsen, zajęty kierownictwem teatrów w Bergen i w Christianii nie protestuje przez całe dwanaście lat, na czém bynajmniéj nie straciły napisane w tym czasie dramata historyczne. Jeden z nich, najstaranniéj może wykończony i artystycznie zaokrąglony, „Wojownicy na Helgelandzie“, jest dziełem spokojném, przeniknionem szczerą poezyą i zbudowaném z wielkiém poczuciem teatralnych efektów. Po motyw sięgnął poeta aż do okresu Eddy i znalazł go w wielkiéj pieśni miłosnéj o Zygfrydzie, rozkochanym w Brunhildzie jeszcze przed poznaniem Krymhildy, a zdobywającym swoją dawniejszą narzeczoną dla innego. Nie trzymając się niemieckich Niebelungów, w których Zygfryd, pod wpływem czarodziejskiego napoju, zapomniał o swéj miłości dla Brunhildy—co nadaje całéj o nią walce i późniejszéj zemście obrażonéj kobiety charakter epicki,—Ibsen, z pewnością ręki urodzonego pisarza dramatycznego, zostawił uczucie w sercu bohatera nawet w chwili, gdy Brunhildę nie dla siebie zdobywa, i tym sposobem dał stosunkowi obojga podkład

tragiczny. Czyn Zygfryda umotywowany jest nie samą tylko zwyczajną przyjaźnią, która w zwykłych warunkach cofnęła-by się przed taką ofiarą, ale rodzajem ślubnego braterstwa, stwierdzanego podówczas na Północy przysięgą i krwią. Tacy dwaj przyjaciele, Gunnar (Günther) i Sygurd (Zygfryd), w wikingowych swoich wyprawach zawadzili o Islandyę, gdzie mieszkał z siedmiu synami i z córką Dagną (Krymhilda) bogaty Norweg, Ornulf, może jeden z potomków owych secessyonistów, którzy, po dokonaném przez Haralda zjednoczeniu Norwegii, nie mogli znieść nałożonego sobie jarzma i gdzieindziéj wolnéj szukali siedziby. W domu jego mieszka oprócz téj rodziny wychowanica Hjördis (Brunhilda), sierota, przygarnięta po śmierci ojca, zamordowanego przez Ornulfa wraz z całém jéj rodzeństwem. Obaj przyjaciele kochają dumną i chłodną Hjördis; gdy jednak Gunnar oświadczył się pierwszy, brat jego ślubny musi tę miłość popierać i czyni to z takiém poświęceniem, że w przebraniu Gunnara zabija nocną porą niedźwiedzia, przywiązanego do drzwi sypialni nieprzystępnéj bohaterki, (co było postawionym przez nią warunkiem poddania się pod władzę mężczyzny, a przechodziło miarę odwagi Gunnara) i jeden jedyny raz w potężném objęciu przytula do serca w ciemności ujarzmioną a nieświadomą podstępu Hjördis. Wszystko to stało się przed rozpoczęciem dramatu, który dzieje się już w Północnéj Norwegii (na Helgelandzie), tam bowiem osiedlił się Ornulf z całym domem, tam mieszka Gunnar z żoną i z synem Egilem, tam wreszcie Sygurd, ożeniony z Dagną, odnajduje swego teścia i godzi się ze starcem, zagniewanym za porwanie córki. Katastrofę tragiczną wywołuje, rozgoryczona i spragniona zawsze zemsty za śmierć ojca Hjördis, zaspakajając dwie naraz nienawiści: do Ornulfa, przeciw któremu burzy swego męża, i do Dagny, która jéj zabrała Sygurda. Ale za Ornulfem ujmuje się w jego nieobecności najmłodszy syn, Thorolf, i przyprowadzony do ostateczności wybucha:

— Mój ojciec ma w téj chwili w ręku tego, który jest wam najdroższym na ziemi.

Sądząc, że słowa zwiastują mu śmierć syna, pijany zemstą Gunnar zabija Thorolfa, a w téj chwili wchodzi do sali Ornulf, wsparty na Egilu, którego był ocalił z rąk wrogów, i oznajmia, że w walce o jedynaka Hjördisy stracił wszystkich swoich synów. Jednocześnie wychodzi téż na jaw fortel z niedźwiedziem, odkryty przez Dagnę w uniesieniu gniewu na Hjördisę, wysławiającą rozmyślnie dzielność Gunnara z ujmą odwagi Sygurda. Hjördis postanawia naturalnie zgładzić Sygurda; ale spotkanie obojga rzuca światło na wzajemne ich usposobienie: kochali się oddawna i nie pozostaje im nic innego, jak umrzéć razem. Podniecona do egzaltacyi Walkyryi, Hjördis prze-

biją strzałą Zygfryda, sama zaś rzuca się w przepaść, pewna, że oboje razem do Walhalli podążą. Omyliła się jednak strasznie, bo Zygfryd w obcych krajach przyjął chrześciaństwo.

Jeden z krytyków nazywa to zakończenie „Wojowników“ dziwną ironią; dla mnie jest ono poprostu zarodem motywu, który jak nić o żywéj barwie snuć się będzie wśród twórczości Ibsena. Miłość, nieznosząca żadnych pęt, jako jeden z objawów absolutnego rozwoju indywiduum, spotykamy w dramatach norweskiego poety w różnych formach i na różnych szczeblach kulturowego rozwoju. U bohaterów doby wikingowéj będzie to swobodnie wybuchająca burza temperamentowa, namiętność, wielką falą spokojnie płynąca; w atmosferze nowożytnéj cywilizacyi przywdzieje na się togę adwokata, broniącego wolności jednostki moralnéj — zawsze i wszędzie wystąpi mniéj lub więcéj rewolucyjnie. Hjördis nie jest żadną Walkyrą, lecz przedewszystkiém kobietą, dla któréj miłość ukochanego człowieka stanowi jedyną treść życia. To jéj daje ludzkie kontury. Rozumowanie mężczyzn jest dla niéj niedostępném; przyjacielskiego poświęcenia Sygurda pojąć nie może. Mężczyzna, według niéj, może przyjacielowi oddać wszystko, tylko nie kobietę, którą kocha, bo wtedy rozdziera tajemniczą, przez Norny snutą, przędzę, i dwa życia na raz przepadają. Obok czynnéj woli kobiety stoi niewieścia bierność—kontrast, uparcie u Ibsena występujący. Dagna, jako przeciwstawienie Hjördisy, ukaże nam się późniéj często pod różnemi postaciami, zwykle w roli żony, uznającéj do pewnego stopnia wyższość swéj rywalki, dziwiącéj się w cichości wyborowi męża i reprezentującéj w intencyi autora społeczny despotyzm, który „wolnemu człowiekowi“ zaćmiewa radość życia. Na splecionéj z tych pierwiastków sytuacyi oprze się jeszcze nie jeden dramat Ibsena; w „Wojownikach“ jest już ona wyraźnie zaznaczona, zwłaszcza przez ową ironię zakończenia, akcentującą jeszcze bardziéj tragiczną bezużyteczność dwóch bohaterstw, wobec odmiennych u obojga pobudek, które je po śmierci nawet rozdzielają. Gdyby nie ten wszechludzki motyw miłosny, wszyscy ci bohaterowie, z wielkiemi, w kamieniu zastygłemi rysami, wyglądali-by, jak niedostępne nadnaturalne istoty. Czy w tych rysach odbity jest wiernie przedhistoryczny świat północny? nikt ze zdrowym rozsądkiem nie podejmie się rozstrzygać—tém mniéj odnajdywać z pewną grupą krytyków pokrewieństwo między Wikingami Ibsena, a dzisiejszymi Norwegami, lub dowodzić z Brandesem, że poeta dlatego tylko cofnął się do dzikiéj tragedyi eddyjskiéj sagi, żeby współczesne pokolenie zawstydzić, żeby mu pokazać wielkość przodków—„potęgę namiętności, rwącéj się bez względu na cokolwiekbądź do upatrzonego celu; siłę i dumę, która milczy i działa, milczy i cierpi, milczy i umiera; wolę żelazną, serca

złote, czyny, o jakich dziesiątki stuleci nie zapomną". To drugie stanowisko Ibsena jest zapewne prawdopodobniejszém—inaczéj trudno-by zrozumieć jego satyryczne oburzenia na dzisiejsze społeczeństwo, które-by przechowało tradycyę „żelaznéj woli, złotego serca i wiekopomnych czynów". Ale nie o to téż chodzi. W sądzie o podobnych utworach poezya rozstrzyga w ostatniéj instancyi, z tego zaś stanowiska rozważany dramat „Wojownicy na Helgelandzie" obfituje w sceny, imponujące spokojną siłą: wieje od nich świeże choć zimne tchnienie morskie północnego kraju, z którego poeta pochodzi.

Rok 1864 był duchowym ojcem „Pretendentów". Zasadnicza idea tragedyi — zjednoczenie Skandynawii—rzucona w chwili, kiedy Szwecya i Norwegia w samym ogniu wojny Szlezwickiéj uroczyście głosiły myśl przymierza z Danią, cechuje ten utwór znamieniem okolicznościowém, które tém jest widoczniejszém, że „myśl królewska", stanowiąca niby oś dramatycznéj akcyi „Pretendentów", jest poprostu zasadą narodowości, przeniesioną w głęboką pomrokę trzynastego stulecia—to jest o pięćset do sześciuset lat zawcześnie. Piastuje ją Hakon, roszczący sobie pretensyę na równi ze swoim wujem, księciem Skule, do tronu, opróżnionego po śmierci Inga. Prawa Hakona z tytułu urodzenia nie zupełnie są jasne; tajemnicę tę zna tylko biskup Mikołaj Arneson, lawirujący między pretendentami i zazdroszczący obu; ale Hakon nie wątpi sam o swojém królewskiém pochodzeniu, więcéj zaś niż ród i szereg przodków robi go królem kipiąca w piersi pewność zwycięztwa i niezachwiana wiara w swoje prawa. Bo nosi się z „królewską myślą", z własną wielką ideą, któréj urzeczywistnienie jest zadaniem jego życia. Księcia Skule trawi tymczasem ambicya i żądza władzy. Nie uznaje Hakona, sam obwołuje się królem i odkrada swemu współzawodnikowi ową myśl królewską,—zjednoczenie ludów północnych. Ale ten zamach na dobre mu nie wychodzi, bo „człowiek żyć może tylko dla własnego dzieła", jak mu to skald islandzki, Jatgeir, tłómaczy w najpiękniejszéj scenie dramatu; Skule zaś niema własnego w życiu zadania, podobny jest niepłodnéj kobiecie i był zawsze „pasierbem Boga na ziemi". Jako jego *pendant* występuje ów biskup, który chciał wsławić się wielkiemi wojennemi czynami, a w boju był zawsze tchórzem; pragnął całą istotą rozkoszy, a nie miał do tego siły i, nie mogąc wcale kochać, nienawidził wiele. Brak energii do czynów, brak własnych w życiu celów, brak „zadowolenia z życia"—wszystko to, co późniéj rozwinie się i rozwielmożni na gruncie społecznym współczesnych dramatów, przedstawione tu już jest w embryonie aż przez dwu bohaterów. Gdyby nawet ta psychologia nie wydawała się często anachroniczną w średniowiecznéj atmosferze; gdyby nawet pominąć okoliczność, że idea narodowości jest w tym

razie dziejowo niemożliwą, że pod względem psychicznym osłabia dramatyczność, bo Hakon, reprezentant legitymizmu, nie potrzebuje na poparcie swoich praw innego dowodu, jak własnéj w te prawa wiary, że wreszcie idea narodowości, występująca zawsze wrogo w stosunku do legitymizmu, nie może być „ideą królewską"; – gdyby, powtarzam, przyjąć to wszystko jako konieczne niedomagania, wynikające z postawionéj naprzód rozmyślnie okolicznościowéj dążności—to i tak wypadnie zaznaczyć, że „połowiczni ludzie", tendencyjnie u Ibsena uprzytomniający starcie niekompletnéj woli z możnością, która nie wie dokładnie, coby módz powinna—są przedewszystkiém niedramatyczni. Skule nie przedstawia żadnéj uprawnionéj historycznéj zasady—rad-by tylko na rachunek własnéj ambicyi wyzyskać Hakona „myśl królewską"; nie jest też, jako charakter, ową kipiącą lawą, co to za jakąbądź cenę musi znaleźć sobie ujście: rozważa, rozmyśla, nie jak mądry statysta, lecz jak sceptyk, i nie ma téj ślepéj ograniczoności, która jest podstawą każdego bohaterstwa: buntuje się bez żadnéj świadomości celów rokoszu — dlatego tylko, że się na posłuszeństwo zdobyć nie może. Biskup Mikołaj, Ryszard III-ci w infule, napoły Jago, napoły Franciszek Moor, „ambasador najstarszego pretendenta w świecie", jak mówi, ukazując się po śmierci królowi Skule,—figura niewątpliwie najgłębiéj w dramacie pomyślana, rozpływa się znów w takim symbolu, że się z pod niéj wszelki realny grunt usuwa. Między tymi trzema bohaterami „myśl królewska" skacze, niby podrzucana ciągle piłka, dopóki tragicznego przełomu w akcyi nie wywoła poświęcenie naturalnego syna uzurpatora, tak silnie wierzącego w to, że „myśl królewska" w ojcowskim zrodziła się mózgu, że życie za nią chce poświęcić. Ale Skule poznał prawdę słów skalda, i pragnąc Hakonowskiéj idei najważniejszą z drogi usunąć przeszkodę, ręka w rękę z synem na śmierć idzie. Scena wywiera wspaniałe wrażenie; cóż, kiedy daje rozwiązanie, z zewnątrz przychodzące, którego piękności są prawie epizodyczne. Tak zresztą być musi w téj „tragedyi nieudolności", że epizodem w niéj jest zarówno siła dramatyczna, jak poetyczny polot; nic téż dziwnego, że największym w „Pretendentach" cieszy się rozgłosem rozmowa króla Skule ze skaldem, śliczny, lecz zgoła uboczny balast filozoficzno-poetycki. Skule mówi do Jatgeira, myśląc bezustannie o „idei królewskiéj" Hakona:

— Czy nie zdarza się niekiedy, że niepłodna kobieta zabija cudze dziecko dlatego tylko, że sama matką być nie może?

Jatgeir. Tak—ale taka kobieta poczyna sobie nierozumnie.

Skule. Nierozumnie?

Jatgeir. Bo daje téj, któréj dziecko zgładziła, dar cierpienia.

Skule. Czy myślisz, że dar cierpienia jest czémś tak dobrém?

Jatgeir. Myślę, panie.

Skule (bystro się w niego wpatruje). Jest w tobie, Islandczyku, dwu jednocześnie ludzi. Kiedy podczas wesołéj uczty siedzisz wśród orszaku, nadziewasz kaftan i płaszcz na swoje myśli; a kiedy sam zostajesz, podobny jesteś czasami do tego, kogo-by się za przyjaciela wybrać pragnęło.

Jatgeir. Jeżeli chcecie, panie, pływać w rzece, nie rozbieracie się tam, którędy ludzie, z kościoła wracając, przechodzą, ale szukacie sobie zacisznego ukrycia.

Skule. Naturalnie.

Jatgeir. Ja mam wstydliwość duszy, dlatego nie rozbieram się, kiedy ciżba w komnacie.

Skule (krótka pauza). Hm! Powiedz mi Jatgeir, jak się to stało, że zostałeś skaldem? Kto cię poezyi nauczył?

Jatgeir. Poezyi nikt się nie uczy.

Skule. Nie uczy się? Więc jakże?

Jatgeir. Dostał mi się dar cierpienia i wtedy zostałem skaldem.

Skule. Więc skald potrzebuje daru cierpienia?

Jatgeir. Są tacy, co potrzebują wiary, radości, albo zwątpienia— ja potrzebowałem cierpienia.

Skule. A od kogóż wziąłeś dar cierpienia?

Jatgeir. Od téj, która mię kochała.

Skule. Czy umarła?

Jatgeir. Nie, odeszła ode mnie.

Skule. I wtedy zostałeś skaldem?

Jatgeir. I wtedy zostałem skaldem.

Kto-by się spodziewał, że takim nowoczesnym skaldem zrobi krytyka literata Falka, bohatera „Komedyi miłości?“ Kto-by się spodziewał, że w nim znajdzie epigona Byronowskich bohaterów z piętnem Kaina na czole? Ale od chwili, w któréj Vasenius zaliczył „Komedyę miłości“ do „tragedyi“ Ibsena, niczemu dziwić się już nie będziemy, nawet owemu wielkiemu skandalowi, który wśród małomiejskiéj publiczności wywołać miała ta średnia sztuka norweskiego poety; od niéj już bowiem zaczyna się przy traktowaniu codziennego życia „szukanie czegoś pod spodem.“

Miłość i małżeństwo mają się do siebie, jak idea i rzeczywistość, jak treść i forma. Miłość jest zawsze poważną, małżeństwo bywa często komicznem. Miłość robi człowieka wolnym, wyswobadza z pęt to, co ma najlepszego; małżeństwo nakłada mu więzy i działa na miłość tak demoralizująco, że sama chęć przykucia jéj do téj formy przez zaręczyny spycha już uczucie w sferę trywialności. Taka jest nienowa filozofia komedyi, w któréj ostrze satyry zwrócił

poeta przedewszystkiém przeciwko okresowi narzeczeństwa. Ostrze rani bez upamiętania, niekiedy nawet zatruwa rany i tu już można dostrzedz w zaczątku ową charakterystyczną nieproporcyonalność siły rozmachu do miażdżonego tym ciosem przedmiotu, która będzie coraz jaskrawiéj cechowała dramata społeczne Ibsena. Poeta gniewa się, zamiast się śmiać — a jeżeli się śmieje, to zgrzytając zębami. I o co mu właściwie chodzi? Z własnego doświadczenia, jak twierdzą biografowie, czerpał do swéj komedyi motywa. Zaręczywszy się w Bergen, widział oczami narzeczonego, jak wymarzona błogość pierwszéj miłości ustępować musiała przed uroczyście uświęconém narzeczeństwem, którego świadkiem mógł być pierwszy lepszy; patrzył, jak niepowołani cisnęli się około młodego szczęścia, mącąc je prozaicznemi zabiegami; obserwował słodkie miny winszujących, słuchał szwargotania ciotek, roznoszonego po mieście przez plotkarzy, i na to szare tło rzucił kilka dosadnie skreślonych postaci. Więc najprzód pastor Strohman, w młodości „genialny“ autor różnych sonetów i wirtuoz na gitarze, obecnie ojciec tuzina dzieci, oczekujący na trzynaste, tonie w filisterstwie; daléj kopista Stüber, podobnież aspirant do poezyi z czasów swéj pierwszéj miłości, myśli od chwili zaręczyn tylko o mieszczańskiém zagospodarowaniu i mówi z narzeczoną jedynie o wekslach i indosach; wreszcie student teologii, Lind, zaręczywszy się w ciągu akcyi, spada natychmiast ze szczytu misyonarskich marzeń na niziny nauczycielstwa w szkole dziewcząt, w nadziei, że kiedyś stanie się sam zasobnym w dzieci Strohmanem. Wszystko to może być bardzo komiczném i już nieraz dostarczyło tematu do wesołéj komedyi; Ibsenowi daném było dostrzédz na dnie tragedyę. Tragedya polega na tém, że ci ludzie, którzy dla zwykłych śmiertelników są albo śmiesznymi, — o ile poddają się zabawnym prowincyonalnym praktykom, — albo wzruszającymi, — o ile z siebie samych ofiarę na ołtarzu miłości składają, budzą w Ibsenie rodzaj tragicznéj nienawiści swojém wyparciem się indywidualnych ideałów. Zdrowy rozsądek widzi w nich pospolitości, z których nigdy nie byłoby nic innego, prócz tego, czém w życiu zostali; Ibsen, przekonany, że „w każdym człowieku drzemie dusza olbrzyma“, patrzy na nich, niby na skarlałych przez małżeństwo tytanów. I żeby tragiczne *ananke* było zupełném, jedyny bohater, pojmujący miłość jako najpiękniejszy pączek w rozkwicie wolnéj indywidualności człowieka, Falk, musi uledz filisterskiemu *fatum* powszednich na miłość mężczyzny do kobiety poglądów. Przedstawiając stosunek Falka do Swanhildy, Ibsen nie zajmuje się tém, jak się ma taki stosunek do społecznego ustroju; szuka tylko źródeł i wykazuje następstwa. Falk jest naturą poetyczną, ale bez inicyatywy. Jak większa część bohaterów

Ibsenowskich, ma dwie dusze ciągnące go w przeciwne strony, i lęka się zetknięcia z życiem; przy braku produkcyjności, staje się pastwą krytycyzmu i zgłębia, jak mało kto, nietrwałość ludzkich stosunków, ale ze szkodą własnego charakteru, któremu brak harmonii, samodzielną pracą zdobytéj. Swanhilda występuje w roli zagadkowéj natury, niezdolnéj zająć względem świata zdecydowanéj pozycyi; próbowała tego i owego, zawsze bez powodzenia, więc ją pociąga w Falku mniemany przeciwko społeczeństwu buntownik, któremu się téż wydaje, że w Swanhildzie znalazł swoją muzę. Ma jednak bohaterka jeden nieoceniony dar — przeczuciem odgaduje ludzi; gdy więc romantyczny marzyciel, wyszydziwszy narzeczonych i poślubionych, z natchnieniem głosi czary miłości, nieujętéj w karby mieszczańskiego sentymentu, gdy nazywa Swanhildę „śpiewem słowika, umyślnie mu przez Boga zesłanym“, odtrąca dumna heroina i młodzieńcze majaczenia, i poetycki Falka egoizm wraz ze wszystkiemi jego chełpliwemi pretensyami, i od papierowéj zwraca go do życiowéj poezyi, któréj widnokręgi nęcąco przed nim roztacza. Pali zatém Falk swoje wiersze, rozdarowywa książki, przyłącza się do chóru młodéj Norwegii i chce walczyć za prawdę do ostatniego tchnienia: „ja, albo kłamstwo“, to będzie jego hasło. Dewiza, mocno bombastyczna; byłby w niéj jednak pewien życiowy pierwiastek, gdyby autor sam się nie postarał, żeby zabrzmiała jak pusta deklamacya po tém, co o „zadaniach życiowych“ wygłosili... kto-by to przypuścił?—wyśmiani przez Falka filistrzy. Oto Strohman dowodzi mu, że działalność, któréj się życie domaga, że rodzinne zabiegi z całą swoją, pozbawioną poezyi, ciasnotą, potrzebują całkowitego człowieka, który, jeżeli umie zdobyć się na abnegacyę, jest dziesięćkroć suciéj wynagrodzony, aniżeli rozmarzony idealista, folgujący tylko swemu samolubstwu. I nie jest śmiesznym ten pastor, kiedy mówi: „dom jest tam, gdzie wróg mówi, że zaciasno na dwoje, a miejsca jest na czworo; gdzie myśli swobodnie igrają, jak dzieci na ojca łonie; gdzie słowa, do serc wymierzone, w sercach oddźwięk znajdują. Ojczyzna jest tam, gdzie głowy siwieją, a nikt nie widzi, kiedy się postarzały; gdzie wspomnienia szarzeją, jak wierzchołki gór nad zielenią lasów“—i rękę-by się temu filistrowi uścisnęło. A potém zajęty interesami Goldstadt stawia swoją kandydaturę na męża Swanhildy i popiera ją również praktycznem *credo*. I on był niegdyś młodym i roił sobie swój romans życiowy; ale miłość ogląda się tylko za kobietą, małżeństwo żąda przewodniczki rodziny — żony. Gdzie mężczyzna myśli jedynie o kobiecie, tam przyjść musi do bankructwa młodości, piękności i energii życiowéj; bo niéma złudzenia, które-by się wobec rzeczywistości ostało, jeżeli mu nie towarzyszy silne poczucie obowiązku. Niech więc Swanhilda

wybiera, a Falk niech pamięta, że „żegluga po falach życia nie jest igraszką“, że do téj podróży nie wystarczają same pieśni i wyłączne użycie. Wobec gorącego serca tego ojca dwanaściorga dzieci i wobec rozumu tego handlarza drzewem, nie jest-że rymujący literat prostym frazesowiczem? i możnaż się dziwić Swanhildzie, że podaje rękę przedstawicielowi zdrowego rozsądku? Zapewne, że nie—tylko w takim razie po co Ibsen pisał swoją sztukę? Jeżeli mają racyę „filistry“, to nie oni, lecz młody deklamator odgrywa „komedyę miłości“; a klątwa tak zwanéj przez Brandesa *Kaffee-Schwestern-Moral*, rzucona na wiatr, dosięgnąć go nie mogła; jeżeli słuszność jest po stronie Falka—co znaczy zwrot Swanhildy? w czém właściwie tkwi antagonizm między miłością a małżeństwem? co było-by ze Swanhildą, gdyby nie wyszła za Goldstadta? co będzie z Falka, jeżeli swój program wypełni? Takie pytania oblegały zapewne myśl poety, kiedy żegnał swego bohatera, odpływającego, dość spokojnie, z pieśnią na ustach, bez tragedyi w sercu, w świat szeroki. I musiał uczuć Ibsen, że ani on jeszcze nie jest sam sobą, ani jego kobieta nie jest tą, o któréj marzy, ani jego mężczyzna nie dorasta do majaczącego mu w wyobraźni ideału, ani kiełkująca między nimi namiętność nie ma téj potęgi, która-by ją po-nad ustanowione stosunki społeczne wydźwignąć mogła. Malował niekompletnych ludzi i niekompletne uczucia. Cóż więc jest cały, a co połowiczny człowiek? jak się mają obadwaj do siebie? czy czasem całkowitość pierwszego nie jest abstrakcyą, a połowiczność drugiego przestrogą natury ludzkiéj: że oderwana doskonałość nie istnieje? — Na te wątpliwości odpowiedzieć miały poemata dramatyczne: „Brand“, który jest tragedyą człowieka „z jednéj sztuki“ i „Peer Gynt“ — tragedya pół-człowieka.

Poznaliśmy już w ogólnych rysach tych bohaterów woli i fantazyi, wiemy, że obaj w odrębnych działają światach. Określenie Branda, jako bojownika przeciwko kościołowi państwowemu, nie wyczerpuje jego charakterystyki: bohater stoi niby na gruncie chrześciańskich ideałów, i z tego absolutnego stanowiska patrząc, widzi naokoło siebie jedynie gnuśność i połowiczność, kłamstwo i dwulicowość. Życie i wiara nie zlewają się w harmonii; religia nie kieruje postępkami ludzi, którzy ją przywdziewają w niedzielę, idąc do kościoła, wraz ze świąteczną szatą. Brand domaga się zgody słów z czynami, a tak kocha to, co jest doskonałą całością, i taką żywi nienawiść do tego, co jest połowiczném, że wyżéj ceni dziką siłę, gnającą bez celu tu i owdzie, obłąkane cygańskie dziewczę, Gerdę, aniżeli tchórzostwo tych, co w trwodze przed „jastrzębiem prawa“ są trochą wszystkiego, co umieją być trochę poważni i trochę weseli, trochę wierzący i trochę niewierni. Sam też postępuje w myśl słów swoich:

„choćbyś oddał wszystko, a nie oddał życia, wiedz, że nic nie oddałeś.“ Jednego tylko nie chce oddać ten siłacz w najcięższéj potrzebie: własnego duchowego wnętrza — ale tu właśnie rozpoczyna się tragedya; bo kiedy posępny pastor głosi te dumne słowa i przeciąga niemi ku sobie Agnieszkę, narzeczoną „połowicznego“ artysty, zbliża się kaszląca, zgarbiona starucha, matka Branda, z którą od najwcześniejszéj młodości był zdaleka. I nowa zagadka występuje z nią razem na scenę: problemat dziedziczności win, badany od téj chwili przez poetę w sensie napoły teologicznym, napoły współczesno-naukowym. Właśnie ten Brand z żelazną wolą musi przekonać się, że wolność jego woli w tym punkcie jest skrępowaną, że o tyle tylko może być „samym sobą“, o ile wrodzone popędy nie powstrzymują rozwoju jego indywidualności, i w zawikłaném następstwie przeszłych i teraźniejszych wypadków, wiążących matkę jego z ową obłąkaną Gerdą, a Gerdę znowu z żoną Agnieszką i ze śmiercią jedynego dziecka, spostrzega tragiczne losu szyderstwo. Jakto? stracił wszystko: matkę, któréj gdy konała, nie dał osobiście absolucyi za to, że nie chciała całego mienia oddać na zaspokojenie długów; dziecko, które umarło z braku słonecznego ciepła, dlatego, że ojca „zadanie życiowe“ wiązało do mroźnéj pustyni; ubóstwianą żonę, dlatego, że jéj nie pozwolił wspominać nawet utraconego szczęścia, bo w takim razie ofiara nie była-by dobrowolną, całkowitą; wreszcie gminę wiernych, dlatego, że im absolutu na puszczy kazał szukać, - słowem, Nemezys przeciw niemu zwróciła nieubłagane: „wszystko albo nic“, i to po to, żeby mu w ostatnią godzinę niewidzialny chór zaśpiewał: „Nigdy, głupcze, nie będziesz do Niego podobny, bo z ciała powstałeś, i czy pójdziesz w Jego ślady, czy Mu się wymkniesz — potępienie cię nie minie.“ Ironia staje się piorunującą, kiedy wśród huku lawiny, strąconéj ze szczytów gór przez waryatkę Gerdę i zasypującéj Branda, odzywa się głos: „Bóg jest miłosierdziem.“ Więc to, w imię czego działał Brand, nie było miłosierdziem? Naturalnie, że nie — i w téj pomyłce tkwi właśnie cała tragiczność poematu. Brand poświęcił matkę, dziecko, żonę, parafian, nie dla miłości bliźniego — bo nie miał prawa poświęcać istot, obdarzonych równie jak on samoistną indywidualnością — ale dlatego, żeby być w porządku sam z sobą, żeby doznać radości, jaką daje przeświadczenie o logicznym rozwoju jednostki. Kochał to wszystko, ani słowa, i cierpiał, robiąc z tego ofiarę; lecz cierpienie składał nie na ołtarzu miłosierdzia, tylko w hołdzie własnéj cnocie; piękne czyny spełniał cudzym kosztem. Poezya zyskała na tém jedną z najpiękniejszych scen, jaką w europejskiéj literaturze napotkać można: wieczór Bożego Narodzenia, kiedy Agnieszka, żona Branda, z żądnego życia „motyla“ na dojrzałą cierpieniem

kobietę przekształcona, ulegając nieubłaganéj woli męża, oddaje nędzarce jedną po drugiéj wszystkie pamiątki po zmarłém dziecięciu, które macierzyńska rozpacz pod choinką zgromadziła; do etyki przybył fałszywy ideał, który się po prostu egoizmem doskonałości nazywa.

Podobnie jak Brand, zawdzięcza Peer Gynt swój początek wpływowi najznakomitszego w Danii prozaika, Kierkegarda, apoteozującego namiętność i „pojedyńczą“ jednostkę. Wyrosły z ludowéj baśni o strzelcu Gyncie, wzbogacany w miarę rozwoju poematu rysami norweskich podań, jest Peer Gynt wcieleniem płynącego z fantazyi braku charakteru. W téj osobliwszéj postaci jednoczą się dziwacznie wszystkie prądy cywilizacyjne nowoczesnéj ludzkości i znamienne cechy rozmaitych społecznych warstw, tak, że w różnych momentach luźnéj akcyi bohater przedstawia nam się w odmiennych postaciach, zespolonych ze sobą jednym wewnętrznym węzłem: pragnieniem walki przeciw „krzywemu“ (*das Krumme*), co symbolicznie oznaczać ma przeświadczenie Peera o niemożności zdobycia się na żaden krok stanowczy i lęk jakiś wobec tajemniczéj zagadki, drzemiącéj w duszy każdego człowieka. Jako dwudziestoletni młodzieniec opuszcza tedy Gynt ojczyznę, pełen tęsknoty do dalekich światów, zapału do czynów, i siłą fantazyi zrywa wszelkie węzły z rzeczywistością. „Królem chcę być, cesarzem“, woła rozmarzony bohater, i po niezliczonych przygodach, stanąwszy na wojennéj stopie ze swojém społeczeństwem, które nazywa go kłamcą, jest z kolei handlarzem niewolników, prorokiem, badaczem starożytności, filozofem, ażeby w końcu dowiedzieć się zapóźno, jako już umierający człowiek, że szczęściem jego mogła być miłość wiernéj Solveigi, i żeby usłyszeć w ojczyźnie na powitanie, podobnie jak Brand, niewidzialne głosy: „My jesteśmy myśli, które powinieneś był przemyśleć... My jesteśmy pieśni, które powinieneś był wyśpiewać... My jesteśmy łzy, które powinieneś był wypłakać... My jesteśmy dzieła, których powinieneś był dokonać.“ I niekompletny człowiek wzdryga się przed swoją połowicznością, tembardziéj, że czyha już na niego pomocnik szatana „guzikarz“, który z polecenia swego oszczędnego majstra przetapia dusze z innymi średnimi grzesznikami, dopóki się z téj roboty lepszy odlew nie trafi. Peer broni się z całéj siły — wszakże przez całe życie chełpił się z tego, że był „sam sobą“ i to mu właśnie ma być odmówioném? ale czeladnik dyabelski, zarówno jak wszyscy świadkowie, przeczą, ażeby Peer Gynt był kiedykolwiek sobą, tak samo, jak poeta odmawia tego najwyższego przymiotu człowieka swemu narodowi, którego Peer ma być przedstawicielem, i fantasta odnajduje siebie dopiero przy skonaniu w objęciach ukochanéj. Miłosierdzie mogło zbawić jednego bo-

hatera, miłość kobiety mogła ocalić drugiego — obaj widzieli w tém, co było ich zbawieniem, kajdany dla swéj indywidualności.

Kiedy mowa o Brandzie i Peerze, trzeba razem z nimi wymienić „Cezara i Galilejczyków“, w którym podobna występuje idea przewodnia. Julian Apostata nie może kochać i dlatego z głębi duszy nienawidzi religii miłości. Są tam znów zagadnienia wolności woli, związku uczuć odziedziczonych i nabytych z temi, które się na wolność wydobyły; jest problemat stosunku jednostki do epoki, w jakiéj żyje, ale jest i coś więcéj — niby próba jakiejś ogólnéj syntezy życiowéj. Potęga nauki chrześciańskiéj cięży bohaterowi wtedy jeszcze, gdy się z pod niéj wyzwolił; kto raz był pod jéj czarem, mówi Cezar, ten się z niéj nigdy zupełnie nie otrząśnie. Julian nie może wrócić do chrześciaństwa, ale nie może się téż od niego oderwać, i ginie, nie odkrywszy owego, zwiastowanego przez mistyka Maximusa, „trzeciego królestwa“, w którém ma nastąpić pojednanie między greckim kultem natury i odtrącającą uciechy tego świata ewangelią. Przy téj tajemniczéj wróżbie zatrzymuje się poeta, zostawiając nas z mglistém napomknieniem, że „zadaniem ludzkości jest powrót do natury przez ducha.“ Synteza, nie urzeczywistniona w dramacie, unoszącym się przez dwie części po poetycznych wyżynach, to znów zstępującym w filozoficzne otchłanie — nie spełniła się i w umyśle Ibsena: przeciwnie, zdawało-by się, że poeta widzi ostrzéj jeszcze niż przedtém zarysowany antagonizm między społeczno-etycznemi ideałami, krępującemi jednostkę, a swobodnym, do całéj pełni życia fizycznego i duchowego dążącym, rozwojem indywidualnym człowieka. Odtąd téż, przestąpiwszy w dramatach społecznych próg teraźniejszości, ze zdwojoną widocznie nienawiścią spojrzy na wytwarzane w życiu tém przeciwieństwem kłamstwa i faryzeizmy, a ilekroć wprowadzi żywe, czynne uosobienie owego „trzeciego królestwa“, obwinie się, jak Maximus, we mgły mistycyzmu i stworzy — symbol.

IV.

Czytając „Związek młodzieży“, słyszy się pierwszy ale téż i ostatni szczery śmiech Ibsena, — co dziwniejsza, śmiech prawie wolny od goryczy. Wygląda to, jak gdyby poeta, przyjrzawszy się rzeczywistości, powiedział sobie: „no, doprawdy niéma się czém truć.“ Szyderstwa wprawdzie nie żałuje sobie Ibsen, i to dotkliwego, w komedyi jednak panuje ton, przypominający trochę Scribego. Metodę natomiast spotykamy w „Związku młodzieży“ taką, jakiéj już stale

trzymać się będzie norweski dramato-pisarz. Zapozna nas tedy z rodziną, znajdującą się napozór w warunkach najzupełniejszego szczęścia, i powoli, po szczeblach akcyi prawie żadnéj, ledwie dostrzegalnéj, doprowadzi do sytuacyi, w któréj całe to szczęście, cały ten spokój, okaże się fałszywą idyllą. W domu szambelana Malsberga, szefa solidnéj firmy handlowéj, trzymającego się wobec nowożytnéj gorączki spekulacyjnéj dawnych, poważnych tradycyi, katastrofą będzie bankructwo syna, Eryka, połączone z fałszerstwem weksli. W krytycznéj chwili wyjdzie nadto na jaw tajona dysharmonia między zbankrutowanym letkiewiczem a jego żoną, Selmą, która wobec nieszczęścia męża woła:

— O jakżeście mną wszyscy poniewierali! jakżem pragnęła dzielić z wami choć cząsteczkę waszych trosk. Ubieraliście mię jak lalkę, bawiliście się ze mną jak z dzieckiem. Z radością byla-bym dźwignęła najcięższe brzemię życia. Teraz nie chcę słyszéć o waszych kłopotach. Idę precz z tego domu.

Do téj rodzinnéj tajemnicy wmieszana jest figura, narysowana przez Ibsena z pewnością ręki bystrego satyryka—karyerowicz. Wytwór to nowożytnego, rządzącego się kultem siły, społeczeństwa, w którém ludzie, jak u Danta, po głowach sobie chodzą; Ibsenowi zaś karyerowicz musiał się naturalnie z téj strony przedstawić, jaką poecie najjaskrawiéj oświeca jego filozofia życiowa, t. j. w postaci faryzeusza wolności. Jest to wcielenie znienawidzonego przez poetę pseudo-liberalizmu, podkopującego prawdziwą wolność. Prokurator Steinhoff, mówca bankietowy, ma różne talenta, bez cienia charakteru; wie, że własną siłą nic nie osiągnie, że, zrobiwszy się organem innych, choćby najdrobniejszych sił, może wytworzyć rzeczywistą potęgę i zwalić każdą inną, równie rzeczywistą potęgę, która mu stoi na przeszkodzie do zdobycia pozycyi. Zakłada więc liberalny „związek młodzieży“, że zaś płynie zawsze z wiatrem i zna zarówno moc zdrowego rozsądku, jak i znaczenie frazesu, podszytego sentymentem, więc wdziera się wszędzie, gdzie go chcą i nie chcą, i wkrótce rządzi się jak szara gęś wśród „miejscowych stosunków.“ Agitacyę polityczną powiązawszy kunsztownie ze skandalem rodzinnym u Malsberga, liczy bezczelnie na związek z córką szambelana; gdy jednak kręci się prócz tego na wszelki wypadek około dwóch innych kobiet, odchodzi w końcu z kwitkiem, a zniknięcie tego intryganta oczyszcza atmosferę, w któréj wszystko wraca do stanu sielanki, gruntując się na zahartowanych ogniową próbą charakterach. Zakończenie jest niewątpliwie optymistycznem; powtórzy się ono i w następnéj komedyi, ale też autor zdaje się być jeszcze pod wpływem swoich przebytych niedawno usiłowań ogarnięcia życia z różnych stron — jeżeli nie po-

woduje nim wzgląd na upodobania publiczności. Krótko jednak potrwa złudzenie tych, coby sądzili, że ta względna pogoda ustali się na fizyognomii Ibsena. Już stosunek męża do żony zapowiada główną sytuacyę „Nory“; już Selma występuje z bierności Dagny, Agnieszki, Solveigi i stawia pierwszy krok ku ideałom emancypacyjnym; już scena ojca z synem przygotowuje nas do przygnębiającéj rozmowy w „Dzikiéj kaczce.“ Na jasnym niby widnokręgu świata rodzinnego przemykają się zaledwie cienie — pierwszą chmurką będzie dramat „Podpory społeczeństwa.“

Poeta znajduje się wtedy w stadyum najżywszego współzawodnictwa z Björnsonem; gdy więc katastrofa domowa Eryka Malsberga wywołała sztukę Björnsona „Bankructwo“, Ibsen odpowiedział na nią, pisząc „Podpory społeczeńswa“. Kłamstwo kapitału odgrywa tu już niepoślednią rolę; ale jest to tylko jeden z czynników najobszerniejszego pojęcia kłamstwa, nurtującego, według poety, całą norweską społeczność. „Podpory“ należą do grupy czterech dramatów, w których właściwym bohaterem jest społeczeństwo. Dość też zestawić oba utwory północnych dramaturgów, ażeby dostrzedz głębokie między niemi różnice. Björnson przedstawia z całą plastyką i dramatyczną siłą pojedyńczy wypadek; tragedya bankructwa Tjöldego, ujęta ze strony ściśle faktycznéj, opiera się na rozwoju charakteru, bez żadnych wycieczek w sferę ogólniejszych stosunków. Björnson poczyna sobie, jak prawdziwy pisarz sceniczny, któremu wystarcza psychologia natury ludzkiéj; Ibsen, przeciwnie, wychyla się ustawicznie po-za ramy obrazu; bohater jego, konsul Bernick, występuje jako przedstawiciel całego stanu; w powikłanych jego przedsiębiorstwach ma udział pół miasta; konsul jest nietylko członkiem, ale i „podporą“ społeczeństwa, opierającego całą swoją powagę „na chwiejném bagnisku“. Pozór i kłamstwo panują w domu Bernicka, kłamstwo posłużyło mu niegdyś za podstawę szczęścia, nieprawdziwém też jest obecne jego życie rodzinne. Trzynaście lat temu, nadmorska mieścina była widownią wielkiego skandalu. Młody brat pani Bernick, Jan Tönnesen, przydybany został w pokoju wędrownéj aktorki przez jéj męża i uciekł do Stanów Zjednoczonych, z kasą firmy Bernick i ze starszą przyrodnią siostrą, Loną Hessel, która go opuścić nie chciała. O tém wszystkiém jednak wkrótce zapomniano, a Bernick przyjął do siebie i wychował Dinę, osieroconą córkę aktorki. Ale Jan i Lona wracają z Ameryki. Jan zdumiony jest krążącemi o nim pogłoskami i ma się czemu dziwić, bo w rzeczywistości Bernick był kochankiem aktorki, jeżeli zaś Jan pozwolił na swoją osobę skierować podejrzenia, to było jedynie dla ocalenia reputacyi przyjaciela, który starał się podówczas o jego siostrę. Mniemane ukradzenie kasy nie ma również podstawy;

Bernick bowiem rozpuścił tę wieść, chcąc uzyskać zwłokę od wierzycieli firmy, zachwianéj w chwili, kiedy stanął na jéj czele. Jan żąda od szwagra sprostowania faktów, Bernick odmawia; przyznać się do winy było-by to zburzyć dzieło całego życia, zrujnować kredyt wtedy właśnie, kiedy go najbardziéj potrzebuje nowe przedsiębiorstwo—budowa kolei żelaznéj, natrafiająca na silną opozycyę. Jan tedy odpłynie natychmiast z powrotem do Stanów Zjednoczonych, ale wróci, załatwiwszy interesa, i zdemaskuje konsula wobec całego miasta. Bernick, wylękniony, doprowadzony prawie do obłędu, rozkazuje spuścić na morze statek, o którego złym stanie wie dobrze, jedynie w śmierci Jana widząc swoje ocalenie, i dowiaduje się wtedy, że szwagier odpłynął innym okrętem, lecz że natomiast własny jego syn znajduje się na pokładzie skatku, przeznaczonego dla Jana. W téj chwili mieszkańcy wdzięcznego miasta przybywają uczcić konsula adresem. Przed mową powitalną Bernick otrzymuje wiadomość, że syn nie odpłynął—decyduje się zrzucić zupełnie ciężar z sumienia i całą prawdę wyjawia swoim współobywatelom.

Tematowi, jak widzimy, nie zbywa na dramatycznéj sile, o ile dramat zamknięty jest w czterech ścianach salonu konsula Bernicka; po-za jego progiem zaczyna się, jak zwykle u Ibsena—parodoks. Co tu ma do czynienia społeczeństwo? Bohater jest niewątpliwie wielkim obłudnikiem, ale wielkim obłudnikiem jest również Tartuffe; a czy przyszło na chwilę Molierowi do głowy porównać z tego powodu Francyę do chwiejącego się pod stopami trzęsawiska? Otacza wprawdzie poeta swojego faryzeusza odpowiedniém towarzystwem: przewodniczy w niém pastor Rohrland, twórca stowarzyszenia, założonego z kobietami, w celu zabezpieczenia społeczeństwa od wszelkiego buntowniczego nowatorstwa; Hilmar Tönnesen, nic nie robiąc, trzyma wysoko sztandar umysłowy; Auler, cieśla okrętowy, powstaje przeciwko wprowadzeniu maszyn, „bo coś przecie trzeba na miejscu zostawić“. Jest to jednak pojedyńcza, bądź co bądź, grupa obłudnych ludzi, która albo sama w rozumieniu poety jest społeczeństwem, — a w takim razie niewiadomo, co podpiera—albo przyswoiła sobie kłamstwem i podstępem znaczenie „podpór“, a wtedy cóż winno podpierane społeństwo, które w dobréj wierze ufa takim jednostkom i na seryo je traktuje? Dowodzi to tylko, że ci faryzeusze dobrze kłamią; im zaś lepiéj powodzi się tym ludziom, im głębiéj wzięty jest i plastyczniéj przedstawiony główny bohater, tém luźniejszemi wydają się podsuwane poecie przez nienawiść uogólnienia społeczne, sprawujące, że pod despotyzmem tendencyi akcya i charakter tracą wszelkie prawdopodobieństwa i że w końcu, wobec drogi do Damaszku Bernicka, niewiadomo dobrze, kto stoi na zdrowym gruncie, kto grzęźnie w bagnisku—

a téj wątpliwości nie wyjaśniają wystarczająco ani amerykańskie frazesy emancypantki z za Oceanu, ani liryczny okrzyk zrehabilitowanego Bernicka: „wy kobiety jesteście podporami społeczeństwa“, (kobiety należały przecie i do stowarzyszenia pastora), ani poprawka Lony Hessel, przydatna do transparentu: „nie, podporami społeczeństwa są wolność i prawda“. W ciągu scen chwiejących się między dramatem a satyrą, czytelnik, zarówno jak widz, znajduje się pod wpływem jakiegoś przykrego nieporozumienia, odbierającego siłę najlepszym sytuacyom, wdzięk nawet tak ślicznym, jak owa aktorska sierota, postaciom. W każdym szczególe akcyi, w każdém wymówioném słowie, czuje się coś programowego, podczas gdy „pod spodem“ pogrzmiewa niemniéj programowe oburzenie autora, nastrajające wszystko na ton nadąsanego patosu, który działa nie grozą artystycznie wytworzoną, ale jakimś dotkliwym, prawie gburowatym, naciskiem.

Gniew dochodzi do istnego paroksyzmu we „Wrogu społeczeństwa“ (*der Volksfeind*). Mniejsza o pobudki, z których jakoby ten dramat miał się urodzić; o tém, czy „Wróg społeczeństwa“ napisany został w odpowiedzi na krytyki „Upiorów“, nikt, prócz Ibsena, wiedzieć nie może, a wolno wątpić, czy się poeta z tych prywatnych spraw swoich komukolwiek zwierzał; treścią jednak tak ściśle łączy się ten utwór ze „Związkiem młodzieży“ i z „Podporami społeczeństwa“, że, mimo przerwy w chronologicznym porządku tworzenia, nastręcza w tém mianowicie miejscu pole do uwag, jako trzecie ogniwo jednolitéj społecznéj trylogii. Wchodzą do tego dramatu niektóre figury z dwu poprzednich; nie one jednak stanowią duchową między sztukami spójnię,—łącznikiem jest główny bohater, „Wróg społeczeństwa“. Kiedy się przyglądam temu doktorowi Stockmanowi, widzę w nim Falka ze „Związku młodzieży“, który wprawdzie przestał grać na gitarze i pisać sonety, który pocieszył się po Swanhildzie przy uczciwéj i bynajmniéj nie zagadkowéj kobiecie i przy gromadce raźnych dzieci; ale potrafi marną kabalę o zatrute nieczystościami mineralne źródło wydąć do wszechludzkiéj i wszechświatowéj walki światła z ciemnością, jak Falk wydmuchał śmieszności zrękowin do tragicznego antagonizmu miłości i małżeństwa. Uczony medyk, doświadczony praktyk, wyleczył się z Byronicznéj erotyki, wyleczył się może i z „młodéj Norwegii“; jedno mu ze studenckich czasów pozostało—„genialność“, z którą całemu światu liczyć się każe. Tylko ta genialność straciła urok dwudziestu lat, i przybrała wyraz zamkniętéj w sobie podejrzliwéj mizantropii. Nie ufajmy pogodnemu obliczu doktora, kiedy za stołem siedzi z rodziną i tworzy spokojny nastrojowy obrazek, bo nad tym dachem zbiera się już burza, któréj błyskawice przemknęły mu po twarzy na wieść o obrocie, jaki bierze wielkie jego dzie-

łc. Badania lekarskie miejscowości kąpielowéj, gdzie pełni obowiązki ordynatora, doprowadziły Stockmana do pewności, że ta stacya kuracyjna jest siedliskiém zarazy, zbiornikiem niezliczonych bakteryi. Za wykrycie takiéj prawdy lekarz spodziewa się wdzięczności swoich współobywateli, a gdy własny brat, burmistrz, wchodzi mu w drogę z samolubnemi konsyderacyami, zamierza sangwiniczny obrońca prawdy cały stan sprawy w gazetach wyświetlić. W zapale odkrywcy szydzi z mądrego urzędnika, i kiedy już nawet filistry przewagę nad nim biorą, on marzy jeszcze o przyszłych obywatelskich zaszczytach. Nie długo jednak czeka na rozczarowanie; przyjaciele odwracają się od niego, prasa zamyka mu dostęp, i gdy na publicznem zgromadzeniu, na które zaledwie w prywatnym domu mógł znaleźć skromny lokal, rzecz całą chce przedstawić, znajduje tam, już ustanowione według wszelkich zasad parlamentarnéj taktyki, wrogie dla siebie prezydyum, które mu głos odbiera. Wtedy wybucha Stockman, nie krępując się już niczém: nie o błocie będzie mówił, w którém grzęźnie miejscowy zakład kąpielowy, ale o całém bagnisku społecznéj i politycznéj zgnilizny. Wśród wrzasków i urągań rozkiełznanéj tłuszczy i przy jedynym oklasku pijanego słuchacza, występuje przeciwko kłamstwu zadufanéj w sobie większości i broni praw rozumnych jednostek, „samotnych czcicieli wolności, strzegących na forporcztach młodych prawd w zawiązku“; kiedy zaś uniesiony namiętnością mówca tępić chce kłamstwo, choćby kosztem egzystencyi całego kraju—odzywa się z tłumu głos „wróg społeczeństwa!“ Mowa, stanowiąca właściwe jądro i zasadniczą ideę sztuki, uchodzi za arcydzieło oratorskiego kunsztu i za mistrzowski efekt teatralny. Wzywano nawet z powodu téj sceny imienia Shakespear'a i nie wahano się przypomnieć mowy Antoniusza nad trupem Juliusza Cezara, co mnie zresztą nie dziwi, skoro przeczytałem w krytyce, rozsądnie skądinąd napisanéj, że Ibsen „każdém słowem świat z posad porusza“. Przypuszczam tylko, że w tym rozkrzyczanym tłumie odezwać się musiał choć jeden głos, zagłuszony dajmy na to przez gawiedź, ale rzucający właściwą definicyę: „wróg zdrowego rozsądku“. *Wróg społeczeństwa* brzmi uroczyściéj, zaprawia jednocześnie satyrę zjadliwą ironią i nadaje znów prostéj komedyi ulubiony przez Ibsena podkład tragiczny; ale „wróg zdrowego rozsądku“ lepiéj rzecz określa. Pomińmy już wzgląd czysto literacki: że ten polityczno-filozoficzny zapęd mowy Stockmana rozsadza sztukę na dwie części, nie pozostające ze sobą w żadnym artystycznym związku; że w chwili, kiedy z prowincyonalnych zatargów lekarza kąpielowego z małomiejską ludnością urosła tytaniczna walka z całym światem,— bajka dramatu staje się zupełnie obojętną. Ale trzeba być istotnie pod wpływem tak nazwanego *Ibsen-Schwin-*

del, żeby się nie uśmiechnąć na te, rzucone tłumowi przez Stockmana z powodu ścieków podmiejskich, gazeciarskie aforyzmy: o zatrutem bagnisku społecznem (ulubione wyrażenie), o głupocie większości, o inteligencyi mniejszości, o autorytecie indywiduów, o krótkiém życiu prawd, które po szesnastu latach (co za dokładność!) stają się niechybnie kłamstwami, i na tém cały polemiczny rozpęd, celujący do muchy z armaty Kruppa. Ponieważ taki głos albo się nie odezwał, albo się nie przedarł do rozognionego doktora, więc wrócił bohater kąpielowéj tragedyi, ścigany epitetem „wroga społeczeństwa“, do domu, gdzie zastał powybijane szyby i wszelkie zapowiedzi przygotowanego przez „społeczeństwo“ odcięcia go od reszty świata. Ale Stockman nie cofnie się przed walką choćby ze wszystkimi; zostanie na miejscu i sam jeden wyzwie do boju całą „zbitą większość“. Postać bohatera jest wspaniale i z mistrzowską plastyką przedstawiona, jeżeli ją rozważać w związku nie z akcyą dramatu, ale z wyższemi zadaniami, wobec których ta akcya wydaje się jedynie pozorem. Wygląda to jak portret w lustrze, przez poetę malowany—i jako taki, kipi życiem, prawdą. Ten sam temperament polemiczny, potrzebujący wyekspensować w ruchu, w walce, wszystkie zgromadzone i gromadzące się ciągle zapasy energii; ten sam wyraz skoncentrowanego fanatyzmu, w którym do rysu ascety przybył szyderczy uśmiech satyryka; ta sama dumna fizyognomia, lubiąca imponować uroczystą ekspresyą. W ten sposób w stosunku do swego wzoru postawiony, jest doktor Stockman zupełnie prawdziwym, kiedy wypowiada słynne słowa: „najsilniejszym człowiekiem na świecie jest ten, który stoi samotnie“, jaskrawszy tylko waryant wyzwania, rzuconego przez kobietę: „chcę się przekonać: kto ma słuszność, społeczeństwo, czy ja“.

Wyzwanie to wyszło z ust „Nory“. Poznaliśmy już Norę w domu szambelana Malsberga; nazywała się wtedy Selmą i wystąpiła w obronie praw swojéj indywidualności moralnéj, w sposób, wskazujący, że proces uświadomienia odbywał się w niéj powoli, ale stopniowo. Jakie były jego momenta? nie objaśnia nas Ibsen, wybuch bowiem młodéj żony bankruta był tylko epizodem w sztuce. Krytyka utrzymuje, że „Nora“ jest rozwinięciem tego epizodu w skończonym, samoistnym dramacie; mnie się zdaje że tak nie jest i że to stanowi ważną wadę sztuki, bogatéj zresztą w pierwszorzędne poetyczne piękności. Dramat rozwija właściwie to, o czém w „Związku młodzieży“ dowiadujemy się z opowiadania Selmy, t. j. charakteryzuje atmosferę, w któréj, zamiast kobiety, wyrosła lalka. Kiedy nadchodzi katastrofa i znajdujemy wobec niéj odrazu gotową, samoistną jednostkę społeczną, spotyka nas niespodziaka tém dziwniejsza, im mniéj do niéj autor czytelnika czy widza przygotował. Nie mówiąc nic o pracy,

odbywającéj się w duszy Selmy przed jéj metamorfozą, pozwolił przynajmniéj Ibsen dowolnie się domyślać; tu na domysły niéma miejsca: zrobiono wszystko, żeby nam pokazać „rozśpiewanego skowronka“, zwinną wiewióreczkę“ — i oto w jednéj chwili „skowronek“, „wiewióreczka“ przedzierzgnęła się w kobietę, wzywającą do obrachunku społeczeństwo. Nagle, ni stąd ni zowąd, jak we „Wrogu społeczeństwa“, indywidualna sprawa stała się sprawą całéj ludzkości. Zobaczmy, jak do tego przyszło.

Mamy znów przed sobą obraz domowego szczęścia, na podobieństwo sielanki u szambelana Malsberga i u konsula Bernicka; tylko rysunek jest jeszcze delikatniejszym, a koloryt zachwyca oko tonem rozlanego wszędzie wesela. Dni adwokata Helmera, mianowanego właśnie dyrektorem banku, zdają się płynąć wśród niezamąconéj niczém jasności, a co dla niego ważniejsza, w atmosferze piękna, bo ten pan jest artystą we wszystkiém, nawet w moralności i zły czyn, zły charakter odstręcza go głównie brzydotą. Głęboko zaobserwowany egoizm estetyczny bohatera, nienawidzącego kłamstwa, a niedomyślającego się nawet, że jego własny charakter opiera się tylko na pozorach — wyjdzie na jaw dopiero w krytycznéj sytuacyi; tymczasem Helmer cieszy się, że Nora jest dla niego promieniem słońca w życiu, i obsypuje pieszczotami żonę, która śpiewa, tańczy, śmieje się i woła w uniesieniu radości:

— O Boże, Boże, jak dobrze jest żyć na świecie i być szczęśliwą!

Wśród tych upojeń, piorun spada z jasnego nieba: błąd, popełniony niegdyś przez niepoczytalną istotę, zawiesza nad całym domem groźbę tragedyi. W pierwszym jeszcze roku małżeństwa, kiedy Helmer ciężko zaniemógł, a lekarze, jako jedyne lekarstwo na jego chorobę, zalecili podróż na południe, na którą nie było środków, Nora pożyczyła od jakiegoś pokątnego aferzysty potrzebną sumę i, istne dziecko w sprawach życia praktycznego, podpisała na wekslu ojca, który na nieszczęście umarł gdzieindziéj na trzy dni przed tém, tak, że czyn Nory ma doniosłość fałszu. Pracą usilną, w tajemnicy i bez wiedzy męża, Nora spłaciła znaczną część długu; ale resztę wierzyciel postanowił wyzyskać dla poprawienia sobie sytuacyi; żąda więc albo natychmiastowego zwrotu pieniędzy, albo posady w banku Helmera, grożąc pokazaniem mężowi sfałszowanego podpisu. O posadzie dla owego Gunthera mowy być nie może; Helmer, znający tę podejrzaną osobistość, doznaje w zetknięciu z nią „fizycznego wstrętu“. Wszystko więc wychodzi na jaw, a wtedy wykrzyk samoluba „jestem zhańbiony“, po którym następuje, gdy Gunther odesłał rozdarty we-

ksel, równie egoistyczne: „jestem uratowany!“ — otwiera oczy Nory na marną naturę męża.

— A ja?— zapytuje w odpowiedzi na te wykrzykniki.

Dotąd wszystko obraca się w sferze świetnie prowadzonego psychologicznego dramatu, który, gdyby kurtyna zapadła na to zapytanie, byłby artystycznie i poetycznie skończoném dziełem. Ale mamy przecież z Ibsenem do czynienia; więc jakże może się obyć bez oskarżenia społeczeństwa? Trzeba żeby nierozważny postępek Nory stał się bronią w walce z małżeństwem, i ta sama Nora, która jeszcze przed chwilą z dziecinną bojaźnią czyn swój ukryć usiłowała i chciała się dla dzieci poświęcić, wyrosła odrazu na przedstawicielkę ludzkich praw kobiety; ona, która przez ośm lat pozwoliła się traktować, jak lalka, przykłada teraz do małżeństwa skalpel ciętéj krytyki. Dotąd nie była wolną, miała przekonania najprzód ojca, późniéj męża; nie była nigdy szczęśliwą, tylko wesołą; nigdy nie usłyszała od męża poważnego słowa; żadnego nie miała udziału w jego „życiowych zadaniach“. Teraz nie chce być dzieckiem, chce zostać kobietą i dlatego opuszcza „obcego“ człowieka, któremu troje dzieci urodziła, i nic w świecie nie wstrzyma jéj od tego, ani wzgląd na opinię ludzką, ani wewnętrzny nakaz obowiązku: „Mam inne, równie święte obowiązki,— wola, odchodząc,— obowiązki względem saméj siebie“.

Czy wróci do domu? Takie pytanie zostawił Ibsen w umysłach publiczności, takiém też zajmowano się jakiś czas — i przestano się zajmować wobec faktów życiowych, które na nie najlepszą dały odpowiedź. Dzięki rozlicznym kulturowym wpływom, dzięki ruchowi emancypacyjnemu, który wciągnął kobietę skandynawską do życia publicznego, do sfery zajęć mężczyzny, dzięki nowożytnéj literaturze, która ją nauczyła zagłębiać się w treść bytu o ile jest płcią uwarunkowany; Ewa norweska stała się istotą odmiennie rozwiniętą, skomplikowaną, umiejącą swoją oryginalność, zarówno w domu, jak na forum, akcentować. Masa kobiet dawniéj tak jednorodna i jednokształtna, rozbiła się teraz na dziwnie odrębne indywidualności, które, kosztem pierwotnéj natury, potrafiły wyzyskać na swoją korzyść jaknajwięcéj „nowożytnych idei“. Pierwszym krokiem było oswobodzenie, drugim tyrania. Od dziesięciu lat, kobieta, w Szwecyi szczególniéj, literalnie rządzi w polityce i w umysłowości, a kraj cały jest w téj chwili pełny hermafrodytów, przykrawających całą kulturę do swego własnego szablonu, urządzających w domu klub do rozpraw nad prawami obu płci i upatrujących w mężczyznach preparaty do badań erotyczno-naukowych. Ibsen wygląda na téj arenie, jak atleta, grupujący na swych potężnych barkach młodsze pokolenie siłaczy. Symbolicznym miał być widok poety, kiedy na przedstawieniu jednego ze swoich

dramatów w królewskim teatrze w Stockholmie, siedział w loży, nieprzenikniony jak zawsze, w towarzystwie, ni mniéj ni więcéj, tylko dziesięciu sióstr Nory. I czego tu chciéć od społeczeństwa? Za co oskarżać je o despotyzm? To też wkrótce nie wystarczyły już Ibsenowi moralne i umysłowe jego więzy — zwrócił się do fizycznych fatalizmów.

Jest w téj saméj „Norze“ epizodyczna figura, — doktor Rank, która krytyce wydała się zgoła niepotrzebną. Epikurejczyk z cmentarnym dowcipem umierającego, przemyka się tylko przez akcyę, nie mając z nią istotnie organicznego związku; a czy ze swoją chorobą, mlecza pacierzowego służyć miał tylko w obec Nory za kontrast przedstawiający robaka przy pięknym kwiecie, czy poeta chciał w tym stosunku zamknąć ironię, wymierzoną przeciw tym, co brzydząc się zewnętrzną brzydotą, nie widzą „robaka, lęgnącego się w samym bujnym kwiecie“, czy też po prostu upodobał sobie efekt teatralny w scenie, kiedy do słynnéj tarantelli, opóźniającéj dla Nory tragiczną katastrofę, przygrywa śmierć w postaci skazanego na rozkład fizyczny filozofa;—dość, że doktor Rank zostawia po sobie silne, chwilami poetyczne, wrażenie, nawet wtedy, gdy mówi:

— Cała historya jest istotnie warta śmiechu. Biedna moja, niewinna kolumna pacierzowa musi pokutować za porucznikowskie uciechy mego ojca.

Występuje w tych słowach lekko napomknięta teorya dziedziczności, zbyt silnie związana z ogólną deterministyczną filozofią Ibsena, żeby jéj poeta miał miejsca na scenie poskąpić. Już Brand dźwiga brzemię win swéj matki — ale to tylko dziedzictwo umysłowo-moralne; Ibsen pójdzie bez wahania krok daléj i obciąży swego bohatera schedą choroby, przechodzącéj z rodziców na dzieci; zrobi to zaś tém snadniéj, że będzie w zgodzie z nowożytną poetyką, do któréj utrwalenia, jeżeli nie wytworzenia, sam wielce się przyczynił. Wiadomo, jak szkoła naturalistów ma słabość do klasycznéj tragedyi; sympatyami temi cieszy się i poetyka starożytna, naturalnie przyrządzona na nowoczesny sposób. Na miejsce greckiego *ananke*, ścigającego z dopuszczenia bogów bohaterów za winy, przez nich nie popełnione, ale tkwiące w rodzie, do którego należeli (Edyp, Thyestes), wystąpiła fatalność instyktów, popędów, skłonności odziedziczonych po przodkach,—słowem Arystoteles, poprawiony przez Darwina. Wzgląd, że klasyczny prawodawca sceny nie myślał o dziedzictwie choroby, że teatr dzisiejszy nie znosi wogóle cierpienia fizycznego, zwłaszcza jeżeli dotknięty tém cierpieniem człowiek nie może być za nie odpowiedzialnym; że ból fizyczny jest fatalnością natury, a teatr, żyjący więcéj czynami, aniżeli ich pobudkami, jest z natury swojéj dziedziną sztuki, w któréj czynnik odpowiedzialności i wolności woli

najsilniéj występować powinien; wszystko to naturalnie nie mogło powstrzymać pisarza, przyzwyczajonego do obalania potężniejszych niż teatralne konwencyonalizmów.

A potém,—jaka nieoceniona sposobność obarczenia społeczeństwa jeszcze jedną winą przekazywanéj pokoleniu materyalnéj zgnilizny, będącéj tak często przyczyną albo skutkiem zgnilizny moralnéj! Każdy człowiek odziedzicza mniéj więcéj zatrutą przeszłość, z któréj otrząsnąć się nie może. Wypowiedział to już Ibsen w poezyi p. t. „List rymowany“. Parowiec, na którym załoga i pasażerowie spoglądają naokoło zagasłym wzrokiem i stąpają leniwym krokiem, zdąża ku dalekim brzegom; każdy nasłuchuje i milczy, jakby zgnębiony, bo trup jest na pokładzie, a nikt nie może się odważyć rzucić go w morze. Trup—to przeszłość; a okręt—to Europa.

Otóż ten trup powraca jako upior, zaglądając, rozumie się, najczęściej do Norwegii, w postaci różnego rodzaju przesądów, przeżytych zapatrywań, prawd z obiegu wycofanych, (wiemy już, że „normalnie zbudowana“ prawda żyje tylko 16 lat) a nawet fizycznych zakażeń. Pani Alwing, matka bohatera „Upiorów“, formułuje w ten sposób tę ideę przewodnią dramatu:

— Zdaje mi się, że wszyscy jesteśmy upiorami. Nawiedza nas nie tylko to, co odziedziczyliśmy po matce i ojcu, ale niepokoją dawno zamarłe poglądy i wszelkie stare wierzenia. Nie żyje to, ale tkwi w nas i pozbyć się tego nie możemy. W całym kraju muszą być takie upiory. Ja się boję, bo czuję w sobie coś podobnego do takich upiorów.

W dalszém rozwinięciu téj idei poeta podciąga pod określenie upiorów wszystko, co kłamstwu byt swój zawdzięcza; co nie jest do życia uprawnioném, bo nie pochodzi ze światła, z radości, z prawdy i życie w zarodku zabija; co zatém, jako wróg społeczeństwa, jako twór nocy, jako cień, zaćmiewający słońce, musi być wytępione. Więc chory na rozmiękczenie mózgu Oswald jest upiorem własnego ojca, którego grzechy, nałogi i niemoce odziedziczył, będąc owocem rozgorzałych zmysłów i tępéj rezygnacyi; upiorem swéj matki jest służąca Regina, dziedziczka jéj lekkomyślności i zepsucia. Gdy dodamy, że ojcem Reginy był stary szambelan Alwing, który rozpusty swojéj nie wahał się uprawiać w domu, gdzie sobie również usługującą dziewczynę upodobał, o czém wie dokładnie pani Alwing, mamy rodzinną sytuacyę dramatu między „upiorami“. Dochodzi ona do kulminacyjnego punktu w scenie, kiedy pani Alwing, lękająca się o zmysły syna, ulega jego naleganiom i, zasiadłszy przy jednym stole z bliskim już obłędu jedynakiem, w towarzystwie Reginy, którą nieszczęśliwy chce mieć za kochankę, bo ona jest „radością życiową“, a zatém je-

dynym jego ratunkiem,—musi patrzeć na rosnącą pod działaniem szampana żądzę syna do jego siostry z lewéj ręki. Katastrofę stanowi wybuchające u Oswalda pomieszanie zmysłów i straszne wahanie się pani Alwing; czy spełnić dane synowi przed objawieniem się szaleństwa przyrzeczenie, że mu nie pozwoli żyć w stanie zezwierzęcenia i własną ręką poda zbawczą truciznę?

Tak się kończy ta tragedya schnięcia mlecza pacierzowego—bo przy wszelkich usiłowaniach krytyki, kierowanéj nawet objaśnieniami samego autora, inaczéj nazwać téj sztuki nie można. Tragiczny punkt ciężkości „Upiorów“ starano się przenieść z chorego waryata na stosunek pani Alwing, przedstawicielki myśli oswobodzonéj z przesądów, do pastora Mandersa, reprezentującego, jak zwykle u Ibsena, bieżące banalne ogólniki. Pani Alwing jest Norą, która nie opuściła męża. Wprawdzie, przekonawszy się, że ją los związał z niegodziwcem, chciała zerwać pęta; ale, dzięki uczciwości kochanego przez nią skrycie pastora, zostaje w jarzmie wstrętnych dla siebie obowiązków. Wtedy pierwsze tego związku kłamstwo pociąga za sobą mnóstwo innych: rozłącza matkę z synem, chowanym rozmyślnie zdala od skandalów domowych, i wikła ją w laokonowe sploty winy tragicznéj, rujnującéj szczęście całego jéj życia. Wszystko to, jako rzeczy minione, wychodzi na jaw w kapitalnej rozmowie pani Alwing z Mandersem, wiążącéj przeszłość z teraźniejszością i streszczającéj ten dramat duszy w dwóch zapytaniach:

Pani Alwing. A co będzie z prawdą?

Pastor Manders. A co było-by z ideałami?

Opowiadanie jednak jest opowiadaniem, komentarz komentarzem, a teatr teatrem, i wszelkie próby zamiany ról między bohaterami na nic się nie zdadzą. Wobec niejasnéj, mglistéj, wyszrubowanéj psychologii tych dwojga wielomównych, rozprawiających o prawdzie i o ideałach—na pierwszy plan wysuwa się z całą natarczywością, nie myśl, tylko fakt, i to fakt, brutalnie odpychający w postaci fizycznéj choroby. On panuje wszechwładnie nad akcyą, on od początku do końca nie schodzi ze sceny i narzuca się ze swemi szpitalnemi efektami, on ma pretensyę za pomocą prognozy lekarskiéj wywołać tragiczną grozę. Daremna pretensya. Chore nerwy „modernistów“, wyczerpanych przerafinowanemi sensacyami, mogą się poddać takim wrażeniom i szukać w nich nawet artystycznego pierwiastku; zdrowy sens, o ile w kim nie osłabł pod temi uderzeniami obucha, czuje w tém wszystkiém fałszywy patos, sztucznie dostrajający urojonych ludzi i urojone sytuacye do dowolnéj teoryi przyrodniczéj; prosty rozum zapytuje: dla czego za nieszczęście młodego Alwinga ma być odpowiedzialny wyłącznie stary Alwing, skoro stary musiał swoje skłonności odziedzi-

czyć po jeszcze starszym, i tak daléj wstecz po falach odruchów deterministycznych,—z czego-by wynikło, że najwinniejszą bohaterką dramatu jest płocha protoplazma; smak wreszcie niezepsuty widzi w tém nagromadzeniu rzeczy, z natury może realnych, ale pozbawionych najwyższéj na scenie prawdy, to jest, poetycznego prawdopodobieństwa,—nie sztukę, lecz halucynacyę talentu, który myśli samemi kombinacyami oderwanych idei, tworzy samemi fantastycznemi alegoryami, a w życiu upatruje jedynie filozoficzną symbolikę.

Do dziedziny téj symboliki wprowadza nas Ibsen na dobre w dramacie „Rosmersholm“. Poeta jest tu tak dalece i tak całkowicie sam sobą, że „Rosmersholm“ raczéj, niż „Upiory“, jest jego typowém dziełem, i że w niém wypowiedział, jeżeli nie najdumniejsze, jak to miało być w „Upiorach“, to niewątpliwie najcharakterystyczniejsze słowo téj twórczości Brzmi ono pesymistycznie i rozpościera posępną mgłę na całym obrazie, gromadzącym w symbolach wszystkie dotychczasowe motywa. Jest tam Norwegia, przedstawiona jako Rosmersholm, miejsce, gdzie nikt się nie śmieje choć wszyscy w duszy tęsknią do „radości życia“; jest pastor Rosmer, odstrychnięty od kościoła państwowego, filozof, który, zamierzywszy sobie wytworzyć „prawdziwą opinię ogółu“, musi się wyrzéc serca najdawniejszego przyjaciela, przewodniczącego konserwatywnemu tego ogółu obozowi; jest ideał „duchowego małżeństwa“, urzeczywistniony u Rosmera we wspólności zadań i celów z mieszkającą pod jednym dachem domownicą, Rebeką West; nie brakuje wreszcie i upiora przeszłości, trapiącego serce pastora od chwili, kiedy się dowiedział, że żona jego odebrała sobie życie, nie w przystępie melancholii, jak to powszechnie przypuszczano, ale ze zgryzoty, iż mąż jéj odstąpił od religii ojców swoich. Wogóle nieżyjący małżonkowie odgrywają w dramatach Ibsena niepoślednią rolę; poeta chętnie przysłania ich cieniem, po-za którym wolno domyślać się, że nieboszczka lub nieboszczyk zagradzał za życia swemu towarzyszowi czy towarzyszce drogę do „uciech życiowych“. Tak jest w „Rosmersholmie“, tak było w „Upiorach“, (pani Alwing nie jest zupełnie pewną, czy surowością swoją nie zamroczyła życia mężowi)—tak będzie, jak to zobaczymy, w „Dzikiéj kaczce“. Bądź co bądź, upior powraca i on-to głównie wywołuje dramatyczne kolizye; odkrycie bowiem pobudek samobójstwa pani Rosmer komplikuje się jedną jeszcze przyczyną: zmarła dostrzegła stosunek między mężem a Rebeką, a wyobraziwszy go sobie w swéj melancholii bliższym, aniżeli był w istocie, nie chce być zaporą do szczęścia ukochanego człowieka i topi się w stawie; doszło zaś do tego, jeżeli nie wprost z namowy Rebeki, to wskutek zdradliwie w tym kierunku podsuwanych przez nią myśli. Mozolnie skombinowana z samolubstwa i abnegacyi, z gorącéj zmysłowości i wynio-

slego chłodu, z energii do czynu i z braku woli, Rebeka dopuściła się tego postępku nieokreślonéj wartości, najprzód, ze współczucia dla Rosnera, którego smutne pożycie obezwładniało, a późniéj z namiętnéj dla niego miłości. Gdy jéj jednak sam Rosner proponuje małżeństwo, z początku nie posiada się ze szczęścia, potém cofa się z przerażeniem — bo teraz stać się to już nie może: brak jéj odwagi do życia. — Rosmersholm złamało mię. Zapatrywania życiowe rodziny Rosmerów zdenerwowały mi wolę i o niemoc ją przyprawiły. Filozofia życiowa Rosmerów uszlachetnia, ale zabija szczęście.

Dla czego filozofia Rosmerów, uszlachetniając, zabija szczęście? tego się nigdy nie dowiemy, jak również zostanie dla nas tajemnicą, dla czego Rosmer, który miałby odwagę wziąć za towarzyszkę życia duchową zabójczynię swéj żony, czuje się także złamanym „bo mu do szczęścia brakuje dawnego poczucia niewinności“, bo „nie można iść przez życie z trupem na karku“. Mowa tu naturalnie nie o wspomnieniu żony — z tym trupem Rosmer, jak widzieliśmy, dość raźnie wybierał się w drogę—ale znowu, i zawsze, i wszędzie, o konserwatyźmie zatrutego w swych źródłach życiowych społeczeństwa. Od téj chwili rozpoczyna się między dwojgiem lunatyków awanturnicza psychologia, o któréj nie śniło się naszym filozofom. Kiedy bowiem Rosmer wątpi o miłości Rebeki, sądząc że ta nie jest zdolna zdobyć się dla niego, jak nieboszczka Beata, na ofiarę z życia, Rebeka podąża na wyraźne jego żądanie tą samą co samobójczyni drogą, a towarzyszy jéj zmęczony życiem Rosmer. Tym sposobem oboje odnoszą idealne zwycięztwo—Rebeka pokonywa wątpliwości Rosmera, co do jego zdolności wyszlachetniania dusz; Rosmer zwalcza wątpliwości Rebeki co do jego dla niéj uczucia.

Znajdujemy się w samém sercu jakiejś chimerycznéj mistyki, w któréj wszystko osnute jest ciężką, szarą, nieprzeniknioną chmurą, tłoczącą pierś nieznośném brzemieniem, i gdzie śmierć bohaterów działa nie jak ton konieczny w artystycznéj harmonii, ale poprostu jak fizyczna ulga. Nie koniec jednak naszéj po téj krainie wędrówki, czém niech się nikt nie trapi, bo nas w „Dzikiéj kaczce“ czeka jedna z najosobliwszych niespodzianek.

Kiedy obok Rosmera, rozpaczającego w „Rosmersholm“: „że w duszy nie ma ani iskry nadziei“, postawił Ibsen epizodycznie jego nauczyciela, Brendela, który, zamierzywszy, po powrocie z Ameryki, napisać mnóstwo dzieł w sprawie wolności ducha, robi sam na sobie bolesne odkrycie, że jest bankrutem duchowym i żebrze swego dawnego ucznia o „parę zużytych ideałów“; kiedy dla starego sceptyka wyobrazicielem przyszłości jest gazeciarz, Mortensgård, figura wszechpotężna dlatego, że „nigdy więcéj nie chce, niż może“,

że „zdolny jest życie przeżyć bez ideałów—co jest właśnie najwyższą w świecie mądrością“—te dwa wykrzykniki dają już wiele do myślenia. Cóż dopiero, gdy słyszymy aforyzmy doktora Rellinga, dowodzącego bohaterowi „Dzikiéj kaczki“ Gregersowi: że wszyscy ludzie są chorzy, i że dla nich jedna jest tylko kuracya: zachowanie im kłamstw życiowych. „Bo,—uczy pessymista swego intelorkutora, który zdaniem jego jest chory na „narodową chorobę“, na „ostrą gorączkę prawości“, na manię budzenia w ludziach idealnych popędów,—„odbierając przeciętnemu człowiekowi kłamstwo życiowe, odbieramy mu zarazem jego szczęście“.

Tego właśnie dopuścił się Gregers, rozpalając wszędzie światło prawdy. W rozmowie z ojcem, najboleśniejszéj, jaką scena kiedykolwiek zniosła, wymawia zbogaconemu aferzyście, że, wyszedłszy cało z nadużycia z lasami rządowemi, którego ofiarą padł niewinnie nieświadomy ich wspólnik stary, na pół dziś obłąkany Ekdal, ożenił potém jego syna ze swoją kochanką w chwili, kiedy ten związek był dla niéj nieodzownym, i sądzi, że, wspierając skrycie tych ludzi bez ich wiedzy, załatwił z nimi wszelkie rachunki; potém wyjaśnia młodemu Ekdalowi, że szczęście jego małżeńskie opiera się na moralném bagnisku i odbiera mu wiarę w jego urojone odkrycia w dziedzinie fotografii — wszystko bez względu na to, czy Ekdal ma w sobie dość siły moralnéj do ukształtowania sobie życia na nowych podstawach. Z promieniejącém obliczem oczekuje nieproszony idealista na podziękowania za swoje odkrycia i doznaje najdotkliwszego zawodu: Ekdal pozostaje tém, czém był, zdecydowaną miernością umysłowo-moralną, mężem upadłéj kobiety — i tylko biedne dziecię grzechu, Jadwiga, odtrącona przez Ekdala, w ekstazie ofiarności zadaje śmierć sobie, zamiast dzikiéj kaczce, którą zabić miała na dowód, że zdolną jest poświęcić dla ojca wszystko, co ma najdroższego.

Dzika kaczka? co ona tu robi i co ma oznaczać? Napisano już o tém stosy komentarzy. „Dzika kaczka“, mówią jedni, — to rodzaj Alcesta; nie, — twierdzą inni, to przedstawicielka miłości dziecka do ojca; bynajmniéj, brzmi trzecie zdanie, dzika kaczka, to Gregers; ale co znowu! protestuje czwarty komentator, czy nie widzicie w niéj uosobienia starego Ekdala?

Co do mnie, wyznaję szczerze, że nie rozumiem i że jest mi to zupełnie obojętném. Rozglądając się w całokształcie twórczości Ibsena, widziałem nieraz, do jakiego wirtuozowstwa potrafił poeta symbolizm swój doprowadzić. Tkwi on nietylko w obrazach, ale częstokroć w rzeczach, a nawet w pojedyńczych określeniach. Dobrze jeszcze, jeżeli taka definicya, jak „idea królewska“ w „Pretendentach“, jak „trzecie królestwo“ w „Cezarze i Galilejczykach“, coś istotnego osłaniają; ale

kiedy w „Zaślubionéj z morzem“ jeden wyraz, „dobrowolnie“, ukazuje się ustawicznie, jak transparentowy napis w obłokach; kiedy słowa „byle tylko pięknie“ powracają niby zwrotka w „Heddzie Gabler“ — uśmiech błąka się na ustach nawet wielbicieli Ibsena wobec tych symbolów, podobnych do pustych orzechów, na których rozgryzanie szkoda zębów; rozważnemu zaś widzowi wydaje się, że zręczny dyrektor teatru, wspierający zawsze znakomitego poetę, Ibsena, poradził mu zapewne, ażeby charakterystyczną swoją uroczystość zachował nawet tam, gdzie powłoka symbolu kryje uroczyste *nic*, gdzie osłoniony obraz nie wart jest osłony.

Mniejsza więc o to, co oznacza „dzika kaczka“; o wiele więcéj jest interesującém pytanie: czy poeta przemawia przez usta Rellinga, czy Gregersa, czy w nim bankrutuje idealista, czy pessymista; czy warto było całe życie walczyć przeciwko kłamstwu, ażeby w końcu dojść, jak Relling, do przekonania, że odebranie człowiekowi życiowego kłamstwa jest pozbawieniem go szczęścia? czy warto było na podobieństwo Gregersa działać wszędzie, jak samodzierżca prawdy, zrobić koło siebie próżnię, zawołać w dumném zadowoleniu za drem Stockmanem: „jestem najsilniejszym człowiekiem — bom samotny“, ażeby potém w ostatecznéj konkluzyi powiedzieć sobie: „przeznaczeniem mojém jest siadać na trzynastego u stołu?“ Traf dziwnie illustrował te wątpliwości w ojczyźnie autora, gdzie na przedstawieniach „Dzikiéj kaczki“ w jednym teatrze, aktor, grający Gregersa, ucharakteryzował się na Ibsena, w drugim maskę poety przywdział na siebie artysta, który przedstawiał Rellinga. Któż-by potem dziwił się Rossemu, że nie czuje ludzi u Ibsena?

Z ludźmi téż Ibsen mało już ma doczynienia w dwóch ostatnich swoich dramatach. Zdawało-by się, że poeta, zwątpiwszy zupełnie o możności pogodzenia w normalnych życia stosunkach Gregersa z Rellingiem, jak Achilles w namiocie, zamknął się w obłoku symbolizmu, ażeby stamtąd allegorycznie zwiastować przyjście „trzeciego królestwa“.

O „Zaślubionéj z morzem“ i o „Heddzie Gabler“ nie wiele mam do powiedzenia. Występują tam siły jakieś pierwotne, żywiołowe, wyswobodzone ze wszystkich kulturowych warunków, a tragiczność ich działania polega wyłącznie na starciu się z temi warunkami; w pierwszéj sztuce uosabia je mężczyzna, w drugiéj — kobieta. Właściwym bohaterem „Zaślubionéj z morzem“ jest *ktoś*, komu autor nie dał nawet nazwiska — wymieniony jest bowiem między osobami, jako „obcy człowiek“. Nazywał się niegdyś *Friman*, „wolny człowiek“, żeglujący swobodnie po falach życia, jak ów statek, do którego załogi należał. W moc tego „obcego człowieka“ dostała się gdzieś, kiedyś, pani Eli-

da Wangiel, zanim została żoną Dr. Wangla i macochą jego dzieci z pierwszego małżeństwa. Dlaczego się dostała?—tego sama nie wie, i nie umie, opowiadając o tém mężowi, określić natury tego wpływu. Coś w nim było pokrewnego z morzem, jego żywiołem—coś, co przerażało i pociągało—urok i groza nieznanego. Nie odepchnęło jéj nawet od „obcego“ wyznanie, że zabił kapitana swego okrętu, „ponieważ tak trzeba było“; gdy zaś, spotkawszy się z nią na latarni morskiéj, zdjął z jéj palca pierścionek i wraz ze swoim w toń rzucił, uważała się odtąd za zaślubioną z morzem. Potém „obcy“ odpłynął i zdawało się, że zniknął na zawsze; wtedy Elida uległa przywiązaniu doktora i została jego żoną. Napróżno jednak uczciwie usiłuje ocenić jego wysoką wartość moralną: całe morze ich przedziela ze wszystkiemi swemi zdradnemi tajemnicami, a w świetle tego wspomnienia związek z doktorem wydaje się Elidzie tylko umową handlową, zapewniającą jéj utrzymanie. W chwili więc, kiedy „obcy“, uważany za nieistniejącego, ukazał się i chce zabrać swoją narzeczoną, zastrzegając, żeby się to stało „dobrowolnie“ z jéj strony, Elida otwarcie proponuje mężowi rozejście się;—nie żaden rozwód, prawem uświęcony, grają przecież w tém wszystkiem rolę instynkta, aspiracye, ideały, unoszące się ponad wszelkiemi stosunkami, prawami społecznemi,—ale dobrowolne rozłączenie. Zraniony w najdroższych uczuciach mąż jest sam świadkiem przybycia „obcego“, i widząc, że ta walka z siłami ślepemi, antyspołecznemi, do niczego nie prowadzi, zostawia żonie wolny wybór. Sprytny lekarz znał widocznie dobrze kobietę i grał na pewne, reakcya bowiem następuje w Elidzie błyskawicowo. Usłyszawszy, że służy jéj „wolny wybór“, ta morska Nora ma zupełną satysfakcyę i „dobrowolnie“ przekłada pewny, solidny byt na stałym lądzie nad żeglugę po ryzykownych wodach zagadkowéj egzystencyi.

Te same, jak w „obcym człowieku“, nieokiełznane popędy, pozornie tylko ujęte w społeczne karby, uosabia Hedda Gabler. Biedna generalska córka, dość późno, bo w dwudziestym dziewiątym roku, wybrawszy z dwóch konkurentów Tesmana, dlatego, że wierzyła w jego talent historyozoficzny i w wielką na katedrze profesorskiéj przyszłość, przekonywa się wkrótce po miodowych miesiącach, nietylko o bardzo niepokojących stosunkach materyalnych męża, ale i o jego mierności umysłowéj. Tymczasem dawny, drugi konkurent, Löwborg, duch samodzielny, „przeżywający życie w wolności“, jedna z odmian typu, snującego się po całym repertuarze Ibsena i symbolicznie w „obcym“ streszczonego, napisał, pod wpływem dość ograniczonéj, lecz bardzo kochającéj Egeryi, znakomite historyczne dzieło i otrzymał docenturę, cel daremnych aspiracyi Tesmana. Mści się więc na obojgu Hedda, rzucając w ogień rękopis Löwborga, który dość niezgra-

bnym wypadkiem dostał się w jéj ręce. Wynikają stąd dwa samobójstwa: jedno Löwborga, prawie suggestyonowane przez Heddę, uzbrajającą autora w pistolet, z zastrzeżeniem, „żeby się wszystko pięknie odbyło“— drugie saméj pani Tesman, pod wpływem grozy, rzuconéj na nią przez starego rospustnika sędziego Bracka, który działa na bohaterkę swych erotycznych marzeń wiadomością, że policya dowie się, kto był właścicielem pistoletu. „Nie jestem już więc wolną—mówi Hedda,—zależę od czyjejś woli“—i nie mogąc znieść téj myśli, odbiera sobie życie.

Rzecz prosta, że w obu tych sztukach o właściwym dramacie mowy być nie może; niéma go nigdy tam, gdzie akcya odbywa się między istotami, dotkniętemi hallucynacyą, gdzie ludzie, owładnięci jakąś nerwową gorączką, wspólnie jéj sobie udzielają. Są to jakieś eksperymenta psychologiczne, dokonywane na czynnikach społecznych, które, nie mogąc się, przy swéj różnogatunkowéj naturze, skombinować, dają zgoła anty-społeczny wynik: zupełnéj we wszystkich bezświadomości. Ta bezświadomość ma tu podwójny charakter: zaniku moralnych instynktów, wywołanego przecywilizowaniem jednostki, i pewnéj dzikiéj energii, jakby powiewającéj z odległości dziesiątków stuleci od samych źródeł kultury. To też zdania dwu krytyków: francuskiego, przypisującego Ibsenowi zamiar odmalowania kobiety *fin-de-siècle*, i niemieckiego, który chce widzieć w Heddzie Gabler sagę skandynawską o Brunhildzie i Krymhildzie, o Zygfrydzie i Gunterze, na nowożytny język wyłożoną, rodzaj maskaradowéj parafrazy we frakach i w sukniach z turniurami, na temat „Wojowników na Helgelandzie“— nie wydają mi się bynajmniéj sprzecznemi. Owszem, jest w nich to samo bliskie pokrewieństwo, jakie istnieje między cywilizacyą u „schyłku stulecia“ a barbarzyństwem; zaznaczyć je zaś tutaj wypada tém konieczniéj, że, występując w ostatnim momencie talentu Ibsena, rzuca niejako światło na całą jego twórczość. Może hypoteza niemieckiego komentatora nie być pod względem faktycznym dokładną, w gruncie rzeczy jednak to symbolizowanie elementarnych potęg wygląda, jak próba ziszczenia filozofii mistyka Maximusa, „powrotu do natury przez ducha.“ Jesteśmy w tych dwu dramatach świadkami kończącéj się ewolucyi tego ducha, który tak sam w sobie zatonął i tak się odstrychnął od wszelkich form bytu, przez życie urobionych, że ma chwilami pewne naiwności zdziczenia. Gdyby francuską fanfaronadę można było porównywać z germańską gruntownością, miało-by się nieraz ochotę zestawić Ibsena i jego wikingowe tęsknoty z Richepin'em, który, jak wiadomo, chciał koniecznie uchodzić za „turańczyka.“ Jest jednak inne pokrewieństwo, które się tu natarczywie nastręcza: Ibsena z Goethem. O przepaściach, dzielących tych dwu poetów, mówiłem już dość często; godzi się więc powiedzieć, w czém

są do siebie podobni. Goethe, równie jak Ibsen, bałwochwalczo hołdował idei wewnętrznego doskonalenia się jednostki; na tym ołtarzu indywidualnéj doskonałości poświęcał swoje i cudze cierpienia (cudze częściéj, niż swoje), ale robił to, jak Grek, z uśmiechem na olympijskiém obliczu, który wyrazem klasycznéj pogody rozlewał się po fizyognomii współczesnéj literatury. Ibsen doskonalił się z namiętnością inkwizytora, stawiającego pręgierze, rozniecającego stosy na cześć swego ideału. Jest to naturalnie wielki inkwizytor swobody, a jego stosy ułożone są z drzewa wolności; ale ofiary: całe warstwy społeczne, całe narodowości, całe cywilizacye, palą się równie dobrze w tym ogniu, jak w płomieniach *auto-da-fe*. Goethego ten proces rozwoju doprowadził do pewnego samolubstwa artystycznego; w Ibsenie wyrobił egoizm intellektualny, zimny, oschły i tak chwilami odpychający, że się z nim nawet taki wielbiciel poety, jak Brandes, pogodzić nie może. „Zadałbym fałsz méj własnéj naturze, pisze Brandes, gdybym w filozofii życiowéj Ibsena widział coś więcéj, prócz silnego pierwiastku prawdy. Jest to filozofia, na któréj podstawie można myśléć i tworzyć poetyczne dzieła, ale nie działać, ani nawet, ściśle biorąc, wypowiedzieć się bezpośrednio; bo w takim razie wyzywa się do pewnego stopnia innych do działania, co już jest ryzykownem. Kto z tęsknoty do wielkich stanowczych przewrotów spogląda obojętnie lub pogardliwie na drobne zmiany w pochodzie ludzkości, na powoli postępujące polepszenia i kompromisy, które praktycy życiowi muszą zawierać, bo tym tylko sposobem osiągnąć mogą częściowe urzeczywistnienie swoich idei, ten może jedynie, jak Brand, wskazywać na przepaść, dzielącą rzeczywistość, w któréj żyjemy, od ideałów.“ Nad tą przepaścią stoi Ibsen, samotny, dumny ze swéj samotności nawet wtedy, kiedy mu oko w oko spogląda Nemezys jego twórczości, rzucająca w tém wejrzeniu ironiczne zapytanie: jakie może być działanie na współczesnych poety, który w mozolnéj wyprawie przeciw kłamstwu zdobył wątpliwości: czy czasem złudzenia nie bywają w życiu potrzebne, a namiętne zapasy z samolubstwem zakończył wydoskonaleniem w sobie idealnego egoizmu?

V.

Jakie może być działanie Ibsena na współczesnych, widzieliśmy na początku tego szkicu. Był kult, był *Ibsen-Schwindel*, — jest reakcya; będzie... prawdopodobnie przedmiotowe określenie właściwego stanowiska, jakie w literaturze zająć powinien norweski poeta, i zdaje mi się, że to stanowisko wypadnie najpewniéj w specyalnie skandy-

nawskim panteonie. Cokolwiek jednak trzymalibyśmy o różnych tego wpływu momentach, może je tylko objaśnić psychologia dzisiejszéj publiczności.

Jednym z niepoślednich jéj czynników jest zamiłowanie w egzotyczności. Smak literacki i artystyczny na Zachodzie przypomina dziś trochę salon bankierski, w którym, w braku indywidualnego stylu, błąkają się wszystkie style — nie wyłączając japońskiego i chińskiego. W paroksyźmie gorączki *modernizmu*, w namiętnéj gonitwie za nieujętą ułudą przyszłości, lubimy, rzecz dziwna, otaczać się dekoracyą, oddalającą nas, albo w przestrzeni, albo w czasie, od chwili bieżącéj; fanatyczni czciciele współczesności, jadamy wśród staro-germańskiéj zastawy, sypiamy na renesansowych łóżkach, bawimy się w salonach *Louis XVI*, a w literaturze i sztuce najwięcéj gustujemy wtedy, kiedy nas po osobliwsze, nadzwyczajne wrażenia, do nieznanych krain wprowadza. Jest to tajemnica wielu dzisiejszych powodzeń i modnych zachwytów; Europie, znudzonéj i przesyconéj, podoba się scenerya, pozwalająca jéj zapomnieć o braku charakteru w dzisiejszéj kulturze; sceneryę zaś należy brać w najobszerniejszém znaczeniu i, nie poprzestając na materyalnéj malowniczości tła, akcesoryów, podciągnąć pod nią nawet ludzi i uczucia. Dusza ludzka, jeżeli tylko jest trochę odrębną od przeciętnéj europejskiéj, zajmuje, nie w tém znaczeniu, żeby się w niéj szukało wiecznych i niezmiennych pierwiastków człowieka, ale bawi poprostu, jak stylowe cacko japońskie czy chińskie. W ostatnich czasach na Północ przyszła koléj dostarczania takich cacek, a Skandynawii przypada w téj dostawie niepoślednia rola. *Norwegisch! das klingt hoffnungsvoll!* oto hasło smakoszów egzotyzmu.

Wyobraźmy sobie teraz Zachodowca w tym skandynawskim nastroju, bujającego się w fotelu swéj archaicznéj pracowni, z książką w ręku, lub zajmującego miejsce w teatrze na przedstawieniu sztuki Ibsena. Przed oczyma jego duszy, albo przed cielesnym zmysłem wzroku, roztacza poeta, czy téż dekorator, widok, przemawiający trochę smutną, trochę dziką pięknością. Na tle skalistego krajobrazu północnéj Norwegii widać w melancholijnym spokoju pogrążoną wielką, nagą salę; w głębi oszklony ogród zimowy, a za nim przez deszczowe smugi majaczą kontury zasępionego fiordu. Wśród bladego światła, podobnego do deszczu bijącego o szyby, snują się sceny w nieskończonych dyalogach, z których ma się rozwinąć dramat. Czytelnik czy widz poprawia się z zadowoleniem i wygodniéj zasiada. Co za pyszna i osobliwa dekoracya! A dekoracyą są dla niego nietylko opisy malowidła, ale rzeczy słyszane; scenerya przeniosła go w dalekie przestrzenie—to, co mówią ludzie, przenosi go w dalekie czasy.

Istotnie, odkąd on już to przeżył i zapomniał: i te w głębi ducha wrzenia, i te przewroty umysłowe, i te bunty anty-społeczne, i te ideały indywidualne, i te dramata psychologiczne—*ein überwundener Standpunkt!* Ale to właśnie jest oryginalném, egzotyczném, że istnieje gdzieś daleko kraik, w którym to wszystko za nowość uważają, w którym pastor Rosmer, z całą sumiennością germańskiéj rasy, roznamiętnionéj w ciężkiém piwie i w ciężkiéj filozofii, uprawiać będzie proceder „wyszlachetniania dusz“ i na seryo weźmie swoje bohaterstwo; gdzie pani Alwing, z całą naiwnością purytanki, która urodziła *un vermouldu* — jak jéj obłąkanego syna nazwał lekarz — zajmuje publiczność historyą swéj wielkiéj rewolucyi duchowéj. I czyta ten czytelnik, i patrzy ten widz, jak gdyby oglądał sceny na wypłowiałym gobelinie; gdy nagle uczuł, że go coś za gardło schwyciło, że mu trudniéj oddychać, że jakiś ciężar legł na jego piersiach. Ibsen potrącił w nim drugi nerw, charakteryzujący dzisiejszą publiczność, zaczepił jego chorobę.

Powtórzę tu ogólnik — ale przypominanie ogólników bywa niekiedy niezbędném. Otóż społeczeństwo bierze od swoich współczesnych tylko idee i dzieła, odpowiadające stanowi jego duszy. Epoka chora, trwożliwa, cierpiąca, epoka spirytystów, teozofów i nekromantów, musiała natchnąć takie naprzykład talenta, jak Maeterlincka, który wnosi do twórczości z najposępniejszych głębin średnich wieków suggestyę i to, co wtedy nazywano *obsessio*, a na co mamy tylko niedokładnie rzecz malujący wyraz polski „obleganie.“ Jest to wynik wrażenia, powtarzającego się tak często, że opanowywa stopniowo wszystkie nasze władze i paraliżuje je pod ciężarem jakiegoś wspomnienia, pragnienia, oczekiwania lub trwogi. Uczucie to może być tragiczném, kiedy odejmuje wszelką nadzieję, i poetyczném, bo w poezyi stanowi podstawę rytmu, rymu, zwrotki, przypominających swoją jednostajnością otrzymane już wrażenia; — jest zaś chorobliwém, gdy działa przerażeniem na dzisiejsze natury, w połowie kobiece, wyrafinowane obserwacyą i cierpiące na niedomagania woli. Rzecz zdaje się nieprawdopodobna, a jednak nie ulega wątpliwości, że publiczność dzisiejsza, sceptyczna do szpiku, uznająca za przesąd wszystko, czego dotknąć nie może, wyzwalająca się powoli ze wszystkiego, co jest jakąś władzą, łaknie przerażenia, i to takiego, które-by ją wstrząsnęło w jéj stanie apatycznéj niemocy; dumna, że nie lęka się niczego, chce bać się czegokolwiek i rozkosz jéj sprawia trwoga, byle-by w tym okresie panowania siły była w sztuce jedną z form siły. Taką trwogę, takie przerażenie po mistrzowsku nad swoją publicznością rozpościerać umie Ibsen, suggestyonista niepospolity i stosujący, jak mało kto, środek „oblegania“ (*obsessio*).

Robi to nieznacznie, tak, że czytelnik, widz, ani się spostrzegł, kiedy dostał się pod jego władzę. Przedstawia mu dzieło spokojne, powolne, chłodne, jakby śniegiem przykryte. Odrazu, ni ztąd ni zowąd, szczegół jakiś, frazes, jeden wyraz niekiedy, ukazuje się, odzywa niby *leitmotiw* Wagnera (jeszcze jeden *obsessor* naszych czasów) i już tego *leitmotiwu* nie pozbędziemy się nigdy. Wciśnie się przez oczy, jeżeli to wskazówka sceneryi; wśliźnie przez uszy, jeżeli to literacka formuła bohatera; oplącze mózg, zapanuje nad myślą, i jak kropla wody, spadająca w jedno miejsce, rozpocznie dzieło dręczenia. Stworzy najprzód atmosferę — co nie jest tak trudném, jakby się wydawało. Nie można czytać bezkarnie ani słyszéć bez wrażenia powtarzanych co sekunda frazesów o zgniliźnie, rozchodzącéj się z zatrutego bagniska społecznego. Przychodzi taka chwila, kiedy się zdaje, że nas ogarniają zabójcze opary z nad trzęsawisk moralnych, że wdychamy w siebie jakąś trupią woń rozkładu; szara, przesłaniająca światło dnia, mgła krajobrazu, złączy się z chmurą pessymizmu i roztoczy tło o ciemnéj głębi, na którém bohaterowie wyglądać będą, jak senne widziadła. Charakterystyka tych bohaterów nie pójdzie drogą przyjętych teatralnych konwencyonalizmów. Zwykły pisarz wydobywa rysunek i plastykę swoich figur kombinacyą znamiennych rysów i określeń; powstaje ztąd typ, charakter lub indywiduum, wcielające w danym człowieku jakiś rys natury ludzkiéj. U Ibsena dzieje się inaczéj. Każda jego postać — to do pewnego czasu *ktokolwiek*, nie oddzielony od szaréj, prawie nieosobistéj masy przeciętności, dopóki nie przyjdzie *leitmotiw* i nie oderwie tego *kogokolwiek* od owéj szaréj masy, ale nie jako człowieka, tylko jako motyw psychologiczny, jako pojęcie rozumowe, jako postulat filozoficzny — jako ideę. Nie są to jednak zwykłe tendencyjne abstrakcye, bo je poeta strzeże od literackiego patosu, bo im daje realistyczną aż do bezbarwności mowę życia codziennego, i te figury, stąpające po ziemi ciężką nogą filistrów, a resztą postaci zanurzone we mgłach roztapiających im kontury, mówią tak, jak istoty z tamtego świata, które-by, nawiedzając śmiertelnych, chciały dostępnym dla nich językiem wtajemniczyć ich w mistyczne prawdy; brzmi to głucho, bezdźwięcznie, jakby martwo, i przypomina wielce charakterystyczne określenie pani Alwing: „Zdaje mi się, że po całym kraju chodzą upiory.“ Trudno o lepszą definicyę literatury Ibsenowskiéj: chodzą po niéj upiory, każdy ma swoją *idée fixe*, a wszystkie hypnotyzują się między sobą, hypnotyzując zarazem widza, któremu coraz duszniéj, coraz trwożniéj, i który w końcu, gdy go całego to *obsessio* ogarnie, z rozkoszą oddaje się upragnionemu przerażeniu pod ciężarem tłoczącéj go zmory. Wtedy-to wstrząsa nim bohater, dopominający się od matki, żeby mu oddała siostrę na ko-

chankę; wtedy imponuje mu wdowiec, który czeka na wiadomość, że przyjaciółka zabiła mu żonę, żeby jéj rękę ofiarować, i zdumiewa przyjaciółka, idąca potém na śmierć na jego żądanie; wtedy odurza go żona, wybierająca się w obecności męża prosto w objęcia „obcego człowieka“; wtedy schyla głowę przed *siłą* mistrza, o którym mylnie powiedziano, że mówi jak Katon do buntującéj się publiczności: „uderz ale słuchaj“ — bo właściwie jego-to uderzenia spadają na widza wśród słów: „biję cię—więc słuchaj.“ I widz słucha z tém większém nabożeństwem, im silniéj go biją. Dochodzi wreszcie do tego, że jedna z najzdrowszych głów krytycznych, Sarcey, kiedy mu pokazano na scenie dom, w którym stary bzik strzela po strychu króliki, syn jego, narwaniec, uważa się za wielkiego wynalazcę, wnuczka rozkochana jest w cyrance, przyjaciel z fanatyzmem illuminata reformuje świat—a z poddasza „dzika kaczka“ rzuca na wszystko cień fantastyczny, że ten jasny umysł, powtarzam, zakonkludował: „tyle widzieliśmy chorobliwych rzeczy w téj ponuréj sztuce, że nic już nas zadziwić nie mogło; żyjąc dwie czy trzy godziny między samymi waryatami, można stracić poczucie rzeczywistości i równowagę władz umysłowych.“

Francuski krytyk powiedział wielkie słowo: publiczność Ibsenowska traciła poczucie rzeczywistości i równowagę władz umysłowych; *obsessio* przybierało coraz bardziéj cechy epidemii, w któréj paroksyźmie Ibsen został ukoronowany na nowożytnego Shakespeare'a. Tu mimowoli przypomina się jeden z bohaterów norweskiego poety, Peer Gynt, wybierający się z ojczystego kraju w świat szeroki z okrzykiem: „chcę być królem, chcę być cesarzem!“ — ale téż jednocześnie przychodzi na myśl scena, kiedy „szukający siebie“ fantasta, przy końcu swoich awanturniczych wędrówek, trafia do szpitala obłąkanych doktora Begriffenfeldta, gdzie, według zapewnienia uczonego dyrektora, „chorzy wrócili odrazu do normalnego stanu, zgodnie z najnowszemi pojęciami zmarłego ostatniéj nocy czystego rozumu, a natomiast tak zwani zdrowi szaleć zaczęli.“ Krytyka widzi w tym domu waryatów pogardliwą satyrę nowożytnego społeczeństwa: jakaż to z jéj strony nieostrożność, jeżeli weźmie na uwagę, że ci właśnie „szalejący zdrowi“ uwieńczyli na zakończenie Peera Gynta i że wieniec był słomiany!

Ale nie, nie jest słomianym wieniec, którym ozdobiono skronie norweskiego poety; twórczość Ibsena świadczy o niepoślednim talencie, który ma swoją oryginalną, dziką poezyę — tylko go trzeba rozważać nie ze stanowiska pacyentów doktora Begriffenfeldta. I dzieje się téż tak w téj chwili, i to właśnie stanowi treść obecnéj reakcyi. Zapędzać się ona może niekiedy zadaleko, jak każda reakcya, — ale

w końcu wszystko musi się ułożyć do równowagi i, w miarę opadania mgieł, które zasnuwały oczy otumanionéj publiczności, poeta i jego dzieło jasno przedstawią się spółczesnym. Ważną rolę w takiém rozjaśnieniu odegra zdrowy rozsądek, nie ten przeciętny, ślizgający się po powierzchni rzeczy i osłaniający nieuctwo pozorami chłopskiego rozumu, ale ten inny, prawdziwy, z głębin życia płynący, potrzebny wtedy mianowicie, kiedy przeżyta filozofia ze swemi chorobliwemi ideałami grozi zdrowiu ludzkości.

Najprzód tedy w świetle tego zdrowego rozsądku okaże się, że Ibsen nie jest już dziś tak „nowożytnym“ pisarzem, jakim go chce mieć Brandes a za nim mnóstwo innych krytyków: cały ten jego Schoppenhaueryzm, cała ta obezwładniająca kokieterya z cierpieniem, zaczynają już robić wrażenie przebrzmiałéj formuły literackiéj, któréj długotrwałość tém dziwniejszą się dziś wydaje, że nawet przyrodnicza teorya rozwoju, z któréj powstała, wytyka ludzkości coraz nowe ideały, popycha ją do coraz nowych prac, potrzebujących wszystkich sił, całéj energii twórczéj człowieka.

Inaczéj téż przedstawi się i ten ideał „rozwoju jednostki“, do którego Ibsen przymierza wszystkie stosunki życiowe, po to tylko, żeby od nich oderwać indywiduum i kazać mu się, jak nowożytnemu Narcyzowi, kochać w swojém *ja*, odźwierciedloném w źródle własnéj doskonałości. Rozebrany z mglistych metafizycznych przyborów, ów rozwój wyglądać będzie wtedy, jak prosty frazes, nasuwający przedewszystkiém pytania: jaki ma być stosunek tego rozwoju do życia? w jakim celu jednostka ma się rozwijać? poco naprzyklad Ibsen pisze dramata? coby było, gdyby każde żądne rozwoju indywiduum zapragnęło być „najsilniejszém w odosobnieniu?“

W zestawieniu z deklamacyjnością tego ideału, jakże odmiennie wydadzą się i zwalczane przez Ibsena kłamstwa, faryzeizmy i samolubstwa! Nieprawdą, obłudą i egoizmem pozostaną zawsze, ale nie w stosunku do jakiejś po-za życiem stojącéj abstrakcyi, lecz w zetknięciu z zasadami praktycznéj etyki; a w takim razie historya literatury wykaże cały szereg wielkich wszechświatowych poetów, którzy poprzedzili Ibsena w téj, staréj jak świat, walce z kłamstwem, jego zaś w powietrzu prowadzone homeryczne o prawdę zapasy zrobią wrażenie olbrzymiéj mistyfikacyi.

Wyjdzie téż w końcu na jaw cała nieartystyczność efektów, stosowanych przez Ibsena dla podtrzymania téj mistyfikacyi, i kłamstwo wobec sztuki, użyte za broń przy zwalczaniu kłamstw życiowych; wystąpią na światło dzienne wszystkie grzechy pisarza sceniczego przeciwko teatrowi, który z jednéj strony nie znosi przy lampach gazowych pewnych realizmów, z drugiéj żąda akcyi rosnącéj, ener-

gicznie, zwięźle i w skupieniu prowadzonéj, z pominięciem wszystkiego, co jest zbytecznem, przypadkowém i co przypomina *robotę* nowellisty; z wyzwoleniem się przedewszystkiém z despotyzmu refleksyi i filozoficznego komentarza.

Co w takim razie zostanie z Ibsena? To, co zostanie z Wagnera, wyłuskanego z doktrynerskiéj łupiny: prawdziwy poeta, który napisał „Wojowników na Helgelandzie“ i „Pretendentów“ do grania, a „Cezara i Galilejczyków“ do czytania; który do życia powołał takie urocze postacie, jak Agnieszka w „Brandzie“, Solwiga w „Gyncie“ i Dina w „Podporach społeczeństwa“; satyryk, który potężną ręką nakreślił figury Steinhoffa w „Związku młodzieży“ i doktora Stockmana we „Wrogu społeczeństwa“; dramaturg z krwi i kości, który ma w swoim repertuarze dzieło znakomitéj wartości — „Norę.“ Wystarczy to na twórczość jednego pisarza, choćby mu się nie udało wysnuć z *leitmotiwów* dramatu przyszłości.

Dramat przyszłości! któż wie, jakim on będzie? kto zgadnie, na jakie drogi pchną go głucho już nurtujące prądy, szukające sobie ujścia, dopóki prędzéj czy późniéj nie wytrysną źródłem żywéj poezyi? kto obliczy, kiedy, gdzie i jak zjawi się siła twórcza, któréj nie wystarczy ani protokólarne spisywanie „dokumentów ludzkich“, ani sporządzanie inwentarza „otoczenia“, ani dramat „przeciętności“, ani tragedya samotnych bohaterów, stojących jak Stylita na jednéj nodze i z wysokości swéj kolumny pogardliwie spoglądających na biedną ludzkość; zkąd przyjdzie siła, która walkę z życiem całkowitego, w blaskach i cieniach przedstawionego, człowieka, ujmie w piękne formy czystéj, jasnéj sztuki? Któż to odważy się przesądzać?

To tylko pewna, że tą siłą nie był i nie jest Ibsen. Poeta przejściowy, przeczuwał przyszłość dramatu; ale to, co w jego twórczości podziwiają najwięcéj wielbiciele, jest tylko naśladującą formy życia architekturą z lodu: roztopi ją pierwszy promień słońca. Tylko nie będzie to słońce, którego napierał się w „Upiorach“ przy skonaniu waryat Oswald, przedstawiciel choréj na schnięcie szpiku literatury, lecz to, do którego ręce wyciągał w chwili śmierci wielki poeta ze schyłku innego stulecia, wołając: *światła, więcéj światła!*

W. Bogusławski.

Międzynarodowy instytut statystyczny

i trzecia jego sesya w Wiedniu.

W drugiéj połowie dziewiętnastego wieku przybywa nowy czynnik pracy naukowéj—zjazdy uczonych. Dawniéj wymiana zdań pomiędzy uczonymi ograniczała się do polemiki z ogłoszonemi drukiem rezultatami badań, do prywatnéj korespondencyi między poszczególnymi pracownikami na niwie naukowéj, lub zetknięcia się osobistego wskutek podróży, wielce podówczas utrudnionych, wreszcie do dyskusyi w łonie miejscowych akademii lub towarzystw naukowych. Obecnie olbrzymi rozwój komunikacyi kolejowych i żeglugi parowéj umożebnia częste zbieranie się większéj liczby uczonych z oddalonych krajów, a nawet z różnych części świata, celem wymiany myśli w szerszém kole, udzielenia sobie nawzajem rezultatów badań i dyskusyi nad spornemi kwestyami, a wreszcie celem nawiązania osobistych stosunków, tak pomocnych dla pracy naukowéj. Ilość owych zjazdów ciągle wzrasta i można powiedzieć, że obecnie niéma nietylko samoistnéj umiejętności, ale nawet ważniejszéj gałęzi specyalnéj w obrębie każdéj nauki, która-by nie miała zebrań sobie poświęconych, bądź ograniczonych do uczestników z pewnego państwa lub pewnéj narodowości, bądź międzynarodowych. Corocznie, zwłaszcza z końcem lata i początkiem jesieni, różne miasta zachodniéj i środkowéj Europy goszczą w swoich murach zjazdy naukowe, nieraz po kilka w jedném

mieście, a ilość uczestników zazwyczaj nie zmniejsza się, lecz raczéj wzrasta z biegiem czasu.

Przeciw owym zjazdom naukowym podnosiły się niejednokrotnie głosy z pośród samych-że przedstawicieli nauki, podające w wątpliwość ich pożytek. Wskazywano na to, że właściwa praca naukowa, jak przedtém, tak i na przyszłość, odbywać się musi w ciszy pracowni lub laboratoryów i pozostać rzeczą jednostek, że sporne kwestye naukowe nie rozwiązują się większością głosów, nieraz dość przypadkową. Podnoszono daléj, że owe zebrania są zbyt częste, żeby od jednego do drugiego mogły objawić się znaczniejsze postępy w nauce i mogły być wygotowane gruntowne referaty; że w zebraniach tych biorą udział w niemałéj liczbie i tacy uczestnicy, których mniéj przyciągają cele naukowe, niż część towarzyska programu, uczty, wycieczki i t. p., i że obecność tych uczestników wpływa ujemnie na obrady i uchwały, wogóle na charakter naukowy tych zebrań.

Z powyższych zarzutów ostatnie nie odnoszą się do istoty rzeczy, t. j. pożytku zjazdów naukowych wogóle, lecz do towarzyszących im okoliczności, które, stosownie do poczynionych doświadczeń, mogą i powinny ulegać odpowiednim zmianom. Że właściwe badanie naukowe musi pozostać rzeczą jednostek i że spornych kwestyi naukowych nie rozstrzyga się większością głosów, jest niezaprzeczenie prawdą; jednakże ani jedno, ani drugie nie jest celem zjazdów naukowych. Ich zadaniem nie jest przedsiębrać badania, lecz rozpatrywać i porównywać wyniki badań, przeprowadzać dyskusye, tak nad temi wynikami, jak nad kierunkami badań naukowych na przyszłość Dyskusye zaś tego rodzaju, w gronie fachowém wybitniejszych reprezentantów nauki przeprowadzone, mogą niewątpliwie przyczynić się do wyjaśnienia kwestyi naukowych, do uchylenia nieporozumień, do wzajemnego pouczania się w stopniu nierównie wyższym, niż prywatne korespondencye, a nawet niż publikacye drukiem ogłaszane, które, chociaż do uczonych kół się dostają, nie są zdolne zastąpić bezpośredniéj dyskusyi. Głosowania, na zebraniach naukowych odbywane, w najrzadszych chyba tylko wypadkach odnosiły się do kwestyi spornych zasadniczych, dzielących świat naukowy na przeciwne obozy, i miały niewątpliwie tylko na celu przekonanie się, ku którym opiniom przechylają się poszczególni reprezentanci nauki, bez pretensyi decydowania, która z tych opinii miała-by być uważaną na przyszłość za prawdziwą. Powszechnie głosowania na zjazdach naukowych, pominąwszy kwestye czysto formalne, odnoszą się do spraw, w których obrady doprowadziły do porozumienia, stwierdzają zatém owo porozumienie, albo wyrażają życzenia świata naukowego pod względem prac przyszłych i stworzenia dla nich potrzebnych warun-

ków zewnętrznych, lub też w końcu dotyczą przedmiotów konwencyonalnéj natury, jak np. jednostajnych sposobów mierzenia, ważenia lub innego oznaczania właściwości badanych przedmiotów, sposobów obliczania lub wyrażania pewnych stosunków i t. p.

Obok pożytku, jaki zjazdy naukowe przynoszą we wskazanych tu względach, przedewszystkiém wywołując referaty i dyskusye naukowe w kwestyach, które stoją na porządku dziennym w nauce, przynoszą one korzyść wielką, a nie dosyć na zewnątrz ocenianą, przez to, że nastręczają sposobność do osobistego zaznajomienia się pomiędzy pracownikami w tym samym dziale nauki, za czém idzie nawiązanie stałych stosunków naukowych, wzajemne przysługi i ułatwienia w pracy i podnieta, jaką odnosi każdy pracownik na polu naukowém z osobistego zetknięcia się i wymiany myśli z towarzyszami pracy.

Z pomiędzy wszystkich nauk, żadna w tym stopniu nie polega na zbiorowéj pracy, jak statystyka. Przyrodnik może w obrębie murów swego laboratoryum sam jeden dokonywać najcenniejszych odkryć i naprzód umiejętność posuwać. Statystyk w badaniach swych posługuje się metodą indukcyi, podobnie jak astronom, chemik lub fizyolog, i zmierza do ujęcia w cyfrowy wyraz stosunków społecznych i zmian, następujących w ich rozwoju, celem wykazania prawidłowości w zjawiskach społecznych, sam jednak żadnych rezultatów nie może osiągnąć. Potrzebuje on zawsze współdziałania równoczesnego całego zastępu pracowników, czyniących spostrzeżenia nad stanem społeczeństwa i ciągłemi zmianami tego stanu na rozmaitych punktach, ale w sposób jednaki. Jeżeli współdziałanie wielkiéj liczby badaczy na podstawie planu jednolitego, obmyślanego z góry, jest niezbędnym warunkiem skutecznéj pracy w statystyce, to z pewnością leży w interesie postępu nauki, aby to współdziałanie nie ograniczało się do obszaru jednego państwa, lecz objęło jak największą ilość państw, zwłaszcza żyjących w zbliżonych do siebie warunkach, a z czasem objęło całą ludzkość. Chcąc śledzić objawy życia w społeczeństwie, chcąc studyować anatomię i fizyologię ciała społecznego, trzeba przez porozumienie i współdziałanie międzynarodowe rozszerzyć pole, na którém przeprowadzane-by były badania w jednakowy sposób; bez jednostajności badań niéma bowiem możności porównania dat, a bez zestawień porównawczych, obejmujących wielką liczbę krajów, niepodobna uzyskać dostatecznego materyału dla najważniejszych badań. [1])

---

[1]) Por. F. X. Neumann-Spallast: „Ein internationales statistisches Institut“ w „Jahrbücher f. National Oekonomie u. Statistik“ t. 45, str. 226.

Wszystko tedy, co można powiedzieć o pożytku zjazdów naukowych, a w szczególności porozumień co do sposobów i kierunków badania naukowego, stosuje się do statystyki w stopniu nierównie wyższym, niż do innych nauk; dla niéj owe porozumienia nie są tylko ułatwieniem, ale wprost warunkiem skutecznéj pracy naukowéj.

Myśl międzynarodowych zjazdów statystycznych, poruszona przez sławnego Quetelet'a w r. 1851, podczas pierwszéj wystawy powszechnéj w Londynie, urzeczywistnioną została najprzód pod nazwą międzynarodowych kongresów statystycznych, z których pierwszy odbył się w r. 1853 w Bruxelli, a następne w r. 1855 w Paryżu, w r. 1857 w Wiedniu, w 1860 w Londynie, w 1860 w Berlinie, 1867 we Florencyi, 1869 w Hadze, w r. 1872 w Petersburgu, wreszcie ostatni w r. 1876 w Buda-Peszcie. Kongresy te, licznie odwiedzane, łączyły w zebraniach swoich przedstawicieli urzędowéj statystyki, t. j. dyrektorów rządowych i miejskich biur statystycznych, z uczonymi, oddającymi się badaniom na polu stosunków społecznych, i z ludźmi wykształconymi rozmaitych narodów, których z tego względu interesowały specyalne gałęzie statystyki. Kongresy przyczyniły się bez wątpienia w bardzo znacznéj mierze do postępu statystyki; ich wpływowi przypisać należy ulepszenie organizacyi urzędowéj statystyki, urządzenie biur statystycznych w państwach mniejszych, które ich dotąd nie posiadały, tudzież w wielkich miastach wprowadzenie wzajemnéj wymiany publikacyi statystycznych między biurami i rozpowszechnienie tych publikacyi, ulepszenie sposobów badania i użytych w tym celu formularzy, w szczególności ulepszenie bardzo znaczne spisów ludności i statystyki ruchu ludności, niemniéj rozszerzenie i ulepszenie statystyki rolnictwa, przemysłu, handlu i komunikacyi. We wszystkich tych kierunkach można wykazać stanowczo, że uchwały kongresów, wskazujące pewne przedmioty badania lub zalecające pewne formularze, znalazły uwzględnienie w znacznéj liczbie państw, przez co stworzono zarazem możność międzynarodowych porównań. Kongresy statystyczne wreszcie wywołały bardzo znaczną ilość cennych prac na polu statystyki, które mają trwałą wartość naukową i do których każdy późniejszy pracownik musi się odnosić. Pomiędzy publikacyami, wywołanemi przez kongresy, zajmuje wybitne miejsce dzieło p. t. „Statistique internationale“, w którém opracowanie porównawcze poszczególnych działów rozebrały pomiędzy siebie rządowe biura statystyczne, mając zapewnione dostarczenie materyałów ze strony biur innych. Wspólna ta praca nie została ukończoną, lecz wydane jéj działy świadczą, jak wielki pożytek przynieść może współdziałanie biur statystycznych różnych krajów przy opracowaniu tego samego przedmiotu.

Obok tych zasług, które zapewniają kongresom statystycznym miejsce zaszczytne w historyi nauki, miały one ujemne strony, które z czasem sprowadzić musiały ich upadek. Były to zgromadzenia bardzo liczne, w których przeważającą część uczestników stanowili ludzie niefachowi. Obecność tych ostatnich miała w pierwszych czasach tę dobrą stronę, że przyczyniała się do spopularyzowania nowéj nauki, do uznania jéj znaczenia w szerokich kołach, lecz utrudniała za to bardzo pracę naukową na kongresach, przeszkadzając wyczerpującemu rozbiorowi spraw traktowanych. Dalszą ujemną stronę międzynarodowych kongresów statystycznych stanowiła ich organizacya. Składały się one w pierwszym rzędzie z osób, delegowanych przez rządy, i z innych uczestników, zajmujących urzędowe stanowiska, i te to osobistości, między niemi zaś przedewszystkiém naczelnicy rządowych biur statystycznych, kierowały pracami kongresów. Obok nich zasiadały z równém prawem głosu i decyzyi osoby, nie mające żadnéj misyi urzędowéj, ani też stanowiska oficyalnego. Obecność delegatów rządowych wstrzymywała nieraz od uchwał, stanowczo określających postulaty nauki, z drugiéj zaś strony wyradzała wyobrażenie, że uchwały kongresu, w których mieli udział delegaci rządowi, wkładają na rządy obowiązek zastosowania się do tych uchwał. Obowiązku takiego rządy nie przyjmowały przez wysyłanie delegatów i przyjmować nie mogły, raz wobec różnic w organizacyi i w stosunkach poszczególnych krajów, powtóre wobec niemożności przewidzenia, w jakim kierunku zapaść mogą uchwały przypadkowych większości na kongresach. Kongresy tedy z jednéj strony miały pretensyę do urzędowego stanowiska i gwoli jemu poświęcały nieraz stanowcze formułowanie postulatów naukowych, z drugiéj strony nie miały możności przeprowadzania swoich uchwał. Taki stan rzeczy musiał koniecznie podkopywać ich powagę. W końcu stanowiło ujemną stronę dawniejszych kongresów statystycznych i to także, że przy każdéj sesyi inne osoby zasiadały w komisyi przygotowawczéj, składano ją bowiem w kraju, w którym kongres miał się odbyć, a w znacznéj części zmieniał się także skład kongresu, gdyż przeważali w nim zawsze uczestnicy z tego kraju, w którym odbywała się sesya kongresu. Ciągłe te zmiany w składzie kongresów sprowadzać musiały brak ciągłości w pracach; sprawiały, że niejednokrotnie kwestye, raz już rozstrzygnięte, wytaczano na nowo i czasem nawet w odmiennym duchu załatwiano; że inne sprawy niezałatwione pomijano i t. p.

Owe ujemne strony kongresów statystycznych nie uszły uwagi osobistości, które zajmowały kierujące stanowisko w tych zebraniach. Omawiano owe braki w artykułach i referatach i starano się im za-

radzić; jednakże ani osobne narady delegatów urzędowych, odbywane przy sposobności kongresów, ani wprowadzenie t. zw. komisyi stałéj, która miała zbierać się w czasie pomiędzy kongresami i zapewnić ciągłość prac kongresowych, nie zdołały stanowczo zaradzić złemu, które tkwiło w saméj-że podstawie organizacyi. To téż, gdy po ostatnim kongresie w Buda-Peszcie rząd cesarstwa Niemieckiego, biorąc pochop, o ile się zdaje, z brzmienia uchwały, powziętéj na posiedzeniu komisyi stałéj w Paryżu w r. 1878, nie przyjął zaproszenia do wysłania delegatów swoich na zamierzony kongres do Rzymu w r. 1879, i gdy kongres ten następnie nie przyszedł do skutku, jasném było dla wszystkich, obznajomionych ze stosunkami, iż tym krokiem przyśpieszony tylko został upadek instytucyi, która, bez radykalnéj zmiany organizacyi swojéj, nadal z korzyścią dla nauki funkcyonować-by nie mogła.

Potrzeba zjazdów naukowych w zakresie statystyki pozostała jednak i po ustaniu kongresów statystycznych, i brak takiéj sposobności do zetknięcia się z większą naraz liczbą pracujących na tém samém polu dawał się dotkliwie uczuwać każdemu statystykowi. Można nawet powiedzieć, że w literaturze statystycznéj lat następnych, i to tak w publikacyach biur, jak w pracach prywatnych, znać do pewnego stopnia brak owego impulusu, jaki, bądź co bądź, dawały kongresy do prac w rozmaitych kierunkach, i brak prac porównawczych na szerszą skalę, które wymagają współdziałania statystyków z rozmaitych krajów. To téż z wielkiém zadowoleniem powitano w kołach uczonych, zajmujących się statystyką, wiadomość, że dwa najpoważniejsze towarzystwa statystyczne, *Statistical Society* w Londynie i *Société de statistique* w Paryżu, poruszyły w r. 1885, przy sposobności obchodów jubileuszowych swego założenia (towarzystwo londyńskie obchodziło w owym roku jubileusz 50-letni, paryskie 25-letni) myśl założenia międzynarodowego towarzystwa statystycznego. Na zebraniu jubileuszowém w Londynie, które odbyło się po zebraniu paryskiém, myśl ta przybrała stanowcze kształty. Zgromadzenie, złożone z wybitnych przedstawicieli urzędowéj i naukowéj statystyki z różnych krajów, przyjęło, na podstawie referatu prof. Neumann-Spallasta, projekt założenia międzynarodowego towarzystwa pod nazwą międzynarodowego instytutu statystycznego, uchwaliło jego statuta i wybrało jego zarząd. W téj nowéj organizacyi starano się troskliwie uniknąć wszystkich ujemnych stron dawniejszych kongresów statystycznych. Ilość członków, których instytut sam sobie wybiera z pośród osób, zasłużonych na polu statystyki administracyjnéj lub naukowéj, ograniczono z góry do 100, a następnie, na późniejszém zebraniu w Rzymie, do 150, jako cyfry maksymalnéj, stanowiąc

przytém, że osoby, sprawujace urząd statystyczny, a nie będące członkami instytutu, mogą być zapraszane na każdą sesyę z osobna przez zarząd instytutu. Zarząd spraw bieżących instytutu i przygotowanie zebrań oraz wydawnictwo publikacyi instytutu oddano stale w ręce biura, złożonego z prezesa, wice-prezesów, sekretarza i skarbnika, unikając w ten sposób niedogodności, z ciągłą zmianą kierownictwa połączonych. Wreszcie określono zadanie instytutu i organizacyę jego tak, żeby uniknąć pozoru tworzenia instytucyi z jakimkolwiek charakterem oficyalnym. Instytut statystyczny jest czysto naukowém stowarzyszeniem; należący do niego kierownicy urzędowéj statystyki, w charakterze uczonych a nie delegatów państw, biorą udział w jego zebraniach, a uchwały tych zebrań nie mają pretensyi nakładać rządom zobowiązania lub udzielać im wskazówki postępowania, lecz jedynie wewnętrzną swoją wartością mają sobie zdobywać dobrowolne uznanie, z drugiéj zaś strony nie są krępowane żadnemi ubocznemi względami w formułowaniu naukowych postulatów. To stanowisko, które od początku nadano międzynarodowemu instytutowi statystycznemu, zostało następnie, wobec wątpliwości, podniesionych ze strony przedstawicieli urzędowéj statystyki cesarstwa Niemieckiego i Prus, jeszcze dokładniéj określone w zmienionych statutach instytutu. [1])

Międzynarodowy instytut statystyczny odbywa zebrania swoje co dwa lata, w miejscu, oznaczoném na zebraniu poprzedniém. Dla przygotowania spraw, które mają być przedmiotem obrad, wyznacza z swego łona sprawozdawców i mianuje komitety, pracujące także w czasie pomiędzy sesyami. Komitety takie ustanawia instytut również dla publikacyi specyalnych w zakresie międzynarodowéj statystyki. W czasie zebrań instytutu odbywają się tak posiedzenia komitetów, jak i posiedzenia ogólne, na których-to ostatnich poddawane bywają pod obrady i uchwały sprawozdania komitetów lub osobnych sprawozdawców. Prócz tego zajęte są posiedzenia ogólne wykładami

---

[1]) Według tych statutów, uchwalonych w r. 1887 w Rzymie, jest zadaniem instytutu ułatwiać postępy urzędowéj i naukowéj statystyki. W tym celu ma instytut obmyślać i zalecać metody badania, zmierzające do możliwéj jednostajności w formularzach i w sposobie opracowania dat, aby uczynić możebném porównanie dat z rozmaitych krajów; ma w formie życzeń zwracać uwagę rządów na kwestye, które mogą być rozwiązane przy pomocy obserwacyi statystycznéj; ma wydawać publikacye międzynarodowe, służące do rozbioru kwestyi statystycznych i do utrzymywania stałych stosunków pomiędzy statystykami rozmaitych krajów; ma przez publikacye i w inny stosowny sposób przyczyniać się do rozpowszechniania wiedzy statystycznéj i starać się o zainteresowanie mężów stanu, tudzież szerszéj publiczności, dla badań nad objawami życia społecznego.

naukowemi lub drobniejszemi komunikacyami z zakresu statystyki. Publikacye instytutu są, według statutów, dwojakie: najpierw czasopismo (bulletin) w zeszytach kwartalnych, obejmujące, oprócz sprawozdań z posiedzeń, prace naukowe w zakresie statystyki międzynarodowéj, wiadomości o organizacyi i składzie urzędów statystycznych, przegląd publikacyi najważniejszych w zakresie statystyki i bibliografię, — następnie rocznik międzynarodowéj statystyki, obejmujący daty porównawcze, oparte na materyałach, dostarczonych z poszczególnych krajów.

Dotychczas instytut wydał pięć tomów czasopisma, rocznika dotąd nie wydawano. Redakcya publikacyi i sekretaryat towarzystwa powierzone są zasłużonemu szefowi urzędowéj statystyki włoskiéj, p. Bodio.

Po sesyi w Londynie, na któréj nastąpiło zawiązanie instytutu, odbyło się pierwsze jego posiedzenie na wiosnę r. 1887 w Rzymie, drugie w jesieni r. 1889 w Paryżu, trzecie z końcem Września r. b. w Wiedniu.

O téj ostatniéj sesyi chcę tutaj szczegółową zdać sprawę i wskazać główne kierunki, w których rozwijały się prace instytutu.

II.

Sesya międzynarodowego instytutu statystycznego w Wiedniu przypadła na czas, w którym, po spisach ludności, odbytych w ciągu lub z końcem r. 1890, a wreszcie na wiosnę r. 1891, biura statystyczne przeważnéj liczby państw europejskich zajmowały się opracowaniem dat, zebranych przez spisy. Tém łatwiejszém było więc do zrozumienia, że zebranie instytutu zwrócić się musiało ku temu wielce ważnemu przedmiotowi, którym poprzednie kongresy statystyczne zajmowały się niemal na każdéj sesyi, dając skuteczną inicyatywę do licznych ulepszeń w tym dziale statystyki.

Pierwszym przedmiotem, jakim zajmował się instytut statystyczny w dziale spisów ludności, było wysadzenie komisyi, która ma zestawić wyniki ostatnich spisów ludności ze wszystkich krajów europejskich. Praca ta, do któréj podjęcia nikt nie jest w tym stopniu powołanym, jak właśnie międzynarodowy instytut statystyczny, uchyli trudności, jakie napotykają statystycy, chcący porównać wyniki spisu we własnym kraju ze spisami innych krajów, trudności, pochodzące z rozmaitości języków, używanych w publikacyach, z wielkiéj objętości tych publikacyi, a wreszcie z różnego znaczenia pojęć, z jakiemi ma się do czynienia przy spisach, np. pojęcie partyi (ménage), mieszkania i t. p.

Dalsza praca, jakiéj podjął się instytut w zakresie spisu ludności, na mocy uchwały, powziętéj jeszcze w r. 1889 w Paryżu, dotyczy jednéj z najtrudniejszych kwestyi w tym dziale statystyki. Chodziło mianowicie o ułożenie, w celu ugrupowania ludności według zatrudnienia i powołania, nomenklatury wyczerpującéj zatrudnień, i to takiéj nomenklatury, która-by mogła być użytą za podstawę do porównań międzynarodowych. Sprawozdawca dr Bertillon, dyrektor biura statystycznego miasta Paryża, wywiązał się nader zgrabnie z poruczonego sobie zadania, przedstawił bowiem projekt trzech nomenklatur, z których pierwsza, najmniéj szczegółowa, obejmuje wszystkie zatrudnienia w 65 rubrykach, druga, bardziéj detaliczna, dochodzi przez podział dalszy swych rubryk do 197 rubryk, a trzecia, w drodze dalszego jeszcze podziału, tworzy 456 rubryk. Którąkolwiek z owych trzech nomenklatur zechce się przyjąć w danym kraju za podstawę do ugrupowania ludności według zatrudnienia, możliwość porównań międzynarodowych z państwami, które przyjęły jedną z pozostałych dwóch nomenklatur, będzie zachowaną, ponieważ rubryki nomenklatury trzeciéj dadzą się połączyć w zbiorowe rubryki nomenklatury drugiéj, a te znowu w jeszcze ogólniejsze rubryki nomenklatury pierwszéj. W szczegółach rubryk niejedno może dało-by się ulepszyć jeszcze, lecz w ogólności układ nomenklatur, oparty na skrzętném zużytkowaniu prac poprzednich w tym przedmiocie i rubryk przyjętych przy opracowaniu spisów ludności, odpowiada wymaganiom naukowym, a droga, wskazana przez owo połączenie trzech nomenklatur, doprowadzi z pewnością najłatwiéj do tego, żeby porównania spisów ludności w dziale zatrudnienia mogły być przeprowadzane na szerszą skalę, niż dotąd.

Na wniosek prezydenta centralnéj komisyi statystycznéj austryackiéj, p. Inama-Sternegg, instytut uchwalił wyrazić życzenie, aby w celu uzyskania zupełnie dokładnych dat o ludności, należącéj do państwa a przebywającéj po-za jego granicami, wszystkie rządy udzielały, za pomocą umówionych jednostajnych formularzy, indywidualnych dat zebranych przy spisach ludności, co do cudzoziemców, przebywających w granicach własnego państwa, tym państwom, z których ci cudzoziemcy pochodzą, i otrzymywały nawzajem od innych państw podobne daty. Wymiana taka praktykuje się pomiędzy niektóremi krajami od dłuższego czasu i dostarcza cyfry krajowców, przebywających za granicą, zawsze znacznie wyższéj, niż cyfra krajowców nieobecnych w kraju, jaką wykazuje krajowy spis ludności. Ponieważ daty, o które chodzi, mają być zbierane wyłącznie w celu statystycznym, przeto podawanie nazwisk na udzielanych kartach lub spisach indywidualnych nie jest potrzebném. Szwajcarya i dzisiaj

nie udziela nazwisk, nie chcąc dawać pozoru, iż narusza prawo przytułku. Natomiast było-by potrzebném sprawdzać przy spisie, jakiego państwa poddanym jest każda spisywana osoba, a to z uwzględnieniem przepisów o nabyciu i utracie obywatelstwa, w danym kraju obowiązujących. W braku stwierdzenia przynależności państwowéj, musiała-by wystarczyć wskazówka mniéj pewna, jaką daje miejsce urodzenia.

Dalszy wniosek tego samego członka instytutu odnosił się do ważnéj kwestyi emigracyi. Zmierza on do tego, aby władze w portach, w których emigrujący wsiadają na okręty lub wylądowują, prowadziły zapiski, umożebniające udzielanie państwom, z których emigrujący pochodzą, dat indywidualnych o tych osobach, o ich płci, wieku, pochodzeniu i zatrudnieniu, a to na podstawie umówionych wspólnych formularzy.

Z zakresu statystyki ruchu ludności zasługują na uwagę obrady nad sposobami obliczania śmiertelności w wielkich miastach. W tych miastach śmiertelność chorych, przybywających z zewnątrz, mianowicie do szpitali, zakładów położnic, zakładów obłąkanych i więzień, wpływa w znacznym stopniu na ogólną cyfrę śmiertelności i przedstawia tę cyfrę, a zatém i stosunki zdrowotne miast, w świetle daleko niekorzystniejszém, niż one są w rzeczywistości. Na podstawie rozbioru téj sprawy w komisyi, któréj przedłożony został także memoryał dyrektora praskiego biura statystycznego Erbena [1]), instytut uchwalił zalecić, aby stosunek śmiertelności (wyrażany powszechnie przez ilość skonów, na 1,000 mieszkańców w przecięciu wypadających) obliczany był w wielkich miastach równocześnie w dwojaki sposób: raz przez porównanie wszystkich zaszłych skonów z faktyczną ludnością, następnie zaś z wyłączeniem osób, w stanie chorym przybyłych do szpitali, zakładów położnic, zakładów obłąkanych i więzień, a z włączeniem mieszkańców miasta, zmarłych po za jego obrębem, oczywiście, ile to ostatnie da się wykonać. Zdaniem mojém, nie ulega żadnéj wątpliwości, iż dla miast wielkich nie jest wystarczającém obliczanie śmiertelności jedynie na podstawie ludności faktycznéj; jednakże przy owym drugim sposobie obliczania, jeśli wyłącza się obcych zmarłych w mieście, to trzeba konsekwentnie wyłączyć także obcych, chwilowo przebywających w mieście, z ogólnéj cyfry mieszkańców, branéj za podstawę do obliczania cyfry śmiertelności, czyli odnieść tak cyfrę zmarłych, jak cyfrę ludności, do ludności stale zamieszkałéj, a nie, jak uchwalono, pierwszą do ludności zamieszkałéj, a drugą do ludności faktycznéj. Za zdaniem, które tu wypowie-

[1]) „Über die Salubritätsziffer“ w „Statistische Monatschrift.“ 1891.

działem, oświadczał się p. Erben w swoim wniosku, a w najnowszéj literaturze popierał je na podstawie doświadczeń, w Pradze poczynionych, dr Rychna.

Do statystyki ludności odnosiły się jeszcze dwa wykłady na pełnych posiedzeniach instytutu: najpierw wykład profesora Lerisa, który, dając pogląd ogólny na materyał demograficzny, a zwłaszcza na materyał statystyki ruchu ludności (małżeństw, urodzeń i wypadków śmierci) podniósł, że należy myśl zasadniczą Quetelet'a, iż statystyka powinna dążyć do określenia przymiotów przeciętnego człowieka, myśl którą Quetelet stosował do przymiotów fizycznych (antropometrya) i do przymiotów społecznych, o których spisy ludności podają wiadomość, zastosować także do dat statystyki ruchu ludności i dążyć do przedstawienia biografii demograficznéj przeciętnego człowieka. Ceniąc z innych względów wysoko zasługi naukowe prof. Lerisa, sądzę jednak, że tak samo, jak myśl Quetelet'a musiała spotkać się z bardzo znacznemi zastrzeżeniami i ograniczeniami, które wielce zredukowały wartość pojęcia „de l'homme moyen", tak samo i korzyść naukowa z rozszerzenia tego pojęcia na pole statystyki ruchu ludności nie odpowie nadziejom.

Drugim wykładem był wykład d-ra Rauchberga, urzędnika biura austryackiéj centralnéj komisyi statystycznéj, który przedstawił i objaśnił członkom instytutu nową maszynę elektryczną, używaną obecnie do liczenia dat spisu ludności w Austryi, a wynalezioną przez Amerykanina, Hermana Holleritha w Waszyngtonie.

Zestawienie milionów dat indywidualnych, zawartych w pierwotnych wykazach spisu ludności, odbywało się dotąd w ten sposób, że za pomocą kreskowania i następnego przeliczania kresek, albo też za pomocą przeliczania kart indywidualnych, gdzie formularze kartkowe (osobne dla każdéj osoby) były w użyciu, obliczano w każdéj gminie ilość posiadających przymioty, badane przy spisie. Liczono w ten sposób ilość mężczyzn i ilość kobiet, ilość należących do każdéj klasy wieku, do każdéj kategoryi stanu cywilnego, do każdego wyznania, powołania i t. d. Obliczeń tych dokonywały powszechnie władze miejscowe, a władze wyższe, w końcu zaś centralne biuro statystyczne, miały jedynie zadanie: z sum, z których każda obejmowała daty jednéj gminy, sporządzić zestawienie powiatowe, z zestawień powiatowych zestawienie dla całéj prowincyi, a w końcu z zestawień prowincyonalnych zestawienie dla całego państwa. Przed dwudziestu laty, za przykładem, danym przez sławnego Engla przy opracowaniu pruskiego spisu ludności z r. 1871, przeniesiono w niektórych krajach wszelkie obliczenia na podstawie pierwotnego materyału wprost do centralnego biura statystycznego. Osiągnięto przez

to dwie korzyści: najpierw tę, że ustrzeżono się z mnóztwa błędów, popełnianych przy pierwszém zestawianiu dat spisu przez organa niewprawne, nie dość interesowane w staranném wykonaniu téj pracy i nie mogące być dostatecznie kontrolowanemi; następnie zaś tę drugą korzyść, że, mając pod ręką w biurze centralném cały pierwotny materyał spisu, można było zestawiać go w takich kombinacyach, które nie były z góry przewidziane w formularzach, przyjętych dla zestawienia dat spisowych, podczas gdy przy dawniejszém t. zw. decentralizowaném opracowaniu, trzeba było poprzestać na tych kombinacyach, które uwzględnione zostały w formularzach, przepisanych dla pierwszego zestawienia dat w gminie. Jednakże i przy zcentralizowaném opracowaniu zachodziły błędy w liczeniu, nie dające się uchylić, a możność wprowadzania dalszych kombinacyi przy zestawianiu materyału trafiała na dość bliskie granice w wielkich kosztach każdego nowego ugrupowania i przeliczania materyału pierwotnego.

Użycie maszyny elektrycznéj uchyla zupełnie błędy w liczeniu i pozwala za jednym razem liczyć daty w wielkiéj liczbie rozmaitych i choćby najbardziéj skomplikowanych kombinacyi. Jest to więc ogromny postęp w technice opracowania spisów, który pozwoli o wiele więcéj wglądać w szczegóły składu ludności i innych stosunków społecznych, niż to było dotąd możliwém. Rzecz sama przedstawia się następnie: daty spisu ludności, zawarte w tablicach pierwotnych (formularzach domowych, w miastach w formularzach partyjnych), najpierw przenoszą się na małe kartki indywidualne (dla każdéj osoby osobna kartka). Kartki te są zadrukowane po jednéj stronie skróconemi wyrazami, obejmującemi wszystkie szczegóły, o które pytano przy spisie ludności. Przenoszenie dat indywidualnych na te kartki odbywa się przez przebijanie dziurek przy odpowiednich wyrazach na każdéj kartce, zatém np. przy wyrazie, oznaczającym płeć, wyznanie, mowę, przy liczbach oznaczających rok urodzenia i t. d. téj osoby, dla któréj sporządza się kartkę. Przebijanie dziurek wykonywa się na osobnym przyrządzie, poruszanym ręką, a ponieważ od należytego sporządzenia kartek indywidualnych, a więc od przebicia dziurek we właściwych miejscach kartki, zależy powodzenie całéj dalszéj operacyi, przeto czynność ta przechodzi przez ścisłą kontrolę oddziału rewizyjnego. Przysposobione kartki kładzie się jedną po drugiéj na odpowiednią płytę maszyny elektrycznéj, a skoro, wskutek przykrycia płyty z kartką przez odpowiednią pokrywę, nastąpi połączenie drutów, natenczas prądy elektryczne przechodzą przez wszystkie te miejsca, w których kartka jest podziurkowaną, i wprawiają posunięcie wskazówek na odpowiednich cyferblatach o jedną przedziałkę. Cyferblatów

jest na jednéj maszynie 70, każdy z nich ma obwód koła, podzielony na 100 części, i dwie wskazówki: jedną, która za każdym obiegiem prądu elektrycznego posuwa się o jedną setną obwodu koła, i drugą, która posuwa się o jedną setną, skoro pierwsza obiegła cały obwód. Każdy cyferblat liczy przeto do 10,000; poczém, po zanotowaniu, że w obrębie danéj kategoryi, np. płci, wieku i t. p., cyfra 10,000 została osiągniętą po raz pierwszy, drugi lub dalszy, liczy się na tym samym cyferblacie daléj. W ten sposób za jedném położeniem kartki maszyna elektryczna liczy przymioty indywidualne od razu na 70-ciu cyferblatach, a przy pomocy aparatów pomocniczych, w których opis nie mogę się tutaj wdawać, może liczyć od razu jeszcze więcéj szczegółów, może daléj liczyć szczegóły w kombinacyach z innemi szczegółami, np.: osoby, należące do pewnego zatrudnienia, a będące zarazem w pewnéj kategoryi wieku i stanu cywilnego; osoby, należące do pewnego wyznania, a równocześnie należące do pewnéj narodowości i do pewnéj kategoryi pod względem wykształcenia elementarnego, i inne przeprowadzać kombinacye, o które dotąd nie kuszono się nawet, ponieważ wymagały zbyt mozolnych i długo trwających obliczeń. Całą tę pracę uskutecznia maszyna szybko i bez omyłki; dzwonek na maszynie odzywa się za każdym razem, kiedy prąd elektryczny przebiega, milczenie dzwonka ostrzega tedy, że prąd nie przebiegł i zegary nie liczyły, czy to z powodu nienależytego położenia kartki, czy téż z innéj przyczyny. Przy zwyczajném tempie pracy, maszyna przelicza na godzinę 1,200 kart, i to odrazu dla całego szeregu szczegółów i kombinacyi, podczas gdy dawniéj każda kategorya szczegółów, np. płeć, wiek, wyznanie, zatrudnienie i t. p., wymagały odrębnego przeliczania tych samych kart, a praca ta odbywała się bez porównania powolniéj i podlegała omyłkom.

Wielki postęp techniki statystycznéj, który leży w użyciu maszyny elektrycznéj do liczenia, jak łatwo było przewidzieć, zainteresował w znacznym stopniu uczestników zebrania. Przez cały tydzień, przez który trwały obrady instytutu, w godzinach rannych przed posiedzeniami, kancelarye spisu ludności, chociaż umieszczone w odległéj części miasta, były licznie odwiedzane, zwłaszcza przez dyrektorów biur statystycznych, którzy pragnęli zapoznać się jak najdokładniéj z urządzeniem pracy i ocenić działalność maszyny elektrycznéj, aby módz zastosować ją u siebie. Sąd tych kompetentnych sędziów był bezwarunkowo korzystny, a okoliczność, że mieli sposobność poznać maszynę elektryczną przy pracy, przyczyni się niewątpliwie do szybszego jéj rozpowszechnienia, a tém samém do utorowania znakomitego postępu w badaniu stosunków społecznych.

Dodam tutaj, że przy opracowaniu spisu ludności w Austryi użytych jest około 200 przyrządów do przebijania dziurek w kartach i dwanaście maszyn elektrycznych. Z tych ostatnich dwie zakupiła centralna komisya statystyczna na własność po cenie 15,000 złr. za jedną, a dziesięć wynajęła od wynalazcy za czynszem 150 złr. miesięcznie od każdéj maszyny. Mimo to, opracowanie spisu ludności przy użyciu owych maszyn wypadnie bez porównania taniéj, niż-by wypadło, gdyby ten sam program obliczeń chciano wykonać w sposób dotychczasowy przez rachmistrzów, a ukończenie onych, pomimo wprowadzenia nowych kombinacyi, zatém powiększenia zakresu pracy, w czasie o połowę krótszym, bo w półtora roku, zamiast w trzech latach.

III.

Z innych przedmiotów, nad któremi obradował instytut po-za zakresem statystyki ludności, zasługuje przedewszystkiém na uwagę statystyka płac i sposobów wynagradzania pracy, tudzież przychodów i wydatków ludności robotniczéj. Na wniosek osobnéj komisyi, wysadzonéj dla tego przedmiotu, jeszcze na pierwszéj sesyi instytutu w Rzymie instytut wypowiedział zdanie, że celem urządzenia statystyki płac, któréj potrzeba wzrasta z dniem każdym, nie wystarcza zbierać daty o płacach średnich (salaires moyens), lecz należy dochodzić płac, *płaconych rzeczywiście* każdemu robotnikowi; że nie można poprzestawać na wiadomości o płacach dziennych lub tygodniowych, lecz trzeba zbadać *wysokość płac*, pobranych przez robotnika *w ciągu całego roku* lub w ciągu całéj kampanii produkcyjnéj, o ile chodzi o produkcyę, prowadzoną tylko przez część roku, sprawdzając zarazem liczbę godzin pracy dziennéj i liczbę dni roboczych w roku wreszcie, że należy uwzględnić różnice w sposobach zapłaty, a niemniéj różne dodatki do płac. Co się tyczy przeprowadzenia statystyki płac, zalecił instytut podejmowanie prac w tym kierunku w formie monografii poszczególnych przedsiębiorstw, wybranych jako typ całéj kategoryi, i to tak publicznych, jak prywatnych, i uzupełniać te monografie monografiami rodzin robotniczych z budżetami przychodów i wydatków, układając te budżety i wogóle monografie rodzin robotniczych według wzorów, przyjętych w publikacyach powszechnie cenionych (miano tu na myśli publikacye Le Play'a i jego szkoły we Francyi).

Instytut zalecił daléj, aby, o ile to będzie możebném, starano się zainteresować robotników samych dla téj statystyki i pozyskać

ich udział w dostarczaniu materyałów, i ażeby zużytkowano dla ogólnéj statystyki płac materyał, zbierany przez przymusowe ubezpieczenia robotnicze w tych krajach, gdzie one istnieją. W końcu wyraził instytut życzenie, aby w poszczególnych krajach tworzyły się towarzystwa w celu pracy nad statystyką płac i monografiami we wskazanym kierunku, i aby rządy zechciały urządzić biura pracy (offices du travail) na wzór podobnych urzędów, istniejących w Stanach Zjednoczonych, których zadaniem jest zbierać i ogłaszać wszelkie wiadomości, odnoszące się do stosunków pracy. Powyższe uchwały instytutu, zapadłe na podstawie bardzo starannie obmyślanéj pracy przygotowawczéj prof. Böhmerta, dyrektora saskiego biura statystycznego, znanego z pięknych prac nad udziałem robotników w zyskach (industrial partnership, participation aux bénéfices) i nad administracyą ubogich w 77 miastach niemieckich, stanowią trafną i ważną wskazówkę dla pracy statystycznéj w kierunku, w którym przemysłowa Europa pozostała bardzo w tyle po-za Stanami Zjednoczonemi. W Stanach Zjednoczonych istnieje, według złożonego na posiedzeniu instytutu sprawozdania p. Gould'a, szesnaście biur pracy, o których rozmiarach i zajęciu daje miarę koszt roczny ich utrzymania, wynoszący bez kosztów publikacyi 290,470 dolarów. Statystyka stosunków robotniczych, a w szczególności płac, jest niezbędnym warunkiem należytego oryentowania się w stojących dziś na porządku dziennym kwestyach socyalnych, i spodziewać się należy, że statystyka urzędowa, posiłkowana przez prywatną pracę uczonych, postępować będzie raźniéj we wskazanych przez instytut dwóch kierunkach, uzupełniających się nawzajem: pracy nad ogólną statystyką stosunków robotniczych i zbierania szczegółowych monografii przedsiębiorstw i robotniczych gospodarstw.

W związku z tym przedmiotem, dr Engel w osobném przemówieniu podniósł znaczenie statystyczne budżetów rodzinnych (domowych), a dyrektor Ogle udzielił ciekawych wiadomości o stosunkach rodzinnych, mieszkaniach i cenach mieszkań ludności robotniczéj w Londynie, i o stosunku, zachodzącym pomiędzy płacą a czynszem mieszkań.

W zakresie statystyki *handlu zewnętrznego* odnowił się na posiedzeniu instytutu dawny spór o to, czy oszacowanie towarów na pieniądze ma być oparte na deklaracyach, składanych przez osoby wysyłające towary, czy też na cenach szacunkowych, oznaczanych z urzędu przez komisye znawców. Gdyby można spuścić się na rzetelność cen deklarowanych, posłużyły-by one do nierównie wierniejszego poglądu na wartość wymian międzynarodowych, niż to jest możebném na podstawie cen oficyalnych, jednakich dla wszystkich

przesyłek tego samego towaru w obrębie roku lub innego okresu, na który owe oficyalne ceny bywają ustanawiane. Wobec zarzutów, podnoszonych przeciw jednemu i drugiemu systemowi, wobec tego, że jedne państwa trzymają się systemu deklaracyi wartości przez interesowanych, uważając, że daje on dobre rezultaty, a przeważna część państw stałego lądu Europy trzyma się cen oficyalnych, należało-by wyprobować oba systemy przez porównanie wyników, osiągniętych przez nie w jednym i tym samym kraju. Z tego względu instytut zalecił w uchwale swojéj rozszerzenie systemu deklaracyi, przy równoczesném zachowaniu cen oficyalnych, gdzie one istnieją. Natomiast stanowczo zalecił instytut, aby, nie zadawalniając się oznaczeniem, z którego kraju przybyła wysyłka towarów i do którego kraju jest adresowaną, starano się sprawdzać ile możności, z jakiego kraju pierwotnie pochodzi wysyłka i dla jakiego ona jest ostatecznie przeznaczoną. Inaczéj obraz wymian międzynarodowych, którego dostarcza statystyka cłowa, jest w wielu względach błędny, gdyż np. Anglia, Belgia i Holandya występują, jako główni dostawcy zboża, wełny i innych surowych produktów dla krajów środkowéj Europy, podczas gdy ich miasta portowe są jedynie pośrednikami w handlu zamorskim. Niemniéj zwrócono uwagę na potrzebę ścisłéj kontroli i ciągłego ulepszania metod statystyki cłowéj, mianowicie przez porównanie z metodami i rezultatami statystyki cłowéj państw innych; gdyż przy sposobności rokowań w sprawie nowych traktatów handlowych okazało się, że daty wywozu z jednego państwa do drugiego i daty przywozu z tego ostatniego państwa do pierwszego (np. wywozu z Austro-Węgier do Niemiec, według statystyki austryackiéj, i przywozu do Niemiec z Austro-Węgier, według statystyki niemieckiéj) różnią się nieraz bardzo znacznie.

Statystyka handlu wewnętrznego, którą podają wykazy ruchu towarowego na kolejach, drogach wodnych i zwykłych drogach lądowych, pozostała nadal poruczoną osobnemu komitetowi, który wzmocniono przybraniem nowych członków. W tym dziale Francya, Rossya i Niemcy wykazują poważne postępy, podczas gdy w innych niéma urządzonéj statystyki handlu wewnętrznego. [1]) Również i komitet dla statystyki, który od ostatniéj sesyi stracił kilku członków przez śmierć, między nimi znakomitego prof. Neumann-Spallasta, mógł wskazać w sprawozdaniu swojém na szereg publikacyi, ogłoszonych przez członków tego komitetu, lecz nie podał instytutowi wniosków do uchwalenia. Komitet dla statystyki własności nieruchomej,

[1]) Generał Borkowski z Petersburga, członek instytutu, przedstawił zajmujące kartogramy, wykazujące ruch towarów na kolejach i drogach wodnych w Rosyi.

ustanowiony jeszcze na pierwszéj sesyi instytutu w Rzymie, postawił był sobie za zadanie zbadać sposoby uzyskania dat o podziale własności ziemskiéj i zebrać daty, odnoszące się do tego podziału, ze wszystkich krajów. Praca ta, prowadzona głównie przez sprawozdawców komitetu, którymi są p. de Forille, znany autor dzieła p. t. „Le morcellement“ i major Craigie z angielskiego urzędu rolniczego, jest w toku, a komitet, przybrawszy nowych członków, rozszerzył pracę swoją na dalsze trzy przedmioty: podział własności nieruchomej podług rodzaju właścicieli (własność publiczna, własność prywatna), statystyka wartości ziemi i metody obliczania téj wartości, wreszcie statystyka własności zabudowanéj. Ze sprawozdaniem o czynnościach tego komitetu łączyły się przemówienia pp. Bontin'a o oszacowaniu własności zabudowanéj we Francyi, Trojnickiego o szacowaniu majątków w Rossyi, i prof. Johna o wciągnięciu domów budujących się do statystyki własności zabudowanéj. Na obecnéj sesyi instytutu ustanowiono nowy komitet dla statystyki rolniczéj, któremu poruczono, jako specyalne zadanie, rozbiór metod obliczania surowego i czystego przychodu produkcyi rolniczéj. Sprawozdawcą tego komitetu wybrany został autor niniejszego artykułu.

W zakresie *statystyki kryminalnéj* uchwalił instytut, na wniosek sprawozdawcy specyalnego komitetu, p. Bodio, zasłużonego dyrektora włoskiéj statystyki, zalecić dążenie do jednostajnéj nomenklatury występków, zalecić używanie kart indywidualnych dla osób oskarżonych (prévenus) i opracowanie tego materyału w biurze centralném, wreszcie wyrazić życzenie, aby publikacye statystyki kryminalnéj uwydatniały skutki zmian w ustawach. Dalsze szczegóły uchwał w tym przedmiocie, jako mniéj ważne, pomijam.

Ze szczególnym interesem słuchano nadzwyczaj jasnego, na wyczerpującéj znajomości przedmiotu opartego, sprawozdania p. Levaseura, złożonego imieniem komitetu dla statystyki oświaty elementarnéj. P. Levasseur, następca Ludwika Wołowskiego na katedrze w „Conservatoire des arts et métiers“, znany całemu światu ze znakomitego dzieła „La population française“ i wielu innych prac, przedstawił zupełny program statystyki oświaty elementarnéj, który instytut przyjął, wyrażając zarazem życzenie, aby wszystkie państwa ogłaszały przynajmniéj co pięć lat statystykę oświaty elementarnéj. Drugi referat p. Levasseura dotyczył wprowadzenia głównych rezultatów statystyki w zakres wychowania elementarnego i średniego.

Wspomnieć mi jeszcze wypada o wniosku d-ra Engla, odnoszącym się do studyów antropometrycznych i utworzenia osobnego w tym celu towarzystwa, i o wykładzie, bardzo trafne myśli zawierającym, d-ra Mayra, byłego podsekretarza stanu dla Alzacyi i Lotaryngii,

a dawniéj profesora i dyrektora biura statystycznego bawarskiego, o zasadach, których trzymać się należy w układzie urzędowych publikacyi statystycznych.

Kończąc na tém przegląd prac, któremi zajmował się instytut statystyczny przez sześć dni sesyi swojéj w Wiedniu, wypada mi jeszcze dodać słów parę o wrażeniu ogólném, jakie sprawiała ta sesya. Wrażenie to było wogóle stanowczo dodatnie. Prezydent instytutu, którym był Sir W. Rawson, przewodniczący mu od jego założenia, mimo 84 lat wieku, dawał przykład w punktualności i wytrwałéj pracy i z wielką przytomnością i energią kierował obradami, wspierany dzielnie przez wice-prezesów stałych, pp. Levasseura i Lexisa, sekretarza jeneralnego p. Bodio, niezmordowanego kierownika biura i publikacyi instytutu, tudzież przez wice-prezesa, przybranego na czas sesyi wiedeńskiéj, p. Inama-Sternegg. Znaczna część sprawozdań i wykładów świadczyła o gorliwéj pracy członków instytytu w czasie od ostatniéj sesyi. Prym w téj pracy, trzeba to przyznać, trzymali tym razem Francuzi, a między nimi pp. Cheysson, de Foville, a nadewszystko Levasseur, którego Sir Rawson, z okazyi przedstawionych przezeń atlasów statystycznych, nazwał żartobliwie Atlasem instytutu. Ułatwieniem dla wybitnéj roli francuskich uczonych była okoliczność, że w ich języku rodzinnym, jako najbardziéj rozpowszechnionym, toczyły się przeważnie obrady, tak w komisyach, jak na pełnych zebraniach. Przemawiano wprawdzie i po niemiecku, lecz przemawiający w tym języku, widząc, że nie są rozumianymi przez wszystkich, mianowicie przez Anglików i część Francuzów, dodawali zwykle krótkie powtórzenie toku myśli i wniosków w języku francuskim. Przyjęcia wieczorne u dworu, gdzie arcyksiążę Karol-Ludwik zastępował nieobecnego cesarza, i u ministra oświaty, bar. Gautscha, tudzież obiady, dane przez burmistrza wiedeńskiego, przez towarzystwo ekonomiczne, i pożegnalny obiad składkowy na Kahlenbergu, dawały członkom zebrania pożądaną sposobność do towarzyskiego zbliżenia się, które i pod względem naukowym niewątpliwie było i będzie korzystném, a były tak rozłożone, że nie przeszkadzały posiedzeniom. Nadzwyczajna uprzejmość p. Inama-Sternegg, jako miejscowego gospodarza, i bardzo dogodne umieszczenie zebrań i biura instytutu we wspaniałym gmachu uniwersytetu wiedeńskiego, były wielkiém ułatwieniem dla celów naukowych zebrania, a niezbyt wielka ilość uczestników obrad, tak w komitetach, jak na pełnych zebraniach, w których brało udział 53 członków instytutu i 33 osoby zaproszone z po-za jego grona, pozwalała na swobodny i wyczerpujący rozbiór spraw, bez obawy o zbytnie przedłużanie obrad. Obok tych, pod każdym względem korzystnych, wrażeń, dwa tylko ujemne zapisać mi

wypada, które niejako obawę wzbudzają co do dalszéj przyszłości instytutu. Jeden powód do takiéj obawy leży w chęci tu i owdzie występującéj do nadania instytutowi owego półurzędowego charakteru, który doprowadził do upadku dawniejsze kongresy statystyczne. Chęci téj rząd austryacki dał pochop mimowolnie, bo nie miał tego zamiaru, przez zaproszenie rządów innych państw, aby na zebranie wiedeńskie instytutu zechciały wysłać dyrektorów swoich biur statystycznych. Jednakże stanowcza opozycya, z jaką spotkało się przypisanie instytutowi jakiejkolwiek półurzędowéj cechy, obawę w tym względzie, przynajmniéj na razie, zupełnie uchyla. Inaczéj nieco mają się rzeczy z drugim powodem obaw, a tym jest uchwała, że następne posiedzenie instytutu w r. 1893 ma się odbyć w Chicago, podczas przygotowywanéj tamże wystawy powszechnéj. Przeniesienie zebrania instytutu po-za Europę, dokąd stosunkowo mała część członków będzie mogła podążyć, wyradzać musi obawy o przyszły kierunek rozwoju instytutu, wobec szczupłéj liczby członków jego, w Ameryce północnéj zamieszkałych, wobec braku tak ścisłych i częstych stosunków między nimi a Europą, jakie zachodzą w obrębie Europy pomiędzy biurami statystycznemi i ludźmi naukowo pracującymi na polu statystyki, wreszcie wobec konieczności uzupełnienia zebrania przez przybranie przeważnéj liczby osób tamtejszych, nie będących członkami instytutu. Z tych względów nasuwać się musi w każdym razie wątpliwość, czy najbliższa sesya instytutu wykaże bilans, równie korzystny, jak obecna. Miejmy wszakże nadzieję, że, choćby zmiana miejsca zebrania nie nastąpiła, instytut przebędzie szczęśliwie tę prawdopodobnie mniéj pomyślną chwilę w swym rozwoju i nie zmieni zasadniczego kierunku, który z tak korzystnym skutkiem obrał od czasu swego założenia.

Dr Tad. Pilat.

CHUSTA WERONIKI.

Tyberyusz, wśród swéj wyspy z własnéj chęci
Wygnaniec krwawy, na szkarłatne łoże
Padł, jęcząc. — Jakto? jęknął? — czyż być może?
On? Bóg?! — Struchleli wszyscy, trwogą zdjęci...

Tyberyusz, mędrzec, najsmutniejszy z ludzi,
Zamknięty w sobie ryglem tajemnicy
Mąż, niby widmo nieme bladolicy,
Który się tylko skinąć ręką trudzi,
On, co nadziemską światłość ma u czoła,
Tyberyusz-August-Cezar, Bóg widomy,
Ojczyzny ojciec, władca wiecznéj Romy,
Zmogła go boleść? — Któż uwierzyć zdoła?! —

Nikt nie wie, jaki cierń w nim ugrzązł srogi,
Toż on, o życie swoje walcząc z Bogi,
W zamian za siebie, słał im na śmierć krocie —
Nic nie pomogło. Razem z duszą, ciało
Obelżywemi rany mu zwrzodziało.
W krwi ludzkiéj, w łzach się kąpał, nurzał w błocie —

Nic nie pomogło. Badać chciał wyrocznie —
Lecz to służalców zgraja. — Cóż on pocznie?
Żyć chce, a wskróś go dręczy myśl dotkliwa:
Że w nim, wraz z życiem, wola dogorywa.

Bogami gardzi. Są, jak on. Nic wcale
Nie więksi, równie w grozie, jak i w chwale.
I on, jak oni, bezlitośnie, przecię
Świat w swéj potężnéj dłoni na to gniecie,
By cześć miał, skoro wstąpi w żywot Boży,
Po gwiazdach depcząc... — Cóż, gdy śmierć go trwoży..

— Héj tam, Piłacie! W koło twego dworca
Włóczy się, słyszę, jakiś cudotworca.
Z rąk jego w puszczach jada głodna rzesza,
Głos niemym, chromym nogi, ślepym oczy
Dawa, trąd czyści, wśród fal morskich kroczy,
Niemocne wzmacnia — nawet zmarłych wskrzesza.
Daj go tu! —
Piłat struchlał. Wczoraj właśnie
Dał go na krzyżu przybić, godząc waśnie,
Które zajadli mieli z nim Żydowie.
Nuż Cezar teraz, brwi zmarszczywszy, powie:
— Na krzyż Piłata! —
Więc w niemałym wstydzie,
Śle doń setnika od przybocznéj straży —
Niech on za niego wieść tę nieść się waży.

Ten się Woluzyan zwał. Dumając, idzie.
— Cóż? Na śmierć idzie. Cezar się w jałowe
Nie wdaje żarty! Przyjdzie dać mu głowę —
Z uśmiechem wdzięcznym w uściech — by klaskano.

W tém spojrzy — drogą, zgubnie mu wskazaną,
Dziewczyna idzie, blada, frasowita,
Ze łzami w oczach — i ta wręcz go pyta:
— Panie rycerzu! czyś ty nieświadomy,
Kędy przebywa Cezar możnéj Romy?

— Tobie to na co? — Słyszę, na wezgłowie
Padł, z bólu jęcząc — więc ja go uzdrowię. —

Tedy otuchy wstąpił duch w setnika.
— Coś ty za jedna? — Zwie się Weronika.
Jéj tak się stało: że gdy, cierpiąc srodze,
Pan pod ciężarem krzyża padł na drodze,
Ona, choć sama zbita przez ceklarzy,
Chustą Mu krwawy znój otarła z twarzy,
I tu — o cudzie! — w oną chustę białą
Oblicze Pańskie wsiękło i zostało.
Więc ją przed ludzką złością pokryjomu
W zanadrze skryła. Bowiem odtąd, komu,
Jeśli jest chory, owa chusta krwawa
Tę Twarz objawi, ten się zdrowym stawa. —
— Dawaj tę chustę. — Ona dać nie może,
Bo tak przedziwne chcą mieć Sądy Boże:
Iż tylko, szczerze kto uwierzy w Pana,
Twarz Ta przez niego będzie oglądana;
Ktoby zaś w sercu miał powątpiewanie,
Temu się chusta, z krwawéj, białą stanie. —
— Daj. On uwierzy, bo się śmierci lęka. —
— Nie. Dar ten z Boskich wzięła Rąk jéj ręka,
I w niéj ma zostać; bo On skarb jéj cały,
Którym, jak umie, miłosierdzie świadczy.
Jest biedna — nie chce nagród, nie chce chwały,
Lecz i nie może chciéć, by tknąć go miały
Dłonie, czyn zdolne spełnić świętokradczy... —
— Ha! To chodź ze mną.
Idą. Lecz, tam w dali,
Ten szalejący tłum, ten zgiełk, cóż znaczy?
Pięść każda w górę! Jeden z tych siepaczy
Cezara posąg w łeb obuchem wali.
Io triumphe! — grzmi niesforne wycie,
— O ludzie dziwni! cóż to wy robicie? —
— Co? Sprawiedliwość groźna się tu czyni.

Już po nim. Panuj Roma wszechwładczyni!
Żyje w twym ludzie duch przedwiecznie młody. —
— Héj! Dobra nasza! — bucha znów z téj wrzawy —
Zdechł ten krwiożerczy zwierz, ten tryk plugawy!
Do Tybru wlec go! Na Gemońskie schody!

Wonczas Woluzyan, gdy już nie miał trwogi
O życie miłe, sławiąc swoje bogi,
Jął iść z powrotem. Lecz dziewczyna biała
Siadła i wielkim głosem zapłakała:
— O słodki Panie! O nasz dobry Chryste!
Twe królowanie czemu przyjść odwleka?
Ten duch zbłąkany, w lica Twe świetliste
Wejrzawszy, mógł się człekiem stać, a z człeka
Aniołem, który, będąc władcą Romy,
Dał-by Ci z sobą ludów swych ogromy...
Więc snadź nie pora jeszcze, albo może
Swiat nie dość chory, aby wziął swe łoże
I szedł za Tobą, gdzie Twa łaska wskaże!.. —

O dziewczę! wspomnij. W złoty brzask jasności,
Za wodza mając Bethleemską zorzę,
Kto przyszedł pierwszy: mali, czy mocarze?
Umysłem tędzy, czy téż duchem prości?
Patrz! Tacy sami, depcząc czarcią pychę
Bosemi stopy, skromni, w prostéj mowie
Bezdenni mędrcy, brzmiąc jak arfy ciche
Aniołów tchnieniem, ludzi rybitwowie,
Pastusi duchów, dziś, z pogodném czołem,
Śmiało, w poselstwie idą w świat wesołém.

I oto drudzy, w sposób niemniéj śmiały,
Nie od przemocy szczytów, lecz z podziemi,
Wymowni Bogu a bożyszczom niemi,
Podczas, gdy w górze brzmią cyrkowe szały,
Mknąc ze Spoliariów, niosą wśród cichości
Niedochrupane przez tygrysy kości,

Bo z tych się zrodzi mściciel Pańskiéj chwały,
Chorągwią z chusty wiejąc w żywém słowie
Świadectwo niebios: iżby narodowie,
W twarz Bogu patrząc, wzięli dusz swych zdrowie!..

Ludzkości chora! cóż cię dziś uleczy?
Ty w chuście cudu widzisz białe płótno
I przeto jesteś pełną chmur i smutną!
Ten Bóg, którego święcisz marnéj pieczy
Wysiłek cały twéj dzielności człeczéj,
On także w znojach będzie miał konanie,
Tylko że umrze i — nie zmartwychwstanie!
Ludzkości biedna! Gdybyś ty pokorę
Z wygnania przyzwać chciała, i prostaczą
Wiedzę aniołów, którzy trosk twych płaczą;
To, nie ty wtedy, lecz-by serce chore
Miała za ciebie wieczna złość, z rozpaczą
Precz idąc, kędy ognik błędny gore
Skarbem obietnic jéj — jak próchno tanim...
O! spójrz w ten rąbek! Co? wszak widzisz na nim
Tego, z którego dnieje dusz pociecha?
Ma w skroniach ciernie — jednak się uśmiecha
Słodyczą Rajską. Patrz! To twarz jest błoga,
Nie dóbr doczesnych, lecz miłości Boga!
W niéj głos wyczytasz wcielonego Słowa,
Które z twą wolą ślub tak dzielny chowa,
Że byleś tylko chciała — będziesz zdrowa!

Felicyan.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ad. Mahrburg. „Psychologia współczesna i stanowisko jéj w systemie wiedzy.“ Odczyt miany na zebraniu ogólném VI Zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie w dniu 20 Lipca 1891 r. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1891. Stronic 56 w małéj ósemce.

We wszystkich naukach możemy rozróżnić dwie składowe części: jedną *analityczną*, a drugą *syntetyczną*. Pierwsza ma za zadanie rozbiór, możliwie dokładny i drobnostkowy, danego przedmiotu nauki, a więc pewnego szeregu zjawisk świata; druga, natomiast, wykazuje łączność tych zjawisk między sobą i wyprowadza z tego ogólny pogląd na dany przedmiot wiedzy.

Metodologiczne zasady naukowéj analizy zostały wszechstronnie wykazane przez nowszą logikę, szczególniéj przez logikę indukcyjną i jéj zastosowanie do logiki nauk szczegółowych. Ścisła obserwacya zjawisk, badanie ich w stanie możliwie odosobnionym od wszelkich wpływów postronnych, nieprzyjmowanych w rachubę, poddanie ich, jeśli tylko można, rachunkowi, mierze i wadze, oraz eksperymentom, sprawdzającym powzięte przypuszczenia co do następstwa zjawisk po sobie i ich wzajemnéj zależności, — oto główne czynniki naukowéj analizy. Obejmuje ona w gruncie rzeczy tak zwaną metodę doświadczalną czyli empiryczną, uznaną dziś już powszechnie za konieczną podstawę wszelkich badań ściśle naukowych.

Inaczéj ma się rzecz z zadaniem *syntetycznem* nauk. Pod tym względem logika współczesna nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa; nie wykazała dotąd z równą dokładnością ani środków pomocniczych syntezy, ani jéj ściśle naukowego pochodu. Dzięki postępom nowoczesnéj nauki, nauczyliśmy się rozdrabiać materyę, rozczłonkowywać organizmy. Sztuka nasza pod tym względem doszła do wysokiéj doskonałości. Ale nie umiemy w sposób należyty odtwarzać na nowo całości z jéj składowych cząstek. Chemik nie robi złota, chociaż wie, z czego ono się składa. Fizyolog nie stwarza homunkulów, chociaż zna skład komórki organicznéj i wié, od jakich warunków zależy jéj rozwój. Co więcéj, nietylko, że nie umiemy tego robić, ale nie posiadamy ustalonych zasad logicznego syntetyzowania, przy których pomocy moglibyśmy należycie zrozumiéć wytworzenie się najprostszych jednostek w przyrodzie: kryształu, komórki, organizmu, a cóż dopiero wszechświata. Ztąd-to pochodzi, że gdy w zakresie empirycznéj analizy badacze po większéj części ze sobą się zgadzają i wzajemnie uzupełniają, poglądy syntetyczne, natomiast, są głównym powodem sporów między uczonymi.

Oto jedna z kardynalnych przyczyn chwiejności filozofii w porównaniu ze specyalnemi naukami. Te mają przeważnie charakter analityczny i empiryczny; filozofia, przeciwnie, z istoty swojéj jest syntetyczną, bo dąży do ogólnego na świat poglądu.

Pomimo to, nauki specyalne nie mają bynajmniéj powodu zarozumiałego wywyższania się po-nad filozofię; bo każda z nich w swéj części syntetycznéj przyjmuje z konieczności charakter filozoficzny. Syntetyczny pogląd na pewną specyalną grupę zjawisk nie jest możliwym bez określenia związku téj grupy zjawisk z pozostalemi zjawiskami świata, — a zatém łączy się zawsze jaknajściśléj z ogólnym poglądem na świat, t. j. z pewnemi pojęciami filozoficznemi. W ten sposób pojęcia te biorą udział we wszelkiém wyjaśnieniu ogólniejszych kwestyi najspecyalniejszéj nawet nauki. Możemy tedy poprostu powiedzieć, że syntetyczna część każdéj nauki stanowi jéj filozofię, i że niéma nauki specyalnéj bez filozofii. Filozofia przyrody, filozofia historyi, religii, prawa i t. p., nie są tylko zbytkownemi dodatkami do odnośnych nauk specyalnych, lecz ich koniecznem syntetycznem uzupełnieniem, bez którego-by wszelkie pojęcia ogólne, używane z konieczności w tych naukach, pozbawione były krytycznéj, a więc naukowéj, podstawy.

Powyższe uwagi wstępne, których tutaj daléj rozwijać nie mamy powodu, okazały się koniecznemi dla krytycznéj oceny poglądów, wygłoszonych w zaznaczonym odczycie.

Autor tego odczytu jest bezwzględnym, i ze stanowiska filozoficznego należy powiedzieć na wskróś dogmatycznym zwolennikiem analizy, empiryzmu w zakresie psychologii. Ma on zaufanie wyłącznie do rozbioru szczegółowych zjawisk. Zadania zaś syntetyczne nauki istnieją dla niego tylko jako mechaniczne zestawienie wyników oderwanych badań analitycznych. Wspólnie z dogmatycznym empiryzmem, autor nie przeczuwa wcale, że synteza faktyczna zjawisk świata, a zatém i zjawisk psychicznych, domaga się, aby przy badaniach naukowych przyjęto zarazem pod uwagę i owe czynniki, które sprawiają zjednoczenie tych zjawisk i wytworzenie z nich żywych istot, będących nie mechanicznym konglomeratem odosobnionych faktów, lecz zorganizowanemi jednostkami, nie abstrakcyjną, lecz rzeczywistą syntezą, skupiającą w sobie owe zjawiska, żyjącą życiem samoistném, jako jedna, zamknięta i zaokrąglona w sobie, istota.

Cenimy wysoko doświadczalne poznanie pierwiastków organizmu i jego szczegółowych funkcyi, uznajemy naukową konieczność empirycznéj analizy zjawisk psychicznych; ale przy tém zapomnieć nie możemy, że tego rodzaju badania nie są wystarczającemi do naukowego pojęcia *życia*, ani cielesnego, ani psychicznego, bo w skład tego pojęcia wchodzą czynniki *realnéj* syntezy, mogące być przedmiotem bliższego poznania tylko wtedy, gdy rozpatrujemy istoty żywe, jako całostki uorganizowane, równoważące w sobie mnogość szczegółowych zjawisk i wyrażające przez ich ustosunkowanie i wzajemne uzupełnianie swoją właściwą treść życiową. Jak mechanik nie może dać pojęcia o ustroju mechanicznym, przedstawiając tylko jego cząstki składowe, bez uwagi na całość mechanizmu, na jego ogólne przeznaczenie, pociągające za sobą odpowiednie ustosunkowanie i uorganizowanie pojedyńczych części; jak filolog dalekim jest od zrozumienia poematu, gdy poddaje rozbiorowi pojedyńcze tylko wyrazy, lub nawet zdania, a nie zdaje sobie sprawy z utworu jako całości: tak też fizyolog i psycholog nic orzéc nie mogą o życiu ciała i duszy, jeżeli, obok analizy szczegółowych zjawisk, nie mają na oku zarazem całości życiowéj, t. j. żywych jednostkowych jestestw, będących prawdziwszym i realniejszym objawem życia, aniżeli szczegółowe zjawisko fizyologiczne lub psychiczne, aniżeli nawet szereg tego rodzaju zjawisk, wziętych w odosobnieniu od saméj istoty żyjącéj, niby roślina, wyrwana gwałtownie z gruntu, który jéj życie podtrzymuje.

Empiryzm analityczny naszych czasów, nie zajmując się głębiéj kwestyami krytycznéj teoryi poznania, dowodzi zazwyczaj, że formy syntetyczne, w których nam świat się przedstawia, są wynikiem abstrakcyi, mniéj lub więcéj dowolnego uogólnienia szczegółowych danych, a mianowicie wrażeń zmysłowych. Właściwą realność widzi on

tylko w pojedyńczych szczegółach. Tymczasem rzecz się ma w istocie odwrotnie. Prawdziwa żywa realność nie przedstawia się nam w formie jakichś odosobnionych zjawisk, lecz w formie syntetycznéj żywych ustrojów, jestestw, będących samoistném skupieniem zjawisk w pewne organiczne całości.

Prawda, ze stanowiska analitycznego możemy wykazać, że wyobrażenie o pewnym konkretnym przedmiocie – o *stole*, *drzewie*, *koniu*, *człowieku*, a tém bardziéj takie pojęcia ogólne, jak *dusza*, *naród*, *ludzkość*, *wszechświat* i t. p., są zbiorem wielkiéj liczby szczegółowych wrażeń, złączonych w naszym umyśle w jedną całość. Ale czyż z tego wynika, że niéma wcale przedmiotów konkretnych, a są tylko odosobnione wrażenia, skupione drogą abstrakcyi w jedną całość? Czy z tego wynika, że naszym wyobrażeniom i ogólnym pojęciom, w rodzaju powyżéj zaznaczonych, nie odpowiada *realne* skupienie pewnych zjawisk w formie *realnych* jestestw? Czy z tego, że na moje wyobrażenie o *stole*, o *Piotrze* etc. składa się szereg szczegółowych wrażeń, skupionych przy pomocy pewnych działań psychicznych w jedną myślową całość, wynika, że *stołu*, *Piotra* niéma wcale jako samoistnych jestestw, że w rzeczywistości jestestwa te nie są wynikiem osobnych czynników, skupiających pewne zjawiska w realne jednostki, różne od innych skupień i jednostek? Broniąc powyższego stanowiska, empiryzm analityczny musiał-by dojść konsekwentnie do wyników, rozchodzących się z naturalnym poglądem na rzeczy, ze zdrowym rozsądkiem, i nadto zawikłał-by się w sprzeczności bez wyjścia, bo przy pomocy normalnych środków poznania, t. j. zmysłów i zdrowego rozsądku, doszedł-by do zaprzeczenia prawdziwości ich świadectwa.

O ile psychologia ma do czynienia z analizą zjawisk psychicznych, z ich doświadczalném badaniem, — o tyle odczyt powyższy p. Mahrburga przedstawia jasno i wyraźnie współczesny stan téj nauki i jéj znaczenie w systemie wiedzy. Któżby dzisiaj, usłyszawszy o psychologii, nie wiedział zarazem o badaniach psychofizycznych i psychofizyologicznych, charakteryzowanych szczegółowo przez autora? Pod tym względem odczyt, miany w gronie przyrodników i lekarzy, odpowiadał w zupełności swemu założeniu, wykazując podstawy psychologii, jako nauki empirycznéj. Z drugiéj jednak strony wyznać musimy, że od psychologa, będącego zarazem filozofem, a dotykającego wskutek tego i ogólnych syntetycznych kwestyi wiedzy ludzkiéj, mieliśmy prawo wymagać, aby kwestye te traktował nieco głębiéj, aby nie zbywał napotykanych na tém polu trudności oklepanemi frazesami o „mglistéj metafizyce“ i nie lekceważył odnośnych poszukiwań

takich badaczy, jak *Preyer*, *Wundt*, *Fouillé*, co właśnie czyni p. M. na stronnicy 42 swego odczytu.

Dzisiaj, po wykazaniu naukowego przedmiotu i znaczenia metafizyki nie tylko przez wspomnianych myślicieli, ale i przez *Lotzego*, *Fechnera*, *Lewesa*, *Vacherot'a*, *Liard'a* i wielu innych zasłużonych uczonych, nie godzi się, aby w przestarzałym żargonie pozytywistycznym ciągle jeszcze używano wyrazów *metafizyka*, *metafizyczny*, za straszydła, mające wstrzymać umysły od wysiłków nad rozwiązaniem poważnych zadań wiedzy ludzkiéj. Dzisiaj powinno być powszechnie wiadomém, że metafizyka jest to nauka, rozbierająca nasze najogólniejsze pojęcia *o bycie*, *rzeczywistości*, *istnieniu*, i że nietylko *duch*, *dusza*, *istota rzeczy*, *Bóg*, są pojęciami metafizycznemi, ale i *materya*, *ciało*, *zjawisko*, *związek przyczynowy zjawisk*, *przyroda*, *prawo przyrody*, są takiemiż pojęciami, domagającemi się krytycznego rozbioru i określenia, jeżeli nie mają być używanemi w znaczeniu dowolném, konwencyonalném, dogmatyczném. To też nie trudno wykazać, że drwinki z metafizyki nie zwalniają nikogo od konieczności posiłkowania się pojęciami metafizycznemi i pociągają tylko za sobą bezkrytyczne, niejasne i chaotyczne używanie tych pojęć. Dowodzą tego również i pojęcia metafizyczne p. Mahrburga.

Zbadawszy analitycznie dany szereg zjawisk, nauka, jak widzieliśmy, syntetyzuje wyniki swych badań i stara się pojąć, w jaki sposób zjawiska rozdrobione składają całość i stanowią to jestestwa *jednostkowe*, to systemy takich jestestw (np. system atomów w krysztale, system komórek ciała organicznego, system zjawisk psychicznych w żywém jestestwie, system jestestw żyjących na ziemi, system społeczny państwowy, system ciał niebieskich, system wszechświata). Czém są te systemy? Czy tylko pojęciami ogólnemi, wynikłemi z myślowéj kombinacyi szczegółowych zjawisk, czy też realnemi systemami, mającemi byt, jako odrębne całości, niezależnie od syntetycznego działania umysłu? Oto jedna z zasadniczych kwestyi metafizycznych, któréj żadna nauka bez odpowiedzi pozostawić nie może, która tedy, tak lub inaczéj, rozstrzygniętą być musi i w zakresie psychologii, odnośnie do zjawisk psychicznych. Pan Mahrburg rozwiązuje również tę kwestyę, ale, wskutek lekceważenia badań metafizycznych, wpada na tém polu w rażące sprzeczności; z jednéj bowiem strony potępia w zasadzie metafizykę materyalizmu, a z drugiéj przyjmuje bez krytyki cały zasób pojęć i poglądów materyalistycznych.

„Dusza, mówi p. M., jak każda substancya, jest abstrakcyą (str. 12);“ jest ona poprostu tylko „symbolem wyrazowym, za pomocą którego oznacza się dogodnie cały ogrom empirycznie poznanych faktów

psychologicznych, etycznych, estetycznych, logicznych". Więc, jedném słowem, duszy, jako samoistnego jestestwa, niéma. Synteza zjawisk psychicznych nie jest realną, lecz tylko abstrakcyjną; niéma jednostkowych realnych systemów, równoważących w sobie i konsolidujących pewne szeregi zjawisk psychicznych. Dobrze. Wymagamy atoli konsekwencyi. Pytamy tedy: czém jest *ciało*, czém jest *organizm*, czém jest mój znajomy *Piotr*? Czy także tylko „symbolem wyrazowym" dla dogodnego oznaczenia pewnych rozstrzelonych faktów? Czy i tutaj niéma realnéj syntezy zjawisk, realnego ich systemu? Takby się zdawać musiało, — bo sposób wytworzenia pojęcia *duszy* nie jest wcale inny od sposobu wytworzenia pojęcia *ciała, organizmu, Piotra;* — różnica tylko na tém polega, że w pierwszym razie syntetyzuję szereg stanów psychicznych méj osobistéj świadomości i sprowadzam ich jedność do pojęcia *duszy*, w drugim razie syntetyzuję szereg wrażeń zmysłowych, otrzymanych z zewnątrz, i łączę je w pojęciu *ciała, organizmu, Piotra.* Składowemi czynnikami, jak jednéj, tak i drugiéj syntezy, są niewątpliwe dane doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego. Chodzi tu tylko o to, czy mamy wogóle prawo dowodzić, że syntezie podmiotowéj szczegółowych zjawisk odpowiada synteza przedmiotowa tych zjawisk po-za naszym umysłem?

Odnośnie do pewnych ulubionych pojęć, p. Mahrburg uprzedmiotawia swoje syntezy przedmiotowe bez najmniejszych skrupułów, chociaż „metafizykom" tego czynić zabrania. I tak, podczas gdy *dusza* jest dla niego „symbolem wyrazowym", mówi on na str. 15 o *osobniku*, który *nabywa i odziedzicza doświadczenia*, wywierające wpływ na treść i siłę stanów psychicznych. Prawo względności orzeka bowiem, że „każdy stan psychiczny pod względem jakościowym i ilościowym zależy nietylko od jakości i siły podniet zewnętrznych, lecz także od stanu *osobnika*, od jego doświadczenia nabytego i odziedziczonego". Co to jest *osobnik?* Wiemy, że nie dusza, któréj wcale niéma; ale dlaczegóż *osobnik* ma być czémś więcéj, aniżeli „symbolem wyrazowym" dla oznaczenia pewnych szeregów zjawisk? „Symbole wyrazowe" zaś nie mogą nabywać doświadczeń, wpływać na treść i siłę stanów psychicznych, a *osobnik* to czyni! Więc *osobnik* jest realnym bytem, chociaż nie jest pewném psychicznem szczegółowém zjawiskiem, jest realną *syntezą*, realnym *systemem* zjawisk psychicznych. Zkąd jednak p. M. wie, że *duszy* niéma, a że na jéj miejscu istnieje *realny osobnik*, dziedziczący i nabywający doświadczenia i t. p., tego nam nie opowiada—zadowolony tylko jest, że pozbył się *metafizyki duszy*, ale nie przeczuwa, że ją tylko zastąpił *metafizyką osobnika.*

Ta metafizyka idzie jeszcze daléj. *Osobnik*, dziedziczący i nabywający doświadczenia, ulegający w ocenie rzeczy „nietylko czuciom zmysłowym, lecz i poprzednio nabytym wyobrażeniom i doznanym uczuciom“, powinien-by być uznany, jak się zdaje, za *osobnik psychiczny*, czyli poprostu za *duszę*. Nie mamy przynajmniéj żadnych doświadczalnych danych do przypuszczenia, że *osobniki fizyczne* oceniają rzeczy, dziedziczą i nabywają doświadczenia, i t. p. Pan M. jednak na miejsce *osobnika psychicznego* stawia wnet, tak sobie z niechcenia, „naszą organizacyę nerwową“ i dowodzi, na tejże stronnicy 15, że „w głębiach“ téj organizacyi tkwią owe „poprzednio nabyte zasoby doświadczeń“. Więc „nasza organizacya nerwowa“ także nie jest „symbolem wyrazowym“ dla dodatniego oznaczenia pewnego ogromu empirycznie poznanych faktów, lecz *realném jestestwem, substancyą*, skupiającą w sobie owe fakta. Od metafizyki osobnika przechodzimy tedy już do metafizyki *organizacyi nerwowéj*, któréj nadto autor przypisuje wielce metafizyczną zdolność zachowania w swych „głębiach“ poprzednio nabytych *zasobów doświadczenia*.

Obdarzając takiemi zdolnościami metafizycznemi *procesy chemiczne* i *fizyczne*, stanowiące *jedyne* czynniki „organizacyi nerwowéj“, nic łatwiejszego, jak wykreślić *duszę* ze słownika psychologii, zastąpić ją wyrazem *organizacya nerwowa* i twierdzić (str. 23), że „trzeba zbudować“ hipoteozę *podścieliska* anatomo-fizyologicznego“, które-by „wiązało“ ze sobą *stany psychiczne*. Ale i tu znowu pytamy, co to jest *podścielisko*, wiążące stany psychiczne? Czy to substancya, czy téż zjawisko, czy téż symbol wyrazowy? Pan M. odpowiedzi na to pytanie nie daje, ale przy pomocy takiego *podścieliska* uznaje daléj (str. 25) „układ nerwowy“ za *zbiornik energii*, nagromadzonéj pod wpływem poprzednich doświadczeń i przystosowań. Żeby jednak nie miano wątpliwości co do natury tego *zbiornika*, autor nas zapewnia, że „zbiornik ten *czynnie oddziaływa* na działania z zewnątrz, i nie tylko proporcyonalnie do jakości i siły tych działań, lecz także proporcyonalnie do *własnych* zasobów, gotowych do wyzwolenia“. Mamy tedy teraz *zbiornik* doświadczeń, czynnie oddziaływający na działanie z zewnątrz, przy pomocy własnych zasobów energii. Gdy psychologowie „metafizyczni“ przypisują takie funkcye *duszy*, — natenczas należy to nazwać „mrzonką“. Zastępując atoli prosty „symbol wyrazowy“ *duszą* całym szeregiem „symbolów wyrazowych“, począwszy od *osobnika*, *organizacyi nerwowéj*, *podścieliska*, aż do *zbiornika energii*, i dowodząc w końcu, że *zbiornik* ten „czynnie oddziaływa“ i t. d. i t. d., jednem słowem, przechodząc od *metafizyki duszy* do *metafizyki zbiornika*, stajemy odrazu na wysokościach współczesnéj „nauki“. Teraz już wszystko wyświetlono

należycie; na téj zasadzie można już z emfazą wygłaszać takie zdania, jak (str. 50): „w żadnym punkcie ciągłości przyczynowéj *szeregu fizycznego* przerywać nie możemy, nawet w tych punktach, gdy zjawiskom fizyologicznym towarzyszy świadomość“, i „*szereg psychologiczny, uważany za funkcyę szeregu fizyologicznego*“.

Cóż innego, pytamy, utrzymywał materyalizm od dawien dawna? Pocóż tedy p. Mahrburg wyrzeka się tak stanowczo materyalizmu? Zarzuca on mu, jak i idealistom, metafizykę, ale widzieliśmy, że bez metafizyki i p. M. mówić nie może o zjawiskach psychicznych. Nie wiem doprawdy, dla czego „symbol wyrazowy“ *materya*, ma być gorszy od „symbolu wyrazowego“ *układ nerwowy, podścielisko* anatomo-fizyczne, *zbiornik energii* (rozumie się fizycznéj), lub dlaczego wyrażenie: „szereg psychiczny jest funkcyą szeregu fizyologicznego“ ma być lepszém od wyrażenia: „myślenie jest funkcyą mózgu“. Tu różnicy w zasadzie, w saméj treści, niéma żadnéj, a o „symbole wyrazowe“ nie warto się spierać. W każdym razie, jeżeli, według trafnéj, choć nie nowéj uwagi p. M. (str. 6), materyalizm z pojęcia materyi nie był zdolen „wyprowadzić zjawisk i procesów duchowych“ — to należy téż przyznać, że i p. M. nie wykazał, w jaki sposób choćby najelementarniejsze zjawiska psychiczne, a tém bardziéj cały szereg psychiczny, może być uznany za *funkcyę* nieprzerwanéj „ciągłości przyczynowéj szeregu fizycznego“.

Tu i tam napotykamy ten sam błąd metodologiczny pomieszania dwóch zupełnie różnych pojęć *warunku* i *przyczyny*. Jeżeli *artysta* gra na *instrumencie*, to *instrument* jest koniecznym *warunkiem*, ale nie *przyczyną* muzyki. Zdolność *warunkowa* zjawisk nie jest jeszcze zależnością *przyczynową*. Bez instrumentu artysta grać nie może, na rozstrojonym instrumencie muzyka nie będzie dobrą; ale, pomimo to, *przyczynowym* czynnikiem w wytworzeniu muzyki nie jest instrument, lecz artysta grający. Porównanie to,—tak proste—spożytkowano już od dawna, jako argument przeciwko materyalizmowi;—pomimo to p. M. zaznaczonéj różnicy nie uwzględnił i dlatego właśnie powrócił bez skrupułu do materyalistycznéj zasady, że zjawiska psychiczne są *funkcyą* układu nerwowego, t. j. zjawisk fizycznych. Ciało, organizm fizyczny, nie jest tu tylko czynnikiem *warunkującym* zjawiska fizyczne, lecz jest po prostu ich *przyczyną*. A to stanowi właśnie istotę nauki *materyalizmu*.

Powrót do materyalizmu zaznacza u p. M. i ta okoliczność, że zarzuca on poglądom idealistycznym *animizm*, jako coś pozbawionego wszelkiéj zasady, (str. 41); gdy tymczasem animizm jest zupełnie naturalnym i dlatego powszechnym czynnikiem w naszych poglądach na świat przedmiotowy. Krytyczna bowiem teorya poznania wykazała,

że o świecie zewnętrznym sądzić możemy tylko na podstawie *analogii* jego treści z treścią naszéj świadomości, — a że świadomość nasza jest objawem życia psychicznego i ma się, jak dotąd, za duszę, *anima*, więc animizm jest naturalną formą naszego poglądu na świat, — tak naturalną, że i przeciwnicy animizmu jéj wyrzec się wcale nie mogą.

I tak, jeżeli mamy innych ludzi za równie żywych, jak my, i za obdarzonych podobnemi do naszych zdolnościami psychicznemi, czynimy to tylko wskutek tak zwanéj przez pana Mahrburga „fantasmogoryi animistycznéj“. W obcą świadomość wprost wniknąć nie możemy; od innych ludzi odbieramy tylko wrażenia zmysłowe, które same przez się są tylko zewnętrznym wyrazem pewnéj treści wewnętrznéj, dostępnéj dla nas jedynie przy pomocy analogii animistycznéj; więc dopatrzenie się i zrozumienie życia w innych jestestwach jest i dla p. M. możliwém tylko wskutek animizmu.

Co więcéj, materyaliści, a z nimi p. M., wytwarzają swoje pojęcia o *materyi*, o *zbiorniku energii*, o *podścielisku* anatomo-fizyologicznem, także za pośrednictwem analogii animistycznéj, z tą tylko różnicą, że przyjmują w tym względzie za podstawę analogię ze swemi stanami bezwiednemi — snu, odrętwienia, zemdlenia, — wskutek tego przypisują, jak owym pojęciom, tak i wogóle światu przedmiotowemu, brak świadomości, życia. Dlaczego jednak mamy oddać pierwszeństwo téj imaginacyjnéj analogii przed analogią daleko naturalniejszą i prostszą, i przy bliższém rozpatrzeniu niewątpliwie prawdziwszą, przypisującą światu własności *życia*; dlaczego zdanie: „wszystkie rzeczy żyją“, ma być mniéj uzasadnioném, niż zdanie: „wszystkie rzeczy są martwe“, — tego nam metafizyka pana Mahrburga nie objaśna. Przeciwnie, wikła się ona i pod tym względem w dziwne sprzeczności, o których powiemy tylko jeszcze jedno słowo.

Na str. 44 i nast. mówi p. M: „Gdzie tylko przekonano się, że rzeczy są stałe i zjawiska odbywają się z prawidłowością niezłomną, tam już niéma miejsca dla samoistności i indeterminizmu, które pozornie znamionują ducha; tam umysł *przeczy życiu i duszy*, które im przedtém przypisywał, i musi objaśnić zjawiska za pomocą jakichś innych motywów, już nie psychicznych“. Jakto, więc pojęcia *prawa*, *prawidłowości*, *ładu*, *porządku*, *stałości*, *niezłomności*, nie są wytworami analogii animistycznéj! Gdzież przedstawiają się dla naszego umysłu pierwotne typy tych pojęć, jeżeli nie z jednéj strony w stałych prawach logicznego myślenia, a z drugiéj w poczuciu naszéj zależności od pewnego niezłomnego porządku rzeczy, któremu poddać się musimy? Bez pojęcia praw *logicznych* i *moralnych* nigdybyśmy nie mówili o prawach *przyrody*; bez świadomego przejęcia się prawidłowością, panującą w naszym duchu, nie istniała-by dla nas prawidłowość świata

przedmiotowego! Samo pojęcie *prawa* wykazuje to animistyczne i antropomorfistyczne źródło wszelkiego poglądu na prawidłowość przyrody. I jakże tu można twierdzić, że uznanie prawidłowości świata pociąga za sobą koniecznie zaprzeczenie w nim *ducha, życia!* Przeciwnie, prawo, prawidłowość, niezłomny porządek, stałość, są bezpośredniemi objawami *rozumu, myśli.* Gdzie wśród ludzi niéma rozumu, myśli, tam przedstawia nam się chaos, rozprzężenie, samowola. Gdzie zaś dochodzi do panowania rozum, tam napotykamy prawidłowość, ład, porządek, stałość. Czyż zresztą prawidłowość wszechświata nie wyraża się jaknajdobitniéj w *matematyce*, która nie istnieje tylko w umyśle człowieka, lecz przyjmuje formę realną, widzialną i dotykalną dla nas, zarówno w układzie wszechświata, jak i w środkach mechanicznych wszelkich procesów życiowych. A czyż można przypuścić, aby ta matematyka wszechświata istniała bez rozumu i myśli? To byłby objaw daleko sprzeczniejszy w sobie, aniżeli owa *cerebracya bezwiednych stanów psychicznych*, którą p. M. krytykuje.

O celewości w ustroju organizmu i w ogólnym rozwoju życia — nie będę tu mówił, wobec bezwzględnéj negacyi, z jaką p. M. na tém polu występuje bez rozbioru odnośnych prac takich przyrodników, jak Pflüger, Bunge i inni. Ale pytam tylko: przy pomocy jakiéj metodologii można rozumem ludzkim i jego prawidłowością logiczną,—a zatém duchową,—poznać przyrodę, pozbawioną analogicznych czynników życia i ducha? Tu niéma innego wyjścia, jak tylko: albo dojść do subjektywnego skeptycyzmu i wyznać, że wszelka prawidłowość, wszelka matematyka świata, jest tylko wynikiem naszéj podmiotowéj przeróbki chaotycznego materyału szczegółowych wrażeń umysłowych, albo téż bez ogródek, bez materyalistycznéj pychy, otwarcie wyznać, że nasz rozum nie jest najwyższym i ostatecznym w świecie, że istnieje życie, duch, rozum, daleko wyższy od naszego, od którego ciągle na nowo uczyć się musimy, aby zrozumiéć siebie samych i pojąć należycie prawidłowość wszechświata.

Pan Mahrburg ochrzci naturalnie tę ostanią konsekwencyę pogardliwą nazwą „metafizyki“. Ale czyż twierdzenie, że świat *pozbawiony* jest *ducha* i *życia*, że jest poprostu *bezmyślnym mechanizmem*, wydającym rozum, myśl, tylko w nas, wielkich mędrcach świata, nie jest także *metafizyką*, a do tego metafizyką materyalistyczną, potępioną przez samego pana Mahrburga! Oto przykład, jak to już dzisiaj bezkarnie metafizyki zaniedbywać nie można.

Fl. K. Gąsiorowski.

Literatura polska. Skreślił **Adam Breza.** Część I-sza. Warszawa 1891. Str. 572 i XX.

Jest to dalszy ciąg wydawnictwa dla samouków, rozpoczętego przed kilku laty przez Ad. Dygasińskiego. Specyalny cel téj pracy nietylko jednak nie ułatwia autorowi zadania, ale raczéj niepospolicie je utrudnia. Nieokreślone stanowisko naukowe tego samouctwa, a ztąd rozmaitość poglądów na sam cel, a głównie na środki, do osiągnięcia tego celu prowadzące, stać się mogły przyczyną niemałych trudności dla układającego podobne podręczniki. Kto przejrzał dziełka Dygasińskiego, Bema, Korotyńskiego, uwadze mojéj nietylko przeczyć nie będzie, ale przyzna, że każdy z nich inną szedł drogą do celu, odmienną posiłkował się metodą.

Z tego-to głównie powodu, że p. Breza podwójnie miał trudne zadanie, sąd o wartości pracy jego zasługuje na pewną pobłażliwość; chcąc bowiem być sprawiedliwym, potrzeba mieć konieczną w tym razie wyrozumiałość krytyczną, a zarazem zwracać uwagę na wszelkie okoliczności zewnętrzne, które niekiedy ułatwiają, niekiedy zaś bardzo utrudniają autorowi zadanie. Z drugiéj jednak strony pobłażliwość ta nie może być posunięta tak daleko, by stanęła w sprzeczności z istotą rzeczy i z prawdami, w nauce wyrobionemi.

Przy powierzchownem już przejrzeniu książki p. Brezy widocznem się staje, że autor nie jest mistrzem konstrukcyi literackiego, a raczéj dydaktycznego utworu: pomysły miał niekiedy dobre, ale skoro przyszło do wykonania, przy braku właściwego *systemu*, szczęśliwsze jego (czy przyswojone, mniejsza o to) pomysły rozproszyły się w drobne strzępy, a uwidocznił się natomiast brak planu i umiejętnego tego planu wykonania, a nawet, właściwie mówiąc, brak odpowiedniego przygotowania. Wypłynęło ztąd, że ujemne strony dzieła widoczne są dla każdego czytelnika, nawet przy lekkiém przejrzeniu książki, a stron dodatnich dopiero wyszukiwać należy. A że nie każdy będzie miał odpowiedni zapas cierpliwości, by szperać w drobiazgach, o tém chyba i nadmieniać niéma potrzeby,—woli poprzestać na tém, co odrazu bije w oczy...

I w istocie: któż dziś przeczyć zechce, że literatura każdego narodu, jeżeli ma być gruntownie krytyczna, prawdziwa i jasna, powinna być oświetlona powszechnodziejową, a na tle dziejów ojczystych zasadzająca się—twórczością literacką?

Do myśli téj, dawno już wyrobionéj, p. Br. wielką przywiązuje wagę. Ale jakże ona wygląda w jego opracowaniu? Oto tak, że przedewszystkiém potrzeba zmienić tytuł dzieła i napisać tak np.:

„Literatura polska, z dodatkiem przeglądu nowożytnego piśmiennictwa europejskiego, wespół z zarysem dziejów narodowych". Tych bowiem trzech składników dzieła (literatury polskiéj, literatury powszechnéj i zarysu dziejów) nie umiał autor skupić w jednolitą całość i nadać im wyrazu naukowego; owszem, każda część, niezwiązana z ogółem myśli, luźnie zdąża do swojego celu. Trudno nawet odgadnąć, jaki to sobie cel zakreślił autor i jak zapatrywał się na stosunek tych grup do siebie? Dlaczego dzieje drukowano mniejszym drukiem,, a zwłaszcza: dlaczego w przypiskach? Miałoż-by to oznaczać, że dzieje w dalszym są stosunku do literatury, niż zarys piśmiennictwa europejskiego? Następnie, jeżeli wiadomości z téj ostatniéj literatury miały wyjaśniać fakta literackie piśmiennictwa polskiego, to dlaczegóż czytamy w książce p. Br. literaturę niemiecką, francuską, angielską, włoską i t. d., a nie widzimy literatur klasycznych—łacińskiéj, greckiéj, które przecie tak stanowczy miały wpływ na rozwój literatury polskiéj, co widocznem jest z dziełka samegoż p. Brezy, który wspomina Wergilego, Horacego, Cycerona, Arystotelesa, Homera wreszcie a uczeń (samouk ?) pana Brezy nie był wcale poinformowany, co téż to były za postacie? Nadto, nietylko dla samouków, ale i dla nas, krytycznie czytających studya p. Brezy, przydały-by się może te wiadomości z literatury klasycznéj, w przeglądzie bowiem takim miał-by autor sposobność bliżéj określić swoją tezę: że Homer był pierwszym w świecie romantykiem... (str. XIII). Odłożywszy na stronę to, co mieć byśmy pragnęli, zastanówmy się raczéj nieco nad tém, co dał autor w tym przeglądzie literatury powszechnéj. Jest to nie dość krytyczny zbiór wiadomości, niekiedy przydatnych dla samouka polskiego, niekiedy za obszernych w stosunku do traktowania pisarzy polskich, a niekiedy zupełnie zagadkowe mających tu stanowisko. Na poparcie téj myśli biorę np. str. 264 i dal. i czytam: „*Anglia*", w któréj rubryce autor wymienia imiona (nagie, bez wszelkich objaśnień): „*hr. Surrey, Tomasz, Wyatt*", a daléj: „*Filip Sidney, Jan Lily, Edward Spencer, Sir Raleigh* i inni". A jaki jest stosunek wszystkich tych panów do literatury polskiéj, autor ani słówkiem nigdzie nie objaśnia. Taki sposób wykładu spotyka się nie przy jednéj literaturze angielskiéj, tak, że ostatecznie wydaje się to niepotrzebnym balastem w historyi naszéj literatury.

Jak w tém skupieniu troistych pierwiastków składowych książki nie podołał autor swemu zadaniu, tak w podziale na okresy i w komentowaniu tych podziałów nie wykazał znajomości ujęcia nauki literatury w jednolitą całość, chodziło mu tylko o oryginalność poglądu. Otóż ta pogoń za nowością, przy braku odpowiednich gruntownych studyów, wprowadziła zamęt do wykładu. To też autor przebojem

toruje sobie drogę, łamiąc to, co oddawna za pewniki naukowe uważać się zgodzono... i nazywa *okresem odrodzenia* to, co powszechnie zwano okresem pseudo-klasycyzmu francuskiego, a *okresem właściwego klasycyzmu polskiego*, co epoką *romantyzmu* nazywamy.

Oprócz tego, cztery okresy jego nie są wolne i od innych zasadniczych sprzeczności, tak np. okres I-szy autor tak charakteryzuje, że jest to „okres pomników języka polskiego, a pod względem *piśmienniczym* — okres piśmiennictwa *obcego*“. Zdawało-by się, że „pomniki języka“ należą do „piśmiennictwa“, zdumiony przeto samouk pyta, co też w istocie jest cechą tego okresu: czy *pomniki polskie*, czy piśmiennictwo *obce* (!) w Polsce?

Ztąd wypłynął charakterystyczny sposób wypowiadania myśli, tak mało właściwy dziełom elementarnym, a zasadzający się na nieustannem polemizowaniu; autor tak przejął się tą metodą, że prawie innym tokiem myśli swoich nie wypowiada, a nawet w końcu prawie polemizuje sam z sobą... i dodać potrzeba, że w tym ostatnim razie stanowczo obala to, co pierwéj twierdził. Tak np. na dwunastu stronicach autor mówił o owych czterech okresach, ale już na str. następnéj (XVI) zmienia zdanie, a na str. XIV i XV wyraźnie twierdzi, że „wszelkie gatunkowanie i dzielenie rzeczy takiéj, jak jest literatura, na okresy, działy, poddziały i t. d. jest tylko nader błahym środeczkiem w stosunku do istoty dzieła, t. j. do saméj literatury“; na str. XVII idzie jeszcze daléj i mówi, że podrzędną jest rzeczą wszelkie dzielenie na okresy, że taki czy inny podział istoty rzeczy nie zmienia. Zdawało-by się tedy, że wobec tych twierdzeń powinien był autor przemazać wszystkie swoje cztery okresy, a ułożyć „w jednolitym, wielkim, nieprzerwanym ciągu te olbrzymie konary na niebotycznem drzewie twórczości ducha ludzkiego, którego wspaniałe odrośle świat cały i całą ogarniają ludzkość“ (str. XVI). Ale nie! p. Breza nie zarysował nam „tych olbrzymich konarów na niebotycznem drzewie twórczości ducha ludzkiego... w nieprzerwanym ciągu“, owszem, utrzymał wszystkie swoje okresy i każdą gałązkę tego drzewa wiedzy podaje w owych czterech grupach. Albo na str. 34 i 35 mówi autor o obrządku wschodnim u przodków naszych i wypowiada, jak zwykle, stanowczo, zbyt ryzykowne swoje twierdzenia, chociaż na str. 36 znowu je obala, mówiąc: „nie tu pora rozwodzić się nad tém szeroko, bo sąd, choćby najgruntowniejszy, opierać się tylko może na przypuszczeniach“.

O przedmiocie swéj pracy p. Breza wypowiada wreszcie takie zdania, że „niéma nauki mniéj ścisłéj, niż literatura“, że „niéma w niéj żadnych pewników“, że „ścisły pewnik jest wręcz przeciwnym jéj duchowi, a nawet że „literatura nie jest właściwie nauką — jest to wie-

dza, oparta na przyrodzonym darze odczucia myśli i piękna“ (str. XVII). Po co tedy napisał o tém, co nie ma ani żadnych granic, ani żadnych pewników, co nie jest nawet lada jaką nauką... aż 572 stronnice, a na drugie tyle kazał nam jeszcze oczekiwać?

Co się tyczy języka, to, pomijając tu i ówdzie spotykające się błędy w pisowni (np. czychać=str. 12, mięszanie=str. XI i in.), jako przypuszczalne błędy zecerskie, takiego oto rodzaju zwroty czytamy w „literaturze polskiéj“ p. Br.: „*ludzie wiedzy* mnożą się“ (str. VI); „myślący człowiek, który nie jest z zawodu *człowiekiem pióra*“ (str. XVIII). P. Br. ciągle używa wyrażenia „*lud prosty*“ (str. 9, 45 i in.) (prostoj narod), zm. *gmin*, lub wprost: *lud*. „Rościć *o* sobie śmieszne rozumowanie (zm. *sobie do czego*); „dźwięk zaginął i nie pozostało ani jedno brzmienie (zm. jednego brzmienia) str. 7; albo „nie pozostał po nich (po modlitwach) ani jeden ślad“, zm. ani jednego śladu (str. 45). Autor na sposób galicyjski lubi bardzo często używać wyrazu *znachodzić się*, zm. znajdować się: „bogate pokłady bursztynu, w całéj Polsce się *znachodzące* (str. 12); „mnóztwo *znachodzących* się wyrazów (str. 40). Również cechą języka pana B. jest częste użycie jakichś niepochwytnych, niezrozumiałych określników, np. „*czasy przedwiekowe*“ (?) = str. 44. „Przodek nasz był dziedzicem... dżdżu“ (str. 13). Ciekawa rzecz: jak z tego dziedzictwa korzystał?.. Ale gorszym może od tych pojedyńczych zwrotów jest sam styl autora: niejasny, nadużywający synonimiki języka i w ogólności układany w ten sposób, że, chcąc myśl jego przybliżenie zrozumieć, potrzeba zatrzymywać się, rozbierać znaczenie i stosunek do siebie zdań; ale i ta analiza nie ułatwia w końcu dokładnego myśli zrozumienia. W celu wyjaśnienia téj uwagi mojéj z mnóztwa wzorów téj nieścisłości i niejasności stylu biorę jeden tylko przykład. Na str. 28 p. Br. mówi: „Szkoły te (Piastowskie) były tylko duchowne, a nauka w nich *kościelnego* jedynie *ducha* miała na względzie“. Co to za „kościelny duch“ —autor nie wyjaśnia nigdzie, tak, że ostatecznie niewiadomo, czy to miało oznaczać dodatnią, czy ujemną cechę nauki Piastowskiéj? Kościół, jak nas uczono, jest to zgromadzenie wiernych, jednota moralno-religijna. Jeżeli tedy nauka piastowska *zgromadzała*, *jednoczyła*, w imię zasad etycznych, wszystkich rozproszonych członków narodu, — była-by w tém omówieniu przez pana Br. najwyższa pochwała tych uczelni. Zważywszy jednak, że w szeregu zdań, myśl tę omawiających, lekki ton ironii przegląda, można téj myśli nadać i cechę ujemną... W wypowiadaniu wreszcie myśli swoich p. B. nie trzyma się głównego wątku, zbiega na kwestye uboczne, które nietylko myśli zasadniczéj nie popierają, ale raczéj ją zacierają. Do takich np. myśli epizodycznych należą wszystkie etymologiczne wy-

wody, a zwłaszcza wyrazu „Kujawy“, albo dowodzenie, że przodkowie nasi przedchrześciańscy musieli mieć „kołtuny“, że młodzież miała nadzwyczaj gęsty porost włosów (str. 13 i 14) i temu podobne domysły. Niekrytycznym jest również ustęp o Rzpltéj Babińskiéj (str. 246 i dal.), stanowiący pierwszorzędną myśl autora, bo opatrzoną dużym tytulikiem, takim np. „*Pisarze* łacińscy okresu I-go“ (str. 63). Tymczasem wszystkie owe krotochwile babińskie, z konceptami samego Pszonki na czele, stoją po-za piśmiennictwem, bo w druku, czy w piśmie, do nas nie doszły; wyjątki zaś jedynego dyalogu, przytoczonego przez p. Br., są takiéj doniosłości, że mogły-by uprawniać autora zaledwo do dwuwierszowego przypisku, ale nie do osobnego rozdziału w literaturze.

Języka staropolskiego p. Br. widocznie naukowo nie badał, bo nie wie naprzykład, żeśmy mieli *a* nosowe, i na str. 43, kiedy mu wypadło objaśniać staropolski wyraz „święty“, powiada, że samogłoska ta wymawiała się (kto-by się tego spodziewał!)... jak francuskie *an!* Na téjże stronicy, nieco wyżéj, mamy i podział na spółgłoski własnego wynalazku p. Brezy. Nie słyszał znać autor nigdy i o własności iloczasowéj języka staropolskiego, skoro nietylko nigdzie nie powołuje się na tę własność, ale nawet na str. 62, przepisując alfabet Parkosza, opuszcza to, co jest właśnie najważniejszém. Parkosz pisze: *e*=breve, *ee*=longe; *a* = breve, *aa* - longe i t. d., czego wcale niéma na str. 62, tylko napisano: „*a—a, å—aa*“. A co znaczy to podwajanie, autor ani słówkiem nigdzie nie wyjaśnia. Nieposzanowanie staropolszczyzny widzimy w odpisach, oraz rozbiorach zamieszczonych w książce ustępów. Przedewszystkiém p. Br. nie rozróżnia psalmu L-go od kodeksu „floryańskiego“ (psałterz Małgorzaty), bo wprost mówi (str. 46): „psalm pięćdziesiąty, *zwany także* psałterzem Małgorzaty. albo lepiéj psałterzem floryańskim“. A przecież psałterz składa się nie z jednego psalmu L-go, ale z bardzo wielu innych... Po tém wszystkiém niéma prawie potrzeby dodawać, że p. Br. owego psalmu L-go (t. j. tak zwanego rękopismu Świdzińskiego, oraz rękopismu Medyckiego, a może i całego psałterza floryańskiego), nigdy nie widział, odpisał tylko z "dodatków“ Maciejowskiego psalm L-ty. Nadto w odpisie tym przeinaczał formy, skracał lub dodawał głoski. Tam np. napisano: „*welikiego*“, on pisze: *wielkiego*; *ot grzecha*—on: *od grzechu*; tam: *zgrzeszył gesm*, on: *zgrzeszył jestem* i t. d. podobne dziwolągi językowe. Toż samo cudactwo i w Bogarodzicy. Autor daje nawet swoje komentarze; tak np. formę aorystu *bychom* tak wykłada: „stary kształt mowy, jak wiele zakończeń bezokolicznych, zam. na *m*, kończą się na *ch*.“ (str. 51).

Co gorsza, podaje autor Ojcze-nasz własnego układu, mające być lingwistyczną fotografią języka polskiego, wprost z czasów Bolesławowskich, i opatruje ją takim komentarzem: „cokolwiek jednak powiedzą ci, którzy tylko stary pergamin za prawdę uważają, nie odstraszy nas to przecie od domyślania się, jakiém mogło być Ojcze-nasz za czasów Bolesławowskich, a więc niedługo po zaprowadzeniu chrześciaństwa“ (str. 46). A jednak improwizacya była zbyteczną, posiadamy bowiem odpis modlitwy z czasów Piastowskich, potrzeba było tylko coś zasłyszéć o Janie Sylwanie Polaku [1]), porównać wreszcie swój układ modlitwy pańskiéj z jednym z „dodatków“, zamieszczonych w „Piśmiennictwie“ Maciejowskiego, z którego autor odpisywał inne ustępy staropolszczyzny. A tam przecie zamieszczona jest kopia druku ksylograficznego (z r. 1475). Jeżeli tedy tam jest: „otcze nasz, *genz* jest na niebesach“ i t. d; to w czasach Bolesławowskich na żaden sposób nie mogło być ani „*któryś*“, ani „*chtoryś*“, jak chce mieć p. Breza. O innych zabytkach Piastowskich mówi już autor ogólnikowo, bez rozbioru, a najniedokładniejszą jest informacya o dwu najważniejszych (z w. XV) pomnikach, t. j. o Biblii Szaroszpatackiéj i Modlitwach Wacława. O pierwszéj nie mówi, z czego Biblia się składa, ani co tam za treść opracowania Małeckiego. Przy Modlitwach Wacława niéma nie tylko wspomnienia H. Sucheckiego, ale nawet półsłówkiem nie nadmienia o L. Malinowskim, którego wydawnictwo przecie na swój czas było szematem wzorowym tego rodzaju opracowań lingwistycznych. Co się zaś tyczy czasu wydania, to autor wprowadza w błąd czytelnika, mówiąc, że Akad. Um. wydała go w Krakowie w r. 1870, kiedy powinno być: *w r. 1875.*

Słuszność wyznać nam każe, że głównie błędy piętrzą się na początku dzieła (t. j. na pierwszéj setce stronic). W dalszym ciągu p. Breza kompiluje z tego lub owego autora, niekiedy trafnie, niekiedy zaś nie da pisarzowi odpowiedniego stanowiska, a przedewszystkiém nie udziela dobrych imformacyi bibliograficznych swojemu samoukowi. Tak np., mówiąc o takim pisarzu, jak Ł. Górnicki, nie wymienia żadnéj monografii, tyczącéj się tego pisarza; drugi raz wymienia wprawdzie, ale tak niedokładnie, że nieświadomy czytelnik odszukać tych źródeł nie może, skoro autor nagiemi nazwiskami się posługuje, mówiąc np. „O Reju pisali: Bełcikowski, Kraszewski, Nehring, Zawadzki, Chmielowski“. Ale co pisali i pod jakim tytułem — nie wiadomo; albo np. przy Skardze wymienia nazwisko Dzieduszyckiego (bez imienia), a nie wspomina ani tytułu téj pracy, ani pseudonimu,

[1]) Patrz „Historya prozy polskiéj“ Antoniego Popliñskiego Leszno, 1838. Str. 12; są téż odpisy w „Bibl. ksiąg dwoje“ i w „Wypisach Galicyjskich“ w T. I.

który figuruje w tém dziele. Mówiąc o Kochanowskim, wspomina o kilku jego monografistach, zupełnie zbytecznie wymienia szereg wszystkich pojedyńczych opracowań w wydawnictwie jubileuszowém pism Kochanowskiego; a natomiast zapomina o tém, że hr. Tarnowski napisał o nim największą monografię.

W ogólności zaś powiedzieć można, że to, co autor sam przeczytał, traktuje zbyt obszernie, robi wyimki lub streszcza dzieła zanadto rozwlekle, jak to czyni z Rejem, Kochanowskim, Skargą, Zabłockim, a przedewszystkiém z Paskiem (pasowanym przez p. B. na znakomitego polityka), który przecie tak powszechnie znany, nawet dzieciom, gdy, oprócz wydań naukowych, mamy streszczenie dla dzieci, napisane przez J. Laskarysa. O innych zaś pisarzach, nawet pierwszorzędnych, zaledwo się tu wspomina. Proszę np porównać tegoż Paska ze stojącym tuż obok Starowolskim. Nie mówiąc już o dziwnéj ocenie stanowiska w literaturze tego pisarza (należéć on miał „do szkoły t. zw. *encyklopedystów!*"), wylicza autor nagich kilkanaście tytułów, tak ułożonych, że drobne broszury, jak np. „*Dwór*" idą obok „Reformacyi", jak gdyby dzieła jednéj doniosłości. Toż samo powiedzieć można o innych pisarzach. Miaskowski np., tak wydatne zajmujący stanowisko, „opracowany" tu w kilkunastu wierszach, Szymonowicz na jednéj stronicy. Niesiecki figuruje jako „dość poprawny stylista". O Jędrzeju Morsztynie mówi zbyt krótko i nieco chaotycznie: czytelnik nie dowie się nawet o wydaniu, niedawno zrobionem przez Akademię Umiejętności „*Lutni*" jego, opracowanéj przez W. Seredyńskiego i t. d.

Zamykając nasz sąd o „Literaturze polskiéj" p. Br., powtarzamy, że gdyby autor wyrzekł się był nowatorstwa, a w zasadach estetycznych impresyonizmu *sui generis*, byłby ułożył kompilacyjną książkę i nie gorszą od kilku już znanych dotąd nam elementarnych dziełek o literaturze; a w takim kształcie była-by ona może przydatna dla uczącéj się młodzieży.

Jeżeli książka p. B. doczekać się może drugiego wydania, dobrze by uczynił autor, żeby wszedł na skromniejszą drogę pisarza podręczników, od którego nowatorstwa żadnego się nie wymaga, a natomiast jasność, prostota i umiejętne a systematyczne obejrzenie całości nieodzownym jest warunkiem.

Antoni Bądzkiewicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ubiegły miesiąc można-by nazwać oratorskim. Ministrowie czterech wielkich mocarstw zabierali głos i omawiali stosunki międzynarodowe. Nadto mówił o nich i cesarz Franciszek Józef z okazyi otwarcia sesyi delegacyi wspólnych. Przemówienie cesarza austryackiego było nawet mniéj optymistyczne od tych, jakie publiczność europejska przywykła słyszéć z wysokości tronów. Wzmiankował cesarz o ciężarach zbrojnego pokoju, trudnych do dźwigania; o niebezpieczeństwach, grożących pokojowi, a które, pomimo najlepszych chęci wszystkich mocarstw, nie zostały dotychczas zażegnane. Jakie sprawiło to w Wiedniu wrażenie, pokazało się w parę dni późniéj, kiedy jeden z dzienników, wprowadzony przez kogoś w błąd, ogłosił wiadomość o rozmowie cesarza z posłem Jaworskim. Umysły były tak już podniecone, że nikomu nie przyszło do głowy zadać sobie pytania, czy wiadomość jest prawdziwą, czy jest choćby prawdopodobną. Odrazu wybuchła w mieście panika, która na giełdzie ujawniła się zawieszeniem sesyi, wylęknieni bowiem spekulanci rozbiegli się do domów, sądząc, że jeśli wojna nie została jeszcze wypowiedziana, to będzie wypowiedziana lada godzina.

Takiemu usposobieniu Wiedeńczyków i takiéj z ich strony przesadzie można się zresztą nie dziwić, jeśli się zważy nowość objawu, który je spowodował. Kanclerz niemiecki, generał Caprivi wypowiedział w tych dniach następujące zdanie: „gdybym dowodził wojskiem

i wiedział, że jutro będzie się ono biło, jeszcze dziś w nocy pozwolił-bym mu spać spokojnie: sądzę, że publicysta, który wierzy w bliskość wojny, powinien-by zachować się podobnie i nie niepokoić przed czasem handlu i przemysłu, przez to bowiem osłabiał-by je i podkopywał-by podstawy dobrobytu, na których trzeba-by się oprzeć w razie wybuchu.“ Publicyści europejscy nie zawsze i nie ściśle trzymali się powyższego przepisu; nie wszyscy bowiem uważali go za trafny. Ministrowie już go obserwowali staranniéj i z wyjątkiem chwil, kiedy czuli się zmuszeni wspominać o niebezpieczeństwach, dla uzyskania pieniędzy na ich zażegnywanie, zachowywali się zawsze, jak ów dowódca Capriviego: milczeli, albo zapowiadali pokój nawet w dniach, o których, kiedy minęły, przyznawali sami, że były do przebycia bez wybuchu wojny trudne Ale jeśli ministrowie przeważnie trzymali się zasady owego dowódcy, stosowali się do niéj bezwzględnie panujący. Publiczność liczyła zawsze z góry na to, że słowa panującego nie będą inne, jak pokojowe, t. j. zapowiadające i miłość pokoju, i pewność jego utrzymania. I dlatego to, choć cesarz Franciszek-Józef wypowiedział w gruncie rzeczy mowę najzupełniéj pokojową, — okoliczność, że były w niéj słowa, jakich się nie spotykało dawniéj, że była wzmianka o złem, które się dawniéj osłaniało milczeniem, zdziwiła opinię publiczną, a w końcu i zaniepokoiła. Pytano się, dlaczego cesarz odstąpił tym razem od utartéj praktyki? Co go spowodowało, że zamiast zamknąć się w urzędowym optymiźmie, wzmiankował o trudnościach i niebezpieczeństwach położenia ogólnego? Prasa zaczęła szukać, i zdawało się jéj, że znalazła powody, bądź to w zbliżeniu Rossyi i Francyi, bądź w nadwerężonych ostatniemi czasy stosunkach russko-niemieckich, bądź w innych rzeczach. Mając zaś już i przyczynę złego, i domniemane jego stwierdzenie w przemowie cesarza do delegacyi, publiczność, zdziwiona zrazu, wpadła następnie w gorączkowy niepok j.

Ten ostatni powoli obniża swój poziom. Nad podcięciem mu skrzydeł pracował gorliwie hr. Kalnoky, którego mowy delegacyjne starannie kładły balsam na podrażnione obawą umysły. Pod wrażeniem uspakajających mów Kalnokiego, zaczęto sobie przypominać również pokojowe a bardzo niedawne zapewnienia margrabi Rudiniego i lorda Salisburego, o których, po przemówieniu cesarza do delegacyi, przestano na razie pamiętać. W chwili obecnéj do tych wszystkich głosów, zwiastujących pokój, dodać trzeba i mianą przed kilku dniami w parlamencie niemieckim mowę kanclerza Capriviego, i pokojowe odezwanie się cesarza Wilhelma do prezentującego mu się oddziału rekrutów. Nie można wobec tych danych wątpić, że, jak owi żołnierze, którym wódz nie mówi o walce, powinniśmy liczyć, iż prze-

śpimy noc spokojnie, iż wojna, acz zawsze możliwa, nie grozi zaraz wybuchem, iż, słowem, pokój, jak trwał, tak jeszcze i nadal czas jakiś potrwa. Nowość tonu w przemowie przy otwarciu delegacyi nie zwiastowała bynajmniéj nagłości niebezpieczeństwa. Była ona co najwyżéj jego wyznaniem przez sfery, które dotychczas unikały w tém otwartości. Dlaczego ten nowy ton został użyty, to, ściśle biorąc, jest aż dotąd niewyjaśnioną zagadką, którą można różnie rozwiązywać. Był on potrosze ostrzeżeniem, potrosze skargą. Odbiło się w nim echo poczucia, że wiszą nad Europą nieuniknione zawikłania. Ich nieodwołalność raczéj, niż ich blizkość, natchnęła słowa cesarskie. Z pewnością słowa te nie były wypowiedziane bez racyi i bez celu, zwłaszcza, że rozumiéć musiano na właściwém miejscu, iż, przy obecném położeniu ogólném, publiczność jest na wszelkie oznaki pessymizmu wielce wrażliwą. Na czém wszakże cel ów i owa racya polegały, to, wobec stanowczych pokojowych zapewnień Kalnokiego i Capriviego, nie dość się jeszcze w téj chwili jasno przedstawia. Przyszłość niezawodnie cienie te rozświetli.

Wspomnieliśmy o mowie kanclerza Capriviego w parlamencie niemieckim. Była ona jednym z ciekawszych epizodów ubiegłego miesiąca. Kanclerz Caprivi jest w polityce człowiekiem nowym. Przed dwoma laty sam on zapewne nie marzył, że wypadnie mu trudnić się dyplomacyą, zawierać traktaty polityczne i handlowe, przemawiać z trybuny do parlamentów. Raptem wszystkie te zadania i obowiązki spadły na niego. Jak się z nich wywiąże? Pamiętać należy, że urząd kanclerza Rzeszy niemieckiéj jest stanowczo najuciążliwszym ze wszystkich ministeryalnych w Europie, ze względu na rozległy zakres kompetencyi i odpowiedzialności Niejeden fachowy dyplomata cofnął-by się przed takim ciężarem. Za czasów ks. Bismarcka mówiono o reformie urzędu kanclerskiego, któremu po zgonie tego olbrzyma nikt nie będzie zdolen, jak przypuszczano, podołać. Jakoż złośliwi, na widok nominacyi Capriviego, twierdzili, że podjął się on obowiązków dlatego tylko, iż, jako nowicyusz, nie zdaje sobie z nich sprawy. Wszyscy mniéj więcéj byli zdania, że nowy kanclerz, nie mający w polityce doświadczenia, ani dość rozległych wiadomości, wybrany został przez cesarza z tém, żeby mu służył niejako za sekretarza. Pamiętano wyrażenie Bismarcka, że „cesarz będzie sam swoim kanclerzem.“ Witano tedy w dyplomacie, kreowanym z żołnierza, ślepego wykonawcę wyższéj woli, co po bardzo samodzielnym poprzednim kanclerzu zmniejszało urok nowego dostojnika.

Przy tém wszystkiém zapominano o jednéj ważnéj rzeczy, a mianowicie, że kanclerz rzeszy, żeby nawet chciał być tylko sekretarzem cesarskim, co jest niemożliwe, potrzebuje wielkiego zasobu

i przytém bardzo różnostronnych uzdolnień; że gdyby cesarz niemiecki chciał mieć w kanclerzu tylko wykonawcę swoich zleceń, ten wykonawca musi być człowiekiem niepospolicie rozległego umysłu i wielkiéj wytrwałości w pracy, jeśli ma podołać swoim obowiązkom. Cesarz Wilhelm miał widocznie pod wszystkiemi temi względami zaufanie do swego generała, skoro go wybrał; szeroka publiczność w Niemczech i za ich granicami czekała na fakta, usprawiedliwiające to zaufanie.

Upłynęło dwadzieścia miesięcy od czasu nominacyi p. Capriviego i dziś nawet przeciwnicy jego polityczni w Niemczech oddają sprawiedliwość wysokim jego przymiotom. *Gazeta Kolońska*, pomimo ustawicznych ataków na politykę rządową, po ostatniéj mowie Capriviego oświadczyła, iż uważa to za szczęśliwe zrządzenie losu, że urząd kanclerza piastuje „dżentelman pełen spokoju i chwytnéj inteligencyi.“ Jakoż niezawodnie, w nowym kanclerzu Niemiec zarysowała się interesująca osobistość polityczna. Gładki w obejściu, prawy w zasadach, zyskał sobie życzliwość ogólną, jako człowiek; taktownem, spokojném i umiejętném traktowaniem spraw dyplomatycznych obudził ku sobie ufność kół politycznych, jako mąż stanu. Parlament ceni w nim wymowę jasną, płynną i zabarwioną miłym humorem. Ostatnie przemówienie kanclerza, miane w dniu 27 Listopada, zjednało mu pochwały, jako zręcznemu politykowi, zarówno w Berlinie, jak w Paryżu, co wiele znaczy i co potwierdza, że się cesarz powodował w wyborze dobrém przeczuciem.

Celem mowy Capriviego było zwalczenie szerzonego przez prasę Bismarkowską pessymizmu. Kanclerz przeszedł wszystkie po kolei zarzuty, tak w zagranicznéj, jako i wewnętrznéj polityce, i starał się wykazać, że szerzone przez owe dzienniki alarmy, iż pod nowym rządem Niemcy staczają się w jakąś przepaść, są nieuzasadnione. Caprivi o tyle cel osięgnął, że nawet narodowo-liberalni posłowie, jak dr Buhl, oraz konserwatywni, wyznali, iż mowa kanclerska „przyczyni się częściowo do uspokojenia opinii publicznéj.“ Że atoli prasa dawnych stronnictw kartelowych nie wyrzeknie się i nadal swéj taktyki, to nie ulega wątpliwości. O to zresztą nie mogło nawet chodzić kanclerzowi. Rząd powinien się starać, aby oddziaływaniu pessymistycznemu na umysły było przeciwstawione oddziaływanie dodatnie, zarówno w prasie, jak na trybunie parlamentarnéj. Oba te prądy muszą być obok siebie; rząd nie potrzebuje całkowicie wytępiać pierwszego i może najspokojniéj poprzestać na tém, że propaganda pessymizmu trzyma się w ciasném kole rozbitych przez ostatnie wybory do parlamentu kartelowców. Dla utrzymania jéj i na przy-

szłość w tych granicach, wystąpienia takie, jak ostatnia mowa Caprivi'ego, najzupełniéj wystarczają.

Pomijamy szczegóły jéj. Pozwolimy sobie wszakże przytoczyć tutaj wyjątek, dotyczący polityki ogólnéj. Przechodząc do niepokojów, szerzonych z powodu przyjęć floty francuskiéj w Kronsztadzie, mówił p. Caprivi co następuje: „Zaniepokojono się także z powodu, że flota jednego z naszych sąsiadów przybyła do portu drugiego i była okazale przyjęta. Dawano do zrozumienia, że to się stać nie było powinno, i że tylko przy obecnym rządzie w Niemczech takie rzeczy w polityce są możliwe. Ale w istocie nie wiem, co czynić mamy, kiedy inni podają sobie ręce. Nie my téż spowodowaliśmy zjazd kronsztadzki. Insynuowano w prasie, że ponieważ myśmy odnowili przymierze potrójne, więc odpowiedziano nam Kronsztadem. My odnowiliśmy przymierze potrójne na długo przed Kronsztadem. Z okazyi tego odnowienia za wiele u nas może bito w dzwony; to skłoniło innych, że także uderzyli w dzwony. Atoli w istocie rzeczy przez odnowienie przymierza potrójnego nic się nie zmieniło w stosunku naszym do wschodniego i do zachodniego sąsiada. Przez zjazd kronsztadzki jaśniéj się tylko objawił oczom szerokiéj publiczności stan, który istniał już oddawna. W ósmym lat dziesiątku brałem udział w pracach pruskiego ministeryum wojny i już wówczas była mowa o wojnie na dwóch frontach. Ministeryum wojskowe ma obowiązek brać pod rozwagę wszelkie możliwe kombinacye; to téż i tę poddaliśmy badaniu i przedsięwzięliśmy wielką ilość jawnych środków, że tylko wspomnę tutaj dyslokacye wojsk w prowincyach wschodnich. Te oparte były na przypuszczeniu, że kiedyś może przyjść do wojny na dwóch frontach. Żeby jednak wojna taka stała się na jeden cal bliższą nas przez wypadki kronsztadzkie, nie sądzę. Nie mogę prorokować. Możliwém jest, że przyjdzie do wojny i że będziemy ją mieli na dwóch frontach; żeby jednak Kronsztadt dawał racyę i prawo do niepokojenia się bardziéj niż przedtém, temu stanowczo przeczę. Jestem najgłębiéj przekonany, że intencye rządu russkiego są jak najbardziéj pokojowe. Jestem również przekonany, że żaden rząd nie może sobie życzyć wybuchu wojny. Świadomość, że przyszła wojna będzie miała bardzo poważny charakter, umocniła się na całym świecie, i sądzę, że niéma rządu, który gotów byłby lekkomyślnie ją wywołać. Im silniejszy jest rząd, tém będzie zarazem skłonniejszy do tłumienia w kraju wojennych zapędów i do usuwania powodów, które przy niezręcznem traktowaniu mogły-by spowodować wybuch. Cieszę się téż, że wschodni i zachodni nasi sąsiedzi mają silne rządy. Nie było-by zapewne przyszło nawet do wizyty kronsztadzkiéj, gdyby Rossya nie była przekonaną, że rząd dzisiejszy we Francyi posiada dość powagi i siły, aby się można było na niego spuścić.“

Wyrazem zaufania wzajemnego Rossyi i Francyi, o którém mówił Caprivi, świadectwem nowém zbliżenia się ich, był pobyt w Paryżu russkiego ministra spraw zagranicznych, p. Giersa. Serdeczne przyjęcie, jakie go tam spotkało, długie, po kilka godzin trwające konferencye, jakie odbywał z prezydentem rzeczypospolitéj i z ministrami, zwracały ogólną uwagę. P. Giers był przedtém w Monzy, gdzie widział się z królem Humbertem i z Rudinim; w powrocie zaś z Paryża bawił w Berlinie i miał posłuchanie u cesarza. Te jednak włoskie i niemieckie odwiedziny, według zgodnych głosów pism półurzędowych, były zupełnie przypadkowemi. Tam był na kuracyi, tędy przejeżdżał. Jako minister wielkiego mocarstwa, był podejmowany z wielką uprzejmością. Waga polityczna podróży p. Giersa leży w wizycie paryskiéj. Jeśli nie rozszerzyła ona zakresu łączności politycznéj obu państw, to w każdym razie zacieśniła nawiązane już węzły przez osobiste zetknięcie się mężów stanu i omówienie spraw, które dotąd traktowane były przez ambasadorów i wysłanników nadzwyczajnych.

Tegoroczny niedobór w produkcyi rolnéj stał się na długo sprawą żywotną, tém bardziéj, że jest ściśle złączony z innemi objawami życia społeczno-ekonomicznego. Mówi o nim nietylko prasa, nietylko szlachcic, chłop, rzemieślnik, wyrobnik, urzędnik; mówią także fabrykanci, kupcy, przedsiębiorcy, świat finansowy, przedstawiciele giełdy i instytucye dobroczynne. Niedobór wpłynął na kurs rubla, rozgorączkował rynki zagraniczne i nawet oddziałał na produkcyę fabryczną, stał się regulatorem w wytwarzaniu pewnych gatunków towaru, stosownie do potrzeb mas całych. Zrobiło to nawet pewien poplоch w sferach interesowanych, który się odbił na szpaltach organu południowo-russkiego p. t. *Južnyj Kraj*. „Pod wpływem zastoju handlowego—mówi to pismo—wywołanego przez słaby obecny rozwój stosunków handlowych wiejsko-gospodarczych, fabryki nadwiślańskie zmniéjszyły swą wytwórczość; ale teraz, gdy się pojawił popyt ożywiony na towar dla włościan, gdy zabrakło już gotowych zapasów polskich tanich towarów bawełnianych, okazuje się, jak daleko zaszedł zbyt polskich bukskinów, barchanów, chustek ciepłych i t. p. towarów dla włościan, i jak wielki jest popyt na nie wśród nabywców, oddających im pierwszeństwo przed moskiewskiemi: Trwałość, taniość i piękność rysunku, dają przewagę polskim towarom bawełnianym przed moskiewskiemi. Polski bukskin, jak to widać było na tegorocznym jarmarku „pokrowskim“ w Charkowie, sprzedawany jest taniéj od moskiewskiego i posiada rysunek lepszy, a barchan polski odznacza się tą miękkością, grubością i rysunkiem, które się podobają i robotnikowi

na koszulę, i babie na spodnicę. Barchan moskiewski odrobiony jest czyściéj, ale zbyt lekki i cienki w porównaniu z polskim, dlatego nie czyni załość potrzebom robotnika i włościanina; prócz tego - jest droższy". Z tego powodu, wedle zapewnień pisma powyższego, nawet brak na jarmarku charkowskim towarów łódzkich nie wpłynął na zwiększenie zbytu moskiewskich, gdyż nabywcy sądzą, że te nie mogą zastąpić łódzkich. Brak ten przyczynił się tylko do podskoczenia ceny towarów łódzkich o 15%. Szeroko wyroby polskie rozpowszechniły się nietylko w gub. orłowskiéj i woroneskiéj, ale jeszcze bardziéj w Noworossyi, Bessarabii, Krymie i na Kaukazie. Uwagi organu charkowskiego wywołały i komentarze liczne w prasie russkiéj. Jeden z dzienników twierdzi, że w Łodzi, i wogóle wśród fabrykantów w całém Królestwie Polskiém, jeszcze w zimie zwócono uwagę na tę okoliczność, iż oziminy w najurodzajniejszych guberniach russkich ucierpiały, i że dlatego, nawet w razie zadawalniających zbiorów zbóż jarych, środki nabywcze ludności włościańskiéj muszą się zmniejszyć w najbliższym roku gospodarczym. „Wskutek tego—mówią *Birżewyja Wiedomosti*—fabrykanci nadwiślańscy przez całą zimę i wiosnę roku bieżącego wyrabiali tylko towary tanie, bardzo racyonalnie licząc na to, że, przy ograniczeniu środków pieniężnych, tylko te właśnie tanie towary, bez względu na gatunek, mogą znaleźć nabywców. Fabrykanci zaś moskiewscy, sądząc z powodzenia droższych gatunków w latach urodzajnych, zwrócili całą swoją uwagę na wyrób przez zimę towaru droższego. Leży on dotąd niesprzedany, a jeżeli można zauważyć w Moskwie jaki taki popyt na przedmioty tkackie, to zaledwie na gatunki najpośledniejsze". To samo pismo charakteryzuje w ten mniéj więcéj sposób stan przemysłu łódzkiego: Podczas gdy z Moskwy donoszą o wielkim zastoju w interesach, o znacznych i drobnych upadłościach, „spowodowanych przez niepomyślną sprzedaż odleżałego towaru", wszystkie otrzymane z Łodzi wiadomości świadczą o silném ożywieniu przemysłu miejscowego, wyrażającém się w popycie szczególnie na bajki i na tanie gatunki barchanu. Przed składami fabryk, które wyrabiają tego rodzaju towary, można widzieć codzień spore gromady kupców, którzy przybyli do Łodzi z gubernii środkowych, „oczekując z niecierpliwością, aż ujrzą nareszcie wozy, naładowane zakupionym towarem". Mimo nieurodzaju, który dotknął ośmnaście gubernii, i cen wysokich na zboże, co zmniejszyło środki do nabywania towarów wśród ludności w guberniach pozostałych, „fabryki łódzkie mają dostatek na całą zimę i nie będą potrzebowały zmniejszać swéj wytwórczości". *Dziennik łódzki* twierdzi jednak, że nie jest tak świetnie, jak się zdaje...

Większy alarm, niż powodzenie towarów łódzkich, wywołał zakaz wywozu pszenicy. Pomimo, iż pogłoski o tém krążyły uporczywie od dawna, pomimo, iż oczekiwano z dnia na dzień téj chwili stanowczéj, wiadomość, która w jednéj godzinie rozbiegła się wszędzie po drutach telegraficznych, wywołała w świecie kupieckim piorunujące wrażenie. Dla dokończenia interesów dano niewielki termin, — tylko trzydniową zwłokę na wywóz, jeżeli transport jest przeznaczony dla dopełnienia ładunku statków, rozpoczętego przed ogłoszeniem ukazu, i jeżeli przedtém wyprawiono towar za granicę kolejami żelaznemi. Ograniczenie to oddziała na rynki obce silnie, ale nie nagle, dzięki uprzedniéj przezorności. Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj miały w roku bieżącym wyjątkowo obfity zbiór pszenicy. Otóż Anglia, Francya i Niemcy, otrzymując ciągle wieści o nieurodzaju, postarały się zawczasu o znaczne zapasy zboża amerykańskiego, tak dalece, iż dziś jeszcze rynki są przeładowane. Pomimo to, ceny pszenicy na targach amerykańskich są obecnie o wiele wyższe, niż w roku zeszłym, bardzo niepomyślnym dla Ameryki pod względem urodzajów. Dowodzi to, iż praktyczni i przewidujący Amerykanie rozumieją doskonale położenie ogólne Europy, wiedzą dobrze, iż zapasy, przedtém u nich zakupione, wystarczą zaledwie na kilka tygodni, i dlatego nabywców europejskich obarczają bardzo ciężkiemi warunkami. Dotąd Rossya była najgroźniejszą współzawodniczką Stanów Zjednoczonych na rynkach zachodnio-europejskich. Dziś sama się cofa, ze względu na własne potrzeby. Ameryka nie omieszka wyzyskać téj okoliczności na swoją korzyść. Jeżeli zatém w chwili obecnéj rynki europejskie nie odczuwają bardzo wstrzymania wywozu pszenicy z Rossyi, poczują to dotkliwie za parę miesięcy. Zwyżkowcy mają obszerne pole do swych operacyi i prawdopodobnie postarają się wyśrubować z czasem ceny przenicy do takiéj wysokości, jak żyto po uprzednim zakazie wywozu. Czy nasi spożywcy otrzymają niskie ceny, będzie to zależało od usposobienia i energii naszych spekulantów, których można zaliczyć do niespokojnych i niewytrwalych działaczy. Oto jest próbka ich działalności, która się wyraźnie ujawnia w fakcie, zanotowanym przez *Gazetę Polską*. W Witebsku, gdzie wywóz zboża wywołał niepokój i wrzenie, cena żyta wynosi rs. 1 kop. 50 za pud, t. j. przeszło dwa razy więcéj, niż w warunkach normalnych. (Dawniéj płacono tam nawet 40 kop. za pud). Nie pochodzi to wcale z braku żyta, gdyż w całéj gubernii jest zupełnie wystarczająca ilość. W mieście tém płacą dziś o wiele drożéj za chleb, niż w miejscowościach, dotkniętych nieurodzajem. P. Pawłowski, korespondent *Gazety Polskiéj*, w liście otwartym do p. Suworyna w *Graždaninie* dowodzi, iż do nadmiernego podrożenia zboża przyczyniła się bezwiednie prasa, przesadzając sy-

stematycznie wieści o nieurodzaju. Szczególnie stołeczna zadzwoniła gwałtownie na trwogę. Organy zaś giełdowe skorzystały z téj sposobności na rzecz spekulacyi. „Giełda nie spodziewała się—pisze p. Pawłowski,—że wszystkie organa prasy, z pobudek czysto humanitarnych, wyświadczą jéj pomimowoli tak nieocenioną usługę“... „Jakież-to smutne u nas pojęcie o Rossyi, o jéj urodzajności i o tém, że jest spichlerzem Euroby, jeżeli możemy wierzyć, że w roku bieżącym niedobór wywołał głód nie tylko w powiatach pojedyńczych, ale w całém państwie, i że z tego powodu ucierpiał „cały ustrój finansowy, cały budżet!...“ Dla usunięcia klęski nieurodzaju i zapobieżenia jéj na przyszłość, p. Pawłowski radzi wprowadzić podatek dochodowy. Taki podatek, zdaniem jego, dał-by skarbowi środki na obsianie pól i wyżywienie ludności w latach nieurodzaju. Wszelkie zaś środki nadzwyczajne, jak zakaz wywozu, były-by wobec tego zbyteczne.

Jakkolwiek od Królestwa Polskiego widmo głodu jest jeszcze daleko i tylko ceny wysokie mogą nas straszyć,—tu i owdzie przedsięwzięto środki ostrożności, które nigdy nie zawadzą. Są projekta zakładania spichrzów gminnych, z których w razie niedostatku ludność małorolna i bezrolna mogła-by czerpać środki żywności. Rok niepomyślny wpłynął na ożywienie u nas sprawy oficyalistów, urzędników miejskich i wiejskich, tudzież służby folwarcznéj. Téj ostatniéj p. Ludwik Górski niedawno poświęcił w *Niwie* uwag kilka. Zastanawiając się nad uregulowaniem stosunków, autor powiada: „Trzeba nietylko, aby zasługi były regularnie wypłacane, ale żeby zboże, na ordynaryę dawane, było czyste i doborowe, żeby grunt na kartofle był również dobry i dobrze uprawny, jak ten, który służy do użytku gospodarza folwarcznego; żeby utrzymanie krowy było dobre, opał we właściwéj porze dostarczony, a nadewszystko trzeba, aby parobek, mający rodzinę, mieścił się w osobném schludném pomieszkaniu. Ostatni ten warunek bywa częstokroć zaniedbywany. Konserwatyści z przekonań, uznajemy, że podstawą porządku społecznego jest poszanowanie wiary, rodzinny i własności,—a skupiając w ciasnéj izbie kilka rodzin, podkopujemy podstawę rodzinnego życia, a podniecamy do swarów i kłótni...“ W sprawie uregulowania stosunków służbowych znajdujemy, również zasługujący na uwagę, projekt p. Frydra ze Sławina w *Gazecie Rolniczéj*. Radzi on wprowadzić na wsi to, co istnieje już w miastach: książeczki służbowe, różniące się atoli znacznie od miejskich. Książeczka taka powinna mieć trzy działy: pierwszy dla zanotowania przyjęcia do służby, z wyraźném określeniem: jak się zgo-

dził, czy sam, czy z czeladzią, i do czego w szczególności się zobowiązał. Drugi—dla określenia zobowiązań pracodawcy względem służącego; trzeci—dla wpisywania świadectw. Ostatnie karty powinny być porubrykowane, tak, iżby w pierwszéj rubryce zapisywać można było, ile lat w danym folwarku służył, w drugiéj — jak obowiązek przyjęty na siebie wypełnił, w trzeciéj — czy miał ze zwierzchnikiem zatarg sądowy i jaki wyrok w téj sprawie zapadł. Pomijamy inne szczegóły projektu; podaliśmy tylko jego treść zasadniczą, ze względu na wielkie znaczenie téj nowości, która, gdyby jednozgodnie była przyjętą, mogła by znacznie wpłynąć na wygładzenie stosunków między pracodawcą i służbą folwarczną. „Uwolniło-by to nas przedewszystkiém—powiada projektodawca—od zmian niepotrzebnych, gdyż służący namyśliłby się wprzód dobrze, zanim-by wziął zadatek, wiedząc, że wzamian zaraz musi oddać książeczkę do rąk godzącego“. W razie zatargu, dowód taki stanowił-by prawną podstawę dla sądów gminnych i usunął-by gmatwaninę niepotrzebną. Stosunki tak poprawione — powiada p. F.—wpłynęły-by na umoralnienie i poprawę służących i, z drugiéj strony, zmusiły-by także chlebodawców do sumiennego wypełniania przyjętych na siebie zobowiązań“. W związku z tém zostaje inny jeszcze projekt tego samego autora: wprowadzenie przysięgłéj straży polowéj, na wzór istniejącéj we Francyi (*garde champêtre*). Obowiązkiem takiego strażnika było-by zajrzéć przynajmniéj raz na tydzień do każdéj wsi w zakresie jego dozoru, wysłuchać zażaleń o szkody, sprawdzić, jak służba się sprawuje. Załatwiał-by on wszystkie pomniejsze sprawy doraźnie na miejscu, nakładał-by w pewnym stopniu kary, a w razie konieczności spisywał-by protokóły i oddawał-by do sądu sprawy ważniejsze. Środek taki niewątpliwie łagodził-by częstokroć zaognione stosunki, miarkował-by z jednéj strony mściwość, niedbalstwo i lekceważenie, z drugiéj zaś zbyteczną porywczość, a ztąd—niesprawiedliwość Przysięgła straż polowa wpłynęła-by także na ochronę dobra publicznego, jak np. drzewka przydrożne, które w wielu miejscowościach kraju nie mogą się uchować. Jakże inaczéj być może tam, gdzie niszczenie takich rzeczy uchodzi bezkarnie i gdzie śród ludu zamiłowanie do hodowli drzew nie istnieje nawet w zarodku? Porównajmy kolonie czeskie, schludne, ładne, tonące w zieleni, z naszemi wioskami, czarnemi, błotnistemi, których całą ozdobą, oprócz ogrodowizny, są słoneczniki i fasola, pnąca się na tykach. Gdybyśmy chcieli we wszystkich szczegółach porównać gospodarkę Czechów z gospodarką włościan naszych, przekonalibyśmy się, że niedostatek naszego ludu częstokroć wynika z jego nieumiejętności wyzyskiwania ziemi, z jego kultury pierwotnéj. Koloniści czescy, którzy od dawna osiedli na Wołyniu, mają domy murowane, plu-

gi żelazne, plantacye chmielu, ogrody owocowe, użyźniają sztucznym nawozem ziemię i z każdéj jéj piędzi osięgają dziesięćkroć więcéj zysku, niż ich sąsiedzi—włościanie. W Królestwie sposób gospodarowania ludu nie wiele się różni od gospodarki włościan wołyńskich, a gleba tutaj bywa częstokroć lepszą, niż tam.

Mamy Towarzystwo ogrodnicze, które wiele już dobrego zrobiło; sądzimy, iż zadaniem jego powinno być między innemi szerzenie śród ludności zamiłowania do ogrodnictwa. Ażeby ten cel w całéj rozciągłości osięgnąć, należało-by mieć na prowincyi kilka filii rzeczonéj instytucyi. Gdyby się one tak łatwo i szybko rozrastały, jak stowarzyszenia śpiewackie i wioślarskie, dotąd jużby niewątpliwie znaczna część naszych wiosek, świecących obdartemi i brudnemi ścianami, tonęła w sadach. W. Ks. Poznańskie pod tym względem wyprzedziło nas ogromnie. Istnieją tam towarzystwa ogrodnicze: kościańskie, śremskie, jarocińskie, gostyńskie i średzkie; obecnie zaś powstał projekt założenia „Centralnego Towarzystwa ogrodniczego na Wielkopolskę“. Złączy ono ścisłym węzłem wyszczególnione powyżéj i rozszerzy zakres działalności. Towarzystwa ogrodnicze w Poznaniu cieszą się ogromną sympatyą i uznaniem, czego najlepszym jest dowodem stały wzrost liczby członków, pośród których spory zastęp jest wytrawnych fachowców. Przyszłe Towarzystwo centralne założy swój własny organ U nas w wielu miejscowościach, o ile wiemy, łatwiéj jakoś się przyjmuje hodowla morw i jedwabników, niż uprawa drzew owocowych, zarówno atoli jedna, jak i druga gałąź gospodarstwa drobnego, jako dodatkowe zajęcie, przy pewnéj staranności, może dać niezle zyski ludziom niezamożnym. O ile jednak ogrodnictwo, przy zaszczepioném zamiłowaniu, może być prowadzone o własnych siłach jednostek, o tyle znowu dział przygotowawczy jedwabnictwa—hodowla kokonów, ściśle jest związana z losami Towarzystwa jedwabniczego, które po roku próby nabrało większéj otuchy. Nie posiada ono atoli dotychczas trwałego gruntu, który pozwolił-by mu rozwinąć się należycie. Jak we wszystkich innych przedsiębiorstwach, potrzeba tu znacznego kapitału. Skutkiem szczupłych funduszów, Towarzystwo nabywane kokony odstępuje pozamiejscowym rozwijalniom i fabrykom. O wiele byłby pomyślniejszy rozwój instytucyi, gdyby ona mogła na miejscu wyrabiać jedwab surowy i przędzę, aby następnie dostarczać fabrykom krajowym surowego materyału i chociaż w części wyprzéć zagraniczny. Jednocześnie hodowcy jedwabników mogli-by otrzymywać wyższe niż dotąd ceny za produkowane kokony. To znowu sało-by się niewątpliwie bodźcem do rozpowszechnienia hodowli. Towarzystwo obliczyło, iż wtedy zaledwie będzie mogło założyć własną rozwijalnię, gdy do-

tychczasowa liczba członków co najmniéj *potroi się*. W tym celu ogłosiło publiczną odezwę, zachęcając ogół do zapisywania się na listę członków. Pięć rubli rocznéj składki jest to suma tak niewielka, że, sądzę, przy dobréj woli, znalazło-by się u nas setki ludzi, którzy potrafili-by odrazu utrwalić grunt młodéj a pożytecznéj instytucyi i zarazem dać możność polepszenia bytu ubogich pracowników rolnych.

Zbytecznem było-by dowodzić, iż jedną z najpowszechniejszych i najuporczywszych plag jest alkoholizm, rozrastający się na przyjaznym dla siebie gruncie. W jednéj z poprzednich kronik zaznaczyliśmy walkę z tą klęską za pośrednictwem środków prawodawczych. Obecnie zregestrujemy usiłowania prywatne. Wielki ruch w tym zakresie daje się widzieć w Poznańskiém, gdzie nawet istnieje specyalny organ Towarzystwa szerzenia wstrzemięźliwości. W téj formie walka z alkoholizmem datuje się tam oddawna. Jeszcze przed pół wiekiem prowadził ją „Zwiastun wstrzemięźliwości“, który między innemi zaznaczył przed laty fakt następujący: „W dzień Wszystkich Świętych w kościele śremskim złożyło wielu obywateli, a pomiędzy nimi także i wielkiéj czci godny hrabia Plater, ślub wstrzemięźliwości, czyn, w którego ślady poszło najmniéj osób 80. Dnia 24 Listopada r. b. (1844) zapisało się w kościele kórnickim przeszło 100 osób ze wszystkich stanów do bractwa świętéj trzeźwości. Po-za bractwami, pierwsze Towarzystwo szerzenia wstrzemięźliwości powstało w Kórniku w Lipcu r. 1887. Założyciele zamierzali zrazu utworzyć centralne ognisko swych usiłowań i w tym celu przenieśli siedlisko do Poznania. Niezależnie od tego, zawiązało się w Poznaniu zupełnie odrębne stowarzyszenie pod nazwą „Jutrzenka“. — Następnie w kilku innych miejscach powstały takież odrębne towarzystwa. Różnią się one w zasadach. Dawniejsze, biorące początek w Kórniku, szerzą wstrzemięźliwość bezwzględną, żądają zupełnego zaniechania napojów wyskokowych. Nowe mają na celu tylko *umiarkowanie* w napojach. Rozdwojenie takie daje się również zauważyć i gdzieindziéj Zupełna wstrzemięźliwość ma najwięcéj zwolenników w Norwegii, Anglii, Ameryce i Szwajcaryi, umiarkowanie — w Niemczech, Francyi, Belgii i Irlandyi. Wogóle w całéj niemal Europie pierwsze stowarzyszenia wstrzemięźliwości powstały około r. 1840. Walczyły one głównie przeciwko wódce, najprzystępniejszemu trunkowi i najwięcéj ofiar zabierającemu śród mas ludności, pracującéj w miastach i na wsi. W Niemczech pierwotny ruch w tym zakresie trwał zaledwie lat kilka (do r. 1848). Dopiero w nowszych czasach, z powodu coraz bardziéj szerzącego się

pijaństwa, powstały trzy stowarzyszenia: Niemieckie Towarzystwo przeciwko nadużywaniu gorących trunków, Towarzystwo niebieskiego krzyża, które początek wzięto w Szwajcaryi, i Towarzystwo templaryuszów (*Guttempler*). To ostatnie rozszerzyło się z Danii na Szlezwig i dalsze prowincye niemieckie. Wszystkie trzy nie wymagają od swych członków zupełnego powstrzymania się od napojów, jak np. takie związki na półwyspie Skandynawskim, tudzież w Anglii i Ameryce. Dopiero w r. 1889 powstało w Dreźnie towarzystwo p. n. „Związek przeciwników alkoholu“, (*Alkoholgegnerbund*), żądające zupełnéj wszemięźliwości. Nadto istnieją po całych Niemczech rozsiane towarzystwa obwodowe, działające odrębnie i samodzielnie. O wiele wyżéj sprawa wstrzemięźliwości stoi w Anglii, Skandynawii, Belgii i Ameryce. Prawo, zakazujące produkcyi i sprzedaży wszelkich napojów wyskokowych, znalazło zastosowanie już w siedmiu stanach Ameryki Północnéj: Maine, New-Hampshire, Vermons, Jowa, Kansas, Północnéj i Południowéj Dakocie. Cztery z nich (Maine, Kansas i obie Dakoty), umieściły to prawo w swoich konstytucyach, 16 zaś innych stanów przyjęło prawo (*loi de l'option locale*), pozwalające gminom wiejskim i miejskim wprowadzić u siebie zakaz,—w większości skorzystały już one z tego. Niedawno atoli stany te lub gminy pojedyńcze musiały walczyć z dozwolonym prawnie dowozem alkoholu z innych stanów. W roku przeszłym, na mocy nowych przepisów prawnych, pozwolono oddzielnym stanom uregulować tę sprawę.

Zakaz fabrykacyi, dowozu i sprzedaży wszelkich napojów alkoholicznych na całém terytoryum Stanów Zjednoczonych zajął już miejsce w iżbie wyższéj i niższéj, wprawdzie tylko, jako wniosek senatora Blaira i Picklera. Wyznawcy jednak wstrzemięźliwości nie tracą nadziei, że z czasem całe olbrzymie przestrzenie Unii będą zupełnie wolne od alkoholu do picia. Towarzystwa poznańskie, jakkolwiek nie rozszerzyły praktycznie swéj działalności w takim stopniu, jak pokrewne związki na zachodzie Europy i za Oceanem, starają się atoli werbować zwolenników wstrzemięźliwości co najwięcéj i rozszerzać teoretycznie wstręt do alkoholu. Spełnia to posłannictwo, o ile może, oprócz członków, organ specyalny, bądź przemawiając ze swych szpalt, bądź popierając wydawnictwa broszurek i książeczek popularnych o zgubnych skutkach tego nałogu. Najpospolitszym środkiem, zalecanym dla usunięcia szynkowni, są—kawiarnie. Ruch szerzenia wstrzemięźliwości objawił się także w Rossyi i najgorliwiéj jest popierany przez pewne sekty. Nie ulega wątpliwości, iż stowarzyszenia przeciwpijackie, rozsiane po Europie i Ameryce, wpływają na osłabienie nałogu we wszystkich sferach. Usiłowania te jednakże są

tak małą drobnostką, że gdyby nie sprawozdania, drukowane o tych związkach, i nie pisma ich specyalne, zniknęły-by one niepostrzeżone przez ogół, bez śladu śród olbrzymiego rozwoju produkcyi gorzelniczéj, śród ogromnéj fabrykacyi piwa, wina i koniaków, obok niezmierzonéj masy szynków i śród nieprzeliczonego tłumu piwoszów, opojów, zapełniających szczelnie wszystkie zakłady, od najwykwintniejszych restauracyi z wytwornemi gabinetami i usługą w liberyi, do najzwyczajniejszych, dusznych, brudnych szynków i karczem przydrożnych. Szkic niemieckiego prawa przeciw pijaństwu jest wymownym dowodem, że wysiłki licznych stowarzyszeń wstrzemięźliwości, działających oddawna, są niemal bezowocne.

W związku z powyższą plagą jest lichwa. W ostatnich czasach pisma podają tyle jaskrawych faktów jéj rozwoju u nas, że się dziwić trzeba, jakim cudem ogół nasz dotąd jeszcze nie zbankrutował. Nie chodzi tu już o jednostki; dowiadujemy się, że pracownicy niemal wszystkich instytucyi pozostają w uścisku téj strasznéj gnębicielki. Miałoż-by to świadczyć, iż te instytucye są za słabe, że nie mogą zapewnić pracownikom odpowiedniego do potrzeb utrzymania? Tak źle nie jest, skoro niektóre z nich występują do otwartéj walki z lichwą, płacąc wykup za jeńców. O takim fakcie w Towarzystwie Kredytowém czytelnicy nasi już wiedzą. Obecnie dowiadujemy się z „Kuryera Warszaw.“, iż w pewnym zakładzie przemysłowym (pismo nie wymienia w jakim), pracodawca poświęcił około 15,000 rs. na uregulowanie interesów swych pracowników (18-tu). Wszystkie długi lichwiarskie spłacono, a zwrot kapitału właścicielowi nastąpi w ciągu lat kilku, w ratach bardzo umiarkowanych. Zwierzchnik zachował tylko jedną ostrożność: zebrał od wszystkich pracowników deklaracye, iż więcéj długów takich zaciągać nie będą. Pierwszy areszt, wniesiony na pensyę, będzie wystarczającym do natychmiastowego uwolnienia ze służby.

W inny sposób mają być ubezpieczeni pracownicy kolei Nadwiślańskiéj. Niedawno towarzystwa: „Rossya“ i „Petersburskie“ wystąpiły do rady zarządzającéj z propozycyą asekurowania urzędników na bardzo dogodnych warunkach, które się dadzą zamknąć w następujących czterech punktach: 1) Pracownicy będą zwolnieni przy zawieraniu umowy od opłaty kosztów na administracyę, za polisę i wydatki pocztowe. 2) Świadectwa lekarskie będą wydawane bezpłatnie. 3) Składki miesięczne obliczone będą podług ogólnéj taryfy, z ustępstwem na rzecz urzędników kolei 6%. Służba zaś pociągowa, t. j. maszyniści, ich pomocnicy i palacze, oprócz wyżéj wymienionych 6%,

korzystać nadto będą z ustępstwa 15%, które w całém Cesarstwie doliczane są do taryfy, z powodu niebezpieczeństwa służby. 4) W trzy lata po przystąpieniu do asekuracyi, uczestnicy mają udział w zyskach, które się odliczają od każdéj składki. Zarząd kolei przyjął propozycyę i zawiadomił o tém wszystkich pracowników.

W czasie ogólnych narzekań na biedę, kurczenia się, ograniczenia, oszczędności, nie tylko w warstwach ubogich i średnio-zamożnych, lecz nawet w sferach ludzi bogatych, wszelka ofiara, nie mająca na celu zysków osobistych, lub spekulacyi, połączonéj niby z dobrem publiczném, wzbudza ogromny podziw i szacunek dla tych, od których pochodzi. Ofiarą tego rodzaju jest zapis zmarłego niedawno Władysława Popławskiego. Według zapewnienia „Wieku“, przekazał on testamentem kasie imienia Mianowskiego 35,000 rs. na wydawnictwa fachowych podręczników naukowych. W okresie zastoju księgarskiego i wstrzemięźliwości wydawców, zasiłek taki jest nieocenioném dobrodziejstwem. Chorwaci, (naród skromny i ubogi), mają swoją Macierz, która co rok wydaje książki belletrystyczne i naukowe, tłómaczone i oryginalne; częstokroć wydawnictwa te są imponujące wytwornością i ozdobą, o jakiéj my marzyć nie możemy; a co najważniejsza — książki te są bajecznie tanie i przystępne dla każdego (sześć książek, z których jedna ozdobna — 3 rs.). Ale tam nakładcą najpewniejszym, nie znającym zawodu, jest cały naród. „Matica“ chorwacka liczy setki stałych członków, a nie tylko u siebie, lecz daleko po-za swemi granicami. My nie mamy tak wielkiéj liczebnie firmy wydawniczéj, ale posiadamy kasę Mianowskiego, któréj zadaniem jest popieranie wyłącznie wydawnictw poważnych i przygotowawczych studyów do pracy. O ile wszakże sobie przypominamy, przy jéj pomocy wychodziły książki nie ściśle naukowe, a więc przy większych środkach mogła-by ona rozszerzyć swoją działalność. Jeżeli powyższy zapis przyjdzie do skutku, t. j. jeśli nie zajdą żadne przeszkody do jego przyjęcia, kasa, mając tak znaczną sumę na wydawnictwa ściśle fachowe, mogła-by z innych źródeł popierać przedmioty popularno-naukowe, których, względnie do szybkiego rozwoju wiedzy, brak nam jest wielki, pomimo, iż w ostatnich czasach daje się spostrzegać pewien ruch, chociaż leniwy, w tym zakresie. Polecamy to uwadze kierowników kasy.

Na rzecz téj instytucyi odbył się w ubiegłych tygodniach szereg odczytów popularno-naukowych. Prelegenci, pp: S. Dikstein, Stanisław Kontkiewicz, Bronisław Znatowicz, Jerzy J. Boguski, Stanisław Kramsztyk, Napoleon Milicer, Aleksander Fabian i Władysław Natanson, obrali za przedmiot swych wykładów publicznych różnorodne

dziedziny wiedzy, jak: chemię, fizykę, astronomię, medycynę i przyrodę. Barwny, przystępny wykład, ożywiony odpowiedniemi doświadczeniami, modelami i rysunkami, nadał tym odczytom siłę przyciągającą, tudzież istotną wartość. Tylko z takich prelekcyi nasza przeciętna publiczność, szczególniéj należąca do płci niewieściéj, może wynieść prawdziwy pożytek, większy niż z sekretarza, pisanego na zebraniach towarzyskich u subjektów handlowych. Wprawdzie taki prelegent nie otrzyma złotych spinek, ani rozśmieszy słuchaczy, bo nie ma na celu nic dowcipnego; ale przedewszystkiém chociaż małą cegiełką wzmocni podstawy tak sympatycznéj instytucyi, jak kasa Mianowskiego, i wreszcie nie jednego lub nie jedną nauczy takich rzeczy, o których przed tém nie mieli pojęcia, albo wiedzieli o nich z nazwiska.

Dotąd nie spotykaliśmy nikogo (a przynajmniéj tego nie pamiętamy), ktoby był przeciwnikiem popularyzowania wiedzy, nawet z zakresu medycyny, tém bardziéj, że w tym ostatnim razie jest na celu zaznajomienie ogółu z praktycznemi wskazówkami zachowania zdrowia i zdolności do pracy. Tém więcéj jesteśmy zdziwieni uwagami profesora Hoyera, który potępia przemawianie lekarzy do publiczności za pośrednictwem pism codziennych. Szanowny profesor, pisząc w „Gazecie Lekarskiéj“ o losach „Wszechświata“, twierdzi, iż lekarze powinni być opiekunami jedynego w kraju pisma popularno-przyrodniczego. „Czy nie było-by nierównie odpowiedniejszém obrać sobie za pole literackiego popisu miłujący szczerą prawdę organ, czytany przez ludzi myślących i prawdziwie wykształconych, aniżeli ową prasę brukową, do któréj niektórzy lekarze mają prawdziwie mistyczny pociąg, pomimo, że ta sama prasa na każdym kroku poniewiera nauką i stanem lekarskim. Samo już poczucie godności stanu powinno zwrócić chętnych do popisu literackiego ku odpowiedniejszym pismom. Jak najszersza działalność popularyzacyjna na polu hygieny, fizyologii, patologii, byla-by nader pożyteczną i pożądaną. Pisma bardziéj rozpowszechnione od „Wszechświata“ mogły-by dostarczyć najkorzystniejszych warunków dla szybszego rozprzestrzenienia zdrowych pojęć pomiędzy publicznością, lecz nie sądzę, ażeby ta ostatnia mogła mieć istotne zaufanie do lekarzy, pomieszczających swe artykuły w pismach, które ich stan i naukę przy każdéj sposobności w brutalny sposób ośmieszają“. Tak więc szanowny profesor radzi obdarzać wiadomościami z medycyny popularnéj tylko „ludzi prawdziwie wykszsałconych“. To téż słusznie p. Adolf Landau, lekarz z Tomaszowa Rawskiego, „zapytuje w „Prawdzie“: co mają począć mniéj niż prawdziwie wykształceni? Jak mają sobie radzić kantorowicze,

subjekci handlowi, rzemieślnicy, robotnicy i inni ludzie, których wykształcenie kończy się w najlepszym razie na 2, 3-ch klasach, a częściéj nawet na szkole elementarnéj, i którzy następnie uzupełniają swą wiedzę czytaniem pism codziennych? Chcąc szczepić praktyczne wyniki nauki lekarskiéj śród ludzi mniéj wykształconych — mówi p. Landau — chcąc szerzyć wskazówki hygieniczne w tych warstwach społeczeństwa, gdzie brak ich najwięcéj daje się spostrzegać, chcąc jednem słowem czynić dobro dla samego dobra, nie zaś dla popisu; należy to robić w najprzystępniejszéj i najwygodniejszéj formie, mianowicie: pisywać o rzeczach nawskróś praktycznych, unikając bezwarunkowo wszelkich teoryi, hypotez, dysput, polemik". W końcu pan Landau daje radę, jak zaskarbić zaufanie tych czytelników pism codziennych, którzy ztamtąd naukę czerpią: „Niech lekarze, pomieszczający tam swe artykuły, pisują tylko o rzeczach faktycznie stwierdzonych, niech podają prace ogólnie zrozumiałe, niech „odpowiedniejsze" pisma nie wyrzekną się poważnéj krytyki tych prac na polu popularnéj hygieny, niech nareszcie „Kuryery" przestaną się bawić w zbyt poważne artykuły z dziedziny medycyny". Nie przypominamy sobie, aby prasa kiedykolwiek poniewierała nauką i stanem lekarskim. Jeżeli były jakie uwagi luźne o pojedyńczych faktach, to nie dotyczyły one ani stanu, ani nauki, lecz miały na względzie stronę etyczną *człowieka*, lub dotyczyły obowiązku jego względem ogółu. W takim razie również mogli-by wystąpić z pretensyami do prasy prawnicy, matematycy i t. d. i odmówić swego współpracownictwa z „poczucia godności". Gdyby były szerzone z większą popularnością i gorliwiéj, za pośrednictwem prasy najpoczytniejszéj, wskazówki o pielęgnowaniu zdrowia, może-byśmy nie mieli tak olbrzymiego, jak dziś, procentu suchotników, skazanych na zagładę. Nie we wszystkich warstwach ludności można ograniczyć tę straszną chorobę, gdyż zazwyczaj idzie ona w parze z warunkami życia, trudnemi do zmiany. Ale w każdym razie można było-by się przed nią bronić, gdyby masy posiadały świadomość téj broni Obecnie Towarzystwo ochrony zdrowia w Petersburgu postanowiło opracować szereg środków, zapobiegających szerzeniu się suchot przez zarażenie. Oto są zasadnicze punkta, obmyślane przez komisyę: 1) urzędowe uznanie suchot za chorobę zaraźliwą; 2) prawidłowe regestrowanie wszystkich chorych tego rodzaju i 3) utworzenie dla suchotników oddzielnych sanataryów. Nadto komisya obmyśla środki zmniejszenia niebezpieczeństwa dla osób zdrowych. Przedewszystkiém proponuje ona organizacyę nadzoru nad mamkami, nad sprzedażą mleka i dezinfekcyą. Nie dość jednakże wprowadzić w życie przepisy; niezależnie od tego, każda jednostka powinna dbać o swoje zdrowie. Chcąc atoli tę ostrożność zaszcze-

piać, należało-by ją wprowadzić do zadań pedagogicznych i, jednocześnie z rozbudzeniem zamiłowania do porządku i czystości, wpajać elementarne zasady hygieny. Powinna ona być głównym przedmiotem zarówno w szkołach początkowych miejskich i wiejskich, jak i wszelkich średnich zakładach. Czy taka reforma była-by u nas możebną w całéj rozciągłości? Jakże myśléć o tém, skoro np. chedery samém pomieszczeniem i metodą nauki grzeszą przeciwko najkardynalniejszym zasadom hygieny i powinny podlegać kontroli komisyi sanitarnéj, na równi z garkuchniami, pokojami umeblowanemi i temi domami, których właściciele, jak to niedawno wykryto, wypompowują w nocy nieczystości do rynsztoków, aby uniknąć wydatków na przedsiębiorstwo asenizacyjne!? Gdzie są tak ciężkie wykroczenia przeciwko zdrowiu publicznemu, gdzie nawet kamienicznik z *wyższém* wykształceniem przerabia miejsce ustępowe i dół kloaczny na mieszkanie dla ludzi, tam o hygienie, jako obowiązku publicznym, mowy być nie może.

Kraków nareszcie otrzyma gmachy szkolne, według wymagań hygieny. Niedawno rozeszła się wieść pomyślna, iż ministeryum oświaty zgadza się na propozycyę krakowskiéj rady miejskiéj, która obowiązuje się własnym kosztem, lecz według planów rządu, zbudować gmachy na umieszczenie gimnazyum III-go i szkoły realnéj, wymaga zaś, aby rząd tytułem czynszu za wynajmowanie tych budowli płacił 5½% od całéj sumy wyłożonego kapitału. Wiadomość to pomyślna tembardziéj, że, według zapewnień ludzi świadomych rzeczy, dzisiejsze pomieszczenia szkolne nie były-by tolerowane nawet w Pacanowie. Po-za gmachami szkolnemi, koło nauczycieli szkół średnich w Krakowie wprowadza inne zmiany, natury pedagogiczno-moralnéj. Dr. Roman Zawiliński wykazał wielce ujemny wpływ widowisk, szczególnie złożonych z utworów współczesnych repertuaru francuskiego. „Dają one młodzieży poznać życie z brudnych najczęściéj stron, pozbawiają szlachniejszych aspiracyi i dopomagają do szkodliwéj w skutkach przedwczesnéj dojrzałości umysłowéj. Rozdrażnienie nerwowe, wywołane śród młodzieży tego rodzaju przedstawieniami, zbyt często daje się spostrzegać nie tylko pedagogom, lecz i ogółowi ludzi poważnych“. Aby nadal temu zapobiedz, profesorowie uchwalili następujący rygor: uczniom czterech klas niższych szkół średnich zabronić zupełnie uczęszczania do teatru, nawet w towarzystwie osób starszych; młodzieży z klas wyższych pozwolić na uczęszczanie do teatrów tylko na takie przedstawienia, które są dla niéj stosowne. Nie poprzestając na téj uchwale, koło nauczycieli zwraca się do wydziału Towarzystwa we Lwowie, aby ten przedstawił sprawę sejmowi krajowe-

mu i uzyskał tą drogą, jako niezbędny warunek subwencyi dla teatrów we Lwowie i Krakowie, urządzanie przedstawień, stosownych dla młodzieży, w niedziele po południu. Przedewszystkiém powinny być w tym razie uwzględniane utwory autorów swojskich.

W całéj Austryi powitano z radością ostatni reskrypt ministra oświaty, który wprowadza gruntowną reformę w wykładach języków klasycznych. Myślą zasadniczą zmiany jest to, iżby gramatyka nie była celem nauki gimnazyalnéj. Przestarzała rutyna suchego wykładu uciążliwych formuł gramatycznych, które służyły do zagwożdżenia młodocianego umysłu, będzie nadal zupełnie usunięta, a natomiast nauka przedmiotów klasycznych w praktyczną formę się przyoblecze. Łacińskie i greckie *pensa* domowe w wyższém gimnazyum będą zaniechane, a czas zaoszczędzony użyty będzie na lekturę. W każdéj klasie wyższego gimnazyum, pod koniec semestru, uczniowie mają tłómaczyć stosowny ustęp z autora greckiego lub łacińskiego, bez poprzednich przygotowań i bez użycia środków pomocniczych. Prac takich nie może być w ciągu semestru więcéj, jak pięć z łaciny i cztery z greckiego. Prywatną lekturę należy o tyle uwzględniać, że każdy uczeń ma prawo przy egzaminie ostatecznym żądać, aby go z tego przedmiotu wyegzaminowano. Jeszcze przed wydaniem okólnika, krajowa rada szkolna we Lwowie zamierzała wprowadzić pewne zmiany w systemie wykładów klasycznych. Tém skwapliwiéj obecnie przystąpiła do przeprowadzenia reformy. Nowa metoda pociągnie za sobą zupełną zmianę podręczników szkolnych. Należy z nich usunąć wykład suchy, nudny, obciążający pamięć i umysł ucznia, a natomiast nadać im pewne ożywienie, które mogło by pociągać, a nie zniechęcać młodzież. Rada lwowska uchwaliła, iżby do podręczników, zaczynając od klasy pierwszéj, wprowadzać stopiowo: bajki, dyalogi, badania, opisy, ustępy historyczne i mitologiczne, wzory krasomówstwa i t. d. Przyznać należy, iż myśl jest bardzo trafna. Takie książki podręczne pod każdym względem wpłyną dodatnio na ucznia, rozbudzą jego uwagę i pilność, a przedewszystkiém—nie odbiorą mu świeżości umysłu. Wielkie ma również znaczenie sposób ułatwiający czytanie klasyków. Wybór autorów do lektury szkolnéj i prywatnéj, uwzględnienie niektórych pisarzy, jak Horacego, Tacyta i Sofoklesa, stosowne rozłożenie materyału gramatycznego w pierwszych czterech klasach, sposób prowadzenia ćwiczeń piśmiennych i ustnych, wszystkie te kwestye zajęły pierwsze miejsce w uchwałach rady szkolnéj. Oddać trzeba sprawiedliwość, iż Lwów nie zasypia sprawy wykształcenia publicznego. Przez długi czas kołatano w Wiedniu o instytut ekonomiczno-mineralogiczny (głównie chodziło o stronę mate-

ryalną), wreszcie udało się wyjednać przed kilku laty odpowiedni fundusz i dzięki temu rozpoczęto w roku przeszłym budowę gmachu (w ogrodzie botanicznym), a dziś jest już on zupełnie ukończony i mieści instytuty: chemiczny, mineralogiczny i farmakognostyczny. W sali wykładowéj może doskonale się pomieścić 120 słuchaczy, za nią gabinet dla doświadczeń i drugi dla badań profesora, następnie biblioteka i pokój dla asystenta. Laboratoryum urządzone według najnowszych wymagań nauki. Wogóle cały gmach ma mnóztwo sal obszernych, widnych i wszelkie inne pomieszczenia wygodne, zarówno dla celów naukowych, jak i dla ludzi, opatrzone wentylacyą wyborną. Obok wszelkich wymagań techniki, uwzględniono również stronę estetyczną. Koszta budowy gmachu wyniosły 135,000 zł.; plac na zabudowania otrzymano bezpłatnie od rządu. W chwili, gdy to piszemy, już w nowych instytucyach rozpoczęto wykłady.

Warszawa również się wzbogaciła pożytecznym nabytkiem dla studyów naukowych. W okresie wielkiego rozwoju bakteryologii, w sam czas uniwersytetowi warszawskiemu przybywa katedra téj gałęzi wiedzy specyalnéj dla medyków trzeciego kursu.

Z zakresu fachowéj pracy kobiecéj zwraca oddawna uwagę szkoła malarstwa w Warszawie, utrzymywana przez artystę-akademika, p. Ludwika Wiesiołowskiego. Pomimo, iż w dziedzinie sztuki plastycznéj jest u nas takie przepełnienie i zniechęcenie, jak we wszelkich innych działach pracy wyzwolonéj i niewyzwolonéj, w zakładzie powyższym stale się zwiększa liczba uczennic z rokiem każdym. Łatwo się domyślić, iż większą tu rolę odgrywa chleb, niż powołanie, czego najlepszym jest dowodem otwieranie takich szkół gdzieindziéj przez wychowanki zakładu p. Wiesiołowskiego. Dotąd zdołały one założyć szkoły malarstwa i rysunku: w Kijowie oraz w Wilnie, i wytworzyły już tyle nowych sił artystycznych, niezmordowanych w twórczości, że się zrodziła potrzeba specyalnéj wystawy, którą wkrótce Warszawa ma ujrzéć. Za lat parę usłyszymy o szeregu nowych szkół tego rodzaju w różnych zakątkach prowincyonalnych i każda z nich z pewnością będzie przepełniona; jeżeli zaś w takim, jak dotąd, stosunku wzrastać będzie liczba uczennic strach pomyśléć, że wtedy więcéj się rozleje goryczy z doznanego zawodu, niż farb olejnych i pastelowych na płótnie. Nie przeczymy, iż się znajdą prawdziwie zdolne i utalentowane przedstawicielki sztuk plastycznych; ale będzie to zaledwie nieznaczny procent w stosunku do tych mas, co szukają szczęścia i karyery w pędzlu, a rozstają się z nim na kobiercu ślubnym. Jest to wielce charakterysty-

czna cecha kobiet: zamiłowanie barw i harmonii (nie téj życiowéj). Im to zawdzięczamy taką popularność Chopina i Moniuszki, których przecudne melodye rozeszły się po wszystkich zakątkach kraju; a chociaż czasem bardzo zmienione i nieharmonijne, chociaż jęczały one lub krzyczały na rozbitych klawi-cymbałach, utrwaliły się pomimo to w pamięci największych profanów. Dziś niéma prawie człowieka średnio wykształconego, który-by nie słyszał o tych dwóch kompozytorach. Kilku naszych literatów, przeświadczonych o powszechném uwielbieniu tych mistrzów harmonii, udało się do Żelazowéj Woli (pod Sochaczewem), miejsca urodzenia Chopina, w nadziei, że się tam da utworzyć muzeum pamiątek po wielkim kompozytorze. Okazało się atoli, że domek, w którym się urodził Chopin, zajmuje w najlepsze pachciarz, a właściciel Woli, p. Pawłowski, za tę skromną chałupę żąda... 5,000 rubli. Słusznie więc inicyatorowie postanowili wybrać inne miejsce dla uczczenia mistrza tonów. Niektórzy głosują za Warszawą, gdzie Chopin mieszkał i gdzie lepiéj oceniono-by pamiątki po nim. Łatwiéj poszło z uczczeniem Moniuszki, który, dzięki inicyatywie i staraniom Mierzwińskiego, ma już zapewniony pomnik w gmachu Teatru Wielkiego

Z obowiązku kronikarskiego przechodzimy od kultu harmonii, umilającéj życie i łagodzącéj troski codzienne, do zaznaczenia dzieła pomnikowego dla żywych, ale dotkniętych rozdźwiękiem ducha, rozstrojem mózgowym. Doczekaliśmy się długo zapowiadanego otwarcia szpitala w Tworkach dla chorych umysłowo. Gmach ten, budowany przez trzy lata, pod względem ulepszeń i zastosowania najnowszych wymagań zdrowotnych, dorównywa pierwszorzędnym zakładom zagranicznym, a nawet podobno przewyższa je w niektórych szczegółach. Główny gmach frontowy posiada trzy piętra i mieści biuro szpitalne, mieszkania dla lekarzy, sześć pokoi z komfortem urządzonych dla chorych, mężczyzn i kobiet, właściwie dla „rekonwalescentów“, płacących za utrzymanie. W pawilonach urządzono mieszkania dla chorych bezpłatnych, wspólne sypialnie, jadalnie i kurytarze do spacerów. Są nadto lokale dwupokojowe (salonik i sypialnia), tudzież wspólne saloniki dla przyjmowania odwiedzin. W przyszłości mają być fortepiany i bilardy. Oddzielnie urządzono „separatki“ dla furyatów. Mają one ściany zaokrąglone, wybite wojłokiem, niskie tapczany z pościelą i waterklozety. We drzwiach u góry i u dołu są podwójne otwory dla obserwacyi chorych. Cały gmach szpitalny posiada kanalizacyę i wodociągi, światło elektryczne, urządzone nietylko w gmachu i na folwarku, ale nawet w lasku sosnowym; opalanie za pomocą kaloryferów, zwykłych pieców i pary, wentylacye wyborne. Cały za-

kład zaopatrzony w doskonałe kąpiele (wanny, natryski, łaźnie). Kuchnia parowa, urządzona na wielką skalę, według wzorów zagranicznych; pralnia mechaniczna posiada dwie maszyny systemu Schimmela, które mogą wyprać dziennie 60 pudów bielizny. Cały zakład szpitalny zmieści około 1,200 osób: chorych, służbę i administracyę. Pomimo tak obszernych pomieszczeń, już dziś uczuwać się daje zupełny brak miejsc. Tymczasem z różnych stron kraju napływają coraz liczniejsze prośby o przyjęcie chorych; zarząd więc jest w wielkim kłopocie, nie mogąc zadośćuczynić żądaniom. Jest podobno zamiar wyjednania dodątkowego funduszu na zbudowanie nowych pawilonów. Ale nawet w razie przyjścia do skutku tego projektu, zakład nie będzie mógł pomieścić wszystkich chorych; według bowiem danych statystycznych, ogólna liczba obłąkanych w Królestwie Polskiém w r. 1888 wynosiła 6,500 osób; a więc chcąc dać wszystkim przytułek, należało-by chyba założyć obszerną kolonię, albo utworzyć w rozmaitych miejscowościach kraju filie. Któż nie widział tych spokojnych, bezdomych idyotów i obłąkanych, wałęsających się po wsiach i drogach? Wygnani z chałupy, odepchnięci przez gminę, tułają się, jak psy bez właściciela. Czasem dostaną przez miłosierdzie strawę i nocleg w jakiéj stodole, czasem spełniają drobne usługi lub psoty wyrządzają. Wyśmiewani i skubani lub obrzucani błotem przez gromady dzieci, te istoty poniewierane bywają częstokroć przedmiotem żartów osób starszych. Prawie każda wieś posiada takich upośledzonych ludzi, pozbawionych wszelkiéj opieki, którzy częstokroć mszczą się dotkliwie za swoją niedolę i obojętność ludzką: stają się podpalaczami. Dla takich oczywiście zabrakło-by miejsca w Tworkach. Ale natomiast utrzymanie ich przez gminę nie było-by ani trudne, ani kłopotliwe. Izba obszerna, od czasu do czasu dozór lekarza powiatowego, trochę przyodziewku i strawy—oto i wszystko. Ludzie ci zresztą są zdolni do pracy; mogli-by więc przy odpowiednim dozorze wykonywać różne roboty i tym sposobem płacić za utrzymanie i opiekę.

Śmierć wykreśliła znowu kilku ludzi z listy pracowników na polu literatury i sztuki. Paweł Stalmach, urodzony r. 1824 w Bożanowicach pod Cieszynem, od szkolnéj ławy jął już pracować nad oświatą ludu. Kształcił się na pastora ewangielickiego w Cieszynie, Preszburgu i Wiedniu. Po ukończeniu studyów, pierwszą jego myślą było przystąpić do pracy szerszéj na polu publicznem. W r. 1848 doprowadził do skutku swe marzenia; pospołu z Kluckim i Cinciałą założył *Tygodnik Cieszyński*. Nie tak atoli łatwo poszło w życiu, jak było w marzeniach. Stalmach na każdym kroku musiał się borykać

z niepowodzeniem, iść naprzeciw wiatru, który mu zawsze wiał w oczy. Pracując jako nauczyciel, nieraz o głodzie i chłodzie, jednocześnie zapełniał szpalty pisma, popieranego przez nieliczną garstkę abonentów. W r. 1851 zmienił tytuł pisma na *Gwiazdkę Cieszyńską* i, nie złamany trudnościami, redagował ją do zgonu. Niezależnie od tego wydał sporo książeczek dla ludu i broszur okolicznościowych, wreszcie „Kancyonał, czyli śpiewnik dla chrześcian ewangielickich.“ Na tém atoli działalność jego się nie kończyła. Największy i najtrwalszy ślad swéj pracy pozostawił, jako twórca i protektor instytucyi publicznych. On-to był założycielem „Macierzy szkolnéj“ dla ks. Cieszyńskiego (r. 1886), tudzież Towarzystwa oszczędności i zaliczek, posiadającego dziś już kapitału 2,000,000 złr. W r. 1873 uczczono 25-letnią działalność tego męża wydaniem książki zbiorowéj.

Przed kilku tygodniami w Paryżu zakończył życie Teofil Kwiatkowski, artysta-malarz, akwarelista. Urodzony w Płockiém r. 1809, początkowe studya odbywał na wydziale sztuk pięknych przy uniwersytecie warszawskim. Następnie osiadł w Anglii, gdzie się zaprzyjaźnił z Chopinem, wreszcie przeniósł się do Paryża, gdzie ukończył studya malarskie. Z prac jego, wystawianych w Salonie paryskim, między innemi zwracał powszechną uwagę obraz p. t. „Marzenie Chopina.“

W Warszawie rozstał się ze światem Piotr Kaczorowski, wyborny restaurator dzieł malarskich; do r. 1874 jeszcze dość często zasilał on wystawę Towarzystwa zachęty pracami rodzajowemi, religijnemi i portretami. Więcéj atoli ceniono go, jako sumiennego restauratora dzieł dawnych malarzy. Częstokroć powierzano mu do odnowienia bardzo cenne dzieła.

W Krakowie zmarł Aleksander Ładnowski, ojciec artysty teatrów warszawskich. Uprawiał on również zawód aktorski na deskach sceny krakowskiéj przez pół wieku. Jako sumienny pracownik, zjednał sobie ogólną sympatyę i należał do najpopularniejszych osobistości w Krakowie.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Władysław Smoleński.* „Przewrót umysłowy w Polsce w wieku XVIII.“ Studya historyczne. Kraków i Petersburg. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

Autor zebrał w jeden tom drukowane tu i owdzie artykuły, których treścią było wyłamywanie się społeczeństwa z pod opieki kierunku teologicznego, wywalczanie prawa obywatelstwa rozumowi, opanowanemu przez wiarę. Objawów nowych dążeń autor szukał w szkole, w kościele, stowarzyszeniach, piśmiennictwie i prawie. Na treść tę złożyły się następujące rozprawy: umysłowość w dobie reakcyi katolickiéj; filozofia recentiorum; walka z przesądami; sceptycyzm religijny; wolnomularstwo; sprawa dysydencka; sekularyzacya szkoły; sprawa duchowieństwa; zatargi kierunków skrajnych w publicystyce ostatniéj ćwierci wieku i szkół wobec haseł wieku oświeconego.

— *Justyn Feliks Gajzler.* „Rys dziejów czeskich“, skreślił według źródeł... T. II. Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém. Warszawa. Główny skład w księgarni Wendego i S-ki. 1892.

Tom niniejszy zawiera trzy okresy dziejów. Okres *trzeci* husycki obejmuje wypadki od śmierci Hieronima z Pragi, a więc stosunki Zygmunta z Zakonem, śmierć króla Wacława, regencyę królowéj Zofii, poselstwo czeskie u Jagiełły, wyprawę Zygmunta Korybu-

towicza do Czech aż do powrotu jego do Polski, rządy Jerzego z Podiebradu, jakotéż rzut oka na współczesny stan kraju pod względem piśmiennictwa, sztuki, oświaty, obyczajów i t. p. Okres czwarty, nazwany przez autora okresem prześladowań religijnych i narodowych, obejmuje prześladowanie protestantów, najazd Szwedów, powstanie wieśniaków, panowanie Józefa I, prawodawstwo, gospodarstwo, przemysł, kościół, szkoły i piśmiennictwo. Okres piąty, czyli odrodzenie narodowości, zawiera pogląd na działalność Dobrowskiego, Puchmayera, Jungmana, Czelakowskiego, Kollara, Szafarzyka, Palackiego, jakotéż rzut oka na rozruchy praskie w r. 1848 i poczęcie nowéj ery (od r. 1860).

— *Teresa Prażmowska.* „Podręcznik do nauki literatury powszechnéj“, ułożony przez... Warszawa. Nakład Teodora Paprockiego. 1892.

Pragnąc uzupełnić brak treściwego podręcznika, który-by uwolnił od zapisywania dat, nazwisk, tytułów, jedném słowem całéj nomenklatury, stanowiącéj podścielisko nauki, autorka ułożyła niniejszą książkę. Z materyału, zgromadzonego przez rozmaitych pisarzy, pani P. starała się wybierać i na pierwszy plan wysuwać to tylko, co jest najwierniejszém odbiciem ducha narodu czy epoki, marzeń i ideałów ludzkości. W wykładzie niniejszym opuszczone zostały literatura polska, russka, niemiecka i francuzka, w ten sposób podręcznik obejmuje tylko literatury drugorzędne.

— *Józef Kallenbach,* profesor uniwersytetu we Fryburgu, ogłosił niewydane listy humanistów polskich: Jana Zamoyskiego, Szymona Szymonowicza, Jakóba Sobieskiego, jak również korrespondencyę humanisty francuskiego Izaaka Casaubona, Jana Dousa (Jan van der Does, pan na Noordwyck) z pomienionymi pisarzami, z Leonem Sapiehą i z innymi. Zajmujące te dokumenta poprzedził p. Kallenbach historycznym rzutem oka na humanizm w Polsce, szkic zaś ten w języku francuzkim i listy łacińskie stanowią literacki dodatek do spisu lekcyi w uniwersytecie fryburskim, wydanego pod tytułem: *Index lectionum quae in universitate Friburgensi per menses hiemales anni MDCCCXCI—XCII inde a die XV Octobris habebuntur.*

— *Waleryan Heck.* „Archiwa miejskie księztw Oświęcimskiego i Zatorskiego.“ 1891. Kraków, nakładem autora.

— *Dr Artur Benis.* „Materyały do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce. II. Biblioteki prywatne w XVI w. 1891. Kraków.

— *B. Buckley Arabella.* „Przez szkła czarodzieja.“ Warszawa. Nakład księgarni T. Paprockiego. 1892.

Przekładu dokonał J. K. Potocki. Książka niniejsza zawiera treść następującą: Izba czarodzieja w świetle księżycowém; szkła czarodziejskie; jak się posługiwać niemi; czarodziejskie pierścienie; sposób ich wytwarzania się; dzieje życia mchów i porostów; dzieje potoku lawy; godzina ze słońcem; wieczór pośród gwiazd; drobne istoty z malutkiego oceanu; kucyki dartmoorskie, czyli wędrówki rodzaju końskiego; sen czarodzieja o dawnych czasach.

— *T. Heryng dr.* „O przyczynach suchot i zapobieganiu im.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

— *Stanisław Piotrowski.* „K. Marxa. Teorya wartości.“ Studyum ekonomiczne. 1891. Warszawa u E. Wendego.

— *Zyg. Wolski.* „Kuchmistrzowstwo.“ 1891. Biała Radziwiłłowska.

Jest to urywek z książki nieznanéj w całości, któréj autor nadał miano *Kuchmistrzowstwa*, a wydanéj prawdopodobnie w pierwszéj połowie XVI w. Główną treścią broszurki jest wyrób octu coraz innym sposobem. Wątpić należy, czy z książeczki téj odniosą jaki pożytek filologowie, w każdym razie jednak jest ona osobliwością dla bibliomanów, jako wydanie rzadkie, tembardziéj, że autor, idąc śladem Aleksandra Darowskiego, który, wydając książki w Krakowie lub Warszawie, pisał na nich Wenecya lub Bruksella, probuje łudzić amatorów—Białą Radziwiłłowską.

— *Zacharyasz Ćwirko.* „Po szczęście.“ Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1892.

Autor opowiada, jak się zdaje, własne przygody w poszukiwaniu szczęścia. Goniąc tę marę, udał się w daleką drogę na wschód południowy, koleją za kaspijską, łączącą port Uzun-ada z Samarkandą. W podróż tę za szczęściem, czyli, po prostu mówiąc, za chlebem, puszcza się we troje, z żoną i dzieckiem. Klimat zabójczy zabiera mu żonę i dziecko, więc w dalszą drogę dąży już sam. Znajduje wprawdzie zajęcie w Aschabedzie, lecz żółta febra powala go z nóg. Zmęczonego moralnie i fizycznie, napół przytomnego, koledzy odwożą do Europy. Prosty, pozbawiony wszelkich sztucznych ozdóbek, sposób opowiadania, rysunek życia ludzi i własnych cierpień, pełen dramatyczności, sprawiają wstrząsające wrażenie na czytelniku i mogą niejednemu służyć za dowód, jak ciężko wypada nieraz opłacić marzenie o szczęściu, gdy się go szuka zbyt daleko.

— *Esteja.* „W sieci pajęczéj“, powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892.

— *Jan Rutkowski.* „Pajęczyna.“ Z 34-ma ilustracyami Czesława Jankowskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1892.

W tomiku niniejszym zawarte są następujące drobnostki: „Pajęczyna“; „Czepeczek panny Izy“; „Słońce zagasło“; „Chwila słabości Jana Żuka“; „Zegarek pana Pawła“; „Kochany Piotrze!“; „Awans“; „Co to jest wiosną?“; „Dziesiąta minut trzy“; „Nr 502“; „Etyka Szymkowa“; „Nowella“; „Nad życie“; „Szepty nocy majowéj“; „Łańcuch życia.“

— *Klemens Junosza.* „Panowie bracia.“ Z wyboru pism tom III. Warszawa, 1891.

Jest to powieść, osnuta na tle życia drobnéj szlachty Królestwa.

— *Kazimierz Gliński.* „Z Zakutego grodu“, szkice fotograficzne. Warszawa, 1892.

— *Cecylia Walewska.* „Z paradoksów życia.“ Studya i obrazki. T. Paprocki. Warszawa. 1891.

Zbiorek niniejszy (bez spisu rzeczy) jest przedrukiem szkiców i nowelek autorki, pomieszczanych w rozmaitych pismach warszawskich. P. Cecylia Walewska najbardziéj lubi przedstawiać z różnych stron typ kobiety nerwowéj, żądnéj pracy i samodzielności, a szamocącéj się w nieświadomości, jaką pójść drogą.

— *Stanisław z Warszawy.* „Dzwony i dzwonki.“ Znaczenie ich w użytku kościelnym i świeckim, opisał... Warszawa, 1892.

— *Jan Zacharyasiewicz.* „Moje szczęście—ze zwierzeń kobiety.“ Powieść. Warszawa u S. Lewentala.

— *St. P.* „Beatus.“ Warszawa, u M. Lewińskiego. 1892.

— Do wydawnictwa Edwarda Kolińskiego przybyło trzy broszurki: „Wygnane bez litości“ i „Dwie żony“, napisane z prawdziwych zdarzeń przez Antoszkę—oraz „Rady dla matek o pielęgnowaniu niemowląt, zastosowane do warunków życia ludu.“ Warszawa, 1892.

— *Andersen.* „Bajki i opowiadania.“ Warszawa. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1892.

W zbiorku niniejszym mieszczą się następujące bajki: „Dzielny żołnierz ołowiany“; „Pastuszka i kominiarz“; „Igła do cerowania“; „Stary dom“; „Tydzień małego elfa Stul-Powieki“; „Len“; „Dzie-

wczynka z zapałkami"; „Stokrotka"; „Księżniczka na ziarnku grochu"; „Anioł"; „Wojciech i Wojtek"; „Krzesiwo"; „Kufer latający"; „Calóweczka"; „Rusałka"; „Ropucha"; „Żal"; „Towarzysz podróży"; „Kacze państwo"; „Szybkobiegacze"; „Szkaradne kaczę"; „Coś"; „Dzikie łabędzie"; „Słowik"; „Ogród rajski"; „Świat małéj Idy"; „Cień."

— *Knut Hamsun.* „Głód." Powieść. Warszawa 1892, u T. Paprockiego.

— *Helena Ros...* J. B. Jacobsen: „Niels Lyhne", przełożyła z duńskiego... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892.

— Kalendarze na rok 1892:
Józefa Ungra illustrowany,
T. Paprockiego „Powszechny" i
E. Kolińskiego „Strzecha rodzinna.

— *E. Veron.* „Estetyka." Zeszyt I. Warszawa. Nakład księgarni Teodora Paprockiego. 1892.

Dzieło niniejsze ma się składać z dwóch zeszytów, objętości 30 arkuszy druku. Zeszyt, który się już ukazał, obejmuje następującą treść: Początki i ugrupowanie sztuk; źródła i cechy rozkoszy estetycznéj; smak; geniusz; co to jest sztuka; co to jest estetyka; sztuka dekoracyjna i sztuka ekspresyjna; styl; klasyfikacya sztuk; budownictwo; rzeźba.

— *Pasekowski dr W.* „Die Bedeutung der theologischen Vorstellungen für die Ethik." Berlin 1881. Mayer u. Müller.

Autor postawił swoją pracę na gruncie ogólnych dziejów religii i wykazuje w pierwszéj części, jaki wpływ miały pojedyńcze historyczne religie na moralność; w drugiéj, jakie następstwa korzystne lub szkodliwe miały dla etyki niezbędne do wyróżnienia w każdéj religii momenta, jako to: wiara, obrządek i askeza.

— 1) *H. de B. Gibbins. The industrial History of England* (Historja gospodarstwa społecznego w Anglii) London. Methuen 1890 str. 232.

2) *L. L. Price. A short history of political Economy in England from Adam Smith to Arnold Toynbee.* (Krótka historya ekonomii politycznéj od Adama Smitha do Arnolda Toynbee): London. Methuen. 1891. str. 201.

Nadzwyczajny, a poczęści i niespodziewany rozwój uniwersytetów angielskich, które w ostatnich czasach rozszerzyły swą działalność na klasy narodu, usuwające się dotychczas z pod ich wpływu, nadał nowy prąd poważnéj literaturze, mającéj na celu zaspokoić po-

trzeby umysłowe szerszéj publiczności, dotkniętéj tym ruchem. Z tego powodu nakładcy w Anglii wydają obecnie lub zapowiadają wydawnictwa całych seryi dzieł naukowych, które, odpowiadając z jednéj strony ścisłym wymaganiom nauki, przez swoją bardzéj popularną formę, mają zaspokajać potrzeby téj publiczności.

Mamy przed sobą właśnie dwie książki, rozpoczynające jedną taką seryę wydawcy Methuena, każda zaś z nich zasługuje na uwzględnienie. Pierwsza książka, pod tytułem powyżéj zamieszczonym, zawiera w sobie historyę gospodarstwa społecznego w Anglii, od najdawniejszych prawie, bo od rzymskich czasów, aż do dnia dzisiejszego. Nie wdając się tutaj w szczegółowe przdstawienie jéj treści, poprzestaniemy tylko na powiedzeniu, że autor nadzwyczaj jasno i treściwie rozbiera po kolei wszystkie fakta, które wywarły wpływ na rozwój gospodarstwa społecznego w Anglii i, z postępem czasu, z kraju, wyłącznie rolniczego, zrobiły kraj *par excellence* przemysłowy i handlowy. Znajdujemy więc w niéj opisanie stanu rolnictwa, wytworzonego przez *Domesday book* za czasów normandzkich; powstanie miast i pierwsze początki handlu z Niderlandami; skutki ekonomiczne wielkiego morowego powietrza z 1348 r., zniesienia klasztorów za Henryka VIII, zdobycia Indyi i założenia nowego państwa kolonialnego, wielkich odkryć technicznych w XVIII wieku, które spowodowały rewolucyę przemysłową, wojen z czasów Napoleona, które potężnie wpłynęły na rozwój przemysłu i handlu angielskiego i t. d. Nie ulega wątpliwości, że autor w interesującéj swéj pracy wywiązał się w zupełności z swego zadania, daje bowiem czytelnikowi jasne pojęcie o wszystkich ważniejszych czynnikach, które w postępie czasu wpłynęły na rozwój Anglii pod względem ekonomicznym, i zrobiły z niéj to, czém jest obecnie. Autor w każdym peryodzie rozwoju uwzględnia nie tylko przemysł, we właściwém tego słowa znaczeniu, ale i rolnictwo, rzemiosła i handel, wskutek czego jego historyę gospodarstwa narodowego w Anglii można uważać za zupełną, obejmującą całość przedmiotu.

W drugiéj z powyżéj przytoczonych książek autor wziął sobie za zadanie przedstawić rozwój pojęć ekonomicznych w Angli od Adama Smitha do naszych czasów, tudzież zbadać, o ile każdy z bardziéj znanych ekonomistów angielskich przyłożył się do rozwoju nauki ekonomii politycznéj. Dlatego zwraca uwagę przeważnie na jedno, najważniejsze dzieło każdego z nich, w którém wypowiedziane były główne jego poglądy, poddaje je obszernemu rozbiorowi i na podstawie tego wykazuje, ile z poglądów tych okazało się w następstwie błędnemi, a ile i jakie należy uważać za stały przyczynek do wiedzy ekonomicznéj. W ten sposób autor zastanawia się nad bogactwem narodów i podziałem pracy Adama Smitha, nad teoryą ludności Malthusa,

teoryą renty Ricarda, teoryą wartości Johna Stuarta Milla, nad metodami badania ekonomicznego Elliotta, Cairnesa i Cliffe Leslie, nad teoryą targu pieniężnego Bagehot'a, metodą statystyczną Stanleya Jevonsa, a wreszcie nad pracami Fawcetta i Arnolda Toynbee, według których ekonomia polityczna winna nie tylko wyjaśnić istniejące stosunki ekonomiczne, ale i utorować drogę do reformy społecznéj. W ten sposób autor przedstawił czytelnikowi wyczerpująco, a pomimo to w sposób dostępny i jasny, rozwój pojęć ekonomicznych w Anglii. W pracy téj uderzającym jest jeszcze jeden szczegół, mianowicie, że rozbiór teoryi każdego autora poprzedzony jest krótką biograficzną wzmianką, wykazującą związek między jego późniejszemi teoryami, a okolicznościami, pod których wpływem pozostawał i kształcił się w młodości.

Wogóle mówiąc, obiedwie książki odznaczają, się tak pod względem treści, jak i formy, takiemi zaletami, że mogły-by być przetłómaczone na język polski.

A. O.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1891.

Strona

Filozofia.

Błędne koło dzisiejszéj filozofii, przez Władysława Kozłowskiego . . 294

Historya.

O powstaniu dziesięciny swobodnéj, studyum z dziedziny prawa kościelnego w Polsce, przez prof. D-ra Wład. Abrahama 146
Józef Szymanowski, przyczynek do reformy prawa i procesu karnego w Polsce w końcu XVIII w., przez D-ra Edmunda Krzymuskiego 233
Bakota, jako stolica Ponizia w XIII stuleciu, przez D-ra Antoniego J. 524

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Ziemia i jéj odłużenie w Królestwie Polskiém, przez Jana Blocha. (Dokończenie) 66
Emerytura dla robotników. Ustawa niemiecka z 22 Czerwca 1890 r. i Projekt francuski, przez A. Donimirskiego 354
Rozwój uniwersytetów w Anglii, przez A. Okolskiego 449
Instytut międzynarodowy statystyczny, przez D-ra Tadeusza Pilata członka tegoż Instytutu 606
Wrażenia z wycieczki, przez T. S. 134

Literatura.

Irena (powieść), przez Zofię Kowerską. (Dokończenie) 1
Babunia (powieść), przez Wincentego Kosiakiewicza 233
Z poematu „Królewska pieśń“ (wiersz), przez Kazimierza Glińskiego . 181
Chusta Weroniki (wiersz), przez Felicyana 625

Strona

Studya i szkice literackie.

Pierwsza młodość Karpińskiego, przez D-ra K. M. Górskiego 33
Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód (na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety) przez D-ra Henryka Biegeleisena 336
Skandynawizm w literaturze. I. Henryk Ibsen, przez Wład. Bogusławskiego. 553

Studya artystyczne.

Malarstwo na międzynarodowéj wystawie sztuki w Berlinie, przez D-ra K. M. Górskiego . . . . . 370 i 502
Na nowéj scenie, przez Wład. Bogusławskiego 389

Krytyka.

Stosunki dyplomatyczne Rossyi i Francyi w epoce Napoleona I, pod redakcyą prof. Aleksandra Traczewskiego. — Albert Vandal, — Napoleon et Alexandre I. L'alliance russe sous le premier empire. De Tilsit à Erfurt. — Correspondance diplomatique du comte Pozzo di Borgo et du comte de Nesselrode, 1814—1818 — przez Szymona Askenazego 192
M. Czerneda (Mieczysław Bierzyński). „Szkice“ przez K. Kaszewskiego 198
Dr Witold Rubczyński. „Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemany autor Vitellion. Przyczynek do historyi pojęć średniowiecznych, przez H. Struvego 399
Correspondence of princess Lieven and earl Grey. Edit. and transl. by Guy le Strange, przez S. Askenazego 404
Esteja. „Za Oceanem“ powieść współczesna, przez K. Kaszewskiego . 410
Ad. Mahrburg. „Psychologia współczesna i stanowisko jéj w systemie wiedzy“, przez Fl. K. Gąsiorowskiego 630
Adam Breza. „Literatura polska“, przez Antoniego Bądzkiewicza . . 640

Kronika zagraniczna.

Paryska. Pamiętnik generała Marbot'a. Lavisse'a *La jeunesse de Frédéric.* — Śmierć Augusta Vitu i jego literacka działalność. — Dwa nowe tomiki albumów illustrowanych Konstantego Chmielińskiego (Constant de Tours). — Głosy Juliusza Simona i Edwarda Delille'a przeciwko gorszącéj literaturze i *krach* powieściowy 312
Wiedeńska przez E. Lipnickiego. Otwarcie muzeum starożytności i obrazów. — Dwa jubileusze: Mozarta i Koernera. — Popularna powieściopisarka 538

Kronika miesięczna.

Październik. Rozdrażnienie nerwów cechujące stosunki europejskie. — Okólnik Wysokiéj Porty w sprawie przejazdu przez Dardanelle. — Skandal z powodu przedstawienia „Lohengrina“ w operze paryskiéj. — Manifestacya pielgrzymów przy grobowcu Wiktora-Emanuela w Rzymie. — Wrzenie w dziennikach berlińskich z powodu udziału domów bankowych w subskrypcyi na pożyczkę russką. — Zjazd w Schwarzenau. — Złagodzenie przymusu paszportowego w Alzacyi i Lotaryngii. — Odsłonienie pomnika Garibaldego w Nizzy.—Podróż Franciszka-Józefa do Pragi.—Klęski żywiołowe—powódź w Hiszpanii.— Prawa przeciwko alkoholizmowi. — Przepisy dla Królestwa regulujące stosunek między fabrykantami i robotnikami. — Monopol stręczycieli dostarczających aptekom pracowników. — Projekt ubezpieczenia oficyalistów wiejskich.— Zabezpieczenie przyszłości nauczycieli prywatnych.— Nadprodukcya intelligencyi. — Zwrot w przygotowaniu się kobiet do praktyki życiowéj. — Nadużycia przy stręczeniu mamek. — Hygiena zakładów naukowych. — Oddział poprawczo-wychowawczy dla dziewcząt w Studzieńcu. — Zmarli: Ignacy Świętochowski, Aleksander Szumowski, Izydor Kopernicki i Dr Henryk Grätz. — Konkurs dramatyczny „Kuryera Warszawskiego“ 204

Listopad. Wojna dziennikarska księcia Bismarcka z cesarzem Wilhelmem. — Wiec Erfurcki i pozorne zwycięztwo Liebknechta i Bebla. — Mowa hr. Taaffego w kwestyi funduszów tajnych.— Projektowana w obozie młodoczeskim polityka bierności. — Samobójstwo Boulangera. — Proces przeciw arcybiskupowi z Aix. — Śmierć Parnella. — Nieurodzaj ziarna, drożyzna i przesada w ocenianiu stanu rzeczy. — Nieurodzaj kartofli. — Ankieta w celu określenia ilości ogólnych zbiorów. — Objawy skłonności do ustępstw pracodawców dla pracowników. — Następstwa ustawy o ubezpieczeniu robotników w Poznańskiém. — Konopnicka o nędzy brazylijskiéj. — Ochrona prawna gruntów i właszczonych i działów leśnych. — Uzupełnienie przepisów dotyczących adwokatury. — Przyczyny wstrzemięźliwości naszych prawników od udziału w badaniach międzynarodowych. — Kongresy w sprawach sanitarnych. — Kwestya przymusu kanalizacyjnego. — Komitety zawiązane w celu uzdrowotnienia Otwocka, Wawra, Nowo-Mińska i Mrozów. — Pielęgnowanie sił fizycznych w programie szkół średnich. — Pięćsetny numer „Wszechświata.“ — Nasza prasa prowincyonalna. — Wystawa starożytności w Radomiu. — Śmierć Jana Nerudy 422

Grudzień. Miesiąc oratorski: mowy czterech ministrów i przemówienie Franciszka-Józefa. — Tegoroczny niedobór w produkcyi rolnéj i głosy prasy russkiéj w téj sprawie. — Zakaz wywozu pszenicy i następstwa tego środka dla nabywców i spożywców —Spichrze gminne. — Sprawa oficyalistów, urzędników miejskich i wiejskich, tudzież służby folwarcznéj. — Towarzystwa ogrodnicze u nas i w Księztwie Poznańskiém.— Prywatne usiłowania w celu zwalczenia alkoholizmu. — Lichwa. — Ubezpieczenie pracowników kolei Nadwiślańskiéj. — Zapis ś. p. Władysława Pawłowskiego na rzecz Kasy imienia Mianowskiego i odczyty popularno-naukowe na dochód téj instytucyi. — Uwagi profesora Hoyera przeciwko przemawianiu lekarzy w pismach publicznych. — Projektowane gmachy szkolne w Krakowie. — Reforma w wykła-

Strona

dzie języków klasycznych w Austryi. — Katedra bakteryologii przy uniwersytecie warszawskim. — Nowy szpital dla obłąkanych w Tworkach. — Zmarli: Paweł Stalmach, redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiéj“; Teofil Kwiatkowski, akwarelista; Piotr Kaczorowski, restaurator dzieł malarskich i Aleksander Ładnowski, ojciec artysty teatrów warszawskich 647

Wiadomości bibliograficzne.

Październik 229
Listopad 444
Grudzień 670

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.